

**Jones J.V.**

**KOLCZASTY WIENIEC**

**The Barbetl Coil**

**Tłumaczył Dariusz Kopociński**

**Wydanie oryginalne: 1997**

**Wydanie polskie: 1999**

**TMN**

# PODZIĘKOWANIA

Za nieocenioną pomoc i wsparcie radami podziękowania zechcą przyjąć: Betsy Mitchell oraz Colin Murray, Wayne D. Chang, Russell Galen i Danny Baror, Mari C. Okuda, Sona Yogel i Daniel R. Horne.

W kwestii iluminowania rękopisów, ich malowania i przygotowywania szczególnie wiele zawdzięczam pracom Michelle P. Brown i Janet Backhouse (choć muszę przyznać, że sama wymyśliłam co ciekawsze receptury).

I, jak zawsze, dziękuję Richardowi...

*Dla Betsy*

## PROLOG

Ten, który miał wkrótce zasiąść na tronie, biegł nago przez las. Stworzenia nocy, ptaki i owady, towarzyszyły mu w podróży poprzez splecione gąszcz drzew. W rozrzedzonym powietrzu unosiły się tysiące zapachów. Księżyc w nowiu połyskiwał niczym ostrze wysunięte z pochwy.

Korzenie łapczywie wyciągały palce, a gałęzie złowieszczo trzeszczały. Wszystko – odległe gwiazdy, ciemne plamy chmur, rozmokła ziemia i zwierzęta przyczajone w cieniu – należało tej nocy do niego.

Pozostało pięć tygodni do czasu koronacji. Pięć tygodni do rozpoczęcia wielkiego dzieła. Pięć tygodni, by przygotować się na to, co nieuniknione.

W liczbie pięć drzemie prawdziwa potęga! Starożytna, mroczna magia!

Ten, który miał wkrótce zasiąść na tronie, zwrócił oczy na zachód. Góry Działowe nie dawały mu spokoju. Resztki śniegu, zdobiące wierzchołki, nęciły go swym dziewiczym kolorem. Z jaką radością okrwawiłby te górskie przełęcze! Z jaką rozkoszą przekłułby te sędziwe wąwozy, by dostać się do żyznych krain leżących poza nimi!

Garizon tęsknił za portem morskim i wybrzeżem, ale nie tylko. Zwyciężony, zdruzgotany, zniewolony, a na koniec zapomniany – przetrwał, karmiąc się krwią, żółcią i moralnym zepsuciem.

Od rządów ostatniego władcy upłynęło pięćdziesiąt lat. Wystarczający to czas, by jego pogromcy na zachodzie zmarli, zapomnieli lub padli ofiarą syfilisu. Garizonowi nadano przydomek: “Nasz spichlerz na wschodzie i przyjaciel w potrzebie”.

Już wkrótce Garizon przestanie pomagać komukolwiek. Miał teraz własne potrzeby. Należało przywrócić chwałę, upomnieć się o ziemię, ukoronować króla Kolczastym Wieńcem ze złota.

Pięćdziesiąt lat poddaństwa: cóż to jest wobec pięciuset lat konfliktów? Ten, który miał wkrótce zasiąść na tronie, uśmiechał się, mijając kolejne drzewa. Ludzie na zachodzie mieli krótką pamięć. Ci, którzy zapomnieli, skazali się na los o wiele gorszy niż tylko popełnianie tych samych błędów.

## **WŁAMYWACZE ZAMIAST PIENIĘDZY WYNOSZĄ Z BANKU SKRYTKI Z DEPOZYTAMI**

Jeden z pracowników ochrony postrzelony w pierś i około trzystu skradzionych skrytek z depozytami to rezultat włamania do Banku Narodowego La Havra w Chula Vista, które miało miejsce w nocy z wtorku na środę.

46-letni Samuel Ossaco znajduje się w stanie krytycznym na oddziale w Scripps Memorial Hospital. Niespełna czterdzieści minut po tym, jak złodzieje oddalili się z łupem, zdołał włączyć alarm i powiadomić posterunek policji. Bandyci przed napadem przecięli linie telefoniczne.

Wykorzystując miniaturowy palnik, włamywacze usiłowali dotrzeć do głównego skarbcza. Zgodnie z pierwszymi ustaleniami policji, kiedy nie udało im się otworzyć sejfów, dostali się do pomieszczenia ze skrytkami. Trwa intensywne śledztwo.

“To robota fachowców – stwierdził w wywiadzie pułkownik Jamie Peralla z wydziału dochodzeniowego. – Sprawcy nie działali na oślep. Wiedzieli, które kable przeciąć, znali rozkład instalacji alarmowej, dysponowali profesjonalnym sprzętem”.

Prezes banku, George Bonnaheim, wyznaczył 10 tysięcy dolarów nagrody za wskazówki, które pomogą odzyskać skrytki z depozytami.

“Bandyci zabrali dorobek życia różnych ludzi – stwierdził. – Trudno powiedzieć, co znajduje się w tych skrytkach”.

(o skrytkach czyt. na str. 30)

Jeff Welz

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zabierając się do śniadania, Tessa McCamfrey przeglądała kilka pierwszych stron "Union Tribune". Interesowały ją tylko nagłówki, fotografie i ogłoszenia. Wzrok miała dobry, potrafiła odczytać drobną czcionkę artykułów i listów do redakcji, lecz nie znosiła koncentrować uwagi na literkach. Denerwował ją ich rozmiar.

Pochylona nad białym, laminowanym blatem, sięgnęła po kanapkę z boczkiem, która leżała tuż przy aparacie telefonicznym. Podobnie jak to czyniła zawsze przed zatopieniem zębów w zapiekana, angielską bułeczkę, zerknęła do środka, by upewnić się, czy wszystko jest tak jak należy. Lubiła patrzeć na układ warstw boczku.

Zadowolona z oględzin, odgryzła spory kęs i przewróciła stronicę. WCIĄŻ NIE NATRAFIONO NA ŚLAD SKRADZIONYCH SKRYTEK. Ile to już upłynęło czasu? Miesiąc? Sześć tygodni? Nikt ich chyba nie znajdzie.

Właśnie wtedy, gdy odkładała gazetę, rozdzwonił się telefon. Zesztywniała. Po trzech kolejnych sygnałach nowa, automatyczna sekretarka Sony Deluxe przystąpiła do akcji. Zakręciły się rolki kasety, zapaliły właściwe światełka i głos, nie należący do Tessy, powiadomił dzwoniącego: "Chwilowo nie ma w domu nikogo z rodziny. Po usłyszeniu sygnału proszę zostawić wiadomość i czekać na odpowiedź".

Tessa zmarszczyła czoło. Nikogo z rodziny! Doprawdy – powinna nagrać inną wiadomość. Jednak w ślad za tą myślą nasunęła się następna: z pewnością tak się nie stanie. Nigdy nie umiała wziąć się w garść, gdy trzeba było załatwić jakąś pilną sprawę.

Rozległ się głośny sygnał, a zaraz po nim cichy, męski głos:

– Tesso? Tesso? Jesteś tam? – Nastąpiła przerwa, po której spokojny do tej pory głos zabrzmiał o wiele bardziej nerwowo. – Słuchaj! Wiem, że tam jesteś. Jadę do ciebie. Musimy porozmawiać.

Zanim przebrzmiało ostatnie zdanie, odsunęła krzesło i odszukała buty. Kanapka z boczkiem została odłożona, kluczyki znalezione, portmonetka sprawdzona, a wełniany sweter przykrył bawełnianą bluzeczkę. Nadeszła pora, żeby zmienić klimat.

Nie cierpiała rozmów, które towarzyszą rozstaniom; nienawidziła niedwuznacznego wyrazu twarzy u mężczyzn, których zawiodła. Wszystkie jej dotychczasowe związki zakończyły się w podobny sposób: dzwonił telefon, a potem były już tylko wyrzuty sumienia i poczucie winy. Jak miała wytłumaczyć mężczyźnie, że nic do niego nie czuje, choć sama nie wie dlaczego?

Na to ostatnie pytanie nie potrafiła odnaleźć odpowiedzi, wobec czego traciła fortunę na coraz to lepsze automatyczne sekretarki. Chciała odgradzić się nimi od odpowiedzialności. A

kiedy, jak w przypadku Mike'a Hollistera, grożono jej odwiedzinami w mieszkaniu i otwartą konfrontacją, zmykała do lasu.

Słońce w południowej Kalifornii prażyło bardziej, niżby sobie tego życzyła. Ignorując majową porę i temperaturę przekraczającą dwadzieścia stopni Celsjusza, Tessa nie zrezygnowała ze swetra. Czuła się zbyt wyeksponowana, gdy od zewnętrznego świata oddzielała ją zaledwie pojedyncza warstwa tkaniny.

Honda civic była jej dobrą przyjaciółką. W odróżnieniu od tych zdradzieckich samochodów w filmach, które zawsze odmawiają posłuszeństwa, gdy trzeba ulotnić się z heroiną, jej honda zrywała się do biegu tuż po przekręceniu kluczyka w stacyjce.

Dokąd jechać? Marzyła o zieleni, ale nie tej chemicznie podkolorowanej, przygotowanej pod budowę domu, ani też tej wypielęgnowanej i przystrzyżonej, jak na polu golfowym Mission Gorge. Pragnęła świeżej, żywej zieleni.

Zjechała na Texas Street, zostawiła za sobą University Heights i skierowała się na wschód autostradą numer 8, mijając szereg hoteli, supermarketów, kręgielni i szkółek golfowych. W sobotni rano na trasie było w miarę spokojnie. Na niebie dominował typowy dla południowej Kalifornii odcień błękitu, którego nie mąciła najmniejsza chmurka. Promienie słońca wpadały przez boczną szybę do wnętrza pojazdu, grzejąc jej ręce i twarz.

Gdzieś w głębi duszy cieszyła się z tej ucieczki. Wydawało jej się, że w życiu tylko wtedy czuła się świetnie, kiedy dokądś podróżowała. Przy odrobinie szczęścia mogła przeżyć kilka minut – czasem nawet godzin – euforii związanej z oczekiwaniem na dotarcie do celu, pozwalającej zapomnieć o wszystkim z wyjątkiem samej jazdy. Zawsze jednak z chwilą dojechania na miejsce czuła lekki niedosyt, jakby kres jej podróży leżał znacznie dalej.

W czasie jazdy poczuła w skroniach delikatny szum i ostry pisk, jakby ktoś przejechał paznokciami po tablicy. Przeraziła się nie na żarty. Tylko nie teraz, nie dziś! Od tak dawna dobrze się czuła, że zaczęła wierzyć, iż wyzdrowiała. Dodała gazu z nadzieją, że ucieknie od tego hałasu. Doświadczenie nauczyło ją, że im szybciej jedzie i dłużej siedzi za kierownicą, tym mniej dokucza jej *tinnitus*.

Właśnie: *tinnitus*, brzęczenie w uszach. Po raz pierwszy dolegliwość tę stwierdzono u Tessy w wieku pięciu lat, na krótko przed tym, jak jej rodzina przeniosła się z Anglii do Ameryki. Doskonale pamiętała zielony skrawek ziemi, uchodzący wówczas za ich ogródek. Siedziała na trawie, zaciskała piąstkami uszy i pytała matkę, kiedy „skończy się to buczenie”. Czuła się, jak gdyby ktoś umieścił w jej głowie malutki dzwoneczek.

Hałas nie ustawał. Po tygodniu wezwano lekarza rodzinnego. Doktor Bodesill był roslym mężczyzną z czerwonym nosem, pachniał portem i wykazywał upodobanie do jaskrawoczerwonych, dzierganych kamizelek. Po kilku dostojnych „hymnówkach” i „machnięciach” stwierdził, że dziewczynka powinna udać się do Londynu i poddać badaniu u specjalisty. Dziesięć dni później opatulono Tessę ciepłym zimowym płaszczem (na przekór

upalnej pogodzie), włosy zaczesano do tyłu, podciągnięto rajstopy i zaprowadzono na dworzec kolejowy, nie zważając na gwałtowne protesty.

Tessa polubiła jazdę pociągiem. Podczas dwugodzinnej podróży miarowy stukot metalowych kół toczących się po szynach i wielotonowy odgłos silnika skutecznie tłumiły *tinnitusa*. Na tyle skutecznie, że gdy dotarli do Londynu, była przekonana, iż dzwonięcie w uszach ustało. Kiedy pociąg wjeżdżał na Victoria Station, dziewczynka odwróciła się do matki.

– Mamusiu, znikły hałasy.

Matka osłupiała: po zamówieniu wizyty u specjalisty w Londynie i męczącej jeździe pociągiem jej krnąbrna i niewdzięczna córka miała czelność zauważyć, że dobrze się czuje! Na szczęście kolejarz z gwizdkiem oszczędził jej upokorzenia, jakiego by doświadczyła, pojawiając się u lekarza z cudownie uleczonym dzieckiem.

Do końca życia Tessa będzie pamiętać dźwięk tamtego gwizdka. Jeszcze na stacji w Stoke ktoś uchylił okno, które nadal było otwarte, kiedy w Londynie kolejarz spacerujący wolnym krokiem po peronie czwartym przystanął w odległości trzech stóp od lewego ucha dziewczynki i dmuchnął potężnie w swój profesjonalny, kolejarzki gwizdek.

Poczuła się, jakby ktoś nożem przepołowił jej ucho, rozdzielając nerwy, tkankę i membranę, a cały mózg, nie – cała jej osobowość, zatrzęsała się pod wpływem strasznych wibracji, które wywołała praca wielkiego metalowego urządzenia, umieszczonego w głowie. Krzyczała histerycznie, błagając matkę, żeby uciszyła ten hałas. Kilka godzin później dowiedziała się, że wrzeszcząc, tylko pogarszała swój stan.

Zanim dotarli na Harley Street, matka związała jej ręce na plecach żółtym, nylonowym szalikiem. Tym sposobem zdołała powstrzymać dziecko od okładania się pięściami po skroniach.

Specjalista, otolaryngolog o nazwisku Hemsch, dał Tessie środek na uspokojenie, szklankę lemoniady i pluszowego misia, którego mogła przytulać podczas oględzin. W ciągu następnej godziny uszy dziewczynki zostały poddane badaniu wiązkami światła i różnymi metalowymi przyrządami, natomiast słuch sprawdzono za pomocą ciągu nisko- i wysokotonowych dźwięków. Pucułowata pielęgniarka z chłodnymi dłońmi pobrała próbki krwi i moczu.

Doktor Hemsch wnioski ze swych badań przekazał osobno matce i córce. Tessa będzie mu dożywotnie wdzięczna, że to właśnie z nią porozmawiał w pierwszej kolejności.

– Tesso – powiedział, pochylając się nad nią i zdejmując okulary, dzięki czemu ujrzała przyjacielski wyraz jego błękitnych oczu – cierpisz na coś, co my nazywamy *tinnitusem*. Oznacza to, że słyszysz w uszach ciągle brzęczenie. Zdarzy się jeszcze nieraz (tak jak na dworcu, kiedy kolejarz zagwizdał w gwizdek), że hałas będzie głośniejszy. Będą także chwile, kiedy niemal umilknie. – Lekarz dotknął ramienia dziewczynki. – Ty i ja, Tesso, będziemy odtąd jedną drużyną. Musimy uchronić cię od głośnych dźwięków, jak ten gwizdek



na peronie. Mimo że nie wiadomo, co wywołuje *tinnitus*, jedno jest pewne: hałas pogarsza sprawę.

– Może pan zrobić, żeby hałas zniknął? – zapytała Tessa, ośmielona tym podniecającym faktem, że będzie wraz z doktorem Hemschem w jednej drużynie.

Lekarz spojrzał jej prosto w oczy.

– Nie mogę nic zrobić, żeby zniknął hałas. Mogę tylko złagodzić jego oddziaływanie, a jeżeli *tinnitus* nie zechce dobrowolnie ustąpić, będziemy musieli zastanowić się wspólnie nad dalszym postępowaniem.

Tessa uśmiechnęła się kwaśno, wyprzedzając jadącą lewym pasem czarną półciężarówkę. Nie miała okazji być w jednej drużynie z doktorem Hemschem. Wkrótce po tamtej pierwszej wizycie przeniosła się wraz z rodzicami do Nowego Jorku. *Tinnitus* ustąpił w ciągu dziewięciogodzinnego lotu, by powrócić siedem lat później, budząc przyjemne wspomnienia o niebieskookim lekarzu i pielęgniarce z chłodnymi dłońmi.

Kierowca pick-upa przyspieszył i z hukiem silnika wyprzedził ją po wewnętrznym pasie. Kiedy samochód wysforował się przed hondę, zobaczyła nalepkę na tylnym zderzaku. Czarnym, tłustym drukiem wypisano: NIE KUPUJĘ, TYLKO TWORZĘ. Instynktownie zwolniła.

Wiedziała, że przekracza dozwoloną prędkość. Nic na to nie mogła poradzić. Kiedy zdawała na prawo jazdy, *tinnitus* dał o sobie znać i szybko zauważyła, że im mocniej wciska pedał gazu, tym głośniej pracuje silnik. Najlepszym sposobem na *tinnitus* było zagłuszenie wysokotonowego jazgotu w uszach hałasem równie głośnym, ale o niskiej częstotliwości. Teoria mówiła, że takie dźwięki powinny się nawzajem wykluczyć. Praktyka nie potwierdziła tej teorii do końca, niemniej Tessa czuła ulgę. Czasem większą, czasem niniejszą.

Zauważywszy znak informujący o zjeździe na I-15 w kierunku północnym, zjechała na lewy pas i ustawiła się tuż za czarnym pick-upem. Dokładnie w chwili, gdy żółta honda znalazła się za półciężarówką, zabłyśły światła stopu. Przyhamowała gwałtownie. Chociaż droga była wolna, światła mrugnęły jeszcze dwukrotnie, każąc jej powtórnie zwolnić.

Zgodnie ze znakiem drogowym skrzyżowanie z I-15 znajdowało się ćwierć mili dalej. Kiedy znów spojrzała przed siebie, poczuła w głowie dojmujące brzęczenie. Pick-up raz jeszcze błysnął czerwienią świateł. Z całej siły nacisnęła na hamulce. Pasy bezpieczeństwa wpiły się w ciało. Kierowca półciężarówki uśmiechnął się we wstecznym lusterku. Miał ciemne wąsy, podwójny podbródek i małe, wypełnione bielą zębów usta. Tessa zawrzała gniewem. Korciło ją, żeby staranować pick-upa, a potem wyprzedzić go i zajechać mu drogę.

Wówczas przypomniała sobie dawno usłyszane słowa: “Spokojnie, Tesso, tylko spokojnie. Lekarz powiedział, że nie wolno ci się denerwować, bo powrócą hałasy”.

Lata spędzone na ćwiczeniu samokontroli wycisnęły na niej swe piętno: zwolniła do pięćdziesięciu mil na godzinę. Półciężarówką najwidoczniej także zamierzała skrócić. Tessa trzęsła się ze zdenerwowania. Nieznośne buczenie zdawało się rozsadzać skronie.

Uzmysłowiła sobie nagle, że nie pragnie już skręcać na północ i wlec się potulnie za pick-upem, przeżywając własną porażkę. Spoconymi dłońmi przekreśliła kierownicę i wyprowadziła samochód z pasa zjazdowego z powrotem na “ósemkę”.

Wściekła na samą siebie poczuła, że *tinnitus* przystępuje do kolejnego natarcia. Sprawa wydawała się beznadziejna: miała się nie denerwować, ale sam ten fakt napędzał ją jeszcze większą złością.

Honda pędziła na wschód. Mijała kliniki, hale wypełnione artykułami przemysłowymi i ciągi budynków oferujących na wyblakłych afiszach “przeprowadzkę i telewizję kablową gratis”. Przyspieszając do siedemdziesiątki, Tessa próbowała uspokoić się i pozwolić, by warkot silnika ulżył jej zszarganym nerwom. Nie miała pojęcia, dokąd zmierza. Początkowo kierowała się do Mission Trails z ich sędziwymi dębami i sosnami oraz siecią drózek przecinających cieniste dolinki i piaszczyste wzgórza. Teraz po prostu jechała na wschód.

Incydent z pick-upem wyprowadził ją z równowagi. Usiłowała zapanować nad sobą, ale *tinnitus* – brzęczenie w uszach, które powracało do jej życia niczym fala przyboju – stawał się coraz bardziej nieznośny. “Kojąca muzyka – stwierdził jej ostatni lekarz – pomoże pani, kiedy powróci to dzwonięcie”. Doktor Eagleman wręczył jej kasetę z czymś zatytułowanym *Ocean zdrowia*, za co miesiąc później policzył sobie dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów. Nagranie sprowadzało się do odgłosów fal uderzających o brzeg, przeplatanych kiepską muzyką New Age, która pasowałaby do poczekalni lotniczej w jakimś małym miasteczku.

W schowku w drzwiach Tessa odnalazła *Ocean zdrowia*. Kładąc pudełko na tablicy rozdzielczej, wyciągnęła kasetę z okładki w niebieskie paski i pociągnęła za taśmę, która przy wtórze szumu obracających się rolek wylała się z plastikowej oprawki brązowym, błyszczącym strumieniem. Przyciskając kasetę do kierownicy, Tessa ciągnęła i ciągnęła, aż wyciągnęła wszystko.

Na widok taśmy, wijącej się na kolanach niczym spaghetti, wyszczerzyła zęby. A jednak okazało się, że *Ocean zdrowia* doktora Eaglemana posiada jakieś właściwości terapeutyczne – trzeba jedynie wiedzieć, gdzie ich szukać. Na wszelki wypadek rzuciła pustą kasetę na tylne siedzenie. Tak, teraz czuła się znacznie lepiej.

Honda civic wciąż gnała na wschód, zostawiając za sobą La Mesa i rozłożyste El Cajon. Tessa, którą podbudował ten drobny akt wandalizmu, zaryzykowała i włączyła radio. Z głośników popłynęła jakaś klasyczna muzyka – chyba Bach. Jej ojciec wiedziałby to na pewno. Oparła się wygodnie, postanawiając delektować się urokami jazdy. Szpitale, sale gimnastyczne i sklepy z meblami ustąpiły miejsca pawilonom samoobsługowym, sklepom z bronią i wywieszkom zapraszającym na wyprzedaż towarów. Autostrada przeszła w zwykłą dwupasmówkę, która zaczęła się wspinać na wzgórze Alpine.

Mimo że jechała siedemdziesiątką, wibrujące, metaliczne dzwonięcie przybrało na sile. Dźwięk ów zdawał się wypychać skórę na jej głowie, jakby chciał wydostać się na powierzchnię. Podkreśliła nieco Bacha i próbowała skierować myśli na odmienne tory.

O tej porze Mike Hollister powinien zjawić się u jej drzwi. Jakiż on był grzeczny! Z pewnością zapuka delikatnie, choć będzie wiedział, że przed nim uciekła. Tessa miała wyrzuty sumienia, gdyż bardzo lubiła Mike'a. Ten przykładny ojciec czteroletniej córki był miły w obyciu i podzielał jej zainteresowania iluminowanymi rękopisami. To dzięki nim się poznali: na wystawie średniowiecznych ksiąg kanonicznych, zorganizowanej przez Muzeum Sztuki w San Diego. Mike pracował tam jako kustosz. Kiedy Tessa sięgnęła po jeden z niedużych, oprawnych w skórę modlitewników, Mike upomniał ją, by nie dotykała eksponatów. Za karę musiała zjeść z nim obiad (a także z jego córką).

Tessa z uśmiechem na ustach pokonywała kolejne zakręty. Nie rozumiała, dlaczego czuje tak wielką potrzebę, aby z nim zerwać.

Droga omijała niektóre wzgórza, inne natomiast przecinała, wijąc się wzdłuż oszałamiających przepaści i wysokich, poszarpanych ścian skalnych. Zrobiło się bardziej stromo, musiała więc zredukować do trójki. Skrzynia biegów zazgrzytała i grymas bólu wykrzywił jej twarz: hałas w uszach wzmógł się znacząco, przypominając czyjeś przeraźliwe zawodzenie.

Dlaczego jej stan się pogarszał? Nie zrobiła nic, co mogłoby się do tego przyczynić. Od czasu przeprowadzki do San Diego (czyli od siedmiu lat) owo irytujące wrażenie dokuczało jej jedynie w chwilach, gdy musiała skupić na czymś uwagę, na przykład przy wypełnianiu deklaracji podatkowej lub przy próbie skopiowania skomplikowanego wzoru, który w jakiś szczególny sposób ją zaciekał.

Wzory były jej pasją: celtyckie ozdoby, kobierce z Bliskiego Wschodu, wiktoriańskie kafelki, rzymskie mozaiki – wszystko to, gdzie powtarzające się kształty tworzyły deseń. Za każdym razem, gdy napotkała jakiś złożony wzór, starała się go odrysować. Niemniej jednak w pewnym momencie zmudnej procedury – gdy tak ją pochłaniała praca, że zaczynała postrzegać sens ukryty za siatką przecinających się linii i rozumieć zamierzenia artysty – dzwonienie w uszach nieznacznie się nasilało. Delikatne, wyczuwalne dłońią tętno stanowiło ostrzeżenie. Już dawno zrezygnowała ze zbyt ambitnych przedsięwzięć. Podziwiała tylko wzory, co najwyżej wodząc bezmyślnie wzrokiem wzdłuż niektórych co ciekawszych konturów.

Szarpnęła kierownicą w lewo. Zamyśliła się i honda zaczęła zjeżdżać na prawe pobocze. Padające na asfalt cienie zawężyły drogę. Poniżej, w ciemnej dolinie, rósł świerkowy bór; wyglądał jak łożo nabijane gwoździami.

Brzęczenie wydostało się z uszu Tessy na zewnątrz i utworzyło jakby obręcz wokół jej czoła. Ta przeraźliwa migrena była tysiąc razy gorsza od zwykłego bólu głowy. Zagryzła wargi, lecz ani na moment nie odwróciła wzroku od czarnej wstęgi asfaltu.

Otaczał ją pierścień zieleni. Wzgórza i doliny były najeżone świerkami. Zarośla tłoczyły się wokół, jakby miały zamiar wdrzeć się na jezdnię. Choć od niemal dziesięciu lat nie

zapuszczała się “ósemką” tak daleko na wschód, pamiętała, że droga prowadzi środkiem Lasu Narodowego Cleveland. Sądząc z wyglądu drzew, musiała być blisko.

Znak po lewej stronie drogi witał przyjezdnych w Alpine. Pod nazwą miejscowości znajdowała się informacja o liczbie mieszkańców, lecz dla niej nie układało się to w żadną sensowną wartość. *Tinnitus* rozcinał umysł niczym obosieczny miecz.

Coś czerwieniło się na jej kolanach. Spoglądając na żalose szczątki taśmy magnetofonowej, ujrzała wolno wsiąkającą w materiał dżinsów kroplę krwi. Wierzchem dłoni przetrzała podbródek. Na skórze pozostały czerwone plamy. Musiała przegryźć wargę.

Nie ulegało wątpliwości, że powinna się natychmiast zatrzymać, na przykład zjeżdżając do jednej z utrzymanych w starym stylu przydrożnych knajpek z drewnianymi poddaszami i staroświeckimi szyldami, które oferowały świeże ciastka, gorącą kawę oraz chwilę wytchnienia. “Zażyj dwie tabletki tylenolu, rozmasuj obolałe skronie, zamknij oczy i poczekaj, aż ustanie hałas” – pomyślała.

Mimo wszystko postanowiła jechać dalej. Z każdą chwilą pogłębiała się przepaść między tym, co uznawała za konieczne, a tym, co robiła. Dzwonienie w uszach już nie tylko irytowało, ale wbijało się klinem, jakby chciało rozdzielić rozsądek od działania.

Honda przemknęła przez Alpine i zanurzyła się w porastające wzgórza lasy. Tessa podejrzewała, że *tinnitus* przejął od niej kierownicę. Brała ostro zakręty, z rajdową precyzją wymijała przyczepy kempingowe. Gaz, hamulec, zakręt. Nie miała doświadczenia wjeździe samochodem po tak stromych wzniesieniach, tymczasem zmieniała biegi ze zręcznością tutejszego mieszkańca. Kiedy jej oczy wypatrzyły zjazd, skrzyła bez wahania. Wycie syren targało na strzępy jej myśli, więc nie miała ochoty zastanawiać się nad swoim postępowaniem.

Jechała dalej. Po opuszczeniu dwupasmówki zagłębiła się w leśne ostępy. Asfalt zniknął, a zamiast niego pojawił się żwir, który ostatecznie ustąpił miejsca zwykłej ścieżce myśliwskiej.

Całe armie oklapniętych świerków blokowały dostęp promieni słonecznych i odcinały drogi ucieczki. Tessa nie miała wyboru – musiała brnąć głębiej w las. Kiedy zerknęła we wsteczne lusterko, drzewa zdawały się wychodzić na drózkę i zamykać ją w potrzasku.

Buczenie w skroniach stawało się nie do zniesienia. W oczach zakręciły się łzy. Co się z nią działo? Nigdy jeszcze hałas ten nie był tak dokuczliwy.

Na wprost ujrzała skupisko wierzb i dębów. Szerokie, przysadziste pnie wyglądały na schron otoczony zdyscyplinowanym wojskiem świerków. Wypatrzyła rozwidlenie ścieżki i bez namysłu skrzyła w stronę dębów.

Gdy tylko pograżyła się w cieniu, temperatura we wnętrzu pojazdu wyraźnie spadła, a widoczność tak zmalała, że południe zdawało się przechodzić w zmierzch. Zadrzała na widok ścieżki, która się rozszerzyła, zatoczyła półokrąg i gwałtownie urwała. Tessa zatrzymała hondę i zaczęła rozcierać skronie. Palcami wyczuwała szalone tętno. Musiała wysiąść.

Drzwi samochodu zaskrzypiały przy otwieraniu, co dodatkowo wzmogło *tinnitusa*. Przeżywała katusze. Przedzierała się między drzewami, nieświadoma celu swojej wędrówki. Niebo zasłaniał baldachim wierzb i dębów, które zdawały się rosnać tym ciaśniej, im więcej łąz napływało jej do oczu. Szła bardzo długo, gubiąc ścieżki i znajdując nowe, brnąc przez zarośla i wysoką trawę.

Ból głowy kierował nią niczym sznurek marionetką. Nogi zdążyły tam, gdzie rozum wcale nie zamierzał iść; oczy rozróżniały kształty, których nie potrafiła nazwać.

Straszliwy, nieznośny hałas przejął kontrolę nad Tessą McCamfrey. Przestała być dwudziestosześcioletnią kobietą, pracownicą Clairmont Telesales i posiadaczką mieszkania pozbawionego opieki i umeblowania. Była teraz dzieckiem, które pragnęło pocieszenia. Kiedy wspięła się na niewielkie wzniesienie i natrafiła na polanę, znalazła to, czego szukała.

Leżały w żółtej trawie między zeschniętymi krzakami, tworząc przeróżne kształty i wzory niczym klocki porozrzucane na podłodze w dziecięcym pokoiku: setki szarych pudełek. Wszystkie były otwarte. Ich zawartość ktoś poukładał w stosy, które gdzieśgdzie rozsypały się pod własnym ciężarem.

Gdy tylko je zobaczyła, hałasy umilkły.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Deveric, królewski doradca, uczony w starożytnych pismach i mistrz zapomnianych wzorów, pochylił się nad stołem i przycisnął rękę do piersi. Struzka ciemnej krwi sączyła mu się z nosa. Spływając wzdłuż jednej z głębokich zmarszczek, pokrywających całą twarz starca, kropelka dotarła do podbródka, skąd spadła na iluminację, której dotykał lewą ręką. Krew poplamiała zarówno manuskrypt, jak i skórę dłoni. Wróżbę tę mądry Deveric mógł zinterpretować tylko w jeden sposób: więcej wzorów nie namaluje, ten będzie ostatni, a równocześnie najlepszy.

Ślęczał nad nim pięć dni i pięć nocy, choć sędziwe oczy odmawiały posłuszeństwa. Początkowo nad drzeniem rąk panował, korzystając z narkotyków, później musiał zwrócić się o pomoc do asystenta. W tej jednej iluminacji zawarł wszystkie ze znanych mu wzorów. Nie pominął żadnej reguły, właściwym zestawem linii oddzielając wszelkie przeplatające się z sobą przejawy życia roślinnego oraz zwierzęcego. Wszystko – symetrie, powtórzenia kształtów i kolorów, zwierciadlane odbicia motywów i symboli – zostało dopracowane w najmniejszym szczególe.

Iluminację tę nasycił wielką mocą: wystarczającą, żeby pokonać magię Rozdziału. W tym pełnym zakamarków pomieszczeniu, gdzie szczątki wszystkich światów gromadziły się równie cicho i nieubłaganie, jak kurz na parapecie kominka, coś się poruszyło. Deveric czuł, że to rośnie; każde pociągnięcie piórem stanowiło wezwanie, przy każdym zwrocie zaostrej końcówki atrament ukazywał coś niezamierzonego. Wzory o takiej złożoności, że oko nie umiało ich ogarnąć, połączone z symbolami o tak dużej wymowie, że samo ich wykreślanie wydawało się świętokradztwem, przydawały iluminacji blasku. Nie chodziło tu wcale o światło, jak by sugerowała nazwa, ale o prawdę, moc i znaczenie.

Wzór, będący filigranową mozaiką pętli, kształtów i barw, był zarówno dziełem sztuki, jak i magicznym wytworem. A żeby go stworzyć, Deveric musiał zaprząć do pracy całą swą osobowość; jego serce, umysł i dusza wpisały się między linie.

Jakże stosownym wydawało się, by jego krew je oblała.

– Panie mój? – rozległ się cichy, niezdecydowany głos. – Panie mój, dobrze się czujesz?

Deveric usłyszał wszystkie słowa, zrozumiał ich znaczenie, lecz nie zdołał wykrztusić odpowiedzi. Sędziwe serce zabiło po raz ostatni. W momencie wykreślenia zamykającego znaku, w chwili ukończenia wzoru, serce pękło na dwoje.

Wypełnił swoją powinność, wyrysował fundament, na którym będzie można zbudować nadzieję. Świat ciepłych poranków i chłodnych wieczorów pozostał daleko za nim. W udziale

przypadło mu szczęśliwe życie: miał dzieci, wnuki i kochającą żonę. Gdyby tylko synowie byli nieco bardziej uprzejmi, o cóż więcej mógłby prosić?

– Panie mój! Zbudź się! Proszę, zbudź się!

Deveric uśmiechał się. Jego asystent, Emith – zacy człowiek, którego miłości i lojalności nikt nie kwestionował, który dwadzieścia dwa lata życia poświęcił służbie swemu panu – nie miał pojęcia, jaka moc została przed chwilą przywołana. Płatanina wzorów – pasemka rozwidlające się i z powrotem schodzące na całej powierzchni pergaminu, kształty ścigające się na krawędziach, nici niemal stykające się z sobą – stanowiła klucz całego zamysłu. Emith jednakże widział tylko linie.

Ból przeszył zwiotczały mięsień, stanowiący niegdyś serce Deverica. Będzie tęsknił za swym starym asystentem.

Teraz już mógł tylko żywić nadzieję, że ten końcowy wzór wchodzący w skład większej całości, nad którą pracował przez ostatnich dwadzieścia jeden lat, wypełni swoją misję: połączy tych, którzy zdołają pomścić potworne krzywdy i przywrócić ład. Tego dnia pewien człowiek zasiądzie na tronie w kraju po wschodniej stronie gór. W ciągu pięćdziesięciu długich lat w Garizonie panowało bezkrólowie – i nie bez powodu: dynastia władająca tym krajem niszczyła ziemię z bezmyślną pasją huraganu.

Nawet teraz ten, który miał zasiąść na tronie, kierował swój wzrok na zachód, choć Kolczasty Wieniec nie spoczął jeszcze na jego głowie.

Deveric wiedział, do czego dąży ów człowiek. Znał jego naturę.

Mętym wzrokiem policzył krople krwi, które ściekły z jego podbródka. Było ich pięć: trzy na pergaminie, dwie na dłoni.

Kiedy świat przysłoniła mu mgła, asystent zaczął biegać w kółko i biadać, a posłaniec pognął zawiadomić lekarza i rodzinę – Deveric zrobił ostatnią rzecz w życiu. Odwróciwszy dłoń wierzchem do dołu, wtarł w pergamin dwie krople jeszcze nie zakrzepłej krwi.

Stało się. Pięć kropel krwi na iluminacji. Pięć kropel krwi na wzorze zabarwionym złotem korony, błękitem morza i zielenią lasu.

Akty własności domów, akcje i obligacje, odznaczenia wojenne, świadectwa ślubu, nagrody dla pracowników miesiąca, dyplomy szkolne, książeczki adresowe, listy miłosne, listy z pogrozkami, rysunki dzieci, wsuwki do włosów, wyblakłe wstążki, zdjęcia, filmy wideo i kartki z życzeniami. Tessa siedziała na żółtej trawie w otoczeniu smukłych świerków, przeglądając zawartość skrytek depozytowych.

Papiery i zdjęcia, leżące na wierzchu stosów, wyblakły na słońcu. Te natomiast, które znalazły się na samym dnie, na ziemi, były mokre i pokryte niebiesko-czarną pleśnią. Ledwie je ujrzała, Tessa zrozumiała, z czym ma do czynienia: z depozytami skradzionymi z banku w Chula Vista. Szybko też zorientowała się, że wszelkie cenne przedmioty zostały usunięte. Nie znalazła żadnych klejnotów rodowych, biżuterii ani pieniędzy. Żadnej gotówki, monet, weksli czy złota. Pozostały wyłącznie papiery, książki i fotografie.

Przeglądając je, poznawała właścicieli tych drobiazgów.

Skrytka rodziny Sanchezów była świadectwem ich radosnego życia; cała piątka uśmiechała się do Tessy z fotografii z rodzinnych zjazdów, przyjęć zaręczynowych, spartakiad szkolnych i wakacji w Disneylandzie. Dosyć miła rodzinka z szerokimi czołami i prostymi ramionami. Ojciec spłacił drugą ratę za dom.

Skrytka Lilly Rhodes pachniała fiołkami. Wycinek z gazety głosił: DEBIUTANTKA SEZONU. Data wskazywała na zimę 1938 roku. Drugi wycinek mówił o jej mężu, pilocie myśliwca, który został zestrzelony nad kanałem La Manche w 1944 roku. Zdjęcie przedstawiało parę nowożeńców: ramiona Charlesa i Lilly dotykały się wzajemnie, kiedy pochylali się, by podzielić tort. Lilly wyglądała jak Rita Hayworth.

Gary Ubois już nie żył. W jego skrzynce znajdowała się kserokopia aktu zgonu. Był lekkoatletą. Dziesiątki zdjęć przedstawiały, jak się rozgrzewał przed wyścigiem, kuczał przy starcie, przebiegał linie mety, wznosił puchary przed małymi, ale rozentuzjasmowanymi grupkami sympatyków. Dno skrzynki zaścieniały równiutko ułożone świeczki urodzinowe. Było ich dziewiętnaście. Po jednej za każdy rok życia.

Tessa poczuła się jak szpicel. Podpatrywała, czytała, szukała i odrzucała, oglądając wszystko, co wpadło jej w ręce. Nie umiała nad sobą zapanować. Wiedziała, że postępuje niewłaściwie, lecz na widok kolejnego złożonego dokumentu, raportu bądź testamentu ogarniał ją szal "zdobywania wiedzy".

Ci ludzie stanowili teraz jej własność. Poznała ich stan cywilny, majątek, stopnie naukowe i wszystkie tajemnice.

Mijała godzina za godziną. Cienie zaczęły wypełniać polanę, ona jednak nie zauważała niczego, prócz świstków, które akurat trzymała w dłoni. Raz była detektywem badającym ślady, drugim razem dzieckiem szukającym łakoci. Natrafiła na małżonków, którzy mieli odrębne skrytki. On w swojej przechowywał wszystkie listy miłosne od żony, spięte atlasową wstążką; ona w swej umieściła zdjęcia wykonane polaroidem, które przedstawiały ją nagą obok innego mężczyzny.

Tessa jak w transie przyklekła przy ostatniej stercie, zawierającej głównie koperty, notatniki, kartki z życzeniami i wydruki komputerowe, czyli nic nadzwyczajnego. Stosowała się tylko do jednej zasady: jeśli koperta była zaklejona, nie zaglądała do środka (choć wiedziała, że to czysta hipokryzja). Skoro ktoś postanowił zabezpieczyć swą własność, nie dowierzając nawet bankowej rękojmi, szanowała jego życzenie.

Włamywacze i tak otworzyli większość z kopert. Te większe, które mogły zawierać biżuterię bądź gotówkę, zostały rozerwane, a ich zawartość – nerwowo rozgrzebana – wybrzuszała papier, podczas gdy taśma sklejjająca brzegi powiewała smutno na wietrze.

Ostatnia sterta została przeszukana nader skrupulatnie. Tessa przejrzała raport ze sprzedaży, świadectwo adopcji z dołączonym kompletem dokumentów, zbiór przyklejonych do jasnożółtych kartoników much wędkarskich i kilka starych czasopism z młodymi



aktorkami z lat pięćdziesiątych, ubranymi w stroje kąpielowe i pierzaste boa. Zabawne, co też cenią sobie niektórzy ludzie. W całej tej przyźnie szpargałów tylko jedna koperta wydawała się nietknięta: duża, szara, wciśnięta między kartoniki z muchami a dokumenty adopcyjne. Podświadomie czuła, że tę kopertę coś wyróżnia od reszty papierów. Była niezwykle krucha, i delikatnie zabarwiona.

Rozejrzała się wokół, sprawdzając najbliższe pudełka. Nie dało się jednak ustalić, z której skrytki pochodziła.

Przy powtórnych oględzinach dostrzegła w prawym górnym rogu, tam gdzie powinien znajdować się znaczek, rozmazany odcisk kciuka. Podobny odnalazła na wycinkach z gazet Lilly Rhodes i rodzinnych fotografiach Sanchezów. Ślad ten mógł zaprowadzić do złodzieja. Człowiek, który pootwierał te skrytki i przetrząsnął ich zawartość niczym poszukiwacz wypłukujący złoto w strumieniu, pobrudził palce atramentem wszystkich dokumentów, jakie wpadły mu w ręce. Pocąc się na myśl o ukrytych skarbach, pozostawił na papierach świadectwo swojej zbrodni.

Dłonie Tessy były suche i chłodne.

Gdy przyglądała się papierowi, zerwał się wiatr i unióśł skrzydełko pokrytej starym klejem koperty. Westchnęła ze zdziwienia. Ktoś ją jednak otwierał!

Chwyliła za rogi i potrząsnęła, lecz nic nie wyleciało. Rozczarowana, włożyła palce do środka i zajrzała. Koperta była pusta. Mimo to coś się nie zgadzało. Zważyła papier na dłoni: jeden z narożników nieznacznie ciążył ku dołowi.

Ogarnęła ją euforia. Rozdarła kopertę na dwie części. Papier poddał się z dziwnie dźwięcznym odgłosem, podobnym do grzechoczących na dnie słoika szklanych paciorków. Po odrzuceniu jednej części zajrzała do wnętrza drugiej. Promienie popołudniowego słońca zdołały jakoś dotrzeć na samo dno.

Na pierwszy rzut oka nie było tam niczego prócz zwyczajnych bruzd i pofałdowań. Patrząc jednak uważniej, można było zauważyć dziwnie nabrzmiałe dno, jakby coś się pod nim chowało.

Serce Tessy zabiło żywiej. Po raz drugi rozdarła kopertę, tym razem przez środek. Coś rozbłysło złotym światłem i na jej udzie wylądował dość ciężki – jak na swoje niewielkie rozmiary – przedmiot.

Był to pierścień utworzony z przeplatających się złotych nici, tworzących niezwykle skomplikowany wzór. Ugrzązł tak głęboko w narożniku koperty, że uszedł uwagi złodziei.

Tessa podniosła błyskotkę. Dokładniejsze oględziny wykazały, że nici są zaopatrzone w kolce. Pierścień stanowił miniaturowy zwój kolczastego drutu, splątanego niby kłębowisko zamroczonych dymem węży; co ciekawe, nie odbijał światła, lecz je rozpraszał! Tessa zamrugała. Z niemalym trudem skupiła uwagę na zawitym wzorze. Kiedy chłodny podmuch zachodniego wiatru poruszył gałęziami drzew, była gotowa do działania. W głębi duszy tego oczekiwała.

Coś się chowało wewnątrz tych, złotych zwojów; gdyby tylko zdołała zapanować nad sobą i skoncentrować uwagę na pierścieniu, z pewnością by to coś odkryła.

Usłyszała ciche brzęczenie, niepodobne do poprzedniego wysokiego, drażniącego jazgotu; przypominało raczej szum muszli trzymanej przy uchu.

Bawiła się pierścieniem. Złoto wiło się i przeplatało bez początku i końca. W jej posiadaniu znalazł się niewątpliwie starożytny klejnot, ale nie miała pewności co do epoki i stylu, w jakim go wykonano. Jego wygląd przywodził na myśl orientalne wzorce, lecz przeplatające się nici wskazywały raczej na Celtów. Samo wykonanie zapierało dech w piersiach: pierścień musiał być arcydziełem wielkiego mistrza w złotnictwie.

Zastanawiała się, jak będzie się prezentował na dłoni (i czy w ogóle wejdzie na jej palec).

Ukojona dźwiękiem morskich fal i romantycznym widokiem ostatnich promieni słońca, rzucających długie cienie na polanę, postanowiła przymierzyć pierścień. O godzinie piątej po południu, w piąty dzień piątego miesiąca w roku, Tessa McCamfrey uniosła dłoń i wsunęła złotą błyskotkę na palec.

Nie czuła ukłucia kolców, dopóki pierścień nie znalazł się na właściwym miejscu. Złoto, ślizgając się po skórze (miała wrażenie, że pieści ją chłodna dłoń), swobodnie minęło paznokiec i kostkę, aż znalazło się u szerszej podstawy palca. Dopiero wtedy pokazało zęby. Tessa poczuła lekkie ukłucie, później następne, następne i następne. Po chwili ciernie wpiły się boleśnie w ciało. W jakiś dziwny sposób kolce – dotychczas zwrócone na zewnątrz – skierowały się do środka.

Nigdy dotąd nie czuła podobnego bólu. Przeszył ją dreszcz, jakby bosą stopą stanęła na zimnej posadzce lub włożyła rękę pod strumień wrzącej wody. Ale nie tylko. Przypomniły jej się średniowieczne zapiski mówiące o wyrafinowanym, oświecającym bólu. Straciła oddech, wpadła w niezwykle uniesienie, zapadała się coraz głębiej i głębiej. Świat zaczął się kurczyć i oddalać.

Szum morza brzmiał coraz intensywniej, światło mrugało i gasło. Gdy pięć złotych kolców wyłobilo na kości swoje tajemnice, krew koronkowym wzorem pokryła bladą jak prześcieradło skórę.

Ravis nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że spóźnił się na statek do Mizerico. Nie należał do ludzi, którzy nadużywają czyjejś gościnności. Sypiał krótko. Dlaczego zatem zasnął, budząc się dwie godziny po świcie? I – co ważniejsze – dlaczego “Czterolistna Koniczynka” zdecydowała się wypłynąć bez niego? Zagryzając spękaną wargę, przeniósł wzrok z pustego nabrzeża na otwarte morze. Jeszcze dzisiaj powinien opuścić to miasto.

Po chwili wpatrywania się w błyszczące, błękitne wody Zatoki Obfitości, wysledził ciemną cętkę na widnokręgu: “Czterolistną Koniczynkę”. Miał już nigdy nie zobaczyć swego statku.

– Nie dziw się, panie Ravisie – odezwał się robotnik portowy, przerywając tok jego myśli. – Chyba sądzili, że mają pana na pokładzie. To się często zdarza.

Obcy wydał mu się podejrzany z dwóch powodów: po pierwsze – co robił na nabrzeżu w godzinę po odplynięciu statku? Po drugie – skąd znał jego imię?

Ravis oderwał zęby od wargi i zapytał niechętnie:

– Widziałeś się może z zarym kapitanem tego okrętu?

Robotnik rozpromienił się, ukazując bogatą kolekcję kształtów, kolorów i szczerb.

– A jakże, panie. Jednak obaj znamy kapitana Crivita – nie gawędzi z ludźmi mojego pokroju.

Ravis znał Crivita, który – chociaż rzeczywiście nie lubił wdawać się w dysputy z takimi ludźmi, jak ten tu nieznamy – często płacił im za milczenie. Robotnika czuć było przednim beriakiem, jak też tłoczonym w górach i leżakowanym w dębowych beczkach trunkiem, który sprzedaje się w tawernach po dziesięć srebrników za kielich. Wątpliwe, czy ten prosty robotnik mógł zarobić tyle przez dwa tygodnie.

Ravis sięgnął pod wyświechtany, skórzany płaszcz i wydobył monetę. Popatrzył na nią uważnie, po czym wrzucił do wody. Srebro zamigotało w powietrzu i znikło w granatowej głębinie portu. Zadowolony z efektu, powtórzył tę czynność. Robotnik portowy obserwował go z rosnącym zdumieniem. Kiedy pod wodą znikła trzecia moneta, nie wytrzymał:

– Panie, skoro już uparłeś się wyrzucać pieniądze, obierz sobie za cel jakiegoś ojca rodziny, a nie morskie odmęty.

Ojca rodziny? Ravis znów zagryzł wargę. Siląc się na cierpliwość, wyrzucił czwartą monetę.

– Szukam prawdy, przyjacielu, i mam nadzieję, że morska starucha rozwieje moje wątpliwości.

Na przyszczatej twarzy robotnika pojawił się wyraz zrozumienia.

– Morska starucha miała dziś sporo pracy z falami, panie. Wątpię, czy widziała coś ciekawego.

Kolejna moneta powędrowała do wody.

– Ach, tak? A kto opiekował się zatoką podczas jej nieobecności, może ty?

– I owszem, panie.

Następna moneta poleciała w stronę robotnika, który złapał ją chciwie, niczym jaszczurka muchę. Jak na kogoś, kto śmierział winem, miał doskonały refleks.

– Wobec tego, przyjacielu, co właściwie słyszałeś?

Robotnik, sprawdzając, przygryzł monetę zanim przemówił.

– Kapitan wiedział, że nie ma cię na pokładzie.

– Mów dalej! – Ravis ponaglił go jeszcze jedną monetą.

– Nikt nie miał pojęcia, gdzie się znajdujesz. Kapitan rozkazał przeszukać okręt, a skoro nie znaleźli po panu śladu, podniósł kotwicę i wypłynął w rejs.

Wszystko się wyjaśniało. Crivit go jednak szukał. A zatem poczciwy kapitan naprawdę nie wiedział, gdzie przebywa, co wykluczało sztuczki z proszkiem nasennym w winie, lecz nie stało w sprzeczności z możliwością skorzystania z nadarżającej się okazji.

– “Czterolistna Koniczynka” wypłynęła o czasie?

– Punktualnie co do minuty.

Ravis odchrząknął gniewnie. Cały jego dobytek, broń i dochody z trzech ostatnich lat odpłynęły w stronę wschodzącego słońca. Trzymając się skrupulatnie harmonogramu rejsów, Crivit zgarnął niezły kasek.

– Czy ktoś zaproponował, żeby zaczekać z podniesieniem kotwicy do mojego przybycia, albo wysłał ludzi do miasta, żeby mnie szukali? – Ravis rzucił przyszczatemu trzeciego srebrnika, którego ten z gracją złapał.

– Oficer pokładowy chciał posłać kogoś do tawerny, ale kapitan powiedział, że nie ma na to czasu. Upierał się, że fale są coraz większe i jak tak dalej pójdzie, to statek w ogóle nie wypłynie, tylko utknie w porcie na kolejny dzień.

Ravis parsknął cicho. Fale były najlepszymi przyjaciółkami kapitana i najczęstszą wymówką. Crivit dokonał kradzieży w majestacie prawa. Ravis miał świadomość, że nie ujrzy już swojego mienia. Zaginie na morzu, padnie łupem korsarzy, zniszczy je słona woda lub pożrą zachłanne rekiny. Kapitan chował w zanadru sporą kolekcję mało przekonujących wyjaśnień.

Ravis kopnął w zmurszałe, pokryte ptasimi odchodami drewno pomostu. Jak to się mogło stać? Jeszcze nigdy nie zasnął. Wiele razy faszerowano go narkotykami, ale w tym przypadku wykluczył taką możliwość – jego głowa i żołądek w mgnieniu oka rozpoznałyby ich działanie. Musiało jednak istnieć jakieś logiczne rozwiązanie tej zagadki. Nikt go nie uderzył, nie związał, nie uwiodła go też kobieta, przy której mógłby się zapomnieć w miłosnym upojeniu. Nie napotkał żadnych przeszkód, nie czuł się wyczerpany. A jednak spóźnił się na statek, na którego pokładzie miał wreszcie opuścić ten skrawek ziemi.

Spoglądając przez ramię w stronę zamglonych, szarobłękitnych zabudowań miasta, potrząsnął głową z niedowierzaniem. Czyżby godziny Bay’Zell były już policzone?

– Panie – przerwał ciszę robotnik portowy, beznamiętnie zwijając linę cumowniczą. – Jeśli potrzebujesz miejsca na nocleg, zanim następny statek odbije na południe, z chęcią powitam cię w moich niskich progach.

Ravis zbył tę propozycję machnięciem ręki.

– Wątpię, czy stać mnie na twoje stawki, przyjacielu. Każdy, kto popija przy śniadaniu bierak, z pewnością zażąda ode mnie wygórowanej zapłaty. – Pokłoniwszy się nieznanemu, ruszył kładką w stronę nabrzeża. Prawda była taka, że pieniędzy miał jak na lekarstwo. Nie musiał ważyć sakiewki w dłoni, aby się przekonać, że w porównaniu ze złotem zawiera o wiele za dużo srebra, którego zasoby zresztą uszczupliły się znacznie za sprawą desperackiego aktu, jakim było wrzucanie monet do wody.

No cóż. To go nauczy rozwagi. Wprawianie w podziw robotników portowych pokazami nonszalancji kosztowało zbyt drogo w stosunku do czerpanej z tego przyjemności. Musiał teraz stawić czoło kilku poważnym problemom.

Ugrzązł w mieście, gdzie bez większych ceregieli wskazano by mu drogę na szubienicę, gdyby wyszło na jaw, kim jest i co zrobił. Ledwie starczyło mu pieniędzy, by kupić milczenie strażnika bramy. Poza tym sto pięćdziesiąt mil na południowy wschód, gdzieś wśród wzgórz Miserico, w pachnących jaśminem pokojach, których okna wychodziły na południe, czekała piękna dama, licząc dni do jego powrotu. Bez wątplenia będzie musiała dodać kilka dni więcej, jakkolwiek nie należała do kobiet, które dobrze znoszą liczenie i czekanie.

Tak czy inaczej, nie miał powodów do zadowolenia. Za kilka godzin tego samego dnia po drugiej stronie Gór Działowych Izgard z Garizonu zasiądzie na tronie. Póki co mieszkańcy Bay'Zell, najpiękniejszego portu i najdalej na północ wysuniętego miasta w Raize, mogą sądzić, że to ich nie dotyczy. Fatalna pomyłka! W ciągu ostatnich dziesięciu lat Izgard nic innego nie robił, tylko planował zdobycie dwóch rzeczy: Kolczastego Wieńca i wszystkich krain odgradzających Garizon od morza.

Życie w Bay'Zell może pewnego dnia stać się nieco uciążliwe. Ravis nie zamierzał tu przyjeżdżać, kiedy tak się stanie.

Spacerując wzdłuż portowych budynków, starał się nie zwracać uwagi na straganiarki wyciągające ości ze śledzi i na pijaczków trzeźwiejących w cieniu. Na widok codziennego życia w tym mieście czuł się nieswojo. Kiedy podmuch wiatru rozwiał mu włosy, zaczesał je do tyłu, jakby były natarczywymi muchami.

Cóż, na wszystkich czterech bogów, miał teraz uczynić?

– Ach! – W przejrzystym wiosennym powietrzu rozległ się wrzask.

Ravis odwrócił głowę w stronę, skąd doleciał krzyk. Znajdowała się tam wąska uliczka między dwiema karczmami. Dobrze znał tę okolicę. Za jednego srebrnika prostytutki zabierały w to miejsce swoich klientów. Dopiero dwa srebrniki gwarantowały łóżko.

– Precz ode mnie!

Ravis zamierzał już iść swoją drogą – dość miał kłopotów bez mieszania się w niebezpieczny świat alfonsów i ich stawek – kiedy krzyk rozbrzmiał ponownie. Uderzył go obcy akcent w głosie wołającej kobiety. Może i była dziwką, ale na pewno nie tutejszą. Nigdy jeszcze nie zetknął się z podobnym akcentem – ochrypłym, rytmicznym i w dziwny sposób zniewalającym. Mimo wysiłków nie umiał go rozpoznać.

Z uliczki dobiegło zduszone jęknięcie.

Wsluchując się w ten głos, spoglądał na morze. Co za dzień! Po raz pierwszy w życiu zaspał i spóźnił się na statek, a teraz, gdy powinien natychmiast skontaktować się z jedynym człowiekiem, który zdoła mu pomóc, postanowił zrobić coś wielce lekkomyślnego.

Skreślił. Przeszedł na drugą stronę brukowanej ulicy i namacał rękojeść noża. Uczynił to płynnym, wyćwiczonym ruchem. Od siedmiu lat za każdym razem, gdy wchodził do

karczmy, burdelu, prywatnego mieszkania czy pałacu, kładł rękę na trzonku noża. Owego pamiętnego dnia, kiedy jego warga została przecięta, wiele się nauczył.

Zagłębił się w uliczkę, gdzie zakryły go cienie. Jego oczy potrzebowały chwili, aby przyzwyczać się do ciemności, lecz ciało przystosowało się szybciej niż wzrok. Nóż wyskoczył z pochwy. Klingę– ostrzoną każdego ranka przed myciem i goleniem – skierował do góry. Pokryte krętymi zawijasami ostrze ciemne było od kwasu.

Na końcu uliczki sylwetki trzech postaci utworzyły trójkąt. Dwóch opasłych mężczyzn i kobieta przyciśnięta plecami do ściany.

Ravis rzucił się naprzód, wymachując nożem. Stał ze świstem cięła powietrze. Na spotkanie wyszedł mu większy z dwójki mężczyzn, uzbrojony w broń istanijskiego najemnika: miecz o krzyżowej, osadzonej na trzpieniu gardzie.

Ravis zrobił unik w lewo – po to tylko, by sprawdzić refleks nieprzyjaciela. Kiedy odwrócił się, przenosząc ciężar na lewą nogę, poczuł ostry zapach dochodzący z pobliskiej garbarni. Dostokiem w to samo miejsce, które przed momentem opuścił, zupełnie zmylił przeciwnika. Ostrze noża popłynęło w kierunku odsłoniętego boku napastnika.

Kiedy materiał istanijskiej tuniki pokrywał się krwią, Ravis oceniał zagrożenie, jakie stanowił dla niego drugi z uczestników burdy. Potężnym kopniakiem przewrócił rannego, po czym zwrócił się w stronę muru, ślizgając się na błocie. Ujrzał mężczyznę ze świeżymi, krwawymi pręgami na policzku. Ktoś musiał niedawno rozorać paznokciami jego złuszczone, skrofuliczną skórę.

Ravis zastanawiał się, czy nie ozdobić mu drugiego policzka w ten sam sposób, lecz tym razem nożem. Odrzucił jednak tę myśl: o wiele bezpieczniej za cel obrać gardło.

Nie tracąc czasu, wykonał serię szybkich, instynktownych ruchów. Leżącemu na błocie wymierzył kilka dodatkowych kopniaków w zraniony bok, po czym runął na tego, który wciąż czekał na swoją kolejkę. Zaczął od chłasnienia w ramię. Potem rozpoczął się taniec, w którym był mistrzem. Ravis wykonywał tylko konieczne ruchy, nic ponadto. Żaden skok nie poszedł na marne, żadne pchnięcie nie minęło się z celem. Ciężkie, wielogodzinne ćwiczenia musiały wydać owoc.

Rzecz jasna, brał udział w o wiele bardziej spektakularnych rewiach, ale w mroku ciasnej uliczki, położonej daleko od północnej przystani Bay'Zell, wobec dwójki napastników i audytorium złożonego z jednej osoby, wszelkie popisy nie miały sensu. Ravis nie widział korzyści, jaką mogło mu przynieść marnowanie talentu w mroku zaułka.

Kiedy wyszarpnął nóż z kruchej kości ramienia przeciwnika, trząsł się i z trudem łapał oddech. Skrawek skóry i tkanki mięśniowej ześliznął się po tłustej powierzchni skórzanego płaszcza. Odwracając się do trzeciej osoby, której obecność zeszła na dalszy plan w czasie bójki, starał się uspokoić i wyrównać oddech. Nawet w ciemności wołał nie okazywać słabości.

– Jesteś ranna, pani? – Być może kobieta nie zasłużyła na ów grzecznościowy zwrot, lecz Ravis zdążył poznać wystarczająco wiele prostytutek, by wiedzieć, że niektóre mają lepsze maniery od dam urodzonych na dworze.

Wiotka z wyglądu kobieta przyłgnęła do muru. Nic nie mówiła. Gra cieni błakających się po jej ciele ukazała, że ubrana była w nadzwyczaj niecodzienny sposób. Na bogów! Nosila męskie bryczesy!

Ravis szyderstwem postanowił odwrócić jej uwagę od swojego zmęczenia:

– Czekasz na karnawał, pani, czy też twój ostatni klient miał ochotę na chłopca?

– Co to za miejsce?

Ravis zdziwił się gniewnym tonem, jakim zadała to pytanie. Większość z prostytutek po mistrzowsku opanowała szermierkę inwektywami. W dodatku ten niezmierny akcent: miękki, nieco drażniący. Spróbował jeszcze raz:

– Ktoś odurzył cię narkotykami, a potem zaciągnął w to miejsce?

– Gdzie ja jestem? – Kobieta niemal krzyknęła. Sfrustrowana, wystąpiła na rozjaśniony mdłym światłem środek uliczki.

Ravis zagryzł bliznę na wardze. Jej włosy o głębokim, miodowym odcieniu połyskiwały lekko, a ciemne oczy ciskały błyskawice.

– Jeśli nie masz zamiaru wyjaśnić mi, gdzie jestem, nie zostawiasz mi wyboru. Będę musiała poszukać kogoś innego. – Przeszła ponad ciałem leżącego napastnika. – A tak przy okazji, dziękuję, że uratowałeś mi życie.

Ravis z trudem zdołał powstrzymać się od śmiechu. Ogarniały go coraz większe wątpliwości. Żadna ze znanych mu prostytutek nie zachowywała się, nie wyglądała ani nie mówiła tak jak ta tutaj. Ktoś musiał ją tu przyprowadzić bądź to nieprzytomną, bądź też z opaską na oczach. Chwycił ją za rękę.

– Tu niedaleko jest przystań.

Kobieta wyrwała się z jego uścisku.

– Jaka przystań? Co to za miasto? Dlaczego wyglądasz, jakbyś grał w filmie? I dlaczego mówisz jak... – usiłowała dobrać właściwe słowo – jak pirat?

Tego było za wiele. Ravis wybuchnął śmiechem. Długotrwałym, rubasznym śmiechem, od którego sprzączki jego płaszcza groziły pęknięciem. Kobieta spoglądała na niego z nie ukrywaną złością. Zauważył, że mimo wszystko nie ruszyła się z miejsca. Po chwili uspokoił się na tyle, by wykrztusić:

– Przezywano mnie na różne sposoby, pani, w wielu odległych miastach, ale z piractwem jakoś nikt mnie nie skojarzył. Musiałbym mieć statek, ale biorąc pod uwagę raczej żalony przebieg dzisiejszego poranka, tego mi właśnie brakuje.

Nie zważając na te słowa, kobieta rzekła zmienionym tonem:

– Proszę, powiedz mi tylko, gdzie jestem. – W jej głosie dało się wyczytać znużenie.

Ravis dostrzegł strużkę krwi, sączącą się powoli ze środkowego palca jej prawej dłoni. Zranił ją pierścień z misternie skręconego kruszcu. Złote, przeplatające się nici tworzyły dziwnie znajomą mozaikę. Gdzieś w zakamarkach jego duszy rozległo się niepokojące brzęczenie.

– Znajdujesz się w Bay’Zell, w królestwie Raize.

– Bay’Zell? W jakim to języku?

– Ależ pani, Bay’Zell to starożytne miasto. Jego nazwa wywodzi się z tak zamierzchłych czasów, że wołę o tym teraz nie myśleć. – Ravis spojrział na ciała leżących mężczyzn. – Lepiej zmykajmy stąd, i to zaraz.

– Dlaczego?

– Zabiłem dwóch ludzi, to chyba wystarczający powód? Co prawda nie wiem, skąd się wzięłaś w tym mieście, ale zapewniam cię, że tu obdzierają ze skóry za mniejsze przewinienia.

Ravis powtórnie chwycił kobietę za rękę, tym razem jednak nie pozwolił jej się wyrwać. Wynurzyli się ostrożnie z zaułka, rozglądając się po przystani w poszukiwaniu przypadkowych świadków. Wszyscy – handlarze ryb, pijaczkowie, przechodnie, robotnicy portowi – patrzyli ostentacyjnie na morze. Znaczyło to, że sprawy przedstawiają się gorzej, niż wcześniej przypuszczał. Ludzie wiedzieli, co wydarzyło się w ciemnej uliczce i próbowali – z mizernym rezultatem – udawać, że nie mają o niczym pojęcia. Poczciwa społeczność Bay’Zell znana była z wielu przymiotów, jednakże trzymanie języka za zębami do nich nie należało.

– Patrz w ziemię – syknął ostrzegawczo, ustawiając się tak, by własnym ciałem ochronić ją przed ciekawskimi oczami. Jego imię było dość dobrze znane, kobieta jednak miała szansę uniknąć rozpoznania.

– Dokąd mnie zabierasz?

– Pani, jak na kogoś, za kim wkrótce ruszy pogoń, zadajesz zbyt dużo pytań. – W normalnych okolicznościach Ravis napawałby się tą ciętą odpowiedzią, ale teraz nie miał nawet pojęcia, gdzie powinien się schować. Wiedział tylko jedno: musi uciekać.

W czasie biegu kobieta szamotała się i wrywała. Ravis zacisnął mocniej palce. Nie puści jej tak łatwo. Nie po to ją ratował, żeby mu się wymknęła. Obcy akcent, nieznamość geografii i pierścień, którego złote zwoje przyciągały wzrok jak magnes – to zaledwie niektóre z detali, które go zaintrygowały.

Obrał kurs na główne nabrzeże. Rzędy smukłych statków, labirynty olinowania oraz cała flota ulicznych i krzątających się kupców tworzyły idealne warunki, by rozpląnąć się w tłumie. Oczywiście kobieta w spodniach nie ułatwiała ucieczki. Wzruszył ramionami. Miasto portowe Bay’Zell nie takie widoki już podziwiał.



Kiedy zbliżyli się do pomostu, przy którym niedawno cumowała “Czterolistna Koniczynka”, zauważył znajomego robotnika portowego. Mężczyzna siedział na falochronie, kołysząc nogami nad wodą i trzymając w dłoni odkorkowaną flaszkę.

– Hej, ty! – krzyknął w jego kierunku.

Doker podniósł głowę, popatrzył z ukosa i położył dłoń na piersi.

– Ja?

– Tak, ty! – Ravis ponaglił go machnięciem ręki.

Wlewając w gardło ostatnią kroplę trunku, mężczyzna podniósł się ociężale. Miał na sobie pstre, kolorowe szaty, jakby grał rolę żebraka w teatrze... Zielone, lniane bryczesy łopotały mu wokół łydek, a płaszcz wykonany z worka na mąkę został przewiązany w pasie prostym sznurkiem. Dreptał różnym krokiem z przygarbionymi ramionami i plecami, przez co przypominał staruszka. Kiedy jednak ujrzał kobietę, która stała za Ravisem, dotknął czoła z przesadnym szacunkiem.

– Dzień dobry, panienko – powiedział i powiódł wzrokiem po jej spodniach.

Nieznajoma otworzyła usta, chcąc odpowiedzieć, ale Ravis wpił jej ostrzegawczo paznokcie w ramię.

Z oddali nadpłynął przytłumiony krzyk, któremu wnet zaczęły wtórować inne głosy. Ravis podejrzewał, że znaleziono ciała zabitych. Nie było ani chwili do stracenia. Odwrócił się do dokera.

– Wspomniałeś wcześniej, że mogę się u ciebie zatrzymać, dopóki następny statek nie odpłynie na południe. Jeśli to prawda, chodźmy.

Robotnik ruchem podbródka wskazał kierunek, skąd dobiegały krzyki.

– Trochę wam spieszno, co?

Ravis tracił cierpliwość. Chwycił za sznurki zwisające z płaszcza dokera.

– Prowadź albo cię zaraz wypatroszę, a flaki rzucę na żer mewom.

Kobieta wstrzymała oddech. Mężczyzna skinął głową.

– Zgoda – mruknął. – Skoro tak sprawy stoją, proszę za mną, panie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Camron skończył pisać list i oparł się wygodnie na krześle. Bolała go głowa, a w myśli wkradł się nieład. Zaciśniętą pięścią uderzył w stół. Jakkolwiek by na to nie patrzeć, ojciec otrzyma cios w plecy.

Berick z Thornu był wielkim i szlachetnym człowiekiem, każdy to wiedział. Czasem jednak Camronowi wydawało się, że jego ojciec jest zbyt wielki i zbyt szlachetny. Polemika z legendą to ciężkie zadanie. Wziął głęboki oddech, potem rozluźnił palce. Starał się przekonać samego siebie, że czyni słusznie.

Mógłby wyjechać bez ostrzeżenia; pogрузić się w ciemnościach niby przemytnik wiosłujący pod prąd. To nie było jednak w jego stylu. Między niezgodą a zdradą istnieje ogromna różnica. Uśmiechnął się pod nosem z odrobiną goryczy. Prawdopodobnie tkwiło w nim więcej z ojca, niż wcześniej przypuszczał.

Myśl ta nie dawała mu spokoju. Wstał i podszedł do okna, by odsunąć okiennice. Wyjrzał na zewnątrz, rozglądając się za czymś, co mogło odwrócić jego uwagę. Na zachodzie błyszczały światelka Bay'Zell i na nich skupił swój wzrok. Nie zauważył, że wciąż trzyma w ręku pióro i że jego ostra końcówka wbija mu się w nogę.

List był właściwie gotowy – wymagał jedynie podpisu. Camron wyobraził sobie ojca przy czytaniu: przybliży pergamin do oczu tylko na taką odległość, na jaką pozwoli mu duma, a napięte ścięgna nadgarstków z trudem będą trzymać list nieruchomo. Tylko Camron wiedział, ile wysiłku kosztowało Bericka panowanie nad drżeniem rąk.

Myśląc o bohaterstwie ojca – straszliwej sile jego woli, która obecnie kierowała się wyłącznie na powstrzymanie niedowładu ogarniającego kończyny – Camron postanowił doręczyć list osobiście. Była to jego powinność.

Wrócił do dębowego biurka, chcąc zamoczyć pióro w atramencie. Na końcówce skrzyła się kropla krwi. Wzruszył ramionami i zanurzył piórko w srebrnym kałamarzu: czerwony paciorek przybrał teraz czarną barwę. Powolnym ruchem umieścił swój podpis. Camron z Thornu. Nader formalny podpis, ale taki właśnie pasował do listu, zawierającego pożegnalną formułkę i streszczenie najbliższych celów.

Cierpkie słowa padły dużo wcześniej. Słowa, po których wciąż – choć upłynęły godziny – rumienił się na twarzy. Kochał swego ojca, lecz pewne rzeczy zostały powiedziane i ultimatum postawione, od czego nie było już powrotu.

Zeskrobał nieco laku z kostki i pełną łyżeczkę przytrzymał nad płomieniem świecy. Związki siarki i roślinne barwniki nadadzą pieczęci niepowtarzalnego, purpurowego odcienia.

Będzie to kolor żył rozciągniętych na kości. Poza Camronem i jego ojcem tylko jedna osoba na całym kontynencie pieczętowała listy lakiem o podobnym zabarwieniu.

Kiedy uniósł się dym, a w łyżeczce powstała ametystowa ciecz, wylał całą zawartość na list. Potem wyciągnął ze skrzyneczki pieczęć i odcisnął swój stempel. Na koniec, gdy lak zaczął twardnieć, paznokciem wyrył literę C. Na widok tego niezgrabnego inicjału zmarszczył brwi. Od lat nie pieczętował w ten sposób listów. W dzieciństwie, zanim pozwolono mu używać rodzowego zestawu kolorów, literą C podpisywał wszystkie listy. Ojciec nalegał, żeby tak robił, mówiąc, że chce się upewnić, iż w pierwszej kolejności będzie czytał listy od syna.

Camron zaczesał dłońmi włosy. Przymknął na chwilę powieki i spróbował odzyskać spokój ducha.

Bezskutecznie. Od ojca zaczęła go dzielić wielka przepaść, odmiennie patrzyli na świat. Berick sprzeciwiał się wyprawie przeciwko królowi Garizonu. Zamierzał przyglądać się bezczynnie, co z tego wszystkiego wyniknie. Camron szanował poglądy ojca, lecz w tym przypadku nie przyznawał mu racji. Takim ludziom, jak Izgard z Garizonu, nie wolno się tylko przyglądać; należy ich tępić, gdyż w przeciwnym wypadku oni pozbędą się ciebie.

Camron usłyszał stłumiony odgłos tłuczonej porcelany. Któryś ze służących musiał upuścić tacę. Dźwięk ten wyrwał go z zadumy. Chowając list między poły bordowego płaszcza, udał się w stronę schodów prowadzących do komnaty ojca.

Zamek Bess wznosił się na morskim wybrzeżu na południowy wschód od Bay'Zell. Niczym krab usadowił się między skałami i zatoczkami: był posepny, tajemniczy i potężnie obwarowany. Nie mógł się równać urokiem z pałacem w Runzy. Brakowało mu ogrodów, fontann, gustownych fasad, dziedzińców, altanek i ostrokołów. Zamiast tego oferował kamienne mury o grubości dziesięciu kroków i fundamenty sięgające dna piekieł. Zaczysko, wzniesione w samym sercu królestwa Raize, wyszło spod ręki władców Garizonu. Tuzin mu podobnych wybudowano wzdłuż całego wybrzeża.

Dwukrotnie Garizon podbijał i okupował Raize. Po raz pierwszy pięć stuleci temu, w czasach mroku i chaosu, które nastąpiły po upadku istanijskiego imperium. Po raz drugi trzysta lat później, gdy zaraza gnębiła świat. Przed pięćdziesięciu laty też wyciągnął swe chciwe ręce.

Wówczas Berick z Thornu, ojciec Camrona i człowiek, którego miał zamiar pozostawić sam na sam z rękoma szczupłymi niczym patyki i skórą cieńszą od muślinu, zdruzgotał siły Garizonu u stóp Wiernej Góry. Chociaż miał wtedy dziewiętnaście lat, dowodził dwudziestotysięczną armią. Garizon nie spodziewał się oporu. Suzeren wraz z wojskiem udał się na Dalekie Południe, gdzie toczyły się Wojny ze Świątyniami, zatem Berick musiał w pojedynkę skompletować armię. Bitwa pod Wierną Górą zapisała się na kartach historii jako jedna z najkrwawszych. W przeciągu dwu dni i dwu nocy padło czterdzieści tysięcy

żołnierzy. Berick przeważył szalę zwycięstwa na swoją stronę, ale okupił to wysoką ceną: z wojny powróciło nie więcej niż tysiąc pięćset ludzi.

Camron zacisnął usta. Tamto zwycięstwo odcisnęło piętno na dalszym życiu Bericka. Kilka godzin wcześniej, podczas zażartej wymiany zdań, kiedy wyrzucał ojcu opieszałość, Berick wykrzyknął: “Jakże cenić zwycięską bitwę, w czasie której ginie cały kwiat narodu?”

Tu leżało sedno sprawy: w sumieniu ojca. Berick od czasów wojny chodził w żałobie. Każdego dnia śnił o czterdziestu tysiącach ciał pokrywających północne zbocza Wiernej Góry.

W wieku dziewiętnastu lat Berick z Thornu został generałem, mając dwadzieścia – dyplomata, politykiem i piewcą pokoju.

Camron potrząsnął głową z dezaprobatą. Teraz, kiedy Izgard został obrany królem, polityka pokojowa prowadziła donikąd.

Usłyszał wyraźny odgłos kroków. Na chwilę znieruchomiał, lecz szybko się odprężył. Straż nocna przejmowała wartę. Odbywało się to później niż zwykle, ale na zamku każdy wiedział, że zwykłą punktualność Hurina przytępiły ostatnio cielesne żądze. Kapitan straży usiłował przespać się z krągłą, piękną i znaną z obojętności Catilin z Benquis.

Ciche odgłosy kroków znów rozbrzmiały na niższym piętrze. Obudziło się w nim niejasne przeczucie jakiegoś zagrożenia. Wartownicy zwykle stąpali głośno. (Hurin rozkazał swym ludziom zaopatrzyć się w ciężkie obuwie z utwardzanej skóry.)

Camron wyteżył słuch. Nic. Poza delikatnym trzeszczeniem drewnianych krokwi panowała martwa cisza. Zbiegł na dół – coś wisiało w powietrzu.

Najpierw zobaczył krew, później ciało. Początkowo sądził, że to tylko purpurowy płaszcz, rozłożony na trzech najniższych stopniach, wnet jednak dostrzegł bladą dłoń, która odcinała się na tle ciemniejszego jedwabiu. Powiódł wzrokiem wzdłuż ramienia prowadzącego do cienia i odsłoniętego torsu. Gwardzista, młody siostrzeniec Hurina, który na zimę wstąpił na służbę, został rozkrojony od gardła po podbrzusze szeregiem precyzyjnych, rzeźniczych cięć. Z klatki piersiowej zdarto mu skórę i mięśnie, by odsłonić serce. Zabójstwo to miało rytualny charakter.

Camron czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

Ojcze!

Dokuczał mu bolesny skurcz policzka. Świat zawęził się do wąskiej, rozpaczliwej linii, będącej odległością między nim a gabinetem ojca – jedyną znaczącą rzeczą w bezdennej, mrocznej czeluści, którą stała się noc.

Camron poruszał się z dziką szybkością szaleńca. Nic nie widział, nie słyszał i nie czuł, dopóki się z tym czymś nie zderzył. Jego życie sprowadziło się do szeregu drzwi i korytarzy. Nie miał planu, broni, nie myślał też o sobie. Wszystko, co się liczyło, umarło.

Odległość odmierzał uderzeniami serca. Każda sekunda kłuła go boleśnie. Biegając, słyszał wyłącznie odgłos własnych kroków. Minał główną salę i wpadł do atrium, następnie zbiegł południowym skrzydłem i wspiął się do komnat ojca.

U wejścia leżały zwłoki wartowników. Poczł dławienie w gardle. Powiódł wzrokiem po twarzach zamordowanych. Tych ludzi nie zabito z rytualnym okrucieństwem: strzelano do nich z kuszy z bliskiej odległości. Nie pojmując do końca znaczenia tego faktu, zacisnął dłoń na kłance. Liczył się tylko ojciec, a reszta pograżyla się w cieniu.

Ojcze!

Camron z okrzykiem na ustach wbiegł do środka. Już przy pierwszym kroku uderzył go zaduch przypominający smród gnijącej padliny. Oślepił go płomień wielkiego paleniska. Opodał ciemne sylwetki uwijały się niczym czarownice wokół kotła. Poczł, jakby ktoś wbił mu w pierś ostrą drzazgę, od której promieniował paraliżujący strach. Pomieszczenie było jasno oświetlone, gęste powietrze zatykało płuca. Camron brnął przez nie, jakby pływał pod wodą. Dłoni zaciskał na rękojeści noża, choć nie pamiętał, kiedy po niego sięgnął. Wysunął ostrze przed siebie, aby utorować nim drogę.

Gardłowy, chrapliwy śmiech kazał mu zwrócić głowę w lewą stronę. Ze światła wynurzyła się twarz. Obnażone zęby i drgające nozdrza nadawały temu obliczu zwierzęcy wyraz. Przerazenie świeżą falą ogarnęło ciało Camrona, lecz tym razem towarzyszyła mu złość. Był przecież w swoim domu!

Zasłonił się rękoma przed światłem i zbliżył do roześmianej twarzy. Ciemne sylwetki przy ogniu nie wykonały najmniejszego ruchu, żeby mu przeszkodzić. Potykał się tylko o trupy ludzi, z którymi o świcie jadł śniadanie: leżał tu Hurin, dalej jego zastępca, Mallech, oraz sędziwy sługa ojca, Bethney. Kończyny zostały oddzielone od ciał, wnętrzności wypływały z szerokich ran. Schnąca krew wsiąkała w podeszwy butów.

Sięgnął w stronę chichoczącej twarzy. Światło zaczęło wolno gasnąć. Cienie i półcienie zdawały się zmieniać wygląd komnaty. Camron zauważył nagle, że stoi obok półki z książkami. Obca postać milczała. Teraz, kiedy z oślepiającego światła wynurzały się rozpoznawalne kształty, w większym stopniu przypominała człowieka. Czyżby to gra światel zmieniła ją w potwora?

Wszystkie pytania przestały go nurtować, gdy ujrzał zwłoki rozciągnięte u stóp obcego. Zielone szaty, siwe włosy, znoszone skórzane sandały. Ojciec.

Powietrze stało się lodowato chłodne, przez co nie mógł złapać oddechu. Rzucił się na ciało. Rozerwawszy tunikę ojca, przycisnął pięści do otwartej rany. Krew spłynęła mu po palcach, kiedy naciskał zwiotczałe mięśnie. Ogarnięty przerażeniem, odsunął się i z coraz większą siłą zaczął naciskać klatkę piersiową, aż pękło jedno z kruchych żeber. Walcząc ze łzami cisnącymi się do oczu, podniósł ciało i przycisnął je do siebie; dusił je, tulił i potrząsał nim z szaleńczą determinacją. Postaci, krzątające się dotychczas przy ogniu, zaczęły przesuwać się ku drzwiom; głowy, ozdobione światłem odbitym od okrwawionych mieczy,

pochylały się nisko. Camron wiedział, że go nie tkną. Rytualne zabójstwo przy schodach miało na celu zwrócenie jego uwagi. Ktoś chciał, żeby był świadkiem tej rzezi. Ktoś dokonał zemsty, zostawił ostrzeżenie i pozwolił jednemu człowiekowi żyć, aby zdał ze wszystkiego relację.

Uzbrojone sylwetki opuszczały po kolei komnatę. Nic, tylko ludzie. Nic, tylko zamkowa komnata.

Ten, który się śmiał, też odszedł. Kiedy dotarł do drzwi, rzucił coś na dywan. Zanim ów przedmiot wylądował, nieznajomy zniknął.

Camron objął rękami głowę ojca. Delikatnym ruchem odgarnął mu włosy z czoła. Piękne, srebrzyste loki. Dziwne, ale nie zauważył wcześniej, jak jasne są włosy ojca. Przełknął głośno ślinę. Zamknął oczy i sięgnął ku chłodnej dłoni. Wspomnienia z dzieciństwa powróciły jak żywe i przez ułamek sekundy miał nadzieję, że ręka ojca spotka się z jego własną w połowie drogi.

Ciało, które tulił w ramionach, zwisało bezwładnie. Metalowa obręcz bólu zacisnęła mu się wokół piersi. List gniótł go w serce niczym ołowiana tabliczka. “Drogi Ojczy – pisał w nim. – Dziś wieczorem opuszczam Bay’Zell. Nie potrafię dłużej uszanować twych starań o pokój. Muszę na własną rękę przeciwstawić się królowi Garizonu”.

Gdy otwarł oczy, ujrzał spryskane krwią ściany. Przyjrzał się uważnie trójce mężczyzn, których darzył respektem, a potem znów przesunął spojrzenie na ciało ojca. Po raz pierwszy zauważył nóż w jego prawej dłoni. Szczupłe palce oplatały zakrwawione ostrze.

Na ten widok Camron zacisnął pięści tak mocno, że aż posiniały. Berick z Thornu odszedł jak wojownik. Ten wielki człowiek, który w młodości toczył wojny, a w kwiecie wieku bronił swych przekonań, wyciągnął nóż, by odeprzeć napastników. Miał niespełna siedemdziesiąt lat.

Camron przysunął się bliżej ojca, chcąc ogrzać go własnym ciałem. Nie dopuszczał myśli, że wkrótce stanie się zimny. Jeszcze kilka godzin temu w tym samym pomieszczeniu – kiedy poprzez palisandrowe okiennice ukośnie wpadały promienie popołudniowego słońca – Camron z Thornu nazwał ojca tchórzem.

– Powiesz mi wreszcie, skąd pochodzisz, panienko? – zapytała kobieta, która przedstawiła się jako wdowa Furbish i siostra dokera o imieniu Swigg. Dotknęła ostrożnie bluzki Tessy. – Musisz pochodzić z jakiegoś miłego zakątka. Gdzie wyrabiają tak delikatne płótna?

Tessa omal nie powiedziała, że to nie płótno, tylko bawełna, ale w porę ugryzła się w język. Kobieta by tego nie zrozumiała.

– Musi ci być ździebko zimno w tych przewiewnych szmatkach. – Wdowa Furbish podeszła do okna i rozchyliła szeroko okiennice. – Jesteś pewna, że nie chcesz się przebrać w coś stosowniejszego?

W pokoju powiało chłodem. Tessa zadrżała. Nie narzekała, dopóki nie otwarto okna.

– Mogłabym od pani pożyczyć jakiś szalik?

Wdowa potrząsnęła głową stanowczo. Była starsza i grubsza od brata. Kiedy Tessa ujrzała ją po raz pierwszy, kobieta miała na lewym oczodole przesadnie zdobioną opaskę, którą teraz podniosła na czoło, ukazując idealnie zdrowe, choć nieco paciorkowate oko.

– Nie mam żadnego, panienko. Co to, to nie. Ale mogę dać ci ciepłą, wełnianą suknię. – Mówiąc to, otworzyła drugie okno.

Znad rzeki doleciał zapach zgniłych warzyw, zepsutego mięsa i moczu. Tessa wołała nie oddychać głęboko. Jak można wytrzymać w takim smrodzie?

– Oczywiście, w zamian ty też musisz mi coś dać. – Wdowa Furbish kiwnęła pulchnym paluszkami. – Przysługa za przysługę, jak to mówią.

Tessa zmarszczyła brwi. Zdażyła się już domyślić, że ta kobieta aż rwie się do jej bluzki. Niebieska z białymi guziczkami i kieszonką – nie stanowiła zbyt wygórowanej ceny.

– Niech będzie – zgodziła się. – Możesz dostać moje ubranie w zamian za suknię.

Oczy wdowy zwięzły się, lecz to, które przykrywała do niedawna opaska, przymknęło się bardziej.

– Całe?

– Tak, całe. Ale najpierw muszę obejrzeć suknię.

Mina wdowy Furbish zapowiadała wybuch: wydeła policzki, uniosła palec i zacisnęła wargi gotowe do splunięcia. Na szczęście postanowiła tylko przełknąć ślinę, potrząsnąć głową – jak kura dziobiąca ziarno – i wyjść z pokoju.

Tessa westchnęła z ulgą. Nareszcie została sama.

Wstała i podeszła do okna, ostrożnie stąpając po wyścielonej trzcina podłodze. Przy każdym kroku wymachiwała rękami, drapiąc się i opędzając od owadów. Komary wlatywały jej za kołnierz i nogawki, a pchła-akrobatka skakała wesoło po ręce. W całym pomieszczeniu roiło się od robactwa. Inne stworzenia pełzły po plecach i wspinały się wewnętrzną stroną nogawki, a ich dotyk przypominał delikatne muśnięcia nitki. Tessa desperacko trzepała się po nogach i ramionach. Nie cierpiała robaków.

Zdejmując bluzkę, usłyszała, jak drze się materiał. Do licha! Wszystko przez ten pierścień. Drobnymi kolcami zahaczyła o szew na ramieniu. Zupełnie zapomniała o jego istnieniu. Bardzo wolno wyplątała pierścień z bawełnianych włókien i oswobodziła rękę. Jej dłoń wciąż była splamiona krwią, ale nie czuła żadnego bólu, jeśli nie liczyć delikatnego mrowienia u podstawy środkowego palca.

Światło w pomieszczeniu wydobywało się z zakopconej, mosiężnej lampki. Zbliżyła się do niej, by lepiej przyjrzeć się pierścieniowi. Kiedy przyćmiony płomień rozjaśnił złoto, zakrzuszyła się gryzącym dymem. Co się stanie, jeśli go zdejmie? Czy wróci na polankę? A jeśli to możliwe, czy tego chce?

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała z lasu, był zapach suchych liści. Zachowała go w pamięci, gdyż towarzyszył jej w czasie podróży – jeśli można było taką nazwą obdarzyć sposób, w jaki znalazła się w tym miejscu. Wspominała szum morza i zapach suchych liści.

Ból, ciemność, a potem światło bardzo szybko nastąpiły po sobie. Poszczególnych wrażeń doświadczała osobno, jakby stanowiły rząd kropek na kartce papieru. Ból, nadzieja, strach. Doskonale pamiętała kolejne etapy – zapadający się żołądek, żebra uciskające płuca, ołowiane powieki. Pamiętała chwilę, kiedy smród zaułka zastąpił aromat liści. A później zwariowało słońce.

Przesunęło się z zachodu na wschód. Nie uczyniło tego za jednym, szybkim zamachem, ale obróciło się wolno i majestatycznie. Czowała, jak promienie przesuwają się z jej prawego policzka na lewy jednostajnym, półkolistym ruchem. Podobnego wrażenia nie doznała nigdy wcześniej. Jej ciało i dusza wirowały pod wpływem doznanego szoku. Słońce nigdy nie poruszało się w ten sposób. Nigdy.

Gdy w końcu odnalazło swoje miejsce, w szum fal wkradły się obce dźwięki. Otworzyła oczy.

Wszystko uległo zmianie. Nad głową skrzeczały mewy, czekały psy, kwiczały świnie i gęgały gęsi. Odór mógł zwalić człowieka z nóg. Słodki i mdły smród gnijącej roślinności klócił się z zapachem morza. Promienie słońca ogrzewały twarz, a wiatr owiewał ciało, przyciskając bluzkę do piersi. Szczury umykały spod nóg, a opasłe muchy brzęczały koło nosa. Tessa doznała zawrotu głowy. Pośliznęła się na czymś – miała wielką nadzieję, że to tylko błoto – kiedy dwóch mężczyzn zbliżyło się z nienacka. Ich widok przekonał ją, że w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło: mężczyźni byli mężczyznami. Obcy natomiast stanowili zagrożenie.

Schowwała się w cieniu, chcąc uniknąć jasnej smugi światła, która biegła środkiem uliczki. Obaj – jeden wielki i gruby, drugi tylko wielki – ruszyli za nią. Zadrzała. W cieniu było chłodniej, niż wcześniej sądziła. Nie spuszczać wzroku z mężczyzn, cofała się wolno, aż lewą stopą dotknęła muru. Wiedziała, że nie uniknie kłopotów. Popatrzyła za siebie, ale tam drogę ucieczki zagradzała ściana. Gdy się odwróciła, jeden z napastników krzyknął:

– Bierzmy ją!

Widziała, jak ją osaczają i wyciągają noże. Strach dodał jej odwagi i odważyła się na to, czego zabroniono jej robić dwadzieścia jeden lat temu: wrzasnęła.

Z jej gardła wydobył się wysoki, czysty dźwięk. Rósł niczym bojowy okrzyk, rozcinając nieprzyjacielskie odgłosy. Towarzyszyły mu wspomnienia ostrzeżeń, których nigdy nie lekceważyła: “Tesso, pamiętaj o gwizdku kolejarza... Nie unosz się gniewem... Wystrzegaj się hałasów... I nigdy, przenigdy nie krzycz”.

Mężczyźni stanęli jak wryci. Tessa zacisnęła usta i wstrzymała oddech. Dopiero po chwili zrozumiała, na co czeka: na brzęczenie w uszach. Mijały kolejne sekundy, lecz nic się nie



działo. Słyszała wyłącznie bicie własnego serca. Coś się w niej rozluźniło. Nie nastąpił metaliczny warkot. Nie było kary. Zamiast hałasu panowała cisza.

Kiedy napastnicy ruszyli, krzyknęła ponownie. Tym razem rozległy się słowa, głośne i wyraźne:

– Precz ode mnie! – Jej głos brzmiał bardzo stanowczo, czuła to.

Mężczyźni ponownie się zawahali. Grubas zerknął na swego towarzysza, czekając na gest zachęty. Tessa śledziła ruchy jego noża. Kiedy wystrzelił ku niej szerokim łukiem, jęknęła rozpaczliwe. Potem zaczęła drapać twarz napastnika.

Teraz wypadki potoczyły się błyskawicznie. Nieznajomy mężczyzna wyrósł jak spod ziemi i zaatakował rzezimieszków. Walczył z chirurgiczną dokładnością: oddychał tylko wtedy, kiedy to było konieczne; żaden z jego ciosów nie chybił. Pamiętała, jak krew prysnęła na jej twarz, kiedy żonglował nożem pomiędzy kolejnymi pchnięciami. Słyszała zgrzyt zębów, gdy zadawał śmiertelny cios. Rozprawa z bandytami nie zajęła mu nawet dwóch minut. Chciałaby szybko zapomnieć o cichym syczeniu, jakie wydobywało się z ciała, a także o ich ostatnich oddechach.

Kiedy było po wszystkim, obcy wsunął nóż za pas i odwrócił się do niej. Ten dzień obfitował w wiele niespodzianek, również jego twarz bardzo ją zaskoczyła: ciemne włosy, ciemne oczy i dolna warga ze szramą po przecięciu. Mówił najgłębszym głosem, jaki kiedykolwiek słyszała: niskim i miękkim, który zdawał się wypływać z przestrzeni usytuowanej tuż za blizną na ustach. Zamierzała powiedzieć mu, że wyraża się jak aktor, postanowiła jednak użyć słowa “pirat”. Nikt na scenie nie przemawia tak groźnie.

Jej przypuszczenia potwierdziły się już po pięciu minutach, kiedy postraszył Swigga, że go zabije, jeśli ten nie zastosuje się do poleceń.

Wydarzeń następnej godziny nie mogła porównać z niczym, znanym jej z doświadczenia. Swigg poprowadził ich przez sam środek miasta na podupadłe peryferia. Do tego czasu nie zwracała większej uwagi na otoczenie – tak dominujące było uczucie strachu – lecz gdy tylko weszła w labirynt uliczek obrzeżonych stertami odpadków i zaczęła lawirować pomiędzy rozszoszczonymi kurami o małych oczkach i kundlami liżącymi się z ran, prawda zaczęła do niej wreszcie docierać.

Znalazła się w obcym świecie. Nie w innym kraju, nie w innym czasie, ale w jakimś zupełnie innym miejscu.

W Bay’Zell – tej nazwy użył mężczyzna, który przedstawił się jako Ravis. Najbardziej na północ wysunięty przyczółek królestwa Raize, największy port Morza Wzburzonego. Początkowo wydawało jej się, że pamięta skądś te nazwy – brzmiały dziwnie znajomo i były łatwe do wymówienia – gdy jednak chciała ulokować je na mapie świata, mogła tylko bezradnie rozłożyć ręce.

Samo miasto stanowiło zlepek pochylonych kamieniczek, poprzecinanych gęstą siecią wąskich ulic. Budowle z szarobiałego kamienia zapadały się pod własnym ciężarem, dlatego

podpierano je potężnymi, ociekającymi terpentyną, czarnymi balami. Pasemka mgły wypływały spod daszków studzienek, a sterty śmieci parowały pod wpływem rozkładu. Wysokie, obrośnięte różnymi porostami mury zasłaniały światło, a pomalowane na jaskrawe kolory witryny sklepowe i drzwi mieszkań błyszcząły w półmroku niczym podświetlone szyldy.

Tessa była wstrząśnięta. Nie potrafiła ogarnąć otaczającej rzeczywistości. W miarę jak Swigg prowadził ich coraz to ludniejszymi uliczkami, hałasy osaczały jej zmysły. W jednym z zaułków ktoś kuł żelazo, w innym rżnięto drewno, wielki bazar rozbrzmiewał piskiem ptaków, które furiacko łomotały skrzydłami o pręty bambusowych klatek. Na każdym rogu młode kobiety w czarnych, koronkowych kapturkach przymilały się do przechodzących mężczyzn.

Żaden z tych dźwięków nie odbił się niekorzystnie na sluchu Tessy. Zmarszczyła brwi. Tutaj, w tym przedziwnym mieście, wypełnionym karnawałową wrzawą, odnalazła wreszcie odrobinę spokoju.

Odwracając się do Ravisa, poprosiła:

– Opowiedz mi coś o Bay'Zell.

Popatrzył na nią uważnie. Potem zerknął na idącego przodem Swigga, pochylił się nad nią i szepnął:

– Bay'Zell to bestia skazana na zagładę.

Poczuła ciarki na plecach, gdy usłyszała ten wypowiedziany beznamiętnym tonem wyrok. W oczach Ravisa pojawiły się błyski, których chwilowo nie potrafiła odczytać. Wyprowadzona z równowagi, odsunęła się od niego. Nie uczynił żadnego gestu, żeby ją powstrzymać, więc resztę drogi przebyli w milczeniu, zachowując między sobą dystans kilku kroków.

Swigg powiodł ich w stronę rzeki, gdzie chmary rozpedzonych jętek przelatywały im koło nosa, wywołując małe turbulencje powietrza, a ważki i komary ścigały żebraków chowających się w cieniu. Odór stał się nie do wytrzymania. Nawet niewprawne oko Tessy dostrzegło, że ta dzielnica chyli się ku upadkowi. Dachy nędznych domków sterczały tuż nad ziemią, okiennice gniły na przerdzewiałych zawiasach, pękały ściany.

Sama rzeka niosła więcej szlamu niż wody. Szarobury muł zaścierał też okoliczne tereny. Kamienny most długim łukiem spinał oba brzegi i to właśnie ku niemu skierował się Swigg.

Wzdłuż mostu tłoczyły się zabudowania: niektóre wychodziły na wodę, wsparte na palach, inne spotykały się w połowie drogi i tworzyły pod sobą jakby tunele. Swigg zatrzymał się raptownie przy drzwiach z dumnym szyldem: Wdowa Furbish – wróżka kupieckiej braci i szwaczka Świętej Ligi.

Wdowa Furbish dała dowód swych zdolności, otwierając przed nimi drzwi.

Tessa oniemiała. Kobieta była wysoka i potężnie zbudowana; jej nos zdobila siatka popękanych żyłek, a lewe oko przysłaniała złota, wzorzysta opaska.

– Spóźniłeś się – powitała Swigga. – I znowu piłeś. – Jej słowa były bardziej wygładzone niż deski podłogi, na której stała.

Swigg wzruszył zamasyżycie ramionami, dotykając nimi uszu. Jego wzrok błędził po niebie niczym sęp wypatrujący padliny, by ostatecznie wylądować na Ravisie.

– Przyprowadziłem gości, mój ty śledziku.

Dostrzegłszy Ravisę, wdowa Furbish przeszła jakby metamorfozę: jej wąskie wargi puchły, aż zaczęły przypominać poduszeczki, natomiast brwi rozsunięły się jak wrota bramy. Zerkając ukradkiem dokoła, czy aby ktoś ich nie obserwuje, odsunęła opaskę z oka.

– Ach, goście! Proszę wejść, proszę! Swigg, biegiem, nalej naszym przyjaciołom kropelkę ario.

– Dwuletniego? – zapytał Swigg.

Tessa, obawiając się widoku pustego oczodołu lub zszytych powiek, zamknęła oczy, gdy tylko kobieta uniosła opaskę. Po ich ponownym otwarciu przekonała się, że wdowa Furbish jest nie tylko szczęśliwą posiadaczką pary idealnych oczu, ale na dodatek wlepia je w delikatną, koźlą skórę płaszcza Ravisę.

Gdy już napatrzyła się na ów płaszcz, jak też na złoty medalion na szyi gościa, obwieściła:

– Dziś możemy otworzyć siedmioletnie.

Zanim Tessa przekroczyła próg tego domostwa, Ravis złapał ją za ramię.

– Nic im o sobie nie mów – syknął.

Ario smakowało jabłkami i przyjemnie rozgrzewało. Dopiero po pierwszym łyku uzmysłowiła sobie, jak bardzo była spragniona. Przeżywała niewątpliwie najdziwniejszy dzień w życiu. Zabawne, ale ani razu nie przyszło jej namyśl, że to tylko sen. Bay'Zell istniało naprawdę, Ravis istniał naprawdę, a ario było tak mocne i ostre, że nie mogło być wytworem jej wyobraźni.

– Moja droga przyjaciółka i ja potrzebujemy schronienia na jedną, może dwie noce. Szanowny brat pani raczył zaproponować nam pokoje. – Ravis pokłonił się kolejno bratu i siostrze.

Usiedli w saloniku wdowy Furbish, ponurym pokoiku z niezliczoną liczbą szafek i kredensów. Wdowa napełniła Ravisowi kielich. Tessa również zdążyła wychylić swoją porcję, jednak fakt ten gospodyni postanowiła zignorować.

– Swigg przypomina naszego drogiego tatusia – powiedziała. Pulchnymi palcami poprawiała tasiemki podtrzymujące opaskę. – Nasza rodzina zawsze słynęła z gościnności.

– Jesteście bardzo mili.

Wdowa Furbish przytaknęła zadowolona, jakby chwalenie jej w ten sposób należało do dobrego tonu.

– Wy natomiast hojni.

Ravis błysnął zębami.

– Ostatnią złotą koronę przekazałem w depozyt bratu szanownej pani i nie spodziewam się, by zażądano ode mnie reszty z góry, jak to ma miejsce w łaźni albo w burdelu.

Wdowa Furbish grzmotnęła się w pierś wielką dłonią.

– Proszę pana, jestem szwaczką Świętej Ligi Bay’Zell. Muszę dbać o swoją reputację!

Tessa przyjrzała się tłustym palcom wdowy Furbish. Szwaczka?

– Szanowna pani – odezwał się Ravis pojednawczo. – Nie chciałem nikogo obrazić. Jest pani bez wątpienia szanowaną kobietą, która przykładowie prowadzi dom. A teraz proszę o wybaczenie, gdyż muszę załatwić pewną sprawę na mieście. Ufam, że podczas mojej nieobecności dotrzyma pani towarzystwa tej oto młodej damie. – Po tych słowach wstał i podszedł do drzwi. – Proszę myśleć o niej jak o dodatkowym depozycie.

Zaraz po zniknięciu Ravisa, butelka siedmioletniego ario powędrowała do jednego z kredensów. Swigg bąknął coś o sprawdzaniu beczek i czmychnął z pokoju, nim siostra zdążyła zaoponować. Wdowa Furbish parsknęła gniewnie, lecz nie starała się go zatrzymać. Po zebraniu i uważnym policzeniu wszystkich czterech kielichów po ario strzepała z rękawa pyłek kurzu i zwróciła się do Tessy:

– Od jak dawna znasz pana Ravisa? – zapytała, przysuwając sobie wysoki stołek i siadając na wyciągnięcie ręki od gościa.

– Och, wydaje mi się, że znamy się od zawsze – odparła Tessa, machając zdawkowo ręką. Wymijające odpowiedzi stanowiły jej sposób na życie. Opowiadanie o sobie przychodziło z trudem. Było tak mało do powiedzenia.

Następna godzina upłynęła na odpowiadaniu na pytania dotyczące akcentu, stanu cywilnego, zawodu, związku łączącego ją z Ravisem i wieku, a że pocziwa kobieta nie zdołała wykrzesać z niej żadnej wartościowej informacji, zmieniła temat i postanowiła wypytać ją o ubranie. Z jakiegoś powodu zainteresowała ją bluzka, a kiedy zaproponowała w zamian za nią jedną ze swoich sukni, Tessa przystała na tę propozycję. Wiedziała, że musi dostosować swój wygląd do otoczenia, jeśli chce pozostać w tym miejscu.

Znów pojawiło się pytanie dotyczące pierścienia. Przyglądała się złotym zwojom, mieniącym się w świetle lampki. Czy tu zostanie? Czy ma na to ochotę? Wreszcie: czy ma możliwość wyboru?

Słyszała, jak wdowa Furbish przetrząsa komodę w sąsiednim pokoju, szukając odpowiedniej sukni. Przeczuwała, że ta, którą wybierze, będzie paskudna, źle uszyta i bezbarwna. Wdowa Furbish nie miała w sobie zbyt wiele kobiecości.

Tessa zaszepiona, podeszła do okna. Sama nie wiedziała, co myśleć o tym wszystkim. Wydarzenia potoczyły się tak błyskawicznie, że nie miała czasu na sformułowanie opinii. Bay’Zell nie było baśniową krainą, płynącą mlekiem i miodem. Stanowiło realne miejsce, wypełnione prawdziwymi ludźmi i rzeczywistymi niebezpieczeństwami. W ciągu zaledwie jednego dnia została napadnięta, uratowana, przeprowadzona środkiem obcego miasta i na

koniec pozostawiona w obskurnym pensjonacie jako, swego rodzaju, depozyt. Życie w tym świecie toczyło się niezmiernie szybko i miała wrażenie, że utknęła w nim na dobre.

Czy coś ją ciągnęło do domu? Rodzice kochali córkę, ale jej nie potrzebowali. Mieszkając przy polu golfowym w Arizonie, cieszyli się swoją emeryturą. Kiedy dzwoniła do nich, zawsze wybierali się na partyjkę brydża, pograć w golfa lub odwiedzić przyjaciół. Cieszyła się z ich szczęścia i czuła pewniej, wiedząc, że nie zagraża im żadne niebezpieczeństwo.

Nie musiała martwić się o przyjaciół, których nigdy nie miała. Między nią a resztą społeczności zawsze istniał pewien dystans. Nie potrafiła oceniać ludzi i miała się na baczności, kiedy próbowali się do niej zbliżyć. Mówiono o niej, że jest nieśmiała, sama jednak uważała, że podchodzi do życia z rezerwą. Nie czuła się dość wolna, by angażować się w głębsze związki.

Nie dorobiła się wielkiego majątku. Wynajmowała mieszkanie wyposażone jedynie w najniezbędniejsze meble. W szafie trzymała absolutnie minimalny zestaw ubrań. Jeździła dziesięcioletnim samochodem. Nie było nikogo i niczego, co ciągnęło by ją do domu. Nikogo i niczego.

Ciarki przeszły jej po plecach. Wbrew woli przypomniała sobie jazdę przez las. Myślała wówczas, że tak naprawdę nie może dotrzeć tam, gdzie by chciała. Wyjrzała na zewnątrz. Czyżby nareszcie dotarła?

Wolno, bardzo wolno dotknęła pierścienia. Jego zewnętrzne kolce przestały kłuć i mogła bez obawy zacisnąć na nim palce. Chwyciwszy pierścień kciukiem i palcem wskazującym, zaczęła go ściągać. Przy pierwszym poruszeniu poczuła ból, potem jednak, gdy wewnętrzne kolce odczepiły się od skóry i klejnot gładko schodził z palca, doznała dziwnego uczucia: usłyszała w uszach szum delikatniejszy od puchu i ciepły powiew powietrza musnął jej twarz.

Gdy tylko pierścień zsunął się z palca, wrażenia te znikły. Spięta, przygotowana na wszystko, czego nie umiała nawet nazwać i wyobrazić sobie, poczuła wielką ulgę, kiedy nic się nie wydarzyło.

Nadal znajdowała się w saloniku wdowy Furbish. Komary dokuczały, a lampka kopciała.

Krople wyschniętej krwi utkwily wśród splotów pierścienia na podobieństwo klejnotów. Ich obecność wpłynęła na wzór, który teraz można było łatwiej prześledzić wzrokiem. Na złotych niciach pojawiły się punkty odniesienia.

– Mam! Znalazłam suknię. Kolor jest trochę wyblakły, lecz sam materiał przedniej jakości. – Wdowa Furbish wpadła do pokoju, wymachując czymś, co przypominało narzutę na konia. – Proszę – powiedziała, rzucając Tessie bezkształtny zwój tkaniny. – Poczuj tylko tę jakość!

Tessa schowała pierścień w dłoni ruchem, który musiały wychwycić bystre oczy wdowy Furbish.

– Bardzo ładna – przyznała Tessa, żeby tylko odwrócić jej uwagę. – Bardzo... hm... trwała.

– Trwała! Trwała? Słuchaj, to najprzedniejsza wełna z Taire. Warta znacznie więcej niż jakiegokolwiek udziwnione, zamorskie płótno. – Popatrzyła znacząco na dłoń Tessy. – Na bazarze jest warta co najmniej dwie złote korony.

– Umowa jest umową, pani Furbish. Suknia w zamian za moje ubranie. I za nic więcej.

Usta wdowy Furbish poruszały się niby osa, zastanawiająca się, czy skorzystać z żądła. Lewą ręką znowu poprawiała opaskę na czole.

– Chociaż – dodała Tessa, sama zdziwiona swoim pomysłem – jeżeli dostanę coś do pisania i czystą kartkę papieru, będzie pani mogła zatrzymać sobie to. – Tessa odpięła z ucha złoty kolczyk i podsunęła go wdowie pod nos.

– Papieru?

Tessa namyślała się przez chwilę.

– Może być pergamin albo tabliczka, cokolwiek.

– Mam trochę węgla drzewnego i wygładzony kawałek skóry. – Wdowa Furbish pochwyliła kolczyk. – Ale sama skóra warta jest pary takich kolczyków.

Tessa kiwnęła głową i odpięła drugi.

– Niech pani wszystko przyniesie, a ja w tym czasie przymierzę suknię.

Zaraz po wyjściu kobiety wyciągnęła pierścień z kieszeni. Niespodziewanie zapragnęła skopiować wzór pojedynczych zwojów. Przypuszczała, że pobudziła ją do tego krew, której krople nadały kruszcowi głębi i kontrastu, ułatwiając zrozumienie zawiłych wzorów. Czuła, że może teraz zbadać źródło, rozchodzących się linii, i poznać ukryte znaczenie skomplikowanego desenia.

Zrzuciła pospiesznie ubranie. Ze względu na otwarte okiennice w pokoju panował chłód, więc nie zastanawiając się, prędko wciągnęła suknię przez głowę. Materiał był szorstki, lecz jej skóra, w kierunku której skakały pchły i lotem koszącym nurkowały komary, odczuwała tę szorstkość jako kolejną drobną dolegliwość. Nie trzeba było wprawnych oczu, by stwierdzić, że suknia nie leży dobrze. Skrojono ją na kobietę niższą, grubszą oraz – jak domyślała się Tessa – na kogoś, kto ciało pokryte ma pancerzem zamiast skóry. Przez krótką chwilę myślała, czy nie poprosić gospodyni o przerobienie sukni, ale szybko porzuciła tę myśl. Pani domu w żadnej mierze nie przypominała szwaczki, pomimo szyldu przed domem.

– Węgiel i wybielona cielęca skóra. – Wdowa Furbish wróciła, niosąc wszystkie potrzebne rzeczy. Przyjrzała się uważnie Tessie, mamrocząc: – No, w końcu wyglądasz przyzwoicie.

Tessa dotknęła skóry. Była bardzo szorstka.

– Czy mogę gdzieś zostać na chwilę sama?

– Chyba tylko w składziku, ale nie mam zamiaru ryzykować, że wywołasz tam pożar. Zamiast lampki dostaniesz łojową świeczkę.

Nie bardzo wiedząc, co to jest łój, Tessa kiwnęła głową.

– Może być. Potrzeba mi tylko spokoju, gdyż chcę trochę popracować.

– Spokoju? O nieba! Do czego potrzebny ci spokój? – Wdowa Furbish wyglądała na szczerze zdumioną. Wzruszyła ramionami. – Jak sobie chcesz. Chodź za mną.

W składziku pełno było bel tkanin, poduszek na igły, kłębków nici i wstążek. Tuż po odejściu wdowy – mruczającej pod nosem jakieś ostrzeżenia o ruszaniu przedmiotów i plądrowaniu w kufrach – Tessa rozłożyła skórę na skrzyni i usiadła. Okazało się, że świeczka lojowa wydziela znacznie więcej dymu niż zwykle. Przybliżyła płomień, by lepiej przyjrzeć się pierścieniowi.

Kłęcząc na zasłanej sianem podłodze, mrużąc powieki atakowane gryzącym dymem i co rusz przecierając spocone dłonie, zaczęła rysować. Węgiel był kruchy i łamał się niemiłosiernie, szorstką skórę pokrywały wybrzuszenia; włosie wciąż trzymało się spodniej strony, natomiast wewnętrzną znaczyły linie zmarszczek. Niezrażona tym Tessa oddała się szkicowaniu. Po wielokroć sprawdzała, badała, wodziła po złocie węglem, odmierzała kąty i łuki: próbowała skopiować pierścień.

Zajęło jej to kilka godzin. Początkowo pracowała spięta, czekając na pierwsze oznaki zapowiadające powrót *tinnitus*a. Jednak z czasem, nie słysząc niczego prócz dalekiego pohukiwania sowy i trzeszczenia drewnianych belek, zaczęła się odprężyć, a świadomość swobody pomagała jej przy szkicowaniu.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

– Czy obaj nie żyją? – Izgard z Garizonu zdjął złotą koronę. Powiadano, że niektórzy królowie, wykrwawili się na śmierć po włożeniu Wieńca. Skóra Izgarda nie była nawet draśnięta.

Skryba wyglądał na znużonego i schorowanego. Chwila wahania powiedziała Izgardowi, że nie wszystko odbyło się zgodnie z planem.

– Powiedz mi, przyjacielu – rzekł, kładąc dłoń na ramieniu Ederiusa – co się stało.

Ederius był stary, szczupły i siwy. Zadrżał, czując na sobie dotyk króla.

– Panie, coś poszło nie po naszej myśli; zawiniło niedokładne obliczenie, niepoprawna krzywizna, może zła pora.

Palce Izgarda błędziły wzdłuż obojczyka starca.

– Nie powiesz mi chyba, że obaj żyją?

– Nie, panie – Ederius pospieszył z odpowiedzią, kuląc się pod spojrzeniem króla. – Jeden nie żyje. Wyprawa na zamek Bess przebiegła pomyślnie.

– Co z synem?

– Pozwolono mu żyć.

Izgard kiwnął głową, jeden raz.

– No, dobrze.

Znajdowali się w prowizorycznym skrytorium Ederiusa. Dzbanuszki z proszkami, barwniki, atramenty i pędzelki zgromadzone na drewnianych, składanych stołach wypełniały powietrze chemicznymi wyziewami. Okiennice największych okien fortecy, wykutych zaledwie miesiąc wcześniej zgodnie z dokładnymi wskazówkami Ederiusa, zamknięto z nadejściem nocy. Trzy wykonane na zamówienie kandelabry płonęły, zastępując słońce.

– To pierwsze zabójstwo, które nie odbyło się zgodnie z planem – odezwał się Ederius, szurając nogami po gołej, kamiennej posadzce. Rzadko w skrytorium rozścielano trzcinę; gromadziły się w niej robaki, które czasami rozpraszały uwagę pochłoniętego pracą skryby; mógł wówczas popełnić jakiś brzemienny w skutki błąd. – Sądziłem, że się uda – ciągnął dalej. – Byłem pewny, że wszystkiego dopilnowałem.

– W czym tkwił błąd?

– Wybacz panie, ale nie wiem. Harrarzy przybyli zgodnie z wytycznymi, ale syna tam nie było.

– Miałeś upewnić się, że tam będzie. – Spokojny ton głosu Izgarda mógłby uspokoić płaczące dziecko. Jego palce jednak ciągle wybijały rytm na lewym obojczyku skryby.



– Namalowałem iluminację... Czuję, że będzie działać. Sądziłem, że wszystko jest dopięte na ostatni guzik. – Ederius chciał wzruszyć ramionami, lecz król nacisnął na obojczyk i nie pozwolił mu na to. – Byłem zmęczony, a miałem jeszcze wyrysować drugą iluminację, by wzmocnić harrarów; musieliśmy mieć pewność, że straż na zamku Bess ulegną.

– Zatem pierwszą iluminację sporządziłeś w pośpiechu?

– Nie, panie, nie! – Ederius z powodzeniem udał oburzenie.

– Wzór był dość prosty, dlaczego miałbym się spieszyć?

Izgard westchnął i powiedział:

– Zaraz, zaraz. Chcesz mi wmówić, że ty spełniłeś swoją powinność, a harrarzy spełnili swoją? Wobec tego, jakim sposobem nasz młody przyjaciel zdołał umknąć?

– Sądzę, panie, że to niewłaściwe słowo. Kiedy zacząłem rysować drugi wzór, poczułem, że coś – nie mam pojęcia co lub kto – wspomaga go.

– Dlaczego zatem nie podjąłeś odpowiednich kroków? – Głos Izgarda przeszedł w szept. Palce nie opuszczały ramienia skryby.

– Wówczas jeszcze nie miałem pewności i...

Izgard uderzył kantem dłoni. Kość pękła równie łatwo jak przegniła gałąź; pęknięciu towarzyszył stłumiony trzask. Skryba z wrzaskiem złapał się za obojczyk. Czarnymi od atramentu palcami objął wystający kikut kości. Strącone słoiczki z barwnikami potoczyły się po stole, niektóre roztrzaskały się o ziemię.

Izgard podniósł pięść na wysokość piersi i znieruchomiał. Miał wielką ochotę uderzyć powtórnie. Pragnienie było tak silne – bez porównania silniejsze niż kiedykolwiek dotychczas – że przez chwilę trząś się, walcząc z nim.

Dygocąc i pochlipując, skryba opadł na krzesło. Obserwując go, Izgard zdumiał się nad sposobem, w jaki światło świec odbijało się na skórze starca. Ederius przypominał obraz namalowany przez jednego z weizachijskich artystów. Widok ten uspokoił króla na tyle, że zdecydował się dotknąć starca.

– Cicho, Ederiusie, już cicho.

Kość była złamana. Sterczący koniec wybrzuszał szorstką wełnę tuniki. Choć w oczach Ederiusa zbierały się wciąż nowe łzy, pozwolił się udobruchać, przycisnął policzek do dłoni Izgarda i – zaciskając wargi ze wszystkich sił – powstrzymał się od okrzyków bólu.

Król zapanował nad wyrzutami sumienia, tłumacząc sobie, że przecież człowiek ten zasłużył na chłostę.

– Ból minie – rzekł po chwili, dotykając szczęki Ederiusa i każąc mu spojrzeć na swego oprawcę. – Wiesz chyba, że człowiek z moją pozycją nie może pozwolić sobie na pobłażliwość względem kogoś, kto nie wypełnił polecenia. – Poczekał, aż skryba kiwnie głową. – No, dobrze. Przyślę tu chirurga.

Izgard przesunął palce po gardle Ederiusa – zatrzymując się na moment, by wygładzić fałd luźnej skóry, który zwisał niczym zżółknięty liść – po czym przeszedł na drugą stronę pracowni. Do drzwi odprowadził go stłumiony jęk starca.

– A tak przy okazji – rzekł jeszcze, odwracając się w progu – spodziewam się, że o świcie zasiądziesz przed kałamarzem.

Nie miał zamiaru czekać na odpowiedź. Wyraził się wystarczająco jasno.

Gdy tylko drzwi zatrzasnęły się za nim, wziął głęboki oddech. Ze zdziwieniem stwierdził, że drży. Kiedy uderzył skrybę, przestał na chwilę panować nad sobą, a jakaś część jego osobowości nie miała ochoty przestać.

Wzruszył ramionami z przeciągłym westchnieniem. Miał słuszny powód do gniewu. Ederius musi w końcu zrozumieć, że czasy się zmieniły. Nie byli już przyjaciółmi. Dni, kiedy łączyła ich wspólna pogoń za Kolczastym Wieńcem, bezpowrotnie minęły. Lata wypełnione planami, potyczkami i intrygami przyniosły spodziewany owoc. Obaj zdobyli to, czego tak długo poszukiwali: Ederius miał wyłączne prawo do badania Wieńca, on natomiast miał wyłączne prawo go nosić! Cokolwiek przyniosą najbliższe miesiące, żaden z nich nie będzie mógł powiedzieć, że to nie jego zasługa.

Poirytowany kursem, jaki obrały jego myśli, Izgard odegnał je lekceważącym machnięciem ręki. Był teraz królem, a ci nie mają przyjaciół, tylko sługi.

Poza tym, Ederius z pewnością wkrótce wydobreje. Izgard upewnił się co do tego. Rzadko zadawał nie przemyślane ciosy. Złamany obojczyk niewątpliwie bardzo doskwiera, ale nie pociąga za sobą większego uszczerbku na zdrowiu. Król tylko dlatego oszczędził prawe ramię skryby, iż chciał umożliwić mu dalszą pracę. Ból mógłby niekorzystnie wpłynąć na jakość tworzonych iluminacji. Środki uśmierzające nie wchodziły w grę: mogły spowolnić umysł starca i odbić się niekorzystnie na samych wzorach, zagrażając zaplanowanym bataliom i niespodziewanym uderzeniom.

Kiedy wędrował nisko sklepionymi, okrągłymi korytarzami fortecy Sern, wspominał dzień koronacji. Zorganizowano niezwykle skromną uroczystość: bez procesji, fanfar i widowisk. Uczestniczyli w niej tylko ci, których obecność była konieczna: prefekci, generałowie, doradcy, a także wrogowie. Wszyscy, którzy sprawowali jakąś władzę, zebrali się na krótkiej ceremonii. Chór wyśpiewał swoje oracje przy wtórującym mu turkocie wózków z potrawami, duchowni wygłosili błogosławieństwo przy akompaniamencie bębniących ze zniecierpliwieniem palców, nawet namaszczenie świętymi olejkami rozegrało się w pośpiechu.

Jeszcze dziesięć godzin wcześniej wszyscy myśleli, że koronacja odbędzie się w Weizach. Zazwyczaj to stolica była świadkiem uroczystości o podobnej randze. No cóż, nie tym razem. W obliczu wojny wszelkie inne sprawy zeszły na dalszy plan.

Sern był górską warownią, twardą jak skała, zwartą jak kamień i nieprzeniknioną jak góra, o której stoki się wspierała. Jej mury wytrzymały napór pięciuset lat, a w tym czasie

żadne wrogie wojsko nie zdołało zrobić w nich wyrwy. Fortecę wykuto z żywego kamienia góry Iviss. W zimie mury obronne pokrywały się warstwą lodu, lecz północne wiatry zawsze je omijały. Tylko w Garizonie budowano podobne fortece.

Izgard pozwolił sobie na nikły uśmiech. Bastiony Sern sprzyjały całej sprawie, jednak przyszłego króla zwabiło tu głównie umiejscowienie zamku. Podnóże Gór Działowych; pół dnia marszu do granicy z Raize i dwa dni marszu do Wiernej Góry. Zaiste, nie było lepszego miejsca, z którego można by wyprowadzić wojska do ataku.

Nie wystarczyło ozdobić głowę koroną Garizonu – panowanie należało przypieczętować krwią zabitych wrogów. Ciernie Kolczastego Wieńca kłują nie tylko do wewnątrz, ale i na zewnątrz.

Ederius, starzec i mistyk, iluminator i skryba, miał czuwać, by każde uklucie było śmiertelne.

– Panie! – dobiegł go z tyłu wysoki, zduszony głos.

Izgard zeszywniał. Nie miał ochoty na łzy i dziecięce napady złości. Tego wieczoru musiał uczestniczyć w naradzie nad strategią batalii. Wojna i korona Garizonu były sobie poślubione. Nie odwracając się, nakazał:

– Wracaj do siebie, Angeline.

Ciche kroki zbliżyły się do niego.

– Nie mogę iść z tobą?

Poczuł, jak czyjaś dłoń dotyka jego ręki. Odsunął się gwałtownie i syknął:

– Dziś wieczorem chcę zostać sam.

– Ależ Izgardzie, Gerta powiedziała...

– Nic mnie nie obchodzi, co powiedziała ta twoja stara służąca. Zostaw mnie w spokoju.

– Odwrócił się na pięcie i spojrzał żonie prosto w oczy. Jej blade, dziecięce usta drżały, a ciemnoniebieskie oczy wypełniły się łzami. Była wyrafinowana i przezroczysta niemal jak kryształ. Bez niej nie zasiadłby na tronie.

Angeline z Halmac była panią jednej trzeciej ziemi Garizonu. Tragedie, jakie zeszłego roku ze szczególnym okrucieństwem nękały jej rodzinę, oszczędziły jedynie kobiety.

Latem ojciec, możny baron Willem z Halmac, zginął w płomieniach. Podobnie jak wielu głupców, którzy młodość spędzili na Dalekim Południu, walcząc ze Świątyniami, Halmac co pewien czas przeżywał atak mokrej gorączki. W trakcie jednego szczególnie groźnego napadu medyk zalecił mu owijać się kocem nasączonym w brandy, aby zwiększyć pocenie. Co noc przychodził duchowny, żeby go związać, zszywając płócienne paski wokół tułowia i kończyn. Pewnego razu nieszczęśnik zapomniał, że trzyma w ręku świecę i przytknął ją do mokrego od brandy płótna. Willem z Halmac płonął jak pochodnia. Kiedy duchowny zdzierał pospiesznie bandaż, razem z nimi odchodziła skóra.

Obaj zginęli tej nocy. Halmac skonał w męczarniach, podczas gdy duchownemu rozsądek nakazał popełnić samobójstwo: skoczył z mostu Banas w zimne, czarne nurty Weize.

Powszechnie uważano, że łatwo się wykreślił. W kraju, gdzie bory porastały ziemię jak morze, a faliste pastwiska ciągnęły się od horyzontu po horyzont, baronowie odpowiadali wyłącznie przed Bogiem.

Brat Angeline zmarł dwa miesiące później. Ten notoryczny pijak udusił się własnymi wymiocinami w stołecznej tawernie Kwaterka Ario.

Medycy mówili, że to wielka tragedia. Izgard, że to wyrok nieba.

Ciche łkanie Angeline wyrwało króla z zamyślenia. Wyciągnęła pulchną rączkę – z wahaniem, jak dziecko dotykające czegoś, co go może ugryźć.

– Nie każ mi odchodzić – poprosiła. – Czuję się taka samotna.

Izgard zdał sobie nagle sprawę, że z wolna ustępuje. Zirytowany tą myślą, odepchnął ją od siebie. Dolna warga Angeline drgała: kobieta z całych sił powstrzymywała się od płaczu.

W głębi korytarza poruszyły się cienie. Jacyś ludzie zmierzali w ich kierunku. Wzrok Izgarda spoczął na twarzy żony. Nie miał wyboru, musiał odegrać rolę kochającego męża. Nawet tutaj, sto mil na zachód od Weizach i czujnych oczu dworu, w górskiej warowni tak skonstruowanej, by nie wpuszczała ani wroga, ani światła, pewne pozory musiały być zachowane.

– Chodź, najdroższa – mruknął, wyciągając do Angeline ramię. – Napijmy się wina przed udaniem się na spoczynek. – Słowa te piekły go w gardle. Nie rozumiał, co niegdyś widział w swojej żonie. To, co kiedyś podziwiał jako dziecięcą niewinność, teraz wydawało mu się zwyczajną naiwnością. Posiadanie Kolczastego Wieńca pozwalało na precyzyjniejszą ocenę faktów.

Izgard odprowadził Angeline do komnaty, zaciskając palce na jej ramieniu. Napotkali dwóch szlachciców, którzy uklękli uniżenie, choć Izgard nie raczył nawet na nich spojrzeć. Skupił wzrok na pustce korytarza i walczył z ogarniającą go wściekłością.

Został dziś ogłoszony królem, lecz jego żona była zwykłą dzierlatką. Chciał się jej pozbyć, lecz śmierć w tajemniczych okolicznościach tak szybko po ślubie mogłaby odebrać mu zarówno posiadłości Halmac, jak i koronę. Zbyt długo i zbyt ciężko pracował, próbując zjednoczyć kraj, aby teraz jedno błahe zdarzenie przekreśliło wszystkie wysiłki. Dopiero wtedy, gdy stare rachunki zostaną wyrównane, a nowe bitwy wygrane, będzie mógł spokojnie przyłożyć jej nóż do gardła.

– Musisz mnie pocałować, Izgardzie – szepnęła, kiedy zbliżyli się do drzwi jego komnaty. – Gerta mówi, że już się nie całujemy tak często, jak kiedyś. – Czuł jej gorący oddech na policzku i ucisk krągłych piersi. Zauważył, że jego ciało odpowiada na jej dotyk i nic nie mógł na to poradzić. Wspomniał okres narzeczeństwa. Czy był naprawdę kiedyś taki moment, kiedy pragnął Angeline równie mocno jak jej ziemi?

Choć dwóch wartowników pilnujących drzwi odwróciło dyskretnie wzrok, Izgard nie powstrzymał języka, który pelznał po jego szyi.

Kiedy już znaleźli się wewnątrz, gniew króla wymieszał się z pożądaniem: Angeline wciąż na niego działała. Jej dłonie pieściły go, przyjmując rozmaite formy. Odchyliła głowę do tyłu i wypięła piersi. Wijąc się wokół niego, jak wije się winorośl wokół drzewa, cichym, dziewczęcym szeptem wygłaszała słowa zachęty.

Gdy już przyciągnęła go do łóżka, podwijając wysoko sukienkę i liżąc go po szyi, nie wiedział, co powinien zrobić: zgnieść to kruche życie czy błagać, żeby nigdy nie przestała.

– Wybacz, że kazałem ci czekać, Ravisie – rzekł Marcel – ale miałem w Fale kilka spraw do załatwienia.

Ravis uniósł brwi.

– W Fale? Ostatni raz wyjeżdżałeś z Bay’Zell, kiedy Wielki Pożar doszczętnie spalił dzielnicę bankową. Nawet wtedy nie spuszczałeś wzroku z murów miasta. – Mimo że Ravis ponad dwie godziny oczekiwał na Marcela w jego kamienicy, starał się mówić lekkim tonem. – Powiedz, jakie to sprawy wagi państwowej zdołały wyciągnąć cię z miasta?

Bankier z Bay’Zell napelił dwa kryształowe kielichy beriakiem. Sądząc ze sposobu, w jaki ciemny, orzechowy płyn lepił się do ścianek, wino musiało leżakować co najmniej siedemnaście lat. Nasycony, zadbane i bogaty – Marcel pławił się w doczesnych zbytkach.

Widać to zresztą było po umeblowaniu gabinetu. Ściany zdobiły lśniąca biblioteczka oraz wielobarwne gobeliny, srebrne lampki oliwne jarzyły się na kufrach z drewna satynowego, półki oprawione w skórę ugiwały się pod ciężarem kolorowych pudełek, pozłacanych elementarzy i figurek z kości słoniowej. Choć minęła północ, bankier systematycznie przemierzał wyłożony dębową boazerią gabinet, sprawdzając, czy okiennice są dobrze zamknięte i zabezpieczone. Był człowiekiem, który w równej mierze cenił sobie bezpieczeństwo, jak i prywatność.

– Dziś rano zmarł mój stary przyjaciel.

– Marcel, przecież ty nie masz starych przyjaciół, ty masz tylko klientów.

Na ułamek sekundy bankier zacisnął wargi.

– Mamy wiec z sobą wiele wspólnego.

Ravis roześmiał się: nie mógł zapomnieć o celu swoich odwiedzin.

– No to kto umarł, przyjacielu?

Zdarzyło się, że po spożyciu sporej ilości trunków, Marcel rozczulił się nad sobą i wyznał, iż w młodości bardzo pragnął zostać aktorem. Ravis zaczynał go rozumieć, gdy patrzył na jego zachowanie. Mężczyzna popisywał się isticie bankierską powściągliwością, wolno potrząsając głową i ważąc w myślach słowa.

– Nie wiem, czy wypada mi o tym mówić.

A więc chodziło o jakąś ważną osobę. Ravis nie miał zamiaru okazywać zainteresowania – Marcel z pewnością nie wytrzyma i wszystko wyjaw. Jeśli, oczywiście, jego tłustej szyi nie grozi za to stryczek. Gdy w grę wchodziło osobiste bezpieczeństwo lub dobro interesów, nikt nie dorównywał w dyskrecji Marcelowi z Vailing.

– Hm, tak – zaczął Marcel. Przeciagając słowa, uzyskał pożądany efekt: dramatyczny wstęp. – Zapewne znałeś tego starego skrybę, który był doradcą zmarłego suzerena, zanim popadł w niełaskę?

– Deverica?

Marcel kiwnął głową.

– Miał atak o świcie. To straszna tragedia. Zmarł przy swoim pulpicie. Nikt się tego nie spodziewał, jego żona powiedziała, że przed śmiercią czuł się doskonale. – Bankier łyknął beriaku. – To jasne, że pierwszą rzeczą, jaka przyszła do głowy jego najstarszemu synowi, było wyprawienie do mnie posłańca z wiadomością.

– Zabezpieczyłeś jego testament? – Było to retoryczne pytanie. Każdy, kto coś znaczył w Bay’Zell lub w okolicznych miastach, sprawy bankowe i sądowe załatwiał za pośrednictwem Marcela z Vailing.

– Zgadza się. Pozostawił swoje posiadłości w opłakanym stanie – odrzekł Marcel. – Sentymentalni ludzie spisują najbardziej niedorzeczne testamenty. Popołniają błąd, chcąc popisać się sprawiedliwością i zostawić komuś coś cennego. W rezultacie wybuchają kłótnie i niesnaski. Jeden syn otrzymuje łąkę na południowym zboczu, podczas gdy drugi grzęźnie na polu, którego nie sposób osuszyć. Święta Liga otrzymuje rodzinny dom, lecz sprzęty i całe wyposażenie zachowuje wdowa. Przeciwnie strony wyrrywają sobie ziemię i majątek i zanim się obejrzyś, dorośli ludzie walczą o sprzączki do pasków i metalowe łyżki. – Wzruszył ramionami, co miało wyrażać szyderstwo i odrazę. – Tego wszystkiego można uniknąć. Człowiek powinien cały spadek zapisywać wyłącznie jednej osobie. Zamożne rody tylko wówczas wzrastają w potęgę, jeśli udaje im się zapobiec wewnętrznym podziałom.

Ravis stuknął kielichem o blat stołu. Ta powszechna prawda nie przypadła mu do gustu.

– No tak – powiedział, starając się jak najdelikatniej zmienić temat. – A zatem, czym zaowocowała twoja podróż? – Wskazał na drewnianą, kwadratową ramkę, którą Marcel położył na biurku.

Bankier wyciągnął rękę i zastukał palcem w przyniesiony przedmiot.

– Iluminacje. Prasa rękopiśmienna zachowuje pergamin w dobrym stanie.

Ravisowi zaczęło dokuczać jakieś mgliste wspomnienie. Pochylił się, nagle zaniepokojony.

– Iluminacje, powiadasz?

– Tak. Asystent Deverica – nazywa się Emith – wcisnął mi na odchodnym cały taki komplet. Dostał je w spadku i chciał bezpiecznie przechować.

– Mogę na nie rzucić okiem?

Zaskoczenie Marcela było nie lada wyczynem, lecz Ravis poznał po tym, jak nieznacznie zmrużył oczy, że nie spodziewał się takiej prośby.

– Wątpię, Ravisie, czy odwiedziłeś mnie po to, żeby podziwiać dzieła sztuki. Kiedy tak się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że powinieneś być teraz daleko stąd. Nie jestem pewien, ale twój statek miał chyba dziś rano odpłynąć?

Niejedyn mógłby dać się nabrać na tę sztuczkę: Marcel lubił udawać, że zawodzi go pamięć. Ravis jednak wiedział, że bankier z Bay'Zell nigdy o niczym nie zapomina. Miał ponad trzystu klientów i potrafił – bez względu na porę dnia i nocy – opowiedzieć o sytuacji finansowej każdego z nich.

Ravis podszedł do biurka. Zważył w dłoni drewnianą prasę i zapytał:

– Mogę?

Marcel wzruszył ramionami.

– Nie krępuj się. Ciekawe, co powiesz. Zamierzam dać je do wyceny. Mam przeczucie, że są sporo warte.

Ravis zaczął wyciągać miedziane trzpienie. Na ramce pokrytej grubą warstwą wosku wygrawerowano zawily deseń złożony ze zwiniętych w spirale ptaków i węży.

– Postanowiłeś wypłynąć następnym statkiem? – zapytał Marcel, ponownie nalewając do kielichów wino. – A może zatrzymała cię jakaś nieprzewidziana okoliczność?

Trzpienie wychodziły jeden po drugim.

– Nieprzewidziana okoliczność, to prawda.

– Interesy? – W tym jednym słowie zawarła się doskonała proporcja chciwości i strachu.

– Nie, spóźniłem się na statek.

Marcel zaśmiał się krótko, lecz szybko połapał się, że to nie żarty.

Ignorując go, Ravis wyrwał ostatni trzpień i rozchylił obie deszczułki. Znad pergaminu uniosła się gryząca woń świeżego pigmentu. Już na pierwszy rzut oka widać było, że jest to starannie wyprawiona, cieleńca skóra, zdarta z nowo narodzonego cielaka, zanim wiek pogorszył jakość jego mięsa. Ów papier welinowy pokryto w pierwszej kolejności soczystymi barwami, a następnie rozjaśniono kredą. Skóra była gładka w dotyku; tak perfekcyjnie wyprawiona, że Ravis nie wiedział, czy patrzy od strony spodniej czy też od strony lica.

Odwrócił pierwszą kartę i przyjrzał się iluminacji.

– W dzisiejszych czasach, Ravisie, nikt nie spóźnia się na statek. Do licha, już sam odgłos tych piekielnych dzwonów świątyni potrafi zbudzić umarłego! Nie wspominając o kogutach.

Słowa Marcela brzmiały w uszach Ravisa niczym brzęczenie roju much. Wpatrywał się w coś niezmiernie skomplikowanego i usianego taką liczbą szczegółów, że w ich gąszczu gubił się wzrok. Kolorowe wstęgi rozbiegały się po całej powierzchni welinu, stanowiąc podstawę kształtów i świetlistych smug. Zwierzęta z groteskowo długimi językami i ogonami przeplatały się wzajemnie w nieskończonej liczbie sposobów. Złote, błękitne i zielone nici wiły się we wzorze niczym arterie i żyły.

Ravis polizał bliznę na wardze. Widział już w życiu podobne ornamenty. Ponad dwa lata temu, w pewnym potężnym zamku na wschodzie.

– Bardzo ładne – orzekł Marcel, przyglądając się. – Jeśli się nie mylę, powstały w starym, olejnym stylu. To jasne, że nie ma wielkiego popytu na podobne cacka. Dzisiejsi kolekcjonerzy wolą oglądać ludzi niż wzory.

Kiedy Marcel brał od niego miniaturę, Ravis dostrzegł w lewym dolnym rogu kilka ciemnych plamek. Przypominały krew. Poczuł, jakby do pleców przyłożono mu zimny sopel lodu. Odłożył pozostałe iluminacje, nie chcąc na nie patrzeć.

Postanowił wyłuszczyć swoją sprawę, przeszła mu bowiem ochota na gierki i cczą pogawędkę. Pociągnął głęboki łyk beriaaku i powiedział:

– Marcel, potrzebuję twojej pomocy.

Uśmiech tak szybko przebiegł po twarzy bankiera, że Ravis mógłby go nie zauważyć, gdyby w tym czasie mrugnął. Marcel odłożył pergamin na biurko.

– Czym mogę służyć?

Na dźwięk tego głosu Ravis zapragnął schować się pod ziemię.

– Potrzebna mi gotówka – powiedział. – Duża gotówka. “Czterolistna Koniczynka” wypłynęła w morze z całym moim złotem na pokładzie.

Marcel skinął głową jak lekarz, który wysłuchuje opowiadania chorego.

– Rozumiem.

– Póki nie dorwę Crivita i nie odzyskam straconego majątku, moją własność stanowi jedynie imię.

– Cóż za los! – Marcel wypielęgowanym palcem wodził po obrzeżu kielicha. – Było co bądź, było to zachowanie trochę naiwne z twojej strony. Jak mogłeś zanieść całe złoto tak po prostu na pokład?

– Gdybym zabrał je tam, gdzie nocowałem, straciłbym je tym pewniej. – Pogodny nastrój Ravisa ulotnił się. – Nie potrzebuję twoich pouczeń, Marcel, jak zarządzać aktywami. Potrzebna mi pożyczka.

– Tak, pożyczka. – Marcel usiadł na krześle. – A co dasz pod zastaw?

– Dopiero co powiedziałem, że nic nie posiadam. – Ton głosu Ravisa był chłodniejszy niż przedtem. Sięgnął po miniatury.

– A co z Mizerico? Jestem pewny, że czeka tam na ciebie jakiś lukratywny kontrakt.

Ravis potrząsnął przecząco głową.

– Przyjaciele? Przyjaciółki? Oszczędności?

Uderzył gwałtownie drewniana prasą w stół. Wylądowała tuż obok pulchnych palców bankiera.

– Posłuchaj mnie uważnie. Potrzebuję gotówki i albo mi ją pożyczysz, albo nie. Więc jak będzie?

Marcel spoważniał na twarzy, lecz głos jego wciąż był spokojny:

– Ile spodziewasz się dostać?

– Sto koron.



Kiwając z dezaprobatą głową, Marcel odepchnął drewnianą ramkę.

– Nic z tego.

– Mylisz się. – Ravis przeciągnął językiem po szramie na wardze. Blizna wydała mu się bardzo chłodna, na przekór ciepłu, jakie panowało w gabinecie. – Jesteś mi coś winien, Marcel.

– Winien? Nic ci nie jestem winien, przyjacielu. Mogłeś u mnie w banku przez okrągły rok odkładać na koncie swoje honoraria i na tym kończy się nasza znajomość.

– Wątpię, czy starszyzna Bay'Zell potraktuje naszą znajomość tak lekko. Uważaj, żeby cię przypadkiem nie uznano za zdrajcę.

Marcel wstał, podszedł do drzwi i otworzył je na oścież.

– Chyba żaden z nas nic nie zyska, jeśli prawda wyjdzie na jaw.

Ravis obnażył zęby.

– Ile drzwi musisz zaryglować, żeby móc spokojnie zasnąć?

Wypowiedziane słowa odniosły zamierzony efekt. Bankier spojrzał mu głęboko w oczy i nie ulegało wątpliwości, że się boi. Zapewne rozważał teraz, czy może zaufać Ravisowi, gdy ten obieca milczeć. Po chwili przerwał ciszę:

– A więc mówisz, że nie jesteś związany żadnym kontraktem?

– Żadnym.

– Mogę zatem domniemywać, że szukasz zatrudnienia? – Marcel przyglądał mu się badawczo, czekając na odpowiedź. Kiedy się jej nie doczekał, dodał: – Zawsze mogę zapytać tu i ówdzie, skontaktować się z pewnymi ludźmi, przygotować ci grunt...

– Nie jesteś moim alfonsiem, Marcel.

– Nie spodziewasz się chyba, że pożyczę ci pieniądze bez zabezpieczenia? Muszę mieć jakąś rękojmię, że zwrócisz całą sumę.

Ravis zdecydował, że nadeszła pora, aby skierować się do drzwi.

– Odbierzesz swoje sto koron jeszcze przed nowym rokiem.

Marcel parsknął lekceważąco.

– Jeśli pożyczysz tak długo.

Ravis wyrwał zabłąkany włos z ubrania Marcela. Z satysfakcją obserwował strach malujący się na twarzy bankiera.

– Skoro już tak bardzo pragniesz martwić się o czyjeś gardło, sugeruję, żebyś zaczął martwić się o swoje.

Marcel z trudem przełknął ślinę. Drzwi były otwarte, lecz bankier zdołał je odchylić jeszcze szerzej.

– Chyba czas na ciebie. Zobaczę, co da się zrobić. Wpadnij do mnie jutro rano.

Ravis skinął głową. Nie chciał zbytnio naciskać.

– W takim razie, do rana – powiedział. Minał gospodarza i przestąpił próg. – Jestem pewien, że sumienie nie przeszkodzi ci wyspać się jak należy.

Marcel otworzył usta, chcąc dać ciętą odpowiedź, lecz w polu widzenia pojawiła się służąca i zmienił zdanie.

Ravis skłonił się i wyszedł.

W całej rezydencji Marcela próżno by szukać korytarza bądź ściany, której nie zdołałoby zdobyci jedwabie. Przy schodzeniu na parter buty Ravisa nie wydawały żadnego dźwięku. W głównej poczekalni usłyszał głosy: młoda służąca prosiła gościa, by rozgrzał się kropelką brandy, na co ten odpowiedział jej coś szeptem.

Ravis dotknął noża: miał słuszne powody do obaw.

Nie musiał się jednak niczego lękać. Kiedy służąca i gość zbliżyli się do niego, mężczyzna odwrócił się do ściany. Ravis na tyle często składał wizyty w kamienicy Marcela, by zacząć rozróżniać zachowanie prawdziwych klientów. Bankier był szeroko znany z tego, że nocą przyjmował gości, którzy nie chcieli zwracać na siebie powszechnej uwagi.

Ravis skinął dłonią w stronę służącej i wyszedł na dwór. Spieszył się. Pograżony w zadumie, ruszył nad rzekę. Instynkt ostrzegał go wyraźnie, by nie ufać Marcelowi, ale czy miał jakiś wybór?

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Z początku Tessa czuła swędzenie na prawej nodze. Udawało jej się ignorować ten fakt, dopóki owo lekkie drapanie nie zaczęło się przemieszczać. Otworzyła szeroko oczy i poderwała głowę. Odrzuciła koc i trzepnęła się w udo. Po nodze wspinało się coś czarnego i błyszczącego. Wzięła rozmach i posłała owada na ścianę.

Słyszając cichy śmiech, gwałtownie się odwróciła. Ravis stał w kącie pokoju, chowając część twarzy w cieniu. Wskazał na jej udo:

– Z takim refleksem nadajesz się na szermierza.

Zasłoniła nogę kocem. Ciągle była zaspana, a oprócz tego straciła czucie w prawym policzku, przyciśniętym całą noc do twardej deski. Mrużąc ciężkie powieki, szukała w myślach jakiejś ciętej repliki. Nic mądrego nie przyszło jej do głowy, wobec czego ograniczyła się do wzgardliwego parsknięcia. Dokładnie w tej samej chwili rozległ się dźwięk dzwonów i popsuł cały efekt.

Kościelne dzwony. Nie zaprzętała sobie dłużej głowy Ravisem, gdy tylko rozejrzała się po otoczeniu, w którym się znalazła. Leżała w skleconym na moście dębowym domku, który spinał brzegi zamulonej rzeki. W mieście Bay'Zell.

Przetarła oczy; miała nikłą nadzieję, że po ich otwarciu ujrzy ściany rodzinnego domu. Niestety – Ravis jak stał, tak stał. Zaburczało jej w żołądku, który zdawał się lekki i pusty niczym papierowa torebka. Wspomniała wszystkie wczorajsze wydarzenia: napad *tinnitusa*, skrytki depozytowe, uliczkę, bójkę... pierścień. Uniosła lewą dłoń. Gdzie podział się pierścień? Rozejrzała się w panice po pokoju. Co z nim zrobiła? Kiedy go ostatnio miała na palcu?

– Czy tego szukasz? – zapytał Ravis, otwierając dłoń, w której chował złoty pierścień. Jeden z kolców przekłuł mu skórę i na palcu pojawiła się kropla krwi.

Tessa początkowo zaniemówiła, potem zerwała się z ławy na równe nogi i wyrwała Ravisowi swoją własność. Był jej! Nikt poza nią nie miał prawa dotykać tego złota. Żadna krew oprócz jej własnej nie powinna po nim spływać.

Gdy tylko odebrała swoją własność i poczuła znajomy ciężar, z zażenowaniem zdała sobie sprawę z wypieków na policzkach i przyspieszonego oddechu. Co mogło ją tak pobudzić? Zerknęła nieśmiało na Ravisa.

Uśmiechnął się do niej, przez co blizna na jego wardze napęczniała i ściemniała.

– To bardzo ładna błyskotka. Dość wiernie ją odrysowałaś.

Wiernie? Nie wiedziała, o co chodzi, dopóki nie ujrzała przedmiotu, który Ravis jej pokazywał. Był to szkic, nad którym pracowała całą noc. Wzory zwojów pierścienia. Przez

chwilę pragnęła mu wyrwać także ten rysunek, lecz powstrzymała się za sprawą niejasnego przecucia. Sam proces powstrzymywania się, powściągnięcia emocji tak wiele razy zachodził w umyśle Tessy, że teraz odbywał się instynktownie. “Nie krzycz... Nie denerwuj się... Zawsze pomyśl, zanim coś zrobisz”.

Wzięła głęboki oddech i opuściła ręce. Po co się denerwować? Co takiego stoi na przeszkodzie, by Ravis potrzymał przez chwilę pierścień i dotknął cielejącej skóry z rysunkiem, który wykonała? Zachowywała się irracjonalnie.

– Ten szkic przypomina mi... – Słowa Ravisa zawisły w powietrzu, kiedy podniósł skórę do wpadającej przez okno smugi światła.

– Co takiego? – zapytała, wykorzystując okazję, gdy uwaga Ravisa skierowana była w inną stronę, poprawiła ubranie i przyczesła włosy.

– Coś, co widziałem w nocy. – Ravis popatrzył na nią bystro. Po chwili cichych oględzin odwrócił się, zwinął skórę i wręczył ją Tessie z ukłonem. – Przygotuj się, będziesz mi towarzyszyć. Zaczekam na ciebie na moście.

Otworzyła usta, chcąc wyrazić swoje zdziwienie, ale Ravis był już przy drzwiach.

– Nie grzeb się – powiedział. – Nie mam czasu ani cierpliwości, żeby czekać na kobiety, które spędzają przed lustrem pół życia. – Po tych słowach, zamykając z trzaskiem drzwi, szybko wyszedł na zewnątrz.

Rozżłoszczona takim traktowaniem, Tessa obrzuciła drzwi wściekłym spojrzeniem. Od lat nikt nie przemawiał do niej podobnym tonem i wcale jej się to nie podobało. Ale cóż mogła na to poradzić? Oprócz wdowy Furbish i Swigga, tylko Ravisa znała w tym świecie. Kto zechce jej pomóc, jeśli nie on? Pod koniec dnia z pewnością będzie potrzebowała pomocy. Musiała dowiedzieć się czegoś więcej o mieście, opisać swoje położenie, wyjaśnić, jak się tu dostała i czy kryje się za tym jakiś podstęp. Do tego wydawał się potrzebny Ravis.

Pogrążona w zadumie, bawiła się pierścieniem, obracając go i dotykając kółców opuszkami palców. Choć nic się nie zmieniło, kiedy go wczoraj zdjęła, stanowił ostatnie ogniwo łączące ją z domem. Nie mogła pozwolić, by ktoś go dotykał czy nawet oglądał. Musiała go zabezpieczyć. Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu jakiegoś kawałka sznurka lub tasiemki. Sądziła, że najlepiej będzie powiesić go na szyi, z dala od wścibskich oczu.

Noc spędziła w składziku pomiędzy stertą przyborów do wyszywania. Zasnęła na podłodze, moszcząc sobie gniazdko wśród szorstkich kocy i płaskich poduszek. Koce czuć było kamforą i wysuszonymi ziołami, a całe pomieszczenie pachniało starym, drewnianym strychem. Ścian nie było widać spoza półek uginających się pod ciężarem rozmaitych artykułów: bel sukna, szpilek nici, drewnianych ram i innych bezkształtnych przedmiotów, których nie umiała nazwać.

Gdy zobaczyła coś, co wyglądało na luźny koniec wstążki zwisającej z blatu stołu, pociągnęła z całych sił, usiłując wyrwać ją spod stosu szpargałów,

Od razu spostrzegła, że popełniła błąd. Sterta deseczek, szmat i pergaminów rozsypała się z hukiem na ziemi. Klęby czarnego pyłu wzbily się w powietrze, spowijając jej suknię i łaskocząc w gardle i w nosie.

– Cholera! – syknęła, zamykając oczy i opędzając się od kurzu. Co to mogło być? Doczesne pozostałości po panu Furbishu?

– Moje proszki!

Odwróciła się z przestraszeniem. Wdowa Furbish wbiegała do składziku. Nie zwracając uwagi na Tesse, doskoczyła do rozsypanych papierów, uklękła i zaczęła zdmuchiwać z nich kurz.

– Ale z ciebie niezdara! – wycodziła, podnosząc z ziemi całe naręczce pergaminów. – Nie miałaś się czego chwycić? – Strzeliło jej w kolana, gdy wstała, by wszystko ułożyć na stole. Przez cały czas potrząsała gniewnie głową. – To cię będzie drogo kosztować, zobaczysz. Znowu będę musiała wołać Bernice, by je porozkładała, nie wspominając o oryginałach. Jeden z nich chyba popękał.

– O czym pani mówi. – Tessa otrzepała suknię nerwowym ruchem. Miała tego dość. Nie pozwoli traktować się jak popychadło.

Wdowa Furbish prychnęła z wściekłością.

– O czym? O proszkach, dziewczyno. Do kopiowania wzorów dla moich wyszywanek. Niektóre z tych oryginałów są starsze, niż myślisz. Kosztowały świętej pamięci Furbisha fortunę. Mówię ci, fortunę!

Tessa, ciągle nie rozumiejąc, o czym wdowa mówi, dotknęła jednego ze wzorów pokrytych grubą warstwą farby. Wdowa Furbish chlusnęła ją po ręce.

– Precz! – krzyknęła. – Wynoś się stąd, zanim narobisz więcej szkody!

Tessa chciała odpłacić jej pięknym za nadobne, ale zdołała się powstrzymać od uderzenia starszej kobiety. Poza tym nie poprawiłaby swojej sytuacji, wdając się w bójkę.

– Przepraszam – powiedziała, zgrzytając zębami. – Pójdę już sobie.

– Tylko nie zapomnij uprzedzić pana Ravisa, że zapłaci za wyrządzone szkody. – Wdowa Furbish jeszcze gwałtowniej potrząsnęła głową. – Tylko bogowie wiedzą, ile kosztuje odnowienie oryginału.

Zmierzając w kierunku drzwi, Tessa mruknęła niedowierzająco. Należało się spodziewać, że wdowa Furbish zawyży koszt każdej poniesionej straty. Prawdopodobnie w tej chwili sama niszczyła jakieś oryginały. Tessa przypomniała sobie nagle o swoim szkicu. Z jakiegoś niejasnego powodu nie chciała zostawiać go w miejscu, w którym mógłby wpaść w ręce gospodyni. Pochyliła się, podniosła skrawek skóry, zwinęła go i schowała pod suknię. Wdowa Furbish dostrzegła chyba kątem oka jej ruchy, ale nie dała po sobie niczego poznać.

Po wkroczeniu do saloniku musiała uważać, żeby nie wpaść na Swigga. Mężczyzna cuchnął alkoholem i miał zamglone oczy. Beczki, które sprawdzał w nocy, miały

najwyraźniej coś wspólnego z browarem. Sprawiał wrażenie, jakby odszpuntował każdy antałek, aby zbadać jego zawartość. Niewykluczone, że do jednego zanurzył głowę.

Gdy sięgała do klamki, zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma w ręku wstążkę. Odwróciła się plecami do Swigga, nanizła pierścień na tasiemkę i zawiesiła go na szyi, wpuszczając wstążkę pod ubranie. “Zaczyna się tam robić dosyć tłoczno” – pomyślała rozbawiona, po czym wyszła na most.

Oślepiło ją słońce wczesnego poranka, a oczy dopiero po kilku chwilach przywykły do blasku. Mrużąc powieki, spojrzała na ciemną sylwetkę, która zbliżała się w jej kierunku.

– No cóż, muszę przyznać, że jesteś pierwszą kobietą, jaką spotkałem, na którą poranna toaleta wpływa niekorzystnie. – Z uśmiechem ujął ją za ramię. – Powiedz mi, czy tam, skąd pochodzisz, sadza na twarzy dodaje uroku?

Proszek! Tessa wytarła twarz dłonią: była cała czarna. Ravis roześmiał się na widok przerażenia, z jakim rozejrzała się dokoła. Tessa czuła, jak się czerwieni. Musiała wyglądać strasznie.

– Proszę – rzekł Ravis, wręczając jej jedwabną chusteczkę, którą zgrabnym ruchem wyciągnął spod płaszcza.

Tessa wzięła ją bez słowa, odwróciła się, napluła i dopiero wtedy przetarła policzki. Ravis dyskretnie spoglądał na wodę, gdy ona ścierała brud z twarzy.

– Wdowa podarowała ci suknię? – zapytał Ravis, kiedy dotarli do tej części mostu, która łagodnym łukiem obniżała się do brzegu.

– Nie, dostałam ją w zamian za moje ubranie.

– Ach, tak.

Nuta sceptycyzmu, wyraźnie wyczuwalna w tym jednym słowie, kazała jej się odwrócić.

– Co miało znaczyć to: “Ach, tak”?

– To, że ubiłaś kiepski interes. – Zeszli z mostu i skręcili w wąską uliczkę. Ravis wciąż prowadził normalną rozmowę, ale wzrokiem omiatał wszystkie zakamarki, jakby spodziewał się kłopotów albo czegoś jeszcze gorszego. Tessa poczuła się nagle niepewnie. Drażnił ją w ustach gorzkawy posmak proszku.

Ravis nie przestawał mówić, lecz jego lekki ton pozostawał w jawnej sprzeczności z zachowaniem.

– Twoją bluzkę zabarwiono najdroższym barwnikiem na całym kontynencie. Kobiety latami oszczędzają pieniądze, by kupić sobie choć skrawek materiału o błękitnym odcieniu.

Tessa zmrużyła oczy. A więc dlatego wdowa Furbish tak chciwie przyglądała się jej bluzce. Ale błękit?

– Przecież złoto, purpura albo jakiś inny królewski kolor musi kosztować drożej?

Ravis potrząsnął przecząco głową.

– Nie. Jasnoniebieskie barwniki otrzymuje się z lazurytu wydobywanego w kopalniach u podnóża wzgórz za Azhensas. Nie sproszkowany minerał potrzebuje roku, żeby dojechać

wozem na bazar w Raize. – Mówiąc to, skręcił w szeroką ulicę i ukrył się w cieniu budynków po wschodniej ścianie.

– Azhensas?

Popatrzył na nią uważnie.

– Tak nazywa się łańcuch górski daleko na wschodzie.

Tessa szybko odwróciła wzrok. Doszła do wniosku, że popełniła właśnie rażącą gafę. Góry Azhensas musiały tu być równie dobrze znane, jak Himalaje w jej świecie. Aby odwrócić jego uwagę, zapytała zdawkowo:

– Widziałeś je kiedyś?

– Przemierzyłem wiele krajów i widziałem niejedno, ale nie wypada mi o tym mówić w pogodny dzień na ulicach tego miasta.

Wzdrygnęła się. Ravis mówił oziębłym, poważnym i nieprzyjemnym tonem. Co takiego powiedziała, że tak nagle spochmurniał? Zziębła i przestraszona, przystanąła raptownie. Nie zależało jej dłużej na jego towarzystwie.

Ravis pociągnął ją za rękę.

– Daj spokój! – syknął. – Nie możemy się tak wałęsać po ulicach, bo ktoś nas przyłapie.

– Chciałeś powiedzieć, że ty nie możesz – warknęła. – Ja mogę się wałęsać, ile mi się żywnie podoba. Prawdę mówiąc, właśnie miałam zamiar to zrobić: powałęsać się trochę. – Wyszarpnęła się z uścisku i ruszyła w przeciwną stronę.

Ravis doskoczył do niej w mgnieniu oka.

– Zwariowałaś? – wysyczał, wpijając palce w jej ramię. – W tym mieście nie dożyjesz południa, jeśli cię zostawię.

– Jeszcze mnie nie znasz. Nie wiesz, do czego jestem zdolna. – Znów się wyrwała.

– Wiem, że nie pochodzisz stąd. – Tym razem Ravis nie ruszał się z miejsca. Stał nieruchomo. Mówił bardzo cicho, lecz wyraźnie słyszała jego słowa. – Nie pochodzisz z tego miasta, królestwa, a nawet z tego kontynentu. Każde dziecko na tej ulicy więcej od ciebie wie o świecie.

Przystanąła. Okręciła się na pięcie i spojrzała na Ravisa. Czy mógł coś wiedzieć lub snuć przypuszczenia, jak się tu dostała? Obojętny uśmiech Ravisa nie ujawniał odpowiedzi.

– Nie wiem, czy zapomniałaś, ale wczoraj, kiedy cię znalazłem, nie wyglądałaś na taką, która potrafi zatroszczyć się o siebie. – Wzruszył ramionami. – Chociaż kto wie, może źle zinterpretowałem całe wydarzenie? Tych dwóch, którzy byli przy tobie, nie zamierzali cię zamordować, tylko chcieli umówić się z tobą. Cóż, nie za takie błahostki zabija się ludzi.

Chociaż Tessie nie przypadł do gustu jego sarkazm, przyznała mu rację. Okoliczności nie sprzyjały, by wysuwać pazurki. Dokąd miała się udać? Z powrotem do saloniku wdowy Furbish? Spojrzała na zakurzoną suknię. W obecnym stanie nikt by jej nie przyjął z otwartymi ramionami.

Prawda była bolesna: znalazła się sama w zupełnie obcym, nieznanym mieście, gdzie budynki z wąskimi okiennicami rzucały cienie, a ciasne uliczki wiły się wzdłuż mrocznych bram, pękających arkad i ślepych zaułków. Na własnej skórze doświadczyła niebezpieczeństw, jakie się wokół czaiły. Sądząc z miny Ravisa, szersze ulice także nie były od nich wolne.

Nie, badanie tego świata na własną rękę było złym pomysłem. Mimo to – pomyślała, patrząc na twarz Ravisa i jego silne dłonie – udając upartą, mogła osiągnąć pewne korzyści. Ravis czuł się niepewnie na środku ulicy, narażony na spojrzenia nieprzyjaznych oczu. Pragnienie usunięcia się w cień było widoczne na jego twarzy w postaci niemal namacalnej siły. Przesuwał językiem po zranionej wardze.

Gdy się przyglądała, jak Ravis rzuca czujne spojrzenia na pchającego wózek staruszka, na dwie kobiety z szerokimi biodrami, dźwigającymi tacę z ciastem, i na znużonego młodzieńca u wejścia do sklepu, doszła do przekonania, że w takiej sytuacji zdoła go naciągnąć na kilka zwierzeń.

Wykreśliła czubkiem buta ósemkę na piasku i powiedziała:

– Pójdę z tobą, jeśli mi udzielisz paru odpowiedzi.

– Zamieniam się w słuch.

Ze wzrokiem wbitym w ziemię usiłowała wymyślić kilka sensownych pytań. Nie chciała, żeby Ravis poznał, iż w rzeczywistości żadnego nie przygotowała.

– W porządku. Powiedz, gdzie mnie zabierasz? I dlaczego?

Ravis przygryzł wargę.

– Chodź, to po drodze ci wszystko wytłumaczę.

Z tonu głosu wyczuła, że tracił powoli cierpliwość, toteż pozwoliła mu się dalej prowadzić. Naciskając bardziej, mogła przebrać miarkę. Na domiar złego jej też udzieliło się zdenerwowanie Ravisa, przez co podejrzliwie zerkąła na wszystkie spotykane osoby.

Ulica, po której się poruszali, obfitowała w sklepy. Drogę zagradzały stoły wyładowane drewnianymi rzeźbami, belami materiału, gomólkami sera, pryzmami owoców i pęczkami korzennych przypraw. Właściciele sklepów warowali przy swych towarach; niektórzy trzymali mosiężne wagi, inni blaszane chochle, kościane łyżki, ołowiane odważniki bądź zwoje drutu. Każdy miał na podorędziu kij lub sękatą laskę.

Słońce wznosiło się coraz wyżej i cienie pod murami malały z każdą chwilą. Mewy skrzeczały na niebie, a podmuchy bryzy kołysały sztyldami sklepików. Włosy Tessy rozsypały się po jej twarzy.

– Miałeś mi wyjaśnić, dokąd idziemy – przypomniała mu, kiedy skręcili w bardziej odludną uliczkę.

– Zabieram cię do mojego przy... – Ravis ugryzł się w język. – Do mojego partnera w interesach. Przypuszczam, że pożyczysz mi nieco pieniędzy, bym mógł wyjechać z Raize.

– A jaka w tym moja rola?



Uniósł brwi, lecz nie śmiał spojrzeć jej w oczy.

– Jesteś ze mną tylko po to, żebym mógł cię mieć na oku.

Zdenerwowało ją to aroganckie stwierdzenie, lecz nie odpowiedziała, ponieważ chciała zadać jeszcze kilka pytań, zanim Ravisa znużą te gierki.

– Skąd ten pośpiech? Nie podoba ci się w Bay’Zell?

Odwrócił się do niej.

– Na wszystkich bogów, kobieto! Nie mam zamiaru zeznawać jak więzień przyparty do muru. Moje prywatne sprawy są moimi prywatnymi sprawami. – Gdy doszli do rozwidlenia, skreślił ostro w lewo, zaciskając palce na jej ramieniu silniej, niż to było konieczne. – Tędy!

Ogarnął ją lęk. Mając pięć stóp i trzy cale wzrostu oraz ważąc sto dwanaście funtów, w razie bójki nie przydałaby się na nic, mogła się tylko przyglądać. O pokonaniu swego wysokiego i barczystego towarzysza nawet nie marzyła. Miała go kopnąć w łydkę i dać drapaką, czy tak? Uśmiechnęła się ledwo dostrzegalnie na myśl o kopaniu Ravisa.

Wygląd dzielnicy uległ pewnej zmianie. Im bardziej oddalali się od rzeki, tym lepsze wrażenie sprawiały zabudowania i ludzie. Piaszczyste drogi ustąpiły pierwszeństwa brukowanym ulicom, a nieznośny smród gnijących nieczystości – zapachom świeżego pieczywa i palonego drewna. Po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin pomyślała o jedzeniu: o śniadaniu złożonym z boczku, jajek (nie smażonych), grzybów, pomidorów i tostów. Znowu zaburczało jej w brzuchu. Marzyła o całej górze gorących, posmarowanych masłem tostów.

Aby położyć kres tym rozmyślaniom, które torturowały żołądek, zadała pierwsze lepsze pytanie, jakie przyszło jej do głowy:

– Powiedziałaś wcześniej: “Na wszystkich bogów”. Czy to znaczy, że czcicie w Raize więcej niż jednego boga?

Ravis nie raczył odpowiedzieć; udawał, że niczego nie słyszał, więc Tessa rozejrzała się, by sprawdzić, co przykuło jego uwagę. Wpatrywał się w grupkę młodzieńców, którzy blokowali przejście.

– Nie podnoś wzroku – ostrzegł.

Nabrała rumieńców.

– Ale ja tylko patrzyłam...

– Kobiety w Raize nie patrzą, tylko trzymają język za zębami, znają swoje miejsce i rozkładają nogi, kiedy zachodzi potrzeba. A teraz milcz i rób, co ci każę! – Szarpnął jej ramię.

– Za mną! – Przeprowadził ją na drugą stronę ulicy, jak najdalej od grupki mężczyzn.

Mimo że spoglądała pod nogi, zdołała zauważyć, jak wolna ręka Ravisa pełźnie w kierunku noża; poczuła zapach jego potu. Chwilę później jeden z mężczyzn wykrzyknął:

– Hej, kolego! Podziel się swoim szczęściem! Ona wyglądamy na kobietę, która dogodzi kilku mężczyznom naraz.

Jego kompan, krępy mężczyzna ze złamanym nosem, poparł głośno tę propozycję. Jeszcze inny wrzasnął coś, czego nie zrozumiała, a na co cała piątka roześmiała się zgodnym chórem.

Wyczuła, że Ravis pręży się do skoku.

– Nie zwracaj na nich uwagi – szepnął, zaciskając palce na rękojeści noża.

Jej serce zabiło żywiej. Ignorując ostrzeżenie Ravisa, odważyła się powtórnie zerknąć na prześladowców.

– Masz zamiar z nimi walczyć?

Odchrząknął.

– Mam nadzieje, że do tego nie dojdzie, bo wszyscy będziemy w opałach. Nie bawi mnie przewaga pięciu do jednego.

Zadrżała. Skąd u niego ten nienaturalny akcent? Kątem oka dostrzegła, że dwóch nieznajomych zmierza w ich kierunku; trzeci, najwyższy, zaczął się przy murze; czwarty potrząsał pałką, a piąty poruszał biodrami w obsceniczny sposób.

Ravis nie spuszczał z nich oczu. Na widok jego miny przeszły ją ciarki. Była o krok od paniki. Sprawy przybierały niekorzystny obrót. Okrutne słowa Ravisa wcale jej nie pocieszyły. Czwarty z mężczyzn coraz gorliwiej wymachiwał pałką. Piąty wykrzykiwał wulgarne słowa. Tessa zamarła. Wiedziała, że jej znajomy *tinnitus* wkrótce się przebudzi. Otaczało ją zbyt wiele hałasów i zdarzeń.

Zwały chmur przesłoniły słońce i ulica pogrążyła się w głębokim cieniu. Rozległ się trzask zamykanych okiennic, gdy wszyscy sprzedawcy na tej kupieckiej ulicy stwierdzili jednocześnie, że najwyższa pora pozamykać sklepy. Przechodnie chowali się w bramach lub skręcali w najbliższą przecznice.

– Na moje hasło biegnij co tchu z powrotem, aż znajdziesz się na moście Parso – syknął Ravis przez zaciśnięte zęby. Jego szrama zbieleła.

Tessa zeszywniała. Brnęła naprzód jak mucha w smole. W jej skroniach zaszumiało delikatnie. W każdej chwili mogło rozlec się brzęczenie.

– Słyszałaś, co powiedziałem? – Ravis przypomniał jej chrapliwym głosem.

Skinęła głową, oszołomiona.

– Pobiegniesz tam, skąd przyszliśmy!

Dwóch mężczyzn podeszło bardzo blisko. Pozostała trójka również nie zasypiała gruszek w popiele, zajmując dogodne pozycje. Ten, który pierwszy krzyknął, wysunął nóż z pochwy. Jego koleżka podwinął rękawy.

Tessa przełknęła ślinę i spojrzała w dół.

– No dalej, suko. Pokaż nam, co tam chowasz.

– Kopnij w dupę tego bękarta z obcych krajów, a pokażemy ci, do czego zdolni są prawdziwi mężczyźni.

Słowa te skierowane zostały pod adresem Tessy, lecz w rzeczywistości miały za zadanie rozdrażnić Ravisa. Ona dopiero czekała na swoją kolej.

Krew napłynęła jej do twarzy. Cóż za niebezpieczne miejsce! Dwa dni i dwie napaści. Chciała wrócić do domu. Jej dłoń zabłądziła bezwiednie w pobliże pierścienia. Choć suknię utkano z grubego materiału, poczuła ukłucie kolców. Ze zdziwieniem stwierdziła, że ból pomaga jej się odprężyć. Wstrzymała oddech – zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy – i przygotowała się na nadejście *tinnitusa*. Słońce wyjrzało zza chmur i oświetliło jej twarz.

Ruchem tak błyskawicznym, że oślepienie blaskiem słońca oczy Tessy niczego nie dostrzegły, Ravis wyciągnął nóż. Odepchnął ją, aż się zatoczyła.

– Biegnij!

Kiedy próbowała uratować się od upadku, trzech mężczyzn doskoczyło do Ravisa. Właściciel pałki uniósł swą broń wysoko nad głowę. Tessa wymachiwała ramionami, usiłując odzyskać równowagę. Uniosła lewą rękę, by zasłonić twarz i poczuła wilgoć na wargach. Gdy uzmysłowiła sobie, że to krew, rozległ się donośny głos:

– Niech nikt nie rusza się z miejsca!

Nakaz wydano lodowatym tonem; tonem śmiertelnie poważnym, na dźwięk którego Tessa natychmiast się uspokoiła. Zdażyła zauważyć, że człowiek z pałką przechyla się i wolno pada na twarz. W scenie upadku było coś komicznego i poczuła wielką ochotę, by parsknąć śmiechem. Przy zetknięciu z ziemią zatrzeszczał nos lub szczeka. Potem zobaczyła wystającą z jego pleców, upierzoną nasadę strzały. Ktoś do niego strzelił z łuku?

Śmiech zamarł jej na ustach. Wszyscy, nie wyłączając Ravisa, stali nieruchomo.

Spojrzała w kierunku, z którego musiała nadlecieć strzała. Z wąskiego pasa cienia pod murem wyłonił się mężczyzna. Na głowę miał naciągnięty kaptur, przez co niewiele miejsca zostało na czarny trójkąt twarzy. W zgięciu lewego łokcia leżała kolba kuszy. Palec wolnej ręki spoczywał na dźwigni spustowej.

Zauważyła, że na ulicy pojawiają się kolejne osoby. Naliczyła trzy sylwetki, ale mogło ich być więcej. Wszyscy byli uzbrojeni w kusze.

Ravis zaciskał kurczowo dłoń na rękojeści noża. Stał jak zakłęty, poruszały się tylko jego powieki: wolno opadały, dopóki oczu nie zastąpiły wąskie, czarno-białe szparki.

Człowiek w kapturze skinął nieznacznie kuszą. Skierował wzrok na Ravisa.

– Droga wolna – odezwał się głosem cichym, lecz nieskończenie bardziej zniewalającym niż uprzednio. – Zabierz damę i ruszaj bez lęku. Dopilnuję, żeby nikt was nie napastował.

Tessa nie wątpiła w prawdziwość tych słów. Obcy wodził palcami po dźwigni spustowej kuszy.

Ravis stał jak skamieniały. Upływały kolejne minuty. Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie badawczo. Jeden kapturem zakrywał rysy swej twarzy, drugi powiekami oczy. Ostatecznie Ravis ocknął się z bezruchu. Tessa odetchnęła głęboko, kiedy opadły mu ramiona, a plecy wygięły się w delikatny łuk.

– Wygląda na to, że zaciągnąłem u ciebie dług, nieznajomy – powiedział, unosząc dumnie głowę. – Zdejmij maskę, bym mógł ujrzeć twarz mojego wierzyciela.

Kusza przesunęła się w dłoniach obcego; celowała teraz prosto w Ravisa.

– Nic nie jesteś mi winien, przyjacielu. Uratowałem cię tylko dlatego, że pasowało to do moich planów. A teraz odejdz, zanim zmienię zdanie i zastrzelę cię z zimną krwią.

Tessa wzdrygnęła się. W głosie obcego błąkała się nutka szaleństwa.

Wtem jeden z czwórki napastników stojących potulnie pośrodku drogi osunął się z jękiem na kolana tuż przy leżącym trupie. Kiedy wzrok Tessy przesunął się ku zakapturzonej postaci, usłyszała cichy świst puszczonego bełtu.

Kłęczący wrzasnął.

Tessa zamknęła oczy. Zakotłowało jej się w żołądku i zebrało na wymioty. Nie rozumiała, skąd się wzięły te mdłości, przecież już wcześniej tego dnia widziała śmierć człowieka.

Ravis chwycił ją za ramię i pociągnął z taką siłą, że ziemia uciekła jej spod nóg. Była rozdygotana i ostatkiem woli powstrzymywała narastające nudności. Ravis pociągnął ją niczym niesforne dziecko. Przebiegli obok trzech pozostałych łotrzyków i dwóch mężczyzn z kuszami. Mimo że Ravis bacznie śledził ruchy postaci w kapturze, nie potknął się ani razu. Dobrze wiedział, dokąd zmierza. Na całej ulicy byli jedynymi poruszającymi się istotami. Nie zaskrzypiała ani jedna okiennica, mewy szukały pożywienia w innych częściach miasta, ustały psie boje o ochłapy mięsa.

Tessa czuła w gardle mdłe ciepło. Jej ślina miała cierpki, a jednak słodkawy posmak, podobny do zsiadłego mleka. Przywarła język do podniebienia i przełknęła z wysiłkiem. Z jakiegoś absurdalnego powodu, którego nie potrafiła zgłębić, zaczęła liczyć tak szybko, jak to tylko było możliwe. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć... Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć... Choć brakowało jej tchu, nie zamierzała przestać.

Wygląda na to, że wybrała właściwą kurację. Gdy Ravis skręcił z nią za róg, jej żołądek uspokoił się trochę. Mimo to wciąż zaciskała zęby, słysząc w myślach krzyk konającego człowieka.

Znaleźli się na innej ulicy, toteż przypuszczała, że Ravis zwolni tempo. Nie zwolnił. Uścisk jego dłoni także nie zelżał. Zdawał się kipieć wściekłością. Blizna na wardze zbieleła, spuchnięta, przypominała jakąś skamielinę. Spod przymrużonych powiek sypały się błyskawice.

Po dotarciu do końca ulicy i po dwóch kolejnych zakrętach zatrzymali się wreszcie przed fasadą schludnego, trzypiętrowego budynku. Schodki z białego kamienia prowadziły do czarnych, błyszczących drzwi. Ravis nie odezwał się ani słowem, tylko rąbnął pięścią w drewno. Zanim upłynęło pięć sekund, drzwi się otworzyły. Ravis ruszył do środka, ale w ostatniej chwili się zawahał. Kiwnął głową, nakazując Tessie wejść przodem.

Dopiero gdy znalazła się w chłodnym, ciemnym wnętrzu domostwa, przypomniała sobie o *tinnitucie*. Atak nie nastąpił.

– Likier gruszkowy – stwierdził mężczyzna o imieniu Marcel, kiedy jego wzrok wędrował od kielicha do piersi Tessy – dodaje najwięcej... wigoru i skutecznie zwalcza chandrę.

Tessa przyjęła proponowany trunek, zamierzając wypić go duszkiem. Coś ją jednak powstrzymało. Może spojrzenie, jakie wymienili Marcel i Ravis, obserwując równocześnie, jak kielich wolno się przechyla. Umaczała lekko wargi, pozwalając, by gęsty i wonny napój ledwie podrażnił jej język. Po smaku poznała, że musi to być jakaś odmiana ario, a z wyglądu flaszki należało wnioskować, że wcale niegorsza.

Spodobało jej się w domu Marcela. Spodobały jej się zwłaszcza jedwabne tkaniny, pachnące drzewka, poduszczyki wypchane do granicy wytrzymałości oraz błyszczące, kościane i pokryte deseniami drobiazgi, które plątały się po pokojach. Nie polubiła co prawda Marcela, ale to właśnie on pozwolił jej wytchnąć. Prócz tego tak się cieszyła, że nie dopadł jej znienawidzony *tinnitus*, iż postanowiła traktować go z pobłażaniem.

Ravis z kielichem wina w dłoni oparł się o szeroki kominek z białego kamienia, wykrzywił wargi w półśmiechu i wlepił oczy w Marcela. Te sześć kroków, których potrzebował, by pokonać schody i znaleźć się w przedsionku, zupełnie go odmieniły. Pochmurny wzrok, błyszczące oczy, zmarszczone czoło: wszystko to znikło. Nawet szrama wydawała się mniejsza. Z niepokojem patrzyła, jak Ravis daje się unieść nastrojowi chwili. Postanowiła o tym nie zapominać.

Rozległo się ciche pukanie i do pokoju weszła śliczna, czarnowłosa dziewczyna.

– Proszę pana – powiedziała nieśmiało, ze spuszczonego wzrokiem – mogę prosić na słówko?

Marcel skinął głową i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Czujesz się lepiej? – zapytał Ravis, uśmiechając się do niej słodko. – Wróciły ci kolory.

– Nie tak szybko, jak tobie doskonały nastrój. – Tessa powoli zaczynała przejmować kontrolę. Od samego początku wszyscy ją popychali, słyszała wyłącznie krzyki i polecenia. Nie przywykła do takiego traktowania, ale zamiast przeciwstawić się i zaprotestować, poddała się swemu losowi. Znalazła się w nowym miejscu, zgoda, jednak wciąż nazywała się Tessa McCamfrey.

A może już nie?

Przyłożyła dłoń do skroni. Przebywała tu od dwóch dni. Dwukrotnie była przekonana o zbliżającym się *tinnitucie*. Stres i hałasy należały do głównych zwiastunów ataku. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin doświadczyła jednego i drugiego, lecz nie nastąpiły żadne konsekwencje. Pierwszego dnia dopisało jej szczęście, ale dzisiaj... Potrząsnęła głową. Dzisiaj omal nie zwymiotowała ze strachu, a mimo to nic się nie zdarzyło.

Nie znajdowała w tym sensu, choć z drugiej strony wszystkie wydarzenia minionych dwóch dni wydawały się absurdalne.

Wstała. Powinna poznać istotę rzeczy i odkryć znaczenie deseni, które kryją się pod pokrywką pozornie oczywistych zdarzeń. Lata studiów nad różnymi wzorami nauczyły ją, że przyglądając się im zbyt uważnie, widzi się tylko zbiór linii i łuków. Aby objąć całość, należy stanąć w pewnym oddaleniu. Oznaczało to, że musi zdobyć jak najwięcej informacji o miejscu zwanym Raize.

– Nie zdążyłeś mi odpowiedzieć na jedno pytanie – zwróciła się do Ravisa. – W ilu bogów tutaj wierzycie?

Ku swemu rozczarowaniu nie dostrzegła na jego twarzy żadnych oznak zaskoczenia tym nagłym i bezpośrednim pytaniem.

– Tylko w jednego – odparł, wzruszając lekko ramionami. – Tysiąc lat temu czciliśmy czterech prastarych bogów, do których dołączył jeszcze diabeł i tak powstała piątka. – Uśmiechnął się. – Wobec tego zaczęliśmy wielbić jednego.

Kiwając głową, Tessa starała się zrozumieć, co miał na myśli: czterech bogów i jednego diabła?

– Dlaczego przeszkadzało wam istnienie czterech bogów? – Nie wypadało już udawać, że choć trochę orientuje się w tych sprawach. Ustalenie podstawowych splotów ornamentów znaczyło o wiele więcej niż uciekanie się do kłamstw. Poza tym Ravis dawno odgadł, że udaje kogoś zupełnie innego, niż jest w rzeczywistości.

Ravis pociągnął mały łyk likieru.

– Chodzi tu o stare przesady. Przypuszczalnie “pięć” jest pierwszą nazwaną liczbą. Powiadają, że ziemia nie znała smutku, póki jedynemu prawdziwemu Bogu nie narodził się piąty syn, a matka nie zmarła w trakcie porodu. Od tamtej pory wszelkie zgryzoty, śmierci i nieszczęścia liczy się piątkami. Dawniej ciężarne kobiety wolały usunąć dziecko z łona, niż ryzykować narodzinami w piątym miesiącu roku. Ojcowie zabijali swych piątych potomków, żeby przypadkiem nie sprowadzili klęski na rodzinę. Nawet w dzisiejszych czasach uczeni dowodzą, iż najczęściej zbrodni dokonuje się wtedy, gdy data zawiera cyfrę “pięć”, wtedy też rozgrywają się najkrwawsze bitwy.

– Ale wszystko to brednie?

Odchrząknął.

– Powiedz to tym, którzy walczyli w wojnach ze Świątyniami – większość życia spędzili na Dalekim Południu, paląc i łupiąc miejsca, gdzie oddawano cześć starym bogom. Albo powiedz to Izgardowi z Garizonu. Uwielbia planować swe kampanie wojenne, stosując jak najwięcej piątek: pięć batalionów, pięciu generałów, pięć czegokolwiek, co przyjdzie mu do głowy. – Przygryzł bliznę na ustach. – Wierzy, że tkwi w tym jakaś moc. I nie jest w tych wierzeniach osamotniony.

Zmagając się z zawłościami tych wywodów, zapytała:

– Więc diabeł był piątym bogiem?

– Przynajmniej do takiego wniosku doszła Święta Liga, zakazując składania ofiar starym bogom i każąc wielbić jednego. – Ravis wysączył resztkę napoju. – Zapraǳnęła wyszarpnąć diabłu jego należność.

Tessa ciągnęła za nitki szorstkiej spódnicy. Jej własny świat zdawał się niezwykle odległy.

– Kim jest Izgard z Garizonu?

– Izgard z Garizonu jest człowiekiem, którego zachcianki są natychmiast spełniane.

Ravis powiedział to z tak grobową miną, że aż się wzdrygnęła.

– Gdzie leży Garizon?

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Marcel. Eleganckie ubranie bankiera było nieco pogniecione. Kosmyk włosów opadał mu na twarz, a nadgarstek opasywała czerwona pęga.

Ravis rzucił Tessie ostrzegawcze spojrzenie.

– Jeżeli będziemy mieć sposobność rzucić okiem na mapę, kochanie, nie omieszkam ci wszystkiego wytłumaczyć.

– Na mapę? – zdziwił się Marcel.

Ravis ziewnął przeciągle.

– Tak, nasza urocza Tessa przejawia zainteresowanie złożami lazurytu w Azhenestanie.

Marcel uśmiechnął się do Tessy. Jego wzrok spoczął na jej piersiach, po czym szybko uciekł w drugą stronę.

– Uroda i głód wiedzy. Ravis jest prawdziwym szczęściarzem. A teraz proszę panią o wybaczenie, muszę omówić z Ravisem kilka ważnych spraw. – Skłonił się, a następnie zwrócił do Ravisa: – Mam w piwniczce nową skrzynkę beriaku. Zechcesz zejść i popatrzeć?

Ravis przez cały czas kościstym palcem pocierał swą zaróżowioną bliznę. Kiedy bankier skończył mówić, zwrócił się do Tessy z uśmiechem. Był to wielce złośliwy uśmiech i pierwszy, który w jej obecności przejawił się również w oczach.

– Marcel – zaczął. – Przez pięć ostatnich lat Tessa mieszkała w Taire, a nie muszę ci chyba wyjaśniać, jacy w tej owczej norze mieszkają barbarzyńcy. Postawiłbym w zakład ostatniego srebrnika, że z chęcią przyłączyłaby się do nas na mały łyczek.

Słyszając te słowa, Tessa nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Tak wyglądała nieznana, czarująca strona Ravisa, prócz tego także dość cwana. Marcel nie zaoponował. Nie mógł sprzeciwić się tak uprzejmej prośbie.

– Bardzo dobrze, Ravisie, skoro nalegasz. – Mężczyźni długo patrzyli na siebie. Marcel pierwszy odwrócił wzrok. – Proszę za mną.

Poprowadził ich w dół wąskimi schodkami. Tessa schodziła trzy stopnie za nim, wpatrując się w jego połyskującą łysinę i wdychając zapach książek. Tam, gdzie nie docierało światło, panował chłód. Boazeria ustąpiła miejsca odpadającym tynkom, a te z kolei gołym

kamieniom. Tessa trzęsa się, zdając sobie nagle sprawę z pustki panującej w żołądku, choć wcale nie była głodna. Gdzieś z tyłu ciche kroki Ravisa przypominały delikatny odgłos szeleszczących liści na gałęziach uderzających o szybę, kiedy wieje wiatr.

Marcel niósł lampkę, która płonęła jednostajnym ogniem, wydzielając niewiele dymu. Po zejściu na sam dół przekazał ją Tessie i zaczął szukać klucza w kieszonce kamizelki. Klucz wkrótce znalazł się w zamku, zgrzytnęła zasuwka, lecz Tessa nie spuszczała wzroku z obwiedzonego czerwoną pręgą nadgarstka Marcela. Nie dostrzegła, by poruszyła się jakaś kość czy ścięgno.

– No i jesteśmy – obwieścił, otwierając drzwi. – Mój osobisty skarbczyk. Serce mojego skromnego gniazdka.

Tessa spojrzała na Ravisa. Czy nie widział, że coś tu nie pasuje? Ravis skinął głową, każąc jej wejść do środka.

Marcel znikł niespodziewanie, zabierając z sobą lampkę i pozostawiając ich tym samym w ciemności. W chwilę później ożyła sporych rozmiarów ścienna lampa, rozjaśniając kąty piwnicy. Tessa rozejrzała się wokół siebie. Krzyżujące się rzędy regałów podzieliły całe pomieszczenie na kwatery. Półki skonstruowano w kształcie litery V i wyposażono w przegródki, w których spoczywały przeróżne beczki, butle i gliniane słoje. Posadzka została wyłożona płytkami w kształcie rombów, których deseń nie wszędzie pokrywał się z drewnianymi półkami. Drażniła ją ta niekonsekwencja: piwnica stanowiła wzór z widoczną skazą.

Marcel dotrzymał obietnicy: odszpuntował jedną z baryłek i napełnił po brzegi trzy drewniane kubki. Zgodnie z milczącą umową, Tessa i Ravis poczekali, aż Marcel wychyli zawartość. Następnie Ravis poszedł w jegoślady. Również Tessa skosztowała trunku.

– No, dobrze – powiedział Ravis, podając kubek bankierowi do powtórnego napełnienia. – Myślałeś o naszej wczorajszej rozmowie?

Spojrzenie Marcela zatrzymało się na Tessie. Unosząc kubek tak, by dotykał podbródka, Tessa starała się ukryć piersi. Niepotrzebnie się trudziła, Marcel zdążył odwrócić wzrok. Mętne spojrzenie utkwiał w Ravisie. Podobnie jak wcześniej na ulicy, tak i teraz jej obecność zesłała na dalszy plan. Wolno cofnęła się, szukając dłonią półki, o którą by mogła się oprzeć.

– Nasza rozmowa utkwiała mi głęboko w pamięci, Ravisie – rzekł Marcel. – Od tamtej pory nie myślę o niczym innym.

– O niczym? – odparł Ravis lekkim tonem. Czy widział nadgarstek Marcela? Tessa stała zbyt daleko, żeby być tego pewna. – Wobec tego udzielisz mi pożyczki?

– Tak – zgodził się bankier cierpko.

– No to do dzieła.

– To nie takie proste. Ja...

– Co takiego, Marcel? – Język Ravisa przesunął się ponownie po bliźnie na wardze.



– Potrzebuję zabezpieczenia. – Wzrok Marcela powędrował gdzieś w lewo. Tessa popatrzyła w tę samą stronę. Stał tam wysoki rząd półek, który mógł – choć nie musiał – przylegać do ściany. – Chcę mieć pewność, że nie zostanę oszukany.

Ravis zbliżył się do Marcela.

– Co masz na myśli?

Bankier wyglądał na przestraszonego. Kiedy otworzył usta, w piwnicy rozległ się głos:

– Ja będę poręczycielem.

Tessa westchnęła. Słyszała już wcześniej ten głos: rano, na ulicy. Zza beczek wyłonił się mężczyzna. Miał na sobie kaptur, lecz oświetlony płomieniem lampy, odrzucił go na plecy.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Pozwól, Ravisie, że przedstawię ci Camrona z Thornu.

Słowa Marcela zawisły w powietrzu niczym dym. Nikt się nie poruszył. Tessa spojrzała na nowo przybyłego, na ostre rysy jego pociągłej twarzy, na oczy wyglądające jak podświetlone sztucznym światłem.

Oblicze Ravisa stanowiło ciemne tło dla szramy na wardze – poszarpanej linii, która wypaczyła idealnie ukształtowane usta.

Obaj mężczyźni obrzucali się spojrzeniem. Tessa poczuła mrowienie na plecach. Jeśli była tu kimś obcym, miała przynajmniej towarzystwo. Jednak żaden z nich nie raczył spojrzeć na Marcela.

Nad głowami zaskrzypiała belka, a po posadzce przebiegł szczur; jego drobne, różowe łapki podążały wzdłuż szczelin w kamieniu. Nie podobna było odmierzyć upływającego czasu. Mięśnie Tessy drżały z wysiłku, gdy próbowała nad sobą zapanować. Wiedziała, że nie wolno jej się teraz ruszyć.

Ravis wciągnął powietrze, po czym rzucił się do biegu, trzema susami doskakując do drzwi. Odwrócił się w progu i omiół wzrokiem wnętrze piwnicy. Wyciągnął rękę w stronę Tessy, choć wpatrywał się w twarz Camrona z Thornu.

– Jak sam rano stwierdziłeś, nie jestem twoim dłużnikiem. Będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli na tym poprzestaniemy. Miłego dnia. – Ukłonił się i zwrócił do Tessy: – Chodź, ukochana, pora zjeść śniadanie.

– Spróbuj stąd wyjść, a zanim butami wzniecisz kurz na drodze, moi ludzie poderzną ci gardło.

Tessa zamarła w bezruchu. W głosie obcego pobrzmiwała śmiertelna powaga, a w jego oczach migotały iskierki szaleństwa.

Marcel podniósł rękę, chcąc zabrać głos, lecz Ravis złapał go za przedramię, uprzedzając jego słowa:

– Gdybyś był taki uprzejmy i odprowadził Tessę do domu... – Poczekał, aż Marcel kiwnie głową na znak zgody, potem odwrócił się do nieznanego. – Po rozważeniu wszystkich za i przeciw – rzekł, patrząc głęboko w szare oczy Camrona – sądzę, że spróbuję szczęścia z twoimi ludźmi.

Mówiąc to, uśmiechnął się smutno do Tessy i ruszył na zewnątrz.

– Może spróbujesz też szczęścia z Izgardem z Garizonu?

Te ciche słowa sparaliżowały Ravisa.

Tessa poczuła ciarki na plecach. Nagle cała piwnica – wraz ze źle dobranymi kątami i liniami, które rozbiegały się we wszystkich możliwych kierunkach – zaczęła przypominać klatkę. Zaprażyła wyjść na powierzchnię. Niczego nie rozumiała: ani tego, co zdarzyło się na ulicy, ani tego, co działo się teraz. Od wtrącenia się w konflikt powstrzymało ją tylko dziwne wrażenie, że przygląda się sztuce wystawianej na deskach teatru.

– Co ty mógłbyś wiedzieć o Izgardzie z Garizonu? – Ravis ściszył głos, by ukryć gniew. Jego dłoń spoczęła na rękojeści noża.

Mężczyzna nazwany Camronem wzruszył ramionami.

– Wiem, że chciał cię zamordować wczoraj rano, kiedy spałeś w swoim łóżku.

Ravis przygryzał zębami szramę, dopóki uśmiech nie wypchnął wargi poza ich zasięg. Roześmiał się i poczekał, aż zniknie z oblicza Camrona wyraz buty, potem zamilkł. Cisza w piwnicy była jego dziełem. Postępując jeden krok do przodu, zawładnął także przestrzenią.

– Morderstwo to mocne słowo, przyjacielu. Zanim coś powiesz, wpierw upewnij się, czy to prawda. – Przeszywał wzrokiem Camrona, którego twarz oprócz gniewu odzwierciedlała także jakieś inne uczucie. To coś przejawiało się w błysku rozbieganych oczu; to coś Ravis rozpoznał bezbłędnie.

– Prawda, Ravisie z Burano? – Camron przecesał ręką ciemnozłote loki. – Prawda jest taka, że wczoraj, krótko po wschodzie słońca, czterej harrarzy Izgarda wtargnęli do burd... – spojrzał ukradkiem na Tessę – tawerny, gdzie zatrzymałeś się na nocleg, i rozszarpali twoje łóżko na strzępy. Z jakiegoś powodu spodziewali się zastać cię tam dokładnie o tej porze.

Ravis zamierzał ponownie przygryźć wargę, ale się rozmyślił. Po tym, jak spóźnił się na „Czterolistną Koniczynkę”, nie wrócił już do burdelu. A to oznaczało, że Camron mógł mówić prawdę. Izgard w końcu musiał wykonać jakiś ruch. Król Garizonu miał wiele powodów, by upomnieć się o głowę swego najemnika. Teraz, po wygaśnięciu kontraktu, gdyby darował mu życie, mógł niewiele zyskać, sporo za to stracić.

Dotykając tę niewielką część blizny, która biegła po wewnętrznej stronie wargi, rozważał usłyszane słowa.

Ravis z Burano. W mieście nikt za wyjątkiem Marcela nie znał jego prawdziwego imienia – wszyscy, z którymi zetknął się tego roku, nazywali go po prostu Ravisem. Skoro bankier wyjawiał jego imię, cóż jeszcze mógł zdradzić? I dlaczego?

Zastanawiała go też pora dokonania zamachu. Dotychczas był zdania, że zasnął, teraz jednak okazało się, że – jeśli wierzyć słowom Camrona – nie dospał. Ravis znał króla Garizonu. Wiedział, że nie spuści on ze smyczy swych ogarów, jeżeli nie zdobędzie pewności, że wszystko zostało dopięte na ostatni guzik.

Harrarzy prawdopodobnie wędrowali z Weizach łądem i mogli nie dotrzeć do Bay’Zell przed świtem. Izgard musiał się jakoś upewnić, że jego ofiara nie wymknie się do Mizerico, unikając noży zamachowców. Z pewnością poczynił odpowiednie kroki, by najemnik spóźnił się na statek.

Ravis zacisnął pięści. Izgard na pewno poleciłby go uśpić; w grę wchodziły magia, alchemia i narkotyki. Zabójcy wtargnęli do burdelu, spodziewając się, że go tam jeszcze zastaną. Ale się pomylili. Z jakiejś przyczyny zbudził się wcześniej, niż to było zaplanowane.

Przypomniał sobie wstęgi i węże, wijące się na obrazku, zawile ornamenty wypalone na papierze welinowym niczym tatuaże na ludzkim ciele.

Iluminacje. Trzykrotnie oglądał podobne wzory: raz w Weizach – kiedy przeszkodził Izgardowi w naradzie ze skrybą – później nocą u, Marcela i na koniec dziś rano, kiedy przypadkowo natknął się na szkic wyrysowany ręką kobiety, której życie uratował zeszłego dnia w dokach.

Nie wierzył w zbiegi okoliczności. Nie wierzył w nic oprócz siebie.

Spojrzał bystro na Camrona. Złote kosmyki włosów i głębokie cienie pod jego oczami kazały mu przypuszczać, że to właśnie on jest tym człowiekiem, którego zeszłej nocy spotkał w poczekalni u Marcela. Odkrycie to niczego nie wyjaśniło, stanowiło jedynie kolejny problem do rozgryzienia.

Czyżby ów człowiek go potrzebował? Ród z Thornu należał do najstarszych i najmożniejszych w Raize. Po drugiej stronie Gór Działowych zwano ich Thorenami. Pretendowali do tronu, a słuszność ich roszczeń trudno było podważać. Nawet zamek na przedpolach Bay'Zell, który obrali sobie na siedzibę, należał wcześniej do pierwszego króla Garizonu.

Ravis uśmiechnął się. Nareszcie rozwiązał zagadkę.

– Powiedz mi, przyjacielu – zwrócił się do Camrona – dlaczego tak się palisz, by ręczyć za moją pożyczkę?

Marcel wziął głęboki oddech, lecz Camron go uprzedził.

– Ponieważ chcę cię wynająć.

– Nie tylko poręczy za twoją pożyczkę, ale także dorzuci coś z własnej kieszeni – dodał Marcel.

Ravis uciszył go groźnym spojrzeniem. Bankier zacisnął swe wypielegnowane dłonie w pięści. Cel tego spotkania był oczywisty: Marcel nie miał ochoty pożyczać drogocennego złota bez uzyskania rękojmi. Ojciec Camrona należał do pięciu najbogatszych ludzi w królestwie. Berick z Thornu zdoła poręczyć za całą górę złota. Pozostawała jedna kwestia do wyjaśnienia: jak wiele Marcel wyjawiał Camronowi?

– Wynająć mnie? – Ravis zmarszczył czoło. – Obawiam się, że niewiele mam ci do zaoferowania. Kośćmi rzucam jako tako, tańczę tarelkę z wątpliwą gracją i chociaż byłem znany z miłosnych sonetów, dotychczas żadna dziewczyna nie uległa ich czarom.

Camron skoczył zniemacka. Ręką zakręcił młyńca, a jego pięść runęła na Ravisa. Okręcając się na pięcie, żeby wytrącić napastnika z równowagi, Ravis w ostatnim momencie złapał go za nadgarstek. Camron był od niego młodszy i silniejszy, lecz najemnik znał kilka skutecznych sztuczek. Wykręcając nadgarstek, zdołał powalić młodego szlachcica na kolana.

– Panowie, proszę! – wmieszał się Marcel. – Nie przy damie!

Dama? Ravis omal nie wybuchnął śmiechem. Marcel nie zamierzał bronić Tessy. Przeszkodził walczącym dopiero wtedy, gdy sprawy przybrały niekorzystny dla Camrona obrót. Bogactwo i zamożni ludzie stanowili oczko w głowie Marcela z Vailing.

Ravis rozluźnił uchwyt. Camron wyprostował się. Z nienawiścią spoglądał na Ravisa, który znów odniósł wrażenie, że w tym człowieku jątrzy się jakaś nie zagojona rana. Pocierając policzek, Camron zauważył:

– Wiem, dla kogo pracowałeś i co zrobiłeś. Nie obrażaj mnie mdłymi historyjkami i głupawymi żarcikami.

Ravis zerknął na Marcela. Bankier odwrócił wzrok.

– W Bay’Zell jesteś od roku – Camron podjął wątek. – Obserwujesz nabrzeża, wyszukujesz odpowiednich ludzi. Rekrutujesz armię dla Izgarda z Garizonu. Maribańskich łuczników, istanijskich kawalerzystów, inżynierów z Balgedisu; wszystkich, którzy zahaczyli o ten port w poszukiwaniu wojaczki lub lepszego losu, werbowałeś, nagradzałeś i posyłałeś łądem do Weizach. – Camron zmusił się do gorzkiego śmiechu. – To najlepsze miejsce do tego typu działalności. Miasto, którego Izgard pożąda najbardziej. Więcej ludzi przewija się przez Bay’Zell, niż przez jakikolwiek port na zachodzie: najemnicy, łowcy nagród, rycerze, odszczepieńcy i błazny. Wszystkich pilnie obserwowałeś i dobierałeś nie mniej ostrożnie, niż Marcel dobiera wino do swej piwniczki. Kupowałeś ich po tej samej, wielce konkurencyjnej stawce. – Słowa te wypowiadał niskim głosem i z wyraźną odrazą. – Można by ci wybaczyć, gdybyś sam był Garizończykiem, rozumiałbym cię i szanował. Lecz nie, ty jesteś tylko bękartem z Drokho! Najemnikiem, który przysparza diabłu nowych najemników.

Ravis poczuł krew pod językiem: przegryzł bliznę. Zmusił się do spokoju.

– Nie jestem niczym bękartem, Thornie.

Wargi Camrona rozciągnęły się w uśmiechu.

– Nie, tylko twój brat cię za takiego uważał.

– Panowie, panowie! – Marcel wkroczył pomiędzy zdenerwowanych przeciwników, poruszając się tak szybko, jak każdy bankier, kiedy jego aktywa są w niebezpieczeństwie. – Błagam, bądźmy rozsądni! Zebraliśmy się, żeby porozmawiać o interesach, a nie o pochodzeniu.

Ravis nie słuchał paplaniny Marcela. Krew pulsowała mu w skroniach, uszach i policzkach. Wyobraził sobie sto krwawych sposobów zabicia człowieka, który przed nim stał. W gruncie rzeczy chciał zgładzić obu: Camrona i Marcela. Wiedział, że zdrada bankiera nie powinna go dziwić – przez całe życie następowała mu na pięty – lecz nawet teraz, po czternastu latach polegania wyłącznie na sobie, fałszywy przyjaciel wciąż napawał go wstrętem.

Przyjaciel. Ravis uśmiechnął się, myśląc o swojej naiwności. Marcel nigdy nie należał do jego przyjaciół. Marcel posiadał tylko jednego przyjaciela, a miał on na imię Złoto. Dlatego właśnie ukartował to spotkanie.

Kiedy Izgard szukał bankiera, który mógłby przeprowadzić kilka transakcji w Bay'Zell, a zwłaszcza odebrać przekaz funduszy na pokrycie wszelkich kosztów, łącznie z opłaceniem najemników, zwrócił się do najbardziej dyskretnego i elastycznego źródła pieniędzy na zachodzie: Marcela z Vailing. Marcel nie odważyłby się odrzucić propozycji króla Garizonu. A jeśli kampania Izgarda zakończy się powodzeniem? Co się stanie, jeżeli Bay'Zell zajmie garizońska straż i pojawią się kupcy, by przejąć interesy i zagarnąć wszystkie zyski? Jako pierwszy swoje udziały straciłby Marcel. Sądził, że funkcja osobistego bankiera Izgarda w Bay'Zell uchroni go przed skutkami nadciągającej zawieruchy i jak długo nie będzie nadawał rozgłosu swoim poczynaniom, tak długo nikt się w Raize niczego nie domyśli.

Marcel zabezpieczał sobie tyły. Zawsze mógł w końcu stwierdzić, że najważniejszą powinnością każdego bankiera jest zapewnienie bezpieczeństwa bankowym aktywom.

Ravis wzruszył ramionami. Czego można się spodziewać po bankierze, oprócz jego chciwości?

Marcel odkaszlnął z wystudiowaną gracją, skupiając na sobie uwagę, przywracając ład i porządek.

– Panowie... Może przejdziemy do interesów? – Spojrzał najpierw na Camrona, później na Ravisa. Nie zrażony posępnymi minami i zaciśniętymi pięściami, dodał: – Zaczniemy od faktów, zgoda? Ravisie, potrzebujesz gotówki. Nie masz na oku żadnego zajęcia, nie posiadasz też zobowiązań na przyszłość. Możesz podpisać każdy kontrakt, który ci się spodoba...

– W Bay'Zell nie spodoba mi się żaden kontrakt. – Ravis nie raczył spojrzeć na mowę. Wpatrywał się w Thorna.

– Zdrajcy nie mają wielkiego wyboru – stwierdził Camron i wyprężył się dumnie, podkreślając swoje szlachetne urodzenie. – Jeśli nie przyjmują pierwszej lepszej oferty, kładą głowę pod topór.

Blizna Ravisa piekła niemiłosiernie.

– Co to właściwie za oferta?

– Potrzebuję twoich informacji i pomocy w unieszkodliwieniu Izgarda z Garizonu.

Pierwszą reakcją Ravisa był napad śmiechu. Camron z Thornu musiał być obłąkanym furiatem albo zaślepionym głupcem. Unieszkodliwić Izgarda! Nikt nigdy nie zbliżył się wystarczająco blisko, nikomu też nie wystarczy sprytu, by oddać strzał w kierunku króla Garizonu. Szybko jednak spoważniał na widok blasku, ukazującego całą gamę odcieni szarości, jakim jaśniały oczy Camrona.

– Z czego wnosisz, że mogę ci pomóc? Jestem przecież tylko najemnikiem. – Ravis starał się wypowiedzieć ostatnie słowo lekkim tonem, lecz utknęło mu ono w gardle i zamiast zamierzonego efektu, w jego głosie dała się wyczuć kropla gorzkości.

– Człowieka który dwa lata spędził w Garizonie, musztrując armię Izgarda i szkoląc jego generałów, nie nazwałbym zwykłym najemnikiem.

Aby otrząsnąć się z dokuczliwego, przygnębiającego wrażenia, jakie wywołały słowa Camrona, Ravis wbił wzrok w Marcela. Długo się w niego wpatrywał, aż bankier nie wytrzymał i odwzajemnił spojrzenie. Jeśli szukał choć cienia satysfakcji, znalazł ją w nadmiarze w oczach Marcela; był w nich też strach, a nawet odrobina wstydu, lecz Ravis potrzebował tylko czegoś, co podsycałoby jego gniew.

Bankier z Bay’Zell nie tylko wyśpiewał Camronowi wszystko, co dotyczyło interesów Ravisa w mieście, ale także wyjawiał jego przeszłość. Zdradził tajemnice, których nie powinien ujawniać: treść porozumienia, jakie bezduszny szlachcic z Drokho zawarł z człowiekiem, który miał wkrótce zasiąść na tronie. Marcel nie był obecny przy podpisywaniu kontraktu. Nie przebywał nawet w tym samym kraju, kiedy ów pakt przypieczętowały badawcze spojrzenia, suche ręce i gorący wosk. Ta sprawa dotyczyła tylko jego i Izgarda.

Ravis dwa lata spędził, pracując u Izgarda w Garizonie, a od roku przebywał tu, w Bay’Zell. W sumie trzy lata, podczas których każdego dnia sprzedawał się na nowo. Wszystko, czego się nauczył na wschodzie – całą wiedzę nabytą w trakcie podróży po kontynencie (w tym czasie jego serce nie ruszało się z martwego punktu) – podsumował, uporządkował i sprzedał królowi Garizonu.

Nie po raz pierwszy licytował swoje umiejętności. Siedem lat upłynęło, odkąd wrócił ze wschodu, i niejednym sypnąłby szczerze złotem, byle tylko wykorzystać jego instynkt oraz intuicję. W pewnych niewielkich, tajemnych kręgach, gdzie takie sprawy zajmowały poczesne miejsce, imię jego wymawiano z podziwem. “Ravis z Burano – powiadano – w niespełna pół roku zdziesiątkował wojsko Alvecha. Wziął pod swą komendę straż pałacu w Chaniz i całe to stado baranów zmienił w niszczycielską potęgę. Po czternastu miesiącach doradzania Mallangarowi z Endezu, ów początkowo obłączony książę wygrał wojnę”.

Ravis spijał sączącą się z wargi krew. Nie próżnował od chwili powrotu na zachód.

Z każdą kolejną misją nabywał nowego doświadczenia. Barbarzyńcy ze wschodu walczyli inaczej niż ich dalecy kuzyni na zachodzie. Nie okazywali zainteresowania blaszaną zbroją, twierdząc, że nie chcą zamykać się w klatkach jak złapane ptaszki. Wyśmiewali rycerzy z zachodu, przypisując im powolność i ociężałość, a także dziwili się ich przywiązaniu do taktyki obronnej. Żołnierz ze wschodu szanował strategię, brutalność i zwinność. Gardził romantyzmem kodeksu honorowego rycerzy i atakował, nie przestrzegając wojennych obyczajów. Świetnie wyszkolona piechota cieszyła się szacunkiem; piechurów nie obciążano bronią, dzięki czemu zwiększono ich operatywność w polu. W ciągu pięciuset lat tradycji wschód nie dał się pognać; szlifował taktykę, której zawsze był wierny.

Nie można powiedzieć, że wojownicy wschodu wypracowali idealną strategię prowadzenia wojen. Ostatnich siedem lat nauczyło Ravisa, że wiele krajów zaczęło perfekcyjnie posługiwać się pewnymi technikami i bronią. Istota rzeczy polegała na tym, by przejąć najlepsze wzorce – od łuczników z Maribane, pikinierów z północnego Drokho, jeźdźców z Istanii i od wschodnich strategów – i stworzyć z nich jedną spójną siłę.

Ravis podszedł do Tessy. W trakcie całego zamieszania nalała sobie kubek przedniego beriaku Marcela. Kiedy zauważyła, że Ravis do niej podchodzi, wyciągnęła w jego kierunku resztkę napoju. Był jej za to wdzięczny. Poczuł się nagle bardzo zmęczony. To spotkanie trwało zdecydowanie za długo.

Podnosząc kubek do ust, zdał sobie sprawę z uważnego spojrzenia Tessy. O czym myśli ta kobieta, która przybyła tu nie wiadomo skąd? I dlaczego tu przybyła?

Beriak smakował niczym nektar bogów. Ogrzany dłońmi Tessy, zbudził się po piętnastu latach trwania w bezruchu. Zaśpiewał na podniebieniu, a następnie w przelyku pieśń o wszystkim, co dobre w Raize. Złoty likier koił wizjami winnicy skąpanej w promieniach słońca, gleby bogatej w wapno i klifów z czystego wapienia.

Wzrok Ravisa spoczął na Camronie. Nie byłby zaskoczony, gdyby się nagle okazało, że owa winnica należy do Bericka z Thornu. Rzeczą powszechnie wiadomą było, iż Thornowie władają sporym obszarem ziemi u podnóża Gór Działowych i Gór Północnych.

Niewykluczone, że Camron myślał o tym samym, gdyż powiedział:

– Mogę dobrze zapłacić i zapłacę za twoje usługi.

Ravis uśmiechał się – co zawsze robił po wypiciu beriaku.

– Nie należę bynajmniej do grona przyjaciół zbrodniarza, Thornie. Może i pomogłem Izgardowi zebrać wojsko, ale nie jestem powiernikiem jego planów. To, co robi i dokąd idzie, mało mnie obchodzi. W niczym nie mogę ci pomóc. Nie posiadam informacji ani umiejętności, których ode mnie wymagasz.

– Łżesz. Pracowałeś dla niego dwa lata. Znasz rozkład zabezpieczeń, sam też szkoliliś gwardzistów. Nie sądzisz chyba, że uwierzę, iż nie wiesz niczego o Izgardzie z Garizonu, podczas gdy... – uniesiony gniewem, Camron szukał odpowiednich słów – ...przez ostatnie trzydzieści sześć miesięcy brałeś od niego pieniądze.

Ravis nieznacznie odetchnął. Przez chwilę myślał, że Camron zamierza powiedzieć coś zupełnie innego; coś, czego nawet Marcel ze swym czujnym okiem i łapczywymi, bankierskimi palcami nie wiedział.

Rozluźniony zarówno za sprawą trunku, jak i ulgi spowodowanej przekonaniem, że jedną z tajemnic wciąż zna tylko on, Ravis powiedział:

– Zamach na Izgarda nie wchodzi w rachubę. Żadna obca osoba, nigdy nie podejdzie dość blisko. On ma ludzi, którzy z radością przetną tor lotu strzały lub przyjmą na siebie pchnięcie miecza, byle tylko osłonić swego władcę. Inni królowie nie mają tylu kuchcików i kucharek,



co on podczaszych, którzy kosztują przed spożyciem jego potrawy. Uszczelnił linie obrony i uzbroił zamki, czyniąc z nich niezdojbyte twierdze. Na każde jego skinienie spieszą harrarzy.

Ravis cofnął się myślami do tej jednej chwili, kiedy przeszkodził Izgardowi w naradzie ze skrybą.

“«Martwię się o nasze wojsko. Harrarzy są lojalni, lecz ludzie, których sprowadzamy z północy oraz z Istanii, muszą podlegać wnikliwej kontroli».

Izgard popatrzył zza ramienia skryby. Wzory, wzory na biurku, czerwone, błękitne i złote ozdoby. Odcienie kolorów odbijały się w źrenicach króla, kiedy raczył odpowiedzieć:

«Ty, Ravisie, masz tylko szkolić żołnierzy, nic ponadto. O ich lojalność zadbam ja»”.

– Jestem pewny, że można w jakiś sposób pokonać Izgarda. – Camron rozproszył wspomnienia Ravisa, zrywając więzi, jakie na krótko połączyły go z przeszłością.

– Pokonać? – odrzekł Ravis cicho. – Nie przypominam sobie, żebym mówił, iż nie ma sposobu, by pokonać Izgarda. Powiedziałem tylko, że nie da się go zamordować.

– Pokonać! Zamordować! Owijasz wszystko w bawełnę, Ravisie z Burano. Pragnę pozbawić Izgarda garizońskiego tronu. Chcę jego śmierci!

– Obie te rzeczy nie są wcale tym samym. Powiadam ci, Thornie, łatwiej rozbić armię Izgarda tutaj, na terytorium Raize, niż próbować zabić samego króla w Garizonie.

Camron uderzył pięścią w ścianę. Zabrzęczały garnki i słoje. Jedna z flaszek potoczyła się po półce i rozbiła o ziemię.

– Nie dbam o to, co myślisz. Izgard będzie gnął w piekle jeszcze przed nowym rokiem.

– Dlaczego? – parsknął Ravis, poruszony czymś, co usłyszał w głosie Camrona. – Dlaczego śmierć Izgarda tak ci leży na sercu?

Marcel postąpił krok do przodu.

– Ravisie...

– Ty siedź cicho, bankierze. Nie masz prawa do tej historii. – Camron spojrzał uważnie na Ravisa. W tęczęwkach jego oczu rozbłysło jakby płynne żelazo. Jeden z mięśni w kącikach ust zaczął drgać. – Wczoraj rano, po opuszczeniu burdelu, harrarzy pomknęli prosto na zamek Bess. Do zapadnięcia zmroku czaili się między skałami, a potem przez szyb wentylacyjny prowadzący do garderoby wdarli się do zamku. Zdaje się, że było ich mniej niż tuzin, lecz zdołali wyrznąć wszystkie posterunki. Kiedy ich wreszcie dopadłem, zabijali właśnie mojego ojca.

Tessa westchnęła.

Ravis przymknął powieki. Czuł ból Camrona, jakby to była jego osobista strata. Wiedział, ile trzeba zapłacić za spokojny i opanowany ton głosu, kiedy się opowiada o śmierci ukochanej osoby. Znał tę cenę.

– Camronie, jest mi...

Camron odwrócił się do nich plecami. Uderzał ostrzegawczo pięścią o udo i potrząsał głową, stojąc przy ścianie.

– Nie waż się mówić, że ci przykro. Lepiej milcz i nawet o tym nie myśl. Nawet tego nie czuj. Twoje współczucie nic dla mnie nie znaczy.

Te słowa ukłuły Ravisa do żywego. Nie powinny – bądź co bądź słyszał w życiu gorsze, o wiele gorsze – ale ukłuły. Bawiąc się węzełkami przy płaszczu, udawał nonszalancję.

– Proszę. – Ciszę przerwał dziwny, melodyjny głos Tessy. Wręczyła Camronowi kubek beriaku. – Wypij, zaraz poczujesz się lepiej.

Ravis zauważył, że Camron spogląda na Tessę, jakby dopiero teraz spostrzegł jej obecność. Jego oczy błyszczały i na przekór ciemnym smugom i głębokim zmarszczkom na twarzy wyglądał bardzo młodo. Oboje wyglądali młodo. Odezwał się szybko:

– Powiadasz, że mordercami byli harrarzy Izgarda? Skąd ta pewność?

Camron wysączył całą zawartość kubka. Nie patrząc na Tessę, wręczył jej puste naczynie. Z nieznanej przyczyny poirytowało to Ravisa.

– Nie mieli na sobie wojennych barw Izgarda, jeśli o to ci chodzi – rzekł Camron. – Znali lokalizację garderoby i rozkład komnat na zamku, a Izgard miał dostęp do takich informacji. Tę warownię wybudowali jego praprzodkowie. Niegdyś należała do samego króla Hieraca. Możliwe, że wciąż w Weizach znajdują się plany zamku.

Ravis kiwnął głową potakująco. Izgard zwykł zachowywać wszelkie środki ostrożności.

– Jak ci ludzie wyglądali?

– Jak wyglądali? – parsknął Camron. – Byli podobni do zwierząt. Powiadam ci, do zwierząt. Obnażone zęby, pochylone sylwetki. – Wzdrygnął się. – Nie przywodzili na myśl ludzkich istot.

Tessa spojrzała na Ravisa znacząco, ostrzegając go, żeby nie naciskał za bardzo na Camrona. Ravis zignorował ją.

– Nie szkoliłem harrarów, by byli zwierzętami. Szkoliłem ich, by w najwłaściwszy sposób wykorzystywali zdolności umysłu i zalety broni, by z zimną krwią gromili przeważające siły wroga. – Mówiąc to, przechadzał się wolnym krokiem. Kawalki potłuczonego szkła chrzęściły mu pod stopami. – Harrarzy stanowią elitarne wojsko Izgarda: nie tylko po mistrzowsku władają bronią, ale są też bezgranicznie oddani swemu panu. Może to nie oni napadli na zamek, tylko sfera wściekłych psów?

– Czy pies rozerwałby tułów mężczyzny? – zapytał ostro, niemal histerycznie Camron. – Czy odwinąłby skórę, żeby ukazać serce?

Ravis zagryzł wargę. Praktyka ściągania skóry i odsłaniania serca znana była w Garizonie od stuleci, a z własnego doświadczenia wiedział, że Izgard kocha się w tej starej i krwawej tradycji. W czasie dwóch lat spędzonych w Weizach Ravis przyglądał się kilku trupom, które okaleczono w ten sposób, tak aby stanowiły przestrożę i groźbę.

Widział nawet człowieka pozostającego wciąż przy życiu po tej strasznej egzekucji. Serce nieszczęśnika nie przestało tłoczyć krwi. Król Garizonu w większym stopniu niż ktokolwiek na kontynencie doceniał znaczenie strachu.

Pogłaskał skórę płaszcza w okolicach serca. Próbował nadażyć za tokiem myśli Camrona. Zwierzęta? Niecały tuzin zabija całą straż wystawioną na zamku? A jakby tego było mało, dochodzi jeszcze ten burdel. Puste łóżko pocięte na strzępy? Żaden człowiek, którego osobiście szkolił, nie marnowałby czasu na niszczenie mebli we wrogim mieście i to za dnia, gdy każda chwila zwłoki mogła równać się z fiaskiem misji. Z jakim złem Izgard się sprzymierzył?

– Czy planowałaś wyjechać z Bay’Zell, zanim zamordowano twego ojca? – Tessa zadała pozornie nic nie znaczące pytanie. Ravis zaklął pod nosem. Zdażył zapomnieć, z jakiego powodu przyprowadził ją tutaj.

Camron wziął głęboki oddech i Ravis po raz pierwszy usłyszał, jak przemawia spokojnym tonem:

– Tak, zamierzałem dzisiaj wyjechać z miasta.

Tessa skinęła głową. Nic więcej nie powiedziała.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Camron nie zaciskał już pięści, a jego ręce opadły luźno wzdłuż tułowia. Nerwowo przetykał ślinę. Ravis omal nie wyciągnął ręki, aby dotknąć jego ramienia, ale się powstrzymał.

Marcel postanowił przerwać ciszę.

– Cóż, to chyba jasne, dlaczego Berick został zamordowany.

– Doprawdy? – zapytał Ravis cicho.

– No, tak. – Marcel zerknął na Camrona, czy ten nie chce mu przerwać. Camron milczał jednak, ze wzrokiem wbitym w ziemię, zatem bankier mówił dalej: – Izgard dokonał zemsty za porażkę pod Wierną Górą. Gdyby nie Berick z Thornu, Raize mógłby dziś być częścią Garizonu.

Ravis przypatrywał się bacznie Camronowi, czekając na jakąś reakcję. Skoro nie nastąpiła, zadowolił się wyjaśnieniem Marcela. Jeżeli za tym mordem kryło się coś więcej, nie on powinien zabierać głos na ten temat.

– A więc, Ravisie – rzekł Marcel – podejmiesz się nowej misji? Jeszcze dziś mogę wydać polecenie, by wypłacono ci pięćdziesiąt koron.

Camron obrócił się, by spojrzeć Ravisowi prosto w twarz. Oczy mu błyszczały, a usta zacisnęły się w wąską linię. Ravis cieszył się, że milczał.

Niewielkie miał pole do popisu. Zaraz po wyjściu na zewnątrz zastrzeliliby go kusznicy Camrona, a nawet gdyby spudłowali cudownym zrzędzeniem losu, po zmroku całe miasto ruszyłoby w pościg. Wystarczyło, żeby Camron wyjawiał władzom miejskim wszystko, czego dowiedział się od Marcela (wyłączywszy, oczywiście, udział samego bankiera). Tamtej nocy musieli ubić jakiś interes. Camron prawdopodobnie rozpoczął układy od groźby, że swoje niedawno odziedziczone dobra odda komuś innemu pod zarząd. Bankier zgodzi się na wszystko, jeśli postraszyć go finansową ruiną. Marcel z Vailing sprzedałby swój kraj za złoto.

Ravis dotknął palcem blizny. A gdzie znajdował się jego kraj? Drokho wyrzekło się go czternaście lat temu. Nie mógł postawić stopy na żyznej, czerwonej ojczyściej ziemi bez strachu przed śmiercią.

Nie posiadał nic: rodziny, kraju ani złota.

Izgard próbował się go pozbyć i jeszcze nieraz spróbuje. Król Garizonu nigdy nie pozwoli, by znajomość wewnętrznej struktury jego państwa i wojskowe doświadczenie Ravisa przeszkodziły mu w zwycięstwie. Najemnik po raz wtóry pogładził szramę na wardze. Powyższy wniosek sam się narzucał, ale – wątpił, czy się z tego cieszyć – nie był to prawdziwy powód, dla którego Izgard postanowił go zabić. Nie był.

Spojrzał na Marcela. Bankier nawet mrugał z wyrachowaniem, z udawaną obojętnością. Patrząc na niego, Ravis czuł tylko odrazę. Ten człowiek nie pojmował słowa “lojalność” – nie dbał nawet o zachowanie pozorów. Zrobił to, co było dla niego najkorzystniejsze. Żadnych pytań, wątpliwości czy moralnego wahania.

Izgard posiadał te same cechy, tylko bardziej rozwinięte. Ravis wodził po bliźnie opuszką palca. Skóra była chłodna i szorstka. W pewnym momencie pojawił się nieznaczny cień bólu, budząc wspomnienia o miejscu i czasie, kiedy jego warga została okaleczona.

Zadrzał. Tak niewielu ludzi w jego życiu, a tyle bólu i zdrady. Podjął decyzję.

– Możesz na mnie liczyć – rzekł, patrząc uważnie na Camrona z Thornu. – Pomogę ci rzucić na kolana króla Garizonu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tessa wsunęła do ust kawałek śledzia i przepłukała gardło sporym łykiem ario. To śmieszne, ale rybka była wcale niegorsza. Wprost przeciwnie – smakowała wybornie. Czym, do licha, została nafaszerowana? Już chciała zapytać o to Ravisa, ale się rozmyśliła. Są rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć.

Siedzieli blisko ognia, w małej tawernie ze stropem zawieszonym tuż nad ich głową. Blask trzciny świeczek rzucał na ściany rozchybotane cienie, sporadyczna eksplozja światła i pary w kuchni to rozjaśniała izbę, to znów ją przyciemniała. Właściciel tawerny o imieniu Stade, posępny człowiek z wystającymi kośćmi policzkowymi, krzątał się przy stole, każdą jego piędź wypełniając jedzeniem: wazami z parującą zupą i pachnącymi małżami, talerzami z białymi, bladymi rybkami (oblanymi jeszcze bledszym sosem), kielbaskami zapieczonymi nad ogniem, płatami kaczego mięsa cienkimi jak naleśniki, jajkami na twardo i gorącymi ciasteczkami z owocami. No i serem. Sera było pod dostatkiem: miękkiego, twardego, kruchego, nadpleśniałego, zabarwionego na czerwono, żółto i białe. Tessa nie wiedziała, od czego zacząć.

Ravis siedział obok niej w milczeniu. Pożegnali się z Marcelem wkrótce po tym, jak Ravis zgodził się pracować dla Camrona z Thornu. Wymienił z nim kilka słów na osobności, umówił się na następne spotkanie, a później Marcel odprowadził ich do drzwi. Chociaż Tessa nie widziała, by bankier wręczał Ravisowi jakieś pieniądze, płaszcz najemnika został pokaźnie wybrzuszony w okolicach serca.

– Panie Ravisie – rzekł Stade, krążąc wokół stołu jak gość na pogrzebie – nic pan nie je. Czy jedzenie niesmaczne?

– Nie, drogi Stade. Jedzenie wygląda i pachnie znakomicie.

Stade pogłaskał się lśniąca dłoń po nieskazitelnie białym fartuchu.

– A zatem gnębią pana jakieś inne problemy?

– Być może.

– Ach, tak? – Stade żałośnie pokręcił głową. – Kobieta?

Ravis posłał Tessie łagodny uśmiech i skinął potakująco.

– Znasz mnie dobrze, Stade.

Stade uśmiechnął się, a w jego spojrzeniu wymieszały się zadowolenie i tragizm.

– Kobiety i jedzenie. – Pokiwał głową ze zrozumieniem. – Bez nich świat jest nicością. – Popatrzył na Tessę z wyrzutem i, pokręciwszy się wokół talerzy, dosypując tu i ówdzie mięty, odszedł z markotną miną.

Tessa napawała się ucztą. Był to jej pierwszy posiłek od dwóch dni i nic nie mogło go zakłócić. Po rozprawieniu się ze śledziem ruszyła na kaczkę, z błyszczącego sosu wyławiając płaty mięsa i wrzucając je na kromki białego pieczywa. Jedząc, śledziła spod oka Ravisa. Stade miał rację: nic nie jadł. Nadrabiał za to trunkami, wychylając podstawiane raz za razem, wypełnione po brzegi kubki.

Po spotkaniu w piwnicy u Marcela jakby się postarzał i zbladł. Choć blask płomyków ognia pełgał po jego twarzy, oczy wciąż pozostawały przyćmione.

Tessa zjadła jeszcze to i owo, nic przy tym nie pijąc, po czym postanowiła przerwać ciszę. Od dłuższego czasu coś chodziło jej po głowie; w czasie rozmowy w składziku bankiera uchwyciła jakąś cienką nić.

– Kiedy przyszliśmy do domu Marcela, wspomniałeś o statku. Powiedziałeś, że się na niego spóźniłeś. A później Camron stwierdził, że tylko śmierć ojca powstrzymała go przed opuszczeniem miasta.

– To prawda. – Ravis spoglądał w ogień. – I co z tego?

– Cała nasza trójka – ty, ja i Camron – zostaliśmy wczoraj napadnięci. Żadne z nas nie planowało być dzisiaj w Bay’Zell, a już z pewnością nie ja. A tymczasem, spójrz. – Nie dostrzegając zainteresowania na twarzy Ravisa, usiłowała wyrazić się jaśniej. – Wydaje mi się, że coś nas przyciągnęło, tak jak przyciąga linie wzoru.

– Linie wzoru – powtórzył jak echo Ravis.

Pomyślała, że na nic się zdały jej wyjaśnienia, lecz on pochylił się i powiedział:

– Zeszłej nocy w gabinecie Marcela widziałem kilka iluminacji. Były to najbardziej skomplikowane i wyrafinowane rysunki, z jakimi spotkałem się w życiu. Człowiek, który je namalował, zmarł wczoraj rano.

Tessę opanowało podniecenie; wyciągnęła wstążkę ze złotym pierścieniem.

– Znalazłam go wczoraj rano. W tym samym czasie uciekł ci statek sprzed nosa.

Ravis sięgnął w stronę pierścienia, ale nie zdecydował się go dotknąć.

– Izgard zaś wysłał swych zbójców, żeby się ze mną rozprawili – rzekł cicho, nie spuszczać wzroku ze złota.

Stade wybrał ten moment, by upomnieć się o puste talerze. Pokiwał ze smutkiem głową nad nietkniętymi rybami i serem.

– Jedzenie, kobiety – stwierdził i odszedł z westchnieniem. Ravis najpierw upewnił się, że nikt go nie słyszy, potem zapytał:

– Dlaczego zeszłej nocy postanowiłaś odrysować wzór tego pierścienia?

– Nie mam pojęcia. Urzekły mnie te wszystkie sploty i zwoje... A kiedy zobaczyłam, jak kropla krwi wije się wśród splotów, natychmiast chciałam skopiować całość.

Ravis przez dłuższą chwilę wpatrywał się w pierścień, aż wreszcie wstał od stołu.

– Zbierajmy się. Zawiń w obrus trochę chleba i sera. W Fale mieszka asystent zmarłego skryby. Musimy go odwiedzić.

Wdowa Furbish wytarła złotą monetę o rękaw, by przyjrzeć się jej blaskowi, a następnie nadgryzła metal zębami. Nic tak jej nie smakowało jak złoto. To było czyste – bez dwóch zdań. Nie powlekało go żadne srebro czy miedź, które śniedzieją z czasem, nie rozpychał też ołów ani mosiądz.

Tak, tak – pomyślała wdowa Furbish, rozchylając okiennice i wyglądając na zewnątrz, by wypatrzeć swego brata Swigga, wydrwigrosza i ladaco. – Ravis i jego dziwna przyjaciółka okazali się żyłą złota. Świętej pamięci pan Furbish (o ile takowy w ogóle istniał) uśmiechnąłby się w grobie.

Imsipia Rodrina Mullet, znana później jako wdowa Furbish, szybko się nauczyła, że w dzisiejszych czasach źle jest samotnej kobiecie. A w szczególności bystrej i ambitnej. Jej ojciec, człowiek poruszający się, wyglądający i cuchnący jak ryby, które łowił całymi dniami, dość szybko postanowił, że trzeba ją wydać za mąż.

Jako że był wędkarzem, przyszło mu do głowy, iż bliski mu kolega po fachu nada się wyśmienicie. Imsipia Rodrina nie podzielała jego poglądów: przez całe życie tylko oskrobywała ryby, patroszyła je i wybierała ości, aż zaczęła patrzeć na nie z nienawiścią. Wybuchła straszliwa awantura, podczas której padły dosadne wędkarskie przekleństwa i zostały wypowiedziane złowrogie groźby.

– Albo za niego wyjdiesz, albo wypędzę cię w świat z koszulą na grzbiecie i resztkami wczorajszego połowu w koszyku!

Imsipia Rodrina złapała rybę i wybiegła z domu.

Wnet zdała sobie sprawę, że na niezależną kobietę w dużym mieście patrzy się jak na prostytutkę bądź siostrę zakonną. Nie mając zamiaru zaprzyjaźniać się z Bogiem, czarnym kolorem i barbetem zakonnicy, Imsipia Rodrina z niechęcią zwróciła swoje kroki na ulicę. Będąc z natury osobą o gwałtownym temperamencie i sarkastycznym usposobieniu, nie odniosła znacznych sukcesów w profesji ulicznicy, mogła tylko pomarzyć o stałych klientach. Prawdę powiedziawszy, dopiero po sześciu latach zaoszczędziła swą pierwszą złotą koronę.

Kiedy już ją jednak miała, nic nie mogło jej powstrzymać. Bez wahania zapłaciła roczną ratę za wynajem mieszkania, nabyła kryształową kulę do przepowiadania przyszłości, zaopatrzyła się w opaskę na oko, wyrwała (dosłownie) młodszego brata z rybackich szponów ojca oraz przekupiła miejscowego proboszcza, by do archiwum parafialnego dołączył fałszywy akt zawarcia związku małżeńskiego. Nie minął tydzień, a już wdowa Furbish, wróżka mas, otwierała gabinet. Później postanowiła zmienić profesję i stała się szwaczką.

Od tamtej pory nie oglądała się za siebie. Szanowano ją jako wdowę, podziwiano, a niekiedy też okazywano jej współczucie. Nie musiała słuchać niczyich rozkazów i jak długo sprawiała pozory opierania się w życiu na męskim ramieniu – Swigg był niezastąpiony, pełniąc funkcję życzliwego brata – nikt nie mógł się do niej przyczepić.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Miała wprawdzie nadzieję, że z wróżbiarstwa i szycia wyciągnie więcej pieniędzy, lecz sprytna kobieta nie polega nigdy na samym tylko rzemiośle.

Wdowa Furbish wystawiła za okno swe pulchne ciało. Gdzież podział się ten Swigg? Nie pojawił się od czterech godzin. Musiał już chyba znaleźć tych cudzoziemców.

Rankiem, tuż po tym, jak drzwi zamknęły się za Ravisem i tą jego dziewczką ze śmiesznym akcentem, Bernice, gosposia wdowy Furbish, jak również kucharka i szwaczka, wpadła do mieszkania z wieściami, jakoby dwóchtajemniczych cudzoziemców rozpytywało się o mężczyznę, który dzień wcześniej zamordował w ciemnej uliczce dwóch jegomości. Wyznaczono nagrodę – poinformowała. Nieznajomi wyglądali na Garizończyków i szastali pieniędzmi jak dziwki portowe wdziękami.

Wdowa Furbish bezzwłocznie posłała Swigga na miasto, żeby ich poszukał. Być może pan Ravis chowa pod płaszczem trzos wypchany srebrnymi monetami, lecz wdowa powątpiewała, czy którąś z nich ujrzy kiedykolwiek na oczy. A tak bardzo chciała wynieść się znad rzeki. Miała dosyć zgnilizny, smrodu i rojów much.

Nagle zauważyła na moście brata. Tuż za nim maszerowało dwóch wysokich mężczyzn w ciemnych pelerynach. Gdy dostrzegł siostrę, Swigg pomachał jej z entuzjazmem, a potem zacierał ręce i wskazywał kciukami na swoichtowarzyszy.

Widok ten uradował wdowę Furbish. W podobnych sytuacjach jej młodszy brat wydawał się całkiem miły.

Wdowa zakrzętnęła się ochoczo, zamiotła podłogę i zatrzęsnęła wszystkie okiennice za wyjątkiem tych, przez które wpadały promienie słońca, oświetlając orzechowe kredensy i wiszące nad kominkiem jedwabne kilimy. Gotowe. Nikt nie powie o wdowie Furbish, że zbywa jej na luksusach.

Zsunąwszy opaskę na lewe oko, czekała przy wejściu, dopóki na schodach nie zadudniły trzy pary nóg.

– Witajcie, panowie, witajcie. – Wdowa Furbish otworzyła szeroko drzwi.

Swigg uśmiechnął się do niej.

Tuż za jego plecami rozległo się jakieś chrupnięcie. Uśmiech zamarł na ustach Swigga. Otworzył szeroko oczy, jakby zakłopotany całą sprawą, a potem cichy syk wydostał się z jego ust. Zachwiał się i potoczył przez próg.

Wdowa Furbish złapała brata, obejmując go mocnymi ramionami, żeby się nie przewrócił. W tym samym momencie poczuła na palcach mokrą strużkę i ujrzała, że jeden z mężczyzn w czarnej pelerynie trzyma w dłoni nóż. Ostrze ociekało krwią. Wrzasnęła na całe gardło.

Mężczyzna z nożem skoczył do przodu. Skóra u podstawy jego nosa zdawała się być zbyt mocno naciągnięta; wargi się cofnęły, ukazując różowe, wilgotne dziąsła. Nozdrza wdowy Furbish podrażnił ostry zapach ziemi, krwi i zwierzęcej sierści. Pozwoliła, by ciało Swigga



osunęło się na podłogę. Nie przestając krzyczeć, cofała się do wnętrza pokoju i zasłaniała rękami twarz.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

Drugi mężczyzna kopnął leżącego w brzuch. Swigg się nie poruszył.

Kiedy wzrok wdowy Furbish wędrował od brata do człowieka z nożem, usłyszała świst i poczuła jakby podmuch na twarzy. Jej szczęka eksplodowała bólem. Zęby zwały się, odcinając końcówkę języka. W ustach zebrała się krew. Rozżarzone do czerwoności ostrze bólu zdawało się rozcinać język wzdłuż. Łzy napłynęły jej do prawego oka. Nic nie widziała.

Gdzieś przy drzwiach rozlegał się szereg głuchych, stłumionych dźwięków. Wdowa Furbish mrugała gwałtownie, aż w końcu jej wzrok na tyle się wyostriżył, że dostrzegła ciemną, rozmazaną sylwetkę pochylającą się nad Swiggiem. Nie wiedziała, co się dzieje, lecz jakieś tępe narzędzie podobne do pałki lub drewnianego kłoca poruszało się tak szybko, że sprawiało wrażenie rozmytej plamy.

Spróbowała zawołać brata po imieniu. Zamiast słów, z ust trysnęła krew. Nóż przejechał jej po gardle. Wciągnęła powietrze. Język skręcał się z bólu. Wierzgając lewą nogą, chciała się odsunąć od tego, co przywarło do szyi. Nie była wcale pewna, czy to człowiek. Dłoń uzbrojona w pazury chwyciła jej ramię. Zwierzęcy smród był nie do zniesienia.

Wdowa Furbish chlasnęła na odlew wolną ręką. W odpowiedzi na jej żołądku wylądowała pięść i kobieta osunęła się na ziemię. Zauważyła przed sobą pochylającą się czarną postać. Coś mokrego ściekło na jej dłoń. Sądząc, że to krew, chciała ją obetrzeć, ale wtedy okazało się, że ma do czynienia z jakąś przezroczystą cieczą, podobną do śliny.

Wdowa Furbish zaczerpnęła desperacko powietrza, gdy cień ruszył, żeby ją zabić.

Błysk zębów. Zwierzęce warknięcie. Jej palce zacisnęły się rozpaczliwie na twardych mięśniach i szorstkiej skórze. Paznokcie zahaczyły o sznurek trzosa. Coś się rozplatało. Straszny, przejmujący ból w brzuchu i klatce piersiowej. Gorąca wilgoć przemoczyła suknię. A potem złoto. Złote monety niczym krople deszczu spadały jej na twarz i ramiona, płonąc zimnym światłem, dopóki wszystkiego nie zakryła ciemność.

Podróż do Fale zajęła im trzy godziny. Posuwali się wzdłuż koryta Rzeki Chyżej, wijącej się między wzgórzami i porośniętymi lasem wąwozami. Bukowe i dębowe bory rozciągały się po obu stronach rzeki, sporadycznie ustępując miejsca łąkom żółtej trawy, splątanym zaroślom lub stokom usłanym białym gruzowiskiem. Z kominów czarno-białych domków, które tłoczyły się na leśnych wyrąbiskach, unosiły się do nieba smużki szarego dymu. Kapliczki z białego kamienia o smukłych iglicach i niskich stropach przycupnęły tu i ówdzie nad rzeką; ich fundamenty pociemniały od wilgoci.

Słaby wietrzyk dmuchał od wschodu, dzieląc powierzchnię wody na podskakujące, błyszczące klejnoty i odsłaniając żółte spody liści.

Ravis tłumaczył, że w Raize liczą się tylko dwie rzeki: Rzeką Chyża i Niteczka. Niteczka przepływała przez całe królestwo, mijając bogate farmy na południu, następnie

kamieniołomy, solniska i kopalnie miedzi na wschód od Bay'Lis. Rzeka Chyża była zupełnie odmienna od swej siostry: głębsza, spokojniejsza, o ciemniejszym odcieniu zieleni. Przepływała rozlewiska na północy, łącząc Bay'Zell z setką miast i osad rozsianych wzdłuż jej brzegów od Gór Działowych do morza.

– Jeśli Izgard opanuje Bay'Zell – powiedział Ravis, ściągając cugle wierzchowca, aby wyminąć gęstwiny zarośli – nie tylko przejmie kontrolę nad całym handlem morskim z północą i wschodem oraz zawładnie Zatoką Obfitości, ale usunie też ostatnie przeszkody zagradzające mu drogę do Maribane. Kiedy Rzeka Chyża wpadnie w jego łapy, zacznie spławiać jej nurtem broń i towary, obiegnie Runzy i spustoszy cały kraj na północ od Gorntu... – Potrząsnął głową. – W ciągu roku Raize będzie należeć do niego.

Tessa tylko przytaknęła. Jazda na koniu wciąż sprawiała jej problemy. Chociaż przed kilkoma laty nauczyła się jeździć konno w Nowym Meksyku, nie doszła nigdy do wprawy. Wodze, strzemiona i siodło nie przypominały tego, do czego niegdyś przywykła, a na domiar wszystkiego rąbki spódnicy wciąż zaczepiały o jakieś klamerki. Bardzo żałowała, że oddała wdowie Furbish swoje wygodne ubranie.

Ravis ani słowem nie wspomniał o kontrakcie z Camronem, ale musiał ciągle o nim rozmyślać. Kiedy Tessa pytała o Raize, odpowiedzi jego zawsze zbaczały w stronę wojskowej strategii: z wysokich wzgórz majaczących na zachodzie z powodzeniem można zaatakować miasto. Rysujące się na horyzoncie mury zamczyska, kilka stuleci temu wzniesli okupujący ten kraj Garizończycy, więc stanowiły zarówno słaby, jak i silny punkt obrony. Nawet rzeka, wzdłuż której właśnie jechali, stanowiła ważny szlak handlowy, narażony na ataki wroga.

– Czy Izgard rozumuje podobnie do ciebie? – zapytała Tessa, podbudowana na duchu zadziwiająco łagodnym zjazdem ze wzgórza. Gdyby jeszcze to twarde, wąskie siodło nie sprawiało tylu kłopotów...

– Izgard nie myśli o niczym innym. Garizon i on stanowią jedność. W jego żyłach zamiast krwi płynie wojna.

– Dobrze go znasz?

– Dobrze znam królów Garizonu. Żyją po to, żeby podbijać; w ten sposób zachowują władzę, trzymają generałów na wodzy i sprawdzają swoje umiejętności.

Ponieważ na razie jej koń radził sobie całkiem nieźle, zaryzykowała i spojrzała na Ravisa. Uśmiechnął się do niej szelmowsko, wiedząc, że dał jej świetną, wymijającą odpowiedź. Nie zamierzała jednak poddać się tak łatwo.

– A czy Izgard zachowuje się tak, jak pozostali królowie Garizonu?

– Jeszcze korona nie ozdobiła mu skroni, a już planował zdobycie Bay'Zell. Tak, można by powiedzieć, że pod tym względem zachowuje się podobnie. – Ravis pociągnął za cugle, ponieważ jego wierzchowiec zaczął skubać trawę. – Z drugiej strony przez pięćdziesiąt lat

Garizon nie miał króla i niejeden ci powie, że stare opowieści są niczym więcej, jak tylko starymi opowieściami.

– Dlaczego?

– Chodzi o to, że Raize powinien strzec czujnie swoich granic.

Zmarszczyła brwi. Ravis bawił się z nią w gierkę polegającą na odbijaniu drażliwych pytań.

– Dlaczego od pięćdziesięciu lat nie było tam króla? Kto rządził w tym czasie Garizonem?

Popatrzył na nią uważnie, lecz odpowiedział podobnym tonem:

– Po tym, jak pod Wierną Górą Berick z Thornu pokonał armię Garizonu, wszystkie okoliczne mocarstwa: Raize, Drokho, Balgedis i inne – zawiązały przymierze. Wielka potęga ruszyła na Garizon, zburzono stolicę Weizach i zabito króla i jego dwóch synów. Sojusznicy podpisali się pod powszechną deklaracją, że jeśli ktoś zasiądzie na tronie Garizonu, powtórnie najadą ten kraj, wypalą miasto po mieście i obetną ramiona wszystkim mężczyznom zdolnym posługiwać się bronią.

Chmury przysłoniły słońce i gościniec pogąrzył się w cieniu. Tessa zadrżała i zapomniała o gierkach.

– To wszystko wydaje się takie brutalne.

– Brutalne? Masz rację, ale na taki los Garizon sobie zasłużył. Przez wszystkie wieki swej świetności tylko wszczynał wojny: najeżdżał okoliczne państwa, pustoszył miasta i wsie, zagarniał nowe terytoria i przesuwiał granice. Czym był Garizon pięćset lat temu? Wschodnim księstwem z nieurodzajną glebą, skarżącym się na brak szlaku wodnego. Kiedy jednak wysłał swe wojska na podbój, nikt nie mógł mu się oprzeć. Za dni największej chwały Garizon rozciągał się od Maribane na północy po rzekę Medi na południu. Jego królowie prowadzili krwawe, łupieżcze wojny i troszczyli się tylko o to, żeby wygrać bitwę; nie przejmowali się zbytnio, ilu przy tym poległ żołnierzy. Spójrz na Wierną Górę: wojsko Bericka musiało wyciąć w pień całą armię, zanim król przyznał się do porażki. Każdy inny wódz wycofałby żołnierzy, złożył broń i oszczędził ludzi. Ale nie król Garizonu. Władcy tego kraju przypominają wściekłe psy. Nie dadzą się obłaskawić.

W trakcie tej przemowy Tessie robiło się coraz zimniej i zimniej. Czowała się mała i zagubiona w niepojętym świecie, nieporównanie dzikszym i okrutniejszym od tego, który opuściła. Wydarzenia toczyły się tu z niebezpieczną szybkością, ludzie byli bardziej pobudliwi, groźniejsi i realniejsi. Jakby ktoś zagotował całe życie i odparował wodę, uzyskując zagęszczony koncentrat. Nawet sama ziemia wydawała się jakaś bogatsza. Tyle żywych odcieni zieleni i żółci, tyle tonów i półtonów. Jej własny świat, wypełniony cieniami i matowymi kolorami, został gdzieś daleko, w sferze snów. To tak, jakby akwarelę przyrównywać do obrazu olejnego.

Tessa poklepała konia po szyi. Poczowała znajome, uspokajające ciepło, lecz nie wyzbyła się wrażenia, że jej przeszłość ginie w mroku. Spróbowała otrząsnąć się z nieprzyjemnych myśli i skupić na ostatnich słowach Ravisa.

– Jeżeli królowie Garizonu są tak groźni, dlaczego Raize i inne kraje pozwoliły Izgardowi na objęcie tronu?

– Pięćdziesiąt lat to długi okres czasu, a ludzie mają krótką pamięć.

Tessie huczało w skroniach. Ravis wypowiadał się w sposób zwięzły i rozstrzygający, niby sędzieja przy odczytywaniu wyroku. Ludzie mają krótką pamięć – to niezbita prawda. Przemierzała obcy kraj na wąskim siodle, dawne życie odeszło w zapomnienie i rzeczy, które jeszcze dwa dni temu stanowiły cały jej świat, przestały się nagle liczyć. Ani razu nie pomyślała, co pomyśli sobie ludzie, kiedy nie zjawi się w poniedziałek w pracy, ani co zrobi właścicielka jej mieszkania, jeśli nie otrzyma pieniędzy za kolejny miesiąc. Rachunki, umówione spotkania, ludzie i związki: wszystko rozplynęło się w powietrzu.

Namacala pierścień, by jego kojący ciężar pozwolił jej ochłonąć. Kolce nie kłuły tym razem. Doznała lekkiego rozczarowania.

Drzewa strzegły domu Deverica. Ukazał im się, kiedy wynurzyli się zza zakrętu. Był to obszerny, piętrowy budynek, pokryty niebieską dachówką, z kamiennymi ścianami i wąskimi szczelinami okien. Na nadprożu przysiadły drozdy, z uwagą przypatrując się, jak Ravis i Tessa wynurzają się z zagajnika.

Na podwórzu przed domem jasnowłosey człowieczek załadowywał wózek. Rozmaite krzesła, skrzynki, stoliki, zwinięte dywany i płótna czekały na ziemi na swą kolej.

Ravis zsiadł z konia i skinął na Tessę, by poszła w jego ślady. Podał jej rękę, ale wcześniej zacisnął palce na rękojeści noża. Udawała, że niczego nie widzi, ale nie mogła uspokoić łomoczącego serca.

Kiedy prowadzili konie wśród ostatnich drzew, przed dom wyszedł drugi człowiek. Oparł się o framugę i z założonymi ramionami, czekał na Ravisa i Tessę. Miał ciemnoblond czuprynę i szeroki podbródek. Powietrze wciągał przez usta (wówczas jego policzki zapadały się), natomiast wydmuchiwał je serią krótkich sapnięć. Kiedy wyszli na otwartą przestrzeń, przemówił:

– Jeśli przybywacie na wyprzedaż, to jesteście o jeden dzień za wcześnie. Wróćcie jutro o brzasku.

– Nie przyjeżdżamy na wyprzedaż – odparł Ravis. – Zamierzamy rozmówić się z asystentem Deverica.

Mały człowieczek zaczął ładować na wózek bele płótna.

– Macie jakiś interes do Emitha? – Mężczyzna w progu zmierzył Ravisa od stóp do głów. Tessę musnął jedynie przelotnym spojrzeniem.

– Tak, ale prywatny.

– Prywatny, powiadasz?

– Słyszałeś przecież. No to jak, dowiem się, czy zastałem go w domu? – Uprzejmy ton, jakim Ravis rozpoczął rozmowę, ustąpił zniecierpliwieniu. – A może sam powinienem się tu rozejrzeć?

Mężczyzna obojętnie przysłuchiwał się Ravisowi, szturchając butem zwój materiału, który czekał na załadunek. Jakaś rzecz mu się nie spodobała, więc pochylił się i wyrwał ją spod stosu.

– Tam stoi ten wasz Emith – powiedział, wskazując na człowieczka ładującego wózek. – Cokolwiek macie mu do powiedzenia, powiedzcie to tutaj, przed drzwiami.

Człowieczek nie przerywał swojej roboty. Tessa zauważyła, że trzęsą mu się ręce.

Ravis zagryzł szorstką skórę blizny.

– To, o czy zamierzam rozmawiać z Emithem, ciebie nie dotyczy. – Jego wzrok spoczął na płótnie, które mężczyzna podniósł ze stosu. – Może byś tak wrócił do domku, pościelił sobie łóżeczko i uciał krótką drzemkę?

Mężczyzna spoważniał. Poczęstował kopniakiem bok wózka, aż posypały się na ziemię garnki i patelnie.

– Jazda! Wynocha z mojej posiadłości! Wszyscy! – Stał z wargi ślinę i zwrócił się do mężczyzny nazwanego Emithem. – A ty lepiej trzymaj gębę na kłódkę! Jeśli dowiem się, że papłasz w Bay'Zell o jakimś testamencie, złożę ci wizytę w mieszkaniu matki i nieco przytnę ten gadatliwy jęzor. – Raz jeszcze na wszelki wypadek skopał wózek. – A teraz znikajcie stąd!

Emith chwycił za dyszel wózka i silnie pociągnął. Niestety, w pośpiechu szarpną za mocno i zawartość przesunęła się na jedną stronę, a wózek przechylił. Zatrzeszczało. Zrolowany dywan upadł na ziemię jak ścięte drzewo.

Ravis skoczył do przodu. Przez moment Tessa sądziła, że zamierza uderzyć mężczyznę stojącego na schodku – miał pochmurną minę, a ścięgni nadgarstków napięły mu się niczym druty – lecz zatrzymał się przy wózku i podparł go, dzięki czemu jego zawartość zsunęła się na swoje miejsce.

Mężczyzna stojący w drzwiach doznał widocznej ulgi, ledwie jednak zauważył baczne, utkwione w sobie spojrzenie Tessy, zesztyniał, wypiął pierś i zacisnął pięści.

– Precz z moich oczu! I żebym was tu więcej nie widział!

– No dobrze – rzekł Ravis do Emitha, kiedy wózek chwiał się w miarę stabilnie na swoich dwóch kółkach. – Zobaczmy, czy da się tę ślicznotkę doczepić do mojego wierzchowca.

Gdy Tessa przyjrzała się Emithowi, odniosła wrażenie, że jest starszy, niż początkowo sądziła. Ubrany był wprawdzie schludnie, w pelerynkę i barwny kaftan, lecz przy dokładniejszych oględzinach na jaw wychodziły łatki i starannie zacerowane dziurki. Kiedy Ravis zaprzęgał konia, Emith unikał wzroku Tessy: jego uwagę przykuwały ręce, stopy i ziemia.

Mężczyzna w progu domu przypatrywał się tym przygotowaniom. Prześcieradło, które wyciągnął ze stosu, leżało teraz ubłocone.

Skoro tylko przygotowano prowizoryczną uprząż, Ravis wręczył Tessie lejce i kazał ruszać.

– Dogonię cię wkrótce.

Rzuciła okiem na mężczyznę.

– Co chcesz zrobić? – szepnęła.

Wzruszył ramionami.

– Jeszcze się nie zdecydowałem.

Kłamał. Zdecydował się już dawno. Wnosiła to ze sposobu, w jaki przygryzał dolną wargę: zamierzał dać nauczkę mężczyźnie na schodkach. Nie rozumiała, co go tak zdenerwowało. Nieznajomy był zwyczajnymłotrzykiem, nikim więcej. Jak wszystkie wydarzenia z ostatnich dwóch dni, i to wydawało się absurdalne.

– Jazda – syknął Ravis, klepieniem pobudzając swego konia do stępa.

Tessa poprowadziła wierzchowce, podczas gdy Emith podpierał wózek ręką, żeby się nie wywrócił. W milczeniu zagłębili się między drzewa. Trawa pod stopami była miękka i wilgotna, przezroczyste owady z długimi nóżkami wzbijały się w niebo na ich widok.

Tessa nie oglądała się za siebie. Zbyt dobrze poznała Ravisa, by wiedzieć, że nie przedsięwzięmie nic, dopóki nie znajdą się wystarczająco daleko. Aby nie myśleć, co robi i dlaczego, zastanawiała się, jak zacząć rozmowę z Emithem. Zerknęła na zawartość wózka i zagadnęła:

– Wyjeżdża pan do miasta?

Na dźwięk tych słów człowieczek wielce się ożywił.

– Przykro mi z powodu pana Rance'a. Tak mi przykro. Od śmierci ojca bardzo się zmienił. – Mówił to ze spokojem, niemal z zażenowaniem. – Jest mu teraz ciężko, niezwykle ciężko.

– A co z panem? Jak pan to znosi?

– Ja, panienko? – Emith szczerze się zdziwił, że ktoś raczył o nim pomyśleć. – Ja jestem zajęty, bardzo zajęty. Tyle spraw trzeba uporządkować, tyle rzeczy poprzestawiać. Pan Deveric zawsze mawiał: "Emith, jesteś tu po to, żeby utrzymywać wszystko w należyтым porządku. To twoja praca".

Tessa uśmiechnęła się.

– A zatem teraz, kiedy wszystko jest w porządku, może pan wyjechać?

– Tak, panienko. Wyposażenie pana Deverica zostało odpowiednio zabezpieczone. Wszystkie pędzle i miseczki do mieszania barwników zostały wyczyszczone (tak jak lubił). – Emith obdarzył Tessę miłym, acz trochę smutnym uśmiechem.

Po dotarciu do gościńca musieli zwolnić, gdyż na dziurach i wybojach wózek zaczął się niebezpiecznie przechylać. Tessie zrobiło się zimno; zbliżał się wieczór. Wysokie drzewa

rzucały cienie na drogę, a księżyc, który od kilku godzin świecił blado na niebie, stawał się z każdą chwilą wyraźniejszy.

– Proszę, panienko. – Emith poklepał ją po ramieniu. Tessa, odwróciwszy się na pięcie, zauważyła, że mężczyzna wyciągnął dla niej wełniany kocyk. – Drżysz z zimna. Owiń się tym, bo się przeziębisz.

Zdjęta nagłym smutkiem, przyjęła kocyk. Upłynęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni ktoś przemawiał do niej tak uprzejmie i z takim uczuciem. O wiele więcej niż dwa dni.

– Dziękuję – powiedziała, owijając się kocem niby szalikiem. – Nie sądziłam, że będzie aż tak zimno.

– Musisz uważać, panienko. Moja matka zawsze mówi, że nie powinno się wychodzić z domu bez płaszcza, chyba że jest środek lata.

Tessa uśmiechnęła się. Matka Emitha musiała być bardzo stara. Wskazując na materac załadowany na wózek, zapytała:

– Zamieszka pan teraz u swojej matki?

Przytaknął z zapalem.

– Zgadza się, panienko. Matka mieszka w mieście. Od wielu miesięcy dokucza jej artretyzm i ucieszy się z mojego powrotu.

“Ucieszy się z mojego powrotu”. Coś lekkiego, przypominającego pajęczynę lub owadzie skrzydełko, musnęło policzek Tessy. Poczula na szyi ciężar pierścienia. Co też myśli sobie teraz jej własna matka? Może jeszcze nic nie wie o zaginięciu córki? Czy policja odwiedzi mieszkanie w Arizonie? “Znaleźliśmy samochód państwa córki, porzucony w Lesie Narodowym Cleveland. Wiemy, że natknęła się na skrytki depozytowe skradzione podczas napadu na bank w Chula Visla, ale w obecnej chwili nie znamy jej dalszych losów”.

Tessa zakryła usta dłonią. Rodzice zamartwią się na śmierć, gdy dowiedzą się o jej zniknięciu.

– Panienko, panienko... – Emith dotknął jej ramienia. – Czy wszystko w porządku? Odrobinę pobladłaś. Posłuchaj, zatrzymajmy się na krótki odpoczynek.

– Nie trzeba. – Potrząsnęła głową. – Nic mi nie jest. Trochę się zamyśliłam... o rodzinie. – Wstyd jej było, że nie o własnej rodzinie tak naprawdę myślała.

Za nimi rozległy się pospieszne kroki. Trzasnęła gałązka, po czym z cienia między drzewami wyłonił się Ravis. Tessa zauważyła ze zdziwieniem, że jego widok sprawił jej ulgę.

Uśmiechnął się z daleka.

– Wątpię, czy w tym tempie zajechalibyście do miasta przed północą.

Kiedy już ich dogonił, uważnie śledziła rysy jego twarzy, próbując odgadnąć, co wydarzyło się w domu Deverica. Ravis wyglądał na zrelaksowanego. Nieliczne kosmyki włosów wzburzyły się i odstawały, lecz poza tym zdawał się wracać zupełnie spokojny.

– Proszę pana... – zaczął Emith, lecz Ravis nie pozwolił mu dokończyć.

– Bez obaw, przyjacielu. Nie wyrządziłem paniczowi Rance'owi nic złego. Wystarczy, że kilka dni poleży na brzuchu.

– Śmierć ojca stanowi dla niego wielką udręka, proszę pana. To wszystko. Nie miał na myśli nic złego.

Ravis zaczął przekładać zawartość wózka, umieszczając na dnie najcięższe przedmioty.

– Emicie, jesteś rozważnym człowiekiem, ale chyba obaj zdajemy sobie doskonale sprawę, czym naprawdę martwi się Rance i ten jego braciszek.

– Ależ, proszę pana, pan Rance miał kilka złych dni. Nie spał...

– Założę się, że nie spał. Żyje w ustawicznym strachu: a nóż ktoś się zjawi, żeby odebrać mu jego własność. Bardzo możliwe, że od wielu dni nie zmrużył oka. – Uporawszy się z wózkiem, Ravis ostukał butem koła. – Chyba nie wydawał okrzyków zadowolenia, kiedy się dowiedział, że Deveric zostawił ci tak wiele ze swoich cennych iluminacji?

– Z początku denerwował się troszkę, proszę pana, ale czegoż innego należało się spodziewać? – Emith pochylił głowę. – Widzi pan, tu chodzi o testament. To bardzo żenujące. Pan Deveric był taki hojny. Chciał mieć pewność, że każdemu coś się dostanie, tymczasem panicz Rance i panicz Boice są nieco rozczarowani, to wszystko.

– Zgadza się, i właśnie dlatego wyprzedają o świcie, co się tylko da. Nie chcą przeżyć kolejnych rozczarowań.

Tessa kopnęła Ravisa w goleń. Z jego słów wynikało, że dwóch synów Deverica ukryło testament i zamierzało wszystko sprzedać, zanim ktokolwiek zdoła wyczuć, co się święci. Nawet jeśli to była prawda, po co od razu martwić Emitha? Przecież ten człowieczek ze wszystkich sił starał się zachować jak najlepsze wspomnienie o spadkobiercach Deverica.

Zanim Ravis zdążył zareagować na jej kopnięcie, powiedziała:

– Emicie, przyjechaliśmy, żeby zapytać cię o prace Deverica. O jego iluminacje. Ravis widział je zeszłej nocy i wie, że są bardzo piękne.

– Pokazał mi je Marcel z Vailing – dodał Ravis. – Uważa, że są warte sporą sumę pieniędzy.

Emith potrząsnął głową.

– Nie dlatego pan Deveric mi je zostawił, proszę pana. Wiedział, że ich nigdy nie sprzedam. Nigdy!

– Dlaczego? – Ravis przejął od Tessy wodze swego wierzchowca i ich drużyna ruszyła w dalszą drogę. – Po ich sprzedaniu do końca życia mógłbyś się pławić w dostatkach.

– Pan Deveric powiedział, żebym je trzymał, dopóki nie będą potrzebne.

Za nimi, wśród gałęzi drzew, rozległo się pohukiwanie sowy. Tessa poprawiła koc na ramionach. Szybko zmierzchało, a słaby wiatr owiewał jej ręce i szyję.

– Do czego potrzebne? – zapytał Ravis.



– Potrzebne temu, kto się po nie zjawi. – Emith podparł bok wózka, gdy koła wtoczyły się do niewielkiej dziury. – Mistrz Deveric zawsze powiadał, że zastąpi go kiedyś osoba, która będzie umiała tworzyć równie piękne iluminacje. Osoba, która podejmie jego dzieło.

Ręka Tessy powędrowała do pierścienia. Był ciepły, jakby przed sekundą ktoś go dotykał.

– Deveric kazał ci pokazać iluminacje pierwszej napotkanej osobie?

– Nie, panienko. Nie pierwszej lepszej. Mistrz wręczył mi na przechowanie tylko jeden rękopis. – Głos Emitha był miękki, ale każde słowo wymawiał z namaszczeniem, starając się nie popełnić żadnego błędu. – Przekazał mi rękopis, nad którym zaczął pracować dwadzieścia jeden lat temu. Nie jest to jego najpiękniejsze arcydzieło (to zostawił dla żony), ale najbardziej...

– Złożone? – pomógł mu Ravis.

– Tak, proszę pana. Najbardziej złożone.

Ravis i Tessa wymienili spojrzenia. Emith mówił dalej:

– Mistrz Deveric zwykł zajmować się przez całe lata zupełnie odmiennymi iluminacjami, by nagle obwieścić jak grom z jasnego nieba: “Emicie, chyba powinieneś odszukać dla mnie ten stary rękopis. Czuję, że nadeszła właściwa pora, by uzupełnić go o kilka kart”.

Tessa zadrżała.

– Deveric pracował nad nową kartą w chwili śmierci?

– Tak, panienko. – Emith poprawiał jej kocyk, zakrywając wszelkie luki na ramionach i szyi. – Zaczął nad nią ślęczeć jakieś pięć dni temu. Wykreślał pomocnicze linie, zaznaczał punkty odniesienia. Tego dnia, kiedy zaczął pracę, zdążył wyrysować ze dwa szkice, a potem codziennie poświęcał im jedną, dwie godziny uwagi. W noc poprzedzającą tę, podczas której umarł, zbudził mnie mniej więcej po północy. “Emicie – powiedział – wymieszaj pigmenty i szykuj pędzle, bo poczułem nagły zapał do pracy”.

Zaległa głęboka cisza. Tessa nie wiedziała, co ma powiedzieć; nie chciała pierwsza przerywać milczenia. Kółka wózka skrzypiały, uprzęż konia trzeszczała, a nawoskowana skóra płaszcza Ravisa wydawała cichy szelest. Dzień wydał się nagle bardzo długi, najdłuższy, jaki pamiętała.

Odezwał się Ravis:

– Emicie, tylko raz w życiu widziałem desenie podobne do tych, jakie malował Deveric: w twierdzy, której wolałbym nie odwiedzać ponownie, a ich autorem był człowiek, z którym nie chciałbym mieć nic do czynienia. Mężczyzna ten powiedział mi wówczas, że nie powinienem martwić się o coś, co od wielu miesięcy nie dawało mi spokoju. Znalazł sposób na dolegliwość, jaka mi wówczas doskwierała. – Głos Ravisa brzmiał cudownie w ciemności: uprzejmie, gdy zwracał się do Emitha, lecz ostrzej, kiedy mówił o sobie. – Nigdy później nie myślałem o tamtym zdarzeniu, aż do wczoraj, kiedy to w nocy otworzyłem pewien rękopis i ujrzałem krew na jeszcze nie wyschniętej iluminacji. Podróżowałem po wielu krajach, niejedno widziałem i dawno już przestałem osądzać ludzi po ich uczynkach. Jeżeli twój pan

zajmował się czymś bezbożnym, jeśli można tak to określić, i tak go nigdy nie potępię ani nie zniesławię jego imienia.

W mdłej poświacie księżycy Tessa widziała, jak ramiona Emitha to wznoszą się, to znowu opadają. Spoglądając następnie na Ravisa, odniosła niejasne wrażenie, którego nie potrafiła sprecyzować. Zupełnie jak w piwniczce Marcela, poczuła, że gdyby udało jej się tylko cofnąć o krok i spojrzeć na wszystko z dystansu, przypadkowy zbiór linii ułożyłby się natychmiast w zrozumiały ornament.

– Emicie... – rzuciła w stronę ciemności, które dzieliły ją od asystenta skryby. – Wczoraj rano przeniosłam się do Bay’Zell. Żyłam wcześniej w innym miejscu, całkowicie odmiennym, a teraz czuję się, jakbym została wrzucona w wir burzliwych wypadków. Niestety nie wiem, jakich i dlaczego tak się stało.

Emith nie odpowiedział. Słyszała, jak ze świstem wciąga powietrze.

– Pokaż mu swój szkic, Tesso – zaproponował Ravis, będąc tak blisko niej, że czuła na szyi jego gorący oddech. Oddalili się od siebie dokładnie w tym samym momencie: on poszedł sprawdzić coś przy siodle, ona zaczęła szperać w swoich jukach.

Rozległo się głucho stukotanie. Posypały się iskry i złoty płomień oświetlił oblicze Ravisa. Tessa popatrzyła nań w osłupieniu. Szrama na jego wardze przypominała biegnącą w skale żyłę drogiego kruszcu. Światło płomienia pełgało na poszarpanej skórze, tworząc ze skaży wspaniałą ozdobę. Zapragnęła jej dotknąć.

Otrząsając się z niedorzecznych myśli, wyciągnęła zwój cielejącej skóry i rozwinęła go przy świetle.

Emith wstrzymał oddech.

Tessa, która od ukończenia szkicu nie spojrzała na niego ani razu, poczuła rumieńce na twarzy. Wątpiła, czy kontury tak właśnie poprzednio wyglądały. Zaroiło się od szczegółów; nie przypominała sobie, żeby spotkała się w życiu z czymś podobnym. Linie wiły się spiralnie, tworząc labirynty kształtów i form, falowały na tuzin zawitych sposobów, trzymając się jednak wytyczonych ścieżek. Nitki, które na pierwszy rzut oka przecinały się z sobą, po uważnym zbadaniu okazywały się zwodniczymi węzełkami. Pierścień wciąż widniał w tle, ale nie przedstawiał sobą jedynie bezdusznego klejnotu. Wydawał się coś sugerować.

Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Czyżby to ona narysowała? Zeszłej nocy była przecież taka zmęczona, świeczka w składziku wdowy Furbish ledwo się tliła, łożowy dym gryzł w oczy, a węgiel uparciełamał się w dłoni.

Z drugiej strony...

Ręka Tessy dygotała. Pergamin zadrżał. Wyrwała się wówczas na wolność. *Tinnitus*, który od tak dawna śledził ją czujnym wzrokiem, wziął sobie wolne. Teraz mogła przekroczyć każdą granicę. W zasadzie punkt, w którym musiała dać za wygraną – gdyż czoło zaczynało boleć, a w uszach rodziło się brzęczenie – przestał istnieć. Żadnego bólu i żadnego hałasu. Po pierwszej godzinie rysowania przestała bać się *tinnitus*.

W świetle lampki cielęca skóra nabrała maślanego koloru. Naszkicowane linie były niemal smolście czarne. Tessa przyglądała się wizerunkowi pierścienia jak twarzy nieznanego. Czyżby pod nieobecność *tinnitusa* była zdolna do takich rzeczy?

– Sama to namalowałaś, panienko? – zapytał Emith, znów poprawiając jej koc na ramionach. Musiał się zsunąć.

– Tak, zeszłej nocy.

Z gardła Emitha wydobył się chrapliwy dźwięk.

– Rozumiem, rozumiem.

Gdy Tessa podniosła głowę, napotkała baczny wzrok Ravisa. W jego ciemnym spojrzeniu czaiła się chytrałość.

– Emicie – odezwał się, nie spuszczać wzroku z Tessy – opowiedz nam coś o iluminacjach Deverica.

Zgasił światło.

– Byłem asystentem pana Deverica – odparł Emith. – Skrobałem i rozciągałem skóry, mieszałem pigmenty i laserunki. Czyściłem pędzle, miałem skorupki jajek, gotowałem pióra i przycinałem ich końcówki. Robiłem wszystko, czego zażądał ode mnie mój mistrz. Miałem za zadanie pomagać, tylko pomagać. Nic nie tworzyłem, nic nie mówiłem, jedynie oszczędzałem czas mojemu mistrzowi. Nie służyłem po to, by zadawać pytania. Moja misja wydawała mi się zaszczytem: przebywałem z wielkim człowiekiem, wykonywałem pożyteczną pracę i płacono mi za to, co uwielbiałem robić. Mój mistrz kochał swoje dzieła – kształty i formy czuł w sercu, atramenty i pigmenty odwiedzały go w snach. Był niezrównanym skrybą, miał wspaniałe wizje i nie zrobiłby niczego na szkodę drugiego człowieka. Bezgranicznie kochał życie i jedyne, prawdziwego Boga.

W głosie Emitha przebijały duma i lojalność wobec Deverica. Mimo że bez wątpienia mówił szczerze, Tessa wyczuła, że nie odkrył przed nimi całej prawdy. Emith chciał widzieć w ludziach tylko dobre strony.

– Czy Deveric wspominał coś więcej o swoim następcy?

– Mistrz mój mawiał, że jego praca jest bardzo trudna i wykonywać ją mogą tylko wybrańcy. Sam nauczył się sztuki tworzenia iluminacji pół wieku temu wśród mnichów na Wyspie Namaszczonych. Łudził się nadzieją, że kiedyś przekaże swą wiedzę następcy. – Emith westchnął i potrząsnął kilkakrotnie głową. – Nikt się nie zjawił. Ani panicz Rance, ani panicz Boice nie wykazywali zainteresowania starymi manuskryptami. Chłopcy, którzy u niego terminowali, nie sprawdzili się. Ostatecznie mistrz Deveric pogodził się z myślą, że nie spotka za życia właściwej osoby. Pewnego dnia zbliżył się do mnie (dobrze to pamiętam, gdyż tego dnia ukończył pracę nad trzecim z serii rękopisem) i powiedział: “Emicie, po moim odejściu pragnę, byś wyglądał nadejścia kogoś, kto równie jak ja umiłował wzory. Kiedy już go spotkasz, przekaż mu całą wiedzę, jaką sam posiadasz”.

Jemu? Tessa zmarszczyła brwi.

– A jeśli tą osobą okaże się kobieta?

Ravis uśmiechnął się przy tych słowach (Tessa nie widziała w ciemności jego twarzy, ale mogła przysiąc, że tak właśnie się stało).

– Czy twój pan zostawił ci jakieś wskazówki? – zapytała jeszcze.

– Nie, nie, panienko. Ale oglądałem dokonania kobiet w tej dziedzinie: piękne, misterne arcydzieła. Jestem pewny, że mój mistrz nie chciał nikogo urazić.

Ravis wybuchnął śmiechem i chyba – wnioskując po odgłosie – poklepał Emitha po plecach.

– Emicie, jesteś urodzonym adwokatem. Wierzę, że gdyby teraz na naszej ścieżce stanął diabeł, ty byś go zasłonił i powiedział: “Wybaczcie mu, on tu tylko zabłądził, to wszystko”.

– Ależ, proszę pana...

– Jestem Ravis. Zwracaj się do mnie po imieniu. A moja miła, choć nieco wzburzona dama ma na imię Tessa. – Ravis musiał się dobrze bawić, sądząc z tonu jego wypowiedzi. Również Tessa się uśmiechnęła, na przekór wszystkiemu: przecież nader trafnie opisał Emitha. Poza tym dzień ten był dla nich obojga bardzo nużący i nie chcieli jej się nawet złościć. Wolą się pośmiać.

Doszedłszy do miejsca, gdzie należało zboczyć z drogi i przeciąć zaorane pole, Ravis wręczył jej cugle, a sam wraz z Emithem obejrzał wózek. Księżyc wzeszedł wysoko, ale zasłoniły go chmury. Gościniec przypominał czarne prześcieradło. Chociaż Tessa czuła słonawy zapach rzeki i woń gnijących liści, nie dostrzegła lśniącej toni.

Kiedy wózek wtoczył się na pulchną ziemię poletka, Ravis podszedł do niej. Emith pozostawał kilka kroków z tyłu, pilnując swego dobytku.

– Możesz na chwilę wskoczyć na siodło – rzekł. – Wezmę za cugle twojego konia i zapewniam cię, że będzie stapał spokojnie.

Tessa potrząsnęła przecząco głową. Była wyczerpana, ale wolała w ciemności iść pieszo.

– Kiedy dotrzemy do miasta?

Wzruszył ramionami.

– Może za godzinę, może później.

– Z radością zapraszam do domu mojej matki na kolację i kropelkę ario – zaproponował Emith trochę nieśmiało. – Przyrządza najlepszy gulasz rybny w całym Bay’Zell.

Ravis, ku jej zdziwieniu, wdał się w długą dysputę z Emithem na temat najlepiej nadających się na gulasz ryb, i czy lepiej dusić je w wywarze, czy też w arlo. Emith trąkotał wesoło, większość zdań zaczynając od stwierdzenia: “Moja matka zawsze mawia...”

Tessa przysłuchiwała się z przyjemnością. W trakcie marszruty wzdłuż rzeki, mijając lesiste jary, pachnące pola i podmokłe, osnute mgłami łąki, gdzie zapadali się po kostki w błocie, rozmowa dotyczyła to miejscowych plotek, to wzrastających cen, to wreszcie książąt i królów. Nikt nie wspomniał więcej o Devericu i jego iluminacjach, lecz od czasu do czasu przyłapywała Ravisa na ukradkowym spojrzeniu, jakie rzucał w jej stronę. Choć sprzeczał się

z Emithem na temat najlepszych miejsc, gdzie można kupić istanijską skórę, albo powodów, dla których suzeren Raize nigdy nie wystąpi przeciwko Drokho, wiedziała, że myśli o tym samym co ona. Czyżby miała podjąć dzieło Deverica? A jeśli tak, w jaki sposób wiąże się to z wydarzeniami ostatnich dwóch dni?

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Bolały ją stopy, kiedy wkroczyła na drewniany, wygięty most. Była tak wyczerpana z sił, że nie potrafiła skupić myśli. Musiała zdobyć się na nadludzki wysiłek, jeśli chciała poruszać nogami i powstrzymać podbródek, by nie opadł na piersi. Wiedziała, że powinna już spać; tylko instynkt utrzymywał ją w ruchu.

Wraz z Ravisem odprowadziła konie do stajni. Przedtem jednak pojechali z Emithem do domu jego matki – małej kamieniczki przeplatanej czarnymi balami, wciśniętej pomiędzy łaźnię a stajnię – i mimo że Emith prosił, by zostali i przywitali się z jego matką – odmówili. Tessa niczego więcej nie pragnęła, jak wrócić do składziku wdowy Furbish, zawinąć się w koc wraz z całą kompanią owadów i zasnąć. Chociaż nie zatrzymali się na tyle długo, by zobaczyć się z matką Emitha, Ravis kazał ją pozdrowić w grzecznych słowach. Podobne zwyczaje były tu przez wszystkich przestrzegane, co bardzo ją ucieszyło.

Chmury dawno zasłoniły księżyc, lecz miasto jaśniało własnym, przyćmionym światłem. Rzeka śmierdziała. Kiedy Tessa szła po moście, znad brzegów dobiegały wyraźne chroboty, szczebiotania i inne zwierzęce odgłosy.

Dom wdowy Furbish nie odróżniał się zbyt od reszty budynków stłoczonych na moście. Pochylał się w kierunku pasażu, jakby jego konstruktor był zdania, że jeśli owo arcydzieło zawali się kiedyś do wody, zostanie potępiony. Tessa skłonna była zgodzić się z taką opinią, wdychając cuchnące powietrze oraz wsłuchując się w nadržeczne pluski i odgłosy rozbryzgiwanego błota, tudzież w zgrzyt zębów podgryzających drewniane pale.

Błede smugi światła rozjaśniły schodki prowadzące do drzwi mieszkania wdowy Furbish. Ravis sprawdził swój nóż. Gdy Tessa postawiła stopę na pierwszym stopniu, zagroził jej przejście ramieniem.

– Wejść pierwszy – powiedział.

Złościły ją już te teatralne podchody Ravisa. Czy musiał każde odwiedziny zamieniać w napad z bronią w rękę? Odepchnęła jego ramię.

– Nawet jeśli po drugiej stronie ktoś się zaczął, nie dbam o to. Jestem zbyt zmęczona, żeby się tym przejmować.

Palce Ravisa wpiły się boleśnie w jej ramię. Skrzywiła się.

– Zostaniesz tu i poczekasz – rozkazał oziębłym i śmiertelnie poważnym tonem, z jakim wcześniej się u niego nie zetknęła. Nagle przypomniała sobie, co o nim powiedział Camron w piwnicy u Marcela: Ravis jest najemnikiem, człowiekiem, który szkoli innych, jak mają zabijać. Za jego usługi królowie sypią złotem.

Odsunęła się na bok.

Ravis nie wspiął się na schody. Stał na drodze i – pochyliwszy się – zapukał. Nie nadeszła odpowiedź. Przygryzł dolną wargę. Tessa zauważyła, jak porusza szczęką i uświadomiła sobie, że przygryza bliznę.

Po kilku chwilach Ravis zdecydował się krzyknąć:

– Swigg! Otwórz! Mam zajęte ręce i nie mogę sięgnąć do klamki.

Odpowiedzią była cisza.

Ravis i Tessa wymienili spojrzenia. Na moście, który jeszcze przed sekundą rozbrzmiewał chórem dziwnych głosów, zrobiło się nagle cicho niczym w opuszczonym grobowcu. Poznikali przechodnie. Wszystkie okiennice zostały zamknięte na głucho, a drzwi zaryglowane. Szydł nad warsztatem kołodzieja kołysał się na wietrze, ale nawet jeśli skrzypiał, dźwięk do nich nie docierał.

Serce Tessy zabiło gwałtowniej. Dotychczasowe wycieńczenie ustępowało powoli miejsca jakiemuś nowemu wrażeniu. W obolałych mięśniach nóg poczuła mrowienie.

Ravis wszedł na pierwszy stopień i potężnym kopniakiem wyważył drzwi. Błysnęło ostrze noża. Kiedy zawołał Swigga po imieniu, Tessa wyczuła nieprzyjemny, zwierzęcy zapach: piżmowy i przypominający smród psiego kocyka.

A potem ujrzała krew. Czerwoną krew, sine ciało i białe kości. Zebrało jej się na wymioty.

Raptem zgasły światła.

Po drugiej stronie dwie czarne sylwetki rzuciły się do ataku: uniesione dłonie uzbrojone były w noże, których ostrza złowieszczo połyskiwały. Lewy łokieć Ravisa wystrzelił w górę, podczas gdy prawa ręka wykreśliła w powietrzu znak X. Nie zamierzał zranić napastników – dzieliła ich jeszcze zbyt duża odległość – chciał jedynie zyskać na czasie, żeby obmyślić strategię obrony.

Tessa nie wiedziała, dlaczego nie potrafi wydobyć z siebie głosu, z wyczerpania czy ze strachu. Oddychała szybko i spazmatycznie; po raz pierwszy w życiu nie bała się emocji. Cokolwiek by robiła – wrzeszczała, histeryzowała, uciekała lub walczyła *tinnitus* jej nie zagrażał. Była wolna.

Ravis wyskoczył na drogę. Miał sekundę czasu, może mniej, na wybiegnięcie z wąskiej sieni, zanim pierwsza z postaci zbiegnie ze schodków.

Nasilił się smród zwierzęcej sierści. Tessa nie nadążała wzrokiem za ruchami napastników: było ciemno, a oni poruszali się zbyt szybko. Gdy pierwszy z nich zamachnął się na Ravisa, ujrzała profil jego twarzy. Wydał jej się jakiś dziwny, jakby nasada nosa była nienormalnie spłaszczona.

Zadrżała. Musiała się mylić.

Obaj zabójcy wypadli na zewnątrz. Poruszali się bezszelestnie, płaszczce niby cienie spowijały ich ciała. Jeden zaszedł Ravisa z prawej strony, drugi zbiegał po stopniach. Tessa widziała, że szuka sposobności, by znaleźć się za plecami przeciwnika. Ravis, świadomy

tego, że chcą zająć go z dwóch stron, symulował ataki, by zyskać więcej miejsca. Obaj nieznajomi wznosili wysoko długie klingi noży. Ravis trzymał swój blisko biodra.

Pierwszy z napastników zazgrzytał zębami i zamachnął się na Ravisa, który – parując jego cios – nie zauważył, że drugi atakuje z tyłu.

– Ravisie! – wrzasnęła Tessa ostrzegawczo.

Ravis odwrócił się, ale nie dość szybko. Ostrze drugiego z napastników błysnęło wzdłuż jego ręki i zatopiło się w ciele tuż pod ramieniem. Zanim zdążył uskoczyć, przystąpili do kolejnego natarcia.

Nogi Tessy same ruszyły do boju. Z zaciśniętymi pięściami rzuciła się w kierunku pierwszego mężczyzny. Straszny głos rozdarł jej bębenki i zdała sobie sprawę, że to ona krzyczy. Głowa pierwszego z zamachowców odwróciła się ku niej. Nie bardzo wiedząc, co w tej sytuacji należy zrobić, dzieliła go w szczękę. Kiedy pięść lądowała w celu, zaskoczył ją wygląd i zapach tego osobnika, a jakiś głos wewnętrzny ostrzegł, by się nie mieszała.

W pierwszym odruchu chciała rzucić się do ucieczki, ale zapanowała nad sobą i nie cofnęła się ani o krok, zasłaniając twarz pięściami i wrzeszcząc na całe gardło. Krew pulsowała szaleńczo w jej żyłach, a płuca zabołały ogarnięte gorączką.

Poczuła paniczny strach i dziwne uniesienie.

Pod wpływem jej uderzenia mężczyzna tylko się skrzywił. Spojrzał na nią, sycząc. Jego oczy miały złoty odcień, wargi natomiast rozchyliły się, odsłaniając różowe dziąsła. Skoczył na Tessę bez ostrzeżenia, aż płaszcz zakołysał się za nim jak ogon. Cofnęła się i potknęła.

Ravis wydawał się z jakiegoś powodu “uwiązany” do drugiego mężczyzny. Z trudem łapiąc powietrze, zerknął przez ramię na swą towarzyszkę.

Jej przeciwnik krążył to tu, to tam. Nóż przyczajony nad ramieniem przypominał dziób sępa. Smród jego oddechu stał się nie do zniesienia. Rysy twarzy były uproszczone, niemal rozmyte. Niespodziewanie znikł z pola widzenia.

Tessa próbowała wypatrzeć go w ciemności.

Trach!

Zdążyła poczuć, jak jej szyja odgina się do tyłu pod wpływem nagłego uderzenia w głowę. Nie czuła bólu, tylko obrzydliwie wirującą czerń, zaskoczenie i wściekłość: to stało się tak zniecka! Nogi ugięły się pod nią i nie mogła uczynić nic, absolutnie nic, żeby utrzymać równowagę. Ziemia zachwiała jej się pod stopami; ostatnia myśl, jaka przyszła Tessie do głowy przed utratą przytomności, dotyczyła *tinnitus*a. Miała rację – opuścił ją na dobre.

Tak wyglądał prezent, który otrzymała od tego świata.

Ciemności ustąpiły i otworzyła oczy. Przeczytała w życiu wiele książek, w których bohaterki mdlały podczas ryzykownych akcji, by ocknąć się parę godzin później (niekiedy dni) w szerokim, puchowym łóżu, w doskonałej kondycji. Rosołek, czuła dłoń jakiejś matrony i drwa trzaskające w kominku uzupełniały zwykle sielankową scenierię.



Nie spotkało jej aż takie szczęście. Spoglądała dokładnie w to samo niebo, pod którym straciła przytomność. Wnioskując z chrapliwych oddechów i niedalekich odgłosów walki, upłynęło zaledwie parę minut, nie godzin.

Drewniane belkowanie mostu kołysało się pod jej plecami, wprawione w drgania przez dwóch napastników szturmujących zajadłe Ravisa. Gdy odwróciła nieznacznie głowę, by zobaczyć, jak sprawy stoją, poczuła przypływ mdłości. Ostry, przenikliwy ból wwierał jej się w czaszkę i postępował niżej, w stronę żołądka. Łzy ciurkiem płynęły z oczu. Zwymiotowała.

Wtem zabrzmiał dziki skowyt. Włosy stanęły jej dęba. Wycierając usta i mrugając desperacko powiekami, usiłowała skupić wzrok na pojedynczym cieniu, który zasłaniał jej widok.

Cień był olbrzymi. Przez chwilę poruszał się płynnie jak nietoperz zlatujący ku ziemi, lecz wkrótce ogarnęły go spazmy. Czarny kształt wił się i trzepotał, potem zaczął się przepoławiać. Usłyszała gwałtowny wdech i niewyraźny odgłos. W miejscu jednego powstały dwa cienie. Ten większy chwiał się przez chwilę, potem zgiął się i zapadł, znikając z pola widzenia. Kiedy rzucające ów cień ciało runęło na ziemię, zatrzęśły się belki.

Ravis przyskoczył do Tessy znienacka; twarz miał umazaną krwią i cuchnął podobnie jak człowiek, którego właśnie zabił. Postawił ją na nogi.

– Pospiesz się, musimy stąd wiać!

Tessa wolałaby zostać potraktowana nieco łagodniej. Ból głowy przypominał ómienie chorego zęba, nogi natomiast wydawały się zbyt słabowite i bezwładne, by móc udźwignąć ciężar ciała. Ravis nie przejmował się tym zbyt. Patrzył w stronę najbliższego brzegu. Wolną ręką oczyścił nóż, przesuwając ostrzem wzdłuż spodni.

Gramoląc się z ziemi, usiłowała zwalczyć nudności, które atakowały głowę i żołądek. Ravis trzymał ją mocno. Nachylił się i szepnął:

– Ktoś na nas czeka przy końcu mostu.

Tessa usiłowała przebić wzrokiem otaczające ją ciemności, lecz pełne łez oczy spostrzeżały jedynie szalony taniec smug światła i cieni. Nikogo nie zauważyła.

– Tam – wskazał, poruszając z lekka nożem. Jego ramię krwawiło. – W cieniu.

Uwierzyła mu na słowo.

– No to zejdźmy na drugi brzeg.

Błysnął zębami.

– Wątpię, czy to dobry pomysł – rzekł, wolno cedząc słowa.

– Myślisz, że jest ich więcej? – Łuk mostu w znacznej mierze zasłaniał im widoczność.

Skinał głowę.

– Z każdej strony człowiek. Tak przynajmniej ja bym to zaplanował.

To ostatnie stwierdzenie – przypuszczała – znaczyło bardzo dużo, ale w tym szczególnym momencie nie chciała się nad tym dłużej zastanawiać.

– Cóż, musimy się zdecydować na którąś drogę. Wybieraj. – Mówiąc to, czuła, że zniekształca końcówki słów, jak to czynią pijacy.

Gdzieś wysoko nad nimi, po przeciwnej stronie, trzasnęła okiennica, a w oddali zaczął szczekać pies.

Ravis obrócił Tessę dookoła i powiedział:

– Wybieram ten kierunek.

Początkowo sądziła, że poprowadzi ją ku temu dalszemu brzegowi, ale on zamiast tego wskazał na drzwi domostwa wdowy Furbish. Na schodkach leżało ciało jednego z napastników. Ravis dźgnął go w plecy, więc nie było zbyt dużo krwi. Kiedy Tessa zbliżyła się, by przyjrzeć się rysom jego twarzy, z zaskoczeniem stwierdziła, że są normalne: ani nie zniekształcone, ani nie rozmyte. U jej stóp leżał najzwyczajniejszy człowiek. Wzruszyła ramionami. Miała zbyt bujną wyobraźnię.

– Patrz w górę – syknął Ravis, kiedy stawiała stopę na pierwszym stopniu. – Powiem ci, kiedy będziesz mogła popatrzeć w dół.

Uśluchała rozkazu bez słowa sprzeciwu, aczkolwiek dopiero po chwili zrozumiała sens tego dziwnego polecenia. Ravis nie chciał, żeby oglądała ciało Swigga. Za późno, zdążyła je zobaczyć; od tej chwili jednak posłusznie patrzyła w sufit.

W mieszkaniu było mroczno i dość zimno. Zapach krwi zatykał nozdrza; nie chciała wdychać tego stęchłego powietrza. Stała nieruchomo, wpatrując się w ciemny strop i czekając, aż Ravis zamknie i zarygluje drzwi. Gdy to zrobił, zeszła wraz z nim do składziku, w którym spędziła pierwszą noc.

– Zaczekaj tu na mnie – rzucił jej przez ramię. Po krótkiej chwili przy wejściu rozblęsnęło złote światło.

Na zewnątrz szczekanie psa przybrało na sile. Na drewnianym moście zadudniły kroki.

Kiedy Ravis wrócił do składziku, Tessa zmartwiła się zgrozy. Mając światło za plecami, przypominał jednego z napastników. Z jego ubrania i włosów unosiła się woń mięsa i mokrej sierści. Zastanawiała się, czy i ona pachnie podobnie.

– No, dobrze – powiedział. – Mamy mało czasu. Ci, którzy czekają na zewnątrz, szybko się połapią, że nie zamierzamy wyjść. Liczę na to, że spodziewają się, iż nie wiemy o ich obecności, a weszliśmy tu jedynie po to, żeby zabrać nasze rzeczy. – Poczekał, aż Tessa skinie głową, po czym ukląkł przed nią na jedno kolano. Powtórnie wycierając nóż w spodnie, dodał: – To nie potrwa długo.

Cofnęła się, przestraszona. Ravis przytrzymał ją za rąbek sukni przez co musiała się zatrzymać.

– Chcę ją tylko przyciąć u kolan. Postaram się, żeby nie ucierpiała na tym twoja skromność.

Przyciąć u kolan? O czym, do licha, on mówi? Marzyła, by przestało jej na moment szumieć w głowie i mogła zebrać myśli.

Ravis roześmiał się na widok zmieszania, jakie odmalowało się na jej twarzy.

– Skoro mamy wskoczyć do rzeki, nie chcę, żeby twoja suknia zaplątała ci się między nogami. A teraz stój spokojnie.

Jedną ręką napinał skraj materiału, drugą zaś zaczął rozcinać suknię.

– Do rzeki?

Przytaknął.

– To najlepszy sposób. Najpierw spuszczę cię z okna do wody, a potem sam zeskoczę. Nie przejmuj się, o tej porze roku nie powinniśmy zmarznąć. Poza tym jestem pewien, że wpadniemy w błota, a nie wodę. – Ostatni odcięty rąbek tkaniny opadł na podłogę. – Mimo to musimy zachować wszelkie środki ostrożności. – Przez chwilę namyślał się, po czym zapytał: – Umiesz pływać, prawda?

Potwierdziła skinieniem głowy. Wstając, Ravis ocenił swoje dzieło.

– W porządku, chodźmy.

Tessa poczuła się zakłopotana uwagą, jaką poświęcał jej Ravis. Przecież pokazała mu tylko kolana – powtarzała w duchu. Przycięta suknia nie oznacza jeszcze, że jest półnaga albo coś w tym stylu.

Ravis otworzył okiennice. Dźwięki, niedawno jeszcze przytłumione i odległe, raptem nabrały mocy. Szczekanie, okrzyki, tupot nóg. Tessa spojrzała na Ravisa.

– Nie szkodzi – powiedział. – Im więcej hałasu, tym lepiej. Wymkniemy się niepostrzeżenie. – Wyciągnął do niej rękę. – Nie jest tu zbyt wysoko, najwyżej piętnaście kroków.

Tessa zbliżyła się do okna. Cieszyła się teraz, że szum w głowie nie pozwalał jej się skupić. W tej sytuacji dłuższy namysł mógł okazać się zgubny.

Zapach znad wody unosił się niby dym z dogasającego ogniska. W porównaniu ze smrodem krwi i zwierzyny, fetor rzeki stanowił istne błogosławieństwo. Wyglądając na zewnątrz, ujrzała w dole lśniące fale rzeki, po obu jej brzegach rozciągały się szare namuliska. W dali, za czarną wstęgą wody, stłoczyło się miasto, podobne do rozwścieczonego, przepychającego się tłumu.

Bam, bam!

Drzwi. Ktoś próbował włamać się do środka. Zerknęła na Ravisa, który – chociaż wyglądał na opanowanego – przygryzał nerwowo bliznę na wardze.

Pomógł jej wdrapać się na parapet. Jego dotyk był zadziwiająco delikatny; zawahał się na moment, by odsunąć z jej twarzy kosmyk włosów.

– Nie przejmuj się – rzekł cicho, patrząc jej głęboko w oczy. – Będę na dole w sekundę po tobie. Rozłóż ręce, nie walczy z nurtem wody, ale staraj się podplłynąć do zachodniego brzegu.

Skinęła głową niepewnie. Znow zebrało jej się na wymioty. Wyobrażenia podsunęła jej twarz człowieka, który ją zaatakował. Raz jeszcze ujrzała zęby, dziąsła i pałające oczy. Ten świat wypełniały szalone, niebezpieczne możliwości.

Bam, bam! – rozległo się z większą siłą.

Ravis ujął jej dłoń i pomógł wyjść poza krawędź okna. Chłodny powiew wiatru owiał gołe nogi Tessy, kiedy opuszczał ją powoli w dół. Nie odrywał od niej wzroku, a jego uchwyt trzymał jak imadło. Nie chciał jej puszczać – wyczuła to poprzez strach, ból i zamęt w głowie.

– Będę przy tobie jak cień – wyszeptał, zwalniając uścisk.

Wtedy Tessa spadła. Żołądek podskoczył jej do piersi, a serce w jakiś sposób zawędrowało do gardła. Przez chwilę czuła smagnięcia zimnego powietrza, po czym uderzyła w tłustą, kleistą taflę wody. Zdziwiła się niepomieranie, gdyż była o wiele cieplejsza, niż wcześniej przypuszczała, a jej gęstość pozwalała szybciej wypłynąć na powierzchnię. Woda na moment zakryła jej głowę. Nie wiedziała, jak w tym miejscu jest głęboko, lecz dowiadywać się nie miała najmniejszej ochoty. Nie zanurzy więcej w tej brei oczu, ust ani nosa.

Nie zamierzała ryzykować, że ta śmierząca, zaśmiecona ciecz wleje jej się do gardła. Nie mogło być o tym mowy.

Zapominając, że dryfuje wraz z nurtem, ze zdziwieniem spostrzegła, jak daleko znajduje się most. Gdy zadarła głowę, ciemna postać oderwała się od oświetlonego okna: Ravis. Uniosła rękę i pomachała; zastanawiała się, czy nie krzyknąć, ale doszła do wniosku, że rozsądniej będzie jeszcze trochę pomachać. Przypominając sobie zalecenie Ravisa, rozłożyła szeroko ramiona i spróbowała popłynąć w stronę zachodniego brzegu. Wierzgała obłąkańczo nogami, jednak woda była na tyle gęsta, że wydawało jej się, iż brnie w błocie.

O smrodzie wolała nie myśleć, podobnie jako miękkich i napuchniętych przedmiotach, które przepływały jej koło nosa. Tłuszcz zalegał na powierzchni wody grubą, odbijającą tęczę kolorów warstwą. Wydawało jej się, że dostrzega wyraźne wzory. Zawile, błyszczące, kolorowe linie okręzały się wzajemnie, przypominając słoje drzewa. Albo złote włókna pierścienia.

Pierścień! Zdjęta strachem, sięgnęła do wstążki zawieszanej na szyi. Nabrzmiące palce plątały się przy przemoczonej wełnie, gorliwie poszukując jedwabnej tasiemki. Natrafiwszy na wstążkę, przesuwała wzdłuż niej dłoń, póki ostre kolce nie ukłuły jej w kciuk. Odetchnęła z ulgą. Nadal miała pierścień.

Zdawała sobie sprawę, że z każdą chwilą jej suknia staje się coraz cięższa, zatem – aby się nie zanurzyć – zaczęła szybciej wiosłować nogami. Ramiona i nogi jak na razie nie odmawiały posłuszeństwa, ale miała za sobą długi i wyczerpujący dzień, który dał się porządnie we znaki. Ku swej radości poczuła, że znow potrafi myśleć trzeźwo. Głowa nadal bolała ją od uderzenia, lecz ból nie był już taki tępy, tylko jakby bardziej “precyzyjny”.

Okrzyki, wycie i plusk wody rozległy się za nią w pewnej (zdawało jej się, że sporej) odległości.

– Hej, Tesso! – usłyszała głos, który rozchodził się nad powierzchnią wody niczym powiew bryzy.

Wykręciła głowę i za sobą ujrzała Ravisa. Wyciągnęła rękę, którą po chwili pochwycił.

– Zazwyczaj nie zabieram moich przyjaciółek na nocny spacer w takie miejsca – powiedział, podpływając jeszcze bliżej – ale wszystko ma swoje dobre strony. – Po tych słowach objął ją ramieniem. – A teraz do brzegu.

Wiosłując razem, posuwali się w miarę szybko. Tessa czuła, jak mięśnie Ravisa prężą się, żeby jej nie wypuścić. On nie tyle płynął, co “atakował” wodę: ciał, uderzał, robił wypady. Po kilku minutach stopy Tessy dotknęły dna. Gdy wyczuła odpychająco miękkie i śliskie podłoże, postanowiła tak długo unosić się na wodzie, jak to będzie możliwe. Stopniowo jednak została zmuszona stąpać po dnie, przy każdym kroku zapadając się po kostki w szlamie. Jakby tego nie było dosyć, Ravis nakazał jej się pochylić. Wyszli już niemal zupełnie z wody i nie chciał, żeby prześladowcy przypadkiem ich spostrzegli.

Klnąc pod nosem, Tessa czołgała się na czworakach. Zmuszona grzęznąć w mule, uginając się pod brzemieniem przemoczonej sukni, zatęskniła za wodą. Starła się oddychać płytko i szybko, aby nie wciągać strasznego fetoru rozkładających się nieczystości, lecz płuca nie chciały poddać się tego typu eksperymentowi. Potrzebowały teraz bardzo dużo powietrza.

Kiedy czołgali się w stronę muru, zerknęła za siebie. Ciemności nie pozwalały stwierdzić, czy ktoś wskoczył za nimi do wody, ale zdawało jej się, że słyszy w oddali pluski.

Padlina, kości, rozdęte ciała szczurów i ptaków, przegniłe liście, kawałki drewna i śmieci sterczały ze szlamu. Im bardziej zbliżali się do nasypu, tym gorzej to wyglądało. Tessa dawno już zwalczyła obrzydzenie: teraz chciało jej się śmiać. Spojrzała na siebie: przemoczona do suchej nitki ucieka przed śmiercią, wdychając przy tym smród szamba. Nie tak powinna chyba wyglądać wielka przygoda.

Mur był wzorem, który należało odczytać. Do budowy fundamentów użyto dużych, doskonale obciosanych kamieni, które obecnie wyglądały na bardzo sędziwe. Im wyżej ów mur wznoszono, tym mniej uwagi poświęcano samej konstrukcji, a głązy, kamyki i odłamki powciskano jak popadnie, nie zważając na wymogi wytrzymałości i na estetykę. Górna warstwa skruszała i odpadła. Pasemka cętkowanej, żółtej zaprawy wiły się pomiędzy kamieniami i cegłami niby warstwy tłuszczu w mięsie. Tessa studiowała mur jeszcze przez pewien czas, po czym wruszyła ramionami. W tym dziwnym świecie wzory pojawiały się wszędzie, gdzie tylko skierowała wzrok.

Kiedy już wspięła się na szczyt muru, bała się wyprostować. Skulona, szczękała z zimna zębami.

– Dokąd teraz?

Ravis popatrzył na rzekę, a następnie w stronę miasta. Zaczął skubać wargę, a potem chwycił ją za rękę.

– Wiesz co? – powiedział, rozszerzając usta w półśmiechu. – Może byśmy tak osobiście przekazali wyrazy szacunku czcigodnej matce Emitha? Szkoda, że wcześniej nie przyjęliśmy jego zaproszenia.

– Jutro o świcie przekroczymy granicę. Zanieście swoim ludziom mój rozkaz. – Izgard z Garizonu wpatrywał się w twarze dowódców i generałów, szukając oznak słabości: zmrużenia powieki, drżenia mięśnia, odwrócenia wzroku – czegokolwiek, co mogłoby sugerować strach lub zwątpienie. Żaden się nie poruszył. Izgard był mile zaskoczony. Dał ręką znak, że mogą się rozejść, po czym odwrócił się do nich plecami. Zaczęli wychodzić kolejno z komnaty.

Królem również targwały emocje, których nie chciał ujawniać.

Dopiero gdy zamknięto drzwi i upłynęło kilka sekund, surowe oblicze Izgarda wypogodziło się. Krew w nim wrzała. W tych dniach, kiedy wszystkie jego myśli skupiały się na bitewnych planach, często drżał i brakowało mu tchu. Przechadzając się po wspaniałej sali wojennej, będącej granitowo-ołowianym sercem twierdzy Sern, mijał dębowe skrzynie pełne map, potężne stoły (częściowo pokryte pergaminami) i obwieszane różnorodnym orężem kamienne ściany. W kącie sali leżał tuzin przykrytych sukniem płócien. Były to obrazy, które niedawno przybyły z Weizach. Izgard nalegał, żeby pozrywać je ze ścian zamku Weize: uwielbiał przyglądać się scenom batalistycznym.

Po ściągnięciu sukna z pierwszego obrazu, nachylił dzieło pod takim kątem, ażeby padające światło wydobyło z niego jak najwięcej szczegółów. Malowidło przedstawiało wielkie zwycięstwo Hieraca pod Balinoc. Obraz niemalże ociekał szkarłatnymi odcieniami rzezi, odsłaniając całe okrucieństwo wojny: połamane kończyny, głębokie rany, zaciśnięte pięści, rozdziawione usta i szeroko otwarte, oślepienie przerażeniem oczy.

Wzrok Izgarda spoczął na purpurowym rozcięciu, które symbolizowało śmierć Alroya, księcia Rosney. Jego okrwawione wnętrzości, gładkie i błyszczące, zdawały się wybiegać poza ramy obrazu.

Król zwilżył wargi. Nigdzie tak nie maluje się krwi, jak w Garizonie. Mistrzowie z Weizach nadali nazwy pięciuset tonom czerwieni.

Odłożywszy obraz, wstał i podszedł do najbliższego stołu. Złapał za jeden z wypełnionych po brzegi dzbanków i zrobił coś, na co niezwykle rzadko decydował się w samotności: nalał sobie kielich wina. Czerwonego, gdyż kolor ten pasował do zabarwienia obrazów, oraz mocnego – co kojarzyło mu się z biciem serca. Zaniechał ostrożności i nie wezwał nikogo, kto mógłby skosztować przed nim trunek. Wiedział, że to wino jest bezpieczne, jako że dwóch generałów piło wcześniej z tego samego dzbanka. Zawsze zwracał uwagę na podobne szczegóły.

Nie wypuszczając kielicha z dłoni, oddychał głęboko i starał się uspokoić. Nadchodzący dzień oznaczał prawdziwy początek królowania. Dopiero wtedy, gdy jego żołnierze przeleją

krw wroga, a sztandar Kolczastego Wienca załopocze nad zdobyczym terytorium, będzie mógł zaliczyć się w poczet władców Garizonu.

Umoczył język w winie. Nie czuł smaku. Nie czuł smaku niczego, co kosztował w życiu. Ci, którzy narodzili się, aby włożyć na głowę Kolczasty Wieniec, często przychodzili na świat z jakąś poważną skazą. Evlach Pierwszy miał osiem palców; jego syn, Evlach Drugi, urodził się ze szpotawą stopą, natomiast kolejny z rodu cierpiał na chorobę, podczas której ciało i kości twarzy rozwijały się w przypadkowy sposób. Wyglądał jak potwór, lecz wygrywał bitwy po królewsku: tacy już byli władcy Garizonu. Nawet sam Hierac przyszedł na świat ślepy na jedno oko. Zdrowym okiem widział jednak więcej, niż ludzie zwykle widzą oboma. Wszystkich pretendentów do korony łączyła jedna cecha: by zyskać wielką nagrodę, musieli stracić coś cennego. Cecha ta była jak nić (jedna z wielu), łącząca dawnych królów i obecnych monarchów, wplatająca w wątek Wienca nieco tajemniczości i mocy.

Żaden fizycznie normalny mężczyzna nie mógł ozdobić nim głowy.

Izgard przełknął wino, będące w jego ustach jedynie ciepłym płynem. Czuł zapach – tej przyjemności mu nie odebrano – lecz smak był mu obcym pojęciem.

Jeśli chodzi o jedzenie, napawał się wyłącznie jego konsystencją; miękkie, wodniste, kleiste, kruche, chropowate – tylko tyle mógł mu wyjawić śliski, jaszczurczy język. Nie znajdował przyjemności w jedzeniu, stawiając je w jednym szeregu z przycinaniem paznokci, sikaniem do nocnika lub wcieraniem tłuszczu w suchą skórę. Izgard jadł, gdyż musiał. W przeciwnym wypadku by umarł.

W dzieciństwie otarł się o śmierć, kiedy odpychał wszelkie potrawy, jakie podsuwano mu pod nos. Przygłupie kucharki wybierały mu najwyborniejsze mięsiwa, żeby nabrał siły. Mięso tymczasem było największą udręką dla kogoś, kto nie czuł smaku. Twarde, włókniste i żyłowate – przed połknięciem wymagało żmudnego przeżuwania. A kiedy w trakcie tego mozolnego procesu ktoś nie czuje smaku, rezultaty bywają żałosne. Czteroletni Izgard po prostu je wypluwał. Po ośmiu dniach nie przyjmowania posiłków wezwano na pomoc medyków; zaczęli go szturchać, popychać, przestawiać i wypytywać. „Co się z tobą dzieje, chłopcze? Czyżbyś nie czuł, jak smaczne jest mięso?” – dopytywali się. Dopiero gdy Izgard potrząsnął głową i odparł: „Nie wiem, o co wam chodzi”, zaczęli podejrzewać prawdę. Przeprowadzono doświadczenia. Na język kładzono mu po kolei: jodynę, olej rycynowy, cierpki sok z owoców i silny ocet, sprawdzając jego reakcje, jakby był owadem umieszczonym w słoiku.

Kiedy ostatecznie lekarze doszli do wniosku, że chłopiec nie czuje smaku, pokiwali tylko głowami, jak gdyby od samego początku o tym wiedzieli; szeptali na osobności, iż ów dzieciak z gładkim językiem pewnego dnia włoży na głowę Wieniec.

Miał odpowiednią skazę.

Kiedy osiągnął wiek męski, gdziekolwiek pojawił się w Weizach, szeptano: „Patrzcie, to Izgard, syn Abora. Powiadają, że nie czuje żadnego smaku prócz krwi”. W każdym mieście

zachodu podobne słowa odebrano by jako obrażę, lecz w stolicy Garizonu stanowiły wyszukany komplement.

Izgard przełknął łyk wina, ale na tym poprzestał. Odstawił kielich na stół i ruszył w stronę drzwi. Jego nadzoru wymagały jeszcze inne sprawy. Dość szorstko potraktował Ederiusa i fakt ten nie dawał mu spokoju. Skryba znaczył dla niego bardzo wiele. Był jedynym człowiekiem w Garizonie, któremu mógł powierzyć Wieniec, jednak ostatnio, kiedy przebywał z nim sam na sam, tracił panowanie nad sobą i uciekał się do przemocy.

Obmyślając słowa przeprosin, Izgard wszedł do skryptorium. Na jego widok dwie postaci zamarły w bezruchu: Ederius przy pulpicie, oparty na krześle – obok rozłożonych manuskryptów leżały beczynn timero i nóż – a zaraz za jego plecami Angeline. Jej pięknie pomalowane paznokcie mieniły się na tle szorstkiej, brązowej wełny, okrywającej lewe ramię mężczyzny. Kolczasty Wieniec spoczywał na cokole w głębi pomieszczenia. Mimo iż był ze złota, jarzył się rubinowo, krwawo.

Przez krótką chwilę Angeline i Ederius wpatrywali się w króla rozszerzonymi oczyma, po czym odskoczyli od siebie.

– Izgardzie – pisnęła Angeline swym dziewczęcym szczebiotem. – Ramię nieszczęsnego Ederiusa tak go bolało. Ciężko pracuje i łapie go skurcz mięśni, a kość jest złamana...

– Sza! – warknął Izgard.

Angeline zamknęła usta. Prawa dłoń drżała u jej boku, kiedy lewa podkradała się do stołu i ostrożnie odsuwała pergamin.

W jednej sekundzie Izgard znalazł się przy niej i zacisnął palce na nadgarstku żony.

– Oddaj mi to!

Twarz Angeline pokryła się zmarszczkami. W niebieskich oczach zaszklifiery się łzy.

– To moje. Nie pokażę.

W przypływie szaletństwa Izgard uderzył ją tak mocno, że zatoczyła się i z rozpostartymi ramionami upadła na kamienną posadzkę.

Ederius wziął głęboki oddech.

Izgard wzniosł pięść do kolejnego ciosu, ale powstrzymał się i zamiast tego wyrwał Angeline skrawek pergaminu. Zgniatając go w dłoni, próbował ostudzić własną wściekłość. Dopiero po kilku minutach przyszedł do siebie. Nikt się nie ruszył ani nie zabrał głosu.

Mgła zakrywająca mu oczy rozwiała się raptownie. Tętno w skroniach zelzało. Otworzył pięść i wyprostował pergamin. Rozpoznał kontury psa. Każda z łap miała inny kolor, a głowa i ogon błyszczaly złotem. Dziecięca malowanka.

– Panie – ozwał się cicho Ederius. – Narysowałem tylko mały żarcik, żeby rozweselić królową. Jej Wysokość uwielbia malować wraz ze mną.

Izgard skinął głową w zamyśleniu. Ukłęknął przy żonie i wyciągnął do niej rękę.

– Najdroższa – rzekł najłagodniejszym tonem, na jaki umiał się zdobyć – podaj mi swoją dłoń. Pozwól, że ci pomogę.



Angeline nie ruszyła się. Kropla krwi zebrała się na jej wardze. Spojrzała na Ederiusa.

Delikatnym ruchem Izgard przetarł żonie usta. Gdy dotknął palcem warg, poczuł ucisk głęboko w piersi. Angeline drżała, zaciskając smukłe palce na rąbku sukni. Cóż go podjudziło, żeby ją uderzyć? Ona tylko pocieszała Ederiusa, nic więcej. Zażenowany tą nagłą zmianą, jaka się w nim dokonała, cofnął rękę.

– Zostaw nas samych, Angeline – powiedział. – Chcę porozmawiać z moim skrybą w cztery oczy.

Angeline dobrze знаła jego charakter i wiedziała, że są sytuacje, w których lepiej bez szemrania wypełnić jego polecenie. Wstała, poprawiła suknię i wyszła ze skryptorium, zamykając za sobą drzwi; cicho – jak skarcona dziewczynka.

Izgard odwrócił się do Ederiusa. Płaszcz na lewym ramieniu skryby wybrzuszył się nad zabandażowanym obojczykiem. Król zapragnął dotknąć go i pogłaskać. Zamiast tego powiedział:

– Nie życzę sobie, żebyś spotykał się z moją żoną sam na sam, czy to jasne?

– Ależ panie, królowa jest dla mnie jak dziecko, jak córką. Nigdy bym...

Izgard rąbnął pięścią w stół. Podskoczyły pergaminy i zabrzęczały słoiczki z barwnikami. Jeden kubek przewrócił się i woda zalała najświeższą iluminację Ederiusa.

– Czy to jasne?

Skryba zwiesił głowę na piersi. Krople wody skapywały mu z blatu na kolano.

– Tak, panie.

– To dobrze. – Izgard skinął głową. Powściągnięcie emocji kosztowało go sporo energii. Teraz, kiedy gniew minął, uświadomił sobie, że ani Ederius, ani Angeline nie popełnili nic zdrożnego. Niewątpliwie Angeline obserwowała skrybę podczas pracy i sama zapragnęła popробować swych sił w tej ciekawej dziedzinie. Sędziwy skryba z chęcią podjął się zabawić królową i prawdopodobnie wielce się natrudził, żeby ją rozweselić. Ona zawsze była taka wdzięczna, kiedy ktoś okazywał jej uprzejmość. Tutaj, w twierdzy Sern, nie miała wielu przyjaciół, a skoro jej brat i ojciec umarli, nie miała także rodziny.

Ta wieczna dziewczynka kochała swego drogiego, zawsze podchmielonego braciszka i ospowatego tatusia. Izgard pamiętał tę chwilę, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy. Klęczała przy ojcu, masując jego stopy, aby wzmocnić krążenie. Ujęło go to dziecięce oddanie. Podczas spotkania z jej ojcem, niemal bez przerwy wpatrywał się w dziewczynę. Cechowała ją doskonała garizonka uroda: blada skóra, krągłe biodra i jasne oblicze. Kiedy zabrała głos, ujawniła się kolejna z jej zalet: słodki, nieokrzesany charakter.

Izgard odegnał te myśli. Angeline była idiotką. Z każdym dniem znaczyła dla niego coraz mniej. Wojna i Wieniec – oto co się liczyło.

Powiódł dokoła spojrzeniem, by w końcu utkwic je w koronie. W płomieniu świec Kolczasty Wieniec błyszczał złościście. Młot, niczym miecz bogów, kuł rozżarzony do białości metal, pręty czystej platyny i żelaza wtopiono w rozgrzane złoto. Stygnący stop

sprasowanych metali został po tysiakkroć spleciony, potem rozciągnięty do niewyobrażalnej długości i uformowany tak, aby pasował na królewską głowę. Izgard nie widział piękniejszego złota. Jego kolor i tekstura zmieniały się przy każdym poruszeniu. I chociaż po zbadaniu okazało się, że zawiera tylko dziesięć procent domieszek, było twardsze od stalowych pancerzy.

Ukształtowany tak, by w większym stopniu odbijać własny wizerunek aniżeli otoczenia, Kolczasty Wieniec wydawał się świecić jasnym, wewnętrznym światłem. Każde złote włókno zostało pokryte unikalnym deseniem. Nacięcia odsłaniające ciemne, wielowarstwowe wnętrza metalu ścięły się i splatały na setki sposobów. Jakiś czas temu Ederius rozpoczął prace nad odtworzeniem form i ornamentów w swoich iluminacjach i tym to sposobem uczynił z harrarów coś więcej niż ludzi.

Izgard odwrócił się do Ederiusa:

– Na razie odłóżmy sprawy dotyczące mojej żony na bok. Powiedz, udały ci się dziś szkice? – Mówiąc to, pogładził rzadkie, siwiejące włosy starca. Lubił dotykać tych, którzy byli przy nim blisko.

Ederius ze wszystkich sił starał się zachować nieruchomą pozę.

– Zawiodłem cię, panie. Ravis i tym razem uszedł z życiem.

Izgard potrząsnął smutno głową. Ederius nie miał się czego obawiać. Dostrzegł odstający kosmyk włosów na skroni skryby i wygładził go delikatnie.

– Co nam przeszkodziło tym razem?

Znad ucha Ederiusa ściekła strużka potu.

– Nie wiem z całą pewnością. Wysłałem sześciu ludzi. Dwóch z nich zaczął się w mieszkaniu, po dwóch czatowało przy każdym końcu mostu. Zgodnie z twoimi wskazówkami żaden z nich nie zaatakował, dopóki Ravis nie spróbował wejść do mieszkania. – Ederius mówił coraz głośniej: – Z tego, co wiem, Ravis pokonał harrarów zaczajonych w domu, a pozostałym wymknął się, skacząc do wody.

– Co z pozostałymi harrarami? – Izgard głąskał skrybę po kości policzkowej. – Czyżby nie wskoczyli za nimi do rzeki?

Ederius pospiesznie skinął głową.

– Wskoczyli, panie. We dwoje, ale nad wodą panowały nieprzeniknione ciemności i nie wiadomo było, czy zbiegowie udali się do lewego brzegu czy do prawego, czy też popłynęli z nurtem.

– Zbiegowie? – Palec Izgarda przesunął się z czoła Ederiusa ku nasadzie nosa.

– Ravis przebywał wówczas z pewną damą.

– Damą? – parsknął Izgard. Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku korony. Ederius westchnął z ulgą – cicho, niemal bezgłośnie. Mimo to Izgard go usłyszał. Urodzony bez jednego ze zmysłów, musiał zadbać o to, żeby pozostałe cztery wypełniły lukę. Miał słuch niczym stworzenie ciemności.

Pogłaskał zwoje Kolczastego Wieńca i powiedział:

– Wątpię, czy jakaś kobieta, która zechce być z Ravisem z Burano, ośmieli nazwać siebie damą. Szybciej dziwką, może zbałamuconą idiotką, a może nawet ofiarą, którą on uprowadził pod groźbą użycia noża. – Świadomy, dokąd zmierzają jego myśli i chcąc jak najszybciej zmienić temat, dodał: – Żądam śmierci Ravisa z Burano. Poślę do Bay’Zell jeszcze więcej harrarów, a ty masz dopilnować, żeby wykonali zadanie. – Przejechał palcem po złotych kolcach. Wcale nie zmienił tematu, tylko zawęził go do ostrego, śmiercionośnego szpikulca.

Uniesiony gniewem, Izgard zacisnął dłoń na koronie. Zamknął oczy, kiedy ciernie przebijały ciało. Ból był równie czysty i przeszywający, jak garizońska modlitwa. Władca zniósł go mężnie, czując przypływ sił witalnych. W tej chwili umysł jego skupiał się na najważniejszej sprawie – wygraniu wojny.

Popatrzył na Ederiusa. Zbliżył się do stołu skryby i postawił przewrócony dzbanuszek. Ochlapany wzór nadawał się do wyrzucenia; rozmaite barwy zlały się z sobą, tak że powstała jedna, przypominająca krew.

Dotknął złamanego ramienia tak delikatnie, jak to niedawno uczyniła Angeline.

– Mój stary przyjacielu, zrób sobie chwilę przerwy. Masz za sobą długą, ciężką noc, pora zatem odpocząć. Będziesz mi potrzebny o wschodzie słońca. Gdy zaświta nowy dzień i rozgorzeje bitwa, wzór musi być gotowy.

Skryba dotknął nieśmiało dłoni Izgarda. – Tak, panie, masz rację. Muszę wypocząć. Izgard uśmiechał się łagodnie i pomógł Ederiusowi wstać z krzesła. Głęboko kochał swego starego skrybę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Smuga bogatej w rtęć, cynobrowej farby przecięła stronę, tysiąc razy bardziej zabójcza od sumy cząsteczek wchodzących w jej skład. Miodowa złocień pięła się spiralami, jakby w ucieczce przed pozłacaną żmiją. Czerwone, ołowiane pęcherze jątrzyły się na pergaminie niczym jad węża. Na biały ołów przyjdzie pora później: owego śmiercionośnego brata czerwonego ołowiu należało zachować na koniec.

W następnej kolejności pojawiła się skomplikowana wiązanka purpurowych i błękitnych pasemek. Jeśli cynober tworzył arterie, błękit z pewnością symbolizował żyły. Pędzel skryby powoływał do życia coraz to nowe zastępy ametystowych włókien, które tworzyły misterną pajęczynę. Potem zjawił się żółty arsen. Nakładany grubą warstwą, przypominał ropę wydobywającą się z rany. Poprzez te wszystkie żółte, purpurowe, błękitne i czerwone linie złota farba pełzła jak wąż, którego przedstawiała. Tłuste zwoje przeplatały się ze szkarłatną siecią naczyń krwionośnych, ograniczając przepływ kolorów do lewego górnego narożnika karty. Uzyskany ze sproszkowanego złota, miodu i białka jajek złoty barwnik szatkował wszystkie linie, jakie napotykał na swojej drodze, podobnie jak zabójca podcina gardła ofiarom.

Skryba czuł każdy śmiertelny cios. Czuł go w skroniach, w powoli gojącym się obojczyku i w mięśniach otaczających serce. Piekły go oczy, szaty przesiąkły potem i chociaż prawą rękę łapały kurcze, palce ani razu nie zadrżały.

Nikt, nawet zamachowiec, nie potrzebował tak pewnej ręki, jak skryba.

Ponury nastrój wspomagał starca, który przelewając całą gorycz na pergamin, udoskonalał tym samym swoje dzieło.

Był zabójcą. Wprawna dłoń, bystry wzrok i znajomość trujących substancji wspaniale się uzupełniały. Broń i trucizny miał pod ręką: pędzle, pergamin, pigmenty. Jego ofiary znajdowały się dwadzieścia mil na zachód i – jak w przypadku profesjonalnie przeprowadzanych zabójstw – niczego nie przeczuwały. Widząc jedynie oddział żołnierzy, nie zasługujący nawet na miano kompanii i nie wzbudzający strachu, pozwolą mu się zbliżyć. “Patrzcie, są słabo uzbrojeni – powiedzą. – Nie mogą mieć wobec nas wrogich zamiarów”.

Ederius patrzył oczami stworzeń, które wyhodował z ludzi: czuł to, co one czuły, a jego tętno biło ich tętnem. Instykt zabijania, który w nich wszczepił, rozwinął się w taką dzikość, że czasami martwił z przerażenia. Napawały się oddechem swych ofiar, podobnie jak wygłodniały człowiek rozkoszuje się zapachem parującej stawy. Gdy im ciekła ślina, i jemu ciekła. Nic na to nie mógł poradzić.

Na moment Ederius podniósł wzrok znad iluminacji. Tuż przed nim, na cokole, mienił się Kolczasty Wieniec. Złote nici tworzyły tajemniczy labirynt, w który tylko on mógł się zagłębić. Konstrukcja światła i cieni wypaliła obraz na siatkówce jego oka, jakby spojrzął prosto w słońce. Kiedy wreszcie spuścił wzrok na pergamin, na wcześniej namalowany wzór nałożył się wizerunek korony. Dwa obrazy pasowały do siebie jak kawałki układanki. Ederius wiedział już, co należy zrobić w następnej kolejności.

Pędzel przeistoczył się w dodatkowy palec, a farba tryskała spod niego niby krew z otwartej rany. Nigdy wcześniej nie uzyskał tak głębokich barw. Pociągnięcia pędzla były śmiałe i szybkie, wymierzone z istic diabelską nonszalancją, a jednocześnie z dokładnością łucznika, który celuje do tarczy.

Mężczyźni zbliżyli się do swych ofiar – wieśniaków z nadgranicznej osady Chalce, leżącej w królestwie Raize. Czuli ciepło noży na udach i dziwny ucisk w ustach, jakby zęby nie mieściły im się w dziąsłach. Ich uwagi nie uszedł najdrobniejszy ruch we wsi. Umysły były napięte, zmysły wyostrzone. Kiedy iluminacja zaczęła przybierać ostateczną formę, niewidzialna więź zjednoczyła oddział. Przed nadejściem Kolczastego Wieńca posiadali indywidualne cechy, teraz działali jak jedno ciało.

Edenus był mistrzem w swej sztuce, dyrygował całym przedstawieniem pewną ręką, chłodnym spojrzeniem i niezmaconą wizją wszystkiego, co mógł osiągnąć. Szkarłatna farba upstrzyła kartę, kiedy obcy natarli na wieśniaków. Skryba słyszał wrzaski i ujrzał ich przerażenie na widok nieokiełzanego szaleństwa napastników. Bez zmruczenia oka wykorzystał ów terror w ogólnej kompozycji ornamentu. Stał się on spoiwem nowych pigmentów.

– Przecież jest ich tak mało. – Usłyszał jednego młodzieńca. – To nie do pomyślenia, żeby taka garstka...

Złocista włócznia przecięła purpurową żyłę i młodzieniec nie zdążył powiedzieć, zrobić ani pomyśleć niczego więcej. Edenus umieścił kilka czerwonych, ołowianych kropelek wokół rozciętego naczynia, gdyż tak nakazywał mu instynkt. Pociągnięcia pędzla szły w ślad za dźwiękami noża, mozaika przeradzała się w strategię, a spirale odwzorowywały ruchy, jakie odbywały się na scenie teatru położonego wiele mil na zachód. Kolczasty Wieniec unosił się nad kartą niczym upiór. Niczym straszna, krwiożercza muza.

Dziewięciu ich było. Dziewięciu wyznaczonych przez Izgarda ze względu na inteligencję i umiejętność władania bronią. Z jakiejś przyczyny rozpostarta przed skrybą iluminacja zjednoczyła całą ich wiedzę, z dziewięciu komponentów tworząc jedną istotę.

Ederius chciałby, żeby było ich więcej. Umiałby dowodzić dwudziestoma, trzydziestoma – nawet setką ludzi. Kompania, batalion, cała armia mogłaby być jego! Ich wiedza stała przed nim otworem, ich siła była jego siłą, a wszelkie słabości, jakie przejawiali, opadały na dno niczym pigment w roztworze.

Skryba wyznaczał kolejne linie iluminacji. Oryginalne odnośniki szkicu, z taką pieczołowitością wyznaczone i naniesione, zostały zignorowane. Prawidła symetrii, alternacji i zwierciadlanego odbicia przestały się liczyć. Wszystko odeszło na drugi plan, a wizją zawładnął Wieniec. Kiedy ginęli kolejni mieszkańcy wioski, z potoku krwawych barw wynurzały się coraz to nowe desenie. Zawile, piękne, fascynujące: wyzywały rozum w szranki, przyspieszały pracę serca i podniecały do czerwoności.

Rzeź trwała nadal. Gdy zabrakło mężczyzn, harrarzy rzucili się na kobiety i dzieci: trzaskały kręgosłupy, pękały szczęki, opróżniały się pęcherze. Ederius skrzętnie wykorzystywał każdy okrzyk przerażenia i prośbę o litość jako paliwo podsycające arcydzieło. Karmił się strachem. Gdy już padł ostatni człowiek, harrarzy skierowali swą wściekłość na zwierzęta. Psy, kury, świnie i krowy – wszystko poszło pod nóż.

Dziewięciu ich było. Dziewięciu lekkobrojnych żołnierzy. Zdołali jednak wyróżnić dziesięciokrotnie liczniejszą wioskę. Zajął im to niespełna godzinę.

Kiedy nie pozostało już nic żyjącego, by je zabić, a wiadomość o powodzeniu planu dotarła do armii oczekującej po drugiej stronie przełęczy, Ederius poczuł, że opuszczają go siły. Poplamioną czerwienią i złotem ręką dokonał ostatnich poprawek, wiodąc linie ku wspaniałemu, pompatycznemu zakończeniu. Omal nie zgubił harrarów. Omal nie zgubił siebie. Ogarnęło go uczucie sytości. Stworzył monumentalną iluminację. Kolczasty Wieniec był skarbnicą tajemnic; dzisiaj łaskawie odsłonił rąbek jednej z nich.

Ederius zamknął oczy. Pędzel wypadł mu z dłoni, potoczył się po pulpicie i spadł na ziemię. Skryba już tego nie słyszał.

Przebudził się. Zmrużył powieki i przesunął ręką po brzegu karty. Był to odruch wszystkich skrybów: “Czy farba przeschła? Jak długo spałem?” Farba była lepka, niemal sucha. Uplłynęło półtorej, może dwie godziny.

Ederius przetarł starcze oczy, rozprostował zeszywniałe prawe ramię, rozmasował bolący obojczyk, po czym spojrzął na iluminację, którą stworzył.

Coś ścisnęło go w gardle. W oko wpadły mu przypadkowe zawijasy i plamy. Szukał i szukał, ale nie mógł dopatrzeć się żadnego wzoru. Nie było go tam. Zobaczył tylko chaos.

Widząc, co stworzył, Ederius zwiesił głowę i załkał.

– Emicie! Emicie! Chodź tu prędzej i przekreśl moje krzesło. Młoda dama zaczyna się ruszać.

Tessa otworzyła oczy. Patrzyła na krokiew, z której zwisały zasuszone zioła. Na drugą nadziano płaty wędzonego boczku, na trzeciej zaś połyskiwały miedziane kubeczki. Zapachy, całkiem przyjemne, docierały do jej zmysłów w towarzystwie pary, dymu i gorąca. Gdy usiadła, okazało się, że znajduje się w dużej, oświetlonej ogniem paleniska kuchni, zagraconej patelniami, garnuszkami, miskami i dziwnymi drewnianymi przyrządami, którym nie umiała przypisać żadnej nazwy. Całym tym królestwem władała kobieta, która usadowiła się na dębowym krześle twarzą do ognia.

Kobieta obróciła głowę w jej stronę i przywitała się:

– Dzień dobry, moja droga. Emith zjawi się tu za chwilę, a wtedy będę mogła przyjrzeć ci się jak należy.

Tessa spuściła stopy na ziemię. Spała na drewnianej, pokrytej matercem ze słomą ławie. Koce, tchnące jakimiś piklami i konfiturami, ześliznęły jej się na kolana, a szlafrok koloru laskowych orzechów opadł na podłogę. Czuła sztywność mięśni, ból w nogach i zawroty głowy.

– Panienko – zawołał Emith od drzwi – poczekam tu sobie, a ty ubierz się w coś przyzwoitego.

Tessa popatrzyła w jego stronę. Emith wlepił spojrzenie w futrynę. Oglądając swój szlafrok, uśmiechnęła się pod nosem. Przyzwoitego? Nie pamiętała, kiedy ostatnio miała na sobie coś równie przyzwoitego: rękawy zakrywały nadgarstki, dół zasłaniał palce u nóg, a kołnierz był wystarczająco wysoko, żeby się w nim udusić. Sądząc z otarć skóry tuż pod podbródkiem, początkowo mógł być podciągnięty jeszcze wyżej.

– Ubranie wisi na drzwiach od spiżarni, moja droga. Bądź pracowitą pszczołką i przynieś je sobie, dobrze? Nogi mnie dzisiaj trochę bołą. – Zwalista postać wykręciła się o dodatkowych kilka cali. – A co się tyczy ciebie, Emicie, włącz do spiżarni i czekaj, aż cię zawołam. Nikt nie będzie mówił, że pod moim dachem dzieją się jakieś bezceństwa. Wpychać się do pokoju, gdzie dama śpi w samym szlafroku? Zmiłuj się, Emicie! Cóż rzekłby na to twój ojciec?

– Przepraszam, matko – padła odpowiedź. Wkrótce jego kroki ucichły w oddali.

Mając przecucie, że popełniła jakiś straszny nietakt, Tessa skoczyła w stronę drzwi do spiżarni. Przypomniała sobie, że to nie jest jej świat: rzeczy, które dla niej nic nie znaczyły, dla tych ludzi były świętością. Postawy tutejszych mieszkańców nie różniły się w zasadniczym stopniu – jej matka też by z pewnością nie pochwaliła paradowania w cienkim szlafroczku w obecności obcych – ale były mniej elastyczne.

– Przepraszam – odezwała się za plecami gospodyni, wciągając suknię przez głowę. – Nie zamierzałam nikogo urazić. – Zauważywszy parę tasiemek przyszytych przy kołnierzyku, postanowiła na wszelki wypadek zawiązać je dokładnie, zanim w całej okazałości zaprezentuje się staruszce.

Stała oko w oko z twarzą zarówno okrągłą, jak i pociągłą, w której głęboko osadzone niebieskie oczy błyszcząły jak ogniki.

– Niczym się nie przejmuj, moja droga. To wszystko przeze mnie. Gdyby nie schorowane nogi, sama bym ci ją przyniosła.

Tessa zerknęła. Z wyjątkiem stóp i kostek jej nogi zasłaniała suknia. Skóra na kostkach była czerwona i spuchnięta, a stopy miały purpurowy odcień. Kobieta poklepała się po kolanie.

– Podejź no bliżej, kruszynko, żebym cię mogła dokładniej obejrzeć. – Po chwili wykrzyknęła donośnie: – Możesz już wyjść, Emicie! I przynieś nam mleka.

Tessa zbliżyła się do staruszki, która pochyliła się w krzesło i przyłożyła jej ciepłą dłoń do czoła.

– Hm, nie ma gorączki. Otwórz usta, moja droga. Szeroko. – Tessa postąpiła zgodnie z zaleceniem. – Żadnego opuchnięcia. Dobrze, bardzo dobrze. A teraz odwróć się, chcę rzucić okiem na twoją głowę. – Kobieta “hymknęła” jeszcze kilkakrotnie i nagle Tessa syknęła z bólu, dotknięta we wrażliwe miejsce. – Już dobrze, moja droga – rzekła staruszka uspokajająco. – Masz tylko guza wielkości rajskiego jabłuszka.

– Proszę bardzo, panienko – odezwał się Emith. Przyniósł dwie miski pełne parującego mleka. Pierwszą podał Tessie z nieśmiałym uśmiechem. – Dodałem szczyptę cynamonu.

– Mam nadzieję, Emicie, że dosypałeś cynamonu, kiedy mleko się grzało – wtrąciła matka. Emith skinął potakująco, a zadowolona staruszka poklepała Tessę po ramieniu na znak, że badanie dobiegło końca. – Będzie potrzebny okład z oczaru. Może ci też zaparzemy herbatki ziołowej, tak dla pewności.

– Mam się tym zająć, matko? – zapytał Emith, kładąc na stoliku obok drugą miseczkę mleka.

Matka poklepała syna po ramieniu i uśmiechnęła się. Była bardzo stara.

– Dobrze z ciebie dziecko, Emicie. Cieszę się, że wróciłeś. Gdybyś wpierv zechciał obrócić nieco moje krzesło. Trochę mi za ciepło przy tym ogniu.

Tessa patrzyła, jak Emith przesuwają krzesło wraz z siedzącą na nim kobietą. Jakim cudem tak wielka osoba urodziła tak małego syna? Pomimo różnic wzrostu dało się zauważyć pewne podobieństwa: mieli te same ciemnoniebieskie oczy, oboje też ubierali się równie schludnie. Ślady grzebienia były dostrzegalne zarówno na siwiejących włosach Emitha, jak też na kilku białych kosmykach, jakie zachowały się na głowie matki.

Rozglądając się po pomieszczeniu i poznając jego rozkład, Tessa miała wrażenie, iż solidne, dębowe krzesło, które Emith z takim wysiłkiem przesuwał, stanowi nie tylko idealny środek pokoju, ale i jego serce. Wyobrażała sobie, jak staruszka wraz z upływem godzin zwraca się na swoim krzesle w stronę różnych kątów pokoju niczym gigantyczna wskazówka zegara.

– Gdzie jest Ravis? – zapytała, odstawiając miskę. Sama nigdy nie podgrzewała mleka, gdyż ciepłe przypominało jej czasy dzieciństwa.

Emith starł z czoła strużkę potu. Matka znalazła się wreszcie we właściwym miejscu. Ułożywszy jej stopy na niewielkim podnóżku, odpowiedział:

– Pan Ravis wyszedł wczesnym rankiem, panienko. Kazał powiedzieć, żebyś się nie martwiła, wróci nieco później.



– Aha. – Tessa usiłowała ukryć rozczarowanie. W pewnym momencie podczas wczorajszego szaleństwa pomyślała o sobie i o Ravisie jak o jednej drużynie. Dziecinada. W czym mogła pomóc człowiekowi, który popadł w takie tarapaty, jak Ravis?

Zadrżała na wspomnienie ostatnich wydarzeń: walki Ravisa z dwoma napastnikami pod domem wdowy Furbish, błysku złotych zębów, zmalretowanego ciała Swigga, wariackiego skoku do rzeki. Późniejszą wędrówkę przez miasto pamiętała mgliście.

Nigdy nie myślała o sobie jako o słabeuszu, ale po wyjściu z błota słała się na nogach. Przypomniała sobie, jak z początku wspierała się na Ravisie, a potem opuściły ją siły i Ravis wziął ją na ramiona i poniósł ciemnymi, cichymi uliczkami Bay’Zell. Po dotarciu do mieszkania matki Emitha nie zdołała oderwać głowy od ramienia Ravisa. Nie pamiętała, co działo się po przekroczeniu progu, gdy znalazła się wśród cieni wypełnionych ciepłem i aromatem. Przybysze byli mokrzy i ubłoceni od stóp do głów, mimo to Emith wraz z matką chętnie użyczyli im gościny.

– Chcę wam podziękować – powiedziała. – Wam obojgu. Byliście dla mnie niezwykle mili, a ja ...

– Pst, moja droga – przerwała jej staruszka. – Nie musisz dziękować ani mnie, ani Emithowi. Syn uprzedził mnie wczoraj, kiedy odprowadziliście go pod mój dom, że prawdopodobnie złożycie nam wizytę.

– Naprawdę? – Tessa popatrzyła na nią podejrzliwie.

– Tak, panienko – odezwał się Emith, wymieniając miskę z mlekiem na miskę czegoś innego. – Po naszej rozmowie o iluminacjach pana Deverica oraz po tym, jak pokazałaś mi swój rysunek, przez resztę drogi z Fale rozmyślałem, czy aby to ty nie jesteś tą osobą, o której mój mistrz wspominał. Może zostałaś wyznaczona do kontynuowania jego dzieła?

– Wypij do dna, moja droga – wtrąciła się starowinka. – Nic tak nie pomaga na obolałe mięśnie, jak ziołowa herbatka.

Tessa podniosła miskę do ust. Na powierzchni pływały płatki ciemnych listków, które zabarwiały wywar na zielono.

– Skąd możesz wiedzieć, że jestem tą osobą? Ja tylko naszkicowałam pierścień.

Emith pokiwał głową.

– Święta racja, panienko. Ale ta myśl nie dawała mi wczoraj spokoju. – Mówiąc to, porządkował wielki blat podparty na krzyżakowych nogach, a zajmujący całą przestrzeń pod przeciwległą ścianą. Pękate woreczki z mąką i przyprawami zostały zsunięte na bok, wraz z wszystkimi garnkami, patelniami, tasakami i jarzynami. – Gdy oglądałem twój szkic, panienko, coś mnie tknęło. Sposób rysowania zaokrągleń przypominał mi styl mojego mistrza.

– Powinnaś posłuchać Emitha, kochanie. – Matka przekreśliła się na krześle, by spojrzeć Tessie prosto w twarz. – On nie wyciąga pochopnych wniosków. – Poklepała się po udzie i zawołała nagle:

– A może byśmy się tak przyjrzeni jeszcze raz temu obrazkowi w świetle bożego dnia?

Obrazkowi? Tessa pamiętała, że w drodze powrotnej do Bay’Zell zwinęła skórę i schowała ją pod suknię.

– Miałam go przy sobie, kiedy skakałam do rzeki – powiedziała, okrążając staruszkę. Wzdrygnęła się na widok wysiłku, z jakim ta przekrzywiła głowę.

– Ależ panienko, to był rysunek węglem. Nie traćmy nadziei, że wytrzymał kąpiel. Atrament lub farba zostałyby szybko splukane. – Oczyszcivszy sporą połać stołu, Emith zabrał się do wyjmowania ze skrzyni przeróżnych przedmiotów: glazurowanych garnuszków, pędzli, zwojów, szmatek, kory dębowej, piór z ptasich ogonów i skrzydeł. – Twoje ubranie, panienko, znajduje się w koszu obok kominka.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, moja droga – rzekła matka – przynieś sobie sama ten koszyk, dobrze? Obawiam się, że jestem dziś rano w nieco gorszej kondycji. Normalnie fruwać po kuchni jak zabłąkana pszczołka. Nieprawdaż, Emicie?

Zapytany pokiwał wolno głową i odparł cichym głosem:

– Tak, matko.

Tessa minęła staruszkę, odwracając wzrok od jej napuchniętych kostek. Kosz przy kominku zawierał szczątki sukni i buty, nic więcej. Pergamin musiał wypaść podczas przeprawy przez rzekę.

– Nie widzę tu niczego.

– Nic straconego, panienko – rzekł Emith, mieszając w miseczce wody ciemnoszary proszek. – Zaraz przygotuję, co potrzeba, żebyś mogła wypróbować swą rękę.

– Racja – zagrzmiała staruszka. – Nie przejmuj się tamtym obrazkiem, moja droga. Niektóre rzeczy powstają tylko po to, żeby zaginać.

Zdziwiona tymi słowami, Tessa spojrzała uważnie na matkę Emitha. Ta odwzajemniła spojrzenie z błyskiem w oku.

– Do dzieła, panienko – odezwał się Emith, trzymając w dłoni ptasią lotkę i nożyk. – Przyciąłem ci świeże piórko. Zobaczmy, czy zdołasz narysować coś równie pięknego, jak tamten wizerunek pierścienia.

Tessa jeszcze przez chwilę spoglądała na matkę Emitha, po czym zbliżyła się do jej syna. Kuchnia była dużym, nisko sklepionym pomieszczeniem. U powały uwieszono tyle różności, że co chwilę musiała schylać głowę. Posadzka została wyłożona ładnymi, solidnymi kamieniami, jakich mnóstwo widziała w czasie podróży do Fale. Ogień z paleniska oświetlał izbę, prócz tego poprzez dwa nie oszklone okienka, wycięte pod sufitem, wpadały wąskie smugi dziennego światła.

– Zapraszam, panienko – rzekł Emith, zabierając jej z rąk miskę z ziołową herbatką i wręczając pióro. – Zobacz, jak pięknie naostrzyłem końcówkę. Świetnie się nadaje na drobiazgowy szkic. A jakie to pióro jest twarde! Sam go gotowałem tydzień temu, a później przeleżało w piasku.

Tessa dotknęła palcem końcówki. Gotowałem? W piasku? Nie, miała pojęcie, o co chodzi Emithowi.

Pomocnik skryby delikatnie poprawił ułożenie jej dłoni, w ten sposób ustawiając palce, że po chwili trzymała lotkę podobnie jak wieczne pióro.

– Tak, panienko. Nie można oskubać gęsi i zabrać się od razu do pisania. Pióro należy zagotować, aby je oczyścić i rozmiękczyć. Dopiero wtedy można je przycinać. Zanim wystygnie, za pomocą nożyka do fryzowania zgniatam końcówkę i ośkę. Widzisz? – Wskazał na miejsca, w których pióro zostało wymodelowane. – Następnie wkładam je do piasku, żeby stwardniało. Im dłużej pióro leży w piasku, tym twardsze jest po wyjęciu.

Kończówka była gładka i mocna jak paznokieć. Miała nawet podobny kolor. Dostrzegając blask oczu Emitha, Tessa poczuła, że powinna szybko wymyślić jakiś komplement.

– Od razu czuć, że to dobra robota – powiedziała, ważąc pióro w dłoni. – Z pewnością wystarczy na długo.

Emith potrząsnął głową.

– Mój mistrz zawsze mawiał, że najlepsze wytrzymują najkrócej.

Poczuła się zażenowana.

– A to dlaczego?

– Bo im lepsze pióro, panienko, z tym większą ochotą skryba go używa, a zatem końcówkę trzeba częściej przycinać. Bywało, że pan Deveric w ciągu jednego dnia zestrugał trzy pióra.

– A zatem końcówka się zużywa? – Czując jej twardość, nie mogła uwierzyć, że to prawda.

– Tak, panienko. – Emith tłumaczył wszystko spokojnie i bez śladu zniecierpliwienia. – Ale tym się nie kłopot. Gdy tylko linie zaczną stawać się grubsze, pospieszę ci z odsieczą.

– Słuchaj Emitha uważnie, moja droga – odezwała się starszka. – W Bay’Zell nikt nie zna się na tym lepiej od mojego syna.

Emith zaczerwienił się momentalnie i z gracją podsunął Tessie krzesło.

– Proszę spojrzeć, panienko – rzekł, kierując jej dłoń w stronni kałamarza. – Tak należy zamoczyć piórko, żeby nabrać odpowiedni nią ilość atramentu. Musisz to zrobić pod kątem. Widzisz? – Tessa skinęła twierdząco. – A później zginasz nieco nadgarstek, żeby nie pochłapać czegoś, kiedy będziesz ruszać ręką.

Chociaż postępowała zgodnie ze wskazaniami Emitha, jedna duża kropla rozprysła się na stole. Emith już biegł ze ścierką. Szurając piórem po skrawku pergaminu, Tessa zorientowała się, że nie jest to takie proste. O wiele mniej kłopotów sprawiają wieczne pióra. Kończówka wyłobliła bruzdę i atrament się wylał, po czym szybko wsiąknął w skórę.

– Emith, przynieś no trochę warzyw. Muszę je obrać na śledziową zapiekankę.

Kiedy Emith przygotowywał matce warzywa, rondel i nóż, Tessa skoncentrowała uwagę na końcówce piórka, chcąc zmusić je do posłuszeństwa. Już sam materiał nastęczał

trudności: był o wiele bardziej szorstki od papieru, z którym dotychczas miała do czynienia. Gdy Emith powtórnie zerknął na jej wypociny, pergamin wyglądał jak po burzy.

– Nie trzeba tak mocno przyciskać, panienko – rzekł, zerkając jej przez ramię. – Pozwól, niech atrament wykona całą robotę, a nie końcówka pióra.

– Atrament? – Po tych słowach staruszka zaczęła nucić melodię. Wnet rozpoczęło się skrobanie warzyw.

– Tak, panienko. Powierzchnię skóry musisz dotykać lekko. Atrament i tak na nią spłynie, zobaczysz. Zrobiłem go z kwasu galusowego, więc momentalnie wpala się w pergamin. Kto chce mocno naciskać, niech idzie znakować bydło.

– To w tym jest kwas? – zapytała Tessa, zaciekawiona wyjaśnieniem Emitha.

– Kwas galusowy, żywica, sadza lampowa. Wszystko mieszam sam. Rzecz jasna tu, w mieście, galas jest trudny do zdobycia. Muszę go szukać na bazarze, ale mają go tam w podłym gatunku. – Widząc zakłopotanie malujące się na twarzy Tessy, pospieszył z wyjaśnieniem: – Galas to taka narośl na korze dębu, która powstaje po nakłuciu przez owady, zwane galasówkami, i złożeniu przez nie jajeczek. Tuż za domem mojego pana była dąbrowa, toteż gdy tylko potrzebowałem atramentu, wystarczyło wybrać się na spacer. Odcinałem ów galas, przez noc moczyłem w wodzie, a rano mogłem już dodać sadzę lampową.

Tessa uniosła brwi.

– Sproszkowany węgiel – wytłumaczył, nie czekając na pytanie. – Osadza się zwykle na szkle lampek oliwnych.

– Emith, zagotuj te warzywa. – Staruszka wskazała na miedziany ronderek. – Przy okazji przynieś rybę do patroszenia.

Tessa zastanawiała się, jakim cudem matka Emitha daje sobie radę z gospodarstwem pod nieobecność syna. Wyglądało na to, że nie może ruszyć się z krzesła. Jednakże w kuchni panował ład, roznosiły się miłe zapachy, a na palenisku bulgotały warzywa. Tessa uśmiechnęła się: prawdopodobnie ów stan rzeczy można by wytłumaczyć tym, że matka Emitha posiadała rzadki talent do proszenia ludzi o przeróżne przysługi bez zbytniego naprzykrzania się i rozkazywania.

Grzebiąc się z piórem i atramentem, Tessa rozmyślała nad wszystkim, co przed chwilą usłyszała. Z przyjemnością słuchała o szczegółach pracy skryby, o mieszaniu pigmentów i modelowaniu piór, które polubiła nawet trzymać w ręku. Zaczęła pieczołowicie wykreślać spirale przypominające zwoje pierścienia, tu i ówdzie pogrubiając linię i wstawiając kolec. Jakże jej było przyjemnie w ciepłej kuchni, czując troskliwość Emitha i jego matki. Po okropnościach wczorajszego dnia z radością powitała ciszę i spokój. Mimo to nie czuła się zrelaksowana. Rozpaczliwie usiłowała zapanować nad piórem i okiełznać atrament. Podczas gdy Emith przekręcał krzesło matki o kolejnych kilka stopni, a następnie doglądał gotujących się warzyw, ona skupiała uwagę na pergaminie. Zamierzała namalować ornament lepszy od tego, który przepadł w nurtach rzeki: taki, który nie mógł zaginać.

Ravis przemierzał uliczki Bay'Zell. Wiedział, że Camron z Thornu oczekuje na niego w mieszkaniu Marcela, lecz nie spieszo mu było na spotkanie z nowym pracodawcą. Niech sobie jeszcze poczeka, razem z tą swoją niedawno odziedziczoną fortuną.

W południe Bay'Zell było jakby uśpione. Ravis przemaszerował ulicą Szczęścia, gdzie mijał stylowe cukierenki, eleganckich szewców i dyskretnych właścicieli lombardów, potem skręcił na północ, w stronę Dzielnicy Pobrzejnej – tam na zakupy wybierały się dystygowane prostytutki i zamożni obywatele ze średnich klas.

Prostytutki w koronkowych kapturkach i sukienkach w stonowanych odcieniach szarości i brązu pozdrowiały Ravisa uniesieniem brwi lub nieznacznym pochyleniem głowy. Szacowne matrony ignorowały go zupełnie. Siedziały w cienistych pasażach, gdzie popijały ciepłe, zagęszczone miodem ario i chrupały kawałki szarlotki zaprawionej likierem z tarniny. Po południu wybierały się na ulicę Szczęścia, by przetrząsnąć lombardy w poszukiwaniu przedmiotów, jakich bogacze pozbywali się, gdy ich fortuny upadały.

Kobiety ze średnich klas dobrze wiedziały, że ich mężowie korzystają z usług prostytutek, mimo to z satysfakcją stwierdzały: “Przynajmniej odwiedzają dziewczyny z Dzielnicy Pobrzejnej, a nie te tanie, wyszmkowane flądry z doków”. Choć z istic stoickim spokojem przyglądały się karygodnemu zachowaniu mężów, głównie po to wybierały się w tę okolicę, by mieć oko na prostytutki, które w każdej chwili mogły połakomić się na strojne ubiory i dworski styl bycia ich mężów, jakby nie wystarczały im już wypchane sakiewki. Prostytutki ze swej strony nie zamierzały zmieniać obyczajów i chociaż nocą ozdabiały ciała tak ogromną liczbą czerwonych jedwabi i złotych nici, że można by z nich wykonać obicia na trony dla całej królewskiej dynastii – w czasie dnia preferowały dyskrecję. Bay'Zell miało swoje normy moralne i one tych norm się trzymały.

Ravis zdawał sobie doskonale sprawę, jakim go widzą zamożne matrony: ciemna karnacja oznaczała, że jest obcokrajowcem, natomiast czarne ubranie mówiło – niebezpieczny. Jednakże – myślały, kiedy przechodził wzdłuż kwiecistych pasaży – ma on postawę szlachcica, a strój, choć czarny i niemodny, uszyty jest z wybornej tkaniny i wyszedł spod ręki doskonałego krawca. Kiedy jednak zbliżał się na tyle blisko, by dostrzegły bliźnię na jego wargach, odwracały wzrok.

Zazwyczaj Ravis zmuszał kobiety do patrzenia w jego stronę, pozdrawiając je ukłonem, lecz dzisiaj szedł w milczeniu.

Przemierzył ulicę Połyskliwą – pełną małych, zaniedbanych witryn reklamujących złotników, skrybów, przeróżnych urzędników, lichwiarzy i jubilerów – potem doszedł do północnej przystani, gdzie brukowana ulica ustępowała piaszczystej drodze, a orzeźwiająca wschodnia bryza rozpędzała zapachy przetapianego szkła, jakichś kwasów i butwiejącego drewna.

Od czasu do czasu kątem oka dostrzegał mężczyznę ubranego w zielone szaty, ze srebrnym herbem na piersiach. Kolory Thornów. Szpieg nie zawsze potrafił uniknąć słońca, a

kiedy dostrzegало go oko śledzonego, opieszale uskakiwał w cień. Okrył się obszernym, zimowym płaszczem, po to żeby ukryć pod nim kuszę, przez co tylko lekkomyślnie zwracał na siebie uwagę. Nikt w Bay'Zell w pełni lata nie nosił ciepłego płaszcza. Biedaczysko nie spisywał się zbyt dobrze. Posłał go bez wątpienia Camron z misją wysłedzenia i pilnowania swego nowego najemnika. Ravisa trapiła teraz tylko jedna myśl (zgađł juź, że ów mężczyzna wypatrzył go o świcie, kiedy odwiedzał burdel, by zbadać prawdziwość słów Camrona): bał się, iż ten żołnierz jest jednym z najlepszych gwardzistów swego pana.

Przygryźł bliźnę. Skoro ma dotrzymać obietnicy danej w piwniczce Marcela, potrzebni mu będą niezawodni ludzie. Sądząc z fuszerki, której autorem był gwardzista Camrona, sam będzie musiał ich sobie wyszkolić.

Maszerował wzdłuż przystani coraz szybszym krokiem. Mniejszy północny port nie miał takiego znaczenia jak port zachodni. Nie kotwiczyły tu duże statki kupieckie, łodzie z korzeniami, z jedwabiem czy też łodzie rozrywkowe. W suchych dokach nie budowano olbrzymich okrętów handlowych, nie dostrzegало się żadnych poborców podatkowych wymachujących piórami i zwojami papieru. Zaludniali go za to rybacy wraz z całym zapleczem kutrów, sieci, sznurów i kobiet. Kto nie odwiedziłby reszty Bay'Zell, mógłby pomyśleć, że owa przystań znajduje się w jakiejś małej rybackiej osadzie, nie zaś w największym mieście portowym zachodu.

Lawirując pomiędzy zwojami lin, klatkami pełnymi ryb – niektóre wciąż się trzepotały – i rybakami cerującymi sieci, Ravis szedł wzdłuż drewnianego pomostu. W północnym porcie toczyło się życie, owszem, ale nie wrzało tu jak w ulu. Rybacy, którzy całymi dniami żeglowali na swych dwumasztowcach w poszukiwaniu sól i turbotów, albo na trzymasztowcach w poszukiwaniu dorszy, nie tracili czasu na widowiska. Pracowali długie godziny bez zbytniego pośpiechu, upijali się przed zachodem słońca, wstawali o brzasku i jeśli ich sieci były mocne, a kadłuby kutrów całe, uważali się za szczęśliwych ludzi i z radością wypływali w morze.

Północny port nie nadawał się dla tych, którzy szukają barwnych opowieści, bajecznych scenerii, tudzież zamorskich wiktuałów, lecz Ravis czuł się w nim wyśmienicie. Warto było znać to miejsce i warto było być tu znanym. Rybacy powracający z połowu mieli zawsze najświeższe informacje możliwe do uzyskania w Bay'Zell.

Świat roił się od przeróżnych stowarzyszeń: bractw, zakonów rycerskich, przymierzy i cechów, jednak członkowie żadnego z nich nie odwiedzali obcych krajów i granic z taką nieskrępowaną wolnością, jak rybacy. Marynarze ze statków kupieckich zmieniali okręty i koje zbyt często, by zrósć się na stałe z daną jednostką. Załoga statku handlowego mogła się przegrupować z dnia na dzień, jednakże rybacy całe życie spędzali przy tej samej pracy, żeglując po tych samych wodach, na tej samej łodzi, nie zważając na upływające lata. Małe załogi nigdy się nie zmieniały, nawiązane przyjaźnie trwały na ogół długie lata. Chociaż rybacy z Raize, Balgedisu, Istanii i Maribane rywalizowali z sobą, byli również od siebie

uzależnieni. Ostrzeżenia o nadchodzących sztormach, prądach podpowierzchniowych, mieliznach, pojawianiu się piratów i strasznych przepowiedniach rozchodziły się lotem błyskawicy wśród bezkresnych, neutralnych morskich przestrzeni. Jeżeli jakiś kuter wpadł na skały, nikt nie pytał, co to za bandera łopocze na jego maszcie, tylko podpływał tak blisko, jak na to pozwalał zdrowy rozsądek, i starał się ze wszystkich sił pomóc.

Oczywiście wśród żeglarzy nie rozchodziły się tylko wieści dotyczące życia i śmierci. Błaha paplanina cieszyła się równą popularnością, co opowieści o morzu. Rybacy uwielbiali plotkować, a ich żony z utęsknieniem czekały na historie, które mężowie przywozili wraz z połowem.

W każdym napotkanym porcie morskim Ravis starał się pozyskać sympatię miejscowych rybaków. Nigdy nie wiadomo, co stary wilk morski złowi: ości czy kosztowności.

Gdy spostrzegł znajomą, czarnowłosą postać, która starała się przywiązać linę do słupka, Ravis zszedł na sam brzeg kładki. Wkrótce zamierzał udać się do kamienicy Marcela na spotkanie z Camronem z Thornu, ale najpierw chciał zasięgnąć możliwie jak najwięcej informacji, by nie wdać się w jakąś bezcelową kabałę.

– Pegruff! – krzyknął, wznosząc dłoń w geście powitania. – Jak cię morze ostatnio traktowało?

– Znacznie lepiej niż żona – padła odpowiedź. Pegruff zdołał zacisnąć węzeł wokół słupka i zaczął, aż Ravis do niego podejdzie. Rybacy z Bay’Zell ruszali się tylko wtedy, gdy to było konieczne.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i wymienili krótkie, acz bystre spojrzenia. Pegruff twarzą zapłacił okup żarłocznej morskiej soli. Miał czerwoną skórę, łuszczące się wargi i nie mógł zmarszczyć brwi, bo ich nie posiadał.

– A gdzie Jemi? – zapytał Ravis, kiedy odsunęli się od siebie.

– Posłałem go po wosk na bazar.

Ravis skinął głową. Jemi był jedynakiem Pegruffa. Ravis poznał go na jednej z uliczek prowadzących do wschodniej przystani. Chłopiec błagał, żeby przyjęto go do szkoły kształcącej przyszłych najemników. Znużyło go cerowanie sieci i woskowanie drewna. Ravis wybił ten pomysł z głowy sympatycznemu i wrażliwemu dzieciakowi. Do żołnierki trzeba się urodzić. Podobnie jak do morza. Odesłał Jemiego do ojca – nie użył szorstkich słów, wytłumaczył tylko spokojnie, że życie najemnika nie przynosi chwały ani bogactw. Chłopiec by po prostu zamienił jedną ciężką pracę na inną. To wcale nie uprzejmość kazała Ravisowi odmówić prośbie chłopca – rekrutował jedynie tych, co do których miał pewność, że nauczą się zabijać – lecz Pegruff uparł się, że tak właśnie było, a Ravisowi nie chciało się zaprzeczać.

– Ma dziewczynę, wiesz? – rzekł rybak. Wyciągnął flaszkę ario i podsunął ją Ravisowi. – Już ona nie da sobie dmuchać w kaszę. Ale przy takiej chłopak się przynajmniej ustatkuje.

Ravis chętnie się napił. Pegruff co prawda nie dorównywał majątkiem Marcelowi, ale w całym Bay'Zell nie sprzedawano lepszego ario niż to, które chlupotało we flaszcze rybaka. Przecierając usta, zapytał:

– Co tam słychać na morzu, przyjacielu?

Pegruff wziął butelkę i wytarł ją do połysku rękawem, zanim pociągnął łyżeczek: żeglarze i sroki kochają się w świecidełkach.

– W Balinoc zakotwiczył bryg z Maribane. Mój przyjaciel Gillif, który na tamtych wodach rozkłada sieci do połowu homarów, zaklina się na wszystkie świętości, że tydzień temu widział, jak łódź pełna Garizończyków przemyka się po kryjomu pod osłoną ciemności.

– Skąd wiedział, że to Garizończycy?

– To znaczy, jeśli pominąć fakt, że wiosłowali jak patałachy? – Rybak uśmiechnął się, ale niezbyt szeroko. Będąc krajem bez dostępu do morza, Garizon podlegał bacznej obserwacji takich morskich wyg, jak ten tutaj, którzy wierzyli, że każde państwo nie posiadające własnego wybrzeża zrobi wszystko, co w jego mocy, ażeby zmienić ów stan rzeczy. W przypadku Garizonu nie mylili się bardzo. – Gillif mówi, że mieli z sobą te nowe dzidy i żaden nie nosił brody.

Ravis kiwnął głową. To on wyposażył harrarów Izgarda w piki o szerszym grocie.

– Coś jeszcze?

Pegruff wyglądał na nieco zawiedzionego faktem, że tak soczysty kąsek informacji szybko odszedł w zapomnienie. Wziął się jednak w garść, przy czym pomógł sobie sporym haustem ario.

– Istanian i Medran znów wzięły się za łby i kłóć się o wschodnie cieśniny. Tylko w tym miesiącu tuzin medrańskich barek wpadł w ręce piratów. Medran przysięga, że to robota Istanijczyków i ponoć galeony znów wpłyną do Zatocza.

– W Zatoczku nie było statku wojennego od... – Ravis przerwał, by się zastanowić.

– Od pięćdziesięciu lat – pomógł mu Pegruff. – Mówię ci, że tam, na morzu, rzeczy nie wyglądają wcale tak różowo. Dzisiaj nic innego nie usłyszysz, tylko o rosnących niepokojach. Odkąd Bay'Zell podwoiło opłaty portowe, na morzu zaroilo się od korsarzy, przybyło okrętów wojennych, dochodzi do potyczek i ciemnych układów. Drokho bardziej jest rozjuszone niż krab w wiadrze. Zaczęło posyłać na morze uzbrojone słupy. No a Maribane wścieka się najbardziej – jak zwykle. Opłaty pobierane w Bay'Zell zmniejszyły ich eksport i boją się, że Istanian i Drokho również podbiją taryfy. Maribane nawet wysłało z portu Shrift dwa największe galeony do Hayle. Oficjalnie tłumaczy się ochroną swoich kutrów przed sztormami, ale każdy głupi wie, że pierwsze sztormy pojawiają się dopiero za miesiąc. – Pegruff zwilżył gardło. – Po tych wodach pływam od trzydziestu lat – no, plus minus kilka połowów – i nie pamiętam dni, kiedy z mniejszą ochotą stawiałbym oświecie żagiel. To pewne, że nadciągają jakieś kłopoty. Morze wie, co się święci.



Potrząsając głową, Pegruff chuchnął na butelkę, starł resztki wilgoci i dokończył ario. Po schowaniu pustej flaszki w poły swej tuniki, skupił uwagę na linie, którą zaczął przesuwać w dłoni. Zgodnie z rybackim zwyczajem dawał tym znak, że rozmowa skończona.

Ravis podziękował mu i wrócił na nabrzeże.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Pamiętasz harrarów, którzy zamordowali twojego ojca? Czy zauważyłeś w nich coś nienaturalnego? – Ravis odwrócił wzrok od Camrona z Thornu, czekając na odpowiedź.

Siedzieli w gabinecie Marcela. Bukowe kłocze trzaskały w palenisku, najprzedniejszy bериак parował z głębokich kielichów, a te same okiennice, które z takim namaszczeniem Marcel zamykał co wieczór, klekotały teraz, ożywione podmuchami bryzy. Choć ogień palił się jasnym płomieniem, w pomieszczeniu panował półmrok. Osłona z brązu powstrzymywała wszelkie figlarne iskry, którym chciało się przeskakiwać na jedwabny dywanik. Każdą srebrną lampkę przykrywał klosz z kolorowego szkła.

Marcel nade wszystko lękał się ognia. Nie chciał, żeby jego cenne dokumenty uleciały z dymem. Wprawdzie podczas Wielkiego Pożaru dzielnicy bankowej przed dwudziestu laty uratował całe złoto, ale stracił fortunę w papierach wartościowych – kodycylach, nakazach płatniczych, skryptach dłużnych, papierach aktowych, umowach dzierżawczych i wekslach. Od tamtej pory dręczyło go przeświadczenie, że historia się kiedyś powtórzy.

Przez krótką chwilę Ravis zastanawiał się, czy nie trącić lampki i nie popatrzeć, jak oliwa i płomienie rozlewają się po biurku Marcela. Nie miał nic przeciwko temu, żeby bankier pobiegał trochę z wiadrem wody – po tym, co zrobił mu wczoraj. Zachował jednak spokój. Już przed wieloma laty nauczył się, że zemsta nie sprawia prawdziwej przyjemności: stanowi upust dany żądzom odwetu, który zamiast ukoić ból, tylko go zwiększa. Zwrócił wzrok ku Camronowi i zmusił umysł, by zajął się palącą kwestią. Musiał upewnić się co do kilku rzeczy, zanim wyrazi swoje zdanie. Camron właśnie zabrał głos:

– Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem harrarów w gabinecie ojca, przez chwilę sądziłem, że to potwory. – Wzruszył ramionami, ale bynajmniej nie zdawkowo. – Wypadki potoczyły się zbyt szybko. Serce waliło mi jak oszalałe, ręce się trzęsły. Nie mogłem zebrać myśli. A potem ujrzałem... – Potrząsnął głową i przeczesał ręką włosy. – Potem ujrzałem ojca i zapomniałem o otaczającym mnie świecie.

Camron z Thornu wyglądał gorzej niż przy pierwszym spotkaniu. Włosy opadały mu w strąkach, ciemne obwódki podkreśliły zarys oczu, ubranie zwisało w nieładzie. Ravis zrozumiał, że człowiek ów cierpi, lecz nie znajdował dla niego litości. Żyli w bezdusznym świecie, gdzie ludzie umierali, przyjaciele kłamali, a członkowie rodziny donosili na siebie. Ojciec Camrona został zamordowany w bestialski sposób w sanktuarium własnego domu, to prawda, lecz pod wieloma względami śmierć jego cechowała jakby przyzwoitość. Camron z Thornu był jedynym synem jedyne go syna. Nie miał braci, kuzynów, wujków czy macochy,

którzy mogli rozdrapać jego majątek. To, co odziedziczył, należało do niego i tylko do niego, z tego względu zatem był o wiele szczęśliwszy, niż przypuszczał.

Ravis gryzł wargę. Czuł, jakby miał w ustach twardą chrząstkę. Rozmyślnie nadał głosowi twardy ton:

– Chcę, żebyś przypomniał sobie o harrarach wszystko, co tylko możliwe. Jak wyglądali, jaki wydawali zapach...

Na dźwięk słowa “zapach” Camron uniósł głowę.

– Też coś! – wykrzyknął Marcel spoza swego wyłożonego atłasem biurka. – Nie widzę powodów, aby poruszać tak drażliwy temat. I bez tego pan Camron dość jest zrozpaczony.

Skórzane rękawiczki Ravisa zatrzęszczały, kiedy zaciskał pięści.

– Wracaj do swoich cyferek, Marcel.

Bankier zamierzał zaprotestować, jednak Camron powstrzymał go, mówiąc:

– Wszystko w porządku, Marcel. Bez wątpienia nasz przyjaciel zdolny jest do próżnej ciekawości, ale tym razem z pewnością wie, o co pyta. – Spojrzał na Ravisa. – Mam rację?

Ravis nie przejął się tonem Camrona.

– Wczoraj powiedziałaś, że harrarzy przypominali zwierzęta. Co miałaś przez to na myśli?

Pocierając ręką policzek, Camron odpowiedział:

– Widziałem zęby, widziałem dziąsła... – Usiłował przypomnieć sobie szczegóły. Nie znajdując żadnych, potrząsnął głową. – Chowali się w cieniu. Trudno było się im przyjrzeć... ale zapach, tak zapach...

– Zapach czego?

– Zwierząt. Jak zaduch w stajni, kiedy źrebi się klacz: krew, pot, mokra sierść. Taką ostrą woń wydają z siebie zwierzęta, kiedy wpadają w szał lub coś je podnieci. – Zerknął na Ravisa. Jego szare oczy były nieustępliwe, bez wyrazu. – Dlaczego to takie ważne?

Ravis przeniósł wzrok na Marcela. Bankier udawał wielce zajętego: porządkował papiery, maczał pióro i marszczył czoło, jakby martwiła go pewna rozbieżność w wyliczeniach. Byłby z niego niezgorszy aktor.

Ravis pochylił się w krześle i przemówił tak spokojnie, jak tylko potrafił:

– Zeszłej nocy, kiedy rozstaliśmy się z Emithem, wpadłem wraz z Tessą w pułapkę za mostem Parso. Dwóch mężczyzn zaatakowało nas bezpośrednio, a jestem pewny, że inni czatowali przy obu końcach mostu. Gdybyśmy nie ratowali się ucieczką, skacząc do rzeki, wątpię, czy gawędzilibyśmy dziś z sobą.

Camron skinął głową. Nie wyglądał na zaskoczonego. Marcel przestał na chwilę udawać, że pisze, ale szybko zabrał się do roboty, kiedy Ravis spojrzał mu w oczy.

– Nie spotkałem się jeszcze z ludźmi walczącymi z taką dziką zajadłością – podjął najemnik. – Ledwo się z nimi uporałem. Nacierali ze zwierzęcą pasją. Jeden z nich dostał ode mnie tuzin pchnięć w pierś, nim wreszcie padł na ziemię. Gdy mu się przypatrzyłem, wydało

mi się, że zmieniły mu się rysy twarzy. Po śmierci w większym stopniu przypominał człowieka. Obaj śmierzeli tak, jak mi opisałeś – bił od nich zwierzęcy fetor.

– Sam ich wyszkoliłeś – zachnął się Camron. – To twoi ludzie.

Ravis przygryzł bliznę, podobnie jak inni ludzie przygryzają wargę, żeby nie wypowiedzieć pochopnych słów. Po chwili zapanował nad gniewem.

– Racja, to ja ich wyszkoliłem. Zastawili pułapkę dokładnie tak, jakbym nimi dowodził: dwóch czyhało w zasadzce, pozostali odcięli drogi ucieczki. Ale to nie byli moi ludzie. Ja uczę szybkiego zabijania, bez przesadnych ceregieli. Każę wycofywać się rannym i zabraniam angażować się emocjonalnie. Ci ludzie pragnęli krwi i nie zamierzali dać za wygraną, nie zaspokoivszy swoich żądz.– Silił się na beznamiętny ton, lecz na plecach czuł mrowienie.

– Co chcesz udowodnić? – Pod maską pogardy Camron ukrywał zainteresowanie.

– To tylko, że tych ludzi w jakiś sposób odmieniono. Prawdopodobnie magią.

Marcel zakrztusił się beriakiem.

Camron zaledwie wzruszył ramionami.

Przez kilka chwil Marcel z Vailing kaszłał, stękał i wypluwał wino, a Ravis z Burano i Camron z Thornu wpatrywali się w siebie. Jedna z lampek zgasła. Ciemny dym wypełnił bursztynowy klosz, po czym czarną smugą wbił się pod sufit. Wskazówka zegara rtęciowego Marcela znalazła się w szczytowym położeniu i młoteczek uderzył w żeliwny dzwonek, wydając dźwięk, który nie był ani melodyjny, ani dodający otuchy.

Wreszcie Camron przemówił:

– Posłuchaj, co odkryłem po zabezpieczeniu ciała ojca, kiedy zszedłem do baraków, żeby policzyć, ilu zostało mi ludzi. – Utkwił w Ravisie baczne spojrzenie i choć jego oczy patrzyły bez emocji, mówił głosem wzburzonym i przerywanym. – Doliczyłem się sporo, ale nieboszczyków. Zarżnięto dwa tuziny ludzi. Dobrych ludzi, z których kilku uważałem za przyjaciół. Innych niemal za braci. Jeden z nieżyjących nauczył mnie kiedyś dosiadać konia i trzymać cugle. Wszyscy oni, co do jednego, stoczyli walkę na śmierć i życie. Krew nie zebrała się w kałużach, ciała nie leżyły od pojedynczych ciosów. Ach, czegoż tam nie widziałem: ściany lepiły się od palców, bebechów, włosów i zębów. Walczyłem na wojnie, znam oblicze śmierci, ale to... – Camron ostatecznie odwrócił wzrok. – To była rzeź.

Ravis przymknął powieki. W którymś momencie opowiadania Camrona poczuł wzbierającą litość. Wiedział, czym jest strata zaufanych ludzi. Postarał się jednak, żeby jego wypowiedź zabrzmiała chłodno i beznamiętnie. Doświadczenie mówiło mu, iż jego rozmówca nie pragnie teraz słów pociechy.

– Sam zeszłej nocy widziałem podobny widok. Ludzie, u których wynająłem pokój, zginęli z rąk harrarów.

– Nie oznacza to od razu, że ktoś posługuje się magią – wmieszał się do rozmowy Marcel. – Każdy wie, że Garizończyk to zwierzę.

– Co wcale nie powstrzymało cię od przyjmowania ich pieniędzy – rzekł Camron. Ravis miał dokładnie to samo na języku.

Marcel wstał.

– Panowie – zaczął z bankierskim dostojeństwem. – Widzę, że emocje i wyobrażenia biorą tu górę nad zdrowym rozsądkiem. Uważam za stosowne opuścić panów na jakiś czas. Może po moim powrocie usiądziemy przy stole i omówimy całą sprawę na spokojnie, jak przystało na wykształconych ludzi. – Po tych słowach uklonił się – najpierw w stronę Camrona, później Ravisa – zebrał papiery i z podniesioną głową wymaszerował z gabinetu.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Ravis odwrócił się do Camrona i spytał:

– Ile on z tego ma?

– Czterdzieści procent.

– Czterdzieści? – Ravis odchylił głowę i wybuchnął śmiechem. – Izgard płacił mu dziesięć.

Camron na chwilę zaniemówił, lecz w końcu i on się uśmiechnął. Ravis sięgnął po karafkę z beriakiem i napełnił po brzegi dwa kielichy.

– Posłuchaj – rzekł, podając Camronowi wino. – Nie wiem, z czym mamy do czynienia i to mnie niepokoi. Szkoliłem ludzi Izgarda i rekrutowałem jego najemników, ale nie mam nic wspólnego z tym, co wydarzyło się w przeciągu kilku ostatnich dni. W Weizach miało miejsce wiele tajemniczych zdarzeń i teraz próbuję wszystkie połączyć w jedną całość.

Camron pokiwał głową.

– Kiedy według ciebie Izgard wystąpi przeciwko Raize?

– Przy najbliższej sprzyjającej okazji. – Ravis pociągnął głęboki łyk wina. Pod nieobecność Marcela czuł się o wiele bardziej zrelaksowany, aczkolwiek nie wykluczał możliwości, że bankier podsłuchuje pod drzwiami. – Każda chwila zwłoki jest mu nie na rękę. Baronowie i generałowie oczekują od niego szybkich decyzji. Potrzebuje więc zwycięstw, i to spektakularnych. Tylko one pozwolą mu zatrzymać koronę Garizonu.

Camron nie starał się już udawać wzgardy i obojętności. Pochylił się nad stołem.

– A może ruszy najpierw na Balgedis? Jeśli pożąda portu morskiego, tam znajdzie ich tuzin.

– Nie uczyni tego z dwóch przyczyn – odrzekł Ravis. – Po pierwsze, żaden port w Balgedisie nie wprowadzi go na wody Zatoki Obfitości i do Zatocza. Jeśli opanuje Bay'Zell, zapewni sobie tym samym dostęp nie tylko na północ, ale i do ciepłowodnych portów na wschodzie i na Dalekim Południu. Po drugie, mam powody przypuszczać, że Izgard i książę Balgedisu zawarli porozumienie, na mocy którego Garizon nie uderzy na Balgedis, jeśli ten pozostanie neutralny.

– Skąd ten pomysł?

– U wybrzeża Balgedisu cumuje maribański bryg. W jego pobliżu zaobserwowano garizońskich wioślarzy.

Camron odsunął znad oczu kosmyk ciemnozłotych włosów.

– A jeśli Balgedis nie ma o niczym pojęcia?

– Balgedis wie o wszystkim. – Ravis odstawił kielich. Wstał i zaczął spacerować po gabinecie. – Są jednak gorsze wieści, które mam ci do przekazania. Nad tym brygiem powiewa bandera Maribane, a to oznacza, że Izgard dobił z nim targu. Jakoś nie chce mi się wierzyć, żeby ten kraj pozostał neutralny. On też pragnie utoczyć krwi Raize. Maribane od niepamiętnych czasów przeklina opłaty, jakie musi uiszczać, ażeby wysyłać swoje towary w głąb łądu. Nie dalej jak tydzień temu Bay’Zell podwoił taryfy, a żaden okręt z Maribane nie wpłynie za darmo na wody Zatoki Obfitości. Maribane zatem szuka sposobności do odwetu. Wystarczy tylko, żeby Izgard obiecał zmniejszenie opłat po zajęciu Bay’Zell do miedziaka za funt towaru, a od Hayle po Kilgrim powstanie zbrojny lud. Widzisz, jakie to proste?

Odsunął jedną z okiennic i wyrzwał na zewnątrz. Dwóch ludzi w srebrno-zielonych barwach Thornów stało na rogu po przeciwnej stronie ulicy, obserwując kamienicę Marcela. Ravis rozejrzał się po okolicy: budynki, bramy, zaułki – z nadejściem zmroku groźne niczym jamy pełne węży. Choć nie dostrzegł nic podejrzanego, postanowił nie ryzykować powrotu do domu matki Emitha, mógł bowiem zwabić pod drzwi staruszki kilku okrutnych harrarów. Na dodatek Tessa tam była, a z każdą upływającą sekundą zapewnienie jej bezpieczeństwa coraz więcej dłań znaczyło. Zaczynał żałować, że wspomniał Marcelowi, gdzie się zatrzymali na noc.

Ravis zamknął okiennicę.

– Czy Marcel pokazywał ci iluminacje, które przechowuje dla asystenta Deverica?

– Tak – odparł Camron. – Rzuciłem na nie okiem tuż przed twoim przybyciem. – Drugi kielich beriaku zaróżowił nieco jego twarz, ale nie rozjaśnił spojrzenia. Wyglądał na wyčerpanego, a dłoń, w której trzymał wino, dygotała. Przypuszczalnie nie spał od kilku dni.

– Spodobały ci się? – Ravis zauważył, że wbrew woli użył łagodnego tonu.

Camron spojrział nań uważnie i Ravis natychmiast pożałował swojej nieuwagi.

– Wydały mi się piękne – odparł chłodno. – Oglądałem iluminacje z Wyspy Namaszczonych, ale żadna nie zawierała aż tylu szczegółów.

– Gdzie je oglądałeś?

– Mój ojciec ma jedną... – Camron zawahał się. – Miał jedną powieszoną na ścianie w gabinecie. – Kilka stuleci temu na zamku Bess zatrzymał się pewien stary skryba i w dowód wdzięczności namalował iluminację. To o wiele prostsza robota od ornamentów, które widziałem u Marcela; pigment miejscami jest taki gruby, że zbiera się na nim kurz jak na płaskorzeźbie. Mimo to mój ojciec kochał tę ilustrację.

Ravis zaczerpnął powietrza i zauważył:

– Podejrzewam, że iluminacje Deverica mają coś wspólnego z wydarzeniami ostatnich dni. Wygląda na to, że Izgard wynalazł nową sztuczkę i możemy nazwać się szczęśliwcami, jeśli zobaczyliśmy już wszystko, na co go teraz stać.

– A jeśli chowa coś jeszcze w zanadru?

– Niech Bóg ma nas wtedy w swojej opiece! – Ravis zbliżył się do drzwi. Nagle zapragnął wrócić do Tessy. – Słuchaj – dodał, kładąc dłoń na gładkich bukowych belkach, spiętych jęzorami połączanego żelaza – muszę teraz udać się w jedno miejsce...

– Do kobiety z czerwono-złotą czupryną? – wtrącił Camron. – Tej o dziwnym, melodyjnym głosie?

Ravis ukrył zaskoczenie.

– Mogę ją chyba odwiedzić. Co ci do tego?

– Ona też maczała w tym palce, prawda? – Chytre światełko rozbłysło w oczach Camrona. Ravis domyślił się, że jego twarz musiała coś zdradzić (pomimo usilnych prób zachowania nonszalanckiej pozy), bowiem Camron dodał: – Daj spokój, Ravisie, to oczywiste, że ona nie urodziła się w Bay'Zell.

Zirytowany, choć sam nie wiedział dlaczego, Ravis odparł:

– Na razie sam próbuję się rozeznąć w całej sytuacji. Skoro mamy się sprzymierzyć, żeby obalić rządy Izgarda, musimy zebrać jak najwięcej informacji, a nie liczyć na ślepy traf. Marcel mógłby udławić się, słysząc o czarodziejach i gusłach, ale ty i ja widzieliśmy już w życiu rzeczy, o których on nie ma pojęcia. Siedzi sobie wygodnie przy biurku, podlicza rachunki i gryzmołi coś w tej swojej księdze, lecz to my wyruszymy przeciwko Izgardowi z Garizonu. Nie Marcel i jego czterdzieści procent.

Przez cały czas Camron bębnił palcami po poręczy krzesła z drzewa pomarańczowego, cennego antyku Marcela. Przestał bębnić dokładnie w tym momencie, kiedy Ravis skończył mówić.

– Ja chcę zabić Izgarda, a nie obalać jego rządy. Uzgodniliśmy to wczoraj w piwnicy.

– Żeby go zamordować, musisz mu najpierw odebrać koronę. Sam szkoliłem jego gwardzistów...

– Zatem znasz ich słabe strony.

– Oni nie mają słabych stron. – Ravis tracił cierpliwość. Palił się, by opuścić ten dom. Kiedy tak stał, omawiając z Camronem strategię, czuł, jak wokół zbierają się cienie. Będąc na miejscu Izgarda, w pierwszej kolejności rozkazałby harrarom nie spuszczać oka z kamienicy Marcela. – W tej chwili Izgard przebywa w twierdzy Sern, a jeżeli nie, właśnie tam jedzie. Spośród wszystkich zamków zbudowanych przez Garizończyków, jakie odwiedziłem, tylko jeden może się równać z bastionami Sern. Ta forteca jest wprost nie do zdobycia. Można się do niej dostać wyłącznie z jednej, jedynej strony, a kiedy król Garizonu zjedzie tam ze świtą, poprzez kordon straży nie przecisnie się nawet duch jego zmarłej matki.

– Jeśli ma przy sobie wojsko, uda nam się chyba przeszmygłować do obozu jakichś służących, kobiety?

Ravis z uśmiechem przejechał językiem po wardze.

– Żadnej czeladzi obozowej, żadnych dziwek. Tę armię ja budowałem. To nie jakaś banda wykwinnych rycerzyków z barwnymi orszakami. Nie spotkasz wśród nich pacholków od polerowania zbroi ani kuchcików od gotowania strawy – tym zajmują się sami żołnierze. Szpiedzy są bez szans – po moim przeszkoleniu na miłą wyczuwają obcych. Wokół obozowiska wystawiają tyle straży, ile zwykle liczy załoga fortu.

Camron nie wyglądał na zadowolonego.

– A co ze służącymi na zaniku? – rzekł na koniec, wstając. – Znajdzie się chyba ktoś chętny wsypać truciznę do kielicha Izgarda?

– Otruć Izgarda? – Ravis parsknął śmiechem. Nie było mu co prawda do śmiechu, ale Camron irytował go coraz bardziej, a z doświadczenia wiedział, że chcąc kogoś spławić, należy go wyśmiać.

Pragnął już wrócić do Tessy. – Jeszcze się taki nie narodził, kto mógłby zbliżyć się do Izgarda z trucizną. Ów człowiek przyszedł na świat bez zmysłu smaku. Nade wszystko lęka się tego, że kiedyś nieświadomie połknie truciznę. Mógłby wypić czysty wyciąg z wilczej jagody i niczego nie poczuć. Tak obsesyjnie boi się otrucia, że dwa tuziny ludzi musi skosztować każdej przygotowanej dla niego potrawy. – Potrząsnął głową. – Nie, przyjacielu, skoro już postanowiłeś zamordować Izgarda z Garizonu, wymyśl coś znacznie, znacznie sprytniejszego.

Camron oblał się rumieńcem. Złote kędziory opadały mu na twarz. Kiedy przemówił, drżał na całym ciele:

– Zdajesz się tak wiele wiedzieć na temat Izgarda. To ty mi powiedz, jak go można załatwić. A może napędził ci takiego strachu, że wolisz poprobować się z katem i jego toporkiem, niż wyruszyć do Garizonu?

Świadomość, że sam podjudził Camrona, nie uśmierzyła gniewu Ravisa.

– Nie masz pojęcia – rzekł ostro – w jakiej znajdujemy się sytuacji. Jeśli tłumaczę ci, że nie ma sposobu dostać się w pobliże Izgarda, kiedy zasiada na tronie, nie robię tego tylko po to, żeby usłyszeć swój głos. Znam tego człowieka, znam jego armię, wiem też, po czym w Garizonie ocenia się królów. Izgard jest nie tylko wodzem. On uosabia całe państwo i dopóki nie przegra bitwy lub nie popełni błędu, każdy Garizończyk odda za niego życie. Możemy do niego dotrzeć, ale na zasadach, które zrozumie zarówno on, jak i jego państwo. Powinniśmy przygotować się na atak. Musimy zagrozić mu drogę, zgnieść jego wojska, stawić czoło czarnej magii, do której się ucieka. Wtedy i tylko wtedy może nadarzyć się sposobność, by z nim skończyć.

Camron patrzył na Ravisa jak na szaleńca.

– Zgnieść jego wojska? Dla raizyjskiej armii Garizon to fraszka. Dysponujemy najdzielniejszym i najlepiej wyszkolonym rycerstwem na kontynencie. Izgard nie wyściubi nosa spod miotły.



– Rycerstwo! – Ravis nie szczędził sarkazmu. – Myślisz, że Izgard przejmie się rycerzami z Raize, dowodząc pięcioma kompaniami maribańskich łuczników, którzy z odległości pięciuset kroków powalą rycerza lub jego konia, używając grotów, przebijających stal? Rycerze z Raize ze wjadą galopem prosto w objęcia śmierci, nie zobaczą nawet swych przeciwników. A biada tym, którzy się przedrą, albowiem nie staną oko w oko ze szlachciami nie ustępującymi im długością miecza, wyrafinowaną zbroją i znajomością wojennej etykiety. Kiedy łucznicy zrobią swoje, Izgard pośle w bój swych pikinierów i wierz mi, ci ludzie nie dbają o wymyślną szermierkę, eleganckie pchnięcia i honorową śmierć. Ich ostrza są przystosowane do wypruwania flaków. Rycerze z Raize, szarżując z płonną nadzieją, iż Izgard dostosuje się do ich przestarzałych reguł walki, będą stanowić niewiele więcej, jak tylko widoczne z daleka, ruchome cele. Z policzkami nabiegłymi krwią, Camron zawołał:

– Żaden piechur z piką czy łukiem nie dotrzyma pola raizyjskiemu rycerzowi!

Dłoń Ravisa wędrowała ku klamce.

– Takie myślenie oznacza przegraną wojnę. – Zanim przebrzmiał jego głos, otworzył drzwi.

Bankier wtoczył się do środka.

– Ach, Marcel – rzekł Ravis, starając się uspokoić nerwy. – Przypuszczam, że oliwiłeś zamek?

– Nic z tych rzeczy – odparł Marcel, kiedy podnosił się z podłogi, próbując zachować resztki dostojeństwa. – Szedłem właśnie zaproponować panom małą kolacyjkę.

– Przykro mi, ale muszę odmówić. – Zwracając się ku Camronowi, Ravis uklonił się elegancko. Udawał, że nie dostrzega wyrazu wściekłości, malującego się na obliczu młodego szlachcica. Wspomagała go praktyka. – Spotkamy się jutro skoro świt na targowisku rybnym. – Potem spojrział na Marcela. – Bez urazy, przyjacielu, ale nie będę cię na razie odwiedzał. Z jakiegoś dziwnego powodu, którego sam nie rozumiem, czuję się tu, jakby śledzono każdy mój gest. – Jeden czarujący uśmiech, jeden ostateczny ukłon i Ravisa nie było: zbiegł na dół i wyskoczył na ulicę, gdzie ogarnęły go ciemności. Zaciskając dłoń na rękojeści noża, zezując czujnie na boki, ufał, że nogi poniosą go najmniej oczywistymi uliczkami.

Angeline, niegdyś pani na zamku Halmac, obecnie królowa Garizonu, siedziała na skraju łoża, drapiąc brzuszkiem swego pieska. Śnieżek uwielbiał być drapany po brzuszku. Leżał na plecach, rozpościerał łapy, kiwał głową z boku na bok i merdał wariacko ogonem.

*Więcej, więcej!*

– Głupiutki Śnieżek – wołała Angeline, ucieszona. – Powiedz, kto jest głupiutki, mój ty głupiutki Śnieżku?

Śnieżek machał ogonem z aprobatą.

*Głupiutki Śnieżek, głupiutki Śnieżek.*

Śnieżek był nieudacznikiem. Tak powiedział jej ojciec, gdy po raz pierwszy spojrzał na szczeniaka. Jako ostatni opuścił brzuch matki, w ostatniej też kolejności został wylizany i dopuszczony do sutka. Śnieżek został wyznaczony do nurkowania z uwiązany kamieniem jeszcze zanim obeschły mu uszy.

– Ten pies to nieudacznik – rzekł ojciec do szczwacza. – Zawień go w koc i wrzuc do Weize!

Angeline stała wówczas przy ojcu, jak zwykle zresztą, i choć nie zachwyciła się pomysłem topienia szceniąt, ojciec wytłumaczył jej, że w gruncie rzeczy tak jest dla nich lepiej.

Wtedy szczeniak uniósł zbyt dużą głowę i spojrzał na nią swymi młodymi, niebieskimi oczkami. Angeline natychmiast zapomniała o wszelkich zdrowych argumentach, zamiast tego coś ścisnęło ją w sercu i poczuła falę ciepła. Był nieudacznikiem i dobrze o tym wiedział, lecz ona pokochała go od pierwszego wejrzenia.

Ojciec zawsze dostrzegał różnicę między tym, co córka sądziła, że pragnie (bo wpadło jej w oko, było ładne i błyszczące), a tym, czego naprawdę, naprawdę pragnęła. Jak na przykład Śnieżka. Mimo że wydał szczwaczowi polecenie, a nigdy nie zmieniał zdania, ojciec zrobił rzadki wyjątek i pozwolił nieudacznikowi żyć.

Angeline poczuła, że coś szczypie ją w oczy.

– Och, drogi Śnieżku – powiedziała, gładząc delikatne futerko tuż pod szyją. – Ojciec był dla nas dobry, prawda? Tak bardzo nas kochał.

Ogon Śnieżka opadł.

*I my jego.*

Ku obopólnej radości Śnieżek i jej ojciec też się pokochali. Nie w podobny sposób, jak ona i Śnieżek, oczywiście, utrzymał się bowiem między nimi dystans, czyli między psem-nieudacznikiem a wyniosłym panem. Angeline od czasu ślubu zdążyła się nauczyć, że są różne rodzaje miłości.

– Teraz kocha nas Izgard – szepnęła, łaskocząc Śnieżka za uchem. – Kocha nas nie mniej niż ojciec.

Śnieżek warknął.

*Nie aż tak bardzo.*

Roześmiała się. Usiłowała nie myśleć o tym, jak Izgard zmienił się po ślubie.

– Śnieżku, ty jesteś nieudacznikiem. Nie możesz wszystkiego wiedzieć.

Warczenie ustało, Śnieżek stanął na łapach i znów zakręcił ogonkiem.

*Nieudacznik.*

Angeline wstała i wyjrzała przez szczelinę w murze, która najbardziej przypominała okno na niższych piętach twierdzy Sern. Na czarnym niebie zaczęły pojawiać się pierwsze gwiazdy. Izgard wkrótce wróci i wiedziała, że powinna się przystroić na jego nadejście. Włożyła suknię z gorsetem usztywnionym kośćmi i wezwać Gertę, by uporała się z

rzemykami. Gerta powinna w gruncie rzeczy w tej chwili zmierzać w jej stronę z jeżącymi się między zębami szpilkami do włosów oraz wojennym ryszunkiem w postaci szczoteczki, pincety i pomadek. W rzeczywistości Angeline wołała, by szpilki pozostawały w ustach Gerty, bo gdy tylko stamtąd zniknęły, rozlegał się głos: “Twoją pierwszą powinnością, moja pani, jest służba dla dobra Garizonu. Musisz urodzić potomka”. Po tym wstępie przychodziła pora na wskazówki i komentarze dotyczące uprawiania miłości, których Angeline – w zależności od stopnia rozcieńczenia wina przy kolacji – słuchała bądź to z niechęcią, bądź z niewielkim rozbawieniem.

Cóż, tego wieczoru z pewnością nie miała ochoty na paplaninę o uprawianiu miłości. Prócz tego nie była wcale pewna, czy Gerta wie, o czym mówi. Niektóre procedury, które zalecała w celu wywołania u męża “pasji płodzenia dzieci”, wydały jej się co najmniej dziwne. Och, Izgard wydawał się gustować w nich swego czasu, lecz ostatnio coraz częściej, gdy było po wszystkim, miewał napady złego humoru i wybiegał z komnaty, trzaskając drzwiami. Wołała już, kiedy po długim, męczącym dniu po prostu zasypiał na krześle. Niekiedy podejrzewała, że również on woli takie wieczory. Wiedział jednak, podobnie jak Gerta, że musi spłodzić potomka.

Westchnęła. Uderzyła się dłonią po udzie i Śnieżek popędził do swej pani.

– Wszystko wydawało się takie proste, gdy byłeś tylko ty, ja, ojciec i Bors. Mam rację, piesku?

Śnieżek machnął ogonem twierdząco.

*Wszystko proste wtedy.*

– Wiem, Śnieżku, co zrobię. – Przyszedł jej do głowy pewien plan. – Pójdę odwiedzić Ederiusa. – Gerta powiedziała, że Izgard wyruszył konno na przełęcz i wróci późno. Ostrzegając ją co prawda, by nie widywała się z Ederiusem, ale jeśli będzie sprytna, to nigdy, przenigdy nie dowie się, że u niego była. – Co o tym sądzisz, Śnieżku?

Śnieżek przekrzywił głowę i machnął niezdecydowanie ogonem.

*Nie wiem.*

Angeline wybuchła śmiechem.

– Martwisz się, że nie możesz iść ze mną? Pieskom-nieudacznikom nie wolno opuszczać komnaty, prawda?

Ujrawszy koniec swego ogona, Śnieżek zamarł w bezruchu, utkwiał w nim podejrzliwy wzrok, a potem skoczył. Nie zrażony tym, że zdobycz znika tajemniczo z pola widzenia, gonił go z furją, wirując przy tym jak bąk.

*Nieudacznik.*

Angeline z uśmiechem otworzyła drzwi. Kiedy wróci, Śnieżek będzie spał przy ogniu. Pogoń za ogonem zawsze go męczyła.

Gwardziści stawali na baczność, gdy przemierzała wąskie, niedbale obciosane korytarze twierdzy Sern. Z jakiejś nieznannej przyczyny, choć nadeszła wiosna, a od tygodnia nie spadł

deszcz, wewnątrz zamczyska było chłodno i wilgotno. Kiedy po raz pierwszy przyjechała w to miejsce, wydawało jej się, że nagie mury są piękne – gdy wpatrywała się uważnie, w szarych kamieniach pojawiały się desenie i barwy. Teraz ich nienawidziła. Były lepkie w dotyku i cokolwiek się za nimi działo, nigdy nie przepuszczały dźwięku.

Skręciła ku wykutym w skale schodom i zaczęła piąć się mozolnie na szczyt fortecy. Mniej więcej pośrodku drogi znieruchomiała. Powinna przynieść Ederiusowi coś do jedzenia! Całymi dniami ciężko pracował, nie jedząc ani nie pijąc. Mógł być głodny, zmarznięty, przemęczony i nawet o tym nie wiedzieć. Zupełnie jak ojciec przed śmiercią. Jednak... Stopa Angeline zawisła w powietrzu; królowa nie chciała niepotrzebnie ryzykować. Zrezygnowała ze schodzenia do kuchni, nie miała na to czasu. “Wiem już – pomyślała. – Gdy wyjdę od Ederiusa, każę Gercie zanieść mu coś do przegryzienia”. Pospiesznie pokonała resztę schodów.

Zapukała do drzwi skryptorium, ale nikt nie odpowiadał. Wiedziała, że będąc panią tego zamku, ma prawo wejść do każdego pomieszczenia bez zapowiedzi; dobry obyczaj zawsze jednak kazał jej pukać. Izgard nie dbał o dobre obyczaje. Zaciśniętą pięstką uderzyła głośno w drzwi.

– Ederiusie, to ja, Angeline. Jesteś tam? – Nie przepadała za brzmieniem swego głosu. Przed ślubem z Izgardem inne kobiety podśmiewały się z niej i mówiły, że ma dziecięcy głosik. Teraz, kiedy była królową, nikt nie ważył się o niej powiedzieć złego słowa. Zabawne, ale wcześniej sądziła, że milczenie kobiet wprawi ją w bardziej radosny nastrój. Zamiast tego czuła smutek.

Za drzwiami rozległ się cichy chrobot. Potem usłyszała kaszel, a na ostatek słaby głos poprosił:

– Moja pani, odejdz proszę.

Przerażona tymi słowami, pchnęła drzwi, by stanąć oko w oko z Ederiusem. Otworzyła szeroko usta. Starzec wyglądał na chorego, bardzo chorego. Oczy miał przekrwione, a z twarzy spływał mu pot.

– Och – westchnęła Angeline. Nie powiedziała tego, ale Ederius wyglądał zupełnie jak jej ojciec w czasie napadu mokrej gorączki.

– Moja pani – wy stękał Ederius, odwracając wzrok – musisz stąd odejść. Król zakazał mi się z tobą widywać. – Ostatnie słowa wypowiedział, zanosząc się kaszlem.

Angeline o kaszlu wiedziała wszystko. Ojciec zawsze przed atakiem mokrej gorączki kaszlał mocno i długo. Wszyscy na zamku w Halmac – stajenni, słudzy i ubodzy krewni – żyli w strachu przed owym odgłosem. Kaszel oznaczał chorobę, a choroba śmierć. Gdy tylko słyszała zanoszącego się kaszlem ojca, biegła do kuchni, by zagrzać mleko z migdałami i miodem. Mimo że słudzy i medycy robili to samo, ojciec kategorycznie odmawiał przyjmowania ich lekarstw. “Łyknę sobie miodu Angeline – mawiał – to wystarczy”. Serce jej biło szybciej w takich momentach. Tylko ona potrafiła wyleczyć ojca.

Nie zważając na protesty skryby, weszła do środka. Ederius potrzebował kogoś, kto by się nim zajął, a ona była właściwą osobą.

– Nic mnie nie obchodzi, co mówi Izgard! – krzyknęła. Wiedziała, że to nieprawda, ale i tak ucieszyły ją własne słowa. – Nie zabroni mi robić tego, na co mam ochotę! – Ujęła starca pod rękę i zaprowadziła do stołu.

W skryptorium panował chłód i zbyt podniosły nastrój, jak na jej gust. Sufit znajdował się tak wysoko, że zagnieździły się pod nim nietoperze, a przez duże okna wpadały wiatr, kurz i mole. Angeline lubiła za to garnuszki z pigmentami, ustawione rzędami na skraju biurka. Tęczowe proszki, jakie się w nich kryły, były przepiękne, ale niektóre o najżywszych odcieniach pachniały nieprzyjemnie i – wiedziała to z doświadczenia – gdy sieje powąchało z bliska, bolała później głowa.

Delikatnie posadziła Ederiusa na krześle. Stary skryba ruszał się powoli. Był odrętwiały, przeziębiony oraz – co nie uszło uwagi królowej – roztrzęsiony. Kiedy jednak poddał się opiece Angeline, Ederiusowi zrobiło się jakoś dziwnie lekko na sercu: głąkał jej nadgarstek i dłoń, jakby chciał się upewnić, że ma do czynienia z istotą z krwi i kości.

– A teraz – powiedziała, dotykając jego zdrowego prawego ramienia. – Posiedź sobie i odpocznij, a ja tymczasem przyniosę dla nas herbatę.

Ederius potrząsnął głową.

– Nie, moja pani, proszę. Nic mi nie będzie. Miałem tylko ciężki dzień. – Kiedy to mówił, dostrzegła, że przyciąga czubkami palców pergamin z nie dokończoną iluminacją, by zasłonić nim jakiś bajecznie kolorowy rysunek.

– Za długo pracowałeś nad swoimi wzorami – stwierdziła, starając się powiedzieć to surowym tonem, podobnie jak czyniła to Gerta. – Izgard za dużo od ciebie wymaga. – Sięgnęła, by odsunąć miniaturę.

– Nie! – wrzasnął Ederius, uderzając w blat stołu. Angeline odskoczyła, wystraszona. Zdając sobie sprawę ze swojego grubiańskiego zachowania, Ederius pospieszył z wyjaśnieniem: – Proszę, wybacz mi, pani, nie chciałem cię przestraszyć. Tego obrazu nikt nie powinien oglądać. Ja... ja się go wstydzę.

Angeline nie bardzo wiedziała, jak ma się zachować. Pragnęła zerknąć na obrazek, lecz Ederius sprawiał wrażenie szczerze, przygnębionego. Potem skryba zaczął kaszleć i cała sprawa odeszła w zapomnienie. Znów miała okazję zademonstrować swoje uzdrowicielskie zdolności. Zdecydowała nie schodzić do kuchni po mleko z miodem i migdałami (czas naglił, w każdej chwili mógł zjawić się Izgard), zamiast tego postanowiła przynieść Ederiusowi szklanekę wody i poklepać go po plecach, by przestał kaszleć.

Zapominając o malowaniu, Angeline, przejęta rolą pielęgniarki, rozglądała się po komnacie w poszukiwaniu dzbanka z wodą. To, czego potrzebowała, dostrzegła na stoliczku pod ścianą, który stał za plecami Ederiusa. Podbiegła doń bez namysłu. Do wyboru miała

kilkanaście glazurowanych garnuszków. Chwyła pierwszy z brzegu i napełniła go po brzegi czystą, krystaliczną wodą.

Ederius pochylił się nad biurkiem. Przestał kaszleć, lecz niezdrowy rumieniec nie zszedł mu z policzków.

– Proszę – powiedziała, podsuwając mu pod nos garnuszek – przyniosłam ci wodę. Skosztuję tylko, czy nie za zimna. – Tak się ucieszyła tym, że zachowuje się jak prawdziwa pielęgniarzka, iż ochoczo podniosła garnuszek do ust.

– Stój!

Zamarła. Przeniosła wzrok z zawartości naczynia na twarz Ederiusa.

– Nie pij z tego dzbanka – wstał i zbliżył się do niej. – Nie wolno ci nigdy, przenigdy pić z czegokolwiek, co znajduje się w tej pracowni. Zapamiętaj to sobie. – Wyrwał jej naczynie. – Mieszałem w tym pigmenty, a niektóre z nich są nader niebezpieczne. Gdybyś upiła choć kropelkę, byłoby po tobie. Rozumiesz mnie?

Skinęła głową, nie bardzo wiedząc, czy zrozumiała, czy też nie. Była zbyt przygnębiona. Ederius nigdy nie zwracał się do niej takim tonem. A ona chciała mu tylko pomóc.

Ederius uspokoił się nieco na widok jej miny. Odstawił dzbanek na stół i wyciągnął rękę. Bał się jej dotykać, niemniej jednak czuł, że powinien tak zrobić.

– Przykro mi, moja pani. Kiedy zobaczyłem, co się święci, zdjął mnie strach. Nie chciałbym, żeby stała ci się jakaś krzywda. Niektóre z moich pigmentów to silne trucizny. Powinienem być cię ostrzec.

– Trucizny? – powtórzyła jak echo Angeline, dopiero teraz zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie zażegnał Ederius. Na temat trucizn wiedziała niemało: to z ich powodu jej ojciec, a także brat, Bors, żyli w ustawicznym lęku. Izgard nie jadł ani nie pił żadnych potraw, które nie były wcześniej kosztowane przez odpowiednich służących. Niekiedy nawet ona musiała je przed nim próbować.

– Tak, tak, moja pani – rzekł Ederius niezwykle delikatnie. – Do niczego, co znajduje się w skrytorium, nie zbliżaj się tak pochopnie. Nie wszystko tu, co prawda, jest niebezpieczne. Roślinne barwniki, którymi wczoraj malowałaś żółć z szafranu i purpura z krocienia barwierskiego – nie są groźne.

Ederius z trudem pohamował się od kaszlu i poczuła, że znów mięknie jej serce. Staruszek po prostu usiłował ją ochronić, to wszystko. Podobnie uczyniłby jej ojciec.

– A czerwien?

– Czerwony kerrhes jest bezpieczny, choć uzyskuje się go z owadów, nie z roślin.

Angeline uważała cały pomysł wyciskania barwnika z owadów za coś odpychającego, ale nie rzekła nic na ten temat.

– Które zatem są niebezpieczne? – zapytała, stając przy krześle Ederiusa. Położyła dłoń na jego zdrowym ramieniu, zmuszając go, by usiadł.

Pogłaskał jej palce i powiedział:

– Ta mieniąca się biel na półce, widzisz? – Wskazał na jeden ze słoiczków. – To arszenik. Obok stoi naczynie ze szkarłatem – to siarczek rtęci. Oba są wielce niebezpieczne.

– Ale masz chyba inne czerwienie i biele, których możesz używać? – zapytała Angeline, delikatnie dotykając złamanego obojczyka starca. – Dlaczego więc malujesz truciznami?

– Natura moich prac ulega zmianom, zatem pigmenty też muszą. – Ederius znów wyglądał na wzburzonego. Stracił z ramienia jej dłoń i spojrzał na wysokie okna. – Teraz zostaw mnie samego, moja pani. Służba będzie się o ciebie martwić.

Angeline zamierzała zaoponować, lecz Ederius miał rację. Gerta przetrząśnie wszystkie kąty w poszukiwaniu królowej, prócz tego Izgard może wcześniej wrócić z przełęczą. Niechętnie skinęła głową.

– Każę Gercie przynieść ci mleka z miodem i migdałami.

– Dobra z ciebie dziewczyna, Angeline – rzekł Ederius, po raz pierwszy wymawiając jej imię. – Żałuję, że cię przestraszyłem. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby spotkało cię coś złego.

Z trudem powstrzymywała się od płaczu. Jej ojciec użył kiedyś bardzo podobnych słów, kiedy odsunął ją od narowistego konia. “Temu koniowi źle z oczu patrzy – powiedział. – Ma porywczy temperament. Nie będę ryzykował, że cię zaatakuję, kiedy nikogo przy tobie nie będzie. Co bym zrobił, gdyby coś złego spotkało moją ukochaną dziewczynkę?”

W przyptywie smutku pochyliła się i pocałowała skrybę w pomarszczony policzek. Miał bardzo delikatną skórę. Przypomniała jej o starych jedwabnych sukniach matki: choć zamknięto je w skrzyni, chroniąc przed żarłocznymi owadami i zmienną pogodą, udało im się rozplątać w nicość w ciągu długich dwudziestu lat.

Kiedy się wyprostowała, podmuch nocnego powietrza poruszył leżące na stole papiery, unosząc przy okazji arkusz nie ukończonego welinu i pozwalając Angeline zerknąć na ukrywającą się pod spodem iluminację. To, co zobaczyła, napęliło ją trwogą.

Na karcie znajdowało się coś monstrualnego. Straszliwy, nienaturalny deseń.

Przestało wiać i papier welinowy opadł na dawne miejsce; Angeline wątpiła, czy rzeczywiście cokolwiek widziała. Może była to tylko zwykła płatanina kolorów zmieszanych bez widocznego sensu?

– Dobrze się czujesz, pani? – spytał Ederius, nieświadomy tego, co przed momentem zobaczyła.

– Tak, całkiem dobrze. Muszę już iść. – Ruszyła w stronę drzwi. Drżała, choć nie wiedziała dlaczego. Poczuła nagle wielką chęć powrotu do zacisznej komnaty, gdzie Gerta pluje szpilkami, a pies-nieudacznik goni własny ogon. Zeskakiwała po dwa stopnie naraz. Zatęskniła za nudą spokojnego, uporządkowanego życia.

– Każda drobno zmielona substancja nazywa się proszkiem – tłumaczył Emith, przesiewając przez palce biały puder. – Ja przeważnie wybielam skórę kredą, lecz niektórzy stosują popiół albo miąższ chleba, a są nawet tacy, co wolą zmielone kości. Czasami, gdy skóra nie mokła dostatecznie długo przed oskrobaniem, przecieram ją sproszkowanym

pumeksem, żeby nie pozostało śladu po tłuszczu. – Nie przerywając wykładu, zaczerpnął garść białego proszku i zaczął go wcierać w skórę małym, drewnianym klokiem. – Mistrz Deveric, zanim zabrał się za nową iluminację, nigdy nie zapominał poprosić mnie, bym po raz ostatni natarł pergamin, aby nadać mu aksamitny charakter, gdyż wtedy lepiej wchłania atrament.

Tessa skinęła głową, starając się zapamiętać wszystkie usłyszane wiadomości.

Siedzieli wokół wielkiego stołu w kuchni należącej do matki Emitha. Staruszka wraz z krzesłem wykonała pełny obrót i siedziała obecnie z twarzą zwróconą w stronę ognia. Jej głowa opadła na ramię, a spomiędzy warg wydobywało się ciche pochrapywanie. Według Emitha wcale nie spała, tylko odpoczywała.

Słodko pachnące duszonki, wywary i sosy bulgotały nad ogniem w miedzianych rondelkach. Tessa od rana zjadła dwa posiłki, ale z niecierpliwością oczekiwała na trzeci. Matka Emitha gotowała niczym demon wcielony. W gruncie rzeczy to Emith gotował, jednakże staruszka była szefem kuchni: odmierzała przyprawy, dyrygowała blanszowaniem i garniowaniem oraz zarządzała, kiedy dany garnek ma być zdjęty z ognia. Jej stanowiskiem dowodzenia było krzesło.

Emith zwierzył się Tessie, że przed śmiercią Deverica dwa dni w tygodniu spędzał w mieście przy matce. Sam Deveric o to nalegał. W pozostałe pięć dni, kiedy Emith przebywał w Fale, każdego ranka dziewczyna z sąsiedztwa wyręczała staruszkę w pracach.

Tessa czekała i czekała, kiedy matka Emitha ruszy się ze swego krzesła, skoro jednak na zewnątrz zapadły ciemności, a okiennice zamknięto, odcinając ćmom drogę ucieczki i zmuszając je do szalonego furkotania wokół ognia – dała za wygraną. Być może matka Emitha poruszała się – podobnie jak dziecięce zabawki – tylko wtedy, gdy wszyscy spali.

Polubiła Emitha i pocziwą staruszkę. Oboje byli przyjacielscy (choć nieco dziwacznicy) i z wielką chęcią użyczali swej gościny. Jeśli zadrzała, Emith wybiegał po kocyk; jeśli zaburczało jej w brzuchu, chleb pokrywał się błyskawicznie masłem; jeśli światło było za słabe do rysowania, pojawiał się zapas łoju zdolny oświetlić katedrę; gdy tylko dotknęła ręką guza na głowie, osaczały ją maści, herbatki ziołowe i dobre rady.

Mimo że nigdy wcześniej nie spotkała się z podobną troskliwością, szybko do niej przywykła. Najchętniej nigdzie nie ruszałaby się z tej ciepłej, pełnej życia kuchni – jakże różniącej się od tamtej w Kalifornii, sterylnej i bezdusznej. Mogła tu spokojnie siedzieć, słuchać i chłonać wiedzę.

Po raz pierwszy w życiu potrafiła skupić się na wykonywanej czynności, nie martwiąc się o drzemiącego *tinnitusa*, mogąc swobodnie rozmyślać o takich szczegółach, jakich wcześniej panicznie się bała. Jej dotychczasowa praca polegała na serii odruchów, coś słyszała, przyjmowała to do wiadomości, a kiedy pytanie okazało się niewygodne, zgrabnie je omijała. Pracując w telezakupach, mówiła to, co chciała powiedzieć, lecz w takiej formie, że rozmówcy sądzili, iż to właśnie pragną usłyszeć. Tessa mogła to robić nawet we śnie. Jej



umysł nigdy nie był przeciążony – niczego więcej nie chciała. Jej życiowe motto brzmiało: żadnych zobowiązań, żadnych szczegółów, żadnych myśli.

W telezakupach znalazła się tuż po opuszczeniu uczelni. Katalizatorem wszelkich większych zmian w jej życiu zawsze był *tinnitus*. Pierwszy rok w college'u stanowym w Nowym Meksyku przeszedł całkiem gładko. Uczęszczała na wszystkie wykłady, nawiązała kilka przyjaźni, zdała egzaminy. Szło jej w miarę nieźle, dopóki nie zaczął się drugi rok. Wybrała historię sztuki jako przedmiot kierunkowy i tuż po wakacyjnej przerwie sprawy zaczęły przybierać niekorzystny obrót. Nie potrafiła się skoncentrować w sali wykładowej. Najlżejszy hałas wytrącał ją z równowagi: szum wentylatora, samochód wyjeżdżający z parkingu, chrząknięcie siedzącej za nią osoby. Tessa posprzeczała się ze współlokatorką, Nylą, gdyż nie mogła dłużej tolerować bezustannej paplaniny przez telefon i nocnego jazgotu, wydobywającego się z głośników magnetofonu. Zaczęła zaniedbywać naukę, spiętrzył się stos książek czekających na przeczytanie. Kiedy tylko Tessa starała się skoncentrować, pojawiała się brzęczenie w skroniach i podskórne swędzenie, jakby coś się chciało wydostać na zewnątrz.

Falowe ataki *tinnitusa* zdarzały się coraz częściej. Tessa wpijała paznokcie w ciało. Czekala. Zawsze czekała na pojawienie się kolejnego ataku.

Zaczęła opuszczać niektóre zajęcia. Wkrótce uczestniczyła jedynie w wykładach profesora Yarbacka na temat cesarstwa bizantyjskiego i sztuki koptyjskiej w Egipcie. To właśnie za sprawą ornamentów podrywała się co rano z łóżka, wkładała ubranie i myła zęby. Budowle kamienne tamtego okresu charakteryzowały się bogatym wzornictwem i ciekawą geometrią. Zawile, fantastyczne wzory pięły się wzdłuż trzonów kamiennych kolumn, biegly pod arkadami i zdobiły nadproża.

Tessa spędzała wiele godzin w bibliotece na kopiowaniu, szkicowaniu i przeglądaniu ornamentów, a podczas długich popołudni, kiedy profesor Yarback opowiadał o “naturalizmie podobizn ludzkich” i “znaczeniu ikonografii religijnej”, jej umysł szybował w siną dal, a ona bazgrała w notatniku ostatnio napotkane wzory. Rozumiała ich znaczenie. Dostrzegała, w jaki sposób zostały rozwinięte na bazie prostych linii. Każdy na pierwszy rzut oka skomplikowany wzór dało się rozłożyć na czynniki pierwsze.

W trakcie ostatniego wykładu profesora Yarbacka na temat: “Wpływy koptyjskie na sztukę wyspiarską Irlandii i Brytanii”, Tessa przeżyła najstraszniejszy atak *tinnitusa*. Profesor wyświetlał slajdy ze zwykłą sobie ślimaczą powolnością – egipskie manuskrypty, malowidła naścienne, kamienne budowle – by zatrzymać się na dłużej przy Ewangeliarzu z Lindisfarne. “Widzicie teraz, jak te pasy przypominają ornamenty geometryczne i listewkowe spotykane we wzornictwie Koptów?”

Było to ostatnie zdanie profesora Yarbacka, które usłyszała. Kiedy wpatrywała się w slajd, świat zaczęła zasnuwać mgła. Nigdy wcześniej nie oglądała czegoś wyrysowanego z podobną dbałością o szczegóły. Wzór kwitł i promieniał. Dziwne, wydłużone ptaki ścigały

własne ogony, przeplatając się z sobą po wielokroć, strosząc pióra pokryte jakby łuskami, zakrzywiając dzioby i szpony. Ponad tym skotłowanym łożem ptaków o pustym spojrzeniu unosiły się jednorodne pasy, pokryte ornamentami geometrycznymi: listewkowymi, plecionkowymi, lejkwatymi spiralami, przepłotami.

Tessa poczuła, że zaczynają boleć głowa.

Władcza ręka skryby emanowała niemal namacalną mocą. Tylko dzięki niej powodowane obłędem ptaki nie rozpierchły się, burząc symetrię.

Powoli, bardzo powoli uszy Tessy zaczęły płonąć. Wysoko nastrojony dźwięk przeszył bębrenki uszu, a w skroniach narastało brzęczenie.

Slajd zdominował całą ścianę. Kolory odbijały się od twarzy sześćdziesięciu studentów. Zaduch wypełniający salę wykładową – pochodzący od pokrywającego boazerię sali lakieru, nieświeżego potu i detergentu o sosnowym zapachu – rozmył się razem z dźwiękiem. Poczula jakąś nie znaną woń – coś jakby farby, tylko bardziej aromatycznej, pikantnej.

Hałas w uszach przeszywał ją niczym ostrze noża.

Nie potrafiła odwrócić wzroku od przezrocza. Wpatrywała się w zaczarowaną gmatwaninę linii, krzywizn i kształtów, usiłując ze wszystkich sił wyłowić z niej ukryty sens. Jej wzrok spoczął na ptaku w lewym górnym rogu karty, którego skrzydeł nie pokrywały łuski, tylko paski. Był unikatowy.

Profesor Yarback tłumaczył, spacerował i wskazywał. Nie spiesząc się do zmiany przezrocza, bawił się trzymanym przełącznikiem.

Brzęczenie w głowie przerodziło się w łomot. Przedmioty zaczęły rozmywać się we mgle. Łzy napływające do oczu zniekształcały wzór. Ptaki wytrzeszczały na nią szklane oczy i kłapały dziobami, rozrywając na sztuki miotające się w ich szponach ofiary.

Tessa poczuła raczej niż usłyszała, że jej pióro stoczyło się z ławki. Profesor Yarback przestał spacerować. Zasłonił głową sam środek slajdu. Ptasie kształty nałożyły się na jego rysy twarzy, tworząc maskę albo wymyślny tatuaż.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Tessa zacisnęła dłonie na skroniach, próbując wycisnąć hałas, który stał się obecnie nie do zniesienia, jakby stalowy drut wwierał się w jej umysł. Istniały tylko wzór i ból, nic ponadto.

Książki Tessy zsunęły się z ławki i spadły jej na kolana. Mglisto dostrzegła otaczające ją postaci, otwarte usta, podniesione ręce, oczy równie puste i szkliste, jak te należące do ptaków z przezrocza. Zdenerwowała ją ich obecność. Zasłaniały wzór, przeszkadzały w dotarciu do źródła.

Wtem rozbrzmiał ostry wrzask, podobny do krzyku mewy. Świat Tessy rozpadł się na setki odcieni szarości.

Ocknęła się kilka minut później w szkolnej przychodni zdrowia. *Tinnitus* jeszcze jej nie opuścił, lecz stanowił tylko szum w tle, cichszy od dobiegającego z oddali hałasu przejeżdżających samochodów. Z takim *tinnitusem* mogła już normalnie funkcjonować.

Pielęgniarka, tęga kobieta z Puerto Rico w śnieżnobiałym fartuchu i na wysokich obcasach, wytłumaczyła Tessie, że zasłabła na wykładzie. Kazała jej zażyć dwie tabletki percodanu, wypić szklanekę wody mineralnej i obiecać, że pójdzie prosto do lekarza.

Tessa zażyła percodan, wypiała wodę, udała się do swego pokoju i przez tydzień nie wychodziła na zewnątrz. *Tinnitus* z wolna przybierał na sile. Kiedy próbowała nauczyć się czegoś, przeczytać książkę lub tylko przeglądnąć czasopismo, dudnienie w głowie przypominało o sobie. Co noc śniła o przezroczu widzianym podczas wykładu, co rano budziła się źle wyspana i złana potem.

Po pięciu dniach doszła do wniosku, że *tinnitus* nie odejdzie z własnej woli. Jak długo ona pozostanie w tym samym miejscu, nie da jej spokoju – to nie ulegało wątpliwości. Musiała się wyprowadzić.

Nazajutrz załadowała do samochodu materac, pościel, ciuchy, kilka książek, kwiat w doniczce, któremu nadała imię, atlas drogowy Rand McNally i ruszyła na zachód szosą I-8. Sądziła wówczas, że wróci do szkoły. To tylko kilka tygodni – wmawiała sobie. Nigdy jednak nie wróciła.

Za cel obrała Los Angeles, lecz dziwnym trafem ugrzęzła w San Diego, aby sprzedawać tam towary przez telefon. W tej pracy czuła się znakomicie. Żadnych odpowiedzialności ani obowiązujących strojów, nienormowany czas pracy, niewiele papierkowej roboty. Kiedy wpadała w telefoniczny trans, nie musiała wiele myśleć. Telezakupy były jak gra liczbowa. Dodzwoń się do wystarczającej liczby ludzi, a pewien procent zawsze powie: “Tak”. Tessa była dobra w te klocki. Wybierała numer, ustalała ilość i zawsze naciskała. Po dwóch miesiącach w First Stop Telesales otrzymała awans: nie musiała już korzystać z istniejących wykazów numerów, na które dzwonił już każdy pracownik działu sprzedaży, ale mogła przecierać nowe szlaki. W pracowniczym żargonie oznaczało to, że “dojechała”.

*Tinnitus* niemal zupełnie zniknął. Z rzadka tylko atakował, ale jakoś nieśmiało, bez porównania słabiej niż podczas pamiętnego wykładu. Jednakże wspomnienie tamtych chwil wciąż spędzało jej sen z powiek. Wystarczyło tylko, by odwiedziła księgarnię, przeszła się po galerii sztuki, wypatrzyła ornament na kafelkach w restauracji, a już rozlegało się ostrzegawcze brzęczenie. Wołała nie przeciągać struny. Przy pierwszej oznace nadciągającej burzy przerywała, cokolwiek robiła, i starała się zrelaksować. Szła na spacer, słuchała muzyki bądź wybierała się na przejażdżkę...

Tessa poczuła ostre ukłucie bólu w kciuku. Zauważyła, że trzyma w palcach pierścien. Nie pamiętała, kiedy wyciągnęła go spod sukni. Zerknęła badawczo na Emitha. Uwijał się przy ogniu, przygotowując kolację. Jego matka wciąż chrapała na krześle.

Spojrzała na pierścień, wspominając wydarzenia, które doprowadziły do odnalezienia zaginionych skrytek: telefon, jazda samochodem, kierowca półciężarówki, *tinnitus*. Jakim cudem atak *tinnitusa* zawsze wróżył jej zmianę miejsca pobytu?

– Zupa gotowa, panienko – obwieścił Emith, przywracając ją do rzeczywistości. – Nalać ci do miski?

– Nie zapomniałeś aby dodać pieprzu i śmietanki? – zapiszczała staruszka, udowadniając tym samym, że wbrew pozorom nie spała na krześle, tylko odpoczywała.

– Tak, matko.

Tessa schowała pierścień.

– O, tak. Bardzo proszę – powiedziała. Nie wiedziała dokładnie, jaka to będzie zupa, ale po zapachu podejrzewała, że do jej sporządzenia użyto między innymi wołowiny.

Wstała i zaczęła porządkować stół. Garnuszki z pigmentami grzechotały, kiedy ustawiała je w zgrabnym rzędku, jednakże pędzle, pióra, ryłce i ołowiane pęciki opierały się zaciekle wszelkim próbom ułożenia ich w stosy. Dziwiła się, jak wiele można się dowiedzieć w ciągu jednego dnia na temat rozmaitych przyrządów. Ryłce wykonywano z miedzi lub z kości, gdyż wtedy ich końcówki były dostatecznie twarde, by rysować linie w wosku. Emith wyjaśnił, że pergamin jest zbyt kosztowny, by zużywać go do szkiców i przymiarek, toteż większość skrybów w celu eksperymentowania z jakimś nowym pomysłem używa woskowych tabliczek. Z woskowej tabliczki korzystać można wielokrotnie, albowiem podgrzany wosk wygładza się tępym końcem rysika.

Ołowiane pęciki znajdowały zastosowanie przy szkicowaniu iluminacji i wyznaczaniu na karcie odnośników. Ołów mógł być stosowany w postaci prostego sztychtu, lub umieszczony w metalowej obsadce. Podobno najlepsi skrybowie posługiwali się nie oprawianym ołowiem.

Najbardziej z tego, co opowiadał Emith, zdumiał ją wysiłek wkładany w proces tworzenia iluminacji. Nieliczne tylko rzeczy kupowało się do bezpośredniego wykorzystania. Atramenty, pigmenty, pióra, pergamin, woskowe tabliczki, kleje i zagęszczacze stanowiły dzieło rąk Emitha. Tessa pojęła ogrom pracy, jaki należało wykonać przed przystąpieniem do malowania, i nie dziwiła się dłużej, dlaczego Deveric potrzebował asystenta. Zmuszony całymi dniami zakopywać w piasku gęsie pióra, nie miałby czasu na sam akt tworzenia miniatury.

Nawet przygotowywanie pergaminu stanowiło niezwykle ciężką pracę. Emith na bazarze kupował surowe zwierzęce skóry – skóry kozłat i owiec były rzekomo najtańsze, lecz najlepiej do tego celu nadawały się skóry martwo narodzonych cieląt – przywoził je do domu i moczył w balii wypełnionej wapnem, aby oddzielić mięso. Następnie – jeszcze wilgotne – rozpościarał na ramie i skrobał do czysta czymś, co nazywał półksiężycowatym nożykiem.

Wcześniej, kiedy wyszła na podwórko, by skorzystać z wychodka, zauważyła po drodze wiele rozmaitych drewnianych ram i balii spiętych metalowymi obręczami. Zastanawiała się wtedy, do czego mogą służyć. Teraz już wiedziała. Emith wyjaśnił, że w czasie nasycania wapnem rozchodzą się odpychające zapachy i Deveric wołał, żeby ów proces przeprowadzać w mieście. Tessa przypuszczała, że to poniekąd dlatego Deveric tak łaskawie zgodził się, by Emith odwiedzał dwa razy w tygodniu swoją matkę. Nic jednak nie powiedziała. Na tyle

dobrze poznała Emitha, by przypuszczać, że nie da sobie powiedzieć złego słowa o żadnym ze swoich znajomych. A w szczególności o niedawno zmarłym mistrzu.

– Proszę, panienko – rzekł, podstawiając jej parującą miskę czegoś, co, biorąc pod uwagę gęstość, nie zasługiwało na miano zupy. – Usiądź, a ja ukroję kromkę chleba, byś sobie mogła ją zamaczać w trakcie jedzenia.

– I kieliszek ario – dodała matka, znów ożywiona. – Sądzę, że możemy zaproponować naszemu gościowi kieliszek, skoro jest dawno po zmroku i wszyscy kapłani wrócili do domu. – Spojrzawszy na Tessę, mrugnęła szelmowsko okiem. – Może i ja skuszę się na pół kubka.

Tessa uśmiechnęła się. Podejrzewała, że staruszka wychyla co wieczór ze dwa takie kubki.

– Och, uważaj, panienko! – ostrzegł Emith, kiedy zamierzała postawić miskę na stole. Podbiegł i pochwycił szkic, który nie tak dawno namalowała. – Jeszcze by się zachlapał.

– Racja. – Usiadła przy stole i zaczęła sondować głębokość polewki w poszukiwaniu zabłąkanych kawałeczków mięsa. Słyszała, jak Emith podreptał gdzieś do kąta, a potem wrócił. – Czy ten szkic jest naprawdę taki dobry, jak powiedziałeś? – zapytała, kiedy opróżnił wraz z matką kubek ario.

Po raz pierwszy tego dnia Emith usiadł na krześle.

– Tak, chyba tak – odparł, przysuwając swoje krzesło najbliżej, jak na to pozwalała grzeczność. – Nie jestem ekspertem w tych sprawach tak wspaniałym, jakim był mój mistrz, ale oglądałem prace wielu skrybów. Mistrzów od miernych gryzipiórków odróżnia głównie podejście do szczegółu. Mój mistrz zawsze mawiał: “Iluminację potrafi namalować każdy, żeby jednak błyszczała, nieodzowna jest umiejętność dopracowywania detali”.

Detale. Tessa odłożyła łyżkę, tracąc nagle apetyt. Jeszcze trzy dni temu nie potrafiła niczego przekopiować z detalami. Przez całe lata jej życie pozbawione było długotrwałych związków, zobowiązań finansowych, planów na zrobienie kariery, wakacji, papierkowej pracy czy jakichkolwiek celów. Kiedy jej chłopcy zaczęli poważnie myśleć o życiu, ona natychmiast z nimi zrywała; kiedy przyjaciele stawali się zbyt przyjacielscy, ona ich odpychała; kiedy bank domagał się, by swoje oszczędności składała na kontach gotówkowych, groziła, że zerwie z nim współpracę, byle tylko nie słyszeć tego uciążliwego marudzenia o “dodatkowej połowie procentu”. Nie miała komputera, dziennego rozkładu zajęć czy nawet książeczki adresowej. Nie zamówiła nigdy niczego pocztą, gdyż oznaczało to wypełnianie formularzy.

A teraz ów mały, skromny człowieczek, siedzący w przyzwoitym oddaleniu trzech kroków, powiedział najspokojniej w świecie, że wykazała się talentem w dopracowywaniu szczegółów.

Wybuchła śmiechem. Nie sądziła, żeby to było aż tak zabawne, ale musiała jakoś zareagować.

Emith wyglądał na urażonego.

– Mówię prawdę, panienko. A żeby malować wzory, jakie tworzył pan Deveric, trzeba dostrzegać rzeczy, których nie widzą oczy zwykłego śmiertelnika. Chociaż zerknąłem tylko pobieżnie na pierścień, który odrysowałaś, uderzyła mnie wierność szczegółów. Udało ci się przenieść na skórę całą złożoność poskręcanych splotów. I nie tylko skopiowałaś powikłany ornament, ale zdołałaś odnaleźć wzór będący sercem pierścienia.

– Ten pierścień ma wzór, nie musiałam niczego odnajdywać – odparła, zdejmując wstążkę z szyi.

– Mogę? – Emith pochylił się i dotknął pierścienia. Asystent Deverica pachniał miętą i pigmentami. – Ja w tym klejnocie nie widzę żadnego wzoru – powiedział cicho, obracając złoto w dłoni. – Widzę wyłącznie przypadkowy zbiór lśniących włókien. Kolejne warstwy metalu ułożone są chaotycznie. Ty patrzysz nań i dostrzegasz wzór. Co więcej, przenosisz go na papier. Kiedy patrzę na twój rysunek, widzę pierścień twoimi oczami – widzę ten sam wzór, który ty zobaczyłaś – gdy jednak spojrzę bezpośrednio na złoto, ujrzę bezładną plątaninę linii. – Puścił pierścień, który zwisał luźno na wstążce.

Tessa poczuła się nagle wyczerpana. Nie wiedziała, jak zachować się wobec niedawno usłyszanych wiadomości. Emith mówił z przekonaniem, to nie ulegało wątpliwości, ale nie znaczyło też wcale, że ma rację.

– A gdybym wymyśliła ten wzór? Narysowała coś, co w rzeczywistości nie istnieje? Po czym byś poznał różnicę?

Uśmiechnął się z delikatną reprimendą.

– Takie rzeczy się wyczuwa, panienko. Nie wymyśliłaś tego wzoru ani nie wyrysowałaś go z niechęcią. Przez ułamek sekundy, kiedy dotykałem pierścienia, niemal zrozumiałem, do czego zmierzałaś.

– Pamiętaj, moja droga, słuchaj uważnie Emitha. Mój syn wie wszystko na ten temat. – Staruszka stuknęła pustym kubkiem o poręcz krzesła i świdrowała ich wzrokiem. – Napiję się jeszcze kapkę tego ario, Emicie. Byłoby niegrzecznie, gdybym pozwoliła, żeby nasz gość pił wino sam.

Rumieniąc się przy słowach matki, Emith z radością powitał wymówkę, by czmychnąć od stołu. Wybiegł na podwórko, gdzie studziła się beczułka ario.

Tessa wzniosła swój kielich w stronę jego matki, na co staruszka odpowiedziała podobnym gestem z iście królewskim dostojemstwem, po czym znów zamknęła oczy.

Bębniąc palcami po drewnianym blacie stołu, Tessa rozważała słowa Emitha. Dostrzegła wzór w pierścieniu, co do tego miała rację. Przede wszystkim z tejże właśnie przyczyny zapragnęła go skopiować – aby odczytać znaczenie tego, co zobaczyła. Przez całe życie dostrzegała wzory w każdej napotkanej rzeczy: w wieńcu z kwiatów, krzesłach zsuniętych pod ścianę w sali koncertowej, samochodach na jezdni, ubraniach w szafie, dachówkach, okładkach książek, poszewkach na poduszki, mapach. W dzieciństwie uwielbiała malować

przeróżne przedmioty, ale z czasem przestała to robić. Po prostu wyrosła z tego. A może już wtedy bała się *tinnitusa!*

Emith otworzył drzwi, wpuszczając do środka chłodne, nocne powietrze.

Tessa zadrżała.

Gdy tylko wszedł do kuchni, odziana w rękawiczkę dłoń wychyłała z ciemności i złapała się futryny. Coś mokrego ściekło na podłogę z jednego z palców. W chwilę potem w progu pojawił się Ravis.

– Dobry wieczór – rzekł, kłaniając się wpieryw matce Emitha, później Tessie i Emithowi.

– Mam nadzieję, że nie spóźniłem się na kolację? – Zauważywszy spojrzenie Tessy utkwione w rękawiczkę, zdjął ją czym prędzej i schował do kieszeni. Mimochodem rozmazał butem kroplę, która spadła na ziemię.

– Podejdz no do ognia, panie Ravisie – rzekła starowinka. – Emith należy ci zaraz zupy z wołowego szpiku i kubek ario.

Ravis podszedł do starszej pani i pocałował ją w oba policzki.

– Zupa z wołowego szpiku! Dalibóg, jest pani jasnowidzem! Przez cały wieczór tylko o niej myślałem. Proszę wskazać właściwy ronderek, a ja już sobie poradzę. – Zwracając się do Emitha, dodał:– Dawaj tu ten dzban, przyjacielu, bo chcę napełnić kubek twojej matki.

Staruszka pałającymi oczyma wodziła za Ravisem, który przejmował dowodzenie w kuchni: rozlewał wino, wrzucał drewno na ogień, smakował sosy i czarująco się uśmiechał.

Ani Emith, ani jego matka nie zauważyli, jak szybko unosiła się pierś gościa, kiedy mówił; uwadze ich uszła również cienka strużka potu na czole i bordowa plama u kołnierza koszuli. Tessa zobaczyła wszystko. “Szczegóły” – pomyślała, uśmiechając się cierpko.

Ravis zaproponował toast za zdrowie matki Emitha, później drugi za jej gotowanie i jeszcze jeden za pomyślnie spędzoną noc. Tessa nie rozumiała, do czego on zmierza, dopóki nie popatrzył pod światło na pusty słój i nie powiedział:

– Cóż, chyba go opróżniliśmy. Skoczę na podwórko i szybko uzupełnię braki. Tesso, możesz mi poświecić? Po zjedzeniu przepysznej zupy z wołowego szpiku posiadam siłę dziesięciu ludzi i zdolności umysłowe całej uczelni wypełnionej mędrkami, lecz ciemności mój wzrok nie przebijają. – Uśmiechnął się ujmująco do matki Emitha, która odwzajemniła uśmiech.

– Może ja napełnię słój, panie Ravisie – zaofiarował się Emith, postępując krok do przodu.

– Nie chcę o tym słyszeć, przyjacielu. Już się dosyć napracowałeś. – Ravis przysunął krzesło. – Usiądź sobie wygodnie i pozwól, że teraz ktoś inny ciebie z kolei obsłuży. – Urok Ravisa podziałał na Emitha, który usiadł posłusznie. – To co, idziemy, Tesso? Pokażesz mi, gdzie jest beczka.

Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, odwrócił się do niej i powiedział:

– Więcej nie przyjdę tu na noc, bo to zbyt niebezpieczne. Trzech harrarów Izgarda śledziło mnie od domu Marcela. Dwóch udało mi się zgubić, ale trzeci... – dotknął wybrzuszenia na koszuli, gdzie ukrywała się mokra rękawiczka – ...sprawił mi nieco kłopotu, zanim ostatecznie zgubił mój ślad. Nie mogę ryzykować, że zjawią się tu za mną. Póki co, nic nie wiedzą o naszej kryjówce i jesteś tu bezpieczna. Nigdy nie wychodź z domu i upewnij się, że Emith i jego matka nie wygadają się przed kimś, że tu mieszkasz. Nie pokazuj się nikomu, kto podejrze do drzwi, zwłaszcza Marcelowi. Weź jeszcze to. – Wyciągnął zza pasa nóż i wręczył go Tessie.

Nie wiedząc do końca, co robi, sięgnęła ręką po broń. Dostała zawrotu głowy. Czyżby Ravis wyjeżdżał?

Palce Ravisa objęły jej dłoń zaciśniętą na pokrytej srebrem rękojeści. Jego szare oczy zlewały się z ciemnością nocy. Światło zawieszony nad drzwiami oświetliło bliznę, rzucając cień na prawą połowę wargi.

– Nie wiem, jak długo mnie nie będzie. Muszę sformować i przeszkolić oddział żołnierzy dla Camrona z Thornu, a w chwili obecnej w Bay'Zell nie da się tego zrobić. Ale wrócę. Wrócę po ciebie i razem wyruszymy, by odkryć powód, dla którego się tu znalazłaś.

Skinęła głową jak oniemiałe dziecko. Czowała się idiotycznie, ale co mogła powiedzieć? Nie będzie się przecież sprzeciwiać. Ten człowiek nie miał wobec niej żadnych zobowiązań. Nic go nie zmuszało, by się nią opiekować.

Ravis pochylił się i pocałował ją w usta. Poczowała szorstką bliznę i miękkie wargi. Pachniał potem, krwią i winem jabłkowym. Objął ją ramieniem, lecz odsunął się po trzech sekundach.

Nie panując nad odruchami, ruszyła w jego stronę z otwartymi ustami. Opanowała się jednak zażenowana, a zarazem zadowolona, gdyż Ravis zdążył się odwrócić i niczego nie widział.

– Chodź – powiedział. Jego skórzany płaszcz trzeszczał, gdy nachylał się, by odszpuntować baryłkę. – Wracajmy do środka. Matka Emitha nie może się doczekać, kiedy wzniosę kolejny toast – tym razem za przyjazne rozstanie.

Nie chcąc wyskoczyć z jakąś głupią uwagą, Tessa w milczeniu podążyła za nim do mieszkania.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Każdego dnia o świcie główna atrakcja Bay'Zell mieściła się na targowisku rybnym. Człowiek mógł trafić tam po ciemku, nie korzystając z niczyjej pomocy, wskazówek czy znaków drogowych. Zapach był niczym palec wskazujący, a odgłosy klóących się, targujących, szczękających klatkami i ryczących śmiechem handlarzy stanowiły drogowskaz bardziej godny zaufania, aniżeli latarnia morska na skalistym wybrzeżu.

Na ogół Ravis nie przejmował się, jak wygląda wczesny ranek, lecz w porównaniu z innymi, ten okazał się ciepły i pogodny. Mewy krążyły i nurkowały na jaśniejącym niebie, a od wschodu wiała ożywcza, słona, pachnąca wodorostami bryza.

Ze swojego miejsca, to znaczy ze szczytu białych, marmurowych schodów prowadzących do Starej Świątyni, Ravis miał doskonały widok na cały bazar położony u jego stóp. Odkąd nową świątynię – wraz z jej strzelistymi iglicami, pokrytymi mosiądzem wieżyczkami strażniczymi i ozdobionym wstążkami kwarcu kamiennym murkiem – ukończono pięćdziesiąt lat temu, dziedziniec jej poprzedniczki objęły we władanie ryby. Ravis uważał, iż tak właśnie powinno być. Bądź co bądź obie świątynie utrzymywały się z podatków, jakie płaciło morze.

Patrząc na targowisko, wodził wzrokiem od kramu do kramu, od twarzy do twarzy, od dłoni do dłoni. Szukał. Zauważył w tłumie ciemnozieloną grzywę włosów Camrona. Mężczyzna stał obok sprzedawcy małży i jego rozlicznych koszyków, a dwóch członków straży przybocznej wmieszało się w ciżbę. Ravis jeszcze nie był gotowy na spotkanie. Chciał się najpierw upewnić, że bazar jest bezpieczny. Po ostatnim starciu z harrarami wołał zachować środki ostrożności.

Jeden człowiek śledził go od drzwi kamienicy Marcela. Dwaj następni dołączyli do swego towarzysza, kiedy uliczki się ścieśniły i znaleźli się w obskurnej dzielnicy. Pomny na przygodę z poprzedniego wieczoru, Ravis zdecydował, że rozsądniej jest czmychnąć, niż wdawać się w bójkę; zdołał zgubić dwóch prześladowców, by nagle znaleźć się w cieniu trzeciego. Walka trwała zadziwiająco krótko. Harrar był tylko dobrze wyszkolonym wojownikiem, nikim więcej. Nie powodowały nim śmiertelna żądza krwi, błyskawiczne odruchy czy świadomość, że jeden z walczących musi ponieść śmierć. Ravis wątpił, czy i w tym przypadku posłużono się magią, by zmienić tego człowieka, który jednak – raz ugodzony w ramię – uciekł bez namysłu. Ravis po tym wypadku, choć dopisało mu szczęście, miał się tym bardziej na baczności.

Znał Izgarda. Jeśli król Garizonu nie zastosował swojej nowej sztuczki przeciwko niemu, to z pewnością zastosował ją w dużo straszniejszym celu. Ile czasu upłynęło od koronacji:

trzy, cztery dni? Dość, by garizoriscy generałowie zaczęli się niecierpliwić i naciskać na króla.

Zagryzł wargę. Kiedy tak stał, rozglądając się po targowisku rybnym, wypatrując kogokolwiek, kto odważyłby się go szukać, daleko na wschodzie mogła rozpocząć się inwazja. To zabawne, ale jeszcze cztery dni temu wydawało mu się, że nie zobaczy więcej ani nie usłyszy Izgarda z Garizonu. Jego misja dobiegła końca, odebrał złoto i wynajął statek. Plany na niedaleką przyszłość zakładały, że będzie przesiadywać do końca wojny u boku czarnowłosej piękności w Miserico. Teraz wszystko uległo zmianie. Izgard wystąpił przeciwko niemu, Marcel go zdradził, a Camron z Thornu przyłożył mu nóż do szyi.

Tak przynajmniej sądził.

Istniało sto różnych sposobów na opuszczenie Bay'Zell i wątpił, czy Camron zna choć połowę z nich. Gdyby tylko zechciał, mógł ulotnić się z miasta jak kamfora. Spośród rybaków na targowisku nie tylko Pegruff był mu winny przysługę; bez trudu mógł przepłynąć się do Maribane lub Balgedisu, z wielu jednak powodów postanowił pozostać w Raize.

Po pierwsze, z powodu złota.

Po drugie – Izgard polował na jego życie.

Nie zapominał też o kobiecie z niemal czerwonymi włosami i upartym charakterem.

Rzucił na bazar ostatnie spojrzenie i zszedł ze schodów. Jeśli na targowisku zaczęli się harrarzy, musieli pochować się do beczek wraz dorszami i makrelami, gdyż stał na schodach przeszło godzinę i nie spostrzegł niczego podejrzanego.

Po zejściu na dół uderzył go w nozdrza dojmujący fetor, by nie użyć cięższego słownictwa. Stoły uginały się od ryb i soli, a mężczyźni z twarzami wysmaganymi na wietrze i pokrytymi pancierzem – nie mniejsze miały trzymane w klatkach kraby – krzyczeli do przechodniów, wychwalając pod niebiosa swój towar. Żaden dorsz nie był tu tylko dorszem, ale dorszem “białym, bez ości i w sam raz dla chorej babci. Tak świeżym, że wręcz sam wskakiwał do pieca”.

Camron już z daleka wypatrzył Ravisa, chociaż żaden z jego gwardzistów nie zauważył najemnika. Obaj dryfowali wraz z ciżbą, a ich uwagę rozpraszał hałaśliwy rozgardiasz panujący na bazarze. Niczego nie usprawiedliwiał fakt, że ładniutka córka kramarza w czarnych lokach i z dołeczkami na policzkach pochylała się akurat, aby wyłuskać z beczki wątlusza. Gdy Ravis dowiedział się, że większość ludzi Camrona zginęła w tym samym dniu, w którym zginął jego ojciec, skłonny był przypuszczać, że pozostała przy nim garstka mniej butnych żołnierzy. Nie czyniło to jednak całego przedsięwzięcia łatwiejszym i lepiej, żeby Camron poległ na sobie niż na słabo wyszkolonych żołnierzach, którzy nie potrafili nawet w tłumie zachować zimnej krwi.

Ravis przez cały czas zaciskał dłoń na trzonku noża – nowego, gdyż stary oddał Tessie w nocy na podwórku Emitha. Ten nie posiadał grawerowanego ostrza ani rękojeści wysadzanej srebrem, ale Ravis nie dbał o podobne szczegóły. Częstka jego istoty wciąż uważała

romantyczne gesty – jak oddanie kobiecie w ciemności nocy noża wartego pięćdziesiąt koron – za coś wartego zachodu. Tessa mogła obronić się każdym z wielu noży należących do matki Emitha, ale Ravis czuł się lepiej, gdy wiedział, że dał jej własny. Nie chciał, żeby coś złego przytrafiło się Tessie podczas jego nieobecności.

– Hej, Ravisie – zawołał Camron z Thornu. – Widzę, że dla ciebie świt zaczyna się o wiele później niż dla innych.

Ravis uśmiechnął się. Z przyjemnością zauważył, że Camron wygląda lepiej niż ostatnio; miał elegancko zaczesane włosy, wyszczotkowany płaszcz, a z palców, którymi gładził ostrze noża, znikła skrzepnięta krew. Widząc, jak dłoń jego współpracuje z bystrym okiem, Ravis zrewidował swoją opinię o tym człowieku: najwidoczniej Camron nie ufał swej straży bezgranicznie.

– Chodź za mną – rzekł Ravis, omiatając spojrzeniem tłumy.

Camron stanął u jego boku.

– Co się stało w nocy?

Camron zyskał w oczach Ravisa dodatkowe punkty. Człowiek ten był na tyle bystry, by zgadnąć, że za ostrożnością najemnika kryje się jakiś ważny powód.

– Trzech harrarów Izgarda śledziło mnie po wyjściu od Marcela. Przysporzyli mi trochę kłopotów. Nic wielkiego, ale chyba powinienem wyjechać z Bay’Zell. Dopóki się stąd nie wyniosę, Izgard będzie przysyłał ciągle nowych ludzi i prędzej czy później skończę w piachu.

– Wszyscy skończymy kiedyś w piachu – odparł Camron ostrym tonem. Lewą ręką dał znak gwardzistom, żeby poszli za nimi.

Ravis wołał nie komentować tej uwagi. Przeciskając się pomiędzy beczkami pełnymi miotających się homarów i tackami uginającymi się od krabów kłapiących szczypcami, powiedział:

– Musimy się spieszyć. W Bay’Zell nie można zbierać i szkolić ludzi. Potrzebny mi spokojny zakątek, gdzie nie będę się obawiał, że ktoś dźgnie mnie w plecy. Jakies zaciszne miejsce z ziemią i barakami do dyspozycji, najlepiej gdzieś wzdłuż Rzeki Chyżej.

Camron skinął głową.

– Jak daleko w górę rzeki?

– Gdziekolwiek między Runzy a Gorntem. Chcę łodziami dostarczać ludzi i uzbrojenie, mieć oko na wydarzenia w Bay’Zell, a mimo to być dostatecznie blisko Gór Działowych, aby móc wykonać niespodziewany wypad.

– Mój ojciec posiada... – Camron poprawił się: – Ja posiadam niewielki majątek na północ od Runzy. Znajdziesz tam dosyć ziemi i wiele zabudowań, które można przerobić na baraki. Rzeka Chyża przepływa przez posiadłość sąsiadującą z moją od wschodniej strony.

– Jak długo tam się jedzie?

– Trzy dni. Dwa, jeśli po drodze zmienia się konie.

– Nieźle.

Tuż przy końcu targowiska, gdzie sprzedawano solone i wędzone ryby, Ravis zatrzymał się, by kupić garść wędzonych śledzi. Począł, aż sprzedawca podgrzeje na niewielkim piecyku przepołowione i pozbawione ości rybki, po czym poprosił, żeby porcję podzielono na dwie części. Sprzedawca usłużył z radością.

– Dużo soli i pieprzu – zaznaczył Ravis, patrząc na rybki zawijane w liście wodorostów. – Chcę też na wierzchu trochę świeżego masła.

Sprzedawca uklonił się z entuzjazmem, zadowolony, iż trafił mu się tak wybredny klient.

– Czy zechce pan nieco szczypiorku i pietruszki?

Ravis, wodząc palcem wzdłuż blizny, zastanawiał się przez krótką chwilę.

– Tylko pietruszki. Szczypiorek zabija aromat dymu.

– Pan wie, co to wędzona rybka – zauważył właściciel kramu, podając Ravisowi dwa zawiniątka i kłaniając się z pasją.

Ravis zapłacił mu i podziękował. Obróciwszy się na pięcie, kiwnął palcem w stronę gwardzistów Camrona.

– Panowie – powiedział, kiedy się zbliżyli – pozwoliłem sobie kupić wam śniadanie. – Z uśmiechem wręczył każdemu porcję oblaną masłem rybek.

Gwardziści spojrzeli niespokojnie na Camrona, ale zniewalający zapach kazał im wyciągnąć ręce i przyjąć ofiarowany poczęstunek.

Camron nie wyglądał na uszczęśliwionego.

Ravis zignorował go, nie przestając uśmiechać się do dwójki żołnierzy.

– Poczekajcie tu sobie, zjedzcie smaczne rybki, łyknijcie piwa – pierwszemu z gwardzistów przy tych słowach wsunął do ręki srebrną monetę – a ja i Camron wrócimy, nim się spostrzeżecie. Musimy przedyskutować pewną sprawę.

– Ależ panie... – zaczął pierwszy żołnierz.

– Wszystko w porządku, Scrip – wtrącił się Camron. – Rób, co ci każe. Wrócę za godzinę.

Obaj gwardziści skinęli głowami. Jeden z nich zdążył już wypchać usta śledziami.

Ravis uklonił się grzecznie obu żołnierzom, pomachał dłonią sprzedawcy rybnych zakąsek, po czym wyprowadził Camrona z targowiska.

– Może mi wreszcie wyjaśnisz, po co ta cała maskarada? – zapytał Camron, kiedy mijali kilka zakrytych pasażów, prowadzących do zachodniego portu.

– Twoi ludzie działają mi na nerwy. – Pod butami Ravisa chrzęściły muszelki i kryształki soli. – Równie dobrze moglibyśmy mieć na ogonie miejskiego obwoływacza z dzwonkiem. Dwie utarczki z harrarami w ciągu dwóch dni to dla mnie wystarczająca dawka. Chcę by moja szyja pozostała w jednym kawałku.

Po dotarciu do portu Ravis wyrwał się z tłumu drepczącego po nabrzeżu i ruszył w kierunku grupki rozchwianych chatynek stojących na brzegu mola.

– Ty też miej oczy szeroko otwarte. To, że Izgard nie zabił cię tej samej nocy, podczas której zamordował twojego ojca, nie oznacza wcale, iż nie zmieni zdania. Gdy tylko się dowie, że knujesz coś przeciwko niemu, wyśle harrarów, żeby dokończyli dzieła.

Camron spojrział na Ravisa. Przeczesał dłonią włosy.

– Nie lękam się Izgarda ani jego ludzi. Jeśli nadejdzie, nie będę się chował pod pierzyną jak dziecko w strachu przed ciemnościami.

Po raz pierwszy Ravis przyjrzał się Camronowi w świetle dziennym i musiał ze zdumieniem przyznać, że wygląda o jakieś pięć lat młodziej niż w mdłym blasku lampek w domu Marcela. Zamierzał odpowiedzieć, że tylko głupiec nie boi się Izgarda z Garizonu, lecz zamiast tego rzekł:

– Wiesz, że pomyśli, iż polujesz na jego koronę?

– Niech sobie myśli, co chce. Mój ojciec nigdy nie ubiegał się o tron Garizonu. Ja też nie będę. – Camron podjął marsz w stronę drewnianych chat. – Nie chodzi mi o przejęcie władzy. Chcę dokonać zemsty.

– A więc – rzekł Ravis, dotrzymując mu kroku – Izgard nie przeszkadzał ci, zanim nie zamordował twojego ojca?

Camron zacisnął pięści.

– Chęć obalenia kogoś z tronu nie zawsze pokrywa się z dążeniem do władzy. Ojciec miał prawo do Garizonu tak samo – niektórzy mówią, że nawet bardziej – jak Izgard. Berick z Thornu był drugim kuzynem starego króla. Jego krew była równie błękitna, co krew Izgarda, mimo to nigdy nie zabiegał o władzę, ponieważ pragnął jedynie pokoju w Garizonie.

– Postąpił rozsądnie, nie da się ukryć. Bardzo wątpię, czy poczciwy lud Garizonu zechciałby tolerować na swym tronie bohatera spod Wiernej Góry. Ilu Garizończyków poległo w tej bitwie? – Ravis mówił lekkim tonem, udając ignorancję w sprawach, w których orientował się aż nazbyt dobrze.

Camron odwrócił się błyskawicznie i jego pięść wylądowała na szczęce najemnika. Mimo że Ravis spodziewał się takiego przebiegu wydarzeń – człowieka wystarczy odpowiednio podjudzić, a zawsze uderzy – zaskoczyła go siła tego uderzenia. Nie zatoczył się rzecz jasna na ziemię, ale przed oczami zobaczył gwiazdy.

Dwie starsze panie w czarnych bonetach i szalach, które przypadkiem znalazły się w pobliżu, pierzchły z nabrzeża niby mrówki wystraszone płomieniem świecy. Doker z długimi bakami zatrzymał się i założył ręce na piersi, ciekawy rozwoju wydarzeń. Skoro Ravis nie kwapił się do riposty, mężczyzna splunął na deski i ruszył swoją drogą.

– Nie wspominaj przy mnie o Wiernej Górze! – wykrzyknął Camron, z pałającymi oczami i kurczowo zaciskając pięści. – Nie masz pojęcia, przez co mój ojciec przeszedł u jej stóp i jak do końca życia śniła mu się po nocach. Walczył, bo musiał – któżby go wyręczył? Przysięgał przecież wierność raizyjskiemu królowi. Nie szukał władzy. Zrzekł się tronu i wszyscy o tym wiedzieli. Nie interesowały go rządy w Garizonie.

Smak krwi na języku obudził w Ravisie wspomnienia. Przypomniał mu się dzień sprzed siedmiu laty, kiedy dolną wargę przecięto mu na pół. Czuł wtedy podobną gorycz. Wycierając kąciki ust, powiedział:

– Masz rację. Niepotrzebnie wspominałem o Wiernej Górze. Wybacz. – Pomyślał nagle, że nie warto wszczynać bójki.

Camron spojrział na niego uważnie swymi szarymi oczami. Wzgarda, oskarżenie i gniew nie zdołały zamaskować smutku. Ravis dostrzegł go i rozpoznał: znał jego smak. Po tym wszystkim, co wówczas przeżył i czego później doświadczył, nadal czuł go wyraźnie.

Zmierzył postać Camrona. Ich ojcowie zginęli nagłą śmiercią, pozostawiając synów sam na sam z walkami, które musieli stoczyć. Może nie różnili się aż tak bardzo?

Wysoko, ponad głowami, mewy skrzeczały na błękitnym, bezchmurnym niebie. Morze skrzyło się hen, po horyzont, gdzie rozplywało się, tworząc linię koloru indygo. Zatokę upstrzyły statki wszelkich rozmiarów: żagle tłuste niczym spalone koty, dzioby błyszczące od wosku, kalejdoskop olinowań. Wschodnia bryza, czyste niebo i rojne morze: typowy poranek w Bay'Zell.

Kątem oka Ravis dostrzegł jakiś ruch i przeniósł wzrok na Camrona. Czyżby ten chciał mu jeszcze raz dosolić? Zacisnął dłoń w pięść, lecz niepotrzebnie: Camron wyciągał rękę w przyjacielskim geście.

Ravis zapanował nad obronnym odruchem, zawstydzony. Nawet jeśli Camron zauważył, że zacisnął pięści, nie dał nic po sobie poznać, spoglądał tylko na Ravisa szarymi jak rteć oczami.

– Przyjmuję twe przeprosiny, Ravisie z Burano. Przyznaję nawet, że mnie trochę poniosło.

Cichy, zaprawiony goryczą wewnętrzny głos powiedział Ravisowi, że prawdopodobnie w ciągu całego życia nikt nie odmówił podania ręki Camronowi z Thornu; że za każdym razem, kiedy ją wyciągał – przeświadczony, iż czyni rzecz szlachetną z czystych pobudek – ludzie nie zwlekali z wyciągnięciem swojej. Jedna strona natury Ravisa pragnęła zerwać z tradycją, zlekceważyć go, odrzucić propozycję, naruszyć fundament owej niezłomnej, ślepej dumy. Druga strona – nie ta, która ujawniła się, kiedy poczuł smak krwi w ustach, ale ta mniejsza, starsza, potwornie uszkodzona strona, którą obudził ze snu widok smutku w oczach Camrona – kazała mu wyciągnąć dłoń. Jaką korzyść mogli osiągnąć z przysparzania sobie nawzajem dodatkowego bólu?

Ravis uścisnął wyciągniętą rękę, wmawiając sobie w duchu, że jest mu potrzebne złoto tego człowieka i sam ten powód wystarczy, żeby nie zrażać go do siebie. Niemniej jednak, gdy palce Camrona owinęły się wokół jego nadgarstka, a szare oczy spojrzały nań poważnie, niewielkie kłamstewko, które przed chwilą wymyślił, poszło w zapomnienie. Jakże przyjemny mógł być czyjś przyjacielski uścisk, a także świadomość wspólnych celów i przeznaczenia każącego walczyć ramię w ramię.

Strzęp wspomnienia, zwiewny niczym skrawek istanijskiego jedwabiu, lekki jak dotyk długich paznokci kobiet rozplątujących kokony, przesączył się przez jego myśli. Dwóch młodych braci, tulących się do siebie z szaloną, braterską miłością, wprowadzenie do krypty śnieżnobiałego ciała ojca. “Malray i Ravis z Burano – szeptali ludzie do wtóru z zawrozczeniem przybranych w szare szaty kapłanów. – Chyba świat dotąd nie widział tak oddanych sobie braci”.

Naraz Ravis odsunął się od Camrona. Okazało się, że nie tak łatwo zerwać nici wspomnień. Choć nie obejmował już palcami nadgarstka szlachcica, nadal czuł dym przyprawionych mirrą świec, które płonęły w krypcie, oraz ciepłe ciało brata. Wciąż smakował gorzkie łzy Malraya.

Camron przemówił pierwszy i chociaż jego słowa wydały się Ravisowi obce i odległe, zrozumiał ich wagę i uświadomił sobie, ile znaczyło to dla dumnego lorda, że może wypowiedzieć je na głos.

– W ciągu tych wszystkich lat, kiedy byłem przy ojcu, nigdy nie wspominał o swoich roszczeniach do korony Garizonu. Ani razu, uczynkiem czy słowem, nie zachęcił mnie, bym sam z takimi roszczeniami wystąpił. Nie poluję na koronę, chcę się tylko pozbyć Izgarda. Z początku nienawidziłem go wyłącznie za to, kim jest i do czego zmierza. Obecnie również za to, co zrobił. Izgard z Garizonu odważył się podnieść rękę na niewłaściwą osobę. Nieopatrznie zamordował ojca, gdy tymczasem powinien zlikwidować prawdziwe zagrożenie – syna.

Słowa te zabrzmiały wyraźnie i przenikliwie w przejrzystym powietrzu pięknego poranka w Bay’Zell, a także nader uroczyście na bezchmurnym tle nieba. Wsłuchując się w ich brzmienie, Ravis przepędził ostatnie skrawki wspomnień z dzieciństwa. Nic nie było ani już nie będzie takie, jak dawniej. Nie tylko on spośród stojących w tym momencie na molo ludzi musiał zmagać się w życiu z bólem i rozpaczą.

– Chodźmy! – odezwał się, wskazując na skraj mola. – W tamtej chatce pewien człowiek tylko dlatego nie śpi, że czeka na nas, a za każdą minutę dzielącą go od łóżka będziesz musiał zapłacić złotem. – Ruszył rażno, a Camron pomaszerował za nim w odległości dwóch kroków.

Segwin Ney potrząsnął swą wielką, baryłkową głową.

– Ravisie, czyżbyś na pewno wspominał o świcie? – Zdziwioną wiotką dłonią, jak na człowieka bezsprzecznie grubego, zastukał w futrynę okienną, wskazując na czyste, błękitne niebo. – A to jak byś nazwał?

Ravis wzruszył ramionami.

– Twoim zarobkiem.

Dźwięk, który mógł oznaczać zarówno zadowolenie, jak i rozgoryczenie, wydobył się spomiędzy białych warg Segwina. Wyćwiczonym ruchem zatrasnął i zaryglował okiennicę, blokując dostęp promieni słonecznych. Człowiek ten bowiem nie przepadał za światłem

dziennym. Zarzekał się, że niszczy jego zdolność nocnego widzenia, nadszarpuje unikalny talent, rozwijany i starannie pielęgnowany przez połowę życia, dzięki któremu mógł demaskować wszelkie szachrajstwa, jakie zdarzają się po zmroku.

Segwin Ney był oficerem portowym w Bay'Zell, choć imię jego nie widniało na żadnym spisie, a zawód oficjalnie nie istniał. Segwin obserwował nocą port. O zmierzchu każdego wieczoru otwierał okiennice, sadowił się wygodnie w wymoszczonym poduszczkami fotelu, przykładając do oka specjalnie dla niego wykonaną lunetkę i wlepił wzrok w morze. W odróżnieniu od szeryfów, urzędników portowych, poborców podatkowych i pozostałych funkcjonariuszy, których główne zadanie polegało na doглядaniu porządku nad zatoką, Segwin nie zamierzał wyłapywać przemytników, niechętnych płaceni cła handlarzy i ludzi sprzedających swe towary na czarnym rynku, jak też znanych przestępców, którzy chcieli dostać się do miasta oraz ściganych rabusiów, którzy marzyli by się zeń wydostać. Praca jego obejmowała przede wszystkim prowadzenie dziennika.

Starszyzna kupiecka Bay'Zell zdawała sobie doskonale sprawę, że czasem lepiej jest zignorować pojawienie się szmuglera lub zamorskiego kupca i zyskać dzięki temu narzędzie przetargowe, którego kiedyś w przyszłości będzie można użyć, niż pojmać go, kazać mu zapłacić wszelkie należne cło za szmuglowane towary lub ukarać za bezprawną działalność, czyniąc przez to z przyjaciela i dobroczyńcy miasta czujnego, zjadłego wroga.

Rzecz jasna, takie światłe i liberalne poglądy nie spodobałyby się ciężko pracującym rodzimym kupcom i urzędnikom portowym, a tym bardziej samemu suzerenowi Raize, który – będąc panem miasta – gromadził w swoim skarbcu pokaźną część dochodów czerpanych z portu. Zatem całe przedsięwzięcie, łącznie z Segwinem Ney, utrzymywano w ścisłej tajemnicy. Jeśli ktoś się o coś pytał, Segwin był zwykłym pijaczyną, którego rzuciła żona, gdyż nie mogła dłużej znieść faktu, że przesypiał całe dni. Aby uwiarygodnić tę fikcję, pod jego domem zawsze wałały się puste antałki po piwie, beczułki po ario i flaszki po wódce.

Mimo że w chatce przy zamkniętych okiennicach panował mrok, Segwin nie zamierzał zapalać świecy. Cieszył się ze swej przewagi nad gośćmi: wyraźnie dostrzegał rysy ich twarzy, podczas gdy oni widzieli ledwie rozmazaną sylwetkę. Zawsze pomagało mu to w dobijaniu targu i choć w mieście było kilka osób równie sprytnych, zręcznych i zaradnych, co Segwin, żaden nie obstawał tak mocno przy swoim.

– Panowie – odezwał się z krótkim, zniecierpliwionym westchnieniem – najpierw nie mogę przez was spać, a teraz jeszcze muszę czekać. Czyżbym miał przez to rozumieć, że pragniecie zrekompensować mi moje poświęcenie?

– Poświęcenie? – zdziwił się Camron. – Jak to, nie widzę żadnych...

Ravis uciszył go lekkim kuksańcem w bok.

– Oczywiście, że zamierzamy ci wszystko zrekompensować, Segwinie. Mój przyjaciel zapewnił, iż wysoce sobie ceni twój czas i osobiście dopilnuje, że do każdej ceny, jaką uzgodnimy za twoje usługi, dorzuci nawiązkę: sztukę srebra za każdą minutę od świtu.



Segwin skinął głową zadowolony. Z jakiegoś powodu blade fałdy podbródka były jedyną częścią jego ciała, która odbijała słabe światło. Reszta twarzy pozostawała czarną maską.

– Proszę, mówcie.

Ravis skupił wzrok na tłustym podbródku.,

– Ja i mój przyjaciel potrzebujemy twojej cennej pomocy. Ludzie, ekwipunek, broń: to co zwykle. Tylko że tym razem trzeba to wysłać w górę rzeki, do Runzy. Wyjeżdżam z Bay'Zell, toteż nie mogę nadzorować załadunku i dokonywać wyboru ludzi. Zdaję się całkowicie na ciebie i Thrice'a.

Znów rozległ się dźwięk mogący oznaczać bądź to zadowolenie, bądź zniecierpliwienie. Zakołysały się podbródki.

– Thrice jest ostatnio przepracowany.

Thrice był pomocnikiem Segwina. Wszelkimi lewymi interesami, które przynosiły Segwinowi dodatkowy dochód, takimi jak sprzedaż skonfiskowanych towarów, szantaże, przymykanie oczu, handel bronią i najemnikami (a czasem też niewolnikami), całą tą pracą w terenie zajmował się zaufany człowiek. Ravis nigdy nie rozmawiał z Thrice'em – pokłonił mu się tylko kilka razy z pewnej odległości, ponad skrzyniami pełnymi istanijskich hełmów lub głowami łuczników z Maribane – ale sądząc z jakości broni i ludzi, których wybierał, człowiek ten z pewnością wkładał serce w wykonywaną pracę. Niektórzy z najlepszych najemników Ravisa zostali osobiście wyszukani przez Thrice'a z Culling.

– Chociaż zdaję sobie sprawę, że obaj z Thrice'em jesteście na równi zajęci, nie mam wątpliwości, że zechcecie nam pomóc. – Ravis szturchnął Camrona. Słowa te należało poprzeć jakąś obietnicą.

– Będziemy niewymownie wdzięczni – rzekł Camron.

– Co wiąże się z hojnością – dodał Ravis na wszelki wypadek. Segwin stał przez chwilę zupełnie nieruchomo, po czym westchnął głęboko.

– Bardzo dobrze. Chcecie ludzi? Uzbrojenie i ekwipunek? Zobaczą, co da się zrobić.

– Szukam strzelców – najlepiej łuczników, ale mogą też być kusznicy. Prócz tego będę potrzebował przynajmniej pięć tuzinów dobrych cisowych łuków i dwa razy tyle pik z Drokho. Tylko pamiętaj, nie wyrabianych na równinach, ale w górach, z szerokimi grotami i hakami. Dalej – nie potrzebuję blaszanych zbroi, a jedynie uniformy z utwardzanej skóry...

– Ze skóry? – przerwał mu Camron. – Chcesz posłać tych ludzi na śmierć?

W pierwszym odruchu Ravis zamierzał zbesztać Camrona: nie mieli teraz czasu na omawianie taktyki. Właśnie zawierał umowę. Powstrzymał się jednak od wybuchu, zapanował nad wyrazem twarzy (świadomy wszystko widzącego oka Segwina) i odpowiedział bardzo spokojnie:

– Każdy oddział, jaki zbieram, musi się sprawnie poruszać. Widziałem zbyt wielu umierających rycerzy w pełnych zbrojach, i którzy po stoczeniu się z siodła nie potrafili stanąć na nogi. A wrogowi potrzeba ledwie ułamka sekundy na zadanie śmiertelnego ciosu.

– Przynajmniej będą chronieni, gdy znajdą się w takich opałach.

Ravis powoli tracił cierpliwość.

– Człowiek w skórzanym kaftanie spadnie z konia i szybko wskoczy nań z powrotem, zanim ktokolwiek zauważy, że leży na ziemi. Szybkość i zręczność – to się liczy w polu. – Aby zakończyć, dyskusję, zwrócił wzrok na podbródki Segwina i zapytał: – Ile złota potrzebujesz na początek? – Zachował się trochę niedelikatnie – w normalnych okolicznościach podszedłby do negocjacji w zupełnie inny sposób – ale musiał jakimś sposobem powstrzymać język Camrona.

Pytanie odniosło pożądany skutek. Ciało Camrona zwiotczało gdy pochylał się, by lepiej usłyszeć odpowiedź.

Segwin zachowywał się, jakby nic nie zaszło. Z miejsca położonego tuż nad podbródkami wydobyło się kilka bełkotliwych dźwięków. Głowa kiwnęła się parę razy, palce zabębniły o drewno, i a podbródki nieco się zapadły.

– Cóż, nie ręcę za tłum najemników, ale zrobię, co w mojej mocy. Co się tyczy reszty wyposażenia, nie powinno przysporzyć dużych kłopotów. Aczkolwiek Thrice jest bardzo zapracowany, a i ja uginam się pod brzemieniem obowiązków... – Segwin urwał, czekając na niezbędne słowa zrozumienia i współczucia. Ravis nie zwlekał z odpowiedzią:

– Za bardzo się nadwężasz, Segwinie. Nikt w Bay’Zell nie pracuje tyle, co ty.

Podbródki zatrzęszy się z – Ravis miał nadzieję – wdzięcznością. Upłynęła jeszcze chwila, po której Segwin przeszedł do rzeczy.

– To będzie kosztować pięćset koron. Dwieście pięćdziesiąt wezmę w depozycie, no i obiecane srebro za moje niewygody. Na zapłatę, którą przyjmę tylko w monecie, czekam do zachodu słońca. – Wstał. – A teraz, jeśli mi panowie wybaczą, muszę udać się na spoczynek. Przez was nie spałem dwie godziny. Sto dwadzieścia srebrników i nie mam zamiaru tracić ani minuty dłużej. – Podbródki skierowały się w stronę drzwi.

Wyczuwając, że Camron zamierza coś powiedzieć – zapewne zaprotestować co do ceny lub innych warunków umowy – Ravis zauważył głośno:

– Nawet przez myśl nam nie przeszło pozbawiać cię dłużej snu, Segwinie. Skoro wygląda na to, że wszyscy zgadzamy się co do ceny, proponuję pozostałe szczegóły omówić później. Po zmroku.

Negocjacje mogły zmusić Segwina do nieznacznego spuszczenia z ceny, ale zajęłoby to tyle czasu, że każdą kwotę oszczędzoną w złocie przewyższyłaby suma srebrników wydanych na opłacenie nie przespanego czasu tłuściocha. Prócz tego Ravis nie zamierzał oszczędzać pieniędzy Camrona, który – będąc jednym z najzamożniejszych ludzi w Raize – mógł ze spokojem przystać na ustalone warunki.

Camron nie odezwał się ani słowem, ale wnioskuje po sposobie, jakim jego dłoń szarpała włosy, nie był zachwycony.

– Widzimy się więc po zmroku, panowie, i ani minuty wcześniej. – Segwin Ney otworzył drzwi. Światło wpadające do chaty oślepiło Ravisa. Gdy jego wzrok przystosował się do nowych warunków, Segwin już zdążył wyprowadzić go za próg. Zanim wypowiedział pożegnalne słowo, zatrzaśnięto mu drzwi przed nosem.

– Pięćset koron! – wściekał się Camron, pojawiając się nagle w polu widzenia Ravisa. – Pięćset koron za skórzany rynsztunek, piki i najemników! Czyżbyś postradał zmysły?

Ravis był bardziej niż poirytowany faktem, że Camron wcześniej od niego otrząsnął się z szoku wywołanego nagłym wyjściem na słońce. Ruszył nabrzeżem w powrotną w drogę.

– Zapominasz o łukach.

– Łuki! Kuszniczy! Jaką szansę ma człowiek z łukiem w starciu z oddziałem ciężkozbrojnych rycerzy? – Mimo że Ravis szedł bardzo szybko, Camron bez problemu dotrzymywał mu kroku.

– Jestem pewny, że nie zapoznałeś się dotąd z maribańskimi łukami. Nie widziałem nigdy w życiu, by jakakolwiek broń tak sprawnie wyrzucała z siodła całe szeregi konnicy.

– Widziałem już łuczników w boju. Nadają się jedynie do tego, by zniszczyć podobne siły wroga: łucznicy zabijają łuczników.

– Nowe, długie łuki niosą na trzykrotnie dalszą odległość niż krótkie. Można z nich puszczać strzały o grotach, które przebijają stal. Na każdą strzałę wypuszczoną z kuszy przypadają dwie z długiego łuku. W dzisiejszych czasach łucznicy nie zabijają już tylko łuczników: powstrzymują szarże, przełamują linie obrony, wygrywają bitwy.

Kiedy doszli do głównej promenady, Ravis skierował swe kroki w stronę bazaru. Nie obchodziło go, czy Camron za nim podąża. Ten człowiek wykazywał podobieństwo do wszystkich raizyjskich możnowładców: każdy z nich wspominał świetlaną przeszłość, kiedy to rycerze w błyszczących zbrojach potykali się z innymi rycerzami w błyszczących zbrojach, a pospolity piechur lub łucznik napinający swój łuk w okopie nie wart był cięcia mieczem. Wojna stanowiła przysmak szlachty.

Izgard nie trzymał się dawnych reguł. Na to nie mógł sobie pozwolić ktoś, kto w obecnych czasach chciał przeważać losy bitwy na swoją korzyść.

Camron zrównał się z Ravisem na schodach prowadzących na bazar. Niektórzy straganiarze zaczęli powoli związać budy; schodzili, niosąc na głowach klatki, wymachując wiadrami, wypychając tuniki zarobionym groszem. Dzieci, kundle i mewy walczyły o ochłapy. Miotając się na pokrytych solą stopniach, wydzierały sobie nawzajem szprotki, witlinki, sercówki i pomniejsze małże. Łuski, muszle i pletwy pominięte przez tych padlinożerców miały zostać w nocy oskubane przez szczury.

Ravis słyszał, że Camron wzywa go, by się zatrzymał i porozmawiał z nim twarzą w twarz, ale nie miał najmniejszej ochoty wyjaśniać swojej taktyki walki człowiekowi, który nie próbował nawet słuchać. Wspinał się nadal po schodach, przepychając się przez ciżbę,

ciskając błyskawice spod swych ciemnych, drokheńskich oczu, tak że wszyscy prócz niedowidzących i lekkomyślnych uskakiwali mu co prędzej z drogi.

– Mówię ci, stój! – krzyknął Camron, szarpiąc tunikę Ravisa. Ten ostatni jednak uderzył kantem dłoni i ręka szlachcica odskoczyła.

– Mam to gdzieś.

– Tak? Lepiej, żebyś zważał na to, co do ciebie mówię. – Ravis wiedział, jak mocny cios zadał, lecz Camron nie zatrzymał się, żeby rozmasować rękę. Nadal mówił swym niskim, arystokratycznym, przepełnionym furją głosem. – Pracujesz dla mnie. To ja finansuję całe przedsięwzięcie. To ja decyduję, kto wejdzie w skład mojego oddziału, jak będzie wyglądał jego rynsztunek i którą taktykę walki obierzemy. Zamierzam wyprowadzić żołnierzy z Thornu i Runzy – wyćwiczonych rycerzy i świetnych jeźdźców. Dobry, przyzwoity zastęp, nie jakiś tam przypadkowy zlepek cudzoziemskich najemników i marnych piechurów. Owszem, zapłacę pięćset koron temu spaślakowi z nadętym podbródkiem, ale ostrzegam: nie chcę widzieć, słyszeć ani spotkać na swej drodze żadnego z ludzi, których sprowadzisz do Runzy. A już zupełnie nie wyobrażam sobie walki z nimi ramię w ramię. W boju chcę mieć przy sobie ludzi, na których będę mógł polegać, którzy nie zostawią na polu bitwy rannych żołnierzy i nie podwiną ogona przy pierwszych oznakach klęski. – Camron zrównał się z Ravisem. Patrząc mu z bliska w oczy, powiedział: – Wynająłem cię po to, byś pomógł mi dostać się w pobliże Izgarda, nie zaś po to, bym musiał wysłuchiwać twoich wskazówek co do prowadzenia wojny. Czy to jasne?

Ravis przygryzł dolną wargę. Wiele różnych odpowiedzi przychodziło mu do głowy – protesty, sarkastyczne docinki, słowne lekcje strategii – lecz ze wszystkich zrezygnował. Zbyt długo był płatnym żołdakiem, by gniewem szkodzić sobie w interesach. Camron nie był pierwszym człowiekiem, który przypominał mu kto jest jego zwierzchnikiem, i zapewne też nie ostatnim. Ten, kto nie odziedziczył ziemi ani bogactwa, powinien spodziewać się w życiu wielu rozmaitych panów. Dość wcześnie zrozumiał, że należy mówić i postępować zgodnie z oczekiwaniami, a niekiedy zagryźć usta (w jego przypadku bliźnę na wardze).

Camron pałał gniewem. Obrażono jego dumę, a niektórym z niepodważalnych przekonań rzucono rękawicę. Jeden dzień nie zdoła go nawrócić.

Błyskawicznym ruchem Ravis sięgnął pod płaszcz. Camron sprężył się, lecz szybko zauważył, że ten wyciąga jedynie rękawiczki. Tak wolno, że zakrawało to na obrazę, Ravis naciągał je na dłonie, upewniając się przy tym, że każdy palec dociera do samego dna, a skóra dokładnie przylega. Dopiero gdy uporał się z tym zadaniem, spojrzał Camronowi w oczy.

– Postąpię zgodnie z twoim życzeniem.

Camron nie napawał się swoim zwycięstwem, nie zmarszczył nawet brwi. Skinął tylko głową i podjął wspinalczkę schodami. Ravis ruszył w ślad za nim i razem wyszli na targowisko, gdzie dwaj gwardziści Camrona – nie zdążyli jeszcze obetrzeć tłustych ust,

pachnieli piwem i wędzonymi rybami – przybiegli co tchu, by obwieścić, że po mieście krąży pogłoska, jakoby Izgard przekroczył wschodnią granicę Raize.

– Co stało się wczoraj o świcie? Co żeś uczynił? – Izgarda z Garizonu nużył brak odpowiedzi. Robiło mu się niedobrze na widok skryby, który trzął głową i co chwilę wruszał ramionami. Generałowie naciskali, żeby wejść w głąb Raize. Chcieli zobaczyć plany. Poprowadzić armię. Walczyć.

– Już ci powiedziałem, panie. Wyrysowałem zwyczajny wzór, nic więcej. – Ederius wykręcał nerwowo poplamione purpurą palce.

Ściągnięta na grzbiecie dłoni przypominały ptasie szpony, Izgard mógłby przysiąc, że słyszy bicie serca, dobiegające spod zgrzebnej tuniki skryby.

W pomieszczeniu unosił się słaby zapach uryny: z nocnika wciśniętego pod kredens lub z łóżka zmoczonego w nocy. Izgard zwykle nie zauważał podobnych rzeczy – w tak wielkiej i zimnej twierdzy po zapadnięciu ciemności każdy wypróżniał się, gdzie popadnie, z rzadka wspinając się do latryny. Ederius jednak różnił się od nich pod tym względem. Ongiś był mnichem na Wyspie Namaszczonych, przestrzegał samodyscypliny i dbał o czystość swoją i pomieszczenia, w którym przebywał. Jednakże w tej chwili zarówno on, jak i skryptorium sprawiały wrażenie nieco zaniedbanych. Chociaż była pierwsza po południu, tylko jedno z wielkich okien zostało otwarte, by wpuścić trochę światła.

Niebo nad górami wypełniały pierzaste obłoki, które – z powodu porywistego wiatru – raz po raz przesłaniały słońce, skutkiem czego co jakiś czas chłodny cień zalegał na kilka minut. Kiedy promienie słoneczne po raz wtóry przebiły się poprzez zwały pierzastego puchu i padły na twarz Ederiusa – jak też na stół, garnuszki z pigmentami, pędzle, pióra i rozpoczęte dzieła – Izgard przyjrzał się uważniej dłoniom starca. Purpurowe plamy wyglądały inaczej, niż mu się początkowo zdawało. Składały się właściwie z dwóch odrębnych barw: czerwonej i niebieskiej. Błękit osiadł na czerwieni, w jednym miejscu przyciemniając ją, w drugim przeplatając się chaotycznie. Poocierana w niektórych miejscach skóra dłoni łuszczyła się, jakby skryba próbował najpierw zetrzeć czerwone plamy, a kiedy to nie pomogło, zamalował je błękitem.

Podeksycytowany, choć sam nie wiedział dlaczego, Izgard obliznął wargi. Wkroczył w smugę światła, tak że jego cień objął stół i skrybę. Szepnął:

– Chcę zobaczyć wzór, który wczoraj namalowałeś.

Spojrzenie Ederiusa przesunęło się z czerwono-niebieskich dłoni na króla.

– Wrzuciłem go do ognia.

– Dlaczego? – Przy tym słowie Izgard odetchnął białym pióropuszem pary, który dotarł aż do starca. Nie było zimno – może nieco chłodno – lecz oddech króla czasami tak właśnie się zachowywał: zmieniał się w płucach w coś zupełnie odmiennego. Ederius mrugał szybko, nie chcąc dopuścić łez.

– Po ukończeniu wzoru potrafiłem słoik z kwasem garbnikowym... Wszystko wylało się na kartę. Wzoru nie dało się uratować. Pergamin uległ zniszczeniu.

Izgard skinął głową.

– Rozumiem.

Ederius oczekiwał, że król jeszcze coś powie, lecz Izgard oparł się o brzeg stołu i pochylił do przodu. Po chwili uciążliwego milczenia skryba zabrał głos:

– Wybacz, panie. Nie miałem czasu do namysłu. Wszędzie był kwas. Bałem się, że przepali kolejne pergaminy i zniszczy nowe wzory, nad którymi pracowałem, a które mogłyby okazać się pomocne za kilka miesięcy...

Izgard wznosił palec wskazujący i zapadła cisza.

– Do którego ognia?

– Ja... nie rozumiem, panie. – Ederius nie potrafił ukryć strachu.

A miał się czego lękać. Jedna z kości nadgarstka trzasnęła cicho, gdy Izgard przechylił się jeszcze bardziej, przybliżając swą twarz do twarzy skryby.

– Do którego ognia wrzuciłeś pergamin? W tym kominku nikt nie palił od tygodnia.

Ederius zerknął w stronę dużego paleniska. Było zimne, czarne i dokładnie wyczyszczone.

– A może skorzystałeś z kominka w sypialni? – Wargi Izgarda wygięły się, jakby chciał się uśmiechnąć, ale to nie był uśmiech. – Czy mam tam pójść i przekonać się na własne oczy?

– Nie! Nie, panie – rzekł Ederius szybko, machając rękoma przed królem. Kropelka potu spłynęła z białego kosmyka włosów na skroni. – Dałem go jednej z pokojówek. Kazałem spalić.

Izgard uderzył pięścią w szczękę Ederiusa. Kłykcie zderzyły się z kością. Głowa skryby odchyliła się gwałtownie do tyłu, a podstawa czaszki stuknęła o oparcie krzesła, które zachwiało się na dwóch tylnych nogach. Izgard trzasnął dłonią w poręcz i krzesło z hukiem powróciło na swoje miejsce. Ederius poleciał do przodu i ponownie znalazł się w zasięgu króla.

– Gdzie wzór? – zapytał Izgard. Czuł wielką ochotę, żeby jeszcze raz dołożyć starcowi, zamiast tego zacisnął tylko rękę na poręczy krzesła. Na twarzy Ederiusa wciąż widniał ślad pięści i przez krótką chwilę Izgard zastanawiał się, od którego momentu bicie skryby stało się czymś normalnym.

Na szyi Ederiusa zadrgały mięśnie, jakby starał się zapanować nad kaszlem. Jedna jedyna łza wytoczyła się z prawego oka.

Izgard oderwał rękę od poręczy. Drzazga wbiła mu się głęboko w ciało i teraz z dłoni kapiała krew. Król nie czuł bólu. Sięgnął ręką do twarzy Ederiusa. Jakże stare i piękne oblicze miał skryba. Włosy nieskazitelnie białe. Kiedy przed pięciu laty spotkali się po raz pierwszy, dopiero zaczynały siwieć.

Gdy jego palce przejechały po policzku starca, Ederius skulił się i otworzył szeroko oczy, z trudem łapiąc powietrze. Izgard znieruchomiał. Czyżby wzbudzał strach w Ederiusie?

– Nie lękaj się – powiedział. – Już nigdy cię nie skrzywdzę.

Starzec zawahał się, spojrzął królowi w oczy, po czym pochylił się z rezygnacją. Plama na szczęce nabrała żywej, czerwonej barwy. Dotyk Izgarda był bardzo delikatny.

– Pamiętasz czasy sprzed mojej koronacji? Kiedy byłeś tylko ty, ja i stary Gamberon? Pamiętasz, jak byliśmy sobie bliscy, jak przysięgaliśmy pomagać jeden drugiemu? Jak łączył nas wspólny cel: umieszczenie mnie na tronie? Prawda, że to były dobre czasy? Ty, ja i Gamberon: dawniej przyjaciele i uczniowie, później pan i jego słudzy. Jakże tęsknię za tamtymi dniami, mój stary przyjacielu. Tęsknię za mądrością Gamberona i naszą szczególną zażyłością. Tęsknię za marzeniami, które snuliśmy w Weizach po zapadnięciu zmroku.

Przez cały ten czas, kiedy władca przemawiał, Ederius siedział jak skamieniały, poddając się dotykowi króla, ale nań nie reagując. Wyglądało na to, że nie tyle boi się poruszyć, co jest do tego fizycznie niezdolny. Jakby wpadł w trans pod wpływem mamrotania przebiegłej Cyganki lub sztuczek mistrza magii i teraz nie władał własnym ciałem.

Izgard uśmiechnął się promiennie do skryby, rozrzuwiony.

– Ach, cofnąć się do czasów, kiedy było nas tylko trzech! Jakie prowadziliśmy wówczas dyskusje! A jakie księgi wertowaliśmy! Łączyły nas więzy miłości, przyjaźni i wspólne zobowiązania. – Oblicze skryby pozostawało niewzruszone, a czerwień po uderzeniu pięścią wciąż jeszcze nie zbladła. Izgard z rozkoszą wodził palcami po miękkiej, starczej skórze. Dotyk wiele dlań znaczył. – Czy i ty tęsknisz do tamtych dni, Ederiusie? Tęsknisz za Gamberonem?

Pytania te musiały posiadać moc czarodziejskiego pocałunku. Cofnęły zaklęcie, które pętało skrybę. Ederius poruszył się, ale nie wstecz, tylko do przodu; pochylił głowę, by Izgard mógł dotknąć jego policzka całą powierzchnią dłoni. Jakby spijał z króla dotyk.

– Ja też tęsknię za tamtymi czasami, panie. I jeszcze nigdy nie tęskniłem tak bardzo za Gamberonem.

Druga łza zakręciła się w oku skryby. Izgard poczuł ją pod własną powieką. Oddychał wolno.

– Gamberon nie musiał umierać, prawda, mój stary przyjacielu? Nie musiał występować przeciwko mnie?

Łza potoczyła się po policzku Ederiusa i ześliznęła wzdłuż palca króla, zostawiając na skórze cieniutką, błyszczącą, wilgotną smugę. Zetknięcie chłodnej łzy z gorącym ciałem głęboko poruszyło Izgarda. Być może dlatego, że urodził się bez jednego ze zmysłów, w tym większym stopniu korzystał z pozostałych. Jego opuszki palców potrafiły odkryć zupełnie nowy, cudowny świat: delikatne, ciepłe tętno drugiej osoby, unikalną teksturę starzejącej się, rozciągniętej na gładkich kościach skóry i piekący ból związany z gaszeniem świecy ręką.

Czasami zastanawiał się, czy i on przypadkiem nie narodził się ze zmysłem smaku, tyle że jego kubki smakowe znalazły się pod opuszkami palców, a nie na języku.

Ederius wcisnął policzek w dłoń króla i potrząsnął głową.

– Gamberon postąpił niesłusznie, panie. Działał pochopnie, bezmyślnie... Powinien ci się zwierzyć ze swoich obaw.

Izgard pochylił się jeszcze bardziej i pocałował skrybę w czoło. Ten człowiek wcześniej łął, to prawda, ale teraz chyba mówił szczerze? Gamberon powinien przyjść do niego. Podzielić się obawami dotyczącymi Wieńca ze swym jedynym panem i serdecznym przyjacielem. Zamiast tego porwał koronę z klasztoru w Sirabayus, gdzie siostry zakonu Świętej Męczennicy Ehliše opiekowały się nią przez pięćdziesiąt lat, i własnymi rękami próbował ją zniszczyć. Gdy Izgard dopadł Gamberona na ciemnym, smaganim deszczem wzgórzu, położonym jedną milę na wschód od klasztoru, ujrzał jego okaleczone ręce i kłatkę piersiową; ciało mędrca zostało poprzecinane i poszarpane przez ciernie Kolczastego Wieńca. Choć był osłabiony i bełkotał niezrozumiale, brocząc obficie krwią, miał szansę przeżyć, gdyby ostrze Izgarda nie wśliznęło mu się między żebra w kilka sekund po tym, jak wypuścił z rąk koronę.

Choć byli przyjaciółmi, zdrada pozostawała zdradą, a każdy człowiek roszczący sobie pretensje do Wieńca musiał być albo rywalem, albo wrogiem.

Izgard pocałował skrybę, po czym odsunął się i zapytał:

– Czyżbyś nie chciał, żebym wygrał tę wojnę?

Wyczuwając subtelny zmianę w nastroju króla, Ederius gorliwie pokiwał głową.

– Chcę, panie.

– I zrobiłbyś wszystko, żeby mi pomóc? Wszystko?

– Tak, panie.

– A nie zwrócisz się aby przeciwko mnie jak Gamberon? Nie spróbujesz zniszczyć mojej własności?

Ederius oddychał szybko. Przez chwilę twarz jego wydawała się starsza i posepniejsza, jakby na powiekach, nosie i policzkach spoczęły niewidzialne ciężarki.

– Nie, panie. Twoja własność jest dla mnie święta. Nie zniszczę niczego, co należy do mojego króla.

– Przysięgnij! – Izgard ponownie buchnął białą parą. Zanim kryształki wody zdążyły rozpuścić się w powietrzu, skryba wyszeptał:

– Przysięgam.

Izgard skinął głową, zadowolony. Zapragnął powtórnie dotknąć twarzy Ederiusa, ale się powstrzymał. Sprawy pierwszej wagi nie zostały jeszcze załatwione. Odwrócił się od stołu, wyprostował i zaczął krążyć po komnacie.

Gdy zwrócił się wreszcie do skryby, nie patrzył mu w oczy.



– Dobrze wiesz, że w ciągu najbliższych tygodni planuję zapuszczać się coraz to głębiej na raizyjskie terytorium. Zamierzam przedrzeć się przez góry do samego serca Raize i kiedy tylko stanę na płaskim terenie, ruszę na północ w kierunku Morza Wzburzonego i upomnę się o Bay’Zell. Ufam swojej armii. Wiem, że zwyciężymy, lecz przed nami wiele miesięcy krwawych jatek. Będą ginąć ludzie – nasi ludzie. Synowie Garizonu, twoi i moi bracia. Mężowie naszych kobiet i ojcowie naszych dzieci zostaną ścięci w kwiecie wieku. I chociaż ich nieśmiertelne dusze kapać się będą w chwale, ciała zgniją w płytkich grobach, a o szczątki upomni się Raize. – Izgard odwrócił się i spojrzał na Ederiusa. – Ty i ja wiemy jednak, że nasi ludzie nie muszą wcale umierać w tak dużej liczbie. Wczoraj o świcie w górskiej wiosce o nazwie Chalce, tuż przy granicy z Garizonem, obserwowałem, jak dziewięciu moich dzielnych żołnierzy rozprawia się z dziesięciokrotnie liczebniejszą siłą.

– Siłą? Panie, to byli bezbronni wieśniacy, żadna siła! – Ederius wstał z krzesła. – To była rzeź, nie walka. Wraz z innymi zginęły kobiety i dzieci.

– Usiądź, Ederiusie. – Izgard przemówił łagodnym głosem, choć w głębi duszy poczuł irytację. Świadomy rodzącego się gniewu, nie chcąc ponownie skrzywdzić skryby, odsunął się na większą odległość. Wybrał miejsce pod przeciwległą ścianą, z którego mógł przyglądać się starcowi, ale nie mógł go uderzyć. – Przecież sam tam byłeś, nieprawdaż? To ty stałeś za moimi żołnierzami. Widziałeś to, co oni widzieli, i kazałeś im zrobić to, co zrobili.

Ederius chciał zaprotestować, lecz król uciszył go gestem ręki.

– Wszystko odbyło się trochę inaczej niż poprzednio, mam rację? Żołnierze walczyli tak zgodnie, jakby tworzyli zwarty, jednolity oddział. Ostrzegali się nawzajem o niebezpieczeństwie, osłaniali plecy towarzyszy. Ich chęć niszczenia była taka sama, a ciała przeobraziły się w zwyczajny sposób, lecz zmienił się sposób walki, stał się bardziej wyrachowany. Walczyli i zachowywali się jak jedno ciało.

Izgard przejechał dłonią po chłodnej, chropowatej powierzchni ściany. W żadnym zamku czy twierdzy, które wcześniej odwiedził, kamień nie wydawał się tak zdrowy, jak ten w Sern. Posiadał teksturę skamieniałego zamszu.

Teraz, kiedy Ederius miał sposobność zabrać głos, milczał. Siedział nieruchomo, spletał purpurowe palce, zamykał oczy bądź spoglądał gdzieś bardzo daleko w dół, zaciskając kurczowo wargi, jakby w obawie, że nieposłuszny język przemówi z własnej woli.

Izgard kiwnął głową, jakby milczenie było odpowiedzią, której się spodziewał.

– Kiedy zobaczyłem, co ci ludzie zrobili, a także z jaką szybkością i sprawnością walczyli, powiedziałem sobie w duchu, że Ederius z pewnością skorzystał z mocy Wieńca. Przestał powtarzać wzory oparte na kształcie włókien tworzących zewnętrzną obręcz, a zajął się wewnętrzną strukturą – tak jak to sobie kiedyś wyobrażaliśmy w Weizach. Tak jak mi niegdyś obiecał. – Izgard odepchnął się od ściany i ruszył w stronę skryby. Z każdym słowem zbliżał się do stołu o krok. – Tak właśnie wczoraj postąpiłeś, nie zaprzeczaj. Posłużyłeś się Kolczastym Wieńcem. – Izgard zatrzymał się przy cokole, na którym spoczywała korona.

Narzucono na nią grubą tkaninę niczym parawan broniący dostępu promieniom słonecznym. Na brzegach materiału widniały czerwone odciski palców. "Atrament" – pomyślał Izgard. Wyglądały zupełnie jak krew.

Wolno i ostrożnie Izgard uniósł tkaninę. Z chwilą gdy spod płótna wyjrzała korona, słońce wychynęło zza chmury i metal zajaśniał i rozblęsnął niby płomień ogniska, rozsypując złote iskry po całym skryptorium.

Ederius zasłonił dłońmi oczy.

Król przetarł pięścią usta. Wargi miał mokre od śliny.

– Pokaż mi wzór – rzekł spokojnie, jakby tych słów nie kierował wcale pod adresem skryby. – Nie możesz chować przede mną tajemnic. Należysz do mnie i szanuję cię; jak długo będziesz spełniać moje rozkazy, nie stanie ci się krzywda, przyrzekam. A teraz pokaż mi to, co chcę ujrzeć, i pomóż wygrać wojnę. – Izgard usłyszał odgłos drewna skrzypiącego na kamieniu. Kątem oka dostrzegł, że Ederius wstaje od stołu, przemierza komnatę, pochyla się i otwiera kufer. – Nie martw się tym, co się wczoraj wydarzyło, przyjacielu – rzekł do skryby, chcąc powiedzieć coś miłego teraz, kiedy nie ulegało kwestii, że jego polecenie zostanie wykonane. – Wojna to okrutna pani: jakże często zabija niewinnych. Nie jesteśmy pierwszą armią, która popełniła błąd. Jeżeli jednak wygramy wojnę szybko, oszczędzimy wiele ludzkich istnień – nie tylko Garizończyków. Podczas długiej, krwawej wojny po obu stronach niepotrzebnie giną ludzie. Im będzie ona krótsza, im będziemy mieć większą przewagę, tym mniejsze żniwo zbierze śmierć.

Ederius wydobył coś z kufra, spojrział przelotnie, wymruczał kilka słów do siebie lub swego Boga, po czym podszedł do króla. Trzymał w ręku kwadratowy skrawek pergaminu, nie większy od dwóch rozpostartych dłoni; zanim przekazał go Izgardowi, przycisnął pergamin do piersi.

Izgard zachwycił się pięknym widokiem, jaki teraz przedstawiał sobą skryba: był niczym święty człowiek, niosący relikwię swemu zbawcy, albo skulony męczennik, wybierający się do świata cieni. Spoglądając na niego, król zadrzał.

– Uklęknij przede mną – nakazał, gdyż instynkt podpowiedział mu, że skryba musi się teraz przed nim pokajać.

Ederius usłuchał rozkazu. Gdy uderzył kolanami o kamienną posadzkę, promienie słoneczne wycofały się ze skryptorium, posyłając cienie, żeby wypełniły powstałą pustkę. Światło przygasło, temperatura spadła, powietrze drgało przez chwilę, po czym wszystko znieruchomiało.

Skryba wyciągnął pergamin. W tym momencie z ust Izgarda wypłynęły słowa:

– Im krótsza wojna, im większą będziemy mieli przewagę, tym mniejsze żniwo zbierze śmierć. – Słowa te zabrzmiały częściowo jak pytanie, częściowo jak wymówka, a może jak magiczne zaklęcie, mające oddalić nieszczęście.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

– I oto chodzi, moja droga. Nie bój się dodać do garnuszka nieco więcej indygo. Im ciemniejszy będzie воск, tym bardziej spodoba się Emithowi.

Tessa zerknęła na matkę Emitha, która siedziała z twarzą odwróconą do ognia.

– Nie rozumiem, dlaczego miałby być taki ciemny. – Mówiąc to, starła kropelkę potu z górnej wargi. Kiedy tak stała blisko paleniska, mieszając w kadzi z pszczelim woskiem, który osiadł na powierzchni gotującej się wody, czuła się coraz bardziej zmęczona. Воск topił się bardzo długo.

Matka Emitha oparła się wygodnie w fotelu. Zostało zadane pytanie i chociaż dotyczyło wosku, a nie gotowania, staruszka najbardziej na świecie uwielbiała odpowiadać.

– Cóż, moja droga, jeśli chcesz rylcem narysować wzorek i cokolwiek zobaczyć, воск musi być tak ciemny, jak to tylko możliwe. Spróbuj zarysować paznokciem świecę, a zobaczysz, na ile się to zda. Nie zdołasz rozróżnić pojedynczej kreski.

Starsza pani miała rację. Tessa kiwnęła głową i dodała jeszcze kilka kropel indygo. Ciemnoniebieski barwnik roślinny rozszedł się po półprzezroczystym wosku, ciemniejąc przy zetknięciu z jego powierzchnią. Emithowi kończył się pergamin i zamiast uszczuplać zapasy tego cennego surowca, postanowił wykonać dla niej tabliczkę, żeby mogła do woli ćwiczyć ruchy pióra i wypróbować desenie, nie przejmując się marnowanym pergaminem. Z rana Emith wydrążył drewniany klocek i kazał jej wypełnić go woskiem. Musiała ten воск jedynie zafarbować i wlać do środka. Matka Emitha nadzorowała jak zwykle cały proces i dzięki jej pomocy Tessa dawała sobie świetnie radę. Później przyjdzie czas na kolację i opowiadanie historii.

Tessa mieszkała w wąskiej kamienicy w południowej dzielnicy Bay'Zell należącej do Emitha i jego matki od przeszło miesiąca.

Ravis wyjechał w środku nocy, a odwiedził ją jedynie po to, żeby zostawić na komodzie mieszek złotych monet i przestrzec po raz kolejny, żeby na siebie uważała. Po jego odjeździe zastanawiała się, co ma z sobą zrobić. Sama jak palec w świecie, w którym nikogo ani niczego nie zna, bez wątpienia skręci gdzieś w niewłaściwą uliczkę i wpadnie prosto w łapy harrarów Izgarda.

Ku jej zdziwieniu tygodnie upływały bezpiecznie, spokojnie i szybko. Pomna na przestrogi Ravisa, nigdy nie oddalała się od domu; przez pierwszy tydzień czekała, kiedy ogarnie ją znajomy niepokój i poczuje się, jakby została zamknięta w klatce, z której musi się szybko wydostać. Nic podobnego nie zaszło. Wprost przeciwnie: każdy nowy dzień przynosił więcej przyjemności. Lubiła siedzieć przy wielkim, dębowym stole, słuchać wywodów

Emitha dotyczących rzemiosła skryby, uczyć się historii i ornamentyki, poznawać tajniki nakładania farby i stosowania laserunków. Uwielbiała pomagać w przygotowywaniu posiłków: kroić, szatkować, patroszyć i skrobać. Jakkolwiek wiedziała, że żadne lekcje nie uczynią z niej szefa kuchni, wykazała się talentem do siekania warzyw za pomocą noża Ravisa.

Tessa poczuła się bardziej swojsko w tym dziwnym gospodarstwie – dowodzonym przez staruszkę siedzącą pośrodku kuchni na krześle, z którego się nigdy nie ruszała – niż w jakimkolwiek miejscu nazywanym domem. Po części stało się tak za sprawą nowo odkrytej zdolności do słuchania i wchłaniania wiedzy. Nie bała się już sunąć palcem po blacie stołu, podążając ścieżkami wyznaczonymi przez słoje drewna. Kiedy Emith szkicował coś dla zilustrowania swojej myśli, mogła skupić całą uwagę na tym, co robi i mówi, bez obawy przed kolejnym atakiem *tinnitusa*.

Jej przeszłość była ciągiem szalonych wydarzeń: rozmów telefonicznych, umówionych spotkań, krótkich związków, które zawsze wydawały się kończyć lub zaczynać, a nigdy nie zawierały środka. Tak długo prowadziła podobny tryb życia, że wmówiła sobie, iż zawsze chciała być tym, kim jest. Teraz jednak obudziło się w niej podejrzenie, że skoro groźba *tinnitusa* została zażegnana, jej osobowość zaczęła niejako dojrzewać. Wciąż była sobą, tylko na inny, bardziej przemyślany sposób.

Życie Tessy kręciło się obecnie wokół jedzenia: przygotowywała, gotowała i spożywała. Na śniadanie podawano zawsze coś gorącego; resztki kolacji dusiły się zazwyczaj przez noc na małym ogniu, dzięki czemu rano mięso było tak delikatne, że samo odchodziło od kości, a warzywa rozpadały się na miękkie, bezkształtne kawałeczki, z których każdy smakował podobnie. W południe przychodziła pora na zimne ciasteczka nadziewane, śledzikiem w śmietanie, albo na wędzone makrele, utarte z masłem i rozsmarowane na świeżo upieczonym chlebie. Reszta popołudnia schodziła zwykle na przygotowaniu kolacji.

W ciągu tych czterech tygodni pobytu u matki Emitha, Tessa nie zasiadła jeszcze do wieczerzy, która powstawała krócej niż przez pięć godzin. Sosy grzały się w malutkich rondelkach, mięso opiekało się na szerokim rożnie rozpiętym nad paleniskiem, ryby pływały brzuchami do góry w kociołkach z likierem, natomiast czerwona kapusta, biała kapusta i pokrojona w plasterki cebula tłoczyły się w płytkich naczyniach i dusiły na parze. Zapachy, które wypełniały kuchnię, przypominały zbierające się przed burzą ciemności. Kiedy do kolacji zostawała niespełna godzina, Tessa przywykła odkładać na bok wszelkie pozostałe prace, przysuwać krzesło do paleniska i siadać przed ogniem, rozkoszując się cudownymi aromatami gotujących się potraw, ciesząc się na myśl o czekającej ją uczcie.

Nic w tym gospodarstwie nie działo się pospiesznie. Z początku drażniła ją trochę opieszałość Emitha, z jaką spełniał prośby matki, z jaką przynosił na przykład gorącą wodę na kąpiel, mydło do mycia twarzy lub coś zimnego do picia (bez zawartości alkoholu). Wkrótce jednak zrozumiała, że wszystko musiało być przygotowane ręcznie: woda podgrzewała się w

kotle na ogniu, co oznaczało usunięcie mięsa na bok i opóźnienie kolacji; na podwórku w kadzi powstawało mydło – z kości, popiołu i innych rzeczy (o których wolą nie myśleć), do czego należało dodać olejek z rozmarynu, a następnie wszystko wymieszać i ukształtować w kostki.

Stopniowo oczekiwania Tessy uległy zmianie. Dnie były długie, ale nigdy pełne krzątania; jedzeniem należało się delectować, smakować je i opisywać w kwiecistych słowach; wieczorami siadało się wokół kominka, snuło opowieści i aż do zaśnięcia na krześle popijało odurzające napoje.

Świece z wosku były kosztowne, łój natomiast – o którym dowiedziała się, że jest otrzymywany z tłuszczu zwierzęcego w podobny sposób jak mydło – wydzielał przy spalaniu dużo gryzącego, trudnego do wytrzymania dymu, tak więc, mimo że za dnia Emith uczył ją niestrudzenie i pokazywał różne rzeczy, po zapadnięciu zmroku lekcje dobiegały końca.

Bywało nieraz, że gdy ogień przygasał i należało podłożyć drewno, starszka odpoczywała (choć wyglądało, jakby spała) na swoim krześle, a Emith opowiadał historie związane z rękopisami i iluminacjami. Najpierw jednak nalewał dwa kubki grzanego ario – nie dlatego bynajmniej, że należało je od razu wypić, a raczej po to, by móc potrzymać w ręku coś ciepłego dla dodania sobie otuchy. Potem przysuwał stołek do kominka i szeptem opowiadał o wydarzeniach dawno minionych dni.

Opowiedział jej, jak to wszyscy wielcy skrybowie przybywali zgodnie z tradycją z Morza Wzburzonego, z wyspy u wybrzeży Maribane, nazywanej Wyspą Namaszczonych. Tam właśnie szkolili się owi wybitni skrybowie: w starożytnym monasterze, połączonym z łądem długą, piaszczystą groblą, którą w czasie przypływu zakrywały morskie fale. W tamtych czasach skrybowie byli mnichami, a ich dźwięczne imiona wydawały się równie żywe i zawile, co wzory, jakie malowali: brat Ilfaylen, brat Fascarius, brat Mavelloc, brat Peredictine.

– Członkowie Świętej Ligi wierzyli, iż nie godzi się, by skryba naśladował perfekcję dzieła bożego – zaczął Emith pewnego wieczoru, gdy siedział wraz z Tessą przy ogniu. – Pierwotnie skrybowie byli sługami Boga, a dopiero później stali się sługami liter. Zakazano im malować portrety natury i zmuszono, by tworzyli nowe formy nie mogące współzawodniczyć z żadną rośliną czy zwierzęciem, które powołał dożycia czterech bogowie.

Wobec tego miniaturzyści zaczęli ilustrować swoje rękopisy wzorami i ornamentami, które – choć wykorzystywały kształty istniejące w przyrodzie – wcale ich nie kopiowały. Nie trzeba było długo czekać, by powstały stworzenia zrodzone w wyobraźni: czworonogie zwierzęta z długimi tułowiami, płaskimi uszami i ogonami zwiniętymi w spiralę. Węże o złotych oczach i podzielonych na segmenty ciałach, pokrytych łuskami, które – nigdy na siebie dokładnie nie zachodząc, odsłaniały ciemne podbrzusza. – Emith zadrżał. – Nie na długo owe podobizny zdołały uśmierzyć gniew Świętej Ligi, panienko. W płomiennych oczach i doskonałych krzywiznach zaczęto doszukiwać się pogańskich rysów. Rozeszły się

pogłoski, że ci, którzy na Wyspie Namaszczonych do perfekcji opanowali sztukę tworzenia wzorów, parają się czarną magią. Są demonami – wypuszczają diabła końcówką pióra i uwalniają go ze słoików czarnego atramentu. – Emith umilkł na chwilę. Tessa spostrzegła, że trzęsą mu się ręce. – W ciągu następnego pięciu stuleci mieszkańcy Wyspy Namaszczonych izolowali się od świata, wyśmiewali Świętą Ligę i rozpowszechniane plotki. Tymczasem dziwne wieści przybrały na sile, donoszono o strasznych wydarzeniach. Ówczesny opat zmarł nagle we śnie i jeden z braci postanowił zreformować Wyspę Namaszczonych: spalił na stosie wszystkie inkunabuły i sprowadził artystów z Drokho i Raize, by nauczyli skrybów nowych stylów, tak popularnych w innych krajach. Malowanie starych wzorów zostało zakazane, odnowiły się więzy ze Świętą Ligą, a wszelkie zarzuty pogaństwa momentalnie ucichły.

Opatem tym był brat Ilfaylen. Za jego dni mówiło się, że jest największym skrybą w dziejach. On nie mieszał pigmentów, tylko splatał zaklęcia światła i cienia.

Słyszając, z jakim utęsknieniem Emith opowiada o tym człowieku, Tessa zapragnęła ujrzeć jego dokonania.

– Co tak wpłynęło na brata Ilfaylena, że się zmienił? – zapytała, zaciskając palce na kubku z ario i zerkając na staruszkę, czy aby nie obudziły jej głośne słowa.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, panienko. Powiadają, że na pół roku opuścił Wyspę Namaszczonych i udał się na kontynent, żeby namalować iluminację dla Hieraca z Garizonu. Niemniej jednak nie zachował się żaden ślad po jego misji i chociaż napisał kilka książek oraz zostawił pamiętniki, nigdy nie wspominał o tamtej wyprawie.

– Zajmował się czarną magią? – Tessa zastanawiała się przez moment i zapytała: – A może zajmował się nią również Deveric?

Emith wstał ze stołka.

– Panienko, nic mi o tym nie wiadomo. Jestem zaledwie pomocnikiem skryby, nie samym skrybą.

Tak to już było w przypadku Emitha. Potrafił dla przykładu opowiadać o najbardziej zawiłych szczegółach umieszczania na stronie złotych płatków – jak to powierzchnię należy wpierw zaprawić gęstą, kredową farbą zwaną gesso, jak powinien zostać dodany czerwony bolus, jeśli chciało się uzyskać większe nasycenie barw i jak wreszcie kostką agatu, metalu lub kością można było wygładzić złoto, gdy mecenas życzył sobie wysokiego połysku – lecz nigdy nie wyjawiał, co przemawiało za takimi właśnie technikami.

Niekiedy podejrzewała, że z rozmysłem unikał poznania prawdziwej natury dzieł Deverica: jeżeli jego mistrz dopuszczał się czegoś bezbożnego, on nie chciał o tym wiedzieć: łatwiej mu było żyć ze świadomością, że służy dobremu człowiekowi. Czasem zaś przypuszczała, że jej podejrzania nie mają uzasadnienia, a wzory są tylko wzorami, lecz raz po raz działo się coś, co kazało jej przemyśleć wszystko od nowa.

W zeszłym tygodniu Emith uczył ją wykreślania linii pomocniczych i umieszczania na stronie punktów odniesienia, z czym należało się zapoznać przed przystąpieniem do szkicowania wzorów. Kiedy zademonstrował jej, jak powstają skomplikowane wzory na bazie prostych form geometrycznych – lejkowate spirale ze zwykłych okręgów, ornamenty plecionkowe z szeregu krzyżyków, a meandry na podstawie struktury diagonalnej – zaczęła dostrzegać jakąś ukrytą prawidłowość.

Emith wyciągnął stary pergamin, na który Deveric naniósł sieć pomocniczych linii i punktów, lecz nigdy nie wypełnił go atramentem i farbą. Tessa już na pierwszy rzut oka rozpoznała wzory, które zamierzał wykreślić. Nie wiedziała, jaką postać miały przybierać – wydłużonych ptaków, winorośli, wstążek, zwierząt czy zwyczajnych nici – ale dostrzegła ogólną matrycę. Zrozumiała sposób, w jaki linie będą się nachylać, załamywać i przecinać. Poznała cały układ strony.

Czuła, że jakiś tajny szyfr został jej udostępniony. Wykrzyknęła do Emitha:

– Widzisz to?

Choć skinął głową i szepnął: “Tak, panienko”, wiedziała, że to nieprawda. To nie dla niego wzór wyskoczył z papieru welinowego, domagając się natychmiastowego wykończenia.

Zanim zdążył zaprotestować, złapała pędzel z końskiego włosia i zaczęła uzupełniać naniesione wcześniej kontury. Przeskakując z krzywizny na krzywiznę, szybko uporała się z głównymi liniami, a instynkt podpowiadał jej, w którym momencie skrócić lub podnieść pędzel. Przestała zwracać uwagę na szkic Deverica. Oczyma duszy zobaczyła gotowe dzieło, wszystkie cienie, barwy, załamania i tło.

Emith mruczał pod nosem. Nie wydawał się uszczęśliwiony faktem, że zapragnęła sobie bazgrać po pracy jego mistrza, lecz po kilku chwilach spacerowania, wyginania palców i wydawania pomruków niezadowolenia uspokoił się i zatrzymał tuż za jej krzesłem, aby zza ramienia obserwować narodziny iluminacji.

Zdawała sobie sprawę z jego obecności, ale wraz z upływem czasu i kolejnymi pociągnięciami pędzla, które zostawiały ślady atramentu z kwasu i sadzy, otaczający ją świat coraz bardziej się oddalał. Dała się wciągnąć w płataninę deseni. Linie nie były już zwyczajnymi liniami, a raczej sekretnymi przejściami, prowadzącymi do nieznanых miejsc. Sama karta przestała być jedynie rozciągniętą i wygładzoną skórą cielecą, zamiast tego nabrała cech krainy, którą należało zbadać, zmierzyć i ukształtować.

Zarysy tej iluminacji wyznaczył Deveric, owszem, ale to właśnie ona niespodziewanie decydowała o wykończeniu całości. Pędzel wykonywał wyłącznie jej rozkazy; wtem – spoglądając na następne w kolejce punkciki – postanowiła skrócić z przetartej ścieżki. Zamysły Deverica były jasne jak słońce – zbyt jasne. Poczowała szaloną, przemożną chęć stworzenia czegoś nowego.

Dłoń jej ślizgała się cal nad powierzchnią stołu, palce zaciskały na kościanym trzonku pędzla: nowa, zawila linia wystrzeliła w bok i ominęła punkt odniesienia, kierując się ku dziewiczej bieli pośrodku karty.

Usłyszała, jak Emith wzdycha i wstrzymuje oddech.

W tej oto chwili wzór przestał należeć do Deverica i stał się dziełem Tessy McCamfrey.

Pędzel wykonywał spirale i zygzaki, to rozszerzał się w głęboką szczelinę zakrętu, to znów zwężał do delikatnej smużki przy wyjściu z zakola. Tessa przestała postrzegać wzór jako zbiór punktów, które należało połączyć, i linii pomocniczych, którymi trzeba było się kierować. Widziała teraz skomplikowaną matrycę, złożoną z mnóstwa fasetek, przypominającą owadzie oko, z płataniną ostrych kątów i siatką potencjalnych linii. Mogła przemieszczać się w dowolnym kierunku, manipulować wzorem na wszystkie sposoby i – jak długo kierowała się matrycą opracowaną przed dziesięć laty przez nieżyjącego już dziś człowieka – atrament układał się w piękną iluminację.

Poczuła, że przenika do wzoru. Fragmenty linii osaczały jej umysł, ocierały się o myśli jak czułki owadów, powodując swędzenie skóry.

Gdzieś w oddali rozległo się dzwonięcie.

Wpadła w popłoch. Za bardzo się skoncentrowała, skutkiem czego otworzyła drzwi *tinnitusowi*. Powinna uważać. Poirytowana własnym zachowaniem, pohamowała rozpedzone emocje, oderwała końcówkę pędzla od pergaminu i spróbowała oderwać myśli od iluminacji.

Gdy zamknęła oczy, ujrzała coś skrytego za parawanem pogmatwanych linii. Kraje ciemnych krzywizn, przypominających łańcuch wzgórz oglądanych nocą. W kotlinie między stokami błysnęły iskierki: staw z czarnym olejem.

– Panienko, dobrze się czujesz? – Emith delikatnie, jak to miał w zwyczaju, dotknął jej ramienia.

Skinęła głową, lecz czuła wewnętrzny niepokój. Pochyliła się nad pergaminem i zobaczyła miejsce, w którym nieświadomie zatrzymała pędzel, przez co atrament zlał się w czarną kałużę. Zadrzała, zapatrzona na jej ciemną, połyskującą powierzchnię. Wizja stawu nie była żadną wizją.

Od tamtej pory minął tydzień. W tym czasie – w zależności od stanu ducha – Tessa tłumaczyła sobie fakt przeniknięcia do wzoru jako czystą głupotę, bądź też usiłowała przypomnieć sobie tamto odległe wrażenie.

Czasami powracało dzwonięcie. Początkowo nieruchomiała ze zgrozy, lecz zeszłej nocy wkradło się ono w jej sny; w owym półcieniu i półświadomości sennego rojenia dzwonięcie nie brzmiało groźnie. Różniło się od hałasu *tinnitususa*. Jego źródło tryskało w jakimś innym miejscu.

– Wystarczy, moja droga – rzekła matka Emitha, przywracając ją do rzeczywistości, czyli do zajęcia, które bezmyślnie wykonywała. – Wosk się już chyba rozgrzał.

Tessa owinęła dłoń szmatką i wyciągnęła z kąpielni garnek z pszczelim woskiem.



– Przepraszam, jeśli podgrzewałam go zbyt długo – powiedziała, nie wiedząc, jak długo pogrążona była w rozmyślaniach i co jej ręce w tym czasie wyprawiały. – Trochę się... rozkojarzyłam.

Starowinka skinęła głową.

– Nic się nie stało, moja droga. Od tego się nie umiera.

To śmieszne, ale Tessa przewidziała, że tak właśnie będzie brzmiała odpowiedź staruszki. Matka Emitha zawsze była dla niej taka dobra. Zawsze.

Przechyliła garnek na haku i wlała gorący, płynny wosk do wydrążonego korytka, napełniając go po brzegi. Niemal natychmiast po zetknięciu z drewnem wosk zaczął krzepnąć, z każdą sekundą stawał się bardziej mętny i matowy. Następnie Tessa odstawiła garnek na bok, a tabliczkę położyła na stole, z niecierpliwością czekając na nadejście Emitha. Wosk nabrał przyjemnej, ciemnoniebieskiej barwy i nie mogła oprzeć się pokusie zarysowania paznokciem stygnącej powierzchni. Matka Emitha miała rację: linia była nad podziw widoczna.

Podeszła do ognia i naląła staruszce kubek herbatki selerowej, która poprawiła krążenie w jej chorych stopach.

– Dlaczego jesteście z Emithem tacy dobrzy dla mnie? – zapytała, wręczając jej kubek. – Opiekowaliście się mną przez te wszystkie tygodnie, chociaż nikt was do tego nie zmuszał.

Matka Emitha odstawiła herbatę na niewielki stoliczek, który zawsze miała pod ręką. Wyszywanki, skarpetki do cerowania, suszone zioła przygotowane do zalania olejem lub octem, ryby do oskrobania: wszystkie te nie dokończone prace spoczywały na trójnożnym stoliczku.

Staruszka tyle czasu zużyła na odstawienie kubka i poprawienie swej pozycji na krześle, że Tessa zaczęła podejrzewać, iż chyba nie usłyszy odpowiedzi na zadane pytanie. Może nie powinna pytać tak bezpośrednio? Może ją obraziła? Nielatwo rozstrzygnąć taką sprawę, za jedyne punkty odniesienia mając Ravisa, Emitha i jego matkę. W ciągu tych kilku chwil, które spędziła z Ravisem, odniosła wrażenie, że nie przejmował się on nigdy tym, co ktoś myśli o jego słowach lub czynkach. Jednakże Emith i jego matka byli nieco odmienni, delikatniejsi.

– Jak w twoim mniemaniu czuje się ostatnio Emith, moja droga? – Staruszka przestraszyła ją tym nieoczekiwanym pytaniem.

– Świetnie – odparła automatycznie. – Bardzo dobrze.

– Tak, tak, to prawda. A wiesz może dlaczego?

Potrząsnęła głową.

– Z twojego powodu, moja droga. – Matka Emitha utkwiała w niej promienne spojrzenie. Wyglądała nader dostojnie, usadowiona na tronie w otoczeniu swych insygniów królewskich. – Wiesz, że mój syn służył u Deverica dwadzieścia dwa lata. Dwadzieścia dwa lata znojów, długich godzin pracy, bezgranicznego poświęcenia. Dla Emitha nieoczekiwana śmierć mistrza

była strasznym ciosem. Straszliwym. Ty jednak swoją obecnością złagodziłaś jego cierpienia. Gdy przekazuje ci całą swoją wiedzę, wydaje mu się, że wciąż kontynuuje dzieło swego pana. Przyświeca mu nowy cel, może przekazać dalej umiejętności, które tak bardzo ukochał, nie musi myśleć wyłącznie o Devericu.

– Już wiem, dlaczego przez, cały okrągły dzień wynajduje pani dla niego coraz to inne prace – powiedziała Tessa. Spoglądała teraz na świat z innej perspektywy. – Chce go pani wyrwać z zadumy.

Matka Emitha ani nie potwierdziła, ani nie zaprzeczyła temu stwierdzeniu, tylko rzekła z uśmiechem:

– Ciężko jest mi się ruszyć.

Tessa uśmiechnęła się wraz ze starszą panią. Sens jej słów był tak wyraźny, że dziwiła się sobie, że sama na to wcześniej nie wpadła. Czasem nie umiała dostrzec najbardziej oczywistych rzeczy.

– Pod wieloma względami Emith przypomina swojego ojca – podjęła staruszka. Opadająca intonacja jej cieniutkiego głosiku wyraźnie podkreśliła koniec zdania. – Obaj sercem są Maribańczykami. A oni tylko jedną rzecz przedkładają nad strugi deszczu ściekające po twarzy w czasie sztormu: kiedy nikt nie widzi, uwielbiają się zadreć wyrzutami sumienia. Brr, cóż to za mokra, deszczowa wyspa. Wręcz stworzona do rozmyślań. Ech, gdyby mój drogi mąż mnie nie poślubił, rozmyślenia wpędziłyby go do grobu.

Mówiąc to, matka Emitha bujała się w przód i w tył na krześle. Niespodziewanie Tessa zauważyła, że sama huśta się na swym stołku przy ogniu. Bujanie musiało być zaraźliwe.

– Czy Emith odwiedził kiedyś Maribane? – Teraz, kiedy staruszka podzieliła się sekretem, Tessa miała nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej na temat jej syna.

– Odwiedził? – Na twarzy starszej pani malowało się zdumienie. – Sześć lat tam mieszkał.

Tessa poczuła ciarki na ciele.

– Był na Wyspie Namaszczonych?

Matka Emitha skinęła potakująco.

– Tam właśnie nauczył się swojego rzemiosła. Rzecz jasna, kiedy pozegłował na wyspę, był chłopcem, pełnym gołowąsem, ale uparł się i koniec. Nic nie mogło go powstrzymać, a na dodatek wypchnął go niemal z portu. Jeszcze nigdy żaden człowiek bardziej nie pragnął, aby jego syn odwiedził ziemię, którą on niegdyś nazywał ojczyzną.

– Co zrobił Emith, gdy już nauczył się pisać?

– Och, on nigdy nie nauczył się pisać, moja droga. – W głosie matki Emitha zabrzmiała nutka przygany. – Nauczył się, jak być pomocnikiem skryby, nie zaś samym skrybą.

Zła na samą siebie, za to że popełniła błąd w chwili, gdy już udało się naciągnąć staruszkę na zwierzenia, Tessa przestała się huśtać.

– Czy Emith służył u któregoś ze skrybów na Wyspie Namaszczonych?

– Cóż, chyba tak, moja droga. Sądzę, że tak. – Kobieta sięgnęła po selerową herbatkę i zdmuchnęła jakiś wymagowany dymek. – Jak mu tam było...?

Tessa wstała. Bała się okazać zniecierpliwienie, z jakim oczekiwała na odpowiedź. Rozglądając się wokoło za jakimś przedmiotem, dostrzegła pogrzebacz.

– Avaccus, jakżeby inaczej? – Matka Emitha pokiwała w zamyśleniu. – Brat Avaccus.

Pogrzebacz wydawał się dość ciężki i mocny, więc zaczęła nim szturchać w jeden z bukowych klocków na dnie paleniska.

– Czy brat Avaccus zajmował się tym samym, co Deveric?

– Cóż, tak podejrzewam, moja droga. Ale jaka to różnica? – Staruszka wysączyła herbatkę. Tessa zauważyła jej starannie wypielęgnowane paznokcie. Były twarde i błyszczące jak u nastolatki.

– Co za szkoda, że taki spotkał go koniec. Straszna szkoda. Emith musiał natychmiast opuścić Maribane. Świątobliwi bracia naciskali, ponieważ wiedzieli, że mój syn pomagał podówczas Avaccusowi.

Tessa opiekowała się bukowym klockiem, jakby to było jej jedyne dziecko. Odezwała się najbardziej lakonicznym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć.

– Co się właściwie stało?

Staruszka nie odpowiedziała. Po przeszło minucie oparła podbródek na piersi, zatrzepotała kilkakrotnie powiekami i zamknęła oczy.

Zdając sobie sprawę, że matka Emitha pogrąża się właśnie w jednym ze swoich “odpoczynków”, Tessa czym prędzej dźgnęła pogrzebaczem z taką werwą, że drwa z łoskotem rozsypały się w ogniu, wzniesając chmurę dymu, iskier i pary.

Staruszka wyprostowała się jak rażona piorunem.

– Co? Co? – wykrzyknęła, wykręcając głowę w lewo i prawo. Tessa odsunęła się od paleniska i schowała pogrzebacz za plecami. Nie chciała przerazić starszej pani.

– Och, nic takiego. Jedna kłoda stoczyła się do ognia. Pani pozwoli – powiedziała, wyciągając staruszce z ręki pusty kubek – że zaparzę jeszcze trochę herbatki, a tymczasem opowie mi pani o tej całej historii z bratem Avaccusem.

Staruszka przez chwilę przyglądała się jej podejrzliwie, zerknęła do kominka i popatrzyła za okno, sprawdzając porę dnia. W końcu przemówiła:

– Z bratem Avaccusem, powiadasz?

Tessa napełniła kubek herbatką.

– Tak. Proszę przypomnieć sobie, jak opowiadała mi pani o tym, że Emith musiał wyjechać z Maribane, bo tak rozkazali mu świątobliwi bracia. – Aby zająć czymś kobietę, wetknęła jej do ręki wypełniony po brzegi kubek.

– Ach tak, pamiętam. – Matka Emitha usiłowała wygodnie chwycić kubek. – Hm, to miało coś wspólnego z demonami. Opat powiedział, że maluje je brat Avaccus. Tak, tak!

Maluje podłe, bezbożne istoty, aby obudzić diabła i jego zastępy. Kiedy znaleziono iluminacje, Emith był asystentem skryby. Nic dziwnego zatem, że go wygnali.

Podłe, bezbożne istoty. Tessa głaskała podbródek w zamyśleniu. Jeśli Avaccus pracował nad wzorami podobnymi do dzieł Deverica, tłumaczyłoby to, dlaczego Emith nie chciał poznać prawdziwych intencji swego mistrza: wiedział, że jego praca uważana jest za bezbożną.

Odeszła od kominka, czując ogarniającą ją falę gorąca.

– Co się stało z bratem Avaccusem? – Spojrzała w okno. Zapadał szybko zmierzch i wkrótce powinien wrócić Emith.

Staruszka przełknęła ślinę, wydając przy tym cichy, gulgotzący dźwięk.

– Przecięto mu ścięgna prawego kciuka. Od tego czasu nie mógł utrzymać pióra w ręku.

Tessa przypatrzyła się własnym dłoniom.

– Opuścił wyspę razem z Emithem?

– O nie, moja droga. Był jednym z nich, bratem. Nigdy by nie pozwolili mu wyjechać. Ci butni, świątobliwi bracia z Maribane chlubią się tym, że potrafią wygnać demona i złamać ducha człowieka. Nade wszystko uwielbiają nawracać grzeszników, jak mawiał mój drogi mąż. Prawdopodobnie nie szczędzili starań, by ów nieszczęśnik zbawił swoją nieśmiertelną duszę. – Wypowiedziała ostatnie słowo i ponownie zaczęła pochylać podbródek. Zbliżał się kolejny atak “odpoczynku”.

Tessa nie chcąc wstrząsnąć staruszką dwukrotnie w ciągu jednego dnia, zostawiła ją tym razem w spokoju. Miała o czym myśleć. Krzątając się po kuchni, przystąpiła do zwykłych działań poprzedzających przygotowywanie kolacji: wyciągnęła masło ze spizarki i położyła je niedaleko od ognia, by w czasie wieczery nadawało się do rozsmarowania; powtykała knoty do łojowych świeczek; zamieszała gulasz rybny, żeby się nie przypalił; posypała parapet suchymi korzonkami ciemiernika w celu odegnania ciem i komarów.

Gdy wyciągała z oliwy płócienną płachtę i wyzymała ją ręcznie, dziwiła się że tak szybko przywykła do nowego świata. Proszę bardzo – oto przygotowywała zasłonę, która zostanie powieszona rano na oknie; naoliwiona, miała przepuszczać jak najwięcej światła. Wykonywała tę pracę, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem. U siebie w domu nie myślała nawet ścierać kurzu.

Tu wszystko było na opak. Trzeba było pracować, więc pracowała: tak nakazywała przyzwoitość. Nie wyobrażała sobie, żeby mogło być inaczej.

Zbliżyła się do ognia i złapała jeden z małych, miedzianych rondelków o grubym dnie. Chciała spróbować swych sił w przyrządzaniu sosu. Nie była jeszcze pewna, jaki to ma być sos, poza tym zastanawiała się, czy gulasz rybny takowego wymagał. Niemniej sam pomysł gotowania przypadł jej do gustu, a sos wydawał się najłatwiejszy na początek.

Kiedy nabrała z garnka łyżkę masła, zagrzechotała klamka u drzwi.

Zamarła. Obraz pamiętnej nocy na moście przesłonił całą kuchnię. Harrarzy. Zniekształcone twarze. Zapach.

Garnuszek z masłem poleciał na ziemię. Stuknął o płytki przy palenisku, ale się nie rozbił.

– Co? Co? – krzyknęła staruszka.

Klamka opadła, drzwi otworzyły i do izby wmaszerował Emith z naręczem pakunków. Świeże morskie powietrze zaróżowiło mu policzki.

– Witam wszystkich! – zawołał, domykając drzwi łokciem. – Przepraszam za spóźnienie. Chyba z godzinę przepychałem się przez tłum na placu Pilśniarzy. Myślę, że całe miasto wyległo dziś wieczór na ulice. – Zrzuciwszy zawiniątka na stół, podszedł do matki, ucałował ją w oba policzki i zwrócił się do Tessy: – Przyniosłem sporo ciekawych rzeczy. Może znajdzie się nawet jakaś niespodzianka.

Tessa uśmiechnęła się mimowolnie, ale jej usta tak wyschły, że wargi przykleiły się do zębów. Serce waliło jak oszalałe. Wspomnienie harrarów na moście wciąż się nie zatarło. U jej stóp masło podgrzane ciepłem bijącym z paleniska zaczęło wypływać z garnka żółtą, błyszczącą strugą. Zwierzęcy zapach przyprawiał ją o mdłości.

– Dlaczego tylu ludzi wyszło na miasto? – zapytała.

Emith zerknął na matkę, po czym nachylił się do niej i szepnął:

– Wieść dziś gruchnęła, że Izgard wkroczył do Thornu.

– Do Thornu? – Tessa przypomniała sobie człowieka, który nosił takie samo imię: ciemnozłote włosy, szare oczy – czasem jasne, czasem ciemne – i głos nawykły do wydawania rozkazów.

– Tak, to miasto na północno-zachodnich stokach Gór Działowych. – Emith wykonał nieznaczny gest ręką, sugerując, żeby odsunęła się od staruszki i jej krzesła. – Ludzie mówią, że harrarzy Izgarda dopuszczają się niewyobrażalnych czynów: zabijają kobiety, dzieci i starców; pod nóż idą świny w chlewach i krowy na pastwiskach. Nie przestają mordować, póki coś jeszcze oddycha.

Zadrzała. Masło zaczęło skwierczeć, potem się zapaliło.

Camron z Thornu biegł, dopóki starczyło mu tchu. Później jego płuca ogarnął ogień, a oczy zalał pot; gardło miał spieczone i obolałe. Biegł długo, ale w końcu nogi ugięły się pod nim i upadł na moką ziemię Runzy. Klatka piersiowa unosiła mu się jak balon, z ust buchały kłęby pary, kurcze ogarnęły mięśnie żołądka, piersi i pleców.

Letni deszcz smagał go bezlitośnie. Wyobrażał sobie, że słyszy syk, kiedy krople dotykały jego skóry. Przeklinał fakt, że było ciepło.

Cóż to kapało na niego wśród tych ciemności, spływało po policzkach, przesiąkało przez koszulę? Czyżby krew ojca?

Przysunawszy kolana do klatki piersiowej, zwinął się w kłębek, próbując jednocześnie ułatwić sobie oddychanie. Zapach mokrej ziemi przypomniał mu o domu. Nie o Bay'Zell ze

swoimi dwoma portami, dwomaświątyniami i dwoma obliczami, ale o prawdziwym domu. O małej społeczności osiadłej u zbiegu cieni Gór Działowych i Gór Północnych, w całym Raize nazywanej wioską, lecz na północnym-wschodzie – miastem.

Ach, Thornie, gdzież twoje wzgórza upstrzone łąkami, ziemia ciężka od gliny i bogata w wapno, gdzież ludzie pełni dumy, którzy uczą dzieci, by opowiadały cudzoziemcom, iż od Boga dzieli ich jedna dolina? Żaden poeta, filozof i artysta nie narodził się w Thornie. Co wieczór tłoczyli się w gospodach farmerzy, właściciele winnic, mleczarze, kołodzieje i wypalacze węgla drzewnego, licząc na talerzyk wędzonych gęsich płuczek i kufel beriaku. Za czarną owcę w miasteczku uważano człowieka, który wyrabiał zegary. Jediną prostytutką była zmysłowa matrona o imieniu Amy i każdy mężczyzna w Thornie, nie wyłączając Camrona, w którymś momencie życia korzystał z jej wdzięków.

Thorn rozbudował się w miejscu, gdzie niegdyś sędziwy stajenny ojca, Phelas, posadził Camrona na konia i nauczył go jeździć. Tam też Mari z Merly, stary wenijski kucharz, znający tylko kilka słów w języku raizyjskim (głównie przekleństwa), nafaszerował go ciastkami z agrestem, aż rozboleł go żołądek, później zaś wlewał mu do gardła olejek goździkowy, dopóki ten nie poczuł się lepiej. Tam też wreszcie rozciął sobie policzek, próbując golić się jak ojciec; złamał rękę, próbując walczyć jak Hurin; ogolił głowę, chcąc wyglądać jak Łysy Mollas, zastępca ojca pod Wierną Górą, o którym wielu mówiło, że pośród raizyjskich wojowników nikt się nie może z nim równać.

Wszystko przepadło. Wszyscy ci spokojni, wychowani w górach ludzie.

Phelas, Mari z Merly, Amy, Mollas, zegarmistrz Sterry, karczmarz Barleaf, Dorsen, zarządca posiadłości jego ojca... zginęło tak wielu przyjaciół, przygodnych znajomych, ukochanych. Mężczyźni, którym w dzieciństwie machał ręką na ulicy lub w polu; kobiety, którym się kłaniał w kaplicy i na bazarze; dzieciaki, z którymi ścigał się i toczył boje w lasach, stodołach i wapiennych kamieniołomach – wszyscy polegli z rąk żołnierzy Izgarda.

Camron zagarnął garść ziemi, napełniając dłoń ciepłą, chropowatą wilgocią, a potem orał coraz głębiej, jakby chciał się dokopać do samego wnętrza.

Jakaż to wieść przekazał posłaniec? “Izgard zajął Thorn. Wygląda na to, że wysłał w szpicy oddział harrarów, by zabili wszystkich, którzy odmówią złożenia broni. Powinieneś być dumnych ze swych ziomków, panie, jako że nikt z nich się nie poddał”.

Chciał przez to powiedzieć, że nikt się nie ostał. Harrarzy nie dali nikomu szansy na złożenie broni, wszystkich wycięli w pień. Głęboko, bardzo głęboko w sercu Camron czuł tę prawdę. Król Garizonu najpierw zabił mu ojca. Teraz zniszczył jego dom.

I za co? Za stare jak świat więzy, nigdy nie wspomniane, nigdy nie wykorzystywane, które łączyły ród Thornów z kolczastą koroną Garizonu?

Uderzył pięścią w rozmiękłą ziemię. Zarówno on, jak i jego ojciec nie zasłużyli sobie na ten okrutny los. A tym bardziej mieszkańcy miasteczka. W ciągu stuleci granica Garizonu z Raize przesuwiała się to w jedną, to w drugą stronę, spychając Thorn pod władanie różnych

władców, zmieniając odpowiednio nazwę osady: raz zwała się Thorn, raz Thoren. Jednakże przed pięćdziesięcioma laty, dokładnie w osiem tygodni po zwycięstwie Bericka pod Wierną Górą, mieszkańcy miasta zebrali się na placu targowym i zadeklarowali swą przynależność do Raize. Od tamtego czasu nazwa miasta pozostawała niezmienna: Thorn.

Tyle że teraz nie było mieszkańców, a bez nich nie było też miasteczka i jego nazwy.

Camron z taką zapalczywością potrząsnął głową, że wraz z nią zatrzęsło się całe ciało. Mierzyła go myśl, że buty Izgarda depczą jego ojczystą ziemię. Mierzył go widok, który oglądał za każdym razem, kiedy przymykał powieki. Podniósł się ciężko i stanął na nogi. Klatka piersiowa jeszcze nie zdążyła się uspokoić, lecz szybko wyrównał oddech. Wymarł kurz z policzków i z dłoni, po czym zaczął wolno schodzić w stronę dworu.

– Jeszcze za wcześnie, by ruszać na Izgarda – powiedział Ravis niecałe dwie godziny wcześniej w migotliwym blasku świec wielkiej sali. – Druga połowa najemników pojawi się w Bay’Zell dopiero w przyszłym tygodniu, a tych, których mamy, nie zdążyłem przeszkolić. Twoi ludzie może i są świetnymi rycerzami i jeźdźcami, lecz łucznicy Izgarda powystrzelają im konie, gdy tylko ci wjadą na pole bitwy. A rycerz bez wierzchowca może równie dobrze namalować sobie na napierśniku głowę byka i udawać ruchomy cel. Choć słowo „ruchomy” to chyba nazbyt hojne określenie. W pełnej zbroi, jaka obecnie jest popularna w Raize, rycerz ma większą szansę przeżyć, jeśli pozostanie na ziemi i potoczy się na bezpieczną odległość, niż kiedy wstanie i spróbuje uciec.

Plecy Camrona zeszytywniały. Jakże nienawidził chłodnego, sarkastycznego tonu Ravisa! Ten człowiek wszystko, co dobre, odstawił w kął swymi złośliwymi uwagami, jednym ironicznym stwierdzeniem odrzucając sto lat rozwoju sztuki wojennej. Nie dbał o ludzi ani o sprawę. Myślał tylko o sobie.

W wojnie nie liczyła się wyłącznie strategia, dochodziły też serce, dusza i wiara. Raizyjscy rycerze nie zwyciężyli pod Wierną Górą dzięki lepszemu wyszkoleniu; odnieśli zwycięstwo, albowiem bronili swych rodzin i domów, a także dlatego, że dowodził nimi wielki wódz, w którego wierzyli.

Camron odgarnął z twarzy mokre kosmyki włosów. Nie miał już domu, nie miał też w kogo i w co wierzyć. Pozostała mu jedynie odpowiedzialność. Miał zobowiązania wobec tych wszystkich, którzy zginęli. Wobec mieszkańców miasteczka noszącego jego imię. Musiał działać – wyruszyć jeszcze dzisiaj. Wieczorem. Nie mógł zwlekać. Był to winny Mariemu, Amy, Phelasowi i zegarmistrzowi. Był to winny sobie.

Na widnokręgu ujrzał bladą, złotawą poświatę, bijącą od dworu. Ruszył spieszenie w jej kierunku – ciemny kształt w ciemnościach nocy, sam jak palec.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Skryba siedział samotnie w swoim skrytorium. Garnuszki z pigmentami i pędzle wymagały wypłukania, okiennice – zamknięcia na noc, skóry zwisały z haka umocowanego do krokwi w oczekiwaniu na przycięcie. Już bardzo dawno temu, podczas ośmiu lat dzieciństwa spędzonych w Garizonie i dalszych dwudziestu lat poświęconych studiom na Wyspie, Ederiusowi wpojono, że należy unikać bezczynności. Jego matka obawiała się, że próżniactwo prowadzi do grzechu. Święci bracia na Wyspie Namaszczonych zaklinali się, że zmieni go w bezmózgiego głupca. W tejże jednak chwili Ederius czuł żal, że przez całe życie tylko harował. To właśnie ciężka praca doprowadziła go do takiego stanu.

Odepcnięte krzesło zaskrzypiało, gdy wstał i zbliżył się do małego składanego stoliczka, na którym stał czysty spirytus zbożowy, używany do czyszczenia pędzli. Nawet teraz nie mógł długo wytrzymać bez ruchu. Zarówno matka, jak i świątobliwi ojcowie zgodzili się co do jednego: próżniactwo prowadziło do próżnych myśli.

Izgard nie złożył mu jak dotąd swej codziennej wizyty. Skryba z uwagą nasłuchiwał stłumionych kroków króla, nalewając alkohol do glazurowanej miseczki. Kiedy w oddali rozległo się wycie wilka, podskoczył przerażony i wylał nieco spirytusu na rękę. Alkohol laskotał go, wyparowując. Usiłował pokonać strach, lecz jego nie zagojone jeszcze ramię przeszył ból. Skrzywił się i potrzęsął głową.

Chciał, żeby Izgard już przyszedł i położył kres jego niepewności. Potrafił znieść ból, potrafił wytrzymać uderzenia, ale to oczekiwanie było ponad siły starca. Napęniało go nieopisanym strachem.

Złapał za brzeg miseczki i zacisnął kurczowo palce na glazurowanej powierzchni. Był skrybą wyszkolonym na wyspie, nie powinien o tym zapominać. Tego faktu nic nie mogło zmienić.

Pewnym krokiem powrócił do stołu. Zebrawszy wszystkie ubrudzone farbą pędzle, zanurzył je w misce, by namiękły nieco przed oczyszczeniem.

Nie powinien również zapominać, że sam był sprawcą swojej niedoli. Ambicja zaprowadziła go do człowieka znanego wówczas jako Izgard z Alberach. Spotkali się przed pięcioma laty. Izgard zorganizował spotkanie w Kwaterce Ario w Weizach, w idealnie kwadratowej izbie nad gospodą. Kiedy zwierzał się ze swoich planów, zapachy rzeki Weize napływały przez otwarte okno.

“Musisz ze mną pracować, Ederiusie. Jesteś mi potrzebny. Gamberon zapewniał, że nie masz sobie równych wśród skrybów w całym Garizonie i jedynie ty znasz stare wzory i starą sztukę. Tylko ty możesz mi pomóc. Garizon musi mieć swojego króla. Musimy być silni.



Jesteśmy wielkim państwem, wielkim narodem, lecz depcze nas tyle obcasów, że ledwo pamiętamy o naszych zwycięstwach, a duma już dawno odeszła w zapomnienie. – Izgard przyklęknął i ujął Ederiusa za rękę. – Czy nie kochasz swego kraju, Ederiusie? Nie chcesz ujrzeć Garizonu znowu w blasku chwały?”

Do końca życia skryba będzie pamiętał wyraz twarzy Izgarda, gdy zadawał owe dwa pytania. Błyszczące oczy i skórę płonąącą czerwienią. Przypominał anioła, a w jego dotyku czuło się ciepło i przynaglenie. Ederius był pod wrażeniem. Ten błyskotliwy młodzieniec go potrzebował. Kiedy mu odpowiedział, Izgard wstał i ucałował jego dłoń.

Nawet teraz na tamto wspomnienie czuł ucisk w sercu. Izgard inaczej się wówczas zachowywał. Był ambitny, to prawda. Okrutny wobec przeciwników, ale tych, których darzył miłością, zasłaniał własną piersią. Ederius wciąż pamiętał, jak w niecały rok od pamiętnego spotkania zmogła go choroba, albowiem zaziębił się podczas długich godzin pracy w zimnych, nie ogrzewanych pomieszczeniach. Izgard dzień i noc spędzał u jego wezglowia. Nie pozwalał komukolwiek zajmować się chorym, chcąc samodzielnie czuwać przy łożu; nie zmrużył oka w ciągu trzech dni, po których gorączka ustąpiła. Kiedy Ederius przebudził się w końcu, Izgard pochylał się nad nim, a w oczach młodzieńca szklily się łzy.

“To dar – powiedział, dotykając palcami policzka Ederiusa. – Podarowano mi cenny dar. Nie wiem, co bym zrobił po twojej śmierci”.

Starzec zamknął oczy. Jakże dawne to dzieje. Byli wtedy we trzech: on, Gamberon i Izgard. Skryba, mędrzec i ten, który miał zasiąść na tronie. Upłynęły cztery szczęśliwe lata, zanim coś się zaczęło psuć. Gamberon zamartwiał się od kilku miesięcy. Im bardziej zagłębiał się w historię Kolczastego Wieńca, tym częściej na jego obliczu pojawiała się zmarszczka przygnębienia. Pewnego dnia wieczorem wpadł jak burza do sypialni Ederiusa. Plując śliną, wołał z przejęciem: “Nie wolno nam pozwolić, by Izgard włożył koronę. Jedź ze mną do Sirabayus i pomóż mi zniszczyć Kolczasty Wieniec, zanim kolejny zmierzch zstąpi na wody Weize”.

Ederius chwycił pęk pędzli i wyciągnął je ze spirytusu. Pigment zabarwił alkohol na czerwono. Ruchem szybkim, niemal obłąkańczym, zaczął wycierać włosie pędzli.

Kochał Gamberona jak brata, Izgarda zaś jak syna. Wybór był zadziwiająco łatwy. Gamberon wyruszył bezzwłocznie, samotnie. Ederius odczekał w ciemnościach godzinę, licząc upływające sekundy, potem poszedł zbudzić Izgarda.

“Ruszaj czym prędzej do Sirabayus – powiedział. – Gamberon pojechał tam, żeby zniszczyć Wieniec”.

Ederius zacharczał cicho. Tamta noc była najdłuższą w jego życiu. Skamieniały siedział po ciemku na skraju łoża Izgarda, bolał go pełny pęcherz, oddychał płytko i nierówno, jakby miał za chwilę umrzeć. Czekał.

Zaświtał nowy dzień, słońce wspięło się na szczyt nieba i dopiero wtedy powrócił Izgard. Pod pachą przywiózł Kolczasty Wieniec. Z ostrych cierni nadal zwieszały się strzępy ciała

Gamberona. Ederius przypomniał sobie, jak się wówczas dziwił, że w powrotnej drodze z klasztoru Izgard ani razu się nie skaleczył. Przyszły król wszedł w milczeniu do komnaty, położył koronę na skrzyni, podszedł do siedzącego Ederiusa i zdzielił go pięścią w szczękę. Potrzęsając głową, wyszedł.

“Nie powiadomiłeś mnie od razu – rzucił na odchodnym, pograżając się w mroku. – Dałeś mu godzinę przewagi”.

Ederius przyłożył dłoń do policzka na wspomnienie tamtego piekącego bólu. Wtedy Izgard po raz pierwszy podniósł na niego rękę. Stało się to z chwilą, gdy wszedł w posiadanie Wieńca.

Zazgrzytały zawiasy i do skryptorium wkroczył król. Starzec z trudem otrząsnął się ze wspomnień. Nie słyszał jego kroków.

– Ederiusie – odezwał się władca łagodnie, roztrącając na boki wiszące skóry – cieszę się, że zastałem cię przy pracy. Musimy porozmawiać o moich planach względem Thornu.

Skinawszy głowę, Ederius oderwał dłoń od policzka i zaczął słuchać słów Izgarda. Jeśli będzie miał szczęście król nie uderzy go dzisiaj.

– A to – rzekł Emith, wręczając Tessie pasek materiału – jest barwnik roślinny uzyskany z krocienia barwierskiego. Jak sama widzisz, jest różowy, ale krocienie są też źródłem ciemnej purpury.

Przyjrzała się skrawkowi tkaniny. Wydawał się dość sztywny. Nagle zauważyła, że dotykając go, poplamiała opuszki palców jaskrawym różem.

– Ktoś spartaczył robotę, kiedy utrwał farbę – powiedziała.

Emith łypnął na nią spod oka.

– Masz przed sobą surową farbę. Większość roślinnych barwników trafia na zamorskie rynki w postaci takich nasączonych szmatek. Wystarczy teraz, że zamoczę ją w misce z wyklarowanym białkiem jajek, zostawię wszystko na noc, żeby pigment związał się z białkiem i gotowe. Mam świeżą różową farbę, którą mogę użyć na laserunek lub dodać do innych pigmentów.

– Ach, tak? – Tylko tyle zdołała wykrztusić, przyglądając się szmatce z uznaniem. Tak wielu rzeczy jeszcze nie wiedziała.

Emith wrócił z bazaru obładowany próbkami barwników, które chciał jej pokazać. Tego wieczoru uczył ją, jakie zastosowanie w malowaniu iluminacji mają poszczególne atramenty i barwniki oraz jak są wytwarzane. Cała ta sprawa tak go ożywiła, że postanowił zapalić dwie świece z wosku, które teraz pachniały i nie kopały jak łój. Jego matka odpoczywała na krześle. Wieczera została spożyta, garnki pozmywane, ogień płonął wesoło, podsycany starym wyschniętym drewnem, a deszczyk bębnił o okiennice jak owady o szybę.

– A co tu jest? – zapytała, wskazując na mały, zatkany korkiem słoik, który Emith dopiero co wyciągnął z tobołka. Z każdym nowym dniem wzrastał jej głód wiedzy. Chciała poznać wszystkie szczegóły.

Emith spojrział na słoik pod światło.

– Purpura ze szkarłatnika. To silniejszy barwnik od tego uzyskiwanego z krocienia, ale i droższy. Można go uzyskać z mięczaków żyjących w ciepłych wodach.

– Z mięczaków? – Tessa odkręciła słoik i pozwoliła, żeby jedna kropla kapnęła na wierzch jej dłoni. Pigment był ciemnopurpurowy.

– O, tak – odrzekł Emith. Wesołe iskierki zamigotały w jego oczach. – Nawet z wydzielin y mątwy można uzyskać barwnik.

Wyciągnęła wolną rękę. Emith jej nie rozczarował. Pogrzebał chwilkę w worku i wydobyl kolejny słoik, bliźniaczo podobny do poprzedniego.

– Mątwy wydzielają ciemnobrunatny barwnik zwany sepią. Świetny na laserunki i na wypełnienie tła.

Tym razem nie zdecydowała się wypróbować barwnika. Purpurowa kropla wsiąkla w skórę niczym tatuaż. Kiedy starała się zetrzeć plamę, Emith pokazywał jej żółty proszek, uzyskany z pręcików krokusa. Następnie przyszła kolej na kasztanową pastę zwaną reng, będącą mieszanką henny i indygo; czerwony barwnik, kermes, wydobywany z zasuszonych owadów, znajdujących na pewnych wiecznie zielonych dębach; sproszkowane złoto i srebro stosowane do uzyskania wykwintnych atramentów; żółty i pomarańczowy ugier, uzyskiwane z gleb bogatych w żelazo; grynszpan – zielono-niebieski proszek, zeskrobywany ze śniedziejącej miedzi lub brązu; czerwone, żółte i białe proszki ołowiowe, przed których dotykaniem surowo ją przestrzegał. Na koniec wyciągnął małą szkatułkę z masy perłowej, nie większą od naparstka.

– To jest ultramaryna – powiedział, otwierając wieczko paznokciem. – Najrzadszy ze wszystkich barwników. Ta szkatułka kosztowała mnie dwukrotnie tyle złota, ile sama waży.

Bojąc się oddychać zbyt głęboko, Tessa pochyliła się, by zbadać zawartość. Ciemny, połyskujący błękit kontrastował z bielą szkatułki. A zatem z tej to przyczyny wdowa Furbish tak się podnieciła.

Barwnik koloru morza. Gdy przyglądała się proszkowi, jej umysł pracował nad czymś intensywnie. Skoro tylko zdała sobie sprawę, co to takiego, odprężyła się i zadała pierwsze pytanie, jakie przyszło jej do głowy.

– No dobrze, a jak z tego zrobić farbę? – Oczyma wyobraźni ujrzała wdowę Furbish w jej agonalnej postaci, zwiniętą w kłębek tuż za progiem mieszkania, ze skórą błyszczącą od krwi. Chciałyby na zawsze wymazać ów obraz z pamięci. Chciałyby uczynić to zwłaszcza dzisiaj, po tym jak Emith opowiedział, że harrarzy Izgarda rozprawili się w podobny sposób z mieszkańcami miasteczka. I to nie byle jakiego miasteczka, tylko z siedzibą rodu Camrona z Thornu. Nie potrzeba wyostrozzonej intuicji, by zgadnąć, dokąd on i Ravis wybiorą się tej nocy.

Uporczywie pocierała purpurową plamę na ręce, choć wiedziała, że to nic nie da. Czy zobaczy jeszcze kiedyś Ravisa? Nie miała pojęcia. Bezwiednie sięgnęła do wstążki z

pierścieniem. Kiedy tylko rozmyślała o przyszłości bądź przeszłości, palce mimowolnie szukały pierścienia.

Emith zaczął wykładać na stół zbiór glazurowanych garnuszków. Niektóre z nich, jak ten duży, zwykle przechowywany w spiżarni, zawierający sklarowane białko jajek gotowe do rozrobienia, widziała już wcześniej, lecz większość była dla niej nowa. Dotychczas rysowała wyłącznie czarnym lub brązowym atramentem przy użyciu pióra, a teraz po raz pierwszy miała zapoznać się z metodami mieszania i ucierania barwników.

Emith zamiast palet używał muszli ostryg lub mięczaków, w zależności od wymaganej ilości pigmentu.

Zacznął od białka, do którego dodawał pigment w sproszkowanej lub płynnej postaci, mieszał wszystko malutkim, twardym pędzelkiem, aż mikstura nabrała jednolitego koloru, by na koniec uzupełnić mieszaninę różnymi dodatkami (zależnie od tego, co chciał uzyskać). Czasem zakrapiał farbę wodą, kiedy była za gęsta, czasem też kilkoma paciorkami rybiego kleju, jeśli zamierzał zwiększyć przyczepność do pergaminu. Kreda znajdowała zastosowanie, jeżeli farba miała być bardziej przezroczysta albo jaśniejsza. W tym samym celu do niektórych pigmentów dosypywał zmielone skorupki jajka.

Emith poruszał się jak chirurg operujący głowę. Pewny siebie, doświadczony, zręczny. Wydawało jej się, że widzi go po raz pierwszy. Nie był już tym niskim, spokojnym, starzejącym się człowiekiem, który podskakiwał na głos matki i traktował Tessę z takim respektem, że w ciągu miesiąca ich znajomości nie zwrócił się do niej po imieniu. Zachowywał się jak mistrz w swoim rzemiośle. Jego ruchy były szybkie, oko pewne, a wargi ściągnięte w wąską linię.

Znalazł się w swoim żywiole. W ten właśnie sposób wykazywali się swym kunsztem asystenci skrybów: przygotowywali, mieszały i modyfikowali pigmenty. Tessa wyobraziła sobie Emitha w cieniu za Deverikiem, który pracuje nad swym najnowszym dziełem i co rusz woła o nowe kolory.

Sproszkowana, pomarańczowa ochra uzyskała delikatny połysk po dodaniu łyżki miodu; czerwony kermes nabrał konsystencji żelu pod wpływem woskowiny; błękit indygo został rozcieńczony i stonowany kilkoma zaledwie kroplami moczu (wołała nie dochodzić, skąd czy od kogo pochodził). Guma arabska, biały klej kazeinowy, zwany certusem, czerwony bolus, kwas galusowy, sproszkowane siarczany zieleni i turkusa, sadze – płomieniowa i lampowa, białe i czerwone wino, jałowiec barwierski, zmielone kości i gesso – wszystko to zmieniało w określony sposób właściwości farby: zagęszczało ją, przyciemniało, rozjaśniało, tworzyło tekstury, zmieniało jej kolor, połysk i zdolność wchłaniania.

Zanim Emith zakończył wykład, na stole pojawiły się tuziny muszli z jaskrawymi barwnikami, które przypominały fantastyczne morskie stworzenia, zamieszkujące nie zbadane głębiny. Z około dziesięciu pigmentów Emith stworzył kompletną paletę kolorów, od

subtelnego różu ludzkiego ciała po najkrwawszy karmazyn i od najbledszej szarości robaka po granat nieba o północy.

Tessę olśniła wspaniała tęcza barw. Każda z nich była klejnotem osadzonym w opalizującej oprawce muszli. Kiedy spoglądała na nie, czuła, że otwierają się przed nią nowe możliwości. Ujrzała przecinające stronę wstęgi kolorów, błyszczące cekiny srebra, schody ze złota i czerwieni oraz węzły najciemniejszej purpury, rzucające smoliście czarne cienie. Pragnęła porwać za pędzel i przystąpić do malowania. Gdy wyciągnęła rękę w poszukiwaniu odpowiedniego pędzelka, Emith przytrzymał jej nadgarstek.

– Nie jesteś jeszcze gotowa, by używać całej palety – powiedział i delikatnie odsunął jej rękę. – Zanim zabierzesz się na całego do malowania iluminacji, musisz do końca poznać naturę kolorów, zrozumieć, co reprezentują i kiedy się je stosuje.

Tessa popatrzyła na Emitha. Ile mógł wiedzieć na temat pracy swojego mistrza? Sądząc z tego, jak unikał jej wzroku, wystarczająco dużo, by rozumieć istniejące zagrożenie.

Wyciągnąwszy z zanadru prostokątny skrawek welinu, powiedział:

– Czasami, zwłaszcza w przypadku kopiowania, ważna jest zgodność kolorów. – Rozłożył na stole skórę, dokładnie w tym miejscu, gdzie stykały się rzucane przez obie świece kręgi światła. Namalowany wzór należał do tych prostszych, był to zwykły medalion w otoczeniu lejkowych spirali, lecz użyte kolory nadawały całości blasku. Zlewały się z sobą odcienie zieleni, żółcieni, złota i jasnego brązu.

– Niektóre barwniki są trudne do zdobycia – podjął Emith, wycierając ręce olejkim migdałowym w celu pozbycia się ostatnich plam. – Weźmy dla przykładu żółcień. Można go otrzymać z rzadkiego gatunku dziewanny, która porasta pastwiska górskie na południu Drokho. Nie jest to żaden wyśmienity barwnik – o, szafran to już coś – lecz skrybowie mieszkający w ustronnych zakątkach używają tego, co akurat mają pod ręką. W każdym kraju w odmienny sposób uzyskuje się kolory, zależnie od miejscowej tradycji i dostępności barwników. Nawet tutaj, w Bay'Zell, większość skrybów nad purpurę ze szkarłatnika przedkłada zwykle tę otrzymaną z krocienia, jako że na północy jest tańsza i łatwiej ją kupić.

Kiwając głową, Tessa podniosła papier welinowy.

– Jednym z ważniejszych zadań pomocnika skryby jest jak najwierniejsze odwzorowanie kolorów. Kopiowanie istniejących już wzorów stanowi podstawę działalności wszystkich staroświeckich skrybów pokroju mistrza Deverica. Oni nigdy nie tworzą pod wpływem natchnienia, tylko odrysowują stare przykłady – kopiują je wiernie lub uzupełniają o kilka własnych retuszy. W przeciwieństwie do dzisiejszych skrybów, z których każdy poluje na coś nowego, oryginalnego, dawni mistrzowie pragnęli jedynie przedłużyć życie starszych arcydzieł.

Nie przestając słuchać Emitha, obserwowała, jak coś dziwnego zaczyna dziać się z pergaminem. Kiedy spoglądała nań pod światło, ukazały jej się tysiące mikroskopijnych

nakłuć. Otworki te nie były zwyczajnymi punktami orientacyjnymi. Światło świecy sączyło się przez nie lśnięciami, złotymi promykami.

– Te nakłucia powstały czubkiem noża – wyjaśnił Emith, widząc jej zdziwienie. – Kiedy skryba chce sporządzić wierną kopię oryginału, a nie ma czasu bądź cierpliwości na konstruowanie siatki i odmierzenie wszystkich linii i kątów, kładzie oryginał na czystej stronie pergaminu i czubkiem noża oznacza główne punkty wzoru. Dzięki temu na świeżym pergaminie powstaną punkty odniesienia, na podstawie których skryba zrekonstruuje całość wzoru. Metoda ta znana jest od stuleci.

Tessa głaskała palcem powierzchnię pergaminu. Był sztywny, a to oznaczało, że liczył sobie bardzo wiele lat. Patrząc na niego, zwróciła uwagę na jeden szczególny kolor: srebrzysto-czarny barwnik, który nie pasował do reszty iluminacji. Ten zimny odcień gryzł się z ciepłymi barwami: zieloną, żółtą i złotą.

– Czy użyto tego koloru w jakimś specjalnym celu? – zapytała, wskazując na srebrzystą spiralę.

– To była kiedyś minia ołowiana – odparł Emith, zadowolony ze spostrzegawczości Tessy. – Z biegiem lat farby wykonane ze sproszkowanych metali pod wpływem powietrza blakną – jak w tym przypadku – albo nabierają innego odcienia. Niektóre miedziane zielenie potrafią po wielu latach przegryźć pergamin na wylot. Jedną z najtrudniejszych prac, jakie wykonuję, polega na sprawdzeniu oryginalnego składu barwników kopiowanej iluminacji. Jeżeli ilustracja pokryta jest roślinnym werniksem lub dodatkową powłoką z białka jajek, kolory dłużej zachowują świeżość.

Tessa pochłaniała wszelkie szczegóły, których nie skąpił jej Emith. Karmiła się nimi jak wygłodzone dziecko, sięgając łączywie po wciąż nowe kęsy, mogące wypełnić pustkę panującą w środku. Detale, wiedza, zaangażowanie – od lat czuła ich niedosyt. Po przybyciu do tego świata, do tego domu, zasiadła jakby do uczy, podczas której mogła najeść się aż do przesyty. Nie musiała już odstawiać niektórych dań.

Nie tęskniła za niczym z poprzedniego życia. Dosłownie za niczym. Zdążyła przywyknąć do nocników i wszechobecnej słomy; wody nalewanej z dzbana, a nie z kranu; światła, które trzeba nosić z sobą; sznurowanych sukni; ognia wymagającego większej opieki niż bogaty i schorowany krewniak, od którego hojności zależy byt całej rodziny; podłóg zamiatanych i zaraz potem posypywanych sianem i ziołami; wełnianych, gryzących i marszczących się na kolanach rajstop; braku bielizny, szczoteczek do zębów (no i pasty, ale nauczyła się myć zęby kawałkiem korzenia prawoślazu). Świński smalec, lanolina i mydło zwierzęce musiały zastąpić kosmetyki, jakie wcześniej знаła. W mieszkaniu brakowało lustro – nie wiedziała, jak teraz wygląda. Wprawdzie chciałaby wyglądać jak najlepiej, lecz akurat w tej chwili nie przykładała do tego zbyt wielkiej wagi.

Niewiele faktów z przeszłości miało teraz dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Kiedy patrzyła wstecz na swoje dawne mieszkanie, rozkład zajęć, na dystans dzielący ją od najbliższego

otoczenia, zdawało jej się, że wtedy czekała, przez cały czas czekała ze spakowanymi walizkami.

Natarczywe pukanie do drzwi wyrwało ją z zamyślenia. Spojrzała przestraszona na Emitha. Wstawał właśnie od stołu.

– Wszystko w porządku – powiedział. – To tylko Marcel. Wysłałem do niego wiadomość z prośbą, żeby przyniósł mi do domu iluminacje Deverica.

Marcel. Tessa przypomniała sobie słowa Ravisa: “Nie pokazuj się nikomu, kto podejrze do drzwi, zwłaszcza Marcelowi”.

– Czy wie, że tu jestem? – zapytała. Zastanawiał się przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

– Nie, panienko. Nie wspominałem o tobie w liście. Ale Marcel to przecież swój człowiek. No i serdeczny przyjaciel Ravisa.

Tessa widziała już Marcela z Vailing w akcji. Widziała, jak zdradza swego serdecznego przyjaciela bez zmrużenia powieki. Ale czyż mogła to wytłumaczyć Emithowi? On wyraził by się dobrze nawet o kimś, kto wbił mu nóż w plecy.

– Emicie, mam zamiar schować się w spiżarni. Obiecuj, że nie powiesz Marcelowi o mojej obecności. Obiecuj.

Rozległo się ponowne pukanie.

– Co? Co? – krzyczała matka Emitha. – Kto tam?

Emilii odwrócił się do drzwi, chcąc otworzyć je jak najszybciej.

– Niczego nie powiem, ale się pośpiesz. – Teraz, gdy opuścił królestwo pigmentów i pergaminów, wyrażał się na swój zwykły sposób: cicho i spokojnie; pojednawczo.

Tessa doskoczyła już do drzwi od spiżarni. Otworzyła je i znalazła się w mroku. Kiedy zasuwka opadła z cichym stuknięciem, zaskrzypiały drzwi wejściowe. Powiew chłodnego powietrza przedostał się szczeliną pod drzwiami od spiżarni i usłyszała męski głos:

– Emicie, mój drogi, drogi przyjacielu! Jak się macie, ty i twoja cudowna mateczka? – Nie ulegało wątpliwości, iż głos ten należy do Marcela z Vailing.

Tessa nabrała głęboko powietrza. Zapach szynki zatykał jej nozdrza, później poczuła ostrą woń pełnotłustego sera. Mimo sytuacji nie do pozazdroszczenia ślinka napłynęła jej do ust.

Emith powiedział coś, czego nie dosłyszała.

– Tak, mam je – odparł Marcel. – W zeszłym tygodniu pewien wielmoża przejeżdżający przez Bay’Zell w drodze do Calmo złożył mi całkiem niezłą ofertę. Z uzyskanych pieniędzy mógłbyś do końca życia pławić się wraz z rodziną w jedwabiach i pieczonych homarach.

– Nie mogę jeść homarów więcej niż raz w miesiącu – wtrąciła staruszka. – Mam po nich straszne wiatry.

Tessa uśmiechnęła się. Żałowała, że nie może zobaczyć teraz miny Marcela.

Rozległy się kroki i usłyszała, że coś zostało położone (niezbyt delikatnie) na stole.

– Oto one – rzekł Marcel, jak zwykle grzecznym i układnym tonem. – Gdybyś kiedyś potrzebował pilnie gotówki, mógłbym wypłacić ci zaliczkę pod zastaw tego ostatniego rękopisu. No wiesz, tego poplamionego krwią.

– One nie są na sprzedaż.

Tessa zdumiała się zawziętością, jaka zabrzmiała w głosie Emitha. Nigdy dotąd nie słyszała, żeby mówił tak szorstko. Zbliżyła się do drzwi i ostrożnie przyłożyła ucho do drewna. Nie chciała pominąć żadnego szczegółu.

– Widzę, że pracujesz do późna – raz jeszcze odezwał się Marcel. Wyczuła w tej wypowiedzi jakąś nutkę podejrzliwości.

Emith zaczął coś mówić, używając zapewne kiepskiej wymówki, ale w połowie bełkotliwego zdania starsza pani odezwała się dość głośno:

– No i co z tego, Marcelu z Vailing? Czyżbyś znał jakiś przepis, który mój syn złamał?

Tym razem to Marcel zaczął coś bełkotać. Tessa pojęła, że życie staruszek ma swoje dobre strony: ich słów nikt nie śmie podważać.

Nieco odprężona, oparła się o ścianę. Ażebym zapobiec rozmnażaniu się robactwa, podłogi w spiżarni nie pokryto trzcina (w odróżnieniu od kuchni), przez co ciągnęło od niej przenikliwie zimno. Spiżarnia została zbudowana o dwie stopy niżej od reszty domu, tak by w lecie jedzenie nie psuło się zbyt szybko. Aż do tej chwili Tessa powątpiewała w użyteczność tych dwóch stóp. Gęsia skórka na ramionach wyprowadziła ją z błędu.

Ponownie skupiając uwagę na wydarzeniach w kuchni, wsłuchiwała się w męski głos. Marcel opowiadał coś o wojnie.

– Co tam wojna. Tutaj, w Bay’Zell, nie mamy się czego bać – mówił. – Izgard nie posunie się tak daleko na północ. Teraz, kiedy stało się jasne, że to nie przelewki ani żadne tam figle świeżo upieczonego króla, tylko inwazja na Raize, suzeren ściągnie siły z Mir’Lor i powstrzyma Izgarda, zanim len zdąży przekroczyć Rzekę Chyżą.

Tessa wykrzywiła usta. Marcel z Vailing powtarzał wyuczoną formułkę. Możliwe, że chował w zanadrzu jeszcze jedną, na wypadek zajęcia przez Izgarda Bay’Zell. Wyobraziła sobie początek tego zdania: “Być może nadchodzą ciężkie czasy, ale musimy sobie jakoś poradzić...”

Zawahała się nagle, gdyż zza cedrowych drzwi doleciało imię Ravisa.

– Oczywiście, razem z Camronem wyzwie go na ostateczny pojedynek – powiedział Marcel. W przeciwieństwie do tamtej chwili, kiedy go po raz ostatni widziała, zdawał się wieść prym w rozmowie. – Ich armia powinna spotkać się z królem Garizonu wcześniej od wojsk suzerena. Gdzie teraz stacjonują? Nazwa tego miejsca wypadła mi z głowy.

Tessa cmoknęła językiem o podniebienie. Marcel niczego nie zapomniał. Była pewna, że Ravis nie zdradził mu swoich planów. Mężczyzna po prostu brał Emitha na spytki.

– Nie wiem, gdzie jest pan Ravis – odparł Emith.

Marcel westchnął przeciągle i tęsknie.



– A co z jego uroczą towarzyszką? Tą z rudymi włosami i dziwnym akcentem? Sądzę, że ją poznaliście. Nie wiecie przypadkiem, co się z nią stało?

Wstrzymując oddech, Tessa czekała na odpowiedź. Raptem spiżarnia wydała jej się nieznośnie mała, jak klatka. Mimo że wiedziała, iż Emith dotrzyma obietnicy, nie należał on jednak do ludzi, którzy potrafią kłamać jak z nut, a zdenerwowanie mogło go zdradzić.

Upłynęła dłuższa chwila. Chociaż znajdowała się w ciemności, zamknęła oczy.

Ciszę przerwał tubalny głos staruszki:

– Skąd mamy wiedzieć, gdzie Ravis trzyma swoje kobiety? Czy ta kuchnia przypomina ci burdel?

– Nie, proszę pani – odparł Marcel szybko. – Pomyślałem tylko, że...

– No to nie myśl. Nie marnuj czasu na rozmyślania o Emicie, o mnie i o naszych zamiarach, a my nie będziemy marnować czasu na rozmyślania o tobie!

Tessa miała ochotę wiwatować. Stara matka Emitha okazała się zbyt twardym orzechem do zgryzienia dla Marcela z Vailing. Wszystkie te “odpoczynki” na krzesle musiały wyostrzyć jej język.

Rozległ się pospieszny stukot kroków. Marcel coś powiedział, prawdopodobnie rzucił kilka słów na pożegnanie, ale po raz pierwszy od wejścia do tego domu zrobił to szeptem i Tessa niczego nie zrozumiała. Matka Emitha pożegnała się uprzejmie z bankierem, otworzyły się drzwi i w sekundę potem zamknęły. Dla pewności Tessa postanowiła policzyć do pięciu, ale w połowie przerwała zniecierpliwiona i otworzyła drzwi od spiżarni. Powitał ją widok roześmianych twarzy Emitha i jego matki.

– Choć no tu do ognia, moja droga – rzekła staruszka. – W spiżarni można zamarznąć na kość.

Tessa podeszła do krzesła starowinki i uściśnęła ją gorąco. Kobieta protestowała, czego należało się spodziewać, ale nic to nie pomogło. Tessa wiedziała, ile zawdzięcza tym ludziom. Przyjęli ją do własnego domu, nakarmili, ubrali i nawet kłamali przez wzgląd na nią, najważniejsze jednak było to, że ją obronili. Od bardzo, bardzo dawna nikt się nią tak nie opiekował i nie narażał przy tym – jak Emith i jego matka – na niebezpieczeństwo.

Emith fruwał wokół obu kobiet, z każdym okrążeniem zbliżając się do nich coraz bardziej, aż zebrał się na odwagę i poklepał Tessę po ramieniu.

– Moja matka i ja nigdy byśmy cię nie wydali – powiedział cicho. – Nigdy.

Ravis stał nieruchomo. Wspierał stopę o występ paleniska, opierał rękę na kamiennym parapecie i wbijał wzrok w klepsydrę w oczekiwaniu na powrót Camrona z Thornu. Przez chwilę zmagał się z myślą, czy nie zostawić mu szklanki beriaku, ale wkrótce podjął decyzję i sam wypił porcję Camrona.

Zauważywszy, że błoto oblepiające buty nareszcie obeschło, kopnął nogą w murek paleniska. Ciemnoszary piach rozsypał się po ziemi. Nie tylko Camron z Thornu wybierał się dziś na spacer.

Kilka minut po tym, jak posprzeczał się z lordem, który w następstwie pognał przez dziedziniec jak wariat, Ravis zarzucił płaszcz na ramiona, zapalił jedną z niezniszczalnych latarń, jakimi zwykle rządcą przyświecał sobie w sieni, i udał się przez podwórzec do stajni.

Najpierw porozmawiał ze stajennymi. Przeszedł się z nimi wzdłuż przegród, wypyując o stan koni, wysłuchał rad i opinii, po czym rozkazał w dwie godziny okulbaczyć cztery tuziny wierzchowców. Stajennym nie spodobał się ów rozkaz, albowiem było już dobrze po zmierzchu i jeden płochliwy koń mógł poruszyć wszystkie pozostałe. Ravis jednak zaznajomił się wcześniej ze stajennymi w Runzy, zarówno z tymi, którzy przybyli tu wraz z rycerzami, jak i z rodowitymi mieszkańcami tego miasta. Kiedy wyłuszczył im swoje zamiary, zgodzili się wykonać jego rozkazy. Ten i ów, zwłaszcza spośród starszych, spodziewał się takiego rozwoju wydarzeń.

W następnej kolejności odwiedził kuchnię. Kucharka i służące grały przy stole w karty, popijając przy tym mocne, miejscowe piwo i zagryzając słodkimi, niezwykle popularnymi w tej okolicy ciasteczkami z marchewką. Kiedy wszedł, kucharka szybko narzuciła szal na szynkę, a jedna z dziewcząt schowała do rękawa butelkę. Ravis udał, że niczego nie dostrzegł. Nie obchodziło go jedzenie i wino Camrona, jednak przyjazne nastawienie personelu kuchni znaczyło wiele dla kogoś, kto udawał się w podróż.

Pochwaliwszy kucharkę za smaczną wieczerzę i poplirtowawszy z najbardziej nieśmiałymi i prostymi dziewczętami, zapytał bardzo uprzejmie, czy nie zechciałby przygotować i zapakować prowiantu dla czterech tuzinów... nie, poprawił się, dla sześciu tuzinów ludzi na sześć dni, a wszystko to w ciągu godziny.

Pulchne ramię kucharki spoczęło na szalu, który z kolei spoczywał na szynce. Ravis podejrzewał, o czym teraz myśli: pod nieobecność pana i jego ludzi można odsprzedać nadwyżkę pożywienia, które zakupiono na ten tydzień na bazarze. O tej porze świeża dziczyzna była w cenie.

Kiedy wychodził z kuchni, zmierzając do głównej sali, garnki, patelnie, noże, płytki do siekania, pietruszka, jajka gotowane na twardo i owoce fruwały w powietrzu niby trociny pod piłą.

Większość rycerzy Camrona – dwa tuziny zaprawionych wojaków, około tuzina żółtodziobów, garść butnych szlachciców, kilku mężczyzn w podeszłym już wieku i jeden czy dwóch prawdziwych wojowników – czekała w wielkiej sali. Kiedy w drzwiach pojawił się Ravis, umilkły gwary. Wszyscy zamarli w napięciu. Piwo wietrzało w dzbanach i w kufkach, nie podsycany ogień palił się mizernym płomieniem, zniknął też zwyczajowy szczebiot pokojówek i karczemnych dziewczek. Mówiono jedynie o rzezi w Thornie. Trzech żołnierzy tam się urodziło. Straszna wiadomość wstrząsnęła ludźmi. Byli poddanymi Camrona i – w wielu przypadkach – jego przyjaciółmi, zatem napaść na włości i dobytek Thorna traktowali bardzo osobiście.

Gdy zmierzał na środek sali, obserwował ich buńczuczne spojrzenia. Postanowił mówić bez ogródek.

– Szykujcie prowiant i rynsztunek. Jeszcze dzisiaj wyruszamy do Thornu.

Rycerze, którzy znaczną część ostatniego miesiąca spędzili na krytykowaniu każdej instrukcji, komendy i rozkazu, jakie wydawał, tym razem posłuchali go bez szemrania. Z niecierpliwością oczekiwali na wymarsz. Zapał płonął w tej sali niczym las ogarnięty pożarem. Ravis nawet został poklepany po ramieniu przez jednego z mężczyzn. Do tej pory był w ich oczach łotrem, który kazał przestrzegać bezsensownej musztry, nieustannie bajdurzył o zamianie litych pancerzy na kolczugi lub utwardzaną skórę, przeciwstawiał się podjęciu radykalnych, szybkich kroków przeciwko Izgardowi z Garizonu i szorstkimi słowami wypędził Camrona w mrok nocy.

To ostatnie miało się oczywiście z prawdą – Camron sam sobie zadawał udękę – ale nikt nie był świadkiem owej rozmowy, więc rycerze doszli do jedyne go nasuwającego się wniosku: za nagłe zniknięcie ich wodza odpowiadał Ravis. Łatwo przyszło im nienawidzić kogoś, kto zmieniał utarte zwyczaje. Tym bardziej że ten ktoś był cudzoziemcem sprowadzającym najemników, którzy mieli ich uczyć, jak należy walczyć.

Z podobną niechęcią Ravis spotykał się w trakcie każdej pracy, której się podejmował. Dopiero czas przynosił lekarstwo. Czas i może kilka praktycznych lekcji techniki.

– Bierzcie tylko to, co konieczne – rzucił w ślad za ostatnim żołnierzem, znikającym za drzwiami sali. – Nie dam wam wozów ani juczych koni do dźwigania waszego ekwipunku. Musimy się zwinnie poruszać. – Żaden z nich nie potwierdził przyjęcia rozkazu, co go zbytnio nie zdziwiło.

Po wlaniu nafty do latarni, Ravis odbył ostatnią wycieczkę tego wieczoru: przeszedł dziedziniec, minął palisady, potem mleczarnię i skierował się do koszar. W barakach mieściły się stajnie dla koni i pomieszczenia dla najemników i łuczników, których nadesłał z Bay’Zell Segwin Ney. Ravis spotkał się z żołnierzami, przekazał rozkazy i szybko wyszedł.

Gdy wracał do dworu, rozpadało się. Pogoda nie sprzyjała podróżom; na błotnistych drogach i w bezksiężycową noc nie mogli poruszać się zbyt szybko, ale to nie miało znaczenia. Sam fakt, że byli gotowi do wymarszu, ostudzi nieco Camrona z Thornu.

Wiedział, że kiedy szlachcic powróci z miejsca, do którego zagnała go rozpacz, będzie pragnął tylko jednego: wyruszyć. Nie miał co do tego wątpliwości od chwili, gdy złe wieści dotarły z Runzy. Niemniej jednak musiał wyrazić swoją opinię, sprzeciwić się pochopnemu działaniu i doradzać spokój, gdyż przede wszystkim był zawodowym żołnierzem i służyć radą człowiekowi, który go opłacał, należało do jego powinności.

Tak naprawdę nie byli jeszcze gotowi. Najemnicy ćwiczyli niespełna dwa tygodnie, łucznicy przyплыnęli z Bay’Zell osiem dni temu, a rycerze Camrona stanowili pospiesznie skleconą drużynę. Nie mieli pojęcia, jak w rzeczywistości przedstawia się sytuacja w Thornie: czy natrafia tam na główne siły, czy tylko na załogę zdobytego przyczółka, a może nie

zastaną nic oprócz splądrowanych, opuszczonych ruin. Nikt nie znał położenia, zamiarów i składu wojsk Izgarda, a tym bardziej nie wiedział, co kryje się za potworną żądzą krwi harrarów.

W każdym bądź razie, nie mieli łatwego zadania. Ravis wzdragał się przed nieprzemyślanym atakiem, rozpoczętym bez rozpoznania intencji wroga. Nie uśmiechał mu się taki obrót spraw. Znajdował się już jednak w podobnych sytuacjach i dzięki łaskawości bogów – wszystkich czterech – zawsze uchodził z życiem.

Zaistniało kilka powodów (niektóre były dość błahe), dla których Ravis wcześniej opóźniał przygotowywania do wymarszu. Kiedy teraz wyruszy, pod nieobecność Camrona, bez wątplenia przejmie kontrolę nad biegiem wypadków. Zażegnał sytuację, w której młodzieniec powróci, by w swej lordowskiej wściekłości strzelać rozkazami jak z bata. Pozornie nad całą kampanią dowództwo obejmie Camron, lecz w gruncie rzeczy to właśnie Ravis, schowany w cieniu i dobrze zamaskowany, będzie pociągał za odpowiednie sznurki. Nie było innego wyjścia: szlachcic podchodził do sprawy zbyt emocjonalnie. Spoglądał na świat przez mgłę rozpacz i wściekłości. Ognisty stan ducha bywa źródłem brawury, lecz jakże często tłumi zdrowy rozsądek.

Jednak nie strategia, nie żadne wzniosłe rozważania i podszepty zdrowego rozsądku kazały Ravisowi czekać.

Lubił zbijać ludzi z kontenansu. Wiedział, że kiedy Camron wróci do dworu, z pewnością nie spodziewa się zastać na dziedzińcu drużyny gotowej do wymarszu, w pełnym rynsztunku i na koniach. Uśmiechnął się pod nosem na myśl o jego minie. Minęło wiele lat od chwili, gdy po raz ostatni ktoś wyrobił sobie o Ravisie opinię zgodną z prawdą. Jeśli jakiś człowiek pozna cię na wylot, tak by przewidywać twoje plany, zanim się z nich zwierzysz, i odgadywać rozkazy, zanim je wydasz, staniesz się jego marionetką. Wykorzysta twoje niedostatki, uderzy w słabe miejsca i będzie się chytrze przymilał.

Dwadzieścia jeden lat temu wydawało mu się, że dobrze zna swego brata, lecz Malray chował coś w zanadru. Podczas gdy on był szczery i ufny, starszy brat, którego kochał nade wszystko, trzymał nóż w rękawie.

Obecnie wołał się nie wywnętrzać. Nikt już nigdy nie zarzuci mu, że jest naiwny i łatwo go rozszyfrować.

W sieni rozległy się kroki. Długi cień rzucany w świetle latarni uwieszanej na wysokości piersi zarysował się ciemną smugą u wejścia. Ravis zerknął na pękatą klepsydrę: przez zwężenie przesypywały się ostatnie ziarenka piasku. Wszystko pójdzie zgodnie z planem, choć Camron nie będzie zdawał sobie z tego sprawy. Skorzystał z głównego wejścia, a zatem nie mógł zauważyć poruszenia, jakie panowało na podwórku za domem.

Szlachcic wszedł do komnaty. Włosy opadały mu na twarz niby ciemna zasłona. Błoto oblepiało całe ubranie i lewy policzek, a oczy – już nie szare – błyszczały czernią, zapadnięte głęboko w oczodołach. Przekroczywszy próg, palce prawej dłoni zacisnął w pięść.

– Jeszcze dziś wyruszamy do Thornu! – zawołał, maszerując w stronę Ravisa. – Ty ruszasz wraz ze mną, pojedziesz u mego boku i niech Bóg cię broni przed słowem sprzeciwu!

Ravis czekał bez mała godzinę, rozkoszując się myślą o tej chwili. Zaplanował swoją odpowiedź i zdawkowy ton, jakim jej udzieli. Zdjął nawet rękawiczki, by potem nałożyć je z udawaną nonszalancją. “Spieszmy, lordzie Camronie, bo ludzie zaczynają tracić cierpliwość. Nie każdy z nas może sobie pozwolić na luksus biegania po nocy niby jakiś zakochany dureń”. Widząc jednak, w jakim stanie ten człowiek się znajduje, jak z trudem oddycha, z jaką desperacją krzyczy, ale nade wszystko ze względu na wypowiedziane przezeń słowa – ugryzł się w język. “Ty ruszasz wraz ze mną, pojedziesz u mego boku...”

Poczuł dławienie w gardle. Czyżby Malray powiedział mu kiedyś to samo? Dawno temu, kiedy umarł ojciec, kiedy cały świat zdawał się ich osaczać, a oni byli blisko siebie, jak przystało na braci?

Gdy tak stał z butem opartym o występ paleniska, obserwując przesypany się w klepsydrze piasek, ogarnęło go nagłe wrażenie, iż jest stary i zgryźliwy.

Niezbyt lubił tego człowieka, którym się stał.

Camron zaś budził w nim wstręt, lecz pierwsze słowa, które wyszły z jego ust, zabrzmiały dość błagalnie, biorąc pod uwagę dumę wyniosłego lorda.

Ravis spojrział mu głęboko w oczy. Znikła gdzieś dawna arogancja Camrona. Smutek i wściekłość coś z niego wyszarpnęły. Brzemie straty i odwetu za zamordowanego ojca i świat dzieciństwa, który legł w gruzach, spoczęło wyłącznie na jego barkach.

Ravis zdjął nogę z paleniska. Sięgnął na parapet i odwrócił klepsydrę.

– Po twoim zniknięciu – odezwał się pieczołowicie wyważonym tonem (nie chciał, żeby to zabrzmiało ani łagodnie, ani szorstko) – przemyślałem nasze plany na najbliższą przyszłość i doszedłem do wniosku, że miałaś rację. Nie możemy Izgardowi puścić płazem tej rzezi. Suzeren na pewno wyruszy mu na spotkanie, ale przed upływem dwóch tygodni nie zdoła zebrać swoich sił, rozproszonych wzdłuż drokheńskiej granicy i w Mir’Lor. Ty i ja możemy tymczasem przypatrzeć się armii Garizonu, nadszarpnąć ją tu i ówdzie i zebrać trochę informacji.

Camron skinął głową.

– A co z Thornem?

– Nie mogę jeszcze nic obiecać. To zależy od sił, jakie tam zastaniemy – jeśli w ogóle cokolwiek zastaniemy.

Słowa te były aż nadto prawdziwe i chociaż Camron co innego chciał usłyszeć, nie zgłosił sprzeciwu.

– Ile czasu zajmie nam przygotowanie ludzi? Zdołamy wyruszyć przed wschodem słońca?

Ravis zagryzł wargę. Cała przyjemność, jaką spodziewał się czerpać z tej sytuacji, prysła za sprawą kilku słów z przeszłości. Niemniej jednak twarz rozjaśnił mu lekki uśmiech, gdy oznajmiał, że wyruszą jeszcze tego wieczoru.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Śnieżek dokazywał na swój zwykły, nicponiowaty sposób. Miotał się po podwórku, gdzie ścigał się z wróblami, cieniami, nasionkami dmuchawców oraz samym powietrzem. Wszystko, co się ruszało (sporo też nieruchomych przedmiotów), stanowiło cel gonitw pieska. Śnieżek uwielbiał dziedziniec, gdyż wewnątrz zamkowych murów mógł ścigać się tylko z własnym ogonem. Oczywiście, roilo się tam od szczurów, ale Śnieżek bał się ich bardzo. Jakkolwiek by na to patrzeć, był nieudacznikiem.

Gerta obserwowała popisy Śnieżka, usadowiona naprzeciwno, na kamiennej ławie wysłanej cienkimi poduszczkami. Angeline przyniosła dwie cudownie pękate poduszki, dla siebie i dla niej, ale Gerta uparła się, że służącej nie wypada siedzieć tak samo, jak jej pani, i spod swej przepaścistej spódnicy wyciągnęła żwawo niewielki jasiek. Angeline, nie chcąc okazać, jak rozczarowana jest tym, że Gerta odrzuciła jej piękną poduszczkę, usiadła na dwóch.

Sam pomysł wyjścia na zewnątrz nie spodobał się Gercie. Pewne słowa wymawiała w taki sposób, jakby chodziło o coś wyjątkowo niesmacznego, jak na przykład polowanie na czarownice. “Na zewnątrz? – wykrzyknęła. – Naa zeewnątrz?!” Nawet teraz, kiedy siedziała, rozplatając jedwabną komżę nitka po nitce – jej palce wystawały z przyciętych w kostkach rękawiczek, skórzane napastrki chroniły kciuki, a szpilki, jak zwykle, jeżyły się spomiędzy zębów – sprawiała wrażenie męczennicy. Szarpała palcami jedwab, jakby to była koszula z końskiego włosia.

Wychodzenie na dwór w twierdzy Sern nie przypominało wychodzenia na dwór w jakimkolwiek innym miejscu. Dziedziniec wielkości mniej więcej czterech złożonych brzegami obrusów okolony był wyniosłymi, kamiennymi blankami, które zasłaniały niebo. Tylko przez jedną godzinę dziennie promienie słońca padały bezpośrednio na dziedziniec. Udało się tu wyrosnąć nielicznym roślinom, które przebiły się przez zbitą ziemię rabatek będących dziełem dawno nieżyjącego kucharza lub ogrodnika. Angeline nie знаła ich nazw, gdyż nie były to fiołki, rozmaryny, wrotycze czy koper, tylko jakieś żółte odrosty o twardych łodygach, sprawiające wrażenie równie posępnych i niezniszczalnych, jak sama forteca. Nawet Śnieżek nie wydawał się nimi zainteresowany.

W rzeczywistości królowej także nie podobało się na zewnątrz. Nie tutaj. Nie w twierdzy Sern wraz z jej rozrzedzonym górskim powietrzem, bladym górskim niebem i srogimi górskimi wichrami. Co innego zamek Halmac. Włości w Halmac obejmowały ogrody z żywopłotami, różami, murkami i ziołami, fontanny, stawy rybne, piękne różowe płytki, kaplicę dla uczczenia pamięci męczennika Assitusa. Słońce świeciło tam od rana do wieczora,

a nie tylko w południe. Natomiast motyle, ważki i rozmaite ptaki fruwały po garizońskim, soczyście błękitnym niebie.

– Angeline – odezwała się Gerta ostro – pomóż mi zwinąć nici w motek.

Oblała się rumieńcem. Gerta zawsze wyczuwała, kiedy królowa wspominała stare czasy na zaniku w Halmac.

– Nie mogę ci pomóc przy jedwabiu, Gerto – powiedziała, marszcząc czoło i usiłując wymyślić jakąś prawdopodobną wymówkę, byle wykręcić się od znienawidzonego zwijania przędzy. Jej wzrok spoczął na ufajdanych błotem łapach pieska. – Pobrudziłam ręce, kiedy bawiłam się ze Śnieżkiem.

Śnieżek na dźwięk swojego imienia przestał uganiać się (nie wiadomo za czym) i spojrzał w kierunku swojej pani.

*Śnieżek zrobił coś złego?*

Angeline wybuchła śmiechem. Pyszczyk Śnieżka wyglądał tak zabawnie. Przywołała go do siebie klepieniem w udo.

– Pozwól, że się im przyjrzę – rzekła Gerta, kiwając głową w stronę dłoni królowej. – Zaraz wydam wyrok, jak bardzo są brudne. – Gerta była jedyną osobą na świecie, która mówiła wyraźnie ze szpilkami w ustach.

Angeline popatrzyła na Śnieżka, szukając wsparcia. Piesek jednak zwietrzył, co się święci i szybko znalazł sobie coś ciekawego do obwąchiwania w kącie podwórka. Tak właśnie zachowywały się psy-nieudaczniki. Ześliznąwszy się z poduszek, królowa stanęła obok Gerty.

– Moje ręce nie są aż takie brudne, jak z początku myślałam – wyznała. – Chyba są dość czyste, żeby potrzymać nici.

Gerta skinęła głową.

– No to je wyciągnij.

Ciągle stojąc, Angeline wysunęła ramiona i pozwoliła Gercie nawijać jedwabną przędzę. Zaczęła odczuwać nudności, zupełnie jak dzień wcześniej. Wyjście na świeże powietrze nie wydawało jej się teraz aż tak wyśmienitym pomysłem, podobnie jak zjedzenie kolacji w kuchni, zapalenie ognia w wielkim palenisku i przeczesywanie lochów w poszukiwaniu skarbu. Teraz, kiedy Ederius odszedł, nic nie sprawiało jej radości.

Zgodnie z relacjami Gerty, Izgardowi wiodło się w Raize nadzwyczaj dobrze: zajął wszystkie miasta i wioski na zachodnich stokach Gór Działowych. Miasta te i wioski – nie omieszkała dodać Gerta – zgodnie z prawem i tradycją zawsze przynależały do Garizonu. Służąca zazwyczaj długo rozwodziła się na temat prawa i tradycji, lecz Angeline po wysłuchaniu jednego czy dwóch pierwszych zdań rezygnowała z dalszego wykładu.

Nie martwiła się wyjazdem Izgarda. Bywały chwile, kiedy mąż napełniał ją trwogą, jak po miłosnych uniesieniach: wpadał w gniew, rozkazywał jej się ubrać i wyjść z sypialni. Czasami wyzywał ją, a jeśli był bardzo wzburzony, potrafił uderzyć. Oczywiście później było mu przykro – musiała to przyznać.

W czasie pierwszego tygodnia po jego wyjeździe czuła się jak w raju. Mogła biec na górę i odwiedzać Ederiusa, kiedy tylko chciała. Skryba rysował ładne rzeczy, opowiadał historie i pozwalał malować grubymi pędzlami. W zamian dbała, by jego komnata zawsze była posprzątana, pozamiatana, a przynoszone posiłki – ciepłe. Jakkolwiek wszystkimi tymi przyziemnymi pracami obarczała pokojówki, pielęgnowała go samodzielnie. Gdy tylko złapał go kaszel lub rozboleła głowa, pędziła do kuchni, gdzie gotowała mleko z miodem i migdałami. Ederius był zawsze niewymownie wdzięczny. Głaskał ją czule po ręce, uśmiechał się miło i opróżniał kubek do ostatniej kropelki.

Angeline zmarszczyła brwi. Jakże za nim tęskniła. Izgard odwołał go na linię frontu. Dwa tygodnie temu nadeszło polecenie, by skryba bezzwłocznie przybył do Raize i wspomógł króla swą wiedzą. Ederius spakował barwniki i pędzle do wielkiej brzozonej skrzyni, po czym opuścił twierdzę w asyście tuzina zbrojnych. Nie miał nawet czasu, żeby się pożegnać. „Uważaj na siebie, perełko – zdążył tylko powiedzieć. – Oby dobry Bóg ustrzegł cię od złego”.

– Trzymaj dłonie nieruchomo, pani! – krzyknęła Gerta, wrywając ją z zadumy. – Nici obwisły, a ty myślisz tylko o niebieskich migdałach.

Angeline zastosowała się do polecenia, choć rozboleły ją ręce od niewygodnej pozycji. Niemądrze było przeszkadzać Gercie przy nawijaniu motka.

Opiekunka westchnęła. Szpilki w ustach, niczym gwardziści, stały na baczność.

– Jeśli chcesz wiedzieć, to przez to powietrze kręci ci się w głowie. Nic dobrego nie spotka damy, kiedy wyjdzie “naa zeewnątrz”. Zaiste, nic dobrego.

Śnieżek wybrał ten moment, żeby podbiec w podskokach do stóp królowej.

*Śnieżek tutaj, Śnieżek tutaj!*

Angeline pragnęła z całego serca pochylić się i go pogłaskać, lecz Getta skuliła ją jedwabnymi kajdanami.

– Jak lam twoja miesiączka? – zapytała. – Jesteś jakaś blada.

Gercie wydawało się, że ma prawo poznać wszystkie intymne sprawy Angeline. Królowa chętnie kazałaby swej starej służącej pilnować własnego nosa, ale nie potrafiła zdobyć się na takie słowa. Niechętnie potrząsnęła głową.

– Jeszcze ze dwa dni i nie będzie cienia wątpliwości, pani. – Szpilki w ustach Gerty błyskały wesoło. – Wówczas umilkną głosy tych, którzy chcą cię wysłać za góry, do Izgarda.

– Jakie głosy? – Angeline była szczerze zdumiona. Izgard nie wysyłał do niej posłańców. Posyłał ich do rządcy albo do Gerty, albo też do lorda Browlacha, odpowiedzialnego za bezpieczeństwo twierdzy Sern.

Getta zwinęła ostatnią nić.

– Jak to, moja pani, jeżeli do końca miesiąca nie okaże się, że jesteś w ciąży, będziesz musiała dołączyć do Izgarda w Raize. Król potrzebuje potomka bardziej niż nowych ziem dla swych generałów. Wojna potrwa wicie miesiący, może nawet lat, skoro więc przebywasz w



Garizonie, a król sto mil dalej w Raize, nie ma szans na dziedzica tronu, na którego cały kraj czeka z niecierpliwością.

Otworzyła usta. Dołączyć do Izgarda w Raize? Nawet nie marzyła o takiej możliwości.

Uważając zdziwienie Angeline za objaw przerażenia, Gerta poklepała ją po ramieniu.

– Nie przejmuj się, moja pani. Jeśli jesteś brzemienna, nigdzie nie wyjedziesz, tyle ci mogę obiecać. Na niczym ci nie zbędzie, już ja o to zadbam. Będę się opiekować tobą przez calutki rok.

Królowa przypomniała sobie nudności, jakie jeszcze przed chwilą czuła.

– Jeżeli zaszłam w ciążę, pojedę chyba do Weizach? Albo do domu, do Halmac? – Myśli o spędzeniu dziewięciu miesięcy w tej dziurze Sern, o męczących pogaduszkach z Gertą i dziedzincu w postaci tego maleńkiego, wstrętnego placyku niezmiernie przygnębiły Angeline. Miała tu tylko jednego przyjaciela – Śnieżka.

– Izgard nie pozwoli, żebyś podróżowała do Weizach, będąc w ciąży, moja pani – stwierdziła Gerta. – Pomyśl tylko o tych wąskich, górskich ścieżkach, przepaściach i obsuwających się gładach. To za duże ryzyko. Wystarczy, że jeden kamień stoczy się na drogę, a płochliwy koń może ponieść. Przypomnij sobie, co zdarzyło się, gdy tu jechałyśmy: mleczarka Enna, straszne ladaco, spadła z kuca, kiedy sarna przebiegła przez ścieżkę. Oczywiście, gdyby nie flirtowała z szambelanem, może by nie doszło do tego nieszczęścia.

Angeline nie miała pojęcia, jaki związek łączył sarnę na ścieżce i zaloty szambelana, ale pominęła to milczeniem, gdyż przyszedł jej do głowy nowy argument.

– Nic się jej przecież nie stało – powiedziała. – Stłukła kolano, ale zaraz dosiadła kuca i nawet nie pisnęła.

Gerta potrząsała głową przez – jak się królowej wydawało – dość długi czas.

– To bez znaczenia, moja pani. Kiedy kobieta nosi w sobie dziecko, jej łono jest delikatniejsze od śnieżnobiałej istanijskiej porcelany. Jeden mały wybój na drodze, jeden narowisty koń, jedna nagła burza i...– Gerta wypluła szpilki na dłoń – twoje wnętrzności prysną jak szkło.

Nieco oszołomiona perspektywą pryskających wnętrzności, Angeline pochyliła się, by pogłaskać Śnieżka. Piesek drzemał u stóp królowej. Bojąc się spojrzeć w czujne oczy Gerty, wpatrywała się uparcie w śpiące zwierzę. Wreszcie powiedziała:

– Po czym poznasz, że jestem w ciąży.

Angeline powątpiewała, czy istnieje coś, o czym Gerta rozmawiała z większą przyjemnością niż o kobiecych sprawach. Ledwie królowa zadała to pytanie, opiekunka pojaśniała na twarzy, co można było dostrzec nawet na tym ponurym dziedzincu podczas pochmurnej, górskiej pogody.

Po wspaniu szpilek do jednego z woreczków, wiszących u jej pasa niczym mięso na hakach, Gerta wyjaśniła:

– Cóż, pierwszym objawem są zaburzenia miesiączki. Jeśli nie pojawi się w ciągu kilku następnych dni, zaiste – będzie to dobry znak. Ale... – uniosła ostrzegawczo palec – ..to wcale nie znaczy, że jesteś w ciąży. Możesz chorować z tęsknoty za mężem albo czuć się osłabiona, gdyż jadłaś ostatnio mało mięsa. Nie, nie, prawdziwe objawy to poranne mdłości, ból w piersiach i skłonność do częstszego czerwienienia się bez powodu.

Angeline zwiesiła głowę, tak że niemal dotknęła pieska. Czuła gorąco na twarzy – bez wyraźnego powodu! Nad ranem dręczyły ją mdłości! Zmarszczyła brwi. Nie chciała zachodzić w ciążę, jeśli oznaczało to przebywanie w więzieniu Gerty przez całe lato. Na pazurkach Śnieżka odliczyła dziewięć miesięcy. A niech to, będzie tu tkwiła do wiosny! Żadnych motyli, barwnych ptaków, prawdziwej przestrzeni i przyjaciół.

Śnieżek, zbudzony beczelnym opukiwaniem jego pazurków, zerwał się na równe łapy i zaczął krążyć wokół nóg swojej pani.

*Śnieżek gotowy do zabawy.*

Angeline nie miała ochoty na figle. Przesunęła wzrok z pieska na najbliższy mur fortecy. Kamienne bloki wznosiły się hen, ku blado-niebieskiemu niebu. Ciemny, wilgotny kamień. Po chwili spojrzała na przyległą ścianę, potem na następną, potem na jeszcze jedną; obracała się wokół siebie, aż powróciła do pierwszej. Za wyjątkiem kilku wąskich otworów strzelniczych i krenelaży, wszystkie wyglądały podobnie. Przypominały strażników więziennych.

To śmieszne, ale podczas obecności Ederiusa nie sprawiały one takiego wrażenia. Skryba powinien w tej chwili przebywać w obozie Izgarda: jego przybory malarskie są coraz to brudniejsze z braku opieki, a kaszel coraz dotkliwszy z braku mleka z miodem.

Angeline jeszcze przez kilka sekund kontemlowała wygląd zamkowych murów, po czym wzięła się w garść. Wstała, odwróciła się do Gerty i powiedziała:

– Jeśli moja miesiączka wróci do normy, będzie to oznaczać, że nie jestem w ciąży, prawda?

Gerta była zajęta wciskaniem jaśka pod pękatą spódnicę.

– Tak.

– A jeśli nie będę w ciąży, pojedę do Izgarda?

– Nikt tego nie pragnie, ale może do tego dojść, gdyż królowi potrzebny jest potomek. – Gerta przeszła przez dziedziniec. – Ale nie kłopotz się tym zbytnio, pani. Wygląda na to, że jesteś brzemienna. – Zabierając z ławy dwie poduszki królowej, dodała: – Chodźmy już, pani, spędziłyśmy “naa zeewnątrz” wystarczająco dużo czasu. Zrobiło się zimno, gdyż wieje wschodni wiatr.

Chociaż Angeline nie było zimno, przywołała Śnieżka do nogi.

– Jak jest w Raize o tej porze roku? – zapytała, podążając za Gertą.

– Do farszu używaj soli torfowej, a nie morskiej – rozległo się od strony krzesła.

– Soli torfowej? – zdziwiła się Tessa.

– Tak, suszy się w słoiku nad paleniskiem. – Matka Emitha instruowała ją, jak należy ugotować na obiad pierogi z flądrami i krewetkami. Tessa chciała jak najszybciej uporać się z tym zadaniem, żeby móc obejrzeć w świetle dziennym iluminacje, które zeszłego wieczoru przyniósł Marcel. Na stole leżała prasa rękopiśmienna, promienie słońca ślizgały się po pokrytej rytami drewnianej ramce, a trzpienie zostały odpowiednio poluzowane. Emith pozwolił jej wczoraj zerknąć na jeden ze wzorów, ale światło było przyćmione i pora późna, wobec czego postanowili odłożyć dokładniejsze oględziny na następny dzień.

Podbiegła do paleniska i wzięła wskazany przez staruszkę słoik. Wewnątrz znalazła czystą, białą sól, trochę bardziej sproszkowaną od zwykłej soli kuchennej, którą pamiętała z domu, ale o takim samym kolorze i strukturze.

Widząc, że Tessa przygląda się soli, matka Emitha pokraśniała z dumy.

– Czyż nie jest piękna? Nic tak nie przydaje się w kuchni, jak dobra sól torfowa. Jest droższa od tej zwykłej, ale do niektórych potraw – pierogów czy pikantnych sosów – nie używam żadnej innej.

– Dlaczego jest taka droga? – zapytała Tessa, dodając szczyptę soli do kremowej mieszanki. Staruszka uwielbiała odpowiadać na wszelkie pytania dotyczące gotowania: tak właśnie spędzały czas, kiedy Emith rąbał drzewo, skrobał skóry lub przeglądał zapasy arlo.

– Trudno ją uzyskać, więc cena musi być wysoka. Najpierw robotnicy palą morski torf, aż powstaje popiół, potem mieszają ten popiół w wodzie, dopóki mieszanka się nie wyklaruje. Następnie wszystko się gotuje przez dzień i noc, póki w garze nie zostanie nic oprócz soli. – Matka Emitha potrząsnęła głową z miną wyrażającą szacunek. – Od wypalania torfu ciężiej jest jedynie wykopać go z ziemi.

Tessa skinęła bezwiednie głową; słuchała wywodów staruszki jednym uchem. Uracono ją tak wielką liczbą opowieści o wytwarzaniu przeróżnych rzeczy, iż wiedziała, że najprostszy nawet przedmiot w gospodarstwie powstał w wyniku harówki, długich godzin pracy i złożonych procesów, gotowania, palenia, skrobania i moczenia. Matka Emitha nie udzieliła jeszcze nigdy odpowiedzi: “Co tam, żeby to zrobić, wystarczy pięć minut”. Tak krótki termin byłby w jej odczuciu świętokradztwem. Tylko to, co wielkim nakładem sił i środków wykonywał zespół ciężko pracujących profesjonalistów, było godne znaleźć się u niej w kuchni.

Fruwając z patelnią nad stołem, Tessa mieszała grzyby, krewetki, szalotkę i posiekaną flądrami, będące głównymi składnikami farszu do pierogów. Choć uwijała się jak w ukropie, uwagę jej raz po raz przyciągała leżąca na stole drewniana prasa. Spod ramki wystawały rogi papieru welinowego, zabarwione na szereg odcieni, począwszy na kredowej bieli, a skończywszy na kolorze jasnego bursztynu. Choć najstarszy z rękopisów i najmłodszy powstały w odstępnie dwudziestu jeden lat, Emith podobno pamiętał, jak mistrz uniósł pędzel, by zapoczątkować serię miniatur.

– Deveric postanowił rozpocząć od czerwieni – powiedział. – Wymieszałem i podsunąłem mu sześć innych kolorów, ale on bez wahania sięgnął po czerwień.

Oko Tessy spoczęło na kolorowym prążku, który wystawał spod prasy: ów żółty kosmyk wił się do narożnika najjaśniejszej z kart.

Była to nadzwyczajnie jasna, połyskująca żółcień, przypominająca kolor jej hondy civic.

– Szafran, moja droga – przypomniała staruszka. – Nie zapomnij dodać dwie szczypty, żeby zabarwić sos.

Tessa przyknęła oczy. Jakiś pomysł, nie do końca sprecyzowany – w zasadzie nie pomysł nawet, tylko dwie myśli połączone z sobą za pomocą nici tak ulotnej i wiotkiej, jak pasemko śliny połyskującej między zębami – uleciał z jej głowy na dźwięk słów staruszki. Zanim uniosła powieki, zapomniała, co to było.

Żółta barwa, użyta w iluminacji, kojarzyła jej się z szafranem stosowanym na co dzień w kuchni. Niczym specjalnym się nie wyróżniała.

Po otwarciu pudełka z przyprawami wyszukała kilka pręcików krokusa i posypała nimi sos. Gdy go mieszała, stopniowo uzyskiwał blade, cytrynowe zabarwienie. Matka Emitha, gdyby teraz obok niej stała, doradzałaby zapewne dodanie jeszcze odrobiny szafranu: wzrok jej nieco szwankował i nie rozróżniała subtelnych odcieni. Tessa zerknęła na starszą panią, przypominając sobie, jak wczoraj poradziła sobie z Marcelem. Kto wie, może kilka dodatkowych pręcików ujdzie uwagi staruszki?

Kiedy jej palce zagłębiły się w pudełku z przyprawami, w drzwiach stanął Emith. Do tej pory wykonywał na podwórku jedną z tych uciążliwych prac, które w mieszkaniu są niemile widziane, takich jak obdzieranie skóry, krojenie mięsa, usuwanie wnętrzości, szorowanie garów sianem i popiołem czy gotowanie kory w ługu, żeby mieć czym rozpalić ogień. Jego zarumieniona twarz świadczyła o tym, że musiał mieć do czynienia z parą albo z wrzątkiem. Tessa wolała nie pytać o szczegóły. Po prostu nie chciała wiedzieć.

– Usiądź proszę, panienko, sam dokończę pierogi – rzekł, oplukawszy ręce w niedużej misie, stojącej przy drzwiach. – Od samego rana jesteś na nogach.

Tessa otworzyła usta, chcąc zaprotestować, lecz kątem oka dostrzegła brzeg prasy rękopiśmiennej. Jakże pragnęła przypatrzeć się bliżej tym iluminacjom!

– Postawię sos na ogień.

Emith podszedł i przejął od niej patelnię. Nie miała nic przeciwko temu.

Sięgnęła ku prasie i przyciągnęła rękopisy bliżej siebie. Zagrzechotały metalowe trzpienie. Przy dokładniejszych oględzinach okazało się, że ryty na drewnie zawierają wiele detali: wokół piór i pędzli wiły się węże wpijające zębiska we własne ogony.

Za jej plecami rozległ się dźwięk obracanego krzesła: staruszka – przedtem skierowana twarzą do okna – teraz patrzyła w ogień. W tejże chwili promienie słońca padły na prasę, oświetliły ramię, dłoń Tessy i trzpień między jej palcami.

Wysunęła pierwszy trzpień i odrzuciła go na bok, w cień. Wnet przysła kolej na drugi i trzeci. Czwartą, ciepłą w dotyku, nie był tak luźny, jak poprzednie, i wymagał pokręcenia w lewo i w prawo. W końcu i on się poddał, wychodząc wraz z trocinami. Pozbawiona zabezpieczeń prasa trzeszczała cicho, niczym belka u powały nocą. Tessa pogłaskała brzeg obwoluty, wyczuwając pod dłonią wyżłobione ciała węży, i jak księgę otworzyła prasę.

Chemiczne, słodko-ostre zapachy pigmentów i spoiw drażniły w nozdrzach. Pięć arkuszy pergaminu wpadło Tessie do ręki niby karty do gry. Same arkusze były dość małe. Już wcześniej zdążyła się zorientować, że niewielkie rozmiary i gładka tekstura wskazują na welin. Emith twierdził, że na skórkach martwo narodzonych cieląt uwiecznia się tylko najcenniejsze dokumenty.

Rozłożyła pergaminy na kształt wachlarza. Wydawało jej się, że powinna spojrzeć na nie wszystkie razem; wczuć się w kolory, wzory i ornamenty, objąć poszczególne karty jako jedną całość; dostrzec wspólne cechy; odkryć, jak i dlaczego są z sobą połączone.

Promienie słoneczne, które z taką ochotą przeskoczyły na prasę, nie zamierzały przesunąć się ani o jeden cal dalej. Oświetliły pięć kawałków pergaminu, rozjaśniając brunatny atrament, połyskując na zgniłej zieleni, błyszcząc na ametystowych i rubinowych laserunkach, a nade wszystko lśnić na złocie.

Włókna złotego atramentu przewijały się pośród pergaminowych kart jak arterie na rozpostartej dłoni. Złote haki i ostrza dotykały, spinały, rozdzielały i spychały wszelkie inne linie. Mogłoby się wydawać, iż ów szlachetny pigment karmi wzory rozkręconymi na karcie spiralami, przyciętymi krzywiznami i utkanymi plecionkami. Wrażenie ruchu na iluminacjach porażało zmysły. Tessa wstrzymała oddech.

Pochyliła głowę i zbliżyła się jeszcze bardziej do rękopisów. Pragnęła nasycić się zapachem kredy, ujrzeć szczegóły wzorów z jak najmniejszej odległości. Światło po odbiciu od pergaminu oślepiło ją na moment, tak że musiała zamrużyć kilkakrotnie, by zobaczyć malutkie, złociste kolce. Złote nici, wijące się wśród miniatur, bordiur, ozdobnych pasów i opłotów jeżyły się cierniami niby gałązki róży.

Drobne haczyki czepiały się wszystkiego.

Tessa czuła, jak pod jakimś brzemieniem ugina się jej szyja. Przypuszczała, że dzieje się tak na skutek nadmiernego ślęczenia nad rękopisami, dopóki coś jej nie ukłuło poniżej gardła.

Pierścień przypomniał o sobie.

Wreszcie promienie słońca prześliznęły się po palcach Tessy i pogrążyły iluminacje w cieniu. Pergamin wydawał się teraz sztywny, szorstki i niemiły w dotyku.

Przeszedł ją dreszcz. Ułożyła pergaminy na stole, jeden obok drugiego, po czym sięgnęła ręką do pierścienia. Nie zdziwiło jej ciepło metalu, tylko kolor przypominający do złudzenia zastosowany w iluminacjach barwnik. Wszystkie jego cienie, rozjaśnienia i półtony ze zdumiewającą precyzją zostały odwzorowane na pergaminie.

Dochodziły jeszcze te miniaturowe kolce...

Głaszcząc palcem złoto, przypomniała sobie nagle, co ją tak wcześniej uderzyło: wijący się żółty pióropusz podchodził aż po brzegi manuskryptu. Szafranowy barwnik idealnie pasował do koloru jej auta.

Jeszcze zanim ponownie zerknęła na iluminacje, wiedziała, że włókna zawierające ów szczególny kolor występują wyłącznie na najjaśniejszej, a co za tym idzie – najmłodszej karcie.

Miała rację.

Interesujący ją odcień żółceni znajdował się tylko na iluminacji, po której ukończeniu umarł Deveric. Kropla krwi rozmyła się na żółtym zakolu.

Tessa poczuła ciarki na plecach. Wargi wyschły jej prawie jak papier welinowy, który przed nią leżał. Choć piekły ją oczy, wyteżonym wzrokiem wpatrywała się we wzory.

Żółte spirale przeplatały się z zielonymi zygzakami, co wydawało się dziwne, gdyż kolor ów zwykle zarezerwowany był dla motywów roślinnych. Tymczasem meandry zielonych punktów nie przypominały żadnego roślinnego ornamentu, z jakim spotkała się w życiu, a kojarzyły się raczej z szeregami malutkich świerków.

W głowie Tessy zapłonęła iskierka: myśl, która wcześniej błysnęła gdzieś na obrzeżach umysłu – odegnana, zanim zdołała się skryształizować – rozwinęła się teraz niczym bela sukna. Samochód. Las Narodowy Cleyland. Pierścień.

Przełknęła głośno ślinę. Ze zdumieniem śledziła drogę, którą podążały jej myśli. Cała koncepcja wydawała się irracjonalna, lecz daremnie usiłowała o niej zapomnieć. Iluminacja odzwierciedlała jej podróż przez las. Ilustrowała wydarzenia, które zaprowadziły ją do pierścienia.

Smukła żółta linia wiła się wśród zielonych zakoli lasu, prowadząc do złocistej, kolczastej spirali.

Tessa dostała gęsiej skórki. Skóra na jej głowie wydawała się ściągać, naprężyć na czole i skroniach, czuła gorąco za uszami, a na szyi tętno przepływającej przez żyły krwi.

Wodziła po rękopisie badawczym wzrokiem.

Niektórych fragmentów nie rozumiała: czerwonych spiral, błękitnych pętli, bladofioletowych wstążek. Utkwiła spojrzenie w złotym zwoju, będącym centralnym motywem iluminacji. Sam zwój obramowany został ornamentem listewkowym, wykonanym w technice niello. Pigment w wyniku zmieszania srebra, miedzi, ołowiu i siarki nabrał ciemnoszarego, metalicznego zabarwienia. Ornament nie był niczym więcej, jak tylko pierścieniem prostych, ciemnych kwadratów: skrytek depozytowych.

Żołądek Tessy skurczył się niejako do postaci twardej, ciężkiej kulki. Ogarnął ją stan gorączki. Została uwieczniona na tej miniaturze! Deveric przygotował pędzel i pióro, po czym “wmalował się” w jej życie.

Cała ta iluminacja stanowiła wezwanie. Żaden przypadek nie zaprowadził jej do pierścienia. Za całą sprawą krył się Deveric.

– Emicie! – wykrzyknęła, czując złość, podekscytowanie, z trudem łapiąc powietrze. – Spójrz na to!

Głos jej musiał brzmieć inaczej niż zwykle, albowiem Emith znalazł się przy niej w ułamku sekundy.

– Cóż tam, panienko?

Uderzyła w pergamin.

– Przecież to ja tu jestem, cały mój dzień, w którym znalazłam pierścień. – Palcem powiodła wzdłuż żółtej linii. – Tak właśnie się tu dostałam.

Cień niepokoju przysłonił oblicze Emitha.

– Nie rozumiem, panienko.

Tessa spoglądała nań badawczo. Ile mógł wiedzieć? Wyglądał na wystraszonego, choć z drugiej strony podobne wrażenie sprawiał nader często.

– Deveric mnie tu sprowadził – powiedziała, rozważając każde wypowiedane słowo, ponieważ nie chciała uchodzić za szaloną. – Namalowany przez niego wzór zaprowadził mnie do pierścienia.

Emith zaczął potrząsać głową.

– Czy wiesz coś na ten temat? – zapytała, zanim zdołał odpowiedzieć na poprzednie pytanie.

– Nigdy nie kwestionowałem pracy mojego mistrza, panienko. Nie miałem do tego prawa.

– Bałeś się i wolałeś nie wiedzieć, czym on się naprawdę zajmuje, czy tak? – Znów ogarnął ją gniew. Ktoś wszedł z butami w jej życie. Mężczyzna, którego wcześniej nie знаła – i nigdy by nie poznała – kierował hondą na autostradzie, torując jej drogę pojedynczy mi pociągnięciami pędzla. – Zmieszaj pigmenty, zaostrz piórko i nie zadawaj pytań, a wówczas wina nie spadnie na ciebie. Wiedziałaś, że Deveric mieszał się do cudzego życia. Nie chciałeś tylko obarczać się szczegółami.

Odsunął się od niej, wyraźnie zatroskany.

– Nie, panienko. Mylisz się, Deveric nikogo nie mógł skrzywdzić. Był dobrym człowiekiem.

– Sprowadził mnie tutaj wbrew mojej woli.

– Naprawdę?

Cicha odpowiedź Emitha zbiła ją z tropu. Sama zdecydowała, żeby włożyć pierścień; Deveric nie trzymał jej za rękę. Poza tym w ciągu tych pięciu tygodni pobytu w obcym świecie ani razu nie spróbowała wrócić. Zirytowana faktem, że Emith podjął ów niewygodny temat, a także – należało przyznać – czując wyrzuty sumienia (w ogóle nie myślała o rodzinnym domu), postanowiła znaleźć jakąś kaśliwą wymówkę.

– A właśnie, że Deveric mnie skrzywdził – powiedziała wreszcie. – Wywoływał hałasy w mojej głowie, żebyśmy nie zoczyła z właściwej drogi.

Przy tych słowach przyglądała się czterem pozostałym wzorom. Dwadzieścia jeden lat pracy – tak powiedział Emith.

Ołowiana kulka, będąca żołądkiem Tessy, przekreśliła się, a skóra na głowie naprężyła jak błona bębna. Emith coś mówił, ale ona nie słuchała.

Dwadzieścia jeden lat.

Chwyliła najmłodszą iluminację i podsunęła ją sobie pod nos, by dokładniej zbadać przebieg żółto-zielonego desenia. Żółtemu pigmentowi towarzyszyła szara, idealnie wykreślona spirala, podobna do korkociągu. Była zwiewna niczym kosmyk włosów i jakby przymglona – przypominała bardziej cień niż rzeczywistą linię – a mimo to emanowała mocą. Niby sznur oplatający ser, rozcinała przedmioty dziesięciokrotnie większych rozmiarów, ćwiartując pulchne żółte żyły i złote wnętrzości.

Tessa zaczęła przypatrywać się pozostałym czterem iluminacjom. Tym razem – nie dając się zwieść na manowce złocistymi wstęgami – szukała bladoszarych spirali. Na pierwszy rzut oka wcale ich nie było. Srebrzystych włókienek nie poprowadzono pędzlem, tylko gęsim piórem, przy użyciu atramentu, nie zaś, gęstej farby, toteż linie niemal natychmiast wsiąkały w papier. “Wpały się” – jak powiedziałyby Emith. Kiedy zauważyła pierwszą szarą nitkę, owiniętą wokół bordiury jak łańcuch wokół słupka bramy, zaczęła dostrzegać je w każdym innym miejscu. Cały zbiór rękopisów oplatała pajęczyna poskręcanych nitek.

Głęboko oddychając, wmawiała sobie, że wzory nie przedstawiają tego, co podpowiadała jej wyobraźnia. Nie mogą. Odwróciwszy się, zapytała:

– Znasz może daty powstania kolejnych iluminacji?

Emith, który od dłuższego czasu milczał i stał czujny tuż za jej ramieniem, nie wahał się odpowiedzieć:

– Zanim mój mistrz umoczył pióro w kałamarzu, zwykłem pisać datę na odwrocie karty. Obróć ją i spójrz na lewy dolny róg.

Nie zdążył jeszcze wypowiedzieć ostatniego słowa, a już odczytywała datę widniejącą na najmłodszej karcie. Świeży, czarny napis informował: “Dnia dzisiejszego, to znaczy pierwszego w piątym miesiącu roku pańskiego tysiąc trzysta pięćdziesiątego drugiego po tym, jak Pan nasz raczył ukazać Swój Majestat, Deveric z Fale rozpoczął niniejszą pracę, pragnąc wychwalać, a nie naśladować dzieła Pana”.

Tessa odjęła od tysiąca trzystu pięćdziesięciu dwóch liczbę siedmiu lat i odwróciła przedostatnią kartę. Napis nie był już taki czarny. Odczytała datę: dwunasty dzień jedenastego miesiąca tysiąc trzysta czterdziestego siódmego roku. Odchyliła się raptownie na krześle, jakby jej kości nie wytrzymały ciężaru ciała. Data widniejąca na rękopisie – miesiąc i rok – pokrywała się dokładnie z datą ostatniego poważnego ataku *tinnitus*, nie licząc zdarzenia na autostradzie. College w Nowym Meksyku, sala wykładowa, profesor Yarback. Przeźrocze przedstawiające Ewangeliarz z Lindisfarne. Musiała wówczas opuścić uczelnię i



przeprowadzić się do San Diego w Kalifornii. Mieszkała tam siedem lat, dopóki nie znalazła pierścienia.

Zakryła dłońmi twarz: oczy, nos i usta. Nie mogła wprost uwierzyć, na jak wielką skalę działał Deveric. Jak dalece potrafił wtargnąć w cudze życie. Jej *tinnitus* stanowił dla niego zwykłe narzędzie; w podobny sposób Emith traktował swoje barwniki. Posługiwał się nim jak pręcikiem ołowiu, woskową tabliczką czy też nożykiem.

Owe bladoszare wstążeczki, ścielące się na każdej karcie niczym uwięzione w szkle smużki dymu, wykreślały przebieg jej perypetii z *tinnitusem*.

Pięć najdotkliwszych ataków, jakie przeżyła, zostało udokumentowanych pięcioma wspaniałymi ilustracjami Deverica.

Dotykając najtwardszej i najbardziej poźółkłej karty, usiłowała przypomnieć sobie miesiąc, kiedy po raz pierwszy doświadczyła *tinnitusa*. Pamiętała, że wybiegła wówczas przed dom i miała na sobie koszulkę z krótkimi rękawami. Prażyło słońce – była chyba pełnia lata, lipiec albo sierpień.

Nie musiała patrzeć na datę, by się przekonać, który rok wskazuje. Atak zdarzył się dwadzieścia jeden lat temu, miała wtedy pięć lat.

Tym razem napis Emitha, wyblakły i brązowawy, obwieszczał trzeci dzień ósmego miesiąca tysiąc trzysta trzydziestego pierwszego roku.

Sierpień. Dwadzieścia jeden lat temu.

Jakże długo Deveric nią manipulował!

Tessie zakręciło się w głowie. Jej myśli nie wirowały w sposób gwałtowny i chaotyczny, ale zataczały powoli jedno niewiarygodne koło. Wołała nie zastanawiać się nad implikacjami, wołała nie wiedzieć, co to wszystko znaczy.

Dwa miesiące po pierwszym ataku przeprowadziła się wraz z rodziną z Anglii do Nowego Jorku. Ojcu zaproponowano posadę w amerykańskiej filii przedsiębiorstwa, w którym był zatrudniony. Wciąż pamiętała słowa matki, jakimi namawiała go do przyjęcia oferty: “Ta zmiana może wyjść na dobre naszej córce. Nie chcesz chyba, żeby znów miała taki atak, jak wtedy na trawniku przed domem?”

Nie mogła opanować przyspieszonego oddechu, gdy sięgała po drugą iluminację ze zbioru. Osiemnasty dzień jedenastego miesiąca tysiąc trzysta trzydziestego ósmego roku. Nie była zaskoczona. Miała wtedy dwanaście lat, mieszkała wraz z rodzicami przy Riverside Drive. Wracała właśnie ze szkoły, gdy *tinnitus* dał o sobie znać.

Na Broadwayu samochody wlokły się w potwornym korku. Pamiętała, jak wysiadła wcześniej z autobusu szkolnego, gdyż sądziła, że resztę drogi szybciej przebędzie pieszo. Kiedy jednak dotknęła stopami jezdni, sytuacja zaczęła przybierać niekorzystny obrót. Jakiś samochód z piskiem opon przyhamował opodal, a kierowca wykrzyknął coś obraźliwego pod jej adresem, ponieważ to przez nią musiał się zatrzymać autobus. Gdy dotarła do chodnika, drugie auto przejechało przez kałużę, ochlapując jej płaszcz zimną, błotnistą wodą. W

pobliskiej bramie sprzeczali się dwaj mężczyźni, a ich rozsierdzone głosy szargały jej nerwy. Cała ulica zaczęła się nagle wydawać źródłem nieopisanej kakofonii dźwięków: trąbiących klaksonów, dudniącej muzyki, piszczących dzieciaków i zgrzytających metalowych żaluzji (zamykano właśnie sklepy na noc). Kobieta w płowym płaszczyku, zbyt krótkim, by zakryć sięgającą łydek suknię, ciągnęła na smyczy chudego, ujadającego pieska. Gdzieś w oddali zawyła policyjna syrena.

Tessa biegła co tchu, zaciskając dłonie na uszach, by odgrodzić się od całej tej wrzawy. Po dotarciu do domu zorientowała się, że zamiast pilnować, by hałas nie dostał się do środka, ona tylko czuwała, żeby *tinnitus* nie wydostał się na zewnątrz.

Powracając wspomnieniami do minionych dni, spoglądając na świat poprzez pryzmat szarych spiralek na papierze welinowym, zrozumiała, że atak ten zbiegł się z kolejną przeprowadzką. Znowu ojciec w roli głównej: jakieś przetasowania w pracy odbiły się niekorzystnie na jego stanowisku, wobec czego zaczął rozważać objęcie posady szefa sprzedaży w przedsiębiorstwie dystrybucyjnym w St. Louis. Lekarz Tessy tak mu wtedy powiedział: “Zgiełk wielkiego miasta z pewnością szkodzi waszej córce”. Możliwe, że słowa lekarza przeważały szalę i w ciągu miesiąca wyjechali z Nowego Jorku.

Odłożyła iluminację na stół. Wcześniejsze podniecenie ustąpiło. Zmęczona, nie miała ochoty gniewać się ani czemukolwiek dziwić.

Nie musiała patrzeć na datę trzeciej z kolei iluminacji. Wiedziała, czego dotyczy: pikniku zorganizowanego przez firmę ojca. Czternastoletnia Tessa siedzi sobie wygodnie w towarzystwie rodziców przy stoliku dla członków zarządu. Ojciec trzyma ją za nadgarstek i nie pozwala odejść. Muchy bzyczą koło uszu, pot zrasza koszulkę, dzieci rozrabiają wokół “młodzieżowego stołu”. *Tinnitus* przystąpił do szturmowania tak nieoczekiwanie i z taką furją, że Tessa zemdlła. Akurat przemawiał dyrektor działu sprzedaży, kiedy upadła na stolik, roztrzaskując papierowe kubki, talerzyki i serwetki w kratkę, posyłając na ziemię keczup i musztardę.

Każdy starał się być uprzejmy. Została podniesiona, podano jej aspirynę i wodę do popicia. Żona dyrektora poprawiła jej nawet sukienkę. Jednakże za tydzień, podczas nieplanowanego zebrania zarządu, dyrektor działu sprzedaży poinformował ojca, że awans, którego oczekiwał, należy się bardziej “Jackowi Riggsowi z filii w Lexington. Z pracą tą wiąże się wiele podróży i doszliśmy do wniosku, że podjąć jej może ktoś młodszy, kto nie musi zajmować się rodziną”.

Trzy miesiące później, w obliczu groźby zostania pominiętym przy każdym kolejnym awansie, ojciec Tessy zabrał rodzinę do Albuquerque w Nowym Meksyku. Kolejna praca. Kolejny stan. Kolejny krok na zachód w kierunku pierścienia.

– Proszę, panienko, napij się. Matka mówi, że wyglądasz trochę blado. – Łagodny głos Emitha wyrwał ją z zadumy. Jedną ręką bardzo delikatnie ujęła jej ramię, gdy tymczasem druga kładła parujący kubek na stoliku obok rękopisów.

– Dobrze się czujesz, moja droga? – dobiegł od strony krzesła głos staruszki.

Chociaż z pewnością nie czuła się dobrze, pokiwała twierdząco. Jej głowę rozdzierał tępy ból. Oczy piekły, a mięśnie wokół serca zdawały się dziwnie napięte. Kiedy tak siedziała, coś, w co początkowo nie mogła uwierzyć, teraz stało się oczywistym faktem.

Deveric manipulował życiem Tessy, manipulował życiem całej jej rodziny. Poplamionymi palcami odcisnął swe piętno na każdym zdarzeniu z życia państwa McCamfreyów.

Jak daleko się posunął? Kiedy przerwał swe machinacje? To, co wcześniej uważała za czysty przypadek, a więc przyjazd do San Diego po opuszczeniu college' u, gdy tak naprawdę zamierzała osiedlić się w Los Angeles, zaczęło nabierać znamion wrogiego spisku, równie zawilego i starannie opracowanego, co rysowane przez Deverica wzory. Noc spędzona w motelu w San Diego (na autostradzie zaczął dokuczać jej *tinnitus*), gazeta pozostawiona pod drzwiami pokoju, ogłoszenie o pracy w dziale telefonicznych sprzedaży (nie wymagane doświadczenie), przestały nagle wyglądać na zwykły zbieg okoliczności. Deveric przez cały czas prowadził ją za rączkę.

Sięgnęła po kubek. Był jeszcze gorący. Wraz z parą unosił się zapach cytryny i miodu.

– Wypij do dna, moja droga – zaleciła matka Emitha – a wrócą ci kolory. – Potem zwróciła się do syna: – Wyciągnij pierogi z garnka i dopilnuj, żeby Tessa dostała odpowiednią porcję i dużo sosu.

Staruszka wyglądała na zmartwioną. W normalnych okolicznościach Tessa pospieszyłaby z uspokajającymi słowami, lecz będąc tak przygnębiona, wołała nie zabierać głosu. Ogrom tego, co z nią zrobił Deveric, zaczął niejako opadać na dno jej umysłu, jak drobny, acz ciężki kurz. Osadzał się na języku niczym ołowiany popiół.

Czy zatem *tinnitus* był czymś realnym? A może Deveric, zręczny magik, wyczarował go w wolnej chwili? Tak czy inaczej, wykorzystywał *tinnitusa* ku jej udęce, przyzywał go zaostrzoną końcówką pióra i rozrzedzonym atramentem z sadzy lampowej, kierował jej poczynaniami zgiętym kciukiem i wyćwiczonymi ruchami nadgarstka.

Przeszył ją dreszcz. Po raz pierwszy, odkąd tu zamieszkała, kuchnia matki Emitha wydała jej się zimna, a krzesło, na którym siedziała, chłodne niczym kamień.

Tessa patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Wspominała przeszłość, która w rzeczywistości nie była jej przeszłością. Przegapione okazje, zaniedbane przyjaźnie i zainteresowania, odsunięte na bok związki i ambicje. Deveric umieścił ją w muszli. Szare włókna, oplatające każdą z iluminacji, równie dobrze mogły być zaopatrzone w kolce. Trzymały wszystko i wszystkich na dystans.

Skosztowała herbatki z miodem i cytryną. Była słodka i gorzka zarazem.

Ledwie odstawiła kubek, sięgnęła po miniaturę. Dlaczego Deveric tak bardzo się starał? Dlaczego tyle dłań znaczyło sprowadzenie jej tutaj? Wodząc palcami wzdłuż zielonych, żółtych i złotych linii, wolno kiwała głową. Nie miała pojęcia. “Jednakże – pomyślała,

rozciągając to słowo i wpatrując się uważnie w złociste, kolczaste wstążki – odpowiedź musi znajdować się tutaj, w tych ilustracjach”. Obserwując, jak złoto migoce niepewnie w cieniu, podjęła decyzję.

– Emicie – zawołała, odchylając się do tyłu – daj spokój z tym jedzeniem! Naucz mnie wszystkiego o doborze i używaniu pigmentów. – Nazajutrz zamierzała wyrysować własny wzór i odkryć to, czego nikt jej nie chciał (lub nie mógł) powiedzieć..

Gerta zerwała prześcieradło, jakby ukrywał się pod nią poszukiwany przestępca.

– Oho! – wykrzyknęła, wpatrując się w czerwoną plamkę na środku materaca. – Kiedy to się stało? – zapytała i przykucnęła, by się lepiej przyjrzeć owemu występniemu znamieniu.

Angeline szturchnęła Śnieżka, który natychmiast przystąpił do działania. Piesek wdrapał się na łóżko i capnął rękę Gerty, szczekając na swój przeraźliwy, nicponiowaty sposób i kręcąc młynka krótkim, ruchliwym ogonkiem. Gerta, wstrząśnięta, wyszarpnęła dłoń i zacisnęła pięści.

– Zły pies! – wrzasnęła i zamachnęła się na Śnieżka. Śnieżek bronił czerwonej plamki. Tańczył na swych małych łapkach ze zjezoną sierścią i kłapiącymi zębami: cała przygoda sprawiała mu przyjemność. Przyglądając się jego zachowaniu, Angeline zaczęła podejrzewać, że piesek już dawno miał ochotę ugryźć Gertę w rękę.

Chybiwszy, służąca spróbowała ponownie uderzyć, ale nie włożyła w ów cios całego serca, gdyż rozminęła się z celem o szerokość swej strasznej, garizońskiej głowy.

– Angeline! Musisz nauczyć tego psa moresu – powiedziała, odwracając się od Śnieżka, łóżka i – co najważniejsze – od ciemnoczerwonej plamy.

Angeline nie czuła, że wstrzymuje oddech i dopiero gdy otworzyła usta, aby przeprosić Gertę, strumień powietrza poprzedził jej słowa niczym wpadający przez otwarte drzwi podmuch wiatru.

– Wybacz mi, Gerto. Sama nie wiem, co wstąpiło w Śnieżka. – Mówiąc to, podeszła do łóżka, niby to od niechcienia podniosła ściągnięte przez Gerłę prześcieradło i przykryła nim materace: psa, plamkę, wszystko. Zwierzakowi nie przypadło do gustu to nagłe przykrycie, zaczął bowiem podskakiwać i czekać na opadające prześcieradło, jakby to było jakieś wielkie, polujące ptaszysko. Na widok Śnieżka atakującego pościel Angeline omal się nie roześmiała, ale nie po to zmarnowała całe popołudnie na obmyślanie planu, żeby w ostatniej chwili wszystko zaprzepaścić.

Pozostało jej jedynie odciągnąć Gertę od łóżka i zająć ją czymś innym.

– Krew pojawiła się wcześniej, kiedy zdrzemnąłam się przed kolacją – powiedziała szybko. – Po południu nie czułam się najlepiej, właściwie po zjedzeniu tego pasztetu z bażanta, który podgrzała mi Dham Fitzil...

– Dham Fitzil to skończona wariatka! – wpadła jej w słowo Gerta. – Kto przy zdrowych zmysłach po dwóch dniach odgrzewa pasztet? No tak, równie dobrze mogła uraczyć nas wyciągiem z lulka czarnego i wytruć do nogi! – Potrząsnęła gwałtownie głową, aż jej całe

ciało wespół z wszystkimi dodatkami – przybornikiem do szycia, nożyczkami, chusteczkami, grzebieniami, pincetami, fiolką perfum i kosmetyczką – zakołysało się do rytmu z tą rozhuśtaną głową. – Przysięgam: pewnego dnia ona nas pozabija!

Angeline skinęła głową, zgadzając się z opinią swej opiekunki. Gerta nienawidziła tej kucharki, gdyż spośród usługujących kobiet w twierdzy Sern ona jedna dorównywała jej rangą. Odwieczna rywalizacja między nimi nie odbywała się na przyjacielskich warunkach. Nie lubiły się, nie ufały sobie i nie zgadzały przy każdej sposobności. Każda z nich sądziła, że to ona ma prawo czuwać nad całym gospodarstwem na zamku i rozkazywać pozostałym kobietom ze służby. Angeline nie dbała o to, kto ma pełnić ową funkcję, wiedziała tylko, że Gerta w równym stopniu uwielbia krytykować Dham Fitzil, co dyskutować o kobiecych problemach.

Podeszła do ognia:

– To oznacza, że nie jestem w ciąży, prawda?

Gerta rzuciła okiem na łóżko. Śnieżek, któremu w końcu udało się uwolnić spod prześcieradła, warknął jak na zawołanie. Służąca zawtórowała mu, wydając jakiś dziwnie brzmiący dźwięk, jakby chciała pogrozić pieskowi, po czym zwróciła się do królowej:

– Z tego, co się zorientowałam, krew wyglądała jak należy, pani. – Obniżyła głos o oktawę, mrugnęła bardzo nieznacznie w stronę żołądka królowej i zapytała: – Wciąż płynie?

Angeline przytaknęła. Namyslała się przez moment i usiadła na ławce przy palenisku. Pomyślała, że bardziej wypada jej siedzieć niż stać.

Gerta westchnęła.

– A więc to miesiączka. Miałam nadzieję, wbrew wszelkim rozsądnym przesłankom, że to jednak ciąża, ale niestety. – Uśmiechała się lekko. – Może następnym razem, pani.

Dręczona wyrzutami sumienia, Angeline jeszcze raz przytaknęła.

– Przykro mi, Gerto – powiedziała. – Zrobiłam wszystko, jak mi kazałaś.

– Wiem, pani. Wiem. – Gerta poklepała ją po ramieniu. – Po prostu nie podoba mi się pomysł z wleczeniem cię przez te góry do Raize, to wszystko. Obóz wojskowy to nie miejsce dla młodej damy, takiej jak ty, pani.

– Pojedziesz chyba ze mną, Gerto? – Myśl o podróży do Izgarda bez towarzystwa opiekunki przeraziła ją nie na żarty. Gercie można wiele zarzucić: wścibstwo, apodyktyczność, zbytnią poufałość, lecz Angeline przywiązała się do niej i przywykła mieć ją pod ręką.

Gerta pokiwała głową.

– Oczywiście, że pojedę, pani – odparła matczynym tonem. – Czy mogłabym zwać się damą do towarzystwa, gdybym wysłała moją panią na samotną wędrówkę do Raize, podczas której mogłaby rozmawiać jedynie z gwardzistami i końmi? – Mówiąc to, podeszła do łóżka. – Zabiorę teraz, pościel do pralni, a następnie powiadomię lorda Browlacha o twoim stanie. Z pewnością jeszcze tej nocy zechce wysłać gońca do Izgarda.

Angeline zerwała się z ławki. Śnieżek, którego jedyna rola w całej tej przygodzie polegała na ochronie poplamionej krwią pościeli, schował się w jakimś kącie. Piesnieudacznik znów się gdzieś zabawiał.

Nurkując w stronę gwałtownie zmniejszającej się przestrzeni, dzielącej Gertę i poplamione prześcieradło, Angeline zawołała:

– Sama zaniosę pościel, Gerto! Ty idź do lorda Browlacha i przekaż mu wiadomości.

Nastąpiła chwila milczenia. Na twarzy opiekunki odmalował się wyraz bezgranicznego zdumienia, tudzież cień podejrzliwości. Angeline była pewna, że stara opiekunka słyszy łomot jej głośno bijącego serca. Plama na prześcieradle nie miała nic wspólnego z krwią, była barwnikiem – cynobrem, na który Angeline natknęła się w skrzyni w skrytorium wkrótce po tym, jak wraz z Gertą odpoczywały rano na świeżym powietrzu. Buteleczka została schowana pod kaftanikiem, przyniesiona do sypialni i wylana w odpowiednim zagłębieniu; barwnik do złudzenia przypominał krew.

Angeline nie chciała mieszkać w twierdzy Sern, przebywać tu przez następnych dziewięć miesięcy. Jakkolwiek nie miała pewności co do swojej ciąży, wołała nie ryzykować. Skoro Gerta musiała zobaczyć krew, żeby pozwolić jej wyjechać, zobaczyła ją. Teraz jednak wyglądało na to, że wszystko wyjdzie na jaw. Pigment miał wprawdzie właściwy kolor i konsystencję, pachniał jednak inaczej; gdyby go Gerta dotknęła, cały plan spaliłby na panewce.

– Nonsens, pani – sprzeciwiła się opiekunka, zabierając się do dzieła. – Nie pozwolę ci spacerować po schodach w twoim obecnym stanie. Musisz się położyć, a nie biegać po zamku w poszukiwaniu pralni.

Angeline zmarszczyła czoło, przestąpiła z nogi na nogę i spróbowała skrzesać jakąś inteligentną wymówkę, lecz na próżno. W głowie miała pustkę, Śnieżek zapadł się pod ziemię, a ręka Gerty nieuchronnie zmierzała w kierunku łóżka.

Przeklinając własną głupotę, zacisnęła zęby i przymknęła powieki, szykując się na zdemaskowanie. Dlaczego nie dorównywała sprytem innym kobietom?

Upłynęła sekunda. Zaszleściło ściągane prześcieradło, zatrzeszczały cicho stare kości pochylonej nad łóżem opiekunki.

Angeline nie ważyła się otworzyć oczu. Popadła w najgorsze tarapaty, o jakich mogła pomyśleć. – Jak na to wszystko zareaguje Izgard? Co począć? Zadrzała.

Wtem rozległ się podejrzany dźwięk, jakby ktoś palcem przejechał po materacu. Towarzyszył mu odgłos wciąganego powietrza.

– Cóż to za paskudne, obmierzłe psisko! – wykrzyknęła Gerta, niemal piszcząc z obrzydzenia. – Śnieżek, natychmiast do mnie!

Angeline spojrzała zdezorientowana. Tak bardzo zagryzała zęby, że teraz bolała ją szczęka.

Gerta zerwała prześcieradło z łóża i rozpostarła je przed oczami królowej.

– Zobacz, co zrobiło to nicponiowate psisko! – krzyknęła. Potrząsając głową, Angeline wciągnęła w nozdrza ostrą woń amoniaku. Plama na prześcieradle była większa i bardziej różowa niż poprzednio.

– Twój piesek zmoczył pościel: nasikał wprost na poplamione miejsce. – Gerta wymachiwała przed nosem Angeline zbrukany płótnem, jakby to była odcięta głowa. – To odrażające. Na czterech bogów, jeśli nie zaczniesz go szkolić, pani, wówczas ja się nim zajmę!

Gerta trzęsa się z takim animuszem, że wszystkie jej krawieckie przybory pobrzękiwały niby różnej wielkości dzwonki. Czerwieniąc się z wściekłości, zwinęła prześcieradło w bezkształtny rulon, w którym ukryła mocz psa i plamę krwi, po czym wystrzeliła za drzwi.

– Jeżeli to się powtórzy – rzuciła, odwracając się w progu – każę rządcy odciąć mu ogon. – Po tych słowach pomaszerowała na korytarz, ciągnąc po ziemi część prześcieradła, jakby to był tren sukni.

Angeline wpatrywała się w drzwi w osłupieniu. Nie mogła uwierzyć, że zdołała wyjść cało z tak groźnej sytuacji. Śnieżek zmoczył pościel?

Jakby świadomy, że ktoś w myślach wymówił jego imię, piesek wyczołgał się spod łóżka. Wyglądało na to, że jest z siebie niezmiernie zadowolony. Zakręcił ogonkiem i podbiegł do nóg swojej pani.

*Nicpoń, nicpoń.*

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Tuż przed świtem świat wypełniały tysięczne odcienie szarości. Ravis z Burano w swoim życiu zapoznał się już ze wszystkimi. Kiedy jechali stępą u podnóża wapiennego urwiska, niebo miało kolor węgla drzewnego. Cienka, srebrzysta linia przecinała horyzont, podświetlając popielate chmury, ołowiane drzewa i wzgórza pokryte nagą, łupkową szarością. Nawet mgła była szara. Tworzyła zawirowania wokół pęcin wierzchowców, mocząc wszystko, na czym osiadała, a nawet większość z tego, czego nie dotykała. Ravis czuł, jak okrywa mu skórę zimną, wilgotną i tłustą otoczką, wdziera się pomiędzy uda i końską sierść, a także wpływa do płuc. Znajdowała się wszędzie i nigdzie zarazem, a walka z nią była beznadziejna. Gdy pada deszcz, można przynajmniej zarzucić płaszcz na ramiona.

– Miasto jest tuż za tym wzniesieniem – szepnął Camron z Thornu. – Możemy tam być w niespełna godzinę.

Ravis skinął głową. W ciągu ostatnich dwóch godzin ograniczono rozmowy do niezbędnego minimum. Znajdowali się w dolinie położonej na północny zachód od Thornu. Aby się tu dostać, potrzebowali dwóch nocy i jednego dnia, a chociaż w ciągu tego czasu większość żołnierzy nie zażyła snu trwającego dłużej niż pięć godzin, żaden nie był śpiący. Nawet teraz, pogrążeni we mgle i szarości przedświtu, wszyscy mieli się na baczności, siedzieli wyprostowani w siodłach, rozglądali się uważnie dokoła, nie zdejmując dłoni z rękojeści mieczy.

Dwóch jeźdźców wysunęło się na szpicę, jechali jakieś pół mili przed resztą oddziału. Byli to świetnie wyszkoleni istanijscy tropiciele. Dosiadali koni, którym za młodu przecięto struny głosowe, aby przypadkowym rzeniem nie wydały jeźdźców na pastwę wroga. Kilka minut wcześniej Ravis zauważył krąg zdeptanej ziemi, oznaczający miejsce, gdzie tropiciele zatrzymali się i zsiadli z koni. Pojedynczy skrawek materiału obok ścieżki oznajmił mu, że owinęli tu wierzchowcom kopyta. Coś musiało wydać im się podejrzane. A kiedy istanijski tropiciel czuje niepokój, mądrze jest samemu zacząć się niepokoić.

Ravis powściągnął cugle swego konia. Wałach oddalał się z cienia rzucanego przez skały, podążając za głosem instynktu, nakazującym mu wyjść na najbardziej oświetlone miejsce. Ravis pogłaskał go po szyi, spojrzał w stronę widnokregu i po raz ósmy w ciągu ostatniej godziny sprawdził, czy miecz łatwo się wysuwa z pochwy.

– Wkrótce postój – szepnął do Camrona. – Poczekamy na meldunki zwiadowców.

Zagadnięty potrząsnął głową. Wyprzedzał Ravisa zaledwie o wyciągnięcie szyi. Ich wierzchowce jechały tak blisko siebie, że od czasu do czasu ocierały się bokami.

– Za godzinę wstanie słońce, nie możemy pozwolić sobie na postój.



“Nie możemy pozwolić sobie na ryzyko” – pomyślał Ravis, ale myśl tę zachował dla siebie.

Coś poruszyło się w listowiu na lewo od ścieżki. Para gęsi wzbiła się w powietrze; ich podbrzusza lśniły, oświetlone pierwszymi, strzelającymi od wschodu promieniami, a skrzydła rozpędzały mgłę.

Ravis zerknął na Camrona.

– Jeden z hurrarów Izgarda mógł tu się gdzieś zaciać. – Kiedy to mówił, czuł niemal na języku kosmyki mgły. Smakowały czymś wykopanym z ziemi – Zanim podejdziemy pod miasto, musimy się dowiedzieć, z jak licznymi siłami mamy do czynienia. Izgard mógł tam pozostawić nawet dwustu ludzi.

– A to dlaczego? – parsknął Camron. – Przecież wszyscy mieszkańcy polegli. Zwierzęta zarżnięto, zbiory spalono. Dlaczego, na Boga, miałby trwonić ludzi, żeby czuwali nad wymarłym miastem?

Ravis potrafiłby wymienić kilka powodów, dla których Izgard mógł obsadzić wojskiem Thorn, ale postanowił wybrać tylko ten najbardziej oczywisty.

– To teraz jego terytorium. Z tego, co wiemy, Thorn stanowi obecnie najbardziej na zachód wysunięty przyczółek Garizonu i jest więcej niż pewne że Izgard nie odda go bez walki.

W cieniu urwiska twarz Camrona osnuwała gęsta zasłona szarości. Zbyt sztywno powodził lejcami. W słabym świetle jutrenki kłykcie jego palców były bielsze od białek oczu. Ravis wiedział, że cokolwiek powie w takiej sytuacji, zostanie to pущzone mimo uszu: Camron nie słyszał nic pracz krzyków pomordowanych.

Ravis spał wąża piętami i ruszył do przodu. Widoczność poprawiała się z wolna, a konie wraz z ustępującym mrokiem stawały się coraz bardziej niespokojne. Gdzieś w tyle rozległo się rzenie i parskanie. Zabrzęczała uprząż, gdy któreś z płochliwych zwierząt szarpnęło za wędzidło i potrząsnęło grzywą. Mgła znacznie się przprzedziła. Puszyste kłęby rozpadły się na wąskie pasemka, które spływały coraz niżej ku ziemi.

Ravis żuł wargę. Wcale mu się to nie podobało: zapuszczali się na oślepie na nieprzyjacielskie terytorium, nie wysłuchiwali raportów tropicieli i nie znali potencjalnej siły wroga. Nie przyświecał im nawet jasno sprecyzowany cel – a przynajmniej nie taki, na który wszyscy przystali. Siła, jaką dysponowali, nadawała się jedynie na rekonesans lub do dokonania sabotażu, jednak – wnosząc z wyrazu twarzy Camrona i jego zbielejących palców – nie był on zainteresowany żadną z powyższych możliwości. Owładnęła nim żądza walki.

Miał dużą szansę, że spełnią się jego nadzieje, gdyż Izgard był nieobliczalny.

Ravis uniósł się w strzemionach i spojrział wstecz na kolumnę jeźdźców. Jakies trzy czwarte mili poza oddziałem złożonym z czterech tuzinów konnych, pogrążeni w głębokim cieniu, ciągnęli najemnicy ilucznicy zwerbowani przez Segwina. Camron sprzeciwiał się, żeby jechali wraz z nim (wszyscy jego ludzie byli podobnego zdania) i chociaż Ravis

wiedział, że zdoła zmusić szlachcica do uległości w tej sprawie, zaniechał wysiłków. Najemnicy byli dokładnie tam, gdzie sobie tego życzył: zabezpieczali tyły.

Kiedy znów popatrzył przed siebie, daleko na horyzoncie wzbijała się w niebo smużka dymu. W sekundę później wyczuł zapach palonego drewna. Palonego drewna i czegoś jeszcze.

– Ktoś warzy strawę na śniadanie – syknął Camron.

Ravis skinął głową, jednakże nie był przekonany, czy chodzi tu o śniadanie. Spojrzał na ścieżkę, szukając odcisków kopyt wierzchowców tropicieli. Z każdą minutą słońce wznosiło się wyżej nad horyzont i już z daleka widoczne były dwie pary śladów, rozmytych teraz i niewyraźnych na skutek owinięcia kopyt szmatami. Ich obecność tylko w niewielkiej mierze uśmierzała niepokój Ravisa.

Nie potrafił pozbyć się wrażenia, że gdzieś przed nimi urządzono zasadzkę.

Znaleźli się w odległości mili od czegoś, co przypuszczalnie było zajęтым przez wojsko miasteczkiem, a nie napotkali żadnych oznak bytności żołnierzy, obozowych ognisk i śmieci, wartowników czy jakichkolwiek śladów. Widzieli tylko tajemniczą smugę dymu na horyzoncie. Ravis sądził, że to wabik mający za zadanie wciągnąć ich w pułapkę, lecz Camron ściągnął wodze i skierował wierzchowca prosto w jego stronę. Reszta oddziału podążyła za nim bez słowa sprzeciwu.

Ravis zatrzymał się, obserwując przejeżdżających koło niego żołnierzy. Słyszał ich przyspieszone oddechy, widział twarze mokre od potu i wyprostowane plecy, z pewnością targane bólem. Sprawczynią tego wszystkiego była blaszana zbroja: człowiek zamknięty w metalowej puszcze przy każdym ruchu czuł ciężar żelastwa, a uwięzione krople potu, nie mając ujścia, pokrywały ciało warstwą wilgoci. Na razie panował chłód, ale chmury już się rozpraszały, a mgła wsiąkała w ziemię. W ciągu paru godzin słońce zacznie prażyć i zanim minie południe, ludziom Camrona spod szyi będzie buchać para.

Najciemniejszą godzinę nocy spędzili na krótkim, posepnym odpoczynku. Nie zapłonął żaden ogień, nie rozległ się żaden głos, nie rozbito żadnego namiotu w celu powstrzymania naporu mgły. Niektórzy postanowili się zdrzemnąć, inni w milczeniu polerowali miecze, oczekując na sygnał do zapięcia zbroi i wymarszu. Najemnicy wraz z łucznikami rozbili oddzielny obóz. Ravis odwiedził ich i pozwolił im się napić ciepłego beriaku (jego bukłak przylegał ściśle do końskiego boku), udzielając przy okazji ostatnich wskazówek. Kiedy powrócił do głównego oddziału, zwijano właśnie obóz i szykowano się do dalszego marszu na wschód.

Jedną ręką przytrzymując wodze, a drugą sięgając do głowni miecza, Ravis rozglądał się po okolicy i czekał, aż miną go ostatni jeźdźcy. Nie dało się określić źródła dymu: mogło znajdować się przed lub za wzniesieniem. W zdradliwym, przyćmionym świetle poranka trudno było ocenić odległości.

Zanim skreślił konia, by dogonić Camrona, spojrzął do góry, na poszarpaną krawędź urwiska. Gdyby to on urządzał zasadzkę, tam właśnie wystawiłby czaty.

Nic nie wpadło mu w oko prócz stert kamieni i rzednących obłoków. Wzruszył ramionami, spiął ostrogami konia i pogalopował w ślad za oddziałem.

Choć Tessa wcierała proszek w pergamin małym drewnianym klockiem, mieszanka kredy i miąższu chleba dostała jej się pod paznokcie. Emith zaoferował się wyręczyć ją przy tej pracy. Tłumaczył, że nad przygotowaniem pergaminu zawsze czuwa pomocnik skryby, nigdy sam skryba. Ona jednak odrzuciła jego pomoc. Miała wykonać swą pierwszą iluminację i chciała uczestniczyć przy jej powstawaniu w jak największym stopniu.

Przez większą część nocy uczyła się od Emitha reguł i poprawnych procedur iluminowania. Reguły te wydały jej się nadzwyczaj prymitywne: należało zawsze oddzielać od siebie motywy roślinne i zwierzęce; każda linia wchodząca w skład ornamentu morfologicznego, każda pętla i krzywizna, choćby nawet wydłużała ciało zwierzęcia poza granicę realizmu, musiała stanowić fragment zgodnej z prawidłami natury całości: dwoje oczu, czworo nóg, jeden ogon; motywy roślinne powinny wydobywać się z jednego punktu – z rabaty, donicy – nie mogły zaś rozlewać się po pergaminie dowolnie, w oderwaniu od ziemi; należało tak dobierać kolory, by odpowiadały naturze; niektóre kształty powinny być przedstawiane w zwierciadlanym odbiciu po obu stronach karty, inne natomiast powielane określoną liczbę razy.

Tessa siedziała w milczeniu, wsłuchana w wykład Emitha: sporadycznie kiwała głową i powtarzała w myślach co trudniejsze wyrazy; w najwyższym stopniu koncentrowała uwagę na szczegółach.

W pewnej chwili skończył się łój, a ponieważ żadne z nich nie ruszyło się, by zapalić świeżą kostkę, następnych kilka godzin spędzili w ciemności. Tessa, przysłuchując się wywodom Emitha, szkicowała w wyobraźni zapamiętane z iluminacji Deverica linie i kształty. Na czarnym tle ujrzała zielone spirale, żółte wstęgi, złociste zwoje i srebrzyste powrozy. Całe jej życie zawarło się w tych krzywiznach. Gdy się im przyglądała oczyma wyobraźni, pogrążona w ciemnościach późnej nocnej godziny, coraz bardziej pragnęła namalować prawdę.

Musiała dowiedzieć się, w jaki sposób znalazła się w tym miejscu.

– Czy chcesz podbarwić pergamin, zanim zaczniesz? – zapytał Emith łagodnie, jakby się domyślał, że myśli jej błędą bardzo daleko. – Czy też wolisz kłaść pigment bezpośrednio na proszek?

Tessa popatrzyła na równą, niemal białą powierzchnię papieru welinowego, która teraz mogła łatwiej wchłaniać barwniki, gdyż kreda i miąższ chleba nadały jej aksamitny charakter. Ederius zmielił proszek dość grubo i ziarenka kredy podrażniły jej skórę. Miała czerwone palce, z których jeden nawet krwawił.

W miarę jak wpatrywała się w pergamin, jego biel – perfekcyjna i nieskazitelna – zaczęła jej się wydawać zbyt czysta i świeża, niby dziecinna książeczka do kolorowania, którą należy wypełnić kredkami. Swoją pierwszą iluminację chciała wszak rozpocząć w sposób możliwie najbardziej osobisty. Atrament powinien wnikać w wybrany przez nią kolor. Chciała sprawować kontrolę nad najdrobniejszym elementem kompozycji.

Spojrzała przez okno na wschodzące słońce i wstrząsnął nią dreszcz. Popatrzyła na ciemne przestworza. Rozbolała ją głowa, a miarowe tętno pod skronią coraz bardziej dokuczało.

– Szary – powiedziała cicho po chwili. – Niech papier welinowy będzie podbarwiony szarością.

Po czterdziestu minutach wiedzieli już, skąd wydobywa się dym. Mijali kolejne rzędy spalonych winorośli – których zwęglone gałązki wystrzelały z ziemi niby monstrialne, wielonogie owady – potem podążali wzdłuż wyschniętego łożyska strumienia, przedzierając się od czasu do czasu poprzez splecione szuwary.

Camron rozpoznawał na swej drodze każdy kamień, krzak, wzgórek i ścieżkę przemarszów bydła. Znał wygląd całej krainy, kolory drzew w pełnym słońcu i jakość wina uzyskiwaną z winorośli rosnących na poszczególnych polach. Był to niegdyś jego dom, kiedy więc zobaczył spalone mleczarnie i winiarnie, wymarłe pola i gnijące szczątki zwierząt, wielki ogień wściekłości począł trawić mu trzewia. Izgard z Garizonu zniszczył jego ojczyznę, przyjaciół, rodzinę i całe życie, z wyjątkiem bolesnych wspomnień nie zostawiając nikogo i niczego, o co mógłby walczyć.

Dym unosił się znad skalistej odkrywki na drugim końcu wąskiej kotliny. Wapienne głązy przebijały się przez cienką warstwę gleby u podnóży stoków, a świerki opasywały wieńcem cały obszar, odgradzając go od szarości świtu. Pasy przyćmionego, widmowego światła spinały zbocza doliny, kiedy blade promienie słońca, wciąż schowanego za widnokregiem, przeciskały się tu i ówdzie pomiędzy gałęziami. Grunt pod nogami stał się twardy.

Zapachy palonego drewna i gotowanej stawy w dziwny sposób stawały się tym mniej wyczuwalne, im bliżsi byli celu. Być może wiatr się zmienił. Gdy jednak Camron spojrzał do góry, okazało się, że dym unosi się prostą, niezmaconą smugą, a to wskazywało na brak nawet lekkich powiewów.

Przypomniał sobie słowa Ravisa, wypowiedziane przed niespełna kwadransiem: “Miej oczy otwarte. Schodzimy coraz niżej, z otwartej przestrzeni do zamkniętej doliny”.

Zadarłszy głowę w kierunku okalającego stoki doliny wieńca skał i drzew, musiał przyznać w duchu, że słowa te nie były pozbawione racji. Niestety, nie mógł brać jej pod uwagę. W rzeczywistości podążał za dymem z pełną świadomością, że może to być pułapka. Znajdował się teraz w rodzinnym kraju. Przybył tu, żeby walczyć. Ravis mógł sobie doradzać

od świtu do zmierzchu, planować i obmyślać strategie, ale to by jedynie opóźniło na krótki czas bieg wypadków.

Tu umarli ludzie: dobrzy i uczciwi, kobiety i mężczyźni, którzy kochali swój kraj, szanowali ziemię, wychowywali bogobojne dzieci i pracowali z podniesioną głową. Camron czuł, że nie może popełnić świętokradztwa, odwiedzając miejsce ich śmierci niczym wystraszony kapłan o świcie, lgnąc do rzucanego przez skały cienia, w kompanii przednich i tylnych straży oraz najemników. Mieszkańcy Thornu zasłużyli na coś więcej. Zasłużyli na hołd dzielnych, walczących wojowników.

– Tutaj! – rozległ się okrzyk, przerywając ciszę poranka. – Znalazłem ogień!

Camron wyteżył wzrok, usiłując zajrzeć pomiędzy skałki i gęste chaszczce porastające przeciwległą stronę doliny. Mimo że nie miał pojęcia, że któryś z jego rycerzy wyruszył przed nim, z zadowoleniem przyjął fakt, iż przynajmniej jeden człowiek odważył się na to. Okazało się, że nie jest osamotniony w swej chęci walki.

Nagle westchnienie, coś jakby syk, odbiło się echem od ścian doliny. Wkrótce potem rozległo się głuchoe tąpnięcie. Słyszając to, spiął konia do cwału i pomknął w stronę zarośli.

Kawalkada jeźdźców była tuż za nim. Nikt nie próbował dłużej zachowywać ciszy: uprzęż dzwoniła, konie parskwały, zgrzytały zbroje, dźwięczały miecze w pochwach i rozlegały się głośne przekleństwa. Camron poczuł ciężar na piersiach i zaschło mu w ustach. Kiedy ogarnęły go cienie skał, słowa Ravisa wciąż brzmiały mu w uszach: “To pułapka, a my idziemy w nią jak ślepi głupcy...” Bezwiednie potrząsnął głową. Nie, nie głupcy. Dzielni, walczący wojownicy.

Pocieszając się tą ostatnią myślą, omiatał spojrzeniem podnóża stoków w poszukiwaniu oznak ruchu.

Wnet natknęli się na wierzchowca któregoś z rycerzy, który wałęsał się samopas u stóp wapiennego głazu. Smuzka dymu, nie większa teraz od szarej niteczki, unosiła się pośrodku zakątka okolonego wieńcem skał, gdzie nie można było dostać się konno. Przerzucając nogę nad siodłem, Camron spojrzał za siebie, chcąc wypatrzeć wśród rycerzy twarz Ravisa. Czekał niemal na słowa przygany, piętujący szaleństwo, jakim jest zsiadanie z konia bez uprzedniego sprawdzenia, co kryje się dalej. Tymczasem nie padło żadne ostrzegawcze słowo i chociaż wyteżał wzrok, nigdzie nie zobaczył najemnika.

Tuzin ludzi zsiadł z koni wraz z Camronem, odpinając tarcze od skórzanych sakw, wysuwając sztylety z pochew i układając miecze w dłoni. Jeden z żołnierzy szeptem odmówił modlitwę, drugi klepnął Camrona w ramię z prośbą, by pozwolono mu pierwszemu pójść i sprawdzić, czy nie czyhają tam na nich jakieś niebezpieczeństwa.

– Nie – odmówił Camron, próbując znaleźć słowa mogące opisać kotłujące się w nim uczucia. – W tej sprawie musimy stanowić jedność.

Mężczyzna skinął głową i zajął pozycję u boku swego dowódcy. Camron zwrócił się do reszty oddziału, która nie zsiadła z koni.

– Pochowajcie się między skałami i miejcie na wszystko baczenie, dopóki nie wrócimy. Niech nikt nie waży się odjeżdżać zbyt daleko i tracić z oczu towarzyszy. – Poczekał, aż każdy skinie głową. Spoglądając w butne twarze, uzmysłowił sobie, że w ciągu kilku ostatnich minut całkowicie zmieniło się nastawienie żołnierzy. Oddział, wcześniej zaledwie czujny, teraz był gotowy. Nie musiało paść żadne słowo, żeby tym ludziom dać do zrozumienia, iż wkrótce ruszą w bój. – Oby Bóg was prowadził – rzekł z bólem w sercu, przesuwając wzrok po twarzach swoich żołnierzy – oraz darzył siłą i światłem.

Powyższa formułka stanowiła prostą modlitwę, rozpowszechnioną w Thornie, wypowiadaną co rano przez farmerów wychodzących w pole i co wieczór szeptaną dzieciom przez matki. Teraz jednak Camronowi zdało się, że słyszy głos ojca: błogosławieństwo z za grobu.

Odwrócił się szybko plecami do rycerzy. Bał się powiedzieć coś więcej. Jakby domyślając się nastroju wodza, młody żołnierz, który wcześniej prosił, żeby go wysłać na zwiady między skały, wydał rozkaz rozpoczęcia akcji.

Camron ruszył w stronę dymu. Świt jaśniał już w pełni, światło zmieniało się z każdą minutą, skracając cienie i zmieniając perspektywę. Ktoś krzyknął do rycerza, który znalazł ognisko. Odpowiedziało mu milczenie.

Z bliska skały okazały się o wiele większe, aniżeli Camron wcześniej podejrzewał. Górowały nad nim, zasłaniając widok i rzucając głębokie cienie na, i tak już ciemne, podłoże. Poszarpane, kamienne krawędzie wystawały z ziemi jak kolce i szlachcic musiał raz po raz zerkać pod nogi, gdyż w przeciwnym wypadku zdarłby z butów zelówki. Gdzieś z oddali dobiegał plusk strumyka. Na ów dźwięk doznał olśnienia: przecież odwiedził już kiedyś to miejsce. Dwadzieścia lat temu, będąc jeszcze wyrostkiem. To Dolina Popękanych Kamieni.

Był wówczas środek zimy i śnieg sięgał mu pasa. Nagła zamieć śnieżna odcięła od świata stado owiec Długiego Angrima i wszyscy mieszkańcy Thornu – począwszy od Camrona i jego ojca, a skończywszy na zegarmistrzu Sterrym i Bowlegu, miejscowym pijacynie – zaczęli szukać zwierząt. Nikt nie uczestniczył w tych poszukiwaniach z jakiejś wielkiej łaski; po prostu w taki sposób zachowują się ludzie w górach: pomagają sobie nawzajem. Spośród trzech tuzinów zaginionych owiec trzydziestka szybko się odnalazła, skulona na górskim pastwisku. Już w niecałą godzinę ich pobekiwanie naprowadziło grupę poszukiwawczą na właściwy trop. Z upływem czasu przetrząsano coraz to bardziej skaliste tereny, wysunięte dalej na zachód. Cztery owce dostrzeżono na grzbiecie ośnieżonego klifu, a kolejną – przerażoną i oszołomioną – u brzegów zamarznętego jeziora.

Z nadejściem zmierzchu, po odnalezieniu wszystkich owiec z wyjątkiem jednej, każdy farmer uważałby siebie za szczęśliwca, zmówił modlitwę do świętego Assitusa – legendarnego owczarza, który zginął w obronie stada – i udał się do domu. Długi Angrim postanowił szukać dalej, aż znajdzie ostatnią owcę.

Ostatecznie słońce skryło się za wapiennymi graniami i grupa poszukiwaczy wróciła do doliny. Kiedy brnęli w głębokim na trzy stopy śniegu. Długi Angrim usłyszał pobekiwanie owcy. Traktował stado jak własne dzieci i serce mu się krajało, gdy słyszał płacz jednej z owieczek. Z okrzykiem: “Tatko już w drodze!” – pobiegł w stronę skał.

Ludzie powiadali później, że to śnieg go zabił. Wicher nawiał pod skały zaspy sięgające ramienia, a gładki kobierzec śniegu przykrył wszelkie ostre krawędzie. Długi Angrim, zapewne wciąż słysząc zawodzenie owieczki, wszedł nad jedną z nich, spodziewając się, że śnieg będzie ubity. Nie był. W tym miejscu utworzyła się cienka, puszysta warstwa, która pod ciężarem człowieka raptownie się załamała. Długi Angrim spadł prosto na poszarpane, skalne kolce. Rozbił czaszkę, złamał kręgosłup, a kiedy dotarła pomoc, już nie żył. Nad ciałem Długiego Angrima stała zaginiona owieczka, trącając pyszczkiem włosy nieboszczyka.

Ojciec nie pozwolił mu oglądać zabitego, ale chłopiec stał dostatecznie blisko, by słyszeć, jak krew pasterza skapuje z szyi na wapienny kamień.

Wkrótce potem Camron domyślił się, że wieśniacy kłamią na temat prawdziwego powodu śmierci Długiego Angrima. Śnieg go nie zabił. Zrobiły to skały.

Drżąc na całym ciele, wspinał się na głaz śliski od wieczornej mgły.

– Rhif! – krzyknął do zaginionego rycerza. – Rhif!

Tym razem, gdy nie nadeszła odpowiedź, wcale nie był zdziwiony.

Mając za plecami tuzin ludzi, szlachcic omijał skały. Stanąwszy na kamiennej półce, poczuł nagle nikły zapach palonego drewna. Na wprost siebie zauważył wstążkę dymu, ulatującą spomiędzy wysokich, omszałych głazów. Nie zauważył jednak śladu Rhifa. Rękojeścią miecza odgarnął z czoła włosy i wziął głęboki oddech. Mimowolnie spojrzął za ramię, czy aby nie stoi za nim Ravis z Burano. Choć nie cierpiał tego człowieka, wysoce cenił sobie jego rady. Kto wie, czy w tej chwili, w obliczu zagrożenia, które wyczuwał tylko instynktownie, choć żadne oznaki go nie zapowiadały, nie skorzystałby z rady drokheńskiego najemnika?

Ravis gdzieś przepadł. Camron, mimo że wzdragał się przez chwilę, potrząsnął ramionami, zeskoczył ze skały i ruszył przed siebie.

Wejście do skalnego gniazda przypominało wejście do grobowca. Temperatura spadała równie szybko, jak widoczność. Pod nogami nie czuło się już miękkiej ziemi, tylko lity kamień. Pośrodku pierścienia skał tliło się maleńkie, dogasające ognisko. Spomiędzy poukładanych luźno drewniak sączyły się nikłe smużki dymu. Zbliżając się do ogniska, Camron słyszał tuż za sobą oddechy swoich ludzi.

Gdy podszedł bliżej, wśród poczerniałych patyków dostrzegł jakiś mgliście znajomy przedmiot. Na jego widok serce zabiło mu żywiej. Choć miał do ogniska jeszcze kilka kroków, wiedział, że nie spodoba mu się to, co w nim znajdzie.

Było to ludzkie przedramię, osmalone przy łokciu. Camron z pewnością nie rozpoznałby owej ręki, gdyby nie to, że płomienie ledwie ją liznęły. Wystawała ze zwęglonego, dymiącego

drewna niczym pozdrowienie z zaświatów. Wszystkie paznokcie zostały ściągnięte, a palec wskazujący zakrzywiono w szyderczy, wyzywający sposób.

Przełknąwszy głośno ślinę, starał się odwrócić wzrok. Niemniej jednak pewien szczegół zwrócił jego uwagę: złoty pierścień na serdecznym palcu, którego ametystowa gemma połyskiwała jak oko jaszczurki. Camron natychmiast rozpoznał ów klejnot. Jego właścicielem był człowiek, który niegdyś nauczył go obchodzić się z mieczem. Zastępca ojca pod Wierną Górą. Łysy Mollas.

Camron zdrętwiał. Zagryzł wargę z taką siłą, że zęby niemal ją przegryzły, a w ustach zebrała się krew. Co też zrobili z nim ci harrarzy? Dlaczego pozostawili w ogniu kawałek jego ciała? Camron upadł na kolana i wyciągnął przedramię z ogniska. Ten widok ludzkiej dłoni, wystającej z popiołów i zwęglonych patyków, napawał go odrazą.

Wówczas poczuł zapach. Ohydny zwierzęcy smród, który dobrze pamiętał od dnia, w którym zginął jego ojciec. Smród krwi, potu i uryny rozkładających się pod przykryciem gorącego futra.

Kiedy wciągnął go w nozdrza, zdało mu się, że spada w czarną, głęboką czeluść, po której ścianach błędzą upiorne cienie, a dnem płynie ametystowy wosk. Trafił do gabinetu ojca. Ludzie, którzy w gruncie rzeczy ludźmi nie byli, fruwali po komnacie jak wiedźmy w czasie zlotu. Obojętnie, jak bardzo się starał, jak szybko biegł, jak głośno krzyczał – sztylet nieubłaganie pogrążał się w piersi ojca.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece! – wykrzyknął ktoś na lewo od niego.

Camron widział terazniejszość jak przez szparę w drzwiach. Oddychał krótko i spazmatycznie. Trzęsły mu się ręce i gdzieś pod żebrami dokuczał mu ból, jakby zaogniła się dawna rana. Czuł się zagubiony.

– Znaleźliśmy Rhifa! – krzyknął ktoś inny. Z trudem powrócił do rzeczywistości.

Z tonu tego drugiego głosu mógł wnosić, że to, co znaleźli jego ludzie, wcale Rhifem nie było. Co najwyżej ciałem rycerza. Ściskając dłoń na głównej rękojeści miecza, podniósł się z klęczek. Zwierzęcy odór rozwiął się w nicość, a pozostał jedynie zapach zwęglonego drewna i nadpalonego ciała. Umysł musiał płatać mu figle.

Idąc w stronę miejsca, skąd dobiegały okrzyki, usiłował uspokoić własne serce. W oczach żołnierzy powinien wyglądać na człowieka opanowanego, który kontroluje całą sytuację.

Znalazł swoich ludzi tuż za kamiennym kręgiem, tam gdzie leżało ciało Rhifa. Twarze mieli posępne, dłonie zaciśnięte w pięści. Wargi poruszały się – czy szeptali modlitwy, czy też ochronne formuły, tego nie wiedział. Zobaczyli swojego wodza i rozstąpili się, pozwalając mu przyjrzeć się ciału Rhifa z Hanisteru.

Sądził, że jest przygotowany na najgorsze. Przypuszczał, że po tym, co ujrzał w gabinecie ojca i co znalazł w ognisku, nic już nim nie wstrząśnie ani go nie zaskoczy.

Mylił się.



Rhif nie umarł. Jeszcze nie umarł, ale czy żył? Ściągnięto mu skórę z piersi i otwarto klatkę piersiową. Ciało i mięśnie zostały zdarte, a żebra rozsunięto, by odsłonić serce, które wciąż pompowało krew. Rhif miał otwarte oczy i z trudem łapał powietrze. Mięśnie prawej dłoni kurczyły się i rozkurczały, a z niewielkiej rany na nodze sączyła się wolno krew. Jego bryczesy przesiąkły moczem.

Camron zacisnął powieki. Zaszło mu w gardle. Powietrze w płucach wydało mu się cięższe od wody. Oddychając szybko, otrząsnął się ze wspomnień z zamku Bess, kiedy to, zbiegłszy po schodach, znalazł na najniższym stopniu rozpostarte zwłoki siostrzeńca Hurina.

Teraz podobny los spotkał młodzieńca, który tak bardzo pragnął walczyć, że nie czekając na główne siły, wyjechał niebezpieczeństwu na spotkanie.

Uklęknął obok niego. Ktoś bezwiednie odmawiał Prawdziwą Modlitwę Pana. Źrenice Rhifa pociemniały z bólu. Za wszelką cenę starał się nie okazać strachu. Camron ujął prawą dłoń nieszczęśnika i ścisnął jego palce, żeby uśmierzyć konwulsje. Mógł teraz zapytać o wiele szczegółów – co się wydarzyło, skąd nadeszli napastnicy, w jakiej liczbie i czy byli dobrze uzbrojeni. Wolał jednak milczeć. Zamiast tego przysunął się do Rhifa, przytulił młodego rycerza i szepnął:

– Niech Bóg cię przyjmie do swego Królestwa. Obyś znalazł drogę do domu. Oby twoje czyny nie uległy zapomnieniu i przyniosły owoce. Obyś odpoczywał w wieczności, wiedząc, że ci, których umiłowałeś, nie mogli umiłować cię bardziej.

Po tych słowach wyciągnął nóż i przeciął arterie wyprowadzające krew z serca. Położywszy się obok niego, poczekał, aż wyda ostatnie tchnienie.

Wokoło ludzie milczeli z zamkniętymi oczami, opierając o ziemię czubki mieczy.

Kiedy skurcze ustały, Camron puścił dłoń młodzieńca. Pochylił się i pocałował go delikatnie w policzek. Ze zdziwieniem stwierdził, że się uspokoił. Wypowiedziane przed chwilą słowa odcisnęły się w jego sercu już w dniu śmierci ojca i dopiero teraz zdołał je z siebie wydusić. Nie skierował ich do Bericka – na to było za późno – lecz wystarczyło, że usłyszał je ów dzielny młodzieniec.

Camron powstał. Zimny wiatr zaczął dąć od wschodu.

Smród zwierzęcych odchodów podrażnił nozdrza lorda. Przypuszczając, że zawodzą go zmysły, spojrzął na najbliższego żołnierza.

– Coś tu cuchnie – rzekł rycerz.

Ledwie to powiedział, natura świtu uległa zmianie.

Pod niebo wzbily się przeraźliwe, zwierzęce ryki. Setki pochodni rozbłysły żywym płomieniem, tworząc opasujący skały i dolinę pierścień ognia. Zabrzęczały miecze i rozległ się kwik koni. Na skalistym podłożu zadudniły kopyta.

Cienie rzucane przez głązy zdawały się ożywać, a mroczne postaci wyskakiwały z jeszcze mroczniejszych kryjówek, wymachując nożami odbijającymi pierwsze promienie wschodzącego słońca. Postaci te pojawiały się zewsząd: wyczołgiwały się spod kamieni, na

które wdrapywali się żołnierze, wypełzały zza krzaków, które ci minęli i zeskakiwały z drzew, o które się oparli celem złapania oddechu lub zawiązania buta.

Coraz to większe ich rzesze wylaniały się spomiędzy skał, ze zboczy i z zakamarków ukrytych wśród popękanych głazów. W ułamku sekundy cała dolina została wypełniona jakby czarnym olejem. Okryci kaftanami i pelerynami w najciemniejszych odcieniach szarości, napastnicy zdawali się pochodzić z samych trzewi ziemi. Poruszali się z zaskakującą godnością, wznosząc wysoko miecze. Ruchy ich ramion były dziwnie płynne, przy czym głowy trzymały się sztywno na karku. Płaszczki unosiły się na wietrze, oczy błyskały, otwarte usta odsłaniały porozcinane, różowe dziąsła – białe w miejscach, gdzie kość i nasady zębów przebiły się na powierzchnię. Między ściśniętymi zębami błyszczała gęsta jak śluz ślina.

Wstrętny smród, jakby mięsa gnijącego w zwierzęcej norze, powalał na kolana. Camron zakrztusił się i omal nie wymiotował.

Harrarzy obsypali okolicę błyskiem roztańczonych świateł. Pochodnie obdarły jutrzenkę z jej chwały, każdemu człowiekowi i kamieniowi przydając po kilka cieni.

Smród. Cienie. Światło. Wąskie ostrza, obnażone kły, dziąsła przypominające zwierzęcy kręgosłup obciążony skórą. Camron zawrzał gniewem. Z taką siłą ścisnął rękojeść miecza, że naczynia krwionośne zdawały się pękać na jego dłoni. Znowu nastąpiła noc, podczas której zabito jego ojca.

Ta straszna, przeklęta noc.

Spojrzał na swoich ludzi i zauważył, że są gotowi. Następnie zerknął na zwłoki Rhifa z Hanisteru; jakże były spokojne! Zmasakrowane ciało kontrastowało z wyrazem twarzy. Między powiekami młodzieńca a jego ustami zamieszkała ufność. Czysta, nie podlegająca dyskusji ufność.

Camron obawiał się, że serce mu pęknie pod wpływem wielkiego ucisku. Każdy obecny przy nim mężczyzna był jego ojcem, bratem i synem. Jeśli nie zdoła ich uratować, pójdzie na dno wraz z nimi, a straszliwy uczynek, którego dopuścił się w dniu śmierci Bericka, zostanie ostatecznie odpokutowany. Skoro nie mógł wówczas uratować ojca, powinien był umrzeć wraz z nim.

Nie zważając na zawrodożenie wyjących niczym wilki harrarów, nie przejmując się smrodem zwierzęcych nieczystości i palącej się smoły dziesiątków pochodni, wydał rozkaz do zajęcia pozycji.

Gdy ciemny, rozmyty pierścień nieprzyjaciół zacieśniał okrążenie, dwunastu ludzi otoczyło w milczeniu ciało Rhifa z Hanisteru.

Na pergaminie pojawiły się pomocnicze linie i punkty odniesienia. Szara welinowa karta, twarda i wysuszona nad kominkiem, leżała nie dalej niż na wyciągnięcie ręki. Patrząc na nią, Tessa czuła skurcz mięśni brzucha. Umierała z niecierpliwości.

– Oto pierwszy, panienko – powiedział Emith, wręczając jej kościany pędzel o główce z sobolowego włosia. – Natłuszczyć ci jeszcze jeden, cieniutki, tak na wszelki wypadek.

Kiwnęła głową. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. W ciągu tych kilku sekund, jakie upłynęły między zakończeniem liniowania welinu a otrzymaniem pędzla, jej świat zaczął walić się w gruzy. Czuła, jak nieprzeniknione cienie pochylają się nad nią za plecami i po bokach. Gdy zanurzyła pędzel w lśniącej, lepkiej czerni farby uzyskanej ze smoły i sadzy, cała izba zaczęła się jakby ścieśniać do wielkości pojedynczego świetlnego kwadraciku. Papier welinowy, dłonie, pigmenty i pędzel – nic się poza nimi nie liczyło. Nawet powietrze ciążyło jej na palcach, jakby i ono uległo skurczeniu.

Emith coś mówił, być może udzielał ostatnich wskazówek lub dodawał otuchy, lecz ona nic zwracała już na niego uwagi. Jego słowa mąciły atrament.

Zaciskając kurczowo palce, przybliżyła pędzel do pergaminu. Ciężka od farby końcówka wyrysowała na papierze doskonałą, smoliście czarną linię. Tessa wyobrażała sobie, że barwnik syczy, osiadając na kredowej powierzchni.

Wyćwiczonym skretem nadgarstka zakrzywiła linię w stronę punktu odniesienia widocznego w lewym górnym rogu karty. Ruch ten był bardzo szybki i widziała, jak pędzel nabiera prędkości, a rozpędzony pigment bezskutecznie stara się go wyprzedzić. Zmieniając gwałtownie trajektorię, wykorzystwała powstały moment bezwładności, by przeciągnąć z rozmachem szeroką, atramentową wstęgę. Umoczywszy powtórnie pędzel, posłała w dół karty spiralną smugę, zatrzymując się dopiero na wykreślonej ołowiem linii dolnego marginesu.

Podczas gdy pędzel w dłoni Tessy wykonywał serię powolnych, bliźniaczych pętli, a farba ściekała na papier coraz to grubszymi liniami, jej myśli zaczęły wirować w głowie, a żołądek skurczył się boleśnie. Wstrząsnął nią dreszcz, jakby oddział mrówek przemaszerował jej po plecach. Pędzel wysuwał się z ręki, śliski od potu.

Poczuła zapach spalonego drewna i czegoś jeszcze. Zanim zdążyła się zorientować, co to takiego, zapach zniknął.

Czarne krągłości najwyraźniej ją przyzywały. Tłuste, błyszczące i przebiegłe – obiecywały odsłonić przed nią swoje tajemnice, jeśli zechce prześledzić ich ścieżki. Oczy i dłoni Tessy zespoliły się w jedną, nierozdzielalną całość. Czuła, jak jej fizyczna osobowość rozpada się na elementy podstawowe – linie. Ogarnął ją nagły strach, lecz żądza malowania przeważyła i otrząsnęła się z niepokoju. Pędzel się obracał, atrament rozlewał, spirale rozwijały na kształt bel jedwabiu. Linie pomocnicze i nakłucia połyskiwały na szarym tle: nie były już zwykłymi odnośnikami, lecz stanowiły mapę innego świata.

Delikatny szum narastał w jej głowie, ona jednak postanowiła go zlekceważyć. To *tinnitus* próbował nieudolnie zaatakować, nic więcej. Deveric wraz ze swoim ślicznym pędzelkiem i jeszcze śliczniejszymi farbami znajdował się obecnie daleko, daleko stąd. W żaden sposób nie mógł jej powstrzymać. Nie tym razem. Nie tutaj i nie teraz. Już nigdy mu się to nie uda.

Od tej pory będzie robić to, na co przyjdzie jej ochota.

Pod wpływem gwałtownego przypływu adrenaliny zakreśliła zamaszystą linię. Jej uszy musnął jakiś krótkotrwały dźwięk, podobny do zgrzytu żelaza uderzającego o kamień. Próbowała skupić na nim uwagę, dźwięk jednak rozpląnął się niczym dym na wietrze.

Coraz niżej i niżej pochylała się nad welinem umazanym mieszanką smoły i sadzy lampowej. Tam, na dole, barwnik wsiąkał w skórę, meszek dotykał ciała i rodził się zupełnie nowy wzór. Jej głowa obracała się wraz z pędzlem, myśli szybowały na atramentowych skrzydłach. Gdy dostrzegła zarys krajobrazu ukrytego poza strukturą wzoru, po prawej stronie zaczęła wykreślać lustrzane odbicie narysowanego ornamentu. Tym razem nie było odwrotu.

W trakcie jak powstawały kolejne łuki, krystalizowało się mgliste terytorium, ukryte poza wzorem. Pośrodku skrzyła się ciemna powierzchnia stawu. Niemal bez udziału świadomości ujęła drugi pędzel, który czekał już w wyciągniętej dłoni Emitha, zanurzyła końcówkę w mieszance niello i zaczęła malować węzłki. Pędzel wyplatał coraz to nowe krzyżyki, których szeregi nieuchronnie zbliżały się do stawu. Krajobraz stanowił teraz konstrukcję wykonaną z cieni i półtonów. Właściwie nie był to już krajobraz, a raczej ciąg odsłanianych stopniowo welonów. Czarne, zwiewne i nieskończenie cienkie – unosiły się nad iluminacją niby opary z farby.

Zdjęta nagłym niepokojem, Tessa przygryzła wargę. “Zupełnie jak Ravis” – pomyślała.

Poczuła smak krwi w ustach. A może to był atrament? Obie te ciecze smakowały podobnie.

Granica pomiędzy tym, czym była, a tym, co malowała, zaczęła się z wolna zacierać. Poczuła ciarki na plecach. Chłodny powiew wiatru zaigrał na lewym policzku. Znów pojawił się zapach. Tym razem rozpoznała go bez wahania: był to smród, jakiego doświadczyła tamtej nocy na moście.

Zjełczały odór gnijącego mięsa, jaki wydawali harrarzy.

Krew, barwnik – cokolwiek to było – zamieniło się w ustach Tessy w proszek. Coś miękkiego ściągnęło w dół jej żołądek, przez co pod płucami powstała wywołująca mdłości pustka. Ciemne, ruchliwe sylwetki harrarów – wzniesione noże i napuchnięte, ociekające śliną dziąsła – zagnieździły się na stałe w jej umyśle, by stamtąd spływać do palców rąk, gdzie przeobrażały się w pojedyncze pociągnięcia pędzla. Atramentowe cienie.

Kordony węzłków szybko się mnożyły, wciągając ją coraz dalej i głębiej w świat po drugiej stronie. Nikłe pobrzękiwanie *tinnitusa* nie ustępowało, podczas gdy powiewające płaszcze harrarów układały się w falującą ścieżkę, prowadzącą do stawu. Strach zajrzał Tessie w oczy, lecz tym razem nie dawał się tak łatwo powściągnąć. Jej serce waliło niczym młot kowalski. Nie chciała nigdzie iść, nie chciała nic widzieć, lecz wciąż wyczarowywała wzory, które oświetlały dalszą drogę.

“Pamiętaj o Devericu – powtarzała w duchu raz po raz. – Pamiętaj o Devericu”.

Zgrzytając zębami, przywiodła przed oczy obraz tamtych szarych, przeklętych spiralek, delikatnych i bujnych kresek – jak zarost na twarzy – które dręczyły ją przez całe życie. W

końcu, po przeszło dwudziestu jeden latach, nadarzyła jej się okazja, aby poznać przyczyny, dla których była manipulowana i wykorzystywana.

Został do zrobienia jeszcze jeden krok i nie wahała się go wykonać.

– Bądź ostrożna, panienko. Proszę, nie odchodź za daleko. – Głos Emitha dochodził jakby zza grubej zasłony. Gdy tylko skończył mówić, zapomniała, co powiedział.

Przebiła się przez barwnik, papier welinowy i kredę, nurkując w ciemną otchłań, nieskończenie głęboką, daleko po drugiej stronie.

Zliczając węzłki, a zarazem czuwając nad ruchami pędzla, Tessa McCamfrey przeniknęła do iluminacji. Zatrzęsła się jakby z zimna, w gardle i nosie poczuła nagłą suchość. Wzięła głęboki oddech i zaczęła przedzierać się w kierunku stawu, który był sercem ilustracji. Wszędzie wokół siebie słyszała krzyki ludzi, zwierząt i odgłosy walki. Smród harrarów nie tylko dokuczał teraz, ale wręcz porażał.

Brnąc naprzód, doznała wrażenia, że wkracza na znajomy teren. Znała to miejsce, a przynajmniej swojsko się w nim czuła. Ciemność była tu cieplejsza od jej brzucha i delikatniejsza od skóry. Na papierze wciąż powstawały magiczne zawijasy, uzupełniając labirynt drapieżnych linii. Kolejne umoczenie pędzla w kałamarzu, ostatni krzyżyk, i oto Tessa znalazła się nad brzegiem stawu. Z zapartym tchem pochyliła się i spojrzała w czarną, szklistą głębię.

Nie zobaczyła nic ciekawego, prócz własnej, odbitej twarzy.

Powinna być zaskoczona, ale nie była. Jakaś skromna częśćka jej osobowości odgadła już prawdę. Nie wkroczyła w żaden nowy, fantastyczny świat, powołany do życia czarną magią bądź sprytną sztuczką. Była wewnątrz siebie – oto gdzie zawędrowała.

Potrząsała wolno głową. Deveric posługiwał się *tinnitusem* nie tylko po to, by nią kierować, ale też żeby zamaskować jej prawdziwe oblicze. Zabraniając Tessie koncentrowania się, oddawania rozmyślaniom i przekraczania pewnych granic, trzymał pod kluczem pewna część jej natury. Coś wewnątrz niej zostało odsunięte: poza zasięg wzroku, poza możliwość spożytkowania. Poza świadomość.

– Nie – mruknęła, nie wiedząc, czy wypowiada słowa, czy też o nich myśli. – Nie. – Trzasnąwszy dłonią w papier, pozostawiła na powierzchni skóry odciski swoich palców. Kto dał Devericowi prawo wtrącać się do jej życia. Kto?

– Panienko! Panienko! Czy wszystko w porządku? Proszę, powiedz coś. Proszę! – Mimo że wołanie Emitha zdawało się dobiegać z bardzo daleka, wyczuła, że człowiek ten boi się nie na żarty. Ochłonęła jednak nieco, słysząc udrękę w jego głosie. Emith wraz ze swoją matką troszczyli się o nią, a ona troszczyła się o nich. Deveric ograbił ją z czegoś, owszem, ale jego asystent przekazał jej w zamian pewien dar.

– Nic mi nie jest, Emicie – powiedziała wolno. Własny język wydał jej się intruzem w ustach.

Ręka Emitha spoczęła na ramieniu Tessy.

– Sądzę, że powinnaś zrobić sobie przerwę, panienko. Usiądź przy kominku i odpocznij trochę.

Potrząsnęła przecząco głową. Znow trzymała pędzel w dłoni. Musiała wrócić do miejsca, które tak niedawno odkryła, podążyc za smrodem harrarów i zgrzytaniem ich noży, by dowiedziec się, dlaczego znalazła się w tym świecie.

Wywijając pędzlem nad papierem welinowym, powiedziała:

– Podaj mi krwistoczerwony pigment, Emicie. W tym wzorze brakuje zakończenia.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Złociste ślepia harrara wpatrywały się weń badawczo. Ślina ściekała wzdłuż zębów psiej paszczy, kiedy zbliżał się na czele sfory. Szedł wolno, kołysząc z boku na bok swoim przygarbionym ciałem. Wąski nóż, trzymany na wysokości piersi, odstawał od skórzanego kaftana niby kolec. Stwór przestał przypominać człowieka. Nos, spłaszczony u podstawy, w dalszej części wydłużał się niczym ryjek. Nad twardymi, zapadniętymi policzkami płonęły szparki oczu, których nigdy nie przysłaniały powieki. Przystępując ponad ostrymi skałkami i splątany poszyciem, ani na moment nie spuszczał wzroku z Camrona.

Śmierdział gorzej od padliny, roztaczając zgniły odór nieświeżej krwi, zmieszany z ostrym fetorem ekskrementów i zastałego moczu.

Również jego nóż był splugawiony. Wzdłuż ostrza biegła ciemna plama, a u rękojeści kołysało się coś białego, przypominającego kawałeczek zwierzęcego tłuszczu.

Wtem z gardła harrara wydobył się donośny skowyt, któremu szybko zawtórowały inne, tak że już po chwili Dolina Popękanych Kamieni rozbrzmiała diabelskim wyciem dziesiątków gardzieli. Powietrze zatrzęsło się. Słońce oderwało od widnokregu. Złociste oczy jarzyły się z głodu i podłej żądz. Camron z trudem przełknął ślinę. Miecz, który dzierżył w dłoni – dwukrotnie przekuwany, wyważony ołowiem stalowy oręż, imieninowy podarunek od ojca – wydawał mu się w ręku lekki i kruchy niczym bambusowa laska.

Opodal stali kręgiem wierni żołnierze, czekając na nadejście harrarów. Zwabieni, schwytni w pułapkę i otoczeni: cóż więcej mogli zrobić?

Dym z wrogich pochodni utworzył wokół skał skłębioną, duszną, wyciskającą łzy z oczu mgiełkę. Za plecami Camrona jeden z rycerzy zaniósł się kaszlem. Oddaleni zaledwie o kilka kroków, harrarzy nie tyle poruszali się, co “rozlewali” po całej okolicy. Ich płaszcze skrzypiały złowieszczo, kiedy zwartym, czarnym pierścieniem otoczyli oddział Camrona. Lord wpatrywał się w oblicze harrara, który – nie miał co do tego wątpliwości – przybył, żeby go zabić. Spodziewał się, że ujrzy w oczach napastnika wiele rzeczy, ale nie inteligencję. A jednak tam była: zimna, wyrachowana inteligencja.

Wstrząsnął nim dreszcz. Więc jednak harrarzy różnili się czymś od zwierząt.

Udało mu się właśnie zmusić ciało do spokoju, kiedy harrarzy natarli na oddział. Błysnęły zarówno noże, jak i obnażone, wilgotne zębiska, a cała wataha parła do przodu niczym jeden, niezniszczalny monolit.

Camron zaczerpnął głęboko powietrza. Zatoczywszy mieczem półokrąg, wystąpił naprzód, by spotkać się z potworami, które zabiły jego ojca.

Ostrze pomknęło na spotkanie noża pierwszego z harrarów. Zazgrzytał metal. Kawałek zwierzęcego tłuszczu, uczepony przy rękojeści noża napastnika, został przecięty na dwoje. Zanim szlachcic zdążył wycofać miecz i zadać kolejny cios, nóż harrara znów pędził w dół. Instynktownie wznosił przedramię, żeby osłonić twarz. Ostrze potwora trafiło na stalową rękawicę, przesywając żelazo z cichym sykiem. Żabkowana stal przeorała ciało Camrona. Czubek noża zatrzymał się na kości nadgarstka. Zaciskając zęby, lord zapanował nad bólem.

W ciągu połowy sekundy, której harrar potrzebował, by wyszarpnąć broń zakleszczoną w rękawicy, Camron ciął mieczem w miękki bok stwora. Oczy harrara rozszerzyły się raptownie, a szczęka rozwarła, ukazując poźółkłe, spiczaste kły. Z jego ust wionęło zepsute powietrze, gdy wydał jedno potężne westchnienie. Odbił się od ziemi i całym ciałem runął na Camrona.

Krew spryskała ręce i policzki lorda. Nóż harrara zachowywał się jak maszyna: ciął z góry w dół, ciągle w tej samej linii. Camron poczuł, że włosy jeżą mu się na karku, a skóra ciąży niczym ciężki płaszcz. Był tak blisko napastnika, że oddychał tym samym co on powietrzem, widział szare zabarwienie jego skóry i czuł straszliwe, nienaturalne ciepło promieniujące z obmierzłego ciała.

Harrar nie zamierzał rezygnować, póki tliła się w nim iskierka życia.

Camron użył miecza jako tarczy, zasłaniając nim w poprzek pierś. Zewsząd rozlegały się pomruki i spazmatyczne oddechy jego ludzi. Ciemne sylwetki napierały na oddział, wciąż posuwając się naprzód, nie ustępując ani o krok. W dali majaczyły coraz to nowe postaci. Z szumem płaszczy, wymachując bronią i błyskając czarno-żółtymi oczami szerszeni, zsuwali się ze zboczy doliny, kierując w stronę skałek. Ich szeregi zdawały się nie mieć końca.

Przez chwilę Camron zastanawiał się, jaki los spotkał trzy tuziny żołnierzy, którzy pozostali po drugiej stronie skał. Nie spodobał mu się obraz, jaki podsunęła mu wyobraźnia, toteż szybko otrząsnął się z tych myśli i zajął walką.

Drugi z harrarów przyskoczył, żeby wesprzeć swego towarzysza. Zasłoniwszy zraniony bok pierwszego z nich, chlastał w uzbrojoną rękę Camrona, w jego klatkę piersiową i uda. Z gardzieli napastnika wydobył się głęboki pomruk, a wykrzywiona paszcza zwierzała się i rozwierała, jakby przeżuwała niewidzialne kości.

Camron musiał się cofnąć. Wykonując krótkie, szybkie zamachy mieczem, zdołał ustawić się bokiem do obydwu harrarów, stanowiąc dzięki temu trudniejszy cel. Jedno oko zaszło mu krwią, ale nie wiedział czyją. Lewy nadgarstek piekł go, jakby został obłany wrzątkiem. Krew tryskała z dziury w rękawicy, spływając po ramieniu i kapiąc na kamienie.

Słońce przebiło się przez gałęzie drzew. Czuł coraz mocniejsze ciepło na ramionach i karku. Wiatr niósł zapach spalonej trawy. Trawy i czegoś jeszcze. Również o tym wolał nie myśleć, więc całą uwagę ponownie skupił na bitwie.

Długie, wąskie noże harrarów nie mogły równać się pod względem ciężaru i rozmiarów z szerokimi klingami rycerzy, lecz okazało się, że to nic nie zmienia. Harrarzy byli szybcy –



Camron nie widział wżyciu szybszych wojowników – a skórzane okrycia pozwalały im wykonywać nagle zwroty i uniki. Cięli ze śmiertelną, nieprzerwaną precyzją. Pragnęli utoczyć krwi i nic, absolutnie nic nie mogło im w tym przeszkodzić.

Z lewej strony, jeden z żołnierzy osunął się na ziemię. Ostrze harrara przekłuło mu napierśnik tuż nad sercem i rycerz runął twarzą do ziemi – pierwsza wyrwa w utworzonym przez nich kręgu. Wykonując kilka obronnych zasłon, Camron obserwował, jak pół tuzina harrarów rzuca się na rannego rycerza. Ślina ciekła im po brodach długimi, lepкими strugami. Smukłe sztylety połyskiwały w słońcu, pograżając się w ciele leżącego. Człowiek ten mógł jedynie podniesioną ręką chronić swą twarz, ale noże bez litości zagłębiały się w odsłoniętym ciele przedramienia, szyi i gardła.

– Wstawaj – syknął Camron przez zaciśnięte zęby. – Wstawaj!

Rycerz nie odpowiedział.

Dowódca jak przez mgłę usłyszał słowa Ravisa: “Widziałem zbyt wielu rycerzy umierających w pełnych zbrojach, którzy po stoczeniu się z siodła nie potrafili stanąć na nogi...”

Fala wściekłości zalała Camrona, który w tejże chwili zadał straszliwy cios mieczem. Stal dosięgła rannego harrara prosto w przebity bok, gładko przecinając mięśnie i nerki. Zanim stworzenie zdążyło zareagować, lord przełożył dłoń na pokrytym skórą jelcu, tak że brzeszczot skierował się w jego stronę, i gałką rękojeści rąbnął bezpośrednio w pysk drugiego z napastników. Pękła kość, posypały się zęby, a z nozdrzy buchnęła krew. Kiedy wróg zatoczył się, Camron skupił uwagę na rannym rycerzu. Wywinąwszy mieczem młynka, zacisnął dłoń na jelcu w konwencjonalny sposób i z rozpędu chlasnął w gardło harrara. Gdy poczuł, że ostrze wniknęło w ciało, wyszarpnął broń i żwawo ruszył w stronę leżącego żołnierza.

Na wszystkich bogów – pomoże mu wstać!

Krew zalewała mu oczy, pot parował pod blaszanym przykryciem, mięśnie ręki władającej bronią bolały nieznośnie. Wiedział, że szala bitwy przechyla się na korzyść nieprzyjaciół. Ludzie zaczęli słabnąć. Nie warczeli już, nie zadawali tak gwałtownych ciosów, nie parowali z taką determinacją. Oddychali szybko i nierówno, trzymając miecze blisko piersi. Z czerwonych twarzy spływał pot. Wolno, krok po kroku, zacieśniali krąg wokół zwłok Rhifa z Hanisteru.

Wyraubując sobie ścieżkę do powalonego żołnierza, Camron zerknął na ciemne, zawodzące sylwetki harrarów. Błyszczące zęby, wypięte piersi – oni się dopiero rozgrzewali.

Wycinając w powietrzu przeróżne figury, zbliżył się do sfory, która opadła ciało bezbronnego rycerza. Rzemyki wiążące zbroję zostały poprzecinane i harrarzy zajęci byli zdzieraniem napierśnika. Skórzane naramienniki oraz osłaniające uda fragmenty zbroi pokrojone były na pasy. Harrarzy targali pazurami resztki zbroi, szarpiąc dziko za wywatowaną koszulę, aby dostać się do ciała.

Krew tryskała strumieniami. Hełm rycerza odrzucono na bok, a dwóch harrarów dźgało sztyletami w głowę, uszy i gardło. Ręka rycerza wciąż wznosiła się do góry, chroniąc to, co pozostało z twarzy. Sama stanowiła tylko krwawą masę, gdyż dawno już zdarto mu rękawicę.

Camron runął na sforę. Widział ich poprzez czerwoną mgłę krwi i wściekłości. Tak leżeć mógł którykolwiek z mieszkańców wioski – bezbronny, niezdolny stawić czoło dzikiej furii harrarów. Którykolwiek – nawet jego ojciec tamtej nocy na zamku Bell.

Nie martwiąc się dłużej o całość własnej skóry, chlastał we wszystko, co wyszło mu naprzeciw. Miecz wznosił się i opadał, rąbiąc w ramiona, łopatki, czaszki i mostki. Harrarzy byli potworami. Potworami!

Jeżeli nawet dosięgły go jakieś ciosy, żadnego nie poczuł. Jeśli harrarzy wrzeszczeli ostrzegawczo lub wołali o pomoc, nie słyszał ich krzyków. Liczyło się wyłącznie dotarcie do leżącego człowieka i wydobywanie go z czarnych, koszmarnych szponów. Miecz był mu aniołem: błyszczał srebrzyście w promieniach słońca, tworząc wokół piersi stalową, ochronną tarczę. Wycinał sobie nim drogę wśród ostrych jak brzytwy zębów i kłuszącej stali sztyletów, brnął wśród kałuż krwi i kawałków wnętrza w stronę rannego żołnierza. Powstrzymując szturm rozwścieżonych harrarów, wyciągnął lewą dłoń.

– Chodź – powiedział. – Schowaj się za mną. Będę cię osłaniał, dopóki starczy mi sił.

Rycerz uczeplił się wyciągniętej ręki; jego skóra była gorąca i lepka od potu. Nigdy dotąd pojedyncze dotknięcie tak wiele dla Camrona nie znaczyło i nie sprawiło mu takiej przyjemności. Jednym potężnym szarpnięciem poderwał na nogi mężczyznę, który – zanim zdążył się wyprostować – został zasłonięty ciałem lorda, jedyną tarczą chroniącą go przed uderzeniami noży.

– Wejdz do kręgu – mruknął Camron. Piekły go oczy, a płuca zdawały się rozpalone do czerwoności.

Rycerz stał nieruchomo.

Zdziwiony Camron zerknął przez ramię na swoich żołnierzy. Jakby ktoś uderzył go w brzuch ołowianą pięścią. Para wewnątrz zbroi zamieniła się w lód.

Nie było żadnego kręgu. Oddział nie istniał. Zewsząd napływały ciemne sylwetki harrarów: ogarniętych zapalem, wiwatujących. Przerażliwy wrzask wzbijał się hen, pod niebo. A potem sfora ruszyła, żeby zabić.

Pędzel był już tylko zbędnym obciążeniem dłoni. Skończył się srebrny atrament. Nawet jedna kropelka nie została na włosiu, w muszli ani w glazurowanym garnuszku, w którym Emith mieszał pigmenty.

Wstęga bólu opłotła jej czoło. Czowała, jak metalowe płyty naciskają na skronie, ale czy na jej skronie?

Była tam. Widziała Camrona wśród skał. Rozróżniła zapach jego potu, smakowała krew wypływającą z ust i czuła ucisk na skroniach. Żołądek skręcał jej się w takt skrętów jego żołądka. Otaczał ją zewsząd omdlewający odór harrarów, przypominający zapach mokrej,

zwierzęcej sierści; z drugiej strony nic podobnego nie czuła. Dłonie, dotąd takie pewne, posłuszne w ciągu tych wszystkich – zdawałoby się – godzin malowania i koncentracji, po raz pierwszy zatrzęsły się nad kartą. Ogarnęło ją śmiertelne zmęczenie.

A może nie była w ogóle wyczerpana? Może odczuwała jedynie zmęczenie Camrona?

Świadomie przeniosła się na plac boju. Przybyła do doliny, której nigdy nie widziała na oczy, znajdującej się w gąszczu spękanych skał. Jak po sznurku podążała za szczęką żelaza i smrodem harrarów. Śledziła ich ścieżki na papierze welinowym, łączyła ślady stóp falistymi smugami atramentu, zaplatając pokryte ornamentem geometrycznym płytki, którymi wykładała sobie chodnik.

Namalowała nawet samych harrarów. Atrament z węgla i kwasu galusowego, lekko przyciemniony siarką i rozrzedzony zastałym moczem stanowił doskonale tworzywo. Czarny tusz mienił się miejscami żółtawą poświatą, tam gdzie padł blask łojowej świeczki. Opary gryzły w oczy. Choć wiedziała, że harrarzy to ludzie, przydała im parę nóg, zaopatrzyła w ryje, szpony i grube, umięśnione ogony.

– Czworonogi – rzekł wówczas Emith, a w jego głosie dźwięczało dziwne napięcie.

Sam wzór nie był miły dla oka. Kartę wypełnił cmentarz ponurych barw: szarości, czerni, ciemnych czerwieni i zimnych, nieludzkich błękitów, a wszystkie one przypominały nie kolory, a raczej ich cienie oglądane o zmroku. Patrząc na nie, poczuła suchość w gardle. Dokąd to ściągnął ją Deveric? Jakim cudem Tessa McCamfrey znalazła się przy stole i kreśliła te monstrialne wzory?

Ogarnęła ją nagła tęsknota za domem.

Przesunęła z westchnieniem palec wzdłuż krawędzi karty. Oddychanie sprawiało jej niemal ból. W jaki sposób wróci do domu? Nawet jeśli pierścień okaże się pomocny, czy może zostawić Camrona samego wśród skał, otoczonego zgrają harrarów, zasłaniającego ciało człowieka, którego uratował?

Obracała pędzel w dłoni. Namalowała wzór w poszukiwaniu odpowiedzi, tymczasem narodziły się nowe pytania. Wiedziała, jak się tu dostała; wiedziała, że narysowała na papierze ścieżkę dla siebie i że ścieżka ta nie zaprowadziła jej gdzieś daleko, tylko do wewnątrz własnej świadomości. Mimo to nie potrafiła jeszcze na nic wpłynąć. Była jedynie obserwatorką. Nie potrafiła nic zmienić, bo nie wiedziała jak.

Na jej czole pojawiła się kropelka potu i wolno spłynęła w dół policzka do ust. Miała przykry smak. Tessa zadrzała. Wizja Camrona zaczęła się rozmywać. Mogła zachować ją dopóty, dopóki atrament będzie ściekał z pędzla.

– Co mam teraz zrobić, Emicie? – zapyła, nie wiedząc nawet, czy pomocnik skryby orientuje się, co przez ten czas robiła i dokąd zawędrowała. – Jak mogę zmieniać to, co pokazują mi wzory?

Poczuła, że Emith potrząsa głową nad jej lewym ramieniem.

– Nie wiem, panienko. Nie wiem.

Kościany pędzelek pękł z cichym trzaskiem. Drzazga skaleczyła ją w palec.

– Musi być jakiś sposób, to pewne. Pomyśl. Pomyśl!

Emith dotknął jej ramienia.

– Odpuść, panienko. Odejdź od wzoru, póki...

– Póki co?! – wykrzyknęła. – Póki nic mi nie grozi?

Z każdą upływającą sekundą obraz Camrona na polu bitwy coraz bardziej się zamazywał. Czowała, że porzuca go w potrzebie. Emith zaczął wyjaśniać, co miał na myśli, ale ona przerwała mu w pół słowa:

– Potrzebuję nowego pędzla i więcej pigmentu. Użyję każdego koloru, jaki ci został. – Zorientowała się, że jej słowa brzmią szorstko, po czym dodała: – Emicie, ktoś jest w wielkim niebezpieczeństwie. Nie mogę teraz zostawić iluminacji. Nie mogę.

Emith przełknął ślinę. Nie pochwalał takiego zachowania – wiedziała o tym – niemniej jednak wręczył jej świeży pędzelek. Czowała się podle, gdyż on się tylko o nią troszczył, a ona musiała postawić na swoim. Przez całe życie unikała odpowiedzialności i zaangażowania, ale teraz nadszedł czas, by z tym skończyć. Sytuacja uległa zmianie, a wraz z nią zmieniła się Tessa.

Tym razem nie ucieknie.

– Został mi tylko jeden pigment – rzekł Emith, podsuwając jej muszlę ze złotym atramentem. – Kiedy będziesz pracować, ja rozmieszam drugą porcję.

Skinęła głową. Nie zdziwił jej kolor pigmentu: wszystko na tym świecie brało swój początek i kończyło się na złocie. Umoczywszy końcówkę pędzla, zabrała się do dzieła. Gdy farba zetknęła się ze skórą, nie rozległo się syczenie, jak poprzednio, ale wręcz skwierczenie.

Dłoń Ederiusa zawisła w powietrzu. Ostry ból przeszył jego czoło tuż nad linią brwi, a mgła zasłoniła wzrok. Spod pędzla wypłynął kleks.

– O co chodzi? – syknął Izgard.

Ederius wzdrygnął się, słysząc te słowa. Zapomniał już, że król przy nim stoi.

– To nic takiego, panie – odrzekł pospiesznie, przykładając lewą dłoń do czoła. Większy, bardziej dojmujący ból wolno gojącego się obojczyka zagłuszył rwanie w czole. – Skurcz mięśni, to wszystko.

– Jak wygląda sprawa w Dolinie Popękanych Kamieni? – Oddech Izgarda owiał ucho skryby niczym zimna mgła. Jego palce unosiły się w niewielkiej odległości ponad twarzą Ederiusa, nie dotykając samej skóry, a tylko muskając włoski zarostu. O tak, chciałby dotknąć czegoś więcej – starzec wiedział, jak bardzo król uwielbia dotykać tych, których uważa za swoją własność, lecz nawet on nie śmiał przeszkadzać w pracy skupionemu skrybie. Wciąż jeszcze, choć upłynęło pięćset lat od złotej epoki w dziejach Wyspy Namaszczonych, opowieści i plotki przypisywały wielką moc wyszkolonym tam skrybom.

Powiadano, że umieją zabijać ludzi. Jak również palić.

Ederius uśmiechnął się pod nosem, po raz pierwszy od dwudziestu lat, ale w uśmiechu tym nie było radości. Pogłoski mówiły prawdę. Istniała pewna moc. Nie w atramencie, pergaminie czy wzorach, ale w samym akcie tworzenia: kiedy barwnik wpala się w skórę, nabierając wymaganych okrągłości, kiedy wizja skryby odzwierciedla się we wzorze, kiedy tysiąc lat tradycji płodzi nowe dzieło, kiedy wreszcie wołanie dociera aż do nieba, można zawezwać moc. Ci spośród skrybów, którzy posiadli zdolność wyczuwania jej i akceptowania, potrafili skrzesać z niej dowolny oręż, tarczę czy nawet wieżę z kości słoniowej. Mogli zawładnąć życiem, które do nich nie należało.

Ederius nigdy nie pytał, skąd ta moc się bierze. Przestał zadawać sobie trudne pytania w dniu, w którym Izgard zamordował Gamberona na wzgórzach pod Sirabayus. Tylko dlatego udało mu się dożyć starości. Tylko dlatego udało mu się pogodzić z wyborem, jakiego dokonał.

Kolejny spazm przeszył jego skronie. Choć wizję przesłaniały mu rozmaite postaci bólu, spróbował przyjrzeć się stworzonej przez siebie iluminacji. Karta przedstawiała dlań misterny gobelin, pokryty zazębiającymi się, wibrującymi liniami. Coś się jednak nie zgadzało. Konstrukcja wzoru została w pewien sposób naruszona: strukturę tła zmaćliło niewyraźne drżenie, jakie wywołuje mucha, kiedy wpadnie do atramentu. Świadomy przenikliwego spojrzenia króla, Ederius starał się ukryć niepokój, jednak bezskutecznie: zimny oddech Izgarda powtórnie owiał szyję skryby.

– O co chodzi, Ederiusie? Mów, w czym rzecz!

Ederius potrząsnął głową.

– Nie wiem, panie. – Oczyszczył pędzelek z resztek szarej farby, a następnie sięgnął po najciemniejszy, najczarniejszy pigment na swej palcie: sproszkowaną mieszaninę gagatu i obsydianu związaną bitumenem. Była gęsta, lśniąca i ostra jak brzytwa (zachowały się w niej drobne drzazgi szkliwa wulkanicznego).

– Nie życzę sobie, żeby tym razem coś nawaliło – szepnął Izgard Ederiusowi do ucha. Jego oddech przywodził na myśl jakieś słodkie rzeczy, które kwaśniejają w ciemności. – Zbyt długo obmyślałem tę pułapkę. Miasto zostało zdobyte tylko z jednej przyczyny, by zwabić Camrona z Thornu i jego najemnika, i zgnieść ich oddziały. Chcę ich śmierci. Pamiętaj, tym razem chcę śmierci ich obu! Thorn otrzymał ostrzeżenie, lecz postanowił je zlekceważyć. Popelnił błąd, ale i ja popelniłem jeden: powinienem kazać go zabić razem z ojcem. A co się tyczy Ravisa z Burano... – Dłoń Izgarda odskoczyła od twarzy skryby i zanim uderzyła o blat stołu, palce zacisnęły się w pięść. – W piekle przyjmą go z otwartymi rękami.

Głos Izgarda stał się cichy i odległy. Ederius słyszał w nim przede wszystkim nienawiść. Teraz całą uwagę skoncentrował na atramencie, dając się ponieść w dół i do wewnątrz iluminacji. Jego myśli pędziły utartą ścieżką na wschód, wprost do doliny, w której toczyła się bitwa. Izgard nie przestawał mówić, skoro zaś nastrój króla służył celom Ederiusa, skryba nie sprzeciwiał się jego obecności. Coś się nie zgadzało i zamierzał przywrócić porządek,

nawet jeśli oznaczać to będzie zniszczenie źródła zakłóceń. Każdy skryba, który chce zwać się mistrzem, musi opanować po mistrzowsku o wiele więcej umiejętności, niż zwykłe mieszanie pigmentów i wykreślanie linii.

W żyłach Camrona krew pulsowała szaleńczym rytmem, a klatka piersiowa zdawała się rozsadzać okrywający serce blaszany napierśnik. Pot ściekał mu z szyi i małymi strumyczkami spływał z sykiem po plecach, gdzie zamieniał się w parę. Rany nóg, boków, ramion i szyi piekły żywym ogniem. Każdy oddech parzył płuca. Zakrzepła krew, niczym klej, przytwierdziła mu prawicę do rękojeści miecza, a wszystkie zadane ciosy lądowały bezbłędnie u celu.

Broc z Lomis, rycerz oswobodzony przezeń ze szponów harrarów, stał za jego plecami. Człowiek ten nie tylko skrzesał w sobie dość siły, by utrzymać się na nogach, ale również jakimś cudem zdołał unieść miecz. Prawe ramię rycerza do niczego się już nie nadawało, lecz lewe utrzymywało napastników na dystans.

Dla Camrona pociechą była świadomość, że za plecami ma zaufanego żołnierza (ocierał się zbroją o jego pokieroszowane naramienniki). Nie walczył w pojedynkę.

Promienie porannego słońca, które najwidoczniej stało po jego stronie, padały bezpośrednio na twarze harrarów. Camron wyraźnie dostrzegał złociste włókienka w źrenicach i strumienie śliny ściekającej z zębów. Paszcze w czasie walki kłapały obłąkańczo: podniebienia mełły, wargi fruwały, jęzory strzelały w ustach, które zdawały się pękać w szwach pod naporem nadmiernie rozrośniętych zębów i dziąseł.

Miecz Camrona pracował wytrwale – nie mógł pozwolić sobie na odpoczynek. Tylko jego niezmordowane ostrze powstrzymywało dzicz, która w przeciwnym razie już dawno rozerwałaby lorda na sztuki. Broc i on stali na niewielkiej, skalistej wyniosłości. Pochodnie zdążyły się wypalić, a dym rozwiać w powietrzu, teraz zanieczyszczanym jedynie bijącym od harrarów fetorem.

Pozostali rycerze zniknęli bez śladu. Nie przestając rąbać mieczem, Camron starał się wypatrzeć ich sylwetki w tłumie nacierających, mrocznych stworzeń. Choć żadnej nie zauważył, nie tracił nadziei. Być może jakimś zrzędzeniem losu udało im się wymknąć?

Nie wiedział, czy to za sprawą oślepiającego światła, czy też czegoś innego, entuzjazm harrarów raptownie osłabł. Zaczęli większym respektem darzyć ostrze niszczycielskiego miecza: uskakiwali przez ciosami na dalszą odległość i wahali się przed kolejnym doskokiem. Nawet rysy ich twarzy zdawały się zmieniać. Złocista poświata w oczach wyraźnie przygasła, wargi nagle obwisły. Zaczęli coraz bardziej przypominać ludzi.

Wtem zerwał się zachodni wiatr i Camron po raz pierwszy od świtu wciągnął w płuca świeże powietrze. Spojrzał ostrożnie przez ramię, gdzie stał Broc z Lomis. Broc się nie uśmiechał – sytuacja wciąż była groźna – lecz w jego piwnych oczach nie błyszczał już strach. Obaj czuli to samo: harrarzy zaczęli słabnąć.

Chwyciwszy miecz oburącz, Camron wzniosł wysoko ostrze, ignorując przeszywający ból napiętych mięśni ramion i klatki piersiowej. Choć wiedział, że nadzieja w obecnych okolicznościach jest luksusem, na który nie może sobie pozwolić, podsycił ją uparciem. Być może z woli Boga wymkną się cało z potrzasku?

Tessa malowała z szaloną wprost furią. Nie miała pojęcia, co i jak robi, wiedziała tylko, że za wszelką cenę musi wlewać na papier atrament. Wszystko od tego zależało.

Wydawało jej się, że jakaś rozjuszona bestia ostrymi szponami rozrywa mięśnie jej ramion. Bolała ją głowa. Lewa ręka ścierpła od długiego podpierania podbródka. Z tyłu Emith mieszał pigmenty, o których wiedziała, że nie zostaną przez nią użyte. Nieopodal staruszka kiwała się na krześle.

Czas przestał odgrywać jakąkolwiek rolę. Nie umiała powiedzieć, czy od chwili pierwszego zanurzenia pędzelka w muszli ze złotym atramentem upłynęło dziesięć sekund, czy też dziesięć godzin. Ze światemłączyła ją tylko powstająca iluminacja. Nie tak wyobrażała sobie wcześniej rysowanie wzorów – nigdy nie przypuszczała, że kiedyś mogą ożyć. Na miniaturze błdziły grube, kolorowe wstęgi, które zeszyły z wyznaczonego kursu. Między spiralami i wśród plecionkowych ornamentów pełzały stwory o cienkich odnóżach i kończynach z kilkoma stawami, oplątując jęzorami i ogonami meandryczne bordiury, tak jak winorośle spowija drzewo. Tessa czuła, jakby płynęła w ciemnościach. Nie wiedziała, dokąd zmierza i co ją spotka. Sama była sobie przewodnikiem. Robiła tylko to, co uważała za stosowne. Złocisty atrament stanowił słuszny wybór – co do tego nie miała wątpliwości. Wytyczając złociste linie, biegnące na wskroś sylwetek harrarów, obejmujące ich pętlami, wiedziała z całą pewnością, że wpływa na losy bitwy toczącej się wśród popękanych skał. Swędziała ją skóra opuszków palców, co wzięła za dobrą monetę.

Polegała głównie na sile woli, która napędzała pędzel, wykreślała krzywizny i utrzymywała porządek pośród meandrów i plecionek.

Chciała pomóc Camronowi z Thornu. Musiała. Deveric sprowadził ją tu w jakimś określonym celu i w trakcie jak ślady pędzla nakładały się na siebie w coraz to bardziej złożonych warstwach, a kształty wynurzały się z atramentu niby przedmioty z mgły, zaczynała rozumieć, że przeniósł ją w ten świat właśnie po to, by przeciwstawiła się harrarom.

Te stworzenia były czymś wynaturzonym – aberracją. Wyczuwała ich zwyrodnienie: piekło ją w żołądku jak kwas. Kiedy ujrzała wizję skłębionej, zajadłej watahy, ciarki przeszły jej po ciele. Z wysokości przypominali tłoczące się nad padliną karaluchy. Oczy i zęby migotały wśród ciemności ich płaszców.

Kiedy tak patrzyła, wykonując pędzlem taneczne ruchy, jeden z nich spojrzał w jej kierunku.

W pierwszej chwili był jednym z wielu harrarów w gromadzie; potrząsał głową wraz z innymi. Raptem znieruchomiał i przez chwilę stał jak skamieniały, potem zaś wolnym,

płynnym ruchem odwrócił swą wydłużoną paszczę w jej stronę. Pałające siarką oczy próbowały przebić się przez cienie i smugi światła, aż wreszcie ich spojrzenie spoczęło na twarzy Tessy. Harrar bez zmruczenia powieki łypał na nią wzrokiem drapieżnika. Po pewnym czasie jego wargi rozchyliły się w szyderym uśmiechu, a szczęki wystrzeliły jak z procy.

Tessa rzuciła się do tyłu. Nogi krzesła, na którym siedziała, zazgrzytały na kamiennej posadzce. Pędzel podskoczył w dłoni i powędrował w niezamierzonym kierunku.

– Tesso! Tesso! Dobrze się czujesz? – zawołał Emith, po raz pierwszy od chwili ich spotkania zwracając się do niej po imieniu. – Przestań malować. Zostaw w spokoju tę iluminację!

Serce Tessy biło jak szalone. Czuła zimno i gorąco zarazem.

– Nic mi nie jest, Emicie – odpowiedziała, próbując z całych sił zapanować nad głosem. – Nic się nie stało. Po prostu... – Zabrakło jej słów. – Nic.

– Sądzę, że powinnaś natychmiast przestać, panienko. Natychmiast.

– Nie mogę, Emicie. – Chciała powiedzieć coś więcej, wytłumaczyć, że nie może teraz zostawić Camrona na pastwę morderczych harrarów, że bez względu na wszystko musi podjąć rozpoczęte dzieło, jednakże instynkt podpowiadał, że w tych warunkach lepiej niczego nie mówić. Cokolwiek by powiedziała, uznano by to za stek bzdur.

Zaciskając palce na trzonku pędzla, po raz kolejny sięgnęła do muszli z atramentem. Starła się opanować i skupić: czy to możliwe, żeby istota, którą ujrzała po drugiej stronie iluminacji, potrafiła ją skrzywdzić? Znajdowała się w wielkiej odległości od bitwy, w kuchni należącej do matki Emitha, cała i bezpieczna. Harrarzy nie mogą przecież wyskakiwać z papieru welinowego. To niemożliwe. Wmawiając sobie, że niepotrzebnie wpadła w panikę, zaczęła malować. Spod rozdygotanej dłoni krzywizna nie wyszła tak smukła, jak by sobie tego życzyła, niemniej jednak wystarczyło to, żeby przenieść ją na pole bitwy.

Powitały Tessę ryki i odgłosy żelaza szczękającego o żelazo. Odór zwierzęcych nieczystości niemal zatykał nozdrza. “Nie ma się czego bać” – powtarzała w myślach, zabierając się do zamalowywania ciemnych, poskręcanych sylwetek harrarów.

Złocisty atrament ślizgał się po czerni. Kolory krwawiły. Pigment dymił. Ręka Tessy nie zamierzała się uspokoić, a sobolowe włosie zaczęło wypadać spod nasadki pędzla i czepiać się cielej skóry niczym drzazgi. Myślała o harrarach, wyobrażała sobie ich paniczną ucieczkę, szaleństwo, śmierć. Nie wiedząc, co dalej począć, opasywała ich złocistymi rzemieniami, zakuwała w kajdany węzełków.

To działało. Czuła, że ustępują.

Chcąc posunąć się jeszcze dalej, przekreśliła szereg harrarów pojedynczą kreską. Gdy złocisty atrament wsiąkał w pergamin, poczuła jakąś nie znaną sobie woń: woń obcego pigmentu.

Zanim zdążyła pomyśleć, że ów pigment nie wyszedł spod ręki Emitha, błyskawica bólu przeszła jej skronie. Cała wizja rozmyła się i oddaliła. W ciemności zabłyśły oczy rozjarzone



złotą poświatą: dostrzegły ją, rozpoznały i starały się pożreć. Druga fala bólu omal nie rozsadziła jej głowy. Czowała, jakby wcierano w nią zmielone szkło. Chciała złapać oddech, ale nie mogła. Jej oczy zdawały się płonąć.

Gdy pochyliła się nad stołem, wstrząsnął nią kolejny spazm. Ból oślepił. Nie widziała niczego, prócz złotych oczu. Wbiła pędzel w pergamin, ale nie mogła go puścić; choć miała wrażenie, iż gorące powietrze przypala jej dłoń.

Ból nie pozwalał oddychać, myśleć, ani działać. Łzy płynęły ciurkiem po policzkach. Szpony darły skórę na skroniach.

Nie mogła tego znieść.

Powietrze ugrzęzło w płucach. Otworzyła się studnia ciemności: chłodna i niezgłębiona.

Coś szarpnęło ją za rękę i rozwarło palce dłoni. Straszny, rozdzierający ból przeszył całe ciało, gdy wypuściła pędzel. Czyjeś ręce podniosły ją z krzesła. Łkanie, histeryczne łkanie...

Zachowanie harrarów uległo metamorfozie, a stało się to w ułamku sekundy. Przez chwilę niezgrabni, ostrożni i upodobnieni do zwykłych ludzi, w okamgnieniu przeistoczyli się w sforę wściekłych psów. Ujadając, szarpiąc pazurami i miotając się szaleńczo, napierali niczym czarna, niezmordowana fala.

Camron zachłysnął się i poczuł w żołądku nieprzyjemne ssanie. Harrarów było zbyt wielu. Bardzo szybko nadciągały nowe ich zastępy. Dzierżąca miecz ręką omdlewała z wysiłku. Wiedział, że rusza się wolniej, a czubek miecza – zataczając obronne kręgi wokół klatki piersiowej – unosi się na coraz to niższej. Nie miał pojęcia, jak długo wytrzyma to tempo.

Tuż za nim, Broc z Lomis głośno łapał oddech. Krew i płwociny nabrzmiały w jego gardle. Nie wypuścił jak dotąd miecza, który jednak szybował z coraz mniejszym wigorem przy podbrzuszu żołnierza. Niewiele potrzeba czasu, aby opadł luźno i już się nie podniósł. Rycerz stracił zbyt dużo krwi. Skała, na której stał, pokryła się czerwienią.

– Stań bliżej mnie! – krzyknął Camron, sięgając za plecy lewą ręką, by dotknąć młodego, ciemnowłosego żołnierza. – Oprzyj się o mnie plecami, to będę bronił naszych boków.

Minęła krótka chwila, po której ramiona Broca stuknęły o zbroję swego pana. Camron westchnął z ulgą. Nie było to coś wielkiego, ale tylko na to mógł się w tych warunkach zdobyć. Teraz Broc martwił się jedynie o harrarów stojących bezpośrednio przed nim. Camron chciał zająć się tymi, którzy nacierali z flanków. Oznaczało to szersze, potężniejsze zamachy miecza oraz większe napięcie i tak już rozdartych na strzępy mięśni, lecz nie było wyboru. Nie mogli ustąpić z pola.

Pomimo płonącego gardła, Camron zmusił się do długich, głębokich oddechów. Może i przyjechał tu na swą zgubę, chcąc walczyć z zabójcami ojca, dopóki ci nie potną go nożami na kawałki, wysyłając jego duszę krętymi schodami do nieba lub strącając ją do piekielnych czeluści, lecz z biegiem czasu uświadomił sobie, że wcale nie chce umierać. Nie tutaj i nie teraz. Chciał żyć.

Śmierć nie uratuje już ojca. Nie zmieni przebiegu wydarzeń, które zaszły tamtej nocy na zamku Bess. Nic nigdy już ich nie zmieni: ani ta walka, ani tysiąc jej podobnych, a już z pewnością nie jego śmierć. Gdy umrze, razem z nim przepadnie miasto Thorn i jego mieszkańcy, a także rodzina, która nosiła takie samo nazwisko. Zniknie wszystko, co kiedykolwiek znał i pokocha) jego ojciec.

Przypatrując się mokrym i kłapiącym paszczom harrarów, starał się zapanować nad strachem i odpędzić myśli o śmierci. Teraz liczyła się wyłącznie walka.

Za nim rozległ się słaby okrzyk. Zabrzęczało żelazo. Parując trzy noże harrarów i przygotowując się na spotkanie następnych, nie zdołał się odwrócić. Rozbrzmiał kolejny okrzyk, potem dał się słyszeć krótki, spazmatyczny oddech i ciało Broca oparło się bezwładnie o jego plecy. Wysunął nieco stopę, żeby się nie zachwiać, przysunął miecz do piersi i popatrzył na rycerza. Wyciągnął lewą rękę. Ostrza harrarów dźgały w rozerwaną rękawicę. Coś ostrego przekłuło jego nie osłonięty prawy bok.

Broc upadł na kolana. Jego miecz przepadł. Harrarzy sięgali szponami do nóg, stóp i ramion żołnierza. Broc zobaczył wyciągniętą rękę Camrona, ale nie miał dość siły, żeby do niej sięgnąć. Mięśnie napięły się na jego przedramieniu, lecz ręka ani drgnęła.

Camron poczuł, jak stalowe ostrze trafia go w głowę. W sekundę później kolejne zadrasnęło ucho. Ból napływał falami. Łzy zalewały oczy. Schylił się i ujął dłoń Broca. Zbroja zatrzęszczała w wiązaniach, dźgnięta kilkoma nożami jednocześnie, po czym odpadła nagle od ciała. W ustach zebrała mu się krew. Spojrzał w piwne oczy Broca i ujrzał w nich odbicie swoich. Strach ścisnął go za gardło.

Harrarzy napierali coraz natarczywiej. Wykrzywiając psie paszcze i młócąc niestrudzenie nożami, wypełniali całą przestrzeń niczym wlewana do rowu smoła.

Camron wziął się w garść. Ból przeszył jego ciało w dziesięciu miejscach, kiedy wznosił miecz wysoko ponad głowę. Jeden z harrarów wyrwał się naprzód i zanurkował, by zadać pchnięcie. Camron wyszeptał: "Wybacz". Czy zwrócił się do Boga, do ojca, a może do Broca z Lomis – sam nie wiedział. Niewykluczone, że do wszystkich trzech naraz.

Żelazo miecza zazgrzytało w starciu z ostrzem wrogiego noża. Nie miał dość siły, by wytrzymać uderzenie harrara: oręż wypadł mu z ręki i, wirując, poleciał ku ziemi. Zanim jednak upadł, pochwyciła go dłoń w czarnej rękawicy. Usta stojącego najbliżej harrara wykrzywiły się ironicznie, a miecz przybrał pozycję do zadania ciosu w żebra.

Bezbronny i bezradny, Camron mógł jedynie skrzyżować ręce na piersi. Przygotowując się na nieuchronne uderzenie, napiął mięśnie prawej nogi: gdy poleci na dół, będzie jeszcze kopał.

Wtem coś zaszumiało cicho. Tak cicho, że sądził, iż zmysły zaczynają odmawiać mu posłuszeństwa.

Złociste oczy harrara rozszerzyły się nagle. Stwór wydał z sykiem ostatnie tchnienie i opadł na pierś Camrona. Między łopatkami utkwiała strzała: pióra u jej nasady nie przestały jeszcze trzepotać.

Kiedy szlachcic cofnął się o krok, coś z cichym szelestem przemknęło mu koło ucha. Potem jeszcze raz i jeszcze raz, i zanim jego stopa spoczęła niepewnie na kamieniu, niebo pociemniało od gradu strzał. Drewniane brzechwy ocierały mu się niemal o policzki i ramiona. Pióra muskały skronie. Stalowe groty dziurawiły harrarów, przecinając mięśnie i ścięgna, rozszczepiając kości. Padali jak ścięci z wybałuszonymi oczami, zaciskając palce na dębowych i jesionowych tronach strzał. Sfora zaczęła się rozpraszać. Niektórzy biegli jak zające, inni pochylali głowy lub czołgali się w stronę głązów.

Camron nawet nie drgnął. Stał wyprostowany, pozwalając rozpalonemu ciału ostygnąć w powiewach przelatujących strzał. Broc wyciągnął się na skale. Twarz miał ciemną od krwi, lecz nadal oddychał. Lord odetchnął z ulgą dopiero wtedy, gdy się o tym przekonał.

Strzały wciąż nadlatywały – odnajdując swój cel równie pewnie, co marnotrawni synowie dom – kładąc harrarów pokotem. Gdy padali u stóp Camrona, rysy ich twarzy ściągały się, a wydawane okrzyki nabierały bardziej ludzkiego zabarwienia. Po upływie zaledwie kilku sekund zostali rozbici: rozpierzchli się, pochowali między skałami, leżeli ranni lub martwi (albo tylko udawali zabitych). Camron nie dbał o to. Osłabł tak bardzo, że bał się, iż lada chwila osunie się na ziemię.

Grad strzał nieco osłabł. Ktoś wykrzyknął rozkaz. Szczęknęła uprząż. Camron, uniósłszy głowę, zobaczył pojedynczego jeźdźca, który wychynał spoza skał. Za nim podążał luzak. Jeździec chował właśnie łuk do przytroczonego u siodła futerału. Ravis z Burano uniósł twarz z uśmiechem, po czym kiwnął głową na powitanie.

– Wybaczcie, panowie – zawołał – że się trochę spóźniłem.

Skinał dłonią i oto pierścień łuczników wyszedł na światło dzienne. Podobnie jak wcześniej harrarzy, wyszli oni zza drzew i kamieni. Nieśli napięte łuki, większe od nich samych. Było ich około dziesięciu; zajęli pozycje i czekali w pogotowiu ze strzałami nałożonymi na cięciwy.

Kiedy Ravis podjechał bliżej, Camron zauważył, że nie jest on tak opanowany i schludnie ubrany, jak wyglądał z daleka. Rękawy i rękawice miał czerwone od krwi. Pot spływał mu z czoła, oddychał płytko i nierówno. Nie marnował czasu. Dobył miecza i ostrożnie powiódł luzaka wśród powalonych harrarów. Gdy tylko dotarł do skałki, na której stał Camron, zsiadł z konia, podszedł do leżącego Broca, podniósł go i posadził w siodle zapasowego wierzchowca. Kiedy się z tym uporał, zwrócił twarz do szlachcica.

Strzały przeszły powietrze, kładąc trupem dwóch harrarów, którzy właśnie w tej chwili postanowili się ruszyć.

Ravis spojrzał Camronowi głęboko w oczy.

– Dojechałbym wcześniej, ale miałem zajęcie po drugiej stronie skał. – Mówił to z lekko szyderczym tonem, jednak jego oczy wyrażały coś innego. Były ciemne, błyszczące, przepełnione boleścią. Kiedy pomagał Camronowi wspiąć się na konia, lord ujrzał miejsce, gdzie ostrze noża wniknęło między żebra najemnika.

Nic nie powiedział, tylko zamknął oczy, wsparł głowę na ramieniu Ravisa i czekał, kiedy wreszcie wyjedzie z tej doliny.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Tessa potrzebowała czasu, by uświadomić sobie, że już nie śpi. W przyjemnie pachnącym kokonie było ciepło i wygodnie. Ból ujadał w oddali niby pies sąsiadów: denerwował, jednak nie na tyle, żeby chciało jej się wyjść i zaprotestować. W rzeczywistości nie miała nawet pojęcia, że leży nieruchomo i bezmyślnie. Dopiero gdy ktoś powiedział, że nie śpi, uwierzyła w to.

– No już, już, moja droga – doszedł ją cichy głos. – Wszystko będzie dobrze. Nie masz się czego obawiać. – Usłyszała jakby ciche szuranie i poczuła, że któraś część jej ciała została dotknięta, ale nie umiała jeszcze określić, która. – Emicie, szybko. Budzi się.

– Obudziła się? Dzięki Bogu! Już lecę.

Poczuła się lekko rozdrażniona. Cała ta gadanina o budzeniu się sugerowała, że musi coś zrobić. Skupiając wolę na tych częściach ciała, których na razie nie potrafiła nazwać, spróbowała wypłynąć na powierzchnię. Odwróciła głowę w stronę, z której dobiegał głos, i otworzyła oczy.

Duża, pulchna ręka wylądowała na jeszcze pulchniejszej piersi.

– Emicie, pospiesz się! Dawaj no tu migiem herbatę z lipowych kwiatów i gorący rosółek!

Spojrzenie Tessy powędrowało wzdłuż ręki, piersi, szyi, by wreszcie spocząć na twarzy. Matka Emitha. Stała! Wstrząs na widok tak niebywałego zjawiska wywarł na niej piorunujące wrażenie. Wszystko od razu wróciło na miejsce: nazwy części ciała, wspomnienia o tym, gdzie się znajdowała, jak się tu znalazła, co zrobiła i dlaczego. Zdołała nawet wykrztusić z siebie:

– Proszę, niech pani usiądzie.

Staruszka spojrzała na nią takim wzrokiem, jakby to jeden z jej kuchennych garnków postanowił zniecka przemówić. Jej dłoń oderwała się od piersi, by z cichym plaśnięciem wylądować na czole Tessy.

– Herbatka, Emicie. Herbatka!

– Już niosę, matko. – Emith pojawił się w polu widzenia Tessy. Wydało jej się, że postarzał się nieco od ostatniego razu, kiedy go widziała. Postarzał i zmizerniał.

– Och, panienko, panienko! Czy wszystko w porządku? Czy coś cię boli?

Pokiwała przecząco, mimo iż wiedziała, że coś jednak nie jest w porządku. Jej głowa wydawała się ciężka i tak przepelniona, że nie wystarczało miejsca na myśli. Mięśnie szyi bolały, a w prawej dłoni czuła lekkie mrowienie.

– Panienko, podnieś tylko nieco głowę, żebyś mogła się podeprzeć. – Emith pokazał jej poduszczkę. Jego głos był tak delikatny, że wzruszenie ścisnęło ją za gardło. Gdzieś z odległego zakamarka wypchanej głowy wygrzebała wiadomość, że wkrótce będą musieli się rozstać. Nic jednak nie powiedziała, tylko zrobiła, jak jej kazano, starając się nie okazać bólu.

– Proszę, moja droga, pij. – Staruszka pochyliła się nad nią z miską parującego wywaru. Tessa postanowiła nie zwlekać z piciem – bardziej po to, żeby oszczędzić staruszce stania, niż z ochoty na dziwnie pachnący, parzący w usta napój.

– Dobrze – stwierdziła po pierwszym łyku. Wiedziała, że matka Emitha z niecierpliwością czeka na pytanie, z czego się składa ów napój, jak się go przyrządza i na co pomaga, ale jakoś nie odważyła się odezwać. Spojrzawszy na Emitha, kiwnęła głową i wskazała na jego matkę.

Skinął twierdząco. Położył dłoń na ramieniu staruszki i powiedział:

– Chodź, matko. Chodź i usiądź. Obróć twoje krzesło tak, byś mogła patrzeć w tę stronę.

Matka Emitha mruknęła pod nosem, pogłaskała Tessę po czole, kazała sobie obiecać, że cała herbatka zostanie wypita, po czym pozwoliła się odprowadzić do krzesła. Poruszała się tak wolno, że aż żal było patrzeć. Tessa wyciągnęła dłoń, chcąc dotknąć miękkiej wełnianej tkaniny, zanim staruszka odejdzie, w tejże jednak chwili poczuła piekący ból. Chociaż się starała, nie udało jej się powstrzymać od gwałtownego wciągnięcia powietrza. Prawą dłoń miała owiniętą bandażem. Jedyne koniuszki palców wystawały spod płóciennych zwojów. Przypomniała sobie, jak przekłuła pędzlem papier welinowy, przez co fala gorąca ogarnęła dłoń. Chowając rękę pod kołdrę, spróbowała zapomnieć o minionych wypadkach. Bezskutecznie. Umysł wciąż przekazywał migawkowe ujęcia wzorów, które namalowała, jak również dostrzeżonych rzeczy.

Zwinęła się w kłębek. To nie było w porządku. Jeszcze się dobrze nie rozbudziła, a już świat przybierał kształt czegoś, co jej się nie podobało. Została obarczona szeregiem powinności: spośród wszystkich wydarzeń i faktów towarzyszących tworzeniu iluminacji, ta jedna rzecz nie ulegała wątpliwości.

Wezwano ją do tego świata, by zniszczyła harrarów i pokonała tego, kto ich stworzył. Ktoś nimi sterował, zmieniał w potwory, zaszczipiał żądzą krwi i grupował w sfore. Poczula zapach pigmentu, który ich napędzał, i ujrzała rąbek człowieka stojącego w cieniu. On z kolei zauważył Tessę. Z tej to przyczyny jeden z harrarów zatrzymał się i popatrzył w jej stronę. Z tego też powodu leżała teraz w łóżku z bólem głowy i poparzoną ręką. Ktoś ją zauważył i starał się zniszczyć.

Zdając sobie nagle sprawę z dławienia w gardle, przełknęła z trudem ślinę. Dławienie nie ustało.

– Wypiłaś całą herbatkę, panienko? – zapytał Emith. – Ona złagodzi wszystkie bóle, jakie możesz odczuwać, i uporządkuje myśli.

Tessa zmusiła się do uśmiechu. Wątpiła, czy jakiegokolwiek lekarstwo dostępne w Bay'Zell potrafiłoby w tej chwili uporządkować jej myśli.

– Emicie, jak długo spałam?

– Okrążyły dzień, panienko. – Usadziwszy matkę na krześle, zbliżył się do Tessy. – Zemdlałaś wczoraj rano, a potem przespałaś cały dzionek i nockę.

Pokiwała głową. Czowała się, jakby trzymała rękę w ogniu.

– To ty odepchnąłeś mnie od stołu, prawda? I wyrwałeś pędzel z dłoni?

Nie spieszył się z odpowiedzią. Podsunął sobie stołek i usiadł.

– Niepięknie wygląda to oparzenie, panienko. Same palce mniej ucierpiały. Matka obmyła ci rękę, a najgorzej wyglądające miejsca posmarowała maścią z nagietków. Wątpię jednak, czy w ciągu najbliższych tygodni zdołasz cokolwiek namalować... Pozostanie też chyba ślad.

– Pst, Emicie – wmieszała się matka. – Na razie nie zdejmuj bandaży, moja droga, a wieczorem przemyję ci dłón. Póki co, nie chcę przysparzać ci bólu. Musisz wypocząć i zjeść coś. Emicie, przyniosłeś ten rosół?

– Podam go, matko, gdy tylko wypije herbatkę.

– Tylko nie zapomnij. – Po tych słowach skierowała uwagę na jakieś jarzyny wymagające obrania. Tessa zastanawiała się, czy staruszka wie, że pragnie porozmawiać z jej synem. Przytuliła chorą dłón do piersi i zapytała Emitha:

– Co właściwie wydarzyło się wczoraj rano? Czy spotkałeś się już kiedyś z czymś podobnym?

Potrząsnął głową. Potarł skronie i spojrzał bystro na swoją matkę.

– Przykro mi, panienko. Powinienem był przerwać ci wcześniej. Byłem bezmyślny. Słyszałem opowieści o skrybach, którzy splónęli w czasie malowania iluminacji, ale nie przypuszczałem, że tkwi w nich ziarnko prawdy. Kiedy zobaczyłem, jak upadasz na stół, wiedziałem, że coś jest nie tak. Zrobiłem pierwszą rzecz, która przyszła mi do głowy – wyrwałem ci pędzel z ręki i odsunąłem od iluminacji. To wszystko moja wina. – Spuścił wzrok. – Nie wiem, co ja i moja matka byśmy zrobili, gdyby przydarzyło ci się coś złego.

W trakcie jak opowiadał, Tessa rozglądała się po kuchni. Mdłe, przyćmione światło sączyło się przez nasączone w oliwie zasłony na oknach, a ogień trząskał w kominku, wypełniając izbę złocistą poświatą. Pokochała ten dom i ludzi w nim mieszkających.

– To wcale nie twoja wina, Emicie – bąknęła w końcu. – Nie możesz obronić mnie przed czymś, o czym nie masz pojęcia.

Tessa przyglądała mu się uważnie, ciekawa jego reakcji. Wciąż wlepił wzrok w podłogę. Dłónie splótł na kolanach. Skoro nie kwapił się z odpowiedzią, zdecydowała, że powinna coś dodać. W równym stopniu pragnęła to oznajmić Emithowi, co samej sobie.

– Oboje wiemy, że Deveric ściągnął mnie tu z jakiegoś określonego powodu i myślę, że go nareszcie odkryłam. Nie wiem tylko, od czego mam zacząć. Nauczyłeś mnie wielu pożytecznych rzeczy, wpoileś podstawy, teraz jednak sama muszę poznać resztę. Tych pięć wzorów namalowanych przez Deverica stanowiło wezwanie i czy mi się to podoba, czy też

nie, mam przed sobą wyznaczony cel. Dzieją się straszne rzeczy, Emicie. Straszne rzeczy. Widziałam je. Coś mi się zdaje, że muszę położyć im kres, a jeśli nie będę wiedzieć, co robię, źle się to dla mnie skończy. – Uśmiechnęła się, niemal roześmiała. Wyobrażała sobie, że tak właśnie mówią obłąkane kobiety.

Emith nadal milczał i odwracał wzrok.

Tessa poruszyła się pod kołdrą. Piekąca dłoń nie dawała spokoju. Nagle odechciało jej się śmiać. Poczowała się zmęczona, a ciało zdawało się z każdą minutą przybierać na wadze. Gdyby tylko zdołała uporządkować myśli.

– Deveric trzymał pod kluczem część mojej świadomości – powiedziała, chcąc, żeby Emith na nią spojrział. – Ta część ma coś wspólnego z rękopisami i pozwala mi spoglądać na wskroś pergaminu, jakby to było szkło.

Głowa Emitha uniosła się wolno do góry. Oczy nabiegły mu krwią.

– Jeśli mój mistrz chował coś przed tobą, panienko, to tylko dla twojego dobra.

Skinęła głową. Wiedziała, jak ważną rzeczą jest utrzymać Emitha w przeświadczeniu o szlachetności swego mistrza.

– No tak, chyba masz rację, sądząc z tego, co się wczoraj stało. Błąkałam się na oślep, rysowałam wzór zupełnie bezmyślnie, zatem nic dziwnego, że tak właśnie skończyłam. – Wyciągnęła przed siebie zabandażowaną dłoń. Z bólu zagryzła wargę. Dopiero po dłuższej chwili mogła wykrztusić słowo. – Deveric musiał wiedzieć, że będzie mi grozić niebezpieczeństwo i nie chciał, żebym ryzykowała, zanim przybędę tu, do tego świata. Zanim się wszystkiego nie nauczę. – Słowa wychodziły z jej ust o ułamek sekundy wcześniej, niż mózg formułował myśli. Wyglądało na to, że jej w głowie powstał tak wielki mętlik, iż język musiał zabrać się za myślenie.

– Nie mogę cię już niczego nauczyć, prawda, panienko? – bardziej stwierdził niż zapytał Emith.

Wybrała jedną spośród kilku możliwych odpowiedzi.

– Nie. – Bez wątplenia Camron z Thornu poległ wczoraj w bitwie, gdyby jednak wiedziała, co robi, mogłaby do tego nie dopuścić. Obecnie sprawy przedstawiały się inaczej: jej słowa i czyny nabrały znaczenia. Po raz pierwszy w życiu była za coś odpowiedzialna. Od jej postępowania zależało życie ludzi. Mogło jej się to nie podobać, ostatnie wydarzenia z pewnością ją zaskoczyły, ale czy potrafiła coś na to poradzić? Musiała nauczyć się jeszcze wielu rzeczy, a malowanie wzorów stanowiło dopiero początek.

Emith zerknął na matkę przez ramię. Gdy zauważył, że odpoczywa z głową pochyloną na piersi, powiedział:

– Nie chcę, żebyś nas opuszczała. Nigdy. Ale masz rację: to, co robisz, jest naprawdę niebezpieczne i wątpię, czy matka kiedykolwiek by mi wybaczyła, gdyby coś złego cię spotkało. – Przebierał nerwowo palcami. Mówił niskim głosem. Sądziła, że nic więcej nie powie, myliła się jednak. – Jest ktoś, kto może nauczyć cię tego, czego ja nie mogę. Mieszka



w Maribane, na Wyspie Namaszczonych. Niegdyś był wielkim mistrzem w swoim rzemiośle. Obecnie zaś... – Potrząsnął głową. – Nie wiem, kim jest obecnie. Ale na pewno niczego nie zapomniał. Żadne sztuczki świątobliwych ojców nie mogły sprawić, żeby zapomniał. Był zbyt wielkim człowiekiem.

– Brat Avaccus?

Emith wybałuszył na nią oczy.

– Tak, panienko. Brat Avaccus.

– Naciągnęłam kiedyś twoją matkę na zwierzenia – pospieszyła z wyjaśnieniem, nie chcąc pozostawiać go w niepewności. – Powiedziała mi to i owo o twoim życiu przed służbą u Deverica.

– Brat Avaccus nie uczynił niczego, o co posądzają go świątobliwi ojcowie. Był mędrcem, pragnął wiedzy. Wykreślał wzory, żeby poznać nowe rzeczy, nie zaś po to, żeby przywołać diabła, jak twierdzą co poniektórzy.

Skinęła głową. Obronę ludzi, których kiedyś darzył uczuciem, Emith miał we krwi. Kiedy Tessa stąd wyjedzie, on nie pozwoli nikomu wypowiedzieć o niej złego słowa. Czując, że żal znów ściska jej serce, spytała:

– Myślisz, że brat Avaccus zechce mi pomóc?

– Tak panienko. Oczywiście jeśli będzie wiedział, że to ja cię posłałam.

– Nie wiadomo, czy jeszcze żyje.

Potrząsnął głową.

– Och żyje, żyje. Gdyby umarł, poznałbym to po pigmentach.

Spojrzała w jego ciemnoniebieskie oczy i zrozumiała, że to prawda. Pomocnicy skrybów musieli być w jakimś stopniu czarodziejami.

– Jak długo trwa podróż na Wyspę Namaszczonych?

– Zazwyczaj cztery, pięć dni płynie się do Kilgrimu, portu leżącego najbliżej tej wysepki. Stamtąd udasz się łądem do Bellhaven, a dalej groblą na samą wyspę.

– Czy zechcesz mi pomóc przy wyjeździe? – Tessa nie spuszczała z niego wzroku. – Muszę wyjechać najprędzej, jak to tylko możliwe.

– Jeszcze kilka dni będziesz odpoczywać, panienko. Odzyskiwać siły. Nie tylko twoja ręka wczoraj ucierpiała. – Emith wyglądał na poruszonego. Zacisnął palce na kolanach, spoglądając to na nią, to znów na podłogę, raz na matkę, a raz w okno, i tak w kółko. – Pogoda o tej porze roku jest bardzo kapryśna. Porywiste wiatry, burze z gradem, a ty nawet nie masz płaszcza. Poza tym młoda kobieta nie powinna podróżować bez towa...

– Zorganizujesz mój wyjazd? – ucięła jego narzekania.

Choć Emith tylko słabo westchnął, mogłoby się wydawać, że uszło z niego powietrze: pierś się zapadła, ramiona obwisły, a wzrok spoczął na podłodze.

– Tak, panienko. Zorganizuję twój wyjazd.

Mimo że osiągnęła zamierzony cel, nie czuła satysfakcji. Nie chciała wyjeżdżać, zostawiać tego miejsca i tych ludzi. Nie chciała też sprawiać nikomu bólu. Lewą ręką dotknęła ramienia Emitha.

– Dziękuję – powiedziała cicho. – Dziękuję.

Pogłaskał jej wyciągniętą dłoń. Uśmiechnął się, ale niezbyt przekonująco.

– Jutro z samego rana udam się do portu. Spróbuję cię zaokrętować. – Po tych słowach wstał, zbliżył się do staruszki, owinał sobie szyję jej szalem, z wiaderka przy zlewie zabrał nożyk do oskrobywania i wyszedł na podwórko. Nie trzasnął drzwiami, ale Tessa poczuła się tak, jakby to zrobił.

Powinna postawić sprawę mniej ostro, inaczej podejść do rzeczy, lepiej wytłumaczyć. Powinna być miłsza. Bardziej... Właściwie jaka? Taka jak dawniej? Bez wątpienia dawnej Tessie McCamfrey poszłoby jeszcze gorzej. A może nie? Nie znała odpowiedzi. Podniosła rękę, by rozmasować bolące skronie. Zapominając o oparzeniu, zamiast użyć lewej ręki, użyła prawej. Ostrze bólu przeszło całe ramię. Zamknęła oczy i wstrzymała oddech, aż rwanie zelżało.

Na ogniu piekły się jabłka, kasztany i cebula. Chociaż w jukach pozostało sporo suszonego mięsa, nikt nie miał nań ochoty.

Zmierzchało. Zimny wiatr zaciął od wschodu, od gór i przełęczy wyznaczających granicę Garizonu i Raize. Nie świecił księżyc. Kilka co jaśniejszych gwiazdek połyskiwało nisko nad horyzontem, ale zwały chmur przetaczających się po niebie miały je wkrótce zakryć, pograżając świat w kompletnej ciemności.

Nikt się nie odzywał. Wszyscy kulili się przy ogniu – choć noc w rzeczywistości nie była aż tak chłodna – i łykali łapczywie z blaszanych manierek, które przechodziły z rąk do rąk tak cicho i płynnie, jak szepty z ucha do ucha. Zgodnie z milczącą umową rozpalono duże ognisko, którego jasne płomienie strzelały wysoko.

Wszyscy pomagali zbierać chrust na opał. Wszyscy ci, rzecz jasna, którzy mogli chodzić.

Ravis wodził spojrzeniem po twarzach żołnierzy. Łucznicy siedzieli obok szlachetnych panów, najemnicy przy rycerzach, a wszystkie oblicza wyglądały podobnie w blasku ognia. Strach malował się w zagłębieniach pod oczami i w opadających do ust bruzdach zmarszczek. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że harrarzy nie będą ich ścigać, ale to nie rozpraszało obaw. Ravis uczestniczył w wielu kampaniach prowadzonych przez możnych różnych krajów, niezliczoną ilość razy zmagął się z przewagami wynikającymi nie tylko z siły, ale i z mądrości przeciwnika, nigdy jednak nie zetknął się z czymś, co można by porównać do wydarzeń wczorajszego poranka. Żołnierze bali się. Sam się bał. Harrarzy nie byli dziećmi Boga.

Spoglądając poprzez płomienie i rozedrgane powietrze, odszukał sylwetkę Camrona. Lord opiekował się Brokiem z Lomis. Rycerz stracił wczoraj mnóstwo krwi i Ravis nie wiedział, czy przetrzyma kolejną noc. Camron tymczasem uparł się, że jednak przetrzyma.

Jeżeli spędzony czas i szczerą troską liczyły się choć trochę, istniała nadzieja, że Broc dożyje świtu.

Camron, jakby wyczuwając na sobie czyjś wzrok, odwrócił się w stronę najemnika. Obaj spojrzeli na siebie przez dłuższą chwilę, a później Ravis skinął głową, przekazał flaszkę koledze, po czym wstał i okrążył ognisko. Musiał rozmówić się z Camronem i choć z rozkoszą upiłby się z żołnierzami, wiedział, że powinien pozostać trzeźwy i mieć na wszystko baczenie. W życiu trzymał się niewielu reguł, lecz odpowiedzialności za powierzony mu oddział nigdy nie lekceważył.

– Broc zasnął już? – zapytał.

Camron kiwnął głową.

– Mam nadzieję.

Ravis pomyślał, że również lordowi potrzeba snu. Skórę miał siną i poplamioną, szyja błyszczała od potu, rany na rękach i nogach otworzyły się ponownie, a świeża krew przesiąkła przez bandaż.

– Usiądźmy tam, pod drzewami. Muszę rozprostować kości – zaproponował Ravis ze zmarszczonym czołem.

Camron zerknął na nieruchome ciało Broca.

– Nie chcę odchodzić zbyt daleko.

Usiedli na trawiastej kępie, blisko miejsca, gdzie leżał ranny. Obóz rozbito wśród łąk na wschodnim stoku wzgórza – nikt od zeszłego dnia nie ufał dolinom – czym Ravis się nie przejmował, mimo że wróg mógł ich łatwo wypatrzeć. Gdy tylko na wschodzie coś zacznie się ruszać, w ciągu minuty zwiną obóz i wycofają się na zachód. Nie będą podejmować walki. Wczoraj rano dopisało im szczęście. Fortuna jednak kołem się toczy.

– Sądzisz, że to dobry pomysł rozpałać tu ognisko? – zapytał Camron, z grymasem bólu siadając na ziemi.

Ravis wzruszył ramionami.

– Ogień dodaje otuchy. Ludzie jej potrzebują.

– To wiem, ale czy nie sprowadzi nam na kark harrarów?

– Gdyby Izgard nas szukał, owszem, ogień zdradziłby mu nasze położenie, ale chyba dziś w nocy nie mamy się czego obawiać.

– Dlaczego więc tak często oglądasz się za ramię, co? – Camron przycisnął palcami ranę na udzie. Na moment zamknął oczy. Jego pierś i ręka zadrżały, a oddech stał się przerywany. Ravis poczekał, aż szlachcic poradzi sobie z bólem.

– Bo nie umiem tak dobrze przewidywać posunięć Izgarda, jak mi się to przedtem wydawało. Posługuje się jakimiś siłami, o których ja nic nie wiem. Gra wyśliznęła się spod mojej kontroli i to mnie denerwuje.

– Wczoraj przed świtem zachowywałeś się, jakby zasady tej gry były ci doskonale znane.

Ravis zagryzł wargę. Potarł zębami bliznę: nie mógł zapominać, że Camron z Thornu jest ranny, a wczoraj przeszedł piekło, walcząc z harrarami w Dolinie Popękanych Kamieni. Spośród dwunastu żołnierzy, którzy weszli między skały, tylko dwóch uszło z życiem. Ciała zostały. Ravis wołał nie myśleć, co się z nimi stało.

Zaczerpnął głęboko powietrza i powiedział:

– Wczoraj nic wiedziałem, na czym polega gra. Przypuszczałem, że to pułapka. Gdy tylko usłyszałem, że Thorn został zdobyty, obudziły się we mnie podejrzania. Pożoga, bezmyślne zniszczenia i niepotrzebna śmierć – wszystko po to, aby nas zwabić. Izgard mógł wybrać jedną ze stu wiosek między Górami Północnymi a Górami Działowymi, lecz zdecydował się właśnie na Thorn. Nie tylko zdobył miasteczko, ale dokonał tylu okrucieństw, że wieść o nich rozeszła się lotem błyskawicy. On chciał, żebyśmy tam pojechali. – Spojrzał prosto w ciemnoszare oczy Camrona. – Ty i ja.

Camron przeczesał włosy dłonią czerwoną od krwi.

– Wiedziałeś o tym wszystkim, a mimo to nie próbowałeś mnie ostrzec?

– A co, może byś posłuchał?

Tymi słowami uciszył na chwilę Camrona, którego podbródek opadł na piersi, dłonie się spotkały, a palce splotły. Obaj milczeli, wpatrzeni w ognisko i dalej, w ciemności. Wraz z dymem wiatr podrywał w górę lśniące iskry, a gdzieś po drugiej stronie obozowiska ktoś zaczął śpiewać. Była to cicha, kojąca piosnka, którą matki śpiewają swoim zasypiającym maluchom, aby odpędzić złe duchy.

Po kilku chwilach Camron przerwał milczenie:

– Wiem teraz, że nierozważnie było prowadzić ludzi do tej doliny. Chciałem zginąć w boju. Wydawało mi się, sam nie rozumiem dlaczego, że jeśli będę walczył ze wszystkich sił i powalę wielu harrarów, wyrównam dług... – Westchnął i zamknął oczy. – Dług, który zaciągnąłem, gdy nie było mnie tam, gdzie być powinienem.

Słuchając tych wynurzeń, Ravis kciukiem żłobił bruzdę w ziemi. Bolała go rana w prawym boku, ale gorsze już otrzymywał w życiu i jego ciało zdążyło przywyknąć do wszelkich obrażeń. W ciągu kilku tygodni pozostanie po niej jedynie szrama. Jak ta na wardze.

Spoglądając na twarz Camrona, powiedział:

– Nie po to zwlekałem, żeby dać ci lekcję. Żyję na tym świecie już niespełna trzydzieści lat i wciąż nie znam żadnej, której mógłbym udzielić. Niebezpieczeństwo było oczywiste – zostałeś zwabiony w miejsce zamknięte, otoczone drzewami i skałami. Ktoś musiał zostać na zewnątrz, kiedy wchodziłeś w ten potrzask. Ja też popełniłem błędy. Zginęli ludzie, bo nie przybyłem na czas z odsieczą. Pomimo całej mojej przemyślności i szczegółowych planów, nigdy mi się nie śniło, że Izgard pośle w bój takie wojsko.

Kiedy to mówił, czuł na sobie badawcze spojrzenie Camrona. Na przekór wszystkim siniakom i zadrapaniom na twarzy, raizyjcki możnowładca wyglądał niezmiernie młodo i Ravis tego właśnie mu zazdrościł.

Camron zaczął wolno potrząsać głową.

– Nie powinienem tego robić. Nie powinienem prowadzić ich między skały. Wszystkie moje uczynki od śmierci ojca okazały się błędne.

Ravis sięgnął pod płaszcz w poszukiwaniu flaszki, lecz rychło przypomniał sobie, że oddał ją siedzącemu przy ognisku żołnierzowi. Nie mogąc pocieszyć Camrona winem, musiał pocieszyć go słowem:

– Wielkie emocje zawsze rodzą błędy. Wytwarzają je. Przy tym ognisku nie znajdziesz ani jednego człowieka, który by w przeszłości nie popełnił czegoś w przyływie gniewu lub szaleństwa, czego by później nie żałował.

Camron przekrzywił głowę i spojrzał na nocne niebo.

– A co z tobą? Popełniałeś błędy?

Ravis przełknął głośno ślinę.

– Więcej niż ktokolwiek na świecie.

– I dają ci żyć? Jak?

– Zawsze trzeba iść do przodu. Zawsze do przodu...

Nie spuszczać wzroku z nieba, Camron pokiwał głową. Chmury już dawno przesłoniły gwiazdy, lecz jakimś cudem noc przez to zyskała. Stała się jakby mniejsza. Łatwiejsza do ogarnięcia. Po minucie zapytał:

– No dobrze, co teraz?

– Obmyślimy plan. Ruszymy przed siebie. Spróbujemy zrozumieć, co się stało i dlaczego.

– Cóż, jeśli rzeczywiście cała ta przygoda była od początku ukartowana, Izgard chce mojej głowy.

Ravis uśmiechnął się.

– Jesteś w dobrym towarzystwie.

Teraz Camron zmusił się do półuśmiechu.

– Sądzisz, że Izgard wie o naszej współpracy?

– Czy sądzę? Mogę się o to założyć. A także o to, kto mu o tym doniósł.

– Marcel z Vailing?

Ravis przytaknął. Camron w lot łapał jego myśli.

– Marcel jest zdolny sprzedać duszę własnej matki za garść skryptów dłużnych i aktów kupna-sprzedaży.

– Jak ci się wydaje, ile może wiedzieć?

– Dosyć, żeby pomieszać nam szyki. – Ravis wzruszył ramionami. – Mimo to nie Marcel stanowi prawdziwe zagrożenie, tylko Izgard. Jeżeli nie zostanie szybko zatrzymany, ruszy na

Bay'Zell. Walczyłeś z harrarami i wiesz, do czego są zdolni. Wciąż uważasz, że raizyjscy rycerze potrafią stawić im czoło?

– Ale długie łuki... Wystrzelałeś harrarów...

– Przede wszystkim – wszedł mu w słowo Ravis – raizyjska armia nie dysponuje łucznikami. Nie porównuj łuku do miecza czy piki. Myślisz, że ściągniesz go ze ściany, odbędziesz kilka lekcji, wykonasz ze dwie sztuczki i już będziesz umiał się nim posługiwać? Dobry łucznik musi żyć się ze swoim łukiem. W Maribane nauka zaczyna się bardzo wcześnie; do szkółki trafiają chłopcy w wieku, w którym się jeszcze nienawidzi dziewczynek. Dostają wtedy do ręki łuki o naciągu trzydziestu funtów. Gdy chłopcy nauczą się z nich strzelać, wyrobią im się mięśnie i zwiększy zasięg ramion, dostają czterdziestofuntowe łuki, a potem pięćdziesięcio- i sześćdziesięcio-funtowe. Ćwiczą dalej, by po dziesięciu latach osiągnąć sylwetkę mężczyzny ukształtowaną dla łuku i przez łuk. Mogą wtedy naciągnąć cięższą strzałę cięższą od twojej pięści do celu oddalonego o czterysta kroków.

Camron chciał coś wtrącić, lecz Ravis nie dał mu dojść do głosu:

– Po drugie, mieliśmy w dolinie sporo szczęścia, nic więcej. Izgard zapomniał wspomóc swych harrarów łucznikami. Dlaczego? – nie wiem. Co ważniejsze jednak, nie wierzył, że sami będziemy nimi dysponowali. Harrarzy zostali wzięci z zaskoczenia. Nie spodziewali się żadnego poważniejszego oporu. Zobaczyli, że kilku z nich pada i dali nogę. Następnym razem nie uciekną. Będą przygotowani. Ten lub to, co kryje się za nimi, już się o to postara. – Zobaczył, że wyraz twarzy Camrona ulega gwałtownej zmianie. Niedobrze. Jeszcze nie skończył. – Harrarzy nie byli na koniach. Używali wyłącznie długich noży. Ich ryzsztunek uwzględniał tylko walkę wręcz z piechotą – to dlatego Izgard zwabił cię między skały. Widzisz – wszystko sobie obmyślił. Bądź pewien, że na spotkanie z kawalerią w polu przygotuje sobie zupełnie inną taktykę. Izgard zna się na wojnie i każdą bitwę potraktuje bardzo poważnie.

Ostatnie słowa, jakie wyszły z ust Ravisa, wydawały się pobrzmiwać w powietrzu niby odgłos dzwonów, których echo niesie na długo po tym, jak umilkną.

Camron siedział w milczeniu z nisko zwieszoną głową, prawą dłonią skubiąc bandaż na lewej ręce. Wiatr dął mu prosto w twarz, podnosił kołnierz i zawiewał do tyłu grzywę włosów. Ravis wiedział, że jego wypowiedź zabrzmiała szorstko, ale cóż mógł zyskać pięknymi słówkami? Wydarzenia zaszły za daleko, jak na oględne dywagacje, wyrażane miłym dla ucha tonem. Postarał się o to Izgard z Garizonu.

Jednakże po kilku minutach milczenia ze strony szlachcica, Ravis zaczął się zastanawiać, czy aby nie powiedział za dużo. Niekiedy bawiło go przedstawianie sytuacji w najczarniejszych barwach – taki już miał charakter.

– Nie musimy jednak siedzieć beczynnie – powiedział, odrywając ze swej tuniki skrawek tkaniny i podając go Camronowi. Krew z rany na jego nodze przesiąkła przez bandaż. – Możemy działać.

Camron podniósł wzrok na Ravisa. Szare oczy, jeszcze przed chwilą tak ciemne, nagle pojaśniały. Stały się niemal srebrzyste. Po chwili wziął z rąk Ravisa kawałek materiału.

– Co możemy zrobić?

Ravis poczuł niepohamowaną radość z faktu, że Camron przyjął wytargany kawałek rękawa, co ujawniło się w jego słowach:

– Jutro z samego rana odeślemy do domu istanijskich zwiadowców. Mają spośród nas najszybsze konie, więc dotrą do Bay’Lis i będą w drodze do Mizerico, zanim my wrócimy do Bay’Zell.

– A cóż takiego jest w tym Mizerico?

– Najlepsi łucznicy poza Maribane. Parę lat temu oddałem przysługę tamtejszemu prefektowi. Nie odmówi mi kompanii, jeśli go ładnie poproszę i odpowiednio posmaruję mu rękę. Napisz do niego list z obietnicą pełnego opłacenia wszelkich kosztów związanych z całą operacją i dorzucenia jakiejś wyrafinowanej błyskotki dla rzeczywistego władcy Mizerico – jego żony, a w ciągu miesiąca staniemy na czele setki doborowych łuczników.

Camron skinął głową. Ravis przypuszczał, że ujrzy na jego twarzy uśmiech, ale się rozczarował. Zamiast tego zapytał po chwili namysłu:

– A co my w tym czasie będziemy robić?

Ravis odetchnął głęboko i spojrzał na północ. Czuł się znużony, a rana od noża zaczynała z wolna doskwierać. Niektórzy harrarzy mieli brudne ostrza – wykładali pochwy nie umyтыми świńskimi jelitami lub czymś jeszcze gorszym. Ravis coraz bardziej skłaniał się ku przypuszczeniu, że w jego ranę mogło się wdać zakażenie. Później się nią zajmie. Na razie miał do rozstrzygnięcia nader trudną kwestię.

Oparł pięści na ziemi i przechylił ciało do przodu.

– Musimy się teraz rozdzielić. Ty udasz się do Mir’Lor, wystarasz się o audiencję u suzerena i opowiesz wszystko, co widziałeś. Zaniesiesz mu ostrzeżenie. Powinien wiedzieć, z jakim wrogiem przyjdzie mu walczyć. Każ mu rekrutować piechotę i strzelców: łuczników od krótkich i długich łuków i kuszników. Każdego, kto nawinie się pod rękę. Przekonaj go, że jego armia pójdzie w rozsypkę, jeśli nie wystawi do boju takich samych sił, jakimi dysponuje Izgard.

Camron skinął głową tak nieznacznie, że nie wyglądało to wcale na skinienie.

– Dlaczego ja? – odparł cicho, niemal niezrozumiale. – Dlaczego nie ty? Nie byłem na dworze od pięciu lat – odkąd mój ojciec posprzeczał się z suzerenem na temat Izgarda z Alberach. Ojciec radził, żeby śledzić każdy ruch Izgarda; chciał, żeby wysyłano emisariuszy, prowadzono rokowania pokojowe, nie dopuszczając tym samym do wybuchu nowej wojny.

Suzeren jednak był innego zdania. Nie rozumiał, dlaczego on, władca Raize, powinien bać się nędznego szlachetki z Garizonu.

Ravis utkwiał w Camronie uważne spojrzenie.

– Tylko tobie może się to udać. Suzeren wyśmiej każde słowo najemnika z Drokho. Ciebie na pewno wysłucha. Dawne spory odejdą w zapomnienie. Jesteś synem Bericka z Thornu, ostatnim potomkiem jednego z najstarszych i najzaciejszych raizyjskich rodów, z tronem Garizonu łączą cię więzy krwi. Będzie musiał cię przyjąć. Jeżeli przedstawiś sprawę jasno, zostaniesz wysłuchany. Jedź zatem do Mir’Lor, weź z sobą wojsko i napędź strachu raizyjskiemu suzerenowi.

Camron ponownie zajął się przyciskaniem pięści do rany na nodze. Nie wyglądał już młodo. Postarzało go wyczerniające z oczu cierpienie.

– A ty? Co zamierzasz?

– Muszę odkryć, skąd się biorą ci harrarzy. – Ravis mimowolnie zniżył głos. – Nie zmieniają się w potworów sami, ktoś im w tym pomaga, jeśli więc nie dowiem się, co lub kto się za tym kryje, Raize przegra wojnę i zostanie obrócone w perzynę. Thorn to dopiero początek. Izgard pożąda ziemi i tylko ziemi. Nie obchodzą go ludzie, rodziny, zabudowania. Obiecał swym generałom zdobycze terytoria i ucieknie się do wszystkiego, żeby je zdobyć. Posiada doskonały oręż – harrarów, którzy uderzają, zabijają wszystko w zasięgu wzroku i przygotowują teren pod zajęcie przez wojsko. Musimy znaleźć na nich jakiś sposób, w przeciwnym razie ulegniemy w polu. Harrarzy sieją popłoch wśród żołnierzy, którzy na ich widok tracą zmysły i przestają się racjonalnie zachowywać. Zaczynają popełniać błędy.

– Jak chcesz się czegoś o nich dowiedzieć? – spytał Camron pośpiesznie.

Ravis zauważył, że szlachcic nie ma najmniejszej ochoty jechać do Mir’Lor. A jednak pojedzie. Jeszcze dwa dni temu nie brałby nawet pod rozwagę takiej możliwości, teraz jednak był zgoła innym człowiekiem. Zmieniła go bitwa w Dolinie Popękanych Kamieni. Ravis nie wiedział, czy to dobrze, czy też źle, ale miał zamiar wyciągnąć z tego korzyści.

– Pamiętasz kobietę, która towarzyszyła mi w piwnicy u Marcela?

– Tę z rudymi włosami?

– Tak, to Tessa. Zdaje się, że i ona ma coś z tym wspólnego. Rysuje wzory podobne do tych, jakie oglądałem kiedyś u Izgarda. Nie zwróciłem wówczas na to zbytnej uwagi, ale ostatnio sporo się nad tym zastanawiałem. Muszę wrócić do Bay’Zell, porozmawiać z Tessą, wypytać ją, co wie i skąd się tu wzięła.

Camron uniósł brwi.

– I sprawdzić, czy nic jej się nie stało?

– Tak. – Ravis nie widział potrzeby zaprzeczać. – Nie chcę, żeby spotkała ją coś złego. – Wzruszył ramionami. – Być może zawiozę ją do Maribane, na Wyspę Namaszczonych. Tam szkolili się Deveric i skryba Izgarda.



– A zatem prosisz mnie – powiedział Camron, wciągnąwszy policzki – żebym ruszył wraz z wojskiem do Mir’Lor, gdy ty w tym czasie udasz się do Maribane na poszukiwanie odpowiedzi? Czy mogę ci zaufać?– Nie czekał na odpowiedź. – Skąd mogę wiedzieć, że mnie nie zwiedzisz? Że nie ruszysz w stronę dal i nie zostawisz mnie na lodzie?

– Bo daję ci moje słowo.

Camron nie zmrużył powiek. Przez dłuższą chwilę wlepił wzrok w Ravisa. Śpiewy już dawno umilkły, wiatr ucichł, na wschodnim zboczu wzniesienia zapanowała głucha cisza. Ravisowi zdawało się, że upłynęła wieczność, zanim ostatecznie grdyka lorda drgnęła i padły słowa:

– To dla mnie wystarczająca gwarancja.

Ravis dopiero teraz zorientował się, że przez cały czas wstrzymywał oddech. Kiedy odetchnął głęboko, jakby powiew goryczy uleciał wraz z wydychanym powietrzem. Od tak dawna nikt mu nie ufał, że zdołał zapomnieć, jak się człowiek wówczas czuje. Dobrze. Czuje się dobrze.

Aby nie okazać wzruszenia, wstał i wyciągnął dłoń.

– Spotkamy się za trzy tygodnie na zamku Bess.

Nawet z pomocą Ravisa Camron miał trudności z powstaniem. Rany od noży pokrywały jego plecy, ramiona i nogi.

– Zgoda, niech będzie za trzy tygodnie – odparł.

Ravis skinął głową i odszedł w stronę obozowiska. Potrzebne mu były pióro i kałamarz. W Mizerico mieszkała pewna czarnowłosa piękność, której należały się przeprosiny; przyszło mu na myśl, że powinien je teraz przekazać. List zawiozą jej istanijscy zwiadowcy.

W ciemności ciało dziewczęcia zdawało się takie wiotkie, że Izgard wyobrażał sobie, iż dotyka kości pod skórą. To go właśnie podniecało: wrażenie, że dotyka czegoś głębokiego, osobistego, znajdującego się wewnątrz. Czegoś, co jeszcze nigdy nie zostało dotknięte.

Dziewczyna była nienaturalnie wątła. Wyglądzona. Izgard dostrzegł ją przy drodze, kiedy zebrała o jedzenie. Biel kości przeświecała przez skórę, a oczy tak bardzo cofnęły się w oczodołach, że upodobniły się do dwóch rozżarzonych węglików na dnie głębokiej jamy. Izgard kazał swym ludziom zabrać ją na wóz– odzianą w potargany czerwony płaszczyk i z twarzą oblepioną błotem niby zaschniętą krwią.

Kiedy w nią wchodził, objęła rękami jego boki. Jej dotyk przejął go dreszczem. Suche dłonie. Żarliwe. W opuszkach jej palców ostało się tak niewiele ciała, że Izgard czuł się jak w objęciach trupa. Oddychał płytko, nierówno. Co się tyczy dziewczęcia, wyglądało na to, że z upływem czasu jej kościste ciało nauczyło się nie tylko obywać bez jedzenia, ale i bez powietrza.

Oczy Izgarda były szeroko otwarte. W jego prywatnym namiocie panowały absolutne ciemności i nie widział niczego, co znajdowało się wokół niego lub pod nim. Tego właśnie

pragnął. Przy zapalonej lampce musiałby patrzeć w twarz dziewczyny, a to by popsuło całą zabawę.

Ślina ciekła mu z języka, gdy sięgnął ręką, by dotknąć jej dłoni. Jego palec napotkał gładką, pergaminową skórę nadgarstka i zaczął przesuwając się wzdłuż grzbietu dłoni i nabrzmiętych żyłek – liczył je, pieścił i delektował się przepływającą w nich krwią. Podniecony w jeszcze większym stopniu, ześliznął się w dół jej kciuka. Skóra naciągnięta na kłykcium była tam najcieńsza i Izgard na dłuższą chwilę zatrzymał się przy tym stawie. Kiedy nacieszył się kciukiem do syta, dotknął twardego naskórka u podstawy paznokcia, a później samego paznokcia.

Coś ostrego ukłuło go w palec. Gwałtownie wciągnął powietrze.

Chociaż pewna stłamszona część jego natury wiedziała, że to tylko ostry paznokieć, druga część, znacznie większa i możniejsza, powiedziała mu, iż to cień Kolczastego Wieńca. W ciemności nie mógł tego rozstrzygnąć.

Zamarł w bezruchu i skupił się na wkłuwającym mu się w ciało szpikulcu. Pogłębiła się ciemność w namiocie. Czuł niemalże, jak napiera na jego plecy, osadza się w płucach i niczym poranna mgła osnuwa myśli.

Oczyma wyobraźni oglądał Wieniec, którego zastępczy kolec wwierał mu się pod skórę. Ujrzał odbicie swej twarzy w złotych, poskręcanych wstęgach. Serie obrazów – przesuwających się z taką prędkością, że ich rozmyte kontury nie dawały się określić – zalsniły na metalicznej powierzchni niczym kryształki soli wrzucone do ognia. Mimo że nie potrafił nazwać poszczególnych fragmentów, całość była dlań zrozumiała.

Zwilżył wargi. Wieniec ukazywał mu obrazy wojny.

Raptem sceny przeniosły się sprzed jego oczu w głąb umysłu, gdzie zaczęły wirować, miotać się i szukać ścieżki do samego rdzenia: krew, rozszarpane ciało, rozdziawione usta i nieskazitelne lśnienie stali. Izgard ujrzał rzeczy, których nie znał, jak też wiele takich, które dobrze rozumiał. Obrazy przypalały żywą tkankę jego świadomości, piętnując go znamieniem Wieńca i niszcząc wszelką materię, która znajdowała się poniżej. Wizje zaczęły stopniowo zwalniać, wszystkie pojęcia stojące im na przeszkodzie rozwiały się bądź zostały skonsumowane, aż wreszcie w dogasającym ognisku jego myśli pozostał jeden obraz.

Stał oto na molo w Bay'Zell, wielkim porcie zachodu – pan dróg handlowych prowadzących na zachód, Daleki Wschód i Dolne Południe, władca Raize, Zatoki Obfitości i rozciągającego się za nią Zatoczka.

A wszystko to dopiero początek.

Izgard odsunął się od dziewczyny i usiłował wstać. Chociaż dziewczę wpiło się weń paznokciami, przestał o niej myśleć. Jej wychudzona postać odpychała go teraz. Namietność opuściła ciało, by przenieść się do umysłu. Król pożądał tego, co pokazał mu Kolczasty Wieniec. Wszystkiego. Nęciły go chwała wygranych bitew, uzyskana władza i wyrazy

uznania z ust baronów i lordów. Kusiły go również pewne mroczne wizje: gnijącej padliny, ropiejących ran, brudu, gnoju i much.

Z bijącym sercem i wilgotnymi dłońmi snuł się po ciemnym namiocie z kąta w kąt i wkładał ubranie. Źle się stało, że spoczął na laurach. Niepotrzebnie wstrzymał zbrojny pochód dla zaczerpnięcia oddechu. Musiał natychmiast porozmawiać ze skrybą.

Gdy wyszedł na zewnątrz, owiało go chłodne, nocne powietrze. Dziewczyna знаła swoje miejsce i nie wołała za nim. Być może oszczędzi ją z tego powodu.

Gwardziści przeżyli się na baczność, kiedy przechodził wzdłuż uporządkowanych szeregów namiotów. Obóz rozbity o dzień jazdy na wschód od Thornu, u podnóży Gór Północnych, w miejscu, gdzie wznosiły się na spotkanie z Górami Działowymi, był sercem zdobycznego terytorium. W promieniu trzynastu mil nie mieszkał żaden człowiek, w którego żyłach nie płynęła garizońska krew lub nie służył sprawie Izgarda. Postarali się o to harrarzy, maszyny do zabijania, gdyż łaknęli widoku krwi i zapachu strachu, a każde tchnienie, nie będące ostatnim, jakie wydawał człowiek, parzyło ich w płucach niby trucizna.

Izgard był z nich zadowolony – z nielicznymi tylko wyjątkami. Oczyszczali ziemię ze wszelkich nieczystości, przygotowując ją pod zasiedlenie dla synów i lordów Garizonu.

W namiocie Ederiusa nie paliło się światło. Ponieważ Izgard nie niósł z sobą pochodni, wśliznął się niezauważony przez szczelinę wejścia. Skryba spał twardym snem. Ciemna sylwetka leżała zwinięta na ziemi z kolanami przyciągniętymi do piersi. Choć do wnętrza namiotu wpadała jedynie mętna poświata, zauważył, że starzec drży. Dreszcze krótkimi seriami ogarniały koc, który go okrywał. Bitwa rozegrana wczorajszego poranka nadwątlila jego siły. Od tamtego czasu znajdował się pod obserwacją medyków.

Władca przyklęknął obok śpiącego skryby. Wyciągnął rękę i zakrył twarz Ederiusa, jego nos i usta. Płuca śpiącego na próżno usiłowały zassać powietrze, wobec czego ciało zatrząsnęło się konwulsyjnie, a oczy szeroko otwarły. Izgard natężył ucisk, nie pozwalając starcowi wstać.

– Widzę, żeś się obudził – mruknął.

Skryba mrugał desperacko. Białka oczu błyszczały jasnym blaskiem. Ręce podskakiwały, a mięśnie żuchwy kurczyły się spazmatycznie.

Izgard nadal nie pozwalał mu odetchnąć.

– Spójrz na mnie – syknął, zatrzymując swoją twarz cał nad nosem starca. – Spójrz na człowieka, który nosi Wieniec.

Zdjęty panicznym strachem, Ederius szamotał się bezskutecznie. Pierś miotła się z boku na bok, nogi wierzgały szaleńczo, był jednak słaby, a brak powietrza robił swoje. Po kilku sekundach skryba zwiotczał, ręce opadły mu bezwładnie, plecy przyłgnęły do ziemi.

Izgard skinął głową. Z taką siłą przyciskał dłoń do ust skryby, iż wyczuwał poszczególne zęby.

– Czy jestem twoim panem, Ederiusie? – szepnął. – Jestem?

Oczy skryby wychodziły z orbit. Z zapadniętą piersią próbował kiwnąć głową.

– Złożyłeś przede mną świętą przysięgę?

Ederius skinął twierdząco, bardziej jednak oczami niż twarzą.

– Gdyby pojawiło się jakieś niebezpieczeństwo, powiedziałbyś mi o tym?

Ciało skryby zadrgało. Klatka piersiowa trzęsła się pod kocem, a ramiona i ręce zaczęły skręcać się i zwijać. Żył nabrzmiały na szyi, gdy zmusił się do przytaknięcia.

Tknięty złym przecuciem, Izgard wycofał dłoń.

Ederius poderwał się błyskawicznie, krztusząc się, kaszląc, machając rękami i łapczywie wciągając powietrze. Z oczy popłynęły mu łzy.

Izgard westchnął przeciągle, nie odwracając od niego wzroku. Odetchnął białą mgiełką.

– Już dobrze – powiedział, odwróciwszy się, by ukryć konsternację. – Już po wszystkim.

Ederius sapnął kilkakrotnie, lecz nie wiadomo było, czy chciał coś przez to powiedzieć.

Izgard rozglądał się po namiocie w poszukiwaniu dzbanka z wodą. Mimo że ciągle panowały ciemności, wyraźnie rozróżniał przedmioty. Dostrzegł stojącą na skrzyni butelkę i sięgnął po nią bez namysłu.

– Pij – rzekł, wyjmując korek i podsuwając ją Ederiusowi pod nos. Sądząc z zapachu, był to alkohol, nie woda.

Ederius złapał butelkę, pociągnął łyk, przełknął z trudem, po czym napił się ponownie. Jego ciało wciąż drgało konwulsyjnie, nie poddając się kontroli umysłu.

Patrząc na pijącego skrybę, Izgard czuł powracający gniew. Ten człowiek był słaby. Słaby! Pochylił się do przodu.

– Co się wydarzyło wczoraj w czasie bitwy? Dlaczego moim harrarom nie udało się zabić Camrona z Thornu ani Ravisa z Burano?

– Łucznicy, panie. – Ederius powstrzymał się na chwilę od kaszlu i wy dobył z siebie zrozumiałe słowa. – Przecież sam o tym wiesz. Harrarzy powrócili już do obozu. – Głos skryby stawał się coraz bardziej niewyraźny. Po brodzie spływała mu strużka śliny.

Izgard postąpił krok do tyłu; odsunął się od skryby, by nie ulec pokusie uderzenia go w twarz. Zawahał się jednak. Był przecież królem. Potrzebował odpowiedzi i zamierzał uzyskać je za wszelką cenę.

– Dlaczego harrarzy się wycofali? Dlaczego nie zmusiłeś ich do dalszej walki bez względu na łuczników i ich strzały?

Ederius przetaił twarz dłonią. Milczał.

– Obiecałeś odpowiedzieć mi, skrybo – napomniął go Izgard. Z ręką na sercu, Ederius wykrzyknął:

– Bo byłem za słaby, za słaby! Ktoś wmieszał się do moich iluminacji – jakaś dziewczyna. Musiałem użyć całej mojej siły, by ją powstrzymać. Była niebezpieczna, nie miała wprawy... – Skryba drżał na całym ciele. – Trudno zgadnąć, co by się stało, gdybym pozwolił jej kontynuować.

– Dziewczyna. – Izgard podrapał się w szyję. – Kim jest? Dlaczego próbowała przeszkodzić w moich planach?

– Już wcześniej widziałem jej twarz. – Ederius starał się oddychać głęboko i miarowo, żeby uspokoić drzenie ciała. – Towarzyszyła Ravisowi z Burano tamtej nocy na moście, kiedy wpadł w zasadzkę harrarów.

Izgard trzepnął się pięścią w udo.

– Ravis z Burano! Ravis z Burano! Zawsze słyszę to imię. To obmierzłe, paskudne imię. Co on ma wspólnego z tą dziewczyną? Co on teraz robi?

Owinąwszy się kocem, odszedł w kąt namiotu.

– Dziewczyna jest iluminatorką, panie, zwykłą nowicjuszka. Wie jednak wiele o wzorach i usiłowała powstrzymać harrarów.

– Zniszczyłeś ją?

– Próbowałem.

Izgard chwycił brzeg koca i wyszarpnął go skrybie.

– Nie to słowo pragnąłem usłyszeć. Żyje czy nie żyje?

Ederius potrząsnął głową. Pod kocem był nagi, za wyjątkiem płóciennej opaski na biodrach.

– Chyba żyje. Niewątpliwie została poparzona, lecz żyje.

– To nie wystarczy. Trzeba ją znaleźć i zgładzić. Powiadasz, że dziewczyna nie ma wprawy, niemniej udało jej się rozproszyć twoją uwagę i pomieszać ci szyki, przez co cały nasz plan spalił na panewce. Zagraża harrarom, mojej osobie i Wieńcowi, więc trzeba z nią zrobić porządek. – Wizerunek korony przesłonił mu cały świat. Czuł podniecenie, zniecierpliwienie i wielką ochotę do działania. – Wiesz, gdzie się teraz znajduje?

Ederius trząsał się. Kolana podciągnął pod samą brodę.

– Chyba w Bay’Zell. Nie jestem tego pewien. Zobaczyłem kuchnię i jej twarz, nic ponadto.

Izgard skinął głową.

– Bay’Zell? Świetnie, zaczniemy od Bay’Zell. Dziś wieczorem poślę tam zastęp harrarów. – Zwrócił koc Ederiusowi i dodał: – Przykryj się dobrze, starcze. Nie chcę, żebyś się zaziębił i umarł.

– Być może są jakieś wzory, którymi mógłbym jej poszukać. O świcie przejrzę książki.

– Przejrzyj je teraz, starcze – rzekł Izgard, wychodząc z namiotu. – Zaraz rozkażę oświetlić cały obóz, byś miał widno jak w dzień. Przybyłem tu na wojnę i tylko na wojnę. Nie spocznę, nie zasną i nie zatrzymam się, póki nie padną wszyscy wrogowie, a Bay’Zell nie złoży mi hołdu.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Angeline siedziała na koniu nad wyraz ostrożnie, wybierając drogę z niemal fanatyczną drobiazgowością, nie chcąc, by jej wnętrzności prysły jak szkło. Raz po raz Gerta zerkała na nią ze swego wyniosłego stanowiska na grzbiecie starego, olbrzymiego kuca, a wtedy królowa musiała starać się ze wszystkich sił, aby na jej policzki nie wypłynął rumieniec. Czasami wpijała paznokcie w udo, ale nawet ten zabieg nie zawsze przynosił oczekiwany efekt. Ostatnio czerwieniła się pod byle pozorem.

Wędrowały przez Góry Działowe w kierunku przełęczy i raizyjskiej granicy. Izgard zażądał jej obecności w obozie, zatem niewielka drużyna – w skład której weszła też Gerta, Śnieżek, tuzin uzbrojonych mężczyzn i kucharz polowy – wyruszyła w drogę następnego ranka po przybyciu posłańca z Raize. Angeline, trochę zaskoczona tak szybkim biegiem wypadków, dopiero teraz zaczęła uświadamiać sobie sytuację, w jakiej się znalazła.

Jechała do obozu wojskowego. Na wojnę.

Zmarszczyła czoło, niezbyt uszczęśliwiona tą myślą, i sięgnęła w dół, żeby pogłaskać Śnieżka.

Śnieżka umieszczono w koszyku przytroczonym po prawej stronie siodła. Siedząc tam, sprawiał przygnębiające wrażenie. Spoglądał w górę na Angeline swymi dużymi, ciemnymi oczami, przekrzywił głowę, oszołomiony, i popiskiwał niczym mysz.

*Śnieżek na dole, Śnieżek na dole.*

Angeline podejrzewała, że doskwiera mu jazda, toteż miała wielką chęć zatrzymać się i przytulić go do siebie. Chociaż wiedziała, że oficjalnie to ona stoi na czele oddziału i może w każdej chwili zarządzić postój, nie śmiała tego robić. No bo co by się stało, gdyby – dajmy na to – wydała rozkaz, którego nikt by nie posłuchał? A gdyby tak gwardziści, cała dwunastka, wybuchnęli nagle śmiechem? Za życia ojca wystarczyło, że poprosiła go o coś, a już padały rozkazy wydawane głębokim, grzmiącym barytonem. Jego nikt nigdy nie ignorował, nawet Izgard.

Raptem ogarnął ją smutek i pogłaskała jedwabiste włoski za uszami Śnieżka.

– No już, Śnieżku, no już – powiedziała. – Musimy sobie jakoś radzić.

Tak naprawdę nie czuła się dużo lepiej od psa. Nawet przyjemność związana z opuszczeniem murów zamczyska i możliwością rozkoszowania się cudownym, błękitnym niebem oraz pachnącym górskim powietrzem nie poprawiała jej zbytnio nastroju. Gerta wciąż łypała na nią okiem niczym kwoka, wzmagając w niej wyrzuty sumienia z powodu popełnionego oszustwa, a ścieżka, którą zdążali, wydawała się o wiele bardziej wyboista od kruszonki na jednym z jabłkowo-orzechowych ciastek Dham Fitzil.

Jabłka i orzeszki laskowe: na samą myśl o nich doznawała zawrotów głowy. Nawet gdy wspominała swój ulubiony przysmak, truskawki w śmietanie, skręcał się jej żołądek, i to całkiem głośno, a gulgoczące odgłosy wciąż dobywały się z jego czeluści. Westchnęła cicho, zażenowana. Na domiar wszystkiego znów poczuła, że się rumieni!

– Dobrze się czujesz, moja pani? – zapytała Gerta, jadąca po drugiej stronie ścieżki. Pozbawiona swej bogato wyposażonej kosmetyczki i zastępu szpilek w ustach, czuła się trochę niepewnie, jak skrzypek bez smyczka.

– Nic mi nie jest, Gerto. Tylko... – Angeline rozglądała się w poszukiwaniu źródła inspiracji: zobaczyła jedynie strome ściany z szarego kamienia, malutkie łaty łączek porośniętych barwnym kwieciem, dziwne krzaczki, spod których wyfruwały jeszcze dziwniejsze ptaki, jak również słońce: olbrzymie i żółte, zawieszzone na bezchmurnym niebie. – Jest mi trochę gorąco. To wszystko.

– No cóż, w takim razie lepiej będzie, jak się na chwilę zatrzymamy. – Gerta przekreśliła się w siodle. – Stać, stad, wszyscy stać! Rozbijać namioty! Jej Wysokość musi odpocząć w cieniu. Hej, ty tam! Tak, ty z tym berdyszem, biegnij, a żywo, po wodę z chłodnego strumienia dla królowej! A ty nie stój tak przy tych jukach, tylko wyciągnij najlepszy z koców i rozwiń go na ziemi. Żwawo! Bród pod paznokciami będziecie oglądać później.

Przypatrując się energicznym poczynaniom Gerty, Angeline czuła zarówno ulgę, jak i wyrzuty sumienia. Podziwiała swą opiekunkę za sposób dyrygowania ludźmi i była wdzięczna za możliwość wypoczynku, niemniej jednak dręczyło ją nieczyste sumienie. Gerta troszczyła się o nią, naprawdę się troszczyła – podobnie jak Śnieżek i jej ojciec – gdy ona tymczasem uciekła się do takiej obłudy!

Zsunęła się z siodła z grymasem na twarzy. Do tego stopnia kręciło jej się w głowie, że nawet przytulanie Śnieżka niewiele pomagało. Zniosłaby to jakoś, gdyby w grę wchodziły wyłącznie wyrzuty sumienia, a nie coś znacznie, znacznie poważniejszego.

Zaiste – zaszła w ciążę. Potwierdzały to wszelkie symptomy: czerwieniła się bez powodu, miała nudności, bolały ją piersi, zanikła miesiączka. Nosila w sobie dziecko, ale nie mogła się z tym zdradzić. Gerta, oszukana, bardzo by się gniewała, Izgard natomiast wpadłby we wściekłość, że narażała życie nienarodzonego dziecka, wyprawiając się konno w góry. Przecież jej wnętrzności mogły prysnąć jak szkło na pierwszym lepszym zakręcie drogi! Wszyscy by się na nią wściekli. Wszyscy!

Puściła Śnieżka na ziemię i usiadła na pobliskim kamieniu. Patrzyła, jak w środku dnia powstaje obóz. Szczerze pragnęła tego dziecka (nic sądziła wcześniej, że tak będzie), toteż bolało ją serce, iż niepotrzebnie naraża jego życie. Ojciec zawsze marzył o wnuku. “O dorodnym dzieciątku, zupełnie jak moja najlepsza dziewczynka” – zwykł mawiać. Tylko że teraz nie było ojca, a ona nie była niczyją najlepszą dziewczynką.

Była niedobrą dziewczynką. Okłamała i wyprowadziła w pole Gertę, przez co oszukała Izgarda, który musiał posyłać po nią do Sern. I to z jakiej przyczyny? Aby odetchnąć

świeżym powietrzem? Rozejrzała się wokół siebie. W rozgrzanym powietrzu góry wyglądały na szare i zamglone; puszek dmuchawców przelatywał jej koło twarzy. Było tu o wiele przyjemniej niż w twierdzy Sern, ale ona przecież nie miała pozostać w górach, miała zamieszkać w obozie wśród żołnierzy, strzeżona dniem i nocą; w ciąży, nie śmiać nikomu o tym powiedzieć; u boku Izgarda, który kipiał gniewem niczym woda nad ogniem, gdy tylko popełniała jakieś głupstwo.

Zadrżała na przekór upalnej pogodzie. Narobiła potwornego, potwornego zamieszania.

Jak zawsze, kiedy się bała lub coś ją trapiło, klepieniem w udo przywołała Śnieżka. Piesek błyskawicznie zjawił się u jej stóp: w takich wypadkach nie zachowywał się jak nieudacznik. Pochyliła się i wzięła go na ręce. Walcząc z kolejnym atakiem mdłości, jedną rękę położyła na brzuchu, drugą na karku Śnieżka i wyszeptwała:

– Tylko my o tym wiemy, Śnieżku. Tylko ty i ja.

– A tutaj, panienko, jeszcze dziesięć sztuk srebra na wypożyczenie konia. – Emith wręczył Tessie drugą sakiewkę. – Powinno być tu nieco więcej, tak na wszelki wypadek. Ach, i pamiętaj, żebyś nie trzymała razem obu mieszkań. I zawsze na siebie uważaj. Zawsze.

Chociaż Emith te samą radę dawał jej od czasu śniadania już chyba po raz dziesiąty, skinęła głową. Wzięła sakiewkę – która, sądząc po ciężarze, zawierała co najmniej dwukrotną ilość srebra od tej zadeklarowanej przez Emitha – i przywiązała ją sobie do paska.

Stali na nabrzeżu, w cieniu trójmasztowca, który miał ją zabrać do Maribane. Obok nich przepychali się tragarze, taszcząc beczki, skrzynie i klatki po szeregu pomostów wiodących na statek. Marynarze ryczeli na siebie z wysokości masztów, wyrzaskując obelgi, przestrogi i wskazówki. Mewy skrzeczały, drewno wysychające w porannym słońcu trzeszczało, pasażerowie oczekujący na podróż zbili się na molo w ciche grupki, natomiast wysoko na pokładzie rufówki mężczyzna w turbanie, żując korzeń lukrecji, wszystkim w zasięgu wzroku wydawał rozkazy.

Tessa nie mogła wprost uwierzyć, że wyrusza w podróż. Nie więcej jak pięć dni temu obudziła się z obolałą głową, poparzoną ręką i poprosiła Emitha, żeby pomógł jej zaokrętować się na statek do Maribane. Od tamtej chwili życie w gospodarstwie Emitha zaczęło płynąć wartkim nurtem. Emith, z początku niechętny, wywiązał się z danego słowa. Co więcej: Tessa miała teraz nowe buty, rękawiczki, płaszcz i sukienkę, ponadto pochwę na nóż Ravisa, skórzany pasek i sakwę, a także skórzany worek na osobiste rzeczy. Emith zdobył dla niej nawet grzebyki i wstążki do włosów, choć prawdopodobnie pomysł ten narodził się w głowie staruszki. Matka Emitha była niezrównana, jeśli chodzi o pamiętanie o wszystkich szczegółach.

Staruszka dowodziła całą operacją z bezpiecznej przystani swego krzesła: mówiła, co należy kupić, co zastawić w zamian za gotówkę, jakie mięso zasuszyć na podróż, które skórzane worki zapakować, jaką bajkę powinna mieć Tessa na podorędziu na wypadek pytania: Dlaczego taka młoda kobieta podróżuje sama? Matka Emitha była demonem



planowania: plan przyływu i odpływu statków, raporty o stanie pogody, miejscowe zwyczaje oraz pogłoski – wszystko to było brane pod uwagę, gdy rozwijała się jej wielka koncepcja.

Tessa musiała poddać się szorowaniu i dziwnym zabiegom kosmetycznym, jak też przywdziać odpowiedni strój, żeby “wzbudzać respekt”, a zarazem nie rzucać się zbytnio w oczy. Matka Emitha długo i z naciskiem rozwodziła się na temat niebezpieczeństw, jakie grożą na morzu kobiecie, gdy wpadnie w oko jakiemuś lubieżnikowi.

– Przynajmniej, wnioskując na podstawie wieku, każdy będzie pewien, że jesteś zameżna – powiedziała wcześniej, upinając włosy Tessy w twarde, stateczny kok. – Pamiętaj o jednym: na statku każ się wszystkim, nawet kapitanowi, nazywać “panią”, nie zaś “panną”.

Tessa z uśmiechem pogładziła swą nową fryzurę. Jakże ciężko będzie się pożegnać. Jakże ciężko. Matka Emitha omal nie uniosła się z krzesła i objęła ją tak gorąco, iż wydawało się, że nigdy już jej nie puści. Puściła ją jednak, a kiedy Tessa znalazła się przy drzwiach, już odnalazła swój nożyk i zaczęła obierać warzywa do małego rondelka. Obojętnie co przynosił dzień, zawsze należało przygotować kolację.

Przełykając ciężko ślinę, Tessa odwróciła się do Emitha. Zawiazywał na klęczkach pakunki i sprawdzał, czy nic z nich nie wyleci.

– Wszyscy na pokład! Kapitan mówi: wszyscy na pokład! – Mężczyzna w turbanie wpułł korzeń lukrecji. – Za kwadrans odpływamy, wszyscy na pokład!

Pasażerowie zaczęli przesuwac się w stronę pomostów, dźwigając torby i pilnując kufereków. Tessa naliczyła ponad tuzin kobiet i mężczyzn wchodzących na pokład, chociaż zgodnie z informacjami matki Emitha, “Zawada” była przede wszystkim statkiem handlowym, przewożącym towary między Kilgrimem a Bay’Zell.

– Wszyscy na pokład! – pokrzykiwał mężczyzna w turbanie, patrząc wprost w stronę Tessy. – Wszyscy na pokład!

– Proszę, panienko. To twój bagaż. – Emith wręczył jej worek. Poza zwyczajowym, kuchennym otoczeniem, wydawał się mały i zagubiony.

Jak się wcześniej spodziewała – zagładając w ciemnoniebieskie oczy Emitha, poczuła ogarniającą ją żalność. Przez całe życie uwielbiała wyjazdy, kochała podróże, podążanie w jakimś celu – jakimkolwiek, byle dalej. I oto dzisiaj, choć uwolniła się wreszcie z kuchni matki Emitha, mając lada chwila wyruszyć w podróż do nieznannej krainy, na wysepkę u wybrzeża wyspy Maribane, pragnęła jedynie wrócić z Emithem do domu.

Nie chciała wyjeżdżać. Po raz pierwszy w życiu nie chciała zmieniać miejsca pobytu.

Nabrała powietrza i zamierzała rzucić się Emithowi w objęcia, powstrzymała się jednak w ostatniej chwili. Czułby się zażenowany jej zbyt wylewną wdzięcznością.

– Opiekuj się matką pod moją nieobecność. Pożegnaj ją jeszcze raz ode mnie.

Emith stał się nagle bardzo zajęty oglądaniem swego rękawa.

– Tak, tak. Gdyby nie ona, to...

– Wiem, pojechałbyś ze mną. – Przez chwilę usiłowała się uśmiechnąć, w końcu jednak musiała zadowolić się krzywym grymasem.

– Wszyscy na pokład, wszyscy na pokład!

– Musisz już iść, panienko. Pamiętaj, zawsze na siebie uważaj. Nie rozmawiaj z nieznajomymi i staraj się trzymać w towarzystwie innych kobiet.

Teraz także ona zaczęła wpatrywać się w rękaw Emitha.

– Nie zapomnę żadnego twojego słowa. Żadnego.

Rękaw się uniósł. Tessa poczuła na ramieniu dłoń Emitha.

– Idź już, panienko. Niech wszyscy czterej bogowie czuwają nad tobą i obyś wróciła do nas cała i zdrowa.

Tessa dotknęła jego ręki. Tyle doznań w jednej chwili, nieznanych wcześniej wrażeń, jak uczucie strachu czy smutek rozstania.

– Ostatni dzwonek! Wszyscy na pokład!

Przerzuciła worek przez ramię i utkwiła spojrzenie w twarzy Emitha, aż i on popatrzył na nią, po czym odwróciła się i odeszła. Wybierała się w podróż.

Słońce grzało ją w plecy, gdy wspinała się po pomoście. Po siedmiu tygodniach odosobnienia w kuchni matki Emitha zgiełk głosów, ciżba ludzi i bogactwo zapachów niemal ją przytłoczyły. Poczula się, jakby wyszła z ochronnego kokonu. Z rozbawieniem zauważyła, że odkąd zamieszkała u Emitha, zapomniała, na jakim się znajduje świecie. Teraz, dzisiaj, wszystko sobie przypominała. Znajdowała się w obcej krainie, zaludnionej obcymi ludźmi i niewyobrażalnie daleko od domu.

Mimowolnie sięgnęła ku wstążce uwiązanej na szyi, następnie dotknęła schowanego pod kaftanem pierścienia. Zapominając, że powinna używać lewej ręki zamiast zabandażowanej prawej, poczuła piekący ból w dłoni. Z grymasem na twarzy zacisnęła palce na złotym pierścieniu, świadomie przekuwając skórę maleńkimi kolcami. Delikatny ból zdawał się jej pomagać.

– Ejże, panienko! – zawołał szczerbaty młodzieniec, wyciągając rękę w stronę Tessy, kiedy jej stopa wylądowała na deskach pokładu. – Pomogę ci z tym workiem.

Przypominając sobie wszystkie przestrogi Emitha, potrząsnęła głową.

– Nie jest wcale taki ciężki. Sama sobie poradzę. A tak przy okazji, nie “panienko”, tylko “pani”.

Przy tych słowach poczuła, że odzyskuje powoli dawne siły. Od pięciu dni nie spała dobrze. Na poparzonej dłoni pękały pęcherze: wydzielaly krew i ropę, naciągały skórę i rozrywały dopiero co zagojone rany. Z powodu bólu przewracała się w nocy z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Gdy wreszcie zasypiała, nie dane jej było zaznać odpoczynku. Z ciemnego zakątka snu wpatrywał się w nią złowieszczo harrar ze złocistymi oczami.

Szczerbaty wycofał się i Tessa stanęła na pokładzie. “Zawada” kołysała się lekko, co jej przypominało, że nie znajduje się już na suchym lądzie. Ominęła sprzeczącą się dzieciarnię

i kobietę w spiczastym kapeluszu, przyozdobionym woalką, która sięgała ledwie do brwi, po czym ruszyła w stronę poręczy. Jej prawa dłoń unosiła się koło worka, natomiast lewa spoczywała pod fałdą płaszcza. Palce dość pewnie zaciskały się na rękojeści noża.

Nietrudno było wypatrzeć Emitha na nabrzeżu. Pośród drepczącego, rozgadanego i niechlujnego tłumu, on jeden stanowił wysepkę .spokojnej elegancji. Starał się dzisiaj ubrać jak najlepiej i, zauważywszy wiśniowy rąbek kamizelki widoczny pod płaszczem, żałowała, że nie może mu powiedzieć, jak ładnie wygląda. Przechylona do przodu, machała gorliwie, zamierzając za wszelką cenę zwrócić na siebie jego uwagę.

Nie musiała się bardzo wysilać. Emith odpowiedział tak szybko, jakby ani na moment nie stracił jej z oczu. Na widok jego szlachetnej, znajomej twarzy, zadartej teraz do góry, żal ścisnął jej serce.

“Zawada” przechyliła się wyczuwalnie, gdy liny holownicze napięły się nad wodą, a wioślarze na łodziach zaczęli odciągać statek od nabrzeża.

– Wszyscy, ruszać się, żwawo! – zaczęły sypać się komendy z pokładu rufówki, gdzie stał mężczyzna w turbanie, szeroko rozstawiając bose stopy. – Wciągać kotwicę! Zamykać luki ładowni! Zwijać liny!

Marynarze biegali między pokładem rufówki a śródkręciem i od dziobu do rufy. Z nożami w zębach, zwojami lin na ramionach, podrygującymi u pasa metalowymi kubkami z woskiem i tłuszczem – poruszali się wśród pasażerów niczym tancerze wokół posągów. Wysoko nad głowami kiwały się maszty (wzmagał się wiatr), rozwijały żagle, pomrukiwały szlagi, olinowanie jęczało pod ciężarem obracających się bomów.

Powiew bryzy szarpał włosami Tessy, wysuplując luźne kosmyki przy skroniach, uszach i szyi. Pokład drgał i kolebał się, w miarę jak statek zaczął oddalać się od nabrzeża. Emith wpatrywał się w nią z molo, jego twarz była taka mała i blada. Tessa przestała już machać, patrzyła tylko, zaciskając kurczowo lewą dłoń na poręczy.

Raptem na nabrzeżu rozbrzmiało dudnienie końskich kopyt.

– Z drogi! – krzyczał ktoś. – Z drogi!

Obserwowała, jak odziany na czarno jeździec przebija się przez tłum, strzelając z bata. Ludzie rozbiegali się na boki z okrzykiem przerażenia. Kobiety pierzchały. Dzieci darły się wniebogłosy. Mewy podrywały się w powietrze. Jeździec, przez nikogo nie powstrzymywany, nie zamierzał zwalniać, choć spod kopyt wierzchowca pryskały drzazgi. Tessa pomyślała, że szalenciec za moment wjedzie dowody.

Wówczas promień słońca oświetlił jego twarz.

Wstrzymała oddech. Paznokcie wpiły się w poręcz. To Ravis!

– Rzucajcie pomost! – zawołał, ściągając lejce. Gromada widzów rozpierzchnęła się niczym mrówki. – Bóg mi świadkiem, ten statek nie odpłynie beze mnie!

Tessa zerknęła w dół, na powiększającą się szczelinę między okrętem a skrajem pirsu. Morze poniżej miało kolor błota. Dwóch marynarzy spuściło pomost z pokładu głównego. Na

próżno: nie sięgnął. Na ratunek pospieszyli pozostali marynarze. Kładka została wciągnięta do połowy długości i pięciu mężczyzn obciążyło ją na jednym końcu.

– Będziesz musiał skoczyć! – wrzasnął pierwszy z marynarzy, przytknąwszy dłoń do ust.  
– Jeśli cię cykor nie obleciał!

Koń Ravisa przyhamował gwałtownie. Jego właściciel odrzucił bat, chwycił skórzany worek i puścił się pędem wzdłuż nabrzeża. Deski ugiwały się pod jego nogami, włosy zmierzwiły na wietrze. Żyły po obu stronach szyi były równie białe jak mewy, które przepędził. Tessa spostrzegła, że zaciskał pięści i przygryzał wargę, pędząc co sił w stronę pirsu. Z przejęciem patrzyła, jak sięga ostatniej deski i wyskakuje w stronę statku.

Wyciągnięta prawa stopa Ravisa opadła pewnie na pomost.

Wtem: trach! Drewno pękło. Wystająca nad wodę część pomostu poleciała w dół, lecz impet skoku wciąż jeszcze popychał Ravisa do przodu. Spadając i wymachując rękami, spróbował lewą dłonią ucześcić się krawędzi statku. Tessa nie odważyła się odetchnąć ani zmrużyć powieki. Ciało Ravisa było szybkie, a jego ruchy płynne jak rtęć. Palce dosięgły pokładu. Marynarz, który wcześniej wołał do niego, zakrył dłonią kłykie Ravisa. Drugi mężczyzna złapał jego nadgarstek, trzeci – ramię. Razem wciągali go, jakby był siecią pełną ryb: rękę, ramię, głowę, drugą rękę, tułów, nogi.

Tessa westchnęła z ulgą.

Ravis, rozdygotany, z trudem łapiąc powietrze, został postawiony na nogi. Szybko przychodził do siebie. Bardzo szybko. Poglądził zmierzwioną grzywę włosów i powiódł wzrokiem po twarzach załogi i pasażerów, którzy – podobnie jak Tessa – przyglądali się całemu zdarzeniu z pokładu rufowego. Po kilku głębokich, uspokajających oddechach pokłonił się uniżenie, obracając się na wszystkie strony, tak aby każdy na pokładzie mógł poczuć się usatysfakcjonowany.

– Panie i panowie, proszę o wybaczenie. Miałem nadzieję przybyć jakieś dziesięć minut później i urządzić przedstawienie z prawdziwego zdarzenia.

Rozległy się gorące oklaski.

Członkowie załogi stukali kubkami o deski pokładu, dzieci biegały jak opętane, a marynarze, którzy pomogli Ravisowi wygrzebać się na pokład, poklepywali go po plecach.

Tessa uśmiechnęła się, a następnie – spostrzegłszy spojrzenie Ravisa – parsknęła śmiechem. Jakże wspaniale wówczas wyglądał!

– Kiedy dowiedziałem się od matki Emitha, że wypływasz do Maribane, popędziłem do portu. – Ravis wzruszył ramionami. – Chyba rozpląsałem po drodze kilka szczurów.

Ravis dopiero co zapłacił kapitanowi za przejazd, a teraz próbował rozgościć się w kajucie Tessy. Jego buty, płaszcz i worek leżały na stercie obok luku wejściowego.

Sama kabinka miała dosyć dziwne kształty: przywodziła namysł zakamarki pod schodami. Jej długość ledwie pozwalała dorosłemu człowiekowi wyciągnąć nogi w czasie snu, co się zaś tyczy wysokości – Tessa zaczepiała włosami o belki drewnianego sufitu.

Pomieszczenie znajdowało się tuż nad ładownią i czuło się tu wyraźnie zapachy psujących się przypraw korzennych, wlatujące przez szpary między deskami podłogi oraz przez dziury w ciasnych kątach, których zapewne nigdy nie odwiedziła miotła. Większość miejsca zajmowało prosta prycza, zrobiona chyba głównie z gwoździ, nie z drewna. Z powały zwieszała się lampka z mosiężną pokrywką, kołysząca się w rytm przechyłów okrętu i napelniająca środek kajuty światłem i dymem.

Podczas gdy Tessa klęczała na podłodze, Ravis usiadł na łóżku i oparł plecy o ścianę. Z bliska na jego bladej twarzy można było wyczytać zmęczenie, a przy każdym ruchu krzywił się z bólu (aczkolwiek starał się to ukryć). Zastanawiała się, jakim cudem udało mu się przeskoczyć z pirsu na statek, skoro już na pierwszy rzut oka wyglądał na chorego. Choć od skoku upłynęło około dwudziestu minut, nadal nie mógł złapać równego oddechu.

– Z daleka dzisiaj jedziesz? – zapytała, skrzętnie ukrywając troskę w głosie.

– Sam nie wiem. Dwadzieścia, trzydzieści mil. – Spojrzał na nią ciemnymi oczami. – Nie masz przypadkiem kropelki beriaku gdzieś na dnie tego worka? Swoją flaszkę osuszyłem zaraz za Runzy.

Zdenerwowana, sama nie wiedząc dlaczego, przysunęła worek i zaczęła przetrząsać jego zawartość. Ravis wydał jej się nagle kimś obcym. Przecież w ogóle go nie znała. Spędzili z sobą zaledwie jeden dzień, a i to wydawało się całą wiecznością temu. I oto proszę: rozsiadł się wygodnie naprzeciwko niej, zajął większość przestrzeni w kabinie, roztaczał zapach potu, koni i odległych miejsc, a na dodatek pędził dzisiaj przez miasto, żeby ją dogonić.

Tessa przerzucała w worku przeróżne paczki i pakunki, póki palce jej nie spoczęły na gładkiej, chłodnej blaszanej flaszcze. Po wyciągnięciu korka powąchała zawartość. Opary podrażniły jej nozdrza i zamrugnęła gwałtownie.

– Proszę – powiedziała, podając flaszkę Ravisowi – to powinno pomóc.

Ravis bez wahania skorzystał z propozycji i pociągnął głęboki łyk, nie bawiąc się w wąchanie i kosztowanie. Sądząc po przechyleniu flaszki, jednym haustem musiał wypić trzecią część trunku. Wytarłszy usta wierzchem dłoni, powiedział:

– Widzę, że wciąż masz mój nóż.

Zerknęła w dół. Nóż nie wystawał spod płaszcza.

Widząc jej konsternację, rozchylił wargi w szerokim uśmiechu.

– Kiedy nachyliłaś się nad workiem, przez chwilę był widoczny.

– Zawsze się tak przypatrujesz ludziom, z którymi przebywasz?

– Zawsze.

Przyjmując wyzwanie, jakie rzucił jej swą butną miną, zapytała:

– Tak? To co jeszcze możesz o mnie powiedzieć?

Pochylił głowę.

– Skoro nalegasz, nie ma sprawy. Pod bandażem na prawej dłoni masz paskudną ranę. Musi być naprawdę paskudna, bo lewą ręką wyciągałaś korek z butelki. Przybrałaś na wadze,

odkąd cię widziałem po raz ostatni, z czym – nie waham się powiedzieć – jest ci bardziej do twarzy. Muszę też przyznać, że wysiłki matki Emitha przyniosły skutek wprost przeciwny do zamierzonego: żebyś wyglądała mniej atrakcyjnie, upięła ci włosy jak siostrze w klasztorze, ty jednak dzięki temu zyskałaś na urodzie. Każdy mężczyzna, który teraz na ciebie spojrzy, będzie musiał patrzeć ci w oczy, nie na włosy.

Zła na samą siebie, oblała się rumieńcem. Spuściła wzrok, bojąc się spojrzeć mu w oczy. Co ją napadło, żeby zadawać tak idiotyczne pytanie?

Ravis podał jej flaszkę.

– Masz ochotę na łyceczek?

Wyrwała mu butelkę z dłoni. W tonie jego głosu brzmiało rozbawienie, choć nie umiała stwierdzić, czy się śmieje, czy też nie.

– A ty – zapytał – co ty możesz powiedzieć o mnie?

Nie zwlekała z odpowiedzią.

– Cierpisz, choć ze wszystkich sił starasz się to ukryć. – Ciągle roztrzęsiona, pociągnęła spory łyk wina.

Ravis wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę bez zmrużenia powieki. Kiedy ostatecznie postanowił przerwać milczenie, cała jego wcześniejsza wesołość znikła bezpowrotnie.

– Tydzień temu zostałem ranny w bitwie. Czubek noża był brudny i wdało się zakażenie.

– Pomacał ręką zebra. – Wątpię, czy pięć dni szaleńczej jazdy wyjdzie mi na zdrowie.

Tessa wyciągnęła ku niemu butelkę, zapominając o gniewie i zakłopotaniu.

– W bitwie? Byłeś razem z Camronem z Thornu między spękanymi skałami?

Ravis obrzucił ją uważnym, powłóczyстым spojrzeniem. Nie przyjął wina.

– Co wiesz o tej bitwie?

Oparzone miejsce raptownie ją zapiekło, a płomień bólu ogarnął dłoń i nadgarstek. Statek przechylił się i lampa uderzyła o belkę, skutkiem czego światło przygasło, a gęsty dym uniósł się z knota. Choć nie było jej zimno, poprawiła płaszcz na ramionach.

– Byłam tam – powiedziała to powoli, ponieważ nie chciała, aby Ravis zrozumiał ją na opak. – Widziałam Camrona z Thornu, osaczali go harrarzy. Chciał ocalić życie jednego z rycerzy. Patrzyłam, jak opędza się przed sforą tych potworów.

– Rysowałaś wzory.

Nie było to pytanie, niemniej jednak przytaknęła.

– Zgadza się, rysowałam wzór. Tylko że w pewnym momencie zaczęłam tracić grunt pod nogami. Czułam smród harrarów. Słyszałam ich. – Wstrząsnęły nią dreszcze. Dłoń pulsowała bólem. – Gdy malowałam, wydawało mi się, że mogę patrzeć na wskroś pergaminu. Wszystko widziałam niezwykle wyraźnie: Camrona, krew, harrarów, ich noże! – Świadoma, że jej głos zaczyna się łamać, krzyknęła: – Próbowałam mu pomóc! Nie wiedziałam tylko, co robić, od czego zacząć. W pewnej chwili sądziłam już, że sprawy zaczynają układać się po

mojej myśli– harrarzy słabli, wtedy jednak... – Potrząsnęła głową, słowa ugrzęzły jej w gardle.

– Co wtedy? – spytał Ravis ostro.

– Coś mnie odnalazło. Zobaczyło, rozpoznało moją obecność i przedostało się przez papier welinowy, żeby mnie zniszczyć.

Kołysała się w przód i w tył na dłoni, którą przesywał nieznosny ból. – Zobaczyłam oczy wpatrzone we mnie, poczułam straszny ucisk w głowie, a wtedy skóra na dłoni zaczęła mi się palić.– Wstrząsnęła lekko ramieniem, okazując swą bezradność. – Potem obudziłam się w kuchni i okazało się, że przespałam cały dzień.

Ravis zagryzł wargę.

– Jak mogłaś zrobić coś równie głupiego? Czyżby Emith cię nie ostrzegła? Dlaczego się przynajmniej nie zastanowiłaś? Mogłaś przecież zginąć. Zginąć! Myślisz, że to zabawa? Wierz mi, niebezpieczeństwo jest realne. Powinnaś się wycofać, gdy tylko poczułaś zapach harrarów. Odłożyć łyżeczkę i wstać od stołu. Nie powinnaś się do tego mieszać. Nigdy!

Zdumiała ją furia Ravisa. Nie rozumiała jej źródła.

– Nie jestem już małą dziewczynką. Wiedziałam, że igrzm z niebezpieczeństwem, ale czy miałam wybór? Camrona otoczyli harrarzy. Nie mogłam go tak zostawić. Musiałam coś zrobić – cokolwiek. Musiałam spróbować.

– Niepotrzebnie się narażałaś. Kontrolowałam całą sytuację. – Oprócz gniewu w głosie Ravisa tliło się coś jeszcze, czego nie śmiała nazwać.

– Nie wmawiaj mi tylko, że tobie poszło lepiej.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To tylko, że Camron nie żyje. Gdybym miała większą wiedzę lub bardziej się postarała, kto wie, może płynąłby dzisiaj tym statkiem... – Czowała, że jest bliska płaczu. Nie powinna dać się ponieść emocjom. Nie poznawała samej siebie.

– Camron żyje. – Ravis tylko odrobinę spuścił z tonu. – Jest w drodze do Mir’Lor. Wysłałem go jak najdalej od harrarów.

Drewniane wiązania kabiny przeżyły się i trzeszczały, gdy usiłowała wychwycić sens słów Ravisa. Ból ręki w połączeniu z kołysaniem statku przyprawiał ją o mdłości.

– Uratowałaś go? – zapytała w końcu, czując się jak małe dziecko, któremu trzeba wszystko wytłumaczyć.

– Tak. Ja i tuzin łuczników. – Ravis powiódł palcem wzdłuż szramy na ustach. – Zatrzymałem wcześniej swój oddział. Wiedziałem, że idziemy prosto w zasadzkę, ale na czym polegała, miałem się dopiero przekonać. Nie spodziewałem się, że przyjdzie mi się zmierzyć z oddziałem harrarów podobnych do tych, którzy zaskoczyli nas wtedy na moście.

– Ktoś za nimi stoi – stwierdziła. – Czulałam, jak rusza za mną w pościg.

Skinał głowę.

– Myśle, że to Izgard wraz ze swoim skrybą.

– Tak, jakiś skryba maczał w tym palce. – Serce zabiło jej żywiej. – Zanim zemdlałam, poczułam woń pigmentu; nie był to mój pigment...

– Pamiętasz coś jeszcze?

Potrząsnęła głową. Wciąż usiłowała przyjąć do wiadomości fakt, że Camron z Thornu nie zginął.

– Pomyśl, pomyśl!

– Co mam więcej pamiętać? Malowałam wzory. Widziałam, jak harrarzy atakują Camrona. Chciałam mu pomóc, ale nie wiedziałam co robić i wpadłam. – Tessa z wolna otrząsała się ze złego nastroju. – To wszystko, nie ma nic do dodania.

Ravis nawet nie mrugnął, gdy podniosła głos. Zamiast tego powiedział:

– A więc, ktokolwiek to był – Izgard czy jego skryba – zauważył tylko twoją obecność, kiedy próbowałaś mu się przeciwstawić?

– Trudno powiedzieć. Nie jestem co do tego pewna. – Widząc, że Ravis zamierza zadać kolejne pytanie, postanowiła go ubiec. Nie lubiła być pod ostrzałem. – Nie wytłumaczyłeś mi jeszcze, skąd się tutaj wzięłaś. A może po prostu znalazłaś się w Bay’Zell przypadkiem i postanowiłaś zapytać, jak się czuję?

Uśmiech Ravisa rozbłysnął na moment w mętnym, przydymionym świetle kajuty. Natychmiast powstała miła atmosfera i zrobiło się jakoś cieplej.

– Zdaje się, że przekroczyłem limit pytań, jakie mogłem zadać.

Tessa nie potrafiła oprzeć się (choć chciała) urokowi owego uśmiechu. Ciemne oczy Ravisa błyszczały z uciechy: zdawał sobie doskonale sprawę z celności swojej uwagi.

– Po prostu odpowiedz na moje pytanie – powiedziała, mile zaskoczona powagą, z jaką wymówiła te słowa. Szczęściem odzyskała panowanie nad głosem.

Pochylił się na łóżku. Jedyne przejawy bólu, który mu doskwierał, były nieznaczne pogłębienie się zmarszczek wokół oczu i błysk zagryzającego dolną wargę białego zęba. “Zwykle szczegóły” – pomyślała, kiedy się odezwał.

– Przyjechałem do Bay’Zell, aby cię odnaleźć. Musiałem upewnić się, że jesteś bezpieczna, musiałem zapewnić ci dalsze bezpieczeństwo i dowiedzieć się, skąd się tu wzięłaś. – Mówił cicho, ale bynajmniej nie szeptem; głosem szorstkim, ale też nie ostrym. – Z wszystkimi wydarzeniami łączą cię jakieś więzy. Zanim jeszcze dowiedziałem się od ciebie, że widziałaś Camrona w dolinie, podejrzewałem cię o to. Wszystko, co przed chwilą mówiłaś, zdaje się to potwierdzać. Nie wiem, do czego jesteś zdolna, ale widziałem, na co stać harrarów Izgarda i – prawdę mówiąc – boję się. Nigdy dotąd nie walczyłem z podobnym wojskiem. Oni nie biją się jak zwykli żołnierze, nie czują strachu ani nie wiedzą, co to odpowiedzialność. Nacierają i nacierają bez końca. Rozciąłem jednego z nich od gardła po pępek, lecz ten wcale nie zamierzał umierać – na jego twarzy nie odbił się nawet ślad cierpienia – dalej atakował, dopóki osłabiony wpływem krwi nie wypuścił noża. – Wzdrygnął się. Jego palce wędrowały wokół żeber. – Człowiek po otrzymaniu tak ciężkiej rany pod



wpływem instynktu wycofuje się z bitwy, nie chce ginąć, oni zaś walczą do upadłego. Ale najbardziej przeraża mnie myśl, że mogą ich być tysiące. Nie mam pojęcia, ilu harrarów było wtedy w dolinie, być może o wiele mniej, niż na to wyglądało. Ich liczba jednak była niczym w porównaniu z siłami, jakie Izgard trzyma w odwodzie. Dowodzi przecież dwudziestotysięczną armią. Dwadzieścia tysięcy ludzi, z których co czwarty przeszedł taką szkołę, że posługuje się bronią, jeździ konno i zachowuje się w polu wystarczająco dobrze, żeby zasługiwać na miano harrara. A jeśli Izgard potrafi wszystkich zmienić w zwierzęta? Wiemy przecież, do czego harrarzy są zdolni, gdy szturmują miasto. Zrównali z ziemią Thorn. Zabili kobiety i dzieci, zbrojnych i zwierzęta: dla nich to bez różnicy. Zabijają wszystko, co się rusza. – Żuł z zapamiętaniem wargę. – Uwierz mi: jeżeli Izgard zdobędzie środki, by przemienić swą armię w legion potworów, nie będzie się wahał. Kiedy tak się stanie, Raize go nie powstrzyma, no bo jak?

Tessa klęczała w kącie kabiny z zamkniętymi oczami. Wiedziała, że Ravis świadomie usiłuje ją przestraszyć, lecz nie musiał się aż tak bardzo wysilać. Była przerażona. W jej żołądku kotłowało się, a tępy ból ćmił pod skrońmi. Nie był to co prawda żaden *tinnitus*. Jego już się nie bała.

Nie wiedząc, czy myśl o tym dodała jej otuchy, czy też napęliła gniewem, powiedziała:

– Wiem, dlaczego tu jestem. Deveric ściągnął mnie do Bay’Zell, żebym powstrzymała harrarów.

Ravis przyglądał jej się w milczeniu, spuściwszy powieki, by ukryć swe myśli.

Postanowiła nie czekać na odpowiedź.

– Mojego przybycia zażądały ilustracje namalowane przez Deverica, te które Emith dał na przechowanie Marcelowi z Vailing. To one mnie tu sprowadziły. Dwadzieścia jeden lat temu Deveric zaczął pracować nad serią pięciu iluminacji, a ledwie ukończył jedną z nich, mnie rzucało coraz bliżej pierścienia. Sprawdziłam daty: pasują jak ulał. Deveric sterował mną przez większą część życia; w dniu, w którym namalował ostatni wzór, znalazłam to. – Wydobyła pierścień spod kaftanika i wyciągnęła go w kierunku Ravisa. – Przeniosłam się tutaj, gdy tylko włożyłam go na palec.

Najemnik siedział nieruchomo. Nie kwapił się, by sięgnąć po pierścień. Na jego twarzy nie malowały się ani zdziwienie, ani też niepokój. Nie zapytał jej, skąd pochodzi, a zamiast tego powiedział:

– Tamtego ranka, kiedy znalazłem cię w dokach?

– Tak.

– A tydzień temu, kiedy malowałaś wzór i widziałaś Camrona walczącego z harrarami, był taki moment, że wywierałaś jakiś wpływ na bitwę?

Skinęła głową.

– Jestem tego pewna. Harrarzy zaczęli słabnąć; i zmieniać wygląd. Coraz bardziej przypominali ludzi i gdybym tylko wiedziała, co robię, z pewnością udałoby mi się ich zatrzymać.

– A więc po to wyruszyłaś do Maribane? Po wiedzę?

– Tak. Emith mnie tego nie nauczy – jest pomocnikiem skryby, nie skrybą. Zna się tylko na tym, co do niego należy. – Zauważyła, że nie obchodzi jej dłużej odpowiadanie na pytania Ravisa. Po prostu mówiąc na głos, co myśli, chciała zostać dobrze zrozumiana. On akceptował każde jej słowo i była mu za to wdzięczna. – Kiedy w zeszłym tygodniu malowałam ten wzór, zanim jeszcze zobaczyłam Camrona, znalazłam w sobie coś, co było zakopane głęboko w mojej podświadomości. Tak jakby częśćka mojej natury ukrywała się przede mną przez dwadzieścia jeden lat i dopiero tutaj mogłam ją odnaleźć i wykorzystać.

Ravis pomacał się po kilku miejscach wokół żeber. Był blady i wyraźnie wycieńczony.

– A zatem jedziesz do Maribane w poszukiwaniu odpowiedzi i rady?

– Emith polecił mi swojego znajomego, brata Avaccusa, który mógłby mi pomóc. – Mówiąc to, znów zaczęła grzebać w worku.

Matka Emitha dopilnowała, żeby wyposażono ją na drogę w cały arsenał ziół i maści. “Nigdy nie wiadomo, co może przytrafić się samotnej kobiecie na statku” – powiedziała. Tessie przyszło do głowy, że może znajdzie też coś odpowiedniego dla Ravisa. Maść z nagietka, którą zastosowała na oparzoną dłoń, mogłaby oczyścić jego ranę, a wysuszona kora wierzbowo- dołączona przez staruszkę przeciwko gorączkom i dolegliwościom – mogła złagodzić ból. Po otwarciu rozmaitych paczek, owiniętych liśćmi wodorostów i obwiązanych sznurkiem, znalazła to, czego szukała. Wprawdzie kora wierzby musiała się najpierw zagotować na wrzątku, ale maść nadawała się do natychmiastowego zastosowania.

– Zdejmij koszulę – powiedziała.

Ravis otworzył szeroko oczy.

– Tak szybko? Dopiero co weszliśmy na pokład.

Na widok uśmiešku błąkającego się po jego wargach Tessa zmarszczyła czoło.

– Wiesz, co mam na myśli. Chcę przyjrzeć się twojej ranie i posmarować ją maścią.

– Co to?

– Maść z nagietków.

Skinał głowę.

– Mogłaby pomóc. – Po rozwiązaniu rzemyków tuniki, ściągnął ją przez głowę, a następnie pozbył się koszuli. Skrawek materiału przykleił się do rany i Ravis skrzywił się, kiedy go odrywał.

Tessa wzięła głęboki oddech. Rana była oblepiona zakrzepłą krwią, a skóra naokoło nabrzmiała. Wszystko, co zapamiętała o leczeniu z opowiadań matki Emitha, snutyh przy ogniu podczas długich popołudniowych godzin, wydawało się niewystarczające w zetknięciu z tym przypadkiem.

– Widzisz ten nóż przy moim sakwojażu? – Kiwnął głową w stronę stosu leżącego u wejścia. – Wyciągnij go i rozgrzej ostrze nad płomieniem.

Zadowolona z tego, że wiedział, co należy zrobić, postąpiła zgodnie ze wskazówkami. Po ściągnięciu lampy z haka zdjęła mosiężną przykrywkę i zbliżyła nóż do płomienia. Ostrze pociemniało, a kiedy zaczęło dymić, Ravis powiedział:

– Wystarczy, wytrzyj żelazo maścią i podaj mi nóż.

Statek zakołysał się zniecka i – żeby nie upaść – Tessa musiała wesprzeć się szybko o ścianę kabiny. Jej żołądek zdawał się poruszać niezależnie od reszty ciała; gdy usiłowała złapać równowagę, fala mdłości podeszła jej aż pod gardło. Przygryzając język, podała nóż Ravisowi, który, nie tracąc ani chwili, ułożył go odpowiednio w dłoni, zagryzł bliznę na wardze i naciął skórę nad dolnym żebrem. Z grymasem na twarzy złapał koszulę i przycisnął materiał do ciała, wyciskając tym samym krew i ropę. Tessa w miarę dobrze znosiła podobne widoki, lecz w tym momencie jej żołądek znajdował się i tak w stanie rozstrojenia, toteż na widok rzadkiego, żółtego płynu, wydzielającego się z rany, zebrało jej się na wymioty.

– Masz u siebie w torbie trochę imbiru? – zapytał Ravis, wciąż krzywiąc się i wyciskając ranę.

– Nie wiem, ale sprawdzę. – Tessa z zadowoleniem skorzystała ze sposobności odwrócenia swojej uwagi. – Do czego ci będzie potrzebny?

– Nie mnie, tylko tobie. Coś ci liczka pozieleniały.

– Pozieleniały?

– Cierpisz na chorobę morską, a najlepszym lekarstwem na nią jest imbir. – Oderwał koszulę od rany, a czerwone i żółte plamy ukrył, zwijając materiał w kłębek. – Podaj mi resztę tej maści i czystą szmatkę, jeśli masz taką.

Podczas gdy on opatrywał swą ranę, Tessa szukała imbiru pomiędzy dziesiątkami paczek od matki Emitha.

– Skąd tyle wiesz o leczeniu? – zapytała, wachając okrągłą, spłaszczoną kostkę żółtego koloru.

– Nie mam wyboru, to część mojej pracy. Gdy posyłam statkiem żołnierzy, liczę na to, że po dopłynięciu do celu będą zdolni do walki, więc ważne jest, żeby w czasie podróży nie marnowali posiłków i nie jęczeli na pryczach. Podobnie na polu bitwy: trzeba wiedzieć, jak postępować z rannymi, jak tamować krwotoki i zapobiegać zakażeniom przy użyciu dostępnych pod ręką środków. Jeśli rozejdzie się pogłoska, że w twojej kompanii pozwala się umierać ludziom, żadne złoto nie pomoże ci w zdobyciu kolejnych najemników.

Stwierdziwszy, że żółta kostka jest w istocie zasuszonym, posiekanyim imbirem, włożyła kawałek do ust i zaczęła przeżuwać. W słowach Ravis'a kryło się zwykłe, chłodne wyrachowanie, co ją do pewnego stopnia rozczarowało. Zmieniła temat:

– Jak długo będzie się goić twoja rana?

Ravis zawiązał węzeł na bandażu i sięgnął po flaszkę z beriakiem. Choć podczas całej operacji z ust jego nic wydobył się żaden dźwięk świadczący o bólu, kropelki potu wystąpiły mu na czoło, a na wardze pokazała się krew. Pociągnął łyk wina i powiedział:

– Zanim nasz statek zawinie do Kilgrimu, rana będzie sucha.

– W trzy dni?

Wybuchnął śmiechem.

– Ta stara kupa gwoździ nie dowlecze się tam w ciągu tygodnia.

– Emith mówił, że podróż trwa trzy dni.

– Niewykluczone, jeśli zaokrętujesz się na istanijski bark lub medrański kuter. Płynąc tą starą, handlową krypą, będziemy mogli mówić o szczęściu, gdy za siedem dni przybijemy do portu.

Tessa była zdezorientowana.

– Ale mamy trzy maszty...

– I wszystkich trzech potrzeba dla pociągnięcia samego ładunku.

– Przecież matka Emitha wybrała “Zawadę” ze względu na najwyższe maszty i najszersze żagle ze wszystkich statków płynących do Maribane.

– Emith i jego matka to zacni ludzie, znają się na jedzeniu i mieszaniu kolorów, ale żadne z nich nie ma pojęcia o statkach. – Ravis rozsiadł się wygodnie na pryczy. Wydawał się rozbawiony. – Nie można określać szybkości statku, zwracając uwagę na wysokość masztów. Należy przyjrzeć się obrysowi dzioba, stwierdzić, jak się ma długość kadłuba do szerokości pokładników, zwrócić uwagę na stan olinowania. W przypadku “Zawady” ciężko jest odróżnić dziób od rufy, a jego długość jest niewiele większa od szerokości. – Ravis potrząsnął głową z uśmiechem. – A to nie wróży krótkiej przeprawy.

Poirytowana jego spostrzegawczością, wypluła imbir na dłoń i spytała:

– Przypuszczalnie wiesz wszystko o statkach, żeby szybciej dostarczać ludzi na pole bitwy?

Wzruszył ramionami.

– Niezupełnie. To zwykłe doświadczenie życiowe. – Zatkanął flaszkę korkiem i rzucił ją na podłogę. Nakrył się kocem. – Jeśli nie masz nic przeciwko, zdrzemnę się trochę. Ty pozuj sobie jeszcze imbir, wyjdź na pokład, odetchnij świeżym powietrzem i zacznij przyzwyczajając się do chybotania statku. Przed nami długa podróż.

Nie opuściło jej zdenerwowanie, lecz nie mogła wymyślić żadnej odpowiedzi, toteż ruszyła w stronę wyjścia. Wbrew całemu sarkazmowi i brawurze, Ravis był rzeczywiście chory i potrzebował odpoczynku. Ogarnięta dziwną mieszaniną gniewu i podniecenia, udała się na górę. Gdy wspinała się schodkami na główny pokład, owładnęła nią dawna natura, każąca poznawać nowe miejsca, oglądać nieznane widoki i szukać przygód.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

W piwniczce Marcela panował mrok, który najbardziej odpowiadał bankierowi, kiedy podejmował w niej gości. Nie znosił widoku harrarów. Napelniali go trwogą. Nie podobał mu się też ich zadach, ale na to nie było rady. Po wyjściu gości zwykle zapalał świece z domieszką cynamonu, żeby pozbyć się niezdolnego zapachu. Taki koneser jak on nie powinien tego robić w piwnicy z winem, pełnej wybornych roczników – aromat cynamonu mógł niekorzystnie wpłynąć na jakość trunków składowanych w beczkach – ale nie miał wyjścia. Smród harrarów dawał mu się mocno we znaki. Nawet ich złoto musiał płukać.

Samotny harrar wszedł furtką na podwórko za domem. Otworzył drewniane drzwi zapadkowe i wkradł się do środka. Był to kolejny zwyczaj, który nie przypadł Marcelowi do gustu. Wiedział jednak z doświadczenia, że gdyby zasunął skoble w drzwiach, harrarzy by je po prostu wyłamali. Niezapowiedziani goście to jedno, lecz podejrzane hałasy we wczesnych godzinach rannych to zupełnie coś innego. W interesie, jakim kierował, największym grzechem było zwracanie na siebie niepotrzebnej uwagi.

– Czegóż to chcecie tym razem? – zapytał, a lekkie zniecierpliwienie i opanowanie w jego głosie były wyłącznie aktorską sztuczką. – Powiedziałem już że nic mi nie wiadomo o miejscu pobytu Ravisa z Burano.

Twarz harrara pogrążyła się w cieniu, tak że bankier dostrzegł tylko białka oczu i błysk śliny spływającej po zębach. Mimo że gość bardziej od swego poprzednika przypominał człowieka, rozsiewał wciąż taki sam zapach.

– Szukamy pewnej dziewczyny, kobiety. Tej, która była z Ravisem z Burano na moście, kiedy zastawiliśmy na niego pułapkę. – Harrar mówił szeptem, lecz kłapał głośniejszymi szczękami przy słowach “kobiety” i “moście”.

– Dziewczyna ma na imię Tessa. To cudzoziemka. Ravis przyprowadził ją do mnie tego samego ranka. – Marcel ostrożnie odsunął się od harrara. Czasami zastanawiał się, w jaki sposób dał się wciągnąć w tę kabałę. A wszystko zaczęło się tak niewinnie: od zwykłego pośrednictwa w interesach między Ravisem z Burano a Izgardem z Garizonu. Jednakże po śmierci Bericka z Thornu, zamordowanego na zamku Bess, sprawy przybrały niekorzystny obrót. Izgard nie chciał już jego pośrednictwa, tylko żądał zdecydowanego opowiedzenia się po stronie króla Garizonu. A Marcel z Vailing zawsze szedł na rękę swoim klientom. Zwłaszcza tym z wypchaną kiesą.

Izgard z Garizonu dysponował ludźmi i wielkimi środkami, a nie trzeba było mieć bystrego umysłu, by domyślić się, że wkrótce zagarnie znacznie więcej. Pożądał Bay’Zell i wyglądało na to, że wkroczy do tego miasta, a kiedy tak się stanie, Marcel chciał być jednym

z jego stronników. Sam fakt, że władza przechodzi z ręki do ręki, nie oznacza, że to samo dzieje się z pieniędzmi. Liczyła się jedynie ciągłość fiskalna.

– Gdzie jest teraz ta dziewczyna? – Ślina ściekała harrarowi po brodzie, jakby przeżuwał jakieś chrząstki. Pod pachą, umocowany na pasku, wisiał nóż o wąskim ostrzu, którego obłożona skórą rękojeść nosiła ślady krwi.

Odwracając wzrok od noża, Marcel odpowiedział:

– Nie mam pojęcia, gdzie się teraz znajduje. Może być wszędzie. – Czuł, że jego słowa nie brzmią przekonująco, a zarazem wiedział, jak wiele zależy od tego, czy harrar mu uwierzy, zatem wyciągnął szeroko ręce, kładąc dodatkowy nacisk na swoje słowa. – Wszędzie.

Harrar bezdźwięcznie zbliżył się do bankiera.

– Sądzimy, że przebywa w tym mieście. Gdzie mogłaby się schronić?

Cały zasób aktorskich sztuczek Marcela nie wystarczył, żeby opanować drżenie. Być może ów harrar nie był obecnie jednym ze wściekłych wilków, ale był nim wcześniej. Na razie świadczył o tym tylko zapach, ale w każdej chwili zaświadczyć mogło coś więcej. Z bliska jego oczy mieniły się złocistą poświatą, przez popękane dziąsła natomiast przeświecała biała kość.

Marcel zdobył się na nonszalanckie wzruszenie ramion, a potem przełknął ślinę.

– Skąd miałbym wiedzieć, gdzie podziła się ta dziewczyna? Ja... ja... ja po prostu nie wiem.

– Była w jakiejś kuchni. Siedziała przy szerokim stole, zawalonym pigmentami i pędzlami.

Nie otrząsnąwszy się jeszcze po ciosie, jakim była dla niego utrata panowania nad głosem, bankier próbował uporządkować myśli. Kuchnia? Stół? Czyżby po tym opisie miał rozpoznać dom? Jakże to, w samym mieście musiało być z dziesięć tysięcy podobnych kuchni!

Harrar pochylił się i tchnął wprost na twarz bankiera. Jego oddech był wilgotny i zepsuty, przypominał zapach mgły unoszącej się nocą nad błotnym rozlewiskiem.

– Muszę się dowiedzieć, gdzie ona mieszka. Pomyśl!

Marcel pomyślał; w takich okolicznościach była to najrozsądniejsza rzecz, jaką mógł zrobić. Kuchnia... stół... pigmenty! Zacisnął mięsiste wargi, przypominając sobie wieczór, kiedy zaniósł iluminacje Deverica do domu matki Emitha. Stół ugiął się tam pod ciężarem pigmentów! Zarówno on, jak i ta stara nietoperzyca, jego matka, nie mogli się wprosi doczekać, kiedy gość zniknie za drzwiami. Emith był bardziej nerwowy od istanijskiego kuriera ze złotem, a starucha chętnie by wypchnęła go na dwór. Teraz już wiedział. Ukrywali dziewczynę!

Zerkając na harrara, Marcel napawał się swoim odkryciem, jakby to była złota bransoleta, oraz rozkoszował się poczuciem bezpieczeństwa i pewności siebie. Tym razem nie przełknął śliny. Miał wrażenie, że teraz w jego głosie nie zabrzmi już wahanie.

– Chyba jest pewne miejsce, które warto by zbadać.

– Jakie?

– Niewielka kamieniczka w zachodniej dzielnicy. Przy tej samej ulicy znajduje się kaplica z białego kamienia.

Dłoń harrara znalazła się nagle w niebezpiecznie bliskiej odległości od noża.

– Kto tam mieszka?

Marcel zawahał się: czy podać szczegóły dotyczące Emitha i jego sędziwej matki, czy też pozostawić harrara w niepewności? Chyba nic się nie stanie, jeśli powie? Harrarzy pewnie tylko zostawią strażę przy drzwiach, a cóż w tym złego? A jeśli spróbuje coś zataić, sam zapewne wpakuje się w większe kłopoty. Ludzie Izgarda znani byli ze swej umiejętności wykrywania kłamstw i uników.

Przenosząc wzrok z noża harrara na półki ze swymi cennymi rocznikami, Marcel westchnął z aktorską przeciągłością. Przede wszystkim musiał myśleć o własnej skórze. Poza tym podobało mu się brzmienie swego głosu.

Tessa wyszła na pokład dziobowy i oparła się o reling, mając za sobą nadbudówkę śródkręcia, przed sobą natomiast pusty przestwór morza. Wczesnym rankiem promienie słońca padały ukośnie na wodę, rozsnuwając wśród fal włókna srebrzystego światła. Kiedy dłużej przypatrywała się tym migoczącym, srebrnym niciom, zaczynała dostrzegać wzory, jakie tworzyły. Kształty mrugały do niej filuternie, po czym znikwały niby litery wypisane niewidzialnym atramentem.

Niezadowolona z własnej bezmyślności, świadomie przeniosła spojrzenie na niebo. Nie zauważyła żadnych chmur, ptaków ani kłębow mgły: jednolita szarość była tym, czego potrzebowała. Nie chciała wciąż doszukiwać się wzorów na czymkolwiek spoczął jej wzrok. Pragnęła spojrzeć w niebo i zobaczyć niebo, nie jakiś tam wspaniały, skomplikowany deseń.

Zakryła płaszczem ręce, odwróciła się od poręczy i ruszyła w stronę trapu. Nowiutkie buty stuknęły godnie po deskach pokładu i garstka marynarzy popatrzyła na nią, kiedy koło nich przechodziła. Jej oblicze wygładziło się w uśmiechu. Z każdą chwilą czuła się na statku bardziej swojsko.

Imbir zalecany przez Ravisa skutkował. W rzeczywistości wszystko, co wczoraj mówił, podziałało na nią korzystnie: imbir, spacer, świeże powietrze i sugestia, żeby zapoznała się z otoczeniem. Choroba morska ustąpiła bez śladu i nie podejrzewała, aby miała powrócić, chyba że podczas sztormu lub po spożyciu zepsutego jedzenia.

Większą część wczorajszego dnia spędziła na spacerach po pokładzie. Czuła się świetnie na powietrzu po tylu dniach spędzonych pod dachem. Żeńska połowa pasażerów przeważnie ją ignorowała – niektóre kobiety rzucały w jej kierunku naganne spojrzenia, nie pochwalając

tych samotnych wędrówek po statku, inne zaś spoglądały bojaźliwie na nóż zatknięty u pasa. Tessa cieszyła się w duchu z tych spojrzeń: bawiła ją myśl, że ktoś może uważać ją za niebezpieczną.

Na widok mężczyzn radowała się w duchu z obecności Ravisa. Początkowo gapili się na nią bez ogródek i zastanawiała się, co ich bardziej pociąga, zawartość jej trzosa czy też ciało. Żadne zachowanie – wyzywające spojrzenia, udawanie, że sięga po nóż, odejście – nie mogło ich powstrzymać, dopiero gdy poprosiła głośno przechodzącego majtka, żeby zaniósł mężowi pod pokład dodatkowy materac, dali jej spokój i odtąd nie napastowali. Tessa wołała nie wyobrażać sobie, do czego by musiała się uciec, gdyby nie było przy niej Ravisa. W tym świecie samotna kobieta powinna mieć się na baczności.

Kiedy w końcu wróciła do kabiny, Ravis wciąż spał. Na statku nie serwowano żadnych posiłków, wobec czego wyciągnęła z worka jabłko i kawałek sera, zjadła w ciszy kolację, zwinęła się na drugim materacu, który majtek zdołał jakimś cudem wcisnąć do kajutki, i szybko zapadła w sen.

Obudziła się wcześnie rano. Swędziała ją ręka, bolały mięśnie, a ciało trzęsło się z zimna. Poprawiła sukienkę i zapięła płaszcz, po czym pochwyciła nocnik, szczęśliwym zrządzeniem losu dołączony do wyposażenia kabiny. Załatwiła się w pustej, pogrążonej w ciszy latrynie, po czym wyszła na pokład. Tych kilku marynarzy, którzy kręcili się tu i ówdzie, nie zamierzało jej niepokoić. Po umyciu i zabandażowaniu chorej dłoni stanęła przy poręczy, aby obejrzeć wschód słońca.

Żółta, mgliście rozmyta tarcza wyglądała zupełnie normalnie. Dopóki nie zobaczyła pierwszych promieni błyskających na widnokręgu, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo potrzebuje tego widoku, łączył ją bowiem z domem, podobnie jak pierścień zawieszony na szyi. Nie miała wątpliwości, iż to samo słońce prażyło ją w plecy tego dnia, kiedy odnalazła skrzynki depozytowe. Gdy po raz pierwszy na leśnej polanie włożyła pierścień na palec, świat zaczął zmieniać się pod nią, nad nią i wokół, słońce zmieniło położenie, lecz jego światło i ciepło pozostały niezmiennione.

Nie wiedziała, co to może oznaczać, jednakże pochyłona nad poręczą, wpatrzona w jasne smugi tańczące na falach – była dobrej myśli. Jej dawny świat i dawny dom nie mogły być daleko.

– Czas na śniadanko!

Określiła się na pięcie. Ravis stał we włączu prowadzącym na dół do kabin; w jednej ręce trzymał parujący imbryk, w drugiej koszyk z chlebem i ciastkami. Tessa ucieszyła się na jego widok, lecz szybko się zmiarkowała i przybrała pozę obojętności.

– Mam nadzieję, że przyłączysz się do mnie? – Uśmiechnął się. Po długim śnie wyglądał o wiele lepiej. – Chyba nie po to przekupiłem posługacza, dwóch garkoskrobów i wielce drażliwego kuchnię, żebym sam musiał to teraz zjeść?

Śmiejąc się wraz z nim, rzuciła:



– Zdawało mi się, że pasażerowie zabierają na pokład własne jedzenie.

– Cóż, to prawda, chyba że chcą dopłynąć do Maribane z pustymi kieszeniami. Za pieniądze, które wydałem na te smakołyki, mógłbym nabyć kolczugę i parę nagolenników. – Ravis wynurzył się z włazu i stanął na pokładzie. – Idziesz ze mną na pokład rufowy? Chodzą słuchy, że jest to w tej chwili najprzyjemniejsze miejsce: spokojne, słoneczne i osłonięte od wiatru.

Ravis pomaszerował naprzód, pewien, że Tessa za nim pójdzie. Ona tymczasem zastanawiała się, czy zbić go z pantałyku i zostać, czy też pójść pokornie, zgodnie z życzeniem. Dawna Tessa McCamfrey z pewnością by zaproponowała. Wtedy jednak, stawiając stopę w miejscu zwolnionym właśnie przez Ravisa, pomyślała, że dawną Tessę McCamfrey ominęłoby śniadanie.

Pokład rufowy nie zawiódł ich nadziei: było tam cicho, ciepło, a wiatr mniej dokuczał. Jeden z marynarzy zmagął się z żaglem na tylnym maszcie, ale nawet jeśli zauważył Ravisa i Tessę siedzących przy relingu na skąpanych w promieniach słońca ławkach, nie dał nic po sobie poznać, tylko zwijał linę i mrużył oczy przed wiatrem.

Ravis zaskoczył ją, serwując śniadanie. Wyciągnął z koszyka dwie serwetki, z których jedną ułożył Tessie na kolanach; podał jej bułkę i dwa spore ciasteczka, nalał pełen kubek gorącego cydru i – zdmuchnąwszy parę – wręczył go swej towarzyszce.

– Czy jest ktoś na tym statku, kogo dziś nie udało ci się przekupić? – zapytała.

Wyszczrzył zęby.

– Kapitan, pierwszy oficer, sternik i jeden wałęsający się kot. – Sobie również nalał cydru. – Szczerze mówiąc, gdybym dorwał tego kota, jego też bym przekupił.

Z uśmiechem na ustach odłamała kawałek bułki. Podczas gdy ona spędzała poranek oparta o poręcz i zapatrzona w morze, Ravis najwidoczniej uwijał się pod pokładem.

– A więc to tak się tu wszystko załatwia: daje się w łapę?

– Nie w łapę, nie o to chodzi. Zawsze staram się zapoznać z ludźmi, którzy mnie otaczają. Nigdy nie wiadomo, kiedy będą potrzebni.

Skinęła głową. Każde posunięcie Ravisa było dokładnie umotywowane.

– Jak się dziś czujesz? – spytała, wskazując na jego bok. – Goi się rana?

– Nie skłamałem wczoraj. Boli jak cholera, ale skóra leży gładko i chyba zaczyna się zasklepiać.

– A co z Camronem? Jak się czuł, gdy się z nim rozstawałeś? – Mówiąc to, przełamała ciastko na pół, by sprawdzić, co też zawiera. Do środka wepchnięto jakby posiekaną kiełbasę, toteż odłożyła ciastko do koszyka i sięgnęła po następne. Lubiła się upewnić, z jakim mięsem ma do czynienia.

– Kiepsko z nim było. Stracił mnóstwo krwi, nogi miał paskudnie pocięte, ale jest młody, silny, a tam, dokąd pojedzie, zajmą się nim najlepsi raizyjscy medycy.

Tessa usiłowała przypomnieć sobie nazwę miejsca, o którym wczoraj wspominał najemnik.

– W Mir’Lor?

– Tak. – Ravis otworzył swoje ciastko, zbadał zawartość, po czy wręczył je Tessie. – Tam właśnie mieszka suzeren wraz z matką, hrabiną Lianne. Camron pojechał, żeby ostrzec ich przed armią Izgarda i uprzedzić, czego mają się spodziewać, kiedy przyjdzie im zmierzyć się z harrarami.

– Czy ten suzeren go wysłucha? – Tessa przyglądała się ciastku, które dostała od Ravisa. Zawierało plasterki szynki (w tym przypadku mięso przynajmniej było rozpoznawalne) wciśnięte między warstwy żółtego sera. Zdumiała się. Ravis nie tylko przypatrywał się jej zachowaniu, ale zdołał dostrzec w nim sens.

– Sandor to niegłupi człowiek, lecz do najbystrzejszych nie należy. Musi jednak posłuchać głosu wielu osób.

– Znasz go?

Wzruszył ramionami.

– Spotkałem go ze dwa razy.

– Dlaczego sam nie pojechałeś do Mir’Lor? Skoro znasz suzerena, zostałbyś chyba wysłuchany?

Przełknął z trudem ślinę.

– Suzeren Rai ze jest głuchy na słowa najemnika.

Spojrzała na Ravisa znad ciastka. Choć słońce świeciło mu prosto na twarz, jego oczy nigdy dotąd nie były ciemniejsze. Dolna warga drgała i Tessa zrozumiała, że wewnątrz ust żuje swoją bliznę.

Marynarz poprawiający żagiel akurat skończył swoją pracę. Po związaniu liny na talrepie ściągnął rękawiczki, splunął przez ramię i zeskoczył z masztu na pokład.

Kiedy spojrzenie Tessy powróciło do Ravisa, przyłapała go na macaniu żeber. Gdy tylko zauważył jej wzrok, chwycił za brzeg tuniki; udał, że nie popuszcza bandażu, a tylko poprawia ubranie. Nie dając po sobie poznać, że cokolwiek zauważyła, pociągnęła głęboki łyk cydru. Postara się później, żeby Ravis należycie wypoczął.

– Co według ciebie robi teraz Izgard? – spytała.

– Ruszy na Bay’Zell przy najbliższej sposobności. Nie ucieszy go wiadomość, że żyjemy – Camron i ja. Dręczy go myślenie, że możemy przysporzyć mu jeszcze wielu kłopotów, a prócz tego wiemy, jakimi żołnierzami rozporządza.

– Sądzę, że mnie się również przestraszył. – Naciągnęła płaszcz na ramiona. Wydało jej się, że powiedziała to jakimś nierzeczywistym tonem, poważnym i pewnym. – Ktoś zobaczył mnie podczas rysowania wzoru. Spojrzał mi w oczy i wie już, jak wyglądam. Wie też, że mam wobec niego wrogie zamiary.

Kiwał wolno głową.

– No to jest nas teraz troje, tych których ściga Izgard.

Zadrzała. Ostra błyskawica bólu pomknęła od oparzonej dłoni aż do ramienia. Spodziewała się niemal, że słońce zajdzie za chmurę, ale nie, wciąż oświetlało ławę, jej policzek i twarz Ravisa.

Wręgi statku trzeszczały, morze szumiało, lecz w jej odczuciu wszystko było jakieś zbyt spokojne. Odezwała się tylko po to, żeby przerwać wymyśloną ciszę.

– Wiesz coś o czarnej magii?

Ravis przecesał dłonią włosy, zastanawiając się przez chwilę, zanim przemówił:

– Niewiele: pogłoski, plotki. Tyle wiem, co każdy. Magia przypomina diabła. Niektórzy w niego wierzą, inni nie, ale wszyscy wolą unikać rozmów na jego temat. Mijają lata, dekady, czasem nawet stulecia, w ciągu których nie usłyszysz żadnej wzmianki o magii. W Drokho tysiąc lat temu palono stare kobiety mieszkające na odludziach, mówiąc, że to wiedźmy mające konszachty z demonami. Pięćset lat później na kontynencie ścigano i wieszano skrybów z Maribane. Święta Liga utrzymywała, że malując wzory, przyzywali diabła. – Wzruszył ramionami. – Czas nie zatarł wszystkich pogłosek. Odwiedź jakiekolwiek miasto czy wieś w Raize lub Drokho, a znajdziesz wielu takich, co to truchleją na myśl o skrybach, baba-jagach i świętych z Wyspy Namaszczonych.

– Ale w tych historiach tkwi chyba ziarno prawdy, czy tak? – Tessa odłożyła na bok jedzenie. Nie czuła już głodu. – Deveric jest tego niezbitym dowodem. Ja nim jestem...

– Wątpię, czy na Wyspie Namaszczonych ktoś potwierdzi twoje domysły. W dzisiejszych czasach bardzo się tam uważa na słowa i czyny. Oficjalnie każdy zaprzeczy, że wciąż maluje się wzory w starym stylu. Tamtejsi skrybowie obecnie poruszają znacznie łatwiejsze tematy: malują pejzaże, portrety wielkich świątobliwych mężów, rozpoznawalne kwiaty i rośliny. Nic wstrząsającego, żadnej abstrakcji. Ich dzieła ciągle są na kontynencie rozchwytywane i widziałem już, jak wielkie sumy oferuje się za rękopis skopiowany i iluminowany ręką namaszczonego braciszka.

– Mimo to Deveric tam właśnie nauczył się malować stare iluminacje – powiedziała Tessa. – Podobnie jak człowieka, którego szukam: brat Avaccus.

Popijając cydr i wpatrując się w daleki horyzont, słuchała odpowiedzi Ravisa. Choć jego głos ściszył się do szeptu, wyraźnie odznaczał się na tle szumu morza.

– I skryba Izgarda tam się uczył. Sam Izgard prowadził korespondencję z opatem. – Ravis pochylił się do przodu. – Musimy uważać, gdy już tam dopłyniemy. Garizon i Wyspę Namaszczonych łączyły więzi. Łączą ich też wspólne tajemnice, historie i Bóg wie, co jeszcze. Kiedyś nawet sam Hierac potrzebował kilku wzorów, wynajął więc skrybę z Wyspy Namaszczonych.

– Hierac? – czuła się głupio. Niejednego musiała się jeszcze nauczyć.

– Największy wojownik wśród królów Garizonu. Albo najgorszy, w zależności od autora kroniki. – Ravis dolał cydru do kubka Tessy, która ze zdziwieniem spostrzegła, że był pusty.

Czyżby tak dużo już wypła? – To właśnie Hierac po raz pierwszy założył na głowę Kolczasty Wieniec – ciągnął. – Przed jego rządami Garizon stanowił ledwie nędzne księstewko, otoczone nieprzebytą puszcza, nie posiadające nawet spławnej rzeki. Hierac budował państwo pole za polem, mila za milą, strumień za strumieniem. Nic nie mogło go powstrzymać. Jego armia nie znała litości, a wyrachowanie było chłodniejsze od wbitego w łód ostrza noża. W chwili śmierci pozostawił po sobie nie tylko kraj w rozkwicie, ale prawdziwe imperium.

– Zabrał też Bay’Zell?

– Nie tylko Bay’Zell, ale całe Raize. Większością ziem w owym czasie władali Istanijczycy, on jednak rzucił im rękawicę. Zostali przez niego wyparci z Raize, Drokho, Medranu, Balgedisu i Maribane. Zabił miliony ludzi. Miliony. Bądź co bądź, wielu przyjęło go z otwartymi ramionami. Woleli garizońskiego cesarza od Istanijczyka. Mieszkańców Garizonu łączyły z nimi przynajmniej więzy pokrewieństwa.

– Jak to? Myślałam, że Istanian leży tuż za zatoką, blisko Bay’Zell. Chyba można powiedzieć, że jest częścią kontynentu?

– Sam kraj być może, ale nie dynastie tam panujące. Przybyły niegdyś z Dalekiego Wschodu, przemierzywszy jałowe ziemie, okalające pierścieniem Zatocze. Ich języki i obyczaje różniły się w znacznej mierze, a swoje prawa egzekwowali z jeszcze większym okrucieństwem niż Hierac i jego garizońscy generałowie.

Ławę, przy której siedzieli, pokryła delikatna warstwa soli, na której Tessa, wsłuchana w wyjaśnienia Ravisa, bazgrała palcem wzory.

– Co się stało po śmierci Hieraca?

– Nastąpiły rządy nowych królów. Niektórzy z nich byli więksi, inni mniejsi, wszyscy jednak zagarniali nowe terytoria: szlaki handlowe, porty zimnych mórz, porty ciepłych mórz, przełęcze, rzeki i ziemie. Być może Hierac był pierwszym z wielkich królów-wojowników Garizonu, z pewnością jednak nie ostatnim.

Kiedy wypowiedział słowo “ostatnim”, Tessa wykończyła wzór na soli. Przedstawiał znaleziony przez nią pierścień. Nie wiedziała, że rysuje, dopóki Ravis nie zamilkł. Zakłopotana, roztarta rysunek.

– Przejdźmy się po pokładzie – powiedziała, wstając.

Nie wiadomo, czy Ravis był zaskoczony jej prośbą, w każdym razie nie dał po sobie niczego poznać. Kiwnął lekko głową, zebrał do koszyka resztki ze śniadania i stanął gotowy.

– A więc prowadź.

Tessa zaprowadziła go na główny pokład. Ze względu na jego ranę, szła wolno, dręczona wyrzutami sumienia. Morze było spokojne, pokład statku przestał się kołysać. Cała załoga i chyba wszyscy pasażerowie musieli wylec na pokład. Dzieci goniły z krzykiem tam i z powrotem, marynarze wspinali się na wanty, kobiety plotkowały. Dama z woalką sięgającą do brwi nakładała zapamiętałe na twarz jakiś puder i coś, co przypominało świński smalec. W pewnym oddaleniu dwie panie moczyły nogi w miednicach z ciepłą, namydloną wodą.

Zapowiadał się piękny dzień. Niebo było nieskazitelnie błękitne, a wiatr wiał z mocą w sam raz wystarczającą do napełnienia żagli. Pustki morza nie urozmaicał żaden skrawek lądu i Tessa zrezygnowała z uporczywego wpatrywania się w horyzont. O wiele ciekawszym zajęciem było obserwowanie reakcji ludzi na widok Ravisa.

Nikt nie przechodził koło niego obojętnie. Miał zwyczaj spoglądania ludziom prosto w oczy, często zmuszał ich, by patrzyli na niego, po czym wbijał w nich nieugięty wzrok, aż w końcu odwracali głowę, speszeni. Kobieta z woalką parsknęła wzgardliwie, ale Tessa zauważyła, że wygładziła przy tym suknię i wstrzymała oddech. Kobiety moczące nogi zaśmiały się nerwowo, gdy przechodził obok; pokiwały głowami i uśmiechnęły się bojaźliwie.

Tessa przypuszczała, że po części to wina blizny na ustach. Przydawała mu grozy i jakiegoś hartu. Miał ciemną karnację, wybijającą się na tle jasnej skóry i jasnych włosów mieszkańców Bay'Zell. Już na pierwszy rzut oka można było rozpoznać, że to cudzoziemiec. Miała przeczucie, że takie właśnie wrażenie Ravis chciał sprawiać. Ciemny ubiór jedynie uwydatniał jego odmienność. Na statku tylko on ubrany był na czarno.

Z jakiegoś powodu, spacerując z nim ramię w ramię, zaczęła rozmyślać o nocy, podczas której ją pocałował. Sześć tygodni temu, choć wydawało jej się, że o wiele dawniej. Zmieniła się od tamtego czasu. Życie u boku Emitha i jego matki kazało jej inaczej spojrzeć na świat i uzmysłowić sobie, że nie wystarczy być tylko twardą i samowystarczalną.

On o tym jeszcze nie wiedział. Każde jego spojrzenie wydawało się mówić: "Nie chcę ani nie potrzebuję twoich opinii i szacunku".

Targana mieszaniną uczuć, pamiętając dotyk warg Ravisa, wśliznęła rękę pod jego ramię.

Udało jej się go zaskoczyć, gdyż znieruchomiał na moment i spojrzał na nią badawczo. Nie wiedziała, co w tej chwili pokazują jej oczy, lecz po sekundzie Ravis poruszył niemal niedostrzegalnie wargę i – nieco odprężony – ponownie spojrzał przed siebie. Wkrótce, po kilku krokach, zmienił ustawienie ręki, aby było jej wygodniej go trzymać.

– Jak wygląda Drokho? – spytała, prowadząc go w stronę stosunkowo spokojnego pokładu rufówki. Najwyższa pora, żeby usiadł gdzieś i nieco odpoczął.

Ravis wciągnął powietrze, ale nie odpowiedział. Wpatrywał się nieruchomo przed siebie, lecz ona miała wrażenie, że ostatnią rzeczą, którą widział, był statek. Po krótkiej chwili ponownie zaczerpnął powietrze, lecz przytrzymał je w płucach, jakby zamierzał wysać z niego siłę.

– Drokho pokazuje różne oblicza ludziom o różnych twarzach – powiedział w końcu.

– A co pokazuje tobie?

– Dom, do którego nigdy nie wrócę.

Wypowiedź ta zapiekła ją w sercu. Mówił cicho, mimo to nie mógł ukryć bólu, który wypaczał jego słowa niczym blizna usta: zapuścił głęboko korzenie, rzucał długie cienie i był nieodwracalny.

Tessa wolną ręką sięgnęła do pierścienia.

“Dom, do którego nigdy nie wrócę”.

Sama mogła być autorką tych słów, aczkolwiek wiedziała, że nigdy ich nie wypowie z podobną tęsknotą. Jej dom oznaczał coś innego i – chociaż nie przychodziło jej się z tym łatwo pogodzić – wiedziała, że gdyby nie rodzice, nie zaszczyliaby dawnego świata choćby jedną myślą. Teraz jej domem stał się ten świat. A Emith i jego matka, czekając cierpliwie w Bay’Zell na powrót Tessy, tworzyli jej rodzinę.

Nie wiedząc, co ma powiedzieć, delikatnie zwiększyła ucisk i postanowiła milczeć. Przecież wcale nie знаła Ravisa i nie rozumiała jego goryczy.

Ravis zatrzymał się dopiero przy końcu pokładu. Oparł się plecami o reling i spojrzał jej głęboko w oczy.

– Cóż tam? Żadnych pytań więcej?

Zdziwiła się: czyżby się rozzłościł? Niby to szeptał, ale na szyi nabrzmiały mu żyły, a na policzku drgał mięsień. Widząc go w takim stanie, przypomniała sobie dzień, kiedy pojechali po Emitha do Fale. Potem zostawił ich na drodze, a sam wrócił, żeby złożyć skórę synowi Deverica. Zanim ich jednak opuścił, wyglądał tak samo, jak teraz.

– Dlaczego tak się wtedy uparłeś, żeby dać nauczkę synowi Deverica w Fale? – spytała. – To tylko niegroźny łotrzyk.

Ravis błysnął krótkim, ponurym uśmiechem.

– Umiesz dotrzeć do sedna sprawy, nie ma co.

Nie spodobał jej się ten uśmiech Ravisa, ani też cierpki ton w jego głosie. Gdyby nie to dodatkowe lśnienie w oczach, odwróciłaby się i odeszła. Zamiast tego przysunęła się bliżej i zauważyła:

– Wątpię, czy postanowiłeś złożyć skórę synowi Deverica tylko dlatego, że pastwił się nad Emithem. Sądzę, że za tym krył się jakiś inny powód.

Wpierw zerknął na nią z ukosa, później zasłonił dłonią bliznę na wardze, skierował w dół osłonięte ciężkimi powiekami oczy i utkwiał w jej twarzy badawcze spojrzenie. Upływały kolejne sekundy. Przez długi czas milczał, oddychał głęboko i wpatrywał się w nią nieruchomo. Jego oczy były na tyle ciemne, że większość ludzi mogła opisać je jako czarne, choć w istocie przyobkleły się głębokim, sobolowym brązem. Kolorem sepii.

Ostatecznie w jego spojrzeniu zaszła pewna zmiana, a mięśnie wokół oczu i ust nadały twarzy zupełnie inny wyraz. Pochylił głowę w stronę Tessy i odsunął rękę od ust.

– Oczywiście masz rację – powiedział tonem tak czułym, że aż się zdziwiła. – Nie zdenerwował mnie sposób, w jaki traktował Emitha. Tak naprawdę w ogóle nie byłem na niego zły. Bardziej na to, jak ten świat jest urządzony, na konwencje, ludzką chciwość. – Wzruszył ramionami. – Na siebie... Śmierć wyzwala w człowieku nie tylko szlachetne instynkty. Syn Deverica chronił tylko to, co w jego mniemaniu słusznie mu się należało. Prawdopodobnie jego brat, siostry i matka również walczyli o ostatniego talara. – Obrócił się

i spojrzął na morze. – Sam nie wiem. Po prostu nie cierpię ludzi, którzy jak psy wydzierają sobie dobytek.

– Dlaczego? – Stała obok niego. Próbowła podążyć za wzrokiem Ravisa, lecz jego spojrzenie powędrowało daleko poza horyzont, tam gdzie jej oczy sięgnąć już nie mogły.

– Ponieważ sam taki kiedyś byłem, a wspomnień z tamtych czasów nie chcę odgrzebywać.

– Bo są nieprzyjemne?

– Nie. – Potrząsnął głową. – Nie wszystkie. Jest też kilka miłych. – Zawiesił na chwilę głos, a potem przemówił takim tonem, jakby zwracał się do pustego morza. – W chwili śmierci mojego ojca w majątku Burano panował chaos. Ojciec należał do szlachetnych ludzi, chociaż nie był wielkim wodzem, wielkim zarządcą, a nawet dobrym opiekunem. Wytoczył sobie cel w życiu: chciał zostać duchownym w wiosce, umarł jednak jego starszy brat, nie zostawiwszy po sobie prawowitego spadkobiercy, toteż tytuł i wszystkie włości Burano przypadły właśnie jemu. Nigdy ich nie pragnął. Nie wiedział, co z nimi zrobić. – Uśmiechnął się. – Przez pierwszych dziesięć lat rządził księstwem w jakimś totalnym oszołomieniu. Nie nadawał się na rządcę wielkiej posiadłości. Bywało, że wbiegałem do biblioteki, a on tam siedział, pogrążony w modlitewniku, układając w duchu kazania, nie dostrzegając góry papierów wymagających przejrzenia... Gdy przejął majątek, ja i Malray byliśmy za młodzi, żeby mu pomóc, ale z czasem pokochaliśmy naszą ziemię. Pracowaliśmy z zapałem: wycinaliśmy lasy pod uprawę, powiększaliśmy zapasy, hodowaliśmy nowe odmiany, wprowadzaliśmy nieznanne wcześniej sadzonki. Malray był starszy ode mnie o cztery lata, ale wspólnie podejmowaliśmy decyzje, pracowaliśmy zawsze razem. Byliśmy tacy młodzi, prawie chłopcy, jednak postawiliśmy majątek na nogi. Pięć lat harówki. I wtedy zmarł ojciec. – Ravis umilkł. Tak mocno trzymał się poręczy, że kostki mu zbiały. Krople potu spływały po jego czole i Tessa przypomniała sobie raptownie, że jest przecież chory. Mimo to nie odezwała się słowem. Wątpiła, czy w tej chwili usłyszałby, co do niego mówi. – Nie zostawił testamentu. – Głos Ravisa był monotony, pozbawiony emocji. – Nie należał do tych, którzy je pozostawiają. Egzekutorzy mogli się jedynie oprzeć na liście wysłanym do prefekta w Jiya. W liście tym ojciec zaznaczył, iż chce, aby po jego śmierci majątek został sprawiedliwie rozdzielony pomiędzy członków rodziny... Brednie! Jaką rodzinę miał na myśli? Synów – Malraya i mnie? A może siostry i bratowe, siostrzeńców i siostrzenice, młodszego brata czy wreszcie nieślubnego syna starszego brata? – Uderzył pięścią w reling. – Jaką rodzinę miał namyśli?!

Tessa skuliła się. Odczuła siłę tego uderzenia, gdyż jej ręka także spoczywała na poręczy. Zanim jeszcze barierka przestała drżeć, Ravis zdołał się opanować. Zahaczył zębem o bliznę i stłumił wzburzenie. Po kilku sekundach odezwał się spokojnym, opanowanym tonem:

– W normalnych warunkach brak testamentu oznaczałoby ni mniej, ni więcej tylko przekazanie majątku najstarszemu synowi, Malrayowi. Zaczęli się jednak pojawiać różni

ludzie, a każdy z jakimś roszczeniem. Pierwszy wystąpił nieślubny syn samego księcia. Miał z sobą papiery, sprytnie poplamione rozlanym winem, z których wynikało, jakoby ojciec jego zamierzał go tuż przed śmiercią prawnie usynowić. Wkrótce po nim pojawiła się stara wdowa po księciu. Domagała się uznania swych praw do części majątku, a to za sprawą osobnego kodycylu, który niedawno odkryto. Nasza własna ciotka, Rozymina, która przez dwanaście lat pełnymi garściami czerpała z hojności naszego ojca, przysięgała teraz, że zanim umarł, obiecał rozdzielić trzecią część majątku pomiędzy siostrzeńców i siostrzenice. Zgłosił się nawet nasz prawujek, brat dziadka, zarzekając się na wszystkie świętości, że przysługuje mu prawo do wszystkich ryb łowionych w rzece i ptactwa zestrzelonego na niebie nad Burano. – Ravis głośno przełknął ślinę. – To było piekło. Każdy bezwstydnik, któremu starczyło rozumu na wymyślenie kłamstwa i obstawanie przy nim, domagał się części majątku... A wszystko dlatego, że nie było testamentu. To wyzwoliło w ludziach najgorsze cechy. Zauważyli słabe miejsce i uderzyli w nie bez wahania.

Wciąż wpatrując się w dal, Ravis przejechał dłonią po włosach. Wiatr wzmógł się i zagle na bezanmaszcie zaczęły trzeszczeć i łopotać. Tessa nie musiała oglądać się do tyłu, by stwierdzić, że na maszt wspiął się marynarz, by poprawić liny: rzucał długi cień, sięgający jej aż do stóp. Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, a dzień z wolna przygasać.

Targały nią sprzeczne emocje: chciała odciągnąć Ravisa od poręczy, pozwolić mu usiąść, odpocząć, przespać się; z drugiej jednak strony pragnęła usłyszeć dalszy ciąg historii. Jego słowa wydawały się zaczarowane, przenosiły ich oboje do jakiegoś miejsca zakotwiczonego ni to w przeszłości, ni to w teraźniejszości, pozwalały pławić się w ciepłych promieniach słońca, a zarazem wzdragać przed posępną naturą wspomnień.

Wiedziała, że gdyby się odezwała, czar by prysł, więc zachowała milczenie. Czekwała cierpliwie, dopóki Ravis nie podjął opowieści:

– Miałem siedemnaście lat. Malray dwadzieścia jeden. Dzień pogrzebu naszego ojca był równocześnie ostatnim dniem siedmiu lat spokoju. Tuliliśmy się do siebie, gdy jego ciało wędrowało do krypty. Staraliśmy się być silni, lecz jeden z nas zaczął płakać – nie pamiętam już, który – i nagle płakaliśmy obaj. Obejmując się, płakaliśmy. A najdziwniejsze było to, że tym płakaniem jakoś się nie przejmowaliśmy. Skoro płakaliśmy razem, mieliśmy siebie i czuliśmy wzajemną miłość, łzy nam nie przeszkadzały... Nazajutrz zaczęła się bitwa. Bękart pierwszego księcia, Jengus z Morgho, poprowadził wojsko na nasz majątek. Nie mieliśmy z Malrayem wyboru – musieliśmy bronić naszej ziemi. W większej mierze dzięki szczęściu niż umiejętnościom udało nam się przegonić intruzów. Mieliśmy jedną przewagę: znajomość terenu. Wszystko to działo się podczas wiosennych roztopów, kiedy kilka pomniejszych strumieni wystąpiło z brzegów, zmieniając niektóre dolinki w rozlewiska. My jakimś trafem zepchnęliśmy na nie ludzi Jengusa. Wycofując się, Jengus się odgrażał, że za tydzień przyprowadzi więcej zbrojnych. – Umilkł na chwilę. Tessa zerknęła na jego twarz, by ze zdumieniem spostrzec, że błąka się po niej uśmiezek. – Malray i ja umieraliśmy ze strachu,



choć zaden z nas nie chciał tego okazać. Jengus, dziesięć lat starszy od Malraya, umiał walczyć, brał już wcześniej udział w prawdziwej bitwie, a poza tym posiadał rozległe znajomości wśród wszystkich najemnych kompanii na północy. My zaś byliśmy chłopcami, którzy potrafili co prawda opiekować się ziemią, prócz tego jednak niewiele więcej...

Co gorsza, jeszcze w tym samym tygodniu zaczęli napływać kolejni zuchwalcy ze swoimi roszczeniami. Sędzia z ludźmi zbrojnymi w pałki i pochodnie stanął u bram, domagając się w imieniu Rozyminy i jej sześciorga dzieci pieniędzy i sprzętów, których liczba powinna odpowiadać trzeciej części majątku. Następnego dnia Savarix, książe prowincji graniczącej z Burano, przysłał swego rządcę z ostrzeżeniem, że w razie jakichkolwiek potyczek na ziemi bezpośrednio przyległej do jego włości będzie zmuszony wkroczyć na ziemię Burano i zająć taką jej część, jaka okaże się konieczna do ochrony granicy.

A tymczasem zlatywały się coraz to nowe sępy. Za parę dni miał wrócić Jengus, sędziowie z magistratu dali się namówić tylko na niewielką zwłokę, a chociaż byliśmy z Malrayem młodzi i niedoświadczeni, wiedzieliśmy, że Savarix nie tyle boi się o swoje granice, co pragnie zagarnąć naszą ziemię.

Dwa dni po tym, jak przegnaliśmy Jengusa, Malray obudził mnie w środku nocy. “Ravisie – powiedział – musimy nauczyć się walczyć. Ta ziemia jest nasza z prawa i z użytkowania. Kochaliśmy ją i uprawiali, przez piętnaście lat nazywając domem. Nikt nam jej nie odbierze, nawet jeśli potrzeba będzie zrywać się każdego ranka i wkładać napierśnik, a kłaść się spać z nożem pod ręką. Nie spocznę, nie ulegnę i nie będę negocjował. A ty staniesz u mojego boku i będziesz wraz ze mną walczył jako brat i przyjaciel”.

Kiedy wypowiedział ostatnie zdanie, poczuła ciarki na plecach. Jego słowa brzmiały jak modlitwa odmawiana bez przekonania. Słyszała, jak rezonują wewnątrz jej ucha, tam gdzie rodził się zwykle *tinnitus*. Obudziła się w niej jakaś tęsknota, ale nie wiedziała za czym. Za rodziną? Miłością? Przeszłością?

Wzrok Ravisa oderwał się tymczasem od nieskończonej dali i spoczął na rękach. Chciała go dotknąć – podniosła nawet dłoń – ale zawahała się w ostatniej chwili. Nie miała odwagi.

Z głową pochyloną ku poręczy i przerywanym oddechem, Ravis ciągnął dalej. W jego głosie zmagaly się z sobą sprzeczne uczucia, lecz w miarę jak opowiadał o walce u boku brata, uspokajał się i odprężał. Jedyne uczuciem, które nie zniknęło, była, o dziwo, radość.

– A więc walczyliśmy, ja i Malray. Razem, zawsze razem. Popełnialiśmy błędy, czasem wprost karygodne, lecz wyciągaliśmy z nich wnioski.

Sam już nie pamiętam, ile razy Jengusowi omal nie udało się nas rozgromić. Był świetnym żołnierzem. Nigdy nie dawał za wygraną, nigdy nie przestawał badać, zawsze szukał słabych punktów. Mijały lata, a każdy rok wiązał się z nową katastrofą. Jengus palił nasze zbiory, zatrutował wodę gruntową, zabijał bydło i podkładał ogień pod wszelkie zabudowania stojące na uboczu. On nigdy nie kochał ziemi. Raz nawet połączył swe siły z

Rozyminą i jej braćmi, przez co sześć miesięcy spędziliśmy zabarykadowani we dworze, a ja po dziś dzień nie wiem, czy nie mogliśmy wyjść, czy też nie chcieliśmy.

Pewnej deszczowej wiosny Savarix posłał ludzi, żądając całego północnego pogranicza. Wtedy dopiero rozpętało się piekło! Jengus nie wiedział, czy walczyć z Savarixem, czy też sprzymierzyć się z nim, czy wreszcie zignorować go i zająć się swoją kampanią. – Ravis zachichotał cicho. – Możesz wierzyć lub nie, ale próbował wszystkiego.

Podczas tego całego szaleństwa – krwawych bitew, oblężeń, zasadzek, zrad i łamanych przymierzy – ja i Malray staliśmy zawsze ramię przy ramieniu. Werbowaliśmy ludzi, walczyliśmy na polach bitew i w salach sądowych. Poznaliśmy smak walki, prawdziwej walki, trwającej tygodniami, miesiącami i latami.

Polegaliśmy na sobie w każdej sytuacji, darzyliśmy się zaufaniem. Wzmacnialiśmy nawzajem swoje słabe strony. Każdy z nas wiedział, jak w danej chwili zachowa się drugi. Jeśli pierwszy ruszałem do walki, nie ulegało wątpliwości, że Malray ubezpiecza moje tyły. Gdy leżałem ranny na ziemi, wiedziałem, że wystarczy poczekać, a przyjdzie po mnie i zabierze do domu. Kiedy Malray chorował, ja nim się opiekowałem. Kiedy zdruzgotany myślał, że wszystko wali mu się na głowę, póty go pocieszałem, póki nie odzyskał spokoju ducha. On zaś – Ravis potrząsnął lekko głową – był względem mnie taki sam.

Z mieczem w dłoni weszliśmy w wiek męski. Niekiedy było nam ciężko, niekiedy musieliśmy walczyć z tymi, których kochaliśmy – jak nasi kuzyni i Rozymina. Nigdy jednak, gdy miałem Malraya u boku, nie nękały mnie wątpliwości, co jest dobre, a co złe. Jako bracia walczyliśmy o to, co nam się słusznie należało.

Walka trwała siedem lat. Siedem długich lat codziennych znojów i udreki. Rozymina chciała nas eksmitować, Jengus przekształcił budynek straży w obóz wojskowy, a Savarix słał listy do prefektów w Jiya i Parafas, domagając się dla nas ekskomuniki: przysięgał mianowicie, że przypadkiem zauważył kiedyś, jak walczyliśmy na poświęconej ziemi pod kaplicą męczennika.

Trzymając się razem i nie zamierzając złożyć broni, przetrwaliśmy wszystko. W dniu, w którym zabiłem Jengusa, szaleństwo nareszcie ustało.

Może to zabrzmie nieskromnie, ale byłem lepszym żołnierzem od Malraya. To ja opracowywałem strategię i szkoliłem ludzi. Mój brat natomiast miał zapał. Był ode mnie silniejszy i w szale bitwy nic, absolutnie nic nie mogło go powstrzymać. Kiedyś o świcie wybrał się wraz z garstką ludzi nad granicę, żeby sprawdzić pułapki zastawione na Jengusa. Ten jednak zaczął się w kryjówce. Miał z sobą trzykrotnie większe siły. Ja bym się wycofał na miejscu Malraya, zmiatałbym co sił w nogach, żeby tylko doczekać kolejnego świtu... On się nie cofnął. Pozostał i walczył. Był wówczas chory i znużony wojnami. Chciał, żeby się to wszystko nareszcie skończyło. Obaj tego chcieliśmy, lecz on miał już naprawdę dość. Z trzydziestką na karku pragnął już chyba tego, co inni w tym wieku: żony, rodziny, spokoju.

Popołudnie mijało, Malray nie wracał, więc wybrałem się na poszukiwania. Gdy przybyłem na miejsce, bitwa dobiegała końca. Brat leżał na zaoranym polu, krew tryskała mu z rany na udzie, Jengus zaś stał nad nim, końcem miecza mierząc w jego gardło. – Ręka Ravisa uniosła się nad poręczą w geście zaprzeczenia. – Co się później stało, nie wiem. Owszem, ludzie opowiadali mi różne historie, ale sam nie wiem, czy im dawać wiarę. Pamiętam tylko wściekłość. Absolutną, ślełą furię. Tylko Malray mi został, a Jengus usiłował mi go odebrać.

Zgodnie z niektórymi relacjami, zanim się przy nim znalazłem, stratowałem koniem czterech ludzi. Dwóm strzaskalem czaszki, pozostałym połamałem żebra. Jedni powiadali, że wrzeszczałem, drudzy zaś, że pędziłem w śmiertelnym milczeniu. W dłoni czułem jedynie ciężar miecza, a w sercu trwoęę na myśl o utracie Malraya.

Jengus ledwie zdołał wyprostować plecy, kiedy na niego wpadłem i jednym zamaszystym cięciem pozbawiłem go głowy.

Tessa zamknęła oczy i zacisnęła mocno wargi, żeby tylko nie przeszkodzić w opowieści.

– Nic już nie mogło mnie powstrzymać, nic. Zginęli wszyscy ludzie Jengusa. – Ravis mówił głosem spokojnym, z odcieniem wesołości. – Malray musiał mnie siłą ściągać z ciała ostatniego, którego zabiłem. Bóg wie, od jak dawna nie żył, lecz ja wciąż go biłem. Nie wiem, co się wydarzyło, nie wiem też, kim się wtedy stałem. Gdy Malray dopadł do mnie, było już chyba za późno.

Coś jakby dreszcz przemknęło po plecach Ravisa. Tessa widziała, jak dodaje mu to siły, bodźca do dalszego mówienia.

– Od tamtej chwili wypadki potoczyły się bardzo szybko. Największym naszym zagrożeniem zawsze był Jengus, kiedy zatem umilkł, umilkły pozostałe dysputy. Savarix nie mógł już dłużej udawać, że boi się o bezpieczeństwo swej południowej granicy; Rozymina nie potrafiła znaleźć żadnych nowych popleczników swojej sprawy; w miejscowym magistracie każdy miał po dziurki w nosie całej tej awantury, a pozostali, ci wszyscy, którzy kiedykolwiek patrzyli chciwym okiem lub wyciągali pazury w stronę dóbr Burano, ostatecznie dali za wygraną.

W miarę jak płynęły słowa opowieści, światło dnia słabło. Tessa zastanawiała się, ile czasu spędzili w tym miejscu, ile godzin.

– A więc wygrałeś? – spytała, przerywając ciszę, jaka zapadła na długą chwilę.

Ravis zaśmiał się z goryczą.

– Nie ja. Ja niczego nie wygrałem. Tylko Malray wygrał. W miesiąc po całej sprawie, kiedy prawnicy zgodzili się przepisać na nas majątek, zwrócił się przeciwko mnie. Mój własny brat, którego kochałem, u którego boku walczyłem przez siedem lat. Rzekł mi, iż swoim czynem na zaoranym polu rzuciłem na wszystko zły urok. Twierdził, że wciąż czuć ode mnie krew. Nie chciał mnie na swej ziemi. Swej ziemi! – Ravis z takim zapamiętaniem potrząsał pięścią, że razem z nią trzęsła się reszta jego ciała. – Powiedział, że dobra naszego

ojca jemu się należą, a podział by je znacznie osłabił. Tak wielkie włości, jak Burano, powinny zostać nienaruszone. Mówił, że nie urodziłem się do uprawy roli. Mówił, że jestem stworzony do walki i muszę wyruszyć, aby szukać szczęścia z mieczem w ręku. – Jego głos gwałtownie przycichł, jakby sam nie dowierzał własnym słowom. Gdy ponownie przemówił, sprawiał wrażenie oszołomionego dziecka, które dotknęło czegoś błyszczącego i oparzyło się w rękę. – zaproponował mi pięćset sztuk złota i wskazał drogę do bramy.

Tessa z trudem przełknęła ślinę. Zapięły ją oczy. Wyciągnąwszy rękę, dotknęła jego ramienia.

– Przykro mi.

Ravis zareagował na te słowa, jakby oblano go kwasem. Strząsnął jej rękę, odepchnął się od poręczy i odwrócił, żeby odejść.

– Niech ci nie będzie tak przykro – rzucił. – Pomściłem swoje krzywdy!

Na widok grupki pijaków snujących się na rogu, Emith przeszedł na drugą stronę ulicy, aby uniknąć zaczepek. Niósł owinięte w tłustej szmatce dwa gorące, lepące się od masła homary. Gdyby tylko pijaczkowie zwąchali, co tak skrzętnie ukrywa, przysmaki matki miałyby mniejszą szansę dotrzeć do “portu” niż łódź wiosłowa na wzburzonym morzu.

A trzeba wiedzieć, że matka wprost szalała na punkcie homarów. Zaprzeczyła raz temu, to prawda, ale tylko po to, aby pozbyć się Marcela z Vailing i jego nieznośnych pytań, dotyczących Tessy. Matka świetnie radziła sobie w podobnych sytuacjach, o wiele lepiej od niego. Oczywiście, nie miał nic przeciwko temu. Każdy dom potrzebuje jednej osoby, która umie wskazać drzwi natrętnemu gościowi. Nie chodzi o to, że Marcel był kimś złym, miał jednak zwyczaj zadawać pytania swym władczym, bankierskim tonem, tak że nie sposób było uchylić się od odpowiedzi.

Cóż, prawie nie sposób. Emith nie spotkał jeszcze kogoś, komu udało się naciągnąć matkę na odpowiedzi, których nie myślała udzielać.

Uśmiechając się, przycisnął do piersi paczkę z homarami. Nie chciał, żeby ostygły przed dotarciem do domu. Nieczęsto matka jadła homary, a jeszcze rzadziej przekraczały one próg jej domu gorące, bez skorupy i gotowe do spożycia. Na pewno ucieszy się takim rarytasem i – miał nadzieję – rozchmurzy się nieco.

Matka wydawała się taka samotna po wyjeździe Tessy. O tak, próbowała to ukryć. Nie dalej jak tego ranka wypatroszyła ogromną ilość ryb i nakroiła tyle cebuli, że wyglądało na to, iż zamierza przygotować wielką niczym góra śledziową zapiekankę. Była jednak markotna. Emith nie miał co do tego wątpliwości. Nie potrafiła go zwieść. Widział, jak wpatrywała się w ogień, ani razu nie ścierając z policzka w czasie krojenia cebuli.

Matka tęskniła za Tessą. Oboje tęsknili. Tessa była taka pełna życia, taka silna. Bez niej dom wydawał się jakiś inny.

Czegóż nie próbował, aby ją tylko pocieszyć! Wczoraj wieczorem otworzył butelkę najstarszego ario, zapalił woskowe świece zamiast łojowych i grał na skrzypkach jej ulubione

melodie. Nie należał może do wytrawnych grajków, matce to jednak nie przeszkadzało. W jej przekonaniu muzykę komponowali aniołowie – tak mu powiedziała dawno temu, o on nie zapominał podobnych rzeczy.

Wczoraj jednak z każdą melodią matka coraz bardziej smutniała, wobec czego zdecydował, że dziś pozwoli sobie na małą ucztę: homary, kilka łyżków berriaku chowanego w spiżarni na święta, na wypadek choroby lub dla szacownych gości. Tym razem miało nie być muzyki, a jedynie opowiadanie historii. Matka lubiła, kiedy ktoś jej czytał, a on ciągle przechowywał w domu kilka książek mistrza Deverica. Któregoś dnia będzie musiał wybrać się do Fale i zwrócić je paniczowi Rance'owi.

Zapadał powoli zmrok, kiedy skręcił w swoją ulicę. Dwie mroczne postaci minęły go, idąc przeciwnym chodnikiem. Nie zwrócił na nich zbyt wielkiej uwagi: gdzieś się spieszyły, więc chyba nie będą się zatrzymywać, żeby zabrać mu homary. Poza tym ta ulica była dość bezpieczna w porównaniu z innymi zakątkami miasta. Za żadne skarby świata nie zgodziłby się pracować w Fale pięć dni w tygodniu, gdyby było inaczej.

Emith co tchu spieszył do domu, starając się obliczyć, kiedy najwcześniej Tessa może wrócić z Maribane. Niewykluczone, że znów zawita w Bay'Zell już za dziewięć dni. O ile dobrze pamiętał, podróż trwała około trzech dni, a ona, będąc osobą świecką, będzie mogła przebywać na Wyspie Namaszczonych tylko jedną noc. Opat był surowy w egzekwowaniu podobnych praw.

Nie mogąc się wprost doczekać radosnego momentu, kiedy obwieści matce, że Tessa może wrócić nawet szybciej, niż początkowo zakładali, skierował się w stronę podwórka za domem.

Owszem, dom posiadał frontowe drzwi, ale w ciągu tych trzydziestu czterech lat, gdy matka mieszkała w tej kamienicy, tylko raz widział, żeby je otwarto. W owym dniu siostra matki, ciotka Peiish, miała przyjechać na miesiąc z Mir'Lor (jej dom był w tym czasie odnawiany i uzupełniany o ostatni krzyk mody – piec kuchenny z czerwonej cegły) i matka stwierdziła, że taka wspaniała osobistość nie może wchodzić przez drzwi od podwórka.

Zapach łągu i wapna podrażnił nozdrza Emitha, ledwie otworzył furtkę. Sądząc z delikatnego, słodkiego aromatu, towarzyszącego tym zapachom, skóry niebawem będą nadawać się do skrobania. Obecnie nie potrzebował już tyle pergaminu, co niegdyś, za czasów mistrza Deverica, lecz ciężko jest zrywać ze starymi zwyczajami. Przygotowywanie pergaminu stanowiło ogniwo łączące go z dawnym życiem u boku mistrza Deverica i myśl o zaniechaniu tej czynności była dlań równie niedorzeczna, jak skok do morza w środku zimy. Będąc asystentem skryby – jakkolwiek akurat teraz nie miał u kogo pracować (a po wyjeździe Tessy – kogo szkolić)– nadal musiał wykonywać swoją pracę, która stała się z biegiem lat częścią jego osobowości.

Krzycząc do matki, że oto wrócił, zbliżył się do drzwi. Stały uchylone. Wąska smuga światła sączyła się na kostki bruku.

Zmarszczył czoło. Chyba nie zapomniał ich zamknąć? Złapał za klamkę, otworzył je na oścież, po czym wszedł do kuchni.

Powiew chłodnego powietrza zastąpił zapach ługu jakimś innym zapachem, bardzo intensywnym, przypominającym mokrą, zwierzęcą sierść. Poczul, że zelówki jego butów przywierają do czegoś lepkiego, i zerknął pod nogi, aby przekonać się, co to takiego. Żołądek podszedł mu do gardła. Paczka z homarem wydała się nagle równie zimna i tłusta, jak świński tłuszcz zostawiony na noc w spiżarni.

Nie do końca panując nad sobą, potrzasała głową. Sam czerwony kolor plamy nie oznacza od razu, że to krew... Może to jeden z jego pigmentów (zawsze je rozlewał), a może sok malinowy matki?

– Matko? – Mimowolnie jego głos nabrał pytającej intonacji.

W pomieszczeniu było dość mroczno. Ogień w kominku przygasł, nie świeciła się żadna z lampek. Gdy zerknął na krzesło matki, włosy zjeżyły mu się na karku. Czubek jej głowy wystawał nad oparcie krzesła, ale już na pierwszy rzut oka znać było, że włosy staruszki są rozczochrane.

– Matko?

Zapewne odpoczywała. To było do niej podobne: odpoczywać w chwili, kiedy on wracał do domu z gotowanym homarem.

Uśmiechając się niepewnie i kiwając głową, ruszył w stronę paleniska. Kilka razy nadepnął na czerwone plamy, ale starał się o nich nie myśleć. Zmyje je później, ale najpierw obudzi matkę. Pokonując przestrzeń dzielącą go od krzesła, nerwowo ścisnął paczkę z mięsem homarów, tak że aż masło zaczęło przesiąkać przez płótno.

Tłusta struga spływała mu po kciuku, gdy odwracał się, by spojrzeć matce w twarz.

Z jego ust wydobył się krótki dźwięk – jakby coś się stłukło. Ręce odmówiły mu posłuszeństwa i homary upadły na ziemię.

Matka była czymś przykryta. Przykryta.

Emith skoczył do przodu. Czyż mogła siedzieć, spać, i nie mieć o tym pojęcia? Równocześnie z tą myślą w jego umyśle zrodziła się druga, która przestrzegła, że coś tu jest bardzo, ale to bardzo nie w porządku. Odrzucił tę drugą myśl.

Tylko odpoczywała, nic więcej.

– Matko! – zawołał, próbując zebrać ślinę, żeby napluć na rękaw i wytrzeć ciemną plamę z jej podbródka. Skąd się jednak miała wziąć ślina, skoro w ustach zupełnie mu zaschło?

Pochylony u stóp krzesła, złapał matkę za kolana i błagał, żeby się obudziła. Nie słyszała. Chwycił nadgarstek, by nim potrząsnąć, a wtenczas skrawek papieru wypadł z jej dłoni na podłogę.

Natychmiast rozpoznał, co to takiego: kopia biletu Tessy na przejazd do Maribane. Matka zwinęła go w kulkę, jakby chciała go przed kimś ukryć. Bilet zawierał wszelkie informacje o “Zawadzie”, wyporność i porty, do których zawijała; matka uparła się, żeby trzymać go pod

ręką na wypadek nieszczęścia. Każdy posiadacz biletu na przejazd mógł liczyć, że zostanie powiadomiony o ewentualnej katastrofie statku w pierwszej kolejności.

Emith podniósł skrawek papieru, wygładził go na ręce i schował w szufladce stolika, gdzie matka lubiła trzymać wszystkie ważne dokumenty. Gdy to zrobił, usiadł przy niej i czekał, aż się obudzi. Czekał, póki mleczarz nie odnalazł go nad ranem i siłą nie odciągnął na bok.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

“Zawada” dopłynęła do Maribane spokojnie i bez przeszkód. Nie musiała przebijać się przez nawałnice, ocierać o skały, zmagać z morskimi potworami i korsarzami. Podróż cechowały długie dnie, krótkie noce i zachody słońca napiętnowane krwistą czerwienią.

Tessa straciła rachubę dni spędzonych na pokładzie statku – z pewnością było ich więcej niż siedem, niewątpliwie też mniej niż dziesięć. Krańcowa monotonia owych dni utrudniała ich liczenie: wszystkie zdawały się z sobą zlewać. Pobudka o świcie, potem śniadanie, przechadzka po pokładzie, południowy posiłek, przesiadywanie na pokładzie, wieczorny posiłek, a na końcu łóżko.

Tylko rozmowa z Ravisem przerywała tę monotonię, lecz od dnia, w którym opowiadał o walce w obronie posiadłości ojca, stał się bardziej małomówny. Dał do zrozumienia, że nie chce więcej dyskutować o swojej przeszłości, i rozmawiał odtąd na błahe tematy. Nie był nieuprzejmy, tylko ostrożny. Zamiast opowiadać o Drokho, mówił o przygodnych znajomych lub poprzednich pracodawcach, nigdy jednak o przyjaciółach lub krewnych.

Jego rana goiła się powoli. Ból nie dawał mu zasnąć do późna w nocy; wiercił się, przewracał z boku na bok i zrzucał koce. Nawet teraz, choć upłynął tydzień, krzywił się przy gwałtownych ruchach. Za to oparzelizna Tessy znikała w szybkim tempie, odpadające płatki strupów odsłaniały jednak twardą, nabrzmiałą bliznę. Tessa patrzyła na nią z odrazą. Dotykając palcem zeszpeconej tkanki, miała wrażenie, że dotyka obcego ciała. Straciła czucie w tej części dłoni.

Dzięki sile perswazji Ravisa dbano o nich na statku. Przynajmniej raz dziennie do kabiny pukał chłopiec okrętowy z tacą pełną świeżego chleba, gorącego jabłecznika i kawałków mięsa. Nie wiedziała, czy Ravis wciąż wciska łapówki załodze; trzos jego nie wydawał się ani o włos lżejszy.

– Ahoj, łąd na horyzoncie!

Spojrzała w kierunku krzyczącego, którym nie był marynarz. Jakiś chłopiec udawał żeglarsza, lecz gdy popatrzyła we wskazanym przezeń kierunku, okazało się, że miał rację: łąd – szara, zamglona ściana – pokazał się na północny zachód od kursu statku. Dreszcz przeszedł jej po plecach. Maribane. Kolejna podróż dobiegła końca.

W drodze na pokład dziobowy mijała podekscytowane kobiety i dzieci, natomiast mężczyźni obchodziła szerokim łukiem. Statek stał się jej domem, w którym czuła się pewnie. Nawet długie spódnice przestały plątać się jej pod nogami. Ze zręcznością starego wygi wspinała się po drabinkach i przeskakiwała z pokładu na pokład.



Ravis śmiał się z niej czasami. Mówił, że nigdy nie będzie z niej prawdziwa raizyjska dama. Słowa te mogły się wydać komuś obraźliwe, ale ona miała wrażenie, że nie kryje się za nimi nic złego.

Południowe słońce ogrzewało jej ramiona, kiedy, przechylona nad relingiem, wpatrywała się w fale. Po raz pierwszy od wielu dni usłyszała krzyk mewy, z przyjemnością wdychając coraz świeższe i mniej słone powietrze.

– Na taki widok krew człowiekowi szybciej płynie!

Słyszając głos Ravisa, skinęła głową. Nie odwróciła się do niego.

– To cudowne, prawda? Kiedy tam dopłyniemy?

Zza jej pleców dobiegł rubaszny, gardłowy śmiech.

– Nie ziemię podziwiałem.

Odsunęła się od barierki, zmieszana. Chciała parsknięciem wyrazić swą wzgardę, zamiast tego wydała tylko jakieś poirytowane kwiknięcie. Ravisowi udawało się zawsze zbić ją z tropu.

Uśmiechnął się.

– Nie chciałem cię wprawić w zakłopotanie.

– Właśnie, że chciałeś. Zrobiłeś to z premedytacją. – Zaczęła skwapliwie wygładzać zmarszczkę, którą dostrzegła na sukni. Sakiewka u pasa pobrzękiwała w rytm jej ruchów.

– Zabrałaś wszystko spod pokładu? – zapytał. – Kiedy wszyscy tracą głowę i podniecają się bliskością łądu, zdarza się najwięcej kradzieży.

Ciągle naburmuszona, wskazała na worek leżący opodal.

– Wszystko mam przy sobie. Kiedy dobijemy do brzegu?

Zerknął na morze.

– Nie tak szybko, jak ci się zdaje. Łąd, który widzisz, jest znacznie oddalony od portu. Gdy dopłyniemy, będzie już dobrze po zmroku.

Ravis się nie pomylił. Gdy “Zawada” wpłynęła do portu, księżyc wisiał już wysoko na czarnym niebie. Na nabrzeżu błyskały światełka pochodni. Tessa stała na dziobie, gdzie czuła niemal zapach gryzącego w oczy dymu. Łodzie wiosłowe tłoczyły się wokół kadłuba, niekiedy podpływając tak blisko, że tylko czekała, kiedy któraś z nich zostanie staranowana. Wszystkie żagle z wyjątkiem rufowego zostały zrefowane i “Zawada” wśliznęła się do portu z nikłą pomocą czekających holi.

Chociaż wiał lekki wietrzyk, ta noc okazała się najchłodniejsza w dotychczasowej podróży, tak że Tessa musiała pozapinać płaszcz pod szyją i na piersi. Światła Kilgrimu było dość szare w porównaniu z Bay’Zell, samo zaś miasto charakteryzowało się rzadką zabudową: domki rozrzucone po okolicznych pagórkach i ani śladu głównego rynku czy jakiegokolwiek śródmieścia. Ravis wyjaśnił, że Kilgrim to zwykły przystanek, a nie miejsce docelowych podróży – ludzie przejeżdżają tędy w drodze do innych miejscowości.

Nie widziała Ravisa od przeszło godziny. Wypytywał z pewnością załogę, gdzie można tu najlepiej zjeść, wynająć konie i znaleźć nocleg. Zawsze troszczył się o podobne szczegóły.

Tymczasem statek zbliżył się do nabrzeża. Dokerzy skakali z pirsu, załoga rzucała trap i mocowała liny. Mieszkańcy Maribane mówili dziwnie szorstko i gardłowo, sypali potwornymi przekleństwami, a milkli tylko wtedy, gdy trzeba było pokłonić się damie lub mrugnąć w stronę przerażonego dzieciaka.

W ciągu paru minut na statku zawrzało. Wszyscy się krzękali: pasażerowie, marynarze, tragarze. Przekupnie wskakiwali na pokład i robili dobre interesy, proponując gorące ciastka i zimne piwo, których pasażerowie nie widzieli od tygodnia.

Tessa trzymała się na uboczu. Płonące pochodnie, ochryple okrzyki i rozkołysane cienie napępniały ją lękiem. Przypominały bitwę między skałami. Sparzoną dłonią odruchowo dotknęła policzka. Ręka wydała jej się nad wyraz gorąca.

– Sądziłem, że tutaj cię właśnie znajdę.

Tessa wzdrygnęła się przy tych słowach, mimo że od razu rozpoznała głos Ravisa. Przebrał się w nowe ubranie, zaczesał włosy i wypastował buty.

– Wszystko w porządku? – zapytał. Nie czekając na odpowiedź, wyciągnął rękę. – Daj, pomogę ci z tym sakiem.

Podawała mu worek. Nie czuła się w nastroju, by obstawać przy tym, że bez niczyjej pomocy poradzi sobie z bagażem.

Kiedy ich dłonie spotkały się nad szorstkim płótnem wora, powiedział:

– Nie musisz się niczego obawiać. Cały czas będę przy tobie.

Po raz pierwszy odezwał się tak czule od dnia, kiedy gawędzili na pokładzie rufówki. Spojrzała mu uważnie w oczy i przekonała się, że mówi poważnie, po czym obróciła się na pięcie i odeszła. Tessie nie podobał się sposób, w jaki grał na jej uczuciach. Czuła się przez to wrażliwa na ciosy.

– W porządku – rzuciła przez ramię. – Wynośmy się z tego statku i chodźmy zwiedzić miasto. – Zdając sobie sprawę z twardego tonu i chłodnego zachowania, dorzuciła: – Ostatni na lądzie funduje kolację i kufel piwa.

Ravis nic na to nie odparł, ale udało mu się jakoś wyprzedzić ją w drodze do drabinki, a kiedy zeskakiwał na główny pokład, w jego oczach jarzyły się wesołe iskierki.

Nie odzywając się ani jednym słowem, żegnał się – tak to wyglądało – z całą załogą. Patrzył w oczy każdemu napotkanemu marynarzowi, kiwał ręką, potrząsał głową lub w jakimś marynarskim pozdrowieniu zaciskał wargi, na poły się uśmiechając, na poły robiąc niezadowoloną minę. Obserwując Ravisa, zerknęła na jego bliznę. Już od wielu dni nie zwracała na nią uwagi. To dziwne – pomyślała – jak szybko można się do niej przyzwyczaić.

Ravis odwrócił się i zaoferował swe ramię.

– Przygotowałaś nogi na spotkanie ze stałym lądem?

Nie wiedząc, co ma na myśli, kiwnęła głową. Stapała pewnie.

Ruszyli w stronę pomostu łączącego statek z nabrzeżem. Ravis zwolnił nieco kroku, pozwalając, żeby jako pierwsza postawiła stopę na drewnianym trapie.

– Zdaje się, że kupuję kolację – westchnął.

Tessę po raz kolejny zaskoczyło jego zachowanie. Była pewna, że spróbuje wygrać zawody.

– Potrzebny panu bagażowy?

– Może powóz, który zabierze państwa do najlepszej gospody w Kilgrimie?

– Jakież upominki dla damy? Wstążki?

Tłum stawał się coraz bardziej natarczywy. Zewsząd wyciągały się ręce; zlewały się z sobą propozycje, prośby i błagania; strumienie słów wypowiedzianych w dziwnym dialekcie przelatywały Tessie mimo uszu. Ravis zdołał jednak odegnać natrętów. Inaczej niż w przypadku pasażerów, którzy wcześniej zeszli na ląd, tutaj jeden odmowny gest wystarczył, żeby wszystkich przepłoszyć.

Dym z pochodni snuł się gęstymi kłębami, do ust i gardła Tessy wciskały się zwęglone drobiny, a łzy ciurkiem płynęły jej po policzkach. Gdy szła po drewnianym pomoście nabrzeża, zaczęły ją boleć nogi. Kości wydawały się o wiele cięższe niż zwykle, a kiedy stopą dotykała podłoża, czuła wibracje w kostce i w kolanie.

– “Morskie nogi” – powiedział Ravis, podtrzymując jej ramię. – To się zdarza najdzielniejszym ludziom, którzy spędzili na statku tyle dni, co my. Kości przyzwyczajają się do kołysania statku, a ziemia nie jest już taka elastyczna. – Uśmiechał się szelmowsko. – Będzie gorzej, kiedy zejdziemy z tych desek na twardy grunt.

– Przypuszczam, że i to musisz brać pod uwagę w rzemiośle wojennym. – Zirytowana jego przemądrzałością, próbowała stawiać kroki na tyle pewnie, na ile to było możliwe. W miarę jak się poruszała, mijała nieprzyjemną ocieźałość dolnych kończyn.

– Dość rzadko. – Ravis puścił raptownie ramię Tessy. Zatrzymał się niespodziewanie i wlepił wzrok w ciżbę ludzi stojących przy końcu nabrzeża.

Tessa podniosła wzrok w ślad za jego spojrzeniem, a tam, za gęstymi smugami dymu, ruchomymi cieniami i jaskrawymi płomieniami pochodni, stała zakapturzona, ubrana na czarno postać, która bardzo wolno podniosła ręce i zsunęła kaptur. Tessa wstrzymała oddech. Ujrzała kobietę z fiołkowymi oczami i błyszczącymi, czarnymi włosami. W tłumie rozległy się pomruki – spojrzenia wszystkich kierowały się w jej stronę. Była uderzająco piękna. Światło pochodni, które każdą twarz piętnowało czerwienią i obdarzało dzikim wyrazem, skórze kobiety nadawało delikatnego, złocistego lśnienia.

Tessa zerknęła szybko na Ravisa, który wbił zęby w wargę. Nie podając jej tym razem ręki, ruszył do przodu. Nie miała wyboru, musiała pójść za nim. Tłum rozstąpił się przed krocącym wolno najemnikiem, tworząc wolne przejście do kobiety, która stała na schodach prowadzących z nabrzeża do doku. Aby się uspokoić, Tessa odetchnęła głęboko, wdychając przy tym ostrą, słodkawą woń fiołków.

Kiedy Ravis podszedł bliżej, oczy kobiety pociemniały, a wargi skrzywiły się niemal niedostrzegalnie. Zdając sobie nagle sprawę z własnego zaniedbania i prostego ubioru, Tessa zaczesła włosy i wygładziła sukienkę. Kobieta o fiołkowych oczach pozwałała swoim włosom fruwać na wietrze. Lśniące loki wieńczyły nieskazitelną cerę twarzy o kształcie serca. Kiedy gwałtowny podmuch świsnął od wschodu, poły jej płaszcz rozchyliły się, ukazując rąbek szkarłatnej, koronkowej sukni.

Nie zaszczyciwszy Tessy nawet jednym spojrzeniem, kobieta ani drgnęła, dopóki Ravis nie stanął z nią twarzą w twarz.

– Musimy porozmawiać – powiedziała niskim, ochryłym głosem. Nie zaczekała na odpowiedź, tylko odwróciła się, wspięła na schody i ruszyła w stronę doku. Ravis pospieszył w ślad za nią.

Tessa zatrzymała się na najniższym stopniu i patrzyła na ich ciemne włosy i szybkie, płynne ruchy. Przez chwilę myślała, że ukute są z tej samej substancji. Nagle Ravis się odwrócił. Z widocznym napięciem na twarzy szukał w tłumie sylwetki Tessy. Kiedy ich spojrzenia spotkały się, odetchnął z ulgą i przyzwał ją nikłym skinieniem głowy. Fiołkooka kobieta zauważyła tę wymianę spojrzeń, nic jednak nie dała po sobie poznać.

Poprowadziła ich w kierunku miasta. Ulice były mokre i śliskie od tłuszczu. Konie, lektyki, zakryte powozy i objuczone osły tamowały wprost ruch na drodze. Kiedy chłopak popychający pełne jabłek taczki zaplątał się zbyt blisko, Ravis złapał łokieć kobiety i odsunął ją w bok. Tessa wolała nie zwracać uwagi, jak długo jego ręka pozostawała później na jej ramieniu. Po minięciu zatłoczonej promenady skręcili pod przewodnictwem nieznajomej w kilka kolejnych uliczek, by na koniec wejść po schodkach z piaskowca do ciepłej, jasnej gospody.

Znaleźli się w pomieszczeniu zdominowanym przez tak ogromne palenisko, że mogłoby ono posłużyć jako stajnia dla konia. Rożny biegły od jednego jego końca po drugi, obładowane piekącymi się kurczakami, cebulami i kawałkami mięsa. Odgłos syczącego nad płomieniami tłuszczu współzawodniczył ze śpiewem i śmiechami. W powietrzu unosiły się kłęby dymu i dziesiątki zapachów (głównie win i likierów). Mężczyźni i kobiety siedzieli zbici w grupkach – ich policzki były rumiane od wypitych napojów, a ręce uwijały się przy żetonach, kuflach z piwem, monetach i sakiewkach.

Ledwie otworzyli drzwi i weszli do środka, niewysoki człowieczek, stojący przy rzędzie baryłek z piwem, ruszył w ich stronę. Wycierając ręce o fartuch, aby zetrzeć z nich brud lub pot, uklonił się uniesieniem przed fiołkooką kobietą.

– Pani Arazzo, wróciłaś. Tędy, proszę. W taką noc wychodzić z domu! Musicie być zziębnięci i spragnieni. Kazałem już Mulchowi przyrzadzić parkę dorodnych bażantów i pozwoliłem sobie osobiście postawić przy ogniu dzban beriaku.

Nie zwracając uwagi na paplaninę gospodarza, kobieta spojrzała na Ravisa.

– Musimy porozmawiać na osobności. – Choć nie obdarzyła Tessy nawet przelotnym spojrzeniem, dziewczyna poczuła niejako chłodny powiew na policzku.

Niski mężczyzna w fartuchu ruszył w stronę drzwi prowadzących do małej, skąpo oświetlonej izdebki. Ze swojego miejsca widziała przez ułamek sekundy bogaty wystrój wnętrza: ciemne meble, szkarłatne jedwabie i lampki o srebrnych pokrywkach.

– Usiądziesz tutaj – zwrócił się do niej Ravis, a następnie poprowadził ją do stołu na środku głównej sali. – Nie ruszaj się stąd ani na moment. Każę oberżysty podać ci coś do picia i jedzenia.

Zamrugła kilkakrotnie. Narzucały jej się różne odpowiedzi, ale ostatecznie skinęła jedynie głową. Oblicze Ravisa było ciemne, a głos twardy.

– Ty zaś – rzekł, odwracając się do oberżysty – będziesz tak samo grzeczny względem tej damy, jak względem pani Arazzo. Niech dostanie równie tłustego bażanta i beriak zagrzany przy ogniu. Dopilnuj też, żeby rozeszło się wśród gości, iż nie wolno jej zaczepiać. Każdy, którego cień padnie na jej krzesło, będzie miał ze mną do czynienia. – Ravis ostentacyjnie odsłonił płaszcz, pokazując nóż. Wszyscy ci, którzy obserwowali go z rozmaitych kątów i nisz, w jakie obfitowała karczma, jak na komendę odwrócili wzrok.

Rzucając na nią ostatnie spojrzenie, Ravis udał się na prywatną rozmowę.

Obserwowała, jak mija oczekującą w progu fiołkooką kobietę i wchodzi do środka. Pani Arazzo położyła na kłamce bladą, pozbawioną klejnotów dłoń, chcąc zamknąć za nim drzwi. On coś jej jednak powiedział, na co opuściła rękę i pozostawiła drzwi otwarte. Kiedy oboje pograżyli się w półmroku, Tessa wyteżyła wzrok, by przebić się przez ciemności, lecz widoczność zmniejszyła się jeszcze bardziej, gdy tylko kobieta przykręciła płomień w lampkach oliwnych; Tessa widziała już tylko cienie.

– Proszę, pani. Bażant i beriak – przestraszył ją karczmarz, kładąc niespodziewanie tacę na stole. – Mulch wyciągnął z ptaka kości, a ja pozwoliłem sobie osobiście usunąć farsz. Wiem, jak wy, damy, nie znosicie brudzić rękawów tłuszczem. – Oberżysta zwracał się do niej uprzejmym tonem, lecz jego wzrok błędził wśród ciemności prywatnej izdebki.

Skinęła głową. Nagle zrobiło jej się niedobrze. Próbując wmówić sobie, że mdłości odczuwa z powodu zapachu bażanta, męczącego dnia i dymu z łożowych świeczek, pozwoliła karczmarzowi odejść. W chwilę później westchnęła lekko i skinęła nań ponownie. Przeszkadzało jej coś innego, nie zapachy.

Karczmarz migiem zjawił się przy stole, wycierając w fartuch rękę, jakby znów były brudne (a przecież był nieobecny niespełna minutę). Nachylił się i zapytał:

– Czym mogę służyć, pani?

– Kim jest ta kobieta w prywatnej izbie? – Tessa pytała niechętnie, ale pchała ją ciekawość.

– Violante z Arazzo – odparł karczmarz, najwidoczniej zadowolony, że go pytają. – Najsłynniejsza piękność w Mizerico. Nieślubna córka prefekta.

Czując, że brakuje jej nagle oddechu, skinieniem dłoni odprawiła oberżystę. Miserico. Tam właśnie wybierał się Ravis tego dnia, w którym go spotkała.

– Po coś przyjechała, Violante? – Mówiąc to, Ravis zezował na główną izbę. Widział jedynie skraj stołu Tessy. Jakkolwiek kilka minut temu karczmarz położył przed nią tacę pełną mięsiwa, niczego nie tknęła.

Violante z Arazzo przechadzała się po izbie, by zatrzymać się ostatecznie przy uchylonych drzwiach. Kiedy się poruszała, szeleściły jedwabie.

– Przyjechałam cię przestrzec – powiedziała, bladymi dłońmi manipulując przy zapinkach płaszcza. Jednym szybkim potrząśnięciem ramion zrzuciła płaszcz na ziemię, odsłaniając swe przykryte koronkową sukienką ciało. – Twój brat chce cię zabić.

– Myślałem, że masz dla mnie jakieś nowe nowiny, Violante. – Odwrócił od niej wzrok i popatrzył na stojący przy ogniu dzban beriaku. Uroda Violante z Arazzo wciąż go jeszcze onieśmielała.

– Malray wie, że wyjechałeś z Raize. Wie też, że jesteś tu, w Kilgrimie.

– Skąd to może wiedzieć?

– Czy to ważne? – Wargi Violante były tak perfekcyjnie skrojone, że każdy kobiecy portret zlecony do namalowania w Istanii w ciągu pięciu ostatnich lat chętnie się ich kopia. “Niech moje usta będą pełniejsze, bardziej zakrzywione – błagały damy dworu artystów-malarzy – takie jak ma Violante z Arazzo”. Niektóre panie rozkazywały nawet swym służkom, by te biły je po wargach przed balem lub bankietem, aby nadać ustom ten modny wyraz pełnej krągłości.

“Tylko dzięki tej wieśniaczej skazie – lubiły zaznaczać wytworne damy dworu – Violante jest taka czarująca. Czymże by były jej zgrabne kosteczki i fiołkowe oczy, gdyby nie te wieśniacze usta?”

Ravis wplótł palce we włosy.

– Mów prawdę, Violante.

Wyraz jej twarzy zmienił się nieznacznie. Zdało mu się, że drga jej dolna warga, ale weszła w cień pod przeciwległą ścianą i nie mógł już tego zobaczyć.

– Malray gościł u mnie w domu, gdy dwóch istanijskich zwiadowców przybyło z wieściami od ciebie. Chciałam je przed nim ukryć, ale on domyślił się, że to ty je przysłałaś. – Violante wzięła głębszy oddech. – Wyrwał mi z ręki twój list, zaczął go czytać, dowiedział się, jakie masz plany na najbliższą przyszłość, a potem wybiegł z domu. Zostawił nawet swój płaszcz.

W czasie tego opowiadania Ravis nie spuszczał oka ze stołu Tessy. Jeden z mężczyzn przybłąkał się do niej dosyć blisko, lecz karczmarz z sześcioma kuflami piwa dopadł go w ostatniej chwili. Po krótkiej wymianie zdań i kufla nieznajomy odszedł na bok. Nieco rozluźniony, Ravis ponownie skupił uwagę na Violante.

W tym wąskim, mętnie oświetlonym pomieszczeniu o czerwonych ścianach i szkarłatnej, jedwabnej tapicerce (które, jak podejrzewał, służyło zwykle prostytutkom i ich zamożnym klientom), Violante wyglądała jak istota z zaświatów. W porównaniu z otaczającymi ją czerwonymi obiciami, które trąciły tanimi pigmentami, cynobrem i wiśnią, barwnik użyty do farbowania jej sukni zdawał się proszkiem ze zmielonych rubinów, rozmeszanym w destylowanym czerwonym winie i rozcieńczonym krwią.

Nie warto było pytać, co też Malray porabiał u niej w domu. Ravis znał Violante nazbyt dobrze, żeby mieć co do tego jakiejś wątpliwości. Zostawił ją w Mizerico na rok, wykonując polecenia Izgarda z Garizonu, nic dziwnego zatem, że wpuszczała do łóżka innych mężczyzn. Nic dziwnego też, że jednym z nich był jego brat. Malray odszukał ją, gdyż taki miał zwyczaj. Każda kobieta, która interesowała Ravisa, interesowała również jego brata.

– Kiedy to się stało? – zapytał. Potrząsając głową, zwichrzyła ciemne loki.

– Sześć lub siedem dni temu. Jeszcze tego samego wieczoru Malray posłał swoich zabójców. Nazajutrz rano wypłynęłam do Kilgrinu na pokładzie miejscowego barku.

Wyjaśniało to, jakim cudem Violante znalazła się tutaj przed nimi wszystkimi. Nikt nie budował równie szybkich i opływowych kadłubów, co istanijscy szkutnicy. Tak zmyślnie profilowali dziobnice, że ich siatki rozcinały fale z dziecinną łatwością. Napełniając dwa kubki beriakiem, spytał:

– Jak sądzisz, kiedy przybędą tu ludzie Malraya?

– Kapitan naszego barku powiedział, że dwa dni temu wyprzedziliśmy kuter z Drokho, myślę więc, że będą tu dziś w nocy, a najdalej rano.

Spojrzał w stronę głównej izby.

– Dlaczego Malray tak cię nienawidzi? – zapytała, znów skupiając na sobie jego uwagę. – Ma przecież pieniądze, ziemię, tytuł. Co mu mogłeś zabrać?

Po raz pierwszy od chwili spotkania Ravis uśmiechnął się do niej. Był to chłodny uśmiech, co nie uszło jej uwagi, gdyż szybko odwróciła wzrok. Widząc nikły rumieniec, wypływający na jej policzki, i obserwując, w jaki sposób szarpie smukłymi palcami materiał sukni, zastanawiał się, dlaczego tu przyjechała. Violante z Arazzo była wystarczająco piękna, by przebierać między mężczyznami. Nawet najwyżej urodzeni panowie płaszczyli się przed jej zimnymi, fioletowymi oczami, ofiarując wyszukane dary w postaci ziemi, złota i klejnotów rodowych. Wpatrzony w jej szyję i nadgarstki, pozbawione ozdób, potrząsał z lekka głową. Mimo że posiadała stopy kosztowności, nigdy nie zdobiła się nimi. Nie musiała.

Podszedł do niej i zaproponował kubek beriaku.

– Dlaczego myślisz, że zabrałem coś Malrayowi? – Zamierzał mówić beztroskim tonem, ale mu się to nie udało.

– Bo pamiętam, jaką zrobił minę, kiedy przybyli gońcy z listem od ciebie. Jakaż nienawiść malowała się na jego obliczu!

Ravis przymknął powieki i zagryzł bliznę na wardze. Minęło siedem lat, odkąd po raz ostatni widział się z bratem, a złość Malraya wciąż ciążyła na nim niczym stalowy pancerz.

– Co mu zabrałeś, Ravisie? – zapytała znów Violante, zniżając głos. – Kobietę?

Odwrócił się do niej plecami. Zobaczył, jak w głównej izbie Tessa wierci się na krześle. Zakasała rękawy, zamierzając chyba zabrać się do jedzenia. Rozejrzawszy się pobieżnie po otoczeniu, doszedł do wniosku, że nie zagraża jej żadne niebezpieczeństwo. Chciał do niej podejść.

Kiedy okręcił się na pięcie, okazało się, że Violante wpatruje się weń uważnie. W tej chwili, gdy nie starała się zachować kamiennego oblicza, sprawiając wrażenie zagubionej, wyglądała młodo. Przejechał dłonią po policzku. Przypłynęła tu aż z Mizerico, by ostrzec go przed Malrayem, chociaż wiedziała, że on już jej nie potrzebuje. Wiadomość, którą przesłał jej Ravis, zawierała słowa pożegnania. Pewnego dnia podczas tych ostatnich sześciu tygodni doszedł do wniosku, że mylnie tłumaczył sobie chęć wyjazdu z Bay'Zell tym, że pragnął się z nią zobaczyć.

Czując nagle zmęczenie, powiedział:

– Jakaż to teraz różnica? Przeszłość minęła. Nie żyje. – Spojrzał do góry, na twarz Violante, a napotykać jej pytający wzrok, poddał się z westchnieniem. – Malray miał kiedyś narzeczoną, czternaście lat temu, gdy po raz pierwszy objął w posiadanie majątek naszego ojca. Kiedy dowiedziałem się o zaręczynach, nie mogłem myśleć już o niczym innym. Zżerała mnie zawiść. Malray miał ziemię, bogactwa. Dlaczego miałby mieć też żonę? Gdy tylko poznałem jej imię, odszukałem ją i nie dawałem spokoju, aż się we mnie zakochała. – Potrząsnął głową i zaśmiał się sztucznie. – Ależ to było proste. Opowiedziałem jej o niesnaskach między mną a Malrayem, nie ukrywając przy tym, że to ja jestem tym łotrzykiem... Kobiety zawsze kochają czarne owce. Nim upłynął miesiąc, pojechaliśmy na wschód i wzięliśmy ślub. Malray został publicznie upokorzony. Zaplanował sobie wspaniałe weselisko, zaprosił znaczące osobistości, księżęta, księżne. Zadbał nawet o to, żeby ceremonia odbyła się w pałacu seniora w Rhiga. Później musiał wszystkim wyjaśniać, że małżeństwo zostało odwołane, gdyż jego narzeczoną uciekła z bratem w siną dal...

– Poprzysiągł zemstę?

Ravis przełknął głośnie ślinę.

– I to jaką! Kiedy po siedmiu latach wróciłem do Drokho, kazał jednemu ze swoich ludzi powitać mnie w domu ze sztyletem w dłoni.

Wzrok Violante przesunął się z jego oczu na rozciętą wargę.

Pokiwał głową.

– Gdybym się zawahał o pół sekundy, miałbym poderżnięte gardło.

Dotykając palcami swych perfekcyjnie uformowanych ust, zapytała:

– Dlaczego nikt nigdy o tym nie mówi?



– Zarówno Malray, jak i brat dziewczyny wolą nie rozgłaszać tej niechlubnej historii. Nikt nie zyskał na tym, co się stało. Nikt.

– A co z dziewczyną? – Violante wolno sączyła beriak. – Co się z nią stało?

Zagryzł wargę. Czuł, jakby usta kaleczył mu zimny drut.

– Umarła w dwa lata po naszym ślubie. Nie nadawała się do życia, jakie wiodłem na wschodzie. Byłem przecież najemnikiem, mieszkałem w obozach najemników, wyruszałem na zimowe kampanie na wschód i letnie na południe, przenosiłem się z jednego cuchnącego okopu do drugiego. Po kilku miesiącach zachorowała na *hura aya* – chorobę bagienną. Wytrzymała jeszcze rok. Na miesiąc przed śmiercią straciła wzrok. “Ravisie – mówiła – boję się. Przytul mnie. Opowiedz, co widzisz...”

– Przestań! – krzyknęła Violante ostro. – Przestań. – Ich spojrzenia spotkały się. Oczy jej świeciły jasnym płomieniem. Na policzki wystąpił ciemny rumieniec. Po chwili odwróciła głowę.

– Szanowni państwo. – Do środka wszedł karczmarz, niosąc srebrną tacę z jedzeniem i drugi dzbanek beriaku. – Postawię to niedaleko ognia, żeby nie wystygło.

Obecność karczmarza została zignorowana. Ravis i Violante wpatrywali się w siebie, podczas gdy on rozkładał solniczki, jedwabne serwetki i srebrne miseczki do wypluwania chrząstek.

– Kim była ta dziewczyna? – zapytała, ledwie oberżysta zostawił ich samych. – Malray nie wygląda mi na człowieka, który żeni się z miłości. Musiała pochodzić z wysokiego rodu. Może była dziedziczką wielkiej fortuny? – Pomimo wysiłków nie udało jej się ukryć cienia goryczy. Sama będąc córką z nieślubnego łoża, nie została nigdy w pełni zaakceptowana w społeczeństwie, aczkolwiek cieszyła się w nim sporą popularnością. Szlachetnie urodzeni panowie, jacy się do niej zalecali, rzadko myśleli o ślubie. Ravis machnął ręką zdawkowo.

– Zwyczajna dziewczyna z Weizach.

– Zwyczajna dziewczyna z Weizach? A mimo to senior zgodził się przeprowadzić w pałacu ceremonię ślubną? – Violante potrząsnęła głową. – Ty coś chyba przede mną ukrywasz, Ravisie z Burano.

Odwracając się w stronę ognia, zaczerpnął głęboko powietrza. Przeszłość dawno minęła. Dlaczegoż by miała wciąż boleć? Po dłuższej chwili wyjawiał imię swojej żony.

– Lara z Alberach.

Violante parsknęła.

– Siostra Izgarda?

Ravis skinął głową w kierunku ognia.

– A jednak trzy lata pracowałeś dla niego. Jak mógł...

– Bo mnie potrzebował. Takim już jest człowiekiem.

Przy ostatnim słowie w głównej izbie podniosły się głosy. Coś z drewna – ława albo krzesło – rozbiło się o ziemię. Ravis obrócił się błyskawicznie. Drzwi były zamknięte:

karczmarz musiał je zamknąć, gdy wychodził. Przeklinając swoją nieuwagę, Ravis rzucił się ku drzwiom, jedną ręką sięgając do klamki, drugą wyciągając nóż z pochwy.

Otworzył drzwi na oścież. Tessa siedziała dokładnie tam, gdzie jej przykazał, tyle tylko, że teraz stało nad nią dwóch mężczyzn. Jeden położył dłoń na jej ramieniu. W okamgnieniu Ravis rozpoznał te czarne czupryny, krwistoczerwone płaszcze i prostokątne klamerki pod szyją. Ludzie Malraya. Dalszych dwóch przyciskało karczmarza do ściany, a piąty i szósty pilnowali wyjścia.

Kiedy Ravis pojawił się w przejściu, cała szóstka zamarła w bezruchu. Za plecami usłyszał kroki Violante.

– Zostań na miejscu, Violante – syknął. Omiótłszy spojrzeniem twarze wszystkich ludzi Malraya, utkwił je w Tessie. – Panowie, czuję się trochę rozczarowany. Miałem nadzieję, że przebyliście tę długą drogę, żeby zobaczyć się ze mną, a nie z jakąś wywłoką z doków, wartą dwa miedziaki. – Skoczył do głównej sali, i rzucił się co tchu, ale nie w stronę Tessy i drzwi wyjściowych, tylko na tyły karczmy. – Uciekajcie!!! – ryknął tubalnym głosem, biegnąc do miejsca, gdzie stał przyparty do ściany karczmarz. – Uciekajcie! – Słowa te były przeznaczone dla Tessy i dla nikogo więcej, niemniej jednak dobrze się stało, że wszyscy obecni w oberży – każdy staruszek sączący piwo jęczmienne, każdy pijany marynarz z ręką na bluzce dziewczyny i każda stara panna czekająca cierpliwie na wielbiciela – wszyscy oni w tym samym momencie rzucili się do ucieczki, biorąc sobie do serca usłyszaną przestrożę. Ludzie zaczęli przepychać się i krzyczeć, kiedy więc Ravis spojrzał przez ramię, nie zobaczył Tessy ani nawet jej stołu, tak wielki tłum wylewał się za drzwi. Wmawiając sobie, że jeszcze nie wszystko stracone, skierował całą uwagę na dwóch mężczyzn w czerwonych płaszczach, stojących przy ścianie.

Nie zamierzał zdobywać się na żadną finezję – pierwszego z nich rąbnął łokciem w twarz. Młodzieniec o bladej karnacji nosił wysoki, jedwabny kołnierz, który szybko nasączył się krwią. Rozmyślnie wszczynając jak największe zamieszanie, Ravis pchnął drewnianą ramę, która wspierała pół tuzina beczek z piwem, leżących pochyło, tak aby na dnie zbierał się osad. Kiedy beczki stoczyły się na kamienną posadzkę, wyskoczył na przewróconą ramę i wspiął się nad cizbę, żeby ujrzeć go ludzie Malraya. Chciał, by ruszyli za nim, nie za Tessą.

Raptem ktoś dźgnął go w plecy. Wypychając ramiona do tyłu, okręcił się i uderzył przedramieniem w nadgarstek trzymający ostrze. Ostrze, krótki mieczyk inkrustowany mozaiką srebrzystych splotów, upadł na ziemię. Jego właściciel schował rękę między połę płaszcza, chcąc wyciągnąć drugą broń. Ravis poczuł zapach tego człowieka. Pachniał jak wszyscy walczący: potem, olejem lnianym i brudem, ale oprócz tego dało się rozróżnić słabą woń polnych ziół i suchej trawy, znajomy zapach Burano i domu. Ravis nie wahał się jednak zatopić ostrza noża w boku napastnika. Krwistoczerwony płaszcz, wełniana tunika i kolczuga z luźno splecionych pierścieni zostały wepchnięte głęboko do wewnątrz rany. Odtrącił człowieka z obrzydzeniem i rozejrzał się za kolejnym przeciwnikiem.

Ruszył do walki jak rozjuszony byk. Rozdawał ciosy ze zwierzęcą siłą, łamał kości i rozcinał skórę, choć kostki jego palców zdawały się pękać. Pamiętał przy tym, by odsuwać się jak najdalej od drzwi, gdzie po raz ostatni widział Tessę. Zrywając ze ścian pożółkłe od dymu makaty, dewastując regały z przyprawami, strącając mięsivo z haków, a nawet przewracając różną w palenisku, starał się zyskać cenne dla niej minuty. Nie był pewien, czy ludzie Malraya wiedzieli, że Tessa mu towarzyszy, lecz nie zamierzał ryzykować. Czternaście lat temu uciekł wraz z narzeczoną Malraya, który do dziś oskarżał go o jej śmierć. Zagryzł wargę: sam oskarżał siebie.

Trzech ludzi Malraya znajdowało się na ziemi: jeden nie żył, jeden był nazbyt zajęty tamowaniem upływu krwi z rany od noża, aby interesować się dalszą walką, trzeci wreszcie jęczał między beczkami z piwem i masował lędźwie. Mężczyzna, którego uderzył w twarz, dostał jakiegoś szału i nie zważając na spływające mu z nosa do ust krew i śluz, przypierał Ravis do kąta. Wymachując bułatem w kształcie topora, którego garda zardzewiała na deszczu, Krwawy Nos miał na tyle rozumu, by nie zbliżać się na zbyt małą odległość, dopóki nie przyłączą się do niego dwaj pozostali towarzysze.

Główna sala gospody zdążyła się opróżnić i z postronnych osób zostali jedynie karczmarz, skulony w cieniu za miechami, oraz staruszek niedaleko drzwi, który musiał zemdlec bądź to z przepicia, bądź ze strachu.

Gdy spostrzegł, że trójka napastników osacza go półokręgiem, Ravis rozejrzał się na boki, aby znaleźć coś, czym mógłby ich zaskoczyć. Niczego takiego nie zauważył. Znalazł się w kącie, gdzie do pomocy miał jedynie wiszącą na ścianie warząchew. Na próżno usiłował nawiązać kontakt wzrokowy z karczmarzem – potrzebował tylko, by ktoś na moment odwrócił uwagę przeciwników – oberżysta jednak udawał, że wyciera z tłuszczu buty. Przesuwając się nieznacznie w lewo, Ravis miał świadomość napiętej skóry na żebrach, w miejscu gdzie dosięgnął go długi nóż harrara. Obniżył nieco trzymającą sztylet rękę, żeby zmniejszyć naprężenie mięśni, po czym powiódł wzrokiem po obliczach ludzi Malraya. Mieli twarde, napięte rysy twarzy. Wszyscy trzej poznali już jego możliwości – widział to po spojrzeniach, jakie między sobą wymieniali – lecz wiedzieli też, że przewaga leży po ich stronie. Wolną ręką Ravis powoli zbadał odległość dzielącą go od ściany. Ostatnie doświadczenia z harrarami przyćmiły jego umysł. Zapomniał już, że nie trzeba przypominać potwora, aby stanowić śmiertelne zagrożenie.

Krew spływała mu po palcach, kiedy podnosił nóż do piersi. Oparł się o ścianę, złapał oddech, zwlekając ułamek sekundy, póki napastnicy nie ruszą do ataku, by wreszcie odbić się ze wszystkich sił i natrzeć z całym impetem.

Niewiele było w tym posunięciu strategii, lecz liczyły się efekt zaskoczenia i chwila, jaką ludzie Malraya zmarnowali na przyjęcie postawy obronnej. Ravis dokonywał tymczasem szybkich obliczeń, na jakie straty może sobie pozwolić. Z tej walki nie mógł wykaraskać się bez obrażeń.

Ból przeszył ucho Ravisa, gdy miecz Krwawego Nosa przeciął jego płatek. Gorąca krew spłynęła strużką na szyję i ramiona. Czarne plamy pojawiły mu się przed oczyma, gdy coś twardego uderzyło go w głowę. Zagryzł mocno wargę, walcząc z bólem, mdłościami i zamglonym wzrokiem. Wetknął nóż w płataninę ramion i broni, próbujących zamknąć go w śmiertelnym uścisku, i zbierał siły na skok w stronę drzwi. Rana na żebrach, zadana przez harrara, otworzyła się, kiedy wyszarpywał nóż z twardej, skórzanej rękawicy. Jakby błyskawica bólu uderzyła w jego piersi, przelatując wzdłuż otwartej rany, zmierzając w kierunku serca. Poczuł, że słabnie.

Ostrze ukłuło go w ramię, drugie prześliznęło się po gardle. Gdy odwracał się, by odeprzeć ataki tej dwójki, która znalazła się za jego plecami, Krwawy Nos wrzasnął przeraźliwie. Zesztywniał; przez chwilę zdawał się rosnać, w miarę jak naprężały się mięśnie klatki piersiowej i barków. Jeszcze moment i osunął się na ziemię. Ravis nie spojrział nawet na ciało. Dziwne zdarzenia są czymś zwyczajnym w walce, a ci, którzy zatrzymują się, żeby się nad nimi zastanawiać, kończą ze śmiertelną raną.

Złapał za połą płaszcza i pociągnął ją mocno ku ziemi. Kiedy mężczyzna sięgnął do szyi, aby odpiąć klamerkę, otrzymał dwa szybkie ciosy. Pierwszy trafił go w żebra, łamiąc jedno, drugi zagłębił się w mięśnie pomiędzy nimi i przebił płuco. Oddychając ciężko, Ravis odwrócił się do ostatniego z napastników, ale już go tam nie było. Leżał na ziemi, a z gardła wystawał mu ostry, metalowy rożen. Kawalki kurczaka i plasterki cebuli zbiegły się nad raną.

– Hej, ty! – rozległ się zimny, kobiecy głos. – Do ciebie mówię, karczmarzu. Dawaj tu zaraz misę z, gorącą wodą, czyste ręczniki, dobrą brandy i trochę kłączy waleriany, jeśli je masz.

W głosie Violante z Arazzo brzmiała taka stanowczość, że oberżysta bezzwłocznie wynurzył się ze swojej kryjówki i pognął spełnić jej żądanie, przeskakując nad ludźmi Malraya z nader nikłym dreszczem odrazy, jak gdyby byli pijani raczej niż martwi lub śmiertelnie ranni.

Odgarnąwszy z czoła włosy lepkie od krwi i potu, Ravis spojrział Violante głęboko w oczy. Chciał powiedzieć coś dowcipnego na temat jej nowo odkrytych talentów do prowadzenia kuchni, ale powstrzymał się: kiedy wycierała dłonie z krwi i tłuszczu, jej palce drżały. Szybkie spojrzenie na plecy Krwawego Nosa powiedziało mu, że najpierw posłużyła się swym osobistym nożem, a dopiero potem nadziała na rożen ostatniego z napastników. Wypluł krew i strzępy wełny, a następnie przycisnął dłoń do rany zadanej przez harrara.

– Cóż to! Nie zasłużyłam na podziękowania, Ravisie z Burano? – Violante odrzuciła ścierkę, którą wycierała ręce. – Czy twoja płomiennowłosa przyjaciółka postąpiłaby podobnie?

Ravis odetchnął głęboko. Miał nadzieje, że Tessa siedzi teraz bezpieczna w jakiejś gospodzie na drugim końcu miasta.

– Dziękuję, Violante – rzekł po chwili. – Uratowałaś mi życie.

Krótkotrwały, smutny uśmiech pokazał się na jej twarzy.

– Ale to wciąż za mało, mam rację?

Ravis dostrzegł nagle dwa błyszczące punkciki, skrzące się głęboko w jej oczach i zrozumiał, dlaczego przyjechała z tak daleka, żeby się z nim zobaczyć. Zrobiło mu się wstyd.

– Chodź – powiedziała – trzeba ci opatrzyć ranę na uchu. Tracisz sporo krwi.

Ravis oddał się pod opiekę Violante. Delikatnymi palcami, nie szczędząc cierpkich słów, obmyła i owinęła rany, podała brandy i walerianę, wtarła olejek migdałowy w napiętą skórę, okalając ranę na żebrach, ogrzała pościel, zanim się na niej położył, a także usmierzyła jego troski o ciała zabitych i stan karczmy, wyrównując karczmarzowi poniesione straty sporą sumą w istanijskim zlocie. Ravis nie miał w zwyczaju pozwalać, by ktokolwiek opiekował się jego ciałem i usuwał za niego problemy, lecz Violante była taka chętna. A po tym wszystkim, co dla niego zrobiła tej nocy, niewiele mógł jej zaoferować w zamian.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

– Wiem już! Policzymy paluszki Śnieżka. – Angeline z Halmac posadziła na kolanach pieska-nieudacznika i zaczęła liczyć jego nieudaczne palce. Tak naprawdę nie miała pewności, czy psy mają palce, ale cokolwiek to było, ona zaczęła to liczyć. – Jeden paluszek, dwa paluszki, trzy paluszki...

Śnieżek był bardziej niż wzburzony tym całym liczeniem, nie starał się jednak uciec. Tutaj, w obozie wojennym Izgarda, czym więcej mogli zająć się pies-nieudacznik i jego pani?

Zakazano im opuszczać namiot. Gerta powiedziała, że na sam widok złotych loków Angeline wśród żołnierzy mogą wybuchnąć bunt. Była tu przecież jedyną kobietą. Nie licząc oczywiście Gerty, kilku sędziwych kucharek i jednej czy dwu markietanek. Gerta twierdziła, że już jej nie uważano za kobietę. Zgodnie z jej opinią, wszyscy mężczyźni cierpieli na tak zwaną “ślepotę starych niewiast”, co oznaczało, że nie dostrzegali kobiet, które przekroczyły pewną granicę wieku. Angeline bardzo się temu dziwiła i rozmyślała, czy nie ma na (o jakiegoś lekarstwa.

Tak czy inaczej, Angeline nie była niewidzialna. Królowa czy nie królowa, każdy mówił, żeby lepiej nie wychodziła z namiotu.

Rozmyślała markotnie, czy to aby nie nauczka na przyszłość. To właśnie przez chęć wyjścia na wolne powietrze wpakowała się w tę kabałę. “Naa zeewnątrz, naa zeewnątrz”. Wyobrażała sobie, jak Gerta mruczy pod nosem, że taką nagrodę za planowanie wyjścia “naa zeewnątrz” otrzymują wierutni łgarze.

Odepchnęła Śnieżka z grymasem niezadowolenia na twarzy. Ojciec nie znosił kłamców. Pamiętała, jak odkrył machlojki skarbnika, który fałszował kwity przychodów. “Ten człowiek to wierutny łgarz– powiedział. – Owiążcie go liną i wymierzcie tyle batów, żeby broczył krwią”.

Zadrżała na całym ciele. Teraz ona była kłamczynią.

Śnieżek otrząsnął się z szoku wywołanego strąceniem na ziemię i usiadł u stóp swej pani. Spuścił ogon, otworzył szeroko oczy, a kiedy Angeline nadal go ignorowała, przewrócił się na plecy i zaszczeakał.

*Śnieżek tutaj, Śnieżek tutaj!*

Angeline roześmiała się wbrew sobie. Śnieżek dobrze wiedział, kiedy potrzebowała rozweselenia.

Gdy nachyliła się, żeby go pogłaskać, paroksyzm bólu przeszył jej bok. Wykrzywiła twarz i wpiła paznokcie w ciało. Na nic zdadzą się jęki. Zupełnie na nic. Gerta przebywała w sąsiednim pomieszczeniu, oddzielonym płachtą nie grubszą od uszka Śnieżka, i nawet

najcichsze dźwięki docierały do uszu opiekunki nie mniej wyraźnie niż bitewne okrzyki. Ścianki namiotu Izgarda nie umywały się do murów twierdzy Sern, jeśli chodzi o tłumienie hałasów. Czasami nocą słyszała nawet, jak Gerta puszcza wiatry!

Zaczęła masować posiniaczone ciało. Izgard nie obszedł się z nią delikatnie tej nocy.

Chcąc o tym jak najprędzej zapomnieć, zastukała w ławeczkę dla Śnieżka.

– Jesteś głodny, Śnieżku? – zapytała, ponieważ sama poczuła nagle głód. – Może bym tak postarała się dla nas o jakąś kolację?

Odpowiedź pieska mogła być tylko jedna. Psy-nieudaczniki zawsze są głodne. Z tego a nie innego powodu tak bardzo rozrabiają. Śnieżek podskoczył i zamerdał żywo ogonkiem.

*Śnieżek głodować. Śnieżek głodować!*

– Gerto! – zawołała. – Gerto!

Opiekunka sprawowała pieczę nad wszelkim jedzeniem w namiocie Izgarda. Wszystkie zimne wiktuały, jak ser, owoce, wędzone kiełbasy, chleb, masło i ciastka trzymała pod kluczem w pękatej skrzyni, odmierzając skrupulatnie każdą wydawaną porcję. Oderwana od dawnego otoczenia i pozbawiona służek – Gerta potrzebowała czegoś, co mogłoby podlegać jej rozkazom. W normalnych warunkach Angeline nie zastanawiała się nad podobnymi głupstwami, jednak w ciągu ostatnich dni poznała, czym jest głód. Coraz bardziej drażniło ją to nieustanne proszenie, kiedy miała ochotę coś zjeść.

– Tak, pani? – Wielka głowa Gerty ukazała się w szczelinie w ścianie namiotu. – Czy życzysz sobie gorącego mleka?

– Nie, nie mleka. Jestem... – Angeline zerknęła na Śnieżka. – Śnieżek jest głodny i domaga się kolacji. – Prosiła już dzisiaj o dwie ponadplanowe porcje jedzenia. Trzecia mogłaby obudzić w Gercie podejrzenia. Bądź co bądź, była starą panną, a Angeline wiedziała, że one są szkolone, by przejrzeć każdy podstęp.

– Ode mnie ten pies nie dostanie już żadnego jedzenia! – Gerta weszła do środka. Choć pora była późna, nie pozbyła się jeszcze swego wojennego rynsztunku: pincety, nożyczki, szczoteczki (trzy różne odmiany), szydełka i żelazka do fryzowania, które pobrzękiwały jej u paska. Wyciągnęła jednak z ust szpilki. Angeline sądziła, że musi je czasem wypluwać.

Królowa zrobiła równie duże oczy, co niedawno Śnieżek, usiłując nie myśleć o losie wierutnych kłamców.

– Proszę, Gerto. Może być kawałek zimnego kurczaka i kiełbaska. Śnieżek jest smutny, nie wolno mu wychodzić na dwór, a taka kolacja by go z pewnością pocieszyła. – Mówiąc to, szturchnęła bucikiem brzuszkiem pieska.

Nieudacznik połapał się w lot, o co chodzi, i zaskowyczał żałośnie.

Dwie pary dużych, błękitnych, błagających oczu zmiękczyły w końcu serce Gerty. Obróciła się na pięcie i wycofała do swojej części namiotu, mamrocząc coś pod nosem o starych kościach.

Angeline czuła się źle. Nie lubiła okłamywać swej opiekunki. Gerta tak bardzo ją kochała, a ona kochała Gertę. Cały problem polegał na tym, że jej małe, niewinne kłamstewko wymknęło się spod kontroli, a wokół niego jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać nowe. Ostatnio ani razu chyba nie otworzyła ust, żeby nie przybył jej kolejny grzeszek. Kłamała na temat swego samopoczucia; kręciła, tłumacząc się, dlaczego nie spina swych szat tak ciasno, jak dotychczas; zwodziła, wyjaśniając powody swoich niestrawności. Wszystkie te łgarstwa tak często wymykały jej się z ust, że z biegiem czasu sama zaczęła w nie wierzyć. Oto teraz domagała się o jedzenie dla Śnieżka, gdy tymczasem to ona była głodna.

Z westchnieniem połaskotała psa pod brodą. Gdyby tylko była równie inteligentna, jak inne kobiety, z pewnością znalazła by wyjście z tej sytuacji.

Żadnym pocieszeniem nie był fakt, że po przyjeździe do obozu Izgard rzadko zwracał na nią uwagę. Był teraz innym człowiekiem. Zimnym. Z oczu ziała mu pustka. Przynajmniej tak to wyglądało z daleka; z bliska można było coś dostrzec. Jego źrenice sprawiały wrażenie przekłutych mikroskopijnymi cierniami.

Przestał się nią interesować, choć przecież był jej mężem. Myślał wyłącznie o wojnie. Całe dni spędzał na wyprawach wraz ze swymi żołnierzami, natomiast nocami ślęczał przy mapach, generałach i skrybie. Gerta powiedziała, że wojska Garizonu posuwają się sprawnie naprzód i nie napotkały jak dotąd na żaden zorganizowany opór. Wkraczają do miasta, zdobywają go, a obóz przesuwa się na północny zachód, z każdym dniem dalej. Na czas podróży Angeline została szczelnie opatulana płaszczami i welonami.

Czasami wydawało jej się, że Izgard wzywają do siebie jedynie dla zachowania pozorów, tak jak zeszłej nocy. Nie dbał o całowanie ani nic w tym stylu, a kiedy go dotknęła, odtrącił ją na bok. Za to, co zdarzyło się później, winiła tylko siebie. Mądra kobieta wiedziałaby, kiedy dać sobie spokój. Angeline potrząsnęła głową. Nie ona. Miała wrażenie, że jeśli zdoła zbliżyć się do Izgarda wystarczająco blisko, zapomni o swych mapach i zwojach pergaminu, a zacznie zachowywać się tak, jak przed koronacją. Pomyliła się jednak.

Angeline uniosła rękę do boku, a kiedy dotknęła siniaków, jej twarz zmarszczyła się z bólu. Nie mogła się już bardziej pomylić.

Cały ambaras polegał na tym, że musiała ciągle próbować. A żeby wyplątać się z tego zamieszania, należało ogłosić, że zaszła w ciążę w obozie. W ten sposób jej stan wyszedłby na jaw, mogłaby mieć nudności, mogłaby się też rumienić i odłożyć na bok wszystkie te kłamstwa o zatruciach grzybami. Tyle tylko, że Izgard już się nią nie interesował, a jeżeli Gerta jeszcze niczego nie podejrzewała, jej staropaniński nos wkrótce mógł wszystko wywęszyć.

Przesunęła rękę na brzuch. Niczego nie wyczuła, ale nie ulegało wątpliwości, że jej dziecko tam było. Gerta powiedziała niegdyś: "Kobieta wie takie rzeczy". Angeline wiedziała. Wiedziała, gdyż czuła tak wielką miłość.



Nawet gdy po raz pierwszy zobaczyła Śnieżka, nie rozpiekało jej tak dogłębne uczucie. Czasem na myśl o tym bolało ją serce. Nade wszystko pragnęła swego dziecka, z każdym dniem coraz bardziej. Kiedy w nocy Izgard pchnął ją na stolik, z trudem powstrzymała się, by i jego nie pchnąć w odwecie. Przez jakieś dwie minuty była taka wściekła, iż zapomniała o wszelkich przestrożach, jakie dała jej Gerta, gdy rozmawiały o zachowaniu się wobec męża. Wówczas chciała jedynie skrzywdzić Izgarda za to, że on skrzywdził ją. Zacisnąwszy pięści, zebrała się z ziemi i ruszyła, żeby go uderzyć.

Wystarczyło jedno spojrzenie jego pustych, szarych oczu, aby ją powstrzymać. Angeline dostrzegła w tej pustce coś, co jej się wcale nie spodobało, a napełniło jedynie lękiem. Sprowokowany, Izgard potrafił posunąć się nie wiadomo jak daleko. Cała tajemnica kryła się w jego oczach.

Nie mogąc opanować drżenia ust, zagryzła tylko wargę, żeby z jej gardła nie wydobył się przypadkiem jakiś dźwięk. Jakżeby chciała mieć ojca u swego boku! On znalazłby na wszystko lekarstwo. Kochał małe dzieci. Całował je i głaskał po głowic. Czasami podnosił malców w swych wielkich, potężnych ramionach i wołał do Angeline: “Spójrz, córko! Kiedyś i ty będziesz miała takie cudowne maleństwo. Słodziutką wnuczkę, którą twój tatuś będzie mógł rozpieszczęzać”.

Wciąż zagryzając wargi, wolno potrząsała głową. Ojciec by nie pozwolił, żeby taki Izgard ją popychał. Zabrałby ją do zamku Halmac i karmił łakociami, dopóki wnuk nie przyszedłby na świat. Angeline tupnęła nóżką w twardą, przykrytą kobiercem ziemię. A później opiekowałby się nią jeszcze bardziej.

– Proszę bardzo, pani – powiedziała Gerta, pojawiając się z talerzem w dłoni. – Znalazło się trochę nóżek i jakieś skrzydełko. To w zupełności wystarczy temu nicponiowi.

– Och. – Mina królowej zrzedła. Miała nadzieję na kiełbaski i pierś. Pamiętając, że jedzenie było przeznaczone dla Śnieżka, nie dla niej, zmusiła się do kiwnięcia głową. – Dziękuję, Gerto. Możesz już iść.

Gerta wybałuszyła oczy. Jeszcze nigdy Angeline jej nie odprawiła.

– Iść?

– Tak, iść. Sama dziś sobie poradzę z toaletą.

– Ależ, moja pani, włosy...

– Idź już, Gerto! – Angeline starała się naśladować głos, jakim Gerta zwykle pokrzykiwała na służących w twierdzy Sern. Chyba jej się udało, gdyż opiekunka zamilkła i z czymś na kształt ukłonu wycofała się za przepierzenie.

– Tak, pani – powiedziała. Położyła talerz na skrzyni obok, odsunęła skrzydło przysłony i z gniewnym pomrukiem znikła z pola widzenia. Widząc, że ją uraziła, Angeline poczuła skruchę i miała wielką ochotę przywołać opiekunkę z powrotem. Nienawidziła wydawania rozkazów, bo nigdy nie umiała dobrać właściwego tonu głosu.

– Masz tu, Śnieżku! – krzyknęła, wstając i podchodząc do talerza. – Oto kolacja dla mnie i dla ciebie.

Choć udka były małe i tłuste, Angeline z animuszem przystąpiła do jedzenia. Sama się ostatnio dziwiła, skąd wziął się u niej taki wilczy apetyt. Pewna była, że żadna z dam na dworze w Weizach nigdy nie zniżyłaby się do obgryzania kości. Śnieżek usłużnie zjadł skórkę kurczaka, mimo że doskonale wiedział, iż było też mięso. Kiedy kości zostały wreszcie obgryzione, Angeline zaczęła podsuwać je Śnieżkowi, każąc mu skakać wysoko do góry, turlać się po ziemi lub aportować. Śnieżek bawił się w ten sposób tylko przez pewien czas, potem zrobił kwaśną minę (na psi sposób) i zanurkował w kąt namiotu. Angeline nie dała się tak łatwo zwieść. Przejrzała na wylot jego psią, nicponiową gierkę.

Po chwili zabawy, obgryzania kości, łaskotania po brzuszku i odpoczywania w sąsiednim pomieszczeniu rozległ się jakiś głos. Ze wstrzymanym oddechem czekała, czy ów dźwięk się powtórzy. Nic takiego nie nastąpiło, z czego się cieszyła. Gerta musiała zasnąć i teraz pochrapywała.

– Zaczekaj tu na mnie, Śnieżku – szepnęła, zdejmując płaszcz z kołka przy wejściu. – Nawet się nie spostrzeżesz, kiedy wrócę. Idę odwiedzić Ederiusa.

Śnieżek leżał na poduszeczce z brzuchem do góry, zbyt wypchany kośćmi kurcząt, żeby zdobyć się na jakiś zrozumiały rodzaj protestu. Angeline pogładziła jego nicponiową główkę i zniknęła w ciemnościach.

W obozie pachniało końmi i spalonym drewnem. Lekki wiaterek zmuszał królową do podtrzymywania dłonią kaptura. Ziemia była na tyle rozmiękła, że musiała stąpać szczególnie ostrożnie. Dwóch gwardzistów rozstawionych na warcie u wejścia do namiotu wyprężyło się na baczność, kiedy obok nich przechodziła. Ośmielona faktem, że żadnego nie rozpoznała, odpowiedziała im nieznacznym skinieniem ręki. Wobec tych, których nie знаła, umiała zachowywać się po królewsku ze znacznie większą swobodą.

Nie doskwierał jej chłód nocy: urodzona i wychowana w Halmac, potrafiła wytrzymać o wiele więcej od zwykłego zimna i wschodniego wiatru. Ojciec zawsze mawiał, że w całym Garizonie nie panuje sroższa zima niż w Halmac, jeżeli brać pod uwagę mróz i opady śniegu. Pewnego razu, kiedy była bardzo mała, pobiegła do ojca ze łzami w oczach, gdyż od wielu tygodni zalegały śnieżne zasy i miała dość zimna i nuda. „Powinniśmy być wdzięczni za ten śnieg, Angeline – powiedział wtedy – gdyż z każdym dniem stajemy się bardziej zahartowani. Dzięki temu kości mieszkańców Halmac zamieniają się wżelazo”.

Angeline ze zmarszczonym czołem przemykała wśród namiotów. Wątpiła, czy jej kości są z żelaza.

W namiocie wodza paliło się światło. Tuzin cieni pełznął po płótnie i chociaż nie umiała powiedzieć, który z nich należy do Izgarda, była pewna, że król jest w środku.

Chowając się w mroku, wyminęła strażę i ruszyła w stronę tej cichszej części obozu, gdzie swe namioty rozbili medycy, kapelani i adiutanci. Stał tam też namiot Ederiusa. Rzucił

się w oczy, gdyż jako jedyny jarzył się światłami. Izgard zaprzął skrybę do ciężkiej pracy. Od czasu do czasu, nawet siedząc w siodle, Ederius bazgrał jakieś wzory.

– Ederiusie, to ja, Angeline! – Wyszepiała te słowa i szybko weszła do środka. Wolą nie ryzykować, że ktoś przyłapie ją na spacerach po obozie.

Głowa Ederiusa uniosła się znad księgi.

– Pani? – Starzec zdawał się bardziej przestraszony, aniżeli zły. Wyglądało na to, że od dawna nie czesał swoich siwych włosów. W namiocie snuły się niezbyt przyjemne zapachy, na ziemi leżały porzucane księgi, zwoje i garnuszki z pigmentami.

Angeline zsunęła kaptur.

– Przyszłam sprawdzić, jak się czujesz – powiedziała, wyobrażając sobie w duchu Gertę strofującą władcym tonem pomywaczki.

– Musisz stąd odejść, pani. – Ederius zerknął w stronę wejścia do namiotu. – Natychmiast. Nie chciałabyś chyba, żeby...

– Pst! – ucięła. – Przyszłam, żeby się przekonać, co z tobą, i nie wyjdę bez odpowiedzi. – Zadowolona z brzmienia swego głosu, usiadła na najwyższej ze skrzyń Ederiusa, umieszczonej pośrodku namiotu. Zrobiono ją z drewna atlasowego i pomalowano grubą warstwą lakieru. Skrzynia została wypolerowana do tego stopnia, że wydało jej się, iż ślizga się po wieku. – No to jak, odpowiesz mi wreszcie, Ederiusie? Jesteś strasznie błądy.

– Czuję się dobrze, moja pani. Bardzo dobrze.

Miała co do tego wątpliwości.

– Izgard każe ci ciężko pracować, prawda?

Ederius pogodził się chyba z faktem, że niespodziewany gość nie odejdzie, dopóki nie udzieli mu kilku wyjaśnień, więc odsunął na bok książkę, którą czytał.

– Służę królowi, jak mogę, pani. – Zaczął pochylać głowę, lecz zatrzymał się i wzruszył ramionami. – Sam zdecydowałem się pracować tak długo, pani. Są rzeczy, które muszę zgłębiać.

– Jak te twoje wzory?

– Tak, jak moje wzory.

Zmarszczyła brwi. Ederius ostatnio bardzo zmizerniał. Mówił znużonym głosem. Zupełnie jak jej ojciec na rok przed śmiercią. Dotknęła jego policzka. Skryba wzdrygnął się i odsunął.

Zdając sobie sprawę z własnego zachowania, potrząsnął z lekka głową.

– Wybacz mi, pani. Mam trochę zszargane nerwy.

Angeline widziała psy, które reagowały podobnie. Psy bite przez szczwacza ojca za to, że były tchórzliwe bądź nieposłuszne. Zanim zdążyła się namyślić, słowa same wymknęły jej się z ust.

– Czy i ciebie bije Izgard?

Ederius przyglądał jej się przez dobrą chwilę, aż w końcu przemówił. Na starczej twarzy odbiły się smutek i troska.

– Moja pani – zaczął cicho, kołysząc ręką w powietrzu, jakby chciał jej dotknąć, ale nie śmiał – musisz mi obiecać, że nigdy nie zdenerwujesz króla. Powstrzymuj się od słów, które mogą go wzburzyć lub wyprowadzić z równowagi, a jeśli kiedykolwiek rozzłości się przy tobie, uciekaj co sił w nogach do Gerty.

– Ale...

– Obiecuj mi!

Po raz pierwszy Ederius odezwał się do niej z taką stanowczością. Przypominał teraz ojca, kiedy zabraniał jej wyjeżdżać konno poza granice Halmac. “Na drogach roi się od włóczęgów – powiedział. – Nie pozwolę, żeby moja najlepsza dziewczyna jeździła po niebezpiecznych drogach”.

Z jakiejś przyczyny unikała jego wzroku. Bolały ją oczy. Z pochyloną głową wykrztusiła:

– Obiecuję.

Już teraz wiedziała, że tej obietnicy nie sposób dotrzymać. Jak przewidzieć, kiedy Izgard wybuchnie złością? Sprowokować go może najbardziej niewinne słowo lub mina. Mimo wszystko wdzięczna mu była za to, że kazał jej złożyć tę obietnicę. Ojciec postąpiłby podobnie.

Ederius wstał.

– To dobrze. Teraz już musisz wracać, moja pani. Kilka minut temu wysłałem do króla posłańca z prośbą, żeby odwiedził mnie w namiocie. Może tu przyjść w każdej chwili.

– Ale...

– Nie, Angeline. Pamiętaj o obietnicy: nie wolno ci rozgniewać króla.

Zamknęła usta. Poczowała się oszukana, lecz kiedy spojrzała Ederiusowi w oczy, zrozumiała, że to nieprawda.

– Bardzo dobrze, pójdę – zgodziła się i ześliznęła ze skrzyni. Przez chwilę rozważała, czy nie kazać skrybie złożyć podobnej obietnicy, jednak nie znalazła w sobie wystarczająco wiele odwagi.

Zamiast tego powiedziała:

– Przypuszczam, że dzisiaj Izgard nie będzie się na ciebie gniewał.

– Nie – odrzekł Ederius. – Odkryłem właśnie coś, co go wielce ucieszy.

– Co?

– Wzór, dzięki któremu można odnajdywać ludzi pogrążonych w mroku.

Zadrzała; nie spodobał jej się ton, jakim skryba wymówił ostatnie słowo. Zakryła twarz kapturem i wyszła się na zewnątrz.

Gdy przekradała się między namiotami, minęła Izgarda w odległości zaledwie trzech kroków, ale jakimś cudem nie zechciał jej zatrzymywać. Spoglądał gdzieś w dal, w niezmierną dal.

Izgard zerknął przez ramię na sylwetkę znikającą w ciemności obozu. Innym razem z pewnością by się odwrócił, ruszył w ślad za tajemniczą postacią i zażądał wyjaśnień odnośnie nocnych spacerów w tej części obozu. Błahostki coraz rzadziej zaprzątały mu głowę. Ostatnie cztery godziny spędził na naradzie z generałami i wszystko, co nie było bezpośrednio związane z wojną, z rzadka gościło w jego myślach.

Odsunął płócienne skrzydło i wszedł do namiotu Ederiusa. Skryba stał nieruchomo, opromieniony złocistą aureolą. W roztrzęsionej ręce trzymał gęsie pióro. Przez chwile król zastanawiał się nad opłakany wyglądem starca. Czy on był zawsze taki blady? Kiedy pojawiły mu się wokół oczu te ciemne kręgi? Nie chciał dłużej o tym myśleć, dlatego zapytał:

– Jakie masz dla mnie nowiny, skrybo?

Ederius przeszedł najpierw na drugą stronę biurka, a dopiero później przemówił.

– Panie, gdy przeglądałem stare księgi Gamberona, natknąłem się na serię wzorów, dzięki którym można odnaleźć pewnych ludzi, nawet jeśli znajdują się bardzo daleko.

– Jakich ludzi?

– Tych, którzy zapadli w mrok poza atramentem.

– Masz na myśli skrybów?

Ederius potrząsnął głową. Z narożnika stołu przyciągnął pod nos jeden ze sporych pojemników na barwniki. Izgard odniósł wrażenie, że skryba przygotowuje linię obrony.

– Nie wszystkich skrybów, panie – odparł. – Tylko tych, którzy parają się starożytnymi wzorami i za pośrednictwem pergaminu przyzywając moce.

– Mówisz o dziewczynie?

Ederius skinął głową.

– Sądzę, że mogę ją odnaleźć. Kiedy już ktoś raz przejdzie na drugą stronę, zanurzy się w strefę leżącą pod atramentem, opiłki mocy przylgną do niego niby kwiatowy pyłek do skrzydeł owada. Chyba potrafię sporządzić iluminację, która oświetli mi drogę.

Izgard, podekscytowany, zrobił krok do przodu. Ederius cofnął się.

– Dobrze się spisałeś, przyjacielu – powiedział. – Ze wszystkich, którymi się otaczam, tylko ciebie darzę miłością i zaufaniem.

Nikły, żaloszny uśmiezek wykrzywił wargi Ederiusa.

– Wiem, panie.

Wychwytną obawę w głosie skryby i widząc, że całe jego naprężone ciało odchyła się do tyłu, Izgard się zawahał. Od jak dawna budził w skrybie lęk?

– Jutro poznam miejsce pobytu tej dziewczyny – orzekł Ederius, przerywając tok myśli Izgarda.

– I wyślesz za nią harrarów?

– Jeżeli nadal znajduje się w Bay'Zell lub gdzieś w tamtej okolicy.

– A jeśli znajduje się gdzieś indziej, poza zasięgiem harrarów?

Ederius pociągnął za rąbek sukna i odsłonił Kolczasty Wieniec.

– Wówczas posłużę się kimś, kto będzie pod ręką.

Izgard wbił wzrok w Wieniec, od razu zapominając o wszelkich troskach dotyczących Ederiusa.

– Potrafisz zmieniać innych w ten sam sposób, jak się zmienia harrarów?

– Myślę, że tak. – Ederius zniżył głos. – Wieniec jest siedliskiem demonów o wiele straszniejszych niż te, którymi pętamy harrarów.

– Jakich to?

– Gatheloków.

Izgard zatrzęsł się na dźwięk tego słowa, a słuchając wyjaśnień skryby, dotyczących wyglądu tych stworzeń, trząsł się jeszcze bardziej. Kiedy spotkanie dobiegło końca, król rzekł: „Zabij ją szybko, ale dyskretnie”; chłód, jaki przy tym odczuwał, spłynął mu do płuc, przez co wydechane przezeń powietrze zamieniało się w mgiełkę.

Tessa wciąż szła. Szła tak długo, aż zaczęły jej się robić odciski, mięśnie nóg zeszywniały, a pierwsze promienie przedświt rozbijały otaczające ciemności. Nie miała pojęcia, dokąd zmierza, zapomniała nawet dlaczego. Czasem ludzie coś do niej wołali (głównie mężczyźni), przeważnie jednak nocni przechodnie zostawiali ją w spokoju. Przypuszczała, że wygląda mniej więcej tak jak oni. Płaszcz zgubiła dawno temu, suknię potargała, a na lewym ramieniu widniała dokuczliwa rana, gdyż ktoś z uciekających w popłochu z karczmy pchnął ją na jeden z gwoździ nabijanej ćwiekami futryny drzwi.

Kilgrim był ciemnym, rozmokłym labiryntem. Ścieki bulgotały w studzienkach wciśniętych głęboko między kocie łby. Wilgoć połyskiwała na murach i lśniła na syjących się tynkach. Nadmiar wody spływał wzdłuż rynsztoków i z głośnym pluskiem wylewał się z ołowianych rynien. Z łukowatych przejść strugi wody lały się jej na plecy, a w każdym zagłębieniu na drodze zebrała się błyszcząca kałuża.

W nocy przez godzinę padała mżawka. Z początku cieszyła się z tego, gdyż kropelki deszczu orzeźwiły ją, a z ulic poznikała większość włóczęgów. Niebawem jednak wilgoć zaczęła przesiąkać przez ubranie, przyprawiając ją o dreszcze. Gdy już rozglądała się za jakimś przyzwoitym schronieniem, deszcz ustał, przez co znów nie wiedziała, co ma dalej robić. Od tamtej chwili snuła się bez celu.

Jakimś trafem, kiedy rozeszły się deszczowe chmury, ponownie znalazła się przed karczmą, do której przyprowadziła ich Violante z Arazzo. W zamkniętym na noc budynku zalegała martwa cisza. Zbliżyła się do drzwi i już podnosiła rękę, żeby zapukać, gdy wtem poczuła zapach fiołków. Choć musiało upłynąć kilka godzin, wciąż pachniało tu perfumami Violante. Zmieniwszy nagle zdanie, odwróciła się i pobięła przed siebie.

Nauczona doświadczeniem, starała się nie chodzić w kółko; opracowała reguły nowej gry, która wciągała ją coraz bardziej. Nie wolno jej było zawracać ani przemierzać dwukrotnie tej samej ulicy. Czasami dotego stopnia przestrzegała ustalonych zasad, że zagłębiała się w boczne uliczki tylko po to, aby znaleźć się po drugiej stronie jakiegoś

ciekawego muru, albo też zmuszała się do mijania podejrzanych typków, żeby tylko nie skręcić w tę samą przecznicę.

Z upływem godzin gra stawała się coraz bardziej złożona, doszło liczenie kroków, omijanie sklepionych przejść i unikanie tego samego cienia.

Tessa wiedziała, że to szaleństwo, co jednak wcale nie zniechęcało jej do gry, podczas której mogła przynajmniej zepchnąć w zakamarki umysłu wszystkie decyzje, jakie należało powziąć. Nie musiała też myśleć o Ravisie.

“Ravis? Nie...” Skręciła w pierwszą lepszą uliczkę, ryzykując, że może to być ślepy zaułek. Nie będzie zwracać sobie nim głowy.

Przez moment czuła suchość w gardle, ale poradziła sobie z nią, przełykając raz czy dwa razy ślinę, kiedy zaś ogarnęły ją cienie alejki, gra przysłoniła jej resztę świata.

Zranione ramię kłuło przy każdym kroku, dzięki czemu mogła wykorzystywać odstępy między kolejnymi ukłuciami do obliczania szybkości, z jaką się poruszała. Z nieznanego powodu teraz, kiedy ciemności się rozwiały i świt różowił niebo, przyspieszyła kroku. Nie przemierzyła jeszcze wszystkich uliczek, nie zobaczyła, co znajduje się, za każdym oczekującym sklepionym przejściem i omszałym murem. Ze wzrokiem wbitym w bruk pod nogami zagłębiła się w cień alejki, uciekając przed promieniami wstającego świtu.

Tym razem trafiła na ślepy zaułek. Wysoki mur, dwukrotnie od niej wyższy, zagroził jej drogę. Na widok tego muru opuścił ją cały zapal. Gra się skończyła. Będzie musiała złamać wszystkie ustanowione przez siebie reguły tylko po to, żeby wrócić na główną ulicę.

Okręciła się na pięcie, oparła plecami o ścianę i wolno osunęła na ziemię. Czuła się cała obolała. Mięśnie łydek, goleni, stóp, pleców, szyi i ramion drgały spazmatycznie. Powróciła suchość w gardle i choć wielokrotnie przełykała ślinę, nie chciała ustąpić.

Na coraz jaśniejszym niebie ukazywały się gęste zwały szarych chmur, popędzanych niewidocznymi wiatrami. Wkrótce znowu zacznie padać. Uśmiechnęła się słabo. Matka Emitha miała rację, nazywając Maribane mokrą, dżdżystą wyspą, idealnie nadającą się do rozmyślań.

Z westchnieniem skłoniła głowę na kolana. Co miała teraz począć? Gra się skończyła, świt malował niebo, musiała wydostać się z Kilgrimu. Tu nie było bezpiecznie. Dreszcz przebiegł jej po łydkach i wzniosł się ku ramionom. Otworzyła usta, skąd wydobył się piskliwy charkot.

Co się stało z Ravisem?

Przycisnęła czoło do kolan. Wypadki potoczyły się tak błyskawicznie: uzbrojeni ludzie wpadli do karczmy, pytając o Ravisa z Burano, potem sam Ravis pojawił się w przejściu, a pierwsze słowa, jakie padły z jego ust, ostrzegały Violante z Arazzo. Z trudem przełknęła ślinę. Bał się o Violante, nie o nią.

Uniosła głowę i zaczerpnęła głęboko powietrza. Czegóż innego mogła się spodziewać? Z Ravisem spotkała się zaledwie kilka tygodni temu. Violante zachowywała się, jakby znała go

od lat. Już wcześniej planowali spotkać się w Mizerico. Jakaż ta Violante była piękna... Potrząsnęła głową. Z taką kobietą nie mogła rywalizować.

Niezadowolona z rezultatu tych przemyśleń, powróciła do rzeczywistości i poderwała się na równe nogi. Chciała przecież dostać się na Wyspę Namaszczonych. Cel jej wyprawy pozostał niezmienny.

Gdy siedziała skulona, jej ciało jakby przybrało na wadze. Rana na ramieniu kłuła ją teraz dotkliwiej i poczuła, że przemarzła do kości. Spoglądając w stronę wylotu zaułka, zdecydowała, że najwyższa pora zaprząć umysł do pracy. Potrzebowała płaszcza, musiała się gdzieś odświeżyć i coś zjeść, a także dowiedzieć się, jak dotrzeć do Bellhaven. Ravis poradzi sobie bez niej, tego była pewna. Sześciu ludzi to za mało, żeby go wysłać na tamten świat. Poza tym miał przy sobie Violante.

Zacisnęła rękę bezwiednie na trzosie z pieniędzmi. Teraz, kiedy skończyły się gierki, bezpieczniej było go nie pokazywać, więc odwiązała mieszek od paska i wysupłała trzy monety, jedną srebrną i dwie złote. Wsunęła je głęboko pod stanik. Ta drobna czynność, świadcząca o zdolności do podejmowania decyzji, uspokoiła ją nieco i przypomniała, kim właściwie była. Odetchnęła głębiej dla dodania sobie otuchy i ruszyła w kierunku ulicy, już przy pierwszym kroku łamiąc trzy zasady obowiązujące jeszcze chwilę temu.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Sandor, suzeren Raize, parsknął śmiechem, w czym po sekundzie zawtórowała mu świta. Kiedy umilkł, umilkli też wszyscy dworzanie.

– Chcesz przez to powiedzieć, Camronie z Thornu, że moje wojska, rycerze, strategie, że moja przemyślność nawet – wszystko to nie dorównuje królowi Garizonu?

Camron czuł pot na dłoniach. Cały dwór – rycerze, generałowie, magnaci i prefekci – spoglądał w jego stronę w oczekiwaniu na odpowiedź. Nareszcie, po tygodniu ubiegania się o audiencję, suzeren raczył mu jej udzielić. Camron przygotował każdy gest, każde słowo. Broc z Lomis czekał na tyłach sali, by w razie konieczności zaświadczyć o prawdziwości jego sprawozdania. Na zewnątrz czekali pozostali żołnierze.

– Tak, panie. – Camron zaklął w duchu. – To znaczy nie, panie. – Aby pospieszenie zatuszować popełniony błąd, dodał: – Chcę tylko powiedzieć, że widziałem wojowników Izgarda i walczyłem z nimi. Oni nie przypominają zwykłych ludzi. Harrarzy są... – Zacisnął pięści, szukając właściwego słowa.

– Harrarzy są czym? – zapytał Sandor lekkim tonem, wodząc spojrzeniem po dworzanach, jakby wszyscy byli świadkami jakiegoś przedniego żartu.

– Są potworami – wybuchnął. Zapadła cisza.

Sandor przyglądał się Camronowi. Po chwili dotknął swej krótko przyciętej bródki.

– Nie obwieściłeś mi żadnej nowiny, Thornie. Otrzymałem wieści o losie miasta, które nosiło twoje imię. Zaznajomiłem się z całą listą przewinień Izgarda. Wiem, że jego żołnierze rozpalili ognisko, do którego wrzucali kobiety i dzieci. – Sandor zamilkł. Nie rozglądał się już wokół siebie, tylko przeszywał wzrokiem szlachcica. – Dlatego właśnie posłałem wojska, żeby go zatrzymać. Dlatego też jutro sam wyruszam.

Nikt nie śmiał przerwać ciszy. Dworzanie kręcili się niespokojnie, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę. Camron rozejrzał się po królewskiej sali w Mir’Lor. Błyszczące kandelabry, wielkością i mnogością rozgałęzień przypominające rozłożyste grusze, rozjaśniały ściany i sufity, granatowe niczym niebo o północy. Gwiazdy, komety, księżycy i skrzydlate istoty podróżowały po fantastycznym niebie. Posadzkę wyłożono mozaiką przeróżnych kamieni. Kwart, granit, marmur, łupki, mika, siny piaskowiec, onyks, a także wiele innych: próbki wszystkich kamieni, jakie spotyka się w Raize, błyszczały pod stopami Camrona.

Poczuł się nagle zmęczony. Nie pasował do tego miejsca. Nie miał tu nic do roboty.

– Panie. – Wiedział, że nie powinien przerywać ciszy, jaka zapanowała po słowach króla, nie mógł się jednak opanować. – Błagam, nie wódź ludzi na zgubę. Unikaj walki wręcz,

używaj strzał i innych pocisków, a skoro musisz – długich lanc. Nie uderzaj na oślep. Wiedz, że harrar spocznie dopiero wtedy, kiedy odrąbiesz mu nogi.

W sali podniosły się szmery. Stojąca opodal kobieta głośno wciągnęła powietrze. Ktoś zakaszłał. Sandor pogładził dłonią podbródek.

– Ty jednak przeżyłeś, Thornie. – Uśmiechał się lekko pod nosem. – Podobnie jak twój towarzysz.

– Panie...

Ręka Sandora wystrzeliła znad podbródka, przerywając Camronowi.

– Wynajmujesz najemników i walczysz u ich boku, prawda?

Camron szarpał w zdenerwowaniu włosy.

– A jeśli tak, cóż z tego? To nie miało wpływu na moją obecność na dworze. Przybyłem cię ostrzec i pomóc w przygotowaniach. – Przegrywał. Wszyscy unikali jego wzroku. Zdesperowany, wskazał na Broca. – Zapytaj, panie, Broca z Lomis, zapytaj kóregokolwiek z moich ludzi – oni ci powiedzą, kim są harrarzy. Rycerze raizyjscy wyginą, jeżeli...

– Dosyć! – Głos Sandora rozległ się niczym uderzenie bata.

Camron zacisnął usta. Źle mu się wiodło. Jeszcze nie tak dawno umiałby wpleść w zdania wykwintne ozdobniki i przekonać światłych dworzan na czele z królem o niebezpieczeństwach grożących ze strony Izgarda. Teraz jednak potrafił mówić wyłącznie prosto z mostu. Gra toczyła się o zbyt wysoką stawkę, by bawić się w żonglerkę słowami. Postąpiwszy krok do przodu, powiedział:

– Panie, pragnę wraz z tobą wyruszyć na północ. Moi żołnierze mogą pomóc ci w walce z harrarami. Mogą cię ostrzegać, czego można się po nich spodziewać.

– Camronie z Thornu – rzekł Sandor, zwracając się bardziej do dworzan niżli do człowieka, którego imię wymówił. – Nie jestem głupcem i nie odtrączę nikogo, kto zechce pomóc mi w tej godzinie. Widziałem twoich żołnierzy. Wiem, że można na nich polegać. Również ty, pomimo pewnej popędliwości, wydajesz się młody, silny i zdolny. Powiadam ci, że względu na samo twe imię pragnąłbym widzieć cię u mego boku. Zwycięstwo twojego ojca pod Wierną Górą nie poszło w zapomnienie. – Sandor zawiesił głos, żeby tym większy nacisk położyć na następne zdanie. – Ale musisz pamiętać, że raizyjskich rycerzy od pięćdziesięciu lat nikt nie pokonał w bitwie. Od pięćdziesięciu lat! To nie byle co, chyba się ze mną zgodzisz. – Obdarzył dwór ironicznym uśmiechem. – Przyjmuję więc do wiadomości obawy twoje i twoich żołnierzy, ale wybacź, że nie przeleknię się żadnych ostrzeżeń. Jestem wodzem i bez strachu stanę na czele swych wojsk.

Po sekundzie milczenia dwór eksplodował: mężczyźni zaczęli tupać nogami i stukać o posadzkę drzewcami włóczni; jedwabie szeleściły, dłonie uderzały o srebrne kielichy.

– Wiwat! – rozległo się tu i ówdzie.

Camron upadł na duchu. Szarpał za włosy i przeklinał swą nieudolność. Przemowa Sandora była doskonała – tezy Camrona zostały obalone, linie obrony złamane. Czyż mógł wciąż oponować? To właśnie zręczne manewry pozwoliły Sandorowi zasiąść na tronie.

Nie zważając na wrzawę, Sandor wbijał wzrok w Camrona, uśmiechając się przy tym radośnie. Szlachcic nie wiedział, czy powodem tego była sympatia, czy też zadowolenie z udanej retoryki. Nie wiedział również, czy jest to teraz ważne.

Przegrał.

– Niech twoi ludzie zameldują się dziś wieczorem u Balanona. Rozbił obóz na wschodnim stoku wzgórza – rzekł Sandor, co oznaczało koniec audiencji.

Camron pochylił głowę.

– Zgodnie z twoim życzeniem, panie.

Wrzawa ucichła raptownie, a wszystkie oczy zwróciły się na lorda, który szedł w stronę podwójnych drzwi. Kuśtykał, co uprzednio starał się ukryć. Był ranny – niech wiedzą. Broc wystąpił mu na spotkanie, wykrzywiając usta w przyjaznym uśmiechu. Camron z wdzięcznością przyjął ten szczery objaw sympatii. Mimo że sporą powierzchnię ramion, nóg i brzucha nadal oplatały mu zwoje bandaży, Broc ubrał się z wielką dbałością o drobiazgi. Mosiądz na pasie i puklerzu błyszczał jak złoto, a pod kaftanem mieniła się jaskrawo-czerwona, jedwabna koszula. Broc zwierzył się wcześniej, dość ostrożnie, iż to właśnie młodsza siostra prosiła go, żeby taki strój przywdział.

Sandor milczał, gdy dwaj rycerze opuszczali salę. Wiedział, że widok dwóch kulejących mężczyzn niesie w sobie więcej treści niż jakiegokolwiek słowa, które mógł na poczekaniu wymyślić.

Camron wyciągnął ramię w kierunku Broca, starając się go podtrzymać, a zarazem zachować wrażenie, że rycerz idzie o własnych siłach.

– Trudno uwierzyć, że suzeren nie chciał słuchać – mruknął Broc, kiedy znaleźli się w cieniu rzucanym przez masywne drzwi.

Camron nie odpowiedział: sam przed dwoma miesiącami zachowywał się podobnie względem Ravisa. Duma raizyjskiego szlachcica była twardsza od żelaza – wina nie leżała po stronie Sandora. Lord wstrzymał oddech na dłuższą chwilę. Winę należało przypisać tylko jemu: powinien był inaczej podejść do sprawy, opowiadać z większą swadą, zaakceptować panujące na dworze reguły gry.

– Czy to pan mój, Thorn?

Obrócił się w stronę pytającej osoby. Młoda dziewczyna, ciemnowłosa i ubrana na biało, dygnęła grzecznie. Skinął głową.

– Tak, to ja.

Dziewczyna rozejrzała się dokoła, ponownie dygnęła, po czym wyszeptowała ostrożnie:

– Pani Lianne prosi, aby o zmierzchu złożył pan wizytę w jej apartamencie.

Matka Sandora. Hrabina Mir'Lor. Czego od niego mogła chcieć? Rozejrzył się po sieni, podobnie jak przed chwilą dziewczyna. Kiedy udzielał odpowiedzi, drzwi prowadzące do sali tronowej zamknęły się z hukiem.

– Zanieś wiadomość Jej Wysokości, że czuję się zaszczycony tym zaproszeniem.

Dziewczyna ukloniła się po raz ostatni i popędziła korytarzem, szurając jedwabnymi pantofelkami. Broc odchrząknął cicho.

– Niektórzy powiadają, że rzeczywistą władzę w Raize sprawuje nie kto inny, tylko hrabina. Powinieneś spróbować przekonać ją do naszej sprawy.

– Spróbuję, ale żaden ze mnie bawidamek.

– Cóż, może jednak postarasz się być nieco mniej bezpośredni wobec matki, niż byłeś wobec jej syna. I nie wspominaj w obecności hrabiny o odrąbywaniu czyichś nóg.

Camron zmusił się do posępnego uśmiechu.

– Strasznie wszystko pogmatwałem, co?

– Nie, wcale nie. Mówiłeś szczerze i bez ogródek. Myślę, że niejeden na dworze poważnie zastanowi się nad twoimi ostrzeżeniami.

Zauważywszy, z jakim wysiłkiem Broc wypowiada słowa, Camron ruszył w stronę wyjścia z sieni. Niepotrzebnie zabierał go z sobą. Rycerz powinien wypoczywać w łóżku, nie zaś przemierzać mile korytarzy tylko po to, by ewentualnie poprzeć jego stanowisko. Przysuwając się bliżej, Camron podparł Broca ramieniem.

– W jaki sposób mam przekonać Sandora? – zapytał. – Jak mu wytłumaczyć, że harrarzy są... – Ugryzł się w język. Broc wiedział, czym oni są, równie dobrze jak on sam.

– W czasie marszu na północ musisz rozmawiać z ludźmi. Jeśli uda ci się namówić ich do większej ostrożności, to już będzie coś.

Do ostrożności. Zadrzał na dźwięk tego słowa. Gdyby nie zaślepiły go osobiste problemy, kiedy wjeżdżali do Doliny Popękanych Kamieni, nigdy by się nie zetknął z harrarami. Wielu ludzi żyłoby do dzisiaj. Ostrożność mogła ich uratować. Czując w żołądku nieprzyjemne ssanie, musiał się odezwać:

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Broc skinął głową.

– Wiem.

Przez kilka następnych chwil milczeli.

– Za gratuś przecie nie oddam, śliczniutka. Jejku, miałbym wycisk w chałupie!

Tessa pokiwała głową poważnie, choć nie bardzo wiedziała, co mówi kramarz. Mimo to przejrzała jego taktykę.

– Cóż, porozglądam się jeszcze trochę. Przepraszam za kłopot. – Obróciła się na pięcie z głośnym szelestem spódnicy i odeszła od kramu z używaną odzieżą.

– Ejże, może uda mi się zejść nieco z ceny! – zawołał za nią sprzedawca.

Nie zwalniając kroku, odkrzyknęła:

– Mogę wydać tylko sztukę srebra. Przykro mi, że zmarnowałam panu czas.

– Wróć no, śliczniutka. Zobaczę, co da się zrobić.

Stanęła.

– Jeden srebrnik.

– Ano, niech będzie jeden srebrnik – kramarz przystał, wzdychając.

Tessa miała ochotę podskoczyć z radości, ale opanowała się i wróciła pod kram. Płaszcz, którego cenę negocjowała, uszyty był z granatowego aksamitu. Gdy zbliżyła się do handlarza, ten przesunął dłoń po tkaninie, podnosząc meszek.

– Ależ ci okazja, śliczniutka! Okazja! – Ciągłe wzdychał i potrząsał głową. – Da mi żonuś wycisk, oj da!

Tessa wręczyła mu srebrną monetę. Nie mogła się obyć bez płaszcza.

– Gdzie tu można zjeść śniadanie? I odświeżyć się przed podróżą na północ?

– Trzeba ci do oberży pani Wicks, śliczniutka. Wszystki lud, co na północ rusza, tamże wstępuje.

Skinęła głową. Nie przerywając straganiarzowi, ściągała ze stołu płaszcz, owijając tkaninę wokół nadgarstka. Bazar, na który natrafiła, sprawiał spokojne wrażenie, a sam straganiarz wyglądał na uczciwego człowieka, wołała jednak zachować środki ostrożności.

– Jak dojść do tej oberży?

– Pójdź wedle Aspeyów, potem w prawo, jak na Kingów. Drogi nie zmylisz. Wielkie, czerwone okiennice, kłęby dymu. – Przy tych słowach przewracał oczami i wskazywał kierunek. – Do Palmsey jedziesz, he?

– Nie, do Bellhaven. Na Wyspę Namaszczonych.

Kramarz wciągnął policzki. Puścił wreszcie ostatni rąbek tkaniny, pozwalając jej zabrać płaszcz.

– Zatem spieszaj, a żywo. Trzebać będzie wczesno ruszać.

Zarzuciła płaszcz na ramiona, podziękowała handlarzowi i odeszła. Wmawiała sobie, że gdy wymieniła cel swojej podróży, w jego głosie nie pobrzmiwał wcale strach, a jedynie zdziwienie.

Zanim obeszła nie w pełni jeszcze zaludniony bazar, zaczął siąpić drobny deszczyk. Kupcy krzatali się przy ustawianiu straganów; wykładali towary na stoły, rozładowywali muły i przeklinali pogodę. Bazar różnił się od targowiska w Bay'Zell. Wszystko było tu bardziej niechlujne i cichsze (za wyjątkiem przekleństw), nie zachęcające Tessy do dłuższych odwiedzin, zwłaszcza że nie chroniły jej już bezmyślne reguły gier. Wołała opuścić to miejsce.

Nie mogła jednak wrócić. Miała zadanie do wykonania: pokonać harrarów i odesłać ich tam, skąd przybyli. Deveric wierzył, że to potrafi; pewna maleńka częśćka Tessy była podobnego zdania. Tamtego ranka w kuchni u matki Emitha czuła wiele rzeczy, gdy zaciskała palce na pędzlu i malowała wzór, lecz gdy patrzyła wstecz teraz, w mętym i posępnym

świetle maribańskiego poranka, uświadomiła sobie, iż nade wszystko czuła wtedy moc. Przez kilka sekund nie kto inny, tylko ona, Tessa McCamfrey, powstrzymywała zastępy harrarów.

Owinęła się szczelnie nowym płaszczem. Jej nastrój nie uległ poprawie, ale teraz przynajmniej miała jakiś cel. Musiała dostać się na Wyspę Namaszczonych.

Trudno było nie trafić do oberży pani Wicks. Wielkie niczym drzwi okiennice zostały otwarte na ulicę. Z okien jak z gejzeru buchały kłęby pary. Tessa ze zdziwieniem spojrzała do góry i zmrużyła oczy. No tak – brakowało komina.

– Śniadanie, pokój czy odbiór przesyłki?

Tessa odwróciła się szybko: jakiś chłopiec ciągnął ją za płaszcz.

Policzki i czoło okrył mu ciemny rumieniec, a nos połyskiwał od cienkiej warstwy potu.

– Śniadanie, pokój czy odbiór przesyłki?

– Śniadanie.

Wyglądało na to, że wypowiedziała czarodziejskie słowo, gdyż chłopiec natychmiast złapał ją za łokieć i poprowadził przez jedną z otwartych okiennic do mrocznego, zaparowanego wnętrza.

– “U Pani Wicks” nie mamy drzwi – wyjaśnił chłopiec nie pytany. – Pani Wicks ich nie znosi.

Tessa zamrugnęła, próbując przyzwyczaić oczy do ciemności.

– Świec też nie mamy – zauważył chłopiec rzeczowo. – Pani Wicks jest zdania, że jeść należy wyłącznie przy bożym świetle.

Zastanawiała się, co porabiają klienci pani Wicks w nocy. Zapachy świeżo pieczonego chleba, smażonej cebulki i wędzonego boczku wnet rozproszyły jej wątpliwości. “Jakżeby inaczej? – pomyślała. – Gdyby mi ślinka ciekła z ust, siadłabym i jadła nawet w ciemności”.

Chłopiec zaprowadził ją do długiej ławy i kazał usiąść. W pomieszczeniu było dość głośno; ludzie pili, jedli i wesoło gawędzili. Tessa usadowiła się na końcu ławy, chcąc ukryć się w cieniu pod ścianą. Wolała nie skupiać na sobie zbędnej uwagi.

– Pszę bardzo, pani. – Chłopiec powrócił z dzbankiem jakiegoś gorącego napoju i bochenkiem chleba nafaszerowanym rozplływającym się masłem i miodem. – Resztę przyniosę, gdy tylko to zniknie.

Chciała mu podziękować, ale już znikł. Nie dostała kubka (zapewne pani Wicks kubkom też nie ufała), więc musiała pić prosto z dzbanka. Była to chyba jakaś odmiana herbaty, przyprawiona ziołami i bardzo słodka, istne delicje. Opróżniła dzbanuszek, choć wcześniej nie zdawała sobie sprawy z pragnienia. Ciepły chleb został doprawiony ziarnkami i orzechami. W czasie jedzenia oparła się o ścianę, stopy umieściła na podstawie stołu, dając tym samym odpocząć mięśniom. Nie ziewała i nie przeciągała się – tę fazę miała już dawno za sobą – była zwyczajnie wyczerpana.

– Pszę bardzo, pani. Kielbaski i boczek, a tu plasterek szynki dołożony gratis. Wyrazy szacunku od pani Wicks.

– Gratuś? – Była najwyższa pora, żeby nauczyć się, co ludzie w tym dziwnym, deszczowym kraju mówią.

– Za darmo, pani. Nowym klientom pani Wicks zawsze dodaje darmowy plasterk szynki. – Chłopiec przyłożył rękaw do czoła. – Będzie to trzeba dla pani zapakować. Powóz do Palmsey odjeżdża za kwadrans.

– Nie jadę do Palmsey.

Chłopiec starał się przetrwać usłyszaną informację. Szczęka poruszała mu się bezgłośnie. Dopiero po dłuższej chwili przemówił.

– Zatem dokąd pani jedzie?

– Do Bellhaven.

Usiłując przebić wzrokiem kłęby pary, zasłaniające palenisko i kuchnię, chłopiec powtórzył słowa Tessy, jak gdyby stanowiły rozwiązanie zagadki, nad którą od dawna się głowił. Obrócił się na pięcie i zatonął w mglistych oparach.

– Wrócę migiem.

Tessa pozwoliła mu odejść. Nie wiedziała, co zamierza zrobić, nie wyczuwała jednak żadnego zagrożenia. Gdy sięgnęła po talerz z kielbaskami i boczkiem, ramię dało znać o sobie. Zacisnęła zęby i policzyła do trzech, żeby się uspokoić. Ból mijał powoli. Mięsień, rozluźniony całonocnym marszem, teraz zaczął sztywnieć.

Zapach tłustej szynki i boczku grzązał jej w gardle i przyprawiał o mdłości. Mimowolnie cofnęła się wspomnieniami do wydarzeń, które zaszły poprzedniej nocy w karczmie. Słyszała, jak Ravis ostrzega Violante, żeby się cofnęła, potem patrzyła, jak rzuca się na dwóch nieznajomych, którzy przytrzymywali oberżystę, i jak krzyczy, by wszyscy uciekali. Odsunęła talerz. Chciała wierzyć, że nic mu się nie stało.

– Czy to ty jesteś tą młodą osobką, która udaje się do Bellhaven?

Zerknęła do góry ze zdziwieniem. Nad stołem pochylała się kobieta z wydętymi, czerwonymi policzkami i wysoko upiętymi siwymi włosami. Dreszcze przebiegły po całym ciele Tessy. Nerwowo usiłowała odzyskać równowagę ducha.

– Owszem.

– Zamierzasz wyjechać jeszcze dzisiaj rano?

Tessa skrzywiła się pod wpływem bólu, jaki przeszył jej ramię.

– Co tobie? – Podbródek kobiety zapadł się pomiędzy fałdy na szyi, a oczy zamrugały kilkakrotnie. Po chwili podbródek ukazał się na nowo, jeszcze bardziej owalny niż poprzednio. – Ja też od wielu tygodni planuję tam pojechać, ale – będąc kobietą – nie zamierzam podróżować sama. – Potrząsnęła głową dla podkreślenia wagi swych słów. – Dalibóg, sama się stąd nie ruszę!

Zachowanie nieznajomej kazało Tessie zapytać:

– Pani Wicks?

Dama skinęła głową.

– We własnej osobie.

– Pani również wyjeżdża dziś rano do Bellhaven?

– Zgadza się, pod warunkiem, że gwoli przyzwoitości będzie mi towarzyszyć inna kobieta.

– Czyżby do Bellhaven wybierali się jedynie mężczyźni?

– Kobiety też, ale żadne przyzwoite.

Tessa namyślała się przez moment.

– Jak długo trwa podróż?

– Półtora dnia. Trzy osoby zamierzają co prawda wyruszyć za pół godziny – kobieta parsknęła – ale na wiadomość ode mnie zgodzą się na krótką zwłokę.

Tessa nie miała co do tego wątpliwości.

– Czy mogłabym gdzieś tu odświeżyć się przed podróżą?

– Znajdujesz się w oberży pani Wicks. Jeśli wędrowiec ma pobożną potrzebę, jesteśmy na jego usługi. Chodź za mną, to wskażę ci twój pokój.

Tessa postąpiła, jak jej kazano. Ruszyła w ślad za panią Wicks (a spory to był ślad), poprzez tumany pary i wzrastające ciemności, nazbyt zmęczona, żeby dziwić się własnej ochocie, z jaką pozwalała komuś innemu zadbać o swoje sprawy.

Camron poprawił tunikę, wygładził dłonią włosy i zapukał w drzwi obite białymi i złotymi listewkami. Mimo że krucho wyglądały, wykonano je z twardego dębu i pukanie zabrzmiało słabo i niewyraźnie.

– Wejść – rozległ się cichy głos.

Pchnął drzwi i postąpił krok do środka. Kątem oka dostrzegł, że drewno miało szerokość pięści. Jakim cudem czyjeś słowa mogły wydostać się przez nie na zewnątrz?

– Witaj, Camronie z Thornu.

Gość zerknął na kobietę odzianą w mieniące się srebrzyście szaty, o nieskazitelnie białych włosach i oczach tak niebieskich, że nawet z takiej odległości, w słabym świetle późnego popołudnia i na tle rozedrganych cieni, rzucanych przez niedawno zapalone świece – przyciągały uwagę z równą mocą, co klejnoty naszyte na czarnej jak węgiel tkaninie. Jakby świadoma przymiotów swoich oczu, kobieta ani razu nie zmrużyła powiek, gdy zbliżała się do przybyłego.

– Wasza Wysokość. – Camron uklonił się, aby ukryć swoje zaskoczenie. Nie spodziewał się, że stanie twarzą w twarz z hrabiną tak szybko po wejściu do jej apartamentu. Gdzież podziały się dworki i służba?

Jakby w odpowiedzi na jego nieme pytanie, kobieta wyciągnęła rękę, mówiąc:

– Chodź, wiek nie pozwala mi trwonić czasu na ceremonie, a ponadto dawno minęły te czasy, kiedy potrzebowałam świty, by budzić respekt. – Idealnie wygięta brew zagięła się jeszcze bardziej. – Nalej sobie wina, a potem możesz usiąść lub stać, do wyboru.



Ledwie jego palce oplótły chłodną dłoń Lianne, hrabiny Mir'Lor, kobieta cofnęła rękę. Odwróciła się i poprowadziła go w głąb komnaty. W przeciwieństwie do tych bardziej formalnych wnętrz pałacu, w nisko sklepionym prywatnym apartamencie hrabiny panowała intymna atmosfera. Świeczniki rzucały refleksy na brunatną boazerię, grube, szafranowe kobierce tłumiły kroki Camrona, a w czeluściach paleniska z czerwonego kamienia płonął mały, lecz jasny ogień, strzelając złocistymi płomykami.

Kiedy zbliżyli się do krzeseł z wysokimi oparciami, tapicerowanych ławek i stolików, hrabina wskazała na srebrną tackę z kielichami i dzbankiem wina. Mimo że w ustach mu zaschło, Camron nie miał ochoty na trunki. Coś mu podpowiadało, że w rozmowie z tą kobietą będzie potrzebował trzeźwego umysłu. Nie mógł jednak odmówić jej prośbie, toteż napełnił winem dwa kielichy. Gdy tylko przechylił dzbanek, opary czternastoletniego beriaku uderzyły go w nozdrza. Wspomnienia, kruche niczym jesienne liście, stanęły mu przed oczyma: Thorn, jego ojciec, długie wieczory spędzone przy wielkim palenisku, rozmowy o broni, dostawach i sprawach majątkowych.

Z trudem przełknął ślinę. Nie umiejąc całkowicie uspokoić drżącej ręki, starał się przynajmniej nie rozlać wina. Podniósłszy wzrok, zauważył, że hrabina przygląda mu się badawczo.

– Żadne wino nie równa się z tym, które pochodzi z Thornu – powiedziała.

Z bliska wyglądała jeszcze starzej. Była też mała, czego nie zauważył, gdy prowadziła go do stolika.

– Czegoś chcesz ode mnie? – zapytał.

Pytanie to bardziej niż hrabinę zaskoczyło samego Camrona. Nie mógł wprost uwierzyć, że je zadał. Czyżby opary wina ośmieliły go, by mówił bez ogródek? A może obecność tej znamienitej osobistości tak nań podziałała? Nie wiedział. Pytania jednak nie wycofał.

Biorąc kielich z jego dłoni, Lianne powiedziała:

– Jutro o świcie ruszasz na północ wraz z wojskiem mego syna. – Choć nie było to wypowiedziane pytającym tonem, urwała na moment, dając Camronowi czas na zorientowanie się, że zdano jej raport z wydarzeń, jakie rankiem miały miejsce w sali tronowej. Przeszywając go ostrym spojrzeniem – wrażenie potęgował kolor jej oczu – podjęła: – Powiedz mi, Camronie z Thornu, kiedy już staniesz naprzeciw zastępów Izgarda, o co będziesz walczył?

Splonął rumieńcem. Wbił wzrok w ziemię, byle tylko uniknąć kontaktu z tymi nieskazitelnie niebieskimi oczami.

– Dla dokonania zemsty? – zapytała. – Z miłości do Raize? A może widzisz szansę na ostateczne wyjście z długiego cienia, jaki rzucił twój ojciec? A może szukasz Wiernej Góry nowego pokolenia?

Potrząsnął głową ze złością.

– Będę bronił pamięci ojca, a także pamięci Thornu i tych, którzy tam polegli.

– Ach, tak – rzekła Lianne, wodząc palcem po obrzeżu kielicha. – Zatem masz trzy powody.

– Bynajmniej. – Camron z łoskotem odstawił dzbanek na tackę. Srebrne kielichy zadzwoniły cicho. Kim ta kobieta była? Co dało jej prawo do wysuwania takich przypuszczeń? Czując się jak pijany – jakby pił, a nie wdychał wino stojące przed nim – odsunął się od hrabiny oraz rzędu stolików i krzesełek. – Nie przyszedłem tu, by mówić o sobie. Jak wiesz, raizyjska armia wyrusza jutro skoro świt. Przybyłem do Mir’Lor, aby ostrzec twojego syna, iż Izgard ma do swej dyspozycji... – urwał w pół zdania, wspominając na swe dokonania przed suzerenem i całym dworem – ...nienaturalnych sprzymierzeńców.

Z gardła Lianne wydostał się ochryply dźwięk, który mógł wyrażać śmiech. Zwracając się w stronę światła bijącego z paleniska, pociągnęła spory łyk wina. Dopiero teraz Camron dostrzegł jej piękno: długi łuk szyi, lekko wysunięte kości policzkowe. Co też ludzie zwykli o niej mówić? “W jej oczach spotyka się całe Raize”. Należało jednak wziąć pod uwagę coś jeszcze. Coś, co wiązało się z taktem, iż o jej rękę zabiegali dwaj najpotężniejsi ludzie w kraju. Jednego Camron znał: starego suzerena, ale kto był tym drugim, nie miał pojęcia.

Lianne, hrabina Mir’Lor, dotknęła warg smukłym palcem. Przez chwilę wyglądała jak lustrzane odbicie swego syna.

– A gdybym ci dała, Camronie z Thornu, jeszcze jeden powód do walki? Co byś na to odrzekł?

Lord, zdezorientowany, pogładził włosy. Zginęło wiele mężczyzn i kobiet. Zginął też jego ojciec. Dlaczego nie potrafił wytłumaczyć tego ludziom zamieszkującym ten pałac? Dlaczego pozostawali głusi na jego słowa?

– Nie brak mi powodów, by podjąć walkę, pani. Każdy, kto na własne oczy zobaczył harrarów, nie może w to wątpić.

Niewzruszona siłą jego słów, Lianne uśmiechnęła się słabo.

– Musisz wiedzieć, że w gniewie najbardziej przypominasz swego ojca.

Poczuł ucisk na piersi, jakby kazano mu podjąć grę pozbawioną zasad.

– Znałaś mojego ojca?

Lianne skinęła głową. Po raz pierwszy, odkąd przekroczył próg jej komnaty, spuściła wzrok.

– Można tak powiedzieć. Bardzo dawno temu. Za czasów wojny i zwycięstwa pod Wierną Górą.

Camron początkowo nie chciał w to uwierzyć. Czyż to możliwe, aby znając osobiście hrabinę Mir’Lor, ojciec nie pochwalił się tym ani razu?

– Byliśmy rówieśnikami – ciągnęła Lianne, odwracając się plecami do gościa i wędrując w stronę kominka. – Tylko my dwoje pamiętaliśmy, czym niegdyś był Garizon. – Wzruszyła ramionami, wpatrzona w płomienie. – Berick nie żyje, więc zostałam jedna. – Znienacka odwróciła się od ognia. Oczy jej błyszczały, a na policzki wypłynęły dwa nieduże rumieńce. –

Nie sądz zatem, że opowiadasz mi o rzeczach, o których nic mi nie wiadomo. Nowiny o Garizonie i jego królach są dla mnie jak dawna, lecz nieprzebrzmiała opowieść.

Pochylił głowę. Za każdym razem gdy się odzywała, tracił pod nogami niewielką część gruntu.

– Nigdy o tobie nie wspominał.

– Nie wspominał o wielu, wielu sprawach.

– Jak mam to rozumieć?

– A mówił ci kiedyś o Garizonie?

– Mylisz się, pani. O Garizonie wspominał nieraz. Opowiedział mi na przykład, jak dwadzieścia jeden lat temu zrzekł się korony, gdyż chciał dać mieszkańcom Garizonu pokój. Powiedział, że klęska pod Wierną Górą była dla nich wystarczająco dotkliwym ciosem, a wojna domowa oznaczałaby tylko dalsze podziały.

Lianne zakołysała ręką.

– Skoro ojciec twój zrzekł się wszelkich praw do tronu, jak powiadasz, dlaczegoż to aż po dzień śmierci lakował listy purpurową pieczęcią, oznaczającą poddaństwo Garizonu?

Camron stał nieruchomo. Pierś wydawała mu się tak naprężona, że bał się odetchnąć. Purpurowa pieczęć. Takiej samej użył, pisząc do ojca swój pożegnalny list. Ten sam kolor miał wciąż na palcach, gdy rozpaczliwie naciskał jego klatkę piersiową, by wznowić akcję serca.

Lianne obserwowała go uważnie.

– Tobie też kazał go używać, prawda?

Czuł, że ciężar z jego piersi obniża się ku żołądkowi. Potrząsnął głową.

– To jeszcze żaden dowód. Żaden. Przestrzegaliśmy wyłącznie rodzinnej tradycji, to wszystko. – Wiedział jednak, że mówi nieprawdę. Miał wrażenie, że stoi przy ogniu, który parzy go w twarz.

– Nie sądzę, żebyś w to wierzył.

Przy tych słowach Lianne, hrabiny Mir'Lor, stracił resztkę gruntu pod nogami. Czuł, że leci w dół. Znow znalazł się w gabinecie Bericka, pochylał się nad ciałem ojca. Pomieszczenie było jasno oświetlone, w powietrzu rozchodziły się zapachy mokrej sierści i gorącej krwi, a kiedy harrarzy przybierali na powrót swój ludzki wygląd, rzucali na plecy Camrona rozmyte, drgające cienie. Obserwował, jak wychodzą. Klęcząc, czuł, jak w takt stąpania ich butów wibruje kamienna posadzka. Usłyszał głuchy odgłos, kiedy jeden z harrarów rzucił na ziemię jakiś przedmiot.

Wzdrygnął się i powrócił do teraźniejszości. Zaciśnął pięści.

Wosk do pieczętowania. Ostatni z harrarów cisnął na posadzkę gabinetu kostkę ametystowego wosku do pieczętowania.

W trakcie szaleństwa, jakie go wkrótce ogarnęło w obliczu stygnącego ciała ojca i zarzniętych pod schodami ludzi, których krew parowała z powodu gorąca bijącego od

paleniska – rzecz ta uleciała mu całkowicie z głowy. Tamtej nocy myślał wyłącznie o śmierci. Zacisnął wargi. Powinien wcześniej zjawić się przy ojcu.

– Może byś tak usiadł? – Jakaś dłoń przesunęła się po jego ramieniu i dotknęła policzka. Camron napotkał badawczy wzrok hrabiny Mir’Lor. Jakże mógł się tak pomylić co do jej oczu? Nie były zimne jak kamienie. Były łagodne i żywe, a smutek, zgromadzony w tęczęwkach, odebrał mu mowę.

Zaprowadziła go do krzesła, podsunęła pod oparcie poduszeczkę i, odgarnawszy z jego czoła kosmyk włosów, wręczyła mu kielich z winem.

– Pij – powiedziała. – Wiem, że nie chcesz, ale zrób to na moją prośbę.

Przystawił kielich do warg, zamknął oczy i wypił.

Wino smakowało domem. Czuł, że spływa mu do gardła niczym modlitwa szeptana w ciemności. Uspokoiło się bijące mocno serce, a z piersi spadł ciężar; mógł teraz oddychać bez trudu.

Lianne uśmiechała się lekko.

– Widzisz? – powiedziała niby matka, która napomina niesforne dziecko. – Mówiłam, że to pomoże.

Camron odpowiedział uśmiechem. Przy niej czuł się, jakby ubyło mu lat.

Wzniosła swój kielich do światła i zaproponowała toast:

– Za Raize. – Camron powtórzył i wypił. Po chwili Lianne położyła rękę z kielichem na kolanach. Oczy jej promieniały, a wzrok najpierw skupił się na jakimś odległym punkcie, po czym spoczął na twarzy Camrona. – Wiesz przecież, że mówię prawdę, jeśli chodzi o twojego ojca.

Milczał. Nie ufał sobie na tyle, by starać się rozsądzić, co jest prawdą, a co fałszem.

– Nie dlatego Berick zginął na polecenie Izgarda, że zwyciężył pod Wierną Górą. – Lianne potrząsnęła głową. – Nie. Został zabity z powodu tej pieczęci. Uwierz mi, Izgard wiedział. Wiedział, że twój ojciec, w dalszym ciągu pieczętując listy ametystowym odcieniem wosku – wbrew swym słodkim, dobrodusznym słowom – w rzeczywistości nie zrzekł się niczego.

– Ale powiedział przecież, że nigdy nie chciał rządzić Garizonem. Przysięgał.

– Nie ze względu na siebie. – Przechyliła podbródek, oczami udzielała Camronowi odpowiedzi. Potrząsnął głową, nie przyjmując jej do wiadomości. Ze wzruszeniem ramion wypowiedziała ją na głos. – Tak, tak, Camronie z Thornu. To właśnie tobie zamierzał włożyć na głowę koronę Garizonu.

W komnacie zrobiło się nagle gorąco i ciemno. Czuł pot spływający mu ze skroni. Choć wiedział w głębi duszy, że hrabina mówi prawdę, a tabliczka ametystowego wosku, rzucona przez harrara, dowodziła, iż Izgard też, zdaje się o tym pamiętać (tylko on miał prawo używać purpury) – ciągle kręcił głową z niedowierzaniem. Przyznając jej rację, musiałby inaczej spojrzeć na świat.

Lianne nadal mówiła, lecz jej słodki głos stawał się coraz bardziej szorstki.

– Mimo iż twój ojciec był kuzynem starego króla, nie ulegało wątpliwości, że nie będzie mógł nigdy władać Garizonem po bitwie pod Wierną Górą. Nie przełamałby nienawiści ludzi. Został wielkim raizyjskim bohaterem, człowiekiem, który stoczył i wygrał największą bitwę ostatniego półwiecza, który w środku zimy zabił dwadzieścia tysięcy Garizończyków u podnóży góry, nie zostawiając przy życiu nikogo, kto mógłby pogrzebać zamrożone trupy.

Camron zmarszczył brwi.

– Nie miej złudzeń, Camronie z Thornu, twój ojciec pragnął rządzić Garizonem. Pragnął tego sercem i duszą – pragnął założyć na głowę Wieniec. Nic mógł jednakże wymazać z przeszłości owego feralnego zwycięstwa pod Wierną Górą, a pięćdziesiąt lat to zbyt krótki okres, żeby mieszkańcy Garizonu cokolwiek zapomnieli.

– Ale mieszkańcy Raize zapomnieli. Nie pamiętają już, czym kiedyś był Garizon.

Choć Lianne uśmiechała się pobłaźliwie, odpowiedziała zimnym tonem.

– Pokonani zachowują pamięć najdłużej. Wszystko, co pamięta Raize, wszystko, o czym wspomina się tutaj, na dworze, sprowadza się tylko do jednego: pół wieku temu Raize odniósł wspaniałe zwycięstwo nad wojskami Garizonu. Jutro mój syn wyrusza na północ w przeświadczeniu, że historia się powtórzy,

Camron spojrzał głęboko w oczy hrabinie Mir’Lor. Zaczynał rozumieć.

Dłonie Lianne szeleściły na jedwabnej sukni, bawiły się jej fałdami.

– Kiedyś kochałam twego ojca.

Pokiwał głową. Wyczytał to wcześniej w jej słowach.

– Poślubiłabym go.

– Gdyby założył Kolczasty Wieniec?

Lianne nawet nie zmrużyła oka. Wpatrywała się w niego takim wzrokiem, że znów poczuł gorąco na policzkach. Co też napadło go, by zadać takie pytanie?

Ona tymczasem tylko się uśmiechnęła. Hrabina Mir’Lor uśmiechała się z takim ciepłem i promiennieścią, że szlachcic wstrzymał oddech.

– Za stara jestem na kłamstwa, Camronie z Thornu – powiedziała – i dawno temu zapomniałam, czym jest sztuka słownych potyczek. Chociaż ucierpi na tym moja próżność, muszę ci przyznać rację. Byłam młoda, ambitna i zdecydowana poślubić króla.

Promieniała takim pięknem, a jej oczy jaśniały takim blaskiem, że Camron szybko przestał się dziwić jej słowom. Mogła obwieścić mężczyźnie bez ogródek, że wyjdzie za niego w zamian za tytuł i bogactwa, a on i tak by się chętnie z nią ożenił. Taką już była kobietą.

Podziwiał ją, a nawet sam zaczął się w niej odrobinę podkochiwać, jednak jakiś ciężar znów przygniótł mu pierś. U podnóży Wiernej Góry jego ojciec musiał poświęcić swój kraj, swoją przyszłość i ukochaną kobietę.

Kiwnął głową i mruknął:

– Pięćdziesiąt lat to niemało.

– Zgadza się – odparła Lianne, w lot odgadując jego myśli. – Ale miał się też czym pocieszyć, nie możesz o tym zapominać. Miał żonę, która kochała go ponad wszystko na świecie, był twórcą pokoju. Po dzień dzisiejszy nikt w Garizonie się nie domyśla, że uratował dziesięciokroć tylu ludzi, ilu zabił. Tuż po wojnie powstrzymał raizyjskich dowódców przed rozbiorem Garizonu, dzięki czemu zniszczenia ograniczyły się do samej stolicy. Bóg jeden wie, ile istnień ludzkich tym samym oszczędził. – Zamilkła, zwracając spojrzenie na Camrona. Za hrabiną trzaskały cicho płomienie, okalając jej postać rozedrganą, złocistą aureolą. – Nie zapominaj też o sobie, Camronie z Thornu. Twój ojciec miał syna, którego kochał, budując dlań w marzeniach świetlaną przyszłość.

Z każdą chwilą ciało Camrona zdawało się przybierać na wadze.

Czuł się spragniony, jakby biegł i biegł, aż w końcu padł z wyczerpania. Zagląjąc w ciemnoniebieskie oczy Lianne, odbierając zbyt wiele wrażeń naraz, powziął decyzję.

– A więc mój ojciec chciał, żebym zamiast niego zasiadł na tronie Garizonu?

Lianne uśmiechnęła się niby mądra nauczycielka.

– Tak, lecz z rozmaitych przyczyn nic ci nie powiedział.

– Dlaczego?

– Bo bał się o ciebie. Zabójstwa w Garizonie są czymś pospolitym. Izgard pozabijał swoich rywali, gdy tylko obrano go królem. Gdybyś otwarcie wystąpił przeciwko niemu, twój ojciec może by żył, ale ty z pewnością nie.

Camron zadrżał, lecz ona jeszcze nie skończyła.

– Po wtóre, nie chciał cię do niczego popychać. Gdybyś miał wystąpić z roszczeniami, chciał, żeby inicjatywa wyszła od ciebie.

Tak wiele, tak wiele zrozumiał. Camron zasłonił twarz. Przez te wszystkie lata jego ojciec czekał... Tamtej nocy w swym gabinecie też czekał. Lecz syn nie przyszedł.

– Jeszcze nie jest za późno – rzekła Lianne delikatnym głosem. – Wciąż możesz walczyć o to, czego pragnął. Nawet teraz.

– Ja...

– Porozmawiaj z Balanonem – przerwała mu, zanim zdążył pomyśleć, co właściwie chce powiedzieć. – To on jest rzeczywistym wodzem raizyjskiej armii. Mój syn rozwodzi się o łatwym zwycięstwie, ale jeszcze wojna nie zajrzała mu w oczy. A kiedy tak się stanie, szybko uzmysłowi sobie ogrom swej niewiedzy i zwróci się do Balanona o pomoc. Proszę – Lianne podeszła do Camrona, oderwała mu dłoń z policzka i wcisnęła do niej coś ciepłego i gładkiego – oddaj to Balanonowi. Będzie wiedział, że to ode mnie. Dzięki temu wysłucha, co masz do powiedzenia.

Zacisnęła palce na podarowanym przedmiocie. Nawet na niego nie spojrzał.

– Wbrew wspaniałości pałacowych sal i korytarzy, Mir'Lor nie jest wielki. – Lianne uśmiechnęła się pod nosem. – Każdy ma tu względem mnie jakiś mały dług.

Camron powstał. Chciał w samotności przemyśleć kilka spraw. Początkowo Lianne szła wraz nim ku drzwiom, lecz szybko się zatrzymała i dalej do wyjścia odprowadziła go wzrokiem.

– Wyśpij się, a o świcie porozmawiaj z Balanonem.

Z ręką na klamce, zapytał:

– Dlaczego mi to powiedziałaś?

Lianne, hrabina Mir'Lor, wyprostowała się dumnie. Klejnoty, których Camron wcześniej nie zauważył, rozbłysły na szyi i na nadgarstkach, a kiedy mówiła, w jej oczach odbijały się złociste refleksy, rzucane przez płomienie.

– Dlatego ci to mówię, że jestem zarówno pamięcią Raize, jak i jego sercem. Tylko ja pamiętam, czym naprawdę jest Garizon i do czego są zdolni jego waleczni królowie. – Potrząsnęła głową. – A może jestem tylko zbyt dumna, żeby się przyznać, iż dawno temu popełniłam błąd, nie wychodząc za twego ojca? Cóż, mimo wszystko dręczą mnie wyrzuty sumienia.

Camron zamierzał coś powiedzieć, lecz słowa nie chciały przejść mu przez gardło, więc tylko pochylił czoło i wyszedł.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Jadąc błotnistą, rozmiękłą drogą na północ do Bellhaven, Tessa zaczęła zdawać sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze, aksamitny płaszcz nie chronił przed deszczem, po drugie zaś – pani Wicks miała wyrobione zdanie na każdy temat. Budynek gospodarski nie był w jej ocenie budynkiem gospodarskim, ale “skandalicznym marnotrawstwem drewna i stratą dobrej farby”, sterta bali nie była zwykłą stertą bali, a “dębina: idealną na kufry, wyroby stolarskie tudzież trójnożne stoliczki, ale zupełnie nie nadającą się na zegary, stoły i ozdobne miski”. Pani Wicks nie tyle mówiła, co raczyła oznajmiać, jak gdyby była gniewną boginią, która pragnie napelnić mądrością niegodnych śmiertelników, nazbyt tępych, by zrozumieć, co jest dla nich dobre.

– Spójrz tylko na tamtą łąkę – rzekła pani Wicks, prostując się w siodle. – To ziemia należąca do mnichów z Wyspy Namaszczonych. Świetnie nadaje się na pastwisko, ale wiosną nie można tam nic zasiać.

Tessa skinęła głową, żywiąc nadzieję, iż pani Wicks nie uzna za stosowne rozwozić się dłużej na temat przyczyn, dla których wiosną nie można tam siać; była przemoczona, przygnębiona i obolała, cóż mogły obchodzić ją jakieś zasiewy?

Zbliżał się środek dnia. Mała kompania złożona z pięciu osób, które opuściły Kilgrim zeszłego dnia w południe, zatrzymała się na nocleg w przydrożnym zajeździe, opisanym przez panią Wicks jako “wylęgarnia grzybów, pleśni i wszelkich nieprawości”. Tessa jednak polubiła to miejsce – przynajmniej zostało wyposażone w drzwi i świece. Wszyscy zbili się w gromadkę w głównej izbie przy ogniu, a ona pamiętała tylko, że tuż przed zaśnięciem, okryta szczelnie płaszczem, pomyślała: “Za nic w świecie nie zasnę na tej twardej podłodze”. O brzasku głos pani Wicks wyrwał ją z głębokiego, pozbawionego marzeń sennych snu, każąc uczesać się i spać włosy gwoli przyzwoitości, a przed dalszą drogą wypić miskę serwatki, która dodaje wigoru. Tessa związała włosy w pukiel, ale nie chciała przystać na serwatkę, która wyglądała na jakiś rzadki, wodnisty produkt uboczny powstały przy wytwarzaniu sera, a pachniała zsiadłym mlekiem.

Krótki sen nie mógł jej wystarczyć. Z przerażeniem stwierdziła, że ciało boli ją nie tylko bardziej, ale i w nowych miejscach: u podstawy kręgosłupa, po wewnętrznej stronie ud, wokół szyi. Rana na lewym ramieniu zaczęła się goić. Kiedy zmyła zakrzepłą krew, ze zdumieniem zobaczyła, jak jest mała i powierzchowna. Również czysta, co było niebagatelnym faktem, zważywszy na rdzę pokrywającą gwóźdź wystający z futryny.

Pociągnęła ostro za lejce, oprowadzając wierzchowca wokół rowu. Nie chciała wspominać tamtej nocy. Nie chciała myśleć o Ravisie i o jego związku z Violante z Arazzo.



Liczyło się jedynie dotarcie na Wyspę Namaszczonych, a wszystko, co się z tym nie wiązało, należało odsunąć na dalszy plan. Musiała zwalczyć wszelkie przeciwności, na uwadze mając wyłącznie harrarów, i możliwości złożonej z nich armii, jak również ciąg wzorów malowanych przez dwadzieścia jeden lat.

– Co pani wiadomo o Wyspie Namaszczonych, pani Wicks? – zapytała, wpatrzona bacznie przed siebie. Strugi deszczu szybko rozmywały drogę. Okolica była płaska i monotonna: nędzne krzewinki, karłowate drzewa, tu i ówdzie widniał zaorany kawałek pola lub liczne kępy sitowia w postaci okrągłych komyszy lub wijących się węzowo pasów, wyznaczające ukryte bajora bądź wąskie strumienie. Gdyby nie to, że drogę usypano kilka stóp nad przyległymi gruntami, jej środkiem płynęłaby teraz rzeczka. Tessa zastanawiała się, dlaczego ktoś w ogóle zdecydował się budować tutaj tę drogę.

– Wyspa Namaszczonych to nie miejsce dla kobiet – odrzekła pani Wicks, potrząsając głową z ożywieniem. – Co do tego nie ma wątpliwości. Moja córka jest mniej więcej w twoim wieku, młoda damo, i tyle ci tylko powiem, że cały ten kraj, od Kilgrimu po Hayle, musiałby się wpierw zapaść pod wodę, żebym pozwoliła jej postawić stopę na wyspie.

Tessa westchnęła cicho. Przyszłość nie wyglądała różowo. Rozejrzała się wokoło, czy aby nikogo nie ma w zasięgu słuchu.

– A to dlaczego?

Pani Wicks na wszelki wypadek potrząsnęła jeszcze kilkakrotnie głową.

– Bo to złe miejsce, czy trzeba tu coś dodawać? Mnisi nie lubią kobiet, to po pierwsze. Mówią, że przeszkadzają im pracować. Mój szwagier, Moldercay, przebywałby tam do dzisiaj, gdyby nie wpadła mu w oko jakaś młoda turkaweczka. – Długo opowiadała i potrząsała głową, lecz jej włosy nie poruszyły się ani razu. Choć od przeszło godziny moczył je deszcz, ich uczesanie zupełnie nie uległo zmianie. – Wiedz jednak, że na dłuższą metę wyszło mu to tylko na dobre. Wicksowie we krwi mają handel.

– Pani szwagier mieszkał na Wyspie Namaszczonych?

– Czuwał nad archiwami. Miał dobrą rękę, ale zbyt rozbiegane oko. I to nie tylko w poszukiwaniu kobiet, muszę od razu zaznaczyć. Ten człowiek nie potrafił patrzeć na cokolwiek bezmyślnie, z miejsca chciał odsłaniać, odpakowywać i odpieczętowywać! – Pani Wicks zdobyła się na przeciągłe westchnienie. – Nie odziedziczył tego, rzecz jasna, po przodkach z linii Wicksów. Moje zacne buty świadkiem, że nie po nich! Wszystkiemu winna jest ta Pollierówna, jego matka! Nie ma na świecie ani jednego Polliera, który by się nie wślawił wścibianiem nochala w cudze sprawy. To oburzające, choć od czasu do czasu pozwala zarobić trochę grosza.

– Co porabia teraz Moldercay?

– Opiekuje się kośćmi – odparła pani Wicks z nieukrywaną dumą. – Ma swoją kostnicę w Bellhaven, w której trzyma kości wszystkich zacnych ludzi. Żadna wywłoka, żebrak czy druciarz nie trafi nigdy do przybytku Moldercaya.

Przybytku Moldercaya? Tessa zadrżała; określenie to nie przypadło jej wcale do gustu.

– A więc został wyrzucony z klasztoru za to, że się w kimś zakochał?

– Nie, dziewczyno. Przypominasz mi moją córkę, Nelly, która tak intensywnie myśli, że nie ma czasu na słuchanie. Powinnaś bardziej uważać, co do ciebie mówię. Moldercay nie został wyrzucony – nie wyrzuca się nikogo z Wyspy Namaszczonych. Potrzeba interwencji niebios, żeby ci zatwardziali świętoszkowie o kamiennych twarzach wykluczyli kogoś ze swego grona. Broń Boże, nikt go nie wyrzucał! Moldercay sam postanowił wyjechać, aby móc poślubić dziewczynę. – Pani Wicks usadowiła się wygodniej w siodle, przez cały czas jednak wyprostowana jak trzcina. – Musisz wiedzieć, że świątobliwi ojcowie wypowiedzieli mu prawdziwą wojnę. Zanim ostatecznie pozwolili Moldercayowi wyjechać, musiał pościć przez trzynaście dni. Biedaczysko tak się ucieszył, że wybiegł na groblę w porze przypływu. Ostatni odcinek musiał przebyć w pław. Od tamtego czasu nie kąpał się w morzu, czemu się nie dziwię. Być może słona woda dobrze wpływa na oczy i wywoływanie wymiotów, ale niszczy skórę i zęby. Nie weszłabym do niej za żadne skarby świata. Wołałabym już przeleżeć tydzień w wapnie.

Tessie nie przychodziła do głowy żadna sensowna odpowiedź, więc milczała, zamyślona. Trzech pozostałych członków kompanii jechało przodem w oddaleniu kilku kroków. Tessa nie odzywała się do nich, z wyjątkiem zdawkowych gestów i pozdrowień. Pani Wicks powiedziała, że nie przystoi jej rozmowa z nimi. Powiedziała to na tyle głośno, wodząc przy okazji wyzywającym wzrokiem, że trzech mężczyźni zrozumieli docinki i odtąd trzymali się na odległość.

– Tylko co patrzeć “Starego Zbója”, pani Wicks! – krzyknął najstarszy, nie oglądając się za siebie. – Zatrzymujecie się, czy też wam spieszo?

– Spieszno nam, Elburcie. Jeśli się teraz zatrzymamy, możemy nie zdążyć do Bellhaven przed zapadnięciem zmroku. Nie pozwolę na to, żebyśmy się tłukli po ciemnych uliczkach niczym jakieś wywłoki na koniach lub wenijscy szpiedzy. Po prostu na to nie pozwolę.

Elburt burknął coś pod nosem.

Tessa nie zwracała uwagi na tę wymianę zdań. Zdążyła już przywyknąć do przywódczych zapędów pani Wicks. Nadal rozmyślała o Wyspie Namaszczonych. Przy odrobinie szczęścia znajdzie z się na niej jeszcze tego wieczoru.

Dotykając palcami uwieszonego pod szyją pierścienia, zapytała:

– Dlaczego mnisi tak niechętnie pozwalają odejść tym, którzy do nich należą?

Pani Wicks wzięła głęboki oddech, aby rozjaśnić umysł. Po chwili uniosła brwi i wypuściła powietrze.

– Tajemnice, podejrzenia i ciemne machlojki.

Tessa nie rzekła ani słowa, czekając, kiedy pani Wicks zacznie wywód. Nie musiała długo czekać.

– Ci świątobliwi mężowie od tak dawna chowają różne tajemnice, że stało się to ich drugą naturą. To zgrana ferajna, możesz mi wierzyć. Bierze się to stąd, że całe życie spędzają na tym odosobnieniu. Kiedy nastaje zima, tygodniami bywają odcięci od świata, a nawet gdy grobla jest przejezdna, przybysze muszą przechodzić po niej w pośpiechu, ryzykując zalaniem przez fale. Tkwiąc na tej podniebnej grzędzie, zamknięci w tych swoich poskręcanych wieżach, skąd widać tylko morze i skały, łatwo zapominają o rzeczywistym świecie. Nie chcą mieć nic wspólnego ze Świętą Ligą na kontynencie. Moje nowalijki świadkiem, że nie chcą! Zamknęli się w sekretnym światku i, mówię ci, snują ukradkiem plany i zawierają potajemnie przymierza. – Panią Wicks przeszedł dreszcz. – Moldercay dobrze zrobił, że od nich odszedł, jeśli chcesz wiedzieć.

Tessa opatulila się płaszczem, czując nagle chłód i wilgoć. Odezwał się też ból we wszystkich częściach ciała i zdawało jej się, że ostre drzazgi wkłuwają się w jej plecy. Swędziała ją głowa.

„Stary Zbój” okazał się być położonym tuż przy drodze zajazdem o przysadzistym, płaskim dachu. Dym ulatywał z krótkiego komina poszarpaną wstęgą, a szyld nad drzwiami wyblakł w kilku miejscach, pozostawiając czytelne tylko niektóre litery. Przyglądając się tej posępnej ruderze, Tessa cieszyła się, że nie musi do niej wstępować.

– Właściciel postradał zmysły, jeśli chcesz wiedzieć – oznajmiła pani Wicks, kiedy przejeżdżały koło gospody. – Interesy upadły (już kilkadziesiąt lat temu!), a on ciągle tkwi w tym parszywym chlewie.

Tessa uniosła się w siodle, rozglądając się po okolicy. Zielony, upstrzony kępami trzciny krajobraz urozmaicały tu i ówdzie dziwnie wyglądające zabudowania. Wszystkie oprócz gospody wyglądały na dawno opuszczone. Dym nie unosił się z kominów, okiennice skrzypiały na wietrze, wiele dachów zapadło się do wnętrza.

Na widok zdziwionego spojrzenia Tessy, pani Wicks wyjaśniła:

– To sprawka Wennsów. Była tu kiedyś dość ludna wieś, ale jakieś dwadzieścia lat temu wennijscy jeźdźcy zaczęli najeżdzać wybrzeże. Obecnie w promieniu wielu mil nie napotkasz miasteczka ani żadnej wioski. Dziesięć lat temu wszyscy przenieśli się do miast i tak już zostało.

– Kim są Wennsowie?

– To podli i podstępni jeźdźcy o ciemnych oczach, którzy przeprowadzają się przez północne morza. – Pani Wicks ściągnęła usta. – Pomimo wysiłków nie nauczyli się uprawiać ziemi ani hodować bydła, lecz potrafią świetnie solić ryby.

Tessa odgarnęła z twarzy mokry kosmyk włosów. Wciąż dowiadywała się, jak wielki jest ten świat. W ciągu całego pobytu u Emitha i jego matki ani razu nie słyszała o Wennsach.

– To znaczy, że duże miasta bronią się przed Wennsamami?

– A jakże, Kilgrim, Palmsey i Port Shrift trzymają się wcale nieźle. Nie mają wyboru. Żyją z handlu, więc muszą zapewnić bezpieczeństwo kupieckim statkom.

– A co z Bellhaven?

Pani Wicks przypatrywała się Tessie, wolno mrużąc oczy.

– Bellhaven nie jest dużym miastem, dziewczyno. – Potrząsnęła głową. – Mój płaszcz zimowy świadkiem, że nie jest! Ha, jest trzykrotnie mniejszy od Kilgrimu. Albo i więcej.

Tessa opadła na siodło. Zaczynała czuć się niepewnie, a co gorsza, pani Wicks okazywała coraz większą podejrzliwość i zdziwienie jej niewiedzą. Tessa wiedziała co prawda, że najbezpieczniej byłoby zmienić teraz temat – skierować rozmowę na zażyłych wrogów pani Wicks, drzwi i świece – lecz musiała zadać jeszcze jedno pytanie.

– Skoro Bellhaven jest tak małym miastem, w jaki sposób broni się przed najezdami Wennsów?

Oczy pani Wicks, wciąż przymknięte od ostatniej wypowiedzi Tessy, przymknęły się jeszcze bardziej.

– Bo znajduje się o niecałą milę od Wyspy Namaszczonych. Nawet dzieci to wiedzą.

Zaskoczona taką odpowiedzią, Tessa usiłowała znaleźć sposób na odgadnięcie, o co chodziło pani Wicks, nie zdradzając równocześnie swej ignorancji. Tymczasem deszcz spływał jej po karku, rana na dłoni piekła od długiego trzymania cugli, a w butach dziesięć palców dusiło się w łaźni parowej, jaką zgotowała im wilgotna wełna. Nic dziwnego, że nie była w nastroju do wymyślania podstępnych pytań i nie umiała sklecić żadnego mądrego zdania, a chciała tylko zaspokoić swoją ciekawość.

– I co z tego, że znajduje się blisko Wyspy Namaszczonych?

– Ach, te dzisiejsze pannice! – Pani Wicks westchnęła z taką przeciągłością, że spomiędzy jej warg przysły mikroskopijne drobiny śliny. – Też coś! Nie dość na tym, że podróżujesz samotnie, to jeszcze nie masz zielonego pojęcia, dokąd jedziesz i w co się pakujesz. Jeśli chcesz usłyszeć moje zdanie...

– Nie zależy mi na pani zdaniu – przerwała jej Tessa, przemoczona, obolała i zdenerwowana. – Chcę tylko wiedzieć, co broni Bellhaven przed Wennsami.

Pani Wicks odrzuciła głowę, jakby te słowa były czymś nieprzyjemnym, co zostało rzucone w jej kierunku: zgniłym pomidorem lub wyplutą przez psa kością. Chociaż jej wargi poruszyły się bezgłośnie, Tessa mogłaby przysiąc, że usłyszała zgrzytanie zębów. Na koniec pani Wicks kiwnęła głową (z dość poważną miną) i powiedziała:

– Z takim temperamentem pasowałabyś do Wicksów.

Tessa zachowała kamienne oblicze. Nie wiedziała, czy uważać to za komplement, czy też nie.

– Bellhaven – przypomniała.

– Racja, racja. – Pani Wicks pociągnęła za lejce, omijając kępę szczególnie wybujałego zielska. – Cóż, samo miasto nie ma w tym swojej zasługi, to pewne. Chodzi o opactwo na Wyspie Namaszczonych. Zbudowano go dziewięćset lat temu, a w ciągu ostatnich pięćuset żaden wróg, mówię ci, nie wtargnął na wyspę. Tylko za mego życia mieliśmy na wybrzeżu

najazdy Wennsów, Balgedinów i Hoksów, lecz żadne z tych plemion nie podeszło bliżej jak na dwadzieścia mil od wysepki. – Pani Wicks pokiwała głową, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem. – Taka jest już tradycja. Nikt nie ma prawa tknąć wyspy.

– Dlaczego nie? – Tessa zobaczyła nagle przebłysk morza. Rozciągało się na wschodzie w postaci szarej wstęgi, upstrzonej białymi cętkami. Wiatr wzmagął się powoli, a krople deszczu spływające po twarzy smakowały słono. Trzęsąc się, poklepała klacz po szyi. Klacz była sędziwym, łagodnym zwierzęciem, wypożyczonym ze stajni pani Wicks; Tessa z przyjemnością tuliła się do ciepłej skóry.

Również pani Wicks spoglądała na wschód, ale zanim się odezwała, skierowała wzrok z powrotem na drogę, jak gdyby nie chciała, by coś na morzu odciągnęło jej uwagę.

Szarpnąwszy lekko cugłami, powiedziała:

– Wszystko, co wiem, to mieszanka historii i pogłosek. Cała rzecz zaczęła się pięćset lat temu, kiedy Hierac z Garizonu podbił Maribane. Zajął każdy zakątek tego kraju; każdy strumień spływający ze wzgórz i kamień zagrzebany w piasku. Ten człowiek był krwiożerczym demonem. – Pani Wicks ściągnęła usta. – Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość: znał się na wojnie jak mało kto. Tak czy owak, będąc aroganckim brutalem, jakimi zwykle są Garizończycy, wybrał się na wycieczkę po kraju; zadbał o to, żeby wszyscy wiedzieli, kim jest; wieształ na gałęzi każdego, kto nie wiwatował na jego widok, a farmy, warownie i wioski zostały skrupulatnie policzone. – Uderzając kciukiem o podbródek, jakby tak właśnie uczyniła, gdyby sama była na jego miejscu, pani Wicks mówiła dalej: – Na koniec Hierac przybył do Bellhaven. Legenda głosi, że akurat był przyptływ i musiał czekać, aż grobla będzie przejezdna, a niecierpliwił się przy tym jak łucznik na deszczu. Słyszał opowieści, że święci mężowie chowają w opactwie złoto i skarby, postanowił zatem je zdobyć.

Wreszcie, gdy zaczął się odpływ, pogalopował na wyspę po mokrym piasku w eskortie czterdziestu doborowych, wymachujących mieczami żołnierzy. Po dzień dzisiejszy nikt nie wie, co się wydarzyło, kiedy nareszcie dojechali. Niektórzy twierdzą, że mnisi rzucili na nich urok, inni zaklinają się, iż omamili ich kwiecistą wymową i chytrymi sztuczkami. Dość powiedzieć, że dokładnie po godzinie powróciło czterdziestu żołnierzy. Hierac wysłał ich z powrotem. Nikt nie miał prawa znaleźć się w zasięgu cienia rzucanego przez wyspę. Przez cały dzień i całą noc Hierac naradzał się z mnichami. Kiedy powrócił nad ranem, przeprawiwszy się przez wzbierającą wodę, która sięgała koniowi do brzucha, ogłosił, że Wyspa Namaszczonych nie zostanie włączona do królestwa Garizonu i że nie będzie musiała płacić żadnych podatków. Żaden dygnitarz Garizonu nie postawi odtąd stopy na świętej ziemi, żołnierze natomiast mieli natychmiast odjechać, by już nigdy w to miejsce nie powrócić.

Słuchając pani Wicks, Tessa czuła, jak mrowie przechodzi jej wolno po plecach. Mimo padającego deszczu wyschło jej w gardle. Zapra gnęła znaleźć się w kuchni Emitha. Bardzo tęskniła za pomocnikiem skryby i jego matką.

– Cóż, Hierac dotrzymał słowa – podjęła pani Wicks, przerywając tok jej myśli. – Jeszcze tego samego dnia wycofał się z Bellhaven, a wraz z nim wszyscy żołnierze. W ciągu czterdziestu lat jego rządów, jak też podczas rządów następcy tronu – tak naprawdę, dopóki nie skończyła się garizońska okupacja jakieś sto lat później – Wyspa Namaszczonych zachowywała niezależność.

Pani Wicks przekręciła się w siodle i przetrząsnęła juki, z których wyciągnęła glazurowany dzbanek z zatyczką. Podała go Tessie.

– Masz tu, napij się. To cię trochę ogrzeje. Wiedz, że nie jest to mocny alkohol. Trunkiem tym raczę moją Nelly, kiedy wygląda, jakby się miała lada moment przeziębici. Przypominasz mi ją, wiesz przecież. Obie jesteście uparte i zarozumiałe.

Tessa, mile zaskoczona przejawem naglej życzliwości ze strony pani Wicks, podziękowała i przyjęła dzbanek.

Pani Wicks na słowa podziękii odpowiedziała zamaszystym skinieniem ręki.

– W razie potrzeby każdy Wicks spieszy drugiemu z pomocą.

Wyciągając zatyczkę, Tessa zapytała:

– Co się stało, kiedy Garizon wycofał się z Maribane?

– Cóż, od tamtego czasu każdy najeżdźca trzymał się w bezpiecznej odległości od Wyspy Namaszczonych. Skoro Hierac z Garizonu, najwaleczniejszy z królów, zrezygnował z zawładnięcia nią, musiał mieć po temu diabelnie słuszny powód. Legendy narastają, a wraz z nimi strach. Rozpowszechnił się pogląd, że każda próba zajęcia wyspy musi przynieść pecha. Fakt, że nikt się nigdy nie dowiedział, co właściwie zaszło między Hierakiem a świętobliwymi ojcami, przydawał jedynie pikanterii całej legendzie. Niektórzy powiadają, że po dzień dzisiejszy Garizon sprawuje pieczę nad wyspą. – Pani Wicks bębniła palcami w rękawiczkach po końskim karku. – Tak czy inaczej, Wyspa Namaszczonych stała się ziemią niczyją. I taką pozostaje do dzisiaj. Świętobliwych ojców można nazywać na różne sposoby, ale z pewnością nie są głupcami. Oficjalnie przyznają, że tępią pogaństwo i przesady, że są sługami Boga: uczonymi, kapłanami, mnichami. Mimo to nadal podsycają stare opowieści. Przysięgam na mą letnią sukienkę!

– Wygląda mi na to – odezwała się Tessa, ścierając z ust krople miodowego piwa – że Hierac, kiedy gościł na wyspie, doszedł ze świętobliwymi mężami do jakiegoś porozumienia.

– Dokładnie! – Pani Wicks podskoczyła na siodle. – To ci właśnie cały czas tłumaczę: jeśli gdzieś ubija się interes, to z pewnością wyczuje go nos Wicksa. Jeżeli chcesz wiedzieć, doszło do zwyczajnego kompromisu, a bajki opowiada ten, kto twierdzi, że tego dnia czary i zaklęcia broniły wyspy. – Uśmiech pani Wicks był niemal macierzyński, gdy odwróciła się, żeby popatrzeć na Tessę. – Rozważałaś kiedyś, czy aby nie zająć się handlem?

Tessa rozpromieniła się. Z każdą chwilą coraz bardziej lubiła panią Wicks.

– Jeśli faktycznie doszło wtedy do jakiegoś porozumienia, dlaczego dalej obowiązuje? Przecież Hierac i czasy świetności Garizonu przeminęły.

– Mnisi są cwani. Dobrze wiedzą, że jak długo ludzie będą się ich bać i pamiętać dawne legendy, nic wyspie nie grozi.

Tessa skinęła głową, choć sądziła, że nie usłyszała pełnego wyjaśnienia. Pięćset lat spokoju z powodu jednej wizyty garizońskiego króla? Niemal bezwiednie sięgnęła ręką do pierścienia. Metal był o kilka stopni cieplejszy niż ostatnio, kiedy go dotykała. Szybko wycofała rękę.

– To dziwne: Belluwen powinno być o wiele większe od Kilgrimu, skoro każdy mieszkaniec ma tam zagwarantowane bezpieczeństwo.

Pani Wicks parsknęła.

– Przystaniesz się dziwić, kiedy dojedziemy na miejsce. Cóż to za popyśny zakątek! Nie uświadczysz tam dużego portu, są jedynie długie plaże, brakuje też przyzwoitego źródła słodkiej wody. Ziemia nadaje się tylko pod uprawę rzepy, nic więcej. O ludziach lepiej nie wspominać! – Wyciągnęła rękę po dzbanek z miodowym piwem i dodała: – Do tego wszystkiego dochodzi pogoda. Rok w rok udaję się w tę samą podróż, żeby odwiedzić Moldercaya – kiedy tylko pozwolą Bóg i damskie towarzystwo – i bez względu na to, o jakiej porze przyjeżdżam, zawsze szaleje sztorm.

Tessa zerknęła na morze. Niebo pociemniało, a biała piana lśniła na powierzchni wody siekanej podmuchami wiatru. Nadchodził sztorm zapowiedziany przez panią Wicks.

– Jak długo jeszcze będziemy jechać? – Tessa ze zdziwieniem wychwyciła w swym głosie delikatne drżenie. Wmawiała sobie, że to tylko z zimna. Z zimna i wilgoci.

– Cztery godziny, jeśli drogi będą przejezdne. Może nawet szybciej, jeśli tylko tych trzech wałkoni – pani Wicks podniosła głos, zwracając się pod adresem jadących na czele – łaskawie raczy się pospieszyć.

Elburt wziął sobie ten przytyk do serca i spiął konia ostrogami, dzięki czemu wkrótce cała kompania posuwała się ostrym kłusem. Skończyły się pola, rozlewiska i kępy sitowia, ustępując miejsca porośniętym żółtą trawą równinom i długim, bladym plażom. Błoto ochlapało płaszcz Tessy, a deszcz zacinał w twarz. Ścieżka była śliska i nierówna, toteż całą uwagę skierowała na drogę. Morze wciąż jednak przyciągało jej wzrok. Miało dziwny kolor, nieco inny odcień szarości niż niebo. Linia horyzontu zdawała się niezwykle ciemna i zwarta. Niemal czarna. Wtem w oddali ujrzała niewyraźne kontury, wyznaczające kształty, ale nie dające wyobrażenia o masie obiektu – podobnie rzecz ma się z cieniami i z pustą przestrzenią u wylotu skalnej szczeliny.

Wstrzymała oddech. Kiedy wreszcie wypuściła powietrze, zamieniło się ono w mgielkę.

Wyspa Namaszczonych.

Drżąc na całym ciele, odwróciła głowę i postanowiła, że nie będzie już patrzeć na morze. Wiatr przybierał na sile. Zawodził koło uszu wysokim, przeszywającym tonem, zupełnie jak *tinnitus*.

Ravis i Violante zeszli na nabrzeże. Wiatr dał z coraz większą mocą, a daleko na wschodzie zaczęły gromadzić się chmury. Cztery maszty istanijskiego barku „Piękny Brzeg” trzeszcząc, przechylały się, natomiast zwinięte żagle łomotały niecierpliwie o słupki. Zamocowano liny łączące statek z holownikiem „Kipiel” o trzydziestoosobowej załodze. Bark miał w ciągu godziny wypłynąć w morze.

– Ze wschodu nadciąga sztorm – powiedziała Violante, z łatwością pokonując wycie wiatru. – Pomoże „Pięknemu Brzegowi” wypłynąć z portu.

Ravis chciał wychwycić w jej głosie nutę goryczy i bólu, lecz niczego podobnego nie odkrył. Zerknął na nią z ukosa. Inna kobieta szukałaby schronienia przed wiatrem, nasunęła kaptur, by ochronić włosy, zapięła szczelnie płaszcz. Nie Violante. Stała na wietrze, jakby to była dodatkowa szata. Każdy poryw rozrzucał jej loki, chłodne podmuchy przydawały koloru ustom i policzkom oraz przyciskały płaszcz do ciała, podkreślając zgrabną sylwetkę.

Ravis dotknął jej ramienia.

– W Mizerico nic ci ze strony Malraya nie grozi. Rozmawiałem z kapitanem. Odprowadzi cię pod sam próg domu.

Uśmiechnęła się słabo, wchodząc na deski pomostu.

– Zapominasz, kim jestem, Ravisie z Burano. Mój ojciec mógł sobie być prefektem, ale babka parała się grabieżą. Przez trzydzieści ostatnich lat życia grasowała na drogach i u podnóża gór na północ od Sullin. Wybacz, ale nie lękam się Malraya i jego ludzi.

– Chyba nie zamierzasz się z nim spotykać? Po tym, co zdarzyło się w karczmie?

Popatrzyła mu prosto w oczy.

– Straciłeś wszelką władzę nade mną w chwili, kiedy dwóch istanijskich gońców doręczyło twój list. Poza tym mam do pogadania z Malrayem...

Ravis złapał nadgarstek Violante.

– Chyba nie zamierzasz...? – Urwał w pół zdania.

– Czego to nie zamierzam, Ravisie? – zapytała łagodnie. – Wyrządzić mu krzywdy? Zabić go? – Ponieważ wciąż patrzył w drugą stronę, ciągnęła: – Nadal go kochasz, zaprzeczysz? Po tych wszystkich latach i po tym, co zrobił?

Ravis potrząsnął głową.

Przełknęła ślinę i ruszyła w stronę statku. Żadne z nich nie przerwało ciszy, dopóki nie dostali się w cień „Pięknego Brzegu”.

– No cóż – powiedziała, zgrabnie uskakując w bok, kiedy dwaj tragarze dźwigający pełną owczych skór skrzynię poprosili o przejście. – Teraz zapewne udasz się na wschód? Dogonisz kobietę, z którą tu przyplynałeś? Słyszałam, jak wypytywałeś tego rudego chłopaka „U Pani Wicks”. Musisz się pospieszyć. Dziewczyna wyprzedza cię prawie o dwa dni.



Skinał głową.

– Nie musiałeś mi towarzyszyć tej nocy i dzisiaj. Mogłeś wyruszyć wczoraj rano. Nie odniosłeś aż tak poważnych ran, żebyś nie mógł wsiąść na konia.

– Chciałem widzieć, jak bezpiecznie wsiadasz na statek.

Violante uśmiechnęła się szeroko, a oczy jej zabłyszczały.

– Wydaje ci się, że jesteś mi coś winny, mam rację?

– Nie chcę, żeby przytrafiło ci się coś złego.

– Nic mi nie będzie. – Uśmiech znikł z jej twarzy. Odwróciła wzrok. – Możesz zostawić tu moje bagaże. Chłopiec okrętowy zanieś je do kajuty.

Ravis zamierzał coś powiedzieć, potem jeszcze raz się namyślił, po czym położył kuferek na dębowych deskach pomostu.

Weszła na pokład statku, on zaś pozostał na nabrzeżu i patrzył, jak “Piękny Brzeg” zostaje odciągnięty z płytkiego doku, gdzie dotąd cumował, i wypływa na głębsze wody. Obserwował marynarzy spuszczających żagle i ustawiających je odpowiednio do kierunku wiatru. Dopiero gdy czerwono-złota bandera statku roztopiła się w atramentowej ciemności otwartego morza, odwrócił się i ruszył w powrotną drogę.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

– Dopisało ci szczęście, śliczniutka. Zaczął się odpływ. – Elburt wskazał na mielizny, groblę i skalistą górę w tle.

Wyspa Namaszczonych była czarną fortecą, odcinającą się na ciemnoszarym niebie. Mikroskopijne, żółte punkciki cętkowały mroczną sylwetkę. Kiedy patrzyła na nie przez dłuższą chwilę, niektóre gasły. Nie zapadła jeszcze noc – zgodnie z jej wyliczeniami było późne popołudnie – lecz ciemności zasnuły ziemię. Wicher wył koło uszu, przypominając jej o *tinnitusie* i wywołując ból w skroniach. Niełatwo było zebrać myśli. Ogarnęło ją wielkie zmęczenie i tylko resztkami sił utrzymywała się w siodle. Niczego bardziej nie pragnęła, jak tylko położyć się i zasnąć.

Przed nimi rozciągało się Bellhaven. Zanim wjechali do miasta, musieli przebrnąć przez szeroką, moką plażę. Ciemności uniemożliwiały rozróżnienie szczegółów zabudowań; Tessa dostrzegała jedynie dachy rozmieszczone na różnych wysokościach, smużki dymu dobywające się tu i ówdzie z kominów oraz lśnienie wody na okapach i lakierowanych drzwiach. Pani Wicks nalegała, żeby przed wjazdem do miasta minęli groblę. Drżała na myśl o samotnej przeprawie Tessy na wyspę, na dodatek po ciemku. Tessa przypuszczała, że pani Wicks miała nadzieję przybyć do Bellhaven w porze przypływu.

– Odpływ potrwa do północy, śliczniutka – zawyrokował Elburt. Z jakiegoś niezrozumiałego dla Tessy powodu zdjął przed groblą czapkę, którą teraz wskazywał drogę. – Jedź prosto na te skały. Nie zapomnij trzymać się środka, gdzie piach musi być najsuchszy.

Skinęła głową. Nie potrafiła oszacować odległości od wyspy. Piaszczysta plaża zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Daleko na horyzoncie linia spienionej wody znaczyła ślad oddalającej się fali pływ.

– To szaleństwo wędrować nocą po grobli, czyste szaleństwo. – Całe ciało pani Wicks trzęsło się ze wzburzenia. – Jedź z nami do miasta, Tesso. Wyśpij się należycie, zjedz porządne śniadanie i wysusz ten żaloszny płaszcz, wyglądający jak mokra szmata. Aksamit, a to dopiero! Kto w deszcz stroi się w aksamity?

– Nie mogę zostać w mieście. Muszę jeszcze dzisiaj dostać się do klasztoru. – Dźgnęła obcasem koński bok i odwróciła się w drugą stronę. Kusila ją oferta pani Wicks, ale wiedziała, że musi jechać dalej. Miała powinność do spełnienia. To właśnie ją Deveric wyznaczył swymi wzorami i przyzwał magią. Zginęli ludzie i mogło ich zginąć znacznie więcej, i chociaż nie wiedziała, czy może temu zapobiec, musiała spróbować. – Czas na mnie. – Powiodła spojrzeniem po twarzach towarzyszy, zatrzymując wzrok na pani Wicks.

– Dziękuję za wszystko. – Spięła konia, popuściła wodzy i pokłusowała na groblę.

Głos Elhurta dobiegł ją z oddali:

– Możesz liczyć na strawę i spanie. Świątobliwi mężowie nie odprawiają podróżnych spod bramy.

Zaraz potem rozległo się wołanie pani Wicks:

– Uważaj, Tesso! Długie szaty, ogolone głowy i modlitewniki nic jeszcze nie znaczą, jeśli chcesz wiedzieć. Mężczyźni są zawsze mężczyznami.

Zbędne okazało się kierowanie klaczą, bo ta sama znajdowała drogę. Była dobrym zwierzęciem, spokojnym, czułym i na pierwszy rzut oka niewrażliwym na szarugę.

– Chyba też już jesteś zmęczona – szepnęła Tessa, głaszcząc koński kark. – Zmęczona, głodna i obolała.

Choć morze odsunęło się na znaczną odległość, mgiełka znad wody wciąż oblewała twarz. Niesiona podmuchami wiatru, szczypała w oczy i piekła w nosie, zostawiając w ustach ostry, słony posmak.

Naprzeciwno, spośród przedwczesnych, powstałych za sprawą sztormu ciemności, wylaniały się kontury wyspy i opactwa. Ze szkieletu czarnych skał wyrastały dwie wieże, przekuwając zwały pełznących po niebie, ołowianych chmur, których fantastyczne kształty zdawały się to otulać twierdzą, to znów ją wzmacniać, to wreszcie odpływać w dalszą drogę, pozostawiając nagie, kamienne szpikulce na tle zmieniającego się nieba. Ze szczelin w dolnych partiach murów sączyły się światelka. Kipiel kotłowała się u stóp skał i wzdłuż obu brzegów grobli.

Wiatr zmienił się raptownie i Tessa poczuła zapach opactwa. Pachniało niczym stare przedmioty, które można wyłowić z wody wraz z mułem. Usłyszała jakiś dźwięk i chociaż usiłowała skupić na nim swą uwagę, ucichł; nie zdołała go zidentyfikować, aczkolwiek wydawało jej się, że to chór intonujący pieśni. Przełknęła ślinę. Nie po raz pierwszy tego dnia pragnęła przenieść się z powrotem do kuchni matki Emitha i przykucnąć przy rozpalonym palenisku, cała i zdrowa.

W miarę jak zbliżała się do wyspy, coraz więcej skalnych odłamków zaśmiecało groblę. Muszle chrzęściły pod kopytami, a pasma wodorostów owijały się wokół pęcin wierzchowca. Na piasku gniły jakieś martwe istoty. Rozrzucone na brzegu umierające meduzy drgały przy każdym większym podmuchu wiatru. Nie trzeba było tłumaczyć koniowi, że mają omijać.

Nieoczekiwanie jej podróż dobiegła końca. Wyspa Namaszczonych. W jednej chwili wydawała się leżeć gdzieś na krańcach świata, niczym baśniowy zamek, by w drugiej odgrodzić Tessę od mroku nocy. Wystając spomiędzy skał na podobieństwo korzeni potężnego drzewa, mury opactwa przesłaniały cały świat. Grube i poskręcane, tworzyły wzory, których nie umiała do końca zrozumieć. Wypatrzyła ścieżkę wijącą się wśród głazów i pokruszonych załomów, po czym ruszyła jej śladem, zadowolona, że nareszcie znalazła się na pewnym gruncie. Przed nią majaczyła brama osłonięta wyrzeźbionym w skale sklepieniem.

Wicher wzmógł się znacznie, kiedy truchtała ścieżką, gdyż – odbijając się od skał – wiał tu we wszystkich możliwych kierunkach. Tessę bolały uszy na skutek ciśnienia i wycia.

Brama była od niej dwa razy wyższa. Metalowe antaby, biegnące w poprzek do zawiasów, miały grubość końskiego łba. Lakier, jeśli takowym pokryto je kiedyś, dawno odpadł na wietrze. Nie było czym zakołatać, więc wyciągnęła z za pasa nóż Ravisa i rękojeścią zastukała w drewno. Spodobał jej się odgłos, jaki wydały drzwi. Był wyraźny i niósł daleko, odbijając się przyjemnie na tle skowyczącego wichru. Zsiadła z konia i czekała na odpowiedź.

Chwycił ją skurcz w nodze, ale zanim zdążyła rozmasować mięśnie, otworzono drzwi. Wyprostowała się i wstrzymała oddech. W przejściu stał młodzieniec ubrany w szatę z nie wybielonego płótna, trzymający w ręku zapaloną świecę.

– Witaj – powiedział. – Wejdz i schroń się przed burzą.

Tessa wypuściła z płuc powietrze. Nie wyobrażała sobie, że powitają młody człowiek. Wszystkie opowieści pani Wicks na temat świątobliwych mężów kazały jej przypuszczać, że wyspę zaludniają starzejący się lub starzy mężczyźni.

– Pozwól, że zaprowadzę twego konia.

Skinęła głową i wręczyła mu lejce. Zdała sobie sprawę, w jak opłakanym stanie musi się znajdować. Odgarnęła z twarzy mokre włosy i zapytała:

– Czy nadal mieszka tu brat Avaccus?

Młodzieniec przeprowadził wierzchowca przez bramę i dalej, na dziedziniec. Nie odpowiedział na zadane pytanie. Myśląc, że nie usłyszał, powtórzyła je po raz drugi.

– Brata Avaccusa nie ma już wśród nas, moje dziecko.

Zaskoczona, spojrzała za siebie, a tam, z cienia pod bramą, wynurzył się drugi człowiek. Miał ogoloną głowę i białą brodę, poruszał się żwawo, choć musiał być bardzo stary.

– Przepraszam, że cię nastraszyłem, moje dziecko – odezwał się, ujmując Tessę za ramię.  
– Jestem ojciec Issasis, tutejszy opat. Chodź, dostaniesz gorącą strawę.

Pozwoliła mu poprowadzić się w stronę kolejnej bramy. Opat dziwnie pachniał – bynajmniej nie nieprzyjemnie, tylko czymś, czego nie potrafiła nazwać. Nie puszczał jej ramienia.

– Gdzie przebywa obecnie brat Avaccus? – spytała.

Opat westchnął głęboko.

– Niestety, moje dziecko, na każdego z nas przychodzi kiedyś pora.

Młodzieniec ze świecą zgasił ręką płomień. Usłyszała, jak skwierczy jego skóra.

– Tędy, proszę. – Opat prowadził ją dalej, lecz młodzieniec został w tyle.

Cofnęła się.

– A co z moim koniem i bagażem?

– Dziecko, brat Erilan zajmie się twoim koniem, a jeżeli sobie tego życzysz, bagaże możesz wziąć z sobą.

Potrząsnęła głową z zakłopotaniem. Cały jej bagaż składał się z bochenka chleba i garści owsa dla konia. Nóż miała przypasany pod płaszczem, a pieniądze schowane pod stanikiem.

Opat powiodł ją poprzez mroczny dziedziniec ku kamiennej arkadzie po drugiej stronie. Towarzyszyły im echa intonowanych pieśni.

– To cerialia – wyjaśnił opat. – Nasze modlitwy dziękczynne do Boga za błogosławieństwa udzielone w mijającym dniu, a także prośby o opiekę w nocy. – Mówiąc to, pociągnął ją w stronę drzwi. – Chodź, musimy się pospieszyć, jeśli masz coś zjeść i znaleźć celę przed ósmym dzwonem.

– Przed ósmym dzwonem? – Tessie przestała podobać się dłoń opata, spoczywająca na jej ramieniu, więc strząsnęła ją ostentacyjnie. Dziwiła się, dlaczego taka ważna osobistość wychodzi do bramy witać gości.

Opat przez chwilę usiłował ponowić uścisk na ramieniu Tessy, lecz rychło zrezygnował.

– Przy ósmym dzwonie gasną ostatnie światła. Kiedy umilknie, nikomu nie wolno jeść, mówić głośno i wychodzić z celi.

Drzwi otworzyła im ciemna postać i bez słowa znikła, kiedy weszli do środka. Znaleźli się w długim korytarzu, wzdłuż którego biegły rzędy drzwi. Tessa westchnęła z ulgą, gdyż nie docierały tu zimne podmuchy wichury. Sądziła, że ustanie teraz dzwonienie w uszach, tak się jednak nie stało. Nadal brzmiało niczym dobiegający z dali niewyraźny odgłos ostrzegawczych dzwonów.

Dygotała. Temperatura w opactwie była niższa niż na dziedzińcu. Stapała po posadzce wyłożonej misterną mozaiką płytek wielkości kciuka. Wzory – wyblakłe w ciągu stuleci – rozgałęziały się we wszystkich kierunkach, docierając do każdego pograżonego w cieniu kąta, oplatając najmniej dostępne zakamarki na ścianach. Niektóre ze wzorów przypominały jej iluminacje Deverica.

Pieśni stawały się coraz wyraźniejsze. Nie rozróżniała słów, ale wsłuchując się w brzmienie głosów, zachodziła w głowę, czy aby na pewno są to dziękczynne modły. Miała ochotę wycofać się stąd, pójść do bramy, postać po wierzchowca i wrócić groblą do miasta. Pani Wicks powitałaby ją z otwartymi ramionami. Czy wiście, nie omieszkałaby przy okazji porzędzić na temat niebezpieczeństw, jakie czyhają na młodą kobietę, która podróżuje samotnie. Jednakże ślaniała się ze zmęczenia, a myśl o wietrze, piasku i kolejnej półgodzinie spędzonej w siodle napawała ją dreszczem. Prócz tego nie dowierzała zapewnieniom opata, dotyczących śmierci brata Avaccusa. Emith zdawał się przekonany, że brat żyje.

– Jak dawno temu odszedł brat Avaccus? – zapytała, kiedy opat wprowadził ją do obszernego, wysoko sklepionego pomieszczenia. Był to refektarz, środkiem którego biegł długi stół biesiadny; wokół niego w nienagannym porządku stały krzesła, a na blacie, wokół cynowych kandelabrow, porozstawiano miski. Garstka mężczyzn odzianych w podobne, nie wybielone szaty sprzątała ze stołu resztki ostatniego posiłku. Talerze i kielichy zostały

umieszczone w drewnianych korytkach, po czym wyniesione za niskie drzwi, znajdujące się po przeciwległej stronie sali.

Ignorując jej pytanie, opat podszedł do najbliższego z mężczyzn, dotknął go lekko w ramię szepnął mu coś do ucha i kazał dokądś iść. Mężczyzna zniknął w ciemnościach za drzwiami.

– Pytałam, jak dawno temu odszedł brat Avaccus. – Tessę bardzo zdziwiła siła własnego głosu.

– Dziecko, jesteś zmęczona i przemoczona do suchej nitki. Usiądź tu na chwilę, a brat Llathro wnet ci przyniesie z kuchni chleba i gorącej zupy. – Opat przysunął najbliższe krzesło. – Siadaj.

Krzesło ją kusiło, a ciało domagało się odpoczynku, ona jednak nie ruszyła się z miejsca. Opat wzruszył ramionami.

– Jak sobie chcesz, dziecko. – Dosunął krzesło do stołu. – Brat Avaccus zmarł pięć dni temu. Darzyliśmy go w bractwie serdecznym uczuciem i byłbym wdzięczny, gdybyś nie wymawiała więcej jego imienia. – Głos opata stał się szorstki. – Martwi mnie, że mówi się o nim tak źle.

Wbiła wzrok w ziemię. Czowała, jak na policzki wypływa jej rumieniec. Gdyby słowa opata były prawdziwe, oznaczałoby to, że Emith nie mylił się, mówiąc, iż brat Avaccus żyje. Człowiek ten zmarł w czasie, gdy ona płynęła z Ravisem statkiem.

– Bracie Llathro, zaprowadź to dziecko do celi.

Uniósłszy głowę, zauważyła, że mężczyzna, któremu dwie minuty temu opat wydał polecenie, powrócił do refektarza z drewnianą tacą, na której stały miska, dzbanek, bochenek chleba i cienki kawałek sera. Podszedł do opata i szepnął mu coś tak cicho, że nie zrozumiała ani słowa.

– Nie, bracie Llathro – odparł opat. – Zabierzesz jedzenie do celi naszego gościa. – Spojrzał jej w oczy. – Przestrzeganie naszych reguł związanych z ósmym dzwonem pozostawiam pod rozwagę jej sumieniu.

Rumieńce na twarzy Tessy pokraśniały jeszcze bardziej. W obecności opata czuła się jak niesforne dziecko.

– Proszę tędy, siostró. – Brat Llathro minął Tessę i skierował się ku drzwiom. Jego cień przejął ją chłodem.

– Pobudka nastąpi o pierwszym dzwonie – oznajmił opat, zanim znikła za drzwiami. – Ktoś cię odprowadzi do bramy. Niestety, nie wolno nam gościć przyjezdnych dłużej niż jedną noc. – Uśmiechał się jowialnie. – Odpoczywaj z Bogiem, moje dziecko.

Nie racząc odpowiedzieć, udała się w ślad za bratem Llathro wąskim korytarzem. Opuściły ją siły. Popelniła błąd, przybywając tutaj.

Brat Llathro wiódł ją labiryntem krętych korytarzy. Kamienne łuki spinały mury i podtrzymywały ciężar górnych pięt. Wszędzie biegły ornamenty, na tynkach, na drewnie,

na każdym stopniu schodów. Niektóre obluzowane płytki kiwały się pod butami. Intonacje umilkły i ciszę przerywał teraz jedynie głuchy odgłos ich kroków i daleki szum morza. Dzwonienie w uszach Tessy przeszło w ciche buczenie.

– To tutaj, siostrze – rzekł brat Llathro, zatrzymując się przy drzwiach położonych na samym końcu długiego, pustego korytarza. – To twoja cela na noc. – Otworzył drzwi i wszedł do środka, a tuż za nim Tessa. Od świecy stojącej na tacy mnich zapalił knot świecy w pomieszczeniu, poczekał, aż stopi się i spłynie wierzchnia warstwa wosku, po czym ustawił ją na podłodze.

W malutkiej celi panowało przenikliwe zimno i dokuczały przeciągi. Okiennice przysłaniające jedyne okno grzechotały na wietrze. Wyglądało na to, że burza się wzmacnia.

– Odpoczywaj z Bogiem, siostrze.

Obejrzała się za siebie, ale brat Llathro już zamykał drzwi. Tacę położył na ziemi, tuż obok płonącej świecy. Zupa w misce mąciła się przy każdym porywie wiatru. Tessa wzięła głęboki oddech i przesunęła dłońmi po skroniach. Była tak wyczerpana, że nie miała siły myśleć. Jutro. Jutro zdecyduje, jakie kroki przedsięwziąć.

W celi znajdował się tylko jeden przedmiot, wełniany pled przykryty cienkim kocem, i Tessa opadła nań, rozpinając płaszcz i rozpuszczając włosy. Przyciągnęła tacę i odłamała kawałek chleba. W ustach tak jej zaschło, że z trudem przełknęła pierwszy kęs. Odłożyła chleb i sięgnęła po miskę. Wtem odezwał się dzwon.

Uderzył osiem razy, wydając długie, głuche dźwięki, które zdawały się jeszcze przez pewien czas płynąć w powietrzu. A więc to był ósmy dzwon.

“Kiedy umilknie, nikomu nie wolno jeść, mówić głośno i wychodzić z celi”.

Odłożyła miskę. Wolą nie kusić losu. Położyła się na pledzie i naciągnęła pod szyję kocyk.

Wzory. Na tynku i belkach powały ciągnęły się ich długie nici. Nazbyt zmęczona, aby zastanawiać się nad szczegółami, zamknęła oczy i zaczęła pograżać się we śnie. Wspominała jak przez mgłę słowa opata, zgodnie z którymi po ósmym dzwonie gasną ostatnie światła. Tylko w jej celi nadal tliła się świeca, ale zanim zdążyła ją zdmuchnąć, zapadła w kamienny sen.

Izgard wyciągnął rękę i wodził palcami wzdłuż konturów rzucanego przez skrybę cienia. Płótno namiotu było szorstkie i pocętkowane zaschniętym błotem, mimo to odurzało go odbierane wrażenie. Poruszała się tylko niewielka część cienia – przedstawiająca prawe ramię skryby. Ederius ślęczał w swoim namiocie nad wzorem przedstawiającym Wieniec. Dokonywał ostatnich retuszy. Izgard pragnął wejść do środka, usiąść cicho i obserwować starca przy pracy, podobnie jak to czynił, zanim został królem.

Z żalnym westchnieniem oderwał się od płótna i ruszył przez obóz. Nie mógł ryzykować, że przeszkodzi Ederiusowi. Wzór, nad którym pracował, miał szczególną wagę,

aczkolwiek dopiero w ciemności przedświt rozpocznie się prawdziwie wielkie, iluminatorskie dzieło.

W obozie panował niezwykle spokoj. Żołnierze zebrani wokół tłących się ognisk starali się zasnąć lub udawali sen. Nikt nie śpiewał, nie ostrzył noża osełką, nie podstawił kubka pod beczkę. Wszystko było dopięte na ostatni guzik. Armia Garizonu gotowała się do boju.

Nazajutrz o świcie rozpocznie się pierwsza bitwa. Suzeren Raize na czele swych wojsk spotka się z oddziałami Garizonu na południowych stokach wzgórz. Izgard starannie wybrał czas i miejsce; wiedział w głębi serca i czuł w kościach, że to jemu przypadnie zwycięstwo.

Potrzebował tylko jednej bitwy. Jednej krwawej, rozstrzygającej bitwy, żeby stać się głównym aktorem w tej wojnie.

Odważni, acz zuchwali raizyjscy rycerze zejść do doliny, która stanie się wnet ich cmentarzem. Armie Garizonu otoczą ich niczym zwoje Kolczastego Wieńca: będą rozdzierać, nabijać na pale i rzucać krwistoczerwone cienie. Sandor, powodowany wyniosłą dumą, z pewnością nie zaplanował drogi odwrotu. Ta duma pozwoliła mu myśleć wyłącznie o walce, ograniczyć wspomnienia do Wiernej Góry. Sandor nie przekonał się jeszcze, do czego zdolny jest waleczny król Garizonu. Ostrzegano go, ale się jeszcze nie przekonał.

On, jego wojsko i kraj, za który walczy, jutro dostaną lekcję i dowiedzą się, czym grozi zapominalstwo. Pięćdziesiąt lat temu raizyjscy rycerze spalili doszczętnie Weizach, a chociaż w pożodze nie polało się wiele krwi, za wyrządzone krzywdy najeźdźcy zapłacą głową. Kolczasty Wieńiec popadł w zapomnienie i zniknął ze sceny na pół wieku, który to czas teraz musi sobie powetować. Ileż to lat tkwił, niczym zamachowiec, schowany w najciemniejszym i najgłębszym lochu w Sirabayus! Jakże zacne zakonnice pragnęły pozbyć się tego brzemienia, który – jak utrzymywały – mącił im spokój ducha i wypełniał sny koszmarami!

Izgard zatrzymał się na błotnistej ścieżce i zastanowił, czy nie obejść rozstawionych straży, nie porozmawiać ze zwiadowcami, którzy dopiero co powrócili z obozu wojsk suzerena i nie sprawdzić, czy wszystko przebiega zgodnie z planem. Powziął jednak inne postanowienie; skrzył i udał się do swego namiotu. Nie musiał instruować żołnierzy, żeby w takiej chwili zachowali szczególne środki ostrożności. Jako wódz oddawał im tym samym honor.

Wszystko było gotowe. Pułapka została zastawiona. Harrarzy, których zawezwie wzór Wieńca, zostali wybrani osobiście przez Izgarda. Okrągły tysiąc. Z nastaniem świtu dwudziesta część wszystkich żołnierzy Garizonu, którzy obecnie grzali się przy ogniskach, ruszy w bój jako bezlitosna, niszczycielska siła. Ederius, wsparty swymi iluminacjami, wszystkiego dopilnuje.

Zwierzęcy skowyt przerwał nocną ciszę. Jękliwe, przejmujące wycie rozdarło noc, podobnie jak złamana kość przebija się przez skórę. Mimo że Izgard przywykł do podobnych odgłosów, nie mógł powstrzymać drżenia. Dźwięk ów oznaczał, że kolejny harrar będzie musiał zginąć.



Kolczasty Wieniec za swoje usługi wystawiał słone rachunki. Jedna trzecia harrarów posłanych do Doliny Popękanych Kamieni, gdzie walczyli z Ravisem z Burano i Camronem z Thornu, pożegnała się już z życiem. Musieli ponieść śmierć dla dobra reszty. Iluminacje uzyskały ostateczną formę, farba dawno wyschła, lecz nie wszyscy wyzwolili się spod władzy wzorów zawartych w Wieńcu i poskromili żądzę krwi. Ich wygląd przypominał raz ludzi, a raz bestie. Kości się rozrastały, apetyty wyostrzały, a szpony zakrzywiały i wpijały w ciało. Medycy woleli nie dochodzić przyczyn strasznych boleści harrarów, które kazały im wycie przeraźliwie, ale Izgard przestał się dziwić z chwilą, kiedy przyjrzał się ich paznokciom i szczękom.

Pierwszej ofierze rozcięto brzuch. Okazało się, że trzecie żebro po lewej stronie odeszło od mostka i wrosło w serce.

Teraz, gdy tylko pojawiał się ból, dokonywano egzekucji. Harrarów uśmiercano przy zachowaniu możliwie największej dyskrecji – okrzyków bólu jednak niepodobna było stłumić – po czym pod osłoną ciemności wynoszono ciała poza obręb obozu. Izgard nie mógł pozwolić, aby strach oświadczył wojskiem, toteż polecił generałom informować żołnierzy, że harrarów gnębi raizyjska czarna magia. Takie wyjaśnienie dodawało jeszcze ludziom ochoty do walki.

Izgard zbliżył się do swojego namiotu, zwrócił uwagę na blade światło, jaśniejące wewnątrz i na cień rzucany przez żonę. Angeline jeszcze nie spała: bawiła się z tą głupią, pocieszną psiną i rozmawiała sama z sobą tym piskliwym, dziewczęcym głosikiem. Zaciśniętą mocno wargi, rozchylił skrzydło namiotu i wszedł do środka.

– Och, Izgardzie! – Angeline na jego widok zeskoczyła z krzesła, zrzucając piaska na ziemię. Rumieniec zmieszania zabarwił jej lica. Obok niej, na skrzyni, stał talerz zjedzeniem. Widząc, że wzrok Izgarda kieruje się w jego stronę, pospieszyła z wyjaśnieniem: – To tylko resztki. Dla Śnieżka.

Izgard zauważył, że Angeline też coś przetyka. Wciągnął policzki. Ta wariatka zaczęła już jeść odpadki przeznaczone dla psa. Jej stan się pogarszał. Żałował, że posłał po nią do twierdzy.

– Wracaj do siebie i zabierz stąd tego zwierzaka.

Wyciągnęła do niego rękę i postąpiła krok do przodu.

– Ależ, Izgardzie...

– Idź już!

Nie zauważył, czy to Angeline cofnęła się jako pierwsza, czy zrobił to pies. Stworzenie przyskoczyło do nóg swojej pani. Pochyliwszy się, królowa pogłaskała struchlałe zwierzę. Izgard dostrzegł zmianę w jej spojrzeniu, kiedy drapała miękką sierść za uszami psa. Strach ustąpił miejsca jakiemuś innemu uczuciu.

Znów przelknęła, tyle że ślinę, a nie jedzenie.

– Gerta mówi, że potrzebny nam potomek. Jest na to tylko jeden sposób, ty i ja musimy...  
– Urwała i zajęła się wybieraniem żdzbeł słomy z psiego futerka.

Izgard nie miał na nią ochoty. Jego myśli krążyły wokół wojny. Wszystko musiało potoczyć się zgodnie z założeniami. Miał przed sobą długą noc; wiedział, że nieprzespaną. Jedna rozstrzygająca bitwa otworzy mu jutro drogę do Bay'Zell. No tak, suzeren wraz z resztkami swej armii spróbuje się przegrupować i zaatakować ponownie, ale wieści zdążą się rozejść, dawne wspomnienia legną w gruzy, obudzi się strach. Każdy rycerz, który ujdzie z życiem z jutrzejszej bitwy, będzie miał o czym opowiadać: o kościach pękających z trzaskiem, o rozrywaniu ciała, o harrarach nacierających czarną ławą. Słowa o demonach wypłyną z każdego napuchniętych ust, a śmiertelny strach wyrzy z każdego przekrwionego oka. „Izgard to diabeł wcielony – zakrzykną – a jego harrarzy to bestie, nie ludzie”.

Strach to skuteczny oręż. Niejeden raizyjski rycerz wybierze dezercję, bojąc się walczyć z nadprzyrodzoną mocą. Tych, którzy się ostaną, sparaliżuje lęk.

– Izgardzie, pozwól proszę, że zdejmę ci płaszcz.

Myśli Izgarda powróciły do rzeczywistości. Angeline. Zapomniał o jej obecności. Uważając brak odpowiedzi za zgodę, ruszyła, żeby odpiąć mu klamerki płaszcza. Podniósł rękę gestem sprzeciwu.

– Powiedziałem, żebyś poszła. Czyżbyś przestała rozumieć, co do ciebie mówię?

Angeline zdrętwiała; jej wyciągnięta dłoń zawisła nieruchomo w powietrzu. Niebieskie oczy wpatrywały się w króla z ostrożnym, dziecięcym oburzeniem. Piesek skulił się jeszcze bardziej.

Wysuwając podbródek, powiedziała:

– Rozumiem, co mówisz. Nie jestem dzieckiem. To ty jesteś zaślepiiony. Wezwałeś mnie tu, żeby spłodzić potomka, a teraz nie raczysz zauważyć mojej obecności. Jak niby mam zajść w ciążę, skoro nie chcesz pójść ze mną do łóżka?

Izgard poczuł, że żyły pęcznieją mu na karku. Jak ona śmie odzywać się doń w ten sposób? Pomysły podsuwa jej ta tłusta, leniwa służąca.

– Czy wiesz, co przyniesie jutro? – zapytał, chwytając i wykręcając jej nadgarstek. – Wiesz?

– Ja... ja...

Kciuk Izgarda zatopił się między jej ścięgna. Miała tak mały nadgarstek, że czuł, jak czubki własnych palców naciskają z drugiej strony.

– Jutro rozpocznie się pierwsza bitwa Garizonu od czasu Wiernej Góry. Wiernej Góry! Poległo wówczas dwadzieścia tysięcy synów naszej ziemi – ich ciała zamarzyły na stokach i spłynęły dopiero z wiosennymi roztopami. Pół roku Weize dławiała się ludzkimi szczątkami.

Izgard wyobrażał sobie sceny rzezi i rozkładu: mistrzowie z Weizach przedstawili je na obrazach. Odkrywając w czasie pracy nieznanie wcześniej kolory, wiernie oddawali subtelne gradacje odcieni gnijącego ciała i kruszejących kości. Serce Izgarda zaczęło bić szybciej. Pod

językiem zebrała mu się ślina. Gdzieś pomiędzy pociągnięciami pędzla, niczym inicjały nacięte na pniu wiekowego drzewa, ukrywał się cień Kolczastego Wieńca.

Angeline chciała się wyrwać. Strach czał się w jej oczach.

– Nie – mruknął Izgard, podniecony wizjami, jakie nawiedzały jego umysł. Nadgarstek Angeline był wilgotny pod jego palcami. Wilgotny i gorący, kiedy nim potrząsał. – Chciałaś zostać, no więc zostaniesz!

Wpijając czubki palców coraz głębiej, do kości, Izgard wykręcił rękę królowej. Musiała pochylić się i cofnąć krok do tyłu. Przy próbie oswobodzenia się mogła złamać unieruchomioną rękę. Pies zaskowyczał i znikł w cieniu za plecami swej pani.

– Chcesz więc, żebym poszedł z tobą do łóżka, tak? – syknął Izgard. – Tej nocy przed wyruszeniem na wojnę? Przed tym, jak poślę na śmierć synów Garizonu?

Potrząsnęła głową. Kropelki śliny opryskały jej prawy policzek. Izgard uświadomił sobie niejasno, że wydobyły się z jego ust.

– Wybacz, Izgardzie – jęknęła. – Wybacz mi, Gerta powiedziała...

– Gerta powiedziała! Gerta powiedziała! – Przy każdym słowie popychał nadgarstek w stronę jej ciała. Zgięła się niemal do ziemi. – Chcesz wiedzieć, co ja mówię? Mówię ci, że ta kobieta wyjedzie stąd jeszcze przed świtem. Wyjedzie. Każ jej tu przyjść!

Zagryzła wargę. Chociaż jej twarz znajdowała się nie dalej jak o kilka cali od oblicza króla, nie śmiała spojrzeć mu w oczy.

– Zawołaj ją!

Znów potrząsnęła głową.

– Przepraszam, Izgardzie, to nie wina Gerty. To moja wina. Czułam się taka... samotna.

Kłamała. Jej policzki płonęły tak gorącym rumieńcem, że Izgard mógł niemal zobaczyć, jak jego ślina zamienia się w parę. Czuł pod koniuszkami palców pulsującą krew, starającą się wpłynąć do dłoni. Ta jego dziecinna żona miała silne serce.

– Zawołaj Gertę – mruknął, wplatając w głos cząstkę swoich wizji. Ujrzał kości wrastające w bijące serca, czuł drzenie ziemi pod stopami maszerującego wojska, błyskającego dobytymi mieczami, a wszystko to w rytm pulsu Angeline. Jutrzejszy dzień wydał mu się nagle zbyt odległy, a on pragnął ujrzeć krew swoich wrogów. Teraz.

– Gerto – zaczęła Angeline bez przekonania. Łzy napłynęły do jej oczu.

– Jeszcze raz. Głośniej. – Sądził, że odezwał się cicho, jednak musiała usłyszeć coś, czego on sam nie usłyszał, gdyż zawołała, nie wahając się ani sekundy dłużej. Wystarczająco głośno, aby zavezwać marynarzy w czasie sztormu.

Patrząc na pełne, rumiane policzki Angeline i jej dziwnie przegięte plecy, Izgard czuł wzgardę: dołączył ją w poczet tych, których można złamać. Podobnie jak Raize. Wpierw zmiękczy ją strachem i odbierze ochotę do walki, zanim jeszcze rozpocznie się bitwa.

– Pani, panie. – Służąca Gerta pojawiła się w szczelinie płótna, rozchylając zręcznymi palcami skrzydła przepierzenia. Zbyt wielka i niezgrabna, by się dworsko ukłonić, pochylała

tylko głowę, jakby sufit znajdował się za nisko. Nie wyraziła miną zdziwienia na widok sceny, jaka się przed nią rozgrywała. Rzuciwszy szybkie spojrzenie na twarz królowej, wpatrzyła się nieruchomo we władcę. – W czym mogę pomóc, panie?

Spodziejając się oznak zdziwienia, przygotował się na wybuch gniewu, lecz jej kamienne oblicze doprowadziło go do istnej wściekłości. Czyżby zamierzała odmówić należnej mu daniny strachu?

– Twoja pani już cię nie potrzebuje. Jeszcze tej nocy wyruszysz do Garizonu.

– Tej nocy! – wykrzyknęła Angeline. – Ależ...

Izgard uciszył ją skrzętem nadgarstka. Westchnęła boleśnie. Gdzieś w nieprzeniknionym cieniu zaczął warczeć pies.

Gerta stała niewzruszenie. Gdy zgięła się w błagalnym pokłonie, jej wielka, garizońska sylwetka nie straciła nic ze swej stanowczości.

– Proszę tylko o kilka godzin, panie, a przygotuję siebie i twą panią do powrotu do twierdzy Sern. Będzie nam potrzebna eskorta złożona z sześciu zbrojnych ludzi, kryty powóz i...

Puściwszy nadgarstek królowej, Izgard huknął pięścią w końską szczękę Gerty. Angeline wydała okrzyk przerażenia. Stara służąca zatoczyła się do tyłu, ale nie upadła. Rozmaite metalowe przybory, wiszące u jej pasa, zabrzęczały, kiedy chwyciła się drewnianego słupka.

– Chyba wyraziłem się jasno: to ty masz tej nocy wyruszyć do Garizonu, nie moja żona. Pojedziesz sama. Zbieraj manatki. Weź sobie konia ze stajni, eskortę wybierz spośród rannych żołnierzy i precz z moich oczu!– Przez cały czas Izgard zerkał na Angeline, ciekawy jej reakcji. Twarz królowej poszarzała, przez co jej skóra wydawała się pokryta warstwą szybko schnącego wosku. Pragnął dotknąć jej policzków i zbadać, w jakim stopniu odpłynęła z nich krew. Powstrzymał się jednak. Inne żądze domagały się posłuchu, krzycząc wielkim głosem. Przeniósł spojrzenie na Gertę i powiedział: – Rób, co ci każe!

Gerta zawahała się. Popatrzyła na Angeline. Wyglądało na to, że przekazała jej jakąś wiadomość, po czym pochyliła głowę i mruknęła:

– Jak rozkażesz. – Z premedytacją opuściła słowo: “panie”.

Izgard ujrzał przed oczami szkarłatne smugi. Ujrzał cień dawno zakrzepłej krwi i jasny błysk świeżo przelanej. Zwierciadło jego duszy rozpadło się na tuzin oddzielnych obrazów i zaczęło przypominać oszlifowany diament, którego każda ścianka przedstawiała wizję korzyści wyciągniętych z wygranej wojny. Zwycięstwo zapewni mu chwałę, nieśmiertelność, potęgę, szacunek i strach. Zwycięstwo, które odniesie nie kto inny, tylko on.

Patrzył z ustami ociekającymi śliną, jak Gerta zbiera się do odejścia. Dostrzegł oznaki buntu w sposobie, w jaki ośmieliła się w jego obecności dotknąć obolałą szczękę, wyzwanie ukryte za zasłoną powolnego kroku. Jak ona śmie się wahać! Jak śmie podnosić oczy i rzucać jego żonie ostrzegawcze spojrzenie! Jak śmie kwestionować rozkazy władcy Kolczastego Wieńca!

Ruszył w jej stronę. Jutro o świcie stanie na czele armii. Synowie Garizonu stawiają się na jego rozkazy, gotowi poświęcić życie za swego króla i naród. Tymczasem ta tu kobieta, w swym zatwardziałym, staropanińskim uporze rzuca porozumiewawcze spojrzenia i posyłaniu wyzwania w jego własnym namiocie, w obecności żony. Tak być nie może!

Chociaż miał nóż u pasa, nie myślał wysuwać go z pochwy. Pragnął dotykać, czuć. Gdy ujął w dłonie fałdy tłuszczu, zwisające z podbródka Gerty, palce jego przesunęły się po śliskiej od potu skórze, co dało mu natychmiastową satysfakcję. Strach nie opuszczał jej ani na chwilę, choć nie dawała po sobie niczego poznać. Kobieta miała w swych tłustych ramionach sporo krzepy i nie zamierzała stać obojętnie: odpychała go i okładała pięściami. Izgarda jednakże podsycił tuzin mistycznych wizji, więc uderzenia służącej wydawały mu się głaskaniem po piersi. Zaciskając palce na podbródku kobiety, pchał jej głowę do tyłu, aż dotknęła drewnianego słupa, który przedtem uchronił ją przed upadkiem.

Angeline krzyczała bez ustanku. Piesek wynurzył się z cienia i tańczył wokół nóg króla, ujadając i kęsając. Izgard wierzgnął w stronę psa, ale trafił butem w drewnianą skrzynię, o włos chybiając celu. Kątem oka zauważył, że Angeline podniosła zwierzaka i przytuliła do piersi. Zarówno pani, jak i jej piesek milczeli od tej chwili.

Izgard raz po raz uderzał głową Gerty o słupek. Blasowany kubek i szczoteczka, które zwisały z pasa starej służącej, niczym krowie dzwoneczki dźwięczały przy każdym zderzeniu. Sam palik zaczął chwiać się u podstawy, a sufit z ceraty trząsł się i kołysał. Izgard dopóty uderzał Gertą o rozchwiany słupek, dopóki nie osiągnął tego, do czego zmierzał.

Ostatecznie z wielkiej, garizorlskiej głowy Gerty spłynęła krew, dotarła do szczęki i ściekła na rękę króla. Ciało służącej zwiotczało, ramiona opadły bezwładnie, a powieki trzepotały jakby w głębokim śnie. Cienka strużka śluzu wypłynęła jej z nosa. Izgard czuł, jak ciepła warstwa krwi oblepia mu dłonie. Nie było tego zbyt wiele, zaledwie tyle, ile mogą pomieścić cztery naparstki, ale i tak wystarczyło, żeby zaspokoić wizje powstałe w jego głowie.

Niczym para unosząca się znad gorącego garnka, wizje uleciały zwiewnymi, falującymi kłębami. Żądza zwycięstwa ustąpiła, pozostawiając go oszołomionego – jak kogoś, komu zdjęto opaskę z oczu i ustawiono w słońcu. Odsunął rękę od gardła Gerty i opuścił jej ciało na ziemię, ostrożnie, aby nie spowodować dodatkowych obrażeń.

Spoglądał na wykrzywioną, oblaną krwią twarz i drżał jak osika, nie mogąc uciszyć skołatanego serca. Nie pamiętał już, co wzbudziło w nim taką wściekłość.

Niebo nie było granatowe, lecz Ederius wybrał właśnie ten kolor. Morze znajdowało się przeszło sto mil na północ, lecz on rozcieńczał farby słońcą wodą. Od trzydziestu pięciu lat nie widział Wyspy Namaszczonych, pamiętał jednak wszystkie detale, jakby opuścił ją wczoraj; jej barwy, tekstury i zapachy odtwarzał w swoich pigmentach.

Któryż skryba wyszkolony na wyspie nie wspomina skrzeku mew i gry szarych cieni rosnącego przyboju?

Pigmenty czekały już na rozmieszanie, pędzelki zostały oczyszczone, pergamin pokryty zaprawą i posypany kredą. Ederius wstał od stołu i czterema krokami przemierzył szerokość namiotu. Na stołku stała klepsydra; piasek zsypał się na dół, wskazując godzinę, która wybiła dawno temu. Ze swego osobistego kufra wyciągnął skrawek materiału i owinał nim klepsydrę. Związał cztery rogi szmatki, sporządził prowizoryczny uchwyt, po czym powrócił do stołu, uniósł zawiniątko wysoko nad głowę i ze wszystkich sił uderzył nim o blat. Szkło rozsypało się w drobny mak. Zabrzęczały garnuszki z pigmentami. Pergamin zatrzęsł się i szybko znieruchomiał.

Skryba puścił zawiniątko i rozchylił brzegi. Okruchy szkła wystawały niczym przezroczyste zęby z pryzmy połyskującego piasku.

Zaczął wolno wybierać ostre kawałeczki. Te większe nie sprawiały trudności, lecz niektóre były niczym ziarenka piasku; po chwili zaniechał dalszej pracy. Mijały cenne minuty i należało jak najszybciej przystąpić do malowania iluminacji. Punkty odniesienia, potrzebne do wykreślenia wzoru, wygrawerowano w najgłębszej czeluści Kolczastego Wieńca. Ederius wiedział, że upłynie trochę czasu, zanim przyzwyczai się do nowych kształtów.

Nie mógł sobie pozwolić na żadne błędy.

Zsypał piasek i ponownie związał zawiniątko, po czym uniósł je nad blatem stołu. Przekłuł nożem tkaninę, tak by cieniutki strumień wysypał się przez dziurkę prosto na stłoczone wokół pergaminu pojemniczki z pigmentami. Podstawił dłoń i przesiewał piasek przez palce, wyłapując ostatnie odłamki szkła.

Właśnie tego potrzebował – piasku.

Żółty piach symbolizował plaże, które rozciągały się wokół wyspy.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Brzęczenie stopniowo przybierało na sile. Zabłądziła w labiryncie wzorów. Złotookie węże syczały pod jej stopami, a ostre niczym brzytwa ciernie czepiały się włosów i ubrania. Coś ją ścigało; słyszała dudnienie kroków i czuła na policzkach czyjś chłodny oddech. Przyspieszywszy, nieznajomy dopadł cienia Tessy, a następnie wpił się pazurami w jej plecy.

Ocknęła się z odrętwienia. Drzwi do celi otworzyły się raptownie. Płomień świecy zamigotał i zgasł. Pozostała bezdenna czerń.

Coś wniknęło do środka. Czuła, jak wlewa się do celi, wypełnia przestrzeń i zasysa powietrze, którym oddychała. Zapach przypominający harrarów, tyle że jakby starszy, mocniejszy i krwawszy, buchnął jej w twarz niby żar z paleniska. Zadrzała. Spróbowała przełknąć ślinę, lecz coś twardego stanęło jej w gardle.

Gdy przybysz przysuwał się bliżej, pod wpływem jego ciężaru ściany zdawały się wibrować, a powietrze wokół zamierać. Chociaż wciąż dzieliło go od niej kilka stóp, czuła na skórze zimny dotyk. Ściskając kocyk, jakby mogła tym sposobem zapewnić sobie bezpieczeństwo, ociężale wstała z posłania. Jeśli chciała się ruszyć, nie miała wyjścia – musiała się cofnąć. Już przy pierwszym kroku uderzyła obcasem o ścianę.

Gliniane naczynia zachrzęściły pod stopami stwora niczym suchy piasek. Fetor wzmógł się. Tessa nie miała ochoty wachać tego smrodu, ale nie miała innego wyjścia. Odetchnęła ustami, nie nosem. Krew. Poczowała na ustach delikatny smak krwi. Z jej gardła dobył się zduszony, niewyraźny odgłos. Skamieniała.

Stwór, doskonale wtopiony w otaczającą go czerń, jednym susem przyskoczył do Tessy. Podmuch powietrza owiał jej twarz. Coś rozbłysło w pomroce – ząb lub oko – i wtedy obcy zaatakował. Zadał cios w klatkę piersiową, przygniatając jej żebra do płuc; ze świstem wypuściła powietrze. Mokry szpon rozorał jej policzek, a w ramieniu zatopiły się wilgotne kły.

Łzy popłynęły ciurkiem z jej oczu. Ból objął całą rękę i zaczął szarpać piersią. Zabrakło jej tchu, żeby krzyknąć. Ciemność osnuła się mgłą. Podciągnęła kocyk do twarzy i zaczęła okładać pięścią napastnika. Z równym powodzeniem mogła okładać pięściami skałę. Uniosła prawą dłoń i z rozmachem wyrznęła w paszczę stwora. Zaciśnięta szczeka odskoczyła do tyłu, puszczając ramię Tessy.

Kiedy napastnik odchyłał łeb do tyłu, wionął gorącym i słodkawym oddechem. Czuła, jak para kondensuje się w zetknięciu z jej policzkami. W zapachu stwora prócz krwi dało się wyróżnić coś jeszcze – coś jakby smród starego, gnijącego w mokrej ziemi ohydztwa.

Była zadowolona z faktu, że spowijał ich mrok. Wołała nie widzieć, co znajduje się obok niej w celi. Wołała nie wiedzieć, co to jest.

Gdy stworzenie gotowało się do zadania kolejnego ciosu, rozległo się ciche trzaśnięcie kości; rzuciła koc w stronę owego dźwięku. Cóż to była za desperacka próba – jakby rzucenie chusteczki na szarżującego byka! Dzięki niej jednak zyskała ułamek sekundy, potrzebnej napastnikowi na odrzucenie kocyka. Rzuciła się do okna.

Gdy jej dłoń opadła wzdłuż tułowia, musnęła nadgarstkiem o jakąś twardą rzecz: nóż Ravisa. Zanim jednak zdążyła zacisnąć palce na rękojeści, coś uderzyło ją w tył głowy. Zacisnęła zęby i zatoczyła się do głębokiej wnęki, w której znajdowało się okno. Uderzyła czołem o okiennice. Przed oczami zobaczyła czarne plamy. Nie mogła zapanować nad splątanymi myślami. Nogi ugięły się pod nią i osunęła się z parapetu na ziemię. Wtedy pazury rozdrapały jej plecy.

Cela zaczęła szaleńczo wirować. Nie potrafiła się ruszyć, nie potrafiła skupić myśli. Świetliste iskry zaczęły przelatywać jej przed oczami, pozostawiając za sobą białe warkocze.

W tej wirującej, przytłaczającej, wypełnionej ostrymi szponami ciemności usłyszała brzęczenie w uszach. Piskliwy dźwięk – który pojawił się z nadejściem burzy, towarzyszył jej przy przejeździe przez groblę i wkradł się w sny – z każdym uderzeniem serca rozlegał się donośniej. Dzięki niemu nie mogła zapomnieć, kim naprawdę jest.

Próbując uporządkować skołatane myśli i zmusić mięśnie do pracy, usiłowała zwinąć się w kłębek pod parapetem. Kończyny miała ociążałe, przez co poruszanie się przychodziło jej z trudem. Skórę pokryła mokra, ciągliwa ciecz. O dziwo, nie czuła bólu.

Stwór szarpał ją za plecy i ramiona, rozdierając suknię na strzępy, szukając kłami miejsc dogodnych do ugryzienia. Czuła, jak przygniata jej kręgosłup, druzgocze żebra i płuca. Zapach krwi stawał się wprost niemożliwy do zniesienia.

Dzwony huczały jej w skroniach, zmuszając do oddychania, poruszania się i myślenia. Niepozornym ruchem prawej ręki sięgnęła po nóż Ravisa. Z trudem objęła grubą rękojeść. Wyciągnięcie noża zza pasa zdawało się trwać całą wieczność. Broń wydała jej się niebywale ciężka i niewygodna. Kiedy wykręciła żelazo, szykując się do ciosu, kant dłoni spadł na jej skroń. Poleciała w bok. Ciemność na moment rozjarzyła się bielą, a potem jej klatka piersiowa i biodra gruchnęły o ziemię.

“To błąd – pomyślała, wolno i uważnie, niby pijak recytujący wierszyk. – To duży błąd”. Na skutek ostatniego uderzenia wzmogło się jedynie dzwonięcie w uszach. Jak mogła stracić przytomność, dręczona tak gwałtownym łoskotem?

Leżąc na ziemi i ściskając nóż pod brzuchem, czekała, aż stwór zbliży się na wystarczającą odległość. Mokra substancja splotła jej po policzku. Lewe udo dygotało, płuca piekły, lecz umysł pracował na najwyższych obrotach.

– Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć... – wydyszała. – Jeden, dwa, trzy, cztery...



Napastnik rzucił się na swą ofiarę. Powietrze owiało twarz Tessy, szpony zatopiły się we włosach. Tuż nad jej głową rozległo się sapnięcie, zniekształcone śliną i pianą. Dźwięk naprowadził jej nóż na cel. Odwróciła się gwałtownie i chlasnęła na odlew, przecinając szczękę i pysk. Rozległ się urywany skowyt. Stwór cofnął się nieznacznie. Coś opryskało twarz Tessy. Wstając niezgrabnie, wytarła strzępem rękawa wilgoć z policzków. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa i ugięły się w kolanach już przy pierwszym kroku. Musiała oprzeć się o ścianę wnęki. Przebijając wzrokiem ciemności, próbowała zlokalizować drzwi. Stwór jednak zagradzał jej drogę. Wstrzymała oddech, gdy usłyszała zdławiony, wściekły syk i poczuła nieznośną woń. Fala mdłości skrzyła jej wnętrzości. Stworzenie gotowało się do następnego natarcia. Obawiała się, że nigdy nie zdoła przedrzeć się do wyjścia.

Kiedy dostosowywała uchwyt, zamierzając bronić się nożem, jakby to był miecz, jego czubek zgrzytnął o coś metalowego. Zasuwka okiennicy. Hałas w uszach Tessy rozbrzmiał ze wzmożoną siłą. Okno! Stwór był za duży, żeby przejść przez okno.

Ale ona była w sam raz.

Ledwie myśl ta zakiełkowała w jej głowie, bestia ruszyła do ataku. Tessa dźgnęła w mrok osłaniający zasuwkę. Drżącą ręką prowadziła nóż w poszukiwaniu metalowej części. Wreszcie ostrze trafiło na żelazo, błysła iskierka. Stworzenie pociągnęło ją za włosy. Kręgi szyjne zatrzeszczały, lecz ona nie zwalniała uchwytu. Desperacko pociągnęła za rękojęść, a następnie uderzyła o drewno.

Zatrzask puścił i okiennice rozwarły się na oścież. Huraganowy, wściekły wiatr wdarł się do celi, przynosząc zapach soli, wodorostów i piasku. Deszcz zaciął prosto w jej twarz. Widoczność przy tym wcale się nie poprawiła. Na zewnątrz było równie ciemno jak w celi.

Ten stwór, ta istota roztaczająca zapach świeżej krwi i stęchłej ziemi, zatopiła kły w jej ramieniu. Tessa określiła się i dźgnęła w czernь bezpośrednio nad miejscem, gdzie poczuła ból. Ścisk szczęk zelżał na moment dzięki czemu szybko wyswobodziła rękę. Podciągając się lewą ręką do okna, prawą wymachiwała nożem. Otwór okienny był odrobinę węższy od szerokości jej ramion, wobec czego musiała się przeciskać. Pomogła jej krew: ciepła i śliska. Zdołała jakoś przepchnąć się na drugą stronę.

Znajdowała się już niemal na zewnętrznym parapecie, gdy coś ostrego przekłuło jej prawy goleń – stworzenie przegryzło skórę buta. Wierzyła nogą, bliska hysterii. Wreszcie skóra pękła, ból przeszył całą nogę, a stopa oswobodziła się z buta.

Straciła równowagę i przechyliła się nad krawędzią. Chciała złapać się występu w murze, ale było już na to za późno i spadła w ciemność.

Wylądowała w płytkiej sadzawce ze słoną wodą. Poczuła pieczenie w stu różnych miejscach. Leżała na kamieniach. Dudnienie w skroniach przypominające głos potężnego dzwonu w przeciągu sekundy rozjaśniło jej umysł.

Bezpośrednio nad nią rozległ się trzask czegoś pękającego. Gdy spojrzała do góry, aby sprawdzić, co to takiego, na plecach otworzyły jej się rany po kłach i łyzy napłynęły do oczu. Wiatr i słona woda smagały ją po twarzy. Z ledwością dostrzegała zarysy opactwa.

Jakiś przedmiot wylądował jej we włosach. Przeczesała je dłonią i wyciągnęła grubą, drewnianą drzazgę. Jej żołądek zbił się w kłębek. Stwór rozrywał framugę okna. Zamierzał wyskoczyć w ślad za nią. Na czworakach zaczęła szukać noża Ravisa. Nie namacała jednak palcami niczego oprócz kamieni wygładzonych morską wodą. Podczas upadku musiała zgubić nóż.

Stwór syknął cicho i nieco chrapliwie, a wkrótce po tym rozległo się trzaśnięcie odłamywanego kawałka drewna. W pobliżu coś ciężkiego wpadło z głośnym pluskiem do wody. Niebawem mogła wypaść cała framuga.

Zaniechawszy dalszych poszukiwań, zaczęła obracać się w kamienistej sadzawce, chcąc przerzucić na nogi ciężar ciała. Mięśnie nóg drżały. Żalosalne resztki sukni zwisały jej z pleców niby mokra firanka. Orientacja w ciemności była niezwykle trudna. Woda trzymała ją mocno w swych objęciach, a wiatr siekł zewsząd po twarzy. Wspierając się o klasztorne mury, niezdarnie podniosła się z kłęczek. W jedynym bucie rozlegał się chłupot. Przez chwilę rozważała, czy go nie zdjąć, ale odrzuciła ten pomysł, wątpiąc w swoje siły.

Z ponurym uśmiechem, zbyt zmęczona, żeby zaprzętać sobie głowę myślami bardziej złożonymi niż potrzeba ucieczki, odepchnęła się od ściany niczym łódź od nabrzeża. Jej ciało było dziwnie ociężałe, spóźniało się z reakcjami. Gdyby nie hałas w uszach, jej umysł także mógłby podobnie zanieść.

Chodzenie sprawiało problemy. Pod oknem ścieliły się luźno ułożone kamienie, które wrzynały się w gołą stopę, tak że krzywiła się przy każdym kroku. Krew sączyła się z pokąsanej goleni, a przy każdym przerzucaniu ciężaru ciała z jednej nogi na drugą musiała walczyć z drżeniem kolan.

Przed sobą ujrzała szarą linię, majaczącą niewyraźnie w ciemnościach zarówno nocy, jak i sztormu. Albo to było morze, albo też brzeg lądu – nie umiała ocenić. Odwróciła głowę przed deszczem i rozpyloną morską pianą, usiłując wypatrzeć więcej szczegółów: wyniosłości terenu, światełka Bellhaven, kanciaste sylwetki zabudowań w mieście – daremnie.

Gdzieś z tyłu zachrząściły kamyki. Wiatr przyniósł zapach krwi.

Zamknęła oczy. Jej żołądek skręcił się ponownie, ściągając niejako mięśnie w twarde, rozedrgany węzeł. Była tak zmęczona, że czuła się chora fizycznie. Miała chęć położyć się na kamienistej plaży i zapaść w sen lub stracić przytomność, lecz piskliwe, przesywające, metaliczne brzęczenie zmuszało ją do działania. Ostrzegało, iż stwór, który przed chwilą roztrzaskał okienną framugę, aby ruszyć za nią w pościg, rozerwie ją na kawałki, gdy tylko Tessa spocznie dla zaczerpnięcia oddechu.

Wciągnęła głęboki haust powietrza i zaczęła biec. Tak długo żyła w towarzystwie *tinnitusa*, że już dawno przestała lekceważyć jego ostrzeżenia.

Biegła, zdawać by się mogło, bez końca. Jej serce waliło jak młotem, płuca płonęły, a ona kierowała się pod wiatr. Grunt pod nogami zmieniał się stopniowo. Kamyki stawały się coraz mniejsze i gładze, bardziej porzrucane, aż ostatecznie znikły i pozostał sam piasek. Tessa rozbryzgiwała kałuże pełne krabów i deptała faliste kępy wodorostów, które prostowały się za nią z cichym bulgotem.

Deszcz zaczął krótkimi, dzikimi falami. Przez długie sekundy panował spokój, po czym nagle deszcz i rozpylona woda zalały ją z wściekłością. Okruszki piasku, niesione z wiatrem, wpadały jej do ust i gromadziły się między zębami, tworząc pod językiem słoną, ziarnistą warstwę. Oczy szczypały ją do tego stopnia, że biegła z przymkniętymi powiekami. W nieprzeniknionej ciemności, jaką niosła z sobą nawałnica, zmysł wzroku i tak był bezużyteczny.

Doganiało ją ciężkie, chrzęszczące stapanie. Tessa odczuwała odgłosy stwora jako namacalną siłę, która szturcha ją w plecy, i popycha do przodu, narzuca każdy kolejny niepewny krok, i zmusza do ucieczki w ciemny tunel nocy. O niczym nie myślała, zajęta biegiem i oddychaniem.

Hałas w głowie jeszcze się nasilił. Wnet zagłuszył wycie burzy. Słyszała jedynie krew łomoczącą w skroniach i piasek rozsypywany stopami, niewiele więcej. Po pewnym czasie kroki stwora zaczęły zanikać w oddali. Mimo to nie dowierzała własnym zmysłom i nadal biegła. Brzęczenie wróżyło zagrożenie, a im było ono głośniejsze, tym poważniej należało potraktować jego przestrożę.

Piasek stawał się coraz bardziej mokry. Bruzdy na plaży zaczęły napelniać się wodą, a rozległe połacie zamieniały się w grząskie bagniska. Sądząc, że zbacza z kursu, skręciła w celu uniknięcia zdradliwych sadzawek. Niebawem dotarła w jeszcze gorsze miejsce.

Po piasku rozlewały się pióropusze lodowatej wody. Czowała, jak pienią się i burzą pod jej gołą stopą. Gwałtowny podmuch wiatru wzbudził falę, która rozbiła się o jej nogi. Hałas w uszach stał się na tyle donośny, że przestała słyszeć, jak oddycha. W ślad za pierwszą pospieszyła druga fala, tym razem jednak nie potrzebowała wiatru, by oblać nogi Tessy. Potoczyła się gładko po piasku, choć akurat w tym momencie nawałnica przycichła. Pół minuty później następna fala nadpłynęła z naprzeciwka. Poziom wody wspinał się wolno do kolan.

Zatrzymała się raptownie. Serce i płuca zdawały się zapadać do wewnątrz, pozostawiając pustkę wypełnioną bólem.

Zbliżał się przypyływ.

Przecierając zamknięte oczy, dopóki sól i piasek nie znalazły się w zewnętrznych kącikach, usiłowała wziąć głęboki oddech. Bezskutecznie. Dwie fale zaatakowały ją z dwóch

stron. Zanim woda opadła, trzecia fala wzniosła się powyżej kolan. Grunt pod nogami nie był już taki pewny, szybko przemieniał się w rozmiękle grzęzawisko.

Stopy zapadały się coraz głębiej. W odruchu paniki wyrwała but z piachu, który przyssał się do cholewek i nie chciał wypuścić swej zdobyczy. Przeniosła ciężar na drugą nogę i szarpnięciem pozbyła się buta.

Gdy stanęła pewnie na obu bosych nogach, nadpłynęły kolejne fale, pomiędzy którymi woda nie opadała, tylko wznosiła się nieubłaganie do góry. Skrawek sukni pływał koło niej niczym lilia wodna.

Po wytarciu z oczu ostatnich ziarenek piasku, zerknęła w ciemność. Postrzępione, szare linie wytaczały się z cieni w jej stronę. Rozhukane fale, którym jakimś sposobem udawało się wychwytywać i odbijać mikroskopijne cętki sączącej się poprzez chmury księżycowej poświaty, wznosiły się i opadały jak okiem sięgnąć. Odwróciła się i spojrzała na mury opactwa. Dopiero teraz zorientowała się, że zabłądziła: zarówno przed nią, jak i za nią rozciągał się tak samo pośepny krajobraz, będący czarną kurtyną bez żadnych znamion prócz fal biegnących po piasku.

Zacisnęła mocno usta, tłumiąc wrzask. Po ósmym dzwonie w opactwie nie wolno palić świateł. Jakim drogowskazem miała się kierować?

Silny podmuch wiatru wzbil wodę do połowy uda. Pod powierzchnią zaczął tworzyć się prąd i rozwijać niczym zwój liny ciągnięty z obu końców. Tessa czuła, jak szarpie jej kostki i kołysze nią z boku na bok.

“Tylko spokojnie – powtarzała sobie w duchu. – Tylko spokojnie”.

Strużka słonej wody wpłynęła jej do ust, aby pozostawić pod językiem kolejną porcję piasku. Teraz, kiedy przestała biec, dzwonienie w uszach straciło na sile. Musiała zebrać myśli. Musiała pomyśleć!

Rozstawiła szeroko nogi i odwróciła się ostrożnie w tę stronę, w którą dotychczas zmierzała. Gdy popatrzyła w mrok, utwierdziła się w przekonaniu, że nie można powiedzieć z całą pewnością, czy rzeczywiście w oddali kryje się Bellhaven. Paniczna ucieczka uniemożliwiła jej racjonalne myślenie. Nie wiedziała nawet, w której części opactwa znajdowała się jej cela. Okno mogło wychodzić wprost na otwarte morze.

Przesunęła dłoń po obolałym czole. Nie miała wyboru – musiała wrócić do opactwa.

Uważnie obliczając kąt, o jaki ma się obrócić, i próbując przypomnieć sobie, o ile stopni zmieniła wcześniej kurs, okręciła się po raz wtóry. Poziom wody sięgał obecnie powyżej kolan, a dół sukni ciągnął się jak kotwica i utrudniał marsz. Należało się go pozbyć. Pochyliła się, złapała za potargany rąbek tkaniny i oderwała go jednym szarpnięciem. Pazury stwora podarły suknię na strzępy i wielki kawałek materiału pozostał w jej garści. Przynajmniej dobrze – pomyślała, zwijając oderwany skrawek – że nie ma pod ręką Ravisa, gotowego przyciąć jej suknię nożem.

Wrzuciła strzęp materiału do wody i z trudem zwalczyła pragnienie zwinienia się w mały kłębek i przyznania do porażki. Żal ścisnął jej gardło. Ravis. Dlaczego to nie ją najpierw ostrzegł w karczmie? Dlaczego swą pierwszą myśl poświęcił Violante?

Fala rozbiła się o jej uda, a piana ochlapała policzki. Wstęgi zimnej, rozpędzonej wody biegingy poniżej wraz z podpowierzchniowym prądem. Zadrzała. Wkrótce nie zdoła utrzymać równowagi. Musiała jak najszybciej odnaleźć drogę powrotną.

Rozmyślania o Ravisie i próżne życzenia oznaczały wyłącznie stratę energii. Nie mogła rozpraszać myśli. Musiała być twarda i skoncentrowana: bardziej jak dawna Tessa McCamfrey. Musiała myśleć o sobie.

Wicher burzył spienione bałwany, rozcinał fale i zalewał morską pianą otwarte rany. Kiedy nachyliła się pod wiatr, żeby nie upaść, jej myśli pobiegły w stronę Emitha i jego matki: będą wyrwać sobie włosy z głowy, jeżeli coś jej się przydarzy. Potrząsnęła silnie głową, chcąc pozbyć się nagłego ucisku w piersi. Nie chciała, żeby cierpieć.

Brzęczenie w uszach zmieniło zabarwienie, stało się cichsze, głębsze i bardziej naglące. Czas uciekał.

Wyteżała wzrok, usiłując dostrzec cokolwiek, co pomogłoby jej określić położenie klasztoru. Niebo i linia widnokregu były czarne jak sadza. Inny odcień miały jedynie grzywy fal, które, tocząc się po piasku, połyskiwały mętną, z trudem dostrzegalną szarością. Przez jakiś czas patrzyła na spienioną toń i studiowała kształty, jakie przybierały fale tuż przed zniknięciem w ciemnej kipieli.

Kiedy obserwowała to pojawiające się, to znów niknące grzywy, coś poruszyło się w jej umyśle. Kształty i linie stały się wyraźniejsze. Wiązki światła znikwały, momentalnie zastępowane nowymi. Włosy zjeżyły jej się powoli na karku. Te fale układały się zgodnie ze wzorem.

W miejscu, gdzie spotykały się grzywacze, gdzie morze z dwu stron atakowało groble, utworzył się delikatny, spiralny wzór. Fale napierające z przeciwnych kierunków odbijały się i odskakiwały w skłębioną kipieli, przez moment próbowały wrócić na morze, lecz szybko łączyły się z kolejnymi nadpływającymi falami i znów uderzały w wał. Środek grobli znaczyła jaśniejsza szarość splecionych bałwanów. Tessa powiodła spojrzeniem wzdłuż ginącej w mroku smugi, która niechybnie musiała prowadzić do opactwa.

Ruszyła w stronę Wyspy Namaszczonych, z trudem łapiąc oddech, rozmyślając o ludziach i miejscach, za którymi tęskniła. Walczyła ze ścierającymi się z sobą prądami oraz kolumnami skotłowanej piany, przesuając się ku największej kipieli. Zdała się na łaskę wzoru.

Każdy krok oznaczał wygrane starcie z prądem i podnoszącym się poziomem wody, której temperatura była niższa od temperatury powietrza. Brnąc po pas w wodzie, czuła mróz przechodzący jej po kościach. Padała z wyczerpania. Resztkami sił, zmuszając mięśnie, serce

i płuca do ostatniego wysiłku, toczyła boje z krzyżującymi się prądami. Z oczami tępo wpatrzonymi w powtarzające się wzory fal, oddała się rozmyślaniom.

Martwiła się o matkę Emitha, o jej nogi i zdrowie, o bezpieczeństwo ich obojga, jak również o to, z jakim smutkiem przyjmą wiadomość o zaginięciu Tessy. Próbowwała nie myśleć o Ravisie, ale jej umysł ogarniał bezwład, podobnie jak to się działo z ciałem, wobec czego równie ciężko było jej przeskakiwać z tematu na temat, co maszerować po dnie wzburzonego morza.

A poziom wody wciąż się podnosił. Wiatr zelżał, deszcz padał coraz słabiej. Ciało Tessy wyziębiało się tak wolno, że z trudem wychwytywała zmianę. Kończyny stawały się ociężałe i niejako płynne, niczym sama woda; poza tym traciła czucie w stopach. Dzwonienie w uszach stało się przytłumione. Nie przypominało już dzwonienia, a bardziej jakieś hipnotyczne buczenie. Wzory mieniły jej się przed oczyma i wskazywały drogę.

Kiedy woda sięgnęła ramienia, Tessa oderwała się od dna. Rozpostarła ramiona na wodzie i całą uwagę skupiła na utrzymywaniu głowy nad powierzchnią. Pływanie nie wchodziło w rachubę; nie miała sił walczyć z falami.

Gorzko-słona woda morska raz po raz przepłukiwała jej usta. Zimno ścisnęło pierś; oddychała płytko, powierzchownie. Prądy szarpały nią na wszystkie strony, jakby była równie lekka i wiotka co wodorosty owijające się wokół kostek i pasa. Tylko połyskujące grzbiety fal wyznaczały kierunek. Płynięcie w ciemnościach przypominało posuwanie się w nicości. Czuła się bardzo samotna.

Lgnęła do powierzchni wody, jakby to była żywa, oddychająca istota. Morze nie wydawało się już takie chłodne: miało taką samą temperaturę, jak jej ciało; czuła ulgę, gdy oblewało jej pierś. W czarnej, bezkresnej nocy było jej jedynym towarzyszem.

Tęskniła za Emithem, jego matką i przytulną kuchnią. Tęskniła też za Ravisem i jego lekko drwiącym głosem.

Zbyt zmęczona, aby dłużej podnosić podbródek, położyła głowę na wodzie i pozwoliła falam ukołysać ścierpniętą szyję. Z wolna, na przekór woli i nadludzkiemu wysiłkowi, jej powieki zaczęły się przymykać. Dzwonienie w uszach przeszło w brzęczenie komara, morze kołysało ciałem. To dziwne, że w większym stopniu czuła wewnętrzną pustkę niż zimno.

– Gerto! Gerto! Proszę, obudź się! – Angeline bała się zranic swą opiekunkę, więc wołała nią nie potrząsać, ograniczając się do ściskania jej ramienia. Śnieżek skomlał żałośnie pod polowym łóżkiem. Przypuszczała, że wołałby wskoczyć na górę i polizać twarz Gerty, lecz skrupuły – jak przystało na psa-nieudacznika – powstrzymywały go od tego.

*Śnieżek żałuje, że nie jest odważny.*

Uśmiechnęła się lekko, z ulgą. Nie zamierzała przejmować się tym, że Śnieżkowi zbywa na odwadze. Izgard był odważny. Gerta była odważna. Odwaga oznaczała doznawanie krzywd lub wyrządzanie ich innym. Angeline nie wiedziała, jak zniósłaby krzywdę wyrządzoną Śnieżkowi. Pochyliła się, żeby zmierzwić futerko pod brodą pieska. Śnieżek z

taką radością zareagował na dotyk, że wykonał dwukrotnie więcej uderzeń ogonkiem o ziemię niż zwykle.

*Nieudacznik, nieudacznik.*

– Wiem, Śnieżku – rzekła cicho. – Wiem, ale i tak cię Kocham.

– Moja pani...

Odwróciwszy się szybko, ujrzała otwarte oczy Gerty. Mleczna błona zasłaniała jej tęczówki i – nawet po kilkakrotnym zmrużeniu powiek – nie zamierzała zniknąć.

Angeline odrobinę mocniej zacisnęła dłoń na ramieniu rannej.

– Jesteś w namiocie chirurga, Gerto, z polecenia Izgarda. Kazał swojemu najlepszemu chirurgowi opatrzyć twoje rany.

Gerta drgnęła, co mogło oznaczać skinienie.

– Tak mi przykro, Gerto. Naprawdę. Nie musiałam mówić Izgardowi. Przepraszam. – Uświadamiając sobie, że podnosi głos, zmusiła się do spokoju. Odetchnęła głęboko. – Chirurg powiedział, że miałaś szczęście. Podobno masz czaszkę jak koń. Nie złamała się żadna kość, tylko pękła czaszka. Wystarczyło dwanaście szwów, żeby cię zaszyć.

Gerta zwilżyła usta. Były blade i spierzchnięte.

– Ciebie też uderzył?

Angeline przez dłuższą chwilę potrząsała głową. Z bólem serca przyglądała się kobiecie, której siły i determinacji zawsze zazdrościła, będącej teraz w tak mizernym stanie. To nie było w porządku.

– Izgarda trapią myśli o wojnie, to wszystko – powiedziała w pośpiechu, aby nie okazać załamania. – To z mojej winy... – Przerwała raptownie, gdyż zdała sobie sprawę, że jej słowa mogą zostać poczytane jako objaw braku lojalności wobec męża. Niekiedy ciężko jest o tym myśleć. – Dobrze przynajmniej, że nie będziesz musiała teraz wracać do domu.

– Król tak powiedział?

– Nie. – Zbiło ją z tropu to pytanie. – Nie powiedział tego, ale nie możesz ruszać w góry, zanim nie wydobrzejesz. Po prostu nie możesz.

– Widzę, że się obudziła. – Do namiotu wkroczył chirurg. Odsunął Angeline na bok i zbliżył się do pryczy. Nie lubiła chirurga. Gdyby nie to, że była jego królową, nie pamiętałby nawet – co do tego nie miała wątpliwości – jej imienia. Nie kochał kobiet ani nie miał do nich cierpliwości. Długi, ciemny fartuch, z którym się nigdy nie rozstawał, był teraz suchy, a krew Gerty znikła bez śladu. “To dlatego – myślała – chirurdzy noszą czarne fartuchy”.

Wzdrygając się nagle z zimna, poszła pogłaskać Śnieżka. Piesek był mocno zajęty wywąchiwaniem kurzu, szczurzych odchodów i kłębków włosów. Tylne łapy wystawały spod sąsiedniej pryczy, ogon zaś wisiał do pół masztu, co oznaczało, że Śnieżek poluje na jakiegoś wielkiego, owłosionego pająka albo czai się przed rozgrywką z mrówkami. Gdy go zobaczyła, natychmiast poprawił jej się humor. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Odwróciła się, kiedy chirurg chwycił Gertę za ramiona.

– Co robisz?! – krzyknęła. – Nie możesz ściągać Gerty z łóżka.

Chirurg nie przejął się okrzykiem królowej.

– Na zewnątrz czeka powóz i dwóch żołnierzy eskorty. Mają wywieźć ją z obozu.

– Ale... ale... – Zaskoczenie odjęło jej mowę.

– Pst, moja pani, pst – mruknęła Getta. – Król wydał rozkaz. Nie może go już cofnąć.

– Ależ...

– Tej kobiecie nic nie grozi – wtrącił się chirurg takim tonem, jakby Gerty w ogóle nie było w namiocie, a co dopiero w jego ramionach. – Jest stara, ale podałem jej środki toniczne i wyciągnąłem drzazgi z ciała. Ma szczęście, że król miał o niej na tyle wysokie mniemanie, że posłał właśnie po mnie.

Angeline zaskoczyła samą siebie: wymyśliła ciętą replikę. W ostatnim jednak momencie stchórzyła i powiedziała coś innego:

– Zostaw nas na chwilę, proszę. Chcę na osobności porozmawiać z moją służącą.

Chirurg nie przerwał swojego zajęcia, udając, że niczego nie słyszy.

– Powiedziałam, zostaw nas na chwilę!

Chirurg stanął jak wryty. Gerta westchnęła słabo. Śnieżek wypełznął spod pryczy i przekrzywił głowę.

Angeline zakryła dłonią usta, wstrząśnięta. Jak długo żyła, nigdy jeszcze nie odezwała się tak ostrym tonem. Co też ją napadło? W pierwszym odruchu chciała przeprosić, wytłumaczyć, że jest zmęczona i trochę nie w sosie, ale nim ułożyła w głowie zdanie, chirurg zaczął z wielką ostrożnością układać Gertę na ziemi.

Poczuła, jak fala gorąca przetacza się po jej ciele. Oszołomił ją sukces. Podnosząc głowę, prostując plecy i wysuwając podbródek, powiedziała:

– Podłóż Gercie poduszkę pod głowę. Przynieś mi butelkę mleka z miodem i migdałami, a potem możesz odejść.

– Tak, Wasza Wysokość. – Głos chirurga zmienił się nie do poznania. Po raz pierwszy Angeline spostrzegła, jaki jest mały. To dziwne, że poprzednio wydawał jej się wysoki.

Patrząc, jak usiłuje jedną ręką ściągnąć poduszkę z łóżka, a drugą przez cały czas podtrzymuje głowę Gerty, zamierzała przyjść mu z pomocą. Nawet postąpiła krok do przodu, lecz Śnieżek warknął: *Stój*. Posłuchała go.

Chirurg nie tylko przyniósł butelkę mleka z miodem i migdałami, ale napełnił też po brzegi dwa kubki kremowobiałym napojem. Obawiała się, że jeśli się odezwie, straci rezon i zacznie przeproszać, zatem raczyła jedynie skinąć głową. Ledwie mężczyzna wyszedł z namiotu. Śnieżek przypadł do niej w podskokach, ujadając, wzbijając się w powietrze i prosząc, żeby go wzięto na ramiona.

– Zły Śnieżek – skarciła psa ze śmiechem i pochyliła się, aby go pogłaskać. Jakim cudem jedna noc może być tak bardzo zła, a zarazem tak bardzo radosna? – Zły, zły Śnieżek.



– Moja pani... – odezwała się Gerta zdławionym głosem, który natychmiast sprowadził królową na ziemię. – Musisz przekonać króla, żeby ci przydzielił drugą służącą.

– Ale ja nie chcę nikogo prócz ciebie, Gerto. Przepraszam, że nigdy cię nie słuchałam, że zawsze byłam niegrzeczna. – Przypomniała sobie nagle, jak to uciekła się do oszustwa, żeby Gerta pozwoliła jej przyjechać do obozu. Rumieniec wstydu przepłynął przez jej policzki. Mimowolnie położyła rękę na brzuchu. – Przepraszam za wszystko.

Gerta była przeraźliwie blada. Jej skóra wyglądała na twardą i przezroczystą zarazem, niczym rozwieszona do schnięcia płótno. Mleczna błona osnuwała wciąż oczy służącej, gdy przesuwała wzrok z twarzy królowej na jej brzuch.

– Musisz dbać o siebie, kiedy mnie nie będzie. Odżywiać się nałóżycie i nie przemęczać się.

Angeline zmarszczyła czoło. Przedtem Ederius, a teraz dla odmiany Gerta. Dlaczego każdy ostrzegał ją, żeby o siebie dbała?

– Nic mi nie będzie, Gerto. Zobaczysz. Martwi mnie tylko, jak przejedziesz przez góry.

Starsza kobieta zmrużyła oczy. Skinęła lekko ręką. Angeline ujęła jej dłoń, ponieważ myślała, że tego właśnie pragnie. Choć chłód palców Gerty był dla niej szokiem, ze wszystkich sił starała się tego nie okazać.

– Jakoś sobie poradzę, pani – rzekła Gerta. – Lato jest w pełni, a ja urodziłam się w górach, poza tym król oczyścił przełęcz z rzezimieszków. Sama widzisz – nie ma powodu, żeby się o mnie martwić.

Mimo iż nie przekonało jej to wyjaśnienie, skinęła głową – wiedziała, że tego chce Gerta.

Ktoś zakaszłał z tyłu. Niepostrzeżenie zjawił się chirurg. Począł, aż królowa raczy go wysłuchać, po czym przemówił:

– Wasza Wysokość, służąca powinna bezzwłocznie wyjechać. Pozostały zaledwie dwie godziny do świtu i pierwsze oddziały wyruszają na wschód. Jej eskorta musi znaleźć się poza obrębem obozu jeszcze przed wschodem słońca. – Czekał na jakieś słowo ze strony królowej, a kiedy nie odpowiadała, dodał: – Tak radzi król.

Angeline roztała obolały nadgarstek. Miała dość udawania silnej, bała się o Gertę, słaniała się ze zmęczenia.

– Bardzo dobrze, możesz ją zabrać.

Chirurg zrobił jeden krok.

– Ale – dodała, zatrzymując go w pół kroku – wezwij kogoś do pomocy. Nie pozwolę, żeby wleczono ją po ziemi jak worek ze zbożem. – Tylko tyle mogła zrobić w obecnej sytuacji. Gerta miała rację: Izgard nigdy nie zmieni zdania i nie pozwoli jej zostać.

Gdy chirurg opuścił namiot, chłodne palce Gerty zacisnęły się na dłoni królowej.

– Bądź taka silna każdego dnia – powiedziała. – Bądź silna zarówno dla siebie, jak i dla dziecka.

Angeline spojrzała głęboko w oczy służącej. Bała się odezwać. Gerta cichym głosem przerwała ciszę:

– Myślisz, że niczego nie zauważyłam, moja mała? Taka stara panna, jak ja?

Przez wszystkie lata wzajemnej znajomości królowa ani razu nie słyszała tak ciepłych słów, wydobywających się z ust Gerty. Ból ścisnął jej serce. Pochyliła się i ucałowała policzek służącej.

Kiedy się odsunęła, Gerta promieniała uśmiechem.

– Gdy tylko domyśliłam się wszystkiego, zaczęłam podsuwać Śnieżkowi co lepsze kąski.

– Przez cały czas wiedziałas, że to ja je zjadam? – Angeline odgarnęła z twarzy służącej zabłąkany kosmyk włosów. Z ulgą przyjęła wiadomość, że Gerta poznała jej sekret. Oznaczało to, że nareszcie mogła skończyć z kłamaniem.

– Nawet ten twój sprytny psiak nie obgryzie kości z mięsa, pozostawiając wszystko, co tłuste. – Gerta pogłaskała królową po dłoni. – Poranne mdłości też mi wiele powiedziały, podobnie jak zaczerwienienie na szyi i piersiach. Dzieci i sprawy związane z nimi związane stanowią pole mojego działania. Może i nie znam się na wielu rzeczach, ale wiem, kiedy kobieta nosi w sobie dziecko.

Angeline z trwogą wsłuchiwała się w słabnący głos swej opiekunki. Wiedziała, że służącej należy się odpoczynek, lecz musiała zadać jeszcze jedno pytanie.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś Izgardowi? Przecież pracujesz dla niego, chociaż to mną się opiekujesz.

Gerta zamknęła oczy. Odetchnęła kilka razy.

– Wiem, na czym polega moja praca i nikt tak nie kocha swojej ojczyzny, jak ja. Nikt. Ale ty i ten nicponiowaty pies wkradliście się do mojego serca. Nie myślałam wcześniej darzyć was miłością, tak się jednak stało.

Śnieżek zawył przejmująco. Przydreptał z jakiegoś zakamarka, oparł głowę o stopę Gerty i wpatrzył się w jej twarz. Angeline z trudem przełknęła ślinę. W nieliche kłopoty wpędziła całą trójkę!

– No dobrze, tu leży. Tylko uważajcie. – Do namiotu wszedł chirurg w towarzystwie dwóch mężczyzn. Spojrzał najpierw na Angeline, aby upewnić się, że się nie sprzeciwi, po czym zaczął wynosić Gertę na zewnątrz. Angeline i Śnieżek ruszyli w ślad za nimi.

Noc była czarna jak smoła. W powietrzu unosiły się tumany dymu z wygaszanych ognisk. W mroku rozlegały się ciche głosy: rzemieni ślizgających się w sprzączkach, żelaza uderzającego o żelazo, parsknięć niespokojnych koni, trzeszczących kości żołnierzy prostujących się po sześciogodzinnym kucaniu. Grunt drżał pod stopami królowej. Armia Izgarda szykowała się do wymarszu.

Spoglądając w stronę widnokregu, dostrzegła linię żołnierzy, którzy wspięli się na grzbiet wzniesienia. Harrarzy. Nawet w ciemności mogła stwierdzić, że poruszają się zbyt płynnie jak na ludzi. Czarniejsi od samej nocy, wydawali się wypływać z cieni niczym tłuszcz z

pieczonego na ruszcie mięsa. Słyszała, jak pokrzykują na siebie, ale szybko wmówiła sobie, że słuch ją zawodzi. Ludzie nie wydają podobnych odgłosów. Prędej wilki.

Drżąc na całym ciele, odwróciła się do chirurga. Czuwał nad umieszczeniem Gerty w krytym powozie. Królowa przyjrzała się dwójce mężczyzn, którzy mieli eskortować ją przez góry. Wyglądali na niespokojnych, rzucali wokoło gorączkowe spojrzenia i zaciskali nerwowo dłonie na cuglach wierzchowców. Podobnie jak wszyscy ludzie Izgarda, palili się do boju.

– Otoczcie tę kobietę szczególną troską – zwróciła się do nich Angeline, zaskakując nawet siebie tymi słowami. – Jeśli w zdrowiu powróci do twierdzy Sern, będziecie u mnie mieli dług wdzięczności. – Zwykle kiedy zwracała się do mężczyzn, spuszczała wzrok, aby uniknąć oczu swoich rozmówców. Tym razem jednak patrzyła żołnierzom prosto w twarze i czekała na ich odpowiedź.

Obaj przyklękli na jedno kolano, obiecując wywiązać się ze swojego zobowiązania. Angeline wyciągnęła dłoń i pozwoliła im ucałować ją kolejno. Żaden nie dał po sobie poznać, że dostrzega czerwoną pręgę, jaka pozostała po uścisku Izgarda.

– W drogę – powiedziała. – Zawieźcie moją służącą do domu.

Szepcząc słowa: „Kocham cię, Gerto”, Angeline patrzyła, jak jej stara opiekunka wyrusza w podróż. Dwóch mężczyzn, jedna kobieta, trzy konie, powóz i kucyk. Kuc miał przytroczony do boku długi łuk. Ucieszyła się, gdyż dowodziło to, że Izgard przydzielił Gercie jednego ze swych cennych łuczników, aby jej podróż przebiegła bezpiecznie. Uważając to za przeprosiny, przytknęła do warg bolący nadgarstek. Może jej mąż nie był taki zły?

Kiedy niewielki oddział zniknął w mroku, przywołała Śnieżka i podążyła wzdłuż rzędu namiotów. Do świtu pozostała godzina, lecz ona bez problemu odnajdywała drogę. W ciemności wciąż migotał, niby drogowskaz, jeden jasny punkcik: w namiocie Ederiusa lampki oliwne dawały tyle światła, co płomień paleniska.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Camron tak długo wpatrywał się w niebo, że w końcu przestał dostrzegać gwiazdy. Wielogodzinne siedzenie w ciemnych jałowcach pozbawiło go czucia w nogach. Wstrzymywany oddech zamieniał się w płucach w trujące opary.

Czekał na zboczu wzniesienia znajdującego się na zachód od Gór Działowych, pół mili na północny wschód od obozowiska Izgarda. Do świtu brakowało godziny. Sandor wraz ze swoim marszałkiem, Balanonem rozłożył się na przeciwległym stoku. Ponieważ ów stok był zwrócony na wschód, pierwszy miał zostać obłany promieniami jutrzeńki. Gdy raizyjska armia ruszy do dziewiczego natarcia, słońce będzie razić żołnierzy w oczy. Sandor nie pomyślał o tym, gdy wybierał zbocze; cieszył się tylko, że jest szerokie, pozbawione kamieni i zapewnia rozległy widok na tereny przyległe do obozu Izgarda.

Sam obóz wroga pozostawał w ukryciu. Izgard wybrał jedyne w obrębie wielu mil miejsce, które z trzech stron zasłaniały klify i strome zbocza. Po czwartej stronie swe rwące nurty toczyła Kręta Rzeka i szumiał brzozowy las. W przeciwieństwie do Sandora, Izgard zadbał o drogę odwrotu. Tam, gdzie rzeka była najwęższa, umieszczono pontony. Jeżeli padłby rozkaz do odwrotu, armia Izgarda mogła przepłynąć się przez rzekę i szybko zniszczyć za sobą prowizoryczny most.

Camron podkraść się pod wrogi obóz. Poszedł w pojedynkę, gdyż chciał podejść dostatecznie blisko, by móc zorientować się co do sił przeciwnika. Nie chciał nikogo zmuszać do podejmowania takiego niebezpieczeństwa. Potwierdziły się wcześniejsze słowa Ravisa z Burano: Izgard dowodził bitnymi, świetnie wyszkolonymi żołnierzami. Jakkolwiek rozbił jedyne tymczasowy obóz, zrobił to z istic inżynierską dokładnością. Rzędy białych namiotów rozciągały się koncentrycznie wokół zagrody dla bojowych rumaków i wiaty przykrytej płótnem, osłaniającej łuki i katapulty. Nad obozem wznosiły się cztery ambony wartownicze z drewnianych bali, dla sprawniejszego przemieszczania się zaopatrzone w olbrzymie, wieloszprychowe koła. W dole rzeki, po zawietrznej stronie obozu, aby nie zatruc ujęcia wody, wykopano latryny. Całego obozowiska strzegły kordony wartowników, potrzaski i wilcze doły.

Kiedy Camron przyglądał się tym wszystkim zabiegom, liczył namioty, ogniska i konie, jego serce przepełniała gorycz: zastanawiał się, które z tych środków ostrożności mogły być dziełem Ravisa z Burano.

Teraz jednak, osiemnaście godzin później, posiniaczony od żmudnego czołgania się po kamieniach i twardej ziemi, podrapany w wielu miejscach od przeciskania się poprzez gąszcz ciemnych krzewów, z jednym okiem nabiegłym krwią za sprawą nieszczęśliwego

wpadnięcia do przykrytego gałęziami dołu, Camron nie był w nastroju do rozmyślania o Ravisie i rozpamiętywania przeszłości. Wszystkie jego myśli dotyczyły ojca.

Przeczesał dłonią włosy i wypuścił powietrze, które paliło w płucach. Berick z Thornu. Jakże on mógł chcieć tak wiele dla Camrona, marzyć, że jego synowi dostanie się to, co nigdy jemu samemu nie przypadnie w udziale, i nigdy nie wspomnieć o tym na głos? A co ważniejsze, dlaczego syn nie dostrzegł jedynej rzeczy, której ojciec tak naprawdę pragnął?

Przetarł skronie szarpane tępym, nieustającym bólem i odwrócił wzrok od nocnego nieba. Nie znalazł w nim odpowiedzi. A przynajmniej takich, które rozwiązałyby jego dylematy. Pozostały mu wyłącznie słowa Lianne, hrabiny Mir'Lor: "Jeszcze nie jest za późno. Wciąż możesz walczyć o to, czego pragnął twój ojciec. Nawet teraz".

Tak właśnie zamierzał dzisiaj postąpić.

Spojrzał przelotnie w stronę raizyjskiego obozowiska. Nad wzniesieniem widoczne były pierwsze przejawy życia. Sandor i jego rycerze budzili się właśnie po nocy przespanej w niepełnej zbroi. Sądził, że zyskają dzięki temu trochę czasu i okażą gotowość do zaskakującego uderzenia. W rzeczywistości oznaczało to zdrętwiałe mięśnie, obolałe plecy, ścierpnięte nogi i wypełnione do bólu pęcherze.

Zmarszczył czoło, tknięty nagłą myślą. Powoli zaczynał rozumować jak Ravis z Burano. Nie wydało mu się ono tak wstrętne jak niegdyś i fakt ten przepełnił go głębokim uczuciem braku lojalności. Skierował uwagę na swój oddział.

Z tyłu, za plecami, czaiło się w mroku jedenaście tuzinów żołnierzy; nie spali już od dwóch godzin. Chroniły ich kolczugi lub proste napierśniki, a uzbrojeni byli w krótkie i długie łuki.

Następnego ranka po spotkaniu z Lianne Camron za radą hrabiny poszedł na spotkanie z Balanonem. Wziął z sobą przedmiot, który od niej dostał, i po raz wtóry opowiedział swą historię, tym razem człowiekowi mającemu walczyć u boku Sandora. Balanon wysłuchał pełnej relacji z bitwy rozegranej w Dolinie Popękanych Kamieni, co chwila pytając o jakiś szczegół dotyczący harrarów, ich uzbrojenia oraz taktyki. W przeciwieństwie do Sandora, Balanon nie zlekceważył słów Camrona. Chociaż nie obiecał niczego oprócz wzmożonej czujności, przydzielił mu zastęp stu ludzi i obarczył go zadaniem ostrzegania głównych sił o wszelkich niebezpieczeństwach, jakich można się było spodziewać po harrarach. Poza setką piechurów Camron miał pod komendą tuzin własnych rycerzy oraz dwa tuziny łuczników, których zawdzięczał Segwinowi Ney.

Nie obiecywał sobie wiele po Balanonie. Został wysłuchany jedynie dzięki przedmiotowi przesłanemu przez Lianne, żołnierzy otrzymał ze względu na dług wdzięczności bądź podziw, jakim Balanon darzył hrabinę Mir'Lor. Mimo wszystko jego starania wydały pewne owoce. Dzięki nim nie czuł się bezsilny i dzięki nim nie zadręczał się śmiercią ojca.

– Jakieś poruszenie na zboczu po północnej stronie obozowiska.

Camron zareagował na szept jednego ze swych ludzi skierowaniem spojrzenia na północ. Z początku nie zobaczył niczego oprócz ciemnych konturów drugiego zbocza, które niby cień wznosiło się nad obozem. Wtem, przyglądając się przykrytej letnim listowiem kępie drzew, podobnej kształtem do grzyba, dostrzegł doskonale czarną linię spływającą ze zboczem. Pierwsza myśl, jaka mu się nasunęła, dotyczyła nierealności obserwowanego zjawiska. Posłano osiem tuzinów zwiadowców, aby mieli baczenie na tyły obozowiska. Poza tym wystawiono liczne posterunki: zwarte, sześciuosobowe grupki oddalone od siebie o pięćset kroków, tworzące pierścień wokół obozu. Strażnicy byli uzbrojeni po zęby, a w każdej grupie jedna osoba posiadała róg, by zadać weń w razie niebezpieczeństwa. Wprawdzie Sandor był pewny siebie, ale i on nie mógł poniechać sprawdzonych środków ostrożności.

Druga myśl Camrona była o wiele mniej racjonalna. Nie była to nawet myśl, tylko reakcja na ciemną, falującą postać linii. Powrócili harrarzy.

Dreszcz przeszedł mu po kręgosłupie. Ostatnia kropla wilgoci wyparowała z ust. Coś usiadło na piersi i przygniotło żebrami serce i płuca. Ujrzał swego ojca. Był martwy. Ujrzał Hurina. Był martwy. Ujrzał Rhifa Hanistera – jego odsłonięte serce nadal pompowało krew.

Przerażony głębią tych myśli, zaczął bać się, że jeśli natychmiast nie zacznie działać, wspomnienia go zniszczą. Pospiesznie wychrypiał rozkaz:

– Mills, Toker, Stango, niech każdy z was wybierze sobie ludzi. Ruszajcie pędem w dół zbocza. Po przebiegnięciu ćwierci mili krzyczcie na alarm.

– Dlaczego nie od razu? Trzeba ostrzec obóz – odezwał się Mills, jeden z ludzi Balanona.

– Nie chcę, żeby harrarzy poznali nasze położenie. Nie wiedzą, że tu jesteśmy i lepiej niech tak już zostanie. – Camron spojrzał bystro na całą trójkę, oczekując na dalsze słowa sprzeciwu. Przeżył niemal rozczarowanie, kiedy nie nastąpiły. Gniew byłby miłym urozmaicheniem. – Szybko. Idźcie już. Pamiętajcie: głowy nisko. I nie wracajcie.

Wszyscy trzej zerwali się na nogi i zaczęli dobierać towarzyszy. Ludzie Balanona byli gotowi i ochoczy. Nie mieli wcześniej do czynienia z harrarami. Cóż oni wiedzieli? Otrząsnął się z tych myśli. Kierował gorycz w niewłaściwą stronę.

– Uważajcie na siebie – syknął.

Mills skinął lekko głową. Miał zawzięty wyraz twarzy.

– Jakież wiadomości dla Balanona?

Camron potrząsnął głową.

– Nie. – Powiódł spojrzeniem w stronę czarnej, poruszającej się linii na horyzoncie. Wyglądało to tak, jakby harrarzy spijali ciemność nocy, chcąc zagarnąć ją całą dla siebie. – Żadnej, z wyjątkiem tego, że będziemy działać zgodnie z ustaleniami.

Zanim przebrzmiało ostatnie słowo, żołnierze zaczęli zbiegać w dół stoku; garbili plecy, a miecze pochowali do pochew, żeby przypadkowy odblask nie zdradził ich pozycji.

– Jakżeby inaczej? – rzekł Camron do siebie, nie mogąc oderwać oczu od czarnej linii, zstępującej na obóz. – Izgard posyła harrarów na ich tyły. Ma nadzieję, że w obozie

wybuchnie panika. Zanim zdążą się pozbierać, główne siły wroga przygotowują się do frontalnego ataku. Harrarzy mają za zadanie odwracać uwagę.

Rozważając różne możliwości, znieruchomiał na chwilę, aby przemyśleć swe następne posunięcie. Koncentracja uwagi przychodziła mu z trudem. Przeszło sto par oczu patrzyło w niego wyczekująco. Nawet w ciemności dość łatwo było rozróżnić, które należą do ludzi Balanona, a które do jego własnych. Ludzie Camrona walczyli wcześniej z harrarami. Doświadczenie błyszczało w ich oczach niby tafla lodu w świetle gwiazd.

Camron gładził policzek, chcąc zmusić się do myślenia. Czy mieli zagrozić drogę nadciągającym harrarom? Zmącić ich linię? A może powinni raczej zejść do doliny i spowolnić główne natarcie Izgarda? Wziął sobie do serca radę Ravisa z Burano i uzbroił wszystkich swoich żołnierzy w łuki. Wypuszczając strzały z bliskiej odległości i mierząc do koni, mogliby zburzyć pierwsze szeregi garizońskiego wojska. Łucznicy nadesłani przez Segwina, zważywszy na ich wprawę i donośność łuków, mogliby celować w dowódców oddziałów, w generałów, a nawet w samego Izgarda.

Z drugiej strony jaką realną groźbę mogło stanowić jednaście tuzinów łuczników wobec dwudziestotysięcznej armii? Pociągając za żuchwę, jakby chciał w jakiś sposób wyszarpnąć z ust odpowiedzi, zastanawiał się, co w takiej sytuacji zrobiłby Ravis z Burano. Odpowiedź była łatwa: okrążyłby harrarów i uderzył na nich z zaskoczenia. Pobiłby wroga jego własną bronią.

Wiatr, który od godziny dął im prosto w plecy, zmienił nagle kierunek i teraz dmuchał w twarze; włosy Camrona zsunęły się z policzków. Poczł dziwną woń, która niosła się z wiatrem. Pierś ścisnęła mu się gwałtownie, gdy ciało rozpoznało ów zapach, zanim jeszcze zdążył go rozpoznać rozum. Był to smród świeżego moczu i gnijącej padliny, jaki zwykle bił od harrarów.

Na wpół świadomie cofnął się o krok. Poczł na ramieniu czyjś dotyk. Odwrócił się i spostrzegł Broca z Lomis. W bitwie w Dolinie Popękanych Kamieni stracił śledzionę, dwa palce prawej dłoni i wiele mięśni ud, ramion i klatki piersiowej. Mimo to postanowił walczyć. Camron błagał go, by został w Mir'Lor, lecz Broc nie chciał o tym słyszeć. Powiedział, że jego miejsce znajduje się u boku swego dowódcy. Camron początkowo nie wiedział, kogo ma na myśli: Sandora czy jego. Teraz jednak, gdy patrzył na oblicze rycerza, pogrążone w powoli rozjaśniającej się ciemności świtu, rozwiały się jego wątpliwości. Poczł się stary.

Choć ranny i osłabiony, Broc nie spowalniał marszu. Poruszanie się kosztowało go dwa razy tyle wysiłku, co zdrowego człowieka, lecz nie uskarżał się ani nie przejawiał oznak bólu. Odpoczywał tylko wtedy, gdy cały oddział zatrzymywał się dla nabrania tchu. Spał sześć godzin, podobnie jak reszta. Camron czuł się za niego osobiście odpowiedzialny. Człł się odpowiedzialny za tych wszystkich, którzy tamtego dnia wjechali wraz z nim do Doliny Popękanych Kamieni. Działał wówczas pochopnie, jednak pozostali mu wierni. Zaciągnął u nich dług wdzięczności.

Podniósł wzrok i spojrzał na wzgórze, przez które przetaczała się czarna linia harrarów. Zbliżyli się już na taką odległość, że odgłosy ich nadejścia powinny obudzić obóz. Tymczasem niezmierna chyżość i bliskość harrarów nie spowodowała żadnego odzewu, nie rozbłysła żadna lampa oliwna. Obserwował, jak poruszali się niczym jeden organizm, niczym rój szarańczy, gotujący się, by w szaleńczej szarzy pożreć uprawy. Rządził nimi jeden umysł. Jeden cel.

Zatopił palce w policzki. Może powinien podejść łukiem na tyły obozu? Zmieszać szyki harrarów? A może należy zejść do doliny?

W tejże chwili hałas przerwał ciszę nocy. Dwukrotnie zadęto w róg. Rozległy się krzyki i chmura płonących strzał wzbila się w powietrze. Zamieszanie wszczęto dokładnie poniżej miejsca, gdzie swoje stanowisko obrał oddział Camrona. Zainicjowali je Mills, Toker i Stango. Podniesiono alarm. Camron zamarł na pół sekundy w oczekiwaniu na jakieś uczucie ulgi. Skoro nie nastąpiło, powtórnie skierował swą uwagę na obóz – wołał się nie zastanawiać, dlaczego.

Na odgłos rogów w obozie raizyjskim zawrzało. Konie parskały, pochodnie rozbłysły, z namiotów wypadały ciemne sylwetki. Ze swojego miejsca Camron słyszał zgrzyt wysuwanych brzeszczotów, aczkolwiek stłumiony i niewyraźny. Bezsilny. Nie tylko obóz zareagował na alarm. Harrarzy przystąpili do frontalnego ataku, przelatując po stoku wzgórza niczym cień ogromnego, polującego ptaka.

– Camronie! – Broc wymówił jego imię z tłumionym zniecierpliwieniem, przebijając się przez kurtynę myśli dowódcy. Gdy lord odwrócił się, ujrzał u kołnierza Broca skrawek jasnożółtego jedwabiu. Niemal się uśmiechnął, siostra Broca musiała pomagać bratu w pakowaniu. – Co rozkażesz?

Zerknął na ludzi. Czyż mógł posłać ich na harrarów, kiedy wiedzieli, co to za przeciwnik? A czy sam będzie potrafił stawić im czoło, mając w pamięci bitwę między kamieniami? Walka z nimi nie przysparzała chwały. Niełatwo ich było zabijać pojedynczymi, śmiertelnymi pchnięciami. Ale miał wybór? Czy powinien zaatakować z flank główne siły Izgarda? Pozwolić, żeby strach odwiódł ich od podjęcia jedynych działań, jakie mogą przynieść pozytywny efekt?

Jego dłoń opadła najpierw na pierś, potem zaś zniżyła, się do pochwy miecza. Dowódca spojrzał Brocowi w oczy. W orzechowych tęczęwkach wyczytał coś, co mogło być jedynie wiarą, wobec czego podjął decyzję.

– Ruszamy, aby powstrzymać harrarów – krzyknął. – Prędko, na tyły obozu! Tam ich zniecka zaskoczemy!

Ponad stu ludzi poruszyło się na jego rozkaz; schodząc ze stoku, ściągali łuki z pleców. Camron odczekał chwilę, kierując z obawą ostatnie spojrzenie na Broca z Lomis. Młody rycerz skinął głową. On wiedział, co kryło się za tą decyzją: główną bronią harrarów był strach. Każde działanie oprócz zaatakowania ich oznaczałoby przyznanie się do porażki.



Camron okręcił się szybko na pięcie i ruszył za swymi ludźmi w dół po pochyłości wzgórza.

Obudził ją zapach. Przeszywający niczym wrzask, uporczywy niczym strugi deszczu i silny niczym potrząśnięcie za ramię – zapach podrażnił jej nozdrza i przywrócił przytomność. Tessa uniosła powieki, a następnie zmrużyła oczy. Powyżej wznosił się baldachim z czerwonej skały. Gdy otworzyła usta, żeby zaczerpnąć powietrza, ogarnęła ją fala mdłości. Odwróciła się na bok i zwymiotowała. Pod wpływem tego spazmu łzy napłynęły jej do oczu. Mięśnie ramion zdawały się płonąć. Głowa zaczęła się kiwać, przyczyniając się do powstania kolejnej fali nudności. Znowu zwymiotowała. Czystą, słonawą żółcią.

Gdy wyciągała rękę, aby wytrzeć wargi, sięgnęła do pierścienia. Zrobiła to instynktownie, tak odruchowo, jak się zazwyczaj kilkakrotnym mrugnięciem pozbywa pyłku z oka. Dłonie przesunęły się po tkaninie, a następnie po ciele. Usiadła, zdjęta nagłą paniką. Uderzyła się w piersi i powiodła dokoła błędnym spojrzeniem. Gdzie on mógł się podziać?

– Czy nie tego szukasz?

Podniosła wzrok. Zgrzybiały staruszek trzymał coś pod światło. Miał śnieżnobiałe, krótko przystrzyżone włosy, a ubrany był w wypłowiałe brązowe szaty. Spoglądał na nią z nikłym uśmiechem.

Nie namyślając się wiele, zaczęła mozolnie wstawać. Chciała odzyskać pierścień. Na skutek mdłości jej żołądek ścisnął się w kłębek, nogi odmówiły posłuszeństwa, przez co osunęła się z powrotem na skałę.

Starzec wychrypiął coś cicho i niezrozumiale, po czym rzucił jej pierścień.

– Choćbyś go chroniła nie wiem jak zawzięcie, moja miła, i tak w końcu go stracisz.

Złoto wylądowało na płaskim kamieniu opodal Tessy. Chwyciła go szybko i schowała w dłoni. Zdawał się rozgrzany, jakby leżał na słońcu. Sam fakt odzyskania go przynosił ulgę i dodawał siły. Zaciśnęła kciuk za cierniach, chcąc, żeby ustąpiły nudności.

Zdając sobie nagle sprawę z zimna, podciągnęła kolana do piersi. Miała na sobie szorstką, wełnianą szatę, spod której wystawały jedynie golenie. Na skórze krzyżowały się czerwone, zaognione pręgi. Pomiędzy zadrapaniami i siniakami spostrzegła miejsce, gdzie została ugryziona. Na poszarpanym i opuchniętym ciele wciąż widniały trzy ślady po zębach. Zadrżała i odwróciła wzrok.

Znajdowała się w głębokiej grocie. Światło dzienne sączyło się z jakiejś niewidocznej szczeliny, znajdującej się wysoko nad plecami starca. Strop jaskini obniżał się bezpośrednio nad jej głową, lecz dalej, pośrodku groty, umykał w górę i znikał w ciemnościach. Zabarwienie skał wahało się między czerwienią, umbrą i piaskowym brązem. Niektóre były szare, ale i w nich czerwieniły się krwiste żyły minerałów. Wszędzie kapiała woda. Gdy dotknęła ręką najbliższej skały, jej dłoń pokryła się wilgocią. Na schnących palcach połyskiwały później drobiny pomarańczowego proszku. Rozchodziły się tu przeróżne zapachy, jednak jeden z nich w szczególności zasługiwał na uwagę: ostra, kwaśna woń

mleczarni. Obniżwszy wzrok, zobaczyła, że całe podłoże pieczary zaścielają blade, okrągłe przedmioty. Spoczywały na leżach, które zdawały się być wykonane z wodorostów. Miały kremowy kolor i wyglądały, jakby pokrywała je gruba warstwa soli.

– To ser – obwieścił starzec, dostrzegając spojrzenie Tessy. – Tutaj leżakują nasze najlepsze gatunki. Jesteś w serowej jaskini. – Wykonał ręką niedbały gest. – Wilgotne powietrze, sól, a nawet sama skała: wszystko to użycza smaku tym krążkom.

Skinęła głową. Miała wrażenie, że znalazła się w innym świecie. Gdyby nie szum morskich fal, rozbijających się w oddali, i miękki, maribański akcent w głosie starca, mogłaby przypuszczać, że pierścień po raz drugi przeniósł ją w obce miejsce.

– Jak się tu dostałam?

Staruszek westchnął.

– Tak, tak, to oczywiście, że jesteś wszystkiego ciekawa. – Spojrzał na nią bystro, po czym odwrócił wzrok. – Wpierw jednak to ja powinienem cię zapytać, jak się czujesz.

– Nic mi nie jest – skłamała, drżąc z niecierpliwości, żeby usłyszeć odpowiedź starca.

– Nic ci nie jest? Dobre sobie. – Mężczyzna uniósł brwi. Po chwili pokiwał głową. – Cóż, ty chyba wiesz lepiej.

Poczuła, jak na jej twarz wypływa delikatny rumieniec.

Lawirując między kręgami sera, starzec podszedł do Tessy. Był niski, niższy nawet od niej, jakby jego ciało skurczyło się od ciężarów, jakie spoczywały na jego barkach. Zerknęła do góry. Masywne, skalne łapy zwisały ze stropu niby kamienne żyrandole. Tessa wyobrażała sobie, jak przyciskają jej żebra. Potrząsnęła gwałtownie głową i odpędziła te myśli.

– Napij się, proszę. – Staruszek stanął i podsunął jej kubek. – Skoro mówisz, że nic ci nie jest, zapewne nie potrzeba ci moich lekarstw, ale jestem już stary i zgorzkniały, kiedy więc tracę godzinę na zaparzenie czegoś, nie cierpię, gdy się to marnuje.

Skarcona Tessa przyjęła kubek. Był ciepły i zrobiony z kości. Gdy starzec chował rękę, zauważyła, że jego prawy kciuk skrecony jest ku wnętrzu dłoni. W uszach zadźwięczał jej głos matki Emitha: „Przecięto mu ścięgna prawego kciuka. Od tego czasu nie może utrzymać pióra w ręku”. Spojrzała staruszkowi w twarz.

– Brat Avaccus? – zapytała.

– A nawet jeśli tak, cóż z tego?

Nie umiała opanować drżenia. Nie trzęsła się z zimna panującego w jaskini, ale tego, które promieniowało z jej wnętrza. Upiła jeszcze jeden łyk i spytała:

– Słyszałam, że pan nie żyje.

– Od kogo?

– Od ojca Issasisa.

Starzec sprawiał wrażenie szczerze zaskoczonego.

– Naprawdę? – Potrząsał głową. – Musiało go to sporo kosztować. Okłamywać nieznajomego? To do niego niepodobne.

– Według mnie kłamanie szło mu dość gładko – odparła, natychmiast żałując tej uwagi. Czymkolwiek była zawartość kościanego kubka, szybko uderzała do głowy. Czowała, jak wysysa krew na powierzchnię i wypompowuje myśli. Odstawiła kubek i odsunęła go d siebie.

– Dlaczego ojciec Issasis nie chciał, żebym się z panem obaczyła?

– Tak, to dobre pytanie. – Starzec, co do którego nabrała pewności, że jest bratem Avaccusem, pochylił się ku ziemi. Założył ręce na piersi i przybrał wygodną pozycję. – Ojciec Issasis nie chce, żebym się z kimkolwiek spotykał. Z tego właśnie powodu trzyma mnie tutaj, w tej serowej jaskini, abym przewracał sery miesiąc po miesiącu, sezon po sezonie, od dwudziestu jeden lat.

Coś zaklekotało w pobliżu. Wypatrzyła kraba wspinającego się na kamień. Jego skorupę pokrywała błyszcząca warstwa skalnego kurzu. Przestraszona, odsunęła się w stronę kubka i odwróciła do Avaccusa.

– Nie odpowiedział pan jeszcze na moje pytanie.

Jasne oczy mnicha rozbłysły na krótką chwilę.

– Na które? Nie sędzę, żebym udzielał jakiegokolwiek odpowiedzi.

Miał rację. Jeszcze nic jej nie wyjaśnił – paplał coś jedynie o serze. Żałowała, że nie może zebrać myśli. Poza tym trzęsa się z zimna. Zupełnie jakby zanurzyła się w ciemnej, morskiej wodzie. Wspomnienia przyływu, prądów morskich i ciemności zagłuszały jej myśli; światło w grocie poblądło. Z trudem łapała powietrze.

– Co się ze mną stało? – krzyknęła. – Niech pan mi powie, jak się tu znalazłam!

Avaccus patrzył na nią łagodnie.

– To ja cię tu przyniosłem. Gdy wiosłowałem wzdłuż grobli, trafiłem na twoje ciało, które dryfowało na powierzchni, wciągnąłem więc je do łodzi i popłynąłem do domu. – Uśmiechnął się. – Wiesz, że niewiele brakowało, a udałoby ci się dojść do brzegu? Jeszcze sto kroków i znalazłabyś się z powrotem w opactwie. Doprawdy, znakomity wyczyn.

Tessa nie czuła się znakomicie. Czowała się za to przeziębiona, zdenerwowana i zdezorientowana. Zmuszając się do myślenia, zapytała:

– Wiedział pan, że mnie tam spotka?

Brat Avaccus wykonał nieznaczny, lekceważący ruch ręką.

– Miałem przecucie.

– A ma pan może przecucie, dlaczego tu jestem? – Ton tej wypowiedzi był nieco uszczypliwy. Czowała się rozdrażniona.

– Mógłbym zgadywać – rzekł. Na jego twarzy, ogorzałej i czerwonej od soli, pojawił się dobroduszny wyraz. – Ale po co mamy oboje marnować czas? Nie lepiej będzie, jeśli mi sama wszystko opowiesz?

Przetarła oczy. Pomimo łagodnego tonu i pogodnego oblicza, brat Avaccus był ostrym szpilka. Wzięła głęboki oddech.

– Przybyłam tu, ponieważ mój przyjaciel, Emith, wyjawiał mi, że zna pan dawne sposoby malowania. Mam pewne zadanie do wykonania, a nie bardzo wiem, jak się do niego zabrać i potrzebuję pomocy. Muszę wiedzieć, jak można powstrzymać Izgarda od przemieniania harrarów w potwory.

Avaccus przyjął tę wiadomość z ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy, jakby usłyszał coś o niewielkim znaczeniu – komentarz na temat pogody lub sugestię co do pierwszego dania obiadu. Poczowała się rozczarowana. Zamierzała powtórnie określić swoje cele, tyle że w mocniejszych słowach, ale nie zdążyła.

– Wiesz zapewne, że ten twój pierścień to efemeryda?

Traciła cierpliwość. Potrząsnęła głową.

– Efemeryda? Nie całkiem rozumiem.

– Relikt starej epoki, kiedy to wszystkie światy powiązane były w jedną całość, przed nadejściem Rozdziału, zanim rozeszły się poszczególne warstwy. Zanim czas i przestrzeń wpadły w szczelinę, tworząc osobny świat z każdego rozdzielonego fragmentu. – Avaccus mówił cicho; początkowo skupiał wzrok na jakimś odległym punkcie, potem jednak spojrzął na pięć Tessy, zaciśniętą na pierścieniu. – Jest niezwykle stary i cenny, a sam fakt, że go posiadasz, wszystko mi tłumaczy.

Zakreśliło się jej w głowie. Skąły w grocie rozmyły się i zaczęły przypominać ściany głębokiej, czerwonej studni. Nowe światy? Rozdział? Rozpostarła dłoń, aż pierścień zalśnił odbitym światłem. Usłyszała swój głos:

– A więc mam się spodziewać, że w końcu i tak go utracę?

– Tak, utracisz. To właściwe słowo. – Avaccus zmienił nieznacznie pozycję, by było mu wygodniej. Znow się zdziwiła, jak “stłamszone” jest ciało starca. Nawet w wątlym i rozproszonym świetle, jakie panowało w jaskini, rzucał ciemny i ostry cień. – Taka jest już natura efemeryd: w końcu wszystkie giną. To właśnie czyni je takimi, jakimi są, jakimi je wykuto; do tego zawzięcie dążą. Przechodzą z rąk do rąk, z czasu do czasu, ze świata do świata. Ślizgając się między przełomami epok, poprzez szczeliny w czasie i przestrzeni, zmieniają właścicieli, ludzi i kraje, a znikają zawsze równie nagle, jak się pojawiają. Możesz go sobie chować i pilnować, nigdy ci się nie uda zatrzymać go przy sobie. Czuwaj przy nim w dzień i w nocy, lecz pewnego ranka obudzisz się, zamrugasz, a jego już nie będzie.

Tessa ani na moment nie spuszczała wzroku z pierścienia. Lśniące złoto zdawało się puszczać do niej oko – szelmowsko, jak stary mąż, kiedy wymyka się na spotkanie ze swoją kochanką.

Avaccus mówił dalej, z potrójną siłą, gdyż echo odbijało jego głos od ścian jaskini.

– Efemerydy nie zatrzymują się nigdy na dłużej w jednym miejscu. Są efemeryczne, tymczasowe: jak gwiazda spadająca na wieczornym niebie lub nagła burza, której wściekłość trwa ledwie chwilę. Nie odkryte i nie używane, potrafią przeleżeć w ukryciu całe wieki. Wciśnięte w mroczne zakamarki między światami i przyczajone w rozpadlinach czasu,

czekają stosownej chwili, by stawić się na wezwanie albo w razie potrzeby. Efemerydy mogą wszczynać zatargi, rozniecać zarzewia wojen, inicjować przemiany i kształtować życie. Potęga zawsze jest przy nich. Lubią przebywać na granicy światła i cienia, tam gdzie zazębiają się światy, a czas staje się mniej uchwytny niż powolne tykanie zamierającego zegara.

Odwiedzają wszystkie światy. Graale, pierścienie mocy, kamienne półokręgi i święte klejnoty. Ludziom się zdaje, że to oni je znajdują, choć w istocie sami zostają odnajdywani. Efemerydy nie są prezentami. Nie są błyskotkami na pokaz ani skarbami, które można by zamknąć w skarbcu. Są brzemieniem. Są gnębicielami. Są źródłem siły.

W miarę jak Avaccus mówił, ogarniało ją coraz większe ciepło. Lodowaty chłód wymknął się z tułowia i kończyn, przez co poczuła jakąś suchość w ciele, lecz przede wszystkim ulgę. Wydawało jej się, że całą noc spędziła przed domem, wyczekując na mrozie, aż w końcu została zaproszona do środka. Ból i dolegliwości ustąpiły, żołądek się uspokoił. Ważąc klejnot na dłoni, powiedziała:

– Chce pan przez to powiedzieć, że ten pierścień ma jakiś cel?

Mnich podniósł wzrok ku stropowi jaskini. Zamarł na kilka chwil, po czym skłonił się lekko.

– O tak, efemerydy zawsze mają swoje cele. Niektóre z nich są wielkie, inne nie tak doniosłe. Niektóre mają cele, których nie sposób zgłębić w ciągu ludzkiego życia. Stanowią przyczynek pozornie mało znaczących zdarzeń – śmierci noworodka, narodzin pomysłu, odstąpienia od uświęconego zwyczaju – i dopiero wiele pokoleń później, czasem stuleci, wychodzi na jaw prawdziwe znaczenie owych wydarzeń. Efemerydy to katalizatory przemian. Wślizgują się do świata, a kiedy w końcu go opuszczają, świat ten zostaje zmieniony. – Avaccus westchnął, całe jego ciało zdawało się przy tym zapadać do środka. – A ty, moja miła, posiadasz właśnie jeden z nich.

Tessa skrzyżowała spojrzenie ze starcem. Pierścień ciążył na jej dłoni i przez chwilę żałowała, że nie może odsunąć go na bok, jak kubek albo kraba. Choć z jednej strony miała chęć tak właśnie postąpić, pewna część jej natury sprzeciwiała się temu stanowczo. Pierścień należał do niej. Avaccus obserwował ją beznamiętnym wzrokiem, jakim uczony przebiega wersety świętej księgi. Nie wątpiła w jego słowa. Przez cały czas, od pamiętnego dnia w lesie, wiedziała, że pierścień posiada nadzwyczajne właściwości.

– Czy kryje się w nim jakaś magia? – zapytała.

– Tak i nie. – Avaccus uśmiechnął się. Kolor jego zębów nie różnił się w najmniejszy sposób od barwy serów, które przewracał. – Efemerydy przenikają ludzi na wskroś. Ktokolwiek potrzyma w ręku jedną z nich, otrzyma część ich mocy, albo też ujrzy rąbek wizji. Wątpię jednak, czy stanie się od razu czarodziejem.

Pokiwała głową.

– Wpadł w moje ręce w związku z harrarami Izgarda. Myślę, że zostałam wezwana, aby się z nimi zmierzyć.

– Tak myślisz, he? – Potarł swój gładko ogolony podbródek. Miał nagie ramiona: pomimo wieku jego skóra wyglądała zdrowo. Nie była pulchna, ale napięta kośćmi i ścięgnami.

Tessa milczała, czekając, żeby przemówił i potwierdził jej domysły. On jednak nie zamierzał przerywać ciszy, oddychał równo, na twarzy nie malowało mu się żadne uczucie. Światło przygasło. Kolory w pieczarze przyciemniały i zaczerwieniły się równocześnie. Ścieliły się krwiste cienie. Gdzieś niedaleko od niej rozległo się stukanie kraba próbującego obejść kubek. Jednostajne kapanie, kapanie kropel do jakiejś niewidocznej sadzawki – urwało się raptem. Zapach dojrzewających serów mieszał się z gorzką, nieprzyjemną wonią czegoś gnijącego w wodzie. Choć leżała oparta o ścianę na tyłach groty, poczuła się, jakby ktoś przeniósł ją bliżej, ku środkowi. Jakby pierścień z każdego miejsca, do którego spodobało jej się pójść, wczougać, lub gdzie zechciała się położyć – czynił centralny punkt.

Cisza się przeciągała.

Rozmyślała. Rozważała wszystkie fakty odnoszące się do Deverica, harrarów i Izgarda z Garizonu. Pobiegła myślami wstecz, aby przypomnieć sobie każdy szczegół, jaki mógł wcześniej ująć jej uwagi. Kiedy malowała wzory mające pognębić harrarów, zdawała sobie sprawę ze słuszności własnego postępowania. Popatrzyła na pierścień i powiodła wzrokiem wzdłuż złotych zwojów, obserwując, jak wewnętrzne sploty rozgałęziają się na zewnątrz, w kierunku światła. Być może harrarzy stanowili jedynie drobny element większej całości. Być może miała wystąpić przeciwko samemu Izgardowi. Nagle jej myśli pobiegły w stronę Ravisa i Camrona. Obaj poprzysięgli zniszczyć garizońskiego króla. Może i ona jest częścią tego samego spisku? Cała ich trójka zeszyła się razem w dniu, w którym wsunęła pierścień na palec.

– A gdyby tak nie chodziło tu tylko o harrarów? – spytała. – Może chodzi tu o człowieka, który nimi steruje?

Ayaccus przytknął palcami.

– Tak. Nie. Kto wie?

Po raz wtóry odniosła wrażenie, że zanudza starca na śmierć swymi trywialnymi opowieściami.

– Jeśli zna pan odpowiedź, dlaczego nic pan nie mówi? – zwróciła się do niego ponownie. – Tyle mil przejechałam, żeby się z panem zobaczyć. Zaatakowano mnie, ścigano i omal nie utopiono. Żeby tu przybyć, zostawiłam ludzi, na których mi zależało. I po co? Pan sobie siedzi wygodnie i robi z wszystkiego sekret. Rozdziały światów, ukryte cele, efemerydy: pan tyle wie, a mimo to milczy! – Gdy tak krzyczała, głos jej nagle osłabł. Jeszcze nigdy nie czuła się taka wyczerpana. Wbrew woli umysł jej wskrzesił obraz Ravisa, uciekającego od niej w karczynie. Wszystkie rany i zadrapania zapiekły naraz tak dotkliwie, że w jej oczach zaszklily się łzy.

Powtórnie przemówiła głosem już spokojniejszym, zupełnie normalnym, jeżeli wykluczyć nutę goryczy, która świadczyła o wewnętrznej wojnie nastrojów.

– Proszę. Sprowadził mnie tu ten pierścień. Przybyłam z odmiennego świata – być może jednego z tych, który powstał po Rozdziale. Tego nie wiem. Wiem jednak, że przybyłam tu w jakimś określonym celu. Deveric mnie tu zawezwał. Muszę się dowiedzieć dlaczego. Do dzisiejszego dnia sądziłam, że mam pokonać harrarów oraz skrybę, który nimi włada. Teraz pan tylko na mnie patrzy i milczy, i założę się, że pan wie, czy mam rację. Muszę wiedzieć, czy nie brakuje mi jakiegoś kawałka układanki.

Avaccus siedział bez ruchu i czekał, kiedy ona skończy. Gdy przebrzmiało ostatnie echo jej głosu, zmrużył wolno oczy, jakby na powiekach osiadł mu jakiś nieznośny ciężar. Zacerpnął głęboko powietrza i zabrał głos.

– Mam osiemdziesiąt dwa lata, młoda damo. Osiemdziesiąt dwa, spośród których siedemdziesiąt spędziłem na Wyspie Namaszczonych. Przybyłem tu właściwie tylko po to, żeby nauczyć się czytać i pisać, podobnie jak wielu innych chłopców w moim wieku. Świątobliwi ojcowie już dawno wpadli na pomysł uzupełniania kasy opactwa poprzez nauczanie młodych chłopców elementarza. Nie miałem zamiaru zostać skrybą, wtedy jeszcze nie. Chciałem zostać astronomem, sporządzać mapy nocnego nieba, posługując się okrągłym, grubym szkłem. – Avaccus obdarzył Tessę promiennym uśmiechem. – Co innego było mi jednak pisane. Kiedy świątobliwi ojcowie odkryli, że przejawiam talent do pióra i malowania na pergaminie, zaczęli mnie namawiać, żebym został. “Możesz stać się wielkim skrybą” – powiadali. Iluminatorem na miarę Fascariusza, Mavelloca i Ilfaylena. Powinienem zostać, pomnażać wiedzę i wstąpić w szeregi bractwa. – Avaccusowi zrzęda mina. – Jesteśmy tu, na wyspie, dość zachłanną zgrają, kiedy więc uważamy kogoś za swoją własność, wolimy go mieć na oku.

Zerknęła na kciuk Avaccusa, zgięty i bezużyteczny. Kiedy podniosła wzrok, okazało się, że starzec wpatruje się w nią uważnie. Nie próbował schować ręki.

– Świątobliwi ojcowie są przepelnieni miłością i strachem – powiedział. – To dotyczy nas wszystkich, ale ich w szczególności. Gdybyś teraz przeniknęła klasztorne mury, zobaczyłabyś zapewne ojca Issasisa, jak leży krzyżem w kaplicy, pragnąc odpokutować za przewinienie, jakim niewątpliwie było skalanie się kłamstwem. Pod wieloma względami zacny z niego człowiek. We wszystkich sprawach poza tą jedną cechuje go bezwzględna uczciwość.

– Wyszedł do mnie do bramy – mruknęła. – Wskazał mi celę, a gdy tylko zasnąłam, zostałam zaatakowana. – Wspomnienie stworzenia przyczajonego w ciemnościach wciąż napawało ją lękiem. Zapach, dźwięk, masywna sylwetka stwora – wszystko to zdawało się zrodzone z nieprzejrzanego ciemności.

Uszkodzona dłoń Avaccusa opadła na ziemię.

– Ojciec Issasis nie wysłał żadnego stworzenia, żeby cię zabiło. Świątobliwi ojcowie nie postępują w ten sposób. Zagrożenie pojawiło się z innej strony.

– Jednakże ojciec Issasis pozwolił, żeby tak się stało. – Tessa jedynie zgadywała, lecz pewien aspekt oblicza Avaccusa podpowiadał, że może mieć rację. Przez chwilę wyglądało na to, że starca dławi bezbrzeżny smutek.

– Mam nadzieję, że nie. Ze względu na wszystko, co niegdyś ta wyspa sobą przedstawiała.

– Czy jest jakiś związek między pierścieniem a tą wyspą? – Nie wiedziała, co powie, zanim tego nie powiedziała. Jasnobrzowe oczy Avaccusa zdawały się wyciągać słowa z jej ust.

Jego skinienie było lekkie, lecz wyraźne.

– Można posługiwać się wzorami dla pozyskiwania wiedzy. Pojąłem to bardzo szybko. Wystarczy wyrysować właściwe ornamenty, przy zachowaniu odpowiednich proporcji i przestrzegając ustalonych sekwencji, a już można cofnąć się do przeszłości. Nie do takiej, jaką naprawdę była, ale do szczątków, które zdołała po sobie pozostawić. Wszystko zrzuca skórę. Rzeczy czekają, żebyśmy je znaleźli. Przy odrobinie szczęścia możemy się na nie natknąć; wtedy badamy je, klasyfikujemy i wyciągamy wnioski. To właśnie umożliwiły mi iluminacje: podróż poza zamknięte bramy w poszukiwaniu prawdy.

Głos Avaccusa zaczął się rwać. Tessa dojrzała coś poza jego świecącymi oczyma. Coś jasnego, smutnego i nadal młodego.

– Mój talent okazał się moją zgubą. A także zgubą Emitha. Chociaż był młody i robił tylko to, co mu kazałem, nie posiadając równocześnie większego pojęcia na temat istoty tego, czym się zajmowałem, świątobliwi ojcowie i jemu wymierzili karę. Rozdzielili nas. Jego wygnali, gdyż w gruncie rzeczy do nich nie należał, było na to jeszcze za wcześnie. Może już po roku wstąpiłby do bractwa, kto wie? Osądzono jednak, że należy go wypędzić. Co do mnie... – Machnął zdawkowo ręką.

– Przecięli panu ścięgno, by uniemożliwić pisanie.

– To prawda, ale nie do końca. – Avaccus omiół spojrzeniem wnętrze jaskini. Skały mieniły się teraz krwistą czerwienią. – Wiedz, że strzegą wielkich sekretów. Sekretów liczących sobie pięć stuleci.

Tessa naciągnęła szatę na stopy, zaniepokojona kolorem, jaki w tym świetle uzyskała jej skóra. Nic nie powiedziała. W oddali fale biły o brzeg. Wydawało się, że to czyjś głośny oddech.

– Pierścień, który posiadasz, jest repliką Kolczastego Wieńca – stwierdził mnich zniżonym głosem, który teraz dostosował się do szumu morza, – Sądzę, że one są połączone z sobą w czasie i w przestrzeni, razem wytopione.

– Kolczasty Wieniec też jest efemerydą?

Avaccus uśmiechnął się pod nosem.

– Tak, i być może największą ze wszystkich. Wślizguje się do świata z jednym jedynym celem, jaki przyświeca mu w głębi ciemnego serca: wygrywanie wojen!



Tessa doznała wrażenia, jakby coś przesunęło się po jej ciele. Włosy na głowie stanęły dęba. Wyczuwała każdy pojedynczy fragment swego ciała. Kończyny zdawały się ciężkie niby kłody, dłonie – niczym innym, jak bezużyteczną gmatwaniną kości. Brzuch zrobił się miękki i podatny niby skórzany bukłak. Była niekonsekwentna, przez co wrażliwa na ciosy. Jakim sposobem udało jej się przebyć tak długą drogę, walcząc jedynie za pomocą swego kruchego ciała? To musiało zakrawać na szaleństwo.

Mrugnęła kilka razy, chcąc zwilżyć boleśnie wyschnięte oczy. Bezskutecznie próbowała przełknąć ślinę.

– Kolczasty Wieniec jest koroną Garizonu od pięciuset lat. Skoro to efemeryda, jak pan utrzymuje, powinna już dawno zniknąć, przepaść wiele stuleci temu.

– To właśnie, moja miła – odrzekł Avaccus, wypowiadając bardzo wyraźnie każde słowo – stanowi istotę problemu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Kiedy kwas przypalił welin, dym uniósł się znad iluminacji. Ciemny atrament osiadł na podbarwionym na czarno pergaminie, przemykając między włóknami niczym pantera polująca w ciemności. Włosie wychodziło z pędzla, kropla spływającego potu przybierała na wadze na podbródku skryby. Promienie słońca sączyły się poprzez otworki wyżarte przez mole w płótnie namiotu, rozsiewając na biurku świetliste punkciki.

Ederius nie zaprzętał sobie tym głowy. Jedyne dym, jaki dostrzegał, unosił się nad podpalonym raizyjskim obozem. Harrarzy wzniesili pożar na stoku, który Izgard tydzień wcześniej wybrał, gdyż był najbardziej suchy. „Ta trawa stanie w płomieniach, gdy tylko przytknie się do niej pochodnię – rzekł wtedy. – Musimy zadbać o to, żeby Sandor skusił się rozbić tu obóz”.

Usuwanie ze stoku kamieni i innych przeszkód zajęło żołnierzom Garizonu blisko dwa dni. W ciągu trzeciego dnia, pięć mil w dół pobliskiej rzeczki, wzniesiono tamę. Powstały w rezultacie nadmiar wody skierowano następnie na północ, tak że niewielki, wysychający w porze letniej strumyk zmienił się w na tyle duże źródło wody pitnej, iż obóz wojskowy mógł czerpać zeń dowoli. Świeża woda, czyste zbocze i rozległy widok na ziemię sąsiadującą z garizońskim obozem – wszystko to wystarczało z nawiązką, żeby skusić Sandora. Izgard nawet nie uniósł brwi, kiedy zeszłego dnia w południe raizyjskie wojsko zaczęło wbijać pale na stoku. Przecież sam dawno temu wszystko to zaplanował. To, jak też południowo-zachodni wiatr, mający za zadanie rozdmuchać płomienie po całym obozie i pognać gęste kłęby czarnego dymu prosto na pole bitwy.

Ederius widział, czuł i smakował ten dym. Obserwował wywołane zamieszanie i gdy tylko straż obozu wpadły w panikę, rzucił na nich harrarów, których przesuwiał, jakby byli pionkami na planszy. Czern poruszała się w czerni: każdy z nich wiedział i widział to, co wszyscy wiedzieli i widzieli; rozkazy docierały do wszystkich jednocześnie. Ich straszliwe, nieludzkie skowyty rozsadzały Ederiusowi uszy. Innym razem przeszyłyby go chłodem do szpiku kości, teraz jednak otwierał i zamykał usta nieświadomie naśladując ich ryki. Był jednym z nich. Był nimi wszystkimi. Ich wodzem, stwórcą i nicią wiążącą harrarów z Wieńcem.

Ederius odczuwał tak palące i nikczemne potrzeby, że niepodobna ich było oddać słowem, a jedynie obrazem. Pewna część jego natury nadal drżała na widok okrucieństw, które oglądał oczyma duszy, jednak ręce ani razu nie zatrzęsły się nad pergaminem i nigdy nie straciły kontroli nad wzorami.

Czerń poruszała się w czerni. Harrarzy zbiegali płonącym zboczem, cięli nożami, pędząc przed sobą zmieszane i przerażone raizyjskie siły. Dym gryzł w oczy i dusił w gardle. Płomienie lizały buty. Ogluszający hałas mógł przyprawić o obłąd. Nie pozwalał racjonalnie myśleć.

Stłoczeni niczym bydło, wrogowie pierzchali w dolinę. Większość dźwigała pełne zbroje. Wszyscy dzierżyli miecze. Gdyby zechcieli się zatrzymać, pomyśleć i naradzić, stawiliby czoło harrarom – mieli przecież dziesięciokrotną przewagę. Niemniej jednak nie doszło do narady. A nawet jeśli doszło, któż mógł zrozumieć słowa wśród strzelających płomieni i ryku harrarów? Panika ogarnęła cały obóz, jak to wcześniej przewidział Izgard. Jak to on sam zaplanował.

Widząc, że wojska raizyjskie zbiegają co tchu do doliny, Ederius ostrożnie skierował swoją uwagę z powrotem na namiot. Jego wzrok zmętniał, ale po chwili kształty się wyostrzyły. Przed nim na stole leżał Kolczasty Wieniec, złoty i żywy bardziej niż kiedykolwiek. Nie błyszczał już jak wypolerowany metal, lecz jarzył się. Jedno spojrzenie wystarczyło. Izgard wydał mu rozkaz, a Kolczasty Wieniec pomógł go wykonać. Starzec szybko i z zapalem powrócił do swoich wzorów.

Atrament przypalał welin, gdy harrarzy tworzyli półksiężyc za plecami raizyjskich żołnierzy: popędzali ich, zaganiali i kierowali do doliny, w której miała dokonać się rzeź. Ciemne sylwetki przebiegały wśród deszczu zwiewnych, zwęglonych płatków i buchających kłębow dymu. Czerń poruszała się w czerni.

– To właśnie Hierac znalazł Kolczasty Wieniec – rzekł Avaccus. – Legenda głosi, że młody król walczył wtedy z Wennsami w Górnym Vjorhadzie. Miał siedemnaście lat. Ponoć nie należał do najbystrzejszych wojowników, był jednak wytrwały. Dowodził wyprawą na wenijską wioskę, aby pomścić śmierć garizońskich kupców, którzy zginęli tam rok wcześniej. Osada leżała w górach, pośród wielkich, północnych lodowców. Wენსowie świetnie znali swoje tereny i dawno już opracowali taktykę zwabiania najeźdźców na lodowe pokrywy. Lód nie miał przed nimi tajemnic, wiedzieli, w których punktach jest słaby i gdzie może się łatwo załamać. Po samej teksturze ubitego śniegu rozpoznawali zdradliwe miejsca.

Avaccus zrobił przerwę na łyk swojego napoju. W jaskini zrobiło się ciemno i Tessa tylko niewyraźnie dostrzegła rysy twarzy starego mnicha. Nie miała pojęcia, jaka jest pora dnia. Być może słońce przestało po prostu świecić przez szczelinę w stropie groty. Albo też chmury zasłoniły niebo. Albo zapadła noc.

Avaccus przygotował lekki posiłek, złożony z miękkiego jak masło sera, ciemnego chleba i wody. Tessa nie miała apetytu, lecz zmusiła się do zjedzenia kromki chleba. Był suchy i bez smaku, zupełnie jak ryżowy papier, i nie chciał przechodzić przez gardło. Z cienia za skalnym załomem starzec przyniósł grubą, białą świecę, którą po wielominutowych próbach udało mu się zapalić za pomocą krzemienia. Patrząc, jak niezgrabnie usiłuje uderzyć krzemieniem pod właściwym kątem, aby skrzesać iskrę, przypuszczała, że starzec zapala świecę jedynie ze

względu na nią. Czy to z oszczędności, czy też z wyboru, mnich długie wieczorne godziny musiał spędzać po ciemku.

Świeca zapaliła się, rozsyłając po jaskini wątle smugi światła. Kręgi serów, których krawędzie połyskiwały blado, nabrały wyglądu wulkanicznych kraterów z jakiegoś obcego, nieziemskiego krajobrazu. Gdy patrzyła na nie z góry, wydawało jej się, że szybuje w ciemności nad dziwnym łądem. Ze sterty wysuszonych wodorostów w przeciwnym kącie wydobywała się smużka dymu, napędzając wewnątrz pieczary słodkawą i nieco stęchlą wonią brzegu morskiego w porze odpływu. Avaccus mówił, że zapach ten odstrasza nietoperze. Nie mogła się zdecydować, czego bardziej nie cierpi: tłących się wodorostów czy sera.

O dziwo – uleciało z niej zmęczenie. Dokuczały jej wprawdzie rany i ogarniały dreszcze, ilekroć powiało od wejścia, lecz uwagi nie uchodziło ani jedno słowo Avaccusa.

Mnich odstawił kubek, odetchnął, zmienił pozycję, jakby znużony dźwiganiem czegoś ciężkiego, po czym ciągnął dalej swoją opowieść.

– Wennsowie ściągnęli cały garizoński oddział na lodową krawędź i zaczęli go spychać, aż nie miał się gdzie cofnąć. Zbita masa śniegu zapadła się pod ciężarem konnicy i oderwała od macierzystego lodowca. Wszyscy zginęli oprócz Hieraca. Ich kości zostały pogruchtane na skałach sterczących z zamrożonego śniegu, a ciała przygniecione zwałami lodu.

Hierac upadł wraz z innymi. Jak daleko się stoczył, nie wiem. Jego ciało nie tylko runęło w dół, ale zostało odrzucone na bok. Jakimś cudem wylądował na zmięczonych deszczem pozostałościach po poprzednim oderwaniu się lodu. Miał zgniecione żebra i prawą nogę złamaną w dwóch miejscach. Przez resztę nocy i cały następny dzień leżał nieprzytomny, a kiedy w końcu otworzył oczy, ujrzał go: błysk złota na mlecznobiałym tle lodowego potoku. W żwirze, glinie i piasku spoczywał Kolczasty Wieniec. Odśloniło go to samo zejście lodowca, które przyniosło śmierć ludziom Hieraca.

Słuchając słów Avaccusa, drżała tak mocno, że wydawało jej się, iż czuje każde uderzenie serca.

– Tak to już jest z efemerydami. Nigdy nie zjawiają się na świecie skromnie i po cichu, tylko przebijają się zawzięcie z wysuniętymi pazurami: zmieniają bieg życia, historii i samą naturę. Lubią wchodzić z pompą.

Skinęła potakująco. Wiedziała. Długa, męcząca jazda samochodem, głowa wypełniona hałasami, trzysta odsłoniętych ludzkich istnień, pomoc dwóch włamywaczy, którzy za zły omen uznać musieli zakończoną niepowodzeniem próbę otwarcia głównego sejfu, co zmusiło ich do kradzieży depozytów. Jak daleko wstecz można by podążać za tą nicią? Jak długo pierścień na nią czekał? Być może nie czekał wcale. Być może skorzystał z ostatniej sposobności, by wśliznąć się do koperty.

Avaccus poruszył się cicho, czym sprowadził ją na ziemię.

– Hierac zabrał Kolczasty Wieniec do Garizonu. Sama jego powrotna podróż mogłaby stać się tematem osobnej opowieści, lecz nie widzę powodu, by ci ją opisywać. Jego świat

uległ raptownej przemianie. Przed wypadkiem na lodowcu był walecznym, upartym, rozkochanym w wojnie księciem. Nie miał wygórowanych ambicji, swym ograniczonym umysłem nie pojmował niczego bardziej złożonego od przygranicznych utarczek i krwawych zatargów. Garizon był skromnym księstwem o skromnych wyobrażeniach i jeszcze skromniejszych planach na przyszłość. Po powrocie Hieraca wszystko się zmieniło.

W miesiąc po koronacji Kolczastym Wieńcem wygrał swą pierwszą wojnę. W starciu z północnym sąsiadem, Balgedisem, udało mu się zagarnąć żyzne ziemie Berrańczyków. Odtąd nigdy nie oglądał się wstecz. Zwycięstwa podniecały i inspirowały garizońską armię, apetyty rosły, ambicje sięgały coraz wyżej, nowe możliwości rozpościerały się niczym łany dojrzałej pszenicy.

Większa część kontynentu po zachodniej stronie znajdowała się wtenczas pod istanijską kontrolą. Innowiercy z Istanii podbili Raize, Medran, Drokho, zachodni Balgedis i południowe Maribane. Byli panami Zatoki Obfitości, Zatoczą i Morza Wzburzonego, władali też Środkowym Wschodem. Terhas, pustynne państwo, skąd się wywodzili, należało do nich wraz z Harassi, Ranyptem i Arpurem. Świat nie widział wcześniej wspanialszego imperium. Niewierni za nic mieli sobie życie. Po wtargnięciu do jakiegoś kraju mordowali mężczyzn i kobiety, aż serce jego zamierało. Liczyły się łupy: ziarno, jedwabie, złoto, wełna, drogocenne kamienie i ludzkie ciało. Najeźdźcy zagnali setki tysięcy drokherlskich i medrańskich dzieci na łodzie i jako niewolników wysłali na wschód. Dorośli byli za starzy, powiadali, nazbyt wrośnięci w zachodnie życie, żeby dało się ich wychować do posługi na wschodnich dworach.

Wszyscy mężczyźni, zdolni posługiwać się bronią (którzy oczywiście wcześniej nie polegli), zostali okaleczeni – innowiercy nie chcieli, żeby w cieniu za ich plecami czały się zbuntowane wojska. Najczęściej wlewali rozgrzany olej do kanałów usznych, aby zniszczyć słuch i narząd równowagi. Po takiej kuracji nikt nie mógł już walczyć. Cały zabieg jest nadzwyczaj bolesny, a nieostrożnie przeprowadzony może spowodować uszkodzenie mózgu, wywołać obłęd lub przyprawić o śmierć. Istanijscy innowiercy nie grzeszyli ostrożnością. Mieli takie swoje powiedzenie: „Krew mieszkańca zachodu łatwo można zmyć z miecza”.

Tej samej wiosny, kiedy Hierac odnalazł Wieniec, Istanijczycy postanowili najechać na Garizon. Niektórzy powiadają, że z czasem zgnuśniali, że przywykli do braku oporu i że wyruszyli na Garizon nieodpowiednio przygotowani. – Avaccus odchrząknął głośno. – Byli w błędzie. Istanijczycy przeprawili się przez Weize późną wiosną. Zwycięstwo Hieraca nad Balgedisem nie uszło ich uwagi. Przybyli, spodziewając się oporu.

I opór napotkali. Opór, z jakim nie zetknęli się od stu lat. Hierac odrodził się w chwale Kolczastego Wieńca, który ukazywał mu wizje wojny, wyzwalał uśpione dotychczas umiejętności, dodawał niezbędnej u wodza pewności siebie. Uczynił zeń króla-wojownika.

Hierac nie tylko powstrzymał napór wojsk nieprzyjaciela, ale zdołał je wyprzeć – do Raize i do Balgedisu, za rzekę Weize. W ciągu trzech miesięcy zagarnął Balgedis. Dokładnie

w rok później zajął Raize. Nic nie mogło go powstrzymać. Jego wojska rosły w siłę. Obmyślał śmiało, genialne strategie. Istanijczycy dorównywali mu zwierzęcą siłą, lecz nie umieli sprostać jego nieustępliwości. Nikt nie mógł zagrozić mu drogi. Wciąż parł do przodu, zdobywał kolejne wioski i pola. Hierac pokazał światu nowy sposób walki. Nie planował pojedynczych bitew czy kampanii, myśląc o dwóch, może trzech następnych ruchach. On planował całe wojny.

– Rozbił imperium? – odezwała się Tessa raczej po to, żeby usłyszeć dźwięk własnego głosu, niż żeby zadać pytanie, na które już знаła odpowiedź. Im dalej Avaccus posuwał się ze swą opowieścią, tym mniej czuła się istotna. Kształty wszystkich rzeczy rozrastały się z każdym słowem starca. Pięćset lat. Imperium. Tysiące istnień ludzkich i nieprzeliczone pokolenia, których umysł nie potrafił ogarnąć. Fakt, że się tu znalazła, że się w to wmieszała, wydawał się jakąś fatalną pomyłką.

– To, czego nikomu nie udało się osiągnąć w ciągu stulecia, Hierac osiągnął w ciągu dziesięciu lat. – Avaccus był opanowany niczym historyk czytający daty. – Niewierni zostali przegnani z zachodu; z Raize, Medranu, Maribane, Drokho, a nawet z większej części półwyspu Istanijskiego. Garizon posuwał się na południe i na wschód, póki wszystkich nie wybili. W ostatniej bitwie na czerwonych, piaszczystych brzegach rzeki Medi, armia Hieraca wycięła w pień sto tysięcy ludzi. Kolczasty Wieniec miał wpływ na każdą z tych śmierci.

Tessa zamknęła oczy. Cisza, jak zapanowała po słowach Avaccusa, zdawała się wciskać pod jej powieki. Nie chciała ich otwierać. Musiałyby wówczas spojrzeć na to, na co wołała nie spoglądać. Upłynęło kilka sekund, po których – wciąż nie otwierając oczu – westchnęła cicho i z rezygnacją.

– Z tego właśnie powodu efemeryda znalazła się w tym świecie? Aby zniszczyć istanijskie imperium?

Jakkolwiek nie śmiała jeszcze otworzyć oczu, wyczuła, kiedy Avaccus skinął głową.

– Sądzę, że masz rację.

– I w jakiś sposób ta efemeryda przedłużyła swój pobyt? Nie zdołała zniknąć?

– Tak, tak. – W głosie Avaccusa dało się odczytać subtelną zmianę. – Chociaż słowo „zdołała” nie jest tu całkiem na miejscu. – Spojrzał bystro na Tessę i w tym momencie poczuła wielkie brzemień odpowiedzialności związanej z posiadaną przez niego wiedzą. Gdy ponownie zabrał głos, doznała wrażenia, że część tego brzemienia przechodzi na nią. Teraz oboje musieli go dźwigać.

– Kolczastemu Wieńcowi przeszkodzono w opuszczeniu tego świata – rzekł mnich. – Hierac zlecił, żeby go tu uwiązano.

Tessa podciągnęła kolana do piersi i wsparła na nie głowę. Jej ciało zdawało się ciężkie i kruche niczym dachówka. Wszędzie naokoło ściany jaskini pochłaniały światło świecy, wydobywając ze złotego płomyka tuzin odcieni czerwieni. Wyglądało to tak, jakby siedziała pośrodku płonącego ogniska. Tyle tylko, że panował w nim chłód.

– Dlatego tu dziś jestem, prawda? – zapytała, zaglądając mu w oczy. – Nie mam pozbyć się harrarów i ich dowódcy, tylko odesłać stąd Kolczasty Wieniec?

Dłoń Avaccusa podskoczyła do góry i znieruchomiła gwałtownie, jakby zamierzał ją dotknąć, lecz szybko zdał sobie sprawę, że jest poza jego zasięgiem.

– Owszem – powiedział, opuszczając rękę. – Sądzę, że dlatego właśnie zostałeś wezwana. Pierścień i Wieniec stanowią nierozłączną parę. Pierścień jest siostrą Kolczastego Wieńca i nagli cię, byś wyzwoliła brata.

– Co zatem mam zrobić?

Oczy starca rozszerzyły się i uświadomiła sobie, że wyrzuciła z siebie te słowa rozkazującym tonem. Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, po czym pokiwał głową, jakby powiedziała coś niemilego, choć bezsprzecznie prawdziwego.

– Byś mogła zrozumieć, jakie przed tobą stoi zadanie, musisz wpierw dowiedzieć się, w jaki sposób i dlaczego Wieniec został związany.

Pewna nuta w głosie Avaccusa przyspieszyła bicie jej serca. Położyła rękę na piersi, aby się uspokoić. Kiedy zaciskała dłoń na żebrach, zauważyła, że mnich wpatruje się na wskroś niej, w stronę wyjścia z jaskini. Gdzieś tam, wysoko, wznosił się klasztor.

Starzec zaczął mówić głosem przytłumionym, jakim zdradza się sekrety; jego spojrzenie biegło od czasu do czasu w kierunku wejścia do grotty.

– Po tym, jak Hierac rozgromił niewiernych nad rzeką Medi, udał się na zachód, by skonsolidować swoje terytoria. W ciągu trzech lat dokonał wielkiego przeglądu wszystkich podbitych ziem, miast i księstw. Chciał, żeby ludzie wiedzieli, kto jest ich królem. Chciał, żeby oglądali go na wspaniałym rumaku bojowym, z szerokim mieczem w dłoni i Kolczastym Wieńcem na skroniach, chciał, by zaniechali wszelkich myśli o buncie. Gdy opuszczał miasto, specjalnie wyszkolone drużyny wkraczały, aby rozprawić się z rebeliantami, spalić ich domy i miejsca spotkań, przejąć majątki, złoto – cokolwiek miało wartość – wszystko zaś w imię króla. Ci, którzy nie chcieli oddać mienia po dobroci, patrzyli, jak ich domostwa oblewane są ropą i podpalane. Stąd właśnie bierze się nazwa harrarów: podpalacze Hieraca, siewcy horroru – harrarzy.

Tessa poczuła lodowatą dłoń na plecach. Skuliła się najmocniej, jak mogła, z całych sił przyciskając kolana do piersi.

– W owym czasie wyszukiwał on uczonych wszelkiego autoramentu, by dowiedzieć się czegoś więcej o koronie. Strzegł jej jak oka w głowie, nie pozwalał nikomu dotykać Wieńca, nigdy też się z nim nie rozstawał. Widzisz, on wiedział. Wiedział, że tylko dzięki niemu zdołał wygrać wszystkie wojny. Chciał się dowiedzieć, dlaczego.

– Przybył tu, mam rację? – wyrwało się Tessie. Fragmenty dawnych rozmów snuły jej się po głowie i łączyły w całość. W tym wszystkim znajdował się wzorzec. Wyczuwała to. – Hierac przybył na Wyspę Namaszczonych i odwiedził mnichów. Oni wiedzieli, czym jest

Kolczasty Wieniec, czy tak? Pomogli mu związać go z tą ziemią w zamian za... – Kiedy zawiesiła głos, szukając odpowiedniego słowa, on dokończył za nią:

– Za nietykalność. – Jego ciało pochyliło się do przodu, jak gdyby ktoś wisiał wysoko nad nim i składał mu na barki coraz to nowe ciężary. Popatrzył na nią oczami pełnymi bólu. – Tak, w rzeczy samej. Hierac zjawił się tu, zwabiony opowieściami o świętych relikwiach, bezcennych manuskryptach, jak również reputacją, jaką wyspa cieszyła się ze względu na zgromadzoną tu wiedzę. Przybył plądrować zarówno złoto, jak i wiedzę – cokolwiek wpadło by mu w ręce. Świątobliwi ojcowie wyszli na skały, aby go przywitać. Padł na nich śmiertelny strach. Doszły ich słuchy o wyczynach Hieraca i jego harrarów. Spodziewali się, że puści z dymem klasztor, zagrabi starożytne skarby i wszystkich pozabija.

Zamiast tego pokazał im Wieniec. “Oglądajcie to sobie – rozkazał – a później mówcie, skąd pochodzi i jakie ma właściwości. Dajcie mi powód, abym mógł zachować was przy życiu”.

Powód się znalazł. W klasztornym skryptorium zwołano forum iluminatorów, którzy natychmiast zaczęli wyrysowywać wzory, aby odsłonić sekrety Wieńca. Było ich dwunastu. Dwunastu mnichów pracowało przez dwanaście godzin w nocy, a każdy z nich wniósł swoją część do ogólnej całości. To były inne czasy, pogłębianie wiedzy poprzez malowanie iluminacji nie uważano jeszcze za pogwałcenie boskich przykazań. Świątobliwi ojcowie traktowali je jako błogosławieństwo udzielone wyłącznie skrybom i wyłącznie na ich pożytek. – Potrzęsnał głową. – Nie mnie jednak rozstrzygać, czy postąpiono słusznie. Ze wszystkich ludzi ja jestem najmniej upoważniony do wydawania osądów. – Głowa opadła mu na piersi, a jego oddech stał się urywany. Po chwili, w czasie której usiłował zapanować nad jakimś gnębiącym go uczuciem, pewnym głosem podjął opowieść: – O świecie członkowie forum poznali odpowiedzi. Wezwali świątobliwych ojców i zeznali, co ukazały im wzory. Odkryli całą prawdę. Dowiedzieli się, że Wieniec jest w istocie efemerydą, jedną z wielu, które podróżują między światami, by realizować własne cele. Celem Kolczastego Wieńca jest wygrywanie wojen, teraz więc, kiedy wygrana została wojna o tak doniosłym znaczeniu, miał z powrotem zniknąć.

Ojcowie podjęli decyzję. Wierzyli chyba, że nawet pozbawiony Wieńca, Hierac pozostanie demonicznym władcą, a oni i reszta świata wciąż będą cierpieć na skutek trucizny, którą wstrzyknęły mu złote kolce. – Avaccus wzruszył ciężko ramionami. – W każdym razie, w ciągu godziny ojcowie ogłosili Hieracowi wyrok, jaki zapadł na Forum. Króla natychmiast ogarnęła trwoga, że straci na zawsze koronę. Zwrócił się do świątobliwych ojców z żądaniem, żeby znaleźli sposób na uwiązanie Wieńca do ziemi, tak aby go nigdy nie opuścił. Zagroził spaleniem opactwa i pozabijaniem wszystkich mnichów.

Ojcowie odmówili. Sumienie nie pozwalało im spełnić takiego rozkazu.

Zaniepokojony oporem, który okazali nawet w obliczu tak strasznej groźby, Hierac obiecał im najhojniejszy dar, jaki mógł zaoferować. “Zatrzymajcie dla mnie ten Wieniec –



powiedział – a tak długo, jak Garizon pozostanie państwem, choćby cieniem państwa, będzie bronić Wyspy Namaszczonych przed wszelką wrogą siłą. Wasz klasztor nie runie do morza, póki Kolczasty Wieniec będzie tkwił na tej ziemi. Daruję wam wszystkie garizońskie podatki i opłaty, moje wojsko wycofa się i nigdy tu nie powróci, chyba że na ratunek lub na wasze życzenie. Przysięgam to uroczyście na wszystką krew, jaką przelał Kolczasty Wieniec”.

Świątobliwi ojcowie ustąpili w końcu, choć nie stało się to tak szybko. Obietnica jednak padła, cyrograf podpisano, a Hierac dotrzymał słowa. Odesłał swych ludzi na ląd jeszcze tego samego ranka, nakazawszy im przestrzec zebranych na plaży, że od tej pory nikt nie ma prawa postawić stopy na Wyspie Namaszczonych, chyba że w pokojowych zamiarach. Garizon będzie chronił klasztoru jak jedno ze swoich miast.

Tymczasem skrybowie powierzyli najbardziej utalentowanemu skrybie rozwiązanie problemu, jakim było uwiązanie Wieńca. Brat Ifaylen spędził pół roku na rysowaniu wzoru, dzięki któremu efemeryda miała pozostać na ziemi. Pracował najpierw na Wyspie Namaszczonych, potem w Garizonie, wynajdując przy okazji wiele nieznanych dotąd wzorów i symboli. W ostatnim miesiącu nie zajmował się niczym innym, prócz odrysowywania wzorów inkrustacji w samej koronie. Na każdym złotym pasemku Wieńca ciągnę się wzory i ornamenty. Sam ich nigdy nie widziałem, ale uważam, że można z nich czerpać olbrzymią moc.

Słuchając słów Avaccusa, Tessa raz po raz zerknęła na pierścień. Złote nici tworzyły smukłe sploty, spośród których tu i ówdzie wyrastały kolce. Metalu nie inkrustowano żadnymi wzorami.

Avaccus ciągnął dalej:

– Na koniec Ifaylen nabrał przekonania, iż pora przejść do właściwej iluminacji, i stawił się przed Hierakiem. Króla w owym czasie opętało szaleństwo. Nie sypiał przez wiele dni z rzędu, żeby przypadkiem w czasie snu nie zniknął Kolczasty Wieniec. A kiedy już kładł się na spoczynek, koronę umieszczał na piersi i stawiał obok służę, który miał zbudzić go przy pierwszych oznakach jakiegokolwiek zmiany. Gdy tylko Ifaylen przyszedł do Hieraca, ten rozkazał mu bezzwłocznie przystąpić do dzieła. W ciągu następnych pięciu dni i pięciu nocy skryba pracował nad iluminacją, która była niczym innym jak klatką.

Wodząc po Wieńcu pędzlem, obciążając go pigmentami, Ifaylen namalował iluminację, która mogła przełamać magię Rozdziału. Kolczasty Wieniec, potężna efemeryda przeskakująca ze świata w świat niczym rozpustnica od kochanka do kochanka, stał się czymś na podobieństwo muchy przykrytej szklanym kloszem. Ifaylen okiełznał go i unieruchomił. Położył na nim swoją dłoń i nagiął mu kark do ziemi.

Podczas tych pięciu dni, jak powiadają, księżyc nie pokazywał się na nocnym niebie, zwierzęta wydawały na świat młode przed czasem, przyływy wdzierał się głęboko na plażę, a w studniach gwałtownie opadł poziom wody. Niemowlęta trapione żółtaczką i starcy

cierpiący na puchlinę wodną umierali w niespotykanej liczbie, a ze wszystkich miast na kontynencie dochodziły wieści o niesłychanych rojach much.

Ifaylen wypełnił swą misję: spętał Kolczasty Wieniec kajdanami i przytwierdził go do ziemi. Kiedy skończył, efemeryda była niczym wół zaprzęgnięty do jarzma, skazany na wieczne oranie tej samej skiby.

Mijały sekundy. Cisza, jaka nastąpiła po słowach Avaccusa, kojarzyła się z krótką chwilą wyczekiwania, która zapada tuż po zakończeniu sztuki teatralnej, kiedy zostaje wypowiedziana ostatnia kwestia i aktorzy nieruchomieją w oczekiwaniu na reakcję widowni.

Nie mogąc wytrzymać napięcia, zapytała:

– A więc od tamtego czasu korona pozostaje w Garizonie? – Znużona siedzeniem, spróbowała wstać. Ostry ból przeszył jej prawe udo. Rana kłuta na goleni otworzyła się i krew zaczęła spływać na kostkę. Zdenerwowana swoją słabością, postanowiła walczyć z uginającymi się kolanami i wstać na przekór zawrotom głowy. Musiała pomyśleć. Rana z tyłu na ramieniu, której nie mogła zobaczyć, zaczęła piec, kiedy szorstka tkanina potarła pokryte strupami ciało. Oparła się o ścianę grotty i zapytała: – Co się stało z iluminacją namalowaną przez Ifaylena?

Avaccus wydobył z siebie dźwięk, który w równej mierze mógłby oznaczać śmiech, co łkanie.

– A niech to, moja damo. Już ty wiesz, jak przejść do rzeczy. – Podrapał się w krótko ostrzyżoną głowę. – Zapieczętowano ją w ołowianej skrzynce i zakopano w jakimś tajemnym miejscu w Weizach. Trzej mężczyźni, którzy kopali grób w ziemi, zostali zamordowani, zanim zdążyli wyczyścić brud spod paznokci.

Sposób, w jaki Avaccus wypowiedział słowo “grób”, przejął Tessę dreszczem.

– Sporządzono kopie?

– Kopie? – Avaccus potrząsnął nie tylko ramionami, ale całym ciałem. – Nie. Już na samym początku Hierac zabronił tego robić. Za każdym razem, gdy Ifaylen wychodził ze skryptorium, śledziły go czujne oczy. Przed udaniem się na spoczynek przeszukiwano go od stóp do głów, konfiskowano przyrządy, przetrząsano sypialnię, a sam pergamin badano pod światło w poszukiwaniu dziurek po szpilkach.

– Które by oznaczały, że Ifaylen dysponuje kopią?

– Zgadza się. Rozkazy Hieraca zostały jednak spełnione, manuskrypt nie był przekłuwany. Kopia nie istnieje.

– A co ze szkicami Ifaylena? Jego przymiarkami?

– Wszystkie wyryto na woskowych tabliczkach. Hierac nalegał, żeby żaden szkic nie powstał na pergaminie. Kiedy iluminacja została ukończona, król stał za ramieniem skryby i patrzył, jak topi się wierzchnia warstwa wosku przeszło dwóch tuzinów tabliczek.

Skinęła głową. Namyslała się przez chwilę.

– Dwa tuziny woskowych tabliczek to zbyt duży ciężar jak dla jednego człowieka. Czy Ifaylenowi w długiej podróży towarzyszył asystent?

– Tak, i dlatego tyle wiemy o tej sprawie. Pomocnik prowadził dziennik, w którym opisywał podróż do Garizonu i z powrotem. Znalazły się w nim miejsca postoju, skład posiłków i inne podobne drobiazgi.

– A czy zamieścił jakieś szczegóły dotyczące iluminacji?

– Większość z nich sama już poznałaś. Ponościł odpowiedzialność na równi ze swym panem. Nie wolno mu było pisać o samej iluminacji.

Tessa ślaniała się na nogach. Zapomniała, dlaczego wcześniej z taką zawziętością usiłowała wstać, wobec czego osunęła się na ziemię. Wylądowała dosyć nieszczęśliwie, gdyż skreśliła i tak już obolałą kostkę. Dokuczało jej pragnienie, nie chciała jednak prosić mnicha o cokolwiek do picia. Wołała nie kosztować więcej mikstur serwowanych w kościanych kubkach.

– Czy dziennik pomocnika Ifaylena zachował się do dnia dzisiejszego?

Przez cały ten czas, kiedy usiłowała powstać, a potem utrzymać się w postawie wyprostowanej, Avaccus siedział ze skrzyżowanymi nogami. Obserwując jego nieruchomą sylwetkę, zaczęła przypuszczać, że przywykł do wielogodzinnego przesiadywania w jednej pozycji.

– Niestety, zapiski z podróży zaginęły – powiedział. – Dwadzieścia lat temu w zachodnim skrzydle klasztoru wybuchł pożar i strawił wiele ksiąg i zwojów.

Nie było więc żadnego punktu zaczepienia, żadnej kopii iluminacji ani relacji z jego powstawania. Odetchnęła głęboko. Jeżeli jakiś wzór związał Wieniec, inny mógłby go rozwiązać. Taki, który zawarł by w sobie wszystkie elementy oryginalnego wzoru, a następnie wystąpił przeciwko nim jak atramentowy buntownik.

– Co się stało z Ifaylenem, kiedy wrócił na wyspę?

Avaccus cmoknął językiem o podniebienie.

– Tak, to ciekawe. Człowiek ten nie był już taki, jak dawniej. Zachorował podczas podróży z Weizach i dopiero po paru dniach poczuł się na siłach, by przepłynąć z Bay'Zell do Kilgrimu. Na Wyspie Namaszczonych zjawił się zmieniony nie do poznania. Myślę, że praca nad wzorem wyczerpała go w większym stopniu niż jakakolwiek choroba. Nie wnikając w przyczyny, można po wiedzieć, że utracił coś ze swego wnętrza. Nie namalował już żadnego wzoru. Przez długie lata prowadził samotne życie uczonego, pisał, czytał, odbudowywał siły.

Jedenaście lat później, kiedy zmarł stary opat, to właśnie Ifaylen zajął jego miejsce. Świątobliwi ojcowie spodziewali się, że będzie spokojny, uległy, wierny starym porządkom. Jednakże tych jedenaście lat milczenia odmieniło jego duszę. W dniu, w którym wybrano go na opata, wszystko pozmieniał. Rozwiązał Forum, malowanie starych wzorów zostało zakazane, a wszystkie rękopisy zawierające szczegóły dawnego iluminatorstwa – wrzucone

do morza. Włączył opactwo w nurt popularnych wierzeń i dogmatów, resztę życia poświęcając na walkę o pokój.

– Nie chciał nigdy unieszkodliwić swojej iluminacji?

– Nie, przeszłości nie da się zapisać na nowo. Ślubował uroczyście, iż nigdy nie podejmie pracy nad Wieńcem. Tak też się stało. Żył długo i wiele zmienił, lecz przysięgi nie złamał.

– A co z Kolczastym Wieńcem? – Czują ogarniającą ją senność. Lodowate zimno znów zaczęło wkradać się do jej obolałych kończyn. – Do dzisiaj jest w Garizonie?

– Tak. – Avaccus powstał. Omijając zgrabnie kręgi sera, podszedł do świecy. – Od pięciuset lat Kolczasty Wieniec to potęga ukryta za tronem Garizonu. Król, który nałoży go na głowę, zawsze wyrusza, by zabijać i siać spustoszenie: domaga się zdobyczy, ziem i ofiar. Lecz źródło jego ambicji nie tkwi w nim samym. Ludzie myślą się, sądząc, że to Garizon i jego królowie opętani są żądzą podbojów. Nic bardziej zwodniczego. To korona dowodzi każdą bitwą, kieruje każdym mieczem i roznieca namiętności. Choć związana, nie straciła swoich właściwości. Wojna jest i zawsze będzie jej ostatecznym celem.

Tessa wcisnęła się w zagłębienie między kamieniami: było jej bardzo zimno. Marzyła o zaśnięciu. Być może, kiedy obudzi się rano, wszystko to okaże się jedynie koszmarem. Odezwała się głosem drżącym z wyczerpania.

– Co będzie, jeśli Wieniec nie odejdzie z tego świata?

Gdy Avaccus przyklęknął obok świecy, w grocie pociemniało.

– Myślę, że cały kontynent ulegnie zniszczeniu. Kolczasty Wieniec jest jak wściekły pies, który gryzie smycz. Przez ostatnich pięćdziesiąt lat drzemał, nikt nie wzywał jego mocy. Teraz ukoronował się nim Izgard, jako pierwszy król od półwiecza. Wieniec musi nadrobić stracony czas i stracone bitwy. Jego sfera wpływów rośnie. Potęga przybiera na sile. – Pochylił się i zgasił ogień. – Pięćset lat, odkąd pojawił się na ziemi, upłynie... za dziesięć dni.

Ciszę, jaka nastąpiła po słowach mnicha, zmąciło dopiero odległe bicie dzwonu. Długie, głuche dźwięki odbijały się echem od ścian jaskini. Tessie zdawało się, że powietrze drga na jej skórze. W ciemności słyszała, jak Avaccus wraca na swoje miejsce w przeciwległym kącie. Zatrzeszczały jego stawy, jakby kilka ciężarków stuknęło o siebie. Dzwon ciągle dźwięczał. Przy piątym uderzeniu Avaccus znieruchomiał i powiedział:

– Jest pewna moc w liczbie pięć. Starożytna moc, którą posługiwali się starożytni królowie.

Dzwon zabrzmiał jeszcze trzykrotnie. Przy ósmym uderzeniu Tessa i sędziwy mnich umilkli.

Camron splunął krwią. Wyteżał wzrok w ciemności. Coś się poruszyło. Prawy kciuk zwolnił cięciwę i belt wystrzelił z łoża. Trafił w próżnię. Pędząc w dal, przeciął kłęb dymu, cień rozsnuty w poświacie księżyca lub spopielony, dostrzeżony kątem oka wiecheć. Nie pozostał żaden cel. Wszyscy harrarzy polegli. Umierali przez trzynaście godzin. Niemniej jednak Camron trwał na posterunku u szczytu wzniesienia i czuwał. Ledwie poprzedni belt

doleciał do ziemi, następny został wyciągnięty z kołczanu i zamocowany. Szukał celu. Trudno było uwierzyć, że harrarzy ostatecznie polegli.

Miał palce oblepione zakrzepłą krwią, nie potrafił opanować drżenia dłoni, a spuchnięte oczy piekły go, gdy mrużył powieki. Położył się na brzuchu i czekał. Rozcięcia znaczyły mu pręgami skórę, a sińce ją przyciemniały. Ze zmęczenia ciemniało mu co chwila przed oczami, umysł i mięśnie odmawiały posłuszeństwa.

Został sam – przynajmniej tyle wiedział. Bitwa była przegrana.

Smród przyprawiał o mdłości. Wiatr niósł zapachy krwi znajdującej się we wszystkich stadiach: od świeżo rozlanej po spaloną na proszek. Trupy harrarów zionęły wstrętnym, zwierzęcym fetorem. Camron czuł, jak miesza się w ustach z zapachem krwi. Dym unosił się w ocieźiałych kłębach, zbyt ciężkich, by rozwiały je wiatr. Spopielone szczątki przestały fruwać w powietrzu i jeszcze przed zapadnięciem zmroku osiadły na ziemi, pokrywając czarną skorupą okoliczne wzgórza. Księżyc świecił w pełni, lecz zasłona chmur przepuszczała niewiele światła. Było dziwnie ciepło – jak w dzień.

“To się dobrze składa” – dumiał Camron. Jego myśli przetaczały się z tematu na temat, podobnie jak pijany zatacza się z kąta w kąt. Jego płaszcz spalił się wiele godzin temu. A może pocięły go na kawałki noże harrarów? Nie pamiętał.

Zmarszczył czoło i przeczesał dłonią włosy, których wiele pozostało mu w garści. Czarne i kruche niczym martwe owady – odrzucił ich zwęglone kosmyki. W sekundę później przyłożył palec do dźwigni spustowej: ktoś nadchodził.

Ktoś zbliżył się z tyłu, zmuszając go do przekręcenia się w błocie. Kiedy się obracał, łączysko zazgrzytało o kamień, przez co belt odskoczył od cięciwy. Zaklął pod nosem. Nienawidził kusz. Nie pamiętał już, jak ta dostała się w jego ręce. Przecież na początku miał krótki łuk. Potrząsnął głową i spróbował z powrotem nałożyć belt.

Ciemna sylwetka podeszła całkiem blisko. Camron nakierował na nią celownik. Jego palec spoczywał na dźwigni niezgrabnie i ocieźiale. Trząśł się bez przerwy.

– Kto tam leży? – Odezwał się ktoś wyzywająco i agresywnie, lecz z wyraźnym raizyjskim akcentem. – Mów, coś za jeden, albo przeszyję cię włócznią!

Camron leżał nieruchomo. Wiedział, że powinien zdjąć palec z dźwigni, ale coś mu podpowiadało, żeby tego nie robił. Sącząca się z dziąsła krew utrudniała mówienie.

– Camron z Thornu.

Gdy to powiedział, rozległo się głośnie westchnienie.

– Jeśliś ranny, panie, odprowadzę cię. – Postać postąpiła krok do przodu. Był to ciemnowłosy młodzieniec. Duże oczy jarzyły się na twarzy czarnej od krwi i sadzy. Pochylił się nad Camronem. – Pozwól, że pomogę ci wstać.

Szlachcic odepchnął wyciągniętą rękę.

Młodzieniec cofnął się natychmiast. Podniósł wysoko włócznię w geście wyrażającym pokojowe zamiary.

– Są tu jacyś inni? – zapytał.

Szlachcic potrząsnął przecząco głową. Niewielu rzeczy był pewien, ale tej tak.

– Rozproszyli się. Większość nie żyje.

Młodzieniec skinął na znak zrozumienia.

– Chyba powinieneś zdjąć palec z dźwigni spustowej i zejść wraz ze mną nad rzekę.

Nad rzekę? Nie bardzo rozumiał. Czuł, że traci przytomność. Ocknął się. Do ust wlewało mu się coś, co szczypało w zetknięciu z przeciętym dziąsłem.

– Pij – zachęcił młodzieniec. – To ci dobrze zrobi.

Camron przełknął. Płyn był chłodny i ciepły zarazem. Spłukał posmak krwi. Kiedy unióśł ramiona z błota, zauważył, że łokcia nie obciąża już ciężar kuszy. Rozejrzał się i zobaczył, że leży odrzucona w kępie poczerńiałej trawy.

Zauważywszy spojrzenie Camrona, młodzieniec uśmiechnął się smętnie.

– Myślałem już, że poczęstujesz mnie strzałą.

Camron nie mógł zaprzeczyć. Skinął głową. Trunek z wolna porządkował jego myśli. W miarę jak rozjaśniał mu się umysł, dotkliwiej odczuwał ból. Z grymasem na ustach pociągnął drugi łyk. Wytarł usta i zapytał:

– Ilu przeżyło?

Młodzieniec spuścił wzrok. Chciał coś powiedzieć, lecz drgały mu tylko mięśnie twarzy. Potrząsnął głową. Na szyi widniały ślady pazurów. Camron oddał mu flaszkę, ale ten jej nie przyjął. Po chwili powiedział:

– Pięciuset. Może mniej.

Lord zamknął oczy. Zbyt był zmęczony, żeby załamać się tą wiadomością.

– Co się stało?

– Czyżbyś nie wiedział? – odparł młodzieniec szorstko. W jego oczach pojawiły się błyski. – Gdyby nie ty i twoi łucznicy, wszyscy byśmy poległi, nawet suzeren. To wy ich wystrzelaliście. Wszystkich harrarów. Pod koniec został ci tuzin ludzi – patrzyłem na was z mojego posterunku. Harrarzy wciąż napływali, spychali naszych do doliny. Zostaliśmy odcięci, a te bestie następowały nam na pięty. Wszędzie buchały kłęby dymu. I ogień. – Żołnierz wzdrygnął się. – Balanon spłonął żywcem.

Camron nadal się nie załamywał. Czuł w sobie pustkę. Życie suzerena mniej dlań znaczyło niż utrata kuszy.

– Otworzyłeś nam drogę ucieczki – podjął młodzieniec. Camron wychwycił w jego głosie jakby nutkę podziwu, choć nie wiedział, czym była spowodowana. – Poza wami nikt nie walczył z harrarami. Suzeren poprowadził szarżę. Nie byliśmy przygotowani. Nie było na to czasu. Harrarzy siedzieli nam na karku. – Gwałtownym skrzywieniem szyi odegnał tamto wspomnienie i zawołał: – Myślałem, że trafiłem do piekła! Ten dym. Te wrzaski. Harrarzy!

Camron chciał coś powiedzieć, aby go uspokoić, nie znalazł jednak odpowiednich słów. Odżyły w nim wspomnienia: cichego, rozdzierającego dźwięku, gdy zapaliła się nafta za jego

plecami, gorącego powiewu na szyi, głosu – czyżby własnego? – który wykrzykiwał rozkazy, okrzyków, nóg wierzgających w błocie, strzał i beltów wyciąganych desperacko z kołczanów zabitych, kłapiącej szczęki harrara blisko, tuż przy policzku.

Jego dłoń uniosła się ku twarzy. Zasnęta krew odpadała płatkami od palców.

Zabrakło im strzał. Harrarzy walczyli pod osłoną dymu i niełatwo było ich trafić. Dopiero naszpikowani półtuzinem strzał padali na ziemię. Strzał z krótkiego łuku musiał być starannie wymierzony, aby wyrządzić szkodę, a z wyjątkiem ludzi Segwina Ney, wyposażonych w długie łuki, żaden z żołnierzy nie miał wprawy w posługiwaniu się tą bronią.

Zmagając się z dymem i niewystarczającą liczbą sprzętu, dwukrotnie musieli stawić czoło harrarom, którzy wdarli się na ich pozycje. Nie było nic gorszego od walki wręcz. Camron widział, jak ze dwudziestu ludzi Balanona pierzcha z pola bitwy. Nie winił ich za to. Pewnie sam tak by postąpił, gdyby miał czas do namysłu. Co najdziwniejsze, harrarzy nie walczyli z tym samym zapalem, co w Dolinie Popękanych Kamieni. W pewnym momencie Camron poczuł się raczej jak przeszkoda, a nie cel. Harrarzy mieli do wykonania określone zadanie: zasiał popłoch w raizyjskim wojsku i zapędzić go do doliny. Czekają tam całe kompanie żołnierzy z długimi łukami – spokojne, opanowane, gotowe.

Szlachcic czuł ssanie w żołądku. Wyciągnął rękę w stronę młodzieńca.

– Jak masz na imię?

Młodzieniec podał mu swoją dłoń.

– Pax.

– Pomóż mi wstać, Pax. Zaprowadź mnie do doliny.

– Ale suzeren czeka przy rzece na wieści od tych, którzy przeżyli. Wszyscy w dolinie są...

– Głos Paxa zadrżał, ale tylko na chwilę – ..martwi. Żołnierze Izgarda zbierają łupy wśród ich ciał. Nie możemy tam zejść. To niebezpieczne.

Camron zamierzał zaprotestować, przekonać Paxa, że pod osłoną ciemności zdołają się podkraść, lecz powstrzymał go jakiś grymas na obliczu młodzieńca. On też dzisiaj walczył.

– Podejmiemy nie dalej, niż nakazuje zdrowy rozsądek.

Pax zerknął za siebie, namyślił się i postawił Camrona na nogi. Nie zadawał żadnych pytań, za co szlachcic był mu wdzięczny. Razem zsuwali się ze zbocza. Ciała leżały w spalonej trawie. Wielu poległo na skutek zadziwiająco powierzchownych ran: poruszając się wolno na skutek obrażeń, nie zdołali uciec przed dymem, a gdy owionęły ich kłęby, zostali zmuszeni do wdychania gorącego, dusznego powietrza. Niektórzy się spalili, inni wykrywawili. Niejednokrotnie na szyjach widniały ślady po kłach i pazurach harrarów.

W ciemności nie można było odczytać rysów ich twarzy. Camron nie potrafił przejść obok ciała, nie pochyliwszy się nad nim badawczo. Pax pomagał mu je odwracać. Niekiedy skóra zostawała im w rękach. Innym razem trupy były ciepłe, a krew nadal wilgotna na ubraniu. Łuki i miecze wypadały z dłoni. Pax poruszał się w milczeniu. Oddychał cicho,

jakby się wstydził, że jego ciało stara się utrzymać go przy życiu. Camron znał to uczucie, ale wiedział też, że martwi nic nie słyszą; on sam głośno sapał.

Wiele spośród twarzy było mu znajomych. Martwiły go te, których nie umiał rozpoznać. Zatrzymywał się przy nich dłużej, przyglądał się uważniej i usiłował zapamiętać.

Za każdym razem, gdy przewracali ciało, jego żołądek kurczył się na sekundę. Bał się, że gdzieś pomiędzy trupami leży Broc. Ze wszystkich ludzi, którzy tego dnia walczyli, Broc miał najmniej szans, żeby uciec przed dymem i płomieniami. Stare rany wolno się goiły. Próbował przypomnieć sobie jego ostatnie słowo i ostatnie spojrzenie i zastanawiał się, jak dawno to było. Skoro nie przemknęło mu przez myśl żadne wspomnienie, ponownie skurcz ścisnął go za gardło, tym razem na dłużej. Dopiero gdy wraz z Paxem zszedł na obrzeże doliny, zrozumiał, że uczucie, które nim owładnęło, należy do sfery psychiki.

Był to gniew.

Po raz wtóry został obrabowany przez harrarów. Najpierw zabrali mu ojca, a następnie zniszczyli dom, w którym spędził dzieciństwo. Teraz okradli go ze wspomnień. Nie potrafił przypomnieć sobie, kiedy ostatnio widział się z Brokiem. Nie pamiętał również, co mówił do swoich ludzi w czasie bitwy. Czy zagrzewał ich do boju, czy tylko wydawał rozkazy? Czy ostrzegał, by uważali na tyły? Uciekali przed dymem? Cofali się w przypadku odniesienia rany? Czy przestał ścisnąć dłonie umierającym? Pomagał zabierać rannych?

Ścisnął zęby tak mocno, że zaboląła go szczęka. Pamiętał bitwę i rozkazy, ale nic ponadto.

– Panie, nie powinniśmy podchodzić bliżej.

Słyszac to, podniósł wzrok. Oczy Paxa nie wyrażały strachu, a jedynie troskę. Dotykание ciała odmieniło go.

– Musze zejść niżej i zobaczyć ciała – rzekł.

Po dłuższej chwili młodzieniec pochylił głowę. Skinął ręką i wskazał linię drzew na wschodzie.

– Może uda nam się zbliżyć niepostrzeżenie pod osłoną lasu?

Camron przytaknął. Ucieszył się w duchu, że nie jest sam.

– No to chodźmy.

Przemykali po obwodzie doliny: dwie postaci migające między pniami drzew, osłonięte idealnym kamuflażem – zaschnięta krew pokrywała im twarze i ubrania. Nie odezwała się ani jedna sowa. Nie zaszeleścił listek i nie trzasnęła gałązka pod łapą lisa czy przemykającą myszą. Czarny popiół pokrył gałęzie i krzewy grubą otuliną. Księżyc to pokazywał się, to znowu znikał. Obolałe mięśnie dawały się szlachcicowi we znaki. Ząb trzonowy kiwał mu się na wszystkie strony. Jego ciało przemogło wyczerpanie, za co otrzymało nagrodę w postaci desperackiej siły. Czuł się, jakby pozbawiono go odzieży, obdarto ze skóry i oskrobano do kości.



Pasma drzew schodziło głębiej w dolinę. Zwolnili kroku. Tuż przed nimi rozciągało się pole bitwy. Początkowo Camron niczego nie widział. Księżyc skrył się za zwałami chmur, przez co dolina wyglądała jak czarna studnia. Z wolna jednak z mroku zaczęły wyłaniać się szczegóły: zarysy wzniesień, poszarpana nitka rzeki, zwęglone szkielety krzaków. Zasłona z chmur zrzędła nieznacznie, dzięki czemu dało się teraz zauważyć ludzkie figurki, wypełniające całą połąć doliny. Żołnierze Izgarda. Łupili wszystko, co znaleźli przy ciemnych, nieruchomych ciałach.

Zerwał się ostry wiatr i rozwiął włosy Camrona. Ostatnia z chmur odsłoniła księżyc i dolina skąpała się nagle w srebrzystej poświacie.

Camron usłyszał, jak Pax łapie oddech. Młody gwardzista wyprzedzał go o dwa kroki. Grubszy koniec włóczni znaczył ślad na ziemi. Palce zbieleły, zaciśnięte na drzewcu.

Dolina była zasłana ciałami. Głowy, kończyny, tułowia, dłonie, szyje i ramiona zostały rozrzucone, tak że przestały przypominać części poszczególnych ludzi, a stały się czymś innym. Częścią całości. Trupy Raizyjczyków tworzyły zwartą masę. Ciała – czarne od sadzy i zakrzepłej krwi – zastygły w postrzępionej grudzie ramion, nóg, stóp i palców. Niczym szczątki porzucane przez huragan, pokrywały dno doliny zlepkiem połamanych fragmentów. Jeden człowiek. Jeden trup.

Jedna śmierć.

Camron opuścił głowę na piersi. Nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego. Nie dysponował odpowiednimi słowami i porównaniami, aby opisać widok, jaki rozpościerał się przed jego oczami. Śmierć – tylko to określenie przychodziło mu na myśl.

Pax upadł na kolana. Camron zamarł w bezruchu. Czuł się zagubiony. Od śmierci ojca próbował znaleźć swoją drogę. W obliczu tych ciał wydawało mu się, że cofnął się krok do tyłu.

Mogli być kimkolwiek – Raizyjczykami, Garizończykami. Kimkolwiek.

– Dziesięć tysięcy – bąknął Pax, przerywając ciszę tak uroczystą, że każde mącające ją słowo wydawało się bluźnierstwem. – Dzisiaj zginęło tu dziesięć tysięcy ludzi.

Wtem słowa młodzieńca uświadomiły Camronowi, po co tu przybył: aby zaświadczyć. Berick z Thornu widział, jak pod Wierną Górą umiera czterdzieści tysięcy, a teraz jego syn zobaczył dziesięć tysięcy poległych w dolinie położonej na północ od Krętej Rzeki.

Spojrzenie Camrona stwardniało. Oczy, wciąż nabrzmiałe od gryzącego dymu, szczypały i zachodziły łzami. Nie mrużył ich jednak. Widział to samo, co jego ojciec przed pięćdziesięcioma laty. Chociaż ich ciała przykryte były popiołem, a nie śniegiem, policzki owiewał ciepły wiatr, a nie lodowaty wicher – nie miało to żadnego znaczenia. Prawda nie uległa zmianie.

“Nie”. Camron zastanawiał się, czy wypowiedział to słowo, czy tylko o nim pomyślał. Nie wiedział, czy oznaczało zaprzeczenie, czy może obietnicę. Co do jednego tylko nie miał wątpliwości: dotychczas błędził. Nieważne, kto dzisiaj zwyciężył – on przegrał. Podobnie jak

ojciec u stóp Wiernej Góry, Camron też stał pośrodku. Jego ziomkowie i tak musieli umrzeć. Powoli, nie spuszczać wzroku z pobojuwiska, zaczął kiwać głową. Nareszcie zrozumiał, dlaczego tamtego dnia ojciec był taki uparty. Nie chciał, żeby jego syn powtarzał te same błędy.

Camron podszedł do Paxa i położył mu rękę na ramieniu. Zamierzał pocieszyć młodego gwardzistę, zaledwie jednak zacisnął palce na jego barku, zdał sobie sprawę, że potrzebuje oparcia. Tylko w ten sposób mógł się jeszcze utrzymać na nogach. Z każdym oddechem opuszczały go siły. Zawsze tylko biegał w poszukiwaniu walki, nigdy nie myśląc o przeszłości ani przyszłości.

Hrabina Lianne przypuszczała, że Berick chciał, aby jego syn wyruszył na wojnę z Garizonem i odzyskał koronę. Myliła się. Berick nie pragnął wojen. “Jakże cenić zwycięską bitwę, w czasie której ginie cały kwiat narodu?” To były mądre słowa. Szkoda, że ostatnie.

Szlachcic uśmiechnął się gorzko. Był wtedy wielkim głupcem.

– Chodźmy, Pax – powiedział głosem tak opanowanym, że aż sam się zdziwił. – Nic tu po nas. Dość się napatrzyliśmy.

Pax wstał. Podobnie jak wcześniej jego towarzysz, nie spuszczał wzroku z nieruchomych ciał. Kiedy się odezwał, rozległ się niemal dziecięcy szept.

– To dopiero początek, prawda?

– Nie. – Camron na próżno usiłował odwrócić wzrok od zabitych. – To koniec.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Oddech Tessy wyrównał się. Zasnęła. Kanaliki w jej nosie zamknęły się, a usta otworzyły i zaczerpnęły powietrza. Powietrze jednak było jakieś inne. Zagęszczone i gorzkie – ledwie zasługiwało na swe miano. Zatykało gardło niby wetknięty do rury skrawek materiału. Płuca mogły zareagować tylko w jeden sposób: skurczyły się gwałtownie, aby wydalić niechcianą substancję.

Mięśnie klatki piersiowej zadrgały konwulsyjnie. Oczy otworzyły się. Uderzenie pięścią w twarz nie wstrząsnęłoby nią dotkliwiej, niż szalona trwoga, która ją nagle ogarnęła. Nie mogła złapać oddechu. Podskoczyła w ciemności i krzyknęła na Avaccusa. Z gardła oprócz okrzyku wydobył się dym, który natychmiast wrócił do płuc, gdy wciągnęła powietrze. W jaskini unosiły się gęste kłęby. “Co tu się dzieje?!” – zawołała w duchu.

– Avaccusie! – Zatoczyła się w kierunku, gdzie po raz ostatni widziała mnicha. Jej płuca płonęły. Serce waliło szaleńczo, w dziwnym rytmie. Raz po raz zatrzymywało się na moment. Dym parzył krtań. – Avaccusie!

Odpowiedziała jej głucha cisza. Wpadła w popłoch. Brakowało tlenu. Uderzyła się boleśnie o kamień. Ból przeszył całą nogę, a w oczach stanęły łzy. Z coraz większym trudem panowała nad pęcherzem. Nie mogła już dłużej wytrzymać – i choć wiedziała, że to nierozważne, wzięta jeszcze jeden oddech. Wstrętne, gęste od dymu powietrze zatkało płuca. Kaszląc i wymiotując, wyciągnęła ręce i po omacku zaczęła szukać drogi. Ciemność przeobraziła grotę w rozwartą paszczę rekina. Każda skała była ostrym zębem. Czerń zamykała się wokół niej niby przetykająca gardziel.

– Na pomoc! – wrzasnęła. – Na pomoc! – Krzycząc, popełniała kolejne głupstwo. Choć w duchu zganiała się za nie, krzyknęła ponownie. Za chwilę wpadnie w histerię. Ktoś podłożył ogień, aby się ich pozbyć.

Uzmysłowiła sobie na wpół świadomie, że gdyby razem z dymem nie nabrała do płuc chociaż odrobiny powietrza, już by nie żyła. Zaniósła się kaszlem. Musiało upłynąć kilka sekund, zanim przyszła do siebie. Gdy wypluła smolistą ślinę, gdzieś z prawej strony dobiegło stęknięcie.

– Avaccusie! – Nie czekając na odpowiedź, udała się w stronę głosu. Ciemność napierała zewsząd niczym czarna para. Oddychając płytko, przez nos, aby choć w części przefiltrować dym i kurz, przemierzała wolno jaskinię. Ból szarpiący nogę przestrzegał, by stąpała ostrożnie, płuca zaś piekły nieznośnie i zdawały się być na pograniczu eksplozji. Za przewodnika miała jedynie wyciągnięte ręce.

Znów rozległ się dźwięk. Cichszy, krótszy – brzmiał jak ostatnie tchnienie.

Wdepnęła w ser. Mleczny, kwaśny zapach wydobył się spod pękniętej skorupy niczym pyłek kwiatowy. Kichnęła. Płuca oczyściły się na ułamek sekundy, więc wzięła głębszy oddech. Kiedy obcierała usta nadgarstkiem, rozgniotła piętą kolejny krążek sera. Były wszędzie. Zdenerwowana, ruszyła śmiało do przodu, wpadając na kolejne sery. Kichanie pomagało – usuwało z nosa drażniącą maź i oczyszczało gardło.

Kiedy zbliżyła się do miejsca, skąd musiało dobiec stęknienie, wdepnęła w krąg sera, który jeszcze nie dojrzał. Rozprysnął się niczym suflet, ochlapując kamienie ciepłym, spleśniałym płynem. Tessa pośliznęła się, straciła równowagę i upadła na ziemię. Wylądowała miękko na serach. Nosem dotknęła kamienia. Kiedy zaczerpnęła oddechu, ażeby się uspokoić, odkryła, że powietrze jest czystsze. Płuca nie miały się już z taką desperacją. Po prostu wciągały powietrze.

To oczywiście – dym unosił się do góry. Najbezpieczniej było położyć się na ziemi. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała?

Zaniechała jednak dalszych rozważań i przeczłogała się nad ostatnim serem, nie podnosząc nosa znad kamienia. Gardło ciągle piekło, ale czuła, że mięśnie w klatce piersiowej powoli rozluźniają się i uwalniają płuca.

– Avaccusie! – wrzasnęła. – Odezwij się, bo nie mogę cię znaleźć!

W grobowej ciszy ciemność wydawała się jeszcze ciemniejsza. W oczekiwaniu na odpowiedź podniosła dłoń do pierścienia. Był na swoim miejscu. Przed zaśnięciem dokładnie go przywiązała. Gdy go dotknęła, wspomniała wszystko, co Avaccus wyjawiał jej o efemerydach. Jak to się stało, że jedna z nich znalazła się w jej rękach?

Tuż przed nią rozległo się ciche drapanie. Puściła pierścień i podpełzła bliżej. Dymu przybywało i szczelina powietrzna na dnie jaskini zaczęła się kurczyć. Rosła temperatura.

Sięgnęła ręką i złapała za coś gładkiego i ciężkiego. Gdyby nie fakt, że ów przedmiot był ciepły, wzięłaby go za drewnianą lub metalową pałkę. Okazało się jednak, że trzyma nogę mnicha. Potrząsnęła nią.

– Avaccusie, obudź się, obudź! – Skoro nie było odpowiedzi, potrząsnęła mocniej. – Proszę, obudź się! – Wszystko na darmo. Przytknęła nos do ziemi i zaczerpnęła powietrza. Avaccus musiał przez cały czas leżeć pośrodku groty, więc chyba oddychał świeżym powietrzem. Dlaczego nie reagował?

Przeklinając ciemności, dym i co tylko przyszło jej na myśl, pochyliła się i złapała mnicha za ramiona. Panika i złość na niesprawiedliwość, jaka spotykała ją na każdym kroku w tym piekielnym miejscu, dodały jej sił: potrząsała ciałem Avaccusa z dziką furią. Nie mógł umrzeć, bo jeśli tak się stanie, będzie to jej wina. Nie dla niego ten dym był przeznaczony.

– Obudź się! – krzyknęła tak głośno, jak potrafiła. – Obudź się!

Z gardła Avaccusa wydobył się zduszony, chrapliwy głos. Szybko przyłożyła usta do ziemi, odetchnęła pospiesznie i nacisnęła pięścią pierś starca. Jego ciało było równie ciężkie i

sztynne jak ołowiany pancerz. Co też uczyniło z nim tych dwadzieścia lat spędzonych w jaskini?

– Hej, Avaccusie! – nie ustępowała. – Weź oddech!

Pierś mnicha uniosła się pod ręką Tessy. Ciało przeszył dreszcz, a mięśnie klatki piersiowej zaczęły drgać rytmicznie. Starzec odetchnął, od razu plując i zanosząc się kaszlem. Usiłował unieść głowę, ale Tessa nie pozwoliła mu na to. Nie chciała, żeby powtórzył jej błąd. Stanie lub siedzenie oznaczało pewną śmierć.

Gorące kłęby dymu przepływały Tessie po plecach. Nie snuły się już bezładnie po jaskini, tak jakby teraz powzięły jakiś zamiar. W dali usłyszała delikatne, stłumione trzaskanie. Ogień.

– Avaccusie – zwróciła się do mnicha, choć nie wiedziała, czy starzec zdoła ją zrozumieć. – Musimy się stąd wydostać. Jak trafić do wyjścia?

Powtórzył się atak kaszlu, a potem nastąpiło straszne, ciche charczenie starego człowieka, walczącego o oddech.

– Idź prosto, przez sery.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że Avaccus przemówił. Jego głos był bardzo słaby. Zassała nieco powietrza i powiedziała:

– Musisz przewrócić się na brzuch i trzymać usta przy ziemi. Tylko tak można oddychać.

– Zanim skończyła mówić, dym zaczął drapać ją w gardle. Powietrze na dnie jaskini nie było już takie świeże.

– Idź sama – wykrztusił Avaccus. Między słowami odkaslnął. – Nie uda mi się dojść do wyjścia. Byłbym ci tylko ciężarem.

Pomysł ten wydał jej się na tyle niedorzeczny, że tylko pokręciła głową. Myśl o pozostawieniu kogoś w tym czarnym jak sadza, zadymionym piekle napawała ją wstrętem. Nie mogła tak po prostu dać drapaką. Kiedyś może by tak postąpiła, specjalizowała się przecież w ucieczkach. Lubowała się w nich. Było to coś, co wychodziło jej najlepiej. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Nieważne, kto lub co wpłynęło na ów stan rzeczy: Deveric ze swymi wzorami, Avaccus i jego efemerydy czy też Emith z matką. Liczyło się tylko to, że się zmieniła.

Złapała mnicha za lewe ramię i zaczęła przekręcać go na bok. Protestował, ale nie słuchała. Odepchnął jej rękę. Chwyciła go ponownie. Skądś przybyło jej sił – mnóstwo sił – i jednym potężnym szarpnięciem przewróciła Avaccusa na brzuch. Kaszlał i stękał do wtóru ze strasliwym trzeszczeniem stawów, lecz ona ignorowała te dźwięki. Musiała. Dym napływał gęstymi, ciepłymi kłębami. Trzask płomieni wzmagił się. Gorące powietrze zaczęło owiewać jaskinię. Niebawem oprócz dymu będą musieli stawić czoło innemu zagrożeniu. Ogień podchodził coraz bliżej. Chwilowo był poza zasięgiem wzroku, ale tylko chwilowo.

Spróbowała pociągnąć mnicha, lecz ciało starca stawiało opór. Równie dobrze mogłaby ciągnąć głaz. Szorstkie, nierówne podłoże nie ułatwiało sprawy, gdyż najmniejsza wypukłość mogła otrzeć się o skórę Avaccusa i rozciąć lub posiniaczyć mu ciało.

– Oddychaj powietrzem tuż przy samej ziemi – przypomniała w nadziei, że jeśli mnich zaczerpnie trochę powietrza, oprzytomnieje. Avaccus dostosował się do tego zalecenia. Usłyszała, jak odetchnął. – Szybciej – ponagliła go. Tylko wtedy mieli szansę na ocalenie, gdy Avaccus będzie, poruszał się o własnych siłach. – Musimy stąd uciekać. Będziemy robić przerwy. – Mimo że zaczęła mówić spokojnym tonem, panika, która ją wcześniej ogarnęła, znów zaczęła ujawniać się w jej głosie. Temperatura rosła bardzo szybko. – Prędeż! Prędeż!

Pociągnęła za ramiona, ręce i szaty Avaccusa, chcąc pobudzić go do ruchu.

Czystego powietrza było coraz mniej. Z każdym wdechem wciągała do płuc dym. Zbierało jej się na kaszel. Smrodliwe kłęby zupełnie zagłuszyły zapach sera, kiedy więc czołgała się wśród rozgniecionych kręgów, nie chciało jej się kichać.

– Pospiesz się! – zawołała, nie próbując nawet ukryć strachu w głosie. – Pospiesz się! – Gorące powietrze owiewało jej twarz. Zamykała co prawda oczy, ale dym i tak wciskał się pod powiekę. Odnosiła wrażenie, że ktoś naciera jej podniebienie rozgrzanym piaskiem.

Avaccus robił, co mógł; brnął naprzód najszybciej, jak tylko potrafił. Lecz to wciąż było za mało. W tym tempie uduszą się, zanim dotrą do wyjścia. Wiedziała, że nie powinna gniewać się na starca, nie umiała się jednak opanować. Musiał się ruszać szybciej. Uratuje go!

Przesunęła ręką po miękkiej papce z rozbitych serów i odnalazła ramię mnicha.

– Musimy się stąd wydostać! – krzyknęła, łapiąc go brutalnie za nadgarstek. – Nie powiedziałeś mi jeszcze wszystkiego. Nadal nie wiem, jak poprawnie iluminować. Musisz mi pokazać, co mam robić.

Z gardła Avaccusa dobył się nieartykułowany dźwięk. Odniosła wrażenie, że to śmiech. Nie była pewna.

– Uczyl cię Emith z Bay'Zell, młoda damo – rzekł. – Powinnaś zatem wiedzieć wszystko, co potrzeba.

– Ale Emith jest zwykłym asystentem. On nie umie rysować wzorów.

Powiew musnął twarz Tessy, gdy Avaccus potrząsnął głową w mroku.

– Emith wie więcej o malowaniu wzorów niż ktokolwiek na świecie. Skoro nauczył cię wszystkich zasad odnoszących się do barwników i kształtów, wiesz wystarczająco dużo. Namaluj problem, by później go rozwiązać. Emith... – Avaccus urwał, kiedy owiał ich parzący tuman dymu. Gorące skrawki spalonej materii buchnęły jej prosto w twarz.

Przesunęła dłoń z nadgarstka starca do jego palców. Wmawiała sobie, że wcale się nie boi, jednak dopiero uścisk starego mnicha podniósł ją na duchu. Razem czołgali się wśród kłębow dymu.

Avaccus z wielkim trudem zaczął oczyszczać gardło. Dopiero po kilku minutach kaszlu i przełykania śliny udało mu się przemówić. Tessa kazała mu się skoncentrować na poruszaniu się, lecz on uparł się, żeby coś jej powiedzieć.

– Emith jest skromnym człowiekiem, nigdy o tym nie zapominaj. Gdyby nie ta skromność, zostałby sławnym skrybą. Ma niezwykły talent. Brakuje mu tylko pewności siebie.

Avaccusa pochwycił gwałtowny atak kaszlu. Gdy miały nim konwulsje, cały czas ścisnęła go za rękę, postanawiając być silną.

Pomarańczowa poświata znaczyła wyjście z jaskini. Drgała, syczała i z każdą minutą jaśniała. Powietrze było tak nagrzane, że bała się otworzyć oczy. Czuła, jak leżące pod nią kręgi sera miękły i zamieniają się w gorącą, ziarnistą papkę.

Kaszłąc, mnich usiłował wykrztusić słowa. Tessa mogła jedynie zgadywać, ile wysiłku go to kosztuje.

– Musisz wypróbować swoje możliwości, Tesso. Zaufaj sobie i zaufaj Emithowi. Efemeryda nie wpadła ci w ręce przypadkiem. Odnalazła cię, gdyż jesteś na tyle silna, by podjąć zadanie.

– Nic już nie mów, Avaccusie. – Poglaskała rękę mnicha. Chciała usłyszeć wszystko, co miał do powiedzenia, ale wysiłek, jaki wkładał w wypowiedzane słowa, był zbyt wielki. – Opowiesz mi wszystko, gdy będziemy bezpieczni.

Avaccus umilkł. Przestał nawet kaszleć. Skinęła głową, usatysfakcjonowana.

– W porządku. A teraz wyjdźmy stąd. – Nim zaczęła się czołgać, wypuściła dłoń starca. Rozległ się głuchy odgłos, gdy ręka Avaccusa osunęła się na ziemię. Wraz z tą ręką osunęło się również coś w żołądku Tessy. Odwróciła się i ponownie chwyciła dłoń mnicha. Była bezwładna.

Odetchnęła krótko, ze strachem. Parzący, wypełniony sadzą dym dostał się do płuc: zaczerpnęła powietrza, zapominając pochylić głowę. Zaczęła kaszleć i nie mogła przestać. Rozdzierający ból targnął klatką piersiową. Oczy piekły, nie mogła ich jednak otworzyć i wypuścić łez.

– Avaccusie! – krzyknęła, potrząsając i ciągnąc za rękę mnicha. – Obudź się, obudź!

Nie chciał się obudzić. Potrzebował pomocy i świeżego powietrza. Tessa nie dowierzała zdrowemu rozsądkowi; zerknęła w stronę wyjścia. Dym na tyle zgęstniał, że przesłaniał światło ogniska. Jej serce biło jak opętane, usta wyschły do bólu. Podjęła decyzję. Musiała sama wydostać się na wolność. Avaccus niczego już nie musiał robić.

Położyła policzek na kamieniu i wciągnęła najgłębszy łyk powietrza, na jaki było stać jej obolałe płuca. Zerwała przy tym kołnierz płaszcza. Pospiesznie rozpostarła materiał i położyła go na twarzy Avaccusa. Nie wiedziała, czy to cokolwiek pomoże, ale przy najmniej nie dopuści kurzu i popiołów. Nie marnowała oddechu na słowa, ale w myślach kazała mnichowi zostać na swoim miejscu i poczekać na jej rychły powrót.

Zerwała się niezgrabnie na nogi i pobiegła. Przedzierała się przez smugi dymu; oczy i uszy miała zamknięte, aby nie dopuścić popiołu, twarz zaś pomarszczoną z gorąca. Żar się wzmagał. Po plecach i szyi ściekał jej pot. Zewsząd atakowało piekące powietrze. W końcu dalszy bieg stał się nie do zniesienia. Temperatura była zbyt wysoka. Czuła, że pali się skóra na jej twarzy. Choć nie otwierała oczu, przypuszczała, że znajduje się o włos od wyjścia z jaskini.

Zużyte powietrze przeszywało płuca nieznośnym, piekącym bólem. Musiała je wypuścić. W takim jednak przypadku nie zdoła zaczerpnąć oddechu. W niewielkiej odległości od ognia z pewnością nie było świeżego powietrza.

“Przykro mi” – rzekła w duchu. Zwracała się do wielu ludzi rozrzuconych w dwóch światach. Do ojca i matki. Do Emitha i poczciwej staruszki. Do Avaccusa. Do wszystkich, którzy będą walczyć i zginą z powodu Kolczastego Wieńca.

Ujęła pierścień, podniosła głowę, wzięła się w garść i wypuściła z płuc powietrze.

– A zatem nie przypominasz sobie, czy przyjeżdżała tu młoda kobieta? Dwa, może trzy dni temu? – Ravisowi zdało się, że z daleka dobiega przytłumiony wrzask, ale uznał to za jęk wiatru lub krzyk nocnego ptaka. – Rudozłote włosy, drobna budowa ciała. Bywa uparta.

– Nie, mój synu. Od wiosny nie odwiedziła nas żadna młoda kobieta. – Mnich uśmiechnął się, ukazując rząd równych, białych zębów. – Już ja bym wiedział, gdyby było inaczej.

Ravis spojrzał bystro na starego mnicha. Nie spodobało mu się jego zachowanie. Miał zbyt zadbane zęby i oczy o wiele za chytre, jak na rolę niedołęgi, którą odgrywał. Ravis stawiał się pod klasztorną bramą pięć minut temu. Młodzieniec, który go powitał, został migiem zmieniony przez tego, który z nim teraz rozmawiał. Pytania zadawane przez gościa przygnały tu starego mnicha tak szybko, że niewykluczone, iż przez cały czas chował się gdzieś w cieniu za bramą.

– Młoda dama, o którą mi chodzi, ma na imię Tessa – rzekł, zaciągając płaszcz na piersi. – Przyjechała zobaczyć się z jednym z braci. O ile pamiętam, nazywa się Avaccus.

Kiedy przy słowie “Avaccus” sędziwy mnich skrzyżował z nim spojrzenia, Ravis nabrał pewności, że ma do czynienia z wprawnym łgarzem.

Mnich uczynił ręką gest wyrażający modlitwę.

– Brat Avaccus opuścił nas na początku lata. – Słowa te zabrzmiały niczym reprimenda. – A teraz proszę mi wybaczyć. Mój brat i ja złamaliśmy już ślubowania, rozmawiając z tobą o tak późnej porze, byłbym zatem wdzięczny, gdybyś raczył zawrócić konia i pogalopować z powrotem. Jeszcze przez co najmniej godzinę grobla będzie przejezdna. Niech Bóg ci błogosławi na noc, panie. – Starzec zabrał się do zamykania bramy.

– Ojciec – rzekł Ravis, umyślnie wybierając to słowo. Nie pomylił się: mnich, słysząc ów grzesnościowy tytuł, spojrzał nań wyczekująco. Zapewne nic był skromnym braciszkiem, za jakiego chciałby uchodzić. – Rozmawiałem z kilkoma ludźmi w Bellhaven, którzy twierdzą,



że obserwowali z okien gospody, jak Tessa jedzie groblą do klasztoru. Wciąż się upierasz, że nigdy tu nie zawitała?

Mnich potrząsnął głową i zatrzasnął bramę. Ravis usłyszał zgrzyt pospiesznie zasuwanych antab. Kilku. Zagryzł wargę. Za nim koń parsknął cicho i szarpnął za wodze. Stary wałach chciał już pożegnać to miejsce. Ravis patrzył na zamknięte podwoje. Cały dzień pędził bez wytchnienia, by się tu dostać. Wcale nie zatrzymał się w Bellhaven, jak niedawno stwierdził. Kłamstwo to wymyślił dla potrzeby chwili.

Niechętnie odwrócił się od bramy. W oświetlających pobliskie skały promieniach księżyca sól i inne osadzone w kamieniu minerały połyskiwały słabo. Kilka wiekowych wąsonogów przycupnęło przy słupku ostrzegającym o wysokim poziomie wody; wtulone w skałę, walczyły o nędzne życie. Gdy Ravis rozglądał się wokół, powiew wiatru wzburzył morskie fale. Sekundę później poczuł dym. “To nie drewno się pali” – pomyślał spokojnie. A przynajmniej nie samo drewno. Torf, suszone wodorosty i smoła. Takiej mieszanki używali straganiarze w Drokho do wędzenia ryb, gdyż uzyskiwało się wtedy przy minimalnym płomieniu największą ilość dymu.

Dziwne. Skoro mnisi w klasztorze ślubowali milczeć po zmroku, ślubowali też chyba powstrzymać się od cięższych prac fizycznych, takich jak dogładanie ognia i wędzenie ryb?

Pogłaskał wałacha. Wypatrzył ostry, skalny występ i okręcił wokół niego cugle. Upewniwszy się, że koń ma dość miejsca, sprawdził nóż. Chciał się rozejrzeć po okolicy.

Jego skórzany płaszcz zaskrzypiał, gdy zszedł ze ścieżki i wkroczył między skały, udając się w stronę, skąd wiał wiatr. Z każdym krokiem nasilał się zapach spalenizny, a smugi szarobłękitnego dymu poczęły snuć się wzdłuż zewnętrznego muru opactwa.

Skały wokół klasztoru tworzyły paszczę pełną zębów. Grube ogony wodorostów i warstwy kruchej soli utrudniały chodzenie. Gdy dostrzegł przed sobą wznoszącą się na podobieństwo przepastnego klifu skałę, wspartą o wschodnie skrzydło opactwa, naszała go ochota, aby zawrócić. Niemniej jednak najgorsze, co mogło mu się przytrafić, to świeżo uwędzona rybka. Wtem uzmysłowił sobie, że coś jest nie w porządku. Przecież z dymem nie niósł się zapach ryb! Gdzie podział się delikatny aromat podwędzanych śledzi i pstrągów?

Tessa! Nie wierzył w zbiegi okoliczności: wprawdzie trafił mu się kłamliwy mnich, później, bez widocznego powodu, w środku nocy unoszą się kłęby dymu. Te dwa fakty musiały pozostawać z sobą w ścisłym związku. Zwiększył tempo, przeskakując z kamienia na kamień. Skalna ściana piętrzyła się stromo ku klasztornym murom. Ravis przestał skakać i zaczął się wspinać.

Dymu zbierało się coraz więcej. Wielkie, ciemne kłęby przepływały nad klifem i z wiatrem opływały jego twarz. Zwiewne, spopielone szczątki opadały deszczem na jego głowę i ramiona. Nad słupkiem wskazującym poziom wody skała była dogodniejsza do wspinaczki:

suchsza i gładsza, wolna od śmieci wyrzuconych przez morze. Ravis dotarł do szczytu z zadziwiającą szybkością.

Od razu połapał się w całej sytuacji. W skale, którą właśnie zdobył, znajdowała się grot. Wejście do niej zostało zabarykadowane płonącym stosem drewna, torfu, wodorostów i wszystkim, co mogło się palić i dymić.

Zassał dolną wargę. Cóż znowu? Zaci braciszku wypędzają z jaskini nietoperze? Tak czy inaczej, czas był właściwy po temu. Tyle tylko, że jakoś w to nie wierzył. Popatrzył na mur klasztoru. Głęboko pod kamiennym okapem widniała niewielka furtka, przez którą mnisi mogli łatwo i szybko dostać się do grot. Skoro bracia mogli przychodzić tu o każdej porze dnia, dlaczego nie rozpalili ognia w świetle dziennym? Noc nie nadawała się do wypłaszania nietoperzy.

Ściągnął płaszcz i rzucił go na ogień. Gdy tylko płachta opadła, rozkopał stos, wyrzucając w powietrze płonące szczapy. Ognisko, rozniecone w pośpiechu, szybko wygasło. Porzuciwszy płaszcz na pastwę płomieni, zaczął deptać po palących się bierwionach i grudkach torfu. Gdy ognisko się zapadło, potężny obłok dymu wypłynął z jaskini. Na ten widok Ravis wyciągnął ze stosu dymiący kij, którym mógł uderzać i dusić płomyki. Nawet jeśli parzył sobie dłonie, niczego nie czuł.

Ktokolwiek był wewnątrz, nie mógł przeżyć.

Nie czekając, aż zgaśnie ostatni ogień, Ravis wszedł do grot. Ogarnął go dym. Nie widział patyka, który trzymał w ręku. Z każdym oddechem nabierał w płuca duszącą porcję popiołu.

– Tesso! – krzyknął w stronę ciemności. – Tesso!

Skoro nie usłyszał odpowiedzi, wszedł nieco głębiej.

Kiedy badał po omacku drogę, czubkiem buta dotknął czegoś miękkiego. Upadł na kolana i sprawdził ręką, co też blokuje mu przejście. Natrafił na jakieś ciało. Zaryzykował otwarcie oczu. Znalazł Tessę. Nie wiedział, żywą czy martwą.

Struchlał z przerażenia. Z gardła wydobyło mu się zwierzęce wycie. Zawrzał tak srogim gniewem, że gdyby kłamiwy mnich stanął w tej chwili obok niego, złamałby mu kark gołymi rękoma. A potem tak długo kopał ciało, że pozostałaby po nim jedynie masa pogruchotanych kości.

Co oni jej zrobili?

Delikatnie, z wielką ostrożnością, upewniając się, że nie naciska na sińce i rany, wziął ją na ręce i wyniósł na zewnątrz. Jej policzek oparł się o jego twarz. Był gorący i osmolony sadzą. Tessa wydawała się taka lekka, że żal ścisnął mu gardło. Wspomnienia o żonie przemknęły falą, choć starał się je powstrzymać. W ostatnim miesiącu choroby Lara była tak słaba, że nie mogła podnieść się z łóżka o własnych siłach. Wszędzie ją nosił. Wstydziła się swojej słabości. On patrzył na to jako na sposobność, by ją częściej dotykać.

Ravis przegryzł bliznę na wardze. Krótkie ukłucie bólu nie zatarło wspomnień, ale odsunęło je na zwykłe miejsce.

Gdy wyszedł na czyste powietrze, rozejrzył się, za dogodnym miejscem, by położyć Tessę. Zauważył płytkie, otoczone kawałkami zwietrzałej skały wgłębienie i szybko udał się w jego kierunku; tam ostrożnie umieścił ją na ziemi. Kiedy jej ciało zetknęło się z kamieniem, rozległ się głęboki, gardłowy odgłos, bardzo cichy, przypominający chrapliwy oddech. Ravis znieruchomiał i zamknął oczy, potem podniósł twarz do nieba. Zazwyczaj nie wierzył w Boga. Czasem jednak, w chwilach jak ta...

Otworzył oczy. Na granatowym niebie mrugały gwiazdy. Gdyby w tym momencie ktoś go o nie zapytał, przysięgłby, że oprócz światła dają także ciepło. Odganiając myśli o sobie, gwiazdach i nocy, skoncentrował uwagę na Tessie. Musiał się nią zająć.

Obrażenia ciała związane z ogniem dość często towarzyszyły bitwom i oblężeniom miast, będącym w obecnych czasach na porządku dziennym, znane mu więc także były problemy wynikające z wdychania szkodliwych substancji. Kucnął obok Tessy, wziął głęboki oddech i wstrzymał powietrze w płucach, po czym zacisnął wargi na jej ustach. Delikatniej niż przy pocałunku, wypuścił powietrze, które wypełniło gardło Tessy, a następnie wpłynęło do jej płuc. Pierś uniosła się i opadła. Ravis powtórzył całą procedurę. Wargi miała równie gorące, jak policzki. Smakowały popiołem.

Powoli, stopniowo, oddech za oddechem, Tessa zaczęła reagować. Zrazu niedostrzegalnie, pierś jej zaczęła podnosić się i opadać bez pomocy Ravisa. Pod powiekami poruszyły się oczy. Ravis przemówił do niej w delikatnych, nonsensownych słowach, jakich nigdy by nie użył, gdyby była w pełni świadoma. Głaskał ją po włosach i ścierał popiół z twarzy, przez cały czas wdmuchując powietrze do jej płuc. Po kilku minutach zaczęła się krztusić, a jej pierś drgać rytmicznie. Ramiona podniosły się i wybuchła gwałtownym kaszlem.

– Nie otwieraj oczu. – Przycisnął jej ramiona z powrotem do skały. – To ja, Ravis, czuвам przy tobie. Nie jesteś już w jaskini, ale na zewnątrz, bezpieczna. – Mówił dobitnie, jakby leżał przed nim ranny rycerz; żołnierzom, kiedy ockną się z omdlenia, należy mówić, że są bezpieczni. – Nie pozwolę cię skrzywdzić.

Uniosła rękę. Mięśnie klatki piersiowej, szyi i twarz zadrżały jak galareta. Otworzyła powieki z grymasem bólu, lecz szybko je zamknęła.

– Muszę... muszę... – Mimo zdławionego głosu chciała coś usilnie powiedzieć.

– Nic nie mów, wszystko będzie dobrze. – Położył jej palec na ustach.

Potrząsnęła głową.

– Muszę tam wrócić.

Ravis pochylił się nad nią.

– Był ktoś z tobą w jaskini?

Skinęła potakująco. Żyły na szyi zbiegały jej z wysiłku.

– Ava... Avaccus tam został.

Ravis wstał i powiedział:

– Zaraz wracam.

Rozwiała się już spora część dymu i choć tliły się wciąż resztki ogniska, płomienie wygasły. Bez trudu odnalazł ciało. Spoczywało między serami w płytkiej komorze, która wydawała się stanowić środek jaskini. Na nosie i ustach mężczyzny leżał skrawek wytargany z płaszcza Tessy, na który Ravis popatrzył wnikliwie w poszukiwaniu oznak ruchu. Skrawek nawet nie drgnął.

Westchnął ciężko. Sądząc ze śladów małych stóp, odcisniętych w sadzy wokół ciała, Tessa ze wszystkich sił starała się uratować mnicha.

Przyklęknął i powiódł palcem wokół jednego z licznych odcisków bosych stóp. Jakże dzielna była ta kobieta, którą los postawił na jego ścieżce.

Szybko jednak skierował uwagę na Avaccusa. Dotykając tak gorącego trupa, doświadczał obcego sobie uczucia. Gdy podniósł ciało, nie tylko jego żar go zadziwił: było zбите i twarde jak kamień. Powoli, myśląc o wielu rzeczach naraz, wyniósł martwego mnicha na zewnątrz.

Tessa usiadła, kiedy się pojawił. Nie zważając na ostrzeżenia, otworzyła oczy. Zamknęła je szybko, gdy ujrzała wyraz jego twarzy. Ravis chciał jej coś powiedzieć, wyjaśnić, że wie, jak to jest stracić kogoś, kogo chciało się uratować. Gdy jednak ułożył trupa na kamieniach, poczuł dojmującą pustkę na rękach i jedna myśl przytłumiła wszystkie inne: podejść do Tessy i przytulić ją mocno.

Tak właśnie uczynił.

Izgard z trudem przełknął kolejny kęs. Wnioskując z konsystencji i zapachu, w skład dania wchodziły jęczmień i warzywa ugotowane w chudym, wołowym rosole. Skąpe ilości mięsa zostały posiekane na tak drobne kawałeczki, że miska wydawała się niejako porośnięta kilkudniowym zarostem.

Izgard nie lubił mięsa. Nie znosił, kiedy zachodziło mu między zęby. Jeszcze bardziej nie cierpiał go przeżuwać. Wobec jego mięsistej, zбитеj struktury ulegał wrażeniu, że gryzie własny język. Tak czy inaczej, zmusił się do zjedzenia niewielkiej porcji – zmuszać się tak będzie do końca życia. Za wszelką cenę musiał dbać o fizyczną siłę.

Ederius posiłek miał już za sobą. Zjadł oczywiście to samo danie, co król, lecz do stołu zasiadł jakieś dwadzieścia minut wcześniej: ci, którzy kosztowali jadło, mogli przecież zawieść – zawsze istniała możliwość, że pewna niewielka dawka trucizny przetrwa w rosole. Izgard nie zamierzał ryzykować własnym życiem.

Nie życzył, rzecz jasna, Ederiusowi śmierci. Co to, to nie. Spośród wszystkich, którzy zebrali się tej nocy w namiocie dla uczczenia zwycięstwa, skryba znaczył dla niego najwięcej. Od pięciu lat stał u jego boku. Cechowała go bezgraniczna lojalność. Izgard miłował go, dlatego też zgodził się dzielić z nim posiłki. Jeśli – za sprawą sztuczki jakiegoś przemysłnego

zamachowca – wolno działająca trucizna zabiłaby Izgarda, wyprawiłaby z tego świata również Ederiusa. Król wzdragał się na myśl, że skryba mógłby go przeżyć.

Odsuwając na bok blaszaną miskę, zagadnął:

– A zatem, przyjacielu, jakie to uczucie być na polu bitwy? Czy gonitwa z harrarami uczyniła cię znowu młodzieńcem?

Ederius z każdym dniem stawał się coraz bledszy i słabszy. Kręgi pod oczami nabrały sinego koloru. Ostatnich trzydzieści godzin spędził przy pulpicie na malowaniu wzorów. Odkąd król wszedł do jego namiotu jakieś pół godziny wcześniej, skryba ograniczył się do potrząsania głową. Potrząsał nią i teraz, nie mniej i nie bardziej gwałtownie.

– Wszyscy nie żyją. Posłałem ich na śmierć.

– Nie, to ja osobiście wysłałem harrarów z niebezpieczną misją. Mieli wtargnąć do nieprzyjacielskiego obozu, gdzie na jednego przypadało dziesięciu wrogów, i zepchnąć wojska suzerena na pole bitwy. Większość by jednak powróciła, gdyby nie Camron z Thornu.

Ederius przełknął głośno ślinę.

– Powróciła po co? Na powolną śmierć, podczas której kości wrastają w organy, a korzenie zębów przebijają dziąsła? – Skryba nie przestawał potrząsać głową. – Nie myśl sobie, że nie oglądałem trupów harrarów. Nie wyobrażaj sobie, że nie widziałem, jak ich ciała są wynoszone z obozu pod osłoną nocy. Każesz ludziom wciskać im do gardeł szmaty, ale ja i tak słyszę ich wrzaski.

Izgard chciał coś powiedzieć, lecz skryba jeszcze nie skończył.

– Tworzę ich – ciągnął. – Maluję ich i pobudzam, są dziełem moich rąk. Ledwie jednak cel zostanie osiągnięty, porzucani są na łaskę losu. Ich ciała zmagają się z magią, a magia zmagają się z nimi. Może i są potworami, ale to moi synowie, zrodzeni z mojego atramentu. Jestem za nich odpowiedzialny. A tymczasem dzisiaj posłałem ich na zgubę.

Izgard miał na końcu języka tuzin gotowych odpowiedzi: harrarzy nie należeli do Ederiusa, należeli do niego; to nie Ederius posłał ich w bój, tylko on; Kolczasty Wieniec stworzył harrarów, skryba zaś był jego marionetką. Postanowił jednak milczeć. W tej chwili Ederius wydał mu się nad wyraz piękny. W jego starczych oczach pojawił się płomień, a skóra pokryła się błyszczącą glazurą potu. Był zmęczony – to wszystko. Wyczerpany pracą. Potrzebował opieki lekarza, ciepłych koców oraz ziół z owczym mlekiem, by spokojnie mógł zasnąć. Izgard skinął lekko głową. Sam o to wszystko zadba.

– Posłuchaj, stary przyjacielu – rzekł łagodnie – dzisiaj odnieśliśmy zwycięstwo. Garizon odniósł zwycięstwo. Harrarzy niestety zginęli, lecz ogromna większość spośród naszych synów wciąż żyje. Właśnie dzięki harrarom. Poświęcili się dla dobra ogółu. Podobnie jak ty i podobnie jak ja. Nie wolno nam stracić z oczu celu, do jakiego zmierzamy. W czasie wojny każdy wybór jest bolesny. Za każdym razem, gdy wydaję rozkaz na polu bitwy, podejmuję ciężką decyzję. – Mówiąc to, Izgard szukał ręki Ederiusa. Skryba tylko przez moment starał się cofnąć swoją dłoń. – Jesteśmy do siebie podobni jak dwie krople wody. Gryzą nas

sumienia z powodu środków, jakie stosujemy, choć w głębi duszy wiemy, że Garizon wymaga od nas poświęceń. Owszem, spędziłeś dwadzieścia lat na Wyspie Namaszczonych, ale urodziłeś się w Garizonie, jesteś Garizończykiem i będziesz nim aż do śmierci. Nie myśl o harrarach, którzy dzisiaj polegli, zamiast tego pomyśl o wszystkich uratowanych.

Ederius jeszcze przez, chwilę trząsał głową.

– Nie mogę... nie chcę...

– Spokojnie. – Ton Izgarda zaostrił się. Pamiętając, do czego sprowokował go gniew ostatnim razem, puścił dłoń skryby i odsunął się na bezpieczną odległość. Wolał nie ryzykować okaleczeniem Ederiusa w ten sam sposób, co Gerty. Szybko zmienił temat. – A co z tamtą dziewczyną?

Nie lekceważąc ostrego tonu króla, skryba pospieszył z odpowiedzią:

– Zabdałem o nią, panie. Skontaktowałem się ze świątobliwymi ojcami. Powiedzieli, że tym razem sami się nią zajmą. Incydent z gathelokiem przysporzył im kłopotów.

– Wezwałeś gatheloka?

Ederius kiwnął twierdząco głową. Odparł posepnym głosem:

– Kazałem mu wcielić się w jednego ze świątobliwych braci. Utopił się jednak, gdy ogarnęły go fale przypływu. O świcie woda wyrzuciła ciało na brzeg. Wielu braci widziało je, zanim czcigodnym ojcom udało się usunąć ścierwo.

– Czy był taki, jak wcześniej przypuszczałeś?

– O wiele gorszy. Ten stwór zrodził się z czystej ciemności. Słowa nie opiszą... – Ederius potrząsnął głową. – Zdawał się starszy nawet od Kolczastego Wieńca.

Izgard zerknął na swoją koronę. Leżała na cokole tuż przed stołem skryby, mieniając się niczym potłuczone szkło. Wokół niego fruwała ćma, sądząc, że to źródło światła. Kiedy pochylił się, żeby dotknąć korony, nie przejmował się ćmą. Kurz ani owady nie siadały na Kolczastym Wieńcu.

– Na odkrycie czeka jeszcze wiele wzorów – rzekł król, głaszcząc palcami po rytach wytrawionych w złocie.

– Tak, panie. Wiele.

Za dawnych dni Ederiusa pożerała wprost tęsknota, kiedy rozmawiali o Wieńcu. Jakże pragnął odkrywać jego sekrety i odrysowywać jego wzory! Teraz jednak w głosie skryby wyczuwało się wyłącznie zmęczenie. To martwiło króla.

Odwróciwszy twarz do Ederiusa, powiedział:

– Odpocznij, przyjacielu. Przyślę ci medyka z ziołami, po których szybko zaśniesz. Jutro o świcie musisz nawiązać łączność z Wyspą Namaszczonych i dowiedzieć się, co z dziewczyną. Szukała towarzystwa nieodpowiednich ludzi i odwiedzała niewłaściwe miejsca. Ty powiadasz, że potrafi malować wzory, a ja mówię, że wyciąga ręce po moją własność.

Władca popatrzył na Wieniec.

– O tej porze powinna już być martwa, panie – rzekł skryba.

– Chyba że drodzy ojcowie wpadli na sposób, jak zabić ją, nie maczając jednocześnie rąk we krwi. – Izgard szybko pożałował swych słów, po których skryba poruszył się, dotknięty. Kilkoma krokami zbliżył się do wyjścia z namiotu. – Dobrze się dzisiaj spisałeś, Ederiusie. Niech to cię pocieszy.

Głowa starca opadła bezwładnie na pierś. Milczał.

Izgard odgarnął płócienne skrzydło. Dźwięki i zapachy zwycięstwa niosły się na wietrze: mężczyźni śpiewali, mięsiwa skwierczały nad ogniem, spienione piwo wylewało się w błoto. Obiecał swym ludziom na jutro kobiety. Wybrał już miasto, które im je zapewni. Merin, miasteczko kupców i mleczarzy, znajdowało się w odległości co najwyżej pół dnia drogi forsownego marszu. Będzie można zebrać tam obfity plon w postaci dorodnych, karmionych mlekiem dziewcząt oraz mięsa, ziarna i innych zapasów. Sam nie przejawiał apetytu na mięso i stopniowo tracił zainteresowanie kobietami, lecz jego ludzie mieli niewątpliwie ochotę na obie te rzeczy. Tak niewiele kosztowało zaspokojenie ich potrzeb.

Poza tym Merin leżało na drodze do Bay'Zell.

Bay'Zell, pani trzech mórz, największy węzeł szlaków handlowych spośród wszystkich miast zachodu, była główną nagrodą. Z jej portów można było wyruszyć na podbój całego kontynentu. Pięć stuleci temu dokładnie w ten sam sposób postąpił Hierac. Wybudował sobie nawet fortecę. Zamek Bess należał wprawdzie do Camrona z Thornu, lecz posiadacz Wieńca upomni się o niego niebawem.

Palce pogrążonego w rozmyślaniach Izgarda zaciskały się kurczowo na płótnie namiotu. Królowi zdawało się, że to skóra. Dziś pierwsza bitwa zakończyła się zwycięstwem. Wnet zostanie zdobyte pierwsze miasto.

– Odpoczywaj, Ederiusie – powiedział, puszczając płótno. – Jutro ruszamy na północ.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Tessa niewiele pamiętała z tego dnia, kiedy Ravis wyciągnął ją z jaskini. Wracła do niego fragmentarycznymi i mglistymi wspomnieniami. Myślała o ramionach Ravis, obejmujących ją, kiedy siedziała na krawędzi klifu i próbowała złapać oddech. Słyszała, jak szepcze jej do ucha, że wszystko będzie w porządku. Kolejny obraz dotyczył przeprawy przez groblę. Przyłgnęła do pleców jeźdźca, żeby nie spaść, na wypadek gdyby straciła przytomność, i razem z nim uciekała przed zbliżającym się przypiływem.

Potem nastąpił długi okres ciemności, z której wyłaniały się wyłącznie przeróżne odmiany bólu i skrzywienie desek, gdy wnoszono ją gdzieś po schodach. Następnie pamiętała przebudzenie w ciepłym łóżku, w wykładanej dębową boazerią, pozbawionej okien izbie. Nasłuchiwała odgłosów picia, jedzenia i kłótni, które dobiegały z jak przypuszczała – gospody na dole.

Trzy dni później nadal tam leżała. Ravis przebywał z nią przez większość czasu. Przysuwał sobie krzesło do łóżka, leczył jej rany, przemywając je i obwiązując co kilka godzin, wcierając w nie w zależności od potrzeb olejek bądź tłuszcz. Prócz tego karmił ją. Dmuchał na każdą łyżkę z rosółem, aż był on na tyle chłodny, by przy połykaniu nie sprawiał dodatkowego bólu.

A przetykanie było bolesne. Oddychanie przychodziło z jeszcze większym trudem. Plecy przeszywał ból za każdym razem, gdy brała oddech, a świeże powietrze szczypało w płucach jak ocet. Czasami musiała zmuszać się do oddychania, czasami zaś gardło zwierzało się i blokowało przepływ powietrza. Dwa razy obudziła się w nocy, niezdolna złapać oddechu. Ravis przytrzymał ją pewnie; rozwiewając jej obawy, wcierał w skórę pod nosem coś tłustego i wydzielającego ostry zapach. “Olejek miętowy – wyjaśnił spokojnie – zapobiega skurczom w gardle”.

Tessa zazwyczaj leżała z zamkniętymi oczami. Bolały ją, gdy unosiła powieki. Ravis powiedział, że im bardziej będzie je chronić przed światłem, tym szybciej się zagoją. Czowała się niezwykle osłabiona i nigdy nie było jej ciepło, pomimo koców i paleniska. Wstrząsały nią zimne dreszcze, gorące rumieńce występowały na skórę, lecz wewnątrz pozostawało chłodne.

Starła się nie myśleć o Avaccusie. Pozostawili jego ciało na skale. Czowała, że tak właśnie godziło się zrobić. Mnich całe swoje dorosłe życie spędził w opactwie i mimo że świątobliwi ojcowie wygnali go do jaskini na dwadzieścia jeden lat, to on podjął decyzję, żeby w niej pozostać. Mógł przecież przekroczyć groblę, gdyby tylko zechciał.

Westchnęła. Podejrzewała w duchu, że decyzja Avaccusa nie należała do łatwych; był stary i przywykł do utartych zwyczajów, a przecięte ścięgna kciuka nie pozwalały mu parać



się jedynym rzemiosłem, na którym się znał. Niemniej jednak wierzyła, że wciąż należał do wyspy. To był jego jedyny dom.

Wierząc się między kocami i poduszkami, usiłowała odpocząć. Nie chciała spać, bo wówczas pojawiały się sny, a w nich wszelkie złe wspomnienia. Noc spędzona w jaskini wielokrotnie ożywała w czasie snu. Czasem budziła się wcześniej lub potrzasała Avaccusem silniej, albo też biegła do wyjścia z jaskini i gasiła ognisko. Cokolwiek robiła – rezultat był zawsze jeden: Avaccus umierał, a ją ogarniało wrażenie, że gdyby postąpiła inaczej, mogłaby go uratować. Po przebudzeniu sny pierzchały, lecz wyrzuty sumienia trwały nadal.

Dobiegający z korytarza odgłos kroków przerwał tok jej myśli. W zamku drzwi zazgrzytał klucz i do pokoju wszedł Ravis.

– Jak się dziś czujesz? – zapytał, kładąc tackę z jedzeniem na składanym stoliku obok łóżka. – Wyglądasz lepiej.

Czyżby nastał ranek? Wobec braku okien łatwo było stracić rachubę czasu. Tessa niekiedy zgadywała, że jest południe lub czas na kolację, gdyż dźwięki rozbrzmiewające na dole przypominały brzęk talerzy i dzwonienie sztućców.

– Dobrze. – Sama nie wiedziała, czy tak jest w istocie. Skinął głową.

– Masz silniejszy głos. Jak tam z oddychaniem?

– Czuję poprawę.

– Świetnie. Mam nadzieję, że i w jedzeniu się poprawisz. – Po tych słowach podniósł z tacy miskę i zaczął w niej mieszać łyżką.

Doznając uczucia, jakby wyprowadzono ją w pole, podniosła się niechętnie. Nie chciała wcale jeść.

Ravis dmuchnął w miskę kilka razy i wręczył jej zupę.

– To rosół z wołowych ogonów – rzekł z wesołymi iskierkami w oczach. – Jeden z gości na dole uparł się, żebyś tego skosztowała. To pewna dama. A jakże, nawet poszła do kuchni, aby upewnić się, że kucharka przyrządzi go jak należy. Po drodze zdołała wyprowadzić z równowagi wiele osób i nawet dobrze się składa, że jeszcze dzisiaj wyjeżdża z Bellhaven. Powiedziała kucharce prosto z mostu, że jej wywary nie nadają się nawet do zmywania garów. – Parsknął śmiechem. – A tutejsza kucharka ma ramiona o rozmiarach beczek piwa. Sam bym się dwakroć namyślił, zanim bym ją obraził.

Tessa nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Czy imię tej damy nie brzmi przypadkiem pani Wicks?

– Tak właśnie brzmi. Chciała przyjść i odwiedzić cię tutaj, ale jej nie pozwoliłem. Codziennie przychodzi do gospody w poszukiwaniu damskiego towarzystwa na powrotną drogę do Kilgrimu. Jedna z dziewcząt pojedzie z nią dziś w południe. – Poglaskał swój skórzany płaszcz, po czym wyciągnął małą, zapisaną karteczkę. – Mam tu imię i adres jej szwagra. Powiedziała, że w razie gdybyś nie znalazła na Wyspie Namaszczonych tego, czego szukasz, powinnaś go odwiedzić. – Odczytał imię. – Moldercay.

Zbieracz kości. Z trudem powstrzymała drżenie.

– Kiedyś był mnichem. Pani Wicks mówiła, że przez wiele lat pracował w klasztorным archiwum. Wspomniała również, że uwielbiał myszkować po kątach, nie tylko w poszukiwaniu kobiet.

– No to chyba niczym się nie różni od zwykłego śmiertelnika. – Ravis wybrał z tacy jabłko i zatopił w nim zęby. – W porządku – rzekł wreszcie. – Powiesz mi w końcu, co wydarzyło się na wyspie? Czy Avaccus nauczył cię starych wzorów? A może pogadaliście sobie na inne tematy?

Tessa mieszała zupę, by dać sobie czas do namysłu. Człowiek siedzący obok niej pracował kiedyś dla Izgarda z Garizonu. Czy mogła mu ufać? Nie powinna przecież rozpowiadać na lewo i prawo o ważnych rzeczach, które wyjawiał jej Avaccus. Nikomu więcej nie opowiedział o efemerydach – to nie ulegało wątpliwości. Z jego śmiercią brzemień wiedzy przeszło na jej ramiona. Stało się kolejną odpowiedzialnością, która dołączyła do jej stale powiększającej się kolekcji.

Zerknęła ukradkiem na Ravisa. Wciąż nie dowierzała, że znajduje się przy niej. Przypuszczała, że powróci do Mizerico u boku Violante z Arazzo. Tak się jednak nie stało. Ruszył w podróż, aby spotkać się z nią, Tessą McCamfrey, pozwalając Violante odpłynąć samotnie do domu.

Uniosła do ust łyżkę pełną rosółu.

– Uważaj – ostrzegł. – Dmuchnij na nią jeszcze raz, żeby się upewnić.

Spojrzała mu w oczy. Ostatnio dostrzegła w nim rzeczy, których obecności wcześniej nie podejrzewała. Był wobec niej czuły i delikatny. Jakby stanowiła coś niezwykle cennego, a czego bał się uszkodzić. Nadal był tym samym człowiekiem, którego poznała na statku, lecz pomiędzy jego zwykłymi, sardonicznymi pozami wychwytywała obecnie jakieś nieznanne dotąd błyski.

Odłożyła łyżkę i powiedziała:

– Avaccus wyjaśnił mi, dlaczego naprawdę tu jestem.

Uniósł brwi.

– Dlaczego?

Westchnęła krótko. Ravis był pierwszą osobą, z jaką nawiązała kontakt w tym świecie, bronił ją i ratował, a w ciągu ostatnich trzech dni leczył niestrudzenie. Tak naprawdę ufała mu od samego początku.

Ściągnęła pierścień z szyi i uniosła go pod światło; odczekała chwilę, aż hałasy na dole przycichną.

– Ten pierścień stanowi klucz do wszystkiego.

Powoli, urywając, gdy brakowało jej tchu lub gdy ból w plecach przybierał na sile, mrugając od czasu do czasu, aby oczy mniej szczypały – opowiedziała mu wszystko, czego dowiedziała się o Kolczastym Wieńcu. Mówiła o efemerydach, czym były i jak nie

domyślano się, skąd przybywały; o tym, jak Hierac z Garizonu znalazł jedną z nich i czym się stał dzięki swemu znalezisku. Streściła przebieg wizyty Hieraca na Wyspie Namaszczonych i wytłumaczyła, do czego zobowiązali się król Garizonu i świątobliwi mężowie w wyniku zawartej ugody; opowiedziała o uwiązaniu Wieńca do tej ziemi. Zwierzyła się z przypuszczeń Avaccusa, dotyczących przyczyn jej przybycia i celów, jakie przed nią postawiono.

Słuchał w milczeniu. Nie przerwał ani razu. Czasami kiwał głową lub przebiegał dłonią po włosach, przeważnie jednak przygryzał bliznę. Jeśli Tessa miała nadzieję zaskoczyć go, musiała poczuć się rozczarowana, gdyż wyraz jego twarzy nie zmienił się nawet na ułamek sekundy. Wiedziała, że słucha bardzo uważnie, ale choć bez wątpienia nikt mu wcześniej o tym nie opowiadał, jego oblicze niczego nie zdradzało. Na koniec, gdy opowiedziała już wszystko, sięgnął, by dotknąć pierścienia.

– Pięćset lat – powiedział, muskając przy okazji palce Tessy. – Przez te wszystkie lata sądziliśmy, że to Garizon i jego królowie ponoszą odpowiedzialność za te wszystkie wojny.

– Widziałeś Kolczasty Wieniec? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Raz, i to z daleka. Skryba Izgarda odrysowywał wzory wyryte u jego podstawy. Pamiętam, że w czasie pracy krew spływała mu po rękach, lecz on zdawał się tego nie zauważać. Spośród wszystkich ludzi tylko Ederiusowi Izgard udostępniła swoją koronę.

– Jak myślisz, czy Izgard zna tajemnicę Wieńca? Czym jest i jakie ma właściwości?

– Trudno powiedzieć. Chyba nie wie wszystkiego. Być może wie tylko tyle, że nie wolno mu go stracić. Po pięciu wiekach dawne przekazy mogły stać się pogmatwane i niezrozumiałe, a istota rzeczy ulec zatarciu. Jednak porozumienie nadal obowiązuje. Izgard dba o bezpieczeństwo Wyspy Namaszczonych, a biorąc pod uwagę zamach na twoje życie trzy dni temu, ojcuzłkowie są mu za to wdzięczni.

Zgadzała się z nim, jednak potrząsnęła głową. Avaccus mylił się co do ojca Issasisa. Był przekonany, że opat nie zrobi jej żadnej krzywdy, że nawet niewinne kłamstwa, których się dopuścił, będą gryźć jego sumienie. Zaciśnęła mocno wargi. Miała nadzieję, że sumienie opata będzie go dręczyło aż do śmierci.

– A co z tym wzorem, który masz narysować? – zapytał. – Gdzie możemy dowiedzieć się o nim czegoś więcej?

Spodobało jej się, że Ravis użył liczby mnogiej i była zadowolona, że ze wszystkiego mu się zwierzyła.

– Nie jestem pewna. Avaccus powiedział mi, że mam narysować problem, a później go rozwiązać. Aby się za to zabrać, muszę mieć choćby mgliste pojęcie, jak wyglądał oryginał. Muszę też wiedzieć, w jaki sposób Ilfaylen pracował.

– A zatem nie zachowały się żadne kopie tej iluminacji?

– Żadne. Każdej nocy, kiedy skryba kończył pracę nad manuskrypcją, zabierano mu go i badano, czy nie zawiera nakłuc. Gdy nie ślezczał nad iluminacją, nie miał dostępu do pędzli i barwników, dlatego nie mógł wykonać żadnego szkicu.

Skinał głową.

– A oryginał znajduje się w Weizach?

– Avaccus powiedział, że zamknięto go w ołowianej skrzynce i głęboko zakopano w tajemnym miejscu w mieście.

– Hm. – Wstał i podszedł do kominka. – A skoro Weizach to jedno z pięciu największych miast na kontynencie, rzekłbym – mamy problem.

– Możliwe, że szwagier pani Wicks wie coś, co mogłoby nam pomóc. Pozostaje jeszcze Emith. Avaccus twierdził, że Emith mógłby zostać wielkim skrybą, gdyby mu to było pisane.

– Tyle że nie ma wiary we własne zdolności?

Zaskoczyła ją przenikliwość Ravisa.

– Zgadza się. To samo powiedział Avaccus. – Mówiąc to, zdawała sobie sprawę ze słabnącego głosu. Zaczepnęła powietrza, które nie wypełniło jej płuc, za to przeszło plecy ostrym, piekącym bólem. Wzięła głębszy oddech, a wtedy jakby płomień ogarnął jej klatkę piersiową.

– Potrzebujesz odpoczynku. – Doskoczył do niej w okamgnieniu, otulając ją po szyję kocem i przykładając dłoń do czoła, aby zbadać temperaturę ciała. – Zamknij na chwilę oczy. Nie próbuj tak mocno oddychać. – Ze swojej torby wydobył małe mieszki z natłuszczonej skóry i część jego zawartości wtarł jej tuż nad górną wargą. Olejek miętowy.

Zamknęła oczy i pozwoliła mu się ukoić. Powietrze przechodziło przez gardło dosyć swobodnie, ale im bardziej się zagłębiało, tym uciążliwsza stawała się jego wędrówka. Czuła się, jakby zamykano jej płuca.

– Tylko spokojnie – rzekł, głaszcząc ją po włosach. – Nie oddychaj głęboko.

Już dawno by wpadła w panikę, lecz Ravis tak długo do niej mówił i dotykał jej, że wreszcie odprężyła się i pozwoliła powietrzu spłynąć głębiej. Czuła się wyzuta z resztek sił. Nie mogła opanować drżenia. Piżama przesiąkła na plecach potem, a skóra wydzielala słonawy, nieco chemiczny zapach. Teraz nawet pachniała inaczej.

– Spij – poradził Ravis. – Takich obrażeń, jak twoje, nie można wyleczyć w przeciągu jednej nocy. Są zbyt poważne. Spij już. Będę czuwał w pobliżu.

– Opiekowałeś się już kimś tak troskliwie, jak mną, prawda? – odezwała się głównie po to, aby sprawdzić swój głos i oddech. Po kilku sekundach, skoro milczał, otworzyła oczy.

Patrzył prosto na nią. Jego ciemnobrązowe oczy były tylko o cień jaśniejsze od czerni. Coś w nich migotało, nie światło jednak ani nie żadne z uczuć, jakie Tessa знаła.

– Kiedyś byłem żonaty – powiedział po chwili. – Żona umarła na *hura aya*. Chorobę bagienną. – Upłynęły kolejne sekundy i kiedy myślała już, że nic więcej nie usłyszy, podjął temat. – *Hura aya* wżera się najpierw w płuca, a stamtąd przenosi na nerki, wątrobę i mózg.

Zrazu może ci się wydawać, że trudność w złapaniu oddechu to najgorsze, co cię może spotkać, lecz wnet okazuje się, że to nieprawda. – Powiódł kciukiem wzdłuż blizny na wardze. – W końcu *hura aya* zabiera ci wszystko: oddech, wzrok, zdolność poruszania się, wydalania, myślenia. Wszystko.

Spuściła wzrok. Nie mogła dłużej patrzeć w oczy Ravisowi. Nareszcie zrozumiała, co się w nich czaiło, zmieniając kolor z brązu na czern: samokontrola.

Nie wiedziała, co ma powiedzieć. Podejrzewała, że cokolwiek powie, zostanie zrozumiane na opak. Ponownie przymknęła powieki. Nie spodziewała się zasnąć, tak się jednak stało, a kiedy znowu otworzyła oczy, po Ravisie nie było ani śladu.

– Roześlijcie wieści. Wszyscy wieśniacy muszą opuścić swoje domy. Nie po południu, nie gdzieś pod wieczór, ale od razu. Niech zabierają tylko to, co zdołają unieść, i uciekają na zachód. Tylko nie do Bay’Zell, bo tam bezpieczeństwa nie znajdą. Izgard wjedzie do miasta w przeciągu tygodnia. Musicie ratować siebie i dzieci. Wasza wioska leży dokładnie na szlaku, którym przemaszerują jego wojska. Jeśli zaraz nie zaczniecie działać, o zachodzie słońca wszyscy będziecie martwi.

Camron z trudem zacisnął szczęki i spojrzał wyczekująco na grupkę zebranych przed nim mężczyzn i kobiet. Wiedział, że powiedział twarde słowa, ale tylko takie miały szansę trafić im do przekonania. Dzieciństwo spędził w małej, izolowanej społeczności, podobnej do tej. Ci ludzie dorastali w przeświadczeniu, że nie może ich spotkać żadna krzywda, że na zawsze pozostaną na uboczu świata i jego przemian. Mylili się – nadciągał Izgard. Wyruszył już w drogę na czele swej armii, od wioski Shale dzieliło go teraz pięć godzin forsownego marszu.

– A co z naszym zbożem? – spytał mężczyzna o słomianych włosach i nosie, który łuszczył się od nadmiernej opalenizny. – Co z naszymi płonami?

– Zostawcie wszystko, czego nie możecie zabrać. Jeśli Izgard spali wasze zboże, pola i winnice, bądźcie wdzięczni, że nie spalił także was i waszych rodzin.

Nastąpiła chwila grobowej ciszy. Przerwała ją tęga, dobrze ubrana kobieta.

– Co się stanie z naszymi zwierzętami? Chyba nie spodziewasz się, że je też pozostawimy? – Zewsząd rozległy się pomruki aprobaty.

– Weźcie tylko te, które możecie bezpiecznie umieścić na wozach. Stada rozpuście.

– Rozpuścić stada?! Przecież to szaleń...

– Możecie też pozostawić je w zagrodach, tylko że wtedy ludzie Izgarda wyłapią je i pozabijają. Zabierzcie je z sobą, a spowolnią waszą ucieczkę do tego stopnia, że żołnierze Garizonu szybko was dogonią. Macie jedno wyjście: wypuścić z zagród zwierzęta. Rozproszyc je. Ludzie Izgarda nie będą mieli czasu gonić za każdą pojedynczą sztuką. Jest lato, doliny porasta soczysta trawa, zwierzęta dadzą sobie radę. Kiedy będzie po wszystkim, możecie wrócić i zagonić je z powrotem.

Wieśniakom nie spodobał się ten pomysł. Ich twarze były ściągnięte, ramiona obwisłe. Rzucali na boki nerwowe spojrzenia. Dobrze ubrana kobieta ścisnęła rąbek swej błękitnej,

Inianej sukienki. Camron wolałby zachowywać się wobec nich łagodniej, lecz tylko strach mógł wygonić ich z chałup.

– A kiedy będzie można bezpiecznie wrócić? – odezwał się starzec o słomianych włosach.

Camron potrząsnął głową.

– Nie wiem. Mam nadzieję, że szybko, choć może to być dopiero za kilka tygodni. A nawet miesięcy...

– Ale nasze domy, gospodarstwa...

– Jeżeli zostaniecie, już po was. – Jego głos był zimny i ostry jak ostrze siekiery wyrąbujące w lodzie przeręb. – Wasze córki zostaną zgwałcone, synowie okaleczeni, domy puszczzone z dymem, zwierzęta odebrane. To nie jakaś czcza gadanina. Widziałem na własne oczy, do czego jest zdolny Izgard i jego armia. Widziałem, jak rozprawił się z miastem Thorn. Żaden mężczyzna, kobieta czy dziecko nie uszło cało z rzezi. A teraz jego ludzie są zdesperowani i wściekli. Odnieśli zwycięstwo w bitwie, ale gdzie łupy? Potrzebują jedzenia, picia, kobiet i zapasów i nie będą się dwa razy zastanawiać, żeby po nie sięgnąć.

– Ale jeśli uciekniemy, Izgard i tak podłoży ogień pod nasze chaty i podpali zbiory.

Drugi mężczyzna kiwnął zgodnie głową.

– Nie będziemy mieli do czego wracać.

Camron przyjrzał się dwóm starcom, którzy przed chwilą zabrali głos. Przyjrzał się wszystkim wieśniakom zebranym na zaoranym polu. Poranne promienie słońca oświetlały ich twarze, podkreślając zmarszczki, spieczoną skórę i spękane wargi. Ci ludzie uprawiali tę ziemię, to było ich życie. Nie zamierzał ich okłamywać.

– Tak – odparł. – Izgard może rozkazać spalić całą wioskę, mówię to bez ogródek. Teraz musicie tylko wybierać między waszymi domami a życiem. Co bardziej cenicie? Trzy dni temu widziałem dziesięć tysięcy trupów leżących w dolinie na północ od Krętej Rzeki. Prawdopodobnie ciała leżą tam nadal. Suzeren ze względu na niedobór ludzi i brak czasu musi je zostawić, żeby zgniły. – Spojrzenie jego wędrowało po twarzach. – Czy chcecie, by spotkał was ten sam los? Czy chcecie, by ten sam los spotkał wasze dzieci?

Jeden po drugim wieśniacy spuszczaali wzrok. Camron nie wiedział, co można znaleźć w jego oczach, lecz miał świadomość, że mówi urywanym głosem. Trzy dni ciężkiej jazdy, odwiedzanie kolejnych wiosek, a czasem nawet poszczególnych gospodarstw odbiło się na nim niekorzystnie. Cóż innego mógł jednak zrobić? Czy miał wybór? Wyprzedzał Izgarda zaledwie o pół dnia drogi. Należało ostrzec wszystkie wioski i miasteczka, które leżały na trasie jego pochodu do Bay'Zell. Napatrzył się już dość na trupy. Nie chciał ich więcej oglądać.

Wieśniacy kręcili się w miejscu. Niektórzy potrząsali głowami. Niejeden spoglądał przez ramię na widnokrąg, czy aby nie widać nadjeżdżającego wojska.

Pierwsza przemówiła dobrze ubrana kobieta, wpierw jednak puściła rąbek sukni i spojrzała w twarze swych towarzyszy.

– Jestem już babcią. Mam czterech wnuków, a piąty jest w drodze. Kocham swoją ziemię i dobrze się nią opiekuję, ale już od dwudziestu lat nie myślę przy tym o sobie. Za każdym razem, gdy zaprzęgam wołu do pług, robię to dla moich synów i córek, żeby mieli coś wartościowego, kiedy mnie już nie będzie. Choć nie należę do potulnych owieczek, nie jestem też głupia i wolę raczej, żeby Izgard wyłapał moje świnie i kurczęta, niż miałabym orać pole jedynie dla siebie.

Zaległa cisza. Nikt się nie ruszał. Kobieta stała prosto jak świeca, z wysuniętym dumnie podbródkiem. Zawiał wietrzyk, podnosząc kołnierze i burząc włosy. Kiedy ucichł, wszyscy odezwali się naraz.

– Poślijcie po Wellsa. Ma najszybszego konia we wsi. Może przestrzec odległe gospodarstwa.

– Trzeba uspokoić dzieci.

– Powiedzmy im, że ruszamy na wycieczkę.

– Nie, muszą poznać prawdę.

– Ethee, każ Amisowi zaprzęgać wóz.

– Spotkajmy się tu wszyscy za godzinę.

– Może lepiej za czterdzieści minut?

Patrząc, jak wieśniacy przystępują do działania, Camron wziął głęboki oddech. Sprawdził, czy nikt na niego nie patrzy, po czym podszedł do konia i oparł się o bok zwierzęcia. Był wycieńczony.

Każde miejsce, które odwiedzał, różniło się od poprzednich. Każda grupa ludzi, którą przekonywał, reagowała w inny sposób. Niektórzy lżyli na niego, wyzywali od kłamców i oszustów, tudzież wprowadzonych w błąd głupców. Inni nie czekali nawet końca opowieści: pakowali dobytek na wozy i odjeżdżali. W ciągu trzech dni przestrzegł blisko tuzin miast i wiosek, ale ciągle jeszcze nie wiedział, czego się spodziewać. Wiedział tylko, co należało zrobić.

Noc po bitwie była ciężka. Nie pamiętał, jak udało im się z Paxem oderwać od pobojuwiska. Wrócili po własnych śladach na stok i następną godzinę spędzili na szukaniu Broca z Lomis. Znaleźli go wreszcie: leżał w skalnym zagłębieniu na zachodnim zboczu wzgórza. Był równie zimny jak głaz, na którym spoczywał. Brakowało mu części twarzy, głębokie cięcie rozerwało tchawicę. Krew z rany zafarbowwała koszulę, którą rycerz założył, by zrobić przyjemność siostrze. Jaskrawożółty kolor przeszedł w czerń.

Camron dzwignął ciało i poniósł je do obozu. Wiele razy podczas tej wędrówki Pax ofiarowywał swą pomoc. On go jednak nie słuchał. Niczego nie pamiętał – rodziny ani domu swego dzieciństwa. Pozostało mu jedynie ciało Broca.

Kiedy ułożył je na brzegu rzeki, suzeren wysłał po niego ludzi. Chciał, żeby Camron towarzyszył mu w podróży najpierw na zachód, a później na północ, pomagając mu zebrać nową armię na bitwę w Bay'Zell. Odmówił, co nie spodobało się Sandorowi. Suzeren wydałby rozkaz, ale zbyt długo zwlekał. Camron wyjechał z obozu, zabierając z sobą około dwudziestu ludzi – pozostałość po jego oddziale. Dołączył do niego Pax. Młody gwardzista widział przecież ciała w dolinie. Widział też, czego brakowało w twarzy Broca z Lomis. On też pragnął opuścić to miejsce.

Początkowo, gdy wśród ciemności wyruszyli na północ, nie przyświecał im żaden cel. Camron miał poczucie straty. Zbyt był wyczerpany, by myśleć o czymkolwiek innym. Mijały godziny. Minęła w końcu noc. Oświecie niewielki oddział wyjechał na równą, zrytą świeżymi koleinami wozów drogę i jadąc nią, dotarł do miasta.

Ludzie byli zmęczeni i do tego stopnia przygnębieni, że pozwalali krwi cieknąć z otwartych podczas konnej jazdy ran i spierali się zajadle o ostatnie krople beriaku. Potrzebowali jedzenia, odpoczynku i powodu do życia.

Kiedy zatrzymali się przy pierwszej oberży w mieście, z wnętrza wyszedł chłopiec, żeby napoić ich konie. Jeszcze młodsza dziewczynka następowała mu na pięty, naśladując jego ruchy i wybuchając piskliwym chichotem, kiedy odwracał się, by ją przegonić. Sądząc z karnacji i ubrania, byli rodzeństwem, zaprzątniętym figlami, które zwykle płatają sobie bracia i siostry. Camron uśmiechnął się na widok tych szczęśliwych, rozbawionych dzieci.

To właśnie wtedy uderzyła go pewna myśl. Izgard wnet da znak do wymarszu. Skieruje się tutaj, do tego uśpionego miasteczka Merin. Jego armia potrzebowała prowiantu, ziarna, alkoholu, zwierząt. Żołnierze, rozochoceni zwycięstwem, będą szukać ofiar, by je gnębić i torturować. Poszukają też kobiet. Izgard z pewnością obiecał im sporo kobiet.

Chłód przeniknął Camrona. Koń wyczuł nagłą zmianę w zachowaniu swego pana, gdyż parsknął nerwowo i potrząsnął grzywą. Uspokoił się jednak, pogłaskany po szyi. Gdyby nie pochyłe, miedziane okapy nad drzwiami i nieliczne brukowane ulice, Merin mógłby uchodzić za Thorn.

Zerknął na wesołe rodzeństwo. Chłopiec powtórnie napełnił wiadro przy studni i pozwolił, żeby dziewczynka pomogła mu dźwigać je do koni. Śmiali się, przepychali i rozlewali wodę. Rozbolały go oczy na ten widok. Wzrok zamglął się.

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin oglądał rzeczy tak straszne, widoki na tyle odrażające, że wypaczyły w nim normalne postrzeganie świata i obdarły go z uczuć, pozostawiając jedynie jakiś odruchowy, pozbawiony emocji gniew. Teraz, gdy ujrzał coś dobrego, prostego i normalnego, poczuł, że wychodzi z mroku na światło dzienne. Został oślepiiony. Po raz ostatni ziemia usunęła mu się spod nóg. Tu nie chodziło już tylko o żołnierzy. Sprawa dotyczyła również zwykłych ludzi i ich rodzin.

Zawrócił konia i wydał rozkazy. W ciągu godziny miasto powinno zostać ewakuowane. Armia Izgarda miała się tu zjawić mniej więcej w południe. Z każdym wykrzyknięciem



poleceniem jego głos nabierał siły. Oddychał głęboko; po raz pierwszy od czasu bitwy skupił uwagę na tym, co może zrobić w chwili obecnej, a przestał się zamartwiać rzeczami, które zaniedbał w przeszłości.

W Merin brak doświadczenia nie pozwolił im ustrzec się od kilku błędów. Wywołali panikę, zamieszanie i gniew. Dwudziestu okrwawionych i zmęczonych bitwą żołdaków wtargnęło do miasta jak burza, rozkazując opuszczać domy i pozostawiać mienie: to musiało się spotkać z otwartą wrogością mieszkańców. Uplłynęło dużo czasu, zanim dali się przekonać. Niektórzy postanowili zostać, lecz większość ostatecznie zdecydowała się wyjechać. Rozcięcia i ślady pazurów na nogach i tułowiach przekonywały skuteczniej niż puste słowa.

Kiedy Izgard wraz ze swym wojskiem zjawił się kilka godzin później, powitało go miasto duchów.

Od tamtej chwili Camron i jego ludzie poruszali się niezmiennie na północ. Trzymając się bądź to podnóży wzgórz, bądź brzegów Krętej Rzeki, a później Weize, wyprzedzając główne siły Izgarda to o pół dnia drogi, to znów o dzień, odwiedzali kolejne miasta i wioski, ostrzegając o pochodzie wroga. Podzielili się na grupki i rozproszyli, aby dotrzeć do jak największej liczby osad i domostw. W ciągu czterech dni mieli się spotkać w Bay'Zell.

Camron pogładził koński bok. Cieszył się ciepłem bijącym od skóry wierzchowca. Większość mieszkańców Shale opuściła zaorane pole i tylko kilku pozostało, aby przedyskutować ostatecznie poprawki w planie ucieczki. Wśród nich była kobieta w błękitnej sukni. Napotkawszy, wzrok Camrona, podziękowała mu i odeszła.

Skierował pożegnalne pozdrowienie w kierunku rzucanego przez nią cienia i wyprowadził konia z zaoranego pola. To, co robił wraz ze swymi ludźmi, okaże się jedynie doraźnym rozwiązaniem problemu, jeśli nikt nie powstrzyma w Bay'Zell armii Izgarda. Wskoczył na siodło i ruszył dalej na północ. Musiał wymyślić jakiś sposób.

– Izgard wygrał pierwszą bitwę. Wyciął w pień dziesięć tysięcy Raizyczyków gdzieś na zachód od Krętej Rzeki. – Ravis przemierzał izbę tam i z powrotem. Skórzany płaszcz skrzypiał lekko. – Dotrze do Bay'Zell w czasie krótszym niż tydzień. – Kropelki wody błyszczały mu we włosach i na ramionach. Buty pozostawiały mokre plamy na turkusowym chodniku, rozłożonym przed paleniskiem. Na dworze padał deszcz.

– Musimy wrócić do Bay'Zell, prawda? – Chociaż Tessa obudziła się już jakiś czas temu, nie miała pojęcia, jaka jest na zewnątrz pogoda. Nie lubiła pomieszczeń pozbawionych okien. – Powinniśmy jeszcze dzisiaj wyjechać.

Potrząsnął głową.

– Nie, poczekamy, aż nabierzesz sił.

– Niestety, tak być nie może.

Pewna nuta w jej głosie kazała mu się zatrzymać wpół kroku.

– Co masz na myśli?

Zaczerpnęła powietrza, aby udzielić odpowiedzi w miarę spokojnym tonem.

– Tamtej nocy, kiedy podłożono ogień pod jaskinię, tuż przed zaśnięciem Avaccus coś mi powiedział. To było ostrzeżenie.

– Jakie?

– Powiedział, że za dziesięć dni wybije pięćsetna rocznica pobytu Kolczastego Wieńca na ziemi.

Ravis przejechał zębem po szramie. Na dłuższą chwilę zamknął oczy.

– A więc Izgard wszystko sobie zaplanował. On wierzy w stare przesady. Poczekał na piąty dzień piątego miesiąca, żeby wstąpić na tron. A jaki rok wybrał? Pięćdziesiąty od śmierci ostatniego króla.– Ravis znów zaczął chodzić po pokoju. – Izgard zdobędzie Bay’Zell w pięćsetną rocznicę znalezienia Kolczastego Wieńca. A to oznacza, że zostało nam sześć dni.

Tessie nie spodobał się bojaźliwy ton jego wypowiedzi.

– Uważasz więc, że opowiadanie Avaccusa zawiera ziarnko prawdy?

– Izgard uwierzyłby w nie bez zastrzeżeń.

Zgrzytając zębami, usiadła i opuściła nogi na podłogę. Wszelkie odmiany bólu ruszyły na nią szturmem, ale ona broniła się dzielnie z zaciśniętymi pięściami.

– Chodźmy stąd.

Wstrzymał krok.

– Nigdzie nie pójdziesz.

Uśmiechnęła się.

– Jeszcze mnie nie znasz, Ravisie z Burano. Gdyby było inaczej, wiedziałbyś, że specjalizuję się w ucieczkach. Możesz mi pomóc, możesz mnie zlekceważyć, ale ostrzegam, nie uda ci się mnie powstrzymać.

Ravis otworzył usta. Popatrzył na nią jak na chrabąszcza, który – dotąd uważany za zwykłego pełzacza – rozwija nagle skrzydła i unosi się w powietrze.

Uśmiech Tessy zarysował się jeszcze wyraźniej. W końcu zdołała go czymś zaskoczyć.

– Na razie przykryję się twoim nowym płaszczem. Dalsze zakupy poczynimy po dotarciu do Kilgrimu. Masz jeszcze ten adres Moldercaya? Przed odjazdem powinniśmy złożyć mu wizytę.

– Musisz obiecać mi ostrożność.

Skinęła głową.

– Będę ostrożna.

Ujął jej ramię i pomógł wstać. Gdy się wyprostowała, zaboląły ją mięśnie nóg. Oczy zaszyły łzami. Ravis stanął za nią tak, aby się mogła o niego oprzeć. Wstydziła się z powodu brawury, jaką okazała kilka sekund wcześniej. Miała nadzieję, że słabość szybko minie.

Nie minęła tak do końca, lecz udało jej się jakoś pozbierać, uczesać włosy, spryskać twarz wodą i zawiązać rzemyki Ravisowego płaszcza. Sam Ravis czuwał nad nią nieustannie,

pomagał w potrzebie, dając jej czas na spokojne doprowadzenie się do porządku. Zejście ze schodów nie przyszło jej łatwo. Musiała uważać na każdym stopniu. Najbardziej gnębiła ją trudność złapania oddechu, choć mocno bolały też plecy. Nie znosiła czuć się taka osłabiona.

Dom Moldercaya usytuowany był przy tej samej promenadzie, co gospoda, ale daleko na obrzeżach miasta. Ravis prowadził konia, na którym jechała Tessa. Bruk skrzył się, zwilżany padającym kapuśniaczkiem, a wełniany płaszcz czuć było nieprzyjemnie.

Mętne popołudniowe światło nie przydawało Bellhaven uroku. Dwupiętrowe budynki tłoczyły się wzdłuż ulic; sól i ptasie odchody plamiły fasady z szarego kamienia, strugi wody spływały z dachów pozbawionych rynien. W rowach piętrzyły się puste beczki po piwie i skórzane bukłaki po winie. Nieliczni przechodnie, których minęli, chowali pod płaszczami baryłkowate przedmioty i zdawali się dokądś spieszyć. Interesy szły kiepsko. Większość witryn sklepowych pozamykano, a pozostałe sprawiały wrażenie, jakby i one miały zostać lada chwila zatrzaśnięte. Nie paliła się ani jedna świeczka, żeby oświetlić wystawione towary.

Nosy zaprowadziły ich pod szukany adres, zanim jeszcze oczy odczytały numer domu. Wzdłuż ulicy, wraz z poszarpanym pióropuszem dymu, niósł się dziwny, niemal znajomy zapach pleśni, soli mineralnych i butwiejących odpadków. Dwupiętrowe budynki stopniowo ustąpiły miejsca pustym podwórkom, ogrodzonym posiadłościom i przysadzistym konstrukcjom bez okien, które mogły być warsztatami, spichlerzami bądź stajniami.

Ostatni piętrowy budynek na ulicy był miłszy dla oka w porównaniu ze swymi sąsiadami. Poza nim nie napotkali ani jednego pobielonego domu. Także okiennice i framugi okien pomalowano na białą, a dach pokrywały szarobiałe płachty ołowianej blachy. Nad zachodnią ścianą wyrzusał się gruby komin. Spory kawałek ziemi po wschodniej stronie budynku niedawno zaorano, a w regularnych odstępach powtykano białe paliki, tak że wszystko przypominało przerośnięty rozsadnik.

– Nie powiedziałaś mi, że Moldercay jest właścicielem kostnicy. – Ravis dotknął dłonią jej policzka. Wyczuł chyba coś, co mu się nie spodobało, gdyż zaraz wyciągnął z torby małe zawiniątko. – Połknij to.

Zastosowała się do polecenia. Zawiniątko okazało się jakąś półprzezroczystą substancją, owiniętą w papier po cukrze. Słodycz nie zagłuszyła ziołowego posmaku żywokostu i macierzanki.

– Pani Wicks nazwała Moldercaya zbieraczem kości.

Ravis zastukał w drzwi.

– To jedno i to samo.

Upłynęła minuta. Pomógł Tessie zsiąść z konia i stali teraz razem, wpatrując się w starannie pomalowane, na białą drzwi. Po chwili odsunęła się zasuwka i para niezwykle jasnych szarych oczu zerknęła na nich poprzez ozdobny, zakratkowany wizjer.

– Wizyta czy zgon?

Spojrzała na Ravisa zdezorientowana. Nie miała pojęcia, co znaczy to pytanie.

– Ani jedno, ani drugie. Przyjechaliśmy zobaczyć się z Moldercayem. Ta dama jest znajomą jego szwagierki, pani Wicks.

Człowiek z jasnoszarymi oczami namyślał się przez moment, po czym kiwnął głową, jeszcze trochę podumał, by w końcu odsunąć zasuwę i wpuścić ich do środka.

Tessa znalazła się w malutkiej, dobrze oświetlonej sieni. Świece płonęły w osadzonych na wysokości pasa ściennych oprawkach, przez co cienie kładły się w równej mierze do góry, jak i na dół. Zapach, który powitał ich na ulicy, znacznie się nasilił. Powietrze było tu chłodne i wilgotne, na ścianach osiadła wilgoć. Zauważywszy spojrzenie Tessy, mężczyzna wyjaśnił:

– Dziś jest dzień gotowania, panienko.

– Dzień gotowania?

Mężczyzna ubrany w niebieską tunikę i biały fartuch, skinął głową.

– Tak, panienko. Wykopujemy i oczyścimy kości tylko raz w tygodniu.

– Crust! – doleciało wołanie gdzieś z głębi budynku. – Kto tam się dobija o tej porze?

– Pewni ludzie chcą się z tobą zobaczyć, Moldercay. – Crust obrzucił Tessę dość uroczystym spojrzeniem. – Znajomi pani Wicks.

– Niech wejdą, niech wejdą! Nie mogę zostawiać kości i chodzić na pogawędki.

Tessa i Ravis wymienili spojrzenia. Crust wytarł dłonie w fartuch i poprowadził ich w kierunku, skąd dobiegał głos. Budynek okazał się istnym labiryntem pobielonych korytarzyków. Miejsca, gdzie stykały się ściany, zalepiono gipsem, ścinając w ten sposób kąty i nadając pomieszczeniom wygląd jaskini.

Crust zaprowadził ich do wielkiej, wyłożonej kafelkami kuchni. Stał tam, odwrócony do nich tyłem, mężczyzna, zaglądający do kotła wielkości sporej balii, stojącego na metalowej kratce nad ogniem. Ledwie Tessa weszła do środka, oczy zapiekły ją i zaszyły łzami. Ravis podszedł bez słowa do bocznych drzwi i otworzył je, wypuszczając wyziewy z gara i wpuszczając świeże powietrze.

Moldercay odwrócił się natychmiast.

– Co to ma znaczyć?! Co to ma znaczyć?! Ejże, Crust, pozwoliłeś tym ludziom otwierać drzwi?

– Nie – odezwał się Ravis. – Nie pozwolił. Jak sięgam pamięcią, zawsze czułem wstręt do gryzących oparów. Przy nich wpadam w szewską furję, a jestem pewny, że nie chciałby pan doprowadzać mnie do takiego stanu.

– Nie, proszę pana. Dziękuję za szczerą wypowiedź.

Crust, pootwieraj okiennice i postaw obok drzwi jakieś krzesła!

Ravis odprowadził Tessę pod ścianę. Podtrzymawał ją, dopóki nie przyniesiono krzesła. Świeże powietrze dobrze jej robiło.

Moldercay powrócił do mieszkania w kotle. Był niskim, chudym mężczyzną, kościstym i łysym jak kolano. Zarówno on, jak i jego asystent mieli takie same opadające ramiona i zgarbione plecy.

– Nie macie nic przeciwko temu, żebym zajął się swoją pracą, prawda? Ten ostatni wywar zaraz zejdzie z rusztu. Będą czystsze od wykałaczek, zanim się obejrzycie. Gdy się dogotują, przemyję je kapką wódeczki i niech się suszą. Crust, poczęstuj no damę i zacnego jegomościa jakimiś przekąskami. Zaparz herbatkę z szałwi, dodaj odrobinę miodu i nalewki z tarniny. Podaj też jakieś ciasteczka. Najlepiej porzeczkowe. – Moldercay odwrócił się do Tessy. – Chyba że miła pani ma ochotę na kandyzowaną skórkę z pomarańczy?

Potrząsnęła przecząco głową. Jedzenie było ostatnią rzeczą, o której teraz myślała.

– Mogą być porzeczki.

– Cudownie! Crust, podpiecz je na piecyku, zgoda? – Moldercay zaczął mieszać w kotle ze zdwojoną energią. Wrząca woda bulgotała i pieniała się, wydzielając obłoki pary, które unosiły się prosto do komina.

– Gotuje pan ciała ludzi? – Tessa nie umiała poskromić ciekawości. Musiała dowiedzieć się, co znajduje się w kotle.

Moldercay położył wolną rękę na piersi.

– Wielkie nieba, panienko, nie. Gotuję kości, a nie ciała. Chyba że są heretykami albo mordercami, oczywiście. – Zerknąwszy przez ramię, dostrzegł zdziwione spojrzenie Tessy. – Nie wiem, jak tam u was, panienko, ale w Maribane żaden zabójca czy awanturnik nie może liczyć na to, że ktoś wyciągnie jego kości z ziemi, kiedy już zostaną w niej złożone. Tak po prostu nie uchodzi.

– Racja, nie uchodzi – zawtórował głos w kuchni.

– Wyciągacie kości z ziemi? – Zauważyła ostrzegawcze spojrzenie Ravisa, które mówiło, że nie powinna pytać o tak oczywiste sprawy.

– Moja towarzyszka wychowała się w klasztorze – rzekł Ravis protekcjonalnym tonem. – Niewiele wie o szerokim świecie i jego zwyczajach.

Moldercay skinął głową ze zrozumieniem.

– Zaiste! No cóż, panienko, Crust i ja przywozimy ciała zmarłych...

– Wozem – wtrącił Crust.

– Tak, wozem, po czym je kąpię i przygotowuję, a na koniec grzebię szczątki w naszym ogrodzie spokoju.

– W grobie z wapnem – dodał Crust. – Żeby gnili szybciej.

Opanowała drżenie. Poletko po wschodniej stronie domu było zapewne miejscem pochówku.

– Nigdy, rzecz jasna, nie posypujemy wapnem świątobliwych mężów – powiedział Moldercay. – Sługom Bożym przysługuje przywilej przebywania w ziemi, dopóki sama natura nie dokona dzieła. Jeśli chowamy je zimą to leżą do pół roku. A jeśli ciało wcześniej umieścić w wapnie, trwa to zwykle miesiąc. Crust ich wyciąga, a wtedy zostają oczyszczeni i wybieleni w moim kotle. Dla przeciętnych ludzi stosuję ług. Dla Sług Bożych mam popiół i jagnięcy mocz.

Pokiwała głową. O podobnych rzeczach opowiadał jej trochę Emith, który stosował ług do oddzielania mięsa od skóry.

– Co się robi z gotowymi kośćmi – spytała. – Oddaje się rodzinom?

– Bywa i tak, moja miła. Ale zwykle zatrzymujemy je u siebie.

– To się nam najbardziej podoba – dorzucił Crust.

– Składamy je w katakumbach, które ciągną się pod domem, drogą i w całej okolicy. Crust wszystko notuje: gdzie czyje kości leżą, kiedy je złożono i tak dalej. Moja pamięć to już nie to co kiedyś. Dzisiaj wiadomość jeszcze dobrze nie wpadnie mi lewym uchem do głowy, a już prawym wypada. – Kiedy uporał się wreszcie ze swym kotłem, przywołał Crusta i razem ściągnęli gar z ognia i umieścili go na kafelkach posadzki. Woda była mętna i galaretowata. Tessa cieszyła się, że nie może zobaczyć, co pływa pod powierzchnią.

– A jak z twoimi dawnymi wspomnieniami, Moldercay? – zapytał Ravis. – Pamiętasz coś jeszcze z pobytu na Wyspie Namaszczonych?

– Odciągnij go na bok i spuść wodę. Crust – zarządził Moldercay, klepiąc brzeg gara. – Później je opłuczę. – Począł, aż Crust odciągnie kocioł i dopiero wtedy odpowiedział Ravisowi. Czyścił przy tym ręce mokrą szczoteczką. – Zrozumcie, wołę nie rozwodzić się przy Cruście na temat Wyspy Namaszczonych. To by go przygnębiło. Urodził się i wychował w Bellhaven, a każdy jego mieszkaniec dorasta w przeświadczeniu, że jeśli świątobliwi ojcowie zatopią w człowieku swoje szpony, nie dają sobie wydrzeć zdobyczy. Crust przypuszcza, że pewnego dnia – wierzgając nogami i krzycząc wniebogłosy – zostanie przeciągnięty przez groblę, wtrącony do głębokiego lochu lub zamknięty w wysokiej wieży i słuch o mnie zaginie.

– Brata Avaccusa trzymali w jaskini – powiedziała Tessa. – W ciemnościach, w samotności, przez dwadzieścia jeden lat.

Moldercay skinął głową.

– Tak, to prawda. Ojcowie się go bali. Zbyt biegle władał pędzlem i atramentem. A jakie rzeczy malował! Mówię wam, były piękne. Ale niewygodne. Bardzo niewygodne. Ponoć Avaccus mógł się z nich wiele nauczyć. Musi być teraz wielkim mędrcom.

Tessa poczuła ucisk w gardle. Moldercay nie wiedział, że Avaccus nie żyje. Zamknęła oczy. Dlaczego nie zdołała go uratować? Dlaczego szybciej się nie ruszała? Nie wykrzesła więcej sił? Coś dotknęło jej ręki. Otworzyła oczy i spojrzała w dół. Zobaczyła dłoń Ravisa. Choć dobrze się z tym krył, zawsze miał ją na oku.

– Byłeś niegdyś skrybą, Moldercay, prawda? – zapytał. – Prowadziłeś archiwum?

Gdy zapytany skończył wycierać ręce, podszedł do kuchni i wziął tackę z parującymi miskami i talerzami gorących ciastek.

– Nigdy nie byłem takim iluminatorem manuskryptów, jak Avaccus. O nic, ja tylko kopiowałem. Zostałem wybrany ze względu na ładny charakter pisma i szybką rękę. – Przysunął obok Tessy jeszcze jedno krzesło i położył na nim tacę. – Obarczono mnie

obowiązkiem przepisywania starych zwojów na nowy papier welinowy. Od wieków przechowywano je poniżej poziomu morza, przez co uległy zniszczeniu. Rozsypywały się w rękach. Aż żal było patrzeć na całą tę wiedzę porośniętą pleśnią, przeżartą przez słone powietrze, poznaczoną wilgotnymi plamami.

Kiedy Moldercay mówił, Ravis podał Tessie kubek herbaty z szałwi i talerzyk z ciastkami. Nie chciało jej się jeść ani pić, lecz tostowy, maślany aromat ciasteczek przełamał jej opory i już po chwili przeżuwała i piła. W herbacie dało się wyczuć słodki posmak miodu oraz gorzki – tarninowej nalewki; po którymś z kolei łyku poczuła mrowienie w palcach nóg. Mimo że siedziała w kostnicy, w dodatku popijając herbatkę, już wkrótce przestała czuć się nieswojo. Moldercay podjął wątek:

– Świątobliwi ojcowie kazali mi pracować w piwnicach. Nie chcieli ryzykować i wynosić rękopisów na górę, do skryptorium – kruchy pergamin zdawał się rozpadać pod wpływem światła. Muszę przyznać, że w owym czasie podobało mi się moje zajęcie. Byłem sam większość dnia, a i w nocy rzadko kto mnie odwiedzał. Nikt nie patrzył mi wtedy na ręce, z wyjątkiem naszego dobrego Pana. Brat Peltifar miał schodzić na dół co rano i siedzieć przy mnie, ale ze względu na opuchnięte kolano i upodobanie do owsianych, maczanych w likierze ciastek, pojawiał się na schodach nie częściej niż raz na tydzień. – Moldercay uśmiechnął się figlarnie. – Co to były za czasy!

Niestety, koniec był żałosny. Świątobliwi ojcowie zebrali moje świeżo skopiowane manuskrypty, zapakowali je do otwartych skrzyń i kazali wszystko umieścić wysoko w zachodniej wieży. Rok później przysłali brata Bodderinga, aby zebrał luźne karty w kodeksy. Boddering zszywał księgi od trzydziestu lat i nikt nie posługiwał się zręczniejszym od niego płótnikiem i ściąganiem łańcuszkowym, ale gdy przyszło mu wypatrywać przeszkód na drodze, był ślepy jak nietoperz. Potknął się biedaczysko na nierównej desce, ledwie wszedł do komnaty. Świeca poleciała w jedną stronę, on sam w drugą i nim się wyprostował, z pierwszej ze skrzyń buchnął ogień. – Moldercay potrząsnął głową ze smutkiem. – Wszystko poszło z dymem.

– Co z oryginałami? – spytał Ravis. – Zostały chyba w piwnicy?

– Zniszczone. Nie zapakowałem ich nigdy do skrzyń. W czasie jednej zimy wilgoć strawiła je do szczętu. Trzy lata kopiowania poszły na marne.

Tessa odstawiła miseczkę.

– Kopiował pan może manuskrypt sporządzony przez asystenta brata Ilfaylena?

Moldercay zamyślił się. Głaskał się po twarzy, wykrzywił usta, kierował podbródek to w lewo, to w prawo.

– Trudno powiedzieć, droga pani.

– Musiał być bardzo stary. Mógł zawierać wzmianki o pewnych iluminacjach.

Moldercay miał skruszoną minę. Tessa wstała z krzesła.

– Zastanówmy się – zwróciła się zarówno do Moldercaya, jak i do siebie. – Musiał wspominać coś o podróży, najpierw morzem, później lądem. Pojawiła się w nim chyba nazwa Weizach...– wyęczała umysł – jak też Raize i Bay’Zell.

Podbródek Moldercaya uniósł się do góry.

– Bay’Zell, powiadasz?

– Tak, Ilfaylen wraz ze swym asystentem podróżowali do Weizach. W drodze powrotnej zatrzymali się w Bay’Zell.

– Teraz, gdy o tym pomyślę, wydaje mi się, że coś podobnego czytałem. Ale skryba nigdy nie wymienił Ilfaylena z imienia. Pisał tylko “mój mistrz” albo “mój brat w Bogu”. – Moldercay okręzał kuchnię i kiwał głową. – Niektóre stronicie były bardzo zniszczone, a kolofon nieczytelny...

– Kolofon?

– Strona z notką informacyjną, na której skrybowie zapisują datę powstania i szczegóły dotyczące manuskryptu, podają tytuł i tak dalej. Kolofon był zagubiony, więc i ja byłem zagubiony. Musiałem ograniczyć się do kopiowania po omacku, nie miałem pojęcia, o czym właściwie piszę.

Czując coraz bardziej doskwierający ból w piersi, usiadła. Wołała nie ryzykować atakiem podobnym do ostatniego. Nie teraz.

– Zatem pamięta pan, że w rękopisie wspomniano o mieście Bay’Zell?

Moldercay odetchnął głęboko i uśmiechnął się. Jego małe, kościste ciało uległo na moment transformacji i pomyślała, że tak mógł wyglądać w młodości.

– O, tak. Bay’Zell. Franny uwielbiała, kiedy opowiadałem jej opowieści o dalekich krajach. Pytała zawsze o szczegóły: co ludzie tam jedzą, jak żyją, jakie ubrania noszą i tym podobne. Mówiła, że jej myśli nie muszą wcale naśladować ciała i tkwić w jednym miejscu.

– To Franny była tą kobietą, dla której opuścił pan bractwo? – zapytał Ravis bez owijania w bawełnę.

– Tak. Zalecałem się do niej po cichu w ciągu tych wszystkich lat, jakie spędziłem na kopiowaniu. Wiedziałem, jak bardzo kocha służyć wieści z szerokiego świata, więc wyszukiwałem rękopisy zawierające opisy odległych miast i zwyczajów, a kiedy byliśmy sami, raczyłem ją całym mnóstwem szczegółów. – Moldercay uśmiechnął się, tym razem do siebie. – Niektóre kobiety lubią być kokietowane złotymi kielichami i kwiatami. Nie moja Franny. Ona wołała słowa.

– Czy w tym rękopisie padło słowo „Weizach”? – Tessa zaczynała się denerwować. Dłoń Ravisa spoczęła na jej ramieniu w geście przestrogi. Nie powinna unosić się gniewem.

– Tego nie jestem pewien – odrzekł Moldercay. – Część manuskryptu uległa zniszczeniu. Zachowały się przede wszystkim szczegóły o Bay’Zell. Mistrz zachorował, o ile mnie pamięć nie zawodzi, wobec czego nie mogli przeprawić się do Maribane. Podczas gdy mistrz odzyskiwał siły, pomocnik włóczył się po mieście, sporządzał zapiski na temat miejscowych



zwyczajów, rozmawiał z mieszkańcami. Franny spodobało się to sprawozdanie, gdyż jego autor wnikliwym okiem śledził kobiety. Zachowanie ich ochrzcił oczywiście mianem skandalicznego, lecz wcześniej nie zapomniał nadmienić, jak nisko przycinały sukienki...

– Czy to nie wydaje się panu dziwne – zapytał Ravis, podniósłszy rękę, aby uciszyć Moldercaya – że skryba wałęsał się całymi dniami po mieście, choć jego mistrz leżał chory? Przecież powinien przede wszystkim opiekować się swoim panem.

Moldercay potrząsnął głową.

– Sądzę, że mistrz sam namawiał swego pomocnika, żeby go zostawił. Być może należał do tych ludzi, którzy wolą chorować w samotności?

Ravis cmoknął cicho językiem.

– Być może.

– A co z pracą Ilfaylena w Weizach? – zapytała Tessa, aby przerwać ciszę, jaka nastąpiła po słowach Ravisa. – Przypomina pan sobie jakąkolwiek wzmiankę o iluminacji?

Moldercay zassał dolną wargę. Gotowanie gości wybieliło mu ręce i wyglądał przez to, jakby nosił białe rękawiczki.

– Zdaje się, że skryba wspominał coś o jakimś wzorze. Ponoć jego mistrz pracował ciężko dniami i nocami. Każdego dnia zużywał sześć kościanych rysików.

– Rysików. To znaczy, że stosował woskowe tabliczki. Najpierw wykonywał przymiarki, a dopiero później przechodził do właściwej iluminacji. – Tessa czuła się, jakby ścisnęła Moldercaya za gardło, aby wydusić z niego resztki informacji. – A co z samym pergaminem? Przypomina pan coś sobie? Wymiary, kolor, cokolwiek. Niech pan pomyśli.

Moldercay zauważył zmianę, jaka nastąpiła w jej głosie i rzucił Ravisowi nerwowe spojrzenie. Ten tylko wzruszył ramionami.

– Ach, te kobiety z klasztoru.

Moldercay zadowolił się tym wyjaśnieniem i poważnie skinął głową.

– Zaiste. – Podeszedł do drzwi i zerknął w cień. – Crust, niech te kości nie wysychają do końca, muszę je jeszcze przetrzeć. Zaraz tam do ciebie przyjdę.

Myśląc, że posunęła się za daleko, Tessa zamierzała przeprosić, lecz akurat w tym momencie Moldercay wykręcił się na pięcie.

– Chyba jednak było tam coś o jakiejś iluminacji – powiedział. – Teraz, gdy o tym pomyślę, wydaje mi się to nieco dziwne. Pamiętam taką jedną kartę pokrytą pleśnią. Mogłem odczytać tylko co piąte słowo, ale udało mi się zorientować, że tekst zawiera swego rodzaju ostrzeżenie. Coś jakby skryba był... – Moldercay pocierał brodę. – Jakże on się wyraził? Mam: "Związany przysięgą milczenia".

– Tak – wtrąciła Tessa, podekscytowana. – Avaccus mówił mi, że obaj, Ilfaylen i jego asystent, złożyli przed Hierakiem przysięgę, zobowiązując się nigdy nie rozmawiać o motywach zawartych we wzorze. Czy pamięta pan coś jeszcze?

Moldercay wzruszył ramionami.

– Nic więcej nie przychodzi mi do głowy. Była mowa o welinie, o jego przygotowaniu i wykończeniu.

Tessa pochyliła się na krzesło i zapytała:

– Może pan sobie przypomnieć, o czym dokładnie wspomniano?

– Zwyczajne rzeczy, o których wie każdy skryba. Jak pergamin był wybielany, szlifowany, malowany, pokryty laserunkiem i posypany proszkiem. Nic osobliwego.

– Tylko tyle?

– Chyba tak. – Moldercay zaczął zbierać miski i talerzyki.

– Resztę tekstu zjadła pleśń, a później nastąpiła wzmianka o chorobie mistrza. Skryba wierzył, że jego mistrz przeziębził się tego dnia, w którym zakończył swoją pracę, gdyż skarżył się wówczas, że mu zimno i prosił o szal na ramiona.

Tessa zamierzała zadać kolejne pytanie, ale Moldercay ją uprzedził:

– Proszę, droga pani. Nic więcej nie zauważyłem na temat iluminacji, jestem co do tego przekonany. Pojawił się wątek Bay'Zell, a potem podróży powrotnej do Maribane. A teraz bardzo bym prosił o wybaczenie. Muszę wykopać kości.

– Ale... – zaczęła.

– Daj spokój, Tesso – rzekł Ravis, przerywając jej w pół słowa. – Ten człowiek jest 7zajęty. – Wstał. – Dziękujemy za pomoc, panie Moldercay. Sami trafimy do wyjścia.

– O, nie. Co to, to nie. Nie pozwolę na to. Hejże, Crust, chodź tu i odprowadź miłych gości do wyjścia. – Ukłonił się Tessie. – Życzę dobrej nocy, droga pani. Siostra wyrażała się o pani nader pochlebnie. Powiedziała, że przypomina jej pani Nelly. Przykro mi, że nie mogłem więcej pomóc.

– Dziękuję – odparła Tessa. Zaczynała myśleć, że za bardzo przycisnęła zbieracza kości. Avaccus miał rację: w dzienniku nie było wzmianek o samej iluminacji. Nie było ich nigdzie. Oznaczało to, że nie miała punktu zaczepienia, a czas uciekał. – Przykro mi, że byłam taka... natarczywa. Nie wiem, co mnie napadło.

– Nic się nie stało, droga pani – odparł Moldercay.

– Po nas wszystkich kiedyś zostaną tylko kości. – W drzwiach pokazał się Crust. Jego biały fartuch był przemoczony, a ręce wybielone tak, jak u Moldercaya. – Proszę za mną.

Ravis i Tessa wyszli w ślad za nim z kuchni. Zanim jednak Ravis opuścił pomieszczenie, odwrócił się do gospodarza i zapytał:

– Nie pamięta pan przypadkiem, gdzie Ilfaylen zatrzymał się wraz ze swym skrybą w Bay'Zell?

Zapytany znieruchomiał w pół kroku, trzymając w ręku szmatkę i buteleczkę spirytusu.

– Zdaje się, że na zamku Bess. Król Hierac dopiero co go wtedy wybudował, tam też zatrzymali się na jego prośbę.

Tessa spojrzała zawistnie na Ravisa, zdenerwowana tym, że chociaż zadała tyle pytań, to on odkrył coś naprawdę wartościowego.

Ravis uśmiechnął się zwycięsko, udając, że nie dostrzega jej miny.

– Dziękuję, panie Moldercay. Bardzo nam pan pomógł.

Crust w milczeniu przeprowadził ich przez korytarze. Większość małych świeczek w sieni płonęła nikłym ogniem. Jedna czy dwie zgasły. Kiedy Crust otworzył drzwi, wiatr i mżawka uderzyły Tessę po twarzy. Na myśl o podróży do Kilgrimu poczuła ucisk w żołądku. Marzyła, by się wyspać. Czuła się wycieńczona.

– Wracajmy do gospody – rzucił Ravis, gdy Crust zamknął za nimi drzwi. – Nie zdołasz dziś nigdzie pojechać.

Niczego nie pragnęła bardziej niż powrotu do gospody, owinięcia się ciepłymi kocami i pogrążenia we śnie. Z wielkim trudem potrząsnęła głową.

– Nie, musimy wyruszyć od razu. Zostało nam pięć dni. Nawet szybki statek potrzebuje trzech, żeby dopłynąć do Bay’Zell.

Popatrzył na nią bez słowa. W jej oczach zamigotały ostatnie ogniki, które kosztowały ją resztkę sił. Spoczywała na niej odpowiedzialność. Nie miała wyjścia.

Po dłuższej chwili skinął głową.

– Bardzo dobrze. – Odwrócił się, aby odwiązać cugle konia. – No to w drogę. Camron będzie na nas czekał w Bay’Zell.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

– Dziewczyna wciąż żyje, panie. – Ederius spojrział w dół na swoje ręce. Palce środkowy i wskazujący lewej dłoni zostały zabandażowane nad kłykciami jedwabną przewiązką. Angeline nie wiedziała, czy po to, żeby nie wyskoczyły mu pęcherze, czy może dlatego, że już się tak stało. Wyglądał niezdrowo. Bardzo niezdrowo. Izgard jednak zdawał się niczego nie zauważać.

Z punktu widokowego w przyległym pomieszczeniu Angeline mogła oglądać większą część kwatery Izgarda. Właśnie miała wraz ze Śnieżkiem udać się na spoczynek, kiedy głos skryby przesączył się przez płótno namiotu. Przybył, aby zakomunikować Izgardowi jakąś wiadomość, a sądząc z tonu, była to zła wiadomość.

– Cóż jeszcze? – zapytał Izgard, odwracając się do Ederiusa plecami. – Nie przyszedłeś tu chyba tylko po to, żeby mi to powiedzieć?

Postąpiła krok w stronę skrzydła namiotu. Jej pomieszczenie spowijały ciemności, lecz u Izgarda było bardzo jasno. Dym z lamp przedostawał się przez szczelinę w płótnie i gryzł w oczy. Śnieżek przypadł do jej stóp z przygiętymi łapami i podwiniętym ogonem, szorując brzuchem po ziemi. Polował na coś, lecz nie miała pojęcia, co to mogło być. Możliwe, że dym.

– Spokojnie, Śnieżku – szepnęła. – Nie hałasuj teraz. Piesek zadarł głowę i ze zdziwioną miną popatrzył na swoją panią.

*Śnieżek obrażony. Nie robił hałasu.*

– Panie – podjął Ederius, nadal przypatrując się dłońmi – moje wzory napawają mnie niepokojem. Lękam się, że dziewczyna stanowi dla nas większe zagrożenie, niż wcześniej przypuszczaliśmy. Ma pierścień, który naśladuje Wieniec.

– Naśladuje? – Izgard przysunął się bliżej skryby. – Co to ma znaczyć, że naśladuje?

Ederius cofnął się o krok.

– Widziałem go, panie. Ukuto go z tego samego kruszcu. Jest wierną kopią Wieńca, każdego jego zagięcia, splotu i kolca.

Królowej nie spodobał się ton, jakim skryba udzielał tej odpowiedzi. Jego głos był kiedyś o wiele silniejszy. Tak, z pewnością przyczyniły się do takiego stanu rzeczy długie godziny spędzone w siodle. Od czasu bitwy nad Krętą Rzeką Izgard popędzał wojsko od świtu do zmierzchu. Męcząca konna jazda, pospiesznie rozbijane obozowiska, źle przygotowane jedzenie i niewyspanie odciskały na wszystkich swe piętno. Angeline nienawidziła tego. Z całego serca żałowała, że wyjechała z twierdzy Sern. Izgard zmierzał do Bay'Zell, a –

zważywszy na pogłoski krążące wśród żołnierzy– gdy tam dotrze, rozegra się kolejna straszliwa bitwa.

Ze zmarszczonym czołem skupiła uwagę na słowach Ederiusa.

– Myślę, że mogą spróbować zniszczyć Wieniec, panie.

– Kto? Kto może?

– Dziewczyna i Ravis z Burano.

Izgard poruszył się tak szybko, że królowa zobaczyła tylko jego rozmytą sylwetkę. Obrócił się i rąbnął pięścią w stół, aż potoczyły się zwoje map, podskoczyły papiery, a metalowe, pełne szpilek i kredy szkatułki zadźwięczały o drewno.

– Ciągłe są razem? Powiedziałeś mi, że wyjechał, a ona udała się do opactwa w pojedynek.

Ederius zaczął kaszleć. Zrazu lekko, lecz potem – gdy chciał coś powiedzieć, nie zważając na ataki – piersią jego targnął spazm, od którego zatrzęśło się całe ciało. Spomiędzy warg tryskała ślina. Mokry, pienisty gulgot dobył mu się z gardła, gdy usiłował nad sobą zapanować.

W naturalnym odruchu Angeline chciała podejść do niego – potrzebował przecież jej pomocy. Gdy jednak położyła dłoń na krawędzi płótna, Śnieżek zawarczał:

*Zostań.*

Przesunąwszy spojrzenie ze Śnieżka na Ederiusa, a później na Izgarda, zawahała się. Przejechała palcami po płótnie. Pies zmrużył oczy. Zerknęła na nieudacznika i opuściła rękę na brzuch. Śnieżek miał rację. Nie była to najlepsza pora, żeby drażnić Izgarda. Odkąd Camron z Thornu ewakuował miasteczko Merin na kilka godzin przed wkroczeniem do niego armii Garizonu, król był rozjuszony jak pies gończy na polowaniu. Wszystko mogło wytrącić go z równowagi: nieprzemysłane słowo, niewłaściwe spojrzenie, przeszkodzenie mu w naradzie.

Po drugiej stronie płóciennego skrzydła kaszel zaczął z wolna przycichać. Na czas trwania ataku skryba przyłożył do ust białą szmatkę.

Odetchnęła z ulgą, gdy kaszel ucichł. Musiała nauczyć się najpierw myśleć, a później działać. Ederius nie powitałby jej pomocy z radością – oznaczałaby kłopoty dla nich obojga. Gnębił ją jednak fakt, że nikt widząc jego chorobę, nie zamierzał mu pomóc.

Izgard kazał starcowi pracować ponad siły. Podczas gdy obóz spał, Ederius od zmroku do świtu ślęczał nad pulpitem. Angeline wiedziała o tym, gdyż czasem, kiedy dokuczały jej poranne dolegliwości lub głód nękał do późna w nocy, wychodziła na zewnątrz, by rzucić okiem na obóz i namiot skryby. Chłodny, spokojny blask oliwnych lampek wyróżniał się na tle migotliwych świateł ognisk wartowniczych i rozpalonych piecyków. Ederius od wielu tygodni nie przespał całej nocy.

– Wypij.

Słyszając głos męża, powtórnie skoncentrowała uwagę na tym, co działo się za przepierzeniem. Zdażyła zobaczyć, jak Izgard wręcza Ederiusowi napełniony kielich. Miała nadzieję, że zawierał wodę, a nie wino, gdyż ono tylko szkodziło ludziom dławionym przez kaszel. Każdy o tym wiedział. Tak naprawdę Ederius potrzebował mleka z miodem i migdałami. Postanowiła polecić Gercie, by zaniósła mu kubek.

Naraz jej oblicze zmarszczyło się w ciemności. Gerty przecież nie było. Błąkała się gdzieś w górach, chora i samotna, pod strażą dwóch obcych jej gwardzistów, którzy o nią nie dbali. Splotła palce. Dlaczego nie pamiętała o tak oczywistym fakcie? Bo była głupia, to wszystko. Nie myślała przed podjęciem działania. Jej głowa była niczym sito. A niech to, nawet ten nicponiowaty Śnieżek miał od niej więcej zdrowego rozsądku.

– A teraz – odezwał się Izgard – może raczysz mi powiedzieć, gdzie znajdują się dziewczyna i Ravis z Burano?

Angeline straciła z oczu Ederiusa, ale usłyszała odgłos odstawianego kielicha i zduszone kasznięcie, które rozległo się, kiedy starzec przełknął ślinę.

– Sądzę, że w chwili obecnej są w drodze do Bay’Zell, panie. Powinni przybyć do miasta na jeden dzień przed nami.

Izgard potarł dłonią policzek.

– Wszystko się zgadza. Z pewnością zaaranżują spotkanie z Camronem z Thornu. – Nieoczekiwanie odwrócił się i spojrzał wprost na szczelinę w płótnie.

Angeline zamarła. Śnieżek zjeżył sierść.

On jednak utkwiał spojrzenie gdzieś w mroku, daleko za królową. Choć patrzył dokładnie w jej stronę, na ciemność pokrywającą jej twarz, wydawał się kierować wzrok w zgoła inne miejsce, położone gdzieś za namiotem, za obozem. Oczy zaszyły mu mgłą.

Po chwili przemówił:

– Cała trójka pragnie tego, co należy do mnie. Thorn pożąda mojego tronu i kraju, Burano mierzy w moje życie, a dziewczyna w koronę. Należy ich powstrzymać. Bay’Zell musi zostać zdobyte, i to szybko. Za trzy dni Kolczasty Wieniec osiągnie wiek pięciuset lat i będę mógł rozporządzać jego potęgą, jakby była moja.

Słuchając słów Izgarda, królowa poczuła chłód i ucisk w żołądku. Skóra jej rąk i twarzy zbiegła się, a potem oziębła; sprawiała wrażenie płótna namiotu w mroźną noc. Pies zaczął drapać leżącą u jej stóp matę.

– Pst! – szepnęła. Domyślała się, że Śnieżek doznaje podobnego co ona uczucia: ogarnął go lęk, którego nie umiał sobie wytłumaczyć. – Już dobrze.

Spojrzenie Izgarda spoczęło na Ederiusie. Król uniósł palec i wymierzył go w skrybę.

– Ty i Gamberon wyjawiliście mi, jaką moc posiada. Obaj się zgodziliście, że powinienem zdobyć Bay’Zell w dniu, w którym upłynie pięćset lat od jego odnalezienia. A teraz masz czelność mnie powiadamiać, że jakaś dziewczyna chce mi go odebrać. Nie do

wiary! Sam mówiłeś, że Kolczasty Wieniec jest niezniszczalny. Zobacz, co się przydarzyło Gamberonowi – omal nie zginął, kiedy chciał go połamać.

Ederius pojawił się w polu widzenia królowej. Odpowiedział głosem wciąż zachrypniętym od kaszlu.

– Panie, nasza wiedza o Wieńcu jest fragmentaryczna. Wiemy, jak potężny to oręż, sam Hierac, bojąc się go stracić, zlecił namalowanie iluminacji, która by go na zawsze związała z Garizonem i jego królami. Wiemy także, że zdobią go inskrypcje mające wpływ na siłę człowieka, jego umysł, a nawet ciało. Niemniej jednak posługujemy się nim przeważnie na oślep. Nie jestem wielkim mędrcom, jakim był Gamberon. Potrzeba mi więcej czasu, by...

– Czasu? – Izgard zgrzytnął zębami. – Otóż nie ma czasu. Za trzy dni staniemy w Bay’Zell. Nikt nie może przeszkodzić nam w jego zajęciu. Nikt. Sandor razem ze swoimi armiami nic dla mnie nie znaczy. Jaka jest obrona miasta – wiemy. Jest tam tylko jedna twierdza, która ma szansę odeprzeć moje wojsko, a mianowicie zamek Bess. Zaprojektowali go i zbudowali Garizonczycy, tak aby wytrzymał każde oblężenie. A teraz mówisz mi, że Ravis z Burano i ta dziewczyna, która ma nadzieję na moją koronę, właśnie tam zmierzają.

Wodził palcami wzdłuż słupka podtrzymującego namiot, szukając drzazg i sęków. Angeline poznała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że planuje teraz swoje następne posunięcie. Lubił dotykać czegoś, gdy opracowywał plan.

Nagle zapragnęła wrócić do łóżka i zasnąć. Nie chciała słuchać tego, co miało nastąpić. Ledwie jednak cofnęła się ostrożnie o krok, Izgard pokiwał głową.

– Za późno na naukę, przyjacielu. Chcę ich śmierci. Wszyscy trzej muszą zginąć. Poczekamy, aż zbiorą się na zamku Bess, a potem ich zniszczymy. Jeszcze dzisiaj poślę tam oddział żołnierzy. Otrzymają najszybsze konie i rozkazy, aby nie zatrzymywali się po drodze na widok człowieka ani zwierzęcia, dopóki nie dotrą do Bay’Zell. Jestem w posiadaniu planów zamku. Jeśli oddział przybędzie na czas, bardzo możliwe, że weźmie fortecę przez zaskoczenie. Thorn nie podejrzewa, że atak może nastąpić tak wcześnie. Ani jemu, ani Burano nie przejdzie przez myśl, że przed główną armią możemy wysłać osobny oddział żołnierzy.

Izgard podszedł do starca. Instynkt podpowiadał Angeline, że dotknie skryby. Tak się też stało. Król wyciągnął rękę i musnął dwoma palcami starczego policzka.

– Ty zaś, przyjacielu – rzekł czule, niemal z miłością – zadbasz o to, żeby żywa dusza nie uszła z zamku Bess. Ja poślę ludzi. Ty wyślesz Wieniec. Wszystko, czego nauczyłeś się w ostatnich miesiącach, musisz wykorzystać do pokonania Burano i Thorna. Każdym wzorem, którym można się posłużyć, trzeba się posłużyć. Każda istota, jaką można stworzyć z krwi i kości żołnierza, musi zostać posłana na zamek. Nie wolno nam ryzykować. Wieniec należy do mnie, Garizon należy do mnie, a ostatnie przewinienia od dawna wołają o zemstę. – Zniżył głos. Palcem wskazującym żłobił policzek starca. – Burano stąpa po tej ziemi o dwanaście lat

za długo. To przez niego nie posiadam rodziny, a tylko zdziecinniałą, bezrozumną żonę i siostrę, którą od dawna opłakuję.

Głos Izgarda przycichł raptownie. Angeline przestała go słuchać. “Zdziecinniała, bezrozumna żona”. Zamrugła w oczekiwaniu, aż dotrą do niej te słowa. Świat wokół niej poszarzał, zrobiło się w nim chłodniej i zaczęło brakować miejsca, niby w podziemnym tunelu. Czuła się jak w pułapce. Dolna warga zadrżała. Izgard miał ją za nic. Za nic. Kiedyś ją kochał – przyznał się do tego w dniu zaręczyn. Obecnie jej nienawidził.

Śnieżek, wyczuwając zmianę nastroju swej pani, przydreptał bliżej i oparł głowę o jej stopę. Powinna teraz pochylić się z uśmiechem – jak to zwykle czyniła – ale ogarnęło ją przygnębienie. Nie było jej do śmiechu. Reprimenda ojca dobiegła ją z nicości: “Taką właśnie nagrodę dostają wścibskie dziewczynki w zamian za podsłuchiwanie pod drzwiami”.

Poczuła ból w piersi. Tunel zdawał się coraz bardziej zawęzić. Izgard jej nienawidził, ojciec nie żył, a Gerta wyjechała. Została sama jak palec.

Pies ziewnął cicho, na psi sposób.

*Śnieżek tutaj.*

Skinęła głową. Kochała Śnieżka, lecz cóż mógł zrozumieć taki nieudacznik? Wszystko uległo zmianie. Nie żyła już za przytulną osłoną, gdzie nic złego nie mogło się jej przytrafić. Była teraz żoną Izgarda i jego królową. Mieszkała w obozie wojennym, pilnowana jedynie przez męża, który wydawał rozkazy zabijania ludzi z równą łatwością, jak inni rozmawiają o pogodzie. Wszelkich złudzeń co do tego pozbyła się przed chwilą, podsłuchując za przepierzeniem. Teraz, kiedy wiedziała, co naprawdę o niej myśli, wyobrażała sobie inne, bardziej osobiste rozkazy, wypływające z ust męża.

W jej brzuchu coś się nieznacznie poruszyło. Pomyślała, że to ze strachu, wnet jednak poczuła to samo. Rozwijające się w środku dziecko dało o sobie znać. Jej ciało było jak ochronny kokon i tylko on bronił je przed zewnętrznym światem.

Powoli odsuwała się od szczeliny w płótnie, a Śnieżek wycofywał się w ślad za nią. Izgard wciąż mówił, dotykał i planował, lecz przesiało ją to interesować. Nigdy więcej nie popełni już błędu, wyobrażając sobie, że on nadal ją kocha.

Tessa od dwóch dni przemierzała pokład “Cypla”, dopracowując w głowie szczegóły wzorów. Raz po raz zatrzymywała się przy maszcie, poręczy lub trapie, wyciągała pierścień spod koszuli i wpatrywała się w złoto. Co też Ilfaylen namalował na pergaminie? Jak udało mu się związać Kolczasty Wieniec. Jakich wzorów użył i jaki układ przyjął? Skąd wiedział, gdzie zacząć i na czym skończyć?

Westchnęła. Po raz ósmy w ciągu jednej godziny wcisnęła pierścień pod ubranie. Nie znalazła żadnej odpowiedzi. Gdyby miała chociaż mgliste pojęcie, jak Ilfaylen przystąpił do zadania. “Namaluj problem, a potem go rozwiąż” – tak powiedział Avaccus. Ale jak go namalować, kiedy nawet nie wie, na czym on polega?



Przy pierwszych oznakach bólu w plecach podeszła oprzeć się o poręcz. Spacerowanie po statku przez całe popołudnie nie przyniosło ulgi jej płucom.

Od dwóch dni płynęła wraz z Ravisem "Cypem". Nazajutrz przybiją do Bay'Zell. Jak dotąd podróż przebiegała spokojnie; Tessa głównie odpoczywała i odzyskiwała siły. "Cypel" był szybkim statkiem, na którego załogę składali się wprawni żeglarze, odziani w wypłowiałe, płócienne łachy. Poprawiali liny i zwijali żagle, nigdy nie zwracając przy tym uwagi na obecność tuzina pasażerów drepczących po pokładzie poniżej.

Cieszyła się z tej odrobiny spokoju. Powoli powracała do zdrowia. Nie poruszała się już z taką żywotnością, co przedtem. Nie umiała zejść po schodkach bez odpoczynku w połowie drogi, a zeszłej nocy, kiedy obudziła się w ciemności, desperacko pragnąc się załatwić, wołała skorzystać z nocnika w kabinie, niż odbyć krótki spacer do latryny. Ravis powiedział, że całkowity powrót do zdrowia zabierze jej tydzień, a może nawet miesiąc. Zgrzytając zębami, puściła się poręczy. Nie pozwoli, żeby trwało to tak długo.

Trzy dni. Tylko tyle mieli czasu, zanim król Garizonu przybędzie do Bay'Zell na czele swojej armii, a Kolczasty Wieniec osiągnie wiek pięciuset lat. Ravis miał rację: Izgard już dawno wszystko zaplanował.

Mimowolnie wyciągnęła pierścień. Musiała się zastanowić. Czyżby coś pominęła, jakiś detal, który pomógł by jej zrozumieć, co należy zrobić? Zgodnie ze słowami Avaccusa, nie sporządzono żadnej kopii iluminacji. Ilfaylena przeszukiwano każdego wieczoru, żeby sprawdzić, czy czegoś nie przemycił ze skryptorium. Nawet sam pergamin oglądano, czy nie ma w nim nakłuć. Niemniej jednak, Ilfaylen żałował, że podjął się tej pracy. Dlaczego zatem nie starał się nigdy zdjąć więzów z Kolczastego Wieńca? Wszystko było takie pogmatwane. Opuściła pierścień na piersi. Czowała się, jakby wylapywała ćmy w ciemności.

Wędrując wzdłuż oświetlonej lewej burty statku, powtarzała w myślach każde słowo wypowiedziane przez Avaccusa. Usiłowała przypomnieć sobie wszystko, co jej powiedział tamtego dnia, spędzonego razem w jaskini. Nagrzany pokład pachniał olejkiem cytrynowym i woskiem, drewno trzeszczało i prężyło się, kiedy statek przecinał kolejne fale. Podczas takiego pogodnego i bezchmurnego dnia łatwiej było uwierzyć w istnienie innych miejsc i innych światów. Pojęcie efemerydy nie wydawało się już tak absurdalne. A może każdy jest efemerydą? Ktoś żyje, umiera i już go nie ma. A jeśli odradza się w innym czasie i w innym świecie? Nie wiadomo. Mogła tylko zgadywać. Lecz jedna rzecz nie ulegała wątpliwości: podobnie jak efemerydy, ludzie mieli wpływ na otoczenie.

Przystanąła. Ona też miała wpływ na otoczenie. Avaccus napomknął jej o tym w jaskini: "Zaufaj sobie" – powiedział. Były to jedne z jego ostatnich słów. Odwróciła się i ruszyła w stronę głównego luku. Musiała odszukać Ravis.

Hen, na wysokości marynarze skakali po wantach, uwijając się przy przekręcaniu żagli i mocowaniu lin. Gdy wyszła z cienia rzucanego przez dopiero co opuszczony żagiel, zauważyła Ravis, jak wynurza się spod pokładu. Już miała zawołać go po imieniu, gdy ktoś

podszedł, by z nim porozmawiać. Była to kobieta w czerni, i Tessa przez jedną niezdolną chwilę przypuszczała, że statkiem tym płynie też Violante z Arazzo. Kobieta odwróciła się i teraz mogła jej się przyjrzeć dokładnie: była niższa od Violante i nie miała tak kształtnych, posągowych rysów. Odetchnęła z ulgą. Ta kobieta płynęła z nimi "Zawadą". Jej woalka sięgała ledwie do brwi.

Patrząc dłużej, zobaczyła, jak nieznajoma dotyka ręką woalki i wybucha śmiechem. Kiedy Ravis zareagował podobnie, kobieta dotknęła jego ramienia. Flirtowali sobie! Gorący rumieniec pokrył policzki Tessy. Ruszyła do akcji. Już raz przypatrywała się biernie, pozwalając innej kobiecie sprzątnąć jej Ravisa przed nosa; nie zamierzała dopuścić do tego po raz drugi.

Ravis spostrzegł, że zbliża się do nich Tessa, lecz kobieta niczego nie zauważyła. Wciąż się śmiała, a pierś jej podnosiła się i opadała demonstracyjnie. Ręce starały się wypełnić przestrzeń dzielącą ją od Ravisa. Tessa bez chwili namysłu stanęła obok niego i wzięła go pod ramię.

– Tutaj jesteś – powiedziała, nie zaszczywszy spojrzeniem osłoniętej woalka kobiety. – Od południa cię szukam. – Nagle jakby po raz pierwszy zdała sobie sprawę z obecności drugiej osoby. – Och, przepraszam. Chyba nie przeszkadzam?

Kobieta zmierzyła ją chłodnym spojrzeniem. Była atrakcyjna, ale kosztowało ją to sporo wysiłków i pieniędzy. Sama woalka upiększona była misternym haftem. Zatrzepotała wokół jej twarzy, gdy się odezwała:

– Nie, wszystko w porządku. Pytałam tylko, kiedy dopłyniemy do Bay'Zell.

– Aha. W takim razie najlepiej będzie jeśli porozmawia pani z kapitanem. – Tessa przysunęła się ciut bliżej do Ravisa. – Spotkałam go niedawno na pokładzie rufówki. Przy odrobinie pośpiechu może go pani dogonić, zanim położy się spać.

Kobieta mocno zacisnęła usta. Na twarz nałożyła sporo pudru i drobiny pyłu o kolorze ostryg przylgnęły do brzegów woalki.

– Cóż – powiedziała, ignorując ją i zwracając się do Ravisa – w takim razie pójdę. Dobranoc panu. Ufam, że zobaczymy się jeszcze, nim nasza podróż dobiegnie końca. – Ukłoniła się z denerwującą flegmatycznością, chwaląc się głębokim wcięciem w dekolcie. Odwróciła się i odeszła.

Zaledwie znalazła się poza zasięgiem słuchu, Ravis uwolnił się od uścisku Tessy, skrzyżował ręce na piersi, odchylił głowę i parsknął śmiechem.

Nigdy jeszcze żaden dźwięk nie zirytował jej tak bardzo.

– Co tak stoisz? – rzekła ostro. – Zamiast śmiać się, pomóż mi zejść do kabiny. Większą część popołudnia spędziłam na pokładzie. – Z jakiegoś powodu na jej policzki wystąpił rumieniec.

Ravis przestał się śmiać, choć w jego oczach nadal migotały wesołe ogniki. Kiwnął głową w stronę, w którą udała się kobieta, i powiedział:

– Jak długo żyję, nie miałem przyjemności być świadkiem tak gładkiego pozbycia się niewygodnej osoby. Najwidoczniej tam, skąd pochodzisz, kobiety nie cackają się ze swoimi rywalkami. Aż boję się pomyśleć, co mogłoby się wydarzyć, gdybyś przyłapała biedaczkę na całowaniu mnie w usta. – Udał, że wstrząsa nim dreszcz. – Niewątpliwie majtkowie musieliby w czasie rozmowy zmywać krew z pokładu.

Usiłowała zrobić naburmuszoną minę, lecz oczy Ravisa błyszczały wesołością, zachęcając ją do uśmiechu.

– Pomóż mi tylko zejść po schodach – powiedziała na tyle oschle, na ile mogła się zdobyć.

Ravis uklonił się i wziął ją pod ramię. Jego rękawiczki z kozłej skóry były ciepłe i gładkie jak ciało. Bez widocznego wysiłku przejął na siebie połowę jej wagi.

– Miałem się właśnie rozejrzeć za tobą – stwierdził. – Musimy porozmawiać o tym, co zrobimy po przybyciu do Bay’Zell.

Skinęła głową, zadowolona ze zmiany tematu.

– Potrzebuję czasu. Muszę się dowiedzieć, jak naprawdę wyglądała oryginalna iluminacja Ilfaylena: jakimi elementami się posłużył, jakie dobrał wzory i pigmenty. W przeciwnym wypadku z równym powodzeniem mogę usiąść po ciemku i malować krajobraz. Muszę mieć jakiś punkt zaczepienia.

Gdy zeszli pod pokład, Ravis poprowadził ją do swojej kabiny.

– Ile czasu ci potrzeba?

Wzruszyła ramionami.

– Sądzę, że zbyt wiele. Emith mógłby mi pomóc, możliwe też, że w rękopisie Deverica znajdę jakieś wskazówki. Nie wiem. Gdybym nie pozwoliła... – Potrząsnęła głową i poprawiła się: – Gdyby Avaccus żył, poprosiłabym go, żeby nauczył mnie rysować wzory prowadzące do wiedzy i sama bym poszukała iluminacji Ilfaylena. – Poglaskała się dłonią po twarzy, sfrustrowana. – Dysponując dowolną ilością czasu, doszłabym do wszystkiego, jestem tego pewna. Dlatego zostałam tu wezwana.

Pozwoliła zaprowadzić się do ciepłej, mrocznej, przepelnionej zapachem drewna kabiny Ravisa. Inaczej jak w przypadku “Zawady”, tutaj dysponowali oddzielnymi kajutami. Ravis chciał jej zapewnić jak najwięcej niezmaconego odpoczynku.

Za pomocą krzemienia zapalił świecę w kolorze bursztynu i postawił ją na jednej z belek spinających ściany. Żłocista poświata oświetliła wnętrze urządzone z istic żołnierską powściągliwością i porządkiem. Rozpoznała wszystkie mikstury, którymi codziennie ją częstował, ułożone według rodzajów i wielkości pojemniczków na półce ponad łóżkiem. Widząc je tam, gdzie powinno znajdować się o wiele więcej rzeczy, ogarnął ją osobliwy smutek.

Usiadła na łóżku i splotła dłonie na kolanach. Teraz, skoro tylko przestała się ruszać, siły opuściły jej ciało, tak że poczuła się rozdygotana, a oddech znów zaczął dokuczać w płucach. Zerknęła na Ravisa.

– Myślę, że wszyscy jesteśmy efemerydami. Ty, ja, Camron. Wszyscy troje spotkaliśmy się w Bay’Zell. Ty i Camron musieliście wbrew woli pozostać w mieście, ja zaś zostałam wciągnięta tam z innego świata. – Dotknęła koszuli, pod którą uwypuklał się pierścień. – Chyba dlatego, że mamy wpływ na otoczenie.

Ravis świdrował ją uważnym spojrzeniem.

– Od dwudziestu jeden lat na nic nie mam wpływu, nawet na siebie.

Jej dłoń oderwała się od pierścienia i poszybowała w kierunku Ravisa. Już miała zamiar coś powiedzieć, lecz powstrzymała się. Dwadzieścia jeden lat. Mrowie przeszło jej po plecach. Gdzieś głęboko w piersi, blisko serca, jakiś mięsień zaczął tykać niczym zegar. Zgodnie z pewnym wzorem.

– Dwadzieścia jeden lat temu? Wtedy umarł twój ojciec?

Skinał głową.

– A siedem lat później twój brat wygnał cię w świat?

– Z ziemi, o którą razem walczyliśmy. – Cień goryczy wkradł się w ton jego głosu. – Powiedział mi, że jestem urodzonym żołnierzem i powinienem poszukać szczęścia na wojnie.

– A czy coś ci się przydarzyło to... – obliczyła szybko w myślach – ...dwa lata potem? Latem?

Jego ciało znieruchomiało. Milczał: twarz mu się ściągnęła, pierś przestała wznosić się i opadać, a wokół dołka w gardle zebrały się cienie. Barwa oczu powoli przeszła z brązowej w czarną. Po upływie – zdawałoby się – kilku minut, przerwał ciszę.

– Dwa lata po tym, jak wygnał mnie brat, umarła moja żona.

Tessę zmieszała jego bezpośredniość.

– Przykro mi...

– Niech ci nie będzie przykro – uciał szybko. – Zadaj swoje pytania, przejdź do rzeczy. Nie mamy czasu myśleć o przeszłości.

Poczuła się jak uderzona; wzięła głęboki oddech, aby się uspokoić. Ravis krył przed nią tyle tajemnic. Łatwo zapominała, że w istocie byli sobie obcy.

Pod jego niecierpliwym spojrzeniem zadała ostateczne pytanie. Tyle tylko, że nie było to już pytanie w ścisłym tego słowa znaczeniu, ponieważ знаła odpowiedź.

– Coś się wydarzyło w pięć lat po śmierci twojej żony, mam rację? Jesienią. Coś ważnego.

Ząb Ravisa zatopił się w bliznę na wardze.

– Późną jesienią, wróciłem ze wschodu. W dniu, w którym postawiłem stopę na ziemi Drokho, Malray nasłał na mnie swoich najemników.

Spuściła wzrok. Nie mogła patrzeć mu w twarz. Gniew, z jakim jej odpowiedział, nie zdołał zagłuszyć wszystkich innych uczuć.

– Dwadzieścia jeden lat – powtórzyła cicho, gdyż lepiej było cokolwiek powiedzieć, niż przedłużać ciszę. – Dwadzieścia jeden lat. Pięć wzorów. Nie tylko moim życiem manipulował Deveric. Twoim też.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że oboje byliśmy niejako spętani. Sam to powiedziałeś: przez dwadzieścia jeden lat nie potrafiłeś niczego zmienić. Podobnie jak ja. – Ostrożnie podniosła wzrok. Ku jej zdziwieniu na twarzy Ravisa malowało się zaskoczenie. – Aż do teraz, do dnia, w którym spotkaliśmy się w ciemnej uliczce, nie umiałam być do końca sobą. Jakby ktoś położył mi rękę na karku i kierował każdym moim krokiem.

Ravis ściągnął rękawiczki i przecesał włosy. Wyglądał na zmęczonego i po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, kiedy ostatnio spał i jak długo. Zawsze był, kiedy go potrzebowała.

– Daty na iluminacjach Deverica zgadzają się z wydarzeniami, które zaszły zarówno w moim, jak i w twoim życiu?

– Tak, oboje zostaliśmy w coś wplątani – we wzór lub w spisek. Może w los.

– I mówisz, że mamy wpływ na otoczenie?

Kiwnęła głową.

– Sądzę, że dlatego właśnie jesteśmy razem. Dlatego też Camron z Thornu oczekuje nas w Bay’Zell.

– A co z tobą i ze mną, Tesso McCamfrey? Czy i siebie możemy odmienić?

– Zawsze warto spróbować.

Uśmiechnął się niepewnie. Oczy rozbłyły mu dużo później, niż rozszerzyły się usta.

– Jesteś piękna, wiesz?

– Podobnie jak ta kobieta z woalką.

– Która kobieta? Z jaką woalką? – Przestał się uśmiechać. Zatrzymał spojrzenie na jej twarzy. – Dziś na pokładzie nie zauważyłem nikogo oprócz ciebie.

Wyciągnęła ramiona w stronę Ravisa. Bez słowa i skwapliwie skorzystał z okazji, jakby przez cały czas czekał na to zaproszenie. Ukląkł przy łóżku, przysunął ją do siebie i mocno przytulił. Przyciskał jej ciało do swojego, powstrzymując się od pocałunków, jak gdyby potrzebował jej ciepła lub bezpieczeństwa, albo obu tych rzeczy. Tessa obejmowała go z pasją, głaszcząc jego włosy i policzki. Dotykając Ravisa, miała wrażenie, że pławi się w niebywałym luksusie. Nie mogła wprost uwierzyć, iż spotkało ją tyle szczęścia.

Miał miły zapach, czysty i aromatyczny (choć nieco obcy) oraz kłującą skórę na szyi, którą pocierała otwartą dłonią, napawając się uczuciem szorstkości. Gdy tonęła w ramionach Ravisa, z twarzą wtuloną w jego pierś, dotykając jego policzków i szyi, czuła, że mu coś oddaje, jednakże nie wiedziała, co by to mogło być.

Czas mijał, wiązania statku trzeszczały. Tam, gdzie stała świeca, zwiślał z belki woskowy stalaktyt. Ravis obejmował Tesę, zaciskając ręce na jej ramionach i plecach. Kiedy ostatecznie ich oddechy wyrównały się, ciała ostygły i pod wpływem miarowego kołysania statku zaczęły im ciążyć powieki, oderwali się od siebie.

Ravis złapał Tesę za ramiona i spojrzał jej w oczy.

– Musisz wypocząć – powiedział. – Będę czuwał nad tobą podczas snu.

Potrząsnęła głową.

– Nie czuwaj nade mną, tylko połóż się obok. – Mówiąc to, przesunęła się pod ścianę i zrobiła mu miejsce. – Oboje potrzebujemy odpoczynku.

Chciał zaprotestować, ale się powstrzymał. Zzuł w milczeniu buty i podszedł do świecy. Kiedy objął palcami płomień, spojrzała na niego po raz ostatni. Jego włosy błyszczały od potu, a blizna wydawała się prawie biała. Ostatnią rzeczą, którą zdążyła zauważyć, zanim zduł ogień, był ślad jej sylwetki, jaki odcisnął się na kozłej skórze jego płaszcza.

Zapadła w sen, ledwie Ravis położył się na łóżku. Śniła o wzorach, ale nie tylko: o Moldercayu i jego kostnicy, o kobiecie, z haftowaną woalką, o własnej sylwetce odcisniętej na płaszczu Ravisa.

Rankiem, kiedy się obudziła, Ravis ciągle spał obok. Ostrożnie, żeby go nie obudzić, podniosła się z łóżka, poprawiła ubranie, zczesła włosy i wyszła z kabiny. Wstąpiła do latryny, a potem wspięła się na pokład.

Świt skapał “Cypel” w srebrzystej poświacie. Na górze nie było żywej duszy, z wyjątkiem jednego starego marynarza, zwijającego linę, oraz chłopca okrętowego, który woskował pokład. Obu minęła bez słowa. Po dotarciu na pokład dziobowy przechyliła się przez poręcz i spojrzała na wprost w poszukiwaniu lądu na horyzoncie. Po kilku chwilach wypatrzyła poszarpaną linię w oddali. Wybrzeża Bay’Zell. Na ten widok poczuła na piersi jakby ciasną obręcz. Zbliżał się kres jej podróży.

Patrząc na powiększające się miasto, przypominała sobie sen. Po jakimś czasie odwróciła się i ruszyła z powrotem pod pokład. Avaccus i Moldercay mylili się: Ilfaylen sporządził kopię iluminacji i już wiedziała, jak tego dokonał.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Zanim zeszli na ląd, upłynęły trzy godziny. Uzbrojeni gwardziści przetrząsnęli "Cypel" od dziobu po rufę. Kordon miejscowej straży ustawił się wzdłuż nabrzeża: otwierali kufry, przepytывali pasażerów, obszukiwali każdego, kto im się wydał podejrzany.

Ravisa przytrzymywano blisko godzinę. Swym dziwnym wyglądem od razu przyciągnął straż. Powiedzieli, że jest cudzoziemcem i ma przy sobie o jeden nóż za wiele. Zaklinał się wprawdzie, że nie było go w mieście jedynie przez osiemnaście dni, lecz nie mógł okazać żadnych dokumentów potwierdzających jego wypłynięcie z Bay'Zell. Na koniec musiał posłać po jednego z tutejszych kapitanów statków, żeby uzyskać poręczenie. Człowiek ten, rumiany, pozbawiony brwi rybak imieniem Pegruff, nie spieszył się z nadejściem, lecz gdy wkroczył ostatecznie na nabrzeże z butelką ario w dłoni i liną zwiniętą wokół szyi, jakby miał zamiar się powiesić, wystarczyło mu pięć minut, aby zapewnić Ravisowi zwolnienie. Kilka słów, szelmowski uśmiech i butelka ario przechodząca z ręki do ręki – wszystko to skłoniło straż do zwolnienia zatrzymanego.

Ravis ani myślał dziękować Pegruffowi za tę przysługę. Powiedział, że był mu on coś winny i teraz rachunki zostały wyrównane.

Pegruff nie zabawił z nimi długo. Wytarł gwint butelki o rękaw i podał ario Tessie.

– Lepiej uważajcie na siebie. Straż miota się jak makrele w sieci. Wiedzą, że Izgard tu ciągnie i wydaje im się, że zamykając port, patrolując ulice, ogłaszając godzinę policyjną i napastując każdego napotkanego cudzoziemca, zażegnają niebezpieczeństwo. Wszyscy się boją, choć nikt się do tego nie chce przyznać.

Ravis skinął głową. Wziął ario od Tessy, pociągnął łyk i oddał flaszkę Pegruffowi.

– Kiedy spodziewacie się Izgarda?

– Jutro, może pojutrze.

– A suzerena?

Pegruff splunął na butelkę.

– Po ulicach chodzą słuchy, że zjawi się pół dnia przed Izgardem.

– A co się mówi na morzu?

– Że się spóźni o dzień. – Po tych słowach Pegruff odszedł. Nie pożegnał się ani nie zadał żadnego pytania, tylko wypolerował flaszkę i zniknął.

Ravis odwrócił się do Tessy.

– Chodźmy zabrać stąd Emitha i jego matkę.

Potrząsnęła głową.

– Nie uda ci się wyciągnąć staruszki z jej krzesła. Nie ruszy się nawet ze względu na Izgarda.

– No to wynajmę powóz i zabiorę ją razem z krzesłem. Musisz wiedzieć, że Emith nie opuści swej matki.

Skinęła twierdząco. Miał rację. W Bay’Zell zrobiło się zbyt niebezpiecznie. Wojsko Izgarda w każdej chwili mogło wtargnąć do miasta, a Emith nie zostawi matki samotnej i przestraszonej. Tylko ona mu została. Przyspieszyła kroku. Nie mogła się wprost doczekać spotkania z dobrymi znajomymi.

Maszerując szybkim krokiem (nie na tyle jednak szybkim, żeby j zwrócić na siebie uwagę straży), Ravis i Tessa przemierzali ulice. Obecny widok Bay’Zell różnił się w znacznej mierze od tego, jaki zapamiętali sprzed osiemnastu dni. Miasto przestało wrzeć, tętnić i rozbrzmiewać życiem – skuliło się raczej jak dziecko w oczekiwaniu na chłostę. Sklepy były otwarte, ale miały czym handlować tylko te, które oferowały sprzęty domowe lub suszone artykuły spożywcze. Zaczęło brakować świeżej żywności, a kiedy jeden nieszczęsny sprzedawca owoców wtoczył swój wózek na ulicę, gdzie miał zamiar je sprzedawać, tłumy opadły go, zanim zdążył postawić daszek nad swoim kramem. Kiedy pojawiła się straż, żeby zaprowadzić porządek, sprzedawca był już doszczętnie ograbiony. Ziemię pokrywały rozdeptane śliwki, brzoskwinie i inne owoce.

Ravis odprowadził Tessę na bok.

– To wina straży – powiedział. – Z tuzin razy oglądałem coś podobnego. Uzbrojeni ludzie na ulicy sieją większy popłoch niż wroga armia. Bay’Zell powinno zgromadzić zapasy wystarczające na przetrwanie sześciomiesięcznego oblężenia, ale teraz, gdy ludzie wyłapują wszystko, co im wpadnie w ręce, zmarnuje się większa część żywności. Każdy może kupić tyle świeżo zabitych kurcząt, ile uda mu się dźwignąć, ale jeśli się ich nie ugotuje i nie zje w ciągu dziesięciu dni, muszą zostać wyrzucone. – Zerknął z ukosa na południowe słońce. – Zwłaszcza o tej porze roku.

Na ulicach Bay’Zell przeważnie panował spokój. Ludzie zerkali zza na w pół przymkniętych okiennic, szeptali w bramach lub wędrowali samotnie środkiem drogi, popychając wózki lub ciągnąc toboły.

Tessa czuła się nieswojo. Wyglądało na to, że całe Bay’Zell zostało skazane na zagładę.

Nastrój poprawił jej się dopiero wtedy, gdy skręcili w wąską, brukowaną uliczkę. Na widok schludnej, biało-niebieskiej fasady kamienicy należącej do matki Emitha, przełknęła ciężko ślinę. Czuła się, jakby wracała do domu.

Nie zważając na protesty Ravisa, ostatnie sto kroków pokonała biegiem. Przez całe życie podążała w stronę pierścienia; teraz po raz pierwszy dokądś wracała.

Oczyma duszy widziała twarz matki Emitha, jej krzesło i stół. Usłyszała, jak każe synowi odszpuntować beczułkę. “Mamy gości”. Twarz jej rozpromienił radosny, szalony uśmiech. Jakże za nimi tęskniła!



Łapiąc rękę Ravisa, przebiegła na drugą stronę ulicy. Zignorowała drzwi frontowe, otworzyła furtkę i znalazła się na podwórku za domem. Wszystko wydawało się takie jak zazwyczaj: skóry moczyły się wługu, beczułki ario leżały w kąciku, obok rynsztoka piętrzył się stos garnków i patelni. Nawet paliło się drewno jesionowe. Każdy z tych detali napełnił ją poczuciem ulgi. Nic się nie zmieniło.

Lekceważąc prośby o zachowanie ostrożności, uderzyła z wigorem w drzwi.

– Emicie, to ja! – zawołała. – To, ja, Tessa. Wróciłam!

Początkowo nie było odzewu. Ręka Ravisa powędrowała ku rękojeści noża. Czekali. Gdy Tessa zamierzała zastukać ponownie, drzwi się otworzyły. W progu pojawił się Emith, jak zwykle czysty i zadbany.

Popatrzył na nich martwym wzrokiem.

Tessa struchlała. Cała krew odpłynęła jej z twarzy.

– Emicie. – Chciała powiedzieć więcej, ale coś ścisnęło jej gardło.

Uśmiechnął się.

– Tak panienko. Miło cię znowu zobaczyć. – Zabrzmiało to jak wyznanie trupa. Mówił głosem pozbawionym akcentu. Odsunął się z przejścia i dodał: – Wejdźcie, proszę. Postawiłem właśnie na ogień wodę na herbatę.

Ravis położył rękę na ramieniu Tessy. Strząsnęła ją i weszła za Emithem do środka. Każdy włoszek na jej ciele jeżył się niczym lodowy sopel, a żołądek kurczył konwulsyjnie. Kiedy przywykła do mętnego światła kuchni, musiała z całych sił zamknąć usta, aby zwalczyć mdłości.

Sama kuchnia nie zmieniała się bardzo. W obstawionym przez rondle kominku buzował ogień. Na stole pełno było przypraw i przyborów do gotowania, a na stoliku matki Emitha leżały jej zwykle akcesoria: nożyk do obierania, srebrne nożyczki, koszyk z wyszywankami i pudełeczka przypraw. Między nimi znajdował się nawet talerz z jabłkami, które należało obrać.

Krzesło matki Emitha odwrócone było w stronę przeciwległej ściany, jak zwykle po południu. Tessa nie zauważyła jednak czubka głowy staruszki. Zerknęła na Emitha. Patrzył pod nogi. Ze ściśniętym sercem podeszła do krzesła.

Było puste. Wiedziała o tym już w chwili, gdy weszła do kuchni, a nawet wcześniej, gdy Emith otworzył drzwi. Jego oczy powiedziały jej wszystko. Tylko że nie chciała w to początkowo uwierzyć. Matki Emitha nie było.

Odwróciła się do Emitha i poczekała, aż podniesie wzrok. Gdy się tak stało, odczytała w jego oczach ból. Gardło mu drgało. Po chwili kiwnął głową.

– Odeszła, panienko. Poszedłem po homara, a kiedy wróciłem, nie żyła. – Wykonał dłonią nieznaczny gest bezradności. – Skrzywdzili ją. Zastraszili.

Tessa kołysała się na boki.

– Kto ją skrzywdził, Emicie?

– Nie wiem. Ale pozostawili zapach jakby zranionych zwierząt.

Ravis syknął przez zęby. Tessa wsparła się o poręcz krzesła matki Emitha. Harrarzy Izgarda. Przybyli, by ją schwytać.

Zamknęła oczy. Gdy otworzyła je w chwilę później, napotkała wzrok Emitha. Jakaś głęboka część jego natury wydawała się stracona. Wyglądał na zagubionego. Świat, który dotychczasapełniali jedynie na wskroś dobrzy ludzie lub co najwyżej troszkę niezrozumiali, okazał mu nagle swoje prawdziwe oblicze.

Podeszła do niego. Znając jego wrodzoną nieśmiałość, powstrzymała się od uścisku, tylko wsunęła mu rękę pod ramię i zaprowadziła bliżej ognia. Zachnął się w pierwszym odruchu, zakłopotany, ale nie miała zamiaru go puścić. Wołała nie myśleć o tym, co zaszło. Bała się odezwać, lecz mogła go przynajmniej podtrzymać. I sama zostać podtrzymaną.

Camron stał wysoko na blankach zamku Bess i czekał. Był wyczerpany, lecz myśl o spaniu wydawała mu się absurdalna. Nie mógł sobie pozwolić na taki luksus.

Gdy tak spoglądał na zachód, w stronę Bay'Zell, słońce skryło się za horyzontem, rozplatając na niebie wstęgi pomarańczowego i purpurowego światła. Cienie się wydłużyły, zerwał się lekki wiatr i pierwsza z gwiazdek zabłysła na niebie. Zaczerpnął głęboko powietrza, raz i drugi. Wiedział, że powinien zejść do głównej komnaty, spotkać się z ludźmi, wydać rozkazy, uzgodnić linię obrony i wysłuchać najświeższych informacji o pochodzie Izgarda. Nie mógł się na to zdobyć. Jeszcze nie.

Winą za to obarczył sam zamek.

Wcześniej myślał, że powróci tu i będzie go bronić, tak po prostu. Nie przypuszczał, jakie wspomnienia zamek w nim obudzi. Zapomniał o krwawej plamie na schodach, o śladach strzała na drzwiach gabinetu, o pustce, którą świeciły korytarze. Nie wiedział, że będzie tu tak mroczno i aż tak cicho; że usłyszysz przeszłość.

Nie cierpiał tu przebywać. Jego ojciec był wszędzie, a zarazem nigdzie. Czas wydłużył się do tego stopnia, że przejście wartowni, w której zginął tuzin ludzi, przeciągało się w wieczność, natomiast każde rozmyślanie trwało mgnienie oka. Kontemplując dawne wydarzenia, ze zdziwieniem spostrzegł, że świeca wypaliła się do połowy.

Dotarli tu zeszłej nocy, tak późno, że zanim rozpalili ogień i nagrzali piecyki, wstało słońce. Naciągnięto wody ze studni, posłano po zapasy, a wszystkie konie zostały wyczyszczone i ulokowane w stajni. Większość z dwudziestu ludzi, którzy odbyli z nim całą drogę od Krętej Rzeki, przespała dzień i teraz się budziła. Nie żałował im wypoczynku. Ostatni tydzień dał się wszystkim mocno we znaki.

Ostrzegli Merin, Shale i dwadzieścia innych miasteczek, wiosek i przysiółków położonych przy trasie przemarszu Izgarda. Nie była to wdzięczna praca. Nie miała jasnych stron, tylko same ciemne. Ludzie nieskorzy opuszczają domy, bydło i uprawy, okazywali podwładnym Camrona wrogość, obwiniając ich nawet o rozjuszenie Izgarda. Co gorsza, żołnierze uznawali swoją winę. Dręczyły ich wyrzuty sumienia, gdyż przeżyli bitwę, w której

poległo tak wielu ich towarzyszy. On sam nic wiedział, jak sobie z tym poradzić, więc nie mieszał się do nich.

W rzeczywistości nie wiedział, jak sobie poradzić z czymkolwiek. Od czasu śmierci ojca i koronacji Izgarda jego przekonania chwiały się i upadały jedno po drugim. Niczego już nie był pewien.

Odwrócił się ku ciemniejszemu niebu na wschodzie, a potem popatrzył na południowy wschód, przeczesując dłonią włosy. Usta wykrzywił mu ponury uśmiech. Przypomnił sobie dzień pierwszego spotkania z Ravisem z Burano w piwniczce z winami u Marcela z Vailing. Wówczas wszystko było czarne lub białe: ojciec nie żył i ktoś musiał za to zapłacić; Garizon był nieprzyjacielem, którego należało zniszczyć. Obecnie wszystko się skomplikowało. Ojciec przez dwadzieścia jeden lat marzył, że syn jego zasiądzie kiedyś na tronie Garizonu. A to oznaczało, że garizońscy żołnierze nie są jego wrogami, ale rodakami. Potrząsnął głową. Sam nie wiedział, czego właściwie chce.

Wiedział tylko, że trzeba dołożyć wszelkich starań, aby uniknąć rzezi podobnej do tych, jakie zdarzyły się pod Wierną Górą i nad Krętą Rzeką. Obaj, ojciec i syn, zgadzali się co do tego. Nareszcie.

Ta ostatnia myśl dodała mu niespodziewanie otuchy. Oderwał się w końcu od blanków i ruszył w stronę żelaznych drzwiczek prowadzących do wnętrza twierdzy. Musiał doglądać wielu rzeczy, przygotować zamek do obrony. Schodząc po granitowych stopniach, modlił się, aby duchy zostawiły go choć na chwilę w spokoju.

Emith po raz ostatni sprawdził, czy tylne drzwi są zaryglowane, po czym wyszedł wraz z Tessą przed dom. Zapadły już ciemności i z trudem dostrzegli bruk pod nogami. Rąbek księżyca wisiał nisko nad horyzontem, promieniejąc mdłą, pozłocistą poświatą. Choć nie było zimno, wszystkie okiennice na ulicy Emitha zostały zatrzaśnięte na głucho.

Ravis oczekiwał na środku drogi wraz z młodą kłaczą i dwoma kucami. Wyśliznął się z domu godzinę wcześniej, by powrócić z końmi, zapasami i różnymi przyborami, których Emith potrzebował do preparowania skór. Spostrzegł wychodzących i podszedł, by pomóc im z ciężkimi bagażami. W ciągu kilku minut wszystko zostało spakowane, powiązane i przygotowane. Wyjeżdżali do zamku Bess.

Rozmowa nie kleiła im się w mieszkaniu, toteż Tessa lakonicznie zdała Emithowi sprawę ze swej podróży na Wyspę Namaszczonych. Poprosiła go tylko o pomoc w namalowaniu iluminacji, jak również żeby zabrał wszystkie swoje pergaminy, pigmenty oraz pędzle i przygotował się do krótkiej podróży. Wydawał się zadowolony, że znalazł jakieś zajęcie. Nie zwykł zadawać pytań – zabrał się do rzeczy po cichu, lecz systematycznie, co pewien czas zatrzymując się, by przejrzeć opracowaną w głowie listę lub przypomnieć sobie nazwy szczególnie ważnych pigmentów, których nie mogło mu zabraknąć.

Kiedy przyszło wybierać pergamin, poprosiła, by zabrał wyłącznie welin ze skór martwo narodzonych zwierząt. Nie wyobrażała sobie, żeby Ilfaylen malował wzór wiążący Kolczasty

Wieniec na czymkolwiek innym. Emithowi zostało jeszcze z czasów Deverica blisko tuzin skór koźlęcych, nieco sztywnych od długiego leżenia. Umieścił je w prasie, aby się nie pogniotły podczas wyjazdu z Bay'Zell.

Miasto było wymarłe. Co prawda czasami jakieś ciemne postaci przebiegały z cienia w cień, jednak nikt poza nimi nie jechał tak odważnie środkiem drogi.

– Straż zamknęła bramy – rzekł Ravis, uważnie omijając rozległą plamę cienia. Mimo iż starał się zachować spokój, wiedziała, że ma się na baczności. Prawą dłoń wsparł na rękojeści noża. – Nic to im jednak nie pomoże. Nie zbudowano tego miasta tak, by mogło odeprzeć bezpośredni atak. Mury są tu stare i zmurszałe. Jest w nich tyle pęknięć i szczelin, że nawet zdesperowanej bandzie wędrownych minstrelów udałoby się wedrzeć do środka. Suzeren powinien przybyć tu tydzień wcześniej, obsadzić załogą okoliczne fortece i zmusić Izgarda, żeby zajął się nimi zamiast Bay'Zell. W obecnym stanie rzeczy król Garizonu w pierwszej kolejności zajmie zamki. Dwu z nich broni straż, lecz z nią Izgard poradzi sobie błyskawicznie. Większość tutejszych zamków zbudował kiedyś Garizon, więc jego inżynierowie znają je na wskroś. – Odchrząknął głośno. – Bay'Zell stanowi nieruchomy cel.

Zerknęła na Emitha, ciekawa, jak zareaguje na słowa Ravisa. Sama zdążyła już przywyknąć do jego chłodnych, militarnych szacowań, jednak miejsce, które przed chwilą określił jako nie nadające się do obrony, było domem Emitha. Zauważył on teraz jej spojrzenie i uśmiechnął się blado. Po chwili spuścił wzrok.

Słyszając, jak Ravis nabiera oddechu, żeby dodać coś do poprzednich rozważań, przeszkodziła mu i ubiegła jego słowa. Nie chciała przysparzać Emithowi dodatkowych zmartwień.

– Ale zamek Bess jest najsilniejszą twierdzą w promieniu wielu mil, prawda? Wybudował ją Hierac i obrał w niej swą siedzibę na czas wizyt w Bay'Zell.

Ravis odwrócił się i spojrzał bacznie na Tessę. Skinął lekko głową.

– Tak, to najsilniejsza twierdza w mieście. Będziemy w niej bezpieczni.

Wiedziała, że sam nie wierzy we własne słowa, ale powiedział to takim tonem, jakby wierzył. Była mu za to wdzięczna.

– Co ci wiadomo o przepisywaniu rękopisów, Emicie? – zapytała, zmieniając szybko temat, aby Ravis nie narzucił znów swojego. – Czy dawni skrybowie w celu wykonania kopii stosowali inne metody poza nakłuwaniem pergaminu?

Emith podjechał do niej bliżej. Trzymał się w siodle zadziwiająco dobrze, a jego kuc był mu ślepo posłuszny.

– Niech no pomyślę, panienko... Jest oczywiście wymiarowanie z wykorzystaniem linii, a także robienie notatek i sporządzanie szkiców, ale te dwie metody są zbyt czasochłonne w porównaniu z nakłuwaniem pergaminu i wykorzystywaniem otworków jako punktów odniesienia.

Skinęła głową. Zgodnie z twierdzeniem Avaccusa, Ilfaylena przeszukiwano każdego wieczoru w poszukiwaniu pergaminu i notatek – nie mógł nawet wynieść ze skryptorium pióra ani kałamarza – toteż wszystko, co wiązało się ze szkicami i robieniem zapisków nie wchodziło w grę. Wróciła myślą do kobiety na pokładzie “Cypla”. Przypomniała sobie, w jaki sposób puder z jej twarzy przylgnął do misternego haftu woalki.

– A co z proszkiem, Emicie? – zapytała. – Można z jego pomocą kopiować wzory?

Mruknął z zaciekawieniem i zamyślił się.

– Cóż, panienko, myślę, że używało się go do tego, ale bardzo dawno temu. Kiedyś o tym czytałem. W zamierzchłych czasach, wiele wieków przed tym, jak wzniesiono fundamenty opactwa na Wyspie Namaszczonych, zanim jeszcze sztuka sporządzania rękopisów przywędrowała na zachód wraz ze wschodnimi mistykami, skrybowie mielili tak starannie obsydian, że powstała zasypka osadzała się w najpłytszych rysach, pozostawionych przez najdelikatniejsze z pędzli o sobolim włosiu.

Tessa kiwnęła głową, podekscytowana.

– Posypywali nią gotowe wzory?

– Tak. – Obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem. – Najpierw posypuje się wzór, później potrząsa nim lekko, żeby zasypka wypełniła zagłębienia, w których osadziła się farba. Następnie przygotowuje się drugi skrawek pergaminu, pokrywa go klejem kazeinowym, tak aby zasypka mogła do niego przylgnąć, przykładając do oryginalnego pergaminu, dociska przez kilka minut i odcepiea. Jeśli wszystko odbędzie się prawidłowo, wzór zostanie powielony na drugim skrawku pergaminu wraz ze wszystkimi szczegółami.

– Zupełnie jak proszki wdowy Furbish do jej wyszywanek – mruknęła Tessa pod nosem. Na widok zdziwionej miny Emitha pospieszyła z wyjaśnieniem. – Tak właśnie kopiowała swoje wzory wyszywanek. Kiedyś przewróciłam całą tackę i od stóp do głów pokrył mnie ciemny pył. Wtedy myślałam, że to kurz. – Potrząsnęła głową. – Jeśli coś położyć na tym proszku, uzyska się odbicie w negatywie.

– Kurz? Proszek? O czym wy mówicie? – odezwał się Ravis. Chociaż wyprzedzał ich o dobrych kilka kroków, jego głos niósł się wyraźnie i Tessa zorientowała się, że musiał wszystko słyszeć.

Zaczerpnęła powietrza i usadowiła się wygodniej w siodle.

– Sądzę, że Ilfaylen sporządził kopię swojej iluminacji i posłużył się do tego proszkiem.

Z gardła Ravisa dobył się nieokreślony dźwięk. Kiedy znaleźli się na mrocznym, okolonym wysokimi kamienicami dziedzińcu, ściągnął lejce, każąc koniowi zwolnić. Kuc Tessy automatycznie dostosował się do chodu klaczy.

– Pamiętasz tę kobietę na pokładzie “Cypla”? – zapytała. – Tę z haftowaną woalką?

Ravis odwrócił się i uśmiechnął szeroko.

– Nie.

Poczuła wypieki na policzkach. W takiej sytuacji mogła jedynie odwzajemnić uśmiech.

– Dobrze wiesz, że na pokładzie “Cypla” była kobieta i miała upudrowaną twarz. Kiedy mówiła, puder przylepiał jej się do woalki. Wówczas nie przykładalam do tego zbyt dużej wagi, ale później nie dawało mi to spokoju. Przypomniałam sobie tamten ranek, kiedy zobaczyłeś mnie na moście Parso całą pokrytą proszkiem. Wdowa Furbish używała go do kopiowania wzorów haftów – nie musiała niczego mierzyć, zapisywać, przekłuwać i używać atramentu. Wystarczył jej proszek i coś, na co mogła przenieść wzór.

– Przecież Avaccus mówił, że każdego wieczoru przeszukiwano Ilfaylena. Gwardziści Hieraca znaleźliby przecież ukryty skrawek pergaminu.

Tessa zerknęła na Emitha. Wyglądał na zmieszanego, jakby nie do końca rozumiał, na jaki temat toczy się rozmowa, lecz był zbyt grzeczny, żeby zadawać pytania. Zamierzała opowiedzieć mu wszystko o Avaccusie i Ilfaylenie, lecz nieco później. Cała historia sprawiłaby mu obecnie ból: jeszcze jedna osoba, którą znał i kochał, nie żyła. Chętnie by go dotknęła, lecz znając jego nieśmiałość, pogłaskała jedynie kucyka.

Zwróciła się do Ravisa:

– A jeżeli Ilfaylen nie posłużył się pergaminem, żeby wykonać kopię? Może posłużył się czymś zupełnie innym? Czymś, co nie zaciekawiloby nawet gwardzistów?

– Na przykład?

– Pamiętasz, co Moldercay powiedział o Ilfaylenie? Podobno w dniu ukończenia dzieła skryba zachorował i poprosił o szal. Może zamiast pergaminu użył właśnie tego szala, by przenieść proszkowy wzór na tkaninę? To chyba prawdopodobne, Emicie?

– Tak, panienko – odparł zapytany. Cień entuzjazmu zakradł się w ton jego głosu. – Tyle tylko, że szal najpierw musiał być pokryty klejem kazeinowym, a później bardzo delikatnie zwinięty. Niektóre ze szczegółów mogły się zatrzeć, lecz większa część wzoru z pewnością by przetrwała.

Zapraęnęła pochylić się i ucałować go.

– Tak właśnie myślałam. Być może Ilfaylen poprosił o szal, nosił go przez cały dzień, kiedy tylko wyschła farba, skopiował na niego wzór z iluminacji, a potem wyniósł go zwyczajnie ze skryptorium, twierdząc, że zrobiło mu się nagle gorąco.

– A co z proszkiem? – spytał Ravis sceptycznie. – Jak zdołał przemycić go do pracowni?

Miała gotową odpowiedź.

– Wcale nie musiał być przemycany. To tylko miałka, czarna zasyпка... Ilfaylen mógł wnieść ją jako pigment. Potrzebował jedynie pięciu minut sam na sam ze wzorem, aby posypać iluminację, wstrząsnąć nią i wykonać kopię. Nawet Avaccus powiedział, że przez kilka chwil pozwalano Ilfaylenowi pracować w samotności.

Przy tych słowach skierowała kuca ku stopniom prowadzącym do miejskiego muru. Wbrew uszczypliwym uwagom, jakie niedawno sformułował Ravis, zewnętrzny mur Bay’Zell wydał jej się wysoki i potężny. Nie martwiła się o to, jak zdołają wydostać się na zewnątrz. Strażnik bramy okaże się znajomym Ravisa albo jego syn będzie mu winny

przysługę, albo też ktoś umówiony poprowadzi ich do sekretnej furtki. Uśmiech wykrzywił kąćki jej ust. Sposób, w jaki Ravis wszystko załatwiał, wydał jej się nagle bardzo ujmujący.

– Skąd ta pewność? – Głos Ravisa stawał się tym niższy, im bardziej zbliżali się do muru.

– Kto przysięgnie, że szal Ifaylena nie był zwykłym szalem? Czymś, co ogrzało jego stare, kościste ramiona?

Wykonała gest zniecierpliwienia. Szczegóły drażniły jej skórę niczym zmielone szkło.

– Moldercay powiedział coś zastanawiającego. Z początku sądziłam, że się mylę i przestałam o tym myśleć. Ale tej nocy na statku, po tym, jak... – urwała na moment i zerknęła na Emitha – ...skończyliśmy rozmawiać, nie dawało mi to spokoju. Nawet we śnie. Moldercay powiedział, że welin był bielony, szlifowany, malowany, pokryty laserunkiem, a na koniec posypywany proszkiem.

Emith podniósł wzrok, natychmiast zdając sobie sprawę ze znaczenia tych słów.

– Posypywanie proszkiem odbywa się najpierw, panienko, żeby farba mogła wsiąknąć w pergamin. Jeśli ktoś jednak zrobi to po malowaniu i laserowaniu, zniszczy iluminację.

– Dokładnie – powiedziała. – Myślę, że Ifaylen świadomie podyktował skrybie, jakim działaniom został poddany welin, kładąc nacisk na umieszczenie proszku na samym końcu. Dla każdego, kto przegląda rękopis, jest to tylko omyłkowe przekłamanie, lecz dla tych, którzy chcą się czegoś dowiedzieć o samej iluminacji, to światło latarni w mroku. Ifaylen upewnił się nawet, że jego asystent nie będzie musiał kłamać. Sprawozdanie zawierało rzetelną prawdę: wzór przecież został posypywany proszkiem dopiero na końcu. Posypano go drobno zmieloną zasypką. – Uśmiechnęła się słodko do Emitha. – Sam mi kiedyś powiedziałeś, że każda drobno zmielona substancja nazywa się proszkiem.

Odwzajemnił uśmiech.

– Tak, panienko, sądzę, że tak właśnie było.

Tessie serce ścisnęło się na widok jego rozpromienionej twarzy. Tak wiele stracił, mimo to jednak pocieszał ją i starał się pomóc. Nie zasłużyła na to.

– No dobrze – odezwał się Ravis, ściągając wodze konia i zatrzymując się w miejscu. – Założmy, że masz rację, a Ifaylenowi udało się w jakiś sposób skopiować wzór. Co dalej zrobił?

– Przybył na zamek Bess, gdzie namalował kopię z prawdziwego zdarzenia, pomagając sobie wzorem z szalika.

Ravis zagwizdał.

– O wszystkim pomyślałaś, co?

Kiwnęła głową.

– Staralam się.

Ravis odpowiedział jej podobnym kiwnięciem głowy.

– To by tłumaczyło, dlaczego Ifaylen, rzekomo chory i potrzebujący opieki, codziennie posyłał asystenta do miasta, żeby sporządzał notatki. Wolał mu nie zdradzać, że maluje drugą iluminację.

– Podejrzewam, że Ifaylen wymyślił sobie całą tę chorobę. Zyskał dzięki temu na czasie, mógł też pracować w samotności. Wątpił, czy na Wyspie Namaszczonych uda mu się kiedykolwiek powielić swą iluminację, toteż znalazł wymówkę, by przedłużyć pobyt w Bay’Zell i spokojnie dokończyć dzieła.

– Tym bardziej, że oryginał miał świeżo w pamięci. – Dorzucił Emith, spinając swego kuczka. – Praca w oparciu o same zarysy mija się z celem. Trzeba dokładnie pamiętać, jakie kolory zostały użyte w oryginale, w przeciwnym razie można stworzyć co najwyżej niedoskonałą kopię.

Tessa przypomniała sobie nagle słowa Avaccusa: “Emith jest skromnym człowiekiem, nigdy o tym nie zapominaj. Gdyby nie ta skromność, zostałby sławnym skrybą”.

– No tak – rzekła głośno. – O tym nie pomyślałam.

Spuścił wzrok.

– Pomyślałabyś, wcześniej lub później.

Ravis zeskoczył z konia, lądując z głośnym przytupem na ubitej ziemi. Niedaleko był mur.

– Gdzie, waszym zdaniem, znajduje się teraz ten wzór? Ifaylen nie zabrał go chyba na Wyspę Namaszczonych? Może dał go komuś na przechowanie? A może po prostu wykopał dziurę w ziemi i tam go schował?

Tessa zsiadła z kuca za przykładem Ravisa. Nogi ją zawiodły, gdyż ugięły się w kolanach zaraz po zetknięciu z ziemią. Przeklinając pod nosem, wyprostowała się szybko, zanim zobaczył jej wpadkę. Odetchnęła głębiej kilka razy, żeby nieco ochłonąć.

– Wątpię, czy Ifaylen zabrał iluminację na Wyspę Namaszczonych – powiedziała. – Gdyby znaleźli ją ojcowie, wnet trafiłaby do ognia. Nie, bardziej prawdopodobne, że gdzieś go dobrze schował.

– Na zamku Bess? – Ravis przejął od niej wodze kuca, przy okazji dotykając jej policzka. Ich oczy spotkały się na moment i poznała, że jej niedyspozycja nie uszła jego uwagi.

– Kto wie? – odparła i odsunęła się od niego. Z tyłu zbliżał się Emith. – Tak czy inaczej, na zamku mogą być jakieś wskazówki, może kronika poczynań Ifaylena: jakich gości przyjmował, jakie rozkazy wydawał służącym? Cokolwiek.

Poczuła jeszcze jedno dotknięcie, tym razem na ramieniu. To Emith poprawił jej płaszcz na ramionach, zsunięty w czasie jazdy. Czyżby nic przed nimi nie mogło się ukryć?

Nie wypuszczając dwóch par wodzy z ręki, Ravis zaczął wspinać się na wzniesienie.

– Uważajcie pod nogi – przestrzegł. – Pełno tu cegieł i odpadków.

Tessa cieszyła się, że ma obie ręce wolne. Mur przysłaniał księżyc, tak że w mroku niewiele można było zobaczyć oprócz połyskujących blade końskiej upręży i rękojeści



Ravisowego noża. W powietrzu roznosiły się wilgotne zapachy stęchlizny, a kiedy podeszli pod mur, ziemia zapadła się w rozmokłą bruzdę; odniosła wrażenie, że stąpa w zagłębieniu, w którym kiedyś leżał gigantyczny kamień.

Przed nimi ukazała się wyrwa w murze. Zrazu sądziła, iż to tylko wąska szczelina, gdy jednak podeszła bliżej i bardziej przyzwyczaiła się do ciemności, okazało się, że brakuje tu całego fragmentu obmurowania. Poszarpane zwały kamieni sterczały na prawo i lewo. Od strony dziury poczuła ruch powietrza. Zauważyła, że krawędzie wyłomu są ostre, zaprawa jest niewykruszona, a wewnętrzna strona muru – sucha i wolna od mchu.

Spojrzała przez ramię na Emitha. Zadowolona, że jest zbyt daleko, aby podsłuchać, co ma do powiedzenia, dotknęła ręki Ravisa i szepnęła:

– To nie jest jeden z tych rozsypanych kawałków, o których wcześniej wspominałeś. Cały ten fragment został niedawno rozebrany – wewnętrzne brzegi cegieł są czyste. Wątpię, czy wiosną była tu wyrwa.

Nawet w gęstym mroku pod murem zauważyła, jak ząb Ravisa wpija się w bliznę na wardze.

– Potrafisz dostrzec każdy szczegół, prawda?

Zmrużyła oczy. Zaskoczyła ją ostrość w głosie Ravisa, ale gdy spojrzała mu uważnie w jego czarne jak węgle źrenice, pewna myśl zaświtała jej w głowie.

– A może to twoje dzieło?

Rzucił szybkie spojrzenie w kierunku Emitha i szepnął jej do ucha:

– Tak, to ja rozkazałem, żeby między innymi i ten fragment został rozebrany. – Zanim zareagowała, wziął oddech i podjął wątek: – Nigdy nie zapominaj, Tesso, że jestem najemnikiem. Przez trzy lata pobierałem żołd od Izgarda. Miałem za zadanie robić to, co należy. Kiedy Izgard potrzebował dodatkowych żołnierzy do wzmocnienia armii, przybyłem do Bay'Zell z zamiarem rekrutowania ludzi w jego imieniu. Później, kiedy wspomniał o swych planach wobec tego miasta, podjąłem odpowiednie kroki, ażeby ułatwić mu zadanie.

Otworzyła usta, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Nie wytrzymała wzroku Ravisa i spojrzała niżej, na jego czerwoną, nabrzmiałą bliznę.

Położył jej rękę na szyi, każąc podnieść wzrok.

– Nigdy nie kryję się z tym, co robię, nigdy. Ktoś płaci mi za, jakąś robotę – ktokolwiek – ja ją wykonuję. Dla mnie nie liczy się dobro i zło, tylko rozkazy, zadania i złoto. – Na widok Emitha, zbliżającego się wraz ze swoim kucykiem, zwolnił uścisk. – Nigdy o tym nie zapominaj.

Nie ruszała się z miejsca. Czują, że na lewo od niej Emith zatrzymuje się, aby poprawić wędzidło konika. Dotknęła szyi i zapytała:

– Co jeszcze zrobiłeś w Bay'Zell z polecenia Izgarda?

Wzruszył ramionami.

– To i owo. Zadbalem, żeby plany umocnień dotarły do rąk Izgarda, rozkazałem osłabić główne mosty: teraz wystarczy pojedyncze trafienie pocisku, żeby je zawalić; rozpijałem strażników pilnujących murów; dopilnowałem, by wszelkie uzbrojenie, zakupione przez miasto w zeszłym roku, było miernej jakości: łączyska łuków kruche, a strzały z wiązu, nie zaś z brzozy i jesionu. – Skinął ręką. – Mam wyliczać dalej?

Potrząsnęła głową. Emith wciąż poprawiał coś przy kucyku i miała przecucie, że robił to specjalnie, żeby nie przeszkadzać im w rozmowie. Poczula się nagle zmęczona; nie miała pojęcia, dlaczego Ravis tak chętnie ukazuje jej swoją najgorszą stronę. Wskazała na zamek Bess.

– A więc traktujesz to jako kolejne zadanie? Kolejną zapłatę w złocie?

Cała dawna gorycz Ravisa rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

– Jestem urodzonym żołnierzem, więc walczę. To tylko jedna bitwa więcej. – Przez chwilę zawiesił na niej wzrok, po czym odwrócił się i ruszył w stronę szczeliny.

Po jakiejś minucie wyrwała się z odretwienia. Podobnie jak przedtem, gdy powiedział Emithowi, że na zamku Bess będą bezpieczni, tak i teraz nie dała wiary jego słowom. Brzmiały szczerze, ale były fałszywe. Tylko że on jeszcze o tym nie wiedział.

Pośród słonych błot na południowy wschód od zamku Bess, uzupełnianych tysiącem wąskich kanalików, biorących swój początek w morzu podczas przyływu, tam gdzie każdej wiosny zlatywały się brodźce, aby żerować na ćmach niedźwiedziówkach i krabach, i gdzie nie rosło nic prócz solnej trawy i piaskowców macierzankowych, czterdziestu jeźdźców pędziło pełnym galopem.

Pomimo panujących ciemności nie obawiali się o konie, ponieważ poruszali się po gruncie płaskim i pustym. Same konie mogły się płoszyć, ale tylko powodowane instynktem, gdyż do nachrapników przywiązano im zasłony nasączone olejkiem z igieł sosnowych, dzięki czemu zmieniający się zapach jeźdźców mniej je drażnił od ich rosnącej wagi.

W miarę upływu czasu ciężar jeźdźców rósł. Pochłaniali mrok nocy niczym bibuła atrament. Mięśnie pęczniały, rozciągała się skóra, kości grubiały i przechodziły w płyty. Zęby wydłużały się w ustach, kości szczękowe nastawiały z cichym trzaskiem, języki puchły. Jednemu mężczyźnie krew ciekła z nosa. Innemu sączył się z ucha przezroczysty płyn. Ciała ulegały przeobrażeniu: zrazu płynne niczym cienie wydłużające się o zachodzie słońca, wnet stawały się bardziej rozedrgane od psów wyrrywających się z worka.

Ich wzrok zachodził mgłą. Kolor bladł na tęczęwkach niby wino na szkle. Zmieniał się sposób mrugania. Szklista, okrywająca rogówki wilgoć szczypała w oczy, coraz gęstsza i bardziej słona. Mlaskali ślinąściekającą z dziąseł, często przetykając, aby pozbyć się jej nadmiaru.

Jeźdźcy nabierali siły, krzepili. Uzyskiwali osobowość.

Myśli i pragnienia uleciały z nich równie bezgłośnie i dyskretnie, jak pot znika z górnej wargi. Otrząsnęli się z imion niby wąż ze skóry. Jeśli jakieś wrażenie docierało do ich

świadomości, był nim promieniujący z trzewi złocisty żar. Jeśli nawiedzały ich wspomnienia, podsuwało im je kolczaste łono.

Z wolna, w miarę jak wierzchowce niosły ich na północny zachód, ze zlepku myśli, ciała oraz kości formowały się kształty i znaczenia. Twardniały chrząstki. Określał się cel. Pozbawione koloru oczy zapożyczyły jasnozłotą poświatę.

Kolczasty Wieniec śpiewał im pieśni. Rzeźbił i tworzył, kształtując motywację, punkt widzenia i siłę. Podążając wzdłuż kanałów ku bramom zamku Bess, przestawali być ludźmi, a zamieniali się w coś innego. Stawali się dziećmi Wieńca. Gdy wreszcie ohydny zapach i ciężar doprowadziły konie do obłędu i musieli porzucić zwierzęta, Kolczasty Wieniec prowadził ich dalej i głębiej. Darł kolcami resztki tego, co z nich pozostało, tworząc zupełnie nowe dzieło.

Konie parskwały, stawały dęba i ostatecznie rzuciły się galopem do ucieczki w stronę, z której przybyły. Kraby pierzchły do swoich sadzawek, a niedźwiedziówki przycupnęły na kamieniach. Księżyc schował się w skłębioną chmurę, lecz dla dzieci Wieńca nie miało to znaczenia. W ich źrenicach ciemność jarzyła się jasnym światłem dnia.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

– Więc ten skryba Ilfaylen zatrzymał się tutaj, na zamku Bess? – Camron pochylił się na krześle w oczekiwaniu na odpowiedź Tessy.

– Tak – odparła. – Jeśli wierzyć Moldercayowi, Ilfaylen spędził tu tydzień, odzyskując siły po chorobie.

Przełknął ślinę i wstał. Kiedy spacerował po kuchni, ogień paleniska oświetlał jego twarz, dzięki czemu Ravis po raz pierwszy od przybycia na zamek miał okazję przypatrzeć mu się dokładniej.

Odkąd się rozstali, Camron jakby postarzał się o dziesięć lat. Jedna szrama przecinała mu policzek, a druga krzyżowała się z nią, biegnąc równolegle z linią szczęki, przez co powstało bladożółte zgrubienie. Miał cienie pod oczami i szare smugi w zagłębieniach policzków. Na czole i wzdłuż warg pojawiły się zmarszczki. Oczy nadal świeciły, ale innym światłem, nie podsycanym już arogancją, tylko czymś, co w ocenie Ravisa nadawało mu wygląd człowieka zagłodzonego.

Ravis nie wnikał w przyczyny tych zmian. Wojna wyciskała na ludziach różnorakie piętno.

Po dotarciu do paleniska Camron odwrócił się do Tessy. W pomieszczeniu rozchodził się tylko jeden dźwięk: trzaskanie drew w ogniu. Jaśniało tylko jedno światło – rzucały je płomienie. Tessa dopiero co skończyła opowiadać jemu i Emithowi o przebiegu podróży na Wyspę Namaszczonych. Mówiła o pierścieniu i jego powiązaniach z Kolczastym Wieńcem, o tym, czym były i skąd się wzięły, a także dla jakich powodów ukuto Wieniec. Wyjaśniła, że uwiązano go na wieki do ziemi i za dwa dni upłynie pięćset lat, odkąd go znaleziono. Zarówno Camron, jak i Emith wstrzymali oddech na wzmiankę o pięciuset latach. Na kontynencie panowało głębokie przekonanie, że cyfra pięć zawsze oznacza nieszczęście.

Co dziwne, obaj mężczyźni przyjęli do wiadomości jej opowiadanie o innych światach i jak to kiedyś rozdzieliły się one od siebie niczym skóra od węża. Być może są zmęczeni, pomyślał Ravis. A może myśl o innych światach, innych miejscach i innym życiu daje im nadzieję i pociesza w smutku. Wzruszył ramionami i skupił uwagę na swym otoczeniu. Nie lubił spekulować na podobne tematy.

Z ogólnego ładu panującego w kuchni wnosił, że Camron i jego ludzie przebywali na zamku Bess jeden, najwyżej dwa dni. Żołnierze nie przykładają nadmiernej wagi do czystości i przy pierwszej okazji przewróciliby kuchnię do góry nogami. Kości z kurczaka zaśmiecałyby całą podłogę, sosnowy blat stołu w refektarzu pokryłyby się ziołami, którymi

gardzi waleczny mężczyzna, a kilka dni biesiadowania wystarczyłoby, żeby roje much z całej okolicy zleciały się jak na letni jarmark.

W rogu kuchni, blisko drzwi prowadzących na wewnętrzny dziedziniec, leżało kilka nie otwartych skrzyń i worków zboża. Na ich widok skinął głową. Zapasy pochodzące z miasta. Dobra robota.

– Rzeczywiście, pewien sławny skryba odwiedził kiedyś ten zamek – rzekł Camron, przerywając tok jego myśli. – Kilka stuleci temu, jak przypuszczam. Trudno mi jednak powiedzieć, czy miał na imię Ilfaylen.

Tessa kiwnęła z lekka głową, zaciskając dłonie.

– Czy macie tu jakieś kroniki, które sięgają tak daleko? Księgi rachunkowe? Pamiętniki?

Namyślał się przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

– Nie. Wątpię, czy zachowały się jakieś przekazy z tak zamierzchłych czasów. Z pewnością nie pisane.

Usiadła ze zmarszczonym czołem. Dłonie zaciskała teraz mocno w pięści i z wyrazu jej twarzy Ravis wywnioskował, że nad czymś intensywnie rozmyśla. Skoro przestała zwracać uwagę na otoczenie, wykorzystał nadarżającą się sposobność, aby sprawdzić, czy jej pierś wznosi się i opada miarowo, a oddech wyrównał się po żmudnej konnej jeździe.

Podróż do zamku Bess trwała trzy godziny. Zrazu Ravis lękał się zarówno o nią, jak i o Emitha, ale widząc wprawę, z jaką ten ostatni obchodził się z koniem, a także jak nieczuły był na zimno i wiatr, całą uwagę poświęcił Tessie. Nie chciał opiekować się nią zbyt jawnie, więc większość czasu jechał u jej boku, tak się ustawiając, żeby osłaniać ją od wiatru, gotów w każdej chwili przytrzymać i pokierować jej kucem, kiedy brnęli poprzez piaszczyste wydmy, solną trawę i kamienie zaścielające drogę do zamku Bess.

Docierając pod zamkowe mury, Tessa pochylała się coraz bardziej na końskim karku i ciężko oddychała. Gdy znaleźli się w fortecy, zdawało się, że otrząsnęła się ze zmęczenia, lecz on wciąż się o nią martwił. Nie miał pojęcia, co przyniesie każdy następny dzień.

Spojrzał na Camrona. Wkrótce będzie musiał porozmawiać z nim w cztery oczy. Już w chwili, kiedy stanęli pod zamkową bramą, mógł stwierdzić, że dysponuje niewielkim oddziałem ludzi: blanki świeciły pustkami, bramę podniesiono dopiero po kilku minutach (nie sekundach), co oznaczało, że tylko jedna para rąk obsługiwała kołowrót. Całe północne skrzydło zamku było nie oświetlone. Zatrzymywano ich dwukrotnie – raz przy bramie wyjazdowej, a drugi raz na dziedzińcu – jednak za każdym razem musieli przedstawiać się pojedynczym wartownikom, nie zaś dwuosobowym strażom. Ravis chciał dokładnie wiedzieć, ilu ludzi liczy sobie załoga zamku, jaką bronią dysponuje i jakimi umiejętnościami. Pragnął się też dowiedzieć, kiedy Izgard wraz ze swoim wojskiem może dotrzeć do Bay’Zell.

Wszystkie te myśli odłożył tymczasowo na bok. Tessa ostrzegła go wcześniej, żeby nie rozwodził się z Camronem na te tematy w obecności Emitha, a chociaż trzymanie języka na wodzy nie leżało w jego zwyczaju, tym razem zrobił wyjątek. Ze względu na nią.

Jakby świadoma, że stanowi przedmiot jego rozważań, Tessa podniosła głowę i spojrzała na niego. Miała zaczerwienione z niewyspania oczy i bladą skórę, lecz on uważał, że wygląda pięknie. Nie posiadała co prawda idealnych kształtów i błyszczących włosów Violante z Arazzo, lecz trudno było się oprzeć miękkości jej policzków, które wciąż pragnął dotykać.

Dziwiąc się własnym niedorzecznym myślom, zwrócił się do Tessy:

– Musisz się wyspać. – Spojrzał na Emitha. – Ty też.

Zaczęła potrząsać głową, zanim jeszcze dokończył zdanie.

– Nie wolno mi spać. Nie ma na to czasu. Muszę się dowiedzieć, co Ilfaylen zrobił z kopią swej iluminacji. – Przeniosła spojrzenie z Ravisa na Camrona. – Myślę, że pierścień sprowadził mnie do Bay’Zell, gdyż odpowiedź można znaleźć właśnie tu, gdzieś w tym mieście, na tym zamku, w okolicy. Wiemy z całą pewnością, że Ilfaylen pozostawił trop w dzienniku swego asystenta, zatem wolno nam chyba założyć, że pozostawił również inne tropy, albo tu, w Bay’Zell, albo też na Wyspie Namaszczonych. Chciał, żeby ktoś kiedyś odnalazł tę kopię. Nie za jego życia, być może nawet nie w jego stuleciu, ani też w następnym, ale miał nadzieję, że pewnego dnia w przyszłości ktoś dowie się, czym w istocie jest Kolczasty Wieniec, i zechce go unicestwić. Zgodnie z planem, ów ktoś miał przeczytać sporządzony przez jego pomocnika dziennik z podróży i udać się na południe, do Bay’Zell.

– Moldercay wspominał, że dziennik był w wielu miejscach poważnie uszkodzony – odezwał się Ravis, wodząc palcem wzdłuż brzegu pustego kubka. – Co będzie, jeśli przypadły inne wskazówki, które zawierał?

Animusz, z jakim przystąpiła do odpowiedzi, wywołał uśmiech na jego twarzy.

– Tak – powiedziała – to wysoce prawdopodobne. Ale wątpię, czy Ilfaylen zostawił wszystkie wskazówki tylko w jednym źródle. Musiał dokładnie wszystko przemyśleć. Uświadamiał sobie, że istnieje prawdopodobieństwo, iż dziennik zaginie lub ulegnie zniszczeniu. – Pochyliła się nad stołem. – Człowiek, który spędza wiele dni na planowaniu i malowaniu skomplikowanych wzorów, z pewnością bierze pod uwagę wszystkie szczegóły i okoliczności.

Emith przez cały czas kiwał głową. Spośród wszystkich osób siedzących przy porysowanym sosnowym stole, oświetlonym chybotliwym blaskiem ogniska, był najbardziej blady i milczący. Nie odezwał się ani słowem, gdy snuła swą opowieść, i choć ominęła fragment o śmierci Avaccusa, Ravis miał przeczucie, że domyślił się prawdy. Był spokojnym człowiekiem, wrażliwym na uczucia innych. Kiedy Tessa zbyła wydarzenia w serowej jaskini krótkim: “Coś się stało i musieliśmy wracać”, z pewnością dostrzegł wymuszony uśmiech na jej twarzy. Zapewne zauważył jej drżenie, gdyż w chwilę później już był przy niej, oferując swój płaszcz.

– Myślę, że masz rację, panienko – powiedział Emith, dyskretnie odkaszlnąwszy. – Miałem już do czynienia ze sporą gromadką skrybów, a każdy z nich więcej czasu spędzał na planowaniu niż na spaniu. Próżno szukać bardziej ostrożnych ludzi.

Tessa potarła skronie. Po walce z harrarami w Dolinie Popękanych Kamieni pozostała jej widoczna oparzelizna wielkości kciuka. Nie przypadła ona do gustu Ravisowi. Jeszcze mniej przypadł mu do gustu jej wydzźwięk. Malowanie wzoru mającego na celu uwolnić Kolczasty Wieniec stanowiło niebezpieczne zadanie. Izgard i jego skryba nie będą się temu biernie przypatrywać. Ravis znał Izgarda. Wiedział, że król Garizonu nie poprzestanie na samej obronie Wieńca. Uderzy w każdego, kto spróbuje mu go wydrzeć.

– Można przeszukać zamek – rzekła Tessa – i znaleźć ukryte wskazówki.

Camron gestem ręki wyraził swą dezaprobatę.

– Trzeba by dni na gruntowne przeszukanie zamku. Same piwnice tworzą pod powierzchnią ziemi osobną kondygnację, a pod nimi są jeszcze labirynty tuneli, lochów i naturalnych wydrzeń. – Uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd powitał ich na dziedzińcu. – Będąc chłopcem, sam tam raz zabłądziłem. Ojciec szukał mnie przez pół dnia.

– Brakuje ci ludzi. – To nie było pytanie. Kolejny dowód, jak spostrzegawcza była Tessa. Nie tylko Ravis zauważył niedostatek ludzi na zaniku.

Camron spojrzał na najemnika. Podeszedł do wysokiej półki, ściągnął drugą butelkę beriaku i złamał woskową plombę. Bez słowa okrążył stół i napełnił wszystkie kubki. Patrząc na niego, Ravis zrozumiał, że jeszcze dwa miesiące temu nie przyszłoby mu namyśl własną ręką rozlewać wino. Spodziewałby się, że Tessa, jako kobieta, lub Emith – skromny pomocnik skryby – wykonają za niego tę pracę. Obecnie robił to odruchowo.

Kiedy wszystkie kubki zostały napełnione, szlachcic zwrócił się do Tessy:

– Izgard może się tu pojawić już jutro rano. Jeżeli ten wzór jest tak ważny, jak powiadasz, trzeba go szybko odnaleźć, zanim forteca zostanie zdobyta. Usiadł, tak ustawiając krzesło, aby móc patrzeć na Tessę i Emitha. – Musicie mnie zrozumieć – powiedział, przesuwając spojrzenie po ich twarzach. – Nie zamierzam was straszyć, ale zostało nam niewiele czasu. Zamek Bess to najsilniejsza twierdza w północnym Raize, lecz Izgard posiada jej plany. Zna tu wszystkie słabe punkty, a nawet gdyby tak nie było, przyprowadzi z sobą wielką siłę i wątpię, czy przetrzymamy choćby pół dnia. Jeśli chcecie, przydzielę wam dwóch ludzi – tylko na tyłu mogę sobie pozwolić – a oni wyprowadzą was z zamku i wskażą bezpieczne miejsce. Nie będzie to Bay’Zell, bo dni tego miasta są już policzone, ale miejsce w głębi łądu – Runzy. Stamtąd możecie ruszyć bądź to na południe, bądź na zachód. Ja tymczasem na własną rękę będę szukał wzoru, zarówno w mieście, jak i w zamku, a kiedy go znajdę, zaraz go wam zawiozę. Obiecuję i przysięgam na pamięć po moim ojcu.

Ravisa uderzyła zmiana, jaka dokonała się w Camronie z Thornu. Jak na kogoś, kto dysponował garstką ludzi – niecałym tuzinem w jego mniemaniu – składał niezwykle hojną ofertę. Zagryzł wargę. Z jakiegoś powodu przypomniało mu się, co Tessa opowiadała na pokładzie “Cypla”, jak to spętały ich wzory Deverica. Może Camron też był w ten sposób wpleciony w ich losy?

Odpędził te myśli i popatrzył na Tessę. Wiedział, że odrzuci tę propozycję.

Nie rozczarował się. Położyła rękę na ramieniu Camrona.

– Nie mogę przyjąć twojej oferty. To nie sprawa osobistego wyboru. Ja po prostu w ogóle nie mam wyboru. Jeśli nie zdołam odnaleźć wzoru dziś, spróbuję czegoś innego, pomyślę o czymś innym. Muszę tu zostać i czuwać. Gra toczy się o wielką stawkę, zbyt wielu ludzi zginęło. Niektórzy nie żyją tylko z mojego powodu. – Spojrzała na Emitha. – Nie żyje kobieta, którą kochałam.

Emith spuścił wzrok i zajął się swoimi dłońmi. Dusił go w gardle. Po chwili przemówił:

– I ja muszę zostać, panienko. Nie mogę cię teraz opuścić, matka by nigdy na to nie pozwoliła. “Zostań przy Tessie i pomagaj jej przy każdej okazji” – tak by powiedziała. Kochała cię całym sercem. Całym sercem.

Łza spłynęła po policzku Tessy. Nie odpowiedziała. Camron skinął głową.

– Skoro oboje sobie tego życzyście, niech tak będzie. Nie wspomnę o tym więcej, to tylko powiem: do chwili pojawienia się wojsk Izgarda na horyzoncie moja oferta jest wciąż aktualna. Dwóch moich ludzi w każdej chwili może zabrać was w bezpieczne miejsce. – Popatrzył najpierw na Emitha, potem na Tessę. Mijały sekundy. Wtem pękła szczapa w ogniu i cienie przebiegły po ścianach. Wszyscy jak na komendę skinęli głowami.

Gdy obserwował całą trójkę, siedzącą u drugiego końca stołu, zdając sobie sprawę, jak szczerą była oferta Camrona, Ravis dusił w sobie zazdrość. Nie chciał zostać na uboczu. Ledwie nasunęła mu się ta myśl, na jej miejscu zakiełkowała inna. Wnet uznał ją za podarunek.

– Camronie – rzekł, pochylając się w ich kierunku – pamiętasz tamten wieczór, kiedy spotkaliśmy się w kamienicy Marcela? Rozmawialiśmy o iluminacjach Deverica i powiedziałeś, że Marcel pozwolił ci na nie popatrzeć.

– Tak, i co z tego?

– Dobrze pamiętam, jak wspomniałeś coś o Ilfaylenie. Nie wymieniłeś go z imienia, ale mówiłeś, że pewien skryba zatrzymał się tu kiedyś, a przed odejściem w dowód wdzięczności namalował wzór. Powiedziałeś, że wisi w gabinecie twojego ojca.

Tessa uniosła brwi. Camron kiwnął potakująco.

– Pamiętam, ale to tylko zwykłe malowidło. Nic na nim nie jest napisane.

– Mogę go zobaczyć? – Krzesło Tessy przesunęło się ze zgrzytem po kamiennej posadzce.

– Nadal wisi w gabinecie ojca. – Camron wypowiedział te słowa tonem ostrzeżenia. Zbladł.

Ravis odgadł, że Camron nie odwiedzał tego pomieszczenia od czasu śmierci ojca.

– Sam po niego pójde – zaoferował się.

– Nie. – Lord położył pięść na blacie stołu. – Oprócz mnie nikt tam nie wejdzie.

Ravis wstał.

– Pozwól przynajmniej, żebym cię odprowadził do drzwi.



Camron przeczesał ręką włosy.

– Nie planowałem tam jeszcze wracać. – Głos jego był cichy, niezdecydowany.

Po dłuższej chwili Ravis podszedł do Camrona i wyciągnął dłoń. Ten uściśnął ją krótko i wstał od stołu. Ramię w ramię wyszli z kuchni.

Ederius odkasznął krwią w czasie malowania. Za ledwie kilka kropelek padło na chustkę, którą trzymał w pogotowiu i od czasu do czasu przykładał do ust. Nie bał się, że ktoś zwróci na nią uwagę, gdyż wyglądała na zwykłą ścierkę, pobrudzoną barwnikiem.

Krew pojawiła się kilka dni temu. Początkowo w postaci zaróżowionej śliny. Tłumaczył sobie, że to z powodu kłopotów żołądkowych lub ostrego zapalenia gardła. Teraz jednak krew tworzyła w ślinie czerwone wstęgi, a kiedy zakaszał mocniej, spryskiwała chustkę. Był stary, oto powód. Nie umiał utrzymać tempa, jakie narzucił mu Izgard po bitwie nad Krętą Rzeką.

Jednakże zaczął zauważać, że najgorsze ataki krwawego kaszlu chwytają go wtedy, gdy siedzi za pulpitem i maluje wzory, a nie w czasie jazdy krytym powozem z miasta do miasta. Nie spodobały mu się wnioski wynikające z tych przemyśleń, wobec czego skupił uwagę na iluminacji, którą się aktualnie zajmował. Nie zostało mu zbyt wiele czasu, ponieważ Izgard żądał ukończenia wzoru w ciągu godziny i szybkiego przygotowania się do drogi. Wojsko miało wyruszyć jeszcze tej nocy, na cztery godziny przed świtem, aby o wschodzie słońca dotrzeć do obrzeży Bay'Zell.

Postanowił odpocząć podczas podróży. Król niedawno rozkazał, aby w powozie umieszczono polowe łóżko, i zachęcał skrybę do snu w czasie jazdy. Ederius właściwie powinien być zadowolony z troski króla, lecz wiedział, co się za tym kryje, i to go przygnębiało.

Z westchnieniem zanurzył piórko w atramencie w kolorze sepii, który przygotował specjalnie z myślą o zamku Bess. Wydzielina mątwy oznaczała ryby, które można było złowić bezpośrednio u jego brzegów; kwarcowy topaz symbolizował minerał, który drzemał w granitowym sercu twierdzy; cynober odpowiadał za krew, która została przelana w obrębie jego murów. Pigment był płynny i łatwy do zastosowania, toteż Ederius wolał nanosić go piórem, nie pędzlem.

Iluminacja była na ukończeniu. Stworzenia zostały powołane do życia (aczkolwiek nie wiedział, czym teraz są), dotarły po kryjomu pod mury twierdzy – nie zauważone przez nikogo, oprócz kolonii wysiadujących jajka rybołówek, które wzbiły się ku nocnemu niebu, ledwie wiatr przyniósł zapach obcych. W tejże chwili stworzenia wspinały się ku blankom, wychodząc wolno z cienia. Teraz pozostało już Ederiusowi jedynie związać ich wspólnym celem, aby nie pozostał na zamku nikt żywy.

Najprostszy fragment wzoru: kilka linii tańczących wokół stworzeń, spajających je tak, by stali się jedną myślą i jednym ciałem, poza tym trochę drapania ostrą stroną końcówki, aby ten pigment głębiej niż jakikolwiek inny wniknął w pergamin.

Kolczasty Wieniec zdawał się mrugać na skrybę ze swego cokołu, kiedy ten kończył malowanie wzoru. Z każdym dniem praca z nim szła sprawniej. Straszne stworzenia mroku, przyzwane tej nocy, potrzebowałyby niegdyś wielu godzin, a nawet dni na osiągnięcie pełni sił. Zbliżały się jednak pięćsetne urodziny Wieńca i Ederiusowi cały zabieg zabrał niecałe dwie godziny. Starzec coraz rzadziej czuł się skrybą, coraz częściej za to asystentem. Jakby przestał korzystać z pomocy Wieńca, a zaczął dla niego pracować. Wiedział, że przy wykreślaniu każdej spirali, linii i krzywizny coś kieruje jego ręką.

Kręcąc nieświadomie głową, skryba wstał od stołu. Iluminacja była gotowa. Puste brzegi karty zostały pokryte marginaliami, co miało wydłużyć czas działania poza granice wyznaczone schnięciem farb: teraz dzieci Wieńca powinny mieć dosyć czasu na wykonanie zadania.

Odkasznął do chustki i wyszedł z namiotu. Brakowało mu powietrza, dźwięków i zapachów. Pragnął poczuć się częścią życia.

Kiedy minął ostatnie z lin naciągowych, tuż przy płóciennym skrzydle wejścia zauważył białą smużkę dymu, unoszącą się z ziemi. Zerknął w dół i zobaczył, co to takiego: miska parującej, mleczno-białej mikstury. Po zapachu poznał mleko z miodem i migdałami. Angeline musiała usłyszeć jego kaszel i przygotowała mu swoje ulubione lekarstwo. Być może dlatego, że nie chciała przeszkadzać mu w pracy lub doprowadzić Izgarda do gniewu, pozostawiła miskę przed wejściem do namiotu.

Poczuł szczypanie w oczach. Ukłąkł przy miseczce, wziął ją w dłonie – napawając się ciepłem – i podsunął do piersi. Daremnie usiłował się uśmiechnąć. Wiedział w głębi duszy, że dobroć Angeline to dar, na jaki nie zasłużył.

– Mam tu dwudziestu ludzi. Pięciu łuczników z długimi łukami, których zamówiłeś u Segwina Ney, ośmiu moich własnych rycerzy i sześciu przydzielonych przez Balanona. – Camron dumiał przez chwilę, a potem uśmiechnął się słabo i dodał: – I jednego gwardzistę, którego wysłano, by pozbierał po bitwie tych, co przeżyli.

Ravis skinął głową. Gorzej być nie mogło.

– A co z Brokiem z Lomis?

Zatrzymali się pod drzwiami rozlupanymi przez groty bełtów.

– Broc nie żyje – odparł Camron, nie patrząc mu w oczy. – Harrarzy poderżnęli mu gardło.

Ravis dotknął serca.

– Przykro mi, Broc był odważnym człowiekiem. Dobrze mieć takiego żołnierza u boku podczas bitwy.

Żyły po jednej stronie szyi Camrona drgnęły lekko i wydawało się, że chce coś powiedzieć, lecz zamiast tego położył rękę na zasuwie, odsunął na bok i otworzył drzwi. Przekroczył próg i zniknął w ciemnym wnętrzu.

Ravis nie ruszał się z miejsca. Zniżył wzrok, żeby nie patrzeć w mrok komnaty, ale nie mógł uniknąć zapachu. W środku śmierdziało krwią. Przypuszczał, że od czasu rzezi nie czyszczono tego pomieszczenia. Jak dawno to się stało? Dziewięć tygodni temu? Dziesięć? Nerwowo uderzał czubkiem buta o posadzkę.

Upłynęło kilka minut. Cichy dźwięk dobiegł z gabinetu. Coś zaszurało po kamieniu i usłyszał zbliżające się do drzwi kroki. Podobny do ducha, Camron wynurzył się na oświetlony korytarz. Miał przekrwione oczy, lecz w ich kąciakach nie szklily się łzy. Niósł dwie rzeczy: mały, namalowany na desce obrazek wielkości dachówki oraz kostkę ametystowego wosku do pieczętowania listów, trochę mniejszą od pięści. Bez słowa wręczył obrazek Ravisowi i odwrócił się, by zaryglować drzwi.

Ravis chciał coś powiedzieć, pocieszyć go w jakiś sposób, lecz każdą myśl, jaka przychodziła mu do głowy, odrzucał jako niewystarczającą. Rzekł wreszcie:

– Wracajmy do kuchni. Chyba obaj chcemy się czegoś napić.

Camron zważył w dłoni kostkę wosku. Jego oczy przybrały kolor roztopionego metalu.

– Czy jest jakiś sposób, żeby bez rozlewu krwi położyć kres tej wojnie?

Ravis potrząsnął głową.

– Wątpię. Ludzie zginą, to pewne. Ilu, to zależy od wielu rzeczy. – Podniósł obrazek do światła. – Na przykład od tego, czy Tessa zdoła znaleźć to, czego szuka i czy da sobie radę z tak ciężkim zadaniem.

– Wierzysz jej?

– Bezwzględnie.

– Jest naszą jedyną nadzieją?

Ravis dotknął szramy wolną ręką.

– Nawet jeśli uda jej się odesłać Wieniec tam, skąd przyszedł, Izgard zostanie, a wraz z nim jego wojsko. Przy wyrównanych szalach nasz los wciąż będzie niepewny.

– A ty i ja? – zapytał, tak mocno ściskając kostkę wosku, że ciepło jego dłoni zaczęło topić jej krawędzie. – Jaka jest nasza rola w tym wszystkim?

– My tu zostaniemy, będziemy bronić zamku, damy Tessie szansę na zrobienie tego, co uważa za stosowne, a potem weźmiemy nogi za pas. Gdy wydostaniemy się z Bay'Zell, obmyślimy nasze kolejne posunięcie.

Camron potrząsnął głową. Przestał tak kurczowo zaciskać palce na kostce.

– Pamiętasz, kiedy spotkaliśmy się w domu u Marcela, przysięgłem ci, że nie zamierzam zająć miejsca Izgarda – rzekł, a Ravis przytaknął. – Od tamtej pory wiele się nauczyłem, zobaczyłem rzeczy, których nie powinienem nigdy oglądać. Myślę, że nadszedł czas, abym walczył o tron.

Ravis wstrzymał oddech. Wszystko zaczynało się komplikować. Camron nie mógł walczyć wraz z raizyjską armią przeciwko Garizonowi, jeżeli kiedyś zamierzał zasiąść na jego tronie. Naród Garizonu nigdy by mu tego nie wybaczył.

Spojrzał mu głęboko w oczy. Były sprawy, o który Camron nic nie wiedział – choćby inni pretendenci do tronu Izgarda. Przykładem może być on sam: szwagier Izgarda, mąż jego zmarłej siostry, mający te same prawa do tronu, co żona obecnego króla, Angeline z Halmac (w przypadku śmierci męża).

Camron nie spuszczał wzroku z Ravisa. Czekał na odpowiedź. Najemnik dotknął zębem blizny; odniósł wrażenie, że to zasupłana lina. Przeszłość wciąż ukazywała się jak żywa przed jego oczami. Ów stojący przed nim mężczyzna proponował wspólną walkę o coś, do czego obaj rościli podobne pretensje. Był dobrym człowiekiem. Podobnie jak Malray przez tamte wszystkie lata.

Poczuł w piersiach niespodziewany ucisk i dopiero po kilku chwilach doszedł do siebie. Dlaczego teraz dręczył go większy ból niż w przeszłości? Przecież nic się nie zmieniło. Fakty pozostały te same.

Odezwał się ostrożnie, żeby przypadkiem w ton jego głosu nie wkradły się emocje.

– Jedyna nadzieja na szybkie zakończenie wojny wiąże się z zamordowaniem Izgarda, i to szybko. Przy odrobinie szczęścia jego generałowie zaczną walczyć między sobą o sukcesję. Mogą nawet rozpocząć wyścig do Weizach, aby jak najszybciej zgłosić swoją kandydaturę.

– Sam mówiłeś, że zabójstwo nie wchodzi w rachubę.

– Zgadza się, jeśli brać pod uwagę kogoś z zewnątrz. – Widząc rozczarowanie malujące się na twarzy Camrona, dodał: – Kiedy Tessa upora się ze swoim wzorem, być może znajdziemy jakiś sposób.

Camron popatrzył najpierw na wosk, później na niego. Oczy mu gorzały.

– Pomożesz mi objąć tron?

Ucisk w piersiach Ravisa przybrał na sile. Poczuł się, jakby znów miał siedemnaście lat. Po – wydawałoby się – bardzo długiej chwili, ze zdziwieniem usłyszał swój głos:

– Tak.

Tessa nie chciała czekać, aż Camron zjawi się ze świecami. Wzięła deseczkę i usadowiła się wygodnie koło paleniska. W pomarańczowo-błękitnym blasku ognia podsycanego jesionowymi szczapami i torfem, obrazek Ilfaylena lśnił niczym skóra na wierzchu jej dłoni. W lewej dolnej części marginesu widniał podpis: “I”, a sam wzór nie przy pominął jej żadnego, z jakim się wcześniej spotkała.

Od razu wiedziała, że nie jest to poszukiwana kopia. Paleta kolorów była uboga, pergamin miernej jakości, a ornament dziwnie kanciasty. Bordiury były typowe – spirale i rząd przecinających się krzyżyków – lecz główny obszar wzoru składał się z serii luźno powiązanych figur geometrycznych. Kwadraty, prostokąty, elipsy i inne bardziej nieregularne kształty zostały obwiedzione sepiowym pigmentem, a następnie wypełnione bądź to sepią, bądź też jednym z kilku pozostałych kolorów, bursztynowym, ciemnoniebieskim, żółtozielonym lub bladym, piaskowym odcieniem czerwieni. Nie pożałowano farby – obrysy figur były wyraźnie wyczuwalne pod ręką.

– Pięć kolorów, panienko – rzekł Emith, przystając obok. – Tylko pięć, a sama zobacz, co udało mu się dzięki nim stworzyć. – W jego głosie zabrzmiała nuta podziwu. – Trzymasz w rękach dzieło wielkiego mistrza sprzed pięciuset lat.

Przesunęła deseczkę bliżej niego, aby się lepiej przyjrzał. Pięć kolorów. Pięćset lat. To nie mógł być przypadek.

– Światło dla damy. – Camron wkroczył do komnaty, niosąc dwa olbrzymie, cynowe świeczniki. Zauważalnie poprawił mu się nastrój. Zdawał się teraz bardziej pewny siebie. Zapalił świece i powkładał je we wszystkie ramiona kandelabrow, tak że obszar wokół paleniska kąpał się teraz w bielszym, bardziej naturalnym świetle.

Kolory iluminacji również uległy zmianie. Formy geometryczne nabrały ostrości i pojawiło się sporo nowych detali. Wzór coraz mniej przypominał dzieło sztuki, a coraz bardziej plan architektoniczny. Bordiura składała się ze wszystkich pięciu kolorów przeplatających się z sobą w ustalonej sekwencji. Zaraz nad nią, zachodząc na główny wzór, biegła druga, bledsza bordiura, najeżona luźno związanymi krzyżykami. W rogu, po przeciwnej stronie sygnatury, pojawiła się jakaś data, jednak Tessa nie mogła jej odczytać, ponieważ jedna z cyfr – 0 lub 9 – była dziwnie zniekształcona.

Camron spojrzał na iluminację znad jej ramienia.

– Tak naprawdę nigdy się temu bliżej nie przyglądałem. Zawsze był to dla mnie jeden z tuzina przedmiotów wiszących na ścianie gabinetu ojca.

– Te krzyżyki przypominają ornament roślinny, panienko. Zupełnie jak trzcina lub trawa. Skinęła głową. Zgadzała się z opinią Emitha.

Na lewo zaskrzypiała deska podłogi i wyczuła instynktownie, że obok niej stanął Ravis. Jego zapach przypominał jej noc, którą przespała na jednym łóżku na pokładzie „Cypla”. Udała, że bierze ją senność i przeciągnęła się, aby go dotknąć wolną ręką. Dłoń Ravisa wybiegła jej na spotkanie i na krótką chwilę splotły się ich palce.

– Czy coś ci to mówi? – zapytała Camrona i puściła rękę Ravisa. – Budzi w tobie jakieś wspomnienia, przypomina coś znajomego? – Kiedy to mówiła, bębniła palcem po szczególnie grubej niebieskiej plamie. Czyżby Ilfaylen nie umiał rozcieńczać pigmentów?

Camron potrząsnął głową – wolno.

– Nie jestem pewien. Coś w tym jest... – Okrążyła plamę palcem.

– Panienko – rzekł Emith – te krzyżyki przypominają mi solną trawę, na jaką natknęliśmy się w drodze na zamek.

– A ten kształt – Camron dotknął środka iluminacji – kwadrat ze ściętymi narożnikami, podobny jest do głównej sali. Nie został jednak namalowany we właściwej skali, a pozostałe kształty, otaczające go, nie pasują do przyległych komnat.

Tessa trąciła paznokciem grudkę pigmentu. Kawałek odłamał się od pergaminu i stoczył na podłogę.

Emith wstrzymał oddech. Zatrzeszczały kości nadgarstka Camrona, który jeszcze niżej pochylił się nad stołem. Ravis przerzucił ciężar ciała z nogi na nogę, przez co płaszcz z końlej skóry zaskrzypiał.

W kraterze niebieskiej farby usadowiło się połyskujące złoto.

Zimne mrowie przeszło Tessie po plecach. Krew nabiegła jej do twarzy. Dłoń trzymająca deseczkę zatrzęsała się, a wraz z nią iluminacja.

Emith wyciągnął rękę, aby ją uspokoić.

– To podkład, panienko. Kolejny trop.

– Trop, he? – Ravis przysunął się i dotknął złotego punkciku.

Tessa przełknęła ślinę. Miała kłopoty z oddychaniem i nie chciała, żeby się o tym dowiedział. Po chwili zdołała nad sobą zapanować. Przekrzywiła głowę w stronę Camrona.

– Czy to plan zamku Bess?

– Nie jestem pewien. Trudno się w tym połapać. Wydaje mi się, że rozpoznaję ze dwa kształty, ale to wszystko.

Zeskrobując ostatnie ślady pigmentu ze złota, badała wzór. Wszyscy milczeli. Ogień przygasł. Po pewnym czasie podniosła wzrok, ale nie na zebraną wokół niej trójkę, lecz na pomieszczenie, w którym się znajdowali.

Szczegóły, napomniała samą siebie. Szczegóły.

Zanotowawszy w pamięci każdy kąt w kuchni, powtórnie spojrzała na iluminację. Czują takie gorąco na policzkach, że w jej przekonaniu musiały błyszczeć czerwienią. Bolał ją kręgosłup na wysokości płuc. Przesuwając spojrzenie po malowidle, starała się wypatrzyć kształt kuchni pomiędzy tuzinem form wykorzystanych we wzorze.

Jej poszukiwanie zakończyło się fiaskiem. Oko przeskakiwało z koloru na kolor, z figury na figurę, na próżno wypatrując podobieństw. Sfrustrowana, uderzyła deską o kolano.

– Co z tobą, panienko?

Machnęła ręką.

– Sądziłam, że gdzieś wśród tych ornamentów uda mi się odnaleźć kształt kuchni, ale jej tu nie ma. – Mówiąc to, uderzyła paznokciem w następną, mniej odstającą grudkę farby. Pod nią znajdował się jedynie rozcieńczony sepiowy podkład. Spróbowała tego samego z kilkoma innymi grudkami. Na próżno. Narzucił się jeden wniosek: wszystkie pozostałe grudki i wypukłe krawędzie miały na celu ukryć tę, pod którą umieszczono złoto.

Emith “hymknął” uprzejmie. Podczas gdy Tessa zdrapywała farbę, on studiował ornament.

– Ten tu – ręka Emitha zawisła nad pergaminem, nie śmiał go jednak dotykać – mógłby pasować do kuchni, panienko.

Spojrzała na wskazane miejsce. Znajdował się tam malutki, prostokątny kształt, nie większy od paznokcia niemowlaka. Tak dokładnie oddawał prawdziwy wygląd kuchni, że nawet nisza z paleniskiem została uwzględniona.

Uniosła się i ucałowała Emitha w policzek. Oczywiście! Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej? Przecież tu nic nie było namalowane w odpowiedniej skali. Szukała czegoś odpowiednio dużego. Ifaylen jednak wiedział, że nie może namalować rzeczywistego rozkładu zamku – obudziłyby się podejrzenia – musiał stworzyć coś, co by nie przypominało planu.

Emith, wystraszony pocałunkiem, cofnął się o krok.

– Mogę przejść się po innych głównych pomieszczeniach zamku, żeby zbadać, jak wyglądają – powiedział. – To pomoże określić nam perspektywę.

Tessa zastanawiała się, czy nie podjął się tej misji, aby uniknąć następnych pocałunków. Potrząsnęła głową.

– Tu nie tylko skala została zmieniona. Perspektywa także. – Po namyśle przeniosła spojrzenie z dużego kwadratu, który Camron uznał za główną salę, na maleńki kształt, reprezentujący kuchnię. Zadrzała. Obie figury zostały wypełnione żółtozielonym pigmentem. – Na którym piętrze znajduje się główna sala? – zapytała Camrona.

– Na drugim, tak samo jak kuchnia.

– A ile pięter jest w zamku?

– Cztery, wliczając piwnice.

Sprawdziła, jaki jest kolor owalnego kształtu, otaczającego złocistą kropkę.

– Czyż nie mówiłeś, że pod piwnicami ciągnie się labirynt starych tuneli i jaskiń?

– Tak, ale...

– No to mamy już pięć pięter, prawda? – Na widok zdziwionej miny szlachcica, wyjaśniła: – Do wypełnienia wszystkich kształtów użyto tylko pięciu barw. A jeśli każda z nich odpowiada za jedno piętro? Kuchnia i główna sala znajdują się na tej kondygnacji. A zatem ten niebieski kształt – wskazała na owal okalający złotą plamkę – musi znajdować się na innym poziomie.

Camron dotknął deseczki.

– Jeśli masz rację, to by tłumaczyło, dlaczego żaden z kształtów przyległych do głównej sali nie przypomina rzeczywistych pomieszczeń.

– No właśnie – wtrąciła szybko. – One po prostu przedstawiają komnaty na różnych poziomach. Zobaczcie, mamy tu pomieszczenie w bursztynowym kolorze, a zaraz obok coś wypełnione piaskową czerwienią, co wygląda mi na korytarz. Ifaylen wszystko pomieszał, bo nie chciał, żeby ludzie widzieli w tym plan zamku Bess. Dlatego wolał nadać iluminacji abstrakcyjną formę. – Z trudem panowała nad podnieceniem. Mapa ukrytej kopii przez cały czas jawnie wisiała na zamkowej ścianie.

– Teraz musimy powiązać piętra i kolory – odezwał się Ravis.

Camron skinął głową.

– Kolor sepii przedstawia parter. Poznaje kształt wewnętrznego muru. – Wskazał na dużą, okrągłą formę. – A to – jego ręka powędrowała w kierunku wydłużonego prostokąta w

piaskowym kolorze z wieloma odgałęzieniami – wygląda mi na główny korytarz biegnący pod blankami. Będzie to zatem najwyższa kondygnacja.

– No to zostały nam bursztyn i błękit. – Tessa ani na moment nie spuszczała oczu ze wzoru. – Muszą pasować do piwnic lub najniższego poziomu.

Emith odkaslnął.

– Mogę się mylić, panienko, ale kolor błękitny powinien odpowiadać poziomowi morza.

Tessa obdarzyła Emitha uśmiechem. Sprawiał wrażenie gotowego rzucić się do ucieczki, gdyby po raz drugi nasza ją ochota go pocałować. Odwróciła się do Camrona i zapytała:

– Piwnice są nad czy pod poziomem morza?

– Nad poziomem morza. Żeby ich nie zalewało przy sztormach.

– Wobec tego jaskinie i tunele pod piwnicami znajdują się na poziomie morza?

– Zgadza się.

– No to wiemy już gdzie Ifaylen schował swoją kopię. – Wstała. – Czy są tam jakieś owalne pomieszczenia? – Mówiąc to, omiotła wzrokiem malowidło na pergaminie, aby sprawdzić wszystkie kształty w kolorze niebieskim. Było ich siedem, głównie wydłużonych prostokątów, odpowiadających korytarzom.

– Trudno mi powiedzieć. Chyba jedna z jaskiń pod wschodnim skrzydłem jest owalna...

– Aach!

Przy ostatnim słowie Camrona wrzask przeszył powietrze. Wszyscy zamarli w bezruchu. Nikt nie ważył się odetchnąć. Camron i Ravis wymienili spojrzenia. Rozległ się drugi okrzyk, przy wtórze potwornego łoskotu, od którego zamek zdawał się drzeć w posadach. Tessa wyraźnie czuła, jak drży posadzka. Dostała gęsiej skórki. Palce wpiły się w rysunek.

– Harrarzy – syknął Ravis, sięgając po nóż. – Tesso, Emicie, bierzcie świece i pędźcie do piwnicy!

Otworzyła usta, aby coś powiedzieć.

– W nogi!

Rozległ się kolejny wrzask. Urwał się przedwcześnie, zastąpiony przez głuchy huk, jakby coś się zawaliło. Twarz Camrona powlekła się trupią białością. Ruszył w kierunku drzwi.

Emith spojrzał na Tessę wyczekująco. Skinęła głową.

– Rób, co każe Ravis. Ty weź świece, a ja zabiorę torby.

– Woda, panienko. – Odparł drżącym głosem. – Będę potrzebował wody do pigmentów.

Ravis przebiegł na drugą stronę kuchni, ściągnął dzban z półki i napełnił go wodą z wiadra, a następnie podał Emithowi.

– Macie wodę i uciekajcie!

Tessa chciała ostrzec Ravisa, że Kolczasty Wieniec potrafi powołać do służby istoty o wiele groźniejsze od harrarów – cokolwiek ściagało ją przy grobli, było mroczniejsze i potężniejsze od harrara – lecz Emith znajdował się już przy drzwiach, a mina Ravisa skutecznie zniechęciła ją do rozmowy.



Wyciągnął nóż.

– Camronie, jak mają dostać się do piwnicy, a potem zejść jeszcze niżej?

Gdy lord odwracał się do Tessy, gdzieś niedaleko rozległ się zgrzyt żelaza.

– Schody na końcu korytarza zaprowadzą was prosto do piwnic. Kiedy tam już będziecie, trzymajcie się północnej ściany, aż korytarz się skończy. Traficie tam na schody, w zasadzie nie będą to schody, tylko z grubsza obciosane kamienie. One zaprowadzą was do tuneli. – Położył rękę na ramieniu Tessy. Nawet poprzez materiał ubrania wyczuwała chłód jego ciała.

– Tam, na dole, jest bardzo ciemno. Musicie być ostrożni. Niektóre głębsze przejścia mogą być zalane wodą.

Z trudem przelknęła ślinę. Całe podniecenie, jakie czuła w czasie rozpracowywania mapy Ilfaylena, ustąpiło raptownie. To nie była zabawa, w trakcie której mogła popisywać się swymi nowo nabytymi umiejętnościami w odczytywaniu ornamentów. To się działo naprawdę. Podniosła z ziemi pakunki i wyszła z kuchni w ślad za Camronem i Emithem. Ravis zamykał tyły.

Gdy dotarli do schodów, o których wspominał Camron, Ravis pochylił się i szepnął jej do ucha:

– Zostań tam na dole, aż przyjdę, żeby cię zabrać. Weź to. – Wręczył jej niewielkie zawiniątko. – Jest tu jedzenie, które pomoże wam przetrwać najbliższe dni.

Zaniepokoił ją ton jego głosu.

– Jedzenie? – Usłyszała stukot butów nad głową. Ktoś wykrzyczał rozkaz. Gdy spojrzała przed siebie, na schodach nie było już Camrona. Żal ścisnął jej gardło. Straciła okazję, by życzyć mu szczęścia.

Ravis ignorował wszystko, co się wokół działo. Patrzył tylko na Tesse.

– Jeśli stanie się najgorsze i zamek zostanie zdobyty, chcę, żebyś została z Emithem na dole tak długo, jak to tylko możliwe. Pod żadnym pozorem nie ryzykujcie wyjścia na górę. Rozumiesz?

– Ale...

Położył jej palec na ustach. Blizna białą pręgą dzieliła mu wargę na dwoje. Jego oczy nie były ciemne, ale wręcz czarne.

– Nie chcę cię utracić – powiedział. – Zostań na dole i dbaj o siebie.

Spoglądała przez chwilę na niego, po czym skinęła potakująco. Głos uwiązał jej w gardle.

– No dobrze – mruknął. – Teraz już idź.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Ravis pobiegł w stronę, z której dobiegały hałasy. Choć nigdy wcześniej nie odwiedzał zamku Bess, jego rozkład był mu dobrze znany. Garizończycy wszystkie swoje fortece budowali w ten sam sposób. W myślach przeliczył ludzi. Trzy okrzyki oznaczały co najmniej trzy trupy. Przerzucił nóż do lewej ręki i dobył miecza. W oddali mignął mu Camron biegnący wewnętrznym dziedzińcem. Włosy błyszcząły mu od potu. Rozważał, czy go nie zawołać, jednak myśl tę szybko odrzucił. Camron nie będzie zwracał uwagi na nikogo, dopóki nie dotrze do bramy.

Zaledwie poczuł pod stopami drobny żwir, jakim obsypany był dziedziniec, posępne, zwierzęce wycie rozdarło powietrze. Przypominało skowyt wilka, lecz było bardziej jęklliwe, przejmujące dreszczem. Włosy zjeżyły mu się na karku. Pamiętał, jak harrarzy porozumiewali się z sobą w Dolinie Popękanych Kamieni. Tamte okrzyki były niczym w porównaniu z tym, co teraz usłyszał. Łapiąc powietrze potężnymi haustami, przeciął dziedziniec i pobiegł do bramy w ślad za Camronem.

Zanim upłynęła minuta, dogonił go zapach. Omal nie stracił oddechu. Kiedyś, przed wieloma laty, został wynajęty przez księcia Terhasu do patrolowania granic jego posiadłości. Pewnego ranka przyłapał dwójkę mężczyzn na kopaniu dziury w ziemi. Wyciągali ciała dwóch złodziei bydła, którym generał pośmiertnie przebaczył. Przeleżeli w ziemi dziesięć dni, a kiedy ich wyciągano, rozpadali się na kawałki. Nadal pamiętał tamten smród. Dzisiaj poczuł podobny zapach. Zapach przegniłego ciała, wilgotnej ziemi i śmierci.

Splunął, aby przeczyszczyć usta, i zbliżył się do wewnętrznego muru. Garstka ludzi zajmowała się ryglowaniem bramy. Camron stał na uboczu i rozmawiał z ciemnowłosym młodzieńcem. Dwóch łuczników zajęło pozycję wysoko na wschodniej wieży strażniczej przy bramie i strzelało do celów po drugiej stronie muru.

Ravis przetarł pięścią bliznę na wardze. Sytuacja przedstawiała się gorzej, niż wcześniej przypuszczał.

Mur zewnętrzny został zdobyty. Ktoś go zburzył i teraz usiłował dostać się na główny dziedziniec zamku Bess.

Szum morza nasilił się, kiedy zbliżyli się do drugich schodów. Kamienne płyty stały się bardziej wilgotne i nierówne. Wiele z nich kiwało się pod ciężarem Tessy, ukazując pod spodem wilgotne szpary, pełne pełzających owadów. Wokół panował gęsty mrok.

Nawet pełne światło obu kandelabrow rozjaśniało obszar tylko na kilka kroków przed nimi. Blask padający na granitowe ściany przechodził w bursztynową poświatę, która

męczyła wzrok. Co pewien czas niezwykle światełka rozbłyskiwały niczym klejnoty. Emith uspokoił ją, mówiąc, że to kwarc.

Obarczona całym jego sprzętem, z trudem przebierała nogami. Strop był tak nisko, że musiała iść pochylona, a płuca bolały ją z wysiłku.

Pod przeciwległą ścianą stłoczono skrzynie, kufry, przykryte meble, beczki po piwie, wypchane głowy zwierząt, deski obwieszono zardzewiałą zbroją, tarcze strzelnicze, jak też rozmaite metalowe klatki i klamry, które niegdyś mogły służyć jako narzędzia tortur. Wszystko przenikał słonawy, zgniły zapach, który znacznie się nasilił, gdy skręcili za róg i zaczęli schodzić nieforemnymi, wykutymi w skale schodkami.

Jedna ze świeczek zgasła, a zaraz po niej druga. Wymienili spojrzenia. Delikatny wiaterek owiał im policzki. Tessa czuła, jak mokną jej palce u nóg. We wgłębieniach stopni zebrała się woda, a na różnych wysokościach wiekowe ślady po przyptywach – białe smugi soli – ozdabiały ściany.

– Jeżeli kopia znajduje się tu, na dole, panienko – rzekł Emith – miejmy nadzieję, że brat Ifaylen był na tyle przezorny, by schować ją gdzieś wysoko.

Zbiegali schodami przez kilka minut. Emith wielokrotnie ofiarowywał jej pomoc w niesieniu torby, lecz ona uparcie odmawiała. Przy każdym kroku uderzały o siebie rozmaite przybory: grzechotały deseczki, brzęczały słoiczki z pigmentami, muszle do mieszania farb klekotały jak kraby. Emith wylał z dzbana sporo wody, ale twierdził, że nie potrzeba mu jej tak dużo. „Wystarczy kropelka”.

Kiedy pokonali schody, Emith zdecydował, jaki kierunek powinni obrać.

– Tędy dojdziemy pod wschodnie skrzydło – powiedział, wybierając wąski tunel, w którym dwie osoby z trudem mogły stanąć obok siebie.

Podążyła za nim, oddychając ciężko. Jej myśli krążyły w dwóch miejscach: w podziemiach, gdzie wraz z Emithem szukała kopii namalowanej przez Ifaylena, oraz na górze, obok Ravisa i Camrona. Instynktownie przyspieszyła kroku. Chociaż dzieliło ją od Ravisa kilka kondygnacji, obojgu przyświecał ten sam cel, postanowiła więc odnaleźć kopię najszybciej, jak tylko można. Czas uciekał. Nawet gdyby Camronowi i Ravisowi udało się obronić zamek przed harrarami – czy kimkolwiek, do licha, byli ci napastnicy – Izgard na czele swego wojska mógł nadejść wkrótce po nich. Ciarki przeszły jej po skórze. Gdy tak się stanie, będą w pułapce.

– Panienko, dobrze się czujesz? Trochę zbladłaś. – Emith zbliżył jedną ze świec do jej twarzy.

– Nic mi nie jest, naprawdę. Musimy się pospieszyć. – Sama słyszała, jak jej głos niepewnie brzmi; spuściła wzrok, unikając bacznego spojrzenia Emitha.

Tunel stale prowadził w dół. Co kilka kroków mijali wyloty innych korytarzy i raz po raz spostrzegała pomieszczenia przypominające jaskinie. Świece rzucały światło na wysokie, naszpikowane stalaktytami stropy, na fragmenty ścian wyciętych w litej skale i na sadzawki w

nienaturalnym odcieniu błękitu. Niekiedy Emith zatrzymywał się po to, aby wetknąć głowę do jaskini i stwierdzić: “Nie, ta nie jest owalna, panienko”. Odbijające się echo doprowadzało do obłądu.

Tunel urwał się raptownie. Mieli przed sobą trzy drogi: dwa dosyć szerokie korytarze, których ściany nosiły ślady szerokich dłut, jakimi posługiwali się dawni kamieniarze, oraz wąskie przejście – szczyrbę w granitowym murze.

Emith podszedł do pierwszego z szerszych korytarzy.

– Ten zaprowadzi nas pod główną część wschodniego skrzydła.

– Nie – sprzeciwiła się tak gwałtownie, że cofnął się o krok. – Pójdziemy tędy. – Wskazała ręką na szczelinę w skale. Jej kształt przypominał zniekształconą cyfrę na iluminacji Ilfaylena.

Spojrzał na nią bacznie, zmrużył oczy i ruszył ku szczelinie, unosząc świeczniki, aby rozjaśnić sobie drogę. Cieszyła się, że nie zakwestionował jej wyboru, choć miał do tego prawo: sama nie wiedziała, czy dobrze postąpiła.

Otwór w skale był wąski i poszarpany. Kiedy przeciskała się na drugą stronę, zaczepiła sukienką o ostry występ. Szamocząc się, rozerwała materiał, aż w jaskini rozległo się głośnie echo. Zakłęła. Poczowała, że krew ścieka jej po ręce. Po przejściu przez szczelinę Emith powitał ją potrząśnięciem głowy.

– Nie jest owalna, panienko.

Rozejrzała się wokół. Znaleźli się w małej, nisko sklepionej komorze, której ściany stanowiły litą skałę. Podłoże było tu twarde i nierówne, a w zagłębieniach nagromadziła się woda. W granicę połyskiwały krystaliczne wrzeciona.

– Może gdzieś dalej jest jakieś przejście? – zapytała, pocierając zadrapaną rękę.

Zerknął na prawo.

– Chyba nie ma, panienko.

Podążyła za jego wzrokiem i odkryła otwór u podnóża ściany. Człowiek mógł się przezeń precyzyjnie tylko z największym trudem. Kiedy podniosła wzrok, potrząsał głową.

– Odpada, panienko. Ilfaylen nie był młodzieniaszkiem. Nie próbowałby przełazić przez taką dziurę.

Z oddali dobiegło zwierzęce wycie. Wrzask ten rozbrzmiał w grocie niczym trzaśnięcie bicia, tłumiąc wszelkie echa.

Zrobiło jej się sucho w ustach. Emith zerknął na strop, potem popatrzył pod nogi. Tessa położyła torby i przecięła jaskinię. Miała zamiar za wszelką cenę przejść przez ten otwór.

Emith podbiegł do niej.

– Panienko...

– Nie, Emicie. – Potrząsnęła głową, nie patrząc wstecz. – Camron powiedział, że był chłopcem, kiedy tu się zgubił, a z czego znani są mali chłopcy? Z włazenia w każdą szczelinę i zakamarek w zasięgu wzroku.

Podwinąwszy potargane rękawy – bardziej na pokaz niż z jakichś racjonalnych powodów – przyklekła przy otworze. Usiłowała nie myśleć, jakie stworzenie zdołało wydać tak przeraźliwe wycie, że przeniknęło ono grube warstwy skał. Zagłębiła się w ciemną dziurę, świadomie nie oszczędzając przy tym ciała, żeby rozproszyć natrętne myśli.

Skała podrapała jej najpierw policzek, potem usta. Z zamkniętymi oczami, wstrzymując oddech, przeciskała się na drugą stronę. W pewnym momencie poczuła na czole chłodny powiew i uniosła powieki. Wszystko było czarne. Wyciągnęła przed siebie ręce w poszukiwaniu jakiegoś występu, którego mogłaby się chwycić. Otarła się o nierówną krawędź i ramię znowu zaczęło krwawić. Pot zalewał oczy. Aby nie wpaść w panikę, odepchnęła się nogami i przesunęła do przodu.

Tracąc po drodze włosy, strzępiąc ubranie i ocierając skórę, przepchnęła się w końcu do przyległej jaskini. Gdy tylko uwolniła ręce i nogi, zawołała do Emitha:

– Podaj mi światło!

W chwilę później w szczelinie pojawiła się ręką z pojedynczą świeczką. Ocierając pot i kurz z twarzy, chwyciła ją, odwróciła się i spojrzała w ciemności i cienie poza kręgiem światła.

Grota była ogromna. Kryształki soli i kwarcu błyszcząły na ścianach. Smukłe, skalne kolumny wznosiły się w górę niby skamieniałe pnie drzew. Pod nimi spoczywały sterty głazów o dziwnych formach, gładkich i płaskich niby gigantyczne bochny chleba. Podłozie jaskini było faliste i pobrużdżone; sól oraz inne minerały tworzyły blade kręgi wokół licznych płytkich jeziorok, mieniając się bielą, błękitem, zielenią lub bursztynem.

Uniosła świecę, której blask półkuliście rozjaśniał sporą część groty. Próbując przebić wzrokiem cienie zakrywające większość przeciwległej ściany, badała jej kształt. W pewnym momencie ogłędzin dreszcz przebiegł jej po plecach. Znajdowała się w owalnej komorze.

Przełknęła głośno ślinę. Łzy stały jej w oczach. Miotły nią zmienne uczucia: strach o obrońców twierdzy, miłość do Ravisa i Emitha oraz głęboki, bolesny smutek po stracie matki Emitha. Wszystko było prawdziwe. Efemerydy, Rozdział, wiążąca Wieniec iluminacja Ilfaylena, wszystko.

– Panienko! – krzyknął Emith po drugiej stronie. – Wszystko w porządku? Powiedz coś, proszę.

Wzięła się w garść pod wpływem zatroskanego głosu Emitha. Nie pora była teraz na bezczynne rozmyślanie o przyczynach wszystkich zaistniałych zdarzeń. Musiała pogodzić się z prawdą i zabrać wreszcie do pracy.

– Nic mi nie jest, Emicie – odkrzyknęła, rozglądając się za miejscem, gdzie można było ukryć kufer, worek lub prasę rękopiśmienną. – Jestem w owalnym pomieszczeniu. Grunt pod nogami jest trochę zdradliwy, na twoim miejscu nie wchodziłabym tutaj.

– Nie, panienko. Nie mogę pozwolić, żebyś szukała na własną rękę. Poczekaj, tylko...

– Proszę cię, Emicie! – wrzasnęła, nie dając mu dokończyć. – Nie ruszaj się z miejsca. Jesteś ode mnie szerszy w ramionach i mógłbyś utknąć. – Odsunęła się od dziury i ostrożnie zbadła skałę pod nogami. Podłoże wydawało się solidne, więc postąpiła krok do przodu, kierując się ku środkowi jaskini.

Kamienie i skalne odłamki grzechotały, gdy przechodziła po gładkich o zaokrąglonych brzegach, koło sadzawek i pod wysmukłymi kamiennymi kolumnami. Blask świecy odsłaniał półprzezroczyste grzybki, porastające wilgotne zagłębienia między skałami. Ich widok napawał ją dreszczem i zawsze skręcała, gdy tylko wypatrzyła je przed sobą.

Przesuwając się z kamienia na kamień, miała nieodparte wrażenie, że podąża po śladach Ilfaylena. Jakoś udało mu się precyzyjnie przejść przez szczelinę. Musiał tedy stąpać, podobnie jak ona; uważać na każdym kroku i w miarę możliwości zachowywać ciszę. Miejsce to nadawało się idealnie na przechowywanie jedynej kopii iluminacji wiążącej Kolczasty Wieniec. W jaskini panował martwy, podniosły nastrój mauzoleum.

Po dotarciu na środek groty obniżyła świecę i zaczęła przypatrywać się mrocznym zakamarkom pod gładzami i sterczącymi, granitowymi występami. Była pewna, że kopia znajduje się gdzieś na wyciągnięcie ręki: złoty punkcik został namalowany w samym środku niebieskiego owalu. Ponieważ nic znalazła niczego prócz złóż minerałów i wstrętnych grzybów, skupiła się na kamiennych kolumnach, pnących się po sam sufit.

Wśród grubych, przeplatających się z sobą skalnych żył tworzyły się pasma cieni, czarne otwory i wydłużone szczeliny. Tessa ustawiła świeczkę w stygnącym wosku i zaczęła obmacywać kamienie. Były zimne i gładkie, a miejscami – tam gdzie woda skapywała ze stropu – mokre. Nie znalazłszy niczego w schowkach, do których mogła dosięgnąć, podeszła do następnej kolumny. Ilfaylen musiał być wątłym człowiekiem (w przeciwnym razie nie przeszedłby przez wąski otwór), toteż kopia nie mogła zostać umieszczona zbyt wysoko. Nie wierzyła, że wspinał się po kamieniu – gdyby pod wpływem nacisku struktura kolumny uległa zachwianiu, wszystko mogło się zawalić.

Szara, upstrzona bursztynem powierzchnię drugiego słupa zdobiły koronki pęknięć i otworów. Porozrzucane wokoło zwały luźnych kamieni i fragmentów skał budziły w niej lęk. Okrążając kolumnę w poszukiwaniu cieni oznaczających wgłębienia, z trudem utrzymywała równowagę. Niektóre odłamki musiały odpaść od kolumny i zastanawiała się, czy pod wpływem jej ruchów mogą odpaść też inne. Zerknęła do góry, by sprawdzić, czy nie ma tam jakichś podejrzanych rozgałęzień lub wyrzuseń. Zobaczyła tak wiele niebezpiecznie wyglądających wypukłości, że cofnęła się o krok.

Ledwie dotknęła butem kamienia, ten zachwiał się. Zatoczyła się, lecz zanim upadła, dała susa i chwyciła się kolumny, odzyskując równowagę. Raptem fragment skały odłamał się pod jej dłonią i poleciała całym ciałem na słup. Gdy jej ramię uderzyło o kamień, coś trzasnęło. Cała kolumna zadrżała. Pył szczypał ją w oczy, odłamki sypały się rzesiście. Zgasło światło.

Kiedy zasłoniła rękami głowę przed spadającymi kamykami, wielka skalna płyta roztrzaskała się u jej stóp. Posypały się na nią kamienne odpryski.

Kurz dusił w gardle. Jaskinia napełniła się wielokrotnym echem. Z oddali dobiegały zduszone okrzyki Emitha.

Za wszelką cenę usiłowała zachować spokój i poczekać, aż umilkną echa i wszystko wróci do normy. Z jej lewej ręki i nogi płynęła krew, jednak nie czuła bólu. Pył drażnił gardło i nos, utrudniając oddychanie. Choć wiedziała, że najrozsądniej jest poczekać na Emitha i światło, postanowiła przesunąć się na lewo, z dala od kurzu unoszącego się nad rumowiskiem. Brak świeżego powietrza przypominał jej wyraźnie noc spędzoną w serowej jaskini.

Położyła lewą dłoń na ziemi, między ostre odłamki skały i obróciła się ostrożnie. Następnie, gdy wyciągała rękę z gruzu, otarła się palcami o coś, co nie przypominało kamienia.

– Cofnijcie się wszyscy, kiedy będę lał naftę! – Krzyk Ravisa wzbął się ponad trask łamiącego się drzewa i huk padających belek. – Cofnijcie się i nie ruszajcie! – Z owiniętym szmatką drewnkiem w zębach, z huśtającym się u pasa woreczkiem na krzemień, przyciskając do piersi baryłkę nafty, Ravis wspinał się na ostatnie stopnie prowadzące do budynku przy bramie.

Dym buchał gęstymi kłęбами – za sprawą stworów – i gryzł go w oczy, gdy stał tuż nad stosem, który ludzie Camrona dopiero co wnieśli z suchego chrustu, trzciny, mebli i tkanin ściennych. Z myślą o zatrzymaniu wroga kilka kroków przed bramą, na ubitym żwirze wewnętrznego dziedzińca przygotowano naprędce ognisko. Lada chwila potwory Izgarda mogły wyważyć bramę. Najwyższa pora, żeby dać im nauczkę.

Jeśli chcą się pobawić ogniem, zgoda. Dźgnął nożem w baryłkę i podważył dekiel. Niech pokażą, jak pięknie umieją się palić.

Kołysząc beczułką poza krawędzią muru, zaczął oblewać naftą spiętrzone na stosie drewno. Kiedy wytrząsał ostatnie krople, budynek zatrzęsł się w posadach. Brama zachwiała się, żelazne zawiasy jęknęły, a sztaby zatrzeszczały niczym wiązania statku w czasie sztormu. Ravis posłał baryłkę w ślad za wylaną naftą i wysupłał krzemień z woreczka. Nie wyciągnął jeszcze z ust drewnienka. Miał na to czas.

Przełknął ślinę o posmaku ropy i spojrzął na dziedziniec. Naciągnięte łuki ostatnich czterech łuczników połyskiwały w świetle, podczas gdy oni sami chowali się w cieniu, za cięciwami. Pozostałych ośmiu żołnierzy czaiło się na skrzydłach; ich miecze były wyciągnięte z pochew, tarcze czekały w gotowości. Większość miała na sobie kolczugi bądź napierśniki. Wszyscy włożyli hełmy. Żaden nie przywdział pełnej zbroi. Z drewnkiem w ustach Ravis nie zdołał się uśmiechnąć, więc tylko potrząsnął głową. Camron i jego ludzie posłuchali wreszcie głosu rozsądku.

Camron, jakby świadom, z jakiego powodu Ravis potrząsa głową, uniósł dłoń w geście pozdrowienia. Spośród wszystkich żołnierzy ustawionych w luźnym półokręgu wokół bramy i ogniska, on był najbardziej skoncentrowany. Wysunął się na kilka kroków przed swoich ludzi, zaciskając kurczowo zbiegłe palce na jelcu miecza. Nie uśmiechało mu się walczyć ze swoimi rodakami, lecz zdecydował się na to w nadziei, że zapobiegnie większej rzezi, gdy wojska Izgarda dotrą do Bay'Zell. Ravis wątpił, czy taka rzecz jest możliwa, lecz nie zamierzał wyprowadzać Camrona z błędu. Zaczynał przypominać sobie, co to znaczy mieć własne przekonania.

Za bramą podniósł się piekielny hałas. Ledwie go usłyszał, wyciągnął drewno z ust – szmatka nasączona ropą mogła pozostać wilgotna, kiedy biegł po schodach (gdyby ją trzymał w ręku, wyparowałyby w ciągu kilku sekund) – rzucił je na ziemię i równocześnie skrzesał iskrę. Kiedy uderzał krzemieniem jak najdalej od ciała, poczuł na policzkach chłodny powiew.

Trach!

Dokładnie w tym momencie, kiedy błysnęła iskra, coś uderzyło w bramę, która wypadła z zawiasów, pękając na dwoje. Budynek i mur zadrżały, żelazne sztaby trzaskały jak pękające kości. Powietrzem targnął huk łamiących się bali.

Ravis uczeplił się muru, żeby nie stracić równowagi, pochylił się i podniósł drewno. Suche jak wiór – zapaliło się z cichym trzaskiem i strzeliło biało-niebieskimi płomykami. Trzymając twarz z dala od ognia, aby jakaś zabłąkana iskierka nie padła na ropę płamiącą jego usta, wysunął drewno nad stos i czekał, aż pierwszy ze stworów wyskoczy z drugiej strony.

Nie musiał czekać długo. W ułamek sekundy później niewyraźny cień przedarł się przez szczątki bramy. Wzywając pomocy wszystkich pięciu bogów (nie wyłączył nawet diabła), Ravis cisnął płonące zarzewie na podłany naftą stos.

Skoro tylko wypuścił drewno z ręki, pobiegł wzdłuż blanek ku schodom. Zanim postawił stopę na pierwszym ze stopni, stos stanął w ogniu. Mniej lotna od ropy, nafta zapaliła się z krótkim westchnieniem, a do wnętrza ogniska pomknęły gorące, żółte wstęgi. Ściana płomieni rozrosła się z dziką gwałtownością, gdy błyskawicznie zajęły się draperie i kruche meble.

Rozległ się skowyt. Zbiegając po schodach, Ravis dostrzegł, jak jedno ze stworzeń rozpycha się przez ogień. Podążało za nim drugie, również całe w płomieniach. Tymczasem z tyłu, w mroku za bramą, pozostałe drgnęły i ruszyły do szturm.

Ravis potarł bliznę. Na Boga, kimże one były?

A były tak czarne, że nawet blask ognia przed nimi ustępował; karmiły się samą esencją nocy wchłaniając przestrzeń, powietrze i światło. Masywne, acz zwinne niczym żywe srebro, wydawały się skrajnym przeciwieństwem wszystkiego, co ogrzewają promienie słońca. Ravisowi zaschło w ustach. Usiłował wychwycić więcej szczegółów, lecz z jakiegoś powodu



stwory broniły się przed badawczym wzrokiem, podobnie jak lustrzane odbicia na tafli wzburzonego jeziora.

W coraz to większej liczbie stworzenia napływały zza bramy i roztrącały ognisko. Jedne stawały w płomieniach, inne nie, lecz ogień nie powstrzymał żadnego z nich.

Gdy Ravis wyskoczył na żwir dziedzińca, Camron wykrzyknął rozkaz i łucznicy zwolnili cięciwy. Strzały wystrzeliły w powietrze: szare punkty żłobiły ciemności i z szumem pędziły ku bramie. Ravis poczuł niemal na policzkach ich oddech. Zanim zdążył mrugnąć, usłyszał, jak wkłuwają się w piersi wrogów.

Zachręściły kości. Przebita skóra syczała. Potwory ryczały i wyły. Nie padł zaden.

Trafione prosto w piersi strzałami o szerokich grotach, wystrzelonych z długiego łuku z odległości stu kroków – wszystkie przeżyły. Ravis zwilżył językiem zimną linię swojej blizny. Widział, jak następne stwory wbiegają przez połamaną bramę. Zadeptywały ogień, dusiły płomienie własnymi ciałami, umożliwiając przejście swoim towarzyszom. Nie zważały na oparzenia i krwawiące rany od strzał, tylko parły naprzód, aby zdobyć twierdzę.

Ravis dobył jednocześnie miecza i noża, po czym pobiegł w stronę Camrona. Od dwudziestu jeden lat nie miał do czynienia z tak przygniatającą przewagą wroga.

– Nie, panienko, ty otwórz. – Emith podsunął Tessie skórzaną sakwę. – Tylko tobie wypada to zrobić.

Skinęła głową. Miała na tyle zaschnięte gardło, że oddychanie sprawiało jej ból. Kiedy wyciągnęła dłoń w stronę brązowej, pomarszczonej ze starości sakwy, po ręce spłynęła strużka krwi z jakiejś rany lub zadrapania. Zacisnęła na chwilę palce na obolałym miejscu i spróbowała wziąć się w garść.

Wszystko wydarzyło się tak niespodzianie: pękła kolumna, posypały się kamienie, zapadła ciemność, wyczuła ręką miękką powierzchnię skóry, a potem Emith wszedł do jaskini i ją uratował, niosąc światło, aby rozproszyć ciemności, wodę, aby zwilżyć jej usta i alkohol, żeby przemyć rany. Emith opiekował się nią pieczołowicie – podobnie zresztą jak kiedyś dbał o swoją matkę. Gdy patrzyła, jak bandażuje jej najgorsze rany – zawsze uważając, by nie sprawić bólu – doszła do przekonania, że potrzeba mu kogoś, kim mógłby się opiekować. Taki już był.

Razem oczyścili podnóże słupa z odłamków skały i kamieni, a następnie wydobyli z gruzu sakwę. Nie wiadomo, czy była schowana gdzieś w skale, która się oderwała, czy też leżała wciśnięta w jakąś szczelinę słupa i wypadła pod wpływem drżenia. Nie miało to teraz znaczenia. Na skórze widniał odcisnięty inicjał Ilfaylena i od chwili, kiedy ujrzała stylizowaną literę I, aż do teraz, gdy siedziała obok Emitha ze skrzyżowanymi nogami w niewielkiej, nisko sklepionej komorze, przyległej do owalnej jaskini, cała reszta była zasłonięta mgłą.

Oto leżała przed nią skórzana, należąca niegdyś do Ilfaylena sakwa.

– Gotowe, panienko – rzekł Emith i ustawił obok niej oba kandelabry. – Zapaliłem wszystkie świece. Powinno być odpowiednio jasno do malowania.

Do malowania? Przełknęła ślinę. Przecież po to wezwał ją pierścień, żeby namalowała iluminację, dzięki której Wieniec mógł odzyskać wolność. Odruchowo sięgnęła do szyi, by dotknąć złotych kolców. Utkwiła spojrzenie w jego twarzy.

– Będzie mi potrzebna twoja pomoc, Emicie – powiedziała. – Tak wielu rzeczy nie wiem. Nie wahał się odpowiedzieć:

– Panienko, siłą mego ciała, sprawnością moich rąk i wiedzą mojej głowy możesz rozporządzać do woli. Nie twierdze, że jestem mędrce, człowiekiem wielkim, ale wszystkimi umiejętnościami, jakie nabyłem w ciągu lat służby najpierw u brata Avaccusa, a następnie mistrza Deverica, chętnie się z tobą podzielę. – Uśmiechnął się dobrodusznie z roziskrzonymi oczyma. – Moja matka tego właśnie by chciała.

Tessa zacisnęła mocno wargi, niezdolna odezwać się ani uśmiechnąć. Wpierw Ravis, teraz Emith. Czym zasłużyła sobie na miłość jednego człowieka i bezwzględną wierność drugiego?

Pytanie to wciąż ją nurtowało, kiedy odwróciła się do sakwy, przecięła rzemyki pożyczonym od Emitha ostrym, półksiężycowatym nożykiem i zajrzała do wnętrza.

Spomiędzy fałd uniosł się pył skalny i drobinki spróchniałej skóry. Wraz z kurzem rozeszły się zapachy uwiecznione przez pięćset lat: zapach potu, nieco zatechła woń starej skóry ifeeria chemicznych wyziewów tuzina pigmentów. Tessa wyczuła między innymi patynę, arsen, siarczany i amoniak. Z drżącymi dłońmi i bijącym sercem sięgnęła do środka i wydobyla zawartość. Manuskrypt znajdował się w prowizorycznej prasie, wykonanej z dwóch związanych sznurkiem bukowych deseczek. Na niej leżał zalakowany, złożony w czworo list, pod nią zaś skrawek wełny lub jakiegoś podobnego materiału, także pieczołowicie złożony. We włóknach tkaniny migotały okruszki ciemnego proszku.

Wzięła głęboki oddech. Obok niej Emith stał równie nieruchomo, jak otaczające ich kamienie. Płomienie świec chwiały się, rzucając na ściany rozedrgane refleksy. Błyszczał kwarc. Szum morza niczym tętno dobiegał do jaskini. Tessa uniosła list i złamała pieczęć. Treść napisano sepiowym atramentem, a litery były rzadko rozsiane i czytelne.

*Przyjacielu!*

*Nie czuj wzdąry dla mnie. Po cóż zło rozpominać, jakie spod ręki mojej wyszło, gdy obaj znamy naturę mego czynu? Stary już jestem, wielem przysięg złamał, lecz nie myśl o pysze, co inną kierowała, tylko pomnij na Wiarę, która z drogi zlej mnie zwróciła.*

*Do dzieła weź się bez zwłoki. Klnę się, iżem transkrypcji akuranej dokonał, w czym Bóg Jedyny pomagać mi raczył. Wiernie za nią podążaj, a zaprowadzi cię w miejsca cztery, które odwiedzić musisz.*

*Oby z pędzla twego farby gładko spływały, dzieło wszelkie zaś z serca  
zarówno początek, jak i koniec czerpało.*

*Gdy czytasz to, ja zbawienia czekam.*

*Ifaylen*

Tessa zamknęła oczy, huczało jej w skroniach. Poczowała, jak Emith zabiera list. Kiedy go czytał, ciszę mącił jedynie daleki szum morskich fal.

Minutę później przemówił niskim i urywanym głosem.

– Och, panienko, jakież brzemie on dźwigał?

– I ja je teraz dźwigam, Emicie – odrzekła, dziwiąc się powadze swych słów. – Avaccus też je dźwigał. Nigdy się nim nie dzielił, aż jego kości zamieniły się w ołów. – Zadrżała na wspomnienie mnicha w jaskini. Nie zamierzała skończyć jak on.

Wyciągnęła spod prasy wełniane zawiniątko. Gdy kładła je na kolanach, posypały się drobiny czarnego proszku. Był to szal Ifaylena. Odwijając materiał, rozsypała jeszcze większą ilość proszku: kazeina spajająca go niegdyś z wełną dawno zamieniła się w pył. Zaniechała dalszego rozwijania i wręczyła szal Emithowi, który odłożył go na bok. Nie chciała po raz pierwszy patrząc na wzór, zobaczyć jakiegoś negatywu, bezbarwnego obrysu.

Emith obchodził się z szalem tak ostrożnie, jakby miał w rękach tkaninę uprzedzoną ze szkła. Nie rozwinął go dalej, gdyż wiedział, że Tessa sobie tego nie życzy.

– Miałas rację, panienko – powiedział, gdy już położył szalik na kamieniu – jeśli chodzi o kopię, o proszek, o szal. Wszystko.

Potrząsnęła tylko głową, gdyż nie miała ochoty na wysłuchiwanie gratulacji. Jej zasługi sprowadzały się do splecenia kilku szczegółów w pojedynczą nić. Emith dokonałby tego samego, gdyby znał wszystkie fakty.

Odpędziła te myśli wzruszeniem ramion i wzięła w ręce prasę. Bukowe deszczułki były nierówne i popękane; ledwie przecięła pierwszy rzemyk, zaczęły się rozsuwać. Pozbywając się pozostałych wiązań, dotykała drewna z najwyższą ostrożnością, aby uniknąć drzazg, a potem rozpadającą się prasę otworzyła jak książkę. Na wierzchu w celu dodatkowej ochrony położono skrawek żółtego pergaminu, który natychmiast zdjęła i spojrzała na wzór.

Kurz opadł. Blask świec przestał się chybotać. Morze stało się ciche niczym jezioro. Powietrze w grocie stężało – zrobiło się ciężkie i naładowane, jak przed burzą. Dla Tessy wszystkie zewnętrzne doznania były jakby cieniem na plecach: cechowała je – podobnie jak kurtynę zasłaniającą scenę – pewna nieistotność. Teraz liczył się wyłącznie wzór.

Na pierwszy plan wybijały się czerwienie, czerń oraz złoto. Smugi krwistoczerwonego pigmentu rozprowadzały substancje mineralne po całej karcie. Rozpływając się z centralnego punktu ku bocznym pasom, karmiły malowidło niby potężna aorta, pobudzając do życia każde prostoliniowe i łukowate pasmo. Złoto stanowiło serce kompozycji. Błyszczało wokół

spiral, przekazywało wieści między poszczególnymi węzłami – niby najeżony szpikulcami szkielet spajało cały wzór.

Czerń rzucała cienie. Nic nie mogło odbyć się bez jej udziału: wszystko podkreślała, podcinała i podminowywała. Czasem grabiła złoto z jego blasku, a czasem biegła wzdłuż szkarłatnych nici, tworząc kontrasty. Żłobiła głębokie bruzdy, w które wpadały spirale, oraz uśmiercała meandry i plecionki, a zabierała przy tym tyle, co najmniej tyle samo, co dawała.

Wzrok Tessy przesuwiał się po kolejnych szczegółach. Wzór był przepiękny, groźny, nasycony mocą. Spirale przeżyły się jak powrozy, a linie trzeszczały, jakby lada chwila miały pęknąć. Łuki walczyły z własnymi krzywiznami, krzyżyki puchły jak naciągane cięciwy, natomiast bordiury – mniej kojarzące się z dekoracją, a bardziej z kajdanami – twardą ręką utrzymywały całość w ryzach.

We wzorze nie było nic naturalnego. Żadnych przejawów życia roślinnego lub zwierzęcego, ziemi, morza czy gwiazd. Iluminacja cechowała się jakąś martwością i nieziemskością, przejawiającą się w każdej zakrzywionej linii. Połyskiwała teatralnie, fałszywie, niby szklane oko lub ciało zakonserwowanego trupa.

Przeszył ją dreszcz. Czowała się nieswojo.

Ten wzór był aberracją. Patrząc na niego, domyślała się w głębi duszy, o czym musiał myśleć Ilfaylen, kiedy go malował. To dzieło nie powinno przetrwać. Groteskowe, sztuczne, nierealne: aż prosiło się, żeby je unicestwić.

Położyła pergamin na ziemi i odezwała się, nie mogąc jednak oderwać od niego wzroku.

– Trzeba wszystko przygotować, Emicie. Wymieszaj pigmenty i przygotuj welin, musimy namalować wzór. – Zmusiła się, żeby jej słowa zabraniały formalnie, sztywno. Emith nie powinien zauważyć jej strachu.

– Tak, panienko – zgodził się głosem cichym i przepełnionym podziwem. – Czy mam dobrać pigmenty idealnie do oryginału? Czerwień to według mnie cynober na bazie rtęci, a czerń wygląda na węgiel z dodatkiem gagatu.

– Zgoda – odparła. – Albo nie. Jeśli tylko to będzie możliwe, używaj barwników roślinnych i zwierzęcych, a dopiero w ostateczności nieorganicznych. Przede mną leży martwe dzieło. Ja muszę namalować coś tętniącego życiem.

Na znak Izgarda porucznik wykrzyknął hasło do postojów. Rozkaz, natychmiast podchwycony przez następnych w szeregu oficerów, został wzmocniony i rozszedł się tak, że wnet każdy człowiek, wierzchowiec i zwierzę juczne wyraźnie go usłyszało. Powoli, stopniowo, na przestrzeni tysiąca kroków, znieruchomiały ciemne zagony posuwającej się z łomotem armii Garizonu.

Choć świt jeszcze nie rozjaśnił widnokregu, pierwsze ptaki poderwały się do lotu, lisy powróciły do nor, a pod wpływem ruchu i gorąca koni rosa zniknęła z trawy. Komary wciąż cięły. Izgard ujrzał krew na szyi porucznika, jak też krwawe punkty na boku jego konia. Sam

nie został pokąsany. W ostatnich dniach owady siadały na nim coraz rzadziej. Był to kolejny dar Wieńca.

– Rozbijamy obóz, panie? – zapytał porucznik. Podobnie jak każdy oficer, znał swoje rozkazy, lecz pod żadnym pozorem nie przystąpiłby do ich wykonania bez bezpośredniego przyzwolenia króla.

Izgard lubił tego człowieka, choć cerę miał ospowatą i nie zachęcającą do dotykania. Skinął głową.

– Chcę, żeby o świcie wszystko było gotowe.

Zapatrzył się w horyzont w poszukiwaniu szarozółtej mgiełki, otulającej Bay'Zell. Wprawdzie uśmiech rzadko gościł na jego twarzy, lecz tym razem wargi rozciągnęły się na myśl, że oto, na wyciągnięcie ręki, znajduje się największe miasto portowe zachodu. Porucznik spostrzegł minę Izgarda, toteż odważył się zawtórować mu swoim uśmiechem.

Izgard pozwolił oficerowi na tę poufalskość, ale szybko położył jej kres, wydając dalsze komendy.

– Niech dwa oddziały czuwają nad obozem, zanim nie zostanie rozbity. Potem wraz z dodatkowymi dwoma oddziałami będą patrolować okolicę. Nasi synowie muszą mieć bezpieczny sen. – Potrawka z Bay'Zell powinna poddusić się jeszcze przez pół dnia, póki nie nastąpi atak. Obrońcy nie mieli wystarczającej liczby ludzi ani hartu, by przejść do ofensywy. Kiedy będą spoczywać na laurach i zadrećzać się w oczekiwaniu na odsiecz suzerena, zdobyte zostaną trzy kluczowe warownie: jedna na zachód od miasta, jedna na północ i jedna na wschód – zamek Bess. Zanim słońce zajdzie nad Bay'Zell, wojska Garizonu staną w gotowości do natarcia.

Porucznik pochylił głowę.

– Jeszcze jakieś rozkazy, panie?

Izgard obrócił się do tyłu. Lustrując szeregi i kolumny swoich oddziałów, dojrzał, jak na samym końcu zatrzymuje się ociężała pojedyncza linia krytych powozów. Na ten widok przeszło mu po plecach zimne, nieprzyjemne mrowie. Pod płótnem drugiego z brzegu wozu spoczywały dwie z jego najcenniejszych własności: korona i skryba.

Nie mogąc wyzbyć się niepokoju, odwrócił się do porucznika.

– Masz osobiście zadbać o to, żeby namiot mojego skryby został rozpięty w pierwszej kolejności. Za godzinę chcę go widzieć przy pracy.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

– Pax, pod drzwi! Zamkniesz je, gdy wydam rozkaz do odwrotu! – Camron krzyczał z ustami pełnymi krwi. Spadający żwir obsypał go z lewej strony. W ciemności pełnej gryzącego dymu z trudem rozpoznawał twarz Paxa. Jednak w głosie młodego gwardzisty wyraźnie usłyszał gorliwość.

– Tak, panie, już tam biegnę. Nie trać człowieka, by mnie osłaniał. – Po tych słowach ruszył co tchu; przedzierając się między splątanymi nożami, pazurami i zębami, kierował się ku głównemu wejściu do wieży strażniczej.

Camron życzył mu szczęścia. Będzie go potrzebował. Stwory Izgarda zdobyły wewnętrzny dziedziniec. Nie zważając na płomienie i strzały, przedarły się przez bramę i własnymi ciałami zdusiły ognisko. Nawet harrarzy padali pod ostrzałem luków, jednak te istoty zdawały się czerpać siły z własnych ran i zalewającej je krwi.

Ból dodawał im wigoru. Trafione – charczały jedynie i wyły, wymachując szponiastymi palcami zaciśniętymi w pięści, ostrymi kościstymi łokciami oraz ramionami równie ciężkimi i zabójczymi jak ołowiane sztaby. Rozszarpywały, parły naprzód i pokonywały wszelki opór; stanowiły jedną masę kości, zębów, mięśni i ścięgien.

Każda część ich ciała była groźną bronią. Ramiona przypominały tarany do rozbijania bram, pięści – maczugi, pazury ostrością dorównywały klingom noży, a ciemne, rozwarte paszcze zwierzały się niczym stalowe potrzaski. Miały przy sobie noże i krótkie miecze, lecz obracały nimi bez finezji, tnąc jedynie i dźgając, nigdy nie zmieniając ułożenia dłoni dla sparowania ciosu. Po stracie broni – gdy dały ją sobie wytrącić lub wskutek odniesionych ran na rękach – walczyły dalej za pomocą kłów i pazurów.

Camron nadal nie wiedział, jakim sposobem udało im się sforsować zewnętrzny mur – być może wykorzystaly jakąś jego słabość, którą Izgard odkrył przy studiowaniu planów. Co innego jednak w większym stopniu zaprzętało mu głowę: stworzenia wykazywały się znajomością fortocy i usiłowały właśnie odciąć wszystkie drogi ucieczki. Wyglądały i walczyły jak potwory, lecz ich zimne oczy błyszczały inteligencją i łączyła je wspólna wola, przez co rozumowały i zachowywały się niczym jedna istota.

Wszędzie leżały zmiażdżone ciała. Camron nie mógł na nie patrzeć. Wiedział, że powinien notować w pamięci, ilu poległo, ale nie miał do tego serca. Tak długo ich znał. Liczenie ciał zakrawało na zdradę.

– Zaczynij się wycofywać.

Rozejrzał się na dźwięk głosu Ravisa. Najemnik znajdował się tuż za nim – czarny cień w tle połyskującego srebrzyście miecza. Camron ucieszył się jego widokiem.

– Pax zabezpiecza główne wejście – odparł głosem ochryplym od wydawania rozkazów.

– To dobrze – Ravis zrobił wypad w stronę jednego ze stworów – bo musimy stąd zmiatać, do cholery! – Zerknąwszy przez ramię, zmienił ułożenie dłoni, by wzniesć teraz miecz niby włócznię.

– Zdaje się, że tylko my zostaliśmy. Chyba czas przestać walczyć fair. – Mówiąc to, wycelował w najbliższego stwora, rzucił mieczem i trafił go prosto w pierś.

Kość pękła z głośnym trzaskiem. Ostrze wniknęło głęboko w ciało, z którego natychmiast krew buchnęła ciemną, śmierdzącą strugą. Stwór cofnął się, wyjąc z wściekłości. Kiedy wyciągał pazury, żeby wytargać ostrze, Camron poczuł potężne szarpnięcie za ramię. Ravis pociągnął go w stronę wieży.

– Gdybym wcześniej wiedział, że będziesz chciał zostać i popatrzeć na widowisko, nająłbym jeszcze dziewczyny do tańca. – Przez cały czas oczy Ravisa badały teren wokół drzwi, by stwierdzić, gdzie napotkają na najmniejszy opór.

Camron widząc, że tylko jemu został miecz, wyrwał się z uścisku Ravisa i zaczął wywijać bronią młyńca.

Podczas gdy stworzenie ugodzone w pierś zataczało się z wyciem i zaciskało ręce na sercu, inne ruszyły, by zająć jego miejsce. Grzechocząc na żwirze, kłapiąc paszczami, miotając spojrzenia twarde niczym krzemień, otoczyły swego rannego kompana jak morska piana skałę.

Ravis i Camron puścili się pędem. Wysoko nad nimi, w wieży strażniczej, dwóch łuczników zajęło pozycje i rozpoczęło atak w pierwszy kordon napastników. Strzały nie zdołały powstrzymać ich pochodu, ale ci, którzy wcześniej zostali trafieni lub osmaleni płomieniami, zwolnili.

Camron poczuł, że ucisk w jego piersiach ustąpił. Jeśli te stworzenia mogą zwolnić, mogą także zginąć.

Z ciemności zasnuwających drzwi dolatywał zgrzyt żelaza. Ravis przerzucił nóż z lewej ręki do prawej. Camron przysunął do pasa dłoń trzymającą miecz. Ufając, że łucznicy zajmą się ścigającymi ich wrogami, obaj mężczyźni skupili uwagę na stworach przy drzwiach.

Pax walczył z dwoma przeciwnikami naraz. W jednej ręce trzymał szeroki miecz, w drugiej tarczę z lipowego drewna. Krew tryskała mu z rozcięcia na czole i z mniej groźnej rany na ramieniu. Jego tarcza opadała jednak z wolna, najwyraźniej musiał szybko tracić siły.

– Przypuszczają, że zechcemy ich powstrzymać – syknął Ravis. – A ja mówię, żebyśmy wepchnęli ich do środka!

Camron ledwie zrozumiał sens tej wypowiedzi. Skupił uwagę na dotarciu do Paxa. Wzniósł miecz i śmiało natarł na pierwszego z potworów. Gniew dodawał mu siłę, toteż zatopił ostrze głęboko w szare ramię bestii. Zamroczony śmiercią towarzyszy, wściekły z powodu niebezpieczeństwa, w jakim znalazł się kolejny człowiek, którego darzył przyjaźnią, uderzał ze ślepą, piekielną furją.

Nie chciał walczyć, ale nie miał wyboru. Czyż mógł przypatrywać się biernie, jak najeżdżają jego dom i zabijają mu ludzi? Ojciec miał rację, gdy potępił wojny – Camron przekonał się o tym na polu bitwy nad Krętą Rzeką – ale to nie znaczyło, że każda walka jest niepotrzebna.

Ta była potrzebna. Musiała taką być.

Otrząsając się z wątpliwości, pchnął oba stwory za drzwi. Z rozwartymi szczękami i śliną pieniającą się przy każdym oddechu, zdawały się wysysać przestrzeń z przedsionka. Ich zapach był odurzający. Camrona ogarniały mdłości na samą myśl, że ich fetor wpływa mu do płuc. Wydychając chrapliwie powietrze, wymachiwał mieczem; nie przejmował się, co przecina – ciało, kości czy pustkę. To Izgard był prawdziwym potworem. Jakiż wódz postąpiłby w ten sposób ze swymi ludźmi?

Oderwał uwagę od stworzeń, by skupić ją na Izgardzie. Czuł przy tym nowy rodzaj gniewu. Jakim prawem człowiek ten śmie nazywać się królem? Jak może posyłać w bój tak zmienionych rodaków? Co stanie się później z ich ciałami, kiedy zostanie wygrana ostatnia bitwa? Nie w pełni świadomy tego, co robi, zmusił stwory do obrony. Złość powodowała nim z większą skutecznością niż wszelkie rozsądne taktyki: podnosiła za niego miecz, zadawała kolejne druzgocące ciosy, kazała zapomnieć o strachu.

Przez cały czas zastanawiał się, czego ojciec naprawdę zawsze od niego chciał, lecz w tych okolicznościach zaczęła świtać mu myśl, że teraz liczą się tylko jego własne pragnienia. Nie mógł rządzić krajem, spełniając tylko zachciankę ojca. Musiał odkryć w sobie powołanie. Teraz, gdy walczył z wrogiem okrytym płaszczem cienia i cuchnącym, jakby wygrzebanym z grobu, pragnął jedynie pokonać Izgarda i pokrzyżować jego plany. Temu człowiekowi nigdy nie powinna przypaść w udziale korona.

Z tyłu dobiegł łomot w drewniane wrota. Zerkając przez ramię, ujrzał, jak Ravis barykaduje drzwi. Trzymał w ręku miecz Paxa. Młody gwardzista zniknął, jednak strużka krwi na kamiennych schodach, prowadzących w dół, do spichrza, oznaczała, że prawdopodobnie uciekł tą drogą. Camron odetchnął z ulgą. Na razie w przedsionku znajdował się tylko on, Ravis i te dwa stwory. Drąg zamykający drzwi mógł wytrzymać najwyżej kilka minut.

Ravis stanął u boku Camrona. Czując jego ciepło, szlachcic zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, ile wysiłku kosztowało Ravisa zatrzasknięcie tych drzwi. Pot spływał mu po szyi i czole. Twarz miał opryskaną krwią, ale chyba nie własną.

Uśmiechając się, zaczął nacierać na najbliższego przeciwnika.

– Dobrze się spisaleś, odpierając tych diabłów – rzucił pomiędzy urywanymi oddechami.

Mimo sytuacji nie do pozazdroszczenia, Camron odwzajemnił uśmiech. Oblicze Ravisa promieniało dziwną poświatą – jakąś dziką, beztroską radością, której nie sposób było zignorować. Najemnik zdawał się rozkoszować krwawą walką.



Wspólnymi siłami rozdzielili oba stworzenia. Na skutek odniesionych ran bestia poruszała się niemrawo, ociężała: straciła mnóstwo krwi. Zapędzona do rogu, bezskutecznie machała rękami, rycząc i pryskając śliną, kołysząc głową z boku na bok. Podczas gdy Ravis zabezpieczał tyły i utrzymywał drugiego, bardziej niebezpiecznego stwora na dystans, Camron gotował się do zadania śmiertelnego ciosu. Strach kipiał w jego wnętrznościach, czarny i gorący, niczym rozgrzany olej. Mając świadomość, że musi uciąć potworowi głowę albo przekłuć mu serce, nie spieszył się z decydującym atakiem, robił uniki i uskakiwał, czekał na dogodny moment.

Ravis jakby domyślał się, czego mu potrzeba, gdyż wszczął w pomieszczeniu zamęt: rozbijał nie zapalone latarnie, łamał skrzynie i drzwi oraz zrzucał ze ścian ozdobną broń. Przeciwnik Camrona zerknął na źródło tego hałasu. Na pół sekundy opuścił gardę, ale na to tylko czekał szlachcic. Wkładając w uderzenie całą siłę, rąbnął mieczem z góry na dół i przeciął obojczyk, żebra oraz serce.

Stwór zawył. Gdy padał na ziemię z piersią miotaną konwulsjami, wciąż walczył. Camron usiłował odzyskać ostrze, ale było zbyt głęboko osadzone w kości i nie chciało wyjść. Odwrócił się niezdolny wytrzymać widoku i smrodu zdychającego stwora.

Wówczas natarł na niego drugi z przeciwników.

Wyczerpany, roztrzęsiony i bezbronny, Camron spojrzał na Ravisa. Ten ruszył mu na pomoc w mgnieniu oka. Schylił się do ziemi niedostrzegalnym, szybkim ruchem, złapał za miecz, który przed chwilą spadł ze ściany, i zwinnym ruchem nadgarstka rzucił go towarzyszowi rękojeścią do przodu.

Camron pochwycił broń i odparowywał cięcia stworzenia, póki Ravis przy nim nie stanął. Razem zaatakowali bestię.

Silniejsza i bardziej rozważna od swego umierającego kompana, walczyła z zaciekłością i desperacją zranionego zwierzęcia. Kiedy Ravis ją rozbroił, rzuciła się do przodu z pazurami i zębami. Jednym susem znalazła się pomiędzy nimi, rozrywając ubrania i skórę.

Camron słyszał, jak za plecami jej pobratymcy łomoczą w drzwi. Poza tym, gdzieś wysoko w warowni rozchodziły się odgłosy innej walki. Potwory Izgarda musiały odnaleźć drugie wejście do środka. Po przeciwnej stronie przedsionka ryki umierającego stwora cichły, przechodząc miarowo w ludzkie jęki, aż umilkły. Gdy nadarzyła się sposobność, żeby zerknąć przez ramię, szlachcic zobaczył twarz człowieka, nie bestii.

O dziwo – w trakcie walki coraz bardziej się rozluźniał. Ravis zawsze był przy nim: walczył za jego plecami, bronił go z boku, wyskakiwał przed niego, aby odbić cios. Kiedy opadało zmęczone, zbrojne w miecz ramię Camrona, ten natychmiast przejmował na siebie cały ciężar zmagania, trzymając stwora w szachu, dopóki towarzysz nie odzyska sił. Kiedy Ravis otrzymał nieprzyjemny cios w szyję, Camron z kolei wystąpił do przodu, by skupić na sobie całą furję przeciwnika, póki ten nie ochłonie na tyle, aby wznowić walkę.

Camron zaczął polegać na Ravisie. Z większą łatwością zadawał ciosy, wiedząc, że w ciągu tych kilku decydujących sekund, kiedy ma wyciągnięte ręce i odsłoniętą pierś, najemnik osłania go.

Razem zmagali się. Stopniowo uderzenie po uderzeniu, cięcie po cięciu na tyle go zmęczyli, że zaczął chwiać się z upływu krwi i popełniać błędy. Wówczas, porozumiewając się bez słów, odsunęli się na boki, żeby zachęcić go do wyjścia na środek przedsiionka, a potem zaatakowali z dwóch stron.

Camron nie zdołał policzyć, ile musieli zadać ciosów, żeby zabić to coś. Wyczerpany, oblany potem, dostając zawrotów głowy pod wpływem smrodu i widoku posoki, dźgał tułów stworzenia, aż w końcu Ravis odciągnął go na bok.

– Chyba możemy spokojnie założyć, że nie żyje – rzekł cicho najemnik, kładąc mu rękę na ramieniu. – A to znaczy, że dwóch mamy z głowy i zostało nam tylko trzy tuziny.

Skinał głowę. Z braku oddechu nie mógł dobyć głosu. Nie umiejąc zapanować nad drżeniem, uniósł miecz do uda i zaczął wycierać go z krwi.

– Daj – powiedział Ravis, wyciągając rękę po jego broń. – Zrobię to za ciebie.

Camron, zdziwiony tą propozycją, spojrział bacznie na Ravisa. Najemnik miał purpurowy siniak nad prawym okiem i ślady pazurów na szyi i policzkach. Mieszanka potu i krwi ciekła mu z nosa różowymi kropelkami.

Ravis poczuł się niezręcznie. Wzruszając ramionami, powiedział:

– Kiedyś zwykłem czyścić miecz brata po bitwie. Mówił, że to przynosi mu szczęście.

Na widok jakichś nie rozpoznawalnych emocji w oczach Ravisa, szlachcic oddał mu broń.

– Chcę ci podziękować...

– Nie dziękuj mi – wpadł mu w słowo Ravis. – Walczymy o to samo, ty i ja. – Przez chwilę mierzył go spojrzeniem, potem zabrał się do czyszczenia jego miecza.

Camron zamierzał zapytać, co znaczą te słowa, zanim jednak zdążył otworzyć usta, cała sień zakotłosała się pod wpływem potężnego uderzenia w drzwi. Z drewnianych poprzeczek poleciały drzazgi, zawiasy zazgrzytały, a stwory na zewnątrz zaczęły ryczeć niczym wataha wilków dręczonych głodem w czasie zimy.

– W nogi! – zawołał Ravis, oddając Camronowi miecz wyczyszczony śliną i potem. – Wyośmy się stąd, póki czas. Nie możemy stawić czoła całej zgrai naraz. Lepiej znajdziemy jakieś inne drzwi i wpuścimy przez nie kilku tych drani.

Camron uśmiechnął się, rad w duszy, że ma przy sobie takiego towarzysza. Jeszcze nie spotkał nikogo, z kim by mu się walczyło lepiej niż z tym najemnikiem – cudzoziemcem pełnym dziwnych zachowań i ukrytych emocji.

Tessa malowała. Leżąc na brzuchu, mrużąc oczy, nie zważając na obolały nadgarstek, powstrzymując drżenie dłoni – przelewała burzę szkarłatnych spirali na leżący na deseczce tuż przed jej nosem papier welinowy.

Raz po raz zwracała głowę ku opartej o kamień, po lewej stronie, iluminacji Ifaylena; opracowywała szczegóły zdobnych bordiur, mających okalać główną kompozycję. Instynkt podpowiadał jej, że zwyczajne powielanie każdej linii wzoru Ifaylena nie miało sensu. Musiała posunąć się dalej niż skryba, zejść niżej, głębiej. Posłużyć się jego wzorami, aby uzyskać dostęp do wiążących zaklęć i zniszczyć je własnymi ornamentami. Kopia Ifaylena była mapą, która miała wskazać jej drogę.

Zbolała i ledwie żywa ze zmęczenia, resztkę sił wykorzystwała na malowanie wzoru. Częściowe zaangażowanie się nie wchodziło w rachubę. Po to ją wezwano, aby poświęcić się bez reszty.

Żałowała jedynie, że nie jest bardziej przygotowana. Tylu rzeczy nie wiedziała, w tak wielu sprawach rozstrzygało ślepe zgadywanie. Iluminacja Ifaylena była wyszukana, misterna – wciąż nie mogła jej do końca rozgryźć. Gdyby nie spokojna zachęta Emitha, straciłaby odwagę już przy pierwszej linii.

Emith był wszędzie i robił wszystko naraz. Jeżeli potrzebowała czystego pędzelka, wystarczyło wyciągnąć rękę, a już go miała. Gdy przychodził czas na nowy pigment, Emith nie tylko przewidywał jego kolor, nasycenie i teksturę, ale wiedział również, ile ma go przygotować i jakiej grubości pędzel dobrać. Kiedy popełniała błąd, nakładając zbyt wiele farby na pergamin, on przybywał na pomoc wraz ze swym nożykiem, by zebrać nadmiar. Jeśli malowała za szybko i pasma nie były tak gładkie i płynne, jak powinny być, odchrząkiwał skromnie i zachęcał ją do odpoczynku.

Częstokroć, kiedy zamalowywała jeden narożnik, Emith spokojnie odrysowywał ołówkiem ten sam wzór po przeciwnej stronie. Poprzez dokładne odzwierciedlenie wzoru oszczędzał jej cenny czas i pozwalał szybko wypełnić obrysy farbą.

Emith zmuszał ją do picia, kiedy czuła pragnienie, do przeciągnięcia rąk i nóg, by nie ścierpły, oraz do żucia listków ruty, zapobiegających zmęczeniu oczu i bólowi głowy. Uprzedzał dokładnie każdą jej potrzebę. Jeżeli świeca zaczynała kopcić, odcinał winny kawałek wosku i powtórnie zapalał knot. Kiedy zrobiło się zimno, owinał szalem ramiona Tessy, kiedy zaś powiało chłodem od strony wejścia, zablokował je swoją torbą. Wydobył nawet z płaszcza małą fiolkę olejku migdałowego, który wtarł jej w nadgarstki, przynosząc ulgę bolącym stawom.

Zawsze był przy niej, na granicy wzroku, służył pomocą i radą, przygotowywał pigmenty i laserunki, szurał nogami tam i z powrotem. To się krzątał, to znowu myślał intensywnie, ale nigdy nie odpoczywał.

Nie udzielał jej rad bezpośrednio dotyczących wzoru, jednak czasami, gdy kończyła pewien fragment i zastanawiała się czym zająć się w następnej kolejności, wręczał jej muszlę z pigmentem i mówił: "Może by tak posłużyć się tym kolorem, panienko. Świetnie pasuje do tego tu fragmentu".

Nigdy się nie mylił. Zaraz po jego słowach nabierała pewności co do dalszych posunięć i wyrzucała sobie, że sama na to wcześniej nie wpadła. Nie czekając na podziękowania, zabierał się do swojej pracy i milczał, dopóki jego pomoc znów nie okazywała się niezbędna.

Jedna częśćka Tessy miała świadomość jego pomocy, jak również światła migocącego w jaskini i dobiegającego zza murów szumu morza. Jednakże druga jej część powoli odchodziła w dal.

Wreszcie, gdy tło zostało zamalowane, a bordiury i narożniki wypełnione, wzór przestał być zwyczajnym szkicem – nabrał znamion iluminacji. Przygotowany przez Emitha welin był miękki, elastyczny i blady jak ludzka skóra. Po jego powierzchni, pozbawionej porów i mieszków po włosach, pigment ślizgał się niczym olej.

Kiedy ostatnimi pociągnięciami pędzla Tessa wykańczała obrys miniatury – co rusz zerkając na iluminację Ilfaylena, aby sprawdzić szczegóły – doznała uczucia, jakby zdzierano z niej zewnętrzną powłokę. Pomyślała, że to kolejny podmuch chłodnego powietrza i spojrzała na Emitha. Był odwrócony do niej plecami i jakby nigdy nic mieszał pigmenty, toteż wróciła do malowania. Bolesne ukłucia zaczęły przebiegać jej po skroniach; wzrok się zmacił, aby po chwili wyostrzyć z nową mocą. Dostrzegła teraz głębię poszczególnych warstw pigmentu i ciemne cętki zanieczyszczeń, tkwiące w schnącej farbie.

W kościach za uszami rozchodziły się dalekie echa *tinnitusa*. Wyczuwała zmianę w otoczeniu: jaskinia zdawała się kurczyć i zasnuwać mgłą, sylwetka Emitha przeobrażać w cień, a blask bijący od świec – ciemnieć. W miarę jak wszystko wokół malało i traciło wyraz, wzór potężniał, stając się czymś więcej niż tylko wzorem.

W pierwszym odruchu chciała się wycofać – przez całe życie wystrzegła się pierwszych objawów *tinnitusa* i nawet teraz, choć upłynęły miesiące, odkąd przybyła do tego świata, impuls ucieczki przed bólem był bardzo silny. Wiedziała jednak, że musi brnąć dalej. Wysoko nad nią Camron i Ravis walczyli po to, aby miała czas. Gdzieś w mroku czaiła się armia Izgarda, gotując się do szturm na Bay’Zell, a pośrodku wojennego obozu Kolczasty Wieniec tykał niby bomba zegarowa. Po upływie jednego dnia, o północy, wybija jego pięćsetne urodziny.

Słowa Avaccusa wciąż brzmiały jej w pamięci: “Jest pewna moc w liczbie pięć. Starożytna moc, którą posługiwali się niegdyś starożytni królowie”.

Wstrząsana dreszczem, usiłowała zapanować nad kołysaniem dłoni. Żałowała, że nie jest silniejsza, odważniejsza i pewniejsza siebie. Taka jak dawna Tessa McCamfrey. Ścisnęła pędzel. Czyżby lak bardzo się zmieniła?

Nie słysząc odpowiedzi, zazgrzytała zębami i pociągnęła tłustą, złocistą linię. *Tinnitus* odezwał się ze zdwojoną mocą, a każdy ból, którego jej ciało w tej chwili doświadczało, wzmógł się, jakby wszystkie jej rany posypano solą. Złoty pigment promieniał jasnym światłem długo po tym, jak zaschnął. Tessa złowiła nad wyraz delikatny zapach, którego nie było wcześniej w jaskini: wilgotną woń zbutwiałej ziemi.

Wiedziała, że ulega rozdzieleniu. Jedna jej połowa – ta nie przyćmiona, która czuwała nad wzorem, uważała przy każdym pociągnięciu pędzla i przyjmowała przedmioty podawane przez Emitha – została na miejscu. Jednakże ta druga, bardziej ulotna, zanurzyła się w welin wraz z pigmentami. Kolory się rozjaśniły. Powietrze stało się cieplejsze, gęstsze, bardziej wilgotne. Dźwięki, hałasy i wrażenia przyzywały ją z drugiej strony. Wydało jej się, że usłyszała, jak Ravis wydaje rozkaz i Camron rzuca przekleństwo. Coś ciepłego spłynęło jej po policzku, kiedy jednak podniosła rękę, żeby to przetrzeć, skóra okazała się idealnie sucha.

Doznania zaczęły napływać w coraz większej liczbie: przeraźliwy zgrzyt *tinnitusa*; odgłosy walki i zwierzęce wycia; kroki na drewnianych schodach; zapachy krwi, morskiej soli, pigmentów i dymu; ból promieniujący z każdej rany i siniaka, jakie kiedykolwiek miała.

Chciała, żeby to się skończyło. Odpierała ataki ze wszystkich stron. Skóra cierpła pod wpływem ogromu wrażeń, w głowie czuła zamęt spowodowany hałasem. Zaczerpnęła głęboki oddech, jakby zamierzała zanurzyć się pod wodę, po czym wzięła się w garść i precyzyjnie do przodu. Poprzez farbę, poprzez pergamin, poprzez kaskadę widoków, zapachów i dźwięków – na drugą stronę.

Ciemność. Otworzyła oczy w tak gęstej ciemności, że z trudem wierzyła, że żyje. Wszystko przepadło. Miała niejasną świadomość, że druga połówka jej istoty, machając z furją pędzłami, znajduje się bardzo daleko. Obraz jednak szybko się rozmazał, jak sen po przebudzeniu, i wkrótce jej zmysły rejestrowały wyłącznie mrok. Jeśli posiadała ciało, nie widziała go ani nie czuła. Może i oddychała, żeby utrzymać się przy życiu, ale nic na to nie wskazywało.

Szybko tracąc rozeznanie w tej kłępującej pustce, próbowała się z niej wydostać. Żadna z nocy, jakie pamiętała, nie mogła się równać z tą czernią. Znikły ciężar, kierunek, dobre i złe drogi. Sama dla siebie stanowiła punkt orientacyjny. Mogła tylko poruszać się w stronę, którą postrzegała jako przód. Tyle że każda droga wiodła w tym samym kierunku, a każdy zakręt prowadził ją wstecz.

Mijał czas. We wszechobecnej czerni nie miała o co zahaczyć myśli. Przesiały liczyć się cele. Światło było zatartym wspomnieniem. O ciepłe mogła tylko pomarzyć. Wiedząc, że za chwilę ogarnie ją panika, usiłowała przypomnieć sobie powód swej obecności w tym miejscu. Miała coś zrobić... czemuś się przeciwstawić.

Próbowała się otrząsnąć, po omacku wyszukując drogę. Spośród wszystkich rzeczy, pamiętała jedynie o swoim imieniu: Tessa McCamfrey. I o tym, że posiadała pierścień.

Ledwie nasunęło jej się słowo “pierścień”, poczuła ciężenie na szyi. Ciepły, ostry, ciężki jak na swoje rozmiary – pierścień wśliznął się w ciemność równie dyskretnie, jak list w szczelinę pod zamkniętymi drzwiami. Wreszcie świadoma swego ciała, wyciągnęła rękę w jego stronę. Włożyła na palec złoty wianuszek – po raz pierwszy od dnia, w którym go odnalazła.

Urok natychmiast zmienił swe oblicze. Wyodrębniły się krawędzie i głębia odcieni, a sama ciemność zaczęła rozciągać się na kształt drogi. Ból związany z założeniem pierścienia był jak wymierzony policzek. Tessa wszystko sobie przypominała; wiedziała, co dzieje się po drugiej stronie welinu.

Zobaczyła siebie z nosem przy pergaminie, zabierającą się do pierwszego z czterech plecionkowych szlaków ornamentalnych. Odpowiednie pasy zdominowały iluminację Ilfaylena. Zawile, gęste sploty pasemek złota, czerni i szkarłatu okręcały się wokół siebie, tworząc zwarty, węzłowaty szkielet. Wcześniej, nawet po dokładnych oględzinach, wszystkie cztery pasy wyglądały tak samo. Teraz, gdy na nie patrzyła – oczami będącymi zarówno jej, jak i nie jej – okazało się, że każdy z nich różnił się w drobnych szczegółach. Nie tyle pod względem zawartości, co napięcia. Wszystkie cztery wzory napinały się w inny sposób.

W zamyśleniu potarła kolce pierścienia. Co też Ilfaylen powiedział o swej iluminacji? “Wiernie za nią podążaj, a zaprowadzi cię w cztery miejsca, które musisz odwiedzić”.

Cztery pasy przeżyły się, jakby coś spinały... Tessa nakłuła kciuk. Jasne! Każdy z pasów przedstawiał jedno z wiązań Kolczastego Wieńca. Miała za zadanie odtworzyć cztery wiązania, a później rozerwać je jedno po drugim. “Namaluj problem, by go później rozwiązać” – tak powiedział Avaccus.

Ta druga, odległa Tessa wzięła do ręki pręcik z ołowiu i zaczęła kreślić pierwszy z ornamentalnych pasów. Emith opodal oczyszczał pędzel ze złota. Wydawał się zadowolony.

Odwróciła się, zostawiając swe odbicie przy pracy nad iluminacją, i postąpiła krok na ciemnej ścieżce. Skoro już wiedziała, jaki cel jej przyświeca, postanowiła zebrać siły, by go zrealizować. Malowanie stanowiło dopiero połowę zadania.

Pierścień był przewodnikiem. Ciągnąc Tessę za palec, prowadził ją przez mrok ku innemu miejscu. Jazgot jakby włączonego odkurzacza przeszył jej uszy. Coś ją zasysało. Czarne wici, ciężkie jak ołowiane drzazgi, ocierały się o skórę, a czarne włókienka wciskały do oczu, nosa i ust. Leniwa błyskawica obramowała w powietrzu jej obraz. Na jedną straszną chwilę poddała się panice, a później nadeszło wspomnienie, które przyjęła z wdzięcznością.

Już tu kiedyś była – przez ułamek sekundy, kiedy podróżowała między światami. Znalazła się w szczelinach i fałdach czasu i przestrzeni, miejscu uczęszczanym przez efemerydy, tam gdzie według Avaccusa rozpoczął się Rozdział. Niby piasek opadający w niezmaconej wodzie, czarne włókienka zsunęły się z jej oczu. Zaczęła wszystko pojmować. Inne światy, inne miejsca, inne czasy, inne istnienia. Także inne efemerydy – kierowane celami tak złożonymi, że nie miała nawet nadziei na ich pełne zrozumienie – lśniły przed nią jak krople deszczu na szkle. Czekały. Zauważyła, że jedna z nich pochodzi z jej własnego świata. “Tak – pomyślała, mijając ją – i ona wysliznęła się ze swego miejsca”.

Ból, cierpienie, radość, miłość i nienawiść błąkały się pomiędzy szczątkami pozostałymi po Rozdziale. Poczwała delikatny powiew uczuć innych ludzi. Wiązała się z nimi moc podobna

do tej, jaka wyzwala się, gdy rzeka nagle zmienia swoje koryto. Uczucia były zmianami stanu umysłu i ducha.

Z tą myślą opuściła dziwne miejsce. Napotkane w nim prawdy były zbyt rozległe, odsłaniały się niewyobrażalne tajemnice. Nie chciała poznać ani zrozumieć tego miejsca: przybytku skończoności, ściśniętej otchłani. Ona, na podobieństwo efemerydy, ledwie tędy przepływała.

Odwróciła się od Rozdziału, jego wiedzy i zwierzeń, by powtórnie wkroczyć na mroczną ścieżkę i zdać się na przewodnictwo pierścienia.

Gdy tak wędrowała poprzez kolejne odcienie szarości w drodze powrotnej do jaskini, wzoru i cienia, jaki po sobie pozostawiła, zaczęła zdawać sobie sprawę ze wszystkich nękających ją odgłosów i przypadłości: pulsującego nadgarstka, bolących pleców, szczypiących w oczy wyziewów. Wysoko nad nią, ponad warstwami czarnej przestrzeni, Camron i Ravis walczyli o życie. Słyszała ich chrapliwe oddechy, smakowała strach na ich językach, czuła pot i krew spływające im z twarzy. Doświadczała tych samych co oni wrażeń. Zdziwiająco, że wśród paniki i strachu pojawiała się od czasu do czasu radość.

Ravis walczył, nękany wspomnieniami. Camron walczył, wyzbywając się stopniowo wątpliwości. Chronili się niczym bracia: stali ramię w ramię, ubezpieczając jeden drugiego, wrażliwi na wzajemne rany i słabości. W wyniku obserwacji odniosła wrażenie, że coś się między nimi narodziło, jakaś bliskość podsycana przelaną krwią, dzieloną niebezpieczeństwem i rosnącym zaufaniem. Obaj za tym tęsknili.

Poczuła pieczenie w gardle. Coś spłynęło po jej policzku. Sądziła, że to kolejne złudne wrażenie, więc je zignorowała.

Kiedy wróciła do swego ciała i z nowym zapalem chwyciła pędzel, Ravis spojrzał na nią. Jego wzrok przeniknął wszystkie dzielące ich warstwy przestrzeni. Wiedział, że była przy nim. Przez ćwierć sekundy, może krócej, byli razem. Nie padło żadne słowo, nie została przekazana żadna wiadomość, lecz gdy Tessa odwróciła się do swej iluminacji, poczuła przypływ nowych sił.

Jakaś moc tkwiła między nią, Ravisem i Camronem. Gdy zaczęła nakładać farbę na pierwszy pas z ornamentem, czerpała z niej i równocześnie dokładała się do niej.

Ravis poczuł, że Tessa go opuszcza. Przez niewymownie krótkie moment otarła się o jego umysł, potem znikła. Nie mógł zdecydować, czy mu coś zabrała, czy też coś dała. Wiedział tylko, że ogarnia go błogie uczucie. Tessa żyła, miała się dobrze i nic się jej nie przydarzyło.

– Hej! Czy nie powinieneś mi przypadkiem w tym pomóc? – Camron oparł stopę o masywny granitowy blok i próbował go ruszyć. – I kto tu się zatrzymuje, żeby oglądać przedstawienia?

Ravis podniósł rękę, przyznając się do winy. Wszak od chwili, kiedy po raz pierwszy poczuł obecność Tessy, nie wiedział, co robi. Kolejna bestia legła martwa u jego stóp, a z mokrego miecza ściekała krew. Jego wzrok pomknął schodami w dół, ku niższej kondygnacji.

Następny tuzin potworów przebijał się przez barykadę ze skrzyń, półek z książkami, kamiennych posągów i drzwi zerwanych z zawiasów, którą wznosił wraz z Camronem przed minutą. Bestie rozszarpywały zator, jakby miały przed sobą stos chrustu.

Ravis i Camron stali na pierwszym piętrze wieży strażniczej, przy schodach, w obszernym krużganku, otwartym na niższą kondygnację. Jak dotąd stwory wciąż deptały im po piętach, a oni zdołali unieszkodliwić jedynie garstkę. Ravis trząsał się na całym ciele; z wyczerpania, strachu, podniecenia – sam nie wiedział z czego. Prawdopodobnie ze wszystkiego po trochu. Camron stał na prawo od niego w przemoczonej koszuli i ze zlepionymi od potu włosami. Ravis szybkim spojrzeniem omiótł rany towarzysza, upewniając się, że żadna z krwawych plam nie powiększa się na koszuli i bryczesach. Usatysfakcjonowany, zbliżył się do niego, po czym wspólnym wysiłkiem zaczęli pchać, kopać i przyciągać kamienny blok do krawędzi schodów.

Ważył więcej niż spory kamień młyński. Umieszczono go pod głównym oknem w charakterze ławy lub stopnia, na którym stawali strażnicy. Po świeżej krwi łatwiej go było przesuwac.

Kiedy znalazł się na miejscu, na samej krawędzi schodów, wystarczyło zaczekać, aż pierwszy ze stworów przedrze się przez zaporę i zacznie się wspinać. Wtem jeden z nich naparł ramieniem na ostatni stos skrzyń i krzesel, wszystko przewrócił i oczyścił drogę na schody. Kłapiąc triumfalnie paszczą, puścił się pędem do góry. Za nim postępowaly pozostałe. Powietrze napełniły odgłosy ciężkich, chrapliwych oddechów.

Ravis i Camron nie ruszali się z miejsca. Zawarli milczące porozumienie: czekali, dopóki na schodach nie rozlegnie się tupot nóg i pierwsza głowa nie sięgnie najwyższego stopnia. Kopnęli równocześnie – granitowy blok stoczył się ze schodów.

Grzmotnął w pierś pierwszego stwora i odrzucił go do tyłu. Pozostałe usiłowały zejść z drogi; niektórym się udało, lecz większość oberwała bądź to samym kamieniem, bądź też ciałem pierwszego potraconego kompana. W końcu wszyscy zaczęli toczyć się na łeb, na szyję. Trzask czaszek i kości zmieszał się z trzaskiem pękającego kamienia.

Camron odwrócił się do Ravisa i wyciągnął rękę.

– Ośmiu z głowy – powiedział. – Zostało mniej niż trzy tuziny.

Ravis wyszczerzył zęby. Ucisnął wyciągniętą dłoń.

– Poszukajmy pozostałych. – Okręcił się na pięcie i odbiegł od schodów.

– Hej! – zatrzymał go Camron. – Czy i ty to czujesz?

– Niby co?

Wzruszył ramionami.

– Nie jestem pewien. Jakby to, co robimy, było bardzo ważne. Jakby coś oznaczało.

Ravis skinał głową, czując, że coraz bardziej doskwiera mu dawna rana na żebrach, zadana przez ostrze harrara. Camron miał rację. Nie walczyli wspólnie tylko po to, by dać



Tessie więcej czasu. Dodawali jej również sił. Ravis nie potrafił dobrać właściwych słów, by wyrazić swoje uczucia.

– Ty i ja musimy wciąż walczyć. To wszystko, co wiem. – Mógł powiedzieć więcej, znacznie więcej, lecz Camronowi ta odpowiedź zdawała się wystarczać.

– No to do dzieła, walczmy. – Lord spojrział w dół. Niektóre stworzenia zaczęły przychodzić do siebie i podnosić się na równe nogi, pomimo połamanych i powykrzywianych ciał. – W wieży jest ich więcej. Wdarły się od tyłu.

Ravis kiwnął głową i obaj wyszli przez salę na krużganek. Z każdym krokiem wzrastała się gęstość bitwy. Nie dobiegał ich szum oręża, brzęk mieczy, a tylko głuchoe dźwięki, charakterystyczne dla walki wręcz, głośnie okrzyki, postrzępione oddechy i skrzypienie desek podłogi. Kiedy znaleźli się przed łukowo sklepionym przejściem, hałas stał się ogłuszający. Spod drzwi wypływała krew.

Ravis dobył miecza. Wiedział, że w zasadzie powinien bać się tego, co wraz z Camronem ujrzy po drugiej stronie, jednakże część jego istoty rwała się do przodu. Wydawało mu się, że to dalszy ciąg bojów o ziemię ojca. Byli atakowani zewsząd, przeciwnik miał przewagę, nigdy nie wiedzieli, co ich za chwilę spotka. Zerknął na Camrona. Tutaj też miał u boku kogoś, komu uczył się ufać.

Przeciągły, gardłowy ryk wprawił drzwi w drżenie. Coś roztrzaskało się o ścianę. Prysło szkło. Camron cofnął nogę, gotowy kopniakiem wywarzyć drzwi.

Ravis położył mu dłoń na ramieniu.

– Zanim tam wejdziemy, chcę ci coś powiedzieć.

– Co? – warknął Camron. Niecierpliwiał się, żeby przystąpić do walki.

– Nie tylko ty rościsz sobie prawo do tronu Garizonu. – Zwiększył ucisk, patrząc głęboko w oczy Camrona. – Poślubiłem kiedyś siostrę Izgarda. Umarła bez testamentu.

Camron wciągnął powietrze. Oczy mu wyraźnie ściemniały. Naprężyły się mięśnie na karku.

– Dlaczego mi to teraz mówisz?

Ravis przesunął językiem po bliźnie. Sam nie był pewny odpowiedzi. Miało to coś wspólnego z Tessą, ale nie tylko.

– Chcę, żebyś wiedział, że możesz mi zaufać.

Minęło kilka sekund. Coś masywnego przesunęło się po drugiej stronie, od czego zdrząły kamienne płyty pod nogami. Nie zważając na dobiegające zza drzwi odgłosy, Camron wpatrywał się w Ravisa. Na koniec powiedział:

– No to jesteśmy razem. Jak bracia.

Na dźwięk tych słów coś głęboko w piersi Ravisa powróciło na swoje miejsce. Zamknął oczy, ponieważ go zapiekły. Po chwili pozbierał się i ponownie je otworzył. Wpatrzony w twarz Camrona, skinął głową. Nie było nic do dodania.

– W porządku! – zakrzyknął, odwracając się w drugą stronę. – Rozwalmy te drzwi, gdy doliczę do trzech. Raz, dwa, trzy...

Po wtargnięciu na balkon, gdzie łucznicy mieli swoje stanowiska, zobaczyli zbryzgane krwią ściany, połamane miecze i okaleczone kończyny. Natarł na nich od razu jeden ze stworów, wymachując pazurami ubrudzonymi skórą człowieka, którego ostatnio rozszarpał. Za nim nadchodził ktoś ciemniejszy, większy, bardziej zimny. Gdy się poruszał, trzęsły się ściany.

Ravis walczył. Walczył, aż dłoń ściskającą rękojeść miecza pokryły pęcherze, aż mięśnie ramion zaskwierczały rozgrzanym do białości bólem i cały zalał się krwią. Nigdy jednak, mimo strachu, bólu i zabijania, nie stracił z oczu Camrona z Thornu. Szlachcic zaś bardzo rzadko oddalał się od niego.

– Prędeej, Ederusie, prędeej. – Izgard pochylił się nad pulpitem. – Muszę wiedzieć, co się dzieje na zamku Bess.

Pomimo kaszlu skryba zdołał skinąć głową. Dłużej niż zwykle zmagał się z atakiem, plamiąc chustkę krwią. Złożył ją szybko i schował. Na zewnątrz rozlegały się dźwięki rozwijania płócien, przetaczania wozów i uderzania młotami: rozbijano obóz wokół pierwszego postawionego namiotu – jego własnego.

– Będę pracował tak szybko, jak to tylko możliwe, panie – rzekł, owijając jedwabną szmatką bąble na dłoni. – Gatheloki chyba już wykonały zadanie.

Izgard odetchnął, tak że delikatna, mlecznobiała mgielka owiała policzek Ederiusa.

– Nie ryzykuj, skrybo, tylko maluj!

Ederius uczynił, jak mu kazano. Umoczył pędzelek w pigmentcie i przeciągnął po pergaminie pierwszą, bogatą w rtęć linię. Miał nadzieję, że król pozwoli mu pracować w samotności, ale Izgard przysunął sobie stółek i oparł się łokciem o blat stołu. Patrzył, jak na skrawku papieru welinowego powstaje wzór.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

– Do mnie, Śnieżku, już! – wykrzyknęła Angeline, zbyt zmęczona, żeby się za nim dłużej uganiać. Pies-nieudacznik wypatrzył w trawie koniki polne i teraz skakał wraz z nimi jak oszalały, zgrzytając zębami, jeżąc sierść, doskakując i odskakując, a przy tym szczekając z całych sił. Nie wszystkie z obszczekiwanych przezeń koników były naprawdę konikami – czasem okazywały się po prostu zwyczajnymi, zeschniętymi liśćmi. Śnieżek chyba nie zauważał różnicy. Wszystko, co się ruszało – i było od niego o wiele mniejsze – stanowiło potencjalną zdobycz.

*Śnieżek tutaj, Śnieżek tutaj.*

Śnieżek podbiegł do swej pani z nosem przy ziemi; merdał zapamiętałe ogonkiem i huśtał na boki językiem. Początkowo Angeline chciała się na niego gniewać za to, że zanim rozbito ich namiot, uciekł z wozu, aby o bladym świetle stanąć do wyścigów, których areną był cały obóz. Śnieżek robił jednak tak zabawne i niewinne minki – z czego znane są pieski – że królowa nie zdobyła się nawet na zmarszczenie brwi. Czego innego można się spodziewać po nicponiowatym psie? Poza tym tak wczesny spacer był dość ekscytujący: z przyjemnością przyglądała się obozowej krzątaniu.

Zauważywszy namiot Ederiusa, stojący pośrodku rumowiska desek, beczek, palików i stosów zwiniętego płótna, które wkrótce miało przybrać wygląd obozowiska, zaczęła zastanawiać się nad losem mleka z miodem i migdałami, przygotowanego dla skryby zeszłej nocy. Czy je odnalazł? Czy wypił? Czy minął mu kaszel? Przytrzymując kurczowo kaptur, żeby wiatr go nie zwiął i nie ukazał jej włosów pobliskim pracownikom, którzy mogli ją rozpoznać, ruszyła w stronę namiotu. Wiedziała, że Izgard będzie się gniewał, jeśli dowie się o tej wizycie, ale ostatnimi dniami coraz mniej przejmowała się swoim mężem i tym, co sobie myślał.

Śnieżek dogonił jeszcze kilka koników, aby udowodnić, do czego jest zdolny, po czym pobiegł za swoją panią.

Angeline zbliżyła się do namiotu i zatrzymała, żeby przysłuchać się dobiegającym z wnętrza dźwiękom. Odgłosy kaszlu wstrząsały płótnem. Nie spodobała jej się myśl, że chorego Ederiusa pozostawiono na łasce i niełasce losu, więc weszła do środka. Nagle zamarła.

Był tam Izgard, siedział odwrócony plecami do wejścia, niedaleko Ederiusa. Przed nim, na cokole, spoczywał Kolczasty Wieniec.

– Opanuj się – zwrócił się Izgard do skryby, który kaszlał w chustkę. – Skończ, co zacząłeś.

Śnieżek warknął.

– Pst! – syknęła królowa, opuszczając za sobą skrzydło wejścia. Nawet jeśli Izgard zauważył jej obecność, był zbyt zajęty, aby się nią przejmować. Zatopił palce w oparciu krzesła Ederiusa. Tę część jego twarzy, którą widziała, oświetlał blask bijący od korony. Ponieważ skryba wciąż kaszłał, jego oblicze ściągnęło się.

Rozpoznając pierwsze objawy gniewu króla, pragnęła, aby Ederius nareszcie się opanował. Nie chciała, żeby przydarzyło mu się coś niedobrego.

Starzec kołysał się na krześle w przód i w tył, ramiona trzęsły mu się, a z gardła dobywał się silny, urywany kaszel. Angeline nie cierpiała tego dźwięku i zmarszczyła czoło. U jej stóp Śnieżek zachowywał się tak cicho i kulturalnie, że zastanawiała się, czy przypadkiem nie usnął z otwartymi oczami. Po upływie kilku sekund skrybie udało się powstrzymać atak. Zwinął chusteczkę, a następnie wziął pędzel i przystąpił do malowania. Odetchnąwszy z ulgą, Angeline pochyliła się i pogłaskała pieska.

– A teraz – rzekł Izgard bardzo cicho – powiedz mi, co zobaczyłeś we wzorze, że tak się przestraszyłeś?

Skryba potrząsnął głową. Odezwał się tak niskim i słabym głosem, że żal ścisnął królową za gardło.

– Panie, nie wszystko idzie po naszej myśli. Ta dziewczyna maluje wzór. Czuję zapach pigmentów wokół Kolczastego Wieńca. Ona próbuje zerwać jego wiązania.

Izgard grzmotnął pięścią w oparciu krzesła skryby, aż pękła jedna z poprzecznych listewek.

– Ruszaj za nią! Zniszcz ją! Spal skórę na jej rękach i twarzy!

Zadrżała. Śnieżek zacisnął zęby na rąbku sukni i pociągnął ją mocno ku wyjściu.

*Chodźmy, chodźmy!*

Angeline wyrwała suknię, tak że piesek zamiast tkaniny łapał teraz powietrze. Miał rację, powinni już iść, jednak Ederiusa zżerała choroba, Izgarda złość, a ona nie była już małą dziewczynką. Nie zamierzała uciekać.

Tessa czuła zmianę, jaka dokonywała się w jej ciele. Pierwszy ornamentalny pas miał wnet zostać ukończony. Oddychała płytko, a jej serce bilo wolniej. Pot przestał spływać po szyi i plecach. Oczy i usta wyschły, zmysły uległy zaćmieniu i była już tylko świadoma pędzla trzymanego w dłoni.

Jej ciało zaczęło przypominać bukłak na wodę: robiło się cięższe, pełniejsze i wolniejsze. Z coraz większą trudnością rozprawiała pigment po pergaminie. Gdzieś wysoko nad nią Camron i Ravis toczyli bój o życie. Otoczeni tuzinem wściekłych bestii, walczyli zjednoczeni wspólnym celem, tak z sobą związani, że nic nie mogło znaleźć się między nimi, oprócz ich mieczy. Łatwiej było zabić ich obu naraz, niż rozdzielić. Tessa czuła ich moc; jej ciało czerpało ją i magazynowało, zamieniając w jakiś nowy element.

Gdy połączyła ostatnie dwie linie, poczuła dziwny posmak w ustach. Pierścień, którego nie zdjęła z palca, zacisnął się wokół kości. Nie czuła jednak bólu, a tylko ucisk kolców. Przed nią gotowy pas trzeszczał niczym mocno skręcona sprężyna. Perfekcyjna, wciąż mokra kopia kopii.

– Emicie, potrzebuję twego noża. – Słowa te wypadły z jej ust jak kamienie. Zauważyła krew spływającą z palca, tam gdzie kolce przekłuły skórę. – I czysty pędzel.

Emith migiem spełnił jej prośbę, wręczając pędzel z najdelikatniejszego sobolowego włosa. Przez cały czas, kiedy malowała, on dobierał pigmenty. Używając wyłącznie roślinnych i zwierzęcych barwników, wiernie odtworzył każdy kolor z palety Ilfaylena. Teraz jednak nie potrzebowała żadnego z nich.

Zamierzała własną krwią rozerwać pierwsze z wiązań.

Kopia Ilfaylena była równie martwa jak skała. Jej kolory jaśniały nieorganicznym blaskiem, a welin skryby charakteryzował się trupim, żółtawym odcieniem. Tessa wiedziała, że aby rozerwać wiązania Kolczastego Wieńca, należy tchnąć w nie życie.

Podniosła dłoń – ciężką niczym ołów – i skierowała w dół ostrze nożyka. Kiedy pochylała się nad wzorem, pierścień wpijał się głębiej i głębiej w ciało, aż zadrapał kość. Krew spłynęła na nadgarstek. Wciąż nie czuła bólu. Leniwy, ociężały dreszcz przebiegł jej po plecach. Czuła się oderwana od własnego ciała.

Przełknęła z trudem ślinę i podsunęła ostrze nad pas ornamentu. Gdy jej oczy wyszukiwały główną nić, która spajała cały oplot, ręka ciążyła ku ziemi. Jakże chciała być bardziej pewna tego, co robi!

Pas składał się z jednego dużego, wielokrotnie skręconego splotu i choć kilka kolorów wilo się w ornamentcie, całą kompozycję łączyła pojedyncza, czarna nić.

Tessa zaczęła żłobić rowek wzdłuż lej linii. Kiedy przecinała się ona z czerwonymi i złotymi pasmami, rozcinała je nożem. Gdy zwijała się w zaciśnięty, węzowy zwój, dźgała w każdy z jego fragmentów, przygważdżając je jeden po drugim. Podobnie jak chirurg przystępujący do operacji, otworzyła ornament, odsuwając skórę i odsłaniając wnętrza. Papier welinowy nadal wchłaniał mokry pigment, kiedy więc żłobiła wzdłuż linii, czerń coraz głębiej wsiąkała w pergamin. Jednakże pośrodku rowka, tam gdzie czubek noża wniknął najniżej, cienka bruzdka pigmentu została zeskrobana na bok.

Zaostrzył się posmak w ustach Tessy. Całe jej ciało zdawało się zagęszczać. Wszystko – krew, zmysły, wilgoć, wiązadła i kości – skurczyło się w sobie jak pięść. Oddychając, wciągała nie tylko powietrze. Wyziewy pigmentów, włókna i kreda z wyżłobionego pergaminu spływało jej do gardła i dalej, do piersi.

Tessa wyczuła Kolczasty Wieniec. Napręzał więzy niczym pojmany bóg i błyszczał nieopisanym, bezgranicznym chłodem.

Nie wiedział, co to dobro i zło. Znał się tylko na wojnie.

Ślepy, potężny, starszy od obydwu światów, po których Tessa stąpała – Wieniec był czystą siłą. Kierował się jednym celem. Sycił się jedną sprawą. W jego złocie odbijał się tylko jeden obraz.

Serce Tessy skurczyło się i jakby przemieściło niżej. Wstrząsnął nią nieprzyjemny dreszcz. Kolczasty Wieniec musiał odejść.

Nic, absolutnie nic, co do tej pory stanowiło jego dzieło – wojny, rzezie, inwazje, przelew krwi – nie mogło równać się z tym, do czego był zdolny. Potrafił wybrać świat i zniszczyć go.

Ręką zbyt ciężką, aby zadrżała, Tessa chwyciła sobolowy pędzel i umaczała końcówkę w zebranej wokół pierścienia krwi. Błyskawicznym ruchem skierowała pędzel nad pergamin i wprowadziła krew do bruzdy wewnątrz czarnej linii.

Cała energia, jaka mieszkała w jej ciele, wyszła na zewnątrz: siła, miłość i braterskie więzy łączące Ravisa z Camronem; smutek po stracie matki Emitha i wyrzuty sumienia po śmierci Avaccusa; złość, jakążywiła dla Deverica i jego wzorów. Prócz tego każda cząstka frustracji, bólu i samotności, które musiała znosić z powodu *tinnitusa*.

Za pomocą krwi kipiącej od uczuć pobudziła wzór do życia.

Pergamin trzeszczał. Czarny pigment syczał. Tessa umieszczała swoją krew w samym sercu wzoru. Wystąpiła przeciwko każdej linii, krzywiźnie i konwencji, którymi posłużył się Ilfaylen, aby związać splot. Gwałtowna moc przepływała przez jej ciało. Tryskała wraz z krwią przy każdym smagnięciu pędzlem, drażąc korytarze w pergaminie niczym jakiś straszny, rozpędzony robak.

Coś trzasnęło.

Powietrze przeszył dźwięk podobny do szumu strzały. Jaskinia zatrzęsała się w posadach, kamienie i skalny pył posypały się ze ścian. Rozległ się przeraźliwy furkot, który odbił się w uszach Tessy echem tysięcznych dzwonek. Poczwała gwałtowne ciśnienie, po czym wszystko się uspokoiło.

Pierwsze wiązanie zostało rozerwane. Kolczasty Wieniec wyrывał się na wolność.

– Panienko! Uciekaj!

Oszołomiona, dopiero po chwili zareagowała na głos Emitha. Odwróciła się i zobaczyła, że stoi u wejścia do jaskini, powstrzymując coś, co usiłowało wepchać się do środka. Ujrzała uzbrojoną w pazury, okrytą naprężonymi mięśniami łapę. Rozległo się głucho uderzenie i kilka skalnych okruchów spadło u stóp Emitha. Delikatne pęknięcie zarysowało się tuż nad wejściem. Cokolwiek znajdowało się na zewnątrz, było za wielkie, żeby się precyzyjnie, zatem torowało sobie drogę uderzeniami. Rozszedł się zapach, natychmiast przez Tessę rozpoznany: odór stworzenia, które dopadło ją w klasztorze.

– Panienko! Cofnij się na drugą stronę jaskini, prędzej!!!

Skoczyła jak rażona piorunem. Po raz pierwszy słyszała, jak Emith podnosi głos. Resztkami sił wycofała się pod przeciwległą ścianę.

Skała, w której znajdowało się wejście, znowu się zatrzęsała. Na ziemię spadły odłamki. Oddychając głośno i chrapliwie, stwór wciskał do otworu ramię. Na widok jego osmalonej i zakrwawionej skóry Tessa wydała cichy okrzyk. Stworzenie było masywne i zniekształcone, nieludzkie. Kiedy tak patrzyła, zaatakowało Emitha, szarpiąc pazurami jego pierś.

– Emicie, odsuń się!

Potrząsnął głową. Czerwone pręgi rozkwitły na jego płaszczu.

– Nie, panienko. Trzeba go powstrzymać.

Przy ostatnim słowie stwór trzasnął w ścianę całym impetem swego ciała. Jaskinia zdrząła. Tessa zacisnęła zęby. Wielka kamienna płyta runęła ze stropu niby zamykająca się brama.

Spróbowała wstać. Emith potrzebował pomocy.

– Zostań na swoim miejscu! – krzyknął, przetrząsając zawartość torby. – On nie zrobi ci krzywdy. Nie pozwolę na to.

Określił się na pięcie i rzucił czymś w potwora, czymś ciemnym i płynnym; dopiero po chwili poznała, że był to atrament. Czarna substancja oblała rękę i ramię, kwas wżarł się w już i tak poranione ciało. Stwór wrzasnął przeraźliwie. Emith porwał z ziemi nożyk do skrobania i zaczął kłuć napastnika. Patrzyła z zapartym tchem, jak przyskakuje do stwora, z dziką furią zadając kolejne ciosy, nie zważając na rany, jakie odnosił, kiedy wpadał na skały. Łzy napłynęły mu do oczu. Wargi poruszały się: mruzczały słowa, których Tessa nie mogła dosłyszeć.

Gdy obserwowała, jak równie często trafia w kamień, co w ciało, i jak trzęsie się oszalały ze strachu, zrozumiała, że nie ma go już w jaskini. Przeniósł się do kuchni swojej matki, gdzie walczył w obronie kogoś, kogo obronić już się nie dało.

Kiedy stwór zaczął się wycofywać, on ruszył za nim, nie zaprzestając natarcia. Jego pierś wstrząsało łkanie. Przekłuł tułów potwora jakiś tuzin razy i wyparł go ze szczeliny z powrotem do tunelu. Tessa sądziła, że to wystarczy, ale nie wystarczyło. Emith podążył za bestią.

Nie mogąc dojrzeć, co się dzieje, wsłuchała się w odgłosy kroków na kamieniu i przyspieszonego oddechu. Wnet szloch i zwierzęce ryki zmieszały się w jedno. Ściana trzęsła się raz po raz, zawirowania powietrza, wywołane miotającymi się ciałami, chwiały płomieniem świeczek. Po pewnym – zdawałoby się – bardzo długim czasie zapadła cisza. Upływały kolejne minuty. Tessa natężyła słuch, by coś usłyszeć, cokolwiek. Wtedy Emith pojawił się u wejścia. Wyciągał przed sobą nóż. Ostrze było powyginane od uderzeń o kamień. Jego twarz, ręce i nóż lepiły się od ciemnej krwi. Płaszcz zwisał w strzępach, a włosy pokryły się warstwą skalnego pyłu.

– Teraz już nie zrobi ci krzywdy, panienko – powiedział głosem cichym, trochę przytłumionym. – Obiecuję.

Tessa ukryta twarz w dłoniach. Jej ramiona zaczęły drżeć.

– Panienko, nie płacz, proszę. Wszystko będzie dobrze. – Emith przebiegł przez jaskinię i uklęknął przy niej. – Przykro mi, jeśli cię przestraszyłem.

Nie mogła dobrać głosu. Jak miała mu powiedzieć, że ze wszystkich rzeczy, które widziała w życiu, najbardziej poruszył ją widok Emitha z ociekającym krwią nożem?

– Proszę, panienko. – Wręczył jej kawałek szmatki. Choć starał się to ukryć, czuła, jak trzęsą mu się ręce. – Nie wolno ci przejmować się tym, co tu przed chwilą zaszło.

Uniosła głowę.

– Przepraszam, Emicie. Za wszystko.

Uśmiechnął się łagodnie i poklepał ją po ramieniu.

– Wszystko w porządku. Naprawdę.

Zauważyła, że ostrze jego noża jest teraz czyste. Jakimś sposobem w ciągu tych kilku sekund, kiedy patrzyła w dół, znalazł czas, aby je wytrzeć. Taki miał zwyczaj – nigdy nie zwlekał ze sprząnięciem bałaganu. To drobne spostrzeżenie uspokoiło ją i po chwili Tessa pozwoliła się odprowadzić do pergaminu i pigmentów.

Pogiętym i wystrzępionym nożykiem zaczęła żłobić welin. Znów jej ciało nabrało sił w trakcie pracy. Gdy była gotowa posłużyć się pędzlem, pierścień wytoczył z palca więcej krwi. Umoczyła końcówkę w najtłustszej czerwonej kropli, by przenieść ją na pergamin, do środka plecionkowego oplotu.

Ledwie krew dotknęła wzoru, gorąca fala zalała jej dłoń. Para wilczych ślepi łypnęła na nią zza pergaminu. Odskoczyła do tyłu. Ból przeszył jej rękę i dotarł aż do twarzy. Poczowała woń spalonej skóry. Emith krzyknął, żeby odłożyła pędzel, ale ona trzymała go kurczowo. Ktoś musiał zapłacić za to, co tu się dzisiaj wydarzyło. Emitha nigdy nie powinno się zmuszać do walki nożem i do zabijania. Takie zachowanie nie leżało w jego naturze. Był łagodny, miły i zawsze miał o wszystkich jak najlepsze mniemanie. A teraz jego matka odeszła, życie uległo zmianie i ktoś poniósł śmierć z jego ręki. Żadna z tych rzeczy nie powinna się zdarzyć. Żadna. To była walka tylko jej, nie Emitha. Zaciskając wargi, wyruszyła, by złowić wilka w pergaminie.

Ederius wrzasnął. Otworzył dłoń i wypuścił pędzel. Drżenie, co prawda o mniejszej sile niż to sprzed półtorej godziny, zatrzęsło namiotem i ziemią. Wzrok Angeline podążył automatycznie w stronę Kolczastego Wieńca. Kiedy zdarzył się pierwszy wstrząs, korona zdawała się rozmywać niczym przedmiot w rozżarzonej powietrzu. Tym razem złoto zmatowiało. Pociemniały obrazy, które się w nim odbijały i przez chwilę zdawało jej się, że widzi na jego powierzchni jakąś monstrualną sylwetkę. Gdy wyteżyła wzrok, sylwetka znikła.

– Do roboty! – zawołał Izgard, wkładając Ederiusowi pędzel do ręki. – Maluj! Powstrzymaj ją!

Skryba rozcierał dłoń. Nawet Angeline ze swego miejsca dostrzegła jego poparzoną skórę.

– Panie – rzekł Ederius, oddychając nierówno – nie mogę...



Izgard uderzył pięścią w oparcie krzesła. Drewno, już wcześniej złamane, oderwało się od reszty. Kawałki uderzyły prosto w Ederiusa.

– Powstrzymaj ją! Powstrzymaj ją! Powstrzymaj ją!!!

Angeline cofnęła się o krok. Śnieżek przywarł do niej, wtulony w skraj sukni.

Ederius zaczął kaszleć. Z oczu płynęły mu ciurkiem łzy, skóra powlekła się szarością, a cały tułów trząsł się. Krew pokazała się w miejscach, gdzie drewniane drzazgi przebiły ciało. Angeline skrzywiła usta, kiedy zacisnął dłoń na pędzlu. Nie zamierzał chyba kontynuować? Zamierzał. Walcząc ze wstrząsającymi pierśmi konwulsjami, zanurzył pędzel w najbliższym z garnuszków i naniósł pigment na pergamin.

Angeline zacisnęła palce na sukni. Dlaczego Izgard każe mu pracować, nic sobie nie robiąc z jego choroby?

Kaszel skryby z każdą chwilą przybierał na sile. Ederius wolną ręką przyciskał do ust chustkę i wypluwał w nią krew. Rysował grube, niezgrabne linie. Nagle zakrztusił się i na pergaminie pojawił się kleks.

Izgard włożył palec do plamy i podsunął go skrybie pod nos.

– Co to ma znaczyć? – zapytał, wyrывая mu chustkę spod ust. – Opanuj się nareszcie! No już, maluj!

Starzec próbował, lecz szła Izgarda tylko go rozpraszała. Pochylił się nad pulpitem, jego ramiona drżały. Angeline targała rąbek sukni. Gdyby tylko Izgard dał mu minutę na dojście do siebie. Widząc, jak skryba z trudem łapie oddech, król wpadł w jeszcze większą wściekłość i zaczął bębnić pięścią po stole. Ślina wyleciała z ust skryby i padła prosto na pergamin. Tyle tylko, że nie mogła to być ślina, bo nie była przezroczysta. Była czerwona... od krwi.

Na ten widok Izgard wrzasnął, by Ederius przestał kaszleć.

Angeline krzyknęła cichutko. Postąpiła krok do przodu.

Śnieżek warknął: *Zostań.*

Oblicze Ederiusa stawało się sine. Krew coraz częściej tryskała mu z ust. Nie mógł powstrzymać kaszlu.

Niezdolna dłużej nad sobą panować, królowa podbiegła do stołu. Uniosła ramię, zacisnęła dłoń w pięść i, zanim się zmiarkowała, trzasnęła Izgarda w twarz.

– Przestań! – krzyknęła. – Daj mi spokój!

Izgard wyprostował się szybkim ruchem. Z kącika ust płynęła mu krew, którą starł ręką. Jego oczy mieniły się złością.

Gdy je zobaczyła, gdy zobaczyła, co się za nimi chowa i czego tam nie ma, przestała oddychać. Poczula w żołądku nieznośny ucisk. Słyszała, jak gdzieś z tyłu, blisko wyjścia, rozlega się żalostny, natarczywy skowyt.

*Chodźmy, chodźmy!*

Odwróciła się. Zanim jeszcze jej suknia zaczęła poruszać się do wtóru z ciałem, coś uderzyło ją w plecy. Zatrzeszczały stawy. Świat zakrył się bielą i czerwienią. Ból przeszył żebra i kręgosłup. Zataczając się, próbowała uciec. Cień zasłonił jej oblicze, rozległ się odgłos wciąganego powietrza, a potem pięść Izgarda wylądowała na twarzy królowej.

Zęby Angeline zatrzasnęły się gwałtownie. Z przeciętej dolnej wargi buchnęła krew. Pomieszczenie zaczęło wirować. Nagle przestała rozróżniać górę i dół. Przewracając się na bok, usiłowała rękoma ochronić brzuch.

“Proszę – pomyślała, upadając boleśnie na ramię i biodro – nie krzywdź mojego dziecka”.

W tle kaszel Ederiusa stał się cichszy i bardziej mokry. Gdy przewróciła się na brzuch, zerknęła ukradkiem w stronę stołu. Choć wzrok miała zamglony na skutek łez i uderzeń, zauważyła, że ciało skryby osuwa się na ziemię.

Gdzieś w dali Śnieżek ujadął histerycznie.

*Chodźmy, chodźmy!*

– Oduczę cię podnosić na mnie rękę.

Zanim znaczenie słów Izgarda dotarło do Angeline, ból przeszył jej czaszkę z tyłu u podstawy. Kątem oka dostrzegła, co Izgard unosi: jedną z listewek wyłamanych z oparcia krzesła Ederiusa. Była poplamiona krwią, ale wołała patrzeć na nią niż na ciemną pustkę malującą się na obliczu króla.

Nie zamierzał poprzestać, póki jej nie zabije.

Listewka wznosiła się i opadała na ramiona, ręce i żebra. Angeline poczuła smak krwi. Przed oczami ujrziała białe iskierki. Ciepła, wilgotna struga spływała jej z ramienia, zbierając się pod pachą. Świat zaczął gasnąć. Wówczas listewka spadła pod takim kątem, aby wbić się w miękkie ciało jej boku. Zamarła. Pragnęła zmówić po cichu modlitwę, ale nie mogła zebrać myśli. Opadająca listewka stopniowo traciła ostrość, aż znalazła się w miejscu, gdzie przed chwilą było tylko powietrze chłodzące jej twarz.

Drobne łapki wystartowały do biegu. Rozległ się przeciągły, wściekły skowyt i coś białego przeleciało w powietrzu, celując prosto w ramię Izgarda. Angeline ujrziała zęby, psie futro i sierść zjeżoną na karku.

– Śnieżku! – krzyknęła mimo krwi zebranej na języku. – Przestań!

Z podwiniętym ogonkiem i błyszczącymi oczami Śnieżek zacisnął szczękę na ramieniu Izgarda. Łapki kopały powietrze, głowa zajadle kiwała się na wszystkie strony, zęby wpijały się głęboko w królewskie ciało, aż wokół różowo-czarnych dziąseł pokazała się krew.

Izgard puścił listewkę. Krzyknął gniewnie i machnął ręką, aby zrzucić psa. Tocząc pianę z pyska, Śnieżek trzymał mocno.

Angeline ciągle krzyczała na Śnieżka, żeby uciekał. Bolało ją całe ciało, ale nie miało to znaczenia. Tylko Śnieżek się liczył.

Król zatoczył się w kierunku stołu, potrząsając ręką, ale pies nie rozluźniał uścisku. Szczęka nieustępliwie ścisnęła ramię, zęby wgrzyzły się w kość.

*Śnieżek tutaj, Śnieżek tutaj.*

Izgard ciskał przekleństwa. Jego twarz stała się purpurowa z wściekłości. Gdy miotał się na wszystkie strony, krew spływała mu po przedramieniu. Zerknął przed siebie, po czym nabral rozmachu i uderzył ramieniem o brzeg Ederiusowego stołu.

– Nie – mruknęła Angeline.

Śnieżek wyleciał w powietrze i rąbnął grzbietem o drewno. Rozległ się krótki skowyt. Zatrzeszczały kości – mnóstwo maleńkich kosteczek – szczęka zwolniła uścisk i ciało psa spadło na ziemię. Upłynęła sekunda. Pies-nieudacznik nie ruszał się. Prawa część jego czaszki była nienaturalnie spłaszczona i krew zaczęła wypływać z jego ucha.

Obok niego nieruchomo leżał Eclerius.

– Śnieżku? – zawołała Angeline. – Ederiusie?

Żaden z nich się nic odezwał.

Izgard podniósł rękę do piersi i potarł porozrywane zębami ciało. Wpatrywał się w Kolczasty Wieniec. Korona wydawała się mniejsza niż jeszcze przed chwilą. Jakby nic nie ważyła. Izgard porwał ją na ręce i, nie zwracając uwagi na Angeline, wybiegł z namiotu.

Głowa królowej opadła na ziemię. Chciała zamknąć oczy, ale przeszkadzała jej zbierająca się w nich wilgoć. W namiocie panowała cisza.

– Śnieżku? – zawołała, żeby przerwać milczenie. – Śnieżku?

Wiedziała, że nie usłyszy odpowiedzi, lecz wciąż łudziła się nadzieją. Objęła rękami brzuch. I czekała... czekała... czekała... Piesek nie dawał znaku życia. Po długim czasie potrząsnęła głową. Co za głupiutki, niepoprawny, lekkomyślny, nieustraszony, nicponiowaty pies! Żal rozdzierał jej piersi, tak bardzo go kochała.

Angeline z trudem podniosła się na nogi. W tyłu miejscach dokuczał jej ból, że czuła się jakby oderwana od ciała. Połamane kości przeszkadzały królowej, ale jej nie zatrzymały. Najpierw zbliżyła się do Ederiusa i położyła dłoń na jego ustach, aby sprawdzić czy jeszcze oddycha. Nie oddychał, więc zamknęła mu oczy, ogarnęła ramionami jego pierś i wiele razy powtórzyła, jak jej przykro. Miał nad podziw piękną twarz i wyglądał niespodziewanie młodo. Troski przestały bruździć jego czoło. Pragnęła pocałować go w usta, ale jej warga nadal krwawiła i wołała nie poplamieć jego skóry. Ederius zawsze dbał o swój wygląd.

Odwróciła się od ciała skryby, wzięła głęboki oddech i spojrzała na Śnieżka.

Pies-nieudacznik wydawał się spać. Królowa wzięła go na ramiona i przytuliła do piersi. Nie przypominał już Śnieżka, tylko poduszkę wypchaną kośćmi, lecz ona i tak go tuliła. Był ciepły, nadal miał mokre dziąsła, a z łapy sterczała resztką konika polnego. Nie, poprawiła się Angeline, wyciągając zielony kawałeczek. To żaden konik polny. To zwykły liść.

Z czułym uśmiechem położyła pieska na ziemi. Niełatwo było się z nim rozstać. Wstała i objęła rękami brzuch, próbując zapelnąć pustkę po Śnieżku. On wcale nie odszedł. Nigdy nie odejdzie. Zawsze będzie przy niej.

Zagryzając skaleczoną wargę i usiłując być tak silną, jak uczył ją ojciec, ruszyła do stołu.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Krew schnąca pod płaszczem Ravisa śmierdziała. Coś kłuło go w lewe oko. Pęcherz na ręce pękł i ropa wyciekła na rękojeść topora. Dzięki temu jego uścisk stał się pewniejszy. Sześć kroków przed nim Camron wykreślał butem krwawą linię.

Znajdowali się na blankach, na szczycie wieży; nad głowami mieli szarobłękitne niebo. Wnet miało świtać. Kolejny stwór padł martwy – topór Camrona rozplątał na pół jego czaszkę. Camron rozmazał czubkiem buta krew na kamieniu. Ravis wiedział, że byłaby to jego krew, gdyby nie szybka ręka lorda. Stał przygwożdżony do rogu i bezbronny, brakowało mu tchu, miejsca i czasu. Widział opadające ostrze, które rozcięłoby mu bok. Na stali ujrzał własne odbicie. Wówczas Camron, który został na schodach, gdzie szukał broni, zjawił się w ostatnim momencie i ciał potężnie w głowę stwora, który tym samym nie zdążył zadać ciosu.

Ravis spojrział na swego towarzysza. Jego oblicze usiane było śladami pazurów, sińcami, opuchliznami i rozcięciami. Połowa lewej brwi została odcięta, a oko pod nią zaszło krwią. Napotkawszy wzrok Ravisa, wskazał na linię, którą malował.

– Znów się tylko przyglądasz, Burano?

Ravis wyszczerzył zęby. Czynność ta wymagała przewyciężenia bólu, prócz tego otworzyły się dwie rany, ale warto było. Camron z Thornu był tego wart.

Poprzez zawrodoenie wichru i huk morskich fal przedarł się inny odgłos, bardziej natarczywy: kroki na schodach. Nadchodziły ostatnie z bestii.

Camron przeszedł na drugą stronę linii i stanął obok Ravisa. Obaj unieśli topory na wysokość piersi. Najemnik nie orientował się, ile stworów Izgarda pozostało przy życiu – po pierwszym tuzinie zabitych pogubił się w liczeniu. Nie miał pojęcia, jaką posiadały broń i w jakim mogły być stanie. Wiedział tylko, że dobrze się tu czuje, gdyż kobieta, o którą warto było walczyć, znajdowała się kilka kondygnacji niżej, a mężczyzna, z którym warto było walczyć, stał u jego boku.

Niczego więcej nie pragnął.

Zagryzł wargę i spojrział na linię, którą Camron namalował na kamieniach, wyschniętych i zbrązowiałych od gorącego, słonego powietrza. Zastanawiał się, czy słowa Malraya nie były przypadkiem prawdziwe. Może nadawał się tylko do wojaczki?

Nagle myśl ta wydała mu się całkiem dobra. Być może, kiedy będzie po wszystkim, wyśle list do brata. Niewykluczone, że poprosi go o rozejm.

W tejże chwili furta zatrzęsa się i wyleciała z zawiasów, po czym horda Izgarda wypadła na blanki, osnuta ostatnimi skrawkami nocy. W paszczach błyskały kły, przez skórę

przeświecały kości; potwory zassałyświeże morskie powietrze i zastąpiły go własnym smrodem.

Ravis i Camron wymienili spojrzenia. Poczekali, aż stwory przekroczą czerwoną linię, po czym wyszli im na spotkanie.

Tessa namalowała ostatnie krwawe pasmo na czwartym ornamentalnym pasie. Zamknęła oczy i napięła mięśnie w oczekiwaniu na pęknięcie ostatniego wiązania.

Nic. Strop tylko drgnął nieznacznie i odrobina pyłu opadła na ziemię. Sama ziemia nie zatrzęsała się i panowała cisza, jakby nic nie uległo zmianie.

Oparła brodę na piersi. Zerknęła na Emitha.

– Nie rozumiem. Wszystkie cztery wiązania zostały zerwane. Ilfaylen powiedział w liście, że muszę odwiedzić cztery miejsca i tak też się stało, lecz Kolczasty Wieniec wciąż tu jest. Wyczuwam go.

Odchrząknął.

– Zrobiłaś wszystko, jak trzeba, panienko? Być może opuściły cię siły?

Potrząsnęła głową. Wokoło zebrała się moc. Wypełniała powietrze w jaskini. Gdziekolwiek byli Camron z Ravisem, cokolwiek robili – wszystkie uczucia, jakie nimi targaly, były tak silne, że ciążyły na jej ramionach niby grube, zimowe futro. Okazało się, że istnieje jeszcze trzecie źródło mocy. Jeszcze jedna osoba – dalej, ale mimo to blisko – która zmieniała się, walczyła, stawała inną osobą. Z tych trojga ciało Tessy czerpało siły.

I jaki z tego pożytek? Ostatnie wiązanie zostało zerwane. Zadanie powinno zostać wykonane.

Zmęczona, sfrustrowana, z oparzeniami na ręce, które drażniły nerwy niczym rozgrzane igły, postanowiła zdjąć pierścień. Nie umiała jednak powstrzymać drżenia, kiedy zatem szarpnęła za złoto, kolce wpiły się głębiej w ciało, U nasady palca zebrała się świeża krew. Uderzyła dłonią o podłozę jaskini. Pierścień nie chciał się poddać.

– Panienko, daj spokój. Odpocznij przez pięć minut. – Emith pociągnął za jej ramię. – Pozwól, że opatrzę te oparzenia.

Dygotała. Ledwie dosłyszała słowa Emitha.

Pięć minut.

Pięć.

Wciąż brzmiały jej w uszach słowa Avaccusa: “Jest pewna moc w liczbie pięć. Starożytna moc, którą posługiwali się niegdyś starożytni królowie”.

Miała wrażenie, że słyszy je po raz pierwszy. Serce zaczęło bić szybciej. Pochyliła się i spojrzała na kopię Ilfaylena. Skryba sądził, że związał Wieniec czterema wiązaniami. A jeśli cały wzór utworzył piąte wiązanie i Ilfaylen nic o nim nie wiedział?

Odrzuciła w tył głowę, zamknęła oczy, wzięła głęboki oddech i policzyła do pięciu. Nie miała wyboru – musiała kontynuować.

– Potrzebuję nowych pigmentów, Emicie, i czystego pędzla. – Zdawała sobie sprawę, że przeciąga wyrazy. Była wycieńczona. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio spała. – Namaluję jeszcze jeden pas, pośrodku.

– Jesteś pewna, że to bezpieczne, panienko?

– Ten, kto chciał mnie zniszczyć, wypadł z gry. – Zadrzała. – Nie żyje.

Emith powstrzymał się od okrzyku.

– Przy gotuję pigmenty.

Czekała. Czuła, że jej ciało staje się cięższe i wolniejsze, ponownie wypełnia się siłą. Podobnie jak magnes przyciąga metalowe opiłki, pierścień przyciągał moc, otulając nią kości Tessy i przygotowując do pracy. “Pierścień i Wieniec stanowią nierozłączną parę – powiedział Avaccus. – Pierścień jest siostrą Kolczastego Wieńca i nagli cię, byś wyzwoliła brata”. Czując tętno u podstawy palca i wwiercanie się kolców do kości, zrozumiała, że miał rację. Także skryba Izgarda przejrzał całą prawdę. Własna złość doprowadziła ją tylko do pewnego miejsca. Dalej pałeczkę przejął pierścień.

– Proszę, panienko. – Emith podsunął jej dwie muszle z pigmentami czarnym i złotym. – Dobrze je rozrobiłem, dadzą się łatwo nałożyć.

Wzięła muszle. Patrząc teraz na niego, nie mogła uwierzyć, że dwie godziny temu zabił potwora. Znikła krew na policzkach i pod paznokciami. Rozerwania na płaszczu zostały załatane, zaklejone bądź umocowane szpilkami, a skalny pył wyczesany z włosów. Mimo to, choć wyglądał na zadbanego i opanowanego, ręce mu drżały, gdy podawał jej muszle.

Sama miała ściągniętą i poparzoną skórę na dłoni, a w żołądku jakby rozłupany kamień, ciężki i kanciasty. Pochylona nad wzorem, przywiodła przed oczy obraz Kolczastego Wieńca. Pojawił się natychmiast, oślepiając niczym słońce. Pędzel jakoś dziwnie leżał w jej dłoni, ale na przekór oparzeniom, lękom i ociężałości nie rozluźniała uścisku.

Pierwsza kropla pigmentu, która opadła na pergamin, wprawiała w drżenie podłoże jaskini. Pod wpływem podmuchu chłodnego powietrza wzbił się pył. Światło świec pojaśniało. Huk fal rozbijających się o brzegi wzmógł się, stał się bardziej natarczywy. Dźwięk ten przypominał bicie serca.

Przyzywając moc z wielu źródeł, raz po raz przenosząc wzrok na kopię Ilfaylena, którą się kierowała, Tessa przystąpiła do malowania. W liczbie pięć naprawdę tkwiła starożytna potęga. Czuła, jak kumuluje się w mięśniach jej nadgarstka.

Marcel z Vailing spał zawsze snem błogim i głębokim. Kiedy zatrzęsło się Bay’Zell, jego kamienica zadrzała, ałoże się zakołysało, on tylko zapadł w głębszy sen. Śniło mu się, że leży wewnątrz gigantycznej sakiewki, huśtającej się u pasa bogacza. Nie obudził się. Na górze jedna z latarni o szklanej pokrywce – nadal żarząca się na skutek przeoczenia czarującej, acz roztrzepanej służącej – roztrzaskała się o ziemię. Mimo to nie obudził się. Ciągłe spał, gdy podsycane naftą płomienie objęły biurko, zamieniając w popiół ostatnie z wyliczeń – kilka wykresów opracowanych z myślą o przekonaniu tych najbardziej cenionych klientów, że

okupacja wroga nie musi od razu odbijać się negatywnie na ich inwestycjach. Nawet gdy ogień rozprzestrzenił się na zasłony i ściennie obicia, a całe górne piętro wypełniło się dymem, Marcel spał jak niemowlę. Sakiewka bogacza była tak bardzo, bardzo przytulna.

Dopiero kiedy dym zaczął sączyć się spod drzwi sypialni, a płomienie z górnego piętra przebiły się przez sufit, Marcel wreszcie się ocknął. Ale wtedy było już za późno.

Czarne chmury przetaczały się po niebie, zamieniając szarość świtu w noc. Ziemia drżała, skutkiem czego przewracały się niektóre prowizorycznie rozbite namioty i zagrody. Izgard słyszał, jak robotnicy pokrzykują do siebie w obozie, jak mieszają się rozkazy z przekleństwami, a każdy jest ciekaw przyczyn. Wszyscy byli zgodni, że to zły omen.

W powietrzu czuło się siarkę. Sama ciemność przyoblekła się jakby w żółty odcień. Nie spodobało się to Izgardowi. Coraz bardziej oddalał się od obozu, przyciskając do piersi Kolczasty Wieniec. Podchodzili do niego żołnierze i lordowie, ale on wszystkich odganiał. Nie mógł znieść ich widoku. Nawet przelotne spojrzenie na ich twarze oznaczało odwrócenie wzroku od Wieńca.

Kolce toczyły coraz mniej krwi. Ból, jaki zadawały, był z każdą chwilą bardziej tępy i nieistotny. Na koniec całkiem zniknął.

Izgard upadł na kolana i przytulił koronę. Kolczasty Wieniec zdawał się ważyć tyle samo, co cień. Złote krawędzie zaczęły ciemnieć. Długie, lśniące zwoje przestały odbijać zewnętrzny świat, aby pokazać coś wewnętrznego. Coś mrocznego i nieuniknionego, jak śmierć.

Piorun uderzył z łoskotem. Ziemia, na której klęczał Izgard, zakołysała się obłąkańczo. Koniki polne i muchy poderwały się do lotu. Odgłos przypominający ryk dzikiego zwierza, uwięzionego w podziemnym tunelu lub w studni, rozszedł się w ciemnościach.

Kolczasty Wieniec zamrugał i zniknął.

– Nie! – wrzasnął Izgard, przyciskając do piersi pustkę. – Nie!!!

Angeline wyciągnęła szpilki z włosów i rozpuściła złote loki. Rozwiązała rzemyki płaszcza i strząsnęła go z ramion. Szła środkiem obozu. Żołnierze gapili się na nią. Robotnicy wołali. Jeden ze szlachciców ofiarował się odprowadzić ją do namiotu. Wszystkich odpędziła. Być może myśleli, że mąż biciem pozbawił ją rozumu lub ogarnęło ją nagłe szaleństwo. Nie dbała o to.

Tak naprawdę nie było jej ciężko iść. Miała złamaną rękę i może ze dwa pęknięte zębra. Dokuczały jej też bóle głowy, zuchwy i pleców, ale wiedziała, że ojciec by nie pochwalił tchórzliwej uległości wobec bólu. A zatem nie uległa. Nie przebrała nawet sukni, choć zmyła tyle krwi, ile się dało. Woda, którą się myła, dość szybko powlokła się czerwienią i Angeline wołała dłużej na nią nie patrzeć.

W czasie marszu napawała się ciepłem bijącym od niesionej butelki. Wieczko było szczelnie zakręcone, aby gorący napój nie ostygł za szybko. Zastanawiała się, dlaczego jest

jej tak zimno, chociaż powietrze było wilgotne i duszne, jak przed letnią burzą. Przeszył ją dreszcz. Może działo się tak dzięki jej żelaznym, halmackim kościom?

Brnąc w wysokiej trawie, wyszła z obozu. O niczym nie myślała, wędrując po skruszonych, białych kamieniach i pośród łąnów żółtego zboża. Rozmyślanie ją tylko osłabiało.

Po chwili dostrzegła Izgarda leżącego pod bukiem twarzą do ziemi. Kolczasty Wieniec opuścił go – wiedziała o tym, zanim jeszcze zbliżyła się na tyle, żeby to zobaczyć. Trzęsły mu się ramiona i dziwne, niepodobne do słów odgłosy wydobywały się z jego gardła. Pokrywała go krew różnego pochodzenia, a palce były ubłocone.

Gdy podeszła, podniósł głowę.

– Angeline? – zapytał łagodnym tonem. Był oszołomiony. Przyniosła z sobą słońce i zmrużył powieki, patrząc na nią. – Przepadł.

Skinęła głową.

– Wiem.

– Co z Ederiusem?

– Nie żyje.

Izgard zamknął oczy.

– Boże, wybacz.

Uklękła przy nim. Miał teraz czyste oczy i patrzyła w nie z boleścią.

Podniósł dłoń do policzka i zapytał:

– Moja piękna Angeline. Mój aniele. Co ja zrobiłem?

Dotknął ją delikatnie. Królowa czuła, że jej ciało poddaje się temu dotykowi. Zmagała się z sobą.

– Coś ci przyniosłam, panie – rzekła, wskazując na butelkę. – Trochę mleka z miodem i migdałami według mojej receptury. Zawsze podawałam go ojcu, kiedy nie czuł się najlepiej. – Mówiąc to, odkręciła zakrętkę i od razu rozszedł się aromat migdałów i miodu.

– Mam nawet kubek.

Izgard głaskał ją po policzku i włosach, kiedy nalewała mleka. Łzy błyszczały mu w oczach.

– Ederius – odezwał się cicho. Potem dodał: – Czy bardzo go bolało?

Nie odpowiedziała. Nadaremnie próbowała pozbyć się pieczenia w gardle. Podała mu pełny kubek.

– Panie – powiedziała.

Spojrzał jej w oczy.

– A ty nie skosztujesz?

Burza uczuć targała królową. Coś dławiło ją w gardle. Pot niczym rosa błyszczał na jej wyciągniętej dłoni. Woląla nie myśleć o Śnieżku i Ederiusie – ból był zbyt świeży, zbyt



uciażliwy – więc zamiast tego pomyślała o dziecku. Wolną rękę położyła na brzuchu i poczuła nagły przypływ sił, który pozwolił spojrzeć mu w twarz.

– Być może później napiję się odrobinę, panie. Twoje potrzeby są większe niż moje.

Izgard zawahał się.

– Czyżbyś nie ufał własnej żonie, panie? – zapytała, trzymając pewnie kubek w dłoni. – Ten napój przyrządziłam własnoręcznie.

Po dłuższym czasie wyciągnął rękę. Ich palce spotkały się przelotnie, po czym król zbliżył kubek do ust. Ani na moment nie spuszczał z niej wzroku, a ona wytrzymywała jego spojrzenie. Serce waliło jej mocno i straszne mdłości ogarniały żołądek, ale na zewnątrz zachowywała spokój. Za Śnieżka. Za Ederiusa. Za dziecko.

Po wychyleniu kubka Izgard opadł na trawę. Ziewnął.

– Odpuść teraz – powiedziała. – Będę czuwała nad twoim snem.

Skinął głową. Zamknął oczy i po kilku minutach już spał.

Przez pewien czas wsłuchiwała się w jego miarowy oddech, a potem wolno wstała. Najwyższy czas, by stąd odejść. Nie wiedziała, jak szybko zacznie działać arsenikowy pigment Ederiusa, a wołała nie słyszeć krzyków Izgarda. Podniosła butelkę z trawy – ostrożnie, aby nie wylać mlecznobiałej zawartości na skórę – zakreśliła zakretekę, włożyła ją za pasek, odwróciła się i odeszła.

Przebyła trawiaste łąki i zagłębiła się w bukowy las, a potem przeszła przez słone błota, skąpane w promieniach wschodzącego słońca. Szła długo, póki nie poczuła zmęczenia, póki krawędzie złamanych kości nie przebiły skóry, póki powiększająca się opuchlizna na wargach nie uniemożliwiła oddychania i póki wspomnienie zwiotczalego ciała Śnieżka nie zatępiło się ostatecznie. Upadła pomiędzy kraby, niedźwiedziówki i piaskowce, na skrawku białej od soli ziemi, zwinęła obolałe ciało w kłębek i znieruchomiała. Nie miała sił iść dalej, nie miała sił myśleć, nie wiedziała, czy postąpiła słusznie.

Zamykając oczy, odpływając w litościwy mrok, wyobraziła sobie powrót na zamek Halmac, gdzie mogła usiąść wraz z ojcem i Śnieżkiem przy kominku, zdrowa i bezpieczna. Pragnęła z całego serca znowu tam się znaleźć. Gerta miała rację. Nic dobrego nie spotka nigdy damy, kiedy wyjdzie “naa zeewnątrz”.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Ravis zszedł na dół schodami wieży wartowniczej. Ciała leżały na każdym stopniu i w każdym korytarzu; żadnego z nich nie minął, nie upewniwszy się przedtem, że leżący nie daje znaku życia. Pax pomógł mu przenieść tych nielicznych, którzy wciąż oddychali. Razem zanieśli rannych do kuchni, ułożyli ich blisko ognia, okryli kocami i postarali się, żeby każdy otrzymał wodę lub brandy, albo to i to. Ravis wyjaśnił krótko Paxowi, jak bandażować rany. Palił się, by poszukać Tessy i sprawdzić, co z Emithem, lecz zawsze coś stało mu na przeszkodzie. Rany należało przemyć alkoholem, a to nie mogło czekać; wbite pazury i zęby musiały zostać ręcznie wydłubane; trzeba było kauleryzować naczynia krwionośne i zszywać skórę. Uśmierzać ból. To byli jego ludzie, jego oddział. Walczyli długo i dzielnie z przeciwnikiem znacznie liczniejszym, dlatego nie mógł się teraz odwrócić do nich plecami.

Nie zważał na własny ból. Miał przekłuty język i dziąsła oraz odcięty kawałek policzka. Rany zadane nożem i pazurami pokrywały mu ramiona i ręce. Najdziwniejsze było to, że czuł jedynie dawną bliznę na wardze. Drażniła go niczym ból zęba. Przypuszczając, że ta stara rana otwarła się, dotknął jej ręką. Zgrubiała tkanka była sucha i nie popękana.

– Ravisie, idź po Tessę. Teraz ja zajmę się rannymi ludźmi. – W drzwiach pojawił się Camron. Ravis zostawił go na blankach, kiedy zabili ostatniego stwora. Lord prosił go o chwilę samotności, więc zszedł na dół pierwszy.

– Usiądź, Camronie. Niech no przyjrzę się temu rozcięciu nad twoim okiem.

Camron potrząsnął głową.

– To nic takiego. – Uśmiechnął się. – Lepiej zajmij się sobą. Wyglądasz strasznie.

– Mógłbym to samo powiedzieć o tobie. – Ravis odwzajemnił uśmiech. Opadły go wspomnienia ostatniej bitwy: pazurów rozrywających na strzępy; paszcz otwierających się z cichym trzaskiem, aby zatopić się w ciele; ohydneho chrupotu kości, gdy topór rozdzielał kręgi. Wzdrygnął się. Nie mógł uwierzyć, że wyszli z Camronem cało z tej opresji.

– No, idź już, poszukaj Tessy.

Patrząc na twarz szlacheica, czuł ciężar na piersi. Chciał coś powiedzieć, zatrzymać go przy drzwiach i unieruchomić koła czasu. Już nigdy nie będą sobie tacy bliscy.

Po dłuższej chwili pogodził się jednak z upływem czasu, skinął głową i wyszedł. Camron przecież zajmie się ludźmi. Kiedyś by tego nie zrobił, ale teraz się zmienił.

Nietrudno było domyślić się, któredy Tessa i Emith zeszli do piwnic, a następnie do jaskiń. Widocznie żadne z nich nie zamierzało zacierać śladów. Początkowo Ravis cieszył się z tego faktu, lecz wkrótce zauważył na kamiennym podłożu plamy ciemnej krwi. Przyspieszył kroku, a następnie puścił się biegiem, wykrzykując imię Tessy. Pot napływał mu do rany na

policzku, kiedy wreszcie natknął się na ciało jednego ze stworów, rozciągnięte bezwładnie na ziemi. Nogi i dolna partia tułowia były poczerniałe od ognia, który płonął przy bramie. Połamane drzewca strzał sterczały z pleców i z boku, a szyję znaczyły głębokie cięcia miecza. Nie one jednak zmogły potwora. Wykończyły go setki malutkich ukłuc nożykiem, o których świadczyły rany na szyi, ramionach i tułowiu.

Przykucnął przy zwłokach, by się im lepiej przyjrzeć. Niewielka część rysów twarzy przybrała dawny wygląd, odsłaniając człowieka pod maską zniekształconych kości i napuchniętych dziąseł. Otwarte oczy nie miały złotego odcienia. Były brązowe.

– Ravisie.

Uniósł twarz, by popatrzeć na Tessę wynurzającą się ze szczeliny w skale. Czysty bandaż zakrywał świeżą ranę na jej prawej ręce, a dolna część podbródka nosiła ślady oparzeń. Trzęsła się z lekka i wspierała o ścianę. Po chwili Emith pojawił się za nią i Ravis szybko zrozumiał, że to on zabił stwora, nie Tessa. Wyraz jego oczu uległ pewnej zmianie.

Ravis pospiesznie oderwał skrawek swego płaszcza i zakrył nim oblicze trupa. Nie chciał, żeby Emith zobaczył, że zabił człowieka. Lepiej niech wierzy, że uśmiercił potwora.

– Dobrze się czujecie Tesso? Emicie? – Wstał, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą. Oboje skinęli twierdząco. – A co z Kolczastym Wieńcem?

– Przepadł.

Ravis zamknął oczy. Kiedy je ponownie otworzył, Tessa stała przy nim i dotykała jego policzka. Otworzył ramiona i przytulił ją, głaszcząc jej włosy i napawając się ciepłem jej ciała. Szybko ją jednak puścił ze względu na obecność Emitha, gdyż nie chciał go wprawiać w zakłopotanie ani spychać na dalszy plan.

– Wystarczy – rzekł, dotykając ją po raz ostatni. – Chodźmy na górę.

– Tylko pozbieram swoje farby. – Emith odwrócił się.

– Zostaw je, Emicie. Sam zejść później i wszystkie pozbieram.

– Ale pędzle trzeba...

Tessa położyła rękę na ramieniu Emitha.

– Na razie chodźmy na górę. Później będziemy wszystko sprzątać.

Westchnął z rezygnacją.

– Tak, panienko.

Ravis zasłonił swym ciałem zabitego stwora i puścił przodem Emitha i Tessę. Coraz trudniej opierał się zmęczeniu; powłóczył nogami i z mozołem wspinał się do piwnicy. Kiedy wreszcie pokonał i ostatni stopień schodów prowadzących do właściwych pomieszczeń warowni, na skutek cierpienia mgła zasnęła mu oczy. Rozcięcie na policzku piekło niemiłosiernie, ramię bolało od dźwigania miecza, również blizna na wardze dawała o sobie znać.

Camrona zastali siedzącego w kuchni, blisko paleniska. Ranni spali lub siedzieli w luźnym kręgu wokół ognia. Nieżywi leżeli po drugiej stronie komnaty, przy drzwiach. Nigdzie nie było widać Paxa.

– Pojechał zerknąć na obóz Izgarda – rzucił Camron, uprzedzając pytanie. – Kazałem mu nie podchodzić za blisko.

Ravis skinął głową. Podsunął krzesła Tessie i Emithowi, podczas gdy szlachcic przyniósł blaszaną manierkę z brandy. Nikt nie dbał o kubki (nawet Emith) i wszyscy pociągali prosto z flaszki. Widząc grymas, który pojawił się na twarzy Tessy, gdy dotknęła metalu zranioną ręką, zwalczył chęć przytulenia jej do siebie. Na to przyjdzie czas potem. A na razie... Przejechał palcem po bliźnie. Na razie chciał się namyślić.

Zostawił Tessę i Emitha w kuchni i wyszedł, aby rzekomo pozbierać rzeczy pozostawione w podziemiach. Tak naprawdę sam nie wiedział, dokąd idzie. Obrawszy pierwszy lepszy kierunek, znalazł się nagle w wielkim krużganku. Unosił się tu zapach śmierci. Strugi ciemnej krwi spłynęły do szczelin między płytami posadzki, do wytartych butami wgłębień w stopniach schodów i w dół, wzdłuż nachylonych ukoście kamiennych dekoracji, aby zebrać się na podobieństwo jeziora wokół wyspy w postaci stosu drewna na opał.

Ravis odwrócił wzrok od krwi i spojrzał na ciała. W pomieszczeniu leżało pół tuzina stworów; niektóre spoczywały pod schodami, inne w pobliżu rozwalonej barykady z krzesel i drzwi. Połamane kości przebijały skórę, z ramion i piersi sterczały strzały. Gdzeniegdzie na rękach i twarzach widniały ślady po strasznych oparzeniach, a tu i ówdzie kawałki ciała zostały odrąbane potężnymi cięciami miecza. Wszystkie gardła były poderżnięte.

Na widok głębokich ran, biegnących od jednego końca szczęki do drugiego, zrozumiał, że Camron dokonał czegoś, o czym sam wcześniej nie myślał. Darował tym ludziom spokój. Kiedy on sam zbiegał do piwnic w poszukiwaniu Tessy i Emitha, Camron sprawdzał wszystkich pobitych, aby przekonać się, że są martwi. Sądząc ze świeżej krwi, która wyciekła z niektórych arterii, przynajmniej dwie z bestii jeszcze żyły, gdy je Camron dobijał.

Nareszcie opanowany, Ravis zaczerpnął głęboko powietrza i usiadł ciężko na ziemi. Camron zamierzał położyć kres cierpieniom tych stworów. Uważał ich przecież za rodaków.

Po długiej, bardzo długiej chwili Ravis wstał. Zgodnie z obietnicą zszedł na dół, by pozbierać przybory Emitha. Przepchnął się przez wąską szczyrbę w skale i w małej jaskini znalazł porzucane buteleczki z atramentami, pióra, pigmenty i skrawki papieru welinowego. Pośrodku uprzątniętej przestrzeni, na podpórcie z deszczułki, leżała kopia iluminacji Ilfaylena. Pergamin był miejscami naderwany, a to, co mogło być cudownym wzorem, zostało poplamione krwią i odciskami palców. Nie poświęcając dziełu zbyt wiele uwagi, Ravis podniósł je, przystawił do płomienia świecy, którą oświetlał sobie drogę. Rozszedł się zapach siarki. Po kilku sekundach iluminacja przestała istnieć. Pozostała po niej jedynie smuzka żółtawego dymu i garść popiołu.

Zmęczony i obolały, zebrał wszystkie przedmioty Emitha do torby. Kiedy pakował ostatnie z nich, w ręce wpadł mu kawałek nie oznakowanego welinu. Opoдал, między szczątkami muszli z pigmentami, poplamionymi farbami szmatkami i połamanymi pędzlami, zauważył pióro. Podniósł je i zaczął się nim bawić. Po minucie zagryzł wargę i wygrzebał z torby Emitha kałamarz z atramentem.

Usiadł w miejscu, gdzie parę godzin wcześniej siedziała Tessa, po czym napisał list. Do brata. Nie przyszło mu to łatwo; czasem nie potrafił znaleźć właściwych słów, a czasem rana na policzku tak bardzo piekła, że nie mógł skupić myśli. Niemniej jednak napisał go, a wtedy warga przestała mu dokuczać.

„O nic cię nie proszę, ale chcę, żebyś pamiętał o przeszłości. O wszystkich jej stronach, dobrych i złych, oraz o miłości, która była przed nienawiścią...”

Schował złożony welin pod płaszcz, a potem ruszył w drogę powrotną.

Przed drzwiami natknął się na Paxa.

– W garizońskim obozie zapanował chaos – obwieścił żołnierz. – Izgard nie żyje.

Ravis skinął głową.

– A co z generałami?

– Trudno powiedzieć. Patrzyłem, jak dosiadają koni i odjeżdżają na wschód.

– A zatem zaczął się wyścig o władzę – rzekł Ravis. – Niedługo inni pójdą w ich ślady. Suzeren ze swoją armią z pewnością przegna wszystkich opieszałych.

– Siadam na koń i jadę rozejrzeć się trochę po okolicy. – Camron wszedł do kuchni drzwiami od wewnętrznego dziedzińca. Miał opatrzone rany i czysty płaszcz. Ravis zauważył, że idąc, większy ciężar ciała opierał na lewej nodze.

– Uważaj na siebie – powiedział. – Jeśli nie wrócisz za dwie godziny, będę cię szukał.

Camron zbył te przestrogi szerokim uśmiechem.

– Zapominasz, do kogo mówisz, Burano. Wiem to i owo na temat tej ziemi. – Po tych słowach wyszedł na dziedziniec tonący w promieniach jasnego poranka. Kilka sekund później Pax ruszył za nim, twierdząc, że musi oporządzić konia, a zaraz potem Emith pozbierał swoje torby i udał się w tę samą stronę, mruczając coś o świeżej wodzie dla pędzli i dla siebie. Na koniec wyszli też Ravis i Tessa.

Ravis podszedł i mocno ją przytulił. Dotykanie jej miękkich, upstrzonych pigmentami włosów i gorących, przypalonych policzków zdało mu się błogosławieństwem, na które nie zasłużył. Nie mógł się od niej oderwać. Tak więc zostali razem, przytuleni do siebie, dopóki kilka godzin później Camron nie wjechał na dziedziniec, cały i podekscytowany, krzycząc, aby tego pogodnego dnia wszyscy spotkali się z nim na dziedzińcu.

## EPILOG

Jakże cudownie było przechadzać się po brzoźowych, dębowych i kasztanowych lasach Runzy w słabym świetle wietrznego, jesiennego dnia. Liście szeleściły pod stopami Tessy i wirowały wraz z jej płaszczem. Niektóre nawet utkwiły we włosach. W drodze powrotnej do dworu sięgnęła ręką do pierścienia: złociste liście przypominały jej efemerydy. Być może dlatego, że następnym razem, kiedy tu przyjdzie, ich już nie będzie.

Sam pierścień wydawał się ciężki i ciepły. Kolce zamigotały, wynurzając się z mroków płaszcza. Zadowolona, że wszystko jest jak należy, schowała błyskotkę i ruszyła z powrotem.

Po wyjściu na pustą przestrzeń, otaczającą dwór Camrona, zauważyła go stojącego wraz z Ravisem na schodach. Ravis wypatrzył ją natychmiast i pomachał ręką. Gdy odwzajemniała ten gest, poczuła, jak serce jej podskakuje. Była taka szczęśliwa. Krok spacerowy wydał jej się nagle zbyt wolny, więc puściła się biegiem, podwijając do kolan brzegi sukni i pędząc co tchu w stronę dworu.

Camron wyszczerzył zęby, a Ravis wysilił się na śmiech. Biegając w obecności mężczyzn, łamała niewątpliwie wszelkie miejscowe reguły postępowania. Nie przejmowała się tym ani trochę. Usiadła przy Ravisie. Zrobił dla niej miejsce i objął ją ramieniem, a potem szepnął coś na ucho. Zaczerwieniona, dała mu kuksańca w bok. Też coś! Czyż widok gołych kolan mógł tak na kogoś działać?

Na stopniach między Ravisem i Camronem leżały przeróżne mapy i papiery. Tessa rozpoznała inwentarze, umowy sprzedaży i mapy Garizonu oraz jego granic. Ravis spostrzegł jej wzrok i wyjaśnił:

– Ruszamy do Garizonu, zanim pierwsze śniegi zasypią przełęcze.

Kiwnęła głową. Wiedziała, że do tego dojdzie. Po tym jak Izgard (jak sądzono) zmarł na skutek szoku wywołanego utratą Kolczastego Wieńca, wojna stała się sprawą wewnętrzną. Wojska Garizonu rozpadły się i powróciły do domu. Śmierć wodza, strata Wieńca i zły omen w postaci trzęsienia ziemi okazały się niczym w porównaniu z zamętem, jaki wszczęli generałowie Izgarda. Walcząc między sobą o sukcesję, szybko udali się do Weizach, gdyż każdy chciał jako pierwszy zgłosić swe roszczenia do tronu. Od tamtej pory rozegrało się wiele krwawych bitew. Zginęły tysiące garizońskich żołnierzy.

– Musimy to zrobić, Tesso – powiedział Camron. Jego szare oczy zmieniały odcienie. – Nie możemy pozwolić, aby Garizończycy wymordowali się nawzajem.

– Izgard nie żyje – odparła. – Czy to nie wystarczy?

– Nie, już nie. – Przeczesał dłonią włosy. – Od dawna przestałem myśleć o zemście. Teraz chodzi o ludzi. O moich ludzi.

Pochyliła się i położyła mu rękę na ramieniu. Nie mogła uwierzyć, że to ten sam człowiek, którego spotkała wiele miesięcy temu w piwniczce Marcela w Bay'Zell. Tak bardzo się zmienił. Wszyscy się zmienili, ale on chyba najbardziej.

– To znaczy, że zamierzasz przejąć tron?

Camron przeniósł na Ravisa pytające spojrzenie. Obaj patrzyli na siebie przez długi czas i wiedziała, że w tej chwili zapomnieli o jej obecności.

W mętym świetle szrama Ravisa była biała, a oczy atramentowe, szklane. Wreszcie przemówił:

– Jestem żołnierzem, Camronie. Powiedział mi to niegdyś mój brat i nie ma różnicy, czy była to wtedy prawda, czy też jego słowa prawdą stały się później. Ja nie nadaję się do rządzenia i pilnowania ludzi. Wszystko, czego pragnę, znajduje się tutaj... – Uścisnął dłoń Tessy. – I tutaj... – Poklepał pochwę z nożem. – Będę wraz z tobą walczył, u twego boku, bo jesteś dla mnie bratem, nie zaś dlatego, że spodziewam się dzielić twoimi zdobyczami.

Camron spuścił wzrok. Oddychał ciężko i dopiero po chwili opanował się na tyle, by powiedzieć:

– Gdybyś tego chciał... Gdybyś chciał przywrócić pokój i własnoręcznie odbudować Garizon, ja stanę przy tobie.

– Wiem. – Ravis odczekał, aby przydać wagi temu jednemu słowu. – Ale ty poradzisz sobie z tym lepiej ode mnie. Uważasz Garizończyków za swoich ziomków. Ja nigdy tak o nich nie pomyślę. Nie zabiegam o tron.

Wzmógł się wiatr, obsypując schody złotymi liśćmi. Camron złapał jeden z nich. Ścisnął go w dłoni i powstał.

– Nic miałem pojęcia, co to znaczy walczyć o przekonania, dopóki tamtej nocy na zamku Bess nie stoczyliśmy bitwy ramię przy ramieniu. – Otworzył dłoń, wypuścił pokruszony liść i wyciągnął rękę w stronę Ravisa. – Nigdy nie zdołam spłacić długu, który u ciebie zaciągnąłem.

Ravis wstał i uścisnął jego dłoń.

– Między braćmi nic ma mowy o długach.

Camron popatrzył baczenie na przyjaciela. Chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał, ograniczając się do skinięcia głową. Machnął zdawkowo ręką, odwrócił się i skierował do domu. Ravis odprowadził go wzrokiem.

Tessa wzięła głęboki oddech i poczekała, aż Ravis przemówi. Milczenie trwało zadziwiająco krótko.

– Otrzymałem dziś wiadomość od Malraya – rzekł głosem cichym, niemal z zakłopotaniem. – On tu jest. W Runzy.

– Chce się z tobą zobaczyć?

– Tak, Violante namówiła go, żeby się ze mną spotkał. Rozmawiała z nim w Mizerico. Powiedziała mu, że jestem głupcem i że kiedy on obmyślał jakiś nowy spisek przeciwko mnie, ja tak naprawdę wstawiałem się za nim.

– Nie rozumiem.

Drgnęły ręce Ravisa.

– Sam się w tym gubię. Przecież tak niewiele rozmawiałem z Violante na temat Malraya. Myślałem... – potrząsnął głową – ..myślałem, że jasno dałem jej do zrozumienia, co czuję.

– Być może. – Spojrzała mu w oczy. Po chwili odwrócił wzrok. – Czy Violante jest tu z Malrayem?

– Nie, jest w Rhiga. Malray mówi, że wpadła w oko synowi seniora i pochłaniają ją jego zaloty.

Starła się ukryć wyraz ulgi. Na samo wspomnienie Violante z Arazzo poczuła się nieokrzesana i zaniedbana. Nieświadomie wygładziła sukienkę.

– Chcesz się z nim zobaczyć?

– Tak, i to szybko. – Popatrzył na mroczniejące niebo. – Dziś wieczór.

– Skąd możesz mieć pewność, że nie grozi ci jakieś niebezpieczeństwo? Może to pułapka?

Pochylił się do przodu.

– On zamierza tu przyjść. Sam i bez broni. Pamiętasz, co powiedziałaś na pokładzie “Cypla”? Jak to Deveric wtrącał się do naszego życia przez dwadzieścia jeden lat? No cóż, teraz przestał się mieszać. To dla nas wszystkich początek nowej drogi: dla Camrona, dla ciebie... dla mnie. – Oczy błyszczały mu dziwnym blaskiem. Tessa pocałowała go w policzek. Szorstka szrama otarła się o jej wargi.

– Ciągle domagasz się kawałka ziemi Burano?

Potrząsnął głową.

– Nie, nigdy nie chodziło mi o posiadłości ziemskie. Walczyłbym o cokolwiek, żeby być u boku Malraya. – Wskazał na las. – Nawet o jesienne liście.

Silny podmuch zaszeleścił liśćmi pod schodami. Tessa wstała i pociągnęła Ravisa.

– Chodźmy do środka. Robi się ciemno.

Trzymając się za ręce, weszli do domu. Świece paliły się jasno, a blask ognia płonącego na palenisku rozjaśnił im policzki. Emith wyskoczył im na powitanie, trzymając w dłoni woskową tabliczkę.

– Chyba coś znalazłem, panienko – przysunął tabliczkę do światła. – Ten wzór z dwoma ornamentalnymi pasami plecionek przypomina tamten, nad którym pracowałaś w jaskini tuż przed rozerwaniem pierwszego wiązania.

Skinęła głową.

– Skąd go skopiowałaś?



– Z ostatniej iluminacji mistrza Deverica, panienko. Z tej, która doprowadziła cię do pierścienia. Ten wzór powtarza się kilka razy: na bordiurze i wokół centralnego medalionu. – Mówiąc to, pomógł jej zdjąć płaszcz. – Może to ten?

Wzięła od niego tabliczkę i przyjrzała się jej uważniej. W czarno-zielonym wosku wyryto ciąg splotów w kształcie litery S. Zmarszczyła czoło i starła z powierzchni nadmiar wosku. Przez ostatnie tygodnie pracowała wraz z Emithem nad wzorem, który by umożliwił jej kontakt z rodziną. Nie zamierzała wracać, ale chciała dać znać rodzicom, że jest cała i zdrowa. Poza tym pragnęła się z nimi pożegnać.

– Wykonałem obrysy, panienko. Tobie pozostało tylko wypełnić je farbą.

Uśmiechnęła się. Czasami miała wrażenie, którego nie potrafiła tak naprawdę uzasadnić, że uśmiercenie stwora na zamku Bess odmieniło Emitha. Bywało, iż przesiadywał u siebie kilka godzin, mieszając pigmenty i wyposażając pędzle w świńskie włosie. Niekiedy jednak stawał się nie do poznania. W zeszłym tygodniu przykazał Paxowi, by nie wracał z miasta na spienionym i przemęczonym koniu. Wspomnienie to budziło w niej wesołość. Pax nie wiedział, co powiedzieć, ale od tamtej pory łagodniej obchodził się ze swym koniem.

– Jesteście już spakowani? – Ravis podkładał pod ogień. – Pax będzie chciał ruszyć wcześniej rano.

Skinęła głową. Wracała wraz z Emithem do Bay'Zell. Postanowiła poczekać tam na powrót Ravisa z Garizonu, natomiast Emith planował zaadaptować część domu na szkołę i uczyć miejscowe dzieci czytania i pisania. Nie powiedział tego wprost, ale podejrzewała, że miał nadzieję pewnego dnia spotkać dziecko na tyle utalentowane, żeby mogło wyuczyć się na wielkiego skrybę. Emith mógłby przekazać mu całą wiedzę, jaką zgromadził u boku Avaccusa i Deverica. Żywiła wielką nadzieję, że kiedyś pojawi się takie dziecko. Emith miałby mu wiele do przekazania.

– Posprawdzam jeszcze niektóre rzeczy – rzekł, otrzepując jej płaszcz i wieszając go na krześle blisko kominka. – Panna Gerta obiecała pomóc mi spakować prowiant na podróż. Twierdzi, że chleb należy owijać woskowanym płótnem, aby nie czerstwiał.

Tessa i Ravis wymienili spojrzenia. Stara panna z Garizonu przebywała w Runzy niespełna miesiąc, a już Emith roztoczył nad nią swe opiekuńcze skrzydła. Nie widziała na jedno oko, a kiedy chodziła, jej ciało trzęsło się i podskakiwało. Gdy Tessa obserwowała ich dwoje, żal ścisnął ją za gardło. Za każdym razem, kiedy Emith otwierał przed nią drzwi, otulał szyję szalikiem lub podawał gorący napój na rozgrzewkę, wspominała jego matkę. Był jednym z tych ludzi, którzy potrzebują kogoś, o kogo mogliby się troszczyć. Pod tym względem nie zmienił się ani na jotę.

Gerta i jej pani planowały zostać w Runzy tak długo, dopóki nie będą mogły bezpiecznie powrócić do Garizonu, więc tego wieczoru Emith miał ostatnią okazję, by wykazać się troską o starą służącą. Tessa obserwowała ze smutnym uśmiechem, jak Emith zastanawia się, czy wrócić do swej komnaty, czy też udać się do kuchni: królestwa Gerty.

Ravis stanął obok Tessy.

– Tylko pamiętaj, uważaj na siebie w Bay’Zell – powiedział, zabierając jej woskową tabliczkę, aby odłożyć ją na krzesło. – Nie chcę, żeby coś przydarzyło się mojej żonie, kiedy ja będę daleko.

Nie odpowiedziała, tylko wsunęła rękę pod jego ramię. Po tych wszystkich miesiącach wciąż trudno jej było uwierzyć, że może go dotknąć, kiedy tylko zechce. Bardzo go kochała.

Położył dłoń na jej ramieniu.

– Chodźmy już – powiedział i ruszył w stronę podwójnych drzwi prowadzących do głównej sali. – Pora dogonić Camrona.

– Zaczekajcie chwilę! – Oboje odwrócili się na dźwięk głosu Paxa. Młody gwardzista wybiegł z kuchni, omal nie zderzając się z Emithem, który zmierzał w przeciwnym kierunku. Niósł garniec wina i oblewał się nim w czasie biegu. Za pas wetknął kilka blaszanych kielichów. Śmiejąc się od ucha do ucha, zatrzymał się, wydobyl dwa kielichy i nalał wina Ravisowi i Tessie. Gdy wręczał jej puchar, kiwnął głową w stronę podwójnych drzwi. – Ja bym tam jeszcze nie wchodził.

– Niby dlaczego?

– Ponieważ Camron prosi właśnie pewną młodą damę o rękę.

Spojrzała na Ravisa.

– Myślisz, że powie: “Tak”?

– Cóż, zgodnie z prawem Bay’Zell i tak jest już jego. Wszystko, co zostanie wyrzucone na brzeg lub znalezione na słonych błotach wokół zamku Bess, należy się landlordowi. Camron ją znalazł, jest landlordem, więc legalnie ona jest jego własnością. – Ravis z uśmiechem zbliżył się do drzwi. – Przekonajmy się, co naprawdę powie dama.

Uśmiechając się, Tessa i Pax podążyli za nim do głównej sali.

Angeline z Halmac i Camron z Thornu stali na drugim końcu komnaty, wpatrzeni w dziedziniec. Trzymali się za ręce, które szybko puścili, gdy okazało się, że nie są już sami. Patrząc na Angeline stojącą przy oknie z twarzą oświetloną promieniami zachodzącego słońca, Tessa dziwiła się, jak szybko wracała do sił. Wciąż miała w pamięci, w jakim fatalnym stanie Camron przywiózł ją na zamek. Ledwie żyła; usta miała suche i spękane, ciało zwiotczało. Liczne żebra i kości palców były pęknięte, głębokie rany znaczyły ramiona, szyję i plecy, skórę pokrywały sińce. Chociaż ze wszystkich sił walczyła o dziecko, straciła je po dwóch tygodniach. Medycy wykazywali ostrożny optymizm, mówiąc o jej szansach na przyszłe potomstwo.

Wszyscy się o nią troszczyli. Emith, Ravis, Tessa, Pax, a przede wszystkim Camron. Każdy ją kochał. Była delikatna, pogodnego usposobienia i niezwykle silna, kiedy przychodziło jej znosić ból. Nikt nie zadawał pytań, jak to się stało, że znalazła się na słonych błotach tamtego dnia – Camron nie pozwalał na to. Od samego początku, od pierwszej nieprzespanej nocy, podczas której czuwał u jej łóżka, roztaczał nad nią troskliwą opiekę. Był

jak dzieciak, który znalazł zabłąkanego szczeniaka: pozwalał opiekować się nią innym, o ile wiedzieli, że należy do niego.

W ciągu ostatnich tygodni ani jednego dnia nie spędzili osobno. Tessa obserwowała, jak stają się sobie coraz bliżsi. Czasem, gdy Angeline spoglądała na ogień buchający w palenisku, gdy usłyszała drzwi zatrzaśnięte przez wiatr lub gniewny głos, Tessa widziała, że coś ciemnego i przepelnionego strachem błyska w jej oczach. Ciało Angeline sztywniało na moment, a wtedy Camron podbiegał do niej, głaskał ją po ręce, odgarniał loki z czoła, aby to, co ją przestraszyło, znikło.

– Czy nikt tu nie puka? – zapytał Camron, odwracając się do nich z roziskrzonymi oczami. Na widok Paxa obładowanego garncem wina i kielichami, gestem kazał mu się zbliżyć. – Napełnij kielich dla Angeline winem, zanim całe wsiąknie w twój płaszcz.

Tessa zauważyła, jak palce Camrona ponownie odnajdują dłoń Angeline. Kiedy Pax nalał wszystkim wina, lord nachylił się i szepnął:

– Powiedz im.

Angeline spojrzała nań nerwowo i przełknęła ślinę. Uplęła dłuższa chwila, w czasie której wszyscy czekali na jej słowa. Ze wzrokiem wbitym w ziemię próbowała zapanować nad emocjami. Ostatecznie przemówiła głosem nieśmiałym i urywanym:

– Chcę wam wszystkim podziękować za opiekę nade mną w ciągu tych kilku tygodni. Wszystkim. Byliście dla mnie tacy dobrzy. Nie zasłużyłam na to. Czuję się, jakbym dostała drugą szansę. – Zawahała się, jeszcze raz zerknęła na Camrona, który uśmiechnął się do niej tak promiennie, że Tessa poczuła ucisk w sercu. Angeline nabrała powietrza i pospiesznie wypowiedziała resztę słów. – Tak naprawdę chcę powiedzieć, że ja i Camron mamy zamiar się pobrać jeszcze dziś wieczór, zanim odjedzie.

Po tych słowach wszyscy mieszkańcy dworu zaczęli wchodzić na salę. Zjawiła się Gerta, rozdając przekąski. Mając przesłonięte oko ocena odległości sprawiała jej niejakie problemy, ale Emith z wielkim entuzjazmem pomagał jej roznosić ciężkie tacki, wyładowane szynką i drobiowymi nóżkami, oraz układał miski z owocami i serem na wybranych przez nią stołach. Pax zawezwał wszystkich żołnierzy i przez większą część godziny obmyślał toasty, a każdy bardziej wyszukany od poprzedniego. Słudzy krzątali się przy napełnianiu kielichów i wnoszeniu pustych tacek. Ktoś zaczął śpiewać, ktoś inny – grać na skrzypcach. Przez cały czas Camron ani na krok nie odstępował Angeline. Był względem niej nad wyraz uprzejmy, pozwalając jej wyrażać swoje opinie na każdy temat.

Tessa jadła, piła i tańczyła. Jak wszyscy naokoło, uśmiechała się radośnie. Dopiero po trzecim kubku beriaku spostrzegła, że nigdzie w pobliżu nie widać Ravisa. Dręczona rosnącym niepokojem, postawiła kubek na najbliższym stole i ruszyła ku wyjściu.

Sień była pusta, nie podsycany ogień tlił się małym płomykiem. Narzuciła płaszcz na ramiona i zbliżyła się do frontowego wyjścia. Odgłosy zabawy, dobiegające z sali biesiadnej,

zagłuszały większość dźwięków z wyjątkiem wycia wiatru. Delikatnie, aby nie hałasować, nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi.

Na zewnątrz było mroczno i Tessa poczekała, aż jej wzrok przywyknie do ciemności. Pod wpływem gwałtownych podmuchów musiała zmrużyć oczy. Zeszła po schodkach na dziedziniec. Wszystkie okiennice zostały zamknięte i tylko cienkie smugi światła wydostawały się na zewnątrz. Gdzieś na wprost niej koń zarżał i potrząsnął grzywą. Usłyszała brzęk metalowych zapiek przy uździe. Gdy natężyła wzrok, ujrzała lśniąca sylwetkę ogiera. Jego nogi połyskiwały w ciemności atramentową czernią. Kiedy spojrzała dalej, zauważyła, że przy stajennym murze stoją dwie postaci.

Od razu rozpoznała Ravisa. Ciemne włosy miał zaczesane do tyłu, a rękawiczki zdjęte. Mężczyzna, z którym rozmawiał, przypominał go wzrostem i wyglądem, ale był bardziej krępy. Obaj zdawali się pochłonięci żywiołową dyskusją, ponieważ ich żuchwy poruszały się rytmicznie. Obcy wykonywał błyskawiczne ruchy rękami. Tessa tysiąc razy widziała, jak Ravis gestykułuje w identyczny sposób.

Serce zaczęło jej bić żywiej. To był Malray. Przyjechał.

Ściągnęła targany wiatrem płaszcz i ostrożnie postąpiła kilka kroków do przodu. Koń wyczuł ją i tupnął kopytem. Żaden z rozmawiających niczego nie zauważył. Ravis coś mówił, jego prawa dłoń wędrowała od noża do wargi. Wtem Malray potrząsnął głową. Usłyszała, jak Ravis podnosi głos, wychwyciła też część zdania, które zawierało słowa "ojciec" i "brat". Malray cofnął się o krok. Dotknął ręką boku i przez ułamek sekundy sądziła, że dobędzie broni. Wiatr przycichł. Wówczas coś się zdarzyło. Przestrzeń dzieląca obu mężczyzn zdawała się kurczyć. Obaj zamarli na moment, a potem zbliżyli się do siebie. Nie wiedziała, który pierwszy postąpił krok do przodu lub jako pierwszy otworzył ramiona. Zobaczyła tylko, jak padają sobie w objęcia, jak trzęsą się ich plecy w tym szalonym uścisku. Słyszała, jak głęboko łapią oddech.

Po chwili (dość krótkiej) rozłączyli się. Nawet ze swojego miejsca zauważyła łzy w oczach Ravisa.

Odwróciła się. Za długo już mieszała się do cudzych spraw.

Kiedy wykonała pierwszy krok w stronę drzwi, poczuła, że coś ciągnie ją za szyję. Pogłębiły się okoliczne cienie. Powiew chłodnego powietrza musnął jej policzki. Szare dźwięki wprawiły w wibracje bębenki uszu, zagłębiając się w tkankę i kości, aż w głowie Tessy utworzył się ciemny klin, niczym ślepa plamka. Straciła poczucie czasu. Odebrała tylko wrażenie delikatnego dotyku, jakby po jej obojczyku przesunęła się dłoń złodzieja. Otrzeźwił ją zapach siarki, każąc zapomnieć o dźwiękach i ciemności. Szybko podniosła rękę do piersi.

Zniknął.

Pierścień zniknął. Wstążka, na której go uwiązała, była gorąca i na całej długości najeżona malutkimi włókienkami. Patrząc na nią, potrząsnęła głową. Od wielu miesięcy

wiedziała, że pewnego dnia pierścień zniknie, nie sądziła jednak, że stanie się to tak szybko. Tak znienacka. Tak nieodwołalnie. Czuła, że to koniec.

“Nie – pomyślała po chwili i zerwała wstążkę z szyi. – To żaden koniec. To jeszcze jeden początek”.

Zgniatając tasiemkę, postanowiła wrócić do biesiadników i razem z nimi zaczekać na Ravisa.